BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

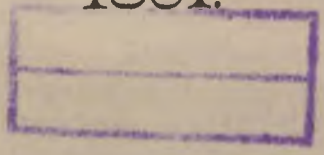
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 201.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE

POŚWIĘCONE NAUKOM, SZTUKOM I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

1891.



Tom pierwszy.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Foksal Nr. 6.

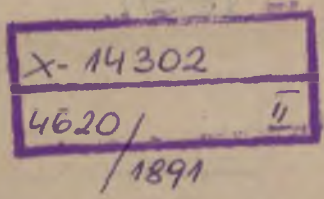
1891.

4620. 1891. 1
II



30.000/-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Января 1891 года.



Druk E. Lubowskiego i S-ki, Mazowiecka Nr. 8.

Lux in tenebris lucet.

Przychodzą czasem jesienią, zwłaszcza w Listopadzie, dni tak wilgotne, ciemne i posępne, że nawet zdrowemu człowiekowi życie się przykrzy. Od czasu jak Kamionka uczuł się niezdrów i przestał pracować nad posągiem „Miłosierdzia“ niepogoda taka dokuczała mu więcéj od saméj choroby. Co rano zwlókłszy się z łóżka, przecierał spotniałe wielkie okno pracowni i spoglądał do góry, w nadziei, że zobaczy choć skrawek błękitnego nieba: ale co rano czekał go zawód. Ciężka ołowiana mgła wisiała nad ziemią; deszcz nie padał, a mimo tego nawet brukowe kamienie na podwórzu wyglądały jak gąbki nasiąknięte wodą; wszystko było mokre, oślizgłe, przejęte nawskroś wilgocią, któréj pojedyńcze krople, spadając w zagięcia rynien, dzwoniły z jakąś rozpaczliwą jednostajnością, jakby odmierzając ów wlokący się leniwie czas smutku.

Okno pracowni wychodziło na podwórze, zakończone z tyłu ogrodem. Trawa za sztachetami zieleniła się jeszcze jakąś chorą zielonością, w któréj tkwiła śmierć i zgnilizna; ale drzewa z resztkami żółtych liści, o gałęziach czarnych od wilgoci, a zarazem nieco zatartych przez mgłę, wydawały się już zupełnie obumarłe. Co wieczór rozlegało się między niemi krakanie wron, które z lasów i pól ściągały już na zimowe leże do miasta, i z wielkiem łopotaniem skrzydeł, sadowiły się na nocleg wśród konarów.

Pracownia w podobne dni stawała się tak ponura jak kostnica. Marmur i gips potrzebują błękitu, w takiem zaś ołowianem oświetleniu, białość ich miała w sobie coś żałobnego; postacie z ciemnéj terrakoty, tracąc wszelką wyrazistość linij zmieniały się w jakieś kształty nieokreślone i prawie straszne.

Brud i nieład dodawały smutku pracowni. Na podłodze leżał grubą warstwą kurz, utworzony z rozdeptanych okruchów zeschniętéj terrakoty i z błota naniesionego z ulicy. Ściany były mroczne, przybrane tylko tu i owdzie gipsowemi modelami rąk i nóg; zresztą pu-

ste; niedaleko od okna wisiało małe lustro, nad niem czaszka końska i bukiet makartowskich kwiatów, zupełnie poczerniały od kurzu.

W kącie stało łóżko pokryte kołdrą starą i pomiętą, przy niem szafka nocna z żelaznym lichtarzem. Kamionka przez oszczędność nie trzymał osobnego mieszkania i sypiał w pracowni. Zwyczajnie łóżko zasłonięte bywało parawanem, ale teraz parawan był odstawiony, w tym celu, by choremu łatwiéj było spoglądać w okno leżące wprost jego nóg i patrzéć, czy się nie wypogadza. Drugie, jeszcze większe okno wycięte w pułapie pracowni było tak pokryte zewnątrz kurzem, że nawet w jasne dni wchodziło przez nie światło szare i smutne.

Nie wypogadzało się jednak. Po kilku dniach ciemności, chmury zniżyły się zupełnie, powietrze nasiąknęło do reszty wilgotną, ciężką mgłą i uczyniło się jeszcze ciemniéj. Kamionka, który dotychczas pokładał się tylko na łóżku w ubraniu, uczuł się gorzéj, więc rozebrał się i położył na dobre.

Właściwie mówiąc, nie był on tyle chory na jakąś określoną chorobę, ile przybity, zniechęcony, wyczerpany i smutny. Ogólne osłabienie ścięło go z nóg. Nie miał ochoty umrzéć, ale téż nie czuł w sobie sił do życia.

Długie godziny mrocznego dnia, wydawały mu się tem dłuższe, że nie miał przy sobie nikogo. Żona jego umarła przed laty dwudziestu, krewni mieszkali w innéj części kraju, a z kolegami nie żył. W ostatnich latach znajomi poodsuwali się od niego, z powodu coraz wzrastającéj w nim zgryźliwości. Z początku to jego usposobienie bawiło ludzi, ale następnie, gdy stawał się coraz większym dziwakiem i gdy każdy żart począł w nim budzić długotrwałą urazę, nawet najbliżsi pozrywali z nim stosunki.

Brano mu także za złe że z wiekiem stał się pobożnym i podejrzewano jego szczerość. Złośliwi mówili, że przesiaduje po kościołach dlatego, by przez stosunki z księżmi, wyrobić sobie zamówienia do kościołów. Nie była to zresztą prawda. Pobożność jego nie płynęła może z głębokiéj i spokojnéj wiary, ale była bezinteresowna.

Co jednak dawało pozory słuszności posądzeniom, to wzmagające się coraz bardziéj w Kamionce skąpstwo. Od kilku lat zamieszkał przez oszczędność w pracowni; żywił się Bóg wie czém i zrujnował sobie zdrowie do tego stopnia, że w końcu twarz jego stała się tak przezroczysta i żółta, jakby była ulepiona z wosku. Ludzi unikał także i dlatego, by czasem nie zażądał kto od niego jakiejkolwiek przysługi.

W ogóle był to człowiek z charakterem zwichniętym, zgorzkniały i nadzwyczaj nieszczęśliwy. A jednak nie była to natura z gruntu

pospolita, gdyż nawet wady jego miały właściwe sobie, artystyczne cechy. Ci, którzy sądzili, że przy swem skąpstwie musiał zebrać znaczny majątek, mylili się. Kamionka był naprawdę człowiekiem ubogim, albowiem wszystko co posiadał, wydawał na aquaforty, których miał całą tekę na dnie szafy, a które od czasu do czasu przeglądał i liczył z ostrożnościami i chciwością lichwiarza liczącego pieniądze. Z zamiłowaniem tem ukrywał się jak najstaranniéj, może właśnie dlatego, że wyrosło na gruncie wielkiego nieszczęścia i wielkiego uczucia.

Raz, mniéj więcéj w rok po śmierci żony, zobaczył u antykwaryusza stary sztych przedstawiający Armidę — i w twarzy Armidy dopatrzył podobieństwa do twarzy swéj zmarłéj. Sztych ten nabył zaraz i od téj pory począł szukać miedziorytów, z początku, przedstawiających tylko Armidy, następnie, w miarę jak zamiłowanie w nim wzrastało, — i wszelkich innych.

Ludzie, którzy stracili istoty bardzo kochane, muszą zaczepić życie o byle co, inaczéj nie mogliby istnieć. Co do Kamionki, niktby się nie domyślił, że ten podstarzały dziwak i egoista, kochał niegdyś nad życie swoją żonę. Prawdopodobnie téż, gdyby nie była umarła, życie jego popłynęłoby pogodniéj, szerzéj i bardziéj po ludzku. Bądź co bądź, miłość ta przeżyła w Kamionce i jego szczęśliwe czasy i jego młodość i nawet jego talent.

Pobożność, która z biegiem lat zmieniła się w nim na zwyczaj, polegający na zachowywaniu form zewnętrznych, wypłynęła również z tego samego źródła. Kamionka, nie należąc do ludzi głęboko wierzących, począł jednak po śmierci żony modlić się za nią, bo mu się zdawało, że to jest jedyna rzecz, którą może dla niej uczynić i że w ten sposób jeszcze go jakaś nić z nią łączy.

Natury pozornie zimne umieją często kochać i nader mocno i trwale. Po śmierci żony, całkowite życie Kamionki i wszystkie jego myśli owinęły się koło wspomnienia o niéj i czerpały z niego pokarm, zupełnie jak pasorzytna roślina czerpie pokarm z pnia na którym żyje. Ale z tego rodzaju wspomnień roślina ludzka może czerpać tylko zatrute soki, złożone z żalu i ogromnego zmartwienia, więc też i Kamionka zatruwał się, krzywił i marniał.

Gdyby nie był artystą, prawdopodobnie nie przeżyłby swej straty, ale powołanie ocaliło go w ten sposób, że po śmierci żony, począł rzeźbić dla niej pomnik. Próżno żywym mówić, że dla umarłych wszystko jedno w jakich grobach leżą. Kamionka chciał, by jego Zosi było tam pięknie — i pracował nad jéj pomnikiem, tyle samo sercem, ile rękoma. To sprawiło że przez pierwsze pół roku nie dostał pomięszania zmysłów i że zżył się z rozpaczą.

Człowiek pozostał zwichnięty i nieszczęśliwy, ale sztuka ocaliła artystę. Od téj pory Kamionka istniał przez nią. Ludzie, którzy po galeryach przypatrują się posągom i obrazom, nie domyślają się, że artysta może służyć sztuce uczciwie lub nieuczciwie. Pod tym względem Kamionka był bez zarzutu. Nie miał on skrzydeł u ramion, posiadał tylko talent nieco wyższy nad średnią miarę i może dlatego sztuka nie zdołała mu ani wypełnić życia, ani wszystkich strat nagrodzić—ale ją głęboko szanował i zawsze był względem niéj szczery. Przez długie lata swego zawodu nie oszukał i nie ukrzywdził jéj nigdy, ani dla sławy, ani dla pokupu, ani dla pochwał, ani dla przygan. Tworzył zawsze tak. jak czuł. Za swych szczęśliwych czasów, gdy żył jak każdy inny człowiek, umiał rozpowiadać o sztuce rzeczy zupełnie niepowszednie, a i potem, gdy już poczęto od niego stronić, rozmyślał nieraz o niéj w swojéj samotnéj pracowni, w sposób uczciwy i wysoki.

Czuł się ogromnie opuszczony, ale nie było w tem nic dziwnego. Stosunki ludzkie muszą mieć jakąś średnią modłę, na mocy któréj, ludzie wyjątkowo nieszczęśliwi, bywają z życia wyłączani. I z téj saméj przyczyny, porastają tak dziwactwem i wadami, jak kamień wyrzucony z potoku porasta mchem, gdy przestanie ocierać się o inne. Teraz gdy Kamionka zachorował, żadna żywa dusza nie zajrzała do jego pracowni, z wyjątkiem posługaczki, która dwa razy dziennie przychodziła nastawić i podać mu herbatę. Za każdem przyjściem radziła mu, aby wezwał lekarza, lecz on, bojąc się wydatku, nie chciał się na to zgodzić.

Nakoniec zesłabł bardzo, może dlatego, że nic nie brał do ust prócz herbaty. Ale on do niczego nie miał już ochoty, ani do jedzenia, ani do pracy, ani do życia. Myśli jego były teraz tak zwiędłe, jak owe liście na które spoglądał przez okno i odpowiadały zupełnie téj jesieni, téj słocie i tym ołowianym ciemnościom. Niema gorszych chwil na świecie, nad takie, w których człowiek czuje, że czego miał dopełnić, to już dopełnił, co miał przeżyć, to przeżył i że mu się już nic w życiu nie należy. Kamionka od lat blisko piętnastu żył w ciągłym wewnętrznym niepokoju, że jego talent wyczerpuje się Obecnie był tego pewien i z goryczą myślał, że nawet i sztuka go opuszcza. Czuł przytem wyczerpanie i znużenie w każdéj kości. Nie spodziewał się rychléj smierci, ale nie wierzył w swój powrót do zdrowia. Wogóle nie było w nim ani jednéj iskry nadziei.

Jeśli sobie jeszcze czegoś teraz życzył, to chyba tego, by się wypogodziło i by słońce zaświeciło w pracowni. Sądził nawet, że w takim razie nabrałby może jakiejkolwiek otuchy. Zawsze był on szczególnie wrażliwy na słotę, ciemności, zawsze takie dni powię-

kszały jego smutek i pognębienie, a cóż dopiero teraz, gdy ów czas, jak go Kamionka nazywał: beznadziejny, przyszedł w towarzystwie choroby.

Co rano też gdy posługaczka przychodziła z herbatą, Kamionka pytał:

— A nie przeciera się tam gdzie po brzegach?

- Ale, odpowiadała stróżka, mgła taka, że człowiek człowieka nie widzi.

Chory, usłyszawszy odpowiedź, przymykał oczy i pozostawał długie godziny bez ruchu.

Na podwórzu było ciągle cicho, tylko krople deszczu dzwoniły równo i jednostajnie w rynnach.

O godzinie trzeciéj po południu, czyniło się już tak ciemno, że Kamionka musiał zapalać świecę. Z powodu osłabienia przychodziło mu to z niemałą trudnością. Najprzód, nim sięgnął po zapałki, namyślał się czas dłuższy; potem wyciągał leniwie ramiona, których chudość, widoczna przez rękawy koszuli, napełniała go jako rzeźbiarza wstrętem i goryczą; zaczém zapaliwszy światło, wypoczywał znów nieruchomie, aż do wieczornego przyjścia stróżki, słuchając z przymkniętemi oczyma kropel dzwoniących w rynnach.

Dziwnie wówczas wyglądała pracownia. Płomień świecy oświetlał łóżko i leżącego w niem Kamionkę, zbierając się w błyszczący punkt na jego czole, obciągniętem skórą suchą i żółtą, jakby wypolerowaną. Reszta izby pogrążała się w mroku, który z każdą chwilą czynił się gęstszy. Ale w miarę jak na dworze ciemniało, posągi stawały się coraz różowsze i nabierały życia. Płomień świecy, to zniżał się, to podnosił, a w tym drgającym blasku i one zdawały się to zniżać, to podnosić, zupełnie tak, jakby wspinały się na palce, chcąc lepiéj spojrzéć w wychudłą twarz rzeźbiarza i przekonać się czy ich twórca żyje jeszcze.

I rzeczywiście była w téj twarzy pewna nieruchomość śmierci. Ale od czasu do czasu sinawe usta chorego poruszały się lekkim ruchem, jakby się modlił, albo jakby klął swoje opuszczenie i te utrapione krople wilgoci, które zawsze tak samo równo i jednostajnie odmierzały mu godziny choroby.

Pewnego wieczora, stróżka przyszedłszy nieco pijana, zatem rozmowniejsza niż zwykle, rzekła:

— Na mojéj głowie tyle roboty, że ledwie dwa razy w dzień mogę zajrzéć. Wziąłby, ot sobie panisko zakonnicę, bo siostra i nic nie kosztuje i najlepiéj choremu wygodzi.

Kamionce podobała się rada, ale jak zwykle ludzie zgryźliwi, miał zwyczaj sprzeciwiać się zawsze temu co mu doradzano, więc się nie zgodził.

Jednakże po odejściu stróżki, począł o tem rozmyślać. Siostra miłosierdzia!... Prawda! Nic nie kosztuje, a jaka przytem pomoc i wygoda! Kamionka, jak każdy chory, pozostawiony samemu sobie, doznawał mnóstwa przykrości i walczył z tysiącami małych nędz, które mu równie dokuczały, jak go niecierpliwiły. Nieraz leżał z głową przekrzywioną niewygodnie po całych godzinach, zanim się zebrał na poprawienie sobie poduszki; nieraz w nocy czyniło mu się zimno i byłby dał Bóg wie co, za szklankę gorącéj herbaty; ale jeśli zapalenie świecy przychodziło mu z trudem, jakże mu było myśléć o zagotowaniu sobie wody? Siostra miłosierdzia czyniłaby to wszystko ze zwykłą siostrom łagodną skwapliwością. O ileż lżéj chorować przy takiéj pomocy!

Biedaczysko doszedł wreszcie do tego, że o chorobie w takich warunkach począł myśléć jak o czemś pożądanem i pomyślnem i dziwił się w duszy, że nawet dla niego takie szczęście jest dostępne.

Zdawało mu się także, że gdyby siostra nadeszła i wniosła ze sobą trochę wesołości i otuchy do pracowni, to może wypogodziłoby się także i na dworze i te dzwoniące krople wilgoci przestałyby go prześladować.

Zdjął go w końcu żal, że odrazu nie zgodził się na radę stróżki. Zbliżała się noc długa i posępna, a stróżka miała do niego zajrzéć dopiero następnego rana. Teraz zrozumiał, że ta noc będzie dla niego cięższa niż wszystkie poprzednie.

Potém przyszło mu do głowy, jaki jednak wielki z niego łazarz—i w przeciwstawieniu do dzisiejszéj nędzy, dawne, szczęśliwsze lata życia, stanęły mu jakby żywe przed oczyma. A jak przed chwilą myśl o zakonnicy, tak teraz, wspomnienie o owych latach, połączyło się znów w ten sam dziwny sposób w jego osłabionym mózgu z pojęciem słońca, światła i pogody.

Począł rozmyślać o swojéj zmarłéj i rozmawiać z nią, jak to miał zwyczaj zawsze czynić, gdy mu było bardzo źle. W końcu zmęczył się, uczuł że słabnie i usnął.

Świeca stojąca na szafce nocnéj dopalała się zwolna. Płomień jéj z różowego stał się błękitny, potem błysnął mocno kilkakroć i zgasł. Ciemność zupełna objęła pracownię.

A tymczasem na dworze, krople wilgoci spadały wciąż równo i tak posępnie, jakby przez nie dystylował się mrok i smutek całéj natury.

Kamionka spał długo lekkim snem, lecz nagle zbudził się z jakiemś dziwném wrażeniem, że coś niezwykłego dzieje się w pracowni. Na świecie był brzask. Marmury i gipsy poczęły się bielić. Szero-

kie, weneckie okno, leżące wprost łóżka, nasiąkało coraz bardziéj bladem światłem.

W tem oświetleniu Kamionka ujrzał jakąś postać siedzącą przy łóżku.

Otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w nią: była to siostra miłosierdzia.

Siedziała ona nieruchomie, zwrócona nieco ku oknu i z głową pochyloną. Ręce jéj były złożone na kolanach—i zdawała się modlić. Chory nie mógł dojrzéć jéj twarzy; widział natomiast wyraźnie biały jéj kornet i ciemny zarys ramion, trochę wątłych.

Serce poczęło mu bić jakoś niespokojnie, a przez głowę przemknęły pytania:

— Kiedy stróżka mogła sprowadzić tę siostrę i jak ona tu weszła?

Następnie pomyślał, że to może z osłabienia coś mu się wydaje, i przymknął oczy.

Lecz po chwili otworzył je znowu.

Siostra siedziała zawsze na tem samem miejscu, nieruchoma jakoby pogrążona w modlitwie.

Dziwne uczucie, złożone z przestrachu i z wielkiéj radości, poczęło podnosić włosy na głowie chorego. Coś ciągnęło jego wzrok z niepojętą siłą ku téj postaci. Zdawało mu się, że ją już kiedyś widział, ale gdzie i kiedy, — nie pamiętał. Chwyciła go niepohamowana chęć zobaczenia jéj twarzy, ale biały kornet zasłaniał ją, Kamionka zaś, sam nie wiedząc dlaczego, nie śmiał ani odezwać się, ani poruszyć, ani prawie odetchnąć. Czuł tylko że uczucie strachu, a zarazem radości obejmuje go coraz silniéj i ze zdumieniem pytał sam siebie: co to jest?

Tymczasem rozwidniło się zupełnie. I co za cudny poranek musiał tam być na dworze! Nagle, bez żadnych przejść, weszło do pracowni światło tak mocne, jasne i radosne, jakby to była wiosna i Maj. Fale złotego blasku, wzbierając jak powódź, poczęły wypełniać izbę, zalewać ją tak potężnie, że marmury utonęły i rozpuściły się w téj jasności, ściany zlały się z nią, potem znikły zupełnie — i Kamionka znalazł się jakby w jakiéjś świetlanéj przestrzeni bez granic.

Wtém spostrzegł, że i kornet na głowie zakonnicy poczyna tracić swą białą sztywność, drga po brzegach, topnieje, rozpływa się jak jasna mgła i zmienia się także w światło.

Zakonnica zwróciła zwolna twarz ku choremu—i nagle ów opuszczony nędzarz, ujrzał w świetlanéj aureoli znajome, stokroć ukochane rysy swéj zmarłéj.

Wówczas zerwał się z łożka, a z piersi jego wydarł się krzyk, w którym były całe lata łez, żalu, zmartwienia i rozpaczy:

— Zosia! Zosia!

I chwyciwszy ją, tulił do siebie, a ona również zarzuciła mu ręce na szyję.

Światła napływało coraz więcéj.

— Nie zapomniałeś o mnie, rzekła wreszcie, więc przyszłam i uprosiłam ci śmierć lekką.

Kamionka wciąż trzymał ją w ramionach, jakby w obawie, że błogosławione widzenie zniknie mu razem z tém światłem.

— Jam gotów umrzéć, odpowiedział — byleś została przy mnie. Ona zaś uśmiechnęła się do niego anielskim uśmiechem i odejmując jednę rękę z jego szyi, wskazała nią na dół i rzekła:

— Tyś już umarł: patrz tam!

Kamionka spojrzał w kierunku jéj ręki i hen, pod stopami, ujrzał przez okno w pułapie wnętrze swéj pracowni mrocznéj, samotnéj; w niéj na łóżku leżał jego własny trup z szeroko otwartemi ustami, które w wyżółkłéj twarzy tworzyły jakby czarną jamę.

I patrzył na to wychudłe ciało, jak na rzecz obcą. Zresztą po chwili poczęło mu wszystko ginąć z oczu, bo owa otaczająca ich jasność, jakby popychana zaświatowym wiatrem, szła gdzieś w nieskończoność.

Henryk Sienkiewicz.

POZYTYWIZM

i zadania krytyczne filozofii*).

I.

Stan kwestyi.

Znanem jest powszechnie stanowisko, jakie zajmowała filozofia w wiekach średnich. Określa je dokładnie zdanie: *philosophia theologiae ancilla.*

W poglądach uczonych scholastyków filozofia była tylko środkiem pomocniczym dla udowodnienia i wyjaśnienia prawd teologicznych. Wszelka dążność filozofii do wyzwolenia się z téj służebności względem teologii, uznaną została za nieuprawnioną. O samodzielném znaczeniu filozofii jako krytyki ostatecznych zasad wiedzy ludzkiéj, nie miano jeszcze pojęcia. Dogmatyczne zaufanie do teologii panowało bezwzględnie nad krytycznemi czynnikami umysłu.

Stosunek ten filozofii do teologii w wiekach średnich posiada wiele rysów, przypominających współczesny stosunek filozofii do nauk specyalnych, a w szczególności do przyrodoznawstwa. Różnica polega tylko na tem, że dogmatyzm teologiczny średnich wieków, ustąpił w naszych czasach miejsca dogmatyzmowi empirycznemu, t. j. bezpośredniemu zaufaniu w nieomylność pewnych zdań i poglądów, opartych niby na doświadczeniu i uznanych za konieczną podstawę wszelkiéj wiedzy „naukowéj“. W oczach wielu współczesnych uczonych, filozofia albo nie ma żadnego znaczenia naukowego, albo też posiada pewne znaczenie o tyle, o ile się oddaje na usługi nauk specyalnych, o ile uogólnia, rozwija i wyjaśnia wyniki ich badań. Po za obrębem

*) Wyjątek z większego dzieła przygotowanego do druku p. t. *Encyklopedya nauk i szkół filozoficznych, poprzedzona wstępem do filozofii, czyli filozofia filozofii.*

zaś téj zależności od nauk specyalnych, filozofia, według ich zdania, jest tylko czczą metafizyką, samowolném majaczeniem umysłu, w najlepszym razie jakąś poezyą myśli, usystematyzowaną mniéj lub więcéj zręcznie, lecz pozbawioną wszelkiego charakteru nauki w ścisłém znaczeniu tego słowa.

Gdyby dzisiejsi zwolennicy powyższego poglądu na stosunek filozofii do nauk specyalnych, z przyrodoznawstwem na czele, używali języka łacińskiego, natenczas niewątpliwie zamieniliby przytoczoną maksymę scholastyczną na zdanie: *philosophia physicae ancilla*, filozofia jest służebnicą przyrodoznawstwa.

Najgłośniejszym przedstawicielem téj teoryi o bezwzględnéj zależności filozofii od nauk specyalnych, jest znany twórca pozytywizmu August Comte.

W dwóch pierwszych lekcyach swego *Kursu filozofii pozytywnéj* [1]), wypowiada Comte zdanie, że ludzkość w swym rozwoju umysłowym, przechodzi przez trzy główne fazy czyli stany, jako to: teologiczny czyli *poetyczny*, wyrażający się w mitologicznych uosobieniach sił i zjawisk przyrody; daléj metafizyczny czyli abstrakcyjny, obejmujący całą filozofią do Comte'a, i sprowadzający działanie przyrody do oderwanych pojęć o istocie rzeczy i różnych substancyach; wreszcie stan ściśle naukowy czyli pozytywny umysłu, w którym badanie zjawisk przyrody i ich wzajemnego do siebie stosunku, stanowi jedyną podstawę ogólnego na świat poglądu. Takie badanie zaś zjawisk przyrody i ich stosunków, stanowi przedmiot nauk specyalnych: *matematyki, astronomii, fizyki, chemii, biologii i socyologii* czyli *fizyki społecznéj*. Za obrębem tych nauk i ich badań, prowadzonych w duchu przyrodniczym, nie ma według Comte'a wiedzy pozytywnéj; więc i filozofia niezależnie od powyższych nauk nie posiada samodzielnego naukowego znaczenia. Nabiera ona pewnéj naukowéj doniosłości tylko wtedy, gdy swoje zadanie upatruje w systematycznem zestawieniu wyników nauk pozytywnych, t. j. gdy się oddaje w zupełności na ich usługi.

Te same w zasadzie poglądy rozwija najznakomitszy współczesny myśliciel angielski Herbert Spencer. W swem dziele: *Pierwsze Zasady* [2]), Spencer dowodzi, że pomiędzy specyalnemi naukami i filozofią, istnieje tylko różnica ze względu na stopień uogólnienia pewnych faktycznych wiadomości. Nauki specyalne wywodzą z empirycznych danych *prawa szczegółowe* zjawisk; filozofia zaś wyprowadza daléj z tych *praw* szczegółowych *prawa powszechne* zjawisk. Ponieważ je-

[1]) **Augusts Comte,** *Cours de philosophie positive*, 6 tomów. 1830—1842. 4-te wyd. 1877.

[2]) **H. Spencer,** *First principles:* 1862. 4-te wyd. 1880. Zob. szczególniéj § 36—38. Przekład polski J. K. Potockiego. 1888.

dnak podstawą całéj téj piramidy uogólnień, są badania nauk specyalnych, przeto naturalnie, filozofia po za temi badaniami nie posiada samodzielnego znaczenia. Ogranicza ją raz na zawsze sfera bytu *niepoznawalnego*, niedostępnego dla doświadczenia. Z tego wynika, że i najwyższe uogólnienia filozofii mają w oczach Spencera charakter przyrodniczy. Stałość (persistence) siły, jest dla niego prawdą najwyższą, zdolną jedynie objaśnić wzajemny do siebie stosunek zjawisk oraz procesy ich połączenia i rozłączenia, czyli integracyi i disintegracyi. Zasadnicze pojęcia i poglądy przyrodoznawstwa Spencer przenosi tedy bezpośrednio do filozofii i po za obrębem przyrodniczego sposobu myślenia, nie uznaje żadnych samodzielnych poszukiwań filozoficznych. Filozofia stała się dla niego poprostu tylko częścią ogólną przyrodoznawstwa.

Z innego punktu wyjścia niż Comte i Spencer dochodzi jednak do tego samego wyniku o zależności filozofii od nauk specyalnych, a w szczególności od przyrodoznawstwa znany autor *Historyi i krytyki materyalizmu* F. K. Lange, głowa tak zwanego nowo-kantyanizmu, cieszącego się dość szerokiém uznaniem u współczesnych myślicieli w Niemczech i Francyi. Według Langego [1]) najistotniejsza część dotychczasowéj filozofi, t. j. metafizyka, obejmująca ogólny pogląd na świat, jest wytworem *fantazyi, wyobraźni, estetycznych i architektonicznych*, w ogóle *syntetycznych* dążności umysłu, nie mających nic wspólnego z nauką w ścisłem znaczeniu tego słowa. Ta ostatnia zajmuje się objaśnieniem zjawisk świata ze stanowiska *mechanicznego* przyrodoznawstwa i nie uznaje prawdy takich pojęć, które pochodzą z innych sfer umysłowéj działalności. Owa poezya metafizyczna (metaphysische Dichtung, Begriffsdichtung), stwarzająca świat idealny (Idealwelt), posiada wprawdzie według Langego, pewne znaczenie dla *moralnego* rozwoju człowieka. Jest ona pożądaném uzupełnieniem ograniczoności i braków naukowego poznania rzeczy, niezdolnego zaspokoić wszechstronnych potrzeb umysłu. Ale téj twórczéj spekulacyi, objawiającéj się w systematach filozoficznych, nie należy, według Langego, pomieszać z nauką, z prawdziwém poznaniem rzeczy, opartem na badaniach nauk specyalnych. Tylko pod jednym względem przypuszcza Lange łączność filozofii z nauką. Ale jest to wzgląd, nadający filozofii znaczenie czysto negacyjne, gdyż polega na tem, że filozofia, jako krytyka umysłu, wykazuje braki ludzkiego pozna-

[1]) **F. Al. Lange**, *Geschichte des Materialismus u. Kritik seiner Bedeutung in der Gegenwart* 1866. 4-te wyd. 1882. Zob. szczególniéj drugi i czwarty rozdział II-go T. oraz jego *Neue Beiträge zur Geschichte des Materialismus*. 1867. Przekład polski T. I-go A. Świętochowskiego, T. II-go F. Jezierskiego.

nia, niemożność wytworzenia prawdziwych pojęć o istocie rzeczy, a zatem i brak wszelkiéj naukowości w poglądach metafizycznych. Tą krytyką umysłu filozofia przygotowywa pole dla badań nauk specyalnych. Tak tedy i tutaj w gruncie rzeczy napotykamy teoryą, że w zakresie badań naukowych filozofia nie ma samodzielnego pozytywnego znaczenia, lecz jest służebnicą nauk specyalnych, w szczególności przyrodoznawstwa.

Ciekawe uzupełnienie, albo raczéj zespolenie zaznaczonych poglądów Comte'a i Langego napotykamy u Ribota, znakomitego psychologa, redaktora *Revue philosophique*. We wstępie do dzieła, poświęconego psychologii angielskiéj, Ribot przyłącza się w zupełności do teoryi Langego o twórczości metafizycznéj [1]). I on dowodzi, że metafizyka jest tylko poezyą, według jednych nudną i źle pisaną, według innych natomiast wzniosłą, wszechwładną, prawdziwie boską (poésie ennuyeuse et mal écrite pour les uns, élevée, puissante, vraiment divine pour les autres). Sam Ribot broni téj poezyi metafizycznéj przeciwko pozytywizmowi, widzącemu w niéj tylko bawidełka dziecinne (des jeux d'enfance). Ma ona, według niego, zadanie wcale poważne i wzniosłe: odtworzyć w umyśle syntezę świata (reconstituer la synthèse du monde). Doniosłość badań, mówi Ribot, nie mierzy się ich powodzeniem. Prawdziwe szlachectwo ducha ludzkiego polega nie tyle na wynikach, ile na celu jego dążności. Doświadczenie jest rzeczą bardzo ważną, ale ono nie jest wszystkiem. Któż zresztą rozstrzygnie, co więcéj warte: fakta czy idee, odkrycia czy badania? Zajmując się przedmiotami *niewiadomemi*, filozofia utrzymuje ciągle czujność umysłu ludzkiego, podnosi go ponad ciasny dogmatyzm i wykazuje mu owe wyższe tajemnicze czynniki, które każdą naukę otaczają i niepokoją, — i przez to oddaje nauce usługi prawdziwe. Ale pomimo to filozofia nie jest nauką. Przechodząc od Langego do Comte'a, Ribot nie uznaje nawet samodzielnego naukowego charakteru filozofii jako krytyki umysłu, doprowadzającéj do owego ujemnego wyniku, że metafizyka nauką nie jest, że na miano to zasługują wyłącznie nauki specyalne, badające same tylko *zjawiska*. Ztąd to w oczach Ribota poezyą jest nie tylko metafizyka, lecz filozofia

[1]) **Th. Ribot**, *La psychologie anglaise contemporaine (école experimentale)*. 1870. 2-gie wyd. 1875. Zob. szczególniéj str. 15 i nast. 3-go wyd. 1886. Zaznaczamy tutaj, że to dzieło „przełożył z francuskiego i opracował" *Julian Ochorowicz*, 1877 r., ale niestety w tem „opracowaniu" zatarte zostały zupełnie charakterystyczne poglądy autora na istotę i znaczenie twórczości metafizycznéj. Tendencyjne przerobienie Ribota według upodobań ówczesnego pozytywizmu warszawskiego, wykazuje też zmiana tytułu, który w przekładzie polskim brzmi: *Współczesna psychologia pozytywna w Anglii*. W tytule oryginału o *pozytywizmie* nie ma wzmianki.

w ogóle, która z czasem stanie się wyłącznie metafizyką, gdyż po za obrębem owych podniosłych syntetycznych dążeń, wkraczających w zakres twórczości poetyckiéj, nie posiada żadnego konkretnego przedmiotu badania. Nauki specyalne ogołociły filozofią doszczętnie ze wszystkiego, co jest dostępnem dla umysłu ludzkiego przy pomocy ścisłych metod doświadczenia. O *naukowém* tedy poznaniu rzeczy w obrębie filozofii mowy być nie może.

Nauczającą pod niejednym względem próbę rozwinięcia filozofii z powyższego, że tak powiem, artystycznego stanowiska, zawiera w sobie dzieło J. Rülfa *O myśli świata i o świecie myśli* [1]). Według zdania tego autora filozofia jest głównie *sztuką*, a mianowicie sztuką powtórnego pomyślenia wielkiéj myśli świata (die Kunst, den grossen Weltgedanken noch einmal zu denken). Zadanie jéj polega na przedstawieniu *ideału wszechświata* (das Ideal des Weltalls). Ale ponieważ autor przyznaje, że zadanie to może być rozwiązaném tylko przy udziale samodzielnych badań naukowych ze strony filozofii, przeto nie można go zaliczyć do typowych przedstawicieli owéj teoryi o braku naukowych podstaw filozofii i o jéj bezwzględnéj zależności od nauk specyalnych.

Natomiast do najbardziéj konsekwentnych obrońców powyższéj teoryi, należy A. Riehl, zwolennik tak zwanéj „naukowéj“ filozofii. W ostatniéj części swego dzieła: *O filozoficznym krytycyzmie i jego znaczeniu dla nauki pozytywnéj* [2]) Riehl redukuje, podobnie jak Lange, całą „naukową“ filozofią do negacyjnéj krytyki umysłu. Przy tem ścieśnia jeszcze bardziéj zakres i téj krytyki, dowodząc, że ma ona za wyłączny przedmiot rozbiór pojęć ograniczających *doświadczenie* (die Grenzbegriffe der Erfahrung). Wykazanie ujemnéj wartości tych pojęć, oto całe jéj zadanie; wszelka zaś wiedza pozytywna opiera się na doświadczeniu i wpada w zakres nauk specyalnych. Psychologia, estetyka, etyka i t. d., nie są już dzisiaj naukami filozoficznemi, lecz są naukami specyalnemi, opierającemi się na szczegółowych badaniach empirycznych. Nadto Riehl potępia najsurowiéj ową poezyę myśli, któréj bronili jeszcze gorąco Lange i Ribot. Urojone systematy metafizyczne (Systemdichtungen) greckich filozofów, scholastyków, niemieckich idealistów nowszéj doby i wielu innych niby głębokich myślicieli, nie są, według Riehla, ani poezyą, ani nau-

[1]) **Rülf**, *Wissenschaft des Weltgedankens u. der Gedankenwelt* 1888.

[2]) **A. Riehl**, *Der philosophische Kriticismus u. seine Bedeutung für die positive Wissenschaft.* II Bd. 2-e Th.: *Zur Wissenschaftstheorie u Metaphysik.* 1888. Zob. szczególniéj str. 87 i nast. Tu należy i jego mowa: *Ueber wissenschaftliche und nicht wissenschaftliche Philosophie.* 1883.

ką, lecz niesmacznem i nawet szkodliwem zespoleniem tych zasadniczo różnych objawów życia umysłowego. Krytyka, mówi Riehl, powinna zedrzeć z tych systematów ów blichtr, który wywołuje pewne wrażenie estetyczne, i wykazać całą niestosowność tworzenia poglądów na świat, pozbawionych podstaw ściśle naukowych. Filozofia własnemi środkami do takich poglądów doprowadzić nie może, więc się też zrzec winna raz na zawsze wszelkich dążeń w tym kierunku.

Takie są teoretyczne zasady wybitnych rzeczników, powszechnego prawie dziś przekonania o monopolu naukowym nauk specyalnych, a mianowicie przyrodoznawstwa i o braku samodzielnych, naukowych podstaw filozofii. Wszystkie te teorye dają się sprowadzić do charakterystycznego zdania, wygłoszonego jeszcze w r. 1866 przez znanego przyrodnika E. Häckel'a, który mówi: „Wszelkie prawdziwe przyrodoznawstwo jest filozofią, a wszelka prawdziwa filozofia, jest przyrodoznawstwem“ [7]).

Główną przyczyną takiego panowania nauk specyalnych nad innemi gałęziami wiedzy, a szczególniéj nad filozofią, w świadomości naszego czasu, są niewątpliwie olśniewające postępy w zastosowaniu wyników przyrodoznawstwa do życia praktycznego. Pod wpływem całego szeregu wspaniałych odkryć i wynalazków, pozostających w ścisłym związku z temi badaniami, zmieniły się zasadniczo stosunki ludzkie, przybrała kultura nowoczesna zupełnie odmienny charakter. Dość wspomnieć o przewrotach, dokonanych przez zastosowanie pary i elektryczności do środków lokomocyi, do przemysłu i handlu, do rozpowszechnienia wiadomości z najodleglejszych krańców świata. Koleje i statki parowe zmniejszyły niemal do dziesiątéj części przestrzeń, rozdzielającą ludzi; telegraf i telefon zniosły ją zupełnie. Maszyny parowe i motory elektryczne dokonywają robót przekraczających siłą i pomysłowością najfantastyczniejsze podania ludów o dziełach półbogów i olbrzymów.

Wobec takich cudów, o których się nie śniło nawet filozofom, nie można się dziwić, że przyrodoznawstwo ze swemi specyalnemi badaniami zajęło stanowisko pierwszorzędne w kulturze umysłowéj naszych czasów, że mianowicie w oczach tłumu nawpół wykształconego, uginającego się zawsze przed cielcem powodzenia, stało się ono jedyną nauką, zasługującą bardziéj na uwagę, niż najgłębsze poszukiwania wszystkich filozofów razem wziętych, począwszy od Sokratesa, Platona i Arystotelesa, a kończąc na Kancie, Heglu i Herbarcie. Po co, mówiono i u nas, zawracać ludziom głowy dziełami takich pisa-

[7]) **E. Häckel**, *Generelle Morphologie der Organismen* 1866, T. I, str. 67 i T. 2, str. 447.

rzów, skoro ich poglądy nie mają nic wspólnego z bezpośredniemi potrzebami naszego czasu; skoro pierwszy lepszy elementarny podręcznik fizyki zawiera w sobie więcéj prawdy, aniżeli całe foliały tych przestarzałych marzycieli?

Nie mamy obecnie zamiaru zastanawiać się nad praktyczną doniosłością nauk specyalnych, ani porównywać ze sobą wpływu przyrodoznawstwa i filozofii na kulturę umysłową ludzkości. Podobnież nie zamierzamy obecnie poddawać szczegółowemu rozbiorowi poglądu nowokantyanizmu na negacyjny charakter krytyki umysłu i na twórczość metafizyczną. To wszystko są kwestye, wymagające osobnych poszukiwań. Wobec atoli zaznaczonego powyżéj bezwzględnego zaufania powszechności do nauk specyalnych i powtarzanego tak często przekonania, że filozofia nie ma samodzielnéj naukowéj doniosłości, lecz zależy zupełnie od nauk specyalnych, — pragnęlibyśmy w téj chwili rozpatrzeć jedynie pytanie: czy w istocie nauki specyalne bez udziału filozofii, zdolne są wyjaśnić należycie zasadnicze kwestye wiedzy ludzkiéj? czy filozofia nie ma pewnych samodzielnych zadań, a mianowicie zadań krytycznych, których rozwiązanie wpływa na charakter, a po części nawet i na treść nauk specyalnych?

Ponieważ zaś typowym przedstawicielem teoryi o bezwzględnéj zależności filozofii od nauk specyalnych jest Comte, więc chodzi nam o rozjaśnienie stosunku jego pozytywizmu do zadań krytycznych filozofii. W tym celu zastanowimy się najprzód nad ogólnym stosunkiem Comte'a do Kanta, jako ojca krytycyzmu filozoficznego, a następnie rozpatrzymy poglądy pozytywizmu na logikę i metafizykę, jako nauk, reprezentujących samodzielne zadania krytyczne filozofii.

II.

Comte i Kant.

Zasadniczym aksyomatem pozytywizmu jest zdanie, że *istota* świata jest niedostępną dla umysłu ludzkiego, że przedmiotem wiedzy naukowéj mogą być tylko *zjawiska*. Zdanie to Comte'a pozostaje w ścisłym związku z wynikami *krytyki czystego rozumu* Kanta, ogłoszonéj na pół wieku przed *kursem filozofii pozytywnéj*. Różnica między Comt'em i Kantem w tym względzie polega tylko na tem, że pierwszy przyjmuje to zdanie za prawdę bezpośrednio, bez poprzedniego rozbioru jego podstaw, podczas gdy u Kanta zdanie to jest wynikiem nader subtelnéj krytyki, wynikiem rozbioru zasadniczych czynników, wchodzących w skład działalności poznawczéj umysłu ludzkiego. To znaczy, Comte, przyjmując owo zdanie za aksyomat pozytywizmu, jest *dogmatykiem*, Kant zaś z zasady jest *krytykiem*.

Comte mógł był do pewnego stopnia złagodzić swój dogmatyzm, gdyby się był powołał na krytykę Kanta. Prawda, że wyrzekłby się wtedy pod pewnym względem swéj samodzielności, iż przyznałby, że jest w zasadzie Kantyaninem. Za to nie opierałby swego pozytywizmu na ulotnym piasku bezpośrednich dogmatycznych wierzeń, lecz miałby pewien fundament pod nogami, zapożyczony wprawdzie od innego myśliciela, ale zdolny w każdym razie wesprzeć poważną pracę myśli, wynoszącą się po nad poziom trywialnych rozumowań. Tymczasem Comte nie tylko że się na Kanta nie powołał, lecz oświadczył otwarcie, że Kanta nie czytał w żadnym języku i że zna jego dzieła tylko z kilku sprawozdań pośrednich i z wyjątków bardzo niedostatecznych (d'après quelques relations indirectes et certains extraits fort insuffisants). Do tegoż samego przyznaje się Comte i odnośnie do innych filozofów, jak np. Vico, Herder, Hegel [1]).

Okoliczność ta, nie ocalając bynajmniéj samodzielności Comte'a co do owego aksyomatu, wyświetla jeszcze bardziéj brak krytycznych podstaw pozytywizmu i potwierdza w zupełności jego charakter czysto dogmatyczny.

Zdanie, że rzecz sama w sobie (das Ding an sich) nie jest dostępną dla naszego umysłu, że świat zewnętrzny jest *dla nas* tylko *światem zjawisk*, charakteryzuje do tego stopnia Kanta, że nie można przypuszczać, aby Comte o tem zdaniu nie zasłyszał z najpowierzchowniejszych nawet relacyj o filozofii mędrca królewieckiego. Więc Comte nie miał wcale sposobności do samodzielnego odkrycia powtórnie zdania, wygłoszonego raz już przez Kanta. Aksyomat pozytywizmu jest tedy i pozostaje zdaniem, zapożyczonem przez Comte'a tą lub ową drogą od Kanta.

Z drugiéj strony, powyższa spowiedź Comte'a dowodzi, że przeniesienie *wyniku* krytyki Kanta do filozofii pozytywnéj, było dziełem wcale nienaukowéj powierzchowności. Bo czyż można nazwać *naukowem* zaczerpanie zasady nowéj filozofii z tak mętnych źródeł, jak te, o których mówi sam Comte? Czyż ścisłość naukowa nie wymagała od twórcy pozytywizmu, aby się zaznajomił dokładniéj z Kantem, aby zdał sobie sprawę z istotnego znaczenia i charakteru owego zdania kantowskiego przyjętego za aksyomat pozytywizmu? Comte tego nie uczynił, bo nie był umysłem krytycznym, lecz na wskróś *dogmatycznym*, wygłaszającym wyroczniowo swe zdania bez poprzedniego ich rozbioru.

Zresztą też brak naukowéj ścisłości i krytyki, właściwym był

---

[1]) Zob. *Preface personnelle* do VI-go tomu powołanego dzieła.

Comte'owi nie tylko w kwestyach filozoficznych, lecz nawet i na polu przyrodoznawstwa, które stanowiło równie ważny punkt wyjścia dla jego pozytywizmu, jak i zaznaczone zdanie Kanta. Nie będąc przyrodnikiem, nie odważyłbym się nigdy z własnéj inicyatywy wygłosić takiego zarzutu względem ojca teoryi o zależności filozofii od nauk specyalnych. Powołuję się jednak na tak znakomitego przyrodnika, jakim jest Huxley, który o przyrodoznawstwie Comte'a, wypowiada sąd następujący: [1]) „Zaznajomiwszy się z rysami charakterystycznemi *filozofii pozytywnéj* (Comte'a), mówi Huxley, znalazłem w niéj bardzo mało, albo raczéj nic nie znalazłem takiego, coby miało znaczenie naukowe; przeciwnie, znalazłem bardzo wiele sprzeciwiającego się nauce“.... „Ta część dzieł Comte'a, która dotycze filozofii przyrody, ma szczególniéj mało znaczenia i jak mnie się zdaje, dowodzi, że autor posiada tylko najpowierzchowniejsze wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych, zaczerpane z drugiéj ręki". Ten poważny zarzut wypowiada Huxley, biorąc pod uwagę współczesny Comte'owi stan przyrodoznawstwa i stwierdza nadto zdanie swoje faktycznemi dowodami. Obrońcy Comte'a może powiedzą, że on nie był przyrodnikiem z powołania, lecz matematykiem. Ale niestety i matematycy nie mają o nim lepszego wyobrażenia. Schmitz-Dumont autor *Filozofii nauk matematycznych*, mówi, że Comte w swojéj specyalności nie przedstawił ani jednego nowego poglądu lub bardziéj odpowiedniego sposobu wyłożenia znanych prawd; że spisy zwykłych podręczników zawierają w sobie to wszystko, w lepszym wykładzie, o czem on traktuje w całych tomach, poświęconych naukom ścisłym, a wchodzących w skład jego *Kursu filozofii pozytywnéj* [2]).

Przytaczamy te szczegóły wyłącznie w tym celu, aby zaznaczyć, że pozytywizm, pomimo wszelkich deklamacyj o nauce, pomimo chęci zmonopolizowania nauki na swój wyłączny użytek, już w pierwszych swych zawiązkach nie odpowiadał bynajmniéj wymaganiom naukowéj ścisłości i krytyki. Bo też w saméj rzeczy, jak można było *naukowo* określić granice ludzkiego poznania, dowodzić, że prócz zjawisk nic poznać nie możemy, bez poprzedniego rozpatrzenia dwóch kwestyj zasadniczych, któremi właśnie Kant się zajmował: 1) co to znaczy poznawać rzeczy, i jakie środki poznania umysł nasz posiada? i 2) co to jest *zjawisko*, jako przedmiot i do tego jedyny naszego poznania

---

[1]) **Th. Huxley**, *Lay sermons*, Wyd. 2-gie, 1871. Rozdział VIII: *Poglądy naukowe pozytywizmu*.

[2]) **O. Schmitz-Dumont**, *Die mathematischen Elemente der Erkenntnisstheorie. Grundriss einer Philosophie der mathem. Wissenschaften.* 1878, str. 450.

w różnicy od tak zwanéj *istoty* rzeczy? Dopiero *krytyczne* rozpatrzenie tych kwestyj, mogło doprowadzić do ścisłego wyjaśnienia pojęć, wchodzących w skład powołanéj zasady pozytywizmu i naukowem udowodnieniem jéj prawdy, zastąpić ślepą wiarę w jéj treść, wcale bliżéj nieokreślaną.

Rozbiór powyższych dwóch kwestyj stanowi od dawna przedmiot dwóch nauk filozoficznych, znanych pod nazwą *logiki* czyli *teoryi* albo *krytyki poznania* i *metafizyki* czyli nauki o ogólnych zasadach istnienia, bytu, realnéj przedmiotowości. Comte obie te nauki wyłączył ze swéj klasyfikacyi nauk pozytywnych, obejmującéj tylko wzmiankowane na wstępie sześć nauk. Logikę w téj klasyfikacyi zastąpił przez matematykę, dowodząc, że logika jako nauka po za bezpośrednią praktyką naukową, jest nie tylko zbyteczną, ale poprostu niemożliwą i że obok matematyki, świadectwo zmysłów jest zupełnie wystarczającem dla badań na polu przyrodniczem. Metafizykę zaś jako opartą na pojęciach ogólnych, miał za przezwyciężoną i usuniętą raz na zawsze przez badania pozytywne nauk specyalnych. Ztąd to właśnie filozofią wykluczył zupełnie po za nawias nauki.

Nie trudno spostrzedz, że taki pogląd jak na filozofią w ogóle, tak i w szczególności na logikę i metafizykę, mógł powstać w umyśle Comte'a tylko w skutek braku znajomości Kanta i że właśnie ten brak odbił się jak najniekorzystniéj na całéj „naukowości“ pozytywizmu.

Wiadomo, że filozofia pierwotnie, jak już pokazuje jéj znaczenie dosłowne, miłość mądrości, obejmowała w sobie wszelką wiedzę ludzką, była zatem nauką w ogólności. W miarę atoli rozszerzenia się zakresu wiedzy, uczuto potrzebę zastosowania zasady podziału pracy i do badań naukowych, a w skutek tego, jedna pierwotna nauka rozrosła się na pewną liczbę konarów, które w następstwie wydały z siebie znowu wielką liczbę gałęzi i gałązek wiedzy ludzkiéj, Pomimo tego rozrostu, drzewo wiedzy pozostało w istocie swéj jedném; pozostał wspólny pień, jednoczący w sobie wszystkie konary, gałęzie i gałązki. Tym pniem jest filozofia. Przestała ona być jedyną, wyłączną nauką, nauką w ogólności, ale jako pień wiedzy, jest zawsze jeszcze osobną nauką, mającą za przedmiot te powszechne czynniki wiedzy ludzkiéj, których żadna z nauk specyalnych nie bada, gdyż każda z nich zajmuje się swoim odrębnym przedmiotem, swoją treścią szczegółową.

Do tych powszechnych czynników wiedzy ludzkiéj, wchodzących w skład każdéj z nauk specyalnych, lecz nie badanych przez żadną z nich, należą: 1) czynniki umysłowe czyli podmiotowe (subjektywne) wiedzy, t. j. czynniki, wypływające z natury umysłu ludzkiego, jako

podmiotu wszelkich procesów poznawczych, i 2) czynniki bytowe czyli przedmiotowe (objektywne), t. j. czynniki, właściwe bytowi realnemu, jako przedmiotowi wiedzy.

I tą drogą dochodzimy tedy do logiki i metafizyki, jako samodzielnych nauk filozoficznych, rozpatrujących zasady poznania i istnienia, myśli i bytu. A że nadto wszelkie przedmioty szczegółowe przedstawiają się nam w odrębnem świetle, jeżeli na nie patrzymy z punktu widzenia owych powszechnych podmiotowych i przedmiotowych czynników wiedzy, i mogą być należycie objaśnione i zrozumiane tylko z tego punktu widzenia, — przeto w zakres filozofii wpada i wytworzenie poglądu na przedmioty szczegółowe z punktu widzenia owych powszechnych czynników wiedzy. Będzie to filozofia szczegółowa, w różnicy od zasadniczéj.

Po téj krótkiéj wycieczce wracamy do Comte'a i Kanta. Rugując logikę i metafizykę z systematu nauk, Comte wyprowadził pojedyńcze konary wiedzy nie z ich naturalnego pnia, z którego wyrosły, lecz odłamawszy je samowolnie od tego pnia, sądził, że się przyczyni do ich dalszego rozwoju, wsadzając je wprost w nieuprawiony grunt życia umysłowego, obejmujący w chaotycznem pomięszaniu nieprzebrane zasoby bezpośrednich doświadczeń, przypuszczeń i wierzeń.

Prawda, drzewo wiedzy potrzebuje tego gruntu życiowego; ale nauki specyalne na nim wprost rozwinąć się nie mogą, i nie rozwinęły się też na nim historycznie. Dopiero gdy filozofia zapuszcza swe korzenie w grunt życia umysłowego i z niego na podstawie subtelnych procesów rozbioru i asymilacyi dobywa czynniki, nadające się się do wytworzenia organizmu wiedzy naukowéj, a resztę od siebie oddala; dopiero gdy dzięki téj pracy analitycznéj i syntetycznéj filozofii z owego gruntu wyrasta pewien stały pień, obejmujący w sobie, niby komórki i włókna, szereg związanych ze sobą pojęć o nauce w ogóle, o jéj zadaniach i środkach, o świecie, jako przedmiocie wiedzy ludzkiéj i cechach jego głównych zjawisk, — dopiero wtedy z tego wspólnego pnia wytwarzają się organicznie różne formacye umysłowe, mające charakter ściśle ugruntowanych nauk specyalnych. Że tak było dotąd zawsze, o tem świadczy historya rozwoju umysłowego człowieka, a w szczególności historya filozofii w związku z historyą nauk specyalnych. Że zaś tego naturalnego podziału pracy naukowéj pomiędzy filozofią i naukami specyalnemi nie usunął Comte i nie zdoła usunąć żaden ze zwolenników pozytywizmu, — o tem przekonamy się niebawem bez trudności.

Każdy badacz na polu nauk specyalnych, przystępuje do swych badań z całym zasobem gotowych, mniéj lub więcéj jasno rozumianych pojęć, dotyczących obydwóch zaznaczonych powyżéj dziedzin

wiedzy, t. j. logiki i metafizyki. Przecież nie można być człowiekiem *naukowym*, nie mając jakiego takiego pojęcia o tem, co to jest nauka, jakie jéj zadania, cele i środki, jakiemi drogami dochodzi do rozwiązania swych zadań, do urzeczywistnienia swych celów, czem się różni prawda naukowa od przesądu, uprawniona hipoteza od dowolnych przypuszczeń i t. d., i t. d.

Podobnież każdy badacz naukowy posiłkuje się całemi szeregami pojęć, mających za przedmiot istnienie, byt, realną przedmiotowość, t. j. pojęć metafizycznych. Przy tem, pojęcia te co do swéj treści, nie zawierają w sobie tylko owego zwyczajnego poglądu na swiat, jaki się drogą naturalnego rozwoju wytwarza w umyśle każdego człowieka, t. j. poglądu tak zwanego zdrowego rozsądku, lecz nadto każdy uczony posiada szereg specyalnych pojęć metafizycznych, stanowiących ogólną, zasadniczą podstawę jego poglądu na szczegółowy przedmiot jego badań. Tak np. przyrodnik, badając zjawiska ciepła, światła, dźwięku, i t. p., posiłkuje się mimowoli i bezpośrednio pewnemi pojęciami o właściwościach zjawisk fizycznych, o przyrodzie w ogóle jako zespoleniu tych zjawisk w jedną całość według pewnych stałych praw, od których nie może być żadnego odstępstwa. Przyrodnik opiera się tedy na gotowem pojęciu o naturze zjawisk fizycznych, o materyi, atomach, siłach, i t. p. Nadto wyklucza działanie nadprzyrodzonych sił na przyrodę, nie wierzy w cuda, a jeżeli dla jakich ubocznych powodów nie zaprzecza w zasadzie takiemu nadprzyrodzonemu wpływowi na zjawiska przyrody, to w każdym razie nie przyjmuje go w rachubę przy swoich badaniach.

Jeszcze większy zakres pojęć metafizycznych potrzebny jest przyrodnikowi gdy bada skomplikowane objawy życia. Czy ma je rozpatrywać wyłącznie jako wyniki prostych sił fizycznych, czy też ma w nich poszukiwać działania odrębnéj siły życiowéj? Czy powinien i na tém polu pozostać wiernym mechanicznemu poglądowi na związek zjawisk przyrody, czy téż ma prawo lub nawet obowiązek stosować do tych objawów pojęcie celowości i starać się o odkrywanie *celów* przyrody? To wszystko są kwestye wysokiéj *naukowéj* doniosłości, których bez tamowania postępu nauki nie można rozstrzygać na podstawie przypadkowo panujących przypuszczeń; przeciwnie, wymagają one osobnych krytycznych poszukiwań, ściśle związanych z rozbiorem ogólnych podstaw wiedzy ludzkiéj. Krytyka rozumu, podjęta przez Kanta, miała właśnie za zadanie taki rozbiór ostatecznych zasad wiedzy, a zatem i owych kierowniczych pojęć, wpływających bezpośrednio na charakter i cele badań specyalnych.

Zkąd czerpią specyaliści zaznaczone powyżéj, logiczne i metafizyczne dane, niezbędne dla ich badań szczegółowych? Oni sami tych danych nie rozpatrują, bo wszystkie te ogólne pojęcia o nauce i świecie przedmiotowym, leżą po za obrębem ich specyalnych poszukiwań.

Specyalista przystępuje zazwyczaj wprost do swych badań, kontentując się co do owych zasadniczych danych tym zasobem mniéj lub więcéj jasnych pojęć, jaki zawdzięcza swemu wykształceniu i w ogóle tradycyi naukowéj. Wyznaje to z całą otwartością taki badacz pozytywny jak Ribot we wspomnianym powyżéj wstępie do dzieła o *Psychologii angielskiéj*. Nauki matematyczne, mówi on, przyjmują pewniki bez ich rozbioru (acceptent les axiomes sans les discuter); fizyk posiłkuje się wiarą zmysłu powszechnego w świat materyalny i w świadectwo zmysłów (il accepte la foi du sens commun au monde matériel et aux sens); ekonomia polityczna przypuszcza zasady filozoficzne, ale ich nie rozpatruje (quoique elle suppose des principes philosophiques, elle ne les discute pas). Toż samo ma miejsce i w zakresie innych nauk specyalnych. One wszystkie posiłkują się rozlicznemi przypuszczeniami, zasadami przygotowawczemi, ogólnemi nawet poglądami na naukę i świat, bez ich rozbioru, a zatem w duchu zupełnie dogmatycznym, dzięki panującym w danéj sferze umysłowéj pojęciom. Jeżeli zaś ten lub ów ze specyalistów zajmuje się rozbiorem swych zasad naukowego poznania rzeczy, metody, oraz swych pojęć o świecie jako całości, do któréj należy badany przez niego przedmiot szczegółowy, — natenczas przechodzi już z pola swéj specyalności na pole odrębnych badań, noszących od wieków miano filozofii.

Nie wynika z powyższego bynajmniéj aby badania nauk specyalnych były zbytecznemi dla rozjaśnienia pojęć filozoficznych, wchodzących w skład tych nauk. Przeciwnie, najenergiczniejsi obrońcy naukowéj samodzielności nie myślą zaprzeczać temu, że należyte uwzględnienie wyników nauk specyalnych jest koniecznym warunkiem, *conditio sine qua non* wszelkiego krytycznego rozbioru ogólnych zasad nauki i jéj przedmiotu t. j. świata. Kant sam pojmował dobrze całą doniosłość nauk specyalnych, szczególniéj doświadczalnych dla poznania świata. To też nie można zaprzeczyć, że największą i prawdziwie doniosłą zasługą Comte'a jest to, że wykazał wszechstronnie i zasadniczo znaczenie nauk specyalnych dla filozofii i że przez to przyczynił się do jéj wyswobodzenia z objęć oderwanych rozumowań, pozbawionych organicznego związku z faktycznemi danemi wiedzy ludzkiéj.

Ale nie o to nam obecnie chodzi, lecz o to, że badania nauk specyalnych same przez się nie są wystarczającemi dla ścisłego wyjaśnienia zasadniczych podstaw wiedzy; że do tego potrzeba nadto osobnych poszukiwań, mających za przedmiot krytyczny rozbiór zarówno nauki, w ogóle poznawczych procesów umysłu, jako też zasadniczych pojęć o świecie, będących wynikami tych procesów poznawczych. A to są właśnie zadania filozofii, jako samodzielnéj nauki

w różnicy od innych nauk. Nauki zaś specyalne przestają być wytworami dogmatyzmu, t. j. ślepéj wiary w pewne panujące poglądy, i przyjmują charakter ściśle krytyczny tylko o tyle, o ile ogólne logiczne i metafizyczne, podmiotowe i przedmiotowe zasady, będące podstawą ich badań szczegółowych, poddane zostały poprzedniemu rozbiorowi ze stanowiska filozoficznego krytyczmu.

O tych właśnie zadaniach filozofii, wyłożonych wszechstronnie przez Kanta, Comte nie miał najmniejszego pojęcia z powodu dogmatycznego nastroju umysłu i zupełnego braku wykształcenia filozoficznego. Dla tego też pozytywizm znalazł zwolenników głównie wśród umysłowo spokrewnionych, znających filozofią, jak i Comte, nie na podstawie samodzielnego studyum dzieł pierwszorzędnych myślicieli świata, — czego przecież wymagać należy ze stanowiska *prawdziwie* naukowego sądu o filozofii,—lecz na podstawie powierzchownych sprawozdań, zapożyczonych z trzeciéj ręki. Nic tedy dziwnego, że Comte, na równi z większością pozytywistów, nie zrozumiał wcale przedmiotu i zadań logiki i metafizyki, jako nauk, mających za przedmiot rozbiór krytyczny z jednéj strony umysłu i jego funkcyj poznawczych, a z drugiéj pojęć naszych o świecie przedmiotowym i jego własnościach. Teorya o zbyteczności filozofii dla nauk specyalnych wypływa z takiego braku zrozumienia krytycznych zadań filozofii. Wykażemy to bardziéj szczegółowo, rozpatrując bliżéj poglądy Comte'a i w ogóle pozytywizmu na te dwie zasadnicze nauki filozofii.

II.

Pozytywizm i logika.

Już Mill, pomimo całéj sympatyi dla pozytywizmu i zgody na empiryczną zasadę doświadczenia, uskarża się poważnie na lekceważenie logiki przez Comte'a. W swem piśmie o pozytywizmie [1]), Mill zaznacza, że Comte nie był nawet zdolnym powziąść pojęcia logiki, jako nauki. On przyjął wprawdzie życzliwie pierwsze wydanie *Dedukcyjnéj i indukcyjnéj logiki* Milla, ogłoszone jeszcze w r. 1843, a więc na trzynaście lat przed śmiercią Comte'a; ale Mill nie sądzi, aby Comte z tego dzieła zaczerpnął dla siebie choćby jedną ideę, aby ono wywarło jakikolwiek wpływ na jego późniejsze poszukiwania. Przeciwnie, jak poprzednio tak i nadal dowodził Comte niemożliwości tra-

[1]) **John Stuart Mill**, *Auguste Comte and positivism*. 1865. Część I-sza. Str. 40 i nast.

ktowania logiki jako odrębnéj nauki po za bezpośredniem poznawaniem zjawisk.

Odnośnie do szczegółowych kwestyj logiki, Comte, według Milla, niezdaje sobie przedewszystkiem żadnéj sprawy z warunków prawidłowego rozumowania, z probierza dowodów. Nie uznaje sylogistyki Arystotelesa i jego następców za podstawę dedukcyi, ale nie zastępuje jéj innym doskonalszym poglądem zasady rozumowania. O prawach indukcyi nie posiada żadnego dokładnego pojęcia; nie wie wcale, że istnieją pewne dane na podstawie których można ściśle ocenić prawidłowość wszelkiego indukcyjnego uogólnienia. O znaczeniu hipotezy jako czynnika koniecznego przy objaśnieniu zjawisk, ma tylko mętne wyobrażenie. Jest on z zasady przeciwnikiem wszelkiéj hipotezy, która nie może być bezpośrednio w całym swym zakresie udowodnioną faktami; ale pomimo to ani razu nie zadaje sobie pytania w jakim stosunku znajdują się fakta do hipotez i jak te ostatnie udowodnić należy przy pomocy pierwszych. Nadto posiłkuje się sam hipotezami, nie dającemi się bezpośrednio wyprowadzić z faktów.

Równie nie jasne są według Milla poglądy Comte'a na tak ważne i zasadnicze dla badań naukowych pojęcie, jakiem jest pojęcie *przyczyny*. Comte ciągle wojuje przeciwko dążności do poznania przyczyn, ale w gruncie rzeczy wstrętnem mu jest tylko słowo *przyczyna*, bo łączy z niem pojęcie czynnika metafizycznego, wywołującego zjawiska, choć samo zjawiskiem nie jest. Tymczasem pojęcie przyczyny ma swoje znaczenie jasne i w zakresie samych tylko fenomenów. W szeregu zjawisk oznacza ono takie zjawiska, które stale się łączą z innemi zjawiskami, jako warunki ich pojawienia. Takiéj przyczynowości i Comte zaprzeczać nie myślał, ale nie określił jéj jasno i nie wyróżnił od przyczynowości metafizycznéj, nadfenomenalnéj, którą potępiał. Ztąd też pochodzi, że nie pojmuje wcale różnicy między prostą kolejnością, czyli następstwem (sequentio) zjawisk i ich związkiem przyczynowym, chociaż różnica ta jest bardzo jasną i oczywistą. Tak np. kolejne następstwo po sobie dnia i nocy nie przedstawia przyczynowego związku między dniem i nocą; przeciwnie, przyczyną téj kolejności jest obrót ziemi około swéj osi, wywołujący w stosunku do słońca ową zmianę dnia i nocy. Ponieważ zaś pojęcie związku przyczynowego zjawisk, jest zasadniczą podstawą indukcyi jako środka pomocniczego wszelkich poszukiwań w zakresie nauk specyalnych, przeto Comte, nie zdając sobie sprawy z istotnéj treści prawa przyczynowego, pozbawił się możności dojścia do jasnego poglądu na metodę badań naukowych w ogóle.

Nakoniec, ciasne pojęcie *doświadczenia*, jakiego się trzymał Comte, wykluczało z zakresu jego pozytywizmu cały szereg poszukiwań,

niezbędnych dla dokładnego zrozumienia świata zjawisk. Comte bowiem utrzymywał, że umysł może poznawać wszystko, prócz samego siebie (l'esprit peut connaître tout, *excepté lui même*), że wiedzę naukową, empiryczną możemy mieć tylko odnośnie do zjawisk świata zewnętrznego, działających na nasze zmysły. W skutek tego pewnika, mówi Mill, przez Comte'a zresztą wcale nie rozpatrywanego bliżéj, lekceważył on zupełnie wewnętrzną, czyli podmiotową obserwacyą zjawisk umysłowych, życia duchowego i nic zgoła nie zrobił dla naukowego wyświetlenia metody badań psychologicznych. Przeciwnie, przy zupełnym braku rozbioru, analizy objawów umysłowych, więc i pojęć, któremi się posiłkuje każdy badacz, najbardziéj empiryczny, Comte oparł swój pozytywizm na chwiejnych podstawach, pozbawionych charakteru ścisłéj naukowości.

Powtarzano bardzo często przez krzykliwych popularyzatorów pozytywizmu, że ten kierunek myśli ma przedewszystkiem wysoką *metodologiczną* doniosłość, że pozytywizm nie jest poglądem na świat, metafizyką, ale *metodą* naukowego badania świata. Widzimy z powyższego jaki brak właśnie wszelkiéj *metodologii* charakteryzuje pozytywizm w samym zawiązku, wskutek wyłączenia z systematu nauk *logiki*, jako samodzielnéj nauki. Przykład Comte'a powinien, jak się zdaje, raz na zawsze przekonać badaczów, najpozytywniejszych nawet, że *logiki* nie można lekceważyć bezkarnie, że najsubtelniejsze badania specyalne pozbawione są prawdziwie naukowego charakteru, jeśli nie mają za podstawę krytycznéj *teoryi poznania*. Nauki specyalne powinny zatém miéć ciągle na uwadze wyniki badań filozoficznych na tem polu i skorzystać z ich wskazówek w swoich własnych poszukiwaniach. Wykazuje to dowodnie, że filozofia, już ze względu na tę swoją naukę zasadniczą, nie może uchodzić za służebnicę (ancilla) nauk specyalnych, lecz zasługuje na to, aby ją nauki specyalne uznały za mistrzynią we wszystkiem, co dotyczy ogólnych poglądów na zadania i środki badań naukowych, na krytyczne podstawy prawdziwego poznania rzeczy i na metody, doprowadzające do takiego poznania. Filozofia chętnie się uczy od nauk specyalnych;—te surowo naganiają filozofią, gdy tego obowiązku nie spełnia należycie. Ale niechże z drugiéj strony i nauki specyalne nie zaprzeczają, że się mogą czegoś nauczyć od filozofii; co więcéj, że powinny się zaznajomić z jéj poszukiwaniami, aby z jasną świadomością urzeczywistnić mogły na swem polu wymagania krytycznéj naukowości.

Wielki brak naukowego krytycyzmu wykazuje pozytywizm swoją bezpośrednią wiarą w świadectwo zmysłów, bez rozbioru kwestyi, w jakim zakresie świadectwo to zasługuje na nasze zaufanie i o ile z niego skorzystać możemy dla prawdziwego objaśnienia zjawisk. Ten

sensualistyczny dogmatyzm razi tem bardziéj gdy weźmiemy pod uwagę zaznaczony powyżéj pogląd skeptyczny Comte'a na dane wewnętrznego umysłowego doświadczenia. Na jakiéj zasadzie świadectwo zmysłów może być uznawane za pewniejsze źródło poznania, niż doświadczenie wewnętrzne? Prawda, że wrażenia zmysłowe same przez się nie podlegają żadnéj wątpliwości i stanowią konieczny punkt wyjścia dla wszelkiego poglądu na świat. Ale wrażenia zwysłowe mają ten charakter bezpośredniéj oczywistości właśnie tylko dla tego, że są objawami wewnętrznego doświadczenia, że w nich doznajemy podmiotowo pewnych zmian umysłowych, psychicznych, co do których nie może dla nas istnieć żadna wątpliwość, ponieważ to są nasze własne stany, wchodzące bezpośrednio w skład naszéj świadomości. Że podlegam temu lub owemu wrażeniu świetlnemu, słuchowemu, dotykowemu i t. p., o tem żadną miarą wątpić nie mogę, bo to jest fakt mego życia wewnętrznego, podobnie jak wątpić o tem nie mogę, że czuję ból, smutek, radość, wstręt, tęsknotę i t. p., gdy podlegam tym stanom psychicznym, nazywanym uczuciami.

Gdyby pozytywizm ze swą wiarą w świadectwo zmysłów miał na oku wyłącznie te stany wewnętrzne umysłu, nasze wrażenia zmysłowe, — natenczas niceby przeciwko niemu nadmienić nie można było ze stanowiska krytycznego. Ale działalność naszych zmysłów ma to do siebie, że nie ogranicza się bynajmniéj samemi wrażeniami zmysłowemi, lecz łączy zawsze te wrażenia z pewnemi *wyobrażeniami*, mającemi na celu objaśnić, wytłomaczyć te wrażenia, oznaczyć ich przyczynę, wskazać przedmiot, rzecz, wywołujące w nas wrażenia zmysłowe. Patrząc na *słońce*, nie kontentuję się odbieranemi od niego podmiotowemi wrażeniami świetlnemi, lecz tworzę zarazem i *wyobrażenie* o słońcu, jako przedmiotowéj przyczynie, wywołującéj we mnie te wrażenia. Ztąd powstaje nasz pogląd na rzeczywiste zewnętrzne przedmioty i ich własności, oznaczane przy pomocy naszych wrażeń zmysłowych.

Brak krytyczności pozytywizmu w tym względzie polega na bezpośredniem zaufaniu już nie tylko do *wrażeń* zmysłowych, lecz i do *wyobrażeń*, mających na celu wyjaśnić przyczyny naszych wrażeń. Nie uznając *teoryi poznania* czyli *logiki*, jako samodzielnéj nauki, Comte nie zdawał sobie wcale sprawy z téj zasadniczéj różnicy między wrażeniem i wyobrażeniem i nie pytał wcale jakie jest istotne znaczenie wyobrażeń zmysłowych przy poznawaniu rzeczy. On nie miał nawet pojęcia o tem, że wyobrażenie, łączące się w naszym zwykłym poglądzie na świat bezpośrednio z wrażeniem, jest rezultatem całego szeregu procesów umysłowych, wielu *sądów* i *wniosków*, opartych w swej działalności na odrębnych prawach *logicznego* myślenia.

Wrażenia nas nie mylą, ale *wyobrażenia* nasze mogą być bardzo mylnemi, pomimo pozornéj zmysłowéj oczywistości, która im towarzyszy, bo procesy umysłowe, wytwarzające wyobrażenia z wrażeń, mogą się dokonywać nieprawidłowo, bo wnioski wyprowadzane z wrażeń co do ich *przyczyn*, co do *rzeczy*, wywołujących wrażenia, mogą być mylnemi. A bez krytycznéj teoryi poznania, bez logiki wszystkie te procesy umysłowe, wytwarzające wyobrażenia, usuwają się z pod wszelkiéj kontroli.

Helmholtz, idąc w ślady Kanta, jeszcze w roku 1852 wykazał, [1]) że wrażenia zmysłowe są właściwie tylko *symbolami*, oznaczającemi pewne stosunki rzeczywistości (nur Symbole für Verhältnisse der Wirklichkeit). One, według jego zdania, nie są bardziéj podobne do rzeczywistości, aniżeli imię człowieka do samego człowieka. Z rzeczywistemi przedmiotami one nas nie zaznajamiają bardziéj, aniżeli imię z nieznajomymi ludźmi lub miastami. Dla tego też Helmholtz w innéj, nieco późniejszéj pracy [2]) domaga się, aby naukowy specyalista zaznajomił się gruntownie z Kantem i skorzystał z jego krytycznych badań dla rozjaśnienia swego poglądu na procesy poznawcze umysłu, a w szczególności na istotę świadectwa zmysłowego.

Wszystkie te kwestye dla Comte'a wcale nie istniały i zwolennicy pozytywizmu dotąd wytwarzają swoje pojęcia o „przedmiotowości", „objektywności", którą tak wysoko cenią, zazwyczaj wprost na podstawie wiary nie tylko we wrażenia, lecz i w *wyobrażenia* zmysłowe, nie myśląc wcale o tem, że prawdziwa „przedmiotowość" nie jest wynikiem bezpośredniego zmysłowego poglądu na rzeczy, lecz staje się dla nas dostępną tylko przy pomocy *umysłowéj* krytyki świadectwa zmysłów, rozbioru i oceny jego treści ze stanowiska praw logicznych *sądzenia* i *wnioskowania*. Gdzie nie ma w systemacie nauk krytycznéj logiki, tam naturalnie i mowy być nie może o ściśle naukowym poglądzie na takie elementarne kwestye „objektywnego" poznania rzeczy. Nic tedy dziwnego, że pozytywizm wraz z zaprzeczeniem naukowéj samodzielności logiki, oddaje się zupełnie w objęcia najsurowszego dogmatyzmu i nie posiada żadnych środków, aby się choć w części wyzwolić z jego więzów. Tymczasem „nauka", „naukowość", o któréj pozytywiści mówią co trzecie słowo, z istoty swéj jest krytyczną i sprzeciwia się wszelkiemu dogmatyzmowi. Można tedy słusznie zapytać, jakiem prawem pozytywizm

---

[1]) **H. Helmholtz**, mowa *Ueber die Natur der menschlichen Sinnesempfindungen*. 1852.

[2]) **H. Helmholtz**, *Ueber das Sehen des Menschen*. 1856. Toż samo zob. w przedmowie do znakomitej *Optyki* tegoż autora. 1867, nowe wyd. 1886.

przyswaja sobie wyłącznie zaszczytne tytuły nauki i naukowości? Widzimy z powyższego, że główną podstawą téj uzurpacyi jest brak znajomości istoty krytycznéj nauki i różne przesądy dogmatyczne.

Temi uwagami zakończylibyśmy krytykę poglądów pozytywizmu na logikę, gdyby nie wspomniane powyżéj zdanie Comte'a, że logikę zastąpić należy *matematyką*. Nauka ta, jak wiadomo, odgrywa w saméj rzeczy rolę nader ważną w gronie nauk specyalnych, a szczególniéj przyrodniczych, więc też nie można mówić o krytycznych zadaniach filozofii w stosunku do panującego dzięki pozytywizmowi empirycznego dogmatyzmu, bez dotknięcia zarazem kwestyi o naukowem znaczeniu matematyki. Korzystamy tedy z owego zdania Comte'a, aby kwestyę tę rozpatrzyć tutaj przynajmniéj zasadniczo ze stanowiska ogólnych podstaw wiedzy ludzkiéj.

Przedewszystkiem nie możemy i w tej sprawie uwolnić Comte'a od zarzutu wielkiéj powierzchowności; zdaje się bowiem, że główną treść powyższego zdania o zastąpieniu logiki przez matematykę zaczerpał od Newtona i Kanta, bez należytego atoli zrozumienia poglądów tych wielkich myślicieli na stosunek matematyki do logiki.

Newton miał w saméj rzeczy na oku sprowadzenie fizyki, nazywanéj przez niego filozofią przyrody, do zasad matematycznych i poświęcił temu przedmiotowi osobną pracę, [1]) a Kant uogólnił ten pogląd Newtona i powiedział, że nauki przyrodnicze w ogóle stają się naukami w ścisłem znaczeniu tego słowa tylko przez zastosowanie matematyki do ich badań. Dzięki temu zastosowaniu, mechanika, fizyka matematyczna i astronomia są wzorami nauk ścisłych i zawierają w sobie prawdy, będące punktem wyjścia dla wszelkiego naukowego objaśnienia zjawisk przyrody. [2]) Nie ulega też wątpliwości, że tak poważne nawoływania przyczyniły się wielce do rozwoju metody matematycznéj w przyrodoznawstwie. Zastosowywano ją z czasem nie tylko do wspomnianych nauk, lecz i do chemii, fizyologii i nawet do psychologii.

Pomimo to ani Newton, ani Kant, ani uczeni, którzy, idąc za ich głosem, zastosowywali matematykę do najrozliczniejszych dziedzin wiedzy, nie mieli bynajmniéj na oku zastąpienia logiki matematyką, lecz widzieli w niéj tylko jeden ze *środków pomocniczych* logiki przy poznawaniu świata. Newton w zaznaczonéj pracy sam wyłożył szereg prawideł filozofowania (regulae philosophandi), a w swéj *Optyce* mówi szczegółowo o analizie i syntezie, o indukcyi, dedukcyi i hipo-

[1]) **J. Newton**, *Naturalis philosophiae principia mathematica*. 1687.

[2]) **J. Kant**, w przedmowie do *Metaphysische Anfangsgründe der Naturwissenschaft*. 1786.

tezach. Kant znowu całą swą krytyką czystego rozumu wykazał konieczność sprowadzenia saméj matematyki do pewnych czynników, tkwiących w organizacyi umysłu ludzkiego. Comte natomiast, nie mając jasnego pojęcia o zadaniach logiki, jako samodzielnéj nauki, sądził, że metoda matematyczna stanowi całą logikę, i że dla tego można bez skrupułu usunąć logikę i na jéj miejscu postawić w systemacie nauk matematykę.

Prawda, że oddawna nie tylko przyrodnicy, lecz i filozofowie, a w szczególności analitycy procesów poznawczych starali się zbliżyć swoją naukę t. j. logikę z matematyką. Comte zasłyszał zapewne i o tych dążnościach, przynajmniéj ze sprawozdań. Ale i tych dążności nie zrozumiał należycie, skoro z nich wyprowadził wniosek o możności zastąpienia logiki przez matematykę. Gdyby się jednak był zapoznał z temi dążnościami *naukowo*, *pozytywnie*, a więc *źródłowo*, natenczas byłby niewątpliwie wytworzył sobie jaśniejsze pojęcia zarówno o zadaniach logiki, jak i o prawdziwem znaczeniu metody matematycznéj.

I tak, jeszcze w XVII wieku filozof Hobbes ogłosił pracę p. t. *Rachunek czyli logika*, w któréj na wstępie napotykamy następujące zdania: „Aby poznać przyczyny rzeczy, potrzebnem jest wnioskowanie, które polega na *dodawaniu* i *dzieleniu*"... „Nie należy bowiem sądzić, że rachunek może być zastosowanym tylko do liczb, gdyż wszystko podlega dodawaniu i odejmowaniu, więc też pojęcia, sądy, słowa i t. p." Tak np. dodając do pojęcia *ciało* pojęcia *życie* i *rozum*, tworzymy pojęcie *ciało żywe rozumne*, równające się pojęciu *człowiek*. Odejmując zaś znowu jedno lub drugie pojęcie od tej sumy, dochodzimy do pojęcia *ciało żywe*, lub wprost *ciało*. [1]) Nieco późniéj Locke, rozpatrując umysł ludzki, powiedział, że matematycy dla tego są tak wysoko szanowani, że opierają swe rozumowania tylko na zasadach oczywistych i niewątpliwych i sądzi, że tak postępować należy i w zakresie badań filozoficznych. [2]) W tym duchu napisał też znakomity matematyk Jakób Bernoulli rozprawę o *paralelizmie logicznych i algebraicznych wniosków*. [3]) Następnie, na początku bieżącego wieku jeden ze zwolenników Schellinga, J. J. Wagner, ogłosił *filozofią matematyczną*, opartą na założeniu, że myślenie jest rachunkiem, [4]) a na

---

[1]) **Th. Hobbes**, *Computatio sive logica.* Opera philosophica. 1668. T. I. pag. 2 sq. Praca ta, napisana jeszcze w r. 1655, dopiero w tym zbiorze prac filozoficznych przez autora ogłoszoną została.

[2]) **John Locke**, *An essay concerning human understanding.* 1690. Ks. IV, rozd. 12, § 4.

[3]) **J. Bernoulli**, *Parallelismus ratiocinii logici et algebraici.* 1744.

[4]) **Joh. Jak. Wagner**, *Mathematische Philosophie.* 1811.

dziesięć lat przed śmiercią Comte'a wyszły na świat prace Boole'a i de Morgana, ojców współczesnéj *logiki matematycznéj*. [1]) Według téj logiki rozumowanie nie polega na przejściu od jednéj myśli do drugiéj, od ogółu do szczegółu, od całości do części, lecz na podstawieniu (substitution) pojęć podobnych, pod pojęcia podobne, czyli na zastąpieniu jednych przez drugie. W rozumowaniu zmieniamy tylko znaki, oznaczające pojęcia; prawidłowość zaś rozumowania wymaga, aby ta zmiana znaków nie naruszała tożsamości myśli, to znaczy, aby dane pojęcia zastąpiono tylko przez pojęcia równoznaczne, t. j. przez ekwiwalenty. W ten sposób można dojść do ściśle matematycznego sformułowania zasadniczych podstaw prawidłowego rozumowania.

Wszystkie te prace, usiłujące zbliżyć matematykę do logiki, należycie zrozumiane, nie dają żadnego powodu do poniżenia logiki na korzyść matematyki, lecz przeciwnie wykazują dowodnie samodzielność logiki, jako nauki, która w danym razie dąży tylko do poparcia i wyjaśnienia swéj treści przy pomocy matematyki. Wynika to zresztą z saméj natury matematyki w porównaniu z logiką.

Matematyka, jak i każda inna nauka specyalna, opiera się na szeregu gotowych, dogmatycznie uznanych pewników. Z nich wyprowadza całą swoją treść szczegółową przy pomocy bezpośredniego rozumowania. Ztąd wynika, że matematyka, jako nauka specyalna, nie rozpatruje wcale kwestyj: jaką drogą umysł ludzki dochodzi do owych pewników matematycznych? jaka jest ich wartość istotna ze stanowiska dostępnéj dla umysłu ludzkiego prawdy? czy można przypuścić odstępstwa od tych pewników? Daléj matematyka wcale nie zajmuje się rozpatrzeniem ogólnych zasad badania zjawisk, dochodzenia prawdy, rozumowania i t. d. A jednak wszystkie te kwestye nie są bynajmniéj zbytecznemi; przeciwnie, należyte ich wyjaśnienie stanowi konieczny warunek naukowego, krytycznego poglądu na samą matematykę.

Pewniki matematyczne uznawane były przez wieki za niewzruszone filary bezwzględnéj prawdy; tymczasem sami matematycy, pod wpływem krytycyzmu Kanta, podkopali w nowszych czasach niejeden z tych filarów i wykazali względność najniewątpliwszych dotąd pe-

---

[1]) **G. Boole**, *The mathematical analysis of logic.* 1847. Tu należy tegoż autora: *An investgation of the laws of thought.* 1854. **Aug. de Morgan**, *Formal Logic, or the calculus of inference, necessary and probable.* 1847. Najznakomitszym przedstawicielem tego kierunku w ostatnich czasach był **W. Stanley Jevons**, którego małą *Logikę* przełożył na język polski H. Wernic (1887); lecz napisał on i większe dzieło o *zasadach nauki (Principles of the science*, 2 wyd. 1877).

wników matematycznych. Nie wdając się na tem miejscu w szczegółowe wyjaśnienie tego zdania, powołujemy się tylko na takie charakterystyczne nowości, które się pojawiły w matematyce ostatnich lat pięćdziesięciu, jak geometrya Łobaczewskiego, zaprzeczająca bezwzględnéj prawdzie jedenastego pewnika geometryi Euklidesa, że suma trzech kątów trójkąta równa się dwom kątom prostym, co dało powód do mówienia o nowéj anti-euklidesowéj geometryi; [1]) jak teorye Riemann'a i Helmholtza o wielości wymiarów przestrzeni, w różnicy od uznanych dotąd wyłącznie trzech wymiarów, z czego znowu korzystają spirytyści w celu wyjaśnienia swych cudów; [2]) jak teorye Boussinesq'a, Saint-Venant'a, Delboeuf'a, o zupełnej zgodności matematyki, a szczególniéj praw mechaniki z faktycznemi objawami wolnéj woli, — na czem Janet oparł naukę o *mechanicznym indeterminizmie* [3]) i t. p.

Jeżeli tedy nawet matematyka chwiać się zaczyna, to mamy prawo zapytać, co jest pewnem dla człowieka, na czem oprzeć należy ocenę, rozbiór różnych sprzeczności, wypływających na wierzch i w zakresie najściślejszych na pozór nauk? Jasną jest rzeczą, że tym ostatecznym punktem oparcia dla rozstrzygnięcia z możliwą dokładnością wszelkich wątpliwości, może być tylko organizacya umysłu ludzkiego i prawa jéj poznawczéj działalności. Tylko to jest i może być *dla nas* prawdą, co się zgadza z temi prawami, co w ten lub ów sposób daje się sprowadzić do tych praw i wyjaśnić na podstawie ich działania. Rozbiór tedy funkcyj poznawczych umysłu, charakterystyka tych funkcyj, wykazanie źródeł poznania i ocena jego środków pomocniczych, rozpatrzenie z tego stanowiska zarówno doświadczenia, jak i rozumowania, zarówno badania szczegółów, jak i ogólnych wywodów, indukcyi i dedukcyi, — oto konieczny warunek wszelkiéj naukowéj ścisłości, wszelkiego dobycia niewątpliwych danych wiedzy, jako też wyprowadzenia z nich odpowiednich ogólnych praw i poglądów. Tylko na podstawie takiego rozbioru poznawczéj działalności umysłu osiągamy możliwą dla nas jasność, ścisłość i pe-

---

[1]) **N. Łobaczewski**, *Nowyja naczala gieometryi.* 1835. Tegoż *Imaginäre oder anti-euklidische Geometrie.* 1837.

[2]) **B. Riemann**, *Ueber die Hypothesen, welche der Geometrie zu Grunde liegen.* Rozprawa, napisana 1854 r. lecz ogłoszona dopiero 1868. — **H. Helmholtz**, *Ueber die thatsächlichen Grundlagen der Geometrie.* 1866.

[3]) **J. Boussinesq**, *Consiliation du véritable déterminisme mécanique avec l'existence de la vie et de la liberté morale.* 1878. Krótką rozprawę w tym przedmiocie ogłosił już w r. 1877, z któréj **Saint-Venant** zdaje sprawę w *Comptes rendus* Akademii nauk w Paryżu T. 84, 1877, str. 419 i nast. — **J. Delboeuf**, *La liberté démontrée par la mécanique.* 1882. — **P. Janet**, *Les causes finales*, 2 wyd. 1882. Ks. I, rozd. 6.

wność poznania. Rozbiór ten zaś stanowi przedmiot logiki jako teoryi poznania, która ze względu na tę swoją treść odrębną nie może być zastąpioną przez żadną inną naukę, lecz jest fundamentem wszystkich innych nauk, jako nauk.

Od obrony samodzielności naukowéj logiki, jako krytyki poznania w porównaniu z naukami specyalnemi, przechodzimy do rozpatrzenia poglądów pozytywizmu na *metafizykę*.

IV.

Pozytywizm i metafizyka.

Od chwili, gdy taki badacz przyrody, jak Newton, zawołał: „fizyko, strzeż się metafizyki!“ badacze specyaliści a szczególniéj przyrodnicy coraz podejrzliwiéj patrzyli na tę naukę filozoficzną. Do podkopania jéj powagi przyczynił się nie mało i Kant, występując przeciwko dogmatyzmowi dawniejszych szkół metafizycznych. Nie zaprzeczał on wprawdzie w zasadzie potrzebie i znaczeniu metafizyki, jako nauki o bycie przedmiotowym, stanowiącym ogólny przedmiot wiedzy ludzkiej; przeciwnie, cała jego krytyka rozumu dążyła do odszukania dla niej podstaw naukowych. Ale panującą za jego czasów metafizykę potępiał bez miłosierdzia i dowodził, że prawdziwa krytyczna metafizyka ma się do owej dogmatycznéj, jak chemia do alchemii, jak astronomia do astrologii.[1]) Ztąd to pochodzi, że w pismach Kanta napotykamy miejsca, którychby się nie powstydził najsurowszy przeciwnik wszelkiéj w ogóle metafizyki. Tak np. gdy pod koniec swych *Prolegomenów do wszelkiéj przyszłéj metafizyki* mówi, że „cień metafizyki podtrzymują jeszcze stare prawa studyów uniwersyteckich; ta lub owa akademia nauk w skutek zapowiedzianych nagród wywołuje od czasu do czasu pewne prace na tem polu; ale do poważnych nauk metafizyki już nikt nie zalicza, i gdyby ktoś utalentowanego człowieka nazwał wielkim metafizykiem, widzielibyśmy jakiego przyjęcia doczekałaby się taka pochwała, wypowiedziana w najlepszym zamiarze, lecz nie budząca niczyjéj zazdrości.“

Od takich ostrzeżeń i uwag krytycznych do bezwzględnego wykluczenia metafizyki z zakresu nauk był tylko krok jeden. Dokonał go, jak widzieliśmy na wstępie, Comte, a za nim poszła niezliczona

---

[1]) Zob. ostatni rozdział w dziele **Kanta**, *Prolegomena zu einer jeder künftigen Metaphysik, die als Wissenschaft wird auftreten können.* 1783.

chmara znakomitych i mniéj znakomitych pozytywistów, zaprzeczających metafizyce wszelkiego tytułu do nazwy nauki.

Los metafizyki w dziejach pozytywizmu jest bez porównania gorszy od losu logiki. Ta ostatnia przez wielu współczesnych pozytywistów łaskawie znowu przyjętą została do grona nauk; tolerują ją przynajmniéj i dozwalają jéj zająć skromne miejsce, w należytem naturalnie oddaleniu od nauk prawdziwie *pozytywnych* i *ścisłych*. Metafizyka zaś takiéj rehabilitacyi dotąd się nie doczekała, pomimo obrony ze strony kilku poważnych przedstawicieli współczesnego empiryzmu. Dotąd należy do mody i dobrego tonu w kołach pozytywnych wzruszać ramionami na samą nazwę metafizyki i każdy szanujący swoją „naukowość“ pozytywista ma sobie za obowiązek okazać przy lada sposobności całą swoją pogardę względem tego kopciuszka wśród nauk, szydzić ze wszystkiego, co ma tylko jakikolwiek związek z meta fizyką.

Nie mamy żadnego powodu kierować się w naszych poglądach przesądem za lub przeciw metafizyce. Rozpatrzmy tedy jéj sprawę bezstronnie. Cóż jéj właściwie zarzuca pozytywizm? jakie są jéj grzechy?

Metafizyka, mówią, bada rzeczy leżące raz na zawsze za granicami ludzkiej pojętności; w miejsce kontentowania się dostępnym dla nas zakresem wiedzy t. j.: poznawaniem świata zjawisk, przechodzi w świat transcedentalny, wytwarza ogólne pojęcia o istocie rzeczy, uprzedmiotawia, objektywizuje te pojęcia, t. j. przyznaje im znaczenie przedmiotowe i sądzi, że tą drogą dochodzi do objaśnienia świata, podczas gdy owe pojęcia ogólne nie są niczem innem tylko wytworami abstrakcyi, pozbawionemi wszelkiéj „naukowéj“ wartości. Więc zajmowanie się pojęciami ogólnemi, ich objektywizacya i transcedentalne użycie,—oto grzechy metafizyki.

Przy rozpatrzeniu tych zarzutów zaznaczamy przedewszestkiem, że istniała w saméj rzeczy metafizyka pełna przesądów, rozwijająca treść swoją na podstawie z góry powziętych pojęć ogólnych o świecie, bez poprzedniego rozbioru ich pochodzenia i uprawnienia. Jest to owa dogmatyczna metafizyka, którą potępiał już Kant, a która nie miała naukowego znaczenia właśnie dla braku krytyczności w rozwinięciu swych poglądów. Potępienie takiéj metafizyki nie przesądza jednak jeszcze bynajmniéj kwestyi metafizyki w ogóle, podobnie, jak potępienie alchemii nie wywołuje zarazem i potępienia chemii. Kamienia mądrości dzisiejsza chemia już nie szuka, ani też nie widzi głównego celu swych badań w wytworzeniu złota; ale pomimo to chemia jest prawowitą córką alchemii i zajęła po jéj usunięciu miejsce niezbędne w hierarchii naukowéj. Kwestya tedy, czy tak się rzecz

ma i z metafizyką krytyczną, naukową w stosunku do metafizyki dogmatycznéj. O wyrazy sprzeczać się nie ma celu. A potępiać nową naukową metafizykę dla tego tylko, że nosi to samo miano, co dawna nienaukowa, byłoby niesprawiedliwością, bo przecież żaden sąd nie karze dzieci za winy praojców. Zresztą, gdybyśmy z tego stanowiska chcieli patrzéć na nauki, to przekonalibyśmy się, że każda z nich posiada bardzo mętną i ciemną przeszłość i że żadna nie ma powodu wynosić się pod tym względem nad metafizykę. Chodzi tu wyłącznie o to, czy w hierarchii naukowéj wakuje miejsce, które przez zreformowaną naukowo metafizykę zajętém być winno, czyli, mówiąc prościéj, czy metafizyka reprezentuje samodzielny przedmiot naukowego badania.

Niema dla metafizyki przedmiotu, mówią pozytywiści, bo *istoty* rzeczy badać nie możemy, a badaniem *zjawisk* zajmują się nauki specyalne. Dobrze. Skoro jednak dowodzicie, że istoty rzeczy badać nie można, to chyba wiécie, co to jest *istota* rzeczy, bo przecież nie będziecie mówili o niepoznawalności istoty rzeczy, jeżeli nie wiécie wcale, jakie *pojęcie*, jaką treść myślową połączyć należy z tym wyrazem *istota*. Z jakiego atoli źródła *naukowego* zaczerpaliście swoje pojęcie o *istocie* rzeczy w różnicy od *zjawiska?* Jaka nauka podaje wam dokładne, ścisłe, mówmy poprostu *pozytywne* określenie tych pojęć, któremi sami się posiłkujecie, potępiając metafizykę i wskazując przedmiot nauk specyalnych? Począwszy od matematyki, a kończąc na socyologii, żadna nauka specyalna rozbiorem tych pojęć się nie zajmuje, chociaż, według waszéj teoryi, każda z nich opiera *pozytywność* swych badań właśnie na zasadniczéj przeciwstawności tych dwóch pojęć — *istoty* i *zjawiska*. Cóż z tego wynika? Otóż to, że albo musi istnieć osobna nauka, mająca za zadanie rozbiór tego rodzaju pojęć, wchodzących w skład wszystkich bez wyjątku nauk specyalnych przy określeniu ich *przedmiotu*, albo też należy wyznać, że pozytywizm czerpie te pojęcia i ich określenie z mętnego źródła dogmatycznych poglądów, opartych na wcale nienaukowém widzimisię.

Takich pojęć, łączących się bezpośrednio z *przedmiotem* każdéj w ogóle nauki, jest bardzo wiele. Zjawiskom przypisujemy różne własności i stosownie do poglądu naszego na nie, badamy tę lub ową ich stronę, a więc kierujemy się w badaniach pewnémi zgóry powziętémi poglądami. Zjawiska umysłowe ducha wymagają innych środków badania, niż zjawiska fizyczne materyi. Kto jednak zjawisko *fizyczne* uważa za typowe i przekonany jest, że wszystkie zjawiska świata dają się sprowadzić do tego typu, ten naturalnie i zjawiska umysłowe badać będzie ze stanowiska fizycznego. Przeciwnie, kto w zjawiskach umysłowych widzi typ odrębny, różny od zjawisk fizycznych,

ton i w badaniu tych zjawisk posiłkować się będzie odrębnémi środkami. Jeżeli Comte wyłączył z zakresu nauk pozytywnych psychologią i widział w niéj część fizyologii, uczynił to tylko dlatego, że zjawiska umysłowe sprowadzał do typu zjawisk fizycznych, z czém się jednak nie zgadzają inni, niemniej „naukowi“ badacze na tém polu, rozpatrujący zjawiska umysłowe jako zjawiska odrębne, różne jakościowo od zjawisk fizycznych.

Z tego pokazuje się, że rozjaśnienie należyte pojęć o duchu i materyi, o charakterystycznych własnościach zjawisk umysłowych, w porównaniu z fizycznémi, jest rzeczą, ze stanowiska naukowego, nader ważną, bo stosownie do odnośnych w tym względzie poglądów, zmieniają się zasadniczo kierunki i cele badań specyalnych.

Tożsamo powiedzieć należy i o takich pojęciach, jak *przestrzeń* i *czas*, *siła* i *ruch*, *przyczynowość* i *celowość*, *konieczność* i *wolność*, *rozwój* i *postęp*, *prawo fizyczne* i *prawo moralne* i t. p. Nauki specyalne posiłkują się ciągle témi szeregami pojęć, podają nawet, w miarę potrzeby pewne dogmatyczne określenia jednego lub drugiego z tych pojęć, ale żadna z nich nie zajmuje się krytycznym rozbiorem ich treści, objaśnieniem ich pochodzenia i znaczenia, pomimo, że te pojęcia, jak widzimy, wywierają wpływ kierowniczy na całą robotę naukową umysłu ludzkiego.

Taki rozbiór naszych pojęć o świecie i rozlicznych jego czynnikach, w ogóle o tém, co nazwać należy rzeczywistą przedmiotowością, objektywném, pozytywizm stara się wyrugować z zakresu prawdziwéj nauki frazesem, że są to wszystko *pojęcia ogólne*, wytwory abstrakcyi, których nie należy przenosić do świata zjawisk, jako jedynego przedmiotu naukowego badania. Metafizyka, według pozytywizmu, pozbawioną jest charakteru nauki właśnie dlatego, że się bawi takiemi ogólnemi pojęciami i przy ich pomocy chce wyjaśnić świat zjawisk.

Cóż na to odpowiemy? Najprzód, w saméj rzeczy, metafizyka zajmuje się *pojęciami ogólnemi*, ale przedewszystkiem zauważymy, że i pojęcia ogólne są *zjawiskami*, zjawiskami życia umysłowego, niemniej godnemi naukowego badania, jak i inne wytwory i przetwory świata, jak pierwszy lepszy kamyk, kwiatek lub zwierzątko. Przeciwnie, pojęcia ogólne są *zjawiska* tem ważniejsze, że przy ich pomocy poznajemy inne zjawiska świata, że one wchodzą w skład wszelkiego naukowego poglądu na najbardziej specyalne przedmioty naszéj wiedzy.

Następnie, pojęcia ogólne o zaznaczonym powyżéj charakterze, t. j. pojęcia *metafizyczne*, wiążą się ściśle z resztą zjawisk świata i pod innemi względami. Są one wynikiem działania zjawisk najrozliczniejszego typu na nasz umysł. Dlatego też nietylko metafizyka,

lecz i każda inna nauka, wytwarza *pojęcia ogólne*. Zachodzi pod tym względem tylko ta różnica, że pojęcia ogólne, wytwarzane przez nauki specyalne, opierają się na szczuplejszym zakresie zjawisk, t. j. na tym zakresie, który stanowi przedmiot badania danéj specyalności, podczas gdy pojęcia metafizyczne obejmują wszystkie typowe zjawiska świata i znajdują swoje zastosowanie przy objaśnieniu naukowém każdego szczegółowego zjawiska.

Comte postawił na czele nauk matematykę, w przekonaniu, że ona obejmuje najogólniejsze czynniki, niezbędne przy objaśnieniu zjawisk; ale zapomniał, że zaznaczone powyżéj czynniki metafizyczne są jeszcze ogólniejsze od czynników matematycznych, bo wchodzą w skład wszelkich pewników i określeń matematyki. Chcąc tedy drogą krytyczną rozjaśnić treść ogólną nauk specyalnych ze względu na przedmiot ich badania, należy zająć się rozbiorem owych pojęć metafizycznych, określić jasno ich treść i ich znaczenie w naszych naukowych poglądach na świat. Bez takiego rozbioru i najściślejsze napozór teorye naukowe stają się chwiejnemi, budzą poważne wątpliwości, bo nie mają pod sobą wypróbowanego fundamentu, nie zdają sobie sprawy z tych elementarnych utworów umysłu, które są faktyczną podstawą i koniecznym punktem wyjścia dla wszelkiego badania zjawisk szczegółowych.

Jak fizyk przyswoić sobie musi w sposób jasny i dokładny pewien zasób pojęć matematycznych, ponieważ pojęcia te wchodzą w skład jego pracy umysłowéj około zbadania danej specyalności; jak fizyolog znać musi fizykę, bo inaczej nie zrozumie wielu zjawisk życiowych, tak dla tych samych powodów wszyscy w ogóle specyaliści, chcąc uczynić zadość wymaganiom krytycznéj naukowości, muszą się zapoznać z owemi pojęciami metafizycznemi, bez których obejść się nie mogą w swych specyalnych poszukiwaniach. Jeżeli zaś tego nie czynią przy pomocy *naukowej* metafizyki, badającej swój przedmiot na podstawie metody krytycznéj, natenczas zmuszeni są uciekać się do metafizyki nienaukowej, popularnéj, dogmatycznéj i nadawać owym pojęciom zasadniczym, któremi się z konieczności, nolens volens, posiłkować muszą, znaczenie mętne, mogące jak najszkodliwiéj wpłynąć na przebieg i rezultaty ich najskrupulatniejszych badań specyalnych.

Pozytywiści naturalnie zaprzeczają takiéj zależności nauk specyalnych od pojęć metafizycznych i powtarzają przy lada sposobności słowa, wypowiedziane przez Littré'go w obronie Comte'a przeciwko Millowi: „Les sciences positives n'empruntent rien à la metaphysique“,—nauki pozytywne nic nie pożyczają od metafizyki [1]). Jest

[1]) E. Littré: *Auguste Comte et Stuart Mill.* 1867.

to bardzo ładny frazes, ma tylko tę wadę, że się sprzeciwia najpozytywniejszym faktom historyi. Wykazał to dowodnie Liard w swém dziele, poświęconém rozpatrzeniu stosunku nauk pozytywnych do metafizyki [1]). Metafizyk Pitagoras, mówi Liard, wykazał prawidłowość matematyczną świata; metafizyk Demokryt swoją teoryą atomistyki pierwszy miał na oku mechaniczne objaśnienie zjawisk przyrody; metafizyk Descartes wyrugował z nauki różne scholastyczne istoty (entités) i wyprowadzał zjawiska przyrody z działania praw ruchu. Dalej, idea powszechnego rozwoju świata wyrosła na niwie metafizyki; metafizyka też pierwsza starała się objaśnić pochodzenie nowych istot bez udziału nadprzyrodzonych czynników. Tak tedy, według Liarda, można poprostu powiedzieć, że nauki pozytywne w gruncie rzeczy uzupełniają tylko i usprawiedliwiają przy pomocy badań szczegółowych idee i poglądy, wyglaszane poprzednio przez metafizykę.

Podobnież Lange w swych dodatkach do *Historyi materyalizmu* zaznacza otwarcie, że „ideo metafizyczne równie są potrzebne dla postępu nauk, jak i fakta"; one są „gwiazdami przewodniemi (Leitsterne)" dla badaczów; że „chemia rozwinęła się prawie w zupełności na podstawie pojęć metafizycznych". Nadto Lange wykazuje, że już w metafizycznych poglądach Empedoklesa i Epikura znajdują się zawiązki darwinizmu [2]).

Nareszcie Caro, w specyalnéj pracy o pozytywizmie, na podstawie licznych faktów, dochodzi do wniosku, że sami pozytywiści nietylko że się posiłkują z konieczności ogólnemi pojęciami metafizycznemi, ale nadto sympatyzują zawsze z pewnemi ściśle określonemi poglądami metafizycznemi, a mianowicie z metafizyką materyalizmu. Ich teoretyczne zaś zapewnienia, że oddalają od siebie z zupełną bezstronnością, zarówno materyalistyczną, jak i spiritualistyczną metafizykę, są poprostu obłudą. I tak, gdy jest mowa o duszy, natenczas nazywają ją niepojętém dla naszego umysłu X; gdy ktoś dowodzi istnienia Boga, natenczas obstają przy tém, że nic zgoła o nim nie wiemy. Ale za to mówią ciągle o „wiecznej materyi", będącej osnową wszelkich zjawisk przyrody, a życie umysłowe nazywają bez skrupułu prostą funkcyą systematu nerwowego i starają się je wyprowadzić z działania czynników fizycznych. Littré zaś, pomimo wszelkiego skeptycyzmu w kwestyach idealnych, pisze najsympatyczniejsze przed-

---

[1]) **L. Liard**: *Les sciences positives et la métaphysique.* 1879. 2-gie wyd. 1888. Praca nagrodzona przez Akademię paryską.

[2]) **F. A. Lange**: *Neue Beiträge zur Geschichte des Materialismus.* 1867. Str. 39 i 46.

mowy do dzieł, przyznających się jawnie do materyalizmu [1]). Tak tedy nawet pozytywizm posiada swoją metafizykę, a że jej sam nie obrabia krytycznie, ani też nie czerpie z naukowych źródeł, więc nie dziw, że się kontentuje pierwszą lepszą, odpowiadającą najbardziej jego negacyjnym tendencyom.

A teraz słówko o objektywizacyi i transcendentalizmie pojęć metafizycznych.

Przeniesienie wytworów umysłowych do świata przedmiotowego, t. j. ich uprzedmiotowienie, czyli objektywizacya, jest jedném ze zjawisk elementarnych naszego życia umysłowego, napotykaném nietylko we wszystkich w ogóle naukach, lecz i w najzwyczajniejszym poglądzie zdrowego rozsądku na świat zewnętrzny. Badaniem tego zjawiska zajmuje się psychologia, posiłkując się w tym względzie fizyologią. Zaznaczymy tu same fakta, bez ich rozbioru i naukowego wyjaśnienia, bo to odprowadziłoby nas za daleko od naszego najbliższego zadania. Fakta te łączą się ściśle z zaznaczoną powyżej różnicą pomiędzy *wrażeniami* i *wyobrażeniami*.

Siedliskiem prawdziwém, realném naszych wrażeń zmysłowych, świetlnych, słuchowych i t. p. jest nasz ustrój nerwowy, a w szczególności jego organ centralny—mózg. Z tych doznanych wrażeń umysł nasz, jak widzieliśmy, wytwarza *wyobrażenia* o rzeczach, np. wyobrażenie widzianego przezemnie *domu*, *człowieka*, wyobrażenie słyszanych *słów*, *melodyj* i t. p. Pomimo, że te wyobrażenia, podobnie jak i wrażenia, mają swe realne siedlisko w nas samych, jako stany i wytwory podmiotu, subjektu, każdy z nas przekonany jest, że *dom* widziany nie istnieje tylko w naszej głowie, lecz ma i byt realny po za nią w świecie przedmiotowym. Co to znaczy? Otóż to, że *wyobrażenie domu*, wytworzone przez mózg i umysł, przenosimy na zewnątrz i nadajemy mu znaczenie przedmiotowe, t. j. uprzedmiotowiamy, objektywizujemy je. I od tej chwili zapominamy zazwyczaj zupełnie o tem, że *dom*, *człowiek*, jako zjawiska realne, badane przez naukę, są właściwie *tylko wyobrażeniami* naszego umysłu, a obchodzimy się z temi podmiotowemi wyobrażeniami, jako z realnemi, od nas zupełnie niezawisłemi przedmiotami. Czy to nie bardzo dziwna *metafizyka?!*

Taka objektywizacya ma miejsce i odnośnie do bardziej skomplikowanych wytworów umysłowych, więc i do *pojęć*, wytwarzanych z wyobrażeń tą samą drogą, jak te się wytwarzają z prostych wra-

---

[1]) **E. Caro**: *M. Littré et le positivisme*. 1883. Zob. szczególniej rozdział: de la prétendue neutralité du positivisme. Tutaj należy także najnowsza praca tego autora p. t. *Philosophie et philosophes*, 1888, mianowicie rozdział: comment les dogmes finissent et comment ils renaissent.

żeń. Czy istnieje *naród francuski?* Naturalnie, że istnieje. Ale co to jest realnie *naród francuski?* Przedewszystkiem moje *pojęcie*, wytworzone przez moją działalność umysłową ze setek wrażeń i wyobrażeń, które złączyły się w jedną *umysłową* całość. Naród francuski, to jest Karol W., Filip II, Ludwik IX, XI, XIV, XVI-ty; to Napoleon I-szy i III; to rewolucya 1789 roku; to komuna; to rzeczpospolita, pierwsza, druga i trzecia; to Paryż, Lyon, Marseille, Bordeaux; to robotnik, włościanin, burżuazya, kupiec, uczony, markiz; to język, literatura, nauka, sztuka, religia francuzów, to ich gospodarstwo wiejskie, ich przemysł i handel, ich wojsko i stosunki międzynarodowe i t. d. i t. d. Złączywszy to wszystko i jeszcze wiele, wiele innych rzeczy w jedno pojęcie ogólne, mówię: *naród francuski* i przekonany jestem, że to wszystko istnieje nietylko jako *pojęcie* w mym umyśle, lecz istnieje również jako *realna całość* w świecie przedmiotowym, to jest uprzedmiotawiam, i to pojęcie nadaje mu znaczenie rzeczywiste po za mym umysłem.

A *świat*, *przyroda*, *zjawiska przyrody*, *prawa przyrody*, a *istota* niepoznawalna, niedostępna dla naszego umysłu, czy istnieją? Żaden pozytywista o tem nie wątpi, a jednak to wszystko są tylko jego *pojęcia*, które on uprzedmiotawia, objektywizuje. Więc jakiem prawem zaliczyć można metafizyce jako grzech śmiertelny to, co wszyscy robią, każdy człowiek myślący, każda nauka, nawet pozytywista? Gdybyśmy nie uprzedmiotowiali naszych wyobrażeń i pojęć, toby dla nas w ogóle nie istniał świat przedmiotowy i bawilibyśmy się wtedy, każdy z nas na własną rękę, swojemi wytworami umysłowemi, jak dziecko zmiennemi kształtami kalejdoskopu.

Toż samo się ma i z *transcendentalizmem* pojęć metafizycznych. Jest to wyraz trudny, ale rzecz, przez niego oznaczona, jest bardzo prostą. Wszystko, co przechodzi zakres naszych podmiotowych wrażeń i stanów, t. j. naszego wewnętrznego doświadczenia, jest transcendentalnem; bo bezpośrednią, niewątpliwą wiedzę, dostępną dla mej obserwacyi, posiadam tylko o sobie i o treści mojej świadomości,— o reszcie zaś mam tylko wiedzę *pośrednią*, t. j. o reszcie wyprowadzam tylko wnioski na podstawie tego bezpośredniego świadectwa mej świadomości. Jeżeli podaję memu znajomemu rękę i z nim rozmawiam, to przecież przez to nie przenoszę się w jego byt realny; lecz odbieram od niego tylko podmiotowe *wrażenia* wzroku, słuchu, dotyku — nic więcej. Z nich dopiero wyprowadzam *wniosek* co do rzeczywistego *istnienia* mego znajomego i jego różnorodnych własności. Ztąd to właśnie pochodzi możność złudzeń, omyłek, fałszów w naszych poglądach na rzeczy. Nasze uprzedmiotawiane wyobrażenia i pojęcia nie odpowiadają zawsze rzeczywistości, o czem się na każdym kroku przekonać możemy.

Podobnież i najskrupulatniejszy badacz empiryczny ma bezpośrednio do czynienia tylko ze *swemi* wrażeniami i w ogóle z treścią *swéj* świadomości. Dopiero z rozpatrzenia i rozbioru tej treści wyprowadza swoje poglądy na przedmioty, zjawiska, wywołujące w nim rozliczne stany świadomości.

Z powyższego okazuje się, że samo pojęcie rzeczy, istniejącéj po za naszą świadomością, niezależnie od nas, więc też w ogóle pojęcie przedmiotowości, świata rzeczywistego ma charakter *transcendentalny*. Ono bowiem przechodzi zakres naszego bezpośredniego podmiotowego doświadczenia. Tylko na podstawie takiego transcendentalizmu przekonani jesteśmy, że świat istnieje i wtedy, gdy oczy zamykamy, gdy śpiemy, gdy go zatem nie doświadczamy. A że wszystkie nauki opierają się na tem pojęciu realnego przedmiotowego bytu świata, jako niezależnie od nas istniejącego i tém pojęciem się ciągle posiłkują; że nadto wszystkie nauki dochodzą do pewnych szczegółowych poglądów na ten byt realny, na jego zjawiska i ich prawa, — przeto ów transcendentalizm pojęć również nie jest charakterystycznem znamieniem ujemnych stron metafizyki, lecz może być chyba tylko uznany za grzech pierworodny wszelkiej w ogóle wiedzy *przedmiotowéj*, wszelkiej wiedzy o rzeczach, leżących za obrębem bezpośrednich danych naszéj świadomości. Zaznaczony powyżej proces objektywizacyi wytworów umysłowych jest normalném i powszechném źródłem wszelkiego transcendentalizmu naszych pojęć.

Spór o naukowość, lub brak naukowości, w naszych pojęciach nie polega tedy wcale na tem, czy je objektywizujemy lub nie, czy mają charakter transcendentalny lub nie, — bo to są cechy wspólne i nauce i przesądom, – lecz w sporze tym chodzi o to, czy posiadamy dostateczne dane do objektywizacyi naszych pojęć lub nie, czy przyznanie ich transcendentalności, t. j. przyznanie istnienia ich treści po za naszém bezpośredniém doświadczeniem, może być przekonywająco i naukowo udowodnioném lub nie. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że nie mamy prawa dowolnie objektywizować naszych wytworów umysłowych, że uznanie istotnéj objektywności naszych wyobrażeń lub pojęć zależy od całego szeregu warunków, określanych bliżéj przez logikę jako teoryę poznania, w ogóle przez naukową metodologią. Tylko gdy wytwór umysłowy czyni zadość tym warunkom, mamy prawo ze stanowiska naukowego uznać objektywność jego treści i posiłkować się nim w poszukiwaniach, mających na celu *prawdę przedmiotową*.

Z tego stanowiska metafizyka zwraca argumenty pozytywizmu przeciwko jego własnej nauce, wytrąca mu z ręki broń, którą chciał ugodzić w metafizykę i zadaje tą bronią cios śmiertelny pozornéj

„naukowości“ pozytywizmu. Bo przecież to właśnie pozytywizm, a nie metafizyka, objektywizuje całe szeregi pojęć o przyrodzie, jej zjawiskach, ich związkach i prawach i przyznaje przedmiotowość tych pojęć bez naukowego rozbioru ich treści, a tem mniej bez oceny ich istotnego znaczenia. Samo pojęcie przedmiotowości pozytywizm przyjmuje na wiarę dogmatycznie i łączy z tém pojęciem najrozliczniejsze poglądy na rzeczywistą treść niezależnego od naszego umysłu istnienia, nie pytając wcale o to, czy niema przypadkowo do czynienia z czysto podmiotowemi wytworami umysłu, których przeniesienie do świata przedmiotowego nie da się należycie usprawiedliwić. Owe materyalistyczne sympatye pozytywizmu są właśnie wynikiem takiéj objektywizacyi pojęć, krytycznie wcale nie obrabianych. Metafizyka przeciwnie, dzięki krytycyzmowi Kanta, przekonała się o konieczności wszechstronnego rozbioru naszych zasadniczych pojęć o bycie przedmiotowym i stara się określić treść i znaczenie każdego z tych pojęć na podstawie naukowego zbadania jego pochodzenia i stopniowego rozwoju w umyśle ludzkim. Nie trudno tedy osądzić po czyjéj stronie stanie prędzej czy później prawdziwa „nauka“, czy po stronie dogmatycznego pozytywizmu, czy też po stronie krytycznéj metafizyki.

Tę obronę naukowości metafizyki zamykamy słowami Lewesa, owego pozytywnego uczonego, który niegdyś w swéj *Historyi filozofii* występował ze zwykłemi zarzutami przeciw metafizyce, a następnie, zajmując się głębiéj kwestyami filozoficznemi, stał się jednym z gorących jej obrońców [1]). Wykazał on zarazem dowodnie, że metafizyka ma przedmiot równie jasno określony, jak każda inna nauka i może rozwiązać swoje zadania przy pomocy najściślejszych badań naukowych. „Z chwilą, mówi Lewes, gdy nie można zaprzeczyć faktowi, że takie pojęcia, jak *materya*, *siła*, *przyczyna* i t. p. istnieją i że te słowa są symbolami pewnych obserwacyj, należy wyznać, że pochodzenie tych pojęć i wyjaśnienie owych symbolów jest równie uprawnionym przedmiotem badania, jak pochodzenie i wyjaśnienie takich pojęć, jak *zwierzę*, *roślina*, *planeta*, albo *wszechświat*“... „Comte prosto zaprzeczał wszelkim badaniom metafizycznym, twierdząc, że kwestye metafizyczne z istoty swéj są nierozwiązalnemi, a zatém zajęcie się niemi miał za rzecz zbyteczną, nawet szkodliwą... Ja zaś chciałbym dowieść, że zadania metafizyki, racyonalnie pojmowane, nie przedstawiają innych trudności, prócz tych, jakie właściwe są wszelkim w ogóle zadaniom naukowym i że przy naukowém opracowaniu mogą być równie zadawalająco i ściśle rozwiązane, jak zadania nauk fizycz-

[1]) **G. H. Lewes**: *Problems of life and mind.* T. I. 1874. Zob. szczególniej rozdział p. t. *Metoda naukowa i jej zastosowanie do metafizyki.*

nych“... Zresztą kwestya dostępności lub niedostępności przedmiotów badania dla nauki jest rzeczą względną. „Nauka odpowiedziała już na wiele pytań, które przez umysły, nieznające jej zasad i środków, uznane były za przekraczające pojętność ludzką i które pozostałyby w saméj rzeczy niedostępnemi dla nas bez pomocy tych zasad i środków nauki“... Przed niedawnym jeszcze czasem było niemożliwem badać skład chemiczny atmosfery słonecznej. Skład ten był jedną z owych tajemnic, któréj żaden z astronomów nie śmiał rozpatrywać naukowo. Tymczasem odkrycie analizy spektralnej dało nam do ręki środki, przy pomocy których obecność różnych gazów w atmosferze słonecznéj możemy określić z równą ścisłością, jak ich obecność w naszych laboratoryach. Toż samo powtarza się i na polu metafizyki. Pewne zadania jej mogą być obecnie nierozwiązalnemi, pozostaną nierozwiązalnemi dla tych, którzy nie chcą zająć się ich rozbiorem według wymagań metody naukowéj. Tymczasem przy pomocy téj metody mogą być rozwiązane w sposób zadawalający. A jeżeli nawet matematyka posiłkuje się pojęciem wielkości transcendentalnéj bez uszczerbku dla ścisłości swych wywodów, to słusznem jest pytanie, czy tożsamo pojęcie nie może być wprowadzone i do innych nauk, a więc i do metafizyki z tém samém powodzeniem?

Lewes następnie na przykładach z nauk ścisłych, a szczególniej na badaniach Galileusza i Newtona wykazuje doniosłość naukową ogólnych pojęć metafizycznych. A chociaż nie zamyka oka przed brakami dawnej metafizyki i nie zaprzecza, że ją spotkała niejedna porażka, pomimo to broni zdania, że jest ona nauką konieczną i mówi, że to właśnie przekonanie podtrzymuje dotąd zamiłowanie do poszukiwań metafizycznych w gronie nie wielu szlachetnych adeptów tej nauki. „Sprawę, która po wiekowych porażkach okazuje się dostatecznie silną do owej obrony, można uznać za osłabioną, ale jéj nie można uważać za pokonaną w walce“.

H. Struve.

GENEZA „MARYI" MALCZEWSKIEGO.

Wiadomo że treścią tylko co wzmiankowanego poematu, jest dramat wzięty z życia—i to z życia jednego z wybitniejszych możnowładców w drugiéj połowie zeszłego stulecia. Sam w sobie pełen grozy, nadawał się do pieśni; poeta jednak pozostawiwszy główny wątek nietkniętym, zmienił go co do szczegółów z łatwo zrozumianych powodów; fantastyczność była podówczas w modzie, szlachetne pobudki wdzięczniejsze nastręczały do popisów pole. Ale co zwraca uwagę — to właśnie bohater powieści, nieszczęśliwy Wacław: jest on uosobieniem rycerskości, poświęcenia; owiany beznadzieją rozpaczy, mimowoli zdobywa sympatyą czytelnika. Wiemy z dziejów, że tym nieszczęśliwym kochankiem był Szczęsny Potocki, nieużywający na początku niniejszego wieku miru u społeczeństwa kresowego, które stawiło go pod pręgierzem za winy swoje i nie swoje, spychało na jego barki wszystkie nieszczęścia i ciosy dotykające tę społeczność. Malczewski był kilkoletnim wyrostkiem, kiedy nieszczęśliwy Pilawita tulczyński, położył się do grobu (1805); a że był żądnym wiadomości, musiał więc nieraz przysłuchiwać się niekorzystnym sądom o nieboszczyku. Że nie przesadzamy pod tym względem, dość przypomnieć sobie, iż syn tego nieboszczyka, Aleksander, ów szlachetny i piękny dziwak, w wiele lat późniéj w liście do plenipotenta pisanym utrzymuje, że nazwisko które nosi „diabelnie oplamione było" [1]). I pomimo to, Malczewski stworzył Wacława zupełnie innym, a obok szlachetności, dał mu niedecydujący charakter Szczęsnego, ową chwiejność, choć blado wyglądającą, z po za jędrnego i pięknego wiersza. Czemu to przypisać — czy prostemu przypadkowi? przeciw temu protestujemy, choćby na téj zasadzie, że dopatrzyliśmy pewnego wpływu

[1]) Pamiętniki A. Chrząszczewskiego, rękopis.

postronnego, pod którego naciskiem, urobiły się takie a nie inne przekonania autora; bo co chcecie mówcie, ale autor ten, gdyby podzielał zdanie ogółu o marszałku konfederacyi targowickiéj, nie miałby odwagi idealizować go jak idealizował Wacława; a już jeśliby go idealizował, niechybnie dodałby kilka pieśni, a w nich odmalował dalsze dzieje bohatera, po bajronowsku zrażonego do ludzi, do koła siebie siejącego zniszczenie i grozę, w jękach, ogniu, krwi i krzywdzie ludzkiéj, znajdującego ukojenie szarpiącéj pierś jego rozpaczy. Tego jednak nieuczynił; Wacław przez niego odmalowany, złożył zwłoki topielicy kochanki w izbie zamku osamotnionego, pożegnał je rzewliwie, i w świat kędyś powędrował nieznany.

Więc, powtarzamy, były wpływy, moderujące w Malczewskim niechęć ogólną do Szczęsnego; młode zaś pacholę, rade we wszystkiem widzieć piękno, chętnie dawało posłuch obrońcy marszałka targowickiego, tem bardziéj, że obrońca ów przekonywająco mówił, że lubił z dziećmi „przystawać“ i uczyć je dziejów niedawnéj przeszłości, stosując wszystko do ich pojęć. I głęboko utkwiła w jednéj z komórek mózgowych przyszłego wieszcza rzewna opowieść, przeleżała w niéj długie lata; kiedy zaś życie złamane na wspak poszło, a potrzebą pieśni pierś wezbrała, wówczas stanął w pamięci i narrator z dzieciństwa, i treść jego narracyi o nieszczęśliwym Wacławie prześladowanym jak i sam poeta, od losu. Przy takich warunkach narodził się poemat, pełen piękności opisowych, przyrodę ukraińską (tylkoż nie podolską, jak chce tego jeden z pisarzy lwowskich o Malczewskim) przypominających, a cały smutny i żałobny, że mimowoli czytelnik domyśla się w nim smutku i żałoby, dotykającéj samego autora, przynajmniéj w chwili tworzenia arcydzieła, które mu sławę u potomnych zjednało.

Ale kto był ów obrońca Szczęsnego Potockiego, pośród społeczeństwa, jednomyślnie prawie ferującego wyrok potępiający; jaki stosunek go łączył z autorem Maryi, zkąd dowody że się spotykali w życiu?

O tém właśnie chcę tu powiedzieć.

Obrońcą był Antoni Chrząszczewski, skromny bardzo, ale zarazem ruchliwy człowiek. Piśmiennictwu naszemu nie obce to nazwisko. Kraszewski drukował wyciągi z jego pamiętników [1]), wydawca w przedmowie wypowiedział pobudki, które go zmusiły do skrócenia i obcięcia téj pracy: „drażliwość przedmiotu jeszcze bolesnego i świe-

[1]) Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego T. IV. Wilno. 1857. Zabawne to, że w tym tomie, niema nic z rękopisu autora na tytule umieszczonego, jeno wspomnienia Bukara (także wyjątki, całość potem powtórnie wydana w Dreźnie) do s. 222, Chrząszczewskiego do s. 321 i Anonyma podolskiego do s. 343.

żego, mowa o osobach niedawno zmarłych, których dzieci lub wnuki żyją dotąd", zmusiły go do użycia nożyczek, że zaś je stosował *large manu*, o tém łatwo przekonać się może każdy, komu jak nam, przyszło porównać wydane ustępy z rękopisem autora. Ale otóż o rękopisie słówko; chcę być dokładnym, chcę dogodzić panom ze Lwowa, którzy mnie nieustannie pomawiają o to, że czerpię ze źródeł niedostępnych dla ogółu. Kraszewski korzystał z egzemplarza udzielonego mu przez barona Chaudoir'a; dodaje nadto, że oryginał znajduje się w zbiorach po Konstantym Świdzińskim pozostałych [1]). Kraszewski się myli, oryginał znajdował się u Konstantego Podwysockiego, znanego zbieracza na Podolu, zamieszkałego w Rychtach Humieckich pod Kamieńcem; łatwo to było sprawdzić, gdyż obok pamiętnika, posiadał on listy Chrząszczewskiego i liczne inne jego utwory literackie, dużém wyraźném pismem odznaczające się, jak i tylko co wzmiankowany pamiętnik — a wszystkie ręką autora kreślone. Dosłowną kopią ostatniego posiadamy; po pilném jéj przejrzeniu, łatwo się przekonać, że w całéj rozciągłości ogłoszoną być drukiem nie może; zawiera w sobie dzieje dworu tulczyńskiego i wszystkich osób z tym dworem związanych bliższém czy dalszém powinowactwem, czy też zależnością służbową; ostatnia kategorya, to protoplaści wielu w obecnéj chwili bogaczów ukraińnych i podolskich, których niedawni przodkowie wypaśli się do zbytku na olbrzymim tulczyńskim kadłubie. Jest jeszcze inna, rdzenna przeszkoda do ogłoszenia tego zabytku historycznego; Chrząszczewski miał styl potoczysty, przyjemny, ale zbyt dosadny, nazywa rzeczy po imieniu wcale nie obwijając w papierki. Z kolei zestawmy kilka dat dotyczących autora; snadniéj nam potem będzie udowodnić jego wpływu na Malczewskiego. Chrząszczewscy pochodzili z Brzesko-Kujawskiego województwa; ojciec pamiętnikarza, posiadał tam kawałek ziemi, po spieniężeniu jéj, z zapasem kilkudziesięciu tysięcy złotych osiadł w Warszawie; zwokowany przez Potockiego, przeniósł się w 1780 r., w późnéj starości, na Ukrainę, chodził dzierżawami, a że na nich stracił wszystko, dzieci więc musiały szukać chleba w służbie prywatnéj. O czworgu tylko wzmiankuje autor — dwie siostry i dwóch braci: starsza została żoną Karola Sierakowskiego, komendanta dragonii nadwornéj Franciszka Salezego Potockiego, który to odrzucił propozycyą wykradzenia Gertrudy Komorowskiéj z domu rodziców i osadzenia jéj w jednym z lwowskich klasztorów, (rzecz dotyczy bohaterki w poemacie Malczewskiego), nie stracił jednak łaski pańskiéj; z kolei awansowany na pierwszego kapitana w pułku ofiarowanym przez Szczęsnego Potockiego Rzeczypo-

[1]) L. c. IV. S. 223.

spolitéj, pełnił niekiedy obowiązki prywatnego sekretarza w Tulczynie i posiadał, co się rzadko trafiało, zaufanie pryncypała. Druga siostra autora wyszła za Dyzmę Tomaszewskiego, dobrze znanego sekretarza konfederacyi targowickiéj, niedoszłego posła Rzeczypospolitéj do stanów holenderskich, przez tęż konfederacyą sztyftowanego; wreszcie poetę, autora Jagiellonidy, z tego względu głośnéj, że ją Mickiewicz krytykował, więc w pismach jego figuruje o niéj przydłuższa wzmianka; głośnéj wreszcie i z tego względu, że obudziła zachwyt chwilowy — dwa wydania jéj rozeszły się w ciągu kilku miesięcy, rzecz niebywała w pierwszéj ćwierci bieżącego stulecia.

Starszy brat Chrząszczewskiego, oficyalista w dobrach Potockich wreszcie sekretarz konfederacyi po wyjeździe Tomaszewskiego, ożeniony z Anielą Cyrynianką, miał z nią dwie córki Pelagją i Eleonorę; rodzice ich wcześnie odumarli, sieroty więc rozebrali krewni, Eleonorę przytuliła rodzona siostra jéj matki, marszałkowa, Eleonora z Cyrynów Malczewska. Dziewczynka umiała sobie zjednać krewnych, została nieodstępną towarzyszką i przyjaciółką córki opiekunki; pod strzechą téj ostatniéj gościli jednocześnie i synowcowie marszałka a synowie generała, już także wówczas osieroceni, mianowicie Antoni, późniéjszy autor Maryi i Franciszek Malczewski, starszy brat tamtego [1]). Teraz posłuchajmy z kolei, co o sobie powiada autor pamiętników: „Żeby niniejsze pismo moje (to jest opowieść o dziedzicach Tulczyna), nie było posądzone o stronność, zdam sprawę z moich z domem Potockich stosunków. W dwudziestym roku życia ożeniony z panienką żadnego posagu nie mającą i sam nic nie mając, musiałem pójść w służbę i przez lat trzydzieści w ekonomii humańskiéj sprawowałem obowiązki. Po śmierci Potockiego, synowie jego złożyli kilkakroć sto tysięcy na rozdanie zasłużonym oficyalistom, ale mnie niebiegłemu w sztuce dworactwa i sukcesorom osobiście nieznanemu, z tego przeznaczonego od nich funduszu nic się nie dostało, bo obowiązku mojego pilnując, spuściłem się na wyznaczoną do tego dzieła komisyą i żadnych o udział téj łaski nie czyniłem zabiegów. Dopiero w 1828 r. przezacny Gustaw Olizar, z samego użalenia się nad moim stanem, z wielką trudnością ledwie wyżebrał dla mnie u Stanisława, Aleksandra i Bolesława lichą gracyjkę, zasługom moim wcale nieodpowiednią. Tak więc dla domu Potockich nie mam żadnego obowiązku wdzięczności, i owszem, słusznie się żalić mogę, że przez lat trzydzieści służąc poczciwie ich ojcu i matce, wiek mój marnie steralem [2])“. Od ogólników przechodząc do szczegółów zaznaczyć win-

[1]) Rodzina Malczewskiego.—Tygod. ilustrow. 1890.
[2]) Pamiętniki—rękopis.

niśmy, że Antoni Chrząszczewski, po ukończeniu szkół humańskich, najczęściéj przebywał w Tulczynie, w orszaku dziedzica, używany początkowo przez niego do posług kancelaryjnych, dużo widział, dużo się nauczył od otoczenia. Kierował jego początkowém wykształceniem szwagier Tomaszewski, dawał wskazówki Trembecki, dokonała reszty Warszawa, w któréj spędził dwa pierwsze lata sejmu czteroletniego, podobno, jako korespondent przyszłego marszałka. Zaprawiony na szkole francuzkiéj, tłomaczył dość zręcznie Anacharsisa, do języków posiadał szczególną zdolność. Podczas konfederacyi chciano jego zdolności zużytkować. „Miałem sobie, powiada autor, ofiarowane trzy posady: najprzód pisaryą komory celnéj Złotopolskiéj, co świadczy *sanctum* konfederacyi na moje imię zapisane. Złotnicki czekał na mnie cztery miesiące z patentem na poruczeństwo w swojéj huzarskiéj brygadzie. Nakoniec Kossakowski, biskup, mający dyktatorskie prawie znaczenie w najwyższéj radzie konfederacyi, obiecywał mi wyrobić regencyą komisyi skarbowéj. Z tego wszystkiego nic nie przyjąłem, dla źle zrozumianego patryotyzmu“ [1]). Bądź co bądź w otoczeniu tem nabrał nawyknień wielkoświatowych, nie licujących z jego skromnem stanowiskiem; to też po zgonie Szczęsnego, w lat kilka oparł się w Tulczynie, z liczną rodziną, ze skromnym bardzo zapasem grosza, bez obowiązku. Służbę mu wymówiono, nie dla tego by służył źle, ale dla tego, że przy podziale majątku, przyszło liczbę oficyalistów ograniczyć; marszałek bowiem zostawił w spadku swoim synom, ogromne obszary ziemi, ale też i całe legiony, tak zwanych „przyjaciół domu“, jako zabytek dawnych zwyczajów, przy nowych warunkach nie mających racyi bytu. Do rzędu usuniętych należał i Chrząszczewski: rozpoczął on wędrówkę, niby to szukając odpowiedniéj posady, a właściwie rolę rezydenta wędrownego odgrywał. Takich ludzi wykolejonych znajdowało się pełno podówczas, po dworach możnych; tulono ich z ochotą, bo o niedawnych, a tak odmiennych czasach, ciekawe powiadali rzeczy. Pan Antoni zaś, dziwny dar narratorski posiadał, jak o tem świadczy Detiuk: „Chrząszczewski często odwiedzał u Malczewskich swoją synowicę; tam poznałem tego szczególnego człowieka i miałem szczęście przypaść mu do serca. Niepiękna twarz, zaniedbana powierzchowność, nie mogły u patrzących na niego wywołać jakiejś sympatyi; ale skoro usta otworzył, w jakim bądź języku (a ich biegle kilka posiadał), albo w jakim tylko wydarzyło się przedmiocie, natenczas rozjaśniało się jego oblicze, a ucho zachwycone przedziwną jego wymową, oczarowania swego i oczom udzielało“ [2]). Przedmiotem opowiadań były przedewszystkiem

[1]) Pamiętniki—rękopis.
[2]) Ramoty I. 19.

tajemnice tulczyńskiego dworu i dziejów prowincyi z tym dworem związanych, a obejmujących więcéj niźli ostatnie ćwierć wieku tylko co ubiegłego stulecia. Tradycya była świeża, a jednak tak zmieniona, tak przekręcona, tak ubarwiona, że już wówczas prawdy nie można było odróżnić od fałszu. I oto zjawiał się człowiek, który na to wszystko patrzył, znał głównych działaczy, znał wszystkie sprężyny, wszystkie tajemnice zakulisowe. Jakże nie skorzystać z tego, nie ufetować takiego człowieka, nie uprosić, by opowiedział jak było? Chrząszczewski niedawał się prosić długo „pierś starą miodem rozgrzewał“ — niestety, może zanadto często,—obsiadali go dokoła słuchacze, a że porywające kreślił obrazy, więc i dziatwę obecną czarował, i ona opuszczała zabawy, i jak przykuta siedziała, z trwogą i skupioną uwagą wpatrując się w twarz narratora. Dzieje żywota Potockiego, to główny temat, a z nim związane dzieje konfederacyi targowickiéj... i jednego i drugiej bronił zapamiętale, nałamując fakta obronę tę podeprzéć mogące. I słuchali go starsi, choć oburzeni, ale słuchali; toż obowiązków, jak to wyżéj zaznaczyliśmy, przywodząc ustęp z jego pamiętników, dla Potockich nie miał żadnych; po trzydziestu latach służby u nich został włóczęgą, urzędów mu ofiarowanych przez konfederacyą nie przyjął, ale teraz z oddalenia patrząc na fakta, żałuje że tak postąpił. Przekonanie to z laty nabierało w nim jędrności i siły, to też w drugich trzydzieści lat późniéj, opisując ową epokę, o głównym jéj aktorze tak się wyraził: „Przyjdzie może ten czas w którym potomność nie z przekazu przeciwnych Potockiemu przesądów, ale z czynów i z prawych zamiarów sądzić go będzie, i jak przed dwoma wieki uchwały sejmowe zniosły zasądzoną na Lubomirskich i Wychowskim infamią, tak i ona przez wyrok sumiennych i nieuprzedzonych dziejopisów, zdejmie z imienia jego niesłusznie nawleczoną niecześć“ [1]). Dla satelitów Szczęsnego nie był równie łaskawym; obok tych malunków o kobietach do rodziny należących, o często tu zaglądających wybitniejszych osobistościach, miał spory zapas materyału w pamięci, wyjaśniającego dzieje rzezi humańskiéj, a przedewszystkiem, owéj pierwszéj tragicznéj miłości, młodego wojewodzica i tajemniczego zniknięcia jego-żony kochanki — Gertrudy Komorowskiéj. Niezwykłość zdarzenia była przedmiotem ulubionym rozmów w pałacach pańskich i dworkach szlacheckich przez długie lata: „smutną tę powieść, wzmiankuje Detiuk, w dzieciństwie mojem, jako powieść ciągle po kraju krążącą, wielokrotnie i rozmaicie słyszałem opowiadaną“ [2]). Słyszał ją niejednokrotnie, nie wiele młodszy od Detiuka,

[1]) Pamiętnik—rękopis.
[2]) Ramoty 1. 20.

Antoni Malczewski, ale musiał bywać niechybnie świadkiem narracyi Chrząszczewskiego, który właśnie między 1810 a 1815 r. często zaglądał do Krzemieńca, zatrzymywał się stale w domu stryja poety, przyjeżdżał bowiem w odwiedziny do synowicy, młodziutkiéj Eleonony — a kochać ją miał gorąco. Dzieci go witały radośnie; przyszły twórca Maryi, znajdował się w liczbie domowników, słuchał więc także gawędy starego sługi Potockich, gawędzie téj nadawał większe od innych krążących po kraju znaczenie, mimowoli i wiedzy, a to dla tego, że opowiadacz, choć sam nie był świadkiem téj sceny, znał spółczesnych, znał uczestników i wykonawców nieludzkich wojewody rozkazów. Potém w lat wiele, kiedy przepiękny swój poemat układał, a za treść jego wziął przygodę bolesną z życia tulczyńskiego dynasty, zarzutami bohatera swego nie obciążył, odmalował go takim, jakim go malował Chrząszczewski w swoich opowiadaniach, a które potem powtórzył w pamiętnikach, w części tylko znanych szerszemu kołu czytelników.

Bądź jak bądź — przyszli krytycy i biografowie Malczewskiego, powinni się liczyć z tą pracą Chrząszczewskiego, choćby na zasadzie tożsamości poglądów, choćby na zasadzie złożonych tu dowodów, że autor Maryi, słyszał o jéj żałośnych przygodach i okropnym zgonie, od najlepiéj, najdokładniéj poinformowanéj osobistości.

A teraz dla dopełnienia obrazu, powiedzmy o dalszych losach Chrząszczewskiego. Zdaje się że na włóczędze upłynęło mu lat kilka; nędza, a jako jéj następstwo nałóg, wszystko to było powodem, że dawni znajomi zaczęli stronić od niego, więc się przerzucił na krańce Podola, hen ku Jahorlikowi patrzącemu w stepy chersońskie, mianowicie do Saracei, małéj wioseczki rzuconéj nad Dniestrem; tu go Detiuk odwiedzał podczas swoich naukowych ekskursyj, między 1818 a 1822 rokiem. Kilka dni spędził pod ubogą strzechą rozbitka, pamiętającego lepsze czasy, i znowu, jak dawniéj, prowadził z nim długie rozmowy o Szczęsnym, o Tulczynie, o Gertrudzie Komorowskiéj; oto jakby ostatni wynik tych rozmów, potwierdzających to, cośmy wyżéj już powiedzieli: „Szczęsny kochał Gertrudę, a lubo cytują jego listy, uznające nieprawość z nią małżeństwa, on nigdy nie miał zamiaru zerwania poprzysiężonych w obec Boga ślubów. Całe życie nie mógł zapomnieć Gertrudy, i nieraz w samotności łzę jéj pamięci poświęcał. Chrząszczewski widział te łzy, których wdzięki i miłość Zofii (trzeciéj żony marszałka), otrzeć zupełnie nie zdołały“ [1]). Dawny sługa Pilawitów w Saracei musiał bardzo skromny żywot prowadzić, wioseczka maleńka—i to prawie wszystka należała do p. Ja-

[1]) Ramoty 1. 23.

na Miłkowskiego (dusz męz. 55), dziadka Zygmunta, znanego pisarza (Jeża), dusz 12 do ks. Abimelika, a 6 poddanych do rządu—otóż tych biednych dusz sześć dzierżawił Chrząszczewski [1]). Naturalnie że za dzierżawę niepłacił, bo mu ją ustąpił kompan z Tulczyna Mikołaj Czarnomski, niedawno jeszcze oficyalista Zofii Potockiéj, bardzo od niéj estymowany, a teraz właściciel dóbr nabytych od spadkobierców generał-gubernatora Tutolmina i dzierżawca sporego kawału ziemi rządowéj [2]). Klepał więc biedę p. Antoni, na tych stepach, na wybrzeżu bezleśném starego Dniestru, rozmyślając o marnościach świata. Ztąd się dostał na Wołyń w wielkiéj nędzy; wówczas to Gustaw Olizar wstawił się za nim do synów Potockiego Szczęsnego. Ale i to nie wiele pomogło. Z kolei burza losów zagnała go do Stebłowa w Kijowskiém; właścicielem miasteczka był podówczas p. Herman Hołowiński, człowiek pełen nauki, zagorzały zbieracz; przygarnął do siebie włóczęgę — „nietylko wspierał pieniężnemi datkami jego wraz z liczną rodziną, lecz nawet dawał mu niejednokrotnie sposoby wydźwignięcia się z biedy znaczniejszą pomocą, ale to, na nieszczęście nic nie pomogło“ [3]). Namówił on Chrząszczewskiego, do spisania wspomnień z przeszłości, zawierających dzieje tulczyńskiego możnowładcy, a że autor układał je między 1842 a 1845 rokiem, o wielu więc wypadkach i ludziach zakończone kreślił obrazy, późniejsze ich losy regestrując. Pewien porządek zachował — więc na pierwszem miejscu występuje sam właściciel Tulczyna, potem trzy jego żony, 7 synów, bo o 9 córkach, pobieżnie tylko wzmiankuje; daléj idą satelici: Złotnicki, Rudnicki, Tomaszewski, Moszczeńscy, Mosakowscy, Kamieńscy, ks. Sierakowski biskup latyczowski, towarzysz rozpustnych rozrywek i gier hazardownych Szczęsnego Jerzego, pierworodnego marszałkowicza; całe rojowisko burgrabiów, kamerdynerów, fryzyerów, oficyalistów *minorum gentium*, fraucymeru, oficerów dworskiéj milicyi. Opowiadanie urywa się na rządcach generalnych humańskich, „z przyczyny śmierci autora“, jak to czytamy w dopisku Konstantego Podwysockiego, właściciela rękopisu, jak równie i wszystkich zbiorów, po teściu, Hermanie Hołowińskim pozostałych. W poczet ich weszły i inne prace Chrząszczewskiego, nieogłoszone drukiem, mianowicie: Treść historyi politycznéj narodu polskiego, dzieło Pirryhsa de Varillac, kawalera francuskiego, nauczyciela książąt Hieronima i Janusza Sanguszków. Rodowód Potockich, aż do nowych czasów, z cie-

---

[1]) Marczyński—Statystyka gub. Podolskiéj 111. 240.

[2]) Marczyński l. c. 111. 221 Chrząszczewski—rękopis.

[3]) Dopisek na końcu zeszytu zawierającego pamiętniki, ręką Konstantego Potockiego dodany.

kawemi dokumentami z archiwum tulczyńskiego, ułożone pracą i staraniem wzmiankowanego pamiętnikarza w 1820 r., wreszcie zeszyt poezyi, korespondencye i t. d. Wszystko to, po zgonie Podwysockiego w 1868 r., przeszło do zbiorów hr. Działyńskiego w Kórniku [1]).

Tyle tylko o Chrząszczewskim i wpływie jego na Antoniego Malczewskiego powiedzieć tu chciałem. Szło mi o wykazanie, że opowiadania podsłuchane w dzieciństwie przez poetę, posłużyły za wątek poematu, w którym odmalował wypadki w sposób najwięcéj zbliżony do prawdy, odrzucając wszystko, co do nich późniejsze dodały legendy.

Dr. Antoni J.

---

[1]) Górski Władysław — O zbiorach naukowych po ś. p. Konstantym Podwysockim. Kraków 1872 r. NN. 22, 27 i 45.

KRONIKA GALICYJSKA.

Lwów w grudniu 1890 r.

Życie społeczeństw, ekonomiczne, umysłowe i polityczne tworzy całość, w obrębie której te główne kierunki i szczegółowe ich rozgałęzienia, skutkiem różnych zewnętrznych warunków i wewnętrznych trudności, w nierównéj rozwijają się mierze. Prąd w pewnym kierunku wstrzymywany przelewa się do gałęzi drugiéj, po zaspokojeniu najpilniejszych potrzeb w jednym kierunku, tem jaskrawiéj występują inne braki. W każdym okresie czasu rozwój stosunków wyprowadza na widownię pewne kierunki, pewne sprawy, nadając im wybitniejsze znaczenie, zwraca ku nim powszechną uwagę i każe skupić siły około ich załatwienia. Wszakże dla należytego zrozumienia stosunków danego społeczeństwa, nie wystarczy wskazać na owe chwilowo wybitne stosunki i sprawy, lecz trzeba zwrócić uwagę na tło, na którém występują, na warunki wśród których się rozwinęły i daléj rozwijać się będą, jedném słowem na całość, w któréj są zawsze tylko przemijającym epizodem.

Mając w skutku wezwania Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj składać jéj czytelnikom sprawozdanie o stosunkach Galicyi, a przedewszystkiem o mieście stołecznem, z którego piszę, chcę stosownie do uwag powyższych objąć w tych sprawozdaniach całość naszego życia społecznego, począwszy od spraw publicznych, aż do literatury i sztuki. Chcę być jak najbardziéj przedmiotowym, wolnym od zbytecznego optymizmu, który szkodzi, jak każde łudzenie się co do istotnego stanu rzeczy, lecz wolnym również od częstéj, zwłaszcza w odniesieniu do naszych stosunków, przesady w malowaniu na czarno, która z tego samego powodu nie mniéj szkodliwa, odbiera ufność w własne siły, każdemu społeczeństwu tak bardzo potrzebną. Pragnę,

aby czytelnicy Bibliteki w sprawozdaniach moich na tle ogólnych stosunków społeczeństwa, znaleźli przegląd wybitniejszych objawów z każdéj dziedziny życia społecznego, które nasze obudzają zajęcie.

W drugiéj połowie roku 1890 sprawą, która w naszym kraju najżywszy obudzała interes, była niezaprzeczenie sprawa uregulowania finansów krajowych po zawarciu ugody z rządem co do tak zwanéj indemnizacyi. Sprawa ta podzieliła ludzi biorących udział w życiu publicznem, dziennikarstwo i szerszą publiczność, bez względu na dotychczasowe odcienia polityczne, na dwa obozy, różniące się pomiędzy sobą co do programu finansowego na przyszłość, a w obradach sejmu krajowego, któremu przypadło jéj załatwienie, pierwszorzędne zajęła miejsce.

Dla zrozumienia sprawy muszę pokrótce przypomnieć jéj przebieg. Wynagrodzenie za zniesione w r. 1848 powinności poddańcze w Galicyi, miało być poniesione w jednéj trzeciéj części przez samychże właścicieli dóbr dworskich, którym z góry strącono trzecią część wynagrodzenia tytułem kosztów sądownictwa i innych obowiązków, ustających ze zniesieniem poddaństwa, w jednéj trzeciéj części przez włościan uwolnionych z poddaństwa, a w jednéj trzeciéj części przez kraj. W ciągu lat następnych postanowienia Cesarskie uchyliły obowiązek włościan do opłacania przypadającéj na nich trzeciéj części i wprowadziły natomiast dopłaty ze skarbu państwa na oprocentowanie i umorzenie obligacyi indemnizacyjnych, jakie tytułem wynagrodzenia otrzymali właściciele dóbr dworskich. W latach późniejszych usiłowały rządy ówczesne wytłomaczyć podstawę prawną owych dopłat ze skarbu państwa w ten sposób, że one miały być uważane jako zaliczki, które Galicya miałaby zwrócić państwu. Owe rzekome zaliczki wyniosły po rok 1883 poważną sumę 75 milionów złr. Sejm galicyjski, opierając się na brzmieniu postanowień Cesarskich, nie uznawał nigdy obowiązku kraju do zwrotu owych dopłat, jednakże mimo najsilniejszego przekonania o niesłuszności tych pretensyj państwa, pragnąc zwolnić kraj od sporu przed trybunałem państwowym i zyskać dla koła polskiego w radzie państwa swobodę akcyi, krępowanéj nieraz względem na ową pretensyę państwa, przyjął w r. 1883 proponowaną przez rząd ugodę w téj sprawie. W ugodzie téj państwo odstępowało od pretensyi zwrotu zaliczek po koniec r. 1882 wypłaconych i obowiązywało się aż do umorzenia całego długu indemnizacyjnego, t. j. do r. 1897 włącznie płacić corocznie zamiast dotychczasowéj dopłaty 2,625,000 złr., subwencyę bezzwrotną 2,100,000 złr. i zaliczkę zwrotną 325,000 złr., kraj zaś obowiązywał się ponieść resztę wydatków na oprocentowanie i umorzenie obligacyj indemnizacyjnych i spłacić państwu w latach 1899—1901 zwrotne zaliczki.

Siedm lat upłynęło, nim ta ugoda z ciężkiém sercem przez sejm przyjęta, przyjętą została także przez państwo w ustawie z 5 czerwca 1898 r. Ustawa ta sprowadzając ostateczne zawarcie ugody w warunkach w r. 1883 określonych, stworzyła położenie takie, że kraj ma objąć zarząd długu indemnizacyjnego, który wynosi obecnie około 34,000,000 złr., a według planu umorzenia ma być spłaconym do r. 1898; że ma na spłatę tego długu obracać subwencyę rządową i zaliczki zwrotne od rządu pobierane, a ze swéj strony płacić przez 7 lat o 200,000 złr. więcéj niż dotychczas (w r. 1890 płacił kraj na ten cel 2,843,480 złr.). Nadto ma kraj po umorzeniu długu indemnizacyjnego spłacić państwu w ciągu lat 1899, 1900 i 1901 zaliczki zwrotne w ogólnéj sumie 4,875,000 złr., a następnie w latach dalszych spłacić 1,400,000 złr. nadpłat pomienionych ze skarbu państwa.

Zobowiązania te trafiają kraj w chwili, kiedy właściwe wydatki krajowe, mianowicie wydatki na szkoły ludowe, na leczenie ubogich chorych i szpitale, na szkoły przemysłowe i poparcie powstających przedsiębierstw przemysłowych i t. d., znajdują się w stadyum szybkiego wzrostu, a obciążenie opodatkowanych na opędzenie wydatków krajowych (nie licząc wydatków na cele powiatowe i gminne), wynosi już, wraz z wydatkami indemnizacyjnymi, 62 centy od każdego zł. reńskiego podatków stałych czyli bezpośrednich. Pomiędzy wydatkami krajowémi sam wydatek na oprocentowanie i umorzenie dotychczasowych długów krajowych, wynosi przeszło 600,000 złr. rocznie.

W takiém położeniu wystąpiły dwie wręcz przeciwne opinie co do wyboru środków finansowych na przyszłość. Jedni sądzili, że należało resztujący dług indemnizacyjny spłacić od razu za pomocą nowéj pożyczki, zaciągniętéj na lat kilkadziesiąt i wskutek zmniejszenia raty amortyzacyjnéj uzyskać przez dłuższy szereg lat, a przedewszystkiem w okresie siedmioletnich subwencyj rządowych z tytułu indemnizacyi, obfite nadwyżki budżetowe, które wypadałoby obrócić na instytucye pożyteczne dla podniesienia siły ekonomicznéj i podatkowéj kraju. Drudzy natomiast mniemali, że lepiéj będzie przeczekać siedm lat najbliższych, choćby przy pomocy nowych pożyczek na pokrycie niedoborów, a spłaciwszy w tym czasie przy pomocy subwencyi rządowéj cały dług indemnizacyjny i mając przez to rozwiązane ręce, mając do dyspozycyi to co kraj dotąd płacił na indemnizacyę, czynić nakłady takie, jakie sejm uzna w roku za potrzebne.

Walka między owemi dwoma opiniami, tocząca się przez blisko pół roku, zaostrzała się znacznie i nabierała na zewnątrz cechy sporu zasadniczego przez to, że ci, którzy oświadczali się za konwersyą długu indemnizacyjnego, aby zyskać fundusze na nakładową gospodarkę w kraju, przedstawiali w żywych barwach wpływ doniosły, jaki

wywrzéć musi na podniesienie ekonomiczne kraju użycie w ciągu kilku lat najbliższych 7 do 9 milionów złr. na cele produkcyjne. Przeciwnikom konwersyi rzucali zaś w oczy zarzut, że chyba podniesienia ekonomicznego kraju nie chcą, skoro nie mogą zdobyć się na odwagę nałożenia na kraj ciężaru w celu tak zbawiennym i to w chwili decydującéj może o całéj przyszłości. Wskazując na przykład innych krajów, a zwłaszcza Królestwa w latach 1820 — 1830, obecnie na przykład Węgier i Rumunii, powtarzano w prasie i na różnych zebraniach publicznych hasło, że kto chce czynnéj polityki ekonomicznéj na szerszą skalę, kto chce na téj drodze dźwignąć kraj i zgotować mu lepszą przyszłość, ten musi być za konwersyą.

W odpowiedzi na to, zwolennicy opinii przeciwnéj, oprócz trudności prawnych w przeprowadzeniu konwersyi długu indemnizacyjnego, utrzymywali, że chcąc milionowych wkładów użyć należycie na podniesienie gospodarstwa krajowego, trzeba przedtem mieć szczegółowy i dokładny plan tego, co w danych warunkach chce i zdoła się zrobić, inaczéj bowiem grozi niebezpieczeństwo, że fundusze uzyskane będą bezczynnie leżały, lub co gorsza, że zostaną w części zmarnowane. Twierdzili daléj, że warunkiem koniecznym samodzielnéj a skutecznéj polityki ekonomicznéj, warunkiem przeto niezbędnym skuteczności wkładów w gospodarstwo społeczne na wielką skalę podjętych, jest odpowiednie ustawodawstwo w sprawach przemysłu, handlu, ceł i taryf kolejowych, a przytém odpowiednie ustawodawstwo podatkowe. Galicya nie będąc państwem samodzielném, lecz częścią państwa austryackiego, we wszystkich tych kierunkach nie może zastosować ustawodawstwa do celów swojéj polityki ekonomicznéj, przeciwnie, musi się liczyć z warunkami, jakie jéj nakłada ogólne ustawodawstwo państwowe. Wskazywali wreszcie przeciwnicy konwersyi na to, że konwersya rozkładając dług, który zostałby już w siedmiu latach całkowicie umorzonym, a którego roczna rata idzie dziś w drobnéj części na procent, a w największéj części na spłatę kapitału, na lat kilkadziesiąt, obciąża przyszłe generacye ciężarem znacznie dotkliwszym niż ciężar krótkotrwały spłaty w siedmiu latach. Lepiéj tedy przeczekać lat 7, a spłaciwszy dług indemnizacyjny, rozpocząć dopiero inwestycye na szerszą niż dotąd skalę.

Kiedy w połowie października zebrał się sejm krajowy, obmyślenie właściwéj drogi dla przyszłéj polityki finansowéj kraju, przypadło komisyi budżetowéj, któréj referentem był profesor Leon Biliński, znany zarówno ze znakomitych dzieł naukowych, jak z licznych a gruntownych prac ustawodawczych w radzie państwa. Wynik kilkotygodniowych prac téj komisyi z niecierpliwością wyczekiwany przez sejm i przez szersze koła interesujące się bliżéj sprawami publicznemi,

sprowadził rozczarowanie przedewszystkiem dla zwolenników polityki inwestycyjnéj przy pomocy konwersyi, a następnie również i dla jéj przeciwników. Podczas kiedy bowiem i jedni i drudzy spodziewali się znacznych nadwyżek w budżecie krajowym na przyszłość, tylko jedni skutkiem konwersyi zaraz, drudzy zaś dopiero po zupełnéj spłacie długu indemnizacyjnego, to szczegółowe obliczenia komisyi budżetowéj rozwiały zupełnie te złudzenia. Wykazały one bowiem, że jeśli weźmiemy na uwagę dzisiejsze źródła dochodów krajowych i przypuszczalny wzrost dochodów z tych źródeł w przyszłości, a z drugiéj strony wzrost wydatków z roku na rok w proporcyi znanéj z lat ostatnich, jeśli oprócz tego weźmiemy w rachubę zobowiązania wynikające z ugody indemnizacyjnéj, to nie tylko nie będzie spodziewanych wielkich nadwyżek budżetowych, którychby użyć można na cele inwestycyi, lecz tak przy konwersyi jak bez niéj okażą się w całym szeregu lat przyszłych znaczne niedobory, które kraj będzie musiał pokrywać pożyczkami, o ileby nie przysporzył sobie tymczasem nowych źródeł dochodu. Nadto wykazały te obliczenia, że przypuściwszy, iż owe niedobory w ciągu najbliższych lat piętnastu, t. j. aż do zupełnego umorzenia zobowiązań wynikłych z ugody indemnizacyjnéj będą istotnie pokrywane pożyczkami, to stan długów krajowych w r. 1905 wynosić będzie przy konwersyi przeszło 29 milionów zł., w razie zaś gdyby się konwersyi nie przeprowadzało, przeszło 22 miliony zł., zatém w drugim wypadku o 7 milionów mniéj, głównie w skutku szybkiéj spłaty długu indemnizacyjnego.

Ten ostatni wynik poparł w stanowczy sposób zdanie przeciwników konwersyi i zapewnił im bardzo przeważną większość w sejmie. Musiano również uznać za słuszne zdanie komisyi budżetowéj, że horoskop finansowy na szereg lat najbliższych przedstawia się, mimo owych niedoborów w miejsce spodziewanych nadwyżek w ogóle pomyślnie, skoro według niego kraj, który ma dziś dawnych długów około 9 milionów, a długów indemnizacyjnych i nowych z tytułu indemnizacyi zobowiązań (po strąceniu części pokrytéj przez subwencyę rządową) 27 milionów, razem przeto wszystkich długów około 36 mil. będzie miał po latach 15 wszystkich długów 22 miliony, zatém spłaci w ciągu tych lat za pomocą stopniowéj amortyzacyi 14 milionów, a obok tego będzie mógł opędzać wydatki rosnące w proporcyi dość znacznéj, bo według obliczenia komisyi, rosnące co roku o 150,000 zł. Wszakże ten roczny przyrost wydatków wyniesie w 14 latach łączną sumę 15,750,000 zł.

Mimo to wszystko sejm zdawał sobie sprawę z tego, że gospodarstwo skarbowe, w którém wydatki wzrastają w proporcyi nierównie szybszéj niż dochody, nie znajduje się w warunkach normalne-

go rozwoju i że groziłaby mu ruina, gdyby taki stan rzeczy miał trwać nadal. Skoro tedy dzisiaj nie można myśléć o zmniejszeniu wydatków krajowych, lecz owszem trzeba być przygotowanym na wzrost ich ciągły, to należało koniecznie postarać się o zwiększenie dochodów, a mianowicie o wyszukanie takich nowych podatków, które ludność łatwiéj znieść będzie mogła, niż podwyżkę dzisiejszych dodatków krajowych. Drogę tę, która jedynie daje możność trwałego uregulowania finansów krajowych, wskazywali kilkakrotnie fachowi publicyści, a i w sejmie sprawa ta była już przedmiotem obrad, natrafiła jednak na trudności ze strony rządu. Obecnie sejm wstąpił stanowczo na tę drogę, a zapewniwszy sobie zgodę rządu, uchwalił na wniosek p. Abrahamowicza ustawę o opłatach konsumcyjnych od wina, piwa, wódki, rumu i słodzonych napojów spirytusowych. Opłaty te przyniosą około 400,000 zł. rocznie, a utrwalone na r. 1891 podwyższenie dodatków krajowych o 3 centy od każdego złr. wyniesie przeszło 300,000 złr. Prócz tego polecił sejm wydziałowi krajowemu obmyśléć reformę podatku od spadków, pobieranego oddawna na rzecz funduszu szkolnego.

Myśl rozpoczęcia obecnie gospodarki nakładowéj na szeroką skalę, ku czemu konwersya miała dostarczyć środków, upadła w sejmie tak dalece, że popierający ją posłowie nie stawiali nawet żadnych wniosków w tym kierunku. Musiała ona upaść, skoro obliczenie wykazało, że zapowiadanych wielkich nadwyżek budżetowych nie będzie i skoro z drugiéj strony nie było określonych propozycyj co do użycia funduszów, o które sejm miał się wystarać, lecz żądano, aby sejm naprzód je uzyskał, a potem obmyślał szczegółowo ich użycie. Jednakże z tą egzageracyą gospodarki nakładowéj, któréj krańcowym wyrazem stał się poseł Szczepanowski, nie upadło bynajmniéj zapatrywanie, iż trzeba czynić wkłady na podniesienie gospodarstwa krajowego w każdym kierunku i że dla takich wydatków warto i należy wytężyć siły podatkowe, a w danym razie nawet zaciągnąć pożyczkę, nie upadła myśl zasadnicza gospodarki wkładowéj. Téj myśli sejm galicyjski zawsze się trzymał i można śmiało powiedzieć, że ilekroć stanął przed sejmem projekt pożytecznego wkładu na podniesienie gospodarstwa krajowego, projekt konkretny i dostatecznie przygotowany, to zawsze został przyjęty. Znaczna część dzisiejszego długu krajowego powstała w skutku wydatków wkładowych, a każdy budżet zawiera liczne także wydatki, które z roku na rok rosną dość szybko. W téj mierze wystarczy, nie sięgając w dalszą przeszłość, porównanie głównych rubryk wydatków produkcyjnych dziś, a przed 15-tu laty. I tak wynosiły wydatki ze skarbu krajowego:

	w r. 1876	na r. 1891
na podniesienie przemysłu . . .	10,500 zł.	154,324 zł.
na górnictwo	1,500 „	14,060 „
na rolnictwo	37,183 „	318,249 „
na melioracye i budowy wodne .	nic „	232,286 „
na drogi krajowe	1,089,152 „	848,580 „

Tylko ten ostatni wydatek zmniejszył się z powodu ukończenia budowy sieci dróg krajowych, wszystkie inne wzrosły bardzo znacznie.

Wydatek na szkoły ludowe, który wypada zaliczyć do produkcyjnych w najpełniejszém tego słowa znaczeniu, wynosił w r. 1876 ze skarbu krajowego (nie licząc tego co płaciły gminy, obszary dworskie i powiaty) wszystkiego 278,650 zlr.; obecnie wydatek ten wynosi 1,173,000 zlr. Oprócz tego, gminy, obszary dworskie i powiaty płacą teraz na cele szkolne w pieniądzach i w naturze blisko 2,500,000 zł., tak, iż ogół wydatku na publiczne szkoły ludowe w Galicyi wyniesie około 3,673,000 zlr. Wydatek ten wzrośnie jeszcze znacznie, gdyż jeszcze przeszło 1,000 szkół trzeba będzie założyć, a płace nauczycielskie najniższéj kategoryi, będą musiały być podwyższone.

Wobec tego wszystkiego, można ubolewać nad tém, że Galicya nie znajduje się w warunkach do samodzielnéj polityki ekonomicznéj niezbędnych, że przeciążona podatkami na rzecz państwa i mając przez szereg lat dźwigać ciężar wykupna propinacyi, nie jest w stanie zwrócić swych sił w większéj mierze ku podniesieniu gospodarstwa krajowego, lecz nie jest słuszném twierdzić, że może, a nie chce, gdyż owszem chce robić wszystko, co w danych warunkach zrobić jest w stanie.

Rozpisałem się o sprawie uregulowania finansów krajowych obszerniéj, niepodobna bowiem sprawy tak ważnéj i skomplikowanéj streścić krócéj, chcąc dać o niéj wyobrażenie jasne, chociaż nie wchodzące w szczegóły. Z innych spraw sejmowych obudzała żywe zajęcie ustawa o urządzeniu służby zdrowia w gminach i na obszarach dworskich, która zaprowadza lekarzy gminnych w miastach, a lekarzy okręgowych dla gmin mniejszych i obszarów dworskich, celem sprawowania policyi sanitarnéj i niesienia bezpłatnéj pomocy ubogim chorym. Opozycya przeciw téj ustawie, po trzeci raz do sejmu wniesionéj, była zrazu bardzo silną, ze względu na stosunkowo niewielkie koszta, które miały od razu spaść na ludność Jednakże komisya sanitarna, której referentem był prof. dr. Tadeusz Piłat, przerobiła gruntownie projekt rządowy w tym kierunku, że organizacya ta ma

wchodzić w życie stopniowo, poczynając od okolic najgorsze mających stosunki zdrowotne, a koszta przez to znacznie zmniejszone, przeniosła w większéj części na kraj, chcąc ulżyć powiatom najuboższym. W ten sposób zmienioną ustawę przyjął sejm znaczną bardzo większością. Stanowić ona będzie niewątpliwie ważny krok naprzód w ulepszeniu naszych stosunków sanitarnych, a przez to i ekonomicznych, jeśli, jak spodziewać się trzeba, wydziały powiatowe, w których mocy to leży, starać się będą o dobre wykonanie ustawy,

Pomijając resztę spraw sejmowych, poprzestanę tylko na zapisaniu faktu, który ku końcowi sesyi sejmowéj ogólne obudził zajęcie tak w kraju, jak w zagranicznej prasie. Jest nim rozłam, powstały między posłami ruskimi, z których część większa, wraz z biskupami unickimi zajęła odmienne w porównaniu z dotychczasowém zachowaniem się, stanowisko tak względem rządu, jak do pewnego stopnia i względem większości sejmowéj. Fakt to zbyt świeży, żeby można wydać sąd o odgłosie, jaki znajdzie w kraju i o konsekwencyach praktycznych, jakie za sobą pociągnie. Wystarczy na razie zaznaczyć niewątpliwą w każdym razie jego doniosłość, nie wdając się w przypuszczenia, do których brak jeszcze należytych podstaw. Bliska chwila wyborów do rady państwa, rzecz tę bliżéj wyświeci.

Pora sejmowa przypada od lat kilku na późną jesień, zatém na czas, w którym mieszkańcy Lwowa są już w zimowym komplecie i kiedy ożywia się życie umysłowe i towarzyskie, któremu obecność posłów sejmowych dalszéj dodaje podniety. Ożywia się wtedy zwykle i teatr, rozpoczynając sezon operowy. Przedstawienia teatru, pobierającego jak wiadomo subwencyę z funduszów krajowych, są w tym czasie jakby rodzajem examinu przed areopagiem, który decydować będzie o udzieleniu subwencyi. W tym roku ów examin ułatwiony został przez występy gościnne Modrzejewskiéj, którą po długiéj przerwie witaliśmy z zapałem, a pożegnaliśmy z nadzieją rychłego, chociaż znowu na czas krótki, ponowienia się tych pożądanych odwiedzin. Nie myślę wdawać się tu w ocenienie gry, tak dobrze Wam znanéj artystki, któréj talent według powszechnego tu zdania spotężniał wśród mozolnéj pracy w dwóch częściach świata. Chcę tylko zaznaczyć tutaj, że występy Modrzejewskiéj obok prawdziwego użycia estetycznego, przyniosły nam trwałą korzyść w tém, że przyczyniły się do dalszego postępu regulujących się powoli naszych stosunków teatralnych. Występy znakomitych artystów ze sławą światową na skromniejszych scenach prowincyonalnych, muszą zawsze oddziałać korzystnie na talenty miejscowe, pobudzając je do usilniejszéj pracy, i na publiczność, któréj smak uszlachetniają przez dobór sztuk i którą silniéj przyciągają do teatru. Teatr lwowski miał w czasach dawniej-

szych, a przez czas jakiś i później, wcale liczną stałą publiczność, bez której żaden teatr trwałego powodzenia mieć nie może. Częstsze występy gościnne znakomitszych artystów, niewątpliwie przyczynią się do tego, aby zjednać teatrowi publiczność, która nie dla nowéj fabuły w sztuce, lecz dla gry artystów będzie teatr odwiedzała; wszakże osiągnięcie tego pożądanego stanu rzeczy, zależéć będzie także od pracy miejscowych sił i od umiejętnego kierownictwa ze strony dyrekcyi.

Pisząc o teatrze i warunkach jego rozwoju, niepodobna pominąć sprawy, mającéj dla bytu jego zasadnicze znaczenie. W r. 1892, więc już za dwa lata, kończy się obowiązek fundacyi hr. Skarbka utrzymywania teatru polskiego we Lwowie. Wiadomém jest, że teatr nadal nie będzie mógł istnieć w gmachu Skarbkowskim, ze względów bezpieczeństwa. Pomimo to sprawa budowy teatru nie wyszła dotąd ze stadyum wstępnych przygotowań, w jakiém znajduje się od szeregu lat, a rada miejska, do któréj należy obmyślenie egzystencyi dla téj instytucyi, nie tylko dotąd nie postanowiła nic o sposobie, miejscu i czasie budowy teatru, lecz nawet nie uchwaliła zasadniczo, że ma być budowany teatr miejski we Lwowie. Obecnie do powzięcia takiéj decyzyi przynagla radę miejską uchwała sejmu, który polecił wydziałowi krajowemu, aby po porozumieniu ,się z gminą, przedstawił już na najbliższéj sesyi sejmowéj wniosek co do sposobu, w jakiby fundusz krajowy miał się przyczynić do budowy teatru miejskiego we Lwowie.

Nakoniec chcę napisać jedną jeszcze uwagę, dotyczącą sztuki. Lwów uchodził dotąd, i słusznie, za miasto, które w zakresie sztuk pięknych pielęgnuje zbyt wyłącznie muzykę, a w jéj obrębie przedewszystkiem grę fortepianową, w czém nie bez wpływu była okoliczność, iż żyje od lat wielu w naszych murach znakomity wirtuoz i nauczyciel, niegdyś uczeń Chopina, Karol Mikuli. Obecnie ta jednostronność zaczyna ustępować nie tylko w tym kierunku, że obok fortepianu śpiew coraz więcéj jest uprawiany, choć nie tyle jeszcze, jakby na to zasługiwał, zwłaszcza ze względu na wpływ śpiewu chóralnego na młodzież i na szersze warstwy ludności. Obok muzyki i sztuki plastyczne, a zwłaszcza malarstwo, zaczynają znajdywać między nami coraz więcéj miłośników i adeptów. Wpływ to w części szkoły dla przemysłu artystycznego, w części usiłowań tutejszéj reprezentacyi krakowskiego towarzystwa sztuk pięknych, około utrzymania stałéj wystawy sztuk pięknych we Lwowie. Wystawa ta, chociaż skromnie umieszczona, rozwija się, obrazy znajdują coraz to częściéj nabywców. Czasowa wystawa szkiców wykazała wiele udatnych obrazków, które przy umiarkowanych cenach w znacznéj części rozkupione

zostały, a obok nazwisk znanych, odkryły nie jednego dyletanta, oddającego pracę swoją po raz pierwszy pod sąd publiczny. Czy to zamiłowanie w malarstwie, które w Galicyi było dotąd wyłącznym udziałem Krakowa, rozwinie się szerzéj u nas i przyczyni się do wprowadzenia rysunku w program wykształcenia, mianowicie u płci żeńskiéj, rugując w części fortepian, co byłoby pożądaném nie tylko ze względu na uszy sąsiadów, ale i ze względu na stanowczo większy pożytek, — przyszłość okaże.

U.

TRANSKRYPCYE Z HORACEGO.

W wierszach niniejszych korzystałem z powszechnego za czasów Odrodzenia prawa. Ujmowałem według kaprysu obrazów lub dodawałem ich do słów łacińskiego poety, nie wahając się w nie wciskać nowoczesnego nieraz uczucia. Cóżem ja winien, jeżeli dla mnie, subjektywnie zupełnie rzecz biorąc, bywała jakaś melancholia w tych odach, uchodzących za dzieła wyłącznéj duchowéj pogody? Miewa zresztą i epikureizm swoje zadumy, wiedział i Rzymianin, że pośród roskoszy „gorycz dziwna wstaje“. — Tytuł „Transkrypcyj“ uchroni może od nieporozumienia. Tak jest, przepisywałem dźwięki starożytnéj lutni na jakieś skromniejsze, bliższe nas narzędzie. Wiem ja dobrze, ile przy tém utraciły te pieśni na jędrności i wdzięku, ile na harmonii rytmu; bo zamiast wiązać się w wytworne strofy, idą proste moje wiersze parami—jak jarzma wołów, według słów poety, lub jak zakochani.

I.

Maecenas, atavis edite regibus. . . . .

Druhu mój, synu królów, chlubo ma i tarczo,
Patrz jakie błahe cele śmiertelnikom starczą,
Jak różna chwała, różna roskosz co ich nęci,
I jak za jedną marą gonią bez pamięci!
Ten w cyrkowéj kurzawie pędząc na rydwanie,
Gdy minie głaz narożny i palmę dostanie,

Już się z bogami zrównał. Ten chwały nie syty,
Chce w todze bramowanéj iść między Kwiryty
I liktory przed sobą mieć. Tego od sadu
Nie odegnać nadzieją drogiego pokładu
I choćbyś mu obiecał Pergam, gdzie się słońce
Dziwi, wschodząc nad gmachy od złota kapiące.
Innego tak znów chętka bogactwa zapali,
Że pójdzie aż gdzie Tule sterczy w mrocznéj dali;
I choć w burzę zatęsknił do domu, znów łata
Okręt, i chwiejnym żaglem płynie na kraj świata.
Ów lubi się pod drzewem położyć i marzyć,
Póki mu w cichym gaju będzie źródło gwarzyć
I wina stanie w krużu. Żołnierz w takiéj ciszy
Wrzask bitew i głos rogów wojennych usłyszy,
Zwabią go krwawe przejścia, dalekie przypadki,
Wojna, po któréj potém długo płaczą matki.
Myśliwiec pójdzie w ostęp, gdy księżyc zaświeci
Wieczorem mroźnym: dzik mu porwał w borze sieci,
Albo mu głosem łanię ruszyły szczenięta,
Idzie nocą — na uścisk żony nie pamięta.

Ja znów wiem takie piękne, ustronne zaciszc,
Kędy wicher z północy drzew nie zakołysze,
Słońca blask krwawy chyba ukosem się wkrada,
Nimf i Satyrów lekka błąka się gromada.
Tam dębów, laurów wieczną okolony wiosną,
Czuję, druhu, jak pieśni w mojéj piersi rosną.
Tam już lezbijskiéj lutni z ręki nie wypuszczę,
Marząc, że Muza czoło ozdabia mi w bluszcze.
I składam śpiew dla siebie, zdala ciżby tłumnéj,
Na jéj sąd obojętny, za cichy, za dumny.
A jeśli ty w pieśniarzy zamieścisz mię gronie,
Nie chcę chwały, nad gwiazdy wznosząc moje skronie.

II.

Solvitur acris hiems . . . . .

Oto się na gór szczytach zaledwo z daleka
Śnieg bieli i łódź z lądu na morze ucieka.
Pierwszy raz dzisiaj bydło wygnano na pole
Bez szronu i od ognia oracz szedł na rolę.
A kiedy z za cyprysów księżyc wyzłacany
Wypłynie, Venus Gracye powoła na tany,
Powiedzie Nimfy nagie i będą bez końca
Trwać uciechy i pląsy w promieniach miesiąca.
Bo młoda zieleń w słońcu z czarnéj ziemi tryska
I w woni wiatrów letnich czuć, że wiosna bliska.
Bo się już i Cyklopy zbudziły i nocą
Widać, jak się na górach ognie kuźnic złocą.
Teraz, teraz nam życia użyć i w mirtowe
Wieńce, w kwiaty barwione ustroić nam głowę,
W pierwsze kwiaty, co rola odmarzła nam niesie.
Teraz płochego Fauna uczcić w chłodnym lesie,
Na wiosenną ofiarę bijąc, co zapragnie,
Koziełka rogatego, białorunne jagnię.
Śmierć na nas ciągle czycha, choć nadzieja ludzi;
Śmierć zajdzie i do biednych i do możnych ludzi,
A kiedy, szczęsny druhu, do krainy bladéj
Cieniów wkroczysz, już królem nie będziesz biesiady,
Już ci się nie uśmiechnie nad Styksem dziewica,
Co zazdrość chłopców budzi i ciebie zachwyca.

III.

Laudabunt alii claram Rhodon . . .

Niech kto sobie Rodos biały wśród przestworów sinych chwali,
Albo Korynt, co swe ściany odźwierciedla w dwóch mórz fali,
Jak gałązkę do gałązki niech do zwrotki zwrotkę składa,
By gród uczcić, skąd ku morzom z Akropolu lśni Pallada:
Ja ni z taką tęskną żądzą ni z zachwytem takim patrzę
Na pagórki win najsłodszych i na łany najbogatsze,
Jak na kącik ten mój miły, gdzie przez sady i przez gaje,
W dzionek letni, jednostajnie głośne szemrzą mi ruczaje,
Kędy w grocie Nimfa mieszka, a wśród gęstych bluszczów rzeka
Śnieżnym, szumnym wodospadem wiecznie z urny jéj ucieka.
Wszak nie zawsze burze, druhu, południowy wiatr przywodzi,
Lecz i obłok przegna srebrny i niebiosa rozpogodzi:
Tak i ty pamiętaj zawsze, byś po troskach i po znoju
Umiał mądrze użyć wczasu i wesela i spokoju.
Czy ogarnie cię chłód lasów i cień luby, czy też złoty
Będzie ci legionów orzeł błyszczeć gwiazdą nad namioty,
Nie zapomnijże o winie . . . Z Salaminy, pełen sromu,
Płynął Teucer, przez rodzica Telamona wygnan z domu,
I choć gniew nim srogi miota, choć o przyszłość troska boli,
Siadł do wina pośród druhów i skroń ubrał w liść topoli.
Gdzie nas jutro los zapędzi?!.. Pijmy, póki starczy wina...
Za morzami głębokiemi inna wstanie Salamina.
Pijmy, póki Teucer wiedzie, a gdy ranna wejdzie zorza,
Każcie znowu zepchnąć łodzie, zepchnąć na toń zdradną morza.

IV.

Tu ne quaesieris. . . . .

Kiedy nas śmierć zaskoczy, nie pytaj, nie pytaj,
Leukonoe! i w liczbach wróżbiarzy nie czytaj
I nie badaj, kto z dwojga pierwszy legnie w grobie:
Tajniki losów bogi zachowały sobie.
Więc czy dla nas ostatnia to zima, co w szale
Rozbija o skalisty brzeg tyrreńskie fale,
Czy jeszcze nam niejednéj pozwoli los dożyć,
Nie lepiéjże znieść klęskę, jak wciąż się nią trwożyć?
Jutru ty nie zaufaj, nie wiesz co nas czeka...
Gdy mówię—niewstrzymany niczem czas ucieka...
Więc żyj, bądź dobréj myśli, o przyszłość nie pytaj...
Przemknie ci lotne szczęście, to chwytaj je, chwytaj,
Aby ci kiedyś chwili nie było żal błogiéj,
Przypadkiem przez zazdrosne porzuconéj bogi.

V.

Vile potabis modicis Sabinum. . . . .

Gdy zajrzysz do mnie, przy Sabińskiem winie
Pogwarzym; w greckie zlałem je naczynie
Dawno już, dawno... Wszak przypomnisz sobie
Ów dzień, gdyś znowu po długiéj chorobie
Wszedł do teatru: na stopniach dokoła
Lud powstał, klaszcze, wita cię i woła,
Krzyk się odbija aż o brzeg daleki
Płowego Tybru, twéj ojczystéj rzeki,
I odpowiada mu ta Nimfa śmieszka,
Echo, co w grotach Watykanu mieszka.

Wiesz, jak to dobrze starym druhom gwarzyć,
Wiesz, że i wino mogło się zestarzéć...
Niech cię od progów moich więc nie straszy,
Że to nie Falern i że w drobnéj czaszy.
Miło jest z druhem podpić sobie skromnie
I szaleć miło, gdy ty wstąpisz do mnie.

VI.

Vitas hinnuleo me similis, Chloe. . . .

Dzieweczko, pora kwiatów i kochania . . . . .
I czemuż jeszcze uciekasz, jak łania
Młodziutka, co przez bory i przez gaje
Za matką goni i co chwila staje
Trwożna, bo oto idzie szmer przez puszcze
Wiosenny, oto nagle między bluszcze
Słońcem wygrzanych jaszczurek gromada
Pierzchła i w ruin szczelinach przepada?

Już się dziewicą z dziecka stałaś gładką.
I już za mężem ci iść, nie za matką,
Paść mu w ramiona, w pełni krasy młodéj.
Czas być kochaną: jać nie zrobię szkody,
Jam żaden potwór, ni dziki zwierz lasu . . . . .
Czas ci i kochać: kochaj! nie trać czasu!

VII.

Miserarum est neque amori dare ludum. . . . .

Biada, biada téj dziewczynie, co marzy stęskniona,
Ni zapomnieć chłopca może, ni paść mu w ramiona.
Dni mijają, ona z trwogą nagan starców słucha,
Płacze, płonie; ulecíały radość i otucha.
Chłopca tobie pani Cypru przywiodła miłosna
I rzuciłaś, Neobule, czółenka i krosna —
Zapomniany kunszt Minerwy, za kochaniem obcem
Poszły myśli, za uroczym z wysp eolskich chłopcem.
Kto tak drugi w Tyber skoczy i wśród rwącéj toni
Wpław go przejdzie i na dzikim źrebcu kto pogoni?
Kto z ostępu, gdzie się schronił, zdoła wyprzeć dzika,
Kiedy puszczy dowierzając, z gąszczu w gąszcz pomyka?
Komu chwała i zwycięstwo tam gdzie walczą mężo?
Goniąc konno kto oszczepem jelenia dosięże?
A biegają chłopcy w stadyach, kto odbiera wieniec?
Gość nadobny z wysp eolskich, z Lipary młodzieniec!

VIII.

Diffugere nives . . . . .

Stopniały śniegi, stroją się w zieleń łąki i drzewa,
Powstał wiatr letni, potok wiosenny łany zalewa,
Wśród Nimf gromady urocza Venus w oliwnym lasku
Zawodzi tańce, naga i biała, w księżyca blasku . . .
Na lotnych skrzydłach unosząc doby, chyża godzina
I pora roku krótkość nam danych dni przypomina:
Po zimie wiosna — spycha ją lato — już lata niema,
Jesień rozsieje kłosy i grona — i znowu zima.
Lecz choć na nowiu przygaśnie miesiąc, wnet się odzłaca,
Z nas gdy kto zemrze, cieniem się staje i w proch obraca.
Kto wie czy bogi dorzucą jutro do dni szeregu?
A gdy raz, druhu, zejdziesz w noc ciemną u Lety brzegu,
Nikt się o piękność sławę ni cnotę twoją nie spyta:
Boskiéj Dyannie wydać nie chciała śmierć Hipolita.

K. M. Górski.

NOWE OPRACOWANIA ŹRÓDŁOWE.

Michael: „*Englands Stellung zur ersten Teilung Polens*“. Hamburg. 1890, str. 91. — **Żółtowski**: „*Die Finanzen des Herzogtum Warschau*“. (1806 — 1815). Erstes Bändchen. Posen 1890, str. 125.

I.

Ubiegły rok wzbogacił pośrednio literaturę naszą dwoma studyami, z których każde podało w staranném i sumienném opracowaniu wiązkę odszukanych przez autorów archiwalnych źródeł. Nadto, przypadkowym zrządzeniem losów, obaj pracownicy poświęcili uwagę epokom zbliżonym do siebie. P. Michael bowiem zastanawiał się nad stanowiskiem, jakie zajęła Anglia do pierwszego podziału Polski, a p. Żółtowski przedstawił stan finansów za czasów Księztwa Warszawskiego. Druga zatem połowa wieku XVIII i początek wieku XIX stały się przedmiotem badań pisarzów powyżej wymienionych. Obie zaś rozprawy, pomimo że ogłoszone zostały w języku niemieckim, przedstawiają żywy dla nas interes. Doniosłość ich jednak nie ogranicza się bynajmniej na tem, że dotykają dawnych polskich stosunków, polega ona bowiem i na tem, że w obu rozprawach znajduje się wiązka nowych archiwalnych dokumentów, które dotąd przez historyków naszych nie zostały należycie wyzyskanemi.

P. Michael za pośrednictwem niemieckiej ambasady w Londynie, otrzymał z „Foreign Office“ pozwolenie przejrzenia dokumentów zawartych w brytańskiem archiwum państwowem (Public Record Office). Przewertował też dokładnie korrespondencye sekretaryalne państwa z reprezentantami króla angielskiego w Berlinie, Wiedniu, Petersburgu, Warszawie, Gdańsku, Paryżu, Hadze (1772 — 74) i przekonał się iż tylko część tych dokumentów drukowaną była u Raumera; bardzo ważne jednak akta stwierdzające istnienie konfliktu między Anglią

a Prussami w r. 1773, pozostały dotąd zapomnianemi. Przytem p. Michael uzupełnił studya archiwalne londyńskie poszukiwaniami w tajnem archiwum państwowem w Berlinie, gdzie przejrzał pilnie instrukcye Fryderyka Wielkiego przesłane Maltzanowi do Londynu, oraz sprawozdanie oryginalne tegoż ambasadora, przesyłane swemu monarsze.

P. Żółtowski znowu, przy pośrednictwie swych profesorów (Roscher i Brentano), otrzymał wstęp do głównego archiwum państwowego w Dreznie, gdzie, jak sam wyznaje, znalazł materyał historyczny do epoki Księztwa, dość bogaty i wiarogodny, który stanowił podstawę jego pracy. Zaznaczyć winienem że Skarbkowi, jako specyalnemu historykowi Księztwa Warszawskiego, oraz innym polskim historykom nowszych dziejów, pozostało też archiwum państwowe Drezdeńskie, odnośnie do czasów Księztwa, obcem; poznajomienie więc nas ze źródłami nowemi, niewyzyskanemi przez poważnych badaczów, należy poczytać za myśl szczęśliwą i pożyteczną, za którą młodemu adeptowi nauki należy się serdeczne słowo uznania.

W mniemaniu że przegląd dokładniejszy obu prac, powyżej wymienionych, nie będzie naszym czytelnikom obojętnym, przystępuję najprzód do rozprawy p. Michaela, jako zajmującéj się epoką wcześniejszą. Autor niemiecki obdarza nas na wstępie niezbyt obiecującemi wnioskami, zapożyczonemi z historyozofii urzędowej, urzędowych historyków — Treitschkego i Sybla. Czytamy bowiem co następuje: „Polska bez pierwszego podziału nie byłaby w stanie zachować swej niezawisłości. Dzięki też podziałowi uniknięto europejskiej wojny. Austrya bowiem i zwycięzka w wojnie tureckiej Rossya, znalazły tym sposobem pewne zaspokojenie. Prussy zaś zdobywały przyszłym Niemcom ziemię, która przed trzystu laty odpadła do Polski, ale zachowała wiernie swój pierwotny niemiecki charakter“. Na szczęście jednak dla pracy Michaela, tych oryginalnych historyozoficznych pomysłów nakazujących Prussom zdobywać ziemie polskie dla „przyszłych Niemiec“ jest nie wiele i czasami tylko wydobywa się na jaw tendencya stemplowana w „Preussiche Jahrbücher“.

Przystępując do właściwéj opowieści, Michael zaznacza, że Anglia nie zajęła żadnego oficyalnego stanowiska w obec pierwszego podziału Polski. Gdy się ów fakt dziejowy przygotowywał, W. Brytania zachowała się tak jak Francya i w ogóle jak inne bezpośrednio niezainteresowane państwa, które przedewszystkiem pozostawiły rzeczy ich własnemu biegowi. Wprawdzie instrukcye z d. 27 Maja 1772 r, doręczone Gunningowi, nowemu ambasadorowi Jerzego III-go w Petersburgu, brzmiały wyraźnie że współdziałanie rządu Brytańskiego będzie jedynie miało na celu „utrzymanie w Polsce panują-

cego króla na tronie, oraz zachowanie pokoju dawnych granic Rzeczypospolitej"; lecz gdy Murray w Konstantynopolu radził Porcie nie zawierać z Rossyą pokoju, aby przez to odwlec przynajmniéj przygotowujący się pierwszy podział Polski, otrzymał od ministra, lorda Suffolka surową naganę, za to iż źle zrozumiał istotne zamiary swego monarchy. Dalej, tłomaczy Suffolk ambasadorowi że jakkolwiek istnieją obawy co do tego, iż zamierzone przeistoczenia wpłyną ujemnie na stosunki handlowe mocarstw, to jednakże monarcha Anglii nie przypisuje im bynajmniéj téj doniosłości aby się im należało bezpośrednio sprzeciwiać, jak to zamierzał uczynić ambasador. Rząd angielski ograniczył się też na nazwaniu pierwszego podziału: „wydarzeniem nadzwyczajnem i nieoczekiwanem" i na razie przyjął postawę wyczekującą.

Następnie jednak, gdy mocarstwa zainteresowane zakomunikowały dworowi angielskiemu motywa dla których zajęły niektóre ziemie polskie, wyrzekając się pretensyi do reszty, otrzymały od Suffolka ustną odpowiedź następującego brzmienia: król chce chętnie wierzyć, że pobudki działania trzech dworów były sprawiedliwe i uzasadnione, chociaż motywa działania rządów nie są bliżéj znane. Prócz tego, Suffolk przesłał instrukcyę ambasadorowi angielskiemu w Berlinie, polecającą mu zachowywać się ostrożnie i powstrzymywać przezornie od wszelkiego sądu, któryby mógł skompromitować poczucie etyczne jego monarchy. Z kolei rzeczy, nie zaniedbał Bukaty, pełnomocnik polski w Londynie, przedstawić Suffolkowi w r. 1772 istotnego położenia rzeczy w swoim kraju, przyczem zwrócił uwagę na niebezpieczeństwa jakiemi podział grozi wolności handlu oraz egzystencyi miasta Gdańska. Pomimo że Bukaty dotknął punktów bardzo drażliwych dla rządu wielkobrytańskiego, otrzymał wzamian od Suffolka bardzo chłodną odprawę i zapowiedź, że Anglia nie myśli wcale o żadnéj interwencyi. Rzeczy już za daleko zaszły, brzmiały słowa Suffolka, aby interwencya mogła liczyć na pomyślny rezultat. Dla tego też wszelkie mięszania się, nie wynikające z nieuniknionéj konieczności, przyczyniłyby się do pogorszenia położenia, zamiast do polepszenia. Dla dyplomatycznéj akcyi pora już zbyt spóźniona, jedynym sposobem pomożenia Polsce byłaby wojna, a Anglia nie myśli bynajmniéj dla Polski rozpoczynać walki. Na list zaś błagalny Stanisława Augusta odpowiedział król Jerzy wcale nie pocieszającemi słowy: „Zdaje mi się że już nieszczęście dosięgło tego stopnia rozwoju, iż jedynie ręka Wszechmocnego jest w stanie zaradzić złemu".

Michael zastanawia się nad kwestyą: gdzie istniała wówczas odpowiednia potęga europejska, którąby była w stanie stawić jakikolwiek opór zjednoczonym siłom militarnym Austryi, Rossyi i Prus.

Odpowiedź jego brzmi jasno i zwięźle, a w dodatku ma dużo siły przekonywającéj. Wobec tak potężnéj koalicyi północno-środkowéj Europy, mogła mieć znaczenie jedynie koalicya Anglii i Francyi, do którejby się przyłączyły państwa drugorzędne Zachodniéj Europy. Tymczasem, o ile koalicya trzech mocarstw była spoista, tak że nawet zdawało się że Austrya zapomniała Prusom oderwanie Szlązka, o tyle dawny antagonizm Francyi z Anglią trwał w całéj mocy. Właśnie wówczas lord North starał się Anglii za jakąbądź cenę zapewnić pokój, a ambasador Gunning otrzymał polecenie zbadać usposobienie dworu petersburskiego i ewentualnie zaproponować nowy sojusz między Anglią, Rossyą i Szwecyą.

Gdy więc plan pierwszego podziału dojrzał, zarówno Anglia jak i Francya zamierzały oddzielnie używać swego wpływu, w celu zapobieżenia planom trzech mocarstw. Dopiero jak wszelkie starania Francyi o oderwanie Austryi od koalicyi okazały się daremnemi, wystąpił książę Aiguillon z propozycyą wspólnego działania z Anglią, aby Rzeczpospolitą utrzymać w dawnych granicach. Była to dawna myśl Choiseula, którą lord Rochford odtrącił cierpkiemi słowy. Książe Aiguillon zdaje się zapominać, mówił Rochford do francuzkiego ambasadora, że naturalne interesa obu krajów są zupełnie odmiennemi. Niewątpliwie obu państwom zależy na utrzymaniu pokoju w Europie, ale byłoby to cokolwiek za wiele, gdyby Francya spodziewała się że wejdziemy z nią w bliższe stosunki, lub nawet że zawrzemy ze sobą przymierze. Odpowiedź tak chłodna wyleczyła wprawdzie ks. Aiguillon z projektów sojuszu z Anglią, lecz w to miejsce nasunęła mu inne kombinacye, a mianowicie przymierze Francyi z Hiszpanją, Rossyą i Szwecyą. I ten pomysł wszakże pozostał nieurzeczywistnionym, a to głównie z tego powodu, iż wówczas na dworze petersburskim przeważał wpływ Fryderyka II.

Miasto Gdańsk, jak wiadomo, nie przypadło w pierwszym podziale Prusom, ale otoczone zewsząd potęgą pruską, nie było w stanie uniknąć swego przeznaczenia. Fryderyk II miał też jasno cel zdobyczy wytknięty i tylko ze względu na inne mocarstwa, oświadczał, że należy sobie Gdańsk na sam ostatek zachować. Zanim jednak miasto zostało ostatecznie w r. 1793 do Prus wcielonem, musiało znosić od potężnych sąsiadów nieustanne udręczenia, które mu zjednały współczucie całéj Europy. Na współczuciu się jednak wszystko skończyło, prawdziwa bowiem a skuteczna pomoc znikąd nie przyszła. W każdym razie przyznać należy, że choć Anglia nie wysuwała się na widownię, jednak od 1772—74, zrobiła ze wszystkich mocarstw najwięcéj aby los Gdańska przynajmniéj cokolwiek złagodzić.

Gdańsk, zdaniem Michaela, uważał się zawsze za poddanego

królewskiego, a nie za poddanego Rzeczypospolitéj i dla tego zachował tak niepodległe stanowisko jak niemieckie „Reichsstädte“. Dobrobyt miasta spoczywał w szeroko rozgałęzionym handlu, z wieloma potencyami morskiemi. W r. 1772 angielska faktorya w Gdańsku, reprezentowana była przez dziewięć domów handlowych. Przywóz roczny faktoryi wynosił 350,000 funtów st., wywóz zaś 250,000 funt., liczba zaś okrętów angielskich, które rocznie zawijały do portu gdańskiego, wynosiła 220. Hollandya nie miała wprawdzie w mieście faktoryi ale za to istniało 12—15 domów handlowych i przybywało do portu 300 okrętów hollenderskich, które wywoziły jeszcze więcej niż Anglia. Prócz obu powyżéj wymienionych państw, pozostawały jeszcze skandynawskie kraje i Hamburg w bardzo ścisłych stosunkach handlowych z Gdańskiem, w luźniejszych zaś i więcéj pośrednich Francya oraz Hiszpania.

W r. 1772 byłby Gdańsk stał się niezawodnym łupem Prus, gdyby nie stanowczy opór Cesarzowéj Katarzyny, która nie chciała na zabór zezwolić ze względu na interesa mocarstw morskich. Król pruski wszakże urządziwszy komorę celną w Fordoniu nad Wisłą, potrafił handel na téj rzece uczynić prawie niemożliwym. Położenie ekonomiczne miasta groziło tym sposobem zupełną ruiną i nawet pełnomocnik Gdańska w Berlinie radził reprezentantom miasta, aby szukali ratunku w zbliżeniu się do króla pruskiego i w zawarciu z nim specyalnéj umowy. Naturalnie, owa umowa nie oznaczała nic innego jak przyjęcie zwierzchnictwa pruskiego i niszcząca oraz rujnująca polityka Fryderyka II, prócz niezmiernych zysków, przedewszystkiem ten tajemny cel względem Gdańska żywiła.

Wkrótce kupcy angielscy mieli sposobność przekonać się, jak mało jest wartą wymuszona niezawisłość Gdańska, a rezydent angielski Carry w 1772 r. zwracał uwagę londyńskiego gabinetu na to, że dwór pruski podszedł swych sprzymierzeńców. Domagając się bowiem dla Prus całych polskich prowincyj pruskich, przemilczał najzupełniéj o rozmaitych związkach jakie łączyły Gdańsk z powyższą prowincyą i obecnie łatwo mu przyjdzie zawładnąć całym handlem z Polską. Niewątpliwie bowiem na mocy tych dawnych stosunków państwowo-prawnych, może król pruski zawładnąć portem, obsadzić ujścia Wisły i wojska swe posunąć aż do bram miasta.

Pierwsza wszakże akcya dyplomatyczna w celu ochrony interesów Gdańska, wyszła nie od Anglii lecz od Hollandyi. Patrycyat Hagi postanowił poprosić króla Anglii o wyrażenie zdania w kwestyi: czy nie należałoby Prusom lub innym mocarstwom uczynić oficyalnego przedstawienia w sprawie Gdańska. Lord Suffolk zgodził się na uczynioną propozycję, oświadczając, iż ma nadzieję, że stany gene-

ralne Hollandyi poprą energicznie przedstawienie Anglii. Plan zaś działania gabinetu londyńskiego, obmyślany przez Harrisa, polegał głównie na tem, aby skłonić Cesarzową Katarzynę do użycia swego wpływu na rzecz Gdańska i do przymuszenia króla pruskiego, aby uczynił należyte, na polu ekonomicznem ustępstwa dla miasta. Pomysł Harrisa wydawał się dosyć trafnym gdyż i Austrya przyrzekła popierać angielskie propozycye w Petersburgu, ale od bezpośredniéj negocyacyi z królem pruskim uchylała się zupełnie.

Tymczasem główny spór między Prusami a Gdańskiem dotyczył prawa zwierzchnictwa nad portem (Fahrwasser). Obie strony opierały się na traktacie podziałowym z d. 5 Sierpnia 1772 r. i z niego wyprowadzały swe pretensye. Prusy przedstawiały w obronie swéj następującą teoryę dowodową: port gdański zarówno jak i zabudowania leżące na lewym brzegu Wisły, należały niegdyś do klasztoru Oliwy i zostały miastu Gdańskowi oddane na prawie emfiteutycznem w posiadanie. Fryderyk II zagarniając Prusy zachodnie, uważał się tem samem za prawnego następcę opata Oliwy i na mocy tego, więcéj niż wątpliwego tytułu jurydycznego zajął w posiadanie port. Nie ulega żadnéj wątpliwości, że tak rabulistyczne wywody można było łatwo obalić przy pomocy samego traktatu podziałowego, ale tu właśnie nasuwała się poważna wątpliwość i trudność rządowi angielskiemu. Rząd ten nie uznał dotąd, ani miał ochoty uznawać traktatu podziałowego, a tymczasem teorye pruskie dawały się najłatwiéj brzmieniem traktatu obalić. Był to więc nowy wzgląd, który zniechęcał rząd wielkobrytański do bezpośredniego traktowania z królem pruskim.

Dyplomacya angielska obmyśliła zatem inny sposób osiągnięcia celu, który nie potrzebował uprzedniego zatwierdzenia i uznania traktatu podziałowego. Gdańsk, podług londyńskich rad, miał zawiązać bezpośrednie negocyacye z królem pruskim, ale w toku negocyacyj winien był trzymać się ściśle wskazówek brytańskich mężów stanu. Z drugiéj strony Fryderykowi II zależało wiele na tem, aby z Gdańskiem zawiązać bezpośrednie rokowania bez wmięszania się obcych mocarstw. Propozycye też jakie uczynił radzie miejskiéj, były dosyć kuszącemi, ale reprezentanci miasta oświadczyli, iż w żadne stosunki urzędowe z nim wchodzić nie pragną. Gdy zaś Anglia zaczęła nalegać i domagać się od Gdańska powolności, otrzymała odpowiedź: iż przedewszystkiem miasto domaga się zwłoki, aby swego zwierzchnika, króla polskiego, mogło o propozycyach uczynionych, powiadomić.

Jeżeli dyplomacyi angielskiéj nie udało się sprowadzić Gdańska ani na chwilę z drogi lojalności, to za to inny pomysł udał się brytańskim mężom stanu. Dwór russki bowiem zgodził się na pośrednictwo między Gdańskiem a Prusami i Panin dał Gunningowi najuro-

czystsze zapewnienie co do tego, że Cesarzowa russka podejmie troskę o wolność handlu Gdańska i o swobodę żeglugi na Wiśle. Wpływ Rossyi jedynie był możliwym w tym wypadku. Gdy też pruski generał Lentulus spotkał rezydenta Gdańskiego w Warszawie, wyraził mu wysokie niezadowolenie swego monarchy z postępowania opornego miasta Gdańska. Teraz domaga się król zupełnego poddania miasta, a od zamiarów w tym względzie może jedynie odstąpić na żądanie Cesarzowéj russkiéj. Za wyjątkiem jednak Rossyi, nie wolno żadnemu innemu mocarstwu mięszać się do sprawy gdańskiéj. Do jakiego zaś stopnia ton pruskiego gabinetu był stanowczym, dowodzi najlepiéj przeświadczenie Harrisa o tem, że angielska interwencya pogorszyłaby tylko położenie Gdańska. Zamiary bowiem życzliwe Cesarzowéj zostałyby utrudnione, a król pruski miałby powód więcéj do zaciętości.

Jakkolwiek oględnem, prawie trwożliwem, było postępowanie Anglii w sprawie Gdańska, jednak ściągnęło na nią gniew Fryderyka II. Do swego ambasadora w Petersburgu hr. Solms napisał w Listopadzie 1772 r., iż wie dobrze o tem, że Anglia jedynie stawia nieprzebyte zapory jego planom, obawiając się o swój handel. Jedyna też Anglia z zawiści o nieposiadanie portu podburza wszystkich przeciwko niemu. Obawy zaś wszelkie są płonnemi, albowiem wszelkie zaniepokojenia handlu przyprawiłoby Prusy o największe straty. Jeżeli jednak wyrzekania skierowane w stronę Anglii, musiały nosić cechę wstrzemięźliwości, to inaczéj postępował Fryderyk II z Hollandyą, która w sprawie gdańskiéj solidaryzowała się zupełnie z Anglią. W końcu roku 1772 zapytał niespodzianie król Pruski posła hollenderskiego, co myśli o przebiegu spraw w Polsce. Varelst, który wówczas zajmował to stanowisko, odpowiedział, że ogarnia go pewna troska o handel Gdański i na Wiśle, i że nie zdziwiłoby go wcale gdyby od swego rządu otrzymał zlecenie uczynienia rządowi pruskiemu życzliwych przedstawień. Król na to odparł sucho, że nie zdaje mu się aby poseł otrzymał podobne zlecenie, każdemu bowiem wolno czynić we własnym kraju co mu się podoba, a wreszcie wydanych rozporządzeń żadne przedstawienia nie są w stanie cofnąć. Jednocześnie z temi kategorycznemi słowy, wydał Fryderyk II polecenie zebrania armii w Westfalii. Nie wiadomo czy ta armia miała być postrachem na Hollandyę, dość że bezbronny kraj ujrzał w tem wymowny zakaz mięszania się do spraw Gdańska i tego zakazu w przyszłości już się wiernie trzymał.

Rozumie się samo przez się, że sprawa z Anglią była o wiele trudniejszą niż z Hollandyą, ale taki mistrz w kunszcie dyplomatycznym jak Fryderyk II, nie zraził się bynajmniéj przeszkodami. Widział on jak na dłoni, że zarówno Francyi jak i Anglii idzie przedewszystkiem

o rozdwojenie Prus i Rossyi, a więc że z téj strony grozi mu najpoważniejsze niebezpieczeństwo. Fryderyk II starał się też przekonać Cesarzową Katarzynę, że znoszenie tonu dyktatorskiego w jakim Anglia przemawia, nie jest koniecznem ani właściwem, tembardziéj, że projekta angielskie dalekie są od popierania interesów russkich, chodzi im jedynie o poważnienie Prus z Rossyą. Anglii chciał Fryderyk II przysporzyć kłopotów, nawiązując kunsztownie spór między rządem francuzkim a angielskią wschodnio-indyjską kompanią. Gdy jednak Anglia nie dawała się byle czem zastraszyć, drażliwość Fryderyka II przeistaczała się w formalny gniew.

Maltzan, ówczesny ambasador pruski w Londynie, podniecał jeszcze bardziéj gniew Fryderyka II zapewnieniem, że król pruski może z Gdańskiem postąpić jak zechce, gdyż w żadnym razie Anglia nie zdecyduje się na zerwanie, któreby za sobą musiało pociągnąć zbrojne starcie. Wkrótce po rzeczonych zapewnieniach, otrzymał Maltzan rozkaz publicznie głosić, iż nagle opuści Londyn, albowiem choć król jego pragnie ugodę zawrzeć z Gdańskiem, jednak nigdy nie dopuści pośrednictwa angielskiego dworu. Coby na to powiedział król angielski, gdyby mu się król pruski chciał mięszać do spraw Irlandyi? Trzeba tym ludziom powiedzieć, mówił dalej Fryderyk II, że pragnę być takim nieograniczonym władcą w Prusach, jakim jest król francuzki w Rouen lub w Bordeaux.

Maltzan zabrał się jednak dość niezgrabnie do dzieła, stawił bowiem Suffolkowi kategoryczne zapytanie, czy Anglia zamierza się mięszać do spraw Gdańska, czy tylko chce pośredniczyć, a na takie zapytanie natarczywe, mógł angielski minister dać zaledwo ogólnikową odpowiedź, która monarchy pruskiego bynajmniéj zadowolnić nie mogła. Lord Suffolk zapewnił Maltzana że w obu przewidywanych wypadkach, rząd angielski pójdzie tak daleko jak tego wymaga honor i interes jego monarchy. W żadnym razie jednak nie może dać oświadczenia, któreby mu związało ręce na przyszłość i zawsze będzie przedsiębrał środki odpowiednie do okoliczności. Jedna pomyłka wywołuje często drugą i Maltzan też zamiast spostrzedz się w porę, iż jego natarczywe zapytanie nie zrobiło wrażenia, posunął się do rozpuszczenia wieści iż opuścił Londyn. Niezadługo wszakże musiał się znowu ukazać na widowni, a niefortunny ten manewr ujawnił tylko fakta niebardzo osobiście miłe dla Maltzana, a mianowicie iż ambasador pruski przeciążony był długami, z powodu gry na giełdzie.

Pierwszą wieść o zamierzonéj interwencyi Cesarzowéj Katarzyny, przyjęło miasto Gdańsk z nieufnością. Patrycyat wierzył tylko w króla angielskiego i dla tego nawet po przybyciu Gołowkina, czyniono daremne starania aby przynajmniéj Anglia współdziałała z Ros-

syą. Gołowkin od samego początku zajął wyraźne stanowisko, doradzając miastu, aby propozycyj pruskich nie odrzucało lekkomyślnie, lecz aby starało się o uzyskanie drogą ugody jak najlepszych dla siebie warunków. Nie ulegało żadnéj wątpliwości, że od chwili wystąpienia Gołowkina, losy Gdańska znajdowały się w ręku Rossyi i nawet lord Suffolk był przygotowanym na to, że swoboda handlu Gdańska da się jedynie kosztem jego niezależności uratować. Dnia 21 Października 1773 r. odbył Suffolk konferencyę z Maltzanem, na któréj ambasador pruski zakomunikował mu warunki, pod któremi Prusy gotoweby były zawrzeć ugodę z Gdańskiem. Warunki te były następującemi: król pruski, jako pan terrytoryum oliwskiego, na którem Gdańsk wybudował swój port, pozostawia im zupełne użytkowanie z takowego. Gdańsk będzie nadal pobierał wszelkie dochody z portu, król pruski zaś ograniczy się na pobieraniu rocznéj renty, z tego samego tytułu prawnego, z jakiego królowie polscy pobierali opłatę z portu. Następnie król pruski uznaje Gdańsk za niezależnego pana w municypalnym obrębie. Cła zaś na Wiśle nie zostaną ani zwiększonemi ani zmniejszonemi, tak że Gdańsk będzie mógł używać swobód, do jakich ma uzasadnioną pretensję.

W dodatku oświadczył Maltzan Suffolkowi, że król pruski od powyższych warunków nie zamierza ani na jotę ustąpić, Suffolk zaś, jakkolwiek uważał warunki pruskie za pomyślne dla Gdańszczan, ograniczył się jedynie na oficyalnem zapewnieniu, że całą sprawę zakomunikuje monarsze, obawiał się bowiem aby jego pospieszna zgoda nie zrobiła złego wrażenia. Gdańsk tymczasem okazał się nieporuszonym. Miasto, z końcem r. 1773, gotowe było królowi pruskiemu zapłacić jednorazowo znaczną nawet sumę, ale na roczną rentę przystać nie mogło, boby takowa była symbolem politycznéj zależności od Prus. Gdy Gunning nalegał na Panina, aby poparł powyższy projekt Gdańska, ten wręcz odmówił, z téj zasady, iż król pruski zbyt jest zawziętym na tym punkcie.

Dnia 11 Lutego 1774 roku zwołał też Gołowkin deputowanych gdańskiego magistratu i odczytał im depeszę Panina, osnowy niezbyt pocieszającéj: J. Cesarska Mość, brzmiało w depeszy, bardzo jest niezadowolona z uporu miasta. Jeżeli też w dalszym ciągu Gdańsk nie zechce uznać praw terrytoryalnych króla pruskiego, w takim razie J. C. Mość cofa swe pośrednictwo, pozostawia miasto swemu własnemu losowi i nie myśli się więcéj mięszać do jego spraw. Z postępopowania władz miejskich można jedynie się domyślać że dążą do rozdwojenia Prus z Rossyą, ale jedynym rezultatem takiego postępowania będzie to, że miasto padnie ofiarą nieporozumienia. Zaskoczeni niespodzianie deputowani magistratu oświadczyli, iż przedewszystkiem

muszą się zapytać o zdanie króla polskiego. Gdy zaś Gołowkin pragnął przeczytać list, który miał być wysłany do Stanisława Augusta, magistrat postanowił upoważnić gdańskiego rezydenta w Warszawie, do ustnego przedstawienia całéj sprawy królowi. Gołowkin zatem ostatecznie zgodził się czekać sześć dni na odpowiedź, która miała brzmieć lakonicznie „tak lub nie“. Pobór ceł wszakże winien bezzwłocznie nastąpić. Nie ulegało żadnéj wątpliwości, że depesza Panina stanowiła ultimatum na które nie można było w żadnym razie zwlekać z odpowiedzią.

W tak smutnem położeniu nawet deputowani magistratu gdańskiego doradzali ustępstwo dla Pruss, lecz rada nie mogła się zdecydować na akt odstępstwa, a ludność Gdańska była mu zupełnie przeciwną. Gołowkin odebrał też odpowiedź wymijającą i zwlekającą, poczem razem z rezydentem pruskim opuścił bezzwłocznie miasto czyli że negocyacye z Prusami były stanowczo zerwane. Dnia 11 Maja 1774 r. pojawił się też w Berlinie edykt, normujący stosunki handlowe Anglii w pruskich krajach. Z mocy rzeczonego edyktu, okręty angielskie miały używać przywilejów przysługujących zwykle jaknajbardziéj zaprzyjaźnionym państwom. Angielski handel znalazł się w pewnych razach w lepszem położeniu, niż hollenderski lub hamburski, a niekiedy używał tych samych prerogatyw co poddani pruscy. W nowym zaborze pruskim miał handel angielski nie uczuć żadnych zmian i te same przepisy prawne miały się doń stosować, co za dawnych polskich czasów. Tym sposobem zapewniono Anglii możliwe korzyści, a jak tylko handel jéj nie był zagrożonym, fakt sam podziału przestał ją niepokoić. Dnia też 23 Sierpnia 1774 r. pisał lord Suffolk następujące słowa: „rzeczy zaszły już tak daleko, że w sprawie podziału nic zmienić się nie da“.

W końcu swéj rozprawy, ocenia Michael postępowanie angielskiego rządu, zaznaczając że w niem nie było przedewszystkiem konsekwencyi. Najpierw pozostawiła Anglia sprawy polskie swemu własnemu biegowi i odrzuciła przymierze z Francyą, a z drugiéj strony starała się przez wpływy na dworze russkim, rozbić trójprzymierze i uniemożliwić zabory. Anglia nie uznała nigdy traktatu podziałowego ale i nie protestowała przeciwko niemu. I jeden bowiem i drugi czyn wiązałby jéj ręce w przyszłości. Również w sprawie Gdańska okazała się polityka angielska dwulicową. Rząd brytański pragnął poprzeć miasto przed królem pruskim, lecz pośrednictwa podjąć się nie chciał i działał jedynie po za plecami Gdańszczan. Późniéj bowiem, gdy oddziaływanie na króla pruskiego przez Rossyę okazało się zawodnem, pozostawił Gdańsk swemu własnemu losowi.

Pracy p. Michaela przyznać należy pewną doniosłość dla histo-

ryografii, ale w każdym razie ograniczoną. O ile autor starannie przestudyował archiwum państwowe w Londynie, oraz archiwum tajne w Berlinie, o tyle zdobył sobie zasługę wydobycia na jaw materyału dziejowego, dotąd mało przystępnego badaczom. Niewątpliwie należało naszym historykom podjąć zadanie, zwłaszcza w Londynie, którego dokonał Michael; obecnie na naszych historykach spoczywa obowiązek sprawdzenia, czy Michael sumiennie i umiejętnie przestudyował materyał archiwalny, na którym oparł swą rozprawę.

Co do mnie jednak, to ponieważ archiwa w Londynie i w Berlinie są mi znanemi, przeto ograniczyć się muszę na sprawdzeniu wywodów autora, które po za specyalnie badaną kwestją, zdradzają małą znajomość historyi Polski, oraz historyi prawa państwowego polskiego. Najbogatszą wiązankę faktów, wydobył Michael z archiwów londyńskiego i berlińskiego, odnośnie do sprawy Gdańska; tymczasem niezdołał się dowiedzieć że spór z Gdańskiem o własność portu i prądu Wisły (Fahrwasser), wywołał prace z dziedziny prawa międzynarodowego publikowane w języku francuskim w r. 1773 [1]).

Pierwszy z memoryałów opracowany niewątpliwie przez prawników gdańskich, nosi tytuł: „Reflexions sur la propriété du port de Dantzig“, a pierwszy tytuł brzmi jak następuje: „Les vérités, qu'on va établir dans cet écrit, prouveront que dans le cas, où la ville de Dantzig avec son territoire doit être exceptée de la prise de possession de la Prusse Polonaise, le Port non plus que les droits, qui en dépendent, ne sauraient être enlevés à la même ville“. Po wywodzie ścisłym praw miasta Gdańska do portu, znajduje się w końcu memoryału krótka konkluzya, wykazująca niewłaściwości objęcia w posiadanie portu przez obce mocarstwo, gdy miasto Gdańsk zostało z zaboru wykluczone.

Drugi memoryał nosi tytuł: „Remarques sur la pièce intitulée: preuves et défense des droits du roi sur le port et péage de la Vistule, imprimée a Berlin 1773“. Znajdujemy w nim wszystkie motywa, które przytaczał król pruski na usprawiedliwienie swéj polityki, a w końcu znajdujemy ustęp następującéj treści: „Les assurances de

---

[1]) Wprawdzie prace te są dość rzadkie i nie znajdujemy o nich żadnéj wzmianki w interesującéj pracy Kasparka p. t. „Udział polaków w uprawie prawa międzynarodowego“, pomimo że autorami pierwszéj obrony są niewątpliwie prawnicy gdańscy. Zresztą w wieku XVIII literatura nasza posiada więcéj drobniejszych prac z dziedziny prawa międzynarodowego, które uszły uwagi badaczów. Wspomnę tylko sposobem przykładu: 1) Sur le droit de legation des ducs de Courlande par Heyking chambellan du roi de Pologne. Berlin 1786 i 2) Eclaircissement de la question si Mr. Zugehoer peut jouir à la Cour de Pologne des privilèges du droit des gens appartenant aux ministres étrangers.

ces gracieuses dispositions de Sa Majesté Prusienne font revivre les espérances de la ville. Elle ose se flatter que, ses représentations très humbles et très respertueuses étant déposées au piéd du Trône Auguste de sa Majesté, Elle ne lui refusera plus par un effet de sa magnanimité et générosité royale la jouissance solidaire de son port et des revenus y attachés".

Gdyby te dwa memoryały znane były Michaelowi, niewątpliwie spór Gdańska o port mógłby był być przedstawionym z większą precyzyą. Pominięcie wszakże tych dwóch interesujących dokumentów, jest najmniejszym z zarzutów jakie mam Michaela pracy do uczynienia. W rozprawie habilitacyjnéj, jaką jest jego książeczka, powinien był autor ujawnić większą znajomość dawnéj historyi polskiéj, a przedewszystkiem historyi miasta Gdańska. Tymczasem spotkać można w jego monografii wyrażenia, które zdradzają nieświadomość o ważnych faktach i pracach poprzedników. Gdy też Michael utrzymuje, że prowincye pruskie oderwane od Niemiec do Polski, utrzymały wiernie swój niemiecki charakter, to wyrażenie podobne, obliczone na efekt polityczny, nie licuje zbytnio z prawdą. Jeden z urzędowych historyków pruskich, Treitschke, twierdzi zupełnie inaczéj i boleje nad tem, że tak długo świat musiał patrzeć na wstrętny widok, jak sławianin panował nad niemcem. Treitschkemu wszakże wiadomo było że w dwadzieścia lat po unii lubelskiéj, panował na generałach pruskich język polski i szlachta pruska spolszczała zupełnie [1]).

Grubszym błędem jest ustęp (str. 23), w którym Michael utrzymuje, że miasto Gdańsk rościło zawsze pretensye do tego, że jest poddanem tylko królowi, nie zaś rzeczypospolitéj, oraz że udało się Gdańskowi zachować takie w obec rzeczypospolitéj stanowisko, jakie miały w Niemczech miasta zwane „Reichsstädte". Na poparcie swego zdania, autor powołuje się na Hüppego dzieło p. t. „Verfassung der Republik Polen". I pogląd sam i powołanie się na tego rodzaju powagę „in partibus" muszę uważać za niefortunne.

Nasamprzód piszącemu o sprawach Gdańska i niegdyś polskich Prus, należało o tem wiedzieć, jakie wysokie stanowisko wśród dziejopisów i statystów téj prowincyi zajmował Lengnich. Z jego też dzieła „Jus publicum Prussiae Polonae" (Gdańsk 1758), trzeba było czerpać wiadomości o stanowisku prawnem Gdańska wśród organizmu Rzeczypospolitéj, a nie z dyletanckiéj książki Hüppego. Następnie porównanie Gdańska z miastami niemieckiemi „Reichsstädte" uważam za zupełnie mylne. Prawdą jest że podczas sejmu unii lubelskiéj, po-

[1]) Treitschke. — Das deutche Ordensland Preussen — Historische und politische Aufsätze. T. 2, str. 70.

słowie gdańscy protestowali przeciwko zjednoczeniu miasta z organizmem Rzeczypospolitéj; lecz również niezbitym faktem jest to, że protestacye ich nie odniosły żadnego skutku i rozkaz Zygmunta Augusta dążący do zjednoczenia stanów pruskich ze stanami Rzeczypospolitéj, został zupełnie wykonany i ściśle przeprowadzony [1]). Stanowisko też polskich wolnych miast królewskich, było zupełnie odmiennem od położenia miast niemieckich zwanych „Reichsstädte“. Gdańsk zaś nie należał do miast wyjątkowo uprzywilejowanych Rzeczypospolitéj i co najwyżéj posiadał taki zakres przywilejów prawno-państwowych, jak Kraków i Wilno. Nie wolno zaś było zapominać Michaelowi o tem, że miasta niemieckie zwane „Reichsstädte“, nie posiadały żadnych bezpośrednich związków z Rzeszą, a nad swemi obszarami wykonywały takie same zwierzchnictwo, jak inni książęta partykularnéj udzielności [2]). Gdańsk tymczasem wpleciony był pod organizacyjnym jak i administracyjnym względem w organizm Rzeczypospolitéj i o udzielnem zwierzchnictwie nie mógł nawet marzyć.

Staranności w wyzyskaniu archiwalnych materyałów Michaelowi odmówić nie można. Również nie jeden ciekawy szczegół da się odnaleść w jego pracy. Z tem wszystkiem studyum, polskim stosunkom poświęcone, nie zdradza zbyt wybitnych zdolności i nie wyniesie autora po nad zwykły, średni poziom.

II.

Doktoryzacyjną rozprawę poświęcową finansom Księstwa Warszawskiego, rozpoczyna p. Żółtowski od rysu historycznego, opowiadającego powstanie samego księstwa. Ponieważ szczegóły przeznaczone dla niemieckich sfer uczonych, są przeważnie znane naszym czytelnikom, przeto je opuszczę, zaznaczając jedynie pokrótce to co autor mówi o klasach społecznych ówczesnego kraiku zwanego księstwem warszawskiem. Włościanie, których niewolnictwo (Leibeigenschaft), zniosła konstytucya Księstwa, pozostawali w zupełnéj apatyi i nie mając własnéj woli, nie stawiali oporu żadnéj władzy. Włościanin szedł też zwykle za swym panem jak niewolnik, za swym proboszczem jako gorliwy syn kościoła, a za miejscowym żydem jako dobrotliwy człowiek, który nigdy nikogo o chęć wyzyskiwania nie podejrzywał. Pojęcie dobra publicznego było mu obcem, i przejawiało się w nim jedynie instynktowne przywiązanie do ziemi. Za

[1]) Gralath—Versuch einer Geschichte Danzigs. T. 2, str. 175.
[2]) Schulte—Lehrbuch der deutschen Reichs und Rechtsgeschichte, str. 282.

czasów Księstwa podniósł się moralnie i materyalnie stan włościański. Odzyskał on swobodę, tylko że często nie zdołał z niéj zrobić odpowiedniego użytku. Ponieważ zaś prawo nie uregulowało należycie obowiązków włościan względem pana, przeto włościanin opuszczał często grunt uprawiany przez siebie i powiększał liczbę włóczęgów. W odsyłaczu znajdujemy wzmiankę o konstytucyi 3 Maja, która przed konstytucyą Księstwa zniosła poddaństwo, czyli jak się wówczas wyrażano, niewolę ludu.

Szlachta nauczona przesileniami, zdaniem p. Żółtowskiego, stała się światlejszą, ale pod względem ekonomicznym zachowała nieszczególne nawyknienia. Rząd pruski ułatwiając kredyt hypoteczny, pobudzał jedynie życie nad stan i cała prawie szlachta znalazłaby się w rękach niemieckich wierzycieli, gdyby przesilenie było powstało jeszcze za rządów pruskich. Handel i przemysł nosiły dla szlachcica piętno poniżające, a ów stan średni wypełniający próżnię między szlachcicem a włościaninem, nie był w stanie się rozwinąć. Stosunki w dawnéj Polsce ukształtowały się w ten sposób, że rozwojowi miast stanęły na przeszkodzie. Z północy Szwed, na południu Tatar, zajmowali się często łupieżą miast, a co od nieprzyjaciela ocalało, stawało się pastwą rozterek konfederacyjnych. Stan mieszczański nie posiadał w dawnéj Polsce żadnych praw politycznych zarówno jak chłopi; jedynie też Warszawa, posiadająca wówczas 75,000 mieszkańców, zawdzięczała zbytkowi magnatów pewien rozwój. Wogóle ludność miast stanowiła zaledwie $^1/_5$ ogólnéj ludności kraju, a i w téj stosunkowo małéj cząstce, znajdowała się masa żydów; resztę przemysłowców i rękodzielników stanowili niemcy.

Następnie daje nam p. Żółtowski treściwy zarys organizacyi politycznéj Księstwa. Powtarzać go nie będę, gdyż jest on pobieżnym ekscerptem ze statutu konstytucyjnego i kilku ważniejszych dekretów, które powszechnie są znane. Zaznaczę tylko uwagę autora, utrzymującą nie bez pewnéj słuszności, że doniosłość sejmów księstwa, podniesioną została tym względem, że większość ówczesnych państw europejskich nie posiadała organów reprezentacyjnych. Owładnięty despotyzmem napoleońskim świat ciekawie się przysłuchiwał mowom, wygłaszanym z warszawskiéj trybuny, a rząd miejscowy widział w nich podniętę i zarazem skuteczny hamulec.

Po ogólnym wstępie, poświęconym ustrojowi społeczno-politycznemu Księstwa, przechodzi p. Żółtowski do systemu finansowego, panującego w kraiku, wytworzonym wolą potężnego militarnego władcy. Nasamprzód są wzięte dochody pod uwagę, a pierwsze w nich miejsce zajmują dobra narodowe (Nationaldomänen). Autor wykazuje że rządy poprzednie pruskie wcieliły do dóbr narodowych, nietylko

dawne dobra stołowe, lecz i starostwa, wypuszczając je w sześcioletnią dzierżawę. W każdym razie wartość ich została uszczuploną przez darowizny różnym faworytom ministra Hoyma, o jakie 20 milionów talarów. Konstytucya księstwa oparła przedewszystkiem w połowie listę cywilną księcia i króla na dobrach narodowych. Połowa ta wynosiła 3,500,000 złp. i na zaspokojenie jéj wyznaczono koronie zarząd dóbr w wysokości 70 miljonów złp. Następnie dekretem z d. 4 Czerwca Napoleon przeznacza część dóbr narodowych, w wysokości 20 milionów franków na dotacyą dla wysłużonych wojskowych polskich. Jeszcze większego uszczuplenia doznały dobra narodowe księstwa skutkiem dekretu z d. 1 Lutego 1810 r., mocą którego uorganizowano dobra narodowe nadzwyczajne (domaine extaordinaire).

Dekret z 1810 r. wydzielał z dóbr narodowych pewną część w majątku ruchomym lub nieruchomym i poddawał ją na mocy prawa wojny, władzy bezpośredniéj Cesarza. Przeznaczeniem téj części dóbr miało być wynagrodzenie zarówno wojskowych jak i cywilnych urzędników Cesarza. Właściwie zaś dekret z 1810 r. miał ulegalizować poprzednie darowizny Napoleona, uczynione w r 1807, w wysokości 26 milionów franków 27 francuskim generałom. Gdy zaś w roku 1809 księstwo warszawskie powiększyło swe obszary terytoryalne na mocy traktatu paryskiego z d. 30 Listopada 1809 r., zastrzegł Napoleon do swego rozporządzenia część z dóbr narodowych, w wysokości pół miliona franków czystego dochodu. Tyle razy uszczuplane dobra narodowe w sześciu dawniejszych departamentach księstwa, przedstawiały zaledwie wartość 200 milionow złp., przynoszącą czystego dochodu między 1807 — 1813 rokiem, od 3 — $6^1/_2$ milionów złp. Dobra narodowe w czterech w r. 1809 przyłączonych departamentach reprezentowały wartość 70 milionów złp.

Z początku zarząd dóbr narodowych powierzony był ministeryum spraw wewnętrznych; gdy jednakże ministeryum powyższe przeciążone było pracą, na wniosek rezydenta francuskiego Serra, utworzono specyalny zarząd dóbr narodowych i lasów, którego dyrektorem został Badeni, otrzymując prawo miejsca i głosu w radzie stanu. Zarząd dóbr trzymał się dawnych norm pruskich, z pewnemi tylko modyfikacyami. Dla mniejszych parcel gospodarczych, stosowano system czasowéj dzierżawy, kiedy rządy pruskie posługiwały się przeważnie wieczystą dzierżawą w takich razach. W r. 1808 obwieszczono nowe przepisy dla dzierżawców i dzierżawy. Przepisy te stwierdzają, że się trzymano wzorów pruskich z 1806 r.

Autor przyznaje że starania rządów pruskich o podniesienie kultury w dobrach narodowych księstwa były znacze, że jedynie zbiegowi różnych okoliczności należy przypisać, iż owoc téj zabiegliwéj gospo-

darki nie był zbyt wielkim. Przedewszystkiem rządy pruskie trwały zbyt krótko, aby mogły znacznie podnieść stan dóbr narodowych, a następnie za czasów rządów księstwa kraj był nieustannie nawiedzany wojną, a w r. 1812 zupełnie zalany wojskami francuskiemi. Nic też dziwnego że w takich warunkach sejm 1811 r. podał monarsze adres, w którym zaznaczono że dobra i lasy narodowe, przedstawiają obraz okropnego spustoszenia. Dodać jednak należy, że system kontynentalny obniżył ceny zboża prawie o $^2/_3$ téj wysokości, jaką miały w r. 1806. Przytem nieurodzaje doprowadziły większą część dzierżawców do opłakanego stanu, zwłaszcza że i skarb państwa nie zawsze był w możności spełnić względem nich zobowiązania rządu. Już w r. 1808, dla pokrycia bieżących wydatków, zaciągnięto od dzierżawców dóbr narodowych pożyczkę przymusową w wysokości 2,415,081 złp., która nie była niczem innem jak antycypowaniem czynszu dzierżawnego.

Wielokrotnie chciał rząd księstwa spożytkować dobra narodowe w taki sposób, aby skarbowi stworzyć jednorazowy znaczny dochód, ale wszystkie projekta spełzły na niczem. Już w r. 1807, gdy niezwykle koszta wojenne ciążyły na kraju, upoważnił Napoleon rząd tymczasowy księstwa do sprzedania dóbr narodowych, w wysokości 18 milionów franków. Wkrótce jednak pokazało się, że sprzedaż w tem położeniu kraju jest niemożliwą, a więc sam cesarz upoważnił rząd do puszczenia w obieg papierowych pieniędzy w wysokości 18 milionów fran. Ani wszakże sprzedaż, ani emissya nie przyszły do skutku. Wkrótce potem, w tymże samym jeszcze roku, rada stanu w imieniu króla wydała postanowienie upoważniające skarb do wypuszczenia w obieg obligów skarbowych (po 5000 złp.), z hipotecznem zabezpieczeniem na dobrach narodowych. Jednocześnie zapewniano, że odpowiednia ilość dóbr narodowych, zostanie wystawioną na sprzedaż, pożyczka zaś zostanie oprocentowaną 6% i w ciągu dwóch lat spłaconą. Niestety, zapewnienia powyższe nie znalazły publicznéj wiary. Powszechnie było wiadomem, że w ówczesném położeniu księstwa, sprzedaż dóbr narodowych się nie urzeczywistni. Wzięto też obligów do wysokości $4^1/_2$ milionów złp., ale czyn sam uważano za patryotyczną ofiarę. Jeszcze kilkakrotnie podnoszono myśl częściowéj wyprzedaży lub zastawu narowych dóbr, lecz wszelkie projekta rozbijały się o krytyczne położenie ekonomiczne napoleońskiéj epoki.

Lasy narodowe miały podług preliminarza budżetowego za rok 1807/8 przynieść 834,374 złp., tymczasem w rzeczywistości przyniosły zaledwie 347,239 złp., a z preliminarzem za 1809/10 r., było jeszcze gorzéj. Oczekiwana bowiem summa 1,015,255 złp., przyniosła zaledwie 327,255 złp., co w ówczesnéj wojnie z Austryą, ma swoje wy-

jaśnienie. Przyłączenie zachodniéj Galicyi w r. 1809 powiększyło znakomicie lasy księstwa; z tem wszystkiem, pomimo znacznego obszaru, przynosiły one mały dochód skarbowi, chociaż troskliwie obserwowano zasady jakich się trzymała staranna administracya pruska.

Dochód z kopalń był dopiero wówczas dla skarbu ważnym, gdy księstwo czerpało dochód z salin Wieliczki. Po zawarciu traktatu w r. 1809, zobowiązał się rząd austryacki dostarczać zarządowi księstwa 450,000 centnarów kamiennéj soli, jako minimum połowy rocznéj produkcyi. Konsumcya soli jednak w powiększonem w r. 1809 księstwie dochodziła do 900,090 centnarów, dochód więc zapewniony krajowi z Wieliczki, nie wystarczał nawet na wewnętrzne potrzeby. Torfowiska przyniosły prócz tego skarbowi w r. 1809/10 tylko drobną sumę 16,270 guldenów.

Usiłowanie rządów księstwa dążące do wytworzenia własnéj mennicy i własnych krajowych pieniędzy, przedstawił p. Żółtowski drobiazgowo i dokładnie. Niestety i w tym kierunku nie ustrzegł się rząd księstwa dotkliwych pomyłek, które naraziły go na gorzkie rozczarowania. Nawet emissya biletów kasowych, postanowiona dekretem królewskim z r. 1810, do wysokości 9 milionów złp. nie mogła być zupełnie urzeczywistnioną i jeszcze w r. 1815 doręczył rząd saski, ówczesnemu rządowi Królestwa Polskiego 22 kisty owych samych biletów kasowych.

Dochód z poczty przynosił bardzo mało skarbowi księstwa a nawet w r. 1809/10, pomimo że preliminarz obiecywał dochód w sumie 108,000 złp., w istocie skarb nic uzyskał ani jednego złotego czystego dochodu. Zarząd poczt w téj epoce spotykały też poważne zarzuty, które niewątpliwie spowodowały obniżenie dochodu. Otwieranie częste listów, nieubezpieczenie przesyłek wartościowych i zawysoka opłata od pakietów, przy nadzwyczaj powolnéj i przewlekłéj ekspedycyi, to były wady, które w ostatecznym rezultacie dały się dotkliwie uczuć skarbowi. Loterya państwowa przynosiła za to skarbowi księstwa stosunkowo dość znaczny dochód, w ilości 243,751 złp. w roku 1807/8. W następnych latach dochód powyższy obniżał się lub podwyższał nieznacznie, stanowiąc zawsze dla skarbu niezawodne źródło dochodu.

Przechodząc do podatków bezpośrednich, poświęca p. Żółtowski nasamprzód uwagę podatkowi gruntowemu, objaśniając historycznie jego powstanie z tak nazwanéj ofiary. Podatek gruntowy w dobie księstwa opierał się niewątpliwie na mylnem i przestarzałem oszacowaniu wartości ziemi. Dla tego też król w r. 1810 przedstawił projekt nowego kadastru, który miał się wytworzyć z deklaracyj właścicieli ziemskich, z cen sprzedażnych, z czynszów dzierżawnych i z ksiąg

hipotecznych. Do unormowania wszakże podatku ofiary za czasów księstwa nie przyszło wcale. Drugi podatek „łanowy“ płacony jedynie przez te łany, na których ciążył niegdyś obowiązek wystawienia zbrojnego, na wojnę, przynosił skarbowi księstwa jedynie nieznaczny dochód. Dobra starościńskie, oddawane przez prusaków w emfiteutyczne posiadanie prywatnym, opłacały na rzecz skarbu kanon w różnie określanéj wysokości czystego dochodu. Miasta znowu od posiadanych gruntów płaciły z różnych dawnych tytułów podatek, który jednakże nie wiele przynosił.

W szeregu podatków bezpośrednich, figuruje jeszcze: 1) subsidium charitativum duchowieństwa, które po sekularyzacyi dóbr przez rząd pruski, przynosiło za czasów księstwa skarbowi zaledwie 13,200 złp; 2) podymne, o którem nie dowiadujemy się z pracy p. Żółtowskiego, wiele przynosiło skarbowi i 3) pogłówne żydowskie, niewiadome także w cyfrze dochodu. Dla zadość uczynienia ścisłości historycznéj, autor nadmienia, iż rządy księstwa, przejęły po rządach pruskich opodatkowanie rękodzielników. Skarb jednak z tego tytułu mało miał pożytku, albowiem opłata sama była mała, a rękodzielników nie wielu.

Podatkom pośrednim poświęca p. Żółtowski daleko szczegółowszą uwagę, aniżeli bezpośrednim i w tym rozdziale jego pracy odnajdzie się niewątpliwie wiele interesujących szczegółów. Przedewszystkiem drobiazgowo i starannie rozebrany jest system ówczesny celny i przedstawione przeistoczenia, jakim ulegała taryfa celna. Autor przyszedł też do przekonania, że system celny księstwa warszawskiego starał się dawne tradycye pruskie pogodzić z wzorami francuzkiemi. W tym kierunku jednakże spotykały się rządy księstwa z poważnemi trudnościami. Nie należy bowiem zapominać, że z sześciu pierwotnych departamentów księstwa, wszystkie stykały się z granicami obcych państw, a od r. 1809 jedna Warszawa stanowiła departament wewnętrzny; pozostałe zaś dziewięć departamentów musiały utrzymywać całe mnóstwo urzędników i oficyalistów celnych. Wreszcie z podatków pośrednich „stemplowe“ odgrywało w księstwie znaczniejszą rolę, albowiem rozszerzono jego znaczenie i nadano mu do pewnego stopnia znaczenie bezpośredniego podatku.

Załatwiwszy się z dochodami księstwa warszawskiego, przechodzi autor do rozchodów. Na pierwszem miejscu spotykamy listę cywilną króla, która podług pierwotnego określenia miała wynosić 7 milionów złp. Połowa listy cywilnéj opartą była, jak wiadomo, na dobrach narodowych; drugą połowę miał pobierać monarcha ze źródeł podatkowych kraju. Nadmienić jednak należy, że drugiéj połowy swéj listy cywilnéj, nie podniósł król ani razu, zadawalniając się do-

chodem z wyznaczonéj mu i oddanéj do zarządu części dóbr narodowych.

Brak jest szczegółowych danych, wiele za czasów księstwa kosztował senat i izba poselska. W prawdzie w budżecie z 1810/11 roku figuruje pozycya 203,000 złp. dla senatu, a 14,000 złp. dla kancellaryi sejmowéj, ale w rzeczywistości wydano na senat tylko 23,791 złp., większość bowiem senatorów nie pobierała przypadających im w udziale dyet, uważając urząd swój za honorowy. Koszta dyplomacyi wynosić miały 200,000 złp., które rząd księstwa miał płacić królowi saskiemu. W istocie jednak skarb księstwa nie wypłacił ani razu powyższéj kwoty królowi saskiemu, tak że znaczne koszta listy cywilnéj oraz organów reprezentacyjnych wypadały w rzeczywistości znacznie niżéj.

Zarząd księstwa powierzony był licznemu personelowi urzędników fachowych, z usunięciem urzędów honorowych. Same prefektury i podprefektury w sześciu pierwszych departamentach kosztowały do 3 milionów złp. Kosztowność powyższego aparatu dawała się czuć krajowi i wywoływała liczne skargi. Skutkiem tego, dekret królewski z r. 1810 uformował komissyę specyalną z członków rady stanu i komissyi powyższéj polecił zbadanie kwestyi, o ile administracya księstwa mogłaby być uproszczoną i tańszą. Komissya wszakże nie zdołała wykonać polecenia królewskiego, albowiem zbliżające się nowe wojny przerwały jéj czynności, zwracając uwagę rządu w inną stronę.

Koszta sądownictwa wynosiły w sześciu dawniejszych departamentach więcéj niż dwa miliony złp. Wady zaś organizacyi sądowéj, dawały się także dotkliwie uczuć krajowi. Płynęły one przeważnie z nagłego wprowadzenia kodeksu Napoleona, który nieodpowiadał właściwościom społeczeństwa, oraz z nieustających wojen, które spokój wewnętrzny zakłócały. Policya została zorganizowana dopiero w r. 1810 i kosztowała w sześciu dawnych departamentach 2—300,000 złp. Zarząd sanitarny istniał wprawdzie, lecz nie znajdujemy ogólnéj cyfry kosztów, jakie kraj na ten cel ponosił.

Przechodząc do kosztów szkolnictwa p. Żółtowski zaznacza iż rządy pruskie zaniedbały powyższe zadanie administracyi państwowéj. Szkoły ludowe powstawały tylko dla kolonistów niemieckich i przeznaczone były przeważnie dla politycznych celów. Izba edukacyjna księstwa miała na cele oświaty przeznaczone około dwóch milionów złp. Pomimo tak szczupłych dochodów, rozwinęła izba edukacyjna energicznie swą działalność i podwoiła liczbę szkół ludowych, jakie rząd pruski i austryacki pozostawił.

Koszta obrony księstwa były niezmiernie wielkie w stosunku do rozległości i zamożności kraju. Pochłaniały one $^2/_3$ a nawet $^3/_4$ wszystkich wydatków kraju, a od roku 1810 cały dochód kasy państwa był na obronę wyczerpywanym. Księstwo warszawskie obowiązane było utrzymywać stale własnym kosztem 30,000 wojska. Koszta utrzymania téj armii wynosiły w r. 1807/8 sumę 8,349,692 złp. W roku wszakże 1808 na mocy traktatu Bayońskiego, Napoleon, aby ulżyć księstwu w jego ciężarach finansowych, postanowił trzy pułki księstwa wziąść na swój żołd (8,000 ludzi), za to jednak rząd księstwa obowiązany był dostarczać rekruta do legii nadwiślańskiéj i do pułków polskich, gwardyi przybocznéj Cesarza. W r. 1808 zatem miał rząd księstwa tylko 22,000 żołnierzy do utrzymania, lecz powyższa ulga trwała bardzo krótko; już bowiem w r. 1809, gdy księstwo powiększyło swe obszary terrytoryalne, zostało zobowiązane do utrzymywania 60,000 żołnierzy.

Powiększenie armii, jak to łatwo dostrzedz, było zupełnie nieproporcyonalne do powiększenia terrytoryalnego księstwa. Widocznem też było iż kraj nie jest w stanie ponieść większych ciężarów finansowych. Uznając tę smutną rzeczywistość, Napoleon powiększył jeszcze liczebnie kontyngens księstwa przed 1812 r., ale utrzymanie tych wojsk wziął na siebie. W każdym razie w 1812 roku księstwo wystawiło armię złożoną z 85,700 ludzi i 25,000 koni, co jest nadzwyczajnym wysiłkiem wobec zamożności i rozległości kraju. Prócz tego posiadało księstwo dwie szkoły kadetów (Chełm, Kalisz), które kosztowały skarb 179,447 złp. rocznie.

Ostatni rozdział swéj pracy poświęca p. Żółtowski zarządowi finansów, nadmieniając zaraz na początku, że tenże sam system biurokratyczny, który Napoleon zaprowadził we wszystkich gałęziach administracyi, panował także i w zarządzie finansów. Sejmowi przysługiwało jedynie prawo wotowania podatków; całkowity jednak zarząd finansów należał do ministra, który po uprzedniéj dyskusyi w radzie stanu, potrzebował jedynie sankcyi monarszéj. Rok gospodarczy czyli etatowy, rozpoczynał się z dniem 1 Czerwca, a kończył z dniem 31 Maja. Za zasadę w księstwie przyjęto system etatów pruskich, to jest w preliminarzu zamieszczono minimum dochodów, a maximum wydatków; jednakże w praktyce zasada powyższa nie była należycie wykonywaną, często też przewidywane dochody kończyły się minusami, a wydatki za to przerastały wszelkie maxima. Cyfry osiągnięte w jednym budżecie były wprawdzie brane za zasadę do następnych preliminarzy; ale to niezdołało poprawić złego i zapobiedz omyłkom. Wobec bowiem systemu kontynentalnego, źródła dochodu w księstwie wyczerpywały się bardzo szybko, a zaległości zwiększały się ciągle.

Minister finansów jednoczył w sobie cały zarząd skarbu; podwładnym był mu też cały liczny aparat urzędniczy, wraz ze wszystkimi poborcami i oficyalistami. Zarząd finansów, równie jak inne gałęzie administracyi, grzeszył zbyt wielką liczbą urzędników, którzy nie zdołali w sobie wyrobić żadnéj samodzielności i spełniali funkcye automatycznie. Na tejże saméj zasadzie ścisłéj centralizacyi urządzony był system kasowy, na czele którego została ustanowiona kasa główna w Warszawie. Ważnym organem pośrednim były kasy departamentowe, których rozliczne funkcye p. Żółtowski szczegółowo opisał. Kontrola finansowa, a w szczególności kontrola kasowa była przy przeprowadzeniu centralizacyi i przepełnieniu zarządu urzędnikami, trudną do zorganizowania. Nie brakło wprawdzie urzędników kontrolujących, a tem bardziéj nawet szczegółowych przepisów o kontroli, ale to nie usuwało bynajmniéj niedogodności, jakie w praktyce ukazywały się z każdą chwilą. Kasa główna w Warszawie pozostawała pod kontrolą ministra skarbu, lecz dekret królewski z r. 1808 uznał powyższą kontrolę za niedostateczną i ustanowił izbę obrachunkową, która miała się składać z doświadczonych i wykształconych urzędników, zdolnych rozciągnąć nadzór nad całością zarządu finansów.

Organizacya kontroli finansów, zdaniem autora, nie była wolną od błędów, które po większéj części wynikały z wadliwych urządzeń kasowych. Zresztą całą organizacyę księstwa uważano za tymczasową i mniemano iż wkrótce ustąpi ona trwalszym i dokładniejszym urządzeniom, opartym na tradycyi i nawyknieniach społeczeństwa miejscowego.

Na tych uwagach zakończył p. Żółtowski pierwszą część swéj pracy, zapowiadając ukazanie się części drugiéj, która wypełni jego studya poświęcone finansom Księstwa Warszawskiego. Dopóki nie ukaże się całe dziełko, sąd krytyczny musi być do pewnego stopnia skrępowanym i powściągliwym. Być bardzo może, że autor niektóre wyjaśnienia i źródła, które pożytecznie by było uczynić lub przytoczyć w części pierwszéj rozprawy, odroczył do drugiéj części. Być może także, że po napisaniu części pierwszéj przedsięwziął nowe poszukiwania, pragnąc niemieckiemu czytelnikowi podać o ile można jaknajpełniejsze studyum. Właśnie prawdopodobieństwo tego drugiego przypuszczenia skłania mnie do przyśpieszenia krytycznych uwag, które może przed ukończeniem druku ostatniéj części dzieła dojdą autora.

Niewątpliwie bardzo jest dla nas rzeczą pożądaną, aby prace gruntowne, traktujące o przeszłości naszéj, ukazywały się w obcych językach. Węgrzy, Czechy, Serbowie, posiadają już w niemieckim języku traktaty poświęcone historyi ich krajowego prawa państwowego,

tymczasem rozgłośna „Verfassung der Republik Polen", napisana przez Hüppego, a dedykowana Bismarckowi, nie jest zdolną zaspokoić nawet bardzo średnich wymagań. Tę pustkę w literaturach obcych, przyjdzie niezawodnie wypełnić naszym pracownikom, zdolnym zbadać rozproszone nasze źródła; ale przedewszystkiem muszą oni podjąć ów trud zgromadzenia źródeł, bo inaczéj nieodpowiedzą należycie podjętemu zadaniu.

P Żółtowski, uczeń wybornych mistrzów lipskiéj wszechnicy, uczuł się mimowoli pociągniętym wdzięcznym i powabnym dlań tematem i ten sobie wybrał na rozprawę doktoryzacyjną. Archiwum drezdeńskie nie wyeksploatowane przez naszych historyków, było pokusą istotnie nie małéj siły. Wobec też takiego obfitego źródła i kilku książek polskich, zaopatrzonych w szczegóły do epoki księstwa odnoszące się, zapomniał autor o tem, że istnieją do tych czasów równie ważne dokumenta urzędowe, których nie spożytkował ani Skarbek, ani następni historycy jak np. Morawski. Archiwa po byłéj radzie stanu w Warszawie, daléj po byłéj radzie administracyjnéj, wreszcie po byłych ministeryach, zawierają bardzo cenny materyał dla historyka finansów z téj epoki. Zresztą jeżeli archiwa powyżéj wymienione nie mogły być autorowi przystępnemi, to należało się koniecznie zapoznać z tem co wyszło z działalności władz rządowych w druku. Przedewszystkiem więc należało przewertować Dziennik Praw z epoki księstwa, następnie przejrzeć Zbiór przepisów administracyjnych, a wreszcie i dyaryusze sejmowe. Bez tych źródeł, trudno było uniknąć wielu usterek i nieraz trzeba było poprzestać na ogólnikach, gdy źródła same podawały obfity materyał.

Następnie p. Żółtowski nie zapoznał się z wieloma opracowaniami historyczno-publicystycznemi, które należało bezwarunkowo znać, występując z tak poważnem studyum przed niemieckim czytelnikiem Skarbek, Morawski, Falkowski i zdaje się raz cytowany Kalinka, bynajmniéj nie wystarczali do tego celu i dla tego też charakterystyka końca XVIII wieku w Polsce, jaką w pracy p. Żółtowskiego znajdujemy jest zupełnie niewystarczającą.

Przedewszystkiem bowiem p. Żółtowski skreślił stan socyalno-polityczny Księstwa Warszawskiego, w porównaniu z epoką sejmu czteroletniego i z rządami pruskiemi. Należało więc poznać się z pracami, które koniec wieku XVIII-go w Polsce, najdokładniéj przedstawiały. Dziwnym się też wydać musi, że autor nie zapoznał się z „Dziejami wewnętrznemi Polski" Korzona i z pracą o włościanach W. A. Maciejowskiego, z którychby się dowiedział jak liczną i bogatą literaturę polską posiadaliśmy w kwestyi włościańskiéj za czasów księstwa i co dla włościan zrobionem było w drugiéj połowie

XVIII wieku. P. Żółtowski oświadcza, że nie posiadaliśmy wcale stanu miejskiego i miasta znajdowały się w zupełnym upadku. Zdanie to wypowiedział swego czasu wielki pruski Stein, ale panu Żółtowskiemu, zanim to zdanie wygłosił, należało zaznaczyć co zrobiono od początku panowania Stanisława Augusta dla podniesienia miast, ile magistratów uszlachcono i że ustawa municypalna z 1791 r. była prawdziwym klejnotem w szeregu reform, przedsięwziętych przez sejm czteroletni. Przedewszystkiem zaś w popruskich archiwach będących w Warszawie, mamy dowody, że ustawa municypalna z 1791 r. była przez urzędników pruskich uważaną za dobrą i godną naśladowania, co wykazałem w swoim czasie w studyum nad sejmem czteroletnim Kalinki.

Gdy rządy księstwa ustaliły się na miejscu władz pruskich, byli urzędnicy pruscy starali się usprawiedliwić postępowanie swego rządu i drukowali obrony, udzielając życzliwe rady nowemu rządowi księstwa. Tego rodzaju pisma publicystyczne należało poznać, tymczasem p. Żółtowskiemu pozostały wszystkie obcemi, co nie mogło dodatnio wpłynąć na jego rozprawę. Pozwolę sobie wymienić tylko kilka ważniejszych pism w powyższym kierunku, albowiem zapoznanie się z niemi może dla drugiéj części pracy p. Żółtowskiego, nie być bez korzyści. Bardzo ciekawą jest broszura p. t. „De l'administration prusienne dans les ci-devant provinces polonaises. Essai pour servir au développement des causes qui ont amené leur séparation de la Métropole. Avis aux nouvelles autorités établies sur ces provinces“. Powyższa broszura ukazała się w r. 1808 i zawiera wyborną a bezstronną krytykę rządów pruskich. Drugą niezmiernie interesującą broszurą jest Klewitz'a „An die polnische Nation. Ueber die preussische Verwaltung in den ehemaligen Süd—und Neu—Ost—Preussen (Berlin 1812). Tenże sam Klewitz wymieniony jest w Treitschkego Historyi Niemiec, jako wzorowy urzędnik w zabranych rzeczypospolitéj prowincyach. Trzecia nareszcie Graevenitza broszura „O włościaninie“, doczekała się nawet wcześnie polskiego przekładu, opatrzonego zaszczytną wzmianką o autorze.

Niewątpliwie broszur publicystycznych podobnego pokroju było więcéj. Dla poznania tego, co rządy pruskie zrobiły złego lub dobrego, stanowią one ważne źródło, którego pokrywać milczeniem nie wypadało. Nietylko jednak pruscy wyżsi urzędnicy występowali z broszurami politycznemi po klęsce Jenajskiéj. Literatura polska posiadała również znaczną ich liczbę, z których nie jedna miała pierwszorzędną doniosłość. Dziwnem się też wydać musi że p. Żółtowski miał sposobność zapoznać się z pamiętnikami, wydanemi przez Falkowskiego, a nie zdołał powziąść wiadomości o książce Kołłą-

taja, przepełnionéj genialnemi myślami politycznemi, która nosi tytuł: „Uwagi nad położeniem téj części ziemi polskiéj, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Księstwem Warszawskiem“ (Lipsk 1808). Daléj ważniejszemi pracami niż dzieje Skarbka lub Morawskiego, była cała literatura kwestyi włościańskiéj dotycząca, w któréj tyle razy wypowiedziano słowo „uwłaszczenie“. Są nawet prace z r. 1808, dowodzące że obywatele naśladując poprzedników z XVIII wieku, usamowolniali z własnéj inicjatywy włościan i nadawali im tytułem własności ziemię (patrz—Stroynowski „O ugodach dziedziców z włościanami“.—Wilno 1808). P. Żółtowskiemu pozostały nie tylko te cenne współczesne prace obcemi, lecz nie poznał się nawet z pismami Węgrzeckiego, ani z pamiętnikami Łubieńskiego, ministra sprawiedliwości z czasów księstwa, które traktowały szczegółowo o przeszkodach jakich doznało wprowadzenie kodeksu Napoleona. Również nie przejrzał rozpraw w Themidzie zamieszczonych, któreby go o stanie prawno-politycznym téj doby były poinformowały, ani przewertował cennych i bardzo ciekawych mów Godlewskiego, posła Maryampolskiego o finansach księstwa traktujących.

Nieznajomość literacko-naukowych opracowań zwiększa się u pana Żółtowskiego, im bardziéj się do nowszych czasów zbliżamy. Ani niemieckich ani polskich prac niezna wcale, a jednakże nie można powiedzieć, aby tych prac nie było. Dość wymienić jedną niemiecką książkę Klebsa, z nowszych Knappa, dotyczącą włościan, aby przekonać, że trud zapoznania się z niemi byłby się sowicie autorowi opłacił. Z polskich rzeczy: Biblioteka Warszawska publikowała wyborne i sumienne prace Cyprysińskiego, traktujące także o włościanach w epoce księstwa; to samo czynił Stawiski w Poszukiwaniach nad historyą rolnictwa krajowego. Prócz tego, Konitz przedstawił sumiennie „Rolnictwo i handel za czasów Księstwa Warszawskiego“, a Pułjanowski przeglądając dzieje izby obrachunkowéj, musiał z natury rzeczy cofnąć się do czasów księstwa.

Nie wyczerpałem bynajmniéj literatury przedmiotu powyższego dotyczącéj. Wyliczania też wszystkich prac nie miałem zupełnie na celu. Pragnąłem jedynie wskazać p. Żółtowskiemu najważniejsze prace i źródła jakie pominął, a jestem pewien że zwróciwszy swą uwagę w tym kierunku, uzupełni należycie poczynione studya. Niezależnie bowiem od tego, że autor jedno archiwum i kilka książek, nie najlepszych, uważał za skończony materyał do epoki księstwa, rozprawa jego finansom Księstwa Warszawskiego poświęcona, zapowiada pracowitego i utalentowanego pisarza. Znać również że p. Żółtowski przebył dobrą szkołę. Daje się to poznać po obrobieniu archiwalnego materyału i po ujęciu go w jasny, systematyczny obraz. Że

p. Żółtowski jako młody badacz, nie zdobył jeszcze tyle wiedzy aby mógł dać odpowiednie tło socyalno-polityczne swéj rozprawie, to bynajmniéj nie upoważnia krytyków do lekceważenia jego, prawdopodobnie pierwszego występu. Owszem życzyć należy, aby przedmiot raz badany, studyował daléj z tą starannością z jaką zbadał archiwum drezdeńskie. Uzupełniwszy materyał dziejowy, obdarzy p. Żółtowski niewątpliwie literaturę niemiecką cenną pracą, która niejednokrotnie sądom urzędowych historyografów będzie w stanie kłam zadać. Aby jednak ten fakt pożądany dla nas mógł nastąpić, trzeba koniecznie studya uzupełnić, a że autor tego uczynić nie zaniedba, na to mamy gwarancyę w wybornéj szkole którą pracowicie przebył.

A. Rembowski.

IMPRESSYONIZM.

I.

Mówi się dziś wiele i piszę nie mało o *Impressyonizmie*. Wyraz równie jak rzecz tém określeniem objęta, błąka się najczęściéj w sferach nowoczesnego malarstwa; spotykamy jednak to pojęcie i w poezyi i w dramaturgii i w muzyce — we wszystkich rozgałęzieniach artyzmu. Gdzie wzięło początek, skąd i dokąd przeszło, w tej chwili dochodzić nie będziemy; badanie takie nie miałoby zresztą praktycznego celu w dobie, kiedy katechizm Lessinga o rozgraniczeniu sztuk stał się tak dalece martwą literą, że wszystkie nie tylko się u siebie zapożyczają, ale przemocą jedna do drugiéj wkraczają, z pogwałceniem najkardynalniejszych podstaw swego istnienia, wbrew wewnętrznéj treści, którą każda od natury wzięła.

Do celu, który założyliśmy sobie w niniejszych uwagach, wystarczy nam stwierdzenie faktu, że wszystko to dzieje się, jak zawsze, w imię prawdy, — prawdą zaś nazywa się obecnie odtwarzanie powierzchni życia.

Taką prawdę wprowadził naprzykład do literatury naturalizm, obserwując samemi zmysłami wrażenia i sensacye człowieka zmysłowego, posługując się najchętniéj środkami sztuki plastycznéj, jakby przez zemstę za to, że idea literacka tak długo w malarstwie i rzeźbie panowała; uciekając się co chwila do efektów pędzla i dłuta, dbając więcéj o światła, cienie, barwy, aniżeli o jasno wyraźnie zarysowane kontury. Coś podobnego odbywa się dziś i w świecie dźwięków, gdzie koloryt instrumentacyjny roztapia w sobie melodyę, która jest rysunkiem muzycznym, a nadzwyczajna waga, przywiązywana w nowożytnym teatrze do sceneryi, rozstrzygającéj niejednokrotnie jednym fortelem zręcznego oświetlenia lub umiejętnie zastosowanéj ciemności

o powodzeniu sztuki, nie jest czém inném, tylko tém dążeniem do wywołania wrażeń samą powierzchnią życia.

Tego rodzaju wrażenia były zawsze z natury rzeczy najpierwszém zadaniem malarstwa, które téż najdaléj w nowym kierunku posunąć się musiało. Zdawałoby się, że wsiąknąwszy rozmaitemi drogami do innych sztuk, samo dla siebie zostawia coraz mniéj, a w téj chwili poprzestaje na *plamie* — świetlnéj czy barwnéj — ale tylko na plamie.

Wprawdzie o tych „plamach“ słychać dziś wszędzie: poeta rzuca je piórem w opisach natury, niby punkta wytyczne krajobrazu; kompozytor wywołuje je w orkiestrze akordami instrumentów dętych na tle drgających jakby smugą świetlną skrzypiec; malarz jednak ma nad nimi tę wyższość, że tworząc, nie potrzebuje działać analogiami, ani szukać transcendentalnych pokrewieństw między słowem, dźwiękiem a światłocieniem i kolorytem. Patrzy wprost na barwę, na światło i oddaje to co widział barwą i światłem. Jeżeli bezpośrednim wynikiem tego patrzenia są plamy — maluje plamy; notując zaś pędzlem prawie w lot doznawane wrażenia, jest *impressyonistą*.

Impressyonizm zatém ma najdoskonaléj urzeczywistniać w malarstwie znaną formułę Zoli: „Dzieło sztuki jest cząstką natury widzianą przez pryzmat temperamentu“, tylko że znaczenie temperamentu zacieśnia się tu po prostu do takiéj lub innéj budowy oka, do jego fizycznych wyłącznie właściwości. Już w literaturze temperament pisarza wysunął w dziele jednostronnie na pierwsze plany fizyologię zamiast psychologii; w muzyce zastąpił motywa melodyjne efektami brzmienności; malarz impressyonista jeszcze despotyczniéj narzuca się materyalną stroną swéj sztuki, zmuszając patrzącego żeby przyjmował na wiarę prawdziwość doznanych przez artystę wobec natury i utrwalonych przezeń na płótnie wrażeń.

Na téj drodze rozluźnia się coraz bardziéj stosunek między malarzem a publicznością. W różnych momentach rozwoju malarstwa przemawiał artysta do widza plastycznością kształtów lub uwięzioną w nich ideą; w impressyonizmie łączność między nimi może być tylko przypadkową, — o ile ją wytworzą jednakowe u artysty i u widza optyczne idyosynkrazye.

Impressyonizm nie troszczy się o to bynajmniéj. Odbierając sam wrażenia kształtów jako kombinacyę plam barwnych oraz świetlnych, w których toną kontury, usiłuje wywołać podobne wrażenie w patrzącym temi samemi środkami, to jest nakładanemi, z pominięciem rysunku, płaszczyznami barwnemi i świetlnemi. Osiągnąwszy efekt, mało dba o to do czego ten efekt został przyczepiony; maluje jak Edward Manet wśród leśnego krajobrazu kobietę w koszuli, kąpiącą się

w rzece wobec siedzących na pierwszym planie dwóch mężczyzn i to nazywa się „Obiadem na trawie“; albo leżącą na bieliznie kobietę, której murzynka podaje bukiet i czarnego kota. W pierwszym obrazie chodziło o białą „plamę“ na tle zieleni; w drugim o plamy jasne świetlne, odbijające od plam czarnych. Co to wszystko znaczy? mniejsza o to — przedmiot służy tu jedynie za pozór. Jestto doprowadzenie do krańca subiektywizmu twórczego, zupełne podstawienie twórcy na miejsce dzieła, nieograniczone hołdowanie poetyce, której zasadniczy artykuł głosi: „że w obrazie nie obrazu, ale człowieka szukać należy“.

Dodajmy: człowieka nowożytnego, który tak szybko żyje, że nie tylko ma wstręt do przeszłości jako tematu malarskiego, ale czuje się już niezadowolonym z obiektywnie przedstawionéj teraźniejszości; który tak chwyta uciekającą chwilę, że najsilniejsze wrażenia jakich doznać może, objawiają mu się jako przemijające drgania. Ten człowiek rozbity „wielką newrozą“ wieku, o tyle odczuwa życie, o ile w nim nerwy drgają — i wszystko też dla niego drży: światło, barwa — nawet marmur. W przerafinowaniu zmysłów cywilizacyą, którą za konającą uważa, nie wystarcza mu nawet sensacya wzroku, jako nie dość subtelna a zbyt określona; przeprowadziwszy więc wrażliwość swoją przez wszystkie odcienia barw niezdecydowanych, przyćmionych, chorych, zwrócił się ku dźwiękom, dającym wrażenia jeszcze mniéj pochwytne, bardziéj nieokreślone; nareszcie ku zapachom, z których poezya *dekadentów* układa wierszowane symfonie, przeznaczone nie tyle do słuchania ile do wąchania. Między wrażeniami zmysłów powstaje tym sposobem jakiś tajemniczy związek, popychający literaturę i sztukę na bezdroża *occultizmu*, mistycyzmu, i t. p., na których Psyche o tyle się tylko objawia, o ile jest potrzebną do scharakteryzowania różnych rodzajów psychozy literackiéj i artystycznéj. A jednak *impressyonizm* stworzywszy sobie rodzaj metafizyki zmysłów, mieni się coraz częściéj „nowym idealizmem“. Jakie są jego tytuły do téj nazwy? co w nim jest zdrowego a co chorobliwego? Nad tém właśnie zastanowić się pragniemy.

II.

Z wrażeń plastycznych, jak wiadomo, najżywsze, budzą barwy, mniéj trwałe światłocień, najmniéj zaś żywe, zarysy. Nie należy wyprowadzać z tego wniosku, jakoby zarysy, sama postać rzeczy, miały być mniejszéj od barw, albo zupełnie małéj wagi. Przeciwnie, pod względem wyrazistości, pod względem wymowności duchowéj, intellek-

tualnéj, zarys jest najważniejszym — jest sam jeden zupełnie i wyłącznie mówiącym.

Jednym z najwyborniejszych tego dowodów w sztuce współczesnéj są słynne pomysły Flaxmana rzeźbiarza w Odyssei i Komedyi Boskiéj Danta, samemi li zarysami niezmiernie skromnemi, zredukowanemi do minimum wyrażające ducha pomysłów najpotężniejszych poetów bez porównania głębiéj i energiczniéj niż powabnie w światłocieniowe i kolorystyczne efekty ustrojone illustracye Dore'go. Pełne uczucia i duchowego wyrazu są również skromne w formie zewnętrznéj rysownicze pomysły religijne Overbecka. W pomysłach czysto idealnego pokroju barwa i światłocień stanowią zupełną przeszkodę do otrzymania wrażenia mającego głęboko przeniknąć do duszy patrzącego. Ztąd zamiłowanie wielu miłośników sztuki do bezbarwnych kartonów, ztąd pewnik, że rycina bezbarwna jest najdoskonalszym probierzem duchowéj wartości dzieła sztuki malarskiéj, jak skromne streszczenie fortepianowe najlepiéj świadczy co warta ogołocona z kolorytu orkiestrowego symfonia. Dopełnia rysunek i w danym razie dramatyzuje, światłocień. Używają go téż artyści dzielni i wytrawni, jako środka rozwijającego lub uwydatniającego ich założenie obrazowe. Jeden i ten sam różne obrabiając założenia idealne rozmaicie posługuje się rzutem światła. Jako przykład objaśniający, przypomnieć by tu można Ary Szeffera Joannę d'Arc, wjeżdżającą do Orleanu, spokojnie tryumfującą, łagodném światłem poranku oblaną, z dramatyczną chwilą śmierci Gastona de Foy na polu bitwy przez tegoż artystę, gdzie rembrandtowskie zestawienie jaskrawych świateł i głębokich, silnych cieniów, daje obrazowi charakter pełen grozy przerażającéj [1]). Barwy powlekając zarysy i światłocień uczuciową szatą najżywiéj działającą na oko, pierwsze najenergiczniéj i najdzielniéj są w stanie rozbudzić uczucie, najtrwalsze wyciskają piętno na zmyśle wzroku, najdłużéj pozostają w pamięci widza.

Wszakże barwy z powodu tych swoich właściwości są znanym a wybornym środkiem mnemonicznym.

Z tego wypada, iż cechą i zasadą impressyonizmu *wrażeniowości* musi być w najwyższym stopniu i na pierwszém miejscu *koloryzm;* że kolorystyczne kierunki, tak epok, szkół jak i indywidów, należały i należą, bo należéć muszą, do tego rodzaju wrażalności, która na harmonii barw na ich sile, żywości i warunkach opierając się, najżywiéj oko i czucie patrzącego uderza.

Odgraniczywszy wyżéj wrażenia barwne od świetlanych i linij-

[1]) Obadwa obrazy są w galeryi historycznéj w Wersalu.

nych, nie możemy jednak nie zauważyć, że każdy z tych czynników plastycznych ma swoje przymioty wrażalności, czerpiące siłę do wywołania wrażenia po za sferą zwykłego obserwowania, po za sferą chłodnego rozpatrywania i dokumentowania właściwości danego przedmiotu. Niewątpliwie, dokumentowéj doniosłości są fotograficzne odwzorowania postaci i twarzy człowieka, należące do zakresu linijnych i światłocieniowych widm plastycznych; a jednak, niezmiernie często, a nawet przeważnie spotkać się można z wizerunkami fotograficznemi, niepodobnemi do osób, które wyobrażać mają; dokumentowo wierne, nie robią jednak *wrażenia* życia — potrzeba na to *wrażliwości* portrecisty, bodaj rysownika, który i bez pomocy barw, a częstokroć bez pomocy światłocienia, w sylwecie saméj, czarnéj, oddać jest w stanie wrażenie, jakie osoba dana na oko i umysł nasz czyni.

Umysł bowiem i czucie człowieka nie tylko przy pomocy oka obserwuje, rozpatruje i dokumentować jest w stanie, ale jednocześnie odczuwa, doznaje wrażenia i wrażenie oddaje na zewnątrz, nawet w pojedyńczéj suchéj linii, którą postacie swe zakreśla.

Sposobność do wyższego stopnia odczuwania wrażeń dają objawy świetlne, które rozjaśnianiem lub ocienianiem, bądź częściowém, bądź całkowitém, podwyższają wyrazistość zarysu.

Tu możemy także ściśle odróżnić wrażenie świetlne, samą nawet postać ognisk świetlnych chłodno obserwowanych, od przyjętych uczuciem wraz z promienistą aureolą, a zatém wraz z *wrażeniem*, jakie oko i czucie nasze otrzymuje, po za sferą dokumentowéj postaci danego punktu świetlnego

Sztuka zużytkowywa dla swych celów estetycznych i konkretne zarysy i konkretne światłocienie, ale zużytkowywa téż i *wrażenia* jednego i drugiego zakresu, a to drugie zużytkowywanie należy do sfery *impressyonistycznéj*. Jest-że to zużytkowywanie wrażennych stron objawów przyrody, na naśladownictwie któréj opierają się sztuki plastyczne czemś nowém i obecnéj dopiero epoce właściwém? Rzut oka w przeszłość, wystarcza do zaświadczenia, że jest ono tak dawném, jak sztuka sama.

Wiadomości, jakie mamy o najstarszéj sztuce malarskiéj w Grecyi podaje nam naoczny jéj wyników świadek, Pliniusz — a gdybyśmy z tych relacyj nic więcéj nie wiedzieli, jak to, że Apelles wymalował *burzę*, wystarczyłaby nam ta wiadomość na stwierdzenie istnienia obrazów w starożytnéj Helladzie, odtwarzających wrażenia chwili.

W odradzającéj się w wieku XV sztuce włoskiéj, spotykamy owoce obserwacyj przyrody bezpośredniéj; co więcéj, jeden z najgłówniejszych tego odrodzenia przywódców, mistrz mistrzów, Leonardo

da Vinci, wyraźnie w „traktacie o malarstwie“, zaleca odtwarzanie wrażeń bezpośrednio z przyrody branych, notowanie wrażeń najbardziéj nawet przelotnych, a jednocześnie prawie wenecyanin Giorgione, ojciec kolorystycznego kierunku, przyrodę kraju swego i z życia potocznego brane postacie do obrazów religijnych wprowadza, czyli ulega i poddaje się zupełnie wrażeniu chwili.

Kierunek nareszcie cały kolorystyczny szkoły weneckiéj, któréj pomysły obrazowe miały za punkt wyjścia szczególnie piękne harmonijne zestawienie barw lub malowniczość ze sprzeczności pochodzącą, opierał się na wrażalności wywołanéj barwami. Światłocieniowe efekty szkoły bolońskiéj i zamaszyste, szkicowe, krajobrazowe sceny Salvatora Rosy w sile wrażliwości autorów miały źródło, a wydawały w rezultacie na silne wrażenie obliczone malowidła.

Było więc tych prac wrażeniowych niemało we Włoszech w XVI i XVII wieku, a były też i na północy śród genialnych holendrów.

Najgenialniejszy z nich Rembrandt mnóstwem portretów i obrazów dowodzi, że szukał sposobów odwzorowania wrażeń świetlnych— najważniejszą stroną powabu dzieł jego są świetlne efekty. Promień słońca, przepuszczony przez zasłonięte okno do ciemnego pokoju był wielokrotnie przedmiotem jego studyów w obrazach, a w jednym z nich pragnąc przedstawić Chrystusa Pana niknącego z przed oczu apostołom w Emaus, w miejsce niknącego Zbawiciela, zrobił promieniejące światło, aby wrażenie chwili podnieść—odwzorował więc nie światło samo, nie postać słoneczną Chrystusa, ale *wrażenie* światła, jego promieniowanie.

W najnowszych czasach z kolorystowskiego kierunku Delacroix, francuskiego malarza i z kolorostyczno-światłocieniowéj poezyi Miletʼa wyrodziło się dążenie do uwydatniania poetycznych wrażeń barwnych, z zupełném niemal pominięciem form i to stanowi ten szczegółowy objaw, to zastosowanie, a raczéj dążenie do zastąpienia wrażeń całości, składających się na obraz, to jest wrażeń formy, światłocienia i barwy, przez wrażenie wyłącznie barwne, w którém topią się konkretne właściwości dzieła plastycznego. Tu jest właśnie źródło dzisiejszéj *wrażeniowości* malowideł tego rodzaju, czyli *impressyonizmu* w najczystszém znaczeniu téj definicyi.

Jestto więc usiłowanie sprowadzenia wrażenia obrazowego, do wrażenia muzycznego, do saméj harmonii i kontrastów tonów barwnych; jestto bujanie w sferze niedokładnie sformułowanego materyału plastycznego, w sferze obłocznych mgławic, które nie należą do dziedziny sztuki, opierającej się na zarysach stanowczo określonych, do sztuki wypukłéj i żywéj, mającéj swoją treść duchową i uczuciową.

I gdyby impressyonizm został przy téj jednostronnéj abstrakcyi, nie możnaby o nim powiedzieć, że dołożył choćby najmniejsze źdźbło do postępu sztuki malarskiéj.

Na szczęście trzeźwy, zdrowy pogląd na zadanie sztuki przeważył w całéj Europie i stało się, coby i bez téj szczególnéj nazwy mogło było się stać za wpływem Delacroix: że poczęto na wrażenia kolorystyczne obrazów, wybitniejszą zwracać uwagę, nie zasklepiając się w jednostronności tego punktu wyjścia, ale powołując do współdziałania z wrażalnością barwne czynniki formy, światłocienia i wyrazu, nie odrzucając ani myślowych ani uczuciowych założeń obrazowych.

A jeżeli dziś jeszcze impressyonizm właściwy, polegający na zestawieniu kilku barw, dających w istocie bardzo prawdziwe, (jak u Besnard'a), choć nazbyt ogółowe wrażenia chwili w przyrodzie lub światła na postaci człowieka, bywa przedmiotem niezasłużonych pochwał albo nagród wystawowych, to z pociechą zaznaczyć należy, że sukcesy te przez istotnie pojmujących zadanie sztuki, uważane są jako efemeryczne i niemające doniosłego wpływu na rozwój sztuki.

III.

Mniemalibyśmy, że nie spełnilibyśmy dokładnie postawionego tu założenia, że nie wyświetlilibyśmy należycie pytania, co jest impressyonizm, ani moglibyśmy stać się dostatecznie zrozumiałymi dla ogółu krajowego, gdybyśmy powyższych zasad i dowodzeń nie poparli przykładami ze sztuki naszéj, w któréj jednocześnie z objawami ukazującemi się za granicą napotkać można było i w któréj napotykamy dziś także przykłady *wrażeniowych* dzieł sztuki.

Wrażeniowcem najczystszéj wody był, mało dziś malarstwem zajmujący się, estetycznie wysoko wyrobiony, obdarzony najdoskonalszemi przeczuciami piękna, Adam Chmielowski. Z wykonanych niegdyś (około roku 1875) w Warszawie obrazów, najwybitniejszemi cechami impressyonizmu odznaczał się „Ogród miłości". Zarysy postaci dwojga zakochanych zbliżających się do ukwieconego ołtarza miłości, strzeżonego przez amora, jako téż i tych, które już odchodzą; kontury krajobrazu, drzew, skał na lewo i wogóle wszystkich przedmiotów były zaledwie zrozumiale oznaczone, cienie padające na skałę od postaci brzaskiem zachodzącego słońca opromienionych, zaledwie widoczne; a mimo to całość w barwach tak romantycznie była harmonijną, pociągającą i w marzenie wprawiającą, że budziła istotnie uczucia do rozmarzenia miłosnego zbliżone. Obraz ten czynił

wrażenie bardziéj podobne do wrażenia muzycznego niż plastycznego. W innych obrazach Chmielowski był kolorystą o poczuciu barw tak wybornem i niezachwianém, jakie się rzadko napotykać zdarza.

Wrażeniowość jest przedmiotem wielu obrazów Chełmońskiego; dość przypomnieć owe słoneczne, bezsłoneczne, nocne, księżycowe, pozachodowe i poranne krajobrazy, odbijające jedynie i wyłącznie tylko wrażenia pewnych chwil w przyrodzie, ograniczone do jak największéj prostoty motywów natury, do zarysów prawie żadnych, aby miéć pojęcie o tém, że w tego rodzaju przedstawieniach malowniczych, idzie tylko o kilka barw prawdziwych.

W pamięci Warszawy niewątpliwie tkwią silnie dwa jeszcze obrazy napiętnowane impressyonistowskiemi przymiotami wyższéj natury, nie wyłączającemi bowiem ani myśli ani uczucia, ani wszystkich innych przymiotów i zalet dziełom istotnie artystycznym właściwych.

Mam na myśli Alchimowicza „Pogrzeb Gedymina“ i Wyczółkowskiego „Zwierzenia“. Pierwszy z nich uderza od razu światłem wielkiéj żywości, przedzierającem się przez gęstwinę leśną, uderza, w sposób iście dramatyczny, postaciami kapłanów i bardów, odbijającemi się sylwetowo na brzasku ozłacającym nieboskłon. Ani figury w skład korowodu pogrzebowego wchodzące, ani rycerze towarzyszący obchodowi, nie czynią tyle wrażenia, ile ów efekt świetlano-barwny, stanowiący punkt wyjścia pomysłu, w którego skład wchodzące postacie, dopełniają go wybornie. Wyczółkowskiego, tęgiego rysownika i wrodzonego korysty „Zwierzenia" młodéj wytwornie ustrojonéj damy, czynione starszéj, bujającéj się na fotelu i wybuchającéj śmiechem, jako scena buduarowa mają pod względem wyrazu, postaci, ożywienia, wybornéj techniki figurowéj, zalety pierwszorzędnego znaczenia; niemniéj jednak cały ustrój w kosztowne materye przybranego buduaru, jego barwność żywa, lśniąca, nosi na sobie cechę pomysłu kolorystycznego, czyniącego pierwsze silne wrażenie samém zestawieniem pięknych, żywych, czystych a harmonijnych barw.

Impressyonizm tego rodzaju, połączony z wszystkiemi innemi zaletami plastycznemi, bodajby nam się święcił; ten ma i miéć będzie prawo i moc wpływania na rozwój sztuki, temu wiekową sławę i trwałość wróżyć można. Przyczyna tego jasna.

Koloryt, zestawienie pewnych barw pięknych i wrażenie czyniących, nie ma trwałości wiekowéj; a tém mniéj mieć ją może im sztuczniejszych i bardziéj skomplikowanych sposobów użyto do wydobycia wrażalności barwnéj. Wszelkie sciemnienie lub zblednienie kolorytu, odejmuje tego rodzaju malowidłu odrazu całą jego wartość. Jeżeli tedy nie towarzyszą zaletom barwności inne gruntowniejsze przymioty: myśl,

uczucie, piękno postaci, zachwyt budzić zdolne, to dzieło sztuki, które o tyle niem jest, o ile duchową może mieć trwałość—staje się mizerną efemerydą o życiu na lata policzoném.

Oto *wrażalności* barwnéj słaba strona.

IV.

Cóż jeszcze dodać można o tem małém zboczeniu, o téj gałązce impressyonizmu rakiem dotkniętéj, która w Paryżu nosi nazwę *wibrizmu*, nie znajdującego w impressyonistach prawdziwych, ani naśladowców ani epigonów?

Milet, gdyby żył, mógłby poszczycić się Jules Bretonem jako swoim następcą, przeciągającym w dalszą przyszłość jego pomysłu efekty światłocieniowe i barwne, zachodowe i pozachodowe. Monet mógłby chyba pochlubić się tém tylko, że dwóch bardzo zdolnych młodych artystów polskich pociągnął swém excentryczném dziwactwem na manowce, na które z dobrze rozpoczętéj karyery artystycznéj zeszli.

Cóż to jest ów *vibrisme?* jaka jego zasada?...

Claude Monet oparł się na tem, że każdy połysk światła rozkłada się na barwy tęczowe, a wziąwszy z nich trzy, żółtą, czerwoną, zieloną i niebieską w połączeniu z białą jako reprezentującą blask, każdą barwę krajobrazów świata z trzech punkcików tych barw składa. W krajobrazach nadmorskich ten barbaryzm nie dający na nic patrzeć bliżéj jak o 25 kroków, jeszcze z téj odległości bywa do czegoś podobny; ale w innych przedmiotach jest najzupełniéj śmiesznym, a że może być tragicznym, dowiódł Zola w kapitalnem dziele swojem „l'Oeuvre.“

Bohater, Klaudyusz Lantier jest reformatorem w malarstwie; od niego datuje szkoła *otwartego powietrza;* wstręt do pracowni zamkniętych i do fałszywego w nich światła; wysiłki oka, obojętnego na linie a odkradającego w lot saméj naturze efekta oświetlenia; niedostępne kombinacye i rozkłady barw, zmienne z każdą chwilą dnia i nocy tajemnice kolorytów. Przedmiot obrazu to rzecz podrzędna; kształt i kontur—głupstwo; piękność, brzydota — akademickie przesądy, zabobony szkoły. Barwa i światło—to życie które trzeba oddawać jak się je widzi.

Męczeńskie boje owéj rewolucyi wypełniają stronnice dzieła. Lantier mocował się z pragnieniem ogarnięcia całéj natury na płótnie, padał wycieńczony w téj walce a geniusz jego nie mógł ujrzeć swiatła dziennego. Potém przyszły majaczenia wzroku; pierwotna

oryginalna, jasna, drgająca notacya efektów słonecznych, uświęcona naukowemi teoryami o barwach wyrodziła się w manię, obalającą wszystkie nawyknienia oka; sine ciała rozpościerały się na płótnie pod trójkolorowém niebem, wstrętne niebywałym, potwornym kolorytem. Lantier malował „tak jak widział;“ tragiczną zaś stroną téj twórczości maniaka, było nietylko to że tak jak on patrzeć nie chciał, nie mógł przeciętny widz, ale że „osobistą nutę“ Klaudyusza przestali oceniać, nawet rozumieć przyjaciele i wyznawcy.

Historya tego borykania się talentu z niepochwytną marą jest tem więcéj pouczającą, że jako jéj bohater występuje, o ile się zdaje, ten sam Edward Manet, którego Zola krytykami swemi na piedestale traktował.

Zwolenników *wibryzmu* posiada i polskie malarstwo.

Naszym młodym artystom P. Pankiewiczowi i Podkowińskiemu podobała się ta nowość. W przekonaniu, że tą drogą dojdą do wyrażania jasności dnia lepiéj, uprawiają tę experymentacyę doprowadzającą ich do absurdów plastycznych.

Przekonaćby się mogli o tym absurdzie bardzo łatwo; wypadałoby tylko krajobraz wymalowany owemi cętkami odfotografować i porównać go z fotografią tej saméj miejscowości zrobioną z natury. Jeżeli ten sposób roboty ma istotnie w sobie wielkiéj prawdziwości przymioty, obie fotografie będą z sobą zgodne.

Że zaś próba taka musiałaby się propagatorom, a co najgorzéj, *naśladowcom obcéj maniery* nie udać, najlepszy dowód w tém, że p. Podkowiński, w swych rysunkach czarnych z Ojcowa, nie trzyma się téj błędnéj drogi; że zarówno téż swego wybornego pomysłu na „Zaduszki“, umieszczonego w Tygodniku Ilustrowanym nie mógłby żadną miarą tą manierą wymalować.

Jeżeli więc ta *quasi* metoda nie nadaje się do wykonania wszelkiego rodzaju afektów obrazowych, to widocznie jest już co najmniéj wielce jednostronną i niewystarczającą.

Miejmy nadzieję, że stanie się wkrótce najzupełniéj niewystarczającą i naszym obu artystom. Nie jestto bowiem zgodne ani z dobrą sławą artysty być naśladowcą innego, ani nie może zadowolnić rwących się do potężniejszego tworzenia zdolności zasklepienie się w tak ograniczoném kole sposobików, zupełnie fałszywych w zasadzie.

Stawiając kwestyę impressyonizmu na praktycznym gruncie tworzenia i rozwoju malarstwa, niechętnie zwracamy się myślą ku owym plamom kolorystycznym, stanowiącym dla wielu alfę i omegę wrażalności obrazu. Wpatrzeni w ideę, daléj po za chwilową nowrozę współczesnych, uważamy ją za przemijającą gorączkę sensualizmu; wierzymy

zaś w zwycięstwo idei, zdrowego rozsądku i prawdziwéj miłości prawdy wszechstronnéj tak dalece, że cała wrzawa rozlegająca się około téj mody, około tego, co sięga po miano „nowego idealizmu“, nie przeraża nas, ani nie odejmuje spokoju. Czy to siła przekonania? czy mała wrażliwość na aktualność położenia? czy idealistyczne zaślepienie?... Nie wiemy; widzimy tylko, że samobójstwo Klaudyusza, który wprzód nim sobie życie odebrał, zabił się już jako artysta chorobliwą dążnością do wibrystycznych ekscentryczności — uważać należy za przepowiednię upadku wibrizmu; nie przypuszczamy bowiem, aby młodzi a zdolni malarze mogli istotnie długo trwać w tém zaślepieniu, w tém okłamywaniu samych siebie. Bodajby tak było, bodajby stotnie prawda poglądu na przyrodę, spokojna kontemplacya jéj niewyczerpanych piękności, wlała w serca jéj wielbicieli z powołania, artystów, spokój potrzebny do istotnie dojrzałego tworzenia.

Wiara w idealistyczne kierunki przeszłości nie jest zaślepieniem; dowodzi tego fakt, że z po za tych nowości, do których i tak zwany *plein air* zaliczyć należy, świeci zorza idei nowych, dla którychby te odnowione szaty formy zewnętrznéj, w połączeniu z nabytkiem wiekowym dopiero ciałem być mogły.

Nowéj szaty! nowéj szaty! — słyszymy głosy zewsząd. Nowéj szaty potrzeba nam dla nowych idei; nową szatę więc wytwarzamy: pieluchy barwne, z strzępków tęczy i obłocznych jasności. Serca nasze drżą, usta pragną, niecierpliwe żyły dłoni nabiegają krwią, w nerwowym rozstroju wyciągnięte ku jutrzejszemu zaraniu, którego tajemnice pragnęlibyśmy wydrzeć przyszłości....

Zastanówmy się, czy drogą nerwowych, kapryśnych zachcianek zdobywa się zdrowe owoce jutra? czy téż spokojem i siłą charakteru? Czy nie należałoby obejrzeć się po za siebie, aby się przekonać, że to, co uważamy za naszą wyłącznie zdobycz, było już dawno przed nami odnalezione; że zarówno po idee jak po sposoby ich urzeczywistnienia nieraz lepiéj w przeszłość sięgnąć, niż w pogoni gorączkowéj chwytać marę, zamiast istoty rzeczy.

Lat temu trzysta przeszło, Leonardo da Vinci w swoim „Traktacie o malarstwie“, mówi [1]). „Rzuciwszy garścią rozmaite kolory na mur, utworzy się nam plama, w któréj możesz dojrzéć krajobraz.. możesz w niéj dostrzedz rozmaitość przedmiotów... np. głowy ludzkie, różne zwierzęta, bitwy, skały, morze, obłoki, drzewa, i t. p., jak się to dzieje, kiedy się wsłuchujemy w głos dzwonu, gdy słyszymy to co chce-

[1]) Rozdział IX.

my". Chociażby jednak plamki dostarczyły ci pomysłu, nie nauczą cię skończenia jakiéjkolwiek części — w taki sposób malarz może tylko nędzne tworzyć krajobrazy".

Znane więc były zakwitającéj sztuce włoskiéj rzemieślnicze sposoby podniecania wyobraźni, a tradycya przeprowadziła je do naszych czasów, tak, iż lat temu dwadzieścia, można było jeszcze spotkać się z używającemi téj manipulacyi przy rozpoczynaniu małych obrazków. Uszlachetniona metoda w połączeniu z poważnym kierunkiem kolorystycznym, pod imieniem impressyonizmu, nie przestaje trącić jednostronnością, a w najdoskonalszym swoim okazie, jest tylko usiłowaniem *zdobycia na téj drodze prawd harmonii barwnéj*, która jednak nigdy z powodów wyżéj omówionych, nie może zająć pierwszorzędnego w malarstwie stanowiska.

Zdawałoby się, że wybornym, a zupełnie nowym wynalazkiém jest malowanie na otwartém powietrzu, *en plein air*; że tu przynajmniéj mamy już z zupełnie nowym impressyonistowskim pomysłem do czynienia; tymczasem, jeżeli znów przypomnimy sobie twórcę zasad nowożytnéj sztuki włoskiéj, owego genialnego florentczyka Leonarda, oto co znajdziemy w jego traktacie, rozdział XLI, w którym mówi, iż: „wielce błądzą ci malarze, którzy przedmiot jakiś bryłowaty rysują naprzód w świetle skupioném, ograniczoném, w domu (w pracowni), a potém w obrazie umieszczają to wyobrażenie pośród światła ogólnego nieboskłonowego, pod otwartém niebem".

Ze współczesnych téż krajobrazistów wielu nie od dziś trzymało się metody malowania dokładnych studyów na otwartém powietrzu, a co więcéj, w naszéj sztuce z przed 20 lat można było znaleźć na takich studyach oparte obrazy.

Te nowe szaty tedy, w które dzisiejsi impressyoniści pragnęliby całą sztukę malarską przyodziać, nie są tak nowe, ani tak wszechstronne, aby sztuce w właściwém jéj znaczeniu wystarczyć mogły. Nie wystarczą przedewszystkiem do uwydatnienia idei, w całym jéj majestacie wyrazistości piękna formy i światła.

Więc ostrożni bądźmy z pretensyami do „nowego idealizmu". Bystry znawca dzisiejszych prądów artystyczno-literackich Kurt-Grottewitz, ma słuszność, kiedy pisze: „Nowy idealizm! łatwiéj to powiedzieć, niż zdobyć się na jedną nową ideę. Co jest właśnie najgorszem, to że ci, którzy tak wołają, negują idee dla tego, że one od nich uciekają. Nowy idealizm może zwiastować ten tylko, kto ma nowe ideały".

W. Gerson.

BOLESŁAW PRUS.

I.

Jedna z epizodycznych postaci w „Lalce“ Prusa, doktór Szuman, któremu autor zdaje się często powierzać rolę rzecznika własnych na różne sprawy poglądów, w tych słowach określa bohatera powieści:

— Stopiło się w nim dwu ludzi: romantyk z przed roku sześćdziesiątego i pozytywista z siedmdziesiątego. To co dla patrzących jest sprzeczne, w nim samym jest najzupełniéj konsekwentne.

Czy ta definicya dokładnie cechuje „człowieka przejściowego“, którego Prus usiłował przedstawić, i czy wykonanie dzieła odpowiada intencyi twórcy — postaramy się rozpatrzeć późniéj. Ale że określenie sceptycznego medyka może do pewnego stopnia służyć za charakterystykę talentu Prusa, na to, jak nam się zdaje, nie trudno będzie się zgodzić—idzie tylko o to w jakiem znaczeniu i w jakim zakresie brać będziemy ów romantyzm i pozytywizm. Pozytywistę dostrzedz w Prusie łatwo; sam się o to stara na każdym kroku, oświetlając życie nie z wysoka, tylko przez mnóstwo okien z różnych stron przepuszczających jasność dnia powszedniego; ale romantyk w nim utajony głęboko, wyziera tylko w pewnych chwilach, przy pewnych warunkach, a z taką częstokroć naiwnością, jak gdyby sam pisarz nie wiedział o swoim romantyzmie.

Chronologicznie ten poetyczny atawizm nie miałby w sobie nic dziwnego. Prus urodził w się 1847 r., a zatém chłopięce jego lata wypadły na najpiękniejszy rozkwit romantyzmu w całéj Europie i u nas. Gdyby nie obawa, ażeby zapędy krytyki psychologicznéj niezaprowadziły nas zbyt daleko, możnaby spróbować odbudować tę młodość autora z niektórych jego utworów i szukać w jego umyśle odbicia błysków zachodzącego słońca romantyzmu. Widać np. z „Grzechów

dzieciństwa“ że nie było w Prusie materyału na romantyka w miłości; chłopiec, który mdleje szukając zalęknionéj dziewczynce osy w fałdach sukienki, zapowiada już wcześnie wyznawcę takiéj filozofii uczucia:

— Miłość jest rzeczą zwyczajną wobec natury, a nawet, jeżeli chcesz wobec Boga. Ale, wasza głupia cywilizacya, oparta na poglądach rzymskich, dawno już zmarłych i pogrzebanych, na interesach papieztwa, na trubadurach, ascetyzmie, kastowości i tym podobnych bredniach, z naturalnego uczucia zrobiła... wiesz co? Zrobiła nerwową chorobę... Jest hygiena miłości, któréj nietylko nieprzestrzegają, lecz poprostu gwałcą klasy inteligentne i to stanowi jednę z przyczyn ich upadku. Hygiena woła: „jedz kiedy masz apetyt“, a wbrew niéj tysiąc przepisów chwyta cię za poły, wrzeszcząc: „niewolno!... będziesz jadł kiedy my cię upoważnimy, kiedy spełnisz tyle a tyle warunków postawionych przez moralność, tradycyę, modę“...

Jeżeli w „Grzechach“ niema śladu poezyi wyjątkowych uczuć, to młodziutki bohater „Omyłki“ przeczuwa heroizm wyjątkowych poświęceń. Mniejsza o to, że malec patrzący przy świetle księżyca na sunącą przez pola „olbrzymią zmiję najeżoną bagnetami, których końce dziwnie migotały w blasku miesiąca“, młodszym jest od drugoklasisty, ratującego panienkę od ukąszeń osy bardziéj niedyskretnéj niż złośliwéj; mniejsza o tę przemianę kolei lat chłopięcych w stosunku do wypadków, na których tle powinnyby na odwrót po sobie następować; czytający jednym ciągiem dziesięć tomów szkiców, obrazków i powieści Prusa, przestawia, zapewne wbrew woli autora, ale zgodnie z wewnętrzną potrzebą odtworzenia sobie fizyognomii jego talentu, daty i zdarzenia i wydaje mu się to zupełnie naturalnem, żeby ten bezimienny ktoś, komu autor w pierwszéj osobie opowiadać każe „Grzechy dzieciństwa“ i „Omyłkę“, zbijał najprzód bąki, wagusował na wsi u pani hrabiny, palił u niéj obory, strzelając do wron z klucza od bramy i hrabiance dawał ryzykowną pomoc przeciw nieszkodliwemu owadowi, a potem wybierał się „na wojnę“. Tego rodzaju ciągłość wytwarza się wśród czytania tem snadniéj, że literacki fortel autora, który dla potrzeb swego założenia przedstawia straszny dramat „Omyłki“, jako odbicie wrażeń dziecinnych, nadając naiwności chłopca znaczenie przedmiotowéj, beznamiętnéj krytyki, że taki środek, powtarzamy, odrazu bije w oczy. Przy całym, sztucznym artyzmie opowiadania, trzymanego niby w granicach pojęć, wyobrażeń ośmioletniego dziecka, czuć że mały bohater patrzy starszemi oczyma, porządkuje to co widział dojrzalszą myślą i w końcu doprowadza czytelnika do celu wytkniętego przez autora. Ten cel tak jest niefortunnie postawionym, że nikt do niego z Prusem nie podąża i każdy prawdopodobie zatrzymuje się tam, gdzie dziecko przestaje być dzie-

ckiem, a staje się narzędziem tendencyi. Jedyny to wypadek w którym Prus sprzeniewierzył się prawdzie świata dziecęcego a i w tym razie jeszcze zboczenie nie jest zupełnem – tak, że bądź co bądź, obu młodocianych bohaterów łączy z sobą i robi jednego dopełnieniem drugiego, wspólne głębokie poczucie natury.

Prus rozkochany jest w naturze jak romantyk. Miłość to spokojna, bez gwałtownych uniesień, ale trwała, wierna nie opuszczająca go ani na chwilę. Nigdzie Prus nie czuje się tak swobodnym, tak u siebie, jak sam na sam z przyrodą. Podobny wtedy do prawdziwego kochanka, nie wiele mówi, ale patrzy w oblicze przyrody, śledzi na niem każdą zmianę, dostrzega każdy uśmiech, najlżejszą chmurkę, wsłuchuje się we wszystkie głosy i rozumie zarówno szept cichy, jak namiętne wołanie. Od romantyków różni się tem, że nie nastraja natury na nutę własnego usposobienia, że krajobraz dla niego nie jest koniecznie „stanem duszy“, — ale daje za to naturze odrębną, prawie indywidualną duszę, każe jéj z człowiekiem obcować, rozmawiać, czasem się z nim przekomarzać, niekiedy go strofować — a zawsze stać względem niego na stopie pewnéj niezależności. Natura u Prusa wie jak do kogo przemówić; inaczéj odzywa się do dziecka, inaczéj do chłopa, inaczéj do dojrzałego i rozwiniętego człowieka — a najchętniéj i najpoufaléj gwarzy z istotami zbliżonemi do siebie, z maluczkimi, z prostaczkami, którzy są z nią związani węzłami życia pierwotnego, elementarnego. Jak gdyby posiadał tajemnicę tych upodobań i słabości natury, Prus widzi dalszy jéj ciąg w stworzeniach, których świadomość nie przekracza sfery instynktów lub co najwyżéj przeczuć, domysłów, bezwiednych pragnień i ogarnąwszy ten świat jedném uczuciem sympatyi, zagląda w najskrytsze jego głębiny, odczuwa wszystkie jego drgnienia, rozeznaje wszystkie jego echa.

„Nie mając z kim żyć, mówi gimnazista w „Grzechach dziciństwa“, żyłem z naturą. Znałem w parku każde mrowisko, w polu każdą jamę chomików, w ogrodzie każdą ścieżkę kretów. Wiedziałem o ptasich gniazdach i dziuplach, gdzie chodowały się młode wiewiórki. Odróżniałem szmer każdéj lipy około domu i umiałem wyśpiewać to co wiatr wygrywa na drzewach. Nieraz słyszałem jakieś wiekuiste chodzenie po lesie, choć nie wiedziałem czyje ono“...

A ten las, wiedząc że ma z psotnym chłopcem do czynienia, sprzeciwia mu się po swojemu.

„Gdy idziesz ku gąszczowi, opowiada innym razem nieletni romantyk, drzewa wyraźnie ustępują ci, niby robią miejsce. Ale sprobuj, posuwając się naprzód odwracać głowę. Podają sobie gałęzie jak ręce, pień zbliża się do pnia, potém nawet zaczynają się stykać i ani

się spostrzeżesz, kiedy wyrośnie za tobą pstra ściana, głęboka, nieprzebyta...

„Nic łatwiejszego jak wtedy zbłądzić. Gdziekolwiek ruszysz się, wszędzie jest jednakowo, wszędzie drzewa rozsuwają się przed tobą, a zbiegają za tobą. Zaczynasz pędzić, one także pędzą wciąż za ciebie byle ci odciąć odwrót. Stajesz — one stają i zmęczone chłodzą się gałęźmi jak wachlarzami. Poruszasz głową na prawo i na lewo, szukając drogi i widzisz, że niektóre z drzew kryją się za innemi, jakby chcąc cię przekonać że ich jest mniéj niż sądzisz. O! las to rzecz niebezpieczna. Tam każdy ptak szpieguje, gdzie idziesz, każde źiółko chce ci oplątać nogi, a nie mogąc, — przynajmniéj szelestem donosi o tobie innym. Tak mu widać tęskno za ludzką twarzą, że raz ją zobaczywszy używa wszelkich podstępów by ją zatrzymać na zawsze".

Potem gotujące się w „Omyłce" tragiczne wypadki najprzód zwierzają się do ucha naturze, która posyła do miasteczka gońców swoich, zwiastujących chłopięciu nieznane, nadzwyczajne rzeczy.

„Zazieleniły się pola, a z niektórych drzew pierwéj niż liście wyskoczyły kwiaty i patrzyły zdumione szemrząc: tu coś miało być, czy jeszcze nie było?... zdawało mi się niekiedy, że wiatr płynący z za lasu coś im szepce, a one chwieją się gałęźmi i ze zdziwienia szeleszczą: aj! aj! aj!

„Przyleciały skowronki i pionowo wzbijając się nad polami, ogłaszały coś w swoim zdrobniałym języku, a potém nagle padały na ziemię jak kamień, swiegocząc zalęknione: już! już! Przyleciały bociany i zasiadłszy w gnieździe na topoli, po całych dniach opowiadały niesłychane historye, z niedowierzaniem kiwając głowami. Przeciągały obłoki, czasem pokłębione i spieszące się gdzieś, niekiedy poszarpane i jakby uciekające. Skąd one, dokąd one? o czém rozpowiają bociany, czego lękają się skowronki?"

Tak rozmawia przyroda z dziećmi: zdaje się przypuszczać że te pączkujące dusze resztę sobie dośpiewają. Zupełną mistrzynią jest dla ubożuchnych duchem, którym w języku dla nich zrozumiałym tłómaczy blizkie z sobą pokrewieństwo.

Małgosia w „Przygodzie Stasia" żyła tylko z naturą, a kochała swój młyn. „Natura wydawała jéj się bardzo wielkiem jeziorem, którego zwierciadło sięgało aż do nieba, a kroplami były: wsie rozrzucone na polu, gaj olszynowy, łąka, młyn, grusze po miedzach, kwiaty jéj sadu, ptaki i ona sama... Niekiedy, przypatrując się obłokom, co wychodziły z poza czarnego płotu lasów, przeglądały się w stawie i biegły za zębate wzgórza — słuchając szumu wiatru co marszczył wodę i zboże na polach, albo jęku trzciny, chwiejącéj się na bagnie,

zapytywała: czy własny jéj byt nie jest tylko odbiciem się wszystkiego co widzi i słyszy do koła, jak te obrazy drzew i nieba, które odbijają się na falach stawu?“ . , .

To już zupełna filozofia natury. Kto ją wypowiada? Maryśka czy Prus?... nie rozróżniajmy i nie róbmy z tego zarzutu. Maryśka jest w téj chwili cząstką natury, przemawiającą mową wielkiéj całości, którą Prus objął syntezą jakiegoś romantycznego panteizmu. Zdawałoby się że im mniejsza odległość dzieli przyrodę od człowieka tem łatwiéj autor odnajduje struny łączące duszę natury z duszą jego bohaterów, tem chętniej wydobywa z nich zdrzemnięte harmonie.

Czasem odgłosy téj harmonii dochodzą do uszu biedaka jak coś nieokreślonego, i swoją tajemniczością trwogę w nim tylko budzącego.

Parobek Owczarz z „Placówki“ wyjechał do lasu po drzewo, tuląc do siebie niemowlę – sierotę, które, sam nędzarz, wziął z wielkiéj litości pod swoją opiekę. Stanęli pod stosem drzewa. Owczarz odwiązał dziecko od sani i rozejrzawszy się umieścił je na kępie jałowcu w miejscu zacisznem.

„Niebo poczerniało, zerwał się mocny wiatr zachodni, przesycony wilgocią. Ujęty zimowym snem las ożył, zaczął poruszać się i gadać. Zadrżały zielone igły sosen, potém gałązki, potém wyciągnięte konary zachwiały się, podając sobie jakieś znaki; nareszcie— poruszyły się wierzby i pnie drzew. Kołysały się naprzód i w tył, jakby naradzając się albo zabierając do pochodu. Zdawało się że już dokuczyła im wiekowa nieruchomość i że lada chwilę całą gromadą wyruszą gdzieś, bodaj na koniec świata, zgiełkliwe i szumiące.

„Niekiedy część lasu, gdzie stały sanie Owczarza, uspokaja się jakby nie chcąc zdradzić przed ludzką istotą swoich tajemnic. Wówczas słychać zdaleka stąpanie nieprzeliczonych nóg i marsz całych kolumn. Oto idą z głębi szeregi prawego skrzydła: idą, nadchodzą, już są narówni z nami, już przeszły... A oto rusza lewe skrzydło; słychać chrzęst śniegu, skrzypienie gałęzi, szum ustępującego powietrza: idą, nadchodzą, już są na jednéj linii z chłopem i znowu go minęły. A oto środkowa kolumna ośmielona i zachęcona, zaczyna potrząsać gałązkami, zwoływać się ogromnym szeptem. Już pochylają się wierzchołki, już olbrzymy poddają się naprzód, ruszają... stanęły... Widzą dwie ludzkie istoty, przed któremi las nie zdradzi swoich tajemnic. Więc stoi w miejscu i gniewnie szumiąc, obrzuca ich szyszkami i zeschłemi gałęźmi, jakby mówił: „Idź stąd Owczarzu, idź stąd i nam nie przeszkadzaj“.

To znowu jesteśmy świadkami kompletnych dyalogów natury i ludzi, gawędzących z sobą bez ceremonii, ot... tak po sąsiedzku. Widać że znają się z sobą wybornie, że im życie upływa na utrzy-

mywaniu ciągłego, zażyłego stosunku, że sobie otwarcie i żale swoje wypowiedzą i wymówkę, nie obwijając w bawełnę, zrobią, ale zawsze pozostaną w najlepszem porozumieniu.

Bohater „Placówki“ Ślimak, przybiera się do bronowania. Wydobył z szopy brony i wyprowadził ze stajni kasztanki. Jeden z nich ziewał, drugi ruszał wargami i patrzył na Ślimaka przymróżonemi oczyma, mówiąc w duchu:

„Nie wolałbyś chłopie sam zdrzemnąć się i nas nie włóczyć po górach? Małoż-to nabiegaliśmy się wczoraj?“

Ślimak na taką radę pokiwał głową, zaprzągł kasztanki i pojechali zwolna. Minęli zieloną łączkę za stajnią, wdrapali się na popielaty bok wzgórza, wreszcie dosięgli szczytu.

Patrząc na nich przez wierzch stajni, zdawało się że krępy chłop i para kasztanków ze zwieszonemi łbami, „włóczą się po błękicie niebieskim, sto kroków tam i sto kroków napowrót“. Ile razy dochodzili granicy zoranego pola, zrywało się przed nimi gniewnie swiergocące stado wróbli, krzycząc i dziwując się ze Ślimak zasypuje ziemią tyle pięknego ziarna.

„Głupi chłop, głupi chłop... Cóżto za głupi chłop“, wołały wróble.

— Aha! — mruknął Ślimak, wywijając batem.—Żebym ja słuchał was darmozjadów, to nawet wy zmarnielibyście pod płotem.

Na ziemię, kiedy mu stawia opór, oburza się chłop.

— Od świni gorszaś, mówi Ślimak. Żebym tak świnię skrobał zgrzebłem, jak ciebie bronami, nietylko spokojnieby się układła, ale chrząknęłaby na podziękowanie.

Ujmując się za znieważoną, słońce wtrąca się do rozmowy.

„Patrz— widzisz ten płat czarny? Tak czarne było całe wzgórze, kiedy twój ojciec siewał na niem pszenicę. A teraz spojrzyj na ten żółty płat: tu już glina wychyla się z pod czarnoziemu i niedługo obsiędzie ci wszystkie grunta.

— A cóżem ja temu winien? odparł Ślimak.

„Nie tyżeśto winien? szeptała z kolei ziemia. Sam jadasz trzy razy na dobę, a mnie — jak często karmisz? Daj Boże raz na ośm lat. A dużo mi dajesz! Pies by zdechł na takim wikcie.

— Oj! la Boga, la Boga!... — wzdychał chłop, uznając że ziemia ma racyę. Ale mimo skruchy, nikt go nie żałował w strapieniu. Owszem, chwilami zrywał się wiatr wschodni i zaplątany między zeschłe badyle na miedzy świstał mu w ucho.

„Nie bój się, dam ja ci, dam!... Sprowadzę taki deszcz, taki potop że resztę czarnoziemu wypłóczę ci na gościniec, albo na dworską łąkę.

A potem Ślimak musi słuchać całego chóru:

„Głupi chłop! Cóżto za głupi chłop!“ — świergotały wróble.

„Patrzaj, jak glina wypycha ci czarnoziem — pokazywało słońce.

„Głodzisz mnie, nie dajesz wypoczynku, stękała ziemia.

„Durny ty, durny — warczały z gniewem zębate a leniwe brony.

„Chi, chi!... — śmiał się wiatr w zeschłych badylach.

Mnożyliśmy przytoczenia, bo one najdosadniéj wykazują stosunek Prusa do natury. Oczom jego przyroda przedstawia się jasno, wyraźnie, zarówno w konturach jak w barwach. Krajobrazy jego nie mają oschłości topograficznéj i obfitują nawet w zewnętrzne malarskie efekta; ale duszę w nie wlewa Prus jednym tylko sposobem: nadając pojedyńczym zjawiskom natury indywidualne życie, rozdając im role w dyalogowanych mysteryach, w których częstokroć człowiek bywa prostym statystą. Jestto środek nietyle może artystyczny ile wygodny dla wyobraźni o niezbyt wysokim polocie, potrzebującéj do wzbicia się ponad poziomy skrzydeł nieco sztucznych. W obcowaniu z naturą, Prus jest romantykiem tylko z miłości do przyrody nie ze sposobów wyrażania swego dla niéj uczucia; przypomina on tych małomównych amantów, którzy potrzebują być ośmieleni przez ukochaną tem co od niéj usłyszą. Wtedy rozpoczyna sam tak jak zaczynał często kroniki; „Powiadasz tedy łaskawa pani“... i rozgrzewa się dopiero w toku konwersacyi. Między opisami natury Prusa, jest wiele bardzo ładnych — żaden jednak nie przyniesie z sobą, jak naprzykład kilkuwierszowy krajobraz Sienkiewicza albo Orzeszkowéj, zapachu, ciepła i światła wiosny.

Weźmy krajobraz na którego tle rozwija się akcya „Placówki“. Plastyka w nim niezaprzeczona; rozmaitość motywów niewątpliwa, ugrupowanie, oświetlenie i koloryt szczegółów zlewają się harmonijnie z dobrze podłożonym tonem całości. Widzi się to wszystko jak na dłoni; czytając, ma się to przeświadczenie, że możnaby tam wszędzie trafić bez wahania; życie jednak to malowidło zawdzięcza rzeczce Białce, nie dlatego że płynąc wywiera wrażenie ruchu, ale że ma indywidualne, osobiste intencye, dążenia, fortele, podstępy i całą psychologię swego kapryśnego biegu.

Zabaczymy późniéj że w podobny sposób Prus radzi sobie z psychologią człowieka, indywidualizując w nim instynkta, uczucia, myśli i nadając im samoistne, odrębne życie; tymczasem przyjrzyjmy się upostaciowaniu w naturze jéj uniesień, namiętności, gniewów i groźb tragicznych.

Nad okolicą gdzie mieszka Ślimak przeciąga burza.

Między chmurami kołującemi jak czarne stado wron, rozległy się złowrogie głosy „wyklutéj z jakiegoś ciemnego zarodka siły twór-

czéj", która spróbowawszy naśladować Ojca Przedwiecznego i z wiotkich chmur stwarzać jak On ruchliwe i ożywione kształty, przekonała się o swéj niemocy i zapragnęła zniszczyć wszystko co jest na ziemi.

Więc gniewne wydaje rozkazy: „Widzicie rzekę, w któréj odbija się nasza hańba?"... W téj chwili coś rozdarło się od nieba do ziemi i w rzekę uderzyi piorun. „Słyszycie zgiełk lasu? On nam urąga!"... Połowę nieba przeleciała błyskawica i drugi piorun uderzył w las. „Zbijcie te pola gradem!"... I posłuszne tumany rzucają się na góry i na pola. „Ha... ho... ha—ho!"... Padła na ziemię jedna wielka kropla, za nią druga... setna... tysiączna... „Ha .. ho... ha—ho!"... Jedno ziarno lodu, drugie, setne... To przednia straż. Wichry dmą pobudkę, deszcz bębni, chmury jak psy puszczone ze smyczy wyją, tłoczą się, depczą; jedna kropla popędza drugą, ścigają się, wyprzedzają, nareszcie łączą w strumienie, płynące od nieba do ziemi. Słońce zgasło, a deszcz i grad zlały się w zbitą massę, któréj cel i kierunek pokazują migotliwe błyskawice. „Tu niszcz! tu bij!"

Mickiewicz opowiada:

„Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
„Ryknęły jak niedźwiedzie. A już deszcz wciąż pluszczy
„Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtem rykły pioruny,
„Krople zlały się razem: to jak proste struny
„Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
„To jak z wiader buchają warstwami całemi,
„Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia.
„Noc ją, z burzą od nocy czarniejszą zaciemia.
„Czasem widnokrąg pęka od końca do końca
„I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca
„Rozświeci twarz i znowu okryty całunem
„Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem".

Czy można prostszemi rysami z większym epickim spokojem nakreślić wspanialszy opis burzy? Na to zestawienie decydujemy się dla tego że już zestawiono „Placówkę" z „Panem Tadeuszem"; wystarczy ono jak się zdaje do sformułowania wrażeń, streszczających się w dwóch dla obu obrazów różnych zgoła określeniach: patos i poezya.

Patos napotyka się wprawdzie i u Dickensa; angielski humorysta przyobleka również w żyjące postacie martwe przemioty, siły natury i z fantazyą, spotęgowaną chwilami do natężenia hallucynacyi, rozsnuwa między niemi wątek tajemniczych dramatów. Ale fantazya, nawet hallucynacya Dickensa siłą i szczerością swoją udziela się czytelnikowi, przyprawiając go o gorączkę. Prus patetyzuje na zimno;

jego wcielenia przyrody wyglądają nie jak twory poetyckiéj fantazyi, ale jak sposoby literackie; dramat w naturze wydaje się melodramatem.

Jeszcze krok daléj, a spotkamy się prawie z mistyką.

Stary Francuz dożywający późnych lat na guwernerce w szlacheckim domu, tęskni za swoim krajem i ciuła sobie grosz na powrót do ukochanéj Francyi,—ale fatalnym zbiegiem okoliczności, nigdy się do niéj dostać nie może. Zrozpaczony starzec przypisuje to wpływowi na swoje życie księżyca, tego patrona tułaczów, symbolizującego w sobie nieukojoną tęsknotę i śmierć. Biedny guwerner nie rozumie jak mogą lubić księżyc ludzie szczęśliwi. Cieszyć się przy jego blasku, na jedno wychodzi co tańcować przy katafalku. „Niebo to ogród pełen nieśmiertelnych kwiatów, a wśród gwiazd, kipiących życiem i światłem, w dodatku najbliżéj ziemi, wałęsa się olbrzymie cielsko trupa, który miliony lat oczekuje pogrzebu i nie może się go doczekać. Samo światło sine i zielone, wygląda jak zgnilizna, a cóż dopiero powiedzieć o przerażających widokach, które oczom odsłania teleskop!

„Pustynia tam bez śladu trawy nawet, pleśń zasypana rumowiskami, podziurawiona czeluściami wygasłych wulkanów. Góry ośmiowiorstowéj wysokości, piętrzą się w niéj jak olbrzymie sople lub jak prostopadłe ściany, a nad niemi roztacza się niebo, z powodu braku powietrza, czarniejsze od kiru, na którego tle płonie słońce jak pożar i palą się gwiazdy jak grobowe pochodnie. Gry kolorów, półcieni perspektywy powietrznéj, niema w téj ruinie świata: dzikie kształty występują ostro, pełno jest złudzeń i zdumiewających kontrastów. Ludzkie oko traci wszelką miarę; odległości skurczają się i wydłużają w sposób niemożliwy. Przedmioty jasne wyskakują naprzód, blade cofają się w tył, a ztąd każdy twój krok, każda zmiana w położeniu słońca wśród téj martwéj natury, wywołuje pozorny ruch, istny taniec upiorów“.

Przy świetle księżyca, ukazują się Prusowi nietylko fantasmagorye kosmiczne, ale i cienie mijających na naszéj ziemi tysiącoleci. W Puławach siadywał z pewnym botanikiem przy Sybilli, na ławce, pod olbrzymim kamieniem, porosłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał uczony naturalista.

— Te plamy, które pan widzisz, objaśniał autorowi towarzysz nie są wcale martwym brudem, lecz—zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzedz, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i giną. Ale co dziwniejsza, że tworzą one jakby społeczeństwa, widoczne tu w postaci róznobarwnych plam; uprawiają pod sobą grun-

ta dla następnych pokoleń, rozrastają się, kolonizują niezajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki. Byłoby to podobne do ludzkich zbiorowisk, gdyby nie brak mowy, świadomości, uczuć—słowem dusz i serc".

W kilka lat później, śledził autor w noc księżycową zmiany w formach i rozmiarach różnych pleśni, na tym samym kamieniu. W tem ktoś mu przysłonił księżyc; był to botanik, na którego szept bezdzwięczny znikła Sybilla, ławka, znikł kamień, dokoła rozlała się mdła jasność, roztoczyła niezmierna pustka, a wśród niéj zabłysnął słabem światłem glob tak wielki, jak ów kamień i jak on pokryty plamami szaremi, siwemi, zielonemi i rudemi. Plamy téj „pleśni świata" zmniejszały się lub rosły w nieustannym ruchu, ukazywały się na nowych miejscach, przesiąkały się nawzajem lub wypierały z zajmowanych stanowisk, a glob tymczasem wciąż krążył i zdawało się że wykonał setki tysięcy obrotów.

— Czy to ma być historya ludzkości, spytał autor stojącego przy nim botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dobrze—ale gdzie są sztuki, wiedza?

Uśmiechnął się smutnie.

— Gdzie świadomość, miłość, nienawiść pragnienia?

— Cha! cha! cha! . . . — śmiał się cicho.

— Słowem, gdzie tu są ludzkie dusze i serca?

— Cha! cha! cha!

— Któż ty jesteś? zapytał wreszcie oburzony zachowaniem się uczonego.

I w téj chwili znalazł się napowrót w ogrodzie obok kamienia, którego niekształtne plamy, kąpały się w blaskach księżyca.

Towarzysz znikł, ale go autor poznał po szyderstwie i melancholii.

I my go znamy;—rzadko on odstępuje Prusa, nietylko w świetle księżycowem ale i w blaskach słonecznych, których jasność mroczy mu niejednokrotnie. Zanim go bliżéj określimy, zaznaczmy, że jest to nie zawsze duch poezyi, że jest nim najmniéj kiedy poetyzuje popularną astronomię.

Prus w stosunku do natury, jest poetą motywów prostych. Spokojny urok ubogiéj wioski, rozrzuconéj na płaszczyznie wśród zbożowych łanów, które ciągną się jednostajną równiną, aż po ciemno-siną linię lasu; naiwny wdzięk młodéj leszczyny, wpuszczającéj do siebie wstydliwie ciekawy promień słońca, który jéj to wynagradza, zapalając w każdéj kropelce rosy brylantowe ognie i strojąc kokietkę w szmaragdowe przezrocza; gra świateł i cieni w leśnych gąszczach;

nęcąca perspektywa głębin posępnego boru; melancholia samotnéj gruszy dumającéj w polu nad swém odosobnieniem; krajobraz łagodnie urozmaicony, o wyniosłościach niezabardzo wysokich, o niezbyt głębokich jarach, o efektach niezanadto zbliżonych do majestatyczności, grozy,—znajdzie w nim zawsze doskonałego malarza, który obrazy na tych tematach oparte nastraja na ton sympatyi ogarniającéj całą naturę. Wobec komplikacyi motywów Prus traci równowagę wzroku i słuchu; oczom jego przedstawiają się powikłane kształty, uszy słyszą pomięszane głosy, wyobraźnia potrzebuje pomocy upostaciowanych fenomenów, które im wyżej unoszą się ponad proste wrażenia, tém melodramatyczniejsze wytwarzają kombinacye i kontrasty.

Na tle tak pojmowanego i tak przedstawianego świata, występują z podobném w plastyce i w odczuciu prawdy stopniowaniem istoty żywe — bo niekoniecznie i nie zawsze ludzie — które tém realniéj się rysują, im ściślejszy jest ich związek z naturą. Stopień sympatyi stanowi tu o sile charakterystyki, a dosadność jéj zdaje się być w odwrotnym stosunku do rozmaitości motywów psychologicznych. Pełne litości umiłowanie upośledzonych daje Prusowi w zetknięciu z niemi jakieś jasnowidzenie, które mu rozświeca ciemnie tych głębin, gdzie drzemią bliskie ocknienia aspiracye, gdzie świtają zaledwie pierwsze brzaski świadomości, gdzie Psyche, budząca się w chwili kiedy dzień dopiero szarzeje i stacza jeszcze walkę z nocą, jest w stanie pół snu, pół jawy. Niższe szczeble téj świadomości nie tylko Prusa nie odstręczają, ale go ciągną do siebie nieprzeparcie, jakby w nich szukał chętniéj niż w naturach skomplikowanych rozwiązania odwiecznéj zagadki duszy. Więc jest przyjacielem zwierzęcia, pilnym obserwatorem tego pogranicza, na którém instynkta zwierzęce stykają się z inteligencyą człowieka i pies naprzykład zajmuje między bohaterami opowiadań, szkiców i obrazków, wcale niepoślednie miejsce.

Nic zabawniejszego nad charakterystykę Kurty w „Przygodzie Stasia“. Kazano mu pilnować dzieciaka w kołysce. „Co za świat, myślał sobie pies, na którym dzieci śpią, gospodyni bawi się rwaniem listków, drzewa zamiast uczciwie pracować, kiwają się i szeleszczą, bocian na klekotanie zrywa piersi, a gospodarz z chłopakami nie robią nic. tylko ruszają się i kują? On małym młotkiem bije w kowadło: dyń, dyń, dyń, a chłopcy wielkiemi młotami w żelazo: łup! łup! łup! aż iskry lecą Stałem nieraz przed kuźnią, tom widział“.

Gdyby wszystko w téj filozofii Kurty polegało na pożyczaniu myśli od człowieka, sposób byłby łatwy; ale zauważmy, że w niéj największą rolę odgrywają wrażenia wzroku i słuchu, wywołane ruchami gospodyni, uginaniem się i szelestem drzew, podnoszeniem się i opadaniem młota, dźwiękiem uderzanego żelaza, błyskiem sypiących

się iskier. Zmysły zwierzęcia dają podstawę Prusowi do snucia pewnéj pierwotnéj, przedziwną humorystyką zabarwionéj psychologii.

Sen Kurty jest już snem psim bez żadnéj domieszki ludzkich widzeń. Z rozpaczy nad powszechném lenistwem, upadł pracowity Kurta na bok, aż ziemia jękła, spłaszczył się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiéj uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nic nie patrzéć....

„Wtedy przed wzrokiem jego niestrudzonéj duszy, rozwinęło się pole pełne kapusty, należącéj do gospodarza, wśród któréj żerowało stado zajęcy, przebierających łapkami i nastawiających uszy jak palce. A dam że ja wam hultaje! szczeknął Kurta i daléjże gonić szkodników na wszystkie strony!... Gonił, gonił, a pole przeciągało się do nieskończouości, zające mnożyły się jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tę jego bieganinę, wołali: oj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpocznie!... A Kurta wyciągał się i cwałował, tak że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś zdaleka. Ledwie dyszał, ale gonił.

„W tém nad głową marzącego psiska poczęła krążyć mucha i wymyślać mu cieniutkim głosikiem: Oj ty! ty! kundlu jakiś, próżniaku! najadłeś się osypki i kiedy cały świat rusza się na słońcu, ty leżysz jak kłoda i drzemiesz... Ocknął się pies i kłap na muchę zębami... Widzicie ją darmozjada. Ona mi tu będzie leżenie wymawiała, kiedy ja zające wyganiam z kapusty!... I nie chcąc na obronę swego honoru czasu tracić, wyciągnął się jeszcze lepiéj i — wrócił do czynności“.

Wszystko w tym króciutkim a skończonym obrazku jest doskonałem: i psychologia snu oparta na pogoni za czémś niedoścignionem, co na każdym kroku na nowe natrafia przeszkody i znajomość ruchów zwierzęcia, dla którego naprzykład własny ogon wydaje się niekiedy jakimś oddzielnym przedmiotem i lekka wreszcie ironia autora, wplatająca w marzenia prostego kundla aspiracye psa myśliwskiego.

A chcecie heroizmu? to macie Karusia, faworyta „Anielki“.

Ojciec Anielki zbankrutował na gospodarstwie, zostawiwszy żonę i córkę na łasce Opatrzności i na pastwę pomsty chłopa, który dwór podpalił. Opuszczoną dziedziczkę uratowano i z litości umieszczono z dzieckiem u karbowego — ale o Karusiu nikt nie pomyślał. On za to wdzięczniejszą miał pamięć psiego serca; nie znalazłszy swéj panienki, zaczął niespokojnie węszyć.

„Ślady Anielki wyraźne w kilku miejscach, nagle urwały się. Stał jakiś wóz; pies pobiegł do bramy za jego koleją, lecz daléj ani kroku. Koleje krzyżowały się; tyle tędy wozów przejechało, że Ka-

rusek nie mógł się zoryentować żadną miarą. Począł szczekać, wyć i biegać cwałem. Obleciał ogród, sadzawkę, zajrzał pod kasztan, przegalopował pod płotem. Wszędzie były ślady Anielki dawniejsze, ale każdy kończył się pod spalonym domem. Wpadł na zgliszcza. Obiegł ciepłe jeszcze gruzy, poparzył się o tlejące głownie, pokaleczył o gwoździe. Ale oprócz spalenizny najrozmaitszéj woni, nie znalazł nic więcéj. Znowu pędził, szczekał i wył takiemi głosami, że aż się serce krajało. Wskakiwał przedniemi łapami na okna, zaglądał za drzwi — napróżno. Począł go dławić straszny żal. Żeby choć znalazł sukienkę Anielki, jaki szmatek z jéj odzienia! Żeby choć spojrzéć na nią, uczuć jéj rękę na głowie, usłyszéć dźwięk głosu. Ach, jakżeby chętnie uczył się służyć teraz, jakby się nie przewracał, jakby jéj nigdy nie opuszczał! Wszystkie te myśli nie były w nim jasno sformułowane, nie umiałby ich wyrazić. Ale za to jak on czuł! Język ludzki nie ma słów do określenia, ani serce strun do odczucia psiéj przyjaźni. Człowiek zawsze znajdzie pociechę po stracie drogich osób, pies prawie nigdy. Gdyby Karusek wiedział, że jest coś, co się nazywa śmiercią. i potrafił ją zadać sobie, niezawodnie w téj chwili popełniłby samobójstwo. Ale on nieszczęśliwszy od rodu ludzkiego, nie znał tego środka. Oddychać prawie nie mógł, łzy zasłaniały mu oczy, cierpiał niezmiernie, lecz pozbyć się udręczeń nie umiał. Wówczas w jego drobnéj, napół świadomėj duszy, błysnęła myśl genialna. Zatrzymawszy się na ostatnim śladzie Anielki, postanowił biegać w koło dworu, stopniowo oddalając się od środka. W taki sposób, choćby przyszło obleciéć cały świat, trafi w końcu na jakąś wskazówkę, która doprowadzi do Anielki. Co postanowił, wykonał natychmiast. Spuścił ogon, zwiesił łeb i pędził galopem po linii spiralnéj. Przecinał w poprzek gościniec, drogi boczne, wszystkie ścieżki i miedze — szukał".

Chciałoby się przytoczyć cały dramat tego szukania, wśród którego Karuś posądzony o wściekliznę biegnie raniony kamieniem, ucieka przed pogonią ludzką, pijąc wodę z kałuż, karmiąc się padliną, odpoczywając w bruzdach, powłócząc postrzeloną nogą, dopóki w progu folwarku nie padł u nóg Anielki i nie wyzionął przy niéj ostatniego tchnienia;— ale biedne zwierzątko ustąpić musi ludziom, choćby tym dzieciom, które tak miłuje i za któremi tęskniąc — umiera.

Oto jedno z nich— Staś, którego przygodę opowiada Prus z takim nieocenionym humorem. W pieluchach jeszcze ten bohater— ale co to szkodzi? Prus umie obchodzić się z takiém maleństwem jak najczulsza matka i potrafi duszyczkę jego rozpowijać ze mgieł nieświadomości. Nie wiemy czy jest w literaturze współczesnéj drugi pisarz, któryby z taką dokładnością obserwacyi wyśledził następstwo

wrażeń spadających na dziecko jak uragan „po długim śnie przedbyśowym“. Staś uczuwa odrazu pewnego dnia, że powietrze drażni mu skórę i płuca, że do oczu skaczą mu barwy białe, szare, niebieskie, zielone, czerwone, we wszelkich kombinacyach i odcieniach, a wraz z niemi tysiące form ożywionych lub martwych. Słyszy rozmowy ludzi, łoskot własnéj kołyski, bulgotanie gotującej się wody, brzęk much i skomlenie Kurty; czuje ucisk powijaków, odcienia temperatury, głód, pragnienie, senność i ruch własnych członków. Po ciężkiéj pracy w chaosie dochodzi sam do wielkich rezultatów: udaje mu się pochwycić różnicę między swoją nogą a krawędzią kołyski, a nawet między łonem matki i sienniczkiem; wie, że głód morduje go od strony nóg, że w jednych punktach głowy koncentrują się wszelkie możliwe hałasy, w drugich wszelkie barwy i że trzeci punkt służy do ssania. Później odróżnia już wypadki złe od dobrych, rzeczy ładne od brzydkich, śmieje się na widok matki, płacze po kąpieli. Tworzą się w nim sympatye i antypatye, obawy i nadzieje. Lubi Kurtę—bo ciepły jest i liże go. Lęka się ciemności, wśród któréj można się rozbić; tęskni za sadem, gdzie go kołyszą do snu rytmy pieśni matczynéj. Kolory szare, przypominające niezawsze suchy sienniczek nie podobają mu się, natomiast barwy czerwone i niebieskie, przedmioty błyszczące, podniecają go do śmiechu. I tak daléj, przez wszystkie fazy rozwoju głowiny i muskułów, aż do arcy-ważnéj chwili, kiedy różowe usteczka po raz pierwszy wymawiają wyrazy: „tata“, „mama“, „Kurta“.... Wszystko to mieni się w blaskach słonecznych, które po całym obrazku rozlewają ton rozpromienionéj pogody.

Rzecz charakterystyczna — ten wyraz wesela znika u Prusa z fizyognomii dzieci starszych, jakby życie zawczasu przygotowywało je do smutków. Że bohater „Sierocéj doli“ jest smutny, nic dziwnego; dzieje jego są historyą tułactwa opuszczonéj istoty, ale spojrzyjmy na melancholijną twarzyczkę Anielki. Powaga w niéj jakaś zastanawiająca. Skąd? wszak dzieweczka jest w latach uśmiechów i radości. I oczy zdają się być zadumane. O czem? wszak nie czas jeszcze na refleksye i rozmyślania. Po czole przemykają chmurki jakiéjś tęsknoty. Do czego? przecież ma w domu wszystko czego dzieci pragną. Tak, — ale Prus, nieprzyjaciel melancholii w ludziach dojrzałych, lubi te milczące istotki, do których rozwicia nie wystarcza słońce, otwierające pączki kwiatów. Prawdziwy poeta dusz skupionych w pół-świadomości, odgaduje ich bezwiedne pragnienia, aspiracye, których sformułować nie umieją i przeczucia, z których sprawy sobie zdać nie są w stanie. Czém jest treść Anielki? Historyą takiéj duszy, która umilkła na zawsze, zanim się wypowiedzieć zdołała. Te proste dzieje zajmują cały tom o 272 stronicach, wypełnionych opo-

wiadaniem jak Anielka kocha matkę, skarżącą się ustawicznie na chorobę; jak wydaje lekcye przed guwernantką, która ją trzyma w pokoju zamiast puścić do ogrodu; jak się bawi z Karusiem, jedynym swoim nieodstępnym przyjacielem; jak się lęka ojca, który ją poważnie traktuje; jak ocala od chłosty córkę chłopa, który później podpala dwór jéj rodziców i jak wreszcie przeniesiona na folwark po pożarze, straciwszy Karusia, rozłączywszy się z matką — umiera w powietrzu zatrutém wyziewami bagien. Wszystko to tak za serce chwyta, tak do głębi duszy wstrząsa, że dzieje bankructwa szlachcica wydają się tu tylko tłem — a prawdziwy dramat odgrywa się w duszy dziecka, które cierpi, nierozumiejąc jeszcze dobrze co to jest cierpienie i domyśla się że istnieje na świecie niedola, zanim pojęło dla czego samo jest nieszczęśliwém.

Takich dramatów jest więcéj w opowiadaniach, szkicach i obrazkach Prusa. Tu wiejski chłopak zapędzony do pasania bydła, marzy po całych dniach, patrząc na wiatrak w ruchu i strugając różności z patyków, jakby się nauczyć takie robić „maszyny", dopóki mu swoi jako darmozjadowi nie kazali iść w świat, gdzie mógłby może zostać wielkim inżynierem, ale prawdopodobnie umrze z głodu („Antek"); tam chłopskie dziecko takie jakieś czułe na muzykę, że w kościele płacze i śmieje się podczas każdéj procesyi, a w jego imaginacyi dźwięki przybierają postać obrazów, dopóki śmierć nie zaskoczyła go, zasłuchanego w śpiew chóralny („Placówka"); owdzie znów bezimienny małomiejski Orfeusz, którego skrzypki koją żal za domem i rodziną zgromadzonych w koszarach rekrutów a surowego feldfebla tak rozbrajają przypomnieniem lat dziecinnych, że pozwala babom pożegnać się z „wojakami" (*Echo muzyczne*);—wszędzie proces głuchego nurtowania nieświadomych siebie pragnień i sił zdrzemniętych, które tylko potrącenia potrzebują żeby się ocknąć, a które nigdy się nie rozbudzą.

Namiętną, smętną i dziką niekiedy poezyę natur szamocących się przez sen ze zmorą życia odnajduje Prus i w istotach, które ciałem są ludźmi, duszą dziećmi.

Kto jest „Michałko?" Napół idyota. Ze wsi swojéj gdzie nie mógł nic zarobić, wyszedł szukać chleba do miasta. Niepozornego przybłędę miasto przeprowadza przez różne etapy nędzy, którą Michałko nie bardzo nawet odczuwa, podobnie jak sam nie wie i prawie wstydzi się tego, że zdobył się na bohaterstwo, wyratowawszy w nowo budującym się domu mularza przygniecionego zawaloną ścianą.

Kto jest głupia Zośka w „Placówce?" Prawie waryatka. Jakiś nicpoń bez sumienia przysporzył jéj niedoli macierzyństwem, nie dbając o to, że wyrobnicy z dzieckiem nikt do roboty nie przyjmie. Przy-

nosi więc nieszczęśliwa swoją córeczkę do chaty Ślimaka a tam przytula ją do siebie taki sam biedak jak matka—parobek Owczarz. Scena w której te trzy osierocone dziecinne dusze spotkały się w jednem uczuciu, należy do najbardziéj przejmujących jakie Prus napisał.

A któż jest ów Maciek Owczarz? Ani idyota, ani waryat, ani dziecko, ale coś w rodzaju bretońskiego *innocent*, jakiś *reiner Thor* ze starogermańskich legend, pierwotna w swéj naiwności dusza, wychylająca się chwilami z mroków instynktowych ku jasności świadomego życia i zdolna wtedy do bezwiednych heroizmów. Ten niezdarny chłop snuje się wśród akcyi „Placówki“ prawie niepostrzeżenie; czasem roztkliwi, jak wtedy, gdy cudze niemowlę przygarnia; niekiedy serdecznie rozśmieszy, jak podczas swéj wyprawy po drzewo, kiedy śpiącemu w jałowcowym krzaku dziecku tłómaczy jak się szczapy na wóz układają, dopóki nie urośnie do tragicznych rozmiarów, ginąc z sierotą w śnieżnéj zadymce śmiercią tułacza, wypędzonego z chaty za niepopełnione przewinienie.

Do tych istot obdarzonych jakimś tajemniczym zmysłem odgadywania subtelności nieznanych sobie uczuć, miewających prawie wizye przeczutych światów i przypominających postacie z czasów fevalowskiéj romantyki, żywi Prus czułą skłonność, posuniętą niekiedy do łzawego liryzmu. Dzieci natury — cieszą się miłością jaką budzi w nim matka przyroda.

Jeszcze jeden krok daléj—a znajdujemy się w sferze, na którą Prus spogląda okiem spokojniejszego obserwatora. Fizyognomia jego wypogadza się, spojrzenie traci wyraz zadumania, uśmiech wraca na usta, rozświecając promieniem przepuszczonym przez pryzmat dobrodusznego humoru rzeczy, ludzi, uczucia i stosunki normalnego świata chłopskiego.

Prus zna ten świat dobrze w jego głównych znamiennych rysach, w jego ogólnéj zasadniczéj charakterystyce. Chłop u niego jest chłopem, chata jego chłopską chatą, karczma chłopską karczmą, wady i zalety wadami i zaletami chłopskiéj natury, całe życie chłopskiem życiem; jest w tem wszystkiém prawda przekonywająca i możnaby się zgodzić na zdanie p. Aleksandra Świętochowskiego, który w swojém wybornem studyum o Prusie zauważył, że „oprócz Sienkiewicza w „Szkicach węglem“ nikt tak głęboko nie zajrzał w duszę polskiego chłopa,“ pod warunkiem, że będzie mowa o „przeciętnym chłopie.“

Rozejrzawszy się dobrze w tém wszystkiém co Prus brał z tego świata za motywa do swoich obrazów, wypadnie zaznaczyć, że nowemi rysami nie wzbogacił tych motywów, do których materyał gotowy wytworzyła już obserwacya, że się tak wyrazimy „bieżąca.“ Istotnie,

o przywiązaniu chłopa do ziemi, dochodzącem do zawziętéj namiętności, o jego nieufności do wszystkiego co usłyszy we dworze, o nienawiści do Niemców, o obawie przed „omentrami," o nerwie posłuszeństwa wyrobionym w nim wiekami, o skłonności do lenistwa dziwnie skojarzonéj z nałogiem do ciężkiéj pracy, o braku inicyatywy czekającéj zawsze jutra — krążą gotowe pojęcia mające niewzruszoną podstawę pewników. W ręku dyletantów pisujących chłopskie nowelle dla mody, takie pojęcia stają się literackiemi ogólnikami, rozrobionemi na sceny i dyalogi z przyprawą chłopskiéj gwary; talent Prusa żłobi je i uwypukla, typowym konturom nadaje plastykę i koloryt i wlewa życie tam, gdzie inni potrafili zdobyć się tylko na szablonowy konwencyonalny rysunek. Jakże wprost z natury pochwycony jest ten bohater „Placówki" Ślimak ze swojém nieustającém znużeniem fizycznem, które ma w sobie jakąś fatalność atawizmu, ze swoją tęsknotą do wypoczynku, urzeczywistnioną wtedy właśnie kiedyby najenergiczniéj pracować należało, ze swoją systematycznie uregulowaną zachowawczą rutyną w codziennym trybie życia, na któréj straży stoi niezaradność obojętna i apatyczna w zwykłych okolicznościach, zatrwożona i bezbronna w obec wszelkiego niebezpieczeństwa. A ta jego baba!.. widzi się ją jak żywą kiedy nad chłopem przewodzi, imponując mu zawsze wyższością w powszednich sprawach życia praktycznego; kiedy obita, traci rezon, chyląc się przed siłą na chwilę tylko, bo wie, że to tylko przemijający paroksyzm chłopskiego w domu panowania; kiedy w przeddzień śmierci staje się niemal tragiczną heroiną idei ojcowizny, spotęgowanéj całą energią kobiecego konserwatyzmu. Każdy rys w tych postaciach jest na swojem miejscu z właściwém sobie pogłębieniem i w odpowiedniem oświetleniu. Nic w charakterystyce nie brakuje i nic téż nie ma zbytecznego, wszystko trzymane jest w formie powściągliwéj prostoty, którą artyzm chroni od prostactwa. W realizmie swoim Prus naśladuje życie, które tylko daltonistom przedstawia się w jednostronności fałszywego kolorytu. Jeżeli naprzykład targ z kumotrem o krowę odsłania nam chytrość chłopskiéj natury, to z drugiéj strony serdeczność w ugoszczaniu zdrożonych podróżnych, wydobywa na jaw szlachetniejsze jéj pierwiastki—i tak z wielu rysami, z których autor, baczny obserwator układa bilans wartości moralnéj. Wprawdzie sympatya ostatecznie bilans podsumowywa, ale widać, że stara się być jaknajbezstronniejszą. Dość przeczytać świetną scenę chłopskich narad o serwituty w „Anielce," żeby się przekonać, że Prus umie te sympatye trzymać na wodzy.

Podobną miarę zachowuje Prus w charakterystyce uczuć u ludu—i jeżeli bywa sentymentalnym kiedy te uczucia przedstawiają mu

się niby niewyraźna jakaś mgławica w istotach, które jak niemowlęta, nie zdołały jeszcze oderwać się od łona natury, — to trzeźwo patrzy na sercowe sprawy swoich bohaterów, stojących już na pewnym stopniu samowiedzy.

Czy może być coś doskonalszego jak oświadczyny Szaraka kowala Małgosi młynarzównie w „Przygodzie Stasia?“

Pyta się dziewczyna gdzie „pan Józef“ mieszka, czy to tam na górce co do łąki idzie, co to jest płot cbróśniany i trochę drzewin? Jakiby tam sad był! A chata jaka ładna! Tylko żeby tak na nią, mówi Małgosia, toby ją obieliła, jak się patrzy, w okna dałaby firanki i doniczki, w izbie zawiesiłaby wszystkie jakie ma obrazy...

Kowal westchnął.

— Eh! — rzekł — żebyśmy tak bliżéj mieszkali, toby mi Małgosia zaraz ochoty dodała i poradziła gdzie co zrobić!

— Oj! oj!... samabym nawet zrobiła, jakby pan Józef poszedł do kuźni.

— Ale na taką dalekość — ciągnął kowal, biorąc dziewczynę za palec — toby pewnie Małgosia nie chciała odejść starego.

Teraz młynarzówna umilkła.

— Okrutnie mi się Małgosia podobała, sprawiedliwie mówię!... Psiakość! jak człowiek teraz wróci do domu, to rady sobie nie da... Ale Małgosi nic po tem... Małgosi... toby się jaki rządca patrzył?..

— Ja przecie wiem co pan Józef jest warty!—ofuknęła go dziewczyna, odwracając głowę.—O żadnych tam rządcach nie myślę, tylko o tem żeby...

I znowu umilkła, ale teraz kowal wziął ją już za całą rękę.

— No — spytał nagle — a poszłaby Małgosia za mnie?

Tchu jéj zabrakło.

— Ja tam nie wiem!... — odparła.

W téj chwili Szarak schwycił ją wpół i pocałował w odchylone usta.

— I... i... i... z takiemi żartami... — syknęła obrażona, wyrwała mu się z objęć i wpadła do chaty, zasuwając drzwi za sobą.

Téj nocy żadne z nich nie spało.

Ani słówka w tém fałszywéj deklamacyi a uczucie odzywa się nawet w energicznem „psiakość.“ Nie deklamują też ludziska kiedy śmierć zajrzy do nich do chaty, nawet tacy, których życie nie zgnębiło jeszcze do ostatka.

Ślimakom utonął syn Stasiek.

— O pocóżem cię na ten świat wydała—zawodzi matka. - A pocóżeś ty się urodził!... dziecko jak złoto... tyle chorób wytrzymał

i patrzajcie się... teraz utonął. O miłosierny Boże!.. za cożeś mię tak ciężko skarał?

Następuje potem rezygnacya, zdanie się na wolę boską.

— Nawet źwirzowi nie stanie się nic bez woli boskiéj — mówił Ślimak.— Ile to razy do inszego zająca strzelą z fuzyów, ile psiarni za nim wypuszczą, a on uchodzi zdrów, kiedy się tak Bogu podoba. Ale niech ino wybije jego godzina— zginie w czystém polu. Uciapie go lada kundel, albo pastuch trafi w łeb kamieniem i bywaj zdrów.

A kończy się wszystko praktyczną filozofią dnia powszedniego.

— Moja ty dziecino! moja ty pociecho!... zapłakała matka.

— No, pociechy toby z niego nie było—rzekł Ślimak.— Przecie on nawet za bydłem chodzić nie mógł.

— O, ni... — wtrącił Owczarz.

— Ani poszedłby za pługiem.

— O, ni...

— I chłop z niego byłby żaden.

— Jużci żaden. Siły nie miał ani zdrowia.

— On już takie był odmienne dziecko — zakonkludował Ślimak

Wesele i śmierć jednakowo są małomówne, jak gdyby uciecha i smutek tych dusz pierwotnych zapożyczały powagi i spokoju od natury, jak gdyby lękały się wśród nieustannego znoju że nie starczy im czasu na długie panowanie.

Z tych pierwiastków zgromadzonych z zapobiegliwością skrzętnego zbieracza, odczutych sercem poety i ugrupowanych ręką artysty, odtwarza Prus świat, który wiernością odwzorowania zajmuje i pociąga, który przecież przy całéj swéj plastyczności nie jest odkryciem psychologa; o tym więc tylko, kto, jak Orzeszkowa w „Chamie“ odnalazł wśród typów utrwalonych przez naturę i przez stosunki społeczne, indywidua, charaktery,—można powiedzieć, że najgłębiéj zajrzał w duszę chłopa polskiego. Chłop u Prusa jest tylko chłopem przeciętnym i jego świat chłopski tylko światem przeciętnym,—niemniéj jednak „Placówka“ rozważana w tych granicach, byłaby utworem skończonym, gdyby w nim nie psuły harmonii i spokoju socyologiczne paroksyzmy.

Pomijamy wyegzaltowaną — jak o tem dziś świadczy ruch emigracyjny do Brazylii—miłość chłopa do ziemi i jego oporność na kuszenie Niemców, których zresztą zwyciężyć było nietrudno, jeżeli niemożność nabycia piaszczystego wzgórka wniwecz obróciła ich plany kolonizacyjne; ale sprzedaż folwarku Niemcowi przez dziedzica podczas balu, między dwiema figurami mazura odzywającego się z sąsiedniéj sali, jest nie pomysłem—lecz konceptem.

Rzecz prosta, że idzie tu o zestawienie streszczające się w słowach: „patrzcie, oto tak pozbywa się ojcowizny pan, a tak jéj na „placów-

ce“ społecznéj strzeże chłop,“ ale zamierzywszy nawet wyzyskać taki kontrast, nie w ten sposób poczyna sobie psycholog, tem mniéj artysta, a już w żadnym razie nie przyjdzie do głowy ani jednemu ani drugiemu taka naprzykład scena:

Parobek Owczarz wraca z lasu ze swoją znajdą. Noc już zapadła, lecz ją biedakowi rozświecają pochodnie kuligu dążącego do pałacu w fantastycznéj maskaradowéj pstrociznie. Owczarz stoi z oczami wlepionemi w mieniący się wszystkiemi kolorami orszak.

Zagrzmiała żałosna melodya poloneza Ogińskiego i z gromady stojącéj na górze poczęły wysuwać się para za parą jak barwna nić wysnuta z ciemnego kłębka.

— Patrzaj—mówił, wydobywszy z pod kożucha głowę znajdy— bo pewno drugi raz nie zobaczysz takich śliczności, to ci procesya, nie bój się. Widzisz tego co mu blacha wyziera z pod algiery, a na głowie ma mosiężny kociołek? To wielgi rycerz!... Tacy zawojowali pół świata dawnemi czasy, ale już dziś ich nie ma...

„A przypatrz się temu z siwą brodą, i z kitą u czapki. To wielgi pan! senator. Tacy dawnemi czasy pół świata trzymali w garści, ale już ich dziś nie ma.

„Ten w kołnierzu, to duchowna osoba. Tacy dawnemi czasy znali wszystko co ino jest na ziemi i w niebie a po śmierci bywali świętemi Ale już dziś ich nie ma.

„Ten jaskrawy jak dzięcioł, to także wielgi pan. Nic nie robił ino pił i tańcował. Od jednego razu mógł wypić konewkę wina, a tyle potrzebował pieniędzy, że w końcu z biedy musiał ojcowiznę sprzedać. Kiedy zaś wszystko zakupiono, to i jego nieboraka nie stało.

„Widzisz, widzisz, jaki idzie ułan? O! tacy dużo wojowali... Przeszli z Napolionem cały świat, zbili wszyćkie narody. Ale dziś już i tych nie ma!...

A teraz proszę sobie wyobrazić na tle ciemnéj nocy mknące w krwawém oświetleniu migotliwych płomyków duchy różnych epok i czasów, a gdzieś w głębi w pół mroku, w pół jasności prostaczka wykładającego niemowlęciu w ekstazie jasnowidzenia historyozofię od wieków średnich aż do Waterloo! Nieprawdaż jaki melodramat?

Doprowadza on nas do progu, na którym żegnamy się z romantykiem natury, a mamy zabrać znajomość z filozofem życia. Pierwszy streścił w „Placówce” wszystko, co zdobył w obcowaniu z przyrodą i ze światem najbliżéj niéj stojącym;—drugi ostatnie słowo swoich socyologicznych teoryj wypowie nam w „Lalce.” (*D. n.*).

W. Bogusławski.

Polityka socyalna Wilhelma II-go.

Fryderyk II król pruski, zwany także wielkim, który, jak wiadomo, wolał używać języka francuzkiego niżeli niemieckiego, zwykł był o sobie mawiać: *je suis un roi des gueux.* Odtąd powtarzali to wszyscy jego następcy na tronie pruskim a przyznać trzeba, że każdy starał się, według możności, pełnić obowiązki monarchy, pamiętającego o losie biednych. Za panowania Fryderyka Wilhelma III-go nastąpiło uwłaszczenie włościan i przeprowadzoną została reforma agrarno-społeczna. Fryderyk Wilhelm IV pracował jeszcze nad jéj wykończeniem a zresztą znany był z humanitarnych poglądów i dążności swoich.

Może najmniéj skłonności i usposobienia w tym kierunku okazywał Wilhelm I, późniejszy cesarz niemiecki, którego od lat młodzieńczych po nad wszystko interesowały sprawy wojskowe. A jednak, dziwnym zbiegiem okoliczności, właśnie za jego panowania dokonane zostały poważne reformy społeczne w interesie robotników, pracujących w fabrykach i przemyśle; jego orędzie z 17 listopada roku 1881, zapowiadające te reformy, najżywiéj przypomniało przytoczone powyżéj słowa, przypisane Fryderykowi II; za jego panowania powstało hasło „monarchii socyalnéj". Prawda, że i na ten czas przypada początek agitacyi w kołach robotników samych, która bądź co bądź przyczyniła się niemało do przyspieszenia reform, dając początek organizacyi dzisiejszego stronnictwa socyalno-demokratycznego, które w życiu politycznem i społecznem Niemiec poważną odgrywa rolę.

Konstytucya pruska udzieliła swobodę koalicyi, a pierwsze kroki na tém polu, w interesie klas pracujących stawiali we wschodnich prowincyach królestwa pruskiego Schultze z Delitsch, nad Renem — Raiffeisen. Znana ich działalność nie miała wprawdzie nic wspólnego z późniejszemi zabiegami socyalnych demokratów, ale budziła w klasach

roboczych świadomość swobód, nadanych im przez konstytucyę. W każdym razie zaznaczyć warto, że impuls do pierwszego bezrobocia w Prusiech, w Waldenbergu na Szląsku, wyszedł z tych demokratycznych kół niemieckich, do których należał Schultze i późniejsi organizatorowie stowarzyszeń fachowych (Gewerkvereine): Dunker i Hirsch.

Hasło idei socyalnéj pomiędzy masy rzucił pierwszy w Prusiech Ferdynand Lassalle. Zasady i dążności polityczne demokratów pruskich nie wystarczały mu. Oni organizowali stan trzeci, i jego interesów strzegli, gdy jemu chodziło o robotników i organizacyę t. z. stanu czwartego. Stosunki Lassalla z Bismarckiem, który już wtedy dzierżył ster rządu w Prusiech, a ruchem robotniczym wielce się zainteresował, przyczyniły się niewątpliwie do tego, że spadkobiercy idei Lassall'a, po rychłéj jego śmierci: von Schweitzer, hrabina Hatzfeld i inni, do hasła: *„social!"*, pod jakiém organizowali swoje hufce, dodali: *national, monarchisch!* Byli oni patryotami niemieckimi i wierzyli w ideał pruskiéj monarchii robotniczéj pod berłem Hohenzollernów.

Dzięki prawu głosowania powszechnego, wprowadzonemu przez konstytucyę związku północno-niemieckiego, które udzieliło głos wyborczy każdemu pełnoletniemu, byle nieposzlakowanemu obywatelowi państw północnych Niemiec, robotnicy zdołali do pierwszego parlamentu z r. 1867, t. z. konstytuanty, wprowadzić przedstawicieli swoich. Nie pochodzili oni jednakże z Prus lecz z Saksonii, gdzie już wtedy robotnicy w stronnictwie ludowem *(Volkspartei)* lepiéj byli zorganizowani od Lassalczyków a do parlamentu wysłali, zasiadającego w nim dotychczas Bebla i adwokata Schrapsa. Przy następnych wyborach, w r. 1868, obok Bebla i Schrapsa, w Saksonii jeszcze został wybrany Liebknecht, gdy tymczasém Lassalczycy pozyskali w Prusiech trzy mandaty: von Schweitzer w Elberfeld-Barmen, dr. Reinekę w Lennep-Mettmann i kotlarz Försterling w Chemnitz. Na wszystkich przedstawicieli klas robotniczych wtedy nie padło więcéj jak 50,000 głosów.

Tych sześciu posłów jednakże tworzyło dwa stronnictwa, różniące się wielce od siebie dążnościami. Gdy bowiem Lassalczycy trwają przy swoim dawnym programie, zabarwionym patryotyzmém pruskim, Sasi, nienawidzący w ogóle, a mianowicie po wojnie z r. 1866, Prusaków, w szczególności zaś jeszcze Hohenzollernów, w rzeczypospolitéj demokratycznéj widzą zbawienie, t. j. możność urzeczywistnienia swoich ideałów. Daremnie tedy dwa odłamy dążą do porozumienia się i wspólnéj działalności na gruncie interesu robotników, któremu rzekomo służą. Na kongresie przedstawicieli robotników

w Eisenach, w r. 1869, stanowczy następuje rozbrat; a zwolennicy Bebla i Libknechta tworzą wtedy *socyalno-demokratyczne stronnictwo ludowe*, z charakterem kosmopolitycznym, które było początkiem istniejącego dotąd pod nazwą powyższą stronnictwa.

Po kongresie w Eisenach pomiędzy Lassalczykami jeszcze następują nieporozumienia, tak, iż przy początku roku 1870 mała grupa „przedstawicieli robotników" dzieli się na trzy frakcye. Niemniéj wszystkie trzy łączą się w jedno, gdy chodzi o głosowanie przeciwko wojnie francuskiéj, a następnie, po skończonéj wojnie, przeciwko układom, zawartym w Wersalu pomiędzy rządami państw niemieckich, a ustanawiającemi rzeszę niemiecką, jako i przeciwko nadaniu Hohenzollernom tytułu cesarzy.

Podczas wyborów do parlamentu w r. 1871, Lassalczycy otrzymują razem 63,000, eisenachiści 39,000 głosów. Wtedy na 7,656,273 osób, uprawnionych do udziału w powszechném głosowaniu, do urny wyborczéj stawiło się 3,866,515. Dołączając nawet jeszcze do głosów socyalno-demokratycznych głosy oddane na demokratów Jacobiego i Schrapsa, którzy nie przyłączyli się jawnie do stronnictw robotniczych, wypadnie, iż na przedstawicieli stronnictw robotniczych padło 3% wszystkich głosów. Stosunek procentowy był bardzo rozmaity w różnych okręgach. I tak w okręgach miejskich na 100 głosujących było 17 głosów robotniczych, daléj w 199 okręgach, w których przeważała ludność protestancka, 6% głosowało na kandydatów robotniczych, w 97 okręgach zaś, gdzie ludność katolicka stanowiła przeszło 75%, na stu głosujących przypada tylko 0,5 socyalnych demokratów. W liczbie Lassalczyków wybranych, znalazł się wówczas Hasenclever, a gdy Schweitzer ustąpił z widowni politycznéj, oddając się całkiem literaturze, Hasenclever objął przywództwo.

Na czas od r. 1871 — 74 przypadła w Niemczech epoka gryderstw i krachu giełdowego a w następstwie upadku ekonomicznego. Nie ulega kwestyi, że ówczesne zajścia w życiu ekonomicznem stały się lepszym środkiem agitacyjnym od wszystkich nawoływań prasy socyalno-demokratycznéj. Jako téż podczas wyborów w r. 1874 sześciu eisenachistów i trzech Lassalczyków wyszło z urny wyborczéj. Radykalny kierunek już zaczął mocno brać górę a pomiędzy jego przedstawicielami znalazły się takie osobistości jak Most i Hasselmann, którzy przyznawali się jawnie do zasad komuny paryskiéj. Władze pruskie wtedy zaczęły rozciągać ściślejszą kontrolę nad agitacyą socyalno-demokratyczną, ale równocześnie, w roku 1875, na kongresie w Gotha nastąpiło porozumienie w łonie przedstawicieli robotników, którzy odtąd na zewnątrz tworzą jedno wielkie stronnictwo socyalno-demokratyczne.

Od r. 1874 siła stronnictwa wzrasta. W r. 1877 na ogólną liczbę 5,401,021 oddanych w całych Niemczech głosów padło 493,288 czyli 9.1% na kandydatów socyalnych demokratów. Pozyskali oni 12 mandatów; gdyby jednakże liczba mandatów odpowiadała stosunkowi oddanych głosów, socyalni demokraci powinni byli zająć w parlamencie z 397 aż 36 krzeseł.

Ze względu na wzrastającą potęgę socyalnych demokratów i walkę, jaką niebawem z nimi rozpoczął książe Bismarck, warto, choć pobieżnie, zapoznać się z programem gotajskim, na podstawie którego nastąpiło zjednoczenie stronnictwa.

I. „Praca jest źródłem wszelkiego bogactwa i wszelkiéj cywilizacyi — powiada ten program — gdy zaś praca pożyteczna może być tylko wykonaną przez społeczeństwo, więc do społeczeństwa, t. j. do wszystkich członków jego, należy cały produkt pracy, przy ogólnym obowiązku do pracy, wedle równych praw, do każdego, stosownie do rozsądnych potrzeb jego.

„W dzisiejszém społeczeństwie środki do pracy są monopolem klasy kapitalistów, a spowodowana przez to zależność klasy robotniczéj jest źródłem nędzy i niewoli pod każdym względem.

„Oswobodzenie pracy wymaga zamiany środków pracy na wspólną własność całego społeczeństwa i uregulowanie pracy wspólnéj, tak iżby dochód z pracy został zużyty w interesie wszystkich i sprawiedliwie rozdzielony.

„Oswobodzenie pracy powinno być dziełem klasy robotników, w obec których wszystkie inne klasy są masą reakcyonistów.

II. „Wychodząc z zasad powyżéj wyłuszczonych, socyalistyczne stronnictwo robotników w Niemczech wszelkiemi środkami legalnemi będzie dążyło do utworzenia wolnego państwa i socyalistycznego społeczeństwa, do złamania spiżowego prawa zarobku *(ehernes Lohngesetz)*, do usunięcia wyzysku we wszelkiéj postaci, nareszcie do usunięcia wszelkiéj socyalnéj i politycznéj nierówności.

„Socyalistyczne stronnictwo robotnicze w Niemczech, aczkolwiek przedewszystkiém będzie działało w obrębie narodowym, rozumie, że charakter ruchu robotniczego może być tylko międzynarodowym, i zdecydowane jest na spełnienie wszystkich obowiązków, jakie mu ten charakter nakłada, aby urzeczywistnić ideę zbratania wszystkich ludzi.

„Socyalistyczne stronnictwo robotnicze w Niemczech żąda, dla przyspieszenia rozwiązania kwestyi socyalnéj, utworzenia socyalistycznych stowarzyszeń produkcyjnych z pomocą państwa, pod demokratyczną kontrolą pracującéj ludności. Stowarzyszenia produkcyjne należy utworzyć zarówno dla przemysłu, jako i rolnictwa, w tych

rozmiarach, aby z nich powstać mogła socyalistyczna organizacya pracy w ogóle.

„Socyalistyczne stronnictwo w Niemczech żąda jako podstaw państwa:

1. Powszechnego, równego dla wszystkich, bezpośredniego prawa głosu przy wszystkich wyborach i głosowaniach w państwie i gminie, z głosowaniem tajném i obowiązkowém dla wszystkich obywateli państwa, począwszy od 20 roku życia. Głosowanie musi odbywać się w niedzielę lub święto.

2. Bezpośredniéj władzy prawodawczéj dla ludu, który decyduje o wojnie i pokoju.

3. Powszechnéj służby wojskowéj i milicyi w miejsce wojsk stałych.

4. Zniesienia wszystkich praw wyjątkowych, mianowicie co do pracy, stowarzyszeń i zebrań publicznych, w ogóle wszelkich praw, ograniczających swobodę myśli i badań.

5. Sądownictwa ludowego: bezpłatnego wymiaru sprawiedliwości.

6. Powszechnego i równego dla wszystkich wychowania w zakładach państwowych. Obowiązkowéj nauki. Bezpłatnéj nauki we wszystkich zakładach naukowych. Oświadczenia, iż wyznanie religijne jest wyłącznie sprawą prywatną każdego.

Stronnictwo socyalistyczne robotnicze w Niemczech żąda w dzisiejszém społeczeństwie:

1. Jaknajwiększych praw i swobód politycznych w duchu powyższych żądań.

2. W miejsce wszystkich podatków dotychczasowych, mianowicie pośrednich, obowiązujących ludność mniéj zamożną, jednego, wzrastającego stopniowo, podatku dochodowego tak państwowego, jako i komunalnego.

3. Nieograniczonego prawa koalicyi.

4. Normalnego dnia roboczego. Zakazu pracy w niedzielę.

5. Zakazu pracy dzieci i wszelkiéj pracy kobiet, mogącéj szkodę przynieść zdrowiu lub moralności.

6. Przepisów szkolnych co do życia i zdrowia robotników, kontroli sanitarnéj mieszkań robotników. Nadzoru nad kopalniami, nad przemysłem fabrycznym, rzemieślniczym i domowym przez urzędników, wybieralnych przez robotników. Prawa regulującego odpowiedzialność przedsiębiorców za pokaleczenie robotników.

7. Uregulowania pracy w więzieniach.

8. Zupełnéj autonomii dla wszystkich kas pomocniczych dla robotników.

Przytoczyliśmy program, który z nieznacznemi zmianami pozostał

podstawą programu stronnictwa socyalno-demokratycznego w Niemczech, a jeżeli manifest wydany przez stronnictwo po kongresie w Wyden w r. 1880 zaznacza, że ograniczenie się w agitacyi wyłącznie do środków legalnych stało się niemożliwém, usprawiedliwia to zaraz przypomnieniém, iż wprowadzona wówczas świeżo w życie ustawa niemiecka przeciwko socyalistom uniemożliwiła agitacyę w myśl programu.

Potężny sukces stronnictwa socyalno-demokratycznego przy wyborach w r. 1877, zastanowił mężów stanu, stojących u steru władzy w Niemczech, mianowicie kanclerza, ks. Bismarcka. Zamierzał on wprawdzie poczynić reformy w interesie klas pracujących, ale zajęty z jednéj strony, po r. 1871, wykończeniém szczegółów, potrzebnych do utrwalenia świeżo utworzonéj jedności Niemiec, nie chciał z drugiéj strony mieć pozoru działania pod naciskiém socyalnéj demokracyi. Sesya parlamentu od r. 1874 — 77 była jeszcze całkowicie wypełniona pracami prawodawczemi, konsolidującemi gmach rzeszy niemieckiéj. W r. 1874 pojawili się po raz pierwszy w parlamencie przedstawiciele Alzacyi i Lotaryngii; nad ich protestem przeciwko wcieleniu tych prowincyj do rzeszy, większość parlamentu przeszła rychło do porządku dziennego. Uchwalono rozmaite przepisy uzupełniające rozpoczętą w r. 1872 reformę monetarną. Bank pruski przekształcono na Bank rzeszy. Ogromna większość pozostającéj na usługi księcia kanclerza partyi narodowo-liberalnéj pozwoliła przeprowadzić pierwszy septenat wojskowy. Nareszcie poważną część okresu prawodawczego poświęcił parlament ustanowieniu jednolitéj dla całéj rzeszy organizacyi sądownictwa, procedury cywilnéj i karnéj, tworząc przez to potężne ogniwo wspólności interesów i jedności. W r. 1876 ukończyła się sesya, która tyle ważnych dokonała rzeczy a ks. Bismarck odtąd większą pozyskał swobodę. To téż zaraz po wyborach r. 1877 pomyślał o walce przeciwko socyalnéj demokracyi. Zamachy Hödla i Nobilinga ułatwiły mu położenie. Rozwiązawszy parlament, którego wybór nastąpił w r. 1877, zarządził w r. 1878 nowe wybory. Liczba głosów, oddanych na kandydatów socyalno-demokratycznych zmniejszyła się do 437,158 a zatem o 56,000, liczba posłów wybranych o trzech.

W łonie stronnictwa socyalno-demokratycznego powstała kwestya: czy wytrwać na drodze dotychczasowéj agitacyi, czy téż, jak to proponowali Most i Hasellman, zamienić się na partyę rewolucyjną. Kierunek względnie umiarkowany zwyciężył, anarchiści zaś Most i Hasselmann opuścili kraj.

Tymczasem ks. Bismarck, przekonawszy się o tém, że agitacya socyalno-demokratyczna największe osiągnęła sukcesy podczas upadku

ekonomicznego, poświęcił uwagę swoją stosunkom ekonomicznym a równocześnie z zaprowadzeniém ustawy przeciwko socyalistom zapoczątkował zwrot w polityce ekonomicznéj. Usunąwszy z urzędu Delbrücka, który do r. 1877, jako zastępca kanclerza, prowadził wyłącznie politykę ekonomiczną w duchu wolnego handlu, przeszedł Bismarck do systemu protekcyjnego, mającego zarówno zapewnić rozwój przemysłu niemieckiego, jako i egzystencyę i dobrą płacę robotnikom, zatrudnionym w przemyśle.

Wybory dokonane w r. 1881 wykazują znaczne osłabienie socyalnych demokratów. Na kandydatów ich oddano 311,951 głosów; pomimo to jednakże aż 12 weszło znów do parlamentu.

W końcu roku 1881 ukazało się znane orędzie cesarza Wilhelma z 17 listopada, zapowiadające reformy socyalne, a rząd niemiecki przystąpił istotnie do urzeczywistnienia poczynionych w orędziu zapowiedzi. Nie będziemy przypominali szczegółów, przez jakie przechodziły reformy te w ciałach prawodawczych. W rozprawie, ogłoszonéj świeżo w wydawaném przez pruskie biuro statystyczne czasopiśmie, znajdujemy już cyfrowy rezultat tych reform; rozpoczniemy tedy od nich, zastrzegając sobie w dalszym ciągu ich charakterystykę.

Tak zwane wielkie reformy socyalne ks. Bismarcka obejmują przedewszystkiém zabezpieczenie losu robotników na wypadek choroby, daléj na wypadek okaleczenia podczas pracy a nareszcie zapewnienie losu inwalidom i starcom, którzy przy robocie siły swoje sterali.

Co się tyczy t. z. „kas chorych", to istniały one już przed reformą, ale np. jeszcze w roku 1880 obejmowały w Prusach 1,500,000 a w całych Niemczech 2,500,000 osób. W rzeczywistości daleko mniéj osób było zabezpieczonych w tych kasach, bo nie wszyscy płacili składki, a nie płacąc, tracili prawo do pomocy. Nareszcie nie wszyscy biorący w nich udział należeli do stanu robotników, a kasy po większéj części tak były zorganizowane, że rzadko były w stanie zadosyć uczynić potrzebom swoich uczestników.

Zupełnie inaczéj przedstawiają się rzeczy, po wprowadzeniu (w r. 1883) w życie, zainicyowanéj przez ks. Bismarcka, a uchwalonéj przez parlament, ustawy o obowiązkowém ubezpieczeniu robotników na wypadek choroby. I tak w r. 1888 w całém państwie było ubezpieczonych 5,398,478 robotników fabrycznych i przemysłowych a osobno 383,000 górników, czyli blisko 6 milionów pracowników. Dawniejsza liczba tedy zdwoiła się z górą. Państwowe kasy chorych zapewniają choremu robotnikowi: bezpłatną pomoc lekarską, daléj lekarstwo i różne mniejsze środki lecznicze, nareszcie od trzeciego dnia choroby połowę przeciętnéj płacy jego. W r. 1885 urzędowe kasy

chorych wydały 47,400,121 marek. w roku 1886: 53,041,099 marek, a w r. 1887: 55,202,000 marek. Na kasę składają się w $^2/_3$ robotnicy, w $^1/_3$ pracodawcy. Ze składek tych zebrano: w r. 1885: 66,100,344 m, w r. 1886: 79,966,363 m. a w r. 1887 78,928,281 m., tak iż byt kas tych zdaje się być zabezpieczonym.

Istniały też już dawniéj kasy, zabezpieczające los robotnikom na wypadek okaleczenia, były atoli bardzo niedostateczne. W r. 1875 ten rodzaj zabezpieczenia obejmował w Prusiech 318,220 osób. Osobne prawo ustanowiło wprawdzie odpowiedzialność pracodawcy w razie okaleczania robotnika, ale odpowiedzialność była wykluczoną, gdy wypadek nastąpił z winy robotnika lub był sprowadzony siłą wyższą *(vis major)*. Na właściciela kopalni tedy np. nie spadała żadna odpowiedzialność przy zwykłych wypadkach elementarnych w kopalniach, jeżeli można było przypuszczać winę któregokolwiek z robotników w danym wypadku. To też udowodnienie winy pracodawcy przedstawiało poważne trudności, robotnik musiał praw swoich dochodzić w drodze procesu, na który mu zwykle brakło środków i t. p.

Od r. 1884 zmieniło się to z gruntu. Przedewszystkiém po wprowadzeniu w życie ustawy niemieckiéj o obowiązkowém ubezpieczeniu, w rzeszy niemieckiéj w r. 1889 zabezpieczonych było 12,438,000 robotników. Ubezpieczenie to zapewnia robotnikowi w razie okaleczenia, począwszy od 13 tygodnia choroby (przez 12 tygodni za leczenie płaci „kasa chorych"), kuracyę, a w razie zupełnéj niezdatności do pracy $^2/_3$ przeciętnego zarobku z ostatnich czasów przed chorobą. W razie częściowéj niezdolności do pracy, płaca ta zmniejsza się stosunkowo. Jeżeli robotnik utraci życie z powodu wypadku przy pracy, spadkobiercy jego otrzymują po 15—20%, atoli razem nie więcéj jak 60% jego zarobku za życia. Premię za to zabezpieczenie opłacają tylko pracodawcy a tytułem téj premii złożyli w r. 1886: 12,381,958 marek, w r. 1887: 22.266,484 m. a w r. 1888: 29,730,033 m. Wypłacono zaś w roku 1886: 1,915,366 m., w r. 1887: 5,932,000 m., w r. 1888: 9,681,447 m., a w r. 1889: 14,216,422 m. Sądzić zatem należy, że materyalny los tego rodzaju zabezpieczeń jest też zapewniony.

Co się tyczy ostatniéj z wymienionych powyżéj kategoryj zabezpieczenia, t. j. *zapewnienia renty inwalidom pracy i starcom*, to wprawdzie istniało w Niemczech 12,588 kas wsparć starców i kas pogrzebowych, ale przeważały tu kasy pogrzebowe, które nie kłopotały się wcale o to, co się dzieje z ich uczestnikami za życia. Ustawa zaprowadzająca w tym względzie obowiązkowe ubezpieczenie, wchodzi w życie od 1 stycznia r. 1891. Została ona wprawdzie już uchwaloną w roku 1889, ale do listopada r. 1890 nie było pewności,

ażali prace przygotowawcze do końca r. 1890 będą mogły być ukończone. Młody cesarz Wilhelm jednakże z taką się oświadczał stanowczością przeciwko dalszemu odwlekaniu sprawy, że zwołani w listopadzie r. b. do Berlina naczelnicy władz autonomicznych prowincyonalnych, oświadczyli, iż od 1 stycznia można wprowadzić w życie ustawę. Nic dziwnego, że namyślano się nad tém długo; wszak nie o lada rzecz chodzi. Obliczenia, poczynione na podstawie prawdopodobieństwa, doprowadziły do rezultatu, że, począwszy od 80 roku trwania ustawy, t. j. wtedy, gdy się dojdzie do cyfr maksymalnych, wypadnie płacić rentę 1,251,000 inwalidom i 117,082 starcom. Dla pierwszych będzie potrzeba około 250,200,000 marek *rocznie*, dla drugich 14 milj. marek rocznie. Renta inwalidów i starców oblicza się według ich płacy, a robotników podzielono tu na cztery klasy. Starcy otrzymują w najniższéj klasie 106 m. 40 fen. renty rocznéj, w drugiéj: 136 marek 60 fen., w trzeciéj: 162 m. 70 fen, a w czwartéj, najwyższéj, 191 marek. Inwalidzi otrzymują w najniższéj klasie 135 mar. 75 fen., w drugiéj; 187 mar. 55 fen., w trzeciéj: 226 m. 43 fen., w czwartéj: 278 m. 3 fen. Dla zapewnienia téj renty płacą: 1) kasa państwowa po 50 mar. rocznie za każdego, uprawnionego do pobierania renty, daléj wnoszą opłatę, 2) pracodawcy, 3) sami robotnicy. Dla drugich i trzecich wynosi opłata w pierwszéj klasie: 14 fen., w drugiéj 20 fen, w trzeciéj 24 fen., w czwartéj 30 fen. tygodniowo; sumę tę płacą w połowie pracodawcy, w połowie robotnicy.

Wszystkie trzy, wymienione powyżéj ustawy o ubezpieczeniu przymusowém są dziełem ks. Bismarcka, za jego téż rządów doszły do skutku. Postanowiwszy wejść na drogę reform socyalnych, kanclerz żelazny starał się pokierować niemi tak, aby one posłużyły zarazém jego ideom o wszechpotędze państwa. Nie ulega kwestyi, że zabezpieczenie losu robotnika na wypadek choroby lub okaleczenia i na starość w téj formie w jakiéj się to dzieje za pomocą obowiązujących obecnie ustaw niemieckich, odpowiada do pewnego stopnia, przynajmniéj w zasadzie, programowi socyalnych demokratów, tylko wykonanie jest wręcz odmienne. Socyalni demokraci dążyli do tego, aby sami interesenci, t. j. robotnicy mieli główny wpływ na te instytucye, według ustaw bismarckowskich zaś główny wpływ, decyzya w najważniejszych kwestyach spoczywa w ręku władz państwowych, wzmacniając tém samém ich powagę w obec robotników i wpływ na klasy pracujące. Czy zapewnienie tego wpływu, czy téż przeprowadzenie idei humanitarnych, które, bądźcobądź, w ustawach tych spoczywają, było głównym celem Bismarcka, o tém przesądzać trudno. W każdym razie warto zaznaczyć, że dla innych żądań klas robotniczych, mających wyłącznie charakter humanitarny, ks. Bismarck był

nieprzystępny. Zgodził się wprawdzie na ustanowienie inspektorów fabrycznych, mających czuwać nad tém, aby żadne się nie działy nadużycia, ale właściwie po za stosunkami sanitarnemi w fabrykach i zakładach przemysłowych, jako i przestrzeganiém tego, aby dzieci, zobowiązane do uczęszczania do szkoły, nie były zatrudniane w zakładach przemysłowych i fabrycznych, innego zadania inspektorowie ci nie mieli. Bismarck bowiém nie tylko sam nie dał żadnéj inicyatywy do ograniczeń jakichkolwiek: co do odpoczynku w niedzielę, co do długości pracy robotnika na dobę, czyli „normalnego dnia roboczego", daléj co do zatrudniania kobiet, osób małoletnich i dzieci w zakładach przemysłowych i fabrycznych, lecz nawet opierał się stanowczo wszelkim żądaniom, jakie w tym względzie podnosił parlament. Parlament uchwalał przez cały szereg lat, głównie z inicyatywy centrum katolickiego, rezolucye domagające się od rządu reform prawodawczych w tym kierunku; we wszystkich prawie państwach europejskich zaprowadzono przepisy, zabraniające w fabrykach i po warsztatach pracy w niedzielę, ograniczające pracę kobiet małoletnich i dzieci; rząd niemiecki atoli, dopóki na jego czele stał Bismarck, nietylko odmawiał współudziału swego w tych reformach, lecz w ogóle stanowczo im się opierał. A czynił to jakoby w interesie przemysłu niemieckiego. Widząc, że przemysł ten na targu międzynarodowym tylko taniością może konkurować, Bismarck obawiał się, aby, pozbawiając fabrykantów niemieckich taniego robotnika, którego dowoli wyzyskiwać mogli, nie odebrał im możności konkurowania z wyrobami angielskiemi, francuskiemi, belgijskiemi i t. d. na targu międzynarodowym. A robotnik musiałby podrożéć, gdyby zamiast siedmiu dni w tygodniu, pozwolono mu pracować tylko sześć, ojciec rodziny musiałby wyższą pobierać płacę, gdyby ograniczono czas pracy jego żony i dzieci. Przemysłowcy zaś tém większy podobnym reformom stawiali opór, że zaprowadzone w r. 1878, a odtąd ciągle podwyższane cła na produkty spożywcze, a daléj krajowe podatki pośrednie, podniosły koszt utrzymania robotnika.

Bismarck pozostał tedy tu zupełnie na stanowisku manczesteryanizmu, który uważa za niewłaściwe mięszanie się państwa do stosunku pomiędzy pracodawcą a robotnikiem, twierdząc, iż oni pod każdym względem sami ze sobą się powinni porozumiéć. Względy etyczne pozostawiono na uboczu.

Otóż zdaje się, że co do téj strony kwestyi socyalnéj pomiędzy młodym cesarzem, Wilhelmem II a Bismarckiem zasadnicza powstała różnica w zapatrywaniach, i że cesarz innemi zamierza pójść torami.

Cesarz Wilhelm II, wstąpił na tron pruski, z którym od r. 1871 połączoną jest korona niemiecka, w bardzo młodym wieku, po kilko-

miesięcznem zaledwie panowaniu chorego ojca swego. Nie przewidując tak wczesnego panowania młodego księcia wówczas, gdy ojciec jego jeszcze w pełni zdrowia i sile wieku oczekiwał spadku po sędziwym Wilhelmie I, świat nie zajmował się zbytecznie księciem Wilhelmem. Wiedziano o jego przyjaźni z cesarzewiczem austryackim, chociaż osoby wtajemniczone twierdziły, że szczeréj sympatyi pomiędzy obu domniemanymi następcami tronów wielkich państw środkowéj Europy nigdy nie było. Mówiono o żywym, czasem aż nazbyt, wesołym temperamencie młodego Habsburga, z którym nie licowała sztywność i usposobienie więcéj w sobie zamknięte, prawie ponure, wielce obowiązkowego młodego Hohenzollerna.

Książe Wilhelm, wychowany starannie przez rodziców, rzadkiemi obdarzonych przymiotami, kończył gimnazyum w Kassel, pozostając tam pod opieką głośnego dziś d-ra Hinzpetera. Z woli dziadka zatrudniano go dużo sprawami wojskowemi, a w szczegóły pruskiéj służby administracyjnéj wtajemniczał go w Poczdamie naczelny prezes prowincyi brandeburskiéj, były minister Achenbach. Już w 21 roku życia ożeniono go z starszą od niego wiekiem księżniczką Augustą Schleswig-Holstein, aby wcześnie przywykł do życia rodzinnego. Nazwisko księcia Wilhelma zaczęto powtarzać głośniéj, gdy pewnego wieczora znalazł się u spowinowaconego z nim przez żonę, hrabiego Waldersee, na zebraniu stowarzyszenia, mającego na celu szerzenie ducha wiary pomiędzy protestantami. Twierdzono wówczas, że książe sprzyja kierunkowi reprezentowanemu przez pastora Stöckera i że sympatyzuje z antisemitami. W liberalnéj prasie owa wizyta u hr. Waldersee dużo narobiła wrzawy, aż ówczesny organ Bismarcka, *Norddeutsche Allg. Zeitung* pospieszył z zaprzeczeniami, które aczkolwiek jako zaprzeczenia były bezpodstawne, młodemu księciu dały do poznania, że kanclerz państwa nie życzy sobie aby przyszły następca tronu wchodził w zbyt ścisłe stosunki ze stronnictwem, wyznającém skrajne zasady.

Krótko po wstąpieniu na tron cesarza Wilhelma II wyszła broszurka, obejmująca kilkanaście stronnic, z opisem chłopięcych lat nowego cesarza, mianowicie czasu jego pobytu w Kassel. Autorstwo broszurki przypisywano d-rowi Hinzpeterowi; pomimo to charakter młodego cesarza nie przedstawiał się w tym opisie bardzo sympatycznie. Książe wychodził z niego jako chłopiec o usposobieniu stanowczém, ale stanowczość ta posunięta była do szorstkości, Jakkolwiek kolegom nie dawał uczuć wyższości swego urodzenia, był dla nich nieprzystępny, we wszystkiém i nad wszystkimi zawsze pragnął przewodzić. Sam bardzo obowiązkowy, był nieubłaganym dla tych, którzy w obowiązkach swoich w czemkolwiek się zaniedbywali. Takim przedstawia młodego cesarza wzmiankowana broszura.

Powszechnie też tak w Niemczech, jako i za granicą, niekorzystne panowało uprzedzenie do Wilhelma II, gdy jako 29-letni młodzieniec zasiadł na tronie Hohenzollernów. W czasie choroby ojca i natychmiast po jego śmierci, kolportowano w prasie zagranicznéj różne szczegóły, które, gdyby były prawdziwemi, byłyby świadczyły bardzo niekorzystnie o uczuciach synowskich ówczesnego księcia Wilhelma tak dla ojca, jako i dla matki. Wszak nawet mu przypisywano misyę do San Remo, z wezwaniem do ówczesnego następcy tronu a ojca jego, aby z powodu choroby zrzekł się prawa do korony, i twierdzono, że podczas misyi téj występował szorstko; późniéj posądzono go o więzienie matki jakoby dla tego, że nie chciała wydać pamiętników zmarłego Fryderyka III. Może kiedyś historya wyświeci, co w tylu różnych pogłoskach było prawdą, co zaś bajką, jaki udział w tém, co się działo, należy przypisać ówczesnemu kanclerzowi, ks. Bismarckowi, co zaś złożyć na odpowiedzialność młodego księcia; to jedno kwestyi nie ulega, że w przyjmowaniu tylu, niczém nie stwierdzonych pogłosek, należało i należy zachować wielką ostrożność.

Nie zapuszczamy się atoli daléj w te szczegóły, bo nie mamy zamiaru pisania, zbyt krótkich jeszcze, dziejów cesarza Wilhelma II, lecz pragniemy tylko określić stanowisko, jakie zajął w obec kwestyi socyalnéj. Niedawno, przy zamknięciu obrad ankiety szkolnéj w Berlinie, sam cesarz Wilhelm II powiedział, że zamierza kwestyę szkolną wprowadzić na nowe tory, tak samo, jak wprowadził na nie kwestyę socyalną. Chodzi o zbadanie, jakie są te nowe tory i dokąd one właściwie prowadzą?

Obejmując rządy po śmierci swego ojca, młody cesarz Wilhelm II wydał krótkie orędzie do narodu, w którém znajdujemy fryderykowrskiego *„roi des gueux"*, w wyrazach, w których cesarz obiecuje „dla biednych i uciśnionych być pomocą".

Obszerniéj odezwał się młody cesarz o kwestyi socyalnéj w mowie od tronu, którą d. 25 czerwca 1888 r. z wielką uroczystością zagaił sesyę parlamentu niemieckiego. Wspominając o rządach dziada swego, powiedział między innemi: „mianowicie przyswajam sobie orędzie jego z 17 listopada r. 1881 i w duchu orędzia tego daléj będę pracował, aby prawodawstwo państwowe i nadal starało się zapewnić klasom pracującym opiekę, któréj *wedle zasad etyki chrześciańskiéj* słabym i uciśnionym w walce o byt udzielić może. Mam nadzieję, że tym sposobem zbliżymy się cokolwiek do wyrównania niezdrowych stosunków społecznych, a jestem przekonany, że w pracy około rozwoju wewnętrznego powodzenia, znajdę jednomyślne poparcie wszystkich wiernych przyjaciół państwa i rządów związkowych, bez podziału na stronnictwa odrębne. Uważam również za konieczne *utrzymać*

rozwój państwowy i społeczny w granicach prawa a stanowczo wystąpić przeciwko wszelkim usiłowaniom, które miałyby na celu lub w skutku podkopanie porządku państwowego".

Ta pierwsza mowa tronowa młodego cesarza ma już pewne oryginalności, odbiegające od dotychczasowego programu socyalnego Bismarcka. Ustęp o „opiece nad słabymi i uciśnionymi, *wedle zasad etyki chrześciańskiéj*" nie musiał być po myśli Bismarcka i nie miał nic wspólnego z jego socyalizmem państwowym, bo zapowiadał raczéj uwzględnienie pewnych postulatów, przeciwko którym Bismarck dotąd walczył. Na uwagę zasługuje też końcowy ustęp mowy tronowéj, w którym cesarz z naciskiem zaznacza potrzebę, aby rozwój społeczny odbywał się w granicach prawa i zapowiada: stanowcze wystąpienie przeciwko wszelkim usiłowaniom, które miałyby na celu lub w skutku podkopanie porządku społecznego.

Cesarz nie omieszkał powtórzyć ustępu tego z większym naciskiem i jeszcze wyraźniéj samym robotnikom. Gdy bowiem na wiosnę r. 1889 w kopalniach westfalskich robotnicy urządzili bezrobocie, a widząc z podróży cesarza do Minden i z innych objawów, że monarcha interesuje się ich losem, wysłali do niego deputacyę, mającą przed nim wytoczyć ich skargi, cesarz Wilhelm, przyjmując 14 maja deputacyę w Berlinie, odpowiedział jéj, że nie omieszka zbadać zażaleń robotników i wedle możności przyczynić się do uregulowania stosunku pomiędzy pracodawcami a robotnikami, że atoli przestrzega ich aby nie pozwolili się wciągnąć do agitacyi socyalno-demokratycznéj, bo przeciwko tym, którzyby wejść chcieli na drogi nielegalne, każe użyć armat i bagnetów. Równocześnie atoli naczelny prezes prowincyi nadreńskiéj, bar. Berlepsch, o którym mówiono, iż na urzędzie swoim postarał się o gruntowne poznanie stosunków robotników w kopalniach i fabrykach pruskich prowincyj zachodnich, otrzymuje polecenie zdania cesarzowi sprawy ze swoich spostrzeżeń i wypowiedzenia swoich poglądów. W *Reichsanzeigerze* urzędowym ukazuje się długa i gruntowna praca o stosunkach robotników w kopalniach i fabrykach, przedstawiająca ich położenie materyalne i moralne.

Wszystko to najwidoczniéj nie jest po myśli ks. Bismarcka, który od pewnego czasu zaczyna przebywać więcéj we Friedrichsruhe, niżeli w Berlinie. Parlament zbiera się na sesyę zimową r. 1889/90, a chociaż na porządku dziennym stoi niezmiernie ważna kwestya przedłużenia wyjątkowéj ustawy przeciwko socyalistom, kanclerz nie opuszcza swojéj wsi, pozostawiając obronę ustawy ministrowi spraw wewnętrznych, Herrfurthowi. Z Berlina rozchodzi się nawet po świecie wiadomość, że Bismarck zamierza poskładać wszystkie urzędy swoje, pozostając tylko kanclerzem i ministrem spraw zagranicznych.

Istotnie, rozpoczyna Bismarck od złożenia teki pruskiego ministra handlu, którą cesarz Wilhelm oddaje bar. Berlepschowi.

Powszechnie zdawało się, że Bismarck nie przywiązuje zbyt wielkiéj wagi do swego urzędu pruskiego ministra handlu, a gdy go złożył, w kołach szerszych, niewtajemniczonych w zakulisową politykę, krok ten uważają za małoznaczący, spowodowany podeszłym wiekiem kanclerza. W rzeczywistości było inaczéj.

Zaznaczyliśmy powyżéj, jak ściśle polityka socyalna Bismarcka łączyła się z jego polityką ekonomiczną, mianowicie handlowo-celną. Dla tego to, gdy po usunięciu Delbrücka żelazny kanclerz sam zajął się sprawami ekonomicznemi, nie mogąc widocznie dla planów swoich pozyskać ówczesnego pruskiego ministra handlu Achenbacha, usunął go, przyjmując wydział jego na siebie. Bismarck był wtedy: kanclerzem państwa, ministrem spraw zagranicznych, prezesem gabinetu pruskiego i pruskim ministrem handlu, i na tych stanowiskach zastał go cesarz Wilhelm II. Nie byłoby tedy nic dziwnego, gdyby w wieku lat 75 chciał sobie ulżyć w pracy, składając pewną jéj część na młodsze barki. Tymczasem w kołach dobrze poinformowanych w Berlinie wiedziano, że złożenie przez Bismarcka teki pruskiego ministra handlu było wynikiem pierwszego poważnego nieporozumienia pomiędzy cesarzem Wilhelmem a Bismarckiem i że późniejsze powołanie bar. Berlepscha do gabinetu pruskiego nastąpiło z własnéj inicyatywy cesarza, bez przyczynienia się, bodaj nawet wbrew woli Bismarcka. Cesarz Wilhelm zaczyna kroczyć własnemi drogami, w polityce socyalnéj wstępuje na nowe tory, które niebawem zamierza ujawnić. Mówią nawet głośno o tém, że cesarzowi nie zależy na tém, aby parlament zgodził się na przedłużenie wyjątkowéj ustawy przeciwko socyalistom, że w ogóle jest przeciwny wszelkim ustawom wyjątkowym w obec obywateli państwa i ma przekonanie, że bez ustaw wyjątkowych, przez możliwe uwzględnienie uprawnionych żądań robotników, wszelki ruch nielegalny przytłumić zdoła. Zaczynają się sprawdzać przepowiednie Bismarcka, który w pierwszych czasach panowania młodego cesarza zapowiadał, iż on nietylko *panować* ale i *rządzić* zechce.

W styczniu r. 1890 powraca ks. Bismarck, po długim pobycie w Friedrichsruhe, do Berlina. Młody cesarz daje mu pozornie liczne dowody szczególniejszéj łaski swojéj, ale faktycznie zaostrza się stosunek pomiędzy cesarzem a kanclerzem. Dnia 4 lutego Wilhelm II jest na obiedzie u Bismarcka, a po obiedzie zbierają się naokoło monarchy liczni posłowie, uczestnicy obiadu, z którymi cesarz rozpoczyna rozmowę o kwestyi socyalnéj, wprawiając wszystkich w podziw dokładną znajomością stosunków, jako i własnemi poglądami, które

wypowiada. I oto nazajutrz, dnia 5 lutego roku 1890, ukazują się w urzędowéj części *Reichseinzeigera* dwa pisma odręczne cesarza, jedno do kanclerza, drugie do ministra handlu, bar. Berlepscha, które, ze względu na to, iż ważne do ocenienia polityki socyalnéj cesarza Wilhelma II stanowią dokumenta, tu w dosłownym przekładzie przytoczyć musimy.

Pismo odręczne do kanclerza niemieckiego brzmi w przekładzie, jak następuje:

„Postanowiłem przyłożyć silnie rękę do polepszenia losu robotników niemieckich, o ile będę w możności pogodzenia tego z dbałością moją o skuteczne współzawodnictwo produkcyi niemieckiéj na targach wszechświata. Pojmuję, że niepomyślne warunki takiego współzawodnictwa, pozbawiając przemysł nasz możności odbytu za granicę, nietylko zrujnowałyby przemysłowców pracodawców, lecz pozbawiłby także robotników chleba. Sądzę tedy, że trudności, płynące z tego współzawodnictwa, ograniczające możność poprawienia losu robotników, należałoby, jeżeli nie usunąć, to przynajmniéj zmniejszyć w drodze porozumienia międzynarodowego. W przekonaniu, że rządy innych państw, podzielą chętnie zapatrywania moje i zgodzą się na poddanie rozbiorowi tych samych spraw, któremi zajmują się międzynarodowe kongresy robotnicze, chcę, aby przedstawiciele dyplomatyczni mego rządu we Francyi, Anglii, Belgii i Szwajcaryi zapytali urzędownie tamtejsze rządy, czy zgadzają się na wejście z nami w porozumienie i urządzenie konferencyi międzynarodowéj, celem zadosyćuczynienia potrzebom i życzeniom klas pracujących? Gdy tylko nastąpi zgoda na moją propozycyę, upoważniam Pana do zawezwania wszystkich gabinetów rządów europejskich, interesowanych w sprawie socyalnéj, na konferencyę, mającą zająć się rozbiorem i rozstrzygnięciem pytań, odnoszących się do sprawy robotniczéj".

Drugie pismo, do pruskiego ministra handlu, brzmi jak następuje:

„Wstępując na tron, zapowiedziałém, iż będę starał się o rozwój prawodawstwa, szczególnie socyalnego, w duchu zasad moralności chrześciańskiéj, popieranych przez ś. p. dziada mego. Lubo dotychczasowe reformy ustawodawcze, przedsiębrane w celu poprawienia losu robotników, są wielce cenne, nie czynią jeszcze zadość programowi, jaki sobie zakreśliłém. Obok dalszego rozwijania ustaw, odnoszących się do zabezpieczania robotników przeciw nieszczęśliwym wypadkom i na starość, należy dokładnie zbadać i ulepszyć istniejące ustawy przemysłowe, odnoszące się do stosunków robotniczych tak, iżby zaspokoić w téj mierze żale i życzenia, o ile one są uzasadnione. W badaniu tém należy wziąść za punkt wyjścia zasadę, że władza państwowa obowiązaną jest uregulować czas i rodzaj roboty w ten

sposób, aby dogodzić warunkom utrzymania zdrowia, przykazaniom moralności, ekonomicznym potrzebom robotników i słusznemu domaganiu się ich o równouprawnienie. Dla osiągnięcia prawidłowych stosunków między pracodawcami a robotnikami, należy obmyśléć i prawnie określić stałe formy przedstawicielstwa robotników, ażeby za pośrednictwem wybranych przez siebie i zaufanych ludzi, porozumiewać się mogli z pracodawcami i organami rządu. Organ taki służyłby robotnikom do swobodnego wyrażania swych skarg i życzeń, dając zarazém rządowi możność otrzymania stałych i dobrych informacyj o biegu spraw robotniczych oraz podtrzymywania ciągłego porozumienia się z nimi. Pragnę, aby skarbowe zakłady górnicze stały się, w przedmiocie opieki nad robotnikami, wzorem dla zakładów prywatnych, co do których życzę sobie, aby między ich zarządami a dyrekcyami kopalń skarbowych wytworzył się stały związek i aby te ostatnie spełniały w obec pierwszych funkcye inspektorów fabrycznych. Dla przeprowadzenia obrad wstępnych w całéj téj sprawie, ma się zebrać pod moim przewodnictwem rada stanu, przy współudziale ludzi fachowych, których wybór i wezwanie sobie zastrzegam. Jedną z największych trudności rozwiązania sprawy robotniczéj we wskazanym kierunku, stanowią względy, płynące z potrzeby ochronienia produkcyi krajowéj w jéj walce współzawodniczéj z zagranicą; dla tego to poleciłém kanclerzowi, aby zaprojektował rządom zebranie konferencyi celem wspólnego obmyślenia i przeprowadzenia granic, w których obrębie mogłyby pomieścić się wymagania, stawiane w sprawie robotników".

Nie zapuszczamy się tu w szczegóły programu, wygłoszonego w powyższych pismach cesarza Wilhelma II, w obec kwestyi socyalnéj, nastręczy się bowiem jeszcze później ku temu sposobność, gdy więcéj podobnych przytoczymy dokumentów, tu tylko zaznaczamy, że pisma cesarza, wbrew przyjętéj w państwach konstytucyjnych zasadzie, nie były kontrasygnowane przez żadnego z ministrów. Przedewszystkiém powinien je był podpisać ks. Bismarck, czy to w charakterze kanclerza, czy téż prezesa gabinetu pruskiego. W tém, że ich nie podpisał, można albo widzieć dowód, że wypowiedzianych poglądów nie podzielał, lub téż, że cesarz wcale tego nie żądał, biorąc całą odpowiedzialność moralną na siebie. Wiadomo, że niedługo potém, w marcu r. 1890, nastąpiła katastrofa, t. j. dymisya ks. Bismarcka ze wszystkich urzędów. Jako powód dymisyi podano różnicę w zapatrywaniu na kwestyę, czy ministrowie pojedyńczych wydziałów powinni referować samemu monarsze i od niego wprost brać instrukcye, czy téż za pośrednictwem kanclerza i prezesa gabinetu z monarchą się porozumiewać. Jestto kwestya niemałéj wagi, od

sposobu rozstrzygnięcia jéj zależy rozmiar wpływu kanclerza na sprawy państwa, a ks. Bismarck, przyzwyczajony do rządów prawie absolutnych, mógł postawić kwestyę gabinetową, gdy cesarz sam pragnął faktyczne objąć rządy, znosząc się wprost z każdym z ministrów. Pomimo to jest rzeczą pewną, że kwestya socyalna i program socyalny cesarza Wilhelma II przyczyniły się najwięcéj do ustąpienia kanclerza. Ks. Bismarck nie taił się wcale z tém, że nie podziela poglądów i nie popiera planów monarchy. Nie brał bowiem czynnego udziału ani w obradach pruskiéj rady stanu, którą cesarz Wilhelm zwołał, dla przedstawienia jéj swoich projektów, ani w obradach konferencyi międzynarodowéj.

Za to cesarz Wilhelm z całą gorliwością zabrał się do przeprowadzenia swoich idei. Zwoławszy pruską radę stanu, instytucyę z czasów przedkonstytucyjnych, złożoną z zaufanych rządu, zagaił ją cesarz przemową, w któréj już cokolwiek jaśniéj zarysował program, pomieszczony w ogólnych zarysach w pismach odręcznych do ministrów. Przemówienie to brzmiało jak następuje:

„Poważnem i pełnem odpowiedzialności jest zadanie, do którego panów tu powołałém. Przynależna rodotnikom opieka przeciwko samowolnemu i bezgranicznemu wyzyskowi siły roboczéj; nieodzowne, po uwzględnieniu uczucia ludzkości i naturalnych praw rozwoju, ograniczenie pracy dzieci; zajęcie się tak ważném, z uwagi na moralne i materyalne warunki życia familijnego, stanowiskiem kobiety w rodzinie robotnika—i inne, z powyższemi łączące się stosunki stanu robotniczego, wymagają zdaniem mojem, polepszenia i uregulowania. Należy jednak z fachową znajomością rzeczy zważyć, do jakich granic przemysł nasz może znieść ciężary, wynikające ze ścisłych przepisów na korzyść robotników, nie tracąc na rynku wszechświatowym nic ze swojéj siły konkurencyjnéj. W tym bowiém razie zamiast polepszyć, pogorszyłoby się jeszcze położenie robotników. Aby tego uniknąć, potrzeba wielkiéj roztropności, bo szczęśliwe rozwiązanie tych dominujących w naszych czasach zagadnień, stoi w związku z poruszoną przezemnie sprawą międzynarodowego porozumienia się w tym względzie.

„Niemniéj ważne dla zapewnienia dobrego stosunku pracujących do pracodawców są formy, w jakich robotnicy mogą przez swoich pełnomocników brać udział w uregulowaniu obchodzącéj ich bezpośrednio działalności i strzeżenie ich interesów w obec pracodawców. Byłoby pożądaném, aby przedstawiciele robotników weszli w stosunek z inspektorami górniczymi i fabrycznymi i aby tą drogą mogli swobodnie i spokojnie wyrażać swoje życzenia i interesa, oraz, aby władze państwowe były ustawicznie przez tychże robotników dobrze in-

formowane i utrzymywały z nimi tak pożądane a ciągłe stosunki. Również i o wydoskonaleniu państwowych zakładów przemysłowych na zakłady wzorowe pomyśleć należy.

„Przyznaję — tak kończył cesarz — że na tém szczególnie polu nie wszystkie pożądane ulepszenia dadzą się osiągnąć wyłącznie na drodze działalności państwowéj. Miłosierdziu, Kościołowi i szkole otwiera się obok tego błogosławione pole pracy, w któréj wszelkie prace muszą znaleźć poparcie i żywotność, aby wydały pożądane owoce".

Cesarz przewodniczył sam obradom rady stanu, do któréj, oprócz zwykłych jéj członków powołano tym razem specyalnych przedstawicieli pracodawców i robotników, i na posiedzeniach niejednokrotnie głos zabierał, a faktem jest, iż obecnych tam przedstawicieli robotników, należących do stronnictwa socyalno-demokratycznego bardzo sobie ujął.

Dając inicyatywę do reform społecznych, które nietylko mają źródło w interesach materyalnych robotników, lecz dotykają warunków etycznych, cesarz Wilhelm przychylił się jednakże do zdania, wypowiedzianego przez Bismarcka, że przeprowadzenie jednostronne tych reform mogłoby przynieść szkodę przemysłowi niemieckiemu, utrudniając mu konkurencyę na targu międzynarodowym; dla tego zaproponował uregulowanie tych kwestyj w drodze międzynarodowéj i polecił rządowi zwołanie konferencyi międzynarodowéj. Już poprzednio Szwajcarya była zaproponowała podobną konferencyę, ale na życzenie Niemiec, ustąpiła im pierwszeństwa.

Jakoż istotnie 15 marca r. 1890 zebrała się konferencya w kwestyi robotniczéj, na którą przedstawicieli swoich przysyłały następujące państwa: Anglia, Austro-Węgry, Belgia, Dania, Hiszpania, Francya, Niemcy, Holandya, Włochy, Portugalia, Szwecya-Norwegia i Szwajcarya, czyli wszystkie, które zaproszono.

Nie będziemy powtarzali tu uchwał konferencyi, były one bowiém streszczone w ostatnim zeszycie *Biblioteki* (z grudnia r. 1890), przypomnimy tedy tylko, że odpowiadając na ułożony według projektu niemieckiego kwestyonaryusz, konferencya uchwaliła rezolucye:

1) domagające się znacznych ograniczeń co do *pracy w kopalniach*. Dzieci i kobiety mają z niéj być wykluczone; należy obmyśléć środki bezpieczeństwa i zabezpieczenia losu rodzin robotników, którzy zginą w kopalniach;

2) wyrażające życzenie powszechnego *odpoczynku w niedzielę;*

3) dotyczące ograniczenia co do *pracy nieletnich;*

4) ograniczające *pracę kobiet* o tyle, aby w nocy wcale nie pracowały a praca ich za dnia była ograniczoną.

Rezolucye konferencyi zostały przedstawione rządowi interesowanych państw do uwzględnienia, a chociaż konferencya berlińska nie miała bezpośredniego rezultatu praktycznego, nie ulega kwestyi, że uchwały jéj będą wywierały nacisk moralny tém bardziéj, że w wielu państwach postulaty konferencyi już przedtém w drodze prawodawczéj były przeprowadzone. Tam gdzie to nie miało dotychczas miejsca, jako to mianowicie we Francyi i w samych Niemczech, zabrano się natychmiast do przygotowania ustaw właściwych.

W obec inicyatywy, jaką młody cesarz niemiecki podjął w kwestyi reform socyalnych, pozostaje nam odpowiedzieć na główne pytanie, które stanowi przedmiot rozprawy niniejszéj, mianowicie: jaki właściwie jest program jego reform i czy ten program, z dotychczasowych jego przemówień ściśle sformułować można?

Otóż przedewszystkiém zaznaczamy, że Wilhelm II, poważne reformy, przeprowadzone przez Bismarcka a zabezpieczające los robotnika na wypadek choroby i kalectwa i zapewniające mu skromną rentę na starość, uznał za cenne i w całości je zaakceptował, przyczyniając się do przyspieszenia wprowadzenia w życie ostatniéj z uchwalonych ustaw.

Daléj widać z programu, który ułożył dla konferencyi, że cesarz Wilhelm zamierza przeprowadzić zwalczone dotychczas przez Bismarcka postulaty, odnoszące się: do świętowania zupełnego w niedzielę, do ograniczenia w najwyższym stopniu pracy dzieci w fabrykach i zakładach przemysłowych, do ograniczenia pracy kobiet, stosownie do zasad moralności i higieny, tak samo do ograniczenia czasu pracy maloletnich.

Po za postulaty konferencyi, która sądy rozjemcze zaproponowała tylko dla górników, cesarz Wilhelm widocznie pragnie dosyć szerokiego zastosowania sądów tych dla sporów pomiędzy pracodawcami i robotnikami w ogóle. Parlamentowi niemieckiemu został już przedstawiony projekt ustawy o sądach rozjemczych.

Nie ulega zarówno kwestyi, że cesarz Wilhelm pragnąłby uregulowania kwestyi normalnego dnia pracy, w jakich atoli rozmiarach, o tém z jego dotychczasowych orzeczeń wnioskować nie można.

Przyznać trzeba, że program powyższy urzeczywistnia bardzo znaczną część postulatów, jakie postawili socyalni demokraci a z drugiéj strony spełnia prawie wszystko, czego dla robotników żądali katolicy w Niemczech, tak w parlamencie, jako i na zebraniach publicznych, a żądali prawie od czasu, kiedy biskup Ketteler w książeczce swojéj: *Das Christenthum und die Arbeiterfrage*, wydanéj w r. 1864, sformułował wnioski co do potrzeby reform w stosunkach robotniczych. Prawda, że wiele powyższych żądań wypisali także w pro-

gramie swoim t. z. socyaliści z katedry, którzy popierali działalność reformatorską Bismarcka. Ale cesarz Wilhelm już przez to samo w poglądach swoich na kwestyę reform socyalnych bardziéj się zbliża do reformatorów chrześciańskich, że w przemowie swojéj, którą zagaił obrady rady stanu, wyraźnie zaznacza, iż „nie wszystkie pożądane ulepszenia dadzą się osiągnąć wyłącznie na drodze działalności państwowéj, a miłosierdziu, Kościołowi i szkole otwiera się obok tego błogosławione pole pracy, w któréj wszelkie prace muszą znaleść poparcie i żywotność, aby wydały pożądane owoce".

Swoją zgodność z programem reformatorów chrześciańskich, zaznaczył cesarz Wilhelm także w korespondencyi, jaką przeprowadził z Papieżem Leonem XIII, daléj przez powołania na członka konferencyi międzynarodowéj księcia biskupa wrocławskiego, którego uważano za specyalnie przez Watykan w téj kwestyi inspirowanego. Nie brak i innych t. p. objawów. Charakterystyczną w tym względzie była np. także mowa cesarza Wilhelma, wypowiedziana na bankiecie w Wrocławiu 14 września roku 1890, która w przekładzie dosłownym brzmi jak następuje:

„Jak w czasach dawniejszych, podczas nieszczęść, jakie spadły na kraj cały, Szląsk był pierwszą prowincyą, która poszła za głosem mego pradziada, aby przywrócić krajowi niezależność, tak i ku największéj radości mojéj, ta prowincya pierwsza poczyniła kroki, aby urzeczywistnić moje myśli, skierowane ku polepszeniu losu klas pracujących. Kościół i ludność współubiegają się w chwalebnéj dążności polepszenia doli klas pracujących i utrzymania porządku w prowincyi. Mężowie tacy, jak książe na Pszczynie i książe biskup, dali dobry przykład, a przykład ten nie pozostał bez skutku. Korzystam ze sposobności, aby wyrazić podziękę monarszą tak wymienionym panom, jako i tym, którzy poszli za ich przykładem. Łączę z tém życzenie, aby dobry przykład téj prowincyi znalazł naśladowców w całém państwie, u wszystkich, bez różnicy religii i bez względu na stronnictwo, do którego się zaliczają, aby obywatele państwa *(unsere Bürger)* nareszcie przebudzili się z drzemki, w któréj tak długo byli ukołysani i nie pozostawiali samemu państwu walki z żywiołami przewrotu, lecz sami do téj walki rękę przyłożyli. Jestém przekonany, że, jeżeli prowincya wytrwa na drodze obranéj, uda się nietylko téj prowincyi, lecz i całemu państwu memu, przywrócić szacunek dla Kościoła, poszanowanie prawa i bezwarunkowe posłuszeństwo dla korony".

Nareszcie i o tém wspomnieć trzeba, że cesarz Wilhelm i w innym kierunku przeprowadza reformy społeczne. Powołany przez niego na ministra skarbu Miquel, jeden z przywódców stowarzyszenia

„Verein für Socialwissenschaft", który idzie ręka w rękę z socyalistami z katedry, przedstawił już izbie pruskiéj projekt reformy podatków bezpośrednich, mianowicie podatku dochodowego, który wzrastając stopniowo, obciąży w wyższym stopniu bogatych kapitalistów, niżeli ludzi mniéj zamożnych. I tę ustawę, na którą ks. Bismarck i jego minister Scholz, pomimo długoletnich zapowiedzi,— zdobyć się nie potrafili, do ważnych reform socyalnych zaliczyć należy.

Przedstawiwszy, w bardzo ogólnych zarysach, tak grunt, jaki cesarz Wilhelm II przy objęciu rządów, co do kwestyi socyalnéj zastał, jako i plany, które sam dotychczas zakreślił, przyznać musimy, że niejedno z jego orzeczeń jest mgliste, inne różnie mogą być tłómaczone, że przemówienia jego odznaczają się czasém bardziéj młodzieńczą krewkością niżeli głębokiém przemyśleniem, że nie wszystkie zdradzają konsekwentnie obmyślany system. Cesarz z wszystkich dotychczasowych programów wziął potrosze. Spełnia on niejedno życzenie robotników wbrew opozycyi pracodawców, państwu przyznaje ważną rolę w uregulowaniu kwestyi socyalnéj, nie stoi pomimo to ani na stanowisku Bismarcka, łączącego do wszechpotęgi państwa, ani też na gruncie jednostronnego programu „socyalistów z katedry". Zgodnie z t. z. socyalistami chrześciańskimi ważną rolę przyznaje Kościołowi i wpływowi religii. Jedném słowem, nie wykluczając nikogo, ani uciekając się do jakowych środków wyłącznych, do współdziałania w równie ważnéj jak poważnéj sprawie: załagodzenia dzisiejszych antagonistów, zaspokojenia uzasadnionych żądań klas pracujących i zapewnienia społeczeństwom prawidłowego i spokojnego rozwoju, młody cesarz wzywa wszystkich, zachęcając zarazem do walki z tymi, którzy do gwałtownych dążą przewrotów. Jakkolwiek tedy dziś jeszcze niepodobna przesądzać o tém, czy mu się uda cel osiągnąć, zaprzeczyć trudno, że postać tego młodego monarchy, zapalonego reformatora, jest interesującą a działalność jego w kwestyi socyalnéj i zasługuje na sympatyczne uznanie.

A. Donimirski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Organizacya Kościoła w Polsce do połowy wieku XII. Napisał prof. dr. **Władysław Abraham**. We Lwowie 1890. Nakładem autora. 8°, XII, 259 str.

Dr. Władysław Abraham, profesor uniwersytetu lwowskiego należy do grona tych młodszych badaczów przeszłości naszéj, którzy nie tyle pod ręką osobnéj, oryginalnéj, „nowéj szkoły", ile raczéj pod wpływem postępu metodologicznych badań historycznych w Niemczech [1]) a w części i w Anglii i Francyi, za przykładem Zygm. Helcla, Waleryana Kalinki, J. Szujskiego i innych, dążą śmiało i dosyć szczęśliwie do metodologicznego usystematyzowania badań historycznych także i w piśmiennictwie polskiém. Studya, przedsiębrane w tym kierunku, odznaczają się tym większą powagą naukową, im skromniéj obwolują tryumfy „nowéj szkoły historycznéj", bo wtedy zostają w racyonalniejszym związku z naukowym postępem historyografii europejskiéj w ogóle.

Zaznaczywszy ten fakt w obec najnowszéj szermierki polemicznéj przeciwko t. z. „szkole krakowskiéj", która jednak przez to, że według dzisiejszych idei politycznych pragnęłaby oceniać rozwój stosunków dawno minionéj przeszłości naszéj, nową „Szkołą" historyczną bynajmniéj nie zostanie, nie śmielibyśmy przyklasnąć i tym konserwatystom, którzy w zapale współzawodnictwa gotowi bronić dawniejszéj metody „opowiadań" i „opowieści", bo znając krytyczny sposób

[1]) Poczynając od Niebuhra, Leop. Rankego, G. Waitza, Droysena, R. Roepella, Henr. Sybla, których uczniowie zajmowali i zajmują równie na katedrach akademickich jak i w literaturze wybitniejsze stanowiska aż do Momsena i innych.

korzystania ze źródeł i archiwów Naruszewicza, T. Czackiego, Joachima Lelewela, J. Łukaszewicza, K. Szajnochy i t. i., pragnęlibyśmy prowadzić historyografią naszę w najnowszym kierunku europejskim, oświetlonym wszechstronnemi zdobyczami dzisiejszéj nauki, na coraz wyższe szczeble postępu pod względem metodologicznym i literackim.

Profesor Abraham, o ile z dotychczasowych prac jego widzimy, nie troszczy się nadto o hasła zawistnych sobie bez przyczyny rzekomych szkół historyograficznych, ale pragnie być pożytecznym pracownikiem na zachwaszczonéj różnemi tendencyami politycznemi naszéj niwie dziejowéj.

Komisya historyczna Akademii Umiejętności w Krakowie, gromadząc wiadomości o materyałach do dziejów polskich, znajdujących się w archiwach bądź krajowych, bądź zagranicznych, wysłała między innymi pp. d-ra Bron. Dembińskiego i d-ra Wład. Abrahama do archiwów w Rzymie (paźdz. 1886 r. do czerwca 1887 r.). Ogłoszone dopiero w r. 1889 przez p. Abrahama „Sprawozdanie z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich, szczególniéj w archiwum watykańskiém („O materyałach do dziejów polskich w wiekach średnich") [1]), nie odznacza się takiemi zaletami, któreby zapowiadały wybitniejsze stanowisko badaczowi, rozpoczynającemu systematyczne studya historyczne. Praca ta, widocznie pod grozą terminowego wykończenia pisana, jest zbyt pobieżną i nawet pod względem formalnym nieco zaniedbaną. Tymczasem zajmowały jednak p. Abrahama studya samodzielne, które świadczyły coraz korzystniéj o postępie naukowych badań młodego uczonego. W „Rozprawach i Sprawozdaniach Akad. Um." z r. 1887 czytamy 2 prace p. Abrahama: jednę z prawa karnego („O justycyaryuszach w Polsce w XIV i XV wieku". Tom XIX) i drugą z dziedziny prawa kanonicznego („Proces inkwizycyjny w ustawach Innocentego III i we współczesnéj nauce". Tom XX), do którego zdaje się autor już stanowczo przechylać, bo oprócz rozprawy p. t. „Zjazd łęczycki w r. 1180" [2]), gdzie z okazyi zjazdu państwowego wspólnie z dostojnikami świeckimi i duchowni obradowali, poświęcił dr. Wł. Abraham zdobytą wśród rozległych studyów wiedzę swoję sprawom kościoła i prawa kanonicznego w Polsce, do czego prof. Bol. Ulanowski z jaknajwiększą gorliwością od paru lat nawoływać nie przestawał [3]). Po ogłoszeniu osobnego większego stu-

[1]) „Pisarze dziejów polskich". Tom XIII. Zawiera archiwum komisyi historycznéj. Tom V. Kraków, 1888. Str. 33—85.

[2]) Kwartalnik histor. 1889. Str. 385 i n.

[3]) „O pracach przygotowawczych do historyi prawa kanonicznego w Polsce". Kraków, 1887. Str. 99.

dyum p t. „Początki patronatu w Polsce" [1]) oraz „Exhortatio visitationis synodalis z dyecezyi włocławskiéj z w. XIV" [2]), obdarzył nasz. profesor w roku następnym książką poważniejszego zakroju, któréj tytuł w nagłówku wymieniliśmy z zamiarem poświęcenia jéj kilku uwag sprawozdawczych, ponieważ uważamy tę ostatnią pracę p. profesora za nader pożyteczny przyczynek do naszéj historyografii najnowszéj.

W przekonaniu, że badania prawa kościelnego, regulującego stosunki kościelne w danym kraju, przyczyniają się nietylko do zgłębienia dziejów narodowych i państwowych, ale rozszerzają znajomość powszechnego prawa kościelnego i publicznego, a to tembardziéj w epoce takiéj, jak wieki średnie, gdzie instytucye kościelne łączyły się bardzo ściśle z instytucyami państwowemi, z uwagi wreszcie, że badania prawa kościelnego w kraju takim, jak Polska, gdzie życie kościelne wywierało przez długie wieki przeważny wpływ na rozwój instytucyi i stosunków społecznych w ogóle [3]), postanowił autor zdać sobie sprawę z tego, co ostatecznie o stosunkach prawnych Kościoła w czasach początkowego organizowania się państwa polskiego, przy pomocy poznanych dotychczas źródeł historycznych, wiedzieć można. Pracę w tym celu przedsięwziętą uważa autor za „konieczny *wstęp* do badań nad dziejami prawa kościelnego w Polsce" (str, IV), chociaż w rzeczywistości przedstawił nam dosyć szczegółowy, jakkolwiek nie wszędzie dosyć przejrzysty obraz pierwszego okresu dziejów prawa kościelnego w Polsce, kończący się w połowie wieku XII. Autor zaznaczył pracy swojéj wyraźną granicę w epoce podziałów Polski przez Bolesława (III) Krzywoustego († 1138) głównie z tego powodu, że „od epoki podziałów rozpoczął się pewien przełom w stosunkach wewnętrznych Polski, a fakt ten musiał i na stanowisko Kościoła oddziałać, w skutek czego i dawniejsze stosunki znacznéj uległy zmianie. Zmiana stosunków kościelno-politycznych wyprzedziła nawet zmianę stosunków społecznych i prawno-państwowych. W ciągu wieku XII zaczynają się też wśród duchowieństwa polskiego coraz bardziéj krzewić idee planu reform Grzegorza VII († 1085), zmierzające nietylko do poprawy karności kościelnéj, lecz i do wywalczenia Kościołowi w obrębie państwa pierwszorzędnego stanowiska. Skutki tych usiłowań duchowieństwa polskiego są już widoczne w drugiéj połowie wieku XII zarówno na polu prawa prywatnego (w uznaniu osobowości prawnéj poszczególnych instytutów kościelnych), jak

[1]) Lwów, 1889. 8° str. 52.
[2]) „Archiwum komisyi histor.". Kraków, 1889. T. V, str. 210 i nast.
[3]) Bibl. Warsz. 1890. Zesz. za mies. listop. str. 318.

i na polu prawa publicznego (coraz liczniejsze przywileje i swobody autonomiczne, nadawane Kościołowi, niemniéj i postanowienia Zjazdu łęczyckiego (str. V). Z tego samego powodu ograniczył autor także i obfitość źródeł, nie przekraczając wieku XII. Skoro bowiem w Polsce wieku XIII zmieniły się podstawy stosunku między panującym a poddanymi, to wysnuwanie wniosków ze źródeł wieku XIII wstecz, mogłoby do mylnych prowadzić wniosków" (str. VI). Przeciwko takiéj metodzie postępowania zapewne nikt nie będzie miał nic do nadmienienia, tembardziéj, że autor, zszeregowawszy swój materyał źródłowy (str. VII — X), nie pominął wśród samego wykładu żadnego studyum poważniejszego, mogącego się przyczynić do wyświetlenia rozbieranych przez niego szczegółów. W ten sposób przedstawił nam prof. A. równocześnie rezultaty najnowszych badań krytycznych na polu naszéj początkowéj historyi, poczynając od chwili zaprowadzenia w Polsce chrześciaństwa aż do śmierci Krzywoustego. Żałujemy tylko, że autor, krzątający się z widoczną sumiennością o jaknajobfitszy naukowy aparat krytyczny, przeoczył nader pokrewną swemu zadaniu pracę ś. p. kanonika metropolit. poznańskiego ks. Jabczyńskiego p. t. „Prawodawstwo i Prawa Kościoła w Polsce od początku chrześciaństwa aż do wieku XV" [1]), któréj pod względem samodzielnéj dyspozycyi materyału historyczno-kanonicznego wartości naukowéj odmówić nie można.

Treść książki prof. Abrahama jest tak ważna i obfita, że w okolicznościowym przeglądzie téj pracy zaledwo ważniejsze wyniki tych sumiennych badań zaznaczyć możemy.

W rozdziale 1-szym rozbiera autor dzieje wprowadzenia chrześciaństwa do Polski (str. 1 - 29), o czém posiadamy nadzwyczaj szczupłe wiadomości źródłowe, a natomiast bardzo wiele hypotez albo z fantazyi wysnutych, albo téż tylko na mętnéj legendzie opartych. Autor, obeznany z dostępnemi dotychczas źródłami, przystępuje z całym aparatem krytycznym i naukowym do rozświetlenia tego pola.

Powód, dla którego tak mało wiadomości o przyjęciu chrześciaństwa w Polsce znajdujemy w źródłach historycznych, widzi autor głównie w tém, że dzieło to nie było dokonane ręką gwałtowną, że nie wzrastało wśród strumieni krwi ani żadnych okrutnych przewrotów społecznych i politycznych: wielki ten akt dziejowy odbył się wśród plemienia polskiego powoli, na drodze stopniowo przygotowanéj, na drodze przeważnie pokojowéj. Już przed przyjęciem chrzu Ś-go przez Mieczysława I „musiało" chrześciaństwo nie być w Polsce zjawiskiem

[1]) Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Poznań, 1860. T. I. Str. 92—158.

obcém, nieznaném, gdy po owém urzędowém ochrzczeniu narodu siła odporna reszty ludności pogańskiéj ani nie zadrgnęła, bo kronikarze niemieccy, znający dosyć dobrze ówczesne wewnętrzne stosunki Polski, nie zapisali ani jednego faktu większego oporu, którego gwałtownemi, krwawemi poruszeniami przepełnione są dzieje misyj u ludów połabskich, pruskich, pomorskich, skandynawskich i t. d. Widocznie osłaniała missyonarzy w Polsce nietylko silna opieka książęca, ale i ludność z nimi się już oswoiła, a oprócz tego brakło już widocznie w Polsce silnego pogańskiego stanu kapłańskiego, który u słowian połabskich, na Pomorzu i na Rugii do walki podniecał. Z wszelkiém tedy prawdopodobieństwem wnosić ztąd można, że w chwili zawiązku państwa polskiego i przyjęcia chrześciaństwa musiał kult pogański być tu już bardzo słaby, że w skutek tego i czynniki, które na utworzenie Polski wpłynęły, musiały być innéj natury, aniżeli te, które działały na naszych zachodnich i północno-zachodnich pobratymców (str. 2). Nie widzimy téż u nas za Mieczysława I wrogiego antagonizmu narodowego między Niemcami a Polską, jaki przyczynił się do wytępienia słowian połabskich i innych. I w Polsce wywołała potrzebę silnego związku państwowego jakaś przyczyna zewnętrzna, ale nie działająca tak gwałtownie jak najazd niemiecki, pod którego szponami wiara niosła nawróconym niewolę; tutaj przeciwnie—nowa wiara stała się widocznie podporą władzy książęcéj.

Na pytanie skądby chrześciaństwo do Polski przyszło, odpowiada prof. Abraham najprzód uwagą ogólną, że w takich razach rozstrzygały zwykle względy polityczne, zawisłe przedewszystkiém od geograficznego położenia danego kraju. „Zawiązku państwa polskiego trzeba szukać gdzieś między środkowym biegiem Odry i Wisły, wzdłuż Warty. Ludy tu mieszkające graniczyły z południa z szczepami słowiańskiemi, osiadłemi na dzisiejszym Szlązku i nad górnym biegiem Wisły, które już wcześniéj (w 2-iej połowie X wieku) z chrześciaństwem bliżéj zetknąć się musiały". Utworzenie państwa w Polsce wyprzedziło wprowadzenie u nas chrześciaństwa, które wchodziło do zawiązanego już państwa Mieszka I, bez gwałtownego nacisku ze strony potęgi niemieckiéj. Niemal do połowy wieku X odgraniczone były w stronie zachodniéj ziemie polskie od Niemiec przez liczne ludy pogańskie, chrześciaństwu wrogie; nie byłoby więc łatwém dla missyonarzy niemieckich przedarcie się tą drogą do Polski. O apostołach z północy lub wschodu nie może być w téj chwili mowy. Jedyną drogą otwartą było południe, zkąd w epoce państwa wielkomorawskiego mogli pojedyńczy missyonarze niemieccy przez pośrednictwo Morawii i Czech oddziaływać i na kraje podkarpackie; po upadku zaś państwa morawskiego pod nawałą węgrów, wiele rodzin moraw-

skich schroniło się do ziem pogranicznych, roznosząc ze sobą wiarę chrześciańską. O dalszych losach późniejszego Szlązka i Małopolski aż do czasów, gdy się stały kością niezgody między Polską a Czechami, a tem mniéj o losach chrześciaństwa tutaj prawie nic nie wiadomo. W walce z najazdem węgierskim zorganizowało się państwo czeskie a zagony węgrów nie oszczędzały i ubogich ziem polskich. Nie były to więc czasy dla missyi korzystne, ale pomimo tego posiew chrześciaństwa w tych stronach nie zniknął zupełnie. Późniejszy arcybiskup magdeburski, Adalbert, wysłany na Ruś, małżeństwo Mieszka z Dąbrówką świadczą o dawniejszych już stosunkach szczepu polskiego z chrześciańskiemi oddawna Czechami, należącymi jeszcze wtedy do metropolii salcburskiéj i dyecezyi ratysbońskiéj; Czechy były zatém polem, na którém missye niemieckie z południowych Niemiec i Frankonii miały powodzenie zapewnione (str. 6).

Trudniejszą dla missyonarzy chrześciańskich była droga od Zachodu do Polski, gdzie oręż saski prowadził walkę wytępienia z plemionami słowiańskiemi za Elbą, a o missyonarzach pobliskich klasztorów, jak Nowa Korbeja nad Wezerą i klasztor Ś-go Piotra i Maurycego w Magdeburgu, nawracających słowian, nic źródła nie mówią. Zresztą w wieku IX-ym przeważa już idea, oddająca kierownictwo missyi w ręce stolicy apostolskiéj, a prawidłową formą organizacyi kościelnéj stała się organizacya dyecezyalna, a nie organizacya samoistnych klasztorów. Missyami zajmują się coraz częściej sami biskupi, a nie klasztory (9). Na pytanie: skąd mogło przyjść do Polski chrześciaństwo, znajduje autor w literaturze polskiéj jednę tylko naukowo uzasadnioną hypotezę, przyznającą tę zasługę mnichom z Nowéj Korbei (nad Wezerą), powołując się w tym względzie za prof. Wojciechowskim („O rocznikach polskich X—XV-go wieku". Pamiętnik Akad. Um. Wydz. filolog. histor.-filoz. T. IV. Krak. 1890) na trojaki dowód, mianowicie: 1) dzieje i sposób powstania najdawniejszego naszego rocznika; 2) wiadomości dokładne Widukinda, mnicha Korbéjskiego o Polsce, które mogą polegać na relacyach missyonarzy i wreście 3) wezwania najdawniejszych kościołów polskich w Gnieźnie i Kruszwicy. (Str. 16—23).

Niektóre jednak ślady historyczne skłaniają uwagę badacza w inną jeszcze stronę, mianowicie w kierunku klasztoru fuldajskiego (Str. 24—28).

Dotychczasowe źródła nie dają nam zadawalniającéj odpowiedzi na pytanie: czy chrzest Mieszka nastąpił *przed* czy *po* ślubie z Dobrówką? Współczesny niemal Thietmar pisze, że Dobrówka dopiéro po ślubie nawróciła Mieszka i skłoniła go do przyjęcia chrztu św., gdy według kroniki naszego Marcina miała się rzecz przeciwnie; ślub

Mieszka z Dobrówką miał nastąpić dopiero po przyjęciu chrztu Ś-o. Autor nasz, opiera się wobec tego sporu na wiadomościach najdawniejszych naszych roczników, które bez wyjątku kładą datę przybycia Dobrówki do Polski (r. 965 lub 966) przed chrztem Mieszka (r. 966 lub 967). Prof. Wojciechowski [1]) przyjmuje dla chrztu Mieszka jeszcze wcześniejszą datą niż 966, a to z powodu, że założenie biskupstwa poznańskiego przypada w początku r. 967-o; lecz dla tego jednego względu możnaby też z prof. Abrahmem postawić hypotezę, że chrzest Mieczysława nastąpił po przybyciu biskupa Jordana do Polski (Str. 14 i 15). Widzimy tedy, że nawet po mozolnych poszukiwaniach naszego autora, pozostało jeszcze co do historyi wprowadzenia chrześciaństwa do Polski dużo kwestyj hypotetycznych, a ta niepewność faktów sprawiła, że cały ten rozdział w książce naszego autora jest nieco chaotyczny; —autor regestruje ogromną ilość szczegółów nie udowodnionych, bez możności zrobienia wniosków, któreby naukę historyi polskiej na wyższy szczebel posunąć potrafiły. Czy systematyczniejszy wykład zebranego tak skrzętnie materyału potrafiłby bez nowych źródeł osiągnąć rezultat więcéj zadawalniający, przesądzać nie możemy.

Klasztor w Fuldzie nie mógł długo wpływać na organizowanie się stosunków kościelnych w Polsce, bo z chwilą utworzenia w Magdeburgu metropolii dla skuteczniejszego popierania missyi między słowianami (r. 968) i z chwilą urządzenia biskupstwa poznańskiego, jako jej sufraganii i dyecezyi na całą ówczesną Polskę, wystąpiły inne, trwalsze i systematyczniejsze czynniki w dziele organizowania kościoła w Polsce.

Kwestya fundacyi naszych biskupstw, mylnie, a raczéj fantastycznie opowiedziana przez Długosza, nie przestała zatrudniać badaczów naszych dziejów od chwili krytyki, któréj się Naruszewicz nie wahał śmiało podnieść przeciwko rozpanoszonéj w téj sprawie legendzie Długoszowéj. Rozbierał tę sprawę także i prof. R. Roepell w osobnym IV-ym dodatku do swojéj „Histor. Polski". (Hamb 1840. Str. 622—650.) Zasłużony tak wielostronnie badacz przeszłości naszéj dr. W. Kętrzyński wznowił jeszcze niedawno opracowaną w „Przewodniku nauk. i liter." (Lwów 1875) pod tyt. „Kościelne stosunki w pierwotnéj Polsce" kwestyą o założeniu biskupstwa krakowskiego przez Mieczysława I-go, („Biskupstwa i klasztory polskie w X i XI wieku". W „Przegl. powsz. Krak. 1889. Wrzes. i Paźdz.), przeciwko czemu występuje, jak sądzimy, zupełnie zwycięsko książka prof. Abrahama.

---

[1]) „O rocznikach polskich X—XV w." (Pamiętnik Akad. Um. Wydz. filolog. i histor. filoz. Kraków. 1880. T. IV str. 219.

W rozdziale drugim, rozbierającym szczegółowo dzieje założenia biskupstw w Polsce, mówi prof. Abraham: 1) O biskupstwie poznańskim; 2) O zjeździe gnieźnieńskim w r. 1000; 3) O prawném znaczeniu zjazdu gnieźnieńskiego dla organizacyi Kościoła w Polsce; 4) O arcybiskupie Brunonie; 5) O biskupstwach: płockiém, kujawskiém, lubuskiém i pomorskiém; 6) O obrządku słowiańskiém.

Zasadniczym punktem wyjścia sz. autora przy rozbiorze tych kwestyj jest idea, poświadczona przez wszystkie wiarogodne źródła, że dzieło szerzenia chrześciaństwa oraz urządzenia instytucyj kościelnych w Polsce odbywało się z inicyatywy i pod opieką tudzież przy czynnéj pomocy władzy książęcéj zarówno pod panowaniem Mieczysława I jak i Bolesława Chrobrego [1]); reakcya też pogańska wtedy dopiéro podniosła głowę, gdy władzy téj brakło. Przyczyny tego faktu trzeba szukać w ogólnéj sytuacyi Europy zachodniéj oraz w ówczesném położeniu Stolicy apostolskiéj. Kłopotliwe okoliczności, w jakich zostawała Stolica apostolska w wieku IX i X, a nawet jeszcze w czasie nawrócenia się Mieczysława I-o, połączone z przeważnym politycznym wpływem cesarzów niemieckich w Europie zachodniéj sprawiły, że papież nie mógł samodzielnie urządzać stosunków kościelnych naszych przodków przez odpowiednie potrzebom lokalnym postanowienia prawodawcze. Pierwsi téż naczelnicy jedynéj na całą Polskę dyecezyi poznańskiéj Jordan i Unger, a nawet i dalsi ich po r. 1000 czyli po założeniu arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i innych pierwszych biskupstw następcy, przybywający tu z obcych krajów, nie znający języka i usposobienia ludu polskiego, nie mogli zaspokoić wszystkich potrzeb miejscowych, nie mogli od samego początku działać całą siłą praw i nauki na szerzenie i ustalenie chrześciaństwa. Do czego należy jeszcze i to dodać, że i sprowadzane tu pierwiastkowo z obcych krajów duchowieństwo zakonne, nie znające także języka i długo bardzo nie dopuszczające krajowców do swego grona, nie wielką w dalszym rozwoju kościoła mogło być pomocą, tak że jeszcze w r. 1248 na synodzie we Wrocławiu utyskiwał legat papieski, Jakób, nad tém, że pomiędzy pospólstwem polskiém znajdowali się starcy stuletni którzy z zasad religii nie rozumieli nawet tego, co mówili [2]).

W obec takiego położenia stosunków kościelnych słusznie przypuszcza prof. Abraham, że inicyatywa powołania do Polski osobnego biskupa musiała wyjść od tronu. Mając wzgląd na wzmiankowane wyżéj stosunki, nie możemy téż wątpić, że pod wpływem otaczających go duchownych objawił Mieszko to życzenie swoje przedewszystkiém ce-

[1]) Ks. Jabczyński, l. c. str. 97.
[2]) Ks. Jabczyński l. c. 96 i 97.

sarzowi Ottonowi I, z którego też ramienia pierwszy biskup poznański, Jordan, do Polski przybył, wyświęcony na biskupa jeszcze przed intronizacyą pierwszego arcybiskupa magdeburskiego, którego sufraganem został. Skądby zaś przybył i czy zastał Mieszka już ochrzczonego, to są pytania, których autor nasz stanowczo rozstrzygać nie śmie. Po zregestrowaniu rozmaitych zdań badaczów historycznych co do czasu konsekracyi i przybycia Jordana do Polski, nie wypowiada p. A. swojéj ostatecznéj konkluzyi w téj kwestyi, ale przeskakuje do nowego domysłu co do pochodzenia Jordana: „Z imienia „Jordan“ sądząc, możnaby wnosić, że pierwszy nasz biskup pochodził z zachodnich Niemiec, bliskich Francyi, albo ze saméj Francyi lub Włoch“ (str. 34). W dalszym atoli ciągu swego wywodu osłabia znowu ten swój domysł, dodając do niego nowy o bliższym jakimś związku katedry w Leodium (Liège) z Polską, o przeniesieniu ztąd relikwii św. Lamberta do Polski, o wysłuchaniu przez Ottona I° prośby Mieszka w Maastricht w r. 966-ym, i nie skonkludowawszy tych domysłów, występuje z nowém pytaniem: Kto konsekrował Jordana a po trojakiém „może“, stawia sobie dalsze pytanie: czy cesarz „czy Mieszko dyecyzyą poznańską założył“ (35), którego nie zaspokoiwszy nadmienia, „że pomimo wyświęcenia i przybycie Jordana do Polski o założeniu dyecezyi w znaczeniu prawném mowy nie ma, gdyż nie chodziło jeszcze podówczas w Polsce o urządzenie kraju pod względem kościelnym, lecz o zdobycie go dla chrześciaństwa. W bezpośredniem następstwie czytamy uwagę o wybitnéj różnicy między biskupstwem poznańskiém a ustanowieniem biskupstwa prazkiego o „episcopi gentium, ep. regionarii“, do których i Jordana zalicza jako „biskupa polskiego“ a nie poznańskiego (str. 37) i rozprawia w dalszym ciągu o wielu ciekawych szczegółach dziejów missyonarskich z tego czasu, które jednak nie przyczyniają się do głębszego wyjaśnienia początku dziejów biskupstwa poznańskiego. Zreferowaliśmy szczegółowiéj ten ustęp książki dla zwrócenia uwagi autora na tę ujemną formę jego metody, niepokojonéj coraz nowemi pytaniami, na które dla zupełnego braku źródeł odpowiedzieć jeszcze nie można, ponieważ wykład taki najgorliwsze, sumienne naukowe starania autora obezwładnia i niezaprzeczoną wielostronną bystrość jego umysłu bezowocną czyni.

Nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, coby nam nowego ten ustęp o biskupstwie poznańskiém w książce p. Abr. przyniósł do skarbnicy naszéj wiedzy historycznéj, przechodzimy do 3-ch następujących paragrafów, które w tém rozerwaniu zgromadziły pod osobnemi tytułami bardzo wiele szczegółów historycznych, zaakcentowały wiele kwestyj spornych, przez co rozszerzyły znacznie nasze wiadomości

o historycznem znaczeniu zjazdu gnieźneńskiego, chociaż i tu przeróżne dygressye nie ułatwiają poglądu na główny przedmiot podjętego zadania.

Przebiegu wypadków, które poprzedziły utworzenie metropolii gnieźnieńskiéj, nie znamy w szczegółach; ale momenta najistotniejsze dobrze uwydatnił sz. autor. Podczas apostolstwa św. Wojciecha w Polsce powstał w umyśle Bolesława Chrobrego plan zorganizowania Kościoła polskiego i podziału państwa na dyecezye, czego bez zezwolenia papieża i cesarza dokonać nie było można; należało więc postarać się o nie, choćby w razie potrzeby przyjąć za to pewne zobowiązania Po śmierci św. Wojciecha, którego śmierć męczeńska zbudziła spółczucie w świecie chrześciańskim, a głównie i w przychylném dla męczennika sercu cesarza Ottona III°, wysłał zapewne Bolesław poselstwo do cesarza i papieża wraz z wybranym na przyszłą metropolię Gaudentym, bratem męczennika. Otto III znajdował się od końca r. 997 we Włoszech, lecz układy z powodu zaburzeń w Rzymie musiały się toczyć zbyt opornie, chociaż sprawa usamowolnienia Kościoła polskiego i bliższego związania go z Rzymem znalazła w papieżu Sylwestrze II, genialnym następcy Grzegorza V-go, gorliwego zwolennika. Na jednym ze synodów rzymskich, uchwalono założyć nową metropolią i przyjęto plan Bolesława podziału kraju na dyecezye. Gaudenty uzyskał sakrę biskupią i już jako arcybiskup gnieźnieński wybrał się wraz z Ottonem III w drogę do grobu św. Wojciecha, (str. 53, 54).

Równocześnie, czyniąc zadość zwykłym w takich razach formalnościom, Sylwester II musiał wydać bullę, streszczającą uchwałę synodu rzymskiego o utworzeniu nowej prowincyi kościelnej; Otto III-ci zaś podobny prawdopodobnie wystawił dokument, nadając przy tém Kościołowi polskiemu pewne przywileje w obrębie cesarstwa: jak uznanie jego osobowości prawnéj i zdolności nabywania majątku nieruchomego w granicach cesarstwa. Obok tych domniemanych dokumentów, wydano jeszcze inne przez Galla, zdaje się, dosyć dokładnie streszczone, określające stanowisko nowo-zorganizowanego Kościoła w obec władzy państwowéj, t. j. w obec Bolesława Chrobrego. Wedle słów naszego kronikarza, zostały podówczas wydane dwa przywileje dla Bolesława, jeden ze strony Ottona, drugi ze strony papieża podobnéj treści, a mianowicie: Otto zrzekł się się na rzecz Bolesława i jego następców praw, które mu jako cesarzowi i zwierzchnikowi Polski w obec Kościoła polskiego przysługiwały, a Sylwester II owo zrzeczenie się zatwierdził. Do praw cesarza z owego tytułu pochodzących, dwa przedewszystkiem należały, t. j. najwyższa *advocatio* i *prawo inwestytury*, z których dwóch głównych uprawnień płynęły

już wszystkie dalsze drugorzędne. Gallus nazywa też Bolesława: „patronus et advocatus pontificum“, dodając, że „episcopos ordinavit“, źródła zaś współczesne Gallowi stwierdzają, że następcy Chrobrego rzeczywiście prawo inwestytury wykonywali, (str. 66 i 67).

Polityka niemiecka nie dozwoliła na udzielenie królewskiéj korony Bolesławowi, lecz zatrzymując go w obrębie związku cesarstwa niemieckiego, nadano mu prawa, równające się królewskim. Tytuł „patrycyusza“ nie zmienił sam przez się zawisłości Bolesława od Niemiec; ważniejszém atoli było to, że, jak poświadcza Thietmar, Otto Bolesława dawniejszego „tributarium“—„facit dominum“, a więc uwolnił Polskę od trybutu i samoistniejsze przyznał jéj stanowisko, [1]) (str. 69).

Autor nasz dowodzi daléj, że obok owych dwóch praw, uzyskał Bolesław jeszcze i trzecie, daléj nawet cokolwiek sięgające, mianowicie prawo urządzania pod względem kościelnym ziem na poganach zdobytych: „vel in aliis superatis ab eo vel superandis regionibus barbarorum“ (Gallus). Prawo to, o ile się odnosiło do ziem przez Chrobrego jeszcze nie zajętych, nie mogło tyle wypływać z nadania cesarskiego, ile z mocy przywileju papieża, do którego władzy kierownictwo misyami należało. Dla potwierdzenia téj hypotezy, ucieka się autor do analogii ze stosunków węgierskich, (str. 69—74).

Na przygotowanéj w ten sposób podstawie dowodzi autor, że ostateczne zorganizowanie nowéj prowincyi kościelnéj i oznaczenie granic dyecyzyi, nastąpiło dopiéro na samym zjeździe gnieźnieńskim w marcu r. 1000, podczas którego odbył się zarazem i synod kościelny, gdyż Ottonowi towarzyszyli kardynałowie w charakterze legatów papieża Sylwestra II, a zapewne i przedstawiciele episkopatu niemieckiego wraz z Gizilerem, metropolitą magdeburskim. Po intronizacyi konsekrowanego już w Rzymie arcybiskupa gnieźnieńskiego w osobie Gaudentego, brata św. Wojciecha, odbył się także akt konsekracyi biskupów nowo utworzonych stolic biskupich, mianowicie Poppona dla Krakowa, Jana dla Wrocławia, Szląsk i Reinberna dla Kołobrzega na

---

[1]) Gallus podaje, że Otto III ukoronował Bolesława na zjeździe gnieźnieńskim i za nim poszedł Rawer („Polityczne znaczenie zjazdu gnieźnieńskiego w r. 1000“. Lwów 1882), broniąc hypotezy koronacyi. Włożenie przez Ottona podczas zjazdu korony swojéj na głowę Bolesława, można uważać za wyraz życzliwości i wysokiego uznania, ale tego uznania publicznego nie podobna podnosić do znaczenia koronacyi, będącéj przecie także i aktem kościelnym, mającéj także cechę religijną. Może Bolesław starał się równocześnie jak i następnie w tém nieustawał, o przyznanie mu korony królewskiéj, ale sprawa ta wlokła się długo, tak, że dopiero r. 1025 uroczyście się ukoronował. Akt téj koronacyi nie miałby tedy żadnego już znaczenia, gdyby Bolesław na zjeździe gnieźnieńskim był koronowanym (str. 51 uwaga 2).

Pomorzu. Wtedy też równocześnie określono granice biskupstwa poznańskiego, obejmującego dotychczas całą Polskę; lecz Ungera, biskupa poznańskiego, który widząc w nowych tych urządzeniach uszczuplenie praw swoich, może z poduszczenia arcyb. magdeb. Gizilera, z protestem wystąpił, pozostawiono i nadal w związku metropolitalnym magdeburskim (str. 54, 55). Równocześnie oznaczono także granice wszystkich poszczególnych dyecezyi, które jednak dzisiaj nadzwyczaj trudno skontrolować [1]) (str. 59 — 65). Opisując w następującym 4-ym paragrafie missyjną działalność arcybiskupa Brunona, przedstawił nama utor (str. 74—84) niektóre donioslejsze szczegóły działalności organizacyjnéj Bolesława Chrobrego, o ile wiarogodne źródła dostarczały potrzebnego do takiego obrazu materyału, i przystąpił w § 5 do rozbioru kwestyi zakładania biskupstw: płockiego, kujawskiego, lubuskiego i pomorskiego (str. 84—104), które na podstawie krytycznie zbadanych źródeł, przy uwzględnieniu sytuacyi ogólno-europejskiéj, przedstawia jako dzieła książąt panujących, krzątających się o dalszy rozwój rozpoczętéj na zjeździe gnieźnieńskim organizacyi kościelnéj w Polsce. Starsze i nowsze twierdzenia, na podstawie późniejszych kronikarzy włącznie z Długoszem, odnoszące powstanie reszty polskich biskupstw istniejących w w. XII-ym, zwalcza zwycięsko za pomocą ścisłéj argumentacyi krytycznéj, popieranéj źródłami wiarogodnémi. Uwzględniwszy działalność Mieczysława II° (biskupstwo kujawskie) w tym kierunku, nie zamyka oczu na szamocącą się po jego śmierci reakcyą pogaństwa, która się najbardziéj dała we znaki metropolii gnieźnieńskiéj, nie pomija usiłowań Kazimierza Odnowiciela i uważa dalsze uzupełnienie organizacyi dyecezyalnéj za dzieło Bolesława Krzywoustego, bo pierwsze wzmianki o biskupstwach: pomorskiém, włocławskiém i lubuskiém pochodzą z ostatnich lat jego rządów energicznych, ku coraz szerszéj samodzielności dążących. Męczeńskiéj katastrofy św. Stanisława z Bolesławem Śmiałym, widocznie prof. Abraham nie łączy z żadną ważniejszą kwestyą w obrębie interesów organizacyi kościelnéj, bo czyni o niéj zaledwo okolicznościo-

[1]) Prof. Abraham, idąc za wskazaniem dokumentu, pisze na str. 61, że „od dyecezyi poznańskiéj odgraniczała wrocławską Odra od Krosna do Wilkowa“, objaśniając tę ostatnią miejscowość wedle spisu parafii w poznańskiém „Liber benef. Lubrańskiego z r. 1510“, jakoby to było *Wilkowo* w dekanacie wschowskim. co jest nieprawdopodobném, a nawet niemożliwém, bo to Wilkowo w dzisiejszym dekanacie wschowskim jest wsią kościelną tuż pod Lesznem leżącą, ale kilka mil odległą od Odry, trzebaby więc przyjąć nadzwyczajną zmianę konfiguracyi topograficznéj tych okolic, odsunięcie się nadzwyczajne koryta Odry w kierunku zachodnim, o czém jednak historya żadnéj nie zapisała wiadomości.

wą wzmiankę (str. 186 w uwadze 1), chociaż należało położyć pewien nacisk na ten fakt rozgłośny na całym Zachodzie, ponieważ przy zwróconém baczniejszém oku na Polskę takiego papieża jak Grzegorz VII, będący w walce z cesarzem, samodzielność Kościoła polskiego w obec uroszczeń metropolii magdeburskiéj mogła się była przy pomocy ramienia książęcego z większą łatwością ugruntować. Tymczasem męczeństwo biskupa krakowskiego w chwili obezwładnienia metropolii gnieźnieńskiéj, skompromitowało władzę monarszą, a nie otworzyło szerszéj drogi działania dla duchowieństwa polskiego w obec aspiracyi duchowieństwa niemieckiego, które pragnęło zachować sobie w Polsce główny posterunek dla swoich missyj w kierunku wschodnim. W dalszym (6-ym) ustępie tego (II°) rozdziału swojéj pracy rozbiera autor szereg hypotez, dotyczących pierwotnych dziejów polskich, nieuzasadnionych żadném źródłem poważniejszém. Do rzędu takich hypotez należy: istnienie w pierwotnéj Polsce organizacyi kościelnéj obrządku słowiańskiego, oraz walka tego obrządku z łacińskim po śmierci Chrobrego, jakoby Mieczysław przed chrztem, podług obrządku rzymskiego, był już ochrzczony podług obrządku greckiego. Prof. Abraham, zamykając uszy na hałaśliwe stare i młode głosy antagonizmu narodowego (Niemcy i Polacy lub eufemistyczniéj: Niemcy i Słowianie), którego zaciekłych dzisiejszych namiętności wówczas jeszcze nie znano, rozpatrzył krytycznie te sprawy na podstawie dostępnych źródeł wiarogodnych i przyszedłdo ostatecznego wniosku, że nigdzie nie posiadamy w Polsce śladu istnienia liturgii słowiańskiéj i jéj właściwości (str. 110).

Rozdział III-ci, pod ogólnym tytułem „Związek metropolitalny“ (str. 112—131) daje nam dosyć szeroki rzut oka na usiłowania Kościoła polskiego wyswobodzenia się z krępujących go więzów z metropolią magdeburską, która na swobodny rozwój organizacyi kościelnéj w Polsce korzystnie wpływać nie mogła, zwłaszcza, że czujna w téj sprawie władza książęca nie przestawała oponować nietylko Magdeburgowi, ale i Rzymowi. Zadzierzgnięte przez uchwały synodu w Rawennie z 20 kwietnia 967 r., tudzież obu bull papieskich z października r. 968 — węzły zależności kościelnéj pozostały nienaruszone aż po r. 1000, kiedy, w obec męczeńskiéj śmierci św. Wojciecha między Prusakami, uznano Polskę za dostatecznie przygotowaną do uzyskania samoistnéj organizacyi kościelnéj. Niemcy dowodzili jednak, że utworzenie metropolii gnieźnieńskiéj odbyło się bezprawnie, bo z pogwałceniem praw metropolii magdeburskiéj i bez uwzględnienia protestu biskupa poznańskiego Ungera. Autor rozbiera wszechstronnie nagromadzony w téj sprawie materyał źródłowy, uwzględniając odnośne bulle papieskie, skargę arcybiskupa Norberta z r. 1133

i in., przyczém objaśnia list Grzegorza VII-go do Bolesława Śmiałego z 20 kwietnia r. 1075, zastanawia się nad upadkiem metropolii gnieźnieńskiéj po śmierci Mieszka II-go, w czasie reakcyi pogańskiéj i napadu czeskiego aż po r. 1075, nie pomija faktu krótkiego, okolicznościowego istnienia arcybiskupstwa krakowskiego, zaznacza chwalebne usiłowania Kazimierza Odnowiciela w kierunku przeciwnym aspiracyom Magdeburga (str. 124) i przypisuje tylko potężnemu stanowisku rządu Bolesława Krzywoustego, że ten sam papież Innocenty II, który uznawszy r. 1133 za słuszną skargę arcybiskupa Norberta, przyznał Magdeburgowi zwierzchnictwo nad wszystkiemi biskupstwami polskiemi, wydał bullę (7 lipca 1136), w któréj poręczył posiadłości, prawa i tytuły metropolii gnieźnieńskiéj.

Rozpatrzywszy w ten sposób stosunki historyczne, wśród których zawiązała się pierwotna organizacya Kościoła w Polsce, oceniwszy różnicę jego stanowiska przed— i po reakcyi pogańskiéj, któréj istotnych momentów jednak nie wykazał, objaśniwszy wreszcie koleje, które doprowadziły Polskę do wywalczenia sobie stanowiska samodzielnego wobec cesarstwa Niemieckiego, przystępuje autor do rozbioru organizacyi kościelnéj w obrębie samych dyecezyi, rozpoczynając rzecz od określenia głównych instytucyi dyecezyalnych w ich historycznym rozwoju pod tytułami: 1) Kapituły, 2) Archidyakonowie i ich zastępcy, 3) Kapelanie, parafie i inne urzędy kościelne, 4) Klasztory. Wobec dzisiejszych warunków bytu Kościoła katolickiego, są to już po części reminiscencye archeologiczne, dla teraźniejszych prądów obojętne, choć swoje—i w rozwoju dziejów wpływowe; ale przy tém wszystkiem należy się wdzięczność autorowi, że zamknąwszy się w epoce tak odległéj, zgromadził sporo wiadomości źródłowych z najstarszéj epoki dziejów Kościoła w kraju naszym, gdyż dotychczasowi badacze praw i życia kościelnego u nas [1]), nie rozporzą-

[1]) Ks. Teodor Ostrowski (ur. 1750 † 1802): „Dzieje i prawa Kościoła polskiego, krótko zebrane“ (Warsz. 1793, T. 3-y; wyd. 2-e. Poznań 1846 i 187). Dzieło to napisane pobieżnie nie rozważa zadania swego krytycznie i nie można go uważać za dzieło naukowe. — Ks. Melchiora Bulińskiego „Historya Kościoła Polskiego.“ (Krak. 1873 — 1874. T. I. Epoka Piastowska (str. 512, XII), T. II. Epoka Jagiellońska, (str. 389, VIII), T III. Epoka królów obieralnych. Zapowiedziany tom IV-y dotychczas nie wyszedł), mało mówi o dziejach Kościoła Polskiego w téj epoce. Piękne i gruntowne studyum Ks. Kan. Jabczyńskiego „Prawodawstwo i prawo Kościoła w Polsce aż do wieku XV.“ (Rocznik Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu. 1860. T. I. (str. 93 — 58) nie pomija najstarszéj epoki rozwoju instytucyi Kościelnych w Polsce i może być jeszcze dzisiaj uważane za doskonały, treściwy podręcznik przy wykładzie nauki prawodawstwa Kościelnego w Polsce aż do wieku XV-go; nie zadawalnia jednak pod względem historycznym, bo ówczesny stan na-

dzając ani tak obfitemi źródłami, ani tak systematyczną metodą badań, nie mogli oświecić pierwiastkowych warunków, ani istoty tych najważniejszych organów życia Kościelnego.

Z pierwszéj połowy w. XI nie znalazł autor w źródłach żadnéj wiadomości o istnieniu kapituł w dyecezyach naszych, chociaż przypuszcza, że równocześnie z założeniem biskupstw organizował się u nas także i kler biskupi na wzór urządzeń na Zachodzie, gdzie członkowie kapituł nie przestrzegali już przepisów o „vita canonica," o wspólném pożyciu pod jednym dachem w tém samém „monasterium" lub „claustrum." Do rozdziału zaś między klasztorem a kapitułą przyczyniło się rozluźnienie karności, z czego wynikł też podział majątku między biskupem a kapitułą, w któréj z czasem potworzyły się odrębne, bogato uposażone prebendy (133). Kapituły stanowią rzeczywistą władzę rządzącą obok biskupa. Tam, gdzie jak w Niemczech np. nawrócenia dokonały kla-

---

szych badań historycznych był znacznie uboższym od tego, którym p. Abraham już dzisiaj mógł rozporządzać. Ks. Jabczyński zapatrywał się mimo to bardzo jasno na zadanie, które sobie był postawił. Kościół krzewi wszędzie i zawsze te same zasady bez różnicy narodów, w prawach przecież tak zwanych dyscyplinarnych czyli w miarę okoliczności miejsc i czasu, miarkuje on indywidualne potrzeby wiernych i stosuje do nich wyjątkowo swe odpowiednie celowi przepisy dla utwierdzenia i dalszego rozwoju chrześciaństwa. Obznajmiwszy się z temi przepisami na podstawie zasad powszechnych, możemy dopiero dokładnie pojąć i wszechstronnie osądzić wpływ cywilizacyjny Kościoła w danym kraju od pierwszych jego początków. Wskazawszy, że jednem z ważniejszych źródeł w tym celu są postanowienia synodów zarówno prowincyonalnych jak i dyecezyalnych, wymienia Ks. Jabczyński najważniejsze ich zbiory i przechodzi do rzeczy saméj, którą podzielił na 2-ie części. W części 1-éj, składającéj się z 3 artykułów, mówi: 1) O pierwiastkowych synodach prowincyonalnych; 2) O władzach prawodawczych Kościelnych w Polsce: a) Stolica Ś-ta, b) Władza metropolity gnieźnieńskiego w połączeniu z biskupami całéj Polski jako jego sufraganami na synodach; c) jako trzecią władzę prawodawczą można w części u nas uważać w wiekach średnich *Zjazdy* czyli *Sejmy*, odprawiane pod przewodnictwem Króla wspólnie z arcybiskupami i biskupami, baronami i szlachtą; i 3) O zbiorach ustaw synodalnych w Polsce Część II obejmująca już samo prawa Kościoła w Polsce, dzieli się w zwyczajny u kanonistów sposób na trzy oddziały, t. j. na prawa co do *osób*, *rzeczy* i *sądownictwa* Kościelnego. Art. I. Prawa co do osób duchownych, ich obowiązków, prerogatyw, funduszów i przywilejów: § 1. Arcybiskupi czyli metropolici gnieźnieńscy; § 2) biskupi polscy jako sufragani metropolity gnieźnieńskiego, ich prerogatywy i obowiązki; § 3) archidyakoni, prałaci i kanonicy; § 4) opaci i duchowieństwo zakonne; § 5) plebani i wikaryusze; § 6) Rekwizyta do stanu duchownego; § 7) Przywileje (libertates et immunitates) osób duchownych i ich funduszów. Art. II. § 1) Prawa co do kościołów i cmentarzy; § 2) Nabożeństwa i opowiadanie słowa bożego; § 3) Administracya ŚŚ Sakramentów; § 4) Niektóre zwyczaje i karność kościelna. Art. III. § 1) Stan moralności i kary za występki; § 2) Sądownictwo duchowne; § 3) Statuta prowincyonalne i ich publikacye.

sztory, spoczywał pierwiastkowo rząd kościelny w ich rękach i związek między katedrą a klasztorem długo się utrzymywał, bo i kler katedralny prowadził „vitam regularem.“ Na podstawie niektórych luźnych wskazówek w źródłach utrzymuje autor, że kler biskupi (kapituły) w Polsce Bolesława Chrobrego żył (w Poznaniu, Gnieźnie i Wrocławiu), według dawniejszych ścisłych reguł kanonicznych, na wzór kapituł z końca VIII-go i IX-go wieku, czyby jednak był zakonnym, czy też składał się z bliższych biskupa kapelanów, tego autor twierdzić nie może, jak również i na to nie znajduje wiadomości w źródłach, jak długo istniała pierwotna wspólność majątkowa między biskupem a kapitułą jego. Po reakcyi pogańskiéj w połowie wieku XI-go dokonał się już *wszędzie* rozdział nietylko między klasztorem a kapitułą, lecz i wspólność majątkowa między biskupem a kanonikami zniesioną została, co łączyło się z wielkim upadkiem życia kanonicznego w owéj epoce. To rozluźnienie moralności wśród duchowieństwa zarówno klasztornego jak i dyecezyalnego, wywołało powszechną reakcyą w duchu dawniejszéj karności zakonnéj, a prąd ten, biorąc początek swój z klasztoru w Clugny, połączył się z rozległemi planami reformy całéj dyscypliny kościelnéj, popieranéj od połowy XI-go wieku przez Stolicę Apostolską (Grzegorz VII) i synody rzymskie. Właśnie na czas tych ogólnych usiłowań reformy przypadła chwila odbudowania wstrząśniętéj mocno organizacyi Kościoła polskiego. Autor zastanawia się tu wielostronnie nad legendą o nowém urządzeniu kapituły krakowskiéj za Kazimierza I przy pomocy biskupa Arona, dochodząc do wniosku, że ów biskup krakowski musiał dbać o to, aby kler jego przestrzegał życia kanonicznego (136—141). Lecz ówczesna kapituła krakowska nie posiadała jeszcze wtedy ani samoistnego stanowiska wobec biskupa ani też osobnego swojego majątku; dopiero z chwilą budowy nowéj katedry krakowskiéj przez Władysława Hermana spotykamy w źródłach osobną fundacyą na rzecz kapituły, podzieloną na 20 prebend dla każdego z kanoników. Kapituła krakowska zyskała w ten sposób majątek odrębny, zniesiona została nietylko dawniejsza wspólność majątkowa kapituły z biskupem, ale dokonany nawet został rozdział majątku kapituły między pojedyncze prebendy, co było jawném nadwerężeniem zasad *vitae canonicae* i sprzeciwiało się ideom reform w duchu gregoryańskim podejmowanych (str. 141, 142). Na wzór krakowskiéj organizowały się kapituły: gnieźnieńska, poznańska, wrocławska, płocka i t. d. W dalszym ciągu przedstawia autor organizacyą *urzędów* kapitulnych w pierwszéj połowie wieku XII-go, zaznaczając, że nie we wszystkich kapitułach istniały już wszystkie wyższe godności, przewidziane w prawie Kościelném, a nawet i porządek dostojeństw w po-

szczególnych kapitułach był w końcu wieku XII i początku XIII-go wielce odmienny. Z zestawienia godności w poszczególnych kapitułach, dziekan lub proboszcz „praepositus“ (archidyakon, kanclerz, scholastyk, kantor, kustosz) nie można robić stanowczych wniosków co do powstania kapituł naszych, nie można na téj podstawie twierdzić, że jedne przekształciły się z zakonów, drugie z wydzielenia zakonników z pośród kanoników świeckich, stosownie do tego, czy pierwsze w nich miejsce zajmował proboszcz (praepositus) czy też dziekan. Urząd archidyakona łączył się zwykle z dostojeństwem proboszcza, jak znowu urząd archipresbytera, czuwającego w zastępstwie biskupa nad prawami kultu, łączył się z dziekaństwem. Za wyjątkowe i tylko Kościołowi w Polsce właściwe uważa autor w kapitułach naszych już w wieku XII osobną godność archidyakona obok proboszcza i dziekana. Autor nie pominął i téj uwagi, że kanonicy ówcześni nie wszyscy posiadali święcenia wyższe i dopiero po reformie Kościelnéj w Polsce za Henryka Kietlicza (w. XIII) zapanowały u nas lepsze w tym kierunku stosunki. Zasadę powszechnego prawa kościelnego, spotykaną już w wieku XII, a przyznającą kapitułom coraz większy wpływ na rząd dyecezyi, znachodzimy już w tym wieku także i w Polsce, gdzie w niektórych razach, (np. przy zmianie stanu beneficyów, alienacyi majątku kościelnego i t. p.), biskup był związany warunkiem zezwolenia kapituły (str. 150, 151). Jakkolwiek mało nadzwyczaj wiemy o istnieniu kapituł kollegialnych czyli t. zw. kollegiat w téj epoce, to autor zebrał pewne dane o istnieniu już w wieku XII kollegiat: sandomirskiéj, łęczyckiéj, kaliskiéj, kruszwickiéj, głogowskiéj, przy kościele św. Michała w Krakowie, powstałych prawdopodobnie z klasztorów, było to bowiem zwykłém zjawiskiem w owych czasach, że klasztory, w których dyscyplina kościelna upadała, przemieniano w kollegiaty (str. 152, 153).

Co do archidyakonów nadmienia autor, że wiek XI i XII jest epoką najwyższego rozwoju ich władzy; lecz już w wieku XIII wystąpiła przeciwko nim żarliwa opozycya, która nie dozwoliła im wyrosnąć na silnych zastępców biskupów w administrowaniu dyecezyi i w dozorowaniu kleru niższego. W Polsce wspomina już Gallus o archidyakonach; w wieku XII byli już członkami kapituł; ale kompetencyą ich określają bliżéj dopiero ustawy synodalne z wieku XIII (str. 154—158). Wybitniejsze miejsce pośród duchowieństwa w kraju zajmowali kapelani zarówno książęcy, nadworni jak i możnych panów, bo oni reprezentowali wyższą zwykle intelligencyę, byli zapewne członkami kancelaryi książęcéj; używani wskutek tego do różnych poruczeń publicznych i dostarczający zwykle kandydatów na stolice biskupie. Czy stanowili osobne kollegium i o ile podlegali jurysdykcyi

biskupiéj, autor nie rozstrzyga (str. 159). Co do podziału dyecezyi na parafie, to nie znajdujemy aż po koniec wieku XII wiadomości o istnieniu chociażby jednéj parafii w ziemiach Polski. Kościołem parafialnym w obrębie dyecezyi była katedra biskupia, dokąd wierni powinni się byli udawać dla słuchania słowa Bożego i przyjmowania Sakramentów św. Jeśli to mogło wystarczać w początku wieku XI, to następnie ze zwiększeniem się liczby wiernych, przy zbyt obszernych dyecezyach, okazywało się coraz niemożliwszém, bo szkodziło celom i interesom Kościoła; dla tego najpierw sami biskupi musieli się starać o budowanie kościołów poza siedzibą biskupią, po znaczniejszych grodach, a oprócz pomocy klasztorów przyczyniła się ofiarność prywatna książąt i możnych do powstania w różnych stronach kościołów, których duchowni, jakkolwiek zależni w części od fundatorów nie byli zupełnie usunięci z pod nadzoru biskupa i archidyakona. Zwolna też powstawały w wieku XII obok kościołów biskupich i klasztornych różne kapelanie, które stały się zawiązkiem masy majątkowéj, na użytek Kościoła przeznaczonéj, zawiązkiem osobno uposażonych beneficyów, a następnie zawiązkiem funduszu kościołów parafialnych.

Pierwotnie były tylko kościoły biskupie, które obok katedry posiadały znaczenie kościołów parafialnych, lecz z czasem, dla zaradzenia potrzebom duchownym ludności, nadawali biskupi i duchownym kościołów książęcych, klasztornych i prywatnych, obok prawa sprawowania służby bożéj również prawo udzielania pewnych Sakramentów, katedrze zastrzeżonych, zwłaszcza Sakramentu Chrztu św. i wogóle prawo sprawowania pieczy dusz wiernych. Owe „*ecclesiae baptismales*", stały się niebawem kościołami parafialnemi (str. 158—164).

Klasztory, o ile położyły ogromne zasługi w Polsce w dziele szerzenia i ubezpieczenia chrześciaństwa w kraju, o tyle wywierały daleko mniejszy wpływ na organizowanie się samych instytucyj kościelnych, dla tego też możemy pominąć ten dość obszerny ustęp książki prof. Abrahama, który zawiera krytyczny przegląd dziejów wszystkich klasztorów w Polsce od pierwszego zawiązku dwóch benedyktyńskich, jeszcze z czasów przed reakcyą pogańską (w Międzyrzeczu i Trzemesznie), aż po koniec wieku XII. Autor zwraca uwagę na ten fakt znamienny, że powstające w téj epoce liczne klasztory zaludniano mnichami, sprowadzonymi przeważnie z Włoch i Francyi, a nie z Niemiec, bo książęta polscy, poczynając od Chrobrego, nie widzieli dla Polski korzyści w bliższém wiązaniu się z kościołem niemieckim. Powołane przez autora liczne fakta przemawiają w ogólności za tym poglądem; ale nie są wystarczające, aby stanowczo do-

wieść mogły świadomości takiéj polityki ze strony wszystkich naszych panujących aż do Bolesława Krzywoustego włącznie (str. 164—178)

Omawiając w rozdziale V, stosunki Polski ze Stolicą apostolską przy urządzeniu i ugruntowaniu organizacyi Kościoła w Polsce, opiera się autor na podstawie postanowień zjazdu gnieźnieńskiego w r. 1000, na którym cesarz zrzekł się swoich praw w obrębie interesów kościelnych na rzecz Bolesława Chrobrego. Od téj chwili musiała téż zachodzić między Polską a Rzymem pewna łączność; a od czasu Kazimierza I ile razy chodziło o przedsięwzięcie jakiegoś ważniejszego kroku, dotyczącego uzupełnienia lub organizacyi Kościoła, zawsze odnoszono się do Rzymu, uznając przez to jego naczelne wobec Kościoła polskiego stanowisko. Oprócz tego wymagała jeszcze druga sprawa niemniéj dla państwa polskiego ważna, podtrzymywania dobrych stosunków ze Stolicą apostolską, mianowicie sprawa korony królewskiéj. „Obydwa te względy były powodem, że Polska weszła w pewien, na podstawie istniejących źródeł bliżéj nie dający się określić stosunek zawisłości od Rzymu, a oznaką jego było świętopietrze, które Polska od czasów Bolesława Chrobrego opłacała“. Autor rozbiera téż kwestyą świętopietrza jak najwszechstronniéj we wszystkich jéj przemianach, (trybut, podatek, ofiara), przy pomocy ścisłéj krytyki naukowéj, czego tutaj dla braku miejsca referować nie możemy.

Prof. Abraham uznając wpływ Stolicy apostolskiéj na Polskę już w téj epoce, nie dochodzi jednak tak daleko na téj drodze (str. 185, 186), jak np. ks. Korytkowski, ks. Gromnicki i inni dziejopisowie historyi Kościoła polskiego, dostrzegając w wielu razach autonomicznych pokuszeń nietylko książąt, ale i duchowieństwa polskiego, którego metropolita wraz z sufraganami swymi ani na exkomunikę, ani na interdykt, ani na różne inne cenzury legata papiezkiego ks. Guido wcale nie zważał, co wreszcie musiało wywołać głośną ze strony papieża Eugeniusza naganę (str. 179—190).

W rozdziale VI rozbiera autor kwestyą „Stanowiska Kościoła w państwie“, gdzie dla wszechstronnego wyjaśnienia przedmiotu mówi: 1) „O osobowości prawnéj Kościoła i zdolności do działań prawnych“; 2) „O obsadzaniu urzędów kościelnych“; 3) „Forum dla duchownych“; 4) „Immunitety“; 5) „Jus regalium“ (str. 191 — 230). Na podstawie przywilejów, udzielonych Bolesławowi Chrobremu przez Ottona i papieża Sylwestra, służyło panującemu w Polsce prawo urządzania stosunków kościelnych, tudzież najwyższa nad Kościołem opieka. Tylko za inicyatywą książęcą można było myśléć o udoskonaleniu i o uzupełnieniu organizacyi kościelnéj. Do panującego należał obowiązek ochraniania Kościoła i zastępowania go wobec prawa. W obszernym wykładzie praw ogólnych i zdolności do działań pra-

wnych Kościoła w Polsce w téj epoce na polu stosunków majątkowych (uposażenie Kościoła dobrami ruchomemi i nieruchomemi, swobodne niemi rozporządzanie, pojęcie prawne własności kościelnéj), przychodzi autor do wniosku, że w wieku XI, kiedy majątek dyecezyalny stanowił jednę całość, uznawano osobowość prawną tylko biskupów, kiedy zaś ku końcowi wieku XI i kapituły uzyskały majątek odrębny, przyznano i onym takie same prawa; odmienne natomiast stanowisko zajmowały inne instytucye kościelne, jak klasztory, kaplice, oratorya i kościoły przez osoby prywatne fundowane, któremi mogli rozporządzać książęta panujący i fundatorowie (195—214).

Prawo swoje co do obsadzania urzędów kościelnych wywodzili panujący w téj epoce książęta polscy z tytułu przywilejów, przyznanych Chrobremu przez papieża i cesarza na zjeździe w Gnieźnie. Wskutek tego zarówno Chrobry jak i jego następcy obsadzali biskupstwa polskie wedle swego uznania, przedstawiając kandydata do wyświęcenia metropolicie lub posyłając go do Rzymu (str. 215). Owo udawanie się biskupów polskich do Rzymu *po sacrę*, chociaż nie świadczyło o tém, jakoby się monarcha polski miał zrzekać inwestytury, musiało jednak konsekwentnie doprowadzić do uznania téj zasady, że urzędy kościelne tylko władza kościelna ma prawo nadawać. Idea ta, w któréj obronie duchowieństwo polskie walczyć nie przestawało, odniosła też w Polsce zwycięstwo ku końcowi wieku XII; przed wiekiem XIII atoli ani o prawie wolnego wyboru kapituł, ani o obsadzaniu stolic biskupich polskich wprost przez papieży, mowy być nie może (str. 216). Panujący obsadzał w téj epoce również opactwa i prebendy kapitulne, czy zaś i fundatorom świeckim podobne prawa wobec klasztorów i prebend przez nich fundowanych przysługiwały, tego ze źródeł dociec niepodobna.

Sądem właściwym dla Kościoła i duchowieństwa w sprawach nie należących ściśle do dyscypliny kościelnéj, lecz albo świeckich lub tych, które późniéj należały do kategoryi „causae spiritualibus annexae“ był, według autora, prawdopodobnie sąd świecki. Na podstawie kilku szczegółowych wypadków stara się autor przynajmniéj w przybliżeniu oznaczyć kompetencyą forum świeckiego wobec Kościoła (str. 220—223). Aż do połowy wieku XII nie posiadamy ani jednego przykładu uwolnienia dóbr kościelnych, tudzież poddanych Kościoła od obowiązków i ciężarów na rzecz państwa, dopiero ze śmiercią Bolesława Krzywoustego rozpoczęła się epoka imunitetów i chroniących Kościół przywilejów (str. 223—226).

Podobnie jak wśród stosunków lennych na Zachodzie, przysługiwało królowi prawo do dochodów z opróżnionych wyższych urzędów kościelnych zwłaszcza biskupstw. Prawo to (ius spolii) istniało nie-

wątpliwie w obszerniejszéj mierze (nie tylko ruchomości ale i dobra nieruchome) także i w Polsce, gdy Kazimierz Sprawiedliwy musiał go się wyraźnie zrzec na zjeździe łęczyckim w r. 1180 (str. 226—229).

Rząd kościoła w Polsce musiał się obracać w granicach i warunkach, które z jednéj strony stanowiło prawo powszechne kościelne, z drugiéj stanowisko kościoła wobec państwa. Metropolita gnieźnieński, posiadał wprawdzie prawo konfirmacyi i konsekracyi wybranych przez panującego księcia biskupów, ale w epoce, gdzie w Polsce prawo wolnego wyboru biskupów aż do końca wieku XII-go nie istniało, musiał konsekrować tego, którego sobie panujący życzył. O ile synody prowincyonalne lub dyecyzyalne się zbierały, o ile były swobodne w uchwaleniu statutów, nie wiemy, bo chociaż literatura w tym przedmiocie jest dosyć obfita, to brak śladu chociażby jednego synodu, samoistnie przez arcybiskupów gnieźnieńskich zwołanego, nie pozwala zrobić stanowczego wniosku co do wpływu, jakiby mogli wywierać dostojnicy duchowni na sprawy kościelne w owoczesnych zjazdach państwowych, gdzie jak np. na zjeździe łęczyckim (1108) także interesy duchowieństwa rozstrzygano. Nawet o synodach, przez legatów papieskich zwoływanych, nie możemy nic bliższego z téj epoki powiedzieć, chociaż wnosząc z postanowienia synodu legata Wallona, na którym, jak świadczy Gallus, dwóch biskupów z urzędu złożono, możnaby sądzić, że sprawy t. zw. dyscyplinarne zajmowały tu przed innemi uwagę zgromadzonych, ponieważ pod względem moralności, przedstawia się stan duchowieństwa polskiego w téj epoce w bardzo opłakanym stanie. Duchowieństwo mało oświecone, po większéj części żonate jeszcze w połowie w. XII-go, oddawało się bez skrupułu uciechom świeckim. Biskupi i kanonicy, a później i duchowni, nie troszcząc się o wyraźne przeciwne ustawy kościelne, pozostawali w stanie małżeńskim nawet po przyjęciu wyższych święceń. Przekazując zaś synom urzędy swoje, krzewili nepotyzm i podkopywali wszelką dyscyplinę. Nad moralném prowadzeniem się duchowieństwa i nad pilném pełnieniem jego obowiązków, powinni byli czuwać biskupi, a w ich zastępstwie archidyakoni, obowiązani do odbywania wizytacyi. Tymczasem kapelani książęcy i prywatni starali się wyemancypować z pod ich jurysdykcyi. Spory beneficyalne i przeprowadzenie zasad prawa małżeńskiego, utrudniały w téj epoce najbardziéj rządy kościoła w Polsce, bo jak wszędzie tak i u nas musiał kościół stoczyć walkę o przeprowadzenie zasad prawa małżeńskiego z praktyką dawniejszego prawa rodzimego. Prof. Abraham przytacza co do téj kwestyi świadectwo Thietmara, który przygania Bolesławowi Chrobremu, że nie bacząc na przepisy kościelne, porzucał żony i zawierał polowne związki małżeńskie, raz nawet w czasie „post septuagesimam

absque canonica auctoritate". Wreszcie późniejsi książęta baczyli już więcéj na przepisy kościoła, lecz całą massę ludności nie łatwo przychodziło skłonić do powolności w téj sprawie; jeszcze ku końcowi w. XII-go Getko, biskup krakowski, musiał wykląć kasztelana krakowskiego, który za życia pierwszéj żony, drugą sobie był pojmał. O sprawowaniu *dyscypliny pokutnéj*, powołuje nasz autor dwa przykłady z pierwszéj połowy wieku XII-go. Piotrowi Włostowiczowi, nakazali biskupi jako pokutę: dawanie jałmużny i budowanie kościołów, skąd też poszły tak liczne jego fundacye, a i Bolesław Krzywousty musiał się poddać surowéj pokucie za swoje okrutne postępowanie ze Zbigniewem (Gallus III. cap. 24). Czy przy wykonywaniu zapadłych wyroków co do dyscypliny pokutnéj, wspierało kościół brachium saeculare, tudzież czy prawo książęce karało pewne przestępstwa kościelne, tego autor powiedzieć nie może, chociaż znany okrutny przepis Chrobrego co do niezachowujących postu, świadczy dostatecznie o tém, że w chwili, gdy chodziło o utwierdzenie chrześciaństwa, władza książęca wspomagała energicznie przepisy kościelne. (Str. 230 — 237).

Co do pierwotnego źródła majątku kościelnego, przypuszcza prof. Abraham, że jak gdzie indziéj, było niém i w Polsce mienie kultu pogańskiego, o czém jednak nic bliższego powiedzieć nie można. W wykonywaniu ogólnego prawa majątkowego, kościół musiał się liczyć z prawnemi stosunkami w państwie, lecz co do zarządu majątku, rozstrzygało ustawodawstwo kościelne, które zwolna do początku wieku XIII-go, odniosło we wszystkich punktach zupełne zwycięztwo nad wszelkiemi pierwiastkowemi ograniczeniami. — Co do źródeł majątku kościelnego, to znachodzimy już w tym wieku, że oprócz ruchomości, przeznaczonych do użytku służby Bożéj, główną część majątku kościelnego stanowiły: 1) włości nieruchome, wraz z inwentarzem i ludnością poddańczą, roboczą, na danéj ziemi osadzoną; 2) daniny, t. zw. świadczenia téj ludności; 3) pewne prawa i dochody przez księcia i prywatnych kościołowi ustąpione; 4) dziesięciny, nakoniec 5) pewne opłaty. Do majątku nieruchomego należały także i kościoły. Obok darowizn i zapisów testamentowych, wzrastał majątek kościelny na podstawie zwykłych czynności prawnych, jak kupno i zamiana. Autor przytacza jako pierwszy przykład rozporządzenia ostatniéj woli na rzecz kościoła w zapisie Dzierzka, brata biskupa płockiego z r. 1190 dla klasztoru w Busku. Akt ten zasługuje i z tego względu na zaznaczenie, że brakuje w nim zezwolenia księcia, co było dotychczas koniecznym, prawnym warunkiem wszelkiéj alienacyi nieruchomości. Autor nasz, mając na względzie wyłącznie sprawę organizacyi kościoła w tym wieku, nie mógł wdawać się w szczegółowe opisy położenia téj

różnorodnéj ludności, która z zapisanym kościołowi majątkiem (jako osadnicy lub ministeriales), przechodziła pod zwierzchnictwo kościoła. Najobszerniéj rozbiera prof. Abraham sprawę *dziesięciny*, która była jedném z najobfitszych źródeł dochodu kościoła.—Za pierwotną formę dziesięciny w Polsce, uważa autor dziesięcinę pełną (decimatio plenaria), opłacaną nie tylko od przychodu z rolnictwa, ale od wszelkich niemal ważniejszych źródeł dochodu. Jeszcze w wieku XII-m nie wolno było zmieniać dziesięciny w naturze na opłatę pieniężną. Dziesięcinę ustanawiała w Polsce, podobnie jak wszędzie na Zachodzie, władza książęca, państwowa; nie był to jednak ciężar ogólny, równomiernie na wszystkich rozłożony, ale ciężar w poszczególnych nadaniach i przywilejach ściśle określony. Przedmiotem zaś nadań pierwotnych, były dziesięciny z osad już istniejących; późniéj wyrodziły się spory między kościołem a świeckimi o dziesięcinę z nowizn, t. j. osad świeżo dopiero wyrobionych i zagospodarowanych, gdzie panujący stawali po stronie świeckich. Wśród tych sporów powstała t. zw. dziesięcina wolna, swobodna, polegająca na tém, że szlachta ze swych włości, które sama pługiem swoim uprawiała, mogła opłacać dziesięcinę kościołowi dobrowolnie obranemu. Dziesięcina pobierana z różnych tytułów szczególnych, głównie z nadań i obowiązań prywatnych, mogła być przedmiotem różnych aktów prawnych, mianowicie można ją było zamienić na inne źródło dochodu, a nawet i w ręce świeckie odstąpić.

Obok dziesięciny istniała w Polsce, podobnie jak na Zachodzie, dziewięcina („nona"), którą również ustanawiał książę lub osoby prywatne. Stanowiła ona w Polsce głównie uposażenie klasztorów lub kollegiat, bo książęta przy fundacyach tych instytutów nie mogli rozporządzać dziesięciną, którą pobierał biskup, dla tego nadawali dziewięcinę.

Do źródeł dochodów kościoła w téj epoce, należały jeszcze okolicznościowe opłaty księdzu za spełnianie pewnych funkcyi pozakościelnych, jak za assystencyą przy sądach bożych, przysiężne, za odbieranie przysięgi w sądach i t. p. [1]). — O rozdziale i zarządzie majątku, mówił już autor w ustępie, gdzie była mowa o kapitułach, o dokonanym rozdziale majątku kościelnego między biskupem a kapitułą i o wyosobnieniu odrębnych mniejszych beneficyów; autor przyjmuje, że już w czasach Krzywoustego istniało w Polsce bardzo wiele

[1]) Wspomniane przez prof. Abrahama „meszne", jest tylko prowincyonalną nazwą na oznaczenie dziesięciny, dla tego też nie znajduje się w źródłach wieku XI i XII-go

beneficyów, posiadających odrębne i samoistne dotacye, tak że początki rozwoju beneficyów w Polsce, sięgałyby wieku XI-go. Alienacya mienia kościelnego wymagała oprócz zezwolenia księcia lub fundatorów, także i zgody kapituły katedralnéj, gdy chodziło o dobra biskupie, a kapituły zakonnéj, gdy sprawa dotyczyła dóbr klasztornych. (Str. 250 — 252).

W ostatnim IX rozdziale mówi autor „O źródłach prawa kościelnego w Polsce“ (str. 252 — 259). Ustęp ten wolelibyśmy czytać przed rozdziałem III-cim (str. 112), bo chociaż o działalności partykularnego ustawodawstwa kościelnego u nas po koniec wieku XII-go nader skąpe posiadamy wiadomości, to nie brak jednak obok przepisów powszechnego prawa kościelnego, postanowień prawodawstwa państwowego, ustaw legatów papieskich, przepisów missyonarskich (jak np. powołana przez autora ustawa Ottona bamberskiego dla *Pomorza*), postanowień synodalnych, które odpowiednio rozklasyfikowane, tworzyłyby nić łączącą owe rozliczne disjecta membra. Autor dobrze ocenia ważność poznania źródeł powszechnego prawa kościelnego, z których u nas czerpano wiadomości dla zrozumienia rozwoju partykularnego prawa kościelnego w Polsce, bo tylko na téj podstawie można było jak najwyraźniéj uwydatnić charakterystyczne, indywidualne momenta kościoła polskiego; dla tego żałujemy, że wiadomości te sz. autor rozproszył po różnych miejscach swéj książki, co bynajmniéj przejrzystości wykładu nie powiększyło, ale nawet przez okolicznościowe dygressye ogólny obraz niekiedy przyćmiło.

Najdawniejsze katalogi (r. 1110) najstarszych naszych bibliotek, wymieniają trzy dzieła treści prawniczéj, któremi się zapewne u nas posługiwano: „Leges Longobardorum“, „Leges Longobardici“ i „Capitulare“, które autor szczegółowo ocenia, zwracając nadto uwagę na obszerniejszy zbiór prawa kościelnego, pod tytułem: „Collectio trium partium“, znany czytelnikom „Bibl. Warszaw.“ z rozprawy R. Hubego, drukowanéj w Bibl. Warsz. w r. 1885 pod tytułem: „Dwa rępisy średniowiecznego zbioru prawa kościelnego w Polsce“. Zbiór ten został do Polski przeniesiony może równocześnie z utworzeniem kapituły krakowskiéj za biskupa Arona, lub podczas powtórnego zorganizowania jéj za czasów Władysława Hermana. Innych zbiorów powszechnego prawa kościelnego w Polsce przed połową wieku XII-go ułożonych, nie znamy.

Z powyższego dosyć szczegółowego przeglądu osnowy książki w nagłówku wymienionéj, możemy z przyjemnością zrobić wniosek, że autor téj pięknéj pracy wywiązał się w sposób zadawalniający z podjętego zadania: napisał bardzo pożądany *wstęp* do badań nad dziejami prawa kościelnego w Polsce, które z podobnego punktu widzenia tylko

ks. Jan Jabczyński kreślić rozpoczął, zamykając się w granicach wieku XI-go do XV-go. Ks. Jabczyński patrzy też na organizacyą kościoła przeważnie w chwili, gdy on się już wyemancypował z pod przewagi książęcéj, z pod przewagi państwa, poświęcając epoce, która jest przedmiotem pracy prof. Abrahama, zaledwo pobieżne, ogólne uwagi o zawiązku kościoła polskiego. Gdy jednak rozwojowi prawa kościelnego w Polsce nie można odmówić pewnéj ciągłości, przeto praca prof. Abrahama, stanowić może nader pożądany wstęp do studyum ks. Jabczyńskiego. W interesie jak najszerszego użytku gruntownéj pracy naszego autora, pragnęlibyśmy atoli nieco systematyczniejszéj dyspozycyi materyału, a przy wykładzie unikalibyśmy stawiania sobie pytań, na które wobec braku wiarogodnych źródeł, nie można dać odpowiedzi choćby częściowo zadawalniającéj, ale zbyt często trzeba się uciekać do analogii stosunków innych krajów, co prowadzi do zboczeń nie tylko na pole prawa powszechnego, ale i obcego prawa partykularnego. W każdym razie pozostanie praca prof. Abrahama nadzwyczaj pożądanym nabytkiem nie tylko dla pisarzów historyi kościoła u nas, ale i dla badaczów początkowych dziejów państwa i społeczeństwa polskiego. Nie mniejszą zaletę książki p. Abrahama widzimy i w tém, że z małemi wyjątkami (— jak — tak, — adject. przed substant. — accusat. przy negacyi i t. p.), styl jest płynny i poprawny, a język czysty, wysłowienie proste i naturalne.

Oby po tak szczęśliwym wstępie nie kazał nam szan. autor zbyt długo czekać na wyczerpujący obraz rozwoju dalszych dziejów kościoła polskiego.

J. K. Plebański.

Hrabia August. Notatki i wrażenia, wydał **Aleksander Mańkowski**. Warszawa, 1890 r.

Mańkowski stanowczo oświadcza się za psychologiją w belletrystyce: a jego psychologia osobista lubi przechodzić w społeczną (Dziwak, Pan Wojciech), która znowu sprawia to, że jego kompozycye bądź co bądź, mają tendencyjności znamię, którego on, naprzykład w „Dziwaku“, nie stara się zgoła ukrywać. Kompozycye te nie olśniły dotąd ogółu, lecz zwróciły na się przychylną uwagę krytyki, która widzi w nich to, czego ogół jeszcze nie dostrzega, lub z czém nie sympatyzuje. Krytykę zjednywa jakaś odrębność pomysłów, niezależność od utartych szlaków, indywidualnością nacechowana spostrze-

gawczość, w której wzgląd na szczegół kojarzy się z szerokim poglądem na całość społeczną; podoba się przytem śmiałość rzutów, szczerość objawów i niejaka brutalność w stawianiu kwestyi. Ci, co nawykli do pewnych form społecznie protegowanych w sztuce, widzą w Mańkowskim przybysza nieobytego z obyczajem kraju do którego wkracza; ni to akademik, ni naturalistyk, jakiś pośrodkowiec, którego sposobu pisania do żadnego ze stylów znanych porównać niemożna. Jest w tem pewna słuszność. Bez względu na tę lub ową formę pomysłowości,— zdaniem mojem, — ów autor samodzielny i w zmysł obserwacyjny dobrze uposażony, do artystycznego porządku z uzewnętrznieniem swych pomysłów dotąd jeszcze nie przyszedł, i nie ma téj pewności oka w przestrzeganiu względów symetryi, jaką przy rozwijaniu charakterów okazują belletrystyczni psychologowie francuzcy.

Nie przeszkadza mu to znać duszy ludzkiéj i z pewnych danych charakteru wyprowadzać indukcyj usprawiedliwionych, jak to właśnie uczynił w powieści obecnéj: jego „Hrabia August“, to jeden z typowych salonowców, schwytany na obiektywę apparatu spostrzegawczego w tem, co ich najbardziéj odznacza,—w samolubstwie. Młody, bogaty próżniak, nie zstępuje on do tych nizin zepsucia, na dnie których spoczywa hańba i zniszczenie, jak czynią niektórzy z nich. Przeciwnie;—od dzieciństwa, dzięki kierunkowi, następnie z własnego natchnienia, usiłuje zachować nietylko godność, ale nawet splendor osobisty. Kształci się więc, bogaci umysł, majątku używa oględnie; a że przytem nie brak mu i przymiotów powierzchownych, posiada wszystko to co człowiekowi jego klasy zapewnia siłę, zdolność do działania na donioślejszą stopę, znaczenie jednostkowe i społeczne. Tymczasem nic z tego wszystkiego. Hrabia August jest tylko przyjemnym, zajmującym i dowcipnym pasorzytem wielkiego świata, bawidełkiem a niekiedy tyranem towarzyskim; w dodatku uosobioną spółczesną newrozą. Nie wie co robić z osobą swą i majątkiem, wstręt czuje do powiększania go; zabija czas ustawicznemi podróżami, wszędzie ściga go znudzenie człowieka, który przeżył się nie żyjąc.

Tajemnica tego dobrowolnego unicestwienia się leży w źródle wewnętrznem. Uległ on (str. 6) miłości spokoju, która się w nim od lat dziecinnych objawiała, może, jak przypuszcza, skutkiem reakcyi po ojcu niezmiernie ruchliwym i czynnym. Opiekująca się nim za lat dziecinnych, po śmierci ojca, rodzina, chciała go wykierować na dyplomatę, czyli, jak to sam określa, na „ekscellencyę“, lecz on, dla tejże miłości spokoju, wolał zostać człowiekiem „niezależnym“, czyli, w ścisłem znaczeniu, próżniakiem: i dlatego też, na wydział prawny zapisany, prawa nie słuchał wcale, uczęszczając na wykłady historyi, literatury i sztuki, na opery i koncerty, no, i szukał pięknych krajobrazów natural-

nych. Jest to zatem młodzieniec ze skłonnościami artystyczno-literackiemi, nie cierpiący żadnego przymusu, uciekający od wszelkiéj subiekcyi, którego jednak ruchami umysłowémi kierują bodźce szlachetne, skoro raczy się fatygować dla humanizmu, dla poezyi, dla piękna w naturze i sztuce. Tak, hrabia August, to organizm artystyczny, z jego nerwowym wdziękiem, kapryśnością i egoizmem.

Z tego pobytu uniwersyteckiego za granicą wyniósł on, między innemi, pamięć zdarzenia, które go naprzód zdeterminowało najwyraźniej a następnie tak się potężnie na jego życiu odbiło, że odbicie to śmiele posłużyć mogło za temat do powieści. Zakochał się w młodéj panience, którą poprostu mianuje Zosią; kochał się bez zdawania sobie sprawy i bez pamięci na jutro, zdobywając coraz głębszą miłość szesnastoletniéj dziewczyny. Kochał się, bo dziewczyna była niewymownie piękną, i niewymownie miłą i było mu z tem dobrze dziś; cóż miał dbać o jutro? Ani razu nie pomyślał, aby z nią się ożenić: nie dlatego, iżby to nie było partyą dość odpowiednią dla „jaśnie wielmożnego“, przeciwnie, hrabia August ma nawet usposobienie wcale demokratyczne, ale, mówiąc jego słowami (str: 11), — „nie mógł na samym wstępie do życia zawiązywać go sobie nazawsze, i dobrowolnie wyzuwać się z jedynego bogactwa, jakie nam ono daje,—ze swobody“. Bawić się miłością, a srogim kosztem drugiego serca, — na to mu obowiązki swéj drogiéj osoby własnéj pozwalały; ale zapłacić za te zabawki ożenieniem, to szaleństwo nie do wybaczenia. — „Jedna krótka przysięga w kościele, a potem żal na całe życie; żal, który śmierć tylko sama ukoić może:“ tłomaczy sobie ten dbały o siebie człowiek (str. 108). Ah, nikczemnikul—zawoła ktoś przy tym ustępie mimowolnie. Ale po co się srożyć: takimi nikczemnikami zapełniony świat, a nieraz wyglądają oni tak uprzejmie i delikatnie, mają takie wzięcie i taki miły dowcip salonowy, że ludzie lgną do nich jak muchy do miodu i słodycz ich sławią. Naigrawszy się z sercem, kiedy igraszka zaczęła przybierać poważniejszy charakter i zaglądać w *jutro*, hrabia August, bez względu na wyciągające lię do niego błagalne ręce, odepchnął je z rezygnacyą chirurga, który bolesną operacyę uważa za nieuniknioną.—„Serce mi się na tę myśl krajało—powiada (str. 13)—ale rozumiałem, że inaczéj postąpić *nie mogę*. Dalsze bałamucenie jéj byłoby okrucieństwem. *Zanadto ją kochałem*, aby dla własnéj przyjemności gotować dla niéj łzy i cierpienia“. Trudno lepiéj scharakteryzować sofistycznego samoluba. On uważa, że „dalsze bałamucenie“ byłoby okrucieństwem; zatem poprzednie okrucieństwem nie było: stało się nim dopiero od czasu, gdy należało się deklarować, albo zabawki zaniechać. On ją „zanadto kochał“ i „serce mu się krajało....“, a jednak złamał to życie... ażeby,

broń Boże ,jego życiu, jego swobodzie, nie zawadzało, sam tę wywoławszy zawadę. Ale cóż może wejść w porównanie z wartością życia samoluba, z jego wygodami? Niechaj się nietylko jedno serce, niechaj się cały świat załamie; on się nawet nie schyli, jeżeli mu to w tej chwili ma zamącić spokój, by ruinę powstrzymać. Jacyż by to byli niedyskretni gburowie ci bliźni, gdyby śmieli uczynić zamach na spokój jego majestatu! Kiedy właśnie chodziło o ten spokój, hrabia August zaprzestał wspaniałomyślnie „dalszego“ bałamuctwa, i tak względem Zosi jak względem sumienia uważał się za zupełnie zlikwidowanego. Wszystko co się stało, według niego, „stało się dobrze“.

Jeżeli tak lekko załatwia on rachunki z osobą, którą „kochał zanadto“, snadno wyobrazić sobie stosunek jego do tych, których nie kocha wcale. Przyjmuje od nich wszelkie możliwe ofiary, o ile takiemu panu na coś przydać się mogą, ale je przyjmuje po królewsku, jako hołd należny swemu egoizmowi, żadnego długu względem nich nie zaciągając, do żadnéj nie poczuwając się wdzięczności; przeciwnie, wypatruje wszystkie skazy na ich obliczu, wszystkie śmieszności na tle towarzyskiem, i naigrywa się nad niemi. Nie przebacza nawet kuzynce, współwychowance z lat dziecinnych, Maryni, któréj kobiecą czułość dla siebie wybornie (od s. 50) określa, i która dotąd wiernie mu dochowuje przyjaźni, pomimo, iż on wstydziłby się z nią dziś pokazać na ulicy, lub w teatrze, bo chodzi i ubiera się nie według szyku. Wszyscy wreszcie jego krewni bliżsi i dalsi, wszyscy znajomi, którzy mu serce i dom otwierają, od których pycha jego stroni, po to tylko, zdaje się, są stworzeni, ażeby on miał przedmiot do wykpiwania; a pokazuje się w rezultacie, że oni ze wszystkiemi swemi śmiesznościami więcéj byli warci od niego, chociaż on za wielką uważa sobie ofiarę, gdy raczy się zmusić do obcowania z niémi.

Starożytni wierzyli w Nemezę, istotę pomstującą za krzywdy ludzkie; nowożytni wierzą w sprawiedliwość Boską. I ci nawet, którzy nie wierzą, przypuszczają wszakże związek przyczynowy faktów, z którego wypływająca etyka wymaga za złe, zadośćuczynienia. Z którąbądź z tych podstaw łączy się autor, jest on tego samego zdania; i my go w tém, całém naszém przekonaniem popieramy. Gdyby każdy występny sofista prowadził tak ściśle dziennik swoich spraw, jak hrabia August, gdybyśmy mogli zajrzéć w jego serce, w jego dzieje, w przyczyny i skutki, tak jak nam to po Mussecie (Conf. d'un enfant du siècle) ułatwia względem swego bohatera autor niniejszéj powieści, możebyśmy się przekonali, że żaden zły czyn nie uchodzi bezkarnie, choć forma zadośćuczynienia spóźnia się, lub nie zawsze odpowiada formie uczynku. Czyli, jak to jeden z najgłębszych psychologów wypowiada, Eschylos:

„Lecz sprawiedliwość,—różnie się zdarza,—
Jednego wcześnie chwyta zbrodniarza,
Karę wymierza mu w pełni słońca;
Zwleka przy drugim mściwa jéj moc,
Lecz o dnia zmierzchu w proch go roztrąca;
Innych bezsilna okrywa noc."
(*Choeforoi.*—Parodos. ant. 2).

W rozterce życia, przy codziennych zajęciach, może i sam sprawca złego w jakiemś wydarzeniu dotkliwém, nie dopatrywać związku przyczynowego między niém a czynem własnym, może go nawet nie poszukiwać, gdyby jednak prowadził taką buchalteryę sumienia, jaką prowadzi hrabia August, popracowawszy, doszedłby do cyfry, która tak potężnie odbiła się na jego passywach.

Opuszczona Zosia wychodzi za mąż. Uzupełniając według dalszych faktów lukę pozostawioną w dzienniku Augusta, śmiele możemy dodać, że wychodzi za mąż ze zwyczaju, bez miłości, unosząc w sercu do ołtarza obraz tego, który miłość jéj zabrał. Odtąd staje się ona jego utrapieniem. Po kilku latach notuje on co kilka dni w swym dzienniku: „Zosia przyjeżdża do Warszawy... Zosia co rok piękniejsza i świeższa... Śliczna..." Czy będzie miał czoło pokazać jéj się na oczy? Czemuż nie? Wszak on przed nią nie zawinił niczem: przeciwnie, jego ucieczka „była dowodem największéj czci i miłości, jaką dać można kobiecie:" nie mogąc się z nią ożenić, uciekł, „aby jéj spokój przywrócić." Tembardziéj, skoro dzisiaj ma męża i żyje z nim szczęśliwie, nie ma prawa go potępiać: owszem, powinna mu być wdzięczną (str. 25). Ale ten opuszczający, a dziś opuszczony kochanek, który sam nie wie co ze swą swobodą na świecie robić, ma nawet pewną urazę do Zosi o brak stałości w uczuciach. Czemuż to on widzi ją tak swobodną, kiedy jemu przecież zawadza jeszcze jakoś w pamięci ta kartka młodości, zwłaszcza scena rozstania. (Kto inny pomyślałby, że to wyrzut sumienia). Zosia, być może, kochała go mocniéj i gwałtowniéj, ale jego miłość dłuższą jest i trwalszą. Jakiego gatunku jest ta miłość, dojść byśmy nie mogli, gdyby nie boleść, jakiéj ten opuszczony doznaje ztąd, że kto inny zajął miejsce w sercu Zosi, że ona wszystkie uczucia, zachwyty i uznania oddała innemu. To prawda! Ona powinna umrzeć z tęsknoty za nim, albo zamknąć się w klasztorze, albo jaką inną katastrofą wywdzięczyć się za jego miłość „dłuższą i trwalszą:" wtedy zaledwie spełniłaby swą względem niego powinność. Czytając te refleksye, taką sprawiedliwość oddającego sobie, samoluba i pyszałka, podejrzewamy, ażali autor którego z nich podstępem nie wyspowiadał.

Więc ta miłość hrabiego Augusta, którą się tak przechwala,

weszła w nowy okres, i ten jéj teraźniejszy gatunek zaczynamy rozumieć, na kartach bowiem jego dziennika rozwija się ona stopniowo. Człowiek szczerzéj i uczciwiéj kontrolujący siebie, przytem z wolą i postanowieniem, czując, jak on, że mu pamięć tego ustępu życia „zawadza," uniknąłby odrazu jéj rozdmuchiwania: hrabia August działa przeciwnie. Nasamprzód, wiedzie go ot, taka prosta, niewinna, ciekawość dowiedzenia się, co Zosia myśli o nim, i czy istotnie zatarłszy wrażenie pierwszéj miłości, naprawdę pokochała męża. Rezultat poszukiwań wydał mu się dla jego próżności pochlebnym, a spostrzeżenie to wskazało mu Zosię jako pewien rodzaj własności swojéj. I tu dopiero wybucha w nim coś nakształt walki wewnętrznéj. Przy pozorach niepodległości, słaby w gruncie człowieczyna, zawsze jednak dbały o swoje *dzisiaj* choćby kosztem całych wieków przyszłości bliźnich, dogadzając obecnemu podbudzeniu, folguje mu coraz więcéj, i to w miarę, jak badanie usposobienia Zosi coraz więcéj na jego korzyść wypada. Rozumiejący istotę dobra i zła, ale trawiony żądzą, wmawia w siebie miłość wznowioną. Daleki od pospolitego zepsucia salonowych opryszków, rzeczywistą czcią przejęty dla swego ideału, na widok niewinności cofa się. „Niech żyje święta i czysta! Ja jéj nawet myślą nie skalam..." wykrzykuje jedną stroną gardła. Drugą przecież dodaje:—„A jednak... gdybym wiedział, że mnie kocha tak jak ja ją kocham..." rozumie się, pożądaniem. Teraz mu dopiero żal, że nie jest wolną, że nie może wobec całego świata wyznać jéj miłości i wygłasza ten charakterystyczny ustęp (str. 126). — „Jaki ja byłem głupi wówczas, kiedym uciekł od kochającéj mnie Zosi. Jaki ja byłem nikczemny, żem mógł dobrowolnie zranić w ten sposób jéj biedne serce. Swoboda! Swoboda! Jakież to czcze słowo! Co to jest swoboda, bez Zosi? Na co mi ta swoboda, gdy ona nie może być moją? Byłem idyotą!" Tak, był wtedy idyotą, a teraz jest podłym. Korzysta z odkrytéj tajemnicy, że „Zosia go kocha," przyczepia się do niéj jak dzika bestya do zdobyczy, zaklina się przed sobą samym, że „nic jéj złego nie zrobi",—i w cztery dni po tém zaklęciu, zmagnetyzowanéj jego westchnieniami, odbiera całą cześć i świętość niewieścią.

Tyleśmy się nałykali tego rodzaju specyałów z najświeższéj warzelni francuzkiéj, że moglibyśmy się zapytać, dlaczego w ślad za tem, idzie autor polski, i jaką może wywołać sensacyę w wyobraźniach przedrażnionych? Zapytanie w téj formie postawione, byłoby niesłusznem. Tu nie chodzi o sensacyę, tu niéma lubowania się w roztaczaniu widoków zmysłowych; ale jeżelić występek istnieje, autor odkrywa źródło istnienia, zalegające w kryjówkach pewnych usposobień ludzkich. Jeżeli hrabia August w pierwszym okresie swych za-

biegów miłosnych zgrzeszył samolubstwem, tłómaczyła go jeszcze poniekąd młodość niedoświadczona. W drugim okresie nietylko grzeszy on samolubstwem, ale i słabością natury, chwiejnością, która sprawia, że postępowanie jego jest nieszczere, w teoryi poprawne, w zastosowaniu wykrętne. Sto razy wmawia w siebie jak postąpić powinien, i ani razu nie zdobywa się na siłę wykonania. Kiedy przedtem chodziło mu o siebie samego, potrafił *uciec;* teraz, kiedy mu chodziło o Zosię i kiedy ucieczka była jedynym środkiem zbawczym, nawet nie pomyślał o niéj, ale cały się oddał na dyskrecyę żądzy i przypadku. Byłby zapewne rad, mamy podstawę do przypuszczenia tego, gdyby ten przypadek naraz go odciągnął, wytrzeźwił; ale samodzielnie położenia takiego wytworzyć snadź nie był zdolen, do wysokości takiéj nie dorosł. Zmalał, skarlał przez brak zasobów niewyczerpanych z gnuśnego życia i zbrodnia wzięła go jak swego. Oto co w autorze polskim, naprzeciw autorów francuskich, przemaga nad jaskrawością szczegółów.

To maleństwo duszy człowieka, chodzącego dla innych w kostiumie dostojności, w strasznéj nędzocie swéj ukazuje się po fakcie. Fakt ten, po kilku dniach zobopólnego upojenia, ukazuje się obojgu z całą zgrozą. August ze świadomością odpowiedzialności własnéj krytykuje i siebie i swą wspólniczkę. Jakież to, między innemi, słuszne i rozumne są jego uwagi (str. 132, 133): – „Rozbiłem arcydzieło Boga, nadwerężyłem harmonijną całość, w któréj dusza zlewając się z ciałem, tworzyła jedno piękno. I smutno jakoś i brzydko i wstrętnie... Najokropniejsze jest to, że Zosia nie może już być tém, czem była dotychczas. Już niéma w niéj równowagi pomiędzy duszą a ciałem, niéma tej niebiańskiéj harmonii... Ciało jéj wypiękniało, a jednak, to już nie ta Zosia, którą kochałem temu dni kilka. Ona też widzi i czuje, że jest inną, że zmieniła się na swoją niekorzyść, na zawsze... Gotów jestem poświęcić jéj życie: ale uczucie moje będzie już inne. To już nie ta Zosia... Zosi, która była dla mnie świętością, nie umiałem uszanować: za karę dzisiaj, już czcić jéj nie umiem..." I patrząc na głuchą rozpacz téj niby ukochanéj kobiety, sprawca téj rozpaczy, niezadowolony z siebie i z niéj, powiada tylko: „Dzisiaj nic dla niéj uczynić nie mogę" Obrzydliwy i pogardy godny niedołęga, nie pojmuje nawet, że to powtórne opuszczenie ofiary jego samolubstwa, nikczemniejszém jest od pierwszego; że kto przedsiębierze czyn wielkiéj nieprawości, powinien być gotów i na wielkie środki, że ruina cudzego szczęścia i honoru tylko ruinami, na własną głowę zwalonemi zatrzeć może swą ohydę. Inny, prawdziwiéj kochający a energiczniéj, słowem mężczyzna, jużby teraz nie odstąpił ukochanéj, walczyłby o nią z mężem, z obyczajem, z opinią, dałby dowód, że nie jest pod-

stępnym złodziejem poświęcenia kobiecego, lecz jawnym zdobywcą. On, może tylko lamentować, filozofować na temat upadku kobiecego, tłumacząc nikczemność swą: „Gdyby była wolną, mógłbym jéj harmonię przywrócić“. A to uczyń ją wolną, tak jak uczyniłeś niewolnicą. Nie! on zrozpaczoną oddaje rozpaczy, splugawioną oddaje mężowi: nie chce robić sobie subiekcyi, zachodu, i decyduje ostatecznie: „Tak!... to koniec“.

Nie, to nie koniec. Nie takiego przynajmniéj końca domaga się autor. W skrupułach sumienia przypomina sobie hrabia August, że; „Ponad prawami natury są prawa Tego, który ją stworzył. Bez nich nie byłoby całości, harmonii, wykończenia... sama estetyka tego wymaga“. Swojemi słowami powtarza przekonanie pogan starożytnych, że obrażone prawo moralne dopóty nie usypia, aż sobie wymoże zadośćuczynienie. On też snadź prawu temu pozostawia troskę w tym procesie, zdając się na wyrok zaoczny, bo sam nie stawia czoła. Rzuciwszy zarzewie nieszczęścia w rodzinę, umywa ręce, i stara się po nużącéj przeprawie rozerwać. Zosia wyjechała do męża, on do Szwajcaryi, gdzie znajduje sposobność okazania bohaterstwa, które skwapliwie zapisuje w księdze swych zasług życiowych. Odpycha dwie potężne pokusy: romansową awanturnicę, która go rozpasaném narzucaniem się zraża, i dziewczynę wiejską, która w niewinność spowita, drży z miłości pod jego spojrzeniem, poczęści wywołaném przezeń umyślnie. Pokusę tę urządził on sobie jakby *ad hoc*, iżby miał sposobność dokonania „wielkiego czynu“ powściągliwości. I omal nie zawiodła go siła, którą przyzwał pierwszy raz w życiu. Według jego opisu, — a zważmy że dzieje się to w miesiąc po rozstaniu z Zosią, — w danéj chwili ma on przed sobą postać cudną, serce jéj bije dla niego, oddane mu całkowicie. Obejmuje ją, usta dotykają świeżych jéj ust. Ona tuli się do niego. czar opływa koło nich. A wtedy on się waha. Uczuł się nagle silnym — ucieka. Czyż to nie prawdziwy *coup de force?*

Tu musimy zwrócić uwagę autora, że jakkolwiek warunki meteorologiczne nic są bez pozytywnego wpływu na nastrój erotyczny, taki lub inny, nie można ich przecież nadużywać w literaturze. Katastrofę Zosi sprowadził upał letni, księżyc zalotny, echa morskich fal Wenecyi; ratunek Andzi sprowadza nagły powiew zimnego wiatru ze szwajcarskiego lodowca, deszcz, błysk i piorun. On to ostatecznie otrzeźwił wahającego się pana Augusta i dozwolił mu spełnić to, co nazywa wielkim czynem. Ale śmiejmy się z tego wielkiego czynu, tak jak śmieje się autor. Kiedy bowiem w pięć miesięcy potém, warszawski Herakles ten, gdy mu nerwy poszły w innym kierunku, gdy zwolniało tamujące przedsiębierczość przygnębienie, jakiemu bądź co bądź musiał uledz po przeprawie z Zosią, — już żałuje swéj powściągliwo-

ści i wymyśla sobie: — „O! jakiż ja byłem głupi! Zamiast jedną bogatą kartą wzbogacić księgę wspomnień, odtrąciłem kochającą dziewczynę“....

Ten żal za niespełnioną podłością jest też już ostatniém słowem sofisty. Odtąd, pod wpływem wprawdzie mało wyjaśnionych czynników, ale zapewne dzięki znużeniu życiem bezcelowém i pokrzepieniu sił opadłych przez gnusność, zaczyna wchodzić w siebie, zdrowiéj oceniać swą przeszłość i karcić siebie samego. Wymazuje z karty dobrego, swe rzekome bohaterstwo z Andzią, spełnione wypadkiem, uczuwa czynów dobrych wartość i radby spełniać ich jak najwięcéj, pobłażliwiéj spogląda na ludzi, ocenia ich dobre strony, podnosi tych których tylko ośmieszać umiał dowcipnie; widocznie, nerwy mu się uspokoiły. Słowem, wstępuje na drogę odrodzenia, uznaje wartość życia, garnie się doń. Jakiś uśmiech, niby promyk słońca wkrada się w mrok jego życia: ale uśmiech nie może być nagrodą wyciśniętych łez. W téj to właśnie chwili, o! Eschylosie, Sprawiedliwość

„Karę wymierza mu w pełni słońca“.

Przeszłość spada na niego całym ciężarem sofistyki życiowéj, zaniedbanych obowiązków, całą masą tuczonego dotąd egoizmu. Przez otwarty wyłom w twierdzy sumienia wstępuje Nemezys i staje przed nim w postaci męża ofiary. Uwiedziona znalazła więcéj siły od uwodziciela, i ażeby zrzucić z sumienia ciężar fałszu, hańbę wyjawiła mężowi. Dziwny to człowiek, ten mąż, którego hrabia August nazywa poprostu Anglikiem: powierzchowność zimna i niedbała, pod którą kryje się wola niezłomna i wysoka szlachetność. On to, w porze przez się wybranéj, przybywa dla załatwienia domowego rachunku, którego August uiścić zaniedbał. Pojedynek? To rzecz banalna, otwarcie mówiąc — głupia, sąd głuchego o wartości muzyki. Wreszcie, Anglik nie przychodzi się mścić, on przychodzi, jako mandataryusz Sprawiedliwości, przypomnieć Augustowi obowiązki, zawiadamiając go, że stał się ojcem dziecka jego żony, mającego wkrótce przyjść na świat, że zatém w chwili tak ważnéj, którą sam sprowadził, należy się od niego opieka matce i dziecku. Proponuje mu zatém przybycie na dzień i miejsce mające się w porze właściwéj oznaczyć, dla rozciągnięcia téj opieki podczas krytycznéj przeprawy. Wszak to rzecz tak słuszna pod wszelakim względem. Łatwo przewidzieć, a z opisu téj sceny przekonać się, że ile jest tortur na świecie, przez wszystkie przeszedł ten niedotknięty dotąd w swéj pysze, samolubstwie i gnusności epikurejczyk dziewiętnastego wieku. Struchlał, oczadział, roztopił się na maść, wobec nieugiętego wyrokodawcy, który, jak Fatum, uginał jego wolę. Pod jego słowami spadającemi nań ciężarem rozpalonych głazów, ostrzem sięgających do głębi serca, przyrzekł, zaprzysiągł

poddać się wyrokowi, czemprędzéj, by tylko jak najrychléj pozbyć się widoku téj grozy ucieleśnionéj. Przyrzekł, zemdlał, odchorował. Probuje wyłamać się z pod tego bezprawnego przymusu, uciec; niepodobna. Wpływ Sprawiedliwości działa z opodal, i jak hypnotyzm ściąga winowajcę do stóp trybunału. I program Anglika: — „Kto wcisnął się w prawa męża, ten powinien ponosić skutki swych czynności i nie ma prawa opuścić uwiedzionéj kobiety i od niéj uciekać w chwili kiedy największéj potrzebuje pomocy. Niech patrzy na jéj męczarnie, niech słucha jéj krzyku, niech wspiera ją w chwilach zwątpienia i rozpaczy, chociażby miał piekło przecierpieć“— program ten spełnić się musi, i spełnia niebawem.

Nie będziemy tu przytaczaniem szczegółów naruszać téj plastyki z jaką przedstawia się dosyć realistyczna scena porodu, wobec męża i kochanka. Naucza nas tylko ona, że mąż obejściem się z żoną, po wyjawieniu winy, musiał zastąpić w sercu jéj, kochanka, którego pierwszy widok, w przerwie męczarni, wyrzucił z jéj duszy rozdzierające: „To on! Nienawidzę ciebie, nienawidzę!“ Przeciwnie, męża poszukuje okiem, myślą, pragnieniem, tuli się do niego jak do zbawcy. Oczywiście, miała czas i sposobność porównać, odczuć. Skończyła się nareszcie całodzienna męczarnia trzech osób, z których nie najmniéj wytrzymał August, targany rozdrażnieniem fizycznem, sponiewierany moralnie, zepchnięty przez Anglika na ostatni szczebel upokorzenia. Usłyszał wyrok z ust Zosi, po nim mąż pokazał mu drzwi. „W milczeniu, — powiada,— wyszedłem jak fagas, którego wydalają za kradzież“.

Ale teraz nareszcie jest wolny, może nawiązać chwilowo przerwane życie, odbył pokutę, na którą go zawyrokowano. O! i niejeden na jego miejscu odetchnąłby niezawodnie całą ulgą wyswobodzenia, i pojechałby do Paryża resztę przykrych wrażeń wytrząsnąć. Ale hrabia August, jak uprzedziliśmy na początku, nie jest pospolitym szubrawcem salonowym, to tylko człowiek, dobrowolnie zapierający w sobie dostojeństwo ludzkie, które istnieje w nim jednak, nie dozwala mu tak bezpośrednio zapominać wrażeń moralnych i każe mu je w sobie przerabiać. Chory przytém fizycznie, zdenerwowany walką, którą kazano mu stoczyć, korzysta on z téj swobody jaką okupił zgnębieniem, lecz korzysta w sposób okropny. „Jestem wolny, — woła w rozdrażnieniu, — chcę żyć, muszę żyć, naprawić... ja chcę.... Niechaj mnie leczą, ratują.... pali mnie w głowie coraz silniéj, serce zamiera, albo bije gwałtownie.... płaczę całemi godzinami, albo znów wpadam w złość“. Hrabia August dostaje obłąkania. Przy rozstaniu się z Zosią w Wenecyi, upewniał siebie, że to koniec. Nie! to teraz

dopiero koniec tego, czemu dał początek, postarawszy się o jéj miłość, odrzucając jéj rękę.

Nie rozsądzając tego utworu, ale rozbierając go tylko w częściach głównych, możemy śmiele odkrycie w nim sensu moralnego i sąd, pozostawić czytelnikowi, wskazawszy do niego podstawy. Utwór ten całą swoją fakturą znacznie przerasta nowellę, do kształtów powieści nie dochodzi. Jestto budowa, ze względu na powieść, zupełnie chybiona. Mniejsza, że autor użył formy dziennika osobistego, i z takiéj formy (jak Dziennik Serafiny, Pamiętniki Panicza, Kraszewskiego), wyborna powieść wywinąć się może. Ale tu brakuje żywiołów powieściowych, dyalogu, scen, perspektyw, planów i tych wszystkich architektonicznych szczegółów, które powieść czynią organizmem. W każdem dziele sztuki, jedna jakaś postać, jeden szczegół, może przemagać, panować artystycznie nad innemi; ale tu w zetknięciu osoby głównéj z innemi, nikną wszelkie proporcye. Wchodzą w grę trzy osoby związane interesami moralnemi tak, że pod tym względem niewiadomo komu dać pierwszeństwo; w zakresie powieściowym trzy te osoby zatem wymagałyby mniéj więcéj równomiernego uwydatnienia za pomocą odpowiednio użytego kolorytu i perspektywy. Tymczasem Zosi zaledwie domyślać się możemy, stoi ona zmięszana w tłumie figur podrzędnych, nie więcéj wydatna jak jaka pani Zerciowa, lub księżna Hortensya, z któremi autor igra w kotka i myszkę. Robił to może umyślnie, i nie myślimy do niego rościć o to pretensyi; ale to pewna, że zmarnował materyał, unikając charakterystyki artystycznéj i wiele rzeczy psychologicznie ciekawych, jak naprzykład, zachowanie się Zosi z mężem po powrocie z Wenecyi i t. p., pozostawiając za kulisami. Wydatniéj nieco, przynajmniéj czynniéj wprowadził autor jéj męża, ale dopiero przy końcu. Gdyby nie to zjawienie się Anglika, utwor byłby zgoła niemal pozbawiony scen. Przybywa on na pole działania z niepospolitym zapasem dramatycznym; ale jakkolwiek hrabiemu Augustowi włosy odeń stają na głowie, musiemy się bliżéj temu zapasowi przyjrzeć. Anglik wyobraża tu Nemezę, za którą widocznie autor obstawał; i nie przeczymy, że wszystko *mogło* się odbyć tak, jak się odbyło: lecz odejmując na chwilę ten charakter Nemezy i ściągając rzecz na tło pozytywnych stosunków ludzkich, nie mamy ze strony autora danych, motywujących dostatecznie, iż tak się to wszystko, jak żądał Anglik, odbyć *musiało*, i przypuszczamy, że mogło odbyć się inaczéj. Rzecz to zbyt ryzykowna, szlachcicowi polskiemu, gentlemanowi, wychowanemu w zasadach honoru, kazać drżeć, truchleć, iść spłaszczonym jak pies za skinieniem równego sobie człowieka. I przed czém że to tak unicestwia się ów pyszny August, jakkolwiek czujący się występnym względem obrażonego męża?

Przed jego gęstą miną, przed trzciną, którą trzyma w ręku, przed czemś czego nazwać nie umie, przed jakimś wpływem nieokreślonym. Ależ August nie jest bynajmniéj tchórzem i niewieściuchem fizycznym, rwie się owszem do pojedynku, jak do zbawienia. Mimo to daje się moralnie wypoliczkować jak żak bez czci i odwagi, dla czegoś, czegośmy się z utworu nie dowiedzieli, i o czém Anglik również mógł nie wiedzieć. Gdyby więc stało się inaczéj, gdyby August, tak jak jest prawdopodobnem, mniéj poddając się nerwom, propozycyę odrzucił, w cóżby się obróciły plany wyzywającego, w coby się obróciła Nemezys? Czyżby sprawę zakończył burdą, skandalem, zbrodnią, lub odszedł z kwitkiem, by zstąpić *du sublime au ridicule?* Po przyznanym mu z góry charakterze, przypuścić tego nie można. Więc Anglik grał na pewne: ale zkąd ta pewność? Nie chcemy jego postąpienia z Augustem, uważać za prostą receptę dla mężów w podobnych jemu wypadkach; ale nie możemy utaić braku motywu, nadającego taką pewność siebie Anglikowi. Motyw ten spoczął znowu za kulisami powieściowemi, a mogło być nim tylko należyte ocenienie natury Augusta w jéj najsubtelniejszych odcieniach, rodzaj indukcyi po wskazówkach niezawodnych, że w takim a takim wypadku, w takich a takich warunkach, August się oprzeć nie zdoła, i potulnie przyjmie wymierzoną mu chłostę. Lecz, ażeby tak ocenić naturę człowieka, potrzeba go znać, być z nim w częstéj styczności; czego niéma tu zgoła: Anglik nie zna Augusta zupełnie, i przystępując z nim do gry na zakryte, zawdzięcza wygranę przypadkowi. Dlatego też wygląda on tu na *deus ex machina*, na figurę urobioną ad hoc, dla przeprowadzenia myśli autora, który w tym razie gra tu sam jeden w otwarte karty, i niedziw, że tak gładko do współki z Anglikiem wygrywa.

Otóż dlaczego powiedzieliśmy, że utwor ten, po przyłożeniu doń miary powieściowéj, byłby wadliwym. Mamy przed sobą wypadki odbywające się w różnych czasach, bez należytego uwzględnienia przestrzeni; osoby na téj przestrzeni wychodzą na chwilę i nikną, a jednak coś tam snują, z czém potém wychodzą, jakby nieznane. Mamy kilka tych osób prawie równorzędnego znaczenia, przy wielce różnorzędnem i szkodliwem dla całości oświetleniu. Mamy sceny, ale te, oprócz kilku mniéj wydatnych, spadają na nas jak gorąca lawina na samym końcu, i to niedość wymotywowane; w trzech czwartych zaś utworu poprzestajemy na samych prawie notatkach, które stanowią dla tego końca fundament; co, łamiąc prawa architektoniczne, wygląda tak jakby cały ten początek zgoła był niepotrzebny, a tylko gwoli tych dwóch scen jaskrawych, w charakterze komentarza dopisany. I istotnie, gdybyśmy go w streszczeniu zastąpili dwiema kartkami, osnowa czysto powieściowa niby na tem nie straciła: zostałoby coś nakształt no-

welli.—Niedarmo też autor nadał temu utworowi tytuł: notatki i wrażenia. Ale tytuły przestały dziś obowiązywać; uważamy na treści i zamiary rzeczy, nie na ich dowolne nazwy.

Jeżeli tedy utwor ten nie przedstawia artystycznéj skończoności jako powieść, gdzie tę wartość odnaleść można? Jestto studyum psychologiczne jednego człowieka, jednego charakteru. Rozbiera go autor subtelnie we wszystkich częściach składowych duszy. Intelligencya jego błyszczy na wszystkich kartach dziennika, i to właśnie w tych początkowych notatkach, które przez to, same w sobie posiadają odrębną wartość: dawiadujemy się z nich jego zapatrywań na świat, życie, jego obowiązki i cele, na sztukę i stosunki towarzyskie; a w zapatrywaniach tych prześwieca oryginalność, sceptycyzm i często gęsto dowcip w dobrym gatunku; zdarzy się nawet, stosownie do nastroju, i pewna podniosłość. Hrabia August, czy mówi to cośmy gotowi przyjąć, czy z czem się nie zgadzamy, paradoksy, lub nawet sofizmaty, zawsze w nim znać umysł niepospolity, ponętny. Uczucia jego i miarę woli poznaliśmy z rozbioru. Jest to zatém przedstawiony człowiek kompletny, jako roznerwowany epikurejczyk z podkładem idealistycznym a typem spółczesnym egoizmu i zwątpienia, z których wynikają wszystkie jego niekonsekwentności, występki i w ostatku klęska. Razić nas tu może jego barwa kosmopolityczna, gdzieindziéj nie uderzająca, u nas, przy jakim takim szlachetnym podkładzie duszy, prawie niepodobna. I gdyby też nie ta barwa, hrabia August nie mógłby narzekać sceptycznie na brak celu w życiu, przy majątku zwłaszcza. Ale i ta obojętność może być tak dobrze przyczyną, jak skutkiem newrozy. Jest to przytem charakter logicznie, w swych nawet zboczeniach od logiki, utrzymany do końca, jasny, przejrzysty, jeżeli nie dla każdego, to przynajmniéj dla baczniejszego i więcéj z manowcami psychologicznemi obytego czytelnika. Jego nawet końcowy upadek energii, przy naturalnéj wyniosłości, autor tłómaczy poniekąd dość długiem niedomaganiem fizycznem i rozstrojem nerwowym, co fizyologicznie da się usprawiedliwić. Studyum takie, jakkolwiek nie zastępuje powieści w całkowitem znaczeniu, stanowi, w każdym razie, nabytek literacki, tembardziéj, iż napisane jest żywo, barwnie i interesująco, niby bez tendencyi, a z tendencyą uczciwą. Powiedziałbym także, napisane bez błędów językowych, co dziś nie jest bezprzykładnem, gdyby nie kilkakrotne użycie wyrazu *znajdować*, na sposób francuzki (je trouve que. . .), zamiast szczeropolskiego *uważać*.

K. Kaszewski.

Adam Szymański. *Szkice.* Tom. II. Petersburg. 1890.

Kiedy się przerzuca karty „*Szkiców*“ pana Adama Szymańskiego, nieraz staje przed oczyma Dante: koniecznie się wydaje, że przed nami leżą nieznane jakieś ustępy z „*Boskiéj komedyi*“. Jest nawet na „*Szkicach*“ wyraźne piętno mistycyzmu, który im nadaje jakąś średniowieczną, do Dantejskiéj zbliżoną cechę: opowiadanie barwne i realistyczne przerywa się nieraz nagle modlitwą ekstatyczną, skargą gorzką i smutną, albo filozoficzną refleksyą.

Możnaby zgadywać, że ze wszystkich swoich dotychczasowych utworów, pan Szymański najwięcéj kocha, najwięcéj się przywiązał do opowiadania urwanego, niedokończonego (i prawdopodobnie nie mającego mieć końca), napisanego widocznie krwią serdeczną, — do „*Przewoźnika*“. Na tle nocy ciemnéj, wpośród wzburzonych fal Angary, „człowiek cierpiący, który, choć ułomny, do końca pozostał wierny przykazaniom“ opowiada tam o latach swego dzieciństwa i swojéj młodości i opisuje je z uczuciem i plastycznością szczegółów. Wydaje mu się jednak, że „dziś lud nasz w baśniach i opowieściach swoich nie staje już ze swemi sympatyami człowieczemi po stronie upośledzonych przez los, ale kłania się przed złotym cielcem pomyślności doczesnéj, oddaje hołd mędrcom bezdusznym, ... że dziś ręce czarne, spracowane nie znaczą już tam piersi siermięgą okrytych znakiem krzyża w modlitwie za nieszczęśliwych i każdy modli się tylko za pomyślność swoję, ... że dzieci małe nie płaczą już tam nad niedolą niczyją i jeżeli zapłaczą kiedy, to nad własną tylko ...“; dręczy go myśl, „że w życiu podłym być potrzeba“; zwraca się więc „do słońca zachodniego, urąga mu i przeklina je“, a „rozpacz od nocy czarniejsza zaćmiewa w jego duszy ostatnie promienie nadziei“.—Takim jest ten przewoźnik, nie typ portretowy zdejmowany z natury, jak inne

postaci z galeryi „*Szkiców*“, — ale przedstawiciel myśli głębszéj, idei poważniejszéj, postać wspaniała w swojéj grozie, drgająca życiem i targająca za serce; autor wyraźnie daje do zrozumienia, że „opowiada tę baśń na to, iżby pokolenia przyszłe uczyły się, jakby na przyszłość lepiéj można wytrwać, zyskać rozum i hart duszy, których my nie mamy, jakby nie ugiąć się pod brzmieniem, którego nieść my nie mały sił, — jakby wierzyć i ufać wtedy, kiedy my rozpaczamy małodusznie“. A nie zaśmiałém będzie, jak sądzimy, przypuszczenie, że podobnie jak dziecinne lata Konstantego Buskiego nie są wytworem poetycznéj imaginacyi, ale wierną kopją rzeczywistości, żywym obrazem osobistych wspomnień,—tak samo i poglądy na świat i życie jemu w usta włożone, wyrwane są gdzieś z pod serca istotnie bolejącego, z pod serca powieściopisarza—poety. Ale i przewoźnik i jego autor mają jednę podporę, któréj się trzymają rozpaczliwie, konwulsyjnie. „Życie łudzi nas cudnemi mirażami i bije nielitościwie głupców, wyciągających ku nim ręce, i jak szyderca bez serca i bez sumienia obsypuje szczodrobliwie swemi darami tych, co plwają na te miraże dalekie, co urągają tym gwiazdom przewodnim, depczą ideały nasze! Ale nie zgiąć mu méj wiary! nie złamać mu méj siły!... Wyciągam ręce do Boga mego, powtarzam mu modlitwę swoję: „Wierzę Ci, Boże, i wierzyć nigdy nie przestanę, że nie wygasł ogień święty w piersiach ludzkich, że siewcą prawdy być jeszcze można na ziemi“. Straszliwie smutnie brzmią takie słowa, wsunięte w ową całość przerażającą ogromem niedoli i boleści. Arab Słowackiego wobec trupów zadżumionych dzieci woła: — „O Ałłach! jesteś wielki!“ — Podobnym głosem zgnębionym, przybitym, zrozpaczonym powtarza uporczywie bohater pana Szymańskiego swoje: wierzę! i bezwątpienia to jest wiara, jakkolwiekbądź daleka od takiéj, jaką być powinna. Ona tu jednak idealizuje ów pessymizm, który dzisiaj tak zszarzał i spospolicial, nadaje mu podstawy głębsze i oryginalniejsze, — nie wspominając już o wartości etycznéj. Niedawno zwracano na tém samém miejscu [1]) uwagę na zgubność tego nowego niby, ale w gruncie rzeczy bardzo starego prądu, który w ostatnich czasach opanował wszechwładnie dziedzinę poezyi i odbiera ochotę do walki i pracy umysłom słabszym i wrażliwszym. Pessymizm „*Szkiców*“ takich złych wpływów nie wywrze; nie ma w nim cynicznéj ironii Heinego, ani brutalnego indyferentyzmu Zoli; ma swoje odrębne, indywidualne, a wyraźne piętno; jest przedewszystkiem serdeczny i głęboko uczuciowy; jest straszny, ale jest uzasadniony; w ostatecznéj konkluzyi zamiast wybuchnąć bluźnierstwem, zamienia się w modlitwę łagodną i po-

[1]) Bibl. Warsz. Maj. 1890. Str. 297—303, recenzya „*Lalki*“ Prusa.

korną; umacnia zatém, ale nie osłabia. Rozpacz bezdenna, bezgraniczna, jednak spokojna, zasklepiona, ujęta w system, wyfilozofowana, z pozoru zimna i wystygła, jednak nie beznadziejna:—oto odpowiedź, jaką dalibyśmy, gdyby nam kto kazał w kilku słowach ująć główny charakter pierwszego tomu „*Szkiców*“.

Mamy obecnie w ręku ich tom drugi, wypełniony przeważnie powieścią o losach dziewczyny skazanéj za zabójstwo własnego dziecka i pędzącéj opłakany żywot wygnańczy. Obok, jako dopełnienie umieszczony został obrazek niewielki zatytułowany „*Dwie modlitwy*“. Ten ostatni w swojéj myśli przewodniéj, gdyby o nią chodziło, nie jest zupełnie jasny. W pierwszéj części dziecku słuchającemu chorału śpiewanego w świątyni przez tłum żałobny, wydaje się, że wysokie sklepienia powstrzymują prośby ludzkie i że dlatego „Bóg milczy i nie grzmi głos do pioruna podobny, któryby głusząc modły błagalne, uciszył jęki bolesne i zamienił je w radosną pieśń Narodzenia, w tryumfujące „*Alleluja!*“ Wielkiéj Nocy“. Prosi więc ojca, żeby modlić się poszli po za kościół, do słońca, bo „tam usłyszy nas Bóg wielki!“ — W części drugiéj, podczas wigilii Bożego Narodzenia obchodzonéj uroczyście przez kółko wygnańców w chacie opuszczonéj przez ludzi, a służącéj niektórym z tych nędzarzy za schronisko i mieszkanie, — chłop Bartłomiéj przy odśpiewaniu „*Gwiazdy morza*“, tak się odzywa: „Oj! nie usłyszy Ociec litościwy takiéj modlitwy wielgiéj z téj jaskini zapowietrzonéj. Do Pana przestworzów niebieskich na przestworzu modlić się trzeba“... i wylatuje na mróz straszliwy śpiewać hymn: „Bóg się rodzi, moc truchleje“. — Z tych dwóch zakończeń nie trzeba naszém zdaniem wyciągać daleko idących wniosków, jak to ktoś zrobił; nie trzeba domyślać się, że pan Szymański pragnie propagować uprzedzenia jakiejśtam sekty religijnéj, potępiającéj modlitwy w zamkniętych budynkach; poprostu trzeba to brać za poezyę,—za nic więcéj—i przyznać, że są w „*Dwóch modlitwach*“ wielkie i pierwszorzędne piękności, zwłaszcza w opisie owéj wigilijnéj uczty spożywanéj przez ludzi-nieszczęśników, jakby sakrament. Ton rozpaczliwy a oryginalny, dziwne połączenie realizmu z mistycyzmem, jakie były w utworach dawniejszych, i tu działają na czytelnika w sposób nad wyraz przejmujący.

Hanusia ma niewątpliwie także niemało zalet: bohaterka opowiadania posiada rzeczywisty, istotny urok, jest to dziwna postać kobieca postawiona w jakiémś mistyczném półświetle, do maniactwa i szaleństwa oddana jednemu uczuciu: miłości macierzyńskiéj,—jednéj myśli: nadziei połączenia się po śmierci z zabitém przez siebie dzieckiem swojem. Obok niéj figura wspaniała: scartabellus Jacenty Siekierka, ongi gajowy, późniéj podoficer, dziś kuśnierz, który nauczył

się czytać, bo się dowiedział, że bohaterski czyn jego opisano w dziennikach, a nie mógł oprzéć się pragnieniu doznania rozkoszy, jaką mu sprawi nazwisko jego drukiem unieśmiertelnione. Za młodu kiedyś ktoś wbił mu w głowę: „że uroda kobieca od siły nieczystéj nie od Boga pochodzi“,—a teraz na wygnaniu żyje na wiarę z istotą o przeszłości brudnéj i zbrodniczéj, tłomacząc się przed sobą samym ciężkiém pomięszaniem zmysłów. Zanosiło się na cóś przepysznego; świetne pióro autora „*Przewoźnika*“, zdawało się, stworzy powieść niezwykłą, kiedy ma gotowe takie wyborne postaci, jakich pozazdrościliby z pewnością wszyscy powieściopisarze, ilu ich jest na świecie.

I tu pokazuje się jeden brak organiczny w naturze talentu pana Szymańskiego; umié malować i charakteryzować bez zarzutu, umié ludzi stwarzać i ożywiać, ale nie potrafi omotać około nich przędzy wydarzeń, nie stać go na wymyślenie najprostszéj chociażby bajki, którąby pozwalała charakterom rozwinąć się w szczegółach nie z opowiadań autora, ale wprost przed oczami czytelnika. Temperament jego zbyt jest nerwowy, imaginacya nazbyt niespokojna, żeby mógł cierpliwie komponować: jemu wylatują szkice z pod pióra nieobmyślone, rzucone tak, jak w ciągu pisania formowały się w głowie. Stąd też, był najzupełniejszym panem siebie, dopóki kreślił sylwetki takie, jak w tomie pierwszym. Przy pierwszéj kompozycyi większéj, jaką jest Hanusia, wpadł w mnóstwo niejasności i niekonsekwencyi psychologicznych i logicznych, które zatrzymują co krok i całe wrażenie najnieprzyjemniéj psują. Dzięki im nawet para bohaterów traci wdzięk swój i urok; rysy ich zacierają się i dopiero trzeba odgadywać, jakimi być mieli, i jakimi by byli, gdyby im dano pole do rozwinięcia się.

Pan Jacenty pragnie ożenić się z Hanusią, bo sumienie wyrzuca mu, że związek jego z tą dziewczyną, która opętała mu serce, jest nieuprawniony przed Bogiem. Hanusia przerażona jest jego postanowieniem; nie chce wierzyć, żeby wziął ją za żonę, nie wchodząc w szczegóły jéj zbrodniczéj przeszłości i tą niewiarą właśnie obudza w umyśle pana Jacentego podejrzenia i skrupuły.—„Chryste Panie!— woła — a toż ja tu może zbrodnię jaką ukrywam“. Rychło wczas! Czytelnik nie może dosyć nadziwić się panu Jacentemu. Jakto? Wiedział, że Hanusia skazana została do ciężkich robót, chyba nie za nic innego, jeno za zwyczajną zbrodnię, — znalazł ją w najbrudniejszéj jamie społecznéj, w domu publicznym, — i myślał jeszcze, że ma do czynienia z niewinnym aniołem? To być nie może. Nie mógł przypuszczać nawet takiego zbiegu łagodzących okoliczności, jaki był w istocie; nie mógł wiedzieć, że jedynie przez dziwną jakąś i niewytłomaczoną omyłkę sprawiedliwości Hanusia na Sybir dostała się najniewinniéj.

Po długich walkach wewnętrznych wypędza pan Jacenty biédną kochankę z domu bezlitośnie, bez względu na kilka lat wspólnego z nią pożycia. Za co? z jakiéj racyi? Znowu wytłomaczyć to sobie trudno.—Hanusia dostaje się do innéj służby i tam dopiero opowiada swoje dzieje proste, niewymyślne, — a opowiada je niezwykle wdzięcznie i pięknie. Żałuje się tylko niezmiernie, że losów późniejszych, po skazaniu, nie znamy bliżéj, że zbyte są zaledwie w kilku słowach, jakkolwiek przedstawiałyby dla pisarza téj miary, co pan Szymański materyał pierwszorzędnéj wartości; ale i to, co jest, może wystarczyć, żeby rozpoznać lwie pazury. Szkoda, że tego tak mało (na treść, bo na objętość może nawet znacznie zadużo), — szkoda, że nie wyrosło, co wyróść mogło: arcydzieło.

Na okładce drugiego tomu „Szkiców“ spotykamy zapowiedź pracy nie twórczéj, ale krytycznéj; szkoda na to pióra pana Szymańskiego. Jest obawa, żeby autor wrażliwy, jak każdy artysta, nie przejął się nazbyt silnie duchem utworów, które będzie rozbierał. Byłoby to i dla jego talentu zgubne (choćby dlatego, że ujemnie oddziałałoby na jego twórczą oryginalność) i dla nas ogromnie smutne.

J. K. Ehrenberg.

„*Karyerowicz*“ (Ciche tragedye) powieść **J. Rogosza.**

Roman Świerczykowski jest synem ekonoma i kucharzówny, któréj ojciec zwał się Krasicki. Urodziwy był od dzieciństwa i dla tej to wady dopuszczony został do towarzystwa synów księcia pana, dziedzica dóbr, gdzie stary Świerczykowski ekonomował. Oddano potém Romcia do szkół, doszedł wreszcie aż do uniwersytetu. Poznajemy go właśnie w czasie, kiedy, żyjąc na fartuszku jakiéjś nieuczciwéj grzesznicy, przygotowywał się do doktoratu. Daleko więcéj wszakże niż doktorat, zajmuje Romcia inna sprawa. W towarzystwie książąt przewróciło mu się w głowie, wskutek tego sądzi, że stworzony jest do zajęcia stanowiska wśród najwyższéj arystokracyi. „Szlachta mu nie wystarczała, on wzdychał do panów“—powiada autor. Było to niezawodnie bardzo śmieszne. Romcio legitymował się ze swoich pretensyj tém najprzód, że był ładny, powtóre tem, że rodzi go „Krasicka“, kucharzówna wprawdzie i nieszlachcianka, ale Krasicka; daléj tem, że miał wewnętrzne poczucie wyższości nad gmin chłopsko-mieszczańsko-szlachecki. Piękny tedy Romcio, gdy na spacerze w ogro-

dzie (!) poznał hrabiankę Anielę Szumińską, dziedziczkę wielkiego imienia i wielkiéj fortuny, dla karyery postanawia się z nią ożenić. Zamiarom jego sprzyja okoliczność, że Aniela odrazu go pokochała; przeszkadza wypadek, że nie bywa on wcale w domu opiekunki Anieli, wielkiéj arystokratki, która nie tylko nie zgodziłaby się dać mu wychowanki, ale nawet przyjmować go u siebie w charakterze gościa. Świerczykowski jednak, nie w ciemię bity, znajduje sposób. Bałamuci on pannę, po za domem, na spacerach publicznych, po kruchtach kościelnych i gdzie może, znajdując w tem wszelkie ułatwienia ze strony guwernantki Anieli, panny Goudron, słusznie tak zwanéj dla czarności swej duszy. Nareszcie, przy współudziale jeszcze jednego czarnego jak smoła charakteru, którym jest pokątny doradca Brzytwicki, udaje się Świerczykowskiemu dopiąć celu; zagrożona skandalem publicznym, złamana stałością Anieli, która koniecznie chce zostać panią Świerczykowską, opiekunka, hrabina Idalia, błogosławi nowożeńcom. Świerczykowski zostaje mężem hrabianki, wywodzącéj się „od hetmanów i wojewodów", oraz panem wielkiéj fortuny.

Cierpliwa Opatrzność zniosła jeszcze ten skandal, ale szykuje już na zbrodniarza rózgi. Przedewszystkiem odbiera mu szczęście do gry. Świerczykowski, zamiast porządnie gospodarować, zamiast piąć się coraz wyżej po zaszczyty, jak to czynią inni karyerowicze, gra w karty i przegrywa tak, że w pół roku po ślubie stracił już połowę majątku. Prócz tego, zamiast kochać małżonkę, istotę o anielskiém sercu, która jego kocha, — bałamuci żonę przyjaciela, także najszlachetniejszego z ludzi, „namiętną córę południa", Rumunkę. Przyjaciel, niejaki p. Żygliński, dowiaduje się o tym romansie i jest mu przykro. Rumunka atoli z tegoż powodu wpada we wściekłość i, mszcząc się na mężu za wykrycie swego stosunku z Romciem, truje własną córeczkę. Było to ulubione dziecko Żyglińskiego, więc ten chcąc się z niém corychléj połączyć na tamtym świecie, zabija się. Rumunka z drugą córeczką, jako młoda i bogata wdowa, wyjeżdża w świat, a Świerczykowski, zupełny już bankrut, opuszcza żonę, goni za kochanką i dopędza ją w Wiedniu, gdzie stają w jednym hotelu. Chciał on widocznie, nawiązując do dawniejszych swoich tradycyi, pójść znowu na fartuszek. Tu atoli wyczerpała się już cierpliwość Opatrzności. Przygotowywa ona pożar w Ringteatrze. Upiekło się przytem trochę Niemców, ale zginął także i Roman Świerczykowski Rumunka i jéj dziecię. Jaki zaś był to potwór ten Świerczykowski, dość powiedzieć, że w ostatniéj chwili jeszcze o mało nie ominął zastawionéj na siebie pułapki. Tknęły go jakieś przeczucia, żeby nie chodzić do teatru. I byłby nie poszedł. Tutaj jednak, jako narzędzie wyższych wyroków wystąpiła namiętna Rumunka, która zro-

biła mu awanturę, połamała meble, potłukła lustra i zmusiła do pójścia. Tym sposobem odwiecznéj sprawiedliwości stało się zadość.

Takim jest bohater w „Karyerowiczu“. Powieść ta ma oprócz głównego tytułu, drugi, uzupełniający: „Ciche tragedye“. Ten stosuje się do cierpień żony karyerowicza Anieli, znowu właśnie tak zwanéj dla anielskości swéj duszy; a także zapewne do strapień Żyglińskiego, hrabiny Idalii i córki łotra Brzytwickiego. Ale żeby wszystko w powieści miało swój własny tytuł, przydałby się tu jeszcze trzeci, mianowicie: „Anioły i Szatany“. Przedstawiałby on, że wszędzie tu olśniewająca białość serc stoi obok ponuréj czarności. Tego trzeciego tytułu jednak autor nie umieścił.

Powieść wogóle może mieć jeden z dwóch celów, które najlepiéj gdy się wzajemnie uzupełniają—estetyczny i etyczny. Istnieją niezawodnie utwory z zakrojem moralnym bez pretensyi do tytułu dzieł sztuki; a obok nich inne, dążące wyłącznie do wywołania wrażeń estetycznych. Atoli ów utwór wyraźnie niemoralny nie może być prawdziwie pięknym, ani niedołężnie wykonany nie jest wstanie nigdy osiągnąć należycie zadań moralnych, jakie sobie założył.

„Karyerowicz“ J. Rogosza posiada widoczną już w tytule tendencyę etyczną, oczywiście chwalebną, bo opartą na potępieniu egoistycznego pięcia się w górę, bez wyboru w środkach, bez względu na honor i zasady. Brak jej wszakże pięknego wykonania. Ztąd wynika, że i tendencya słabo do przekonania czytelnika przemawia. Jestto rysunek, zakreślony grubemi sztychami, bez subtelności, bez delikatnego wykończenia, bez pogłębienia tonów. Zamiast pokazać nam żywego człowieka, jak w danych warunkach społecznych i towarzyskich rozwija się, walczy i zwycięża lub przegrywa; zamiast do tego użyć jędrnego materyału, wziętego z obserwacyi stosunków, autor daje nam same szablony, któremi się posługuje z widocznem upodobaniem. Szablonowe i zużyte są wszystkie myśli, słowa i uczynki Swierczykowskiego, szablonowe postacie innych bohaterów i ich mowy i działania. Widoczne jest, że autor zgromadził pewien zasób morałów i starannie dzieli je, wkładając w usta tego lub owego figuranta. Ale te morały są znane. Teoretycznie wiemy oddawna, że nie należy piąć się do arystokracyi, gdy się jest plebejuszem; że źle jest grać w karty, zwłaszcza przegrywać, że źle jest zdradzać żonę, oszukiwać przyjaciela, mścić się na przeciwnikach. Przypomnienie ich gotowibyśmy znieść, gdyby miało w sobie cośkolwiek oryginalnego; gdyby ludzie, którzy się tych wykroczeń dopuszczają, pokazani nam byli jako realne postacie, poruszające się wpośród warunków realnych; gdyby słowem w całém tém towarzystwie czuć było tchnienie życia,—bo żywi ludzie budzą w nas współczucie i zajmują nas nawet wówczas, kiedy podo-

bnych do nich zkądinąd znamy. Gdy jednak tego brak, przypomnienie przestaje być usprawiedliwioném, i tutaj właśnie zachodzi taki wypadek. Doznajemy wrażenia, jakbyśmy stali przed obrazem przedstawiającym jakiś stary bardzo motyw, niemal biblijny, ale bez rysunku, bez kolorytu, bez powietrza, bez perspektywy, podsunięty nam przed oczy jedynie dla wzbudzenia w nas odrazy do grzechu jakieś przemienienie w słup soli żony Lota, potop, albo wygnanie z raju. Że żona Lota niepotrzebnie się w ucieczce oglądała, nauczono nas jeszcze w dzieciństwie; ale teraz chcemy obrazu namalowanego według skali pojęć estetycznych, jaką wyrobiliśmy sobie patrząc na dobre utwory.

„Karyerowicz“ p. Rogosza napisany jest tak, jakby współczesne pojęcia estetyczno-literackie nie przeniknęły jeszcze do tego wiejskiego zakątka, w którym pracuje;w tem leży powód, że nawet intencye, jego społeczno-etyczne poprostu marnują się. Nie jestto wierny wizerunek jakiejś odmiany realnego gatunku karyerowicza. Nie sądzimy też, aby powieść ta była w stanie sprostować spaczone pojęcia jakiegoś kandydata na tę godność, bo naiwne ruchy Świerczykowskiego nie stoją bynajmniej na wysokości najnowszych wymagań, najnowszych form rzemiosła i najnowszych pojęć o karyerze w sferach ludzi, pnących się przebojem na wysokie stanowiska polityczne, społeczne lub towarzyskie. Tym sposobem nie czyni ona zadość w należytéj mierze ani jednemu z dwóch zasadniczych wymagań, które stanowią probierz literackiéj wartości utworu.

Oczywiście nie jest szkodliwa i przeczytanie jej nikogo nie zgorszy, chyba... początkujących literatów, gdyby ich pociągnęło do naśladownictwa fałszywéj i przestarzałéj metody w robocie.

J. G.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rok się skończył przy oznakach pokoju, któremu żadne bezpośrednie nie zagraża niebezpieczeństwo. Niema na porządku dziennym wielkich sporów dyplomatycznych, niema żadnych objawów starcia między interesami wielkich mocarstw. Te ostatnie zachowują zdobyte pozycye i nie myślą bynajmniéj o ich zmianie, lecz, o ile się da, korzystają z czasu, aby je wzmacniać przez coraz nowe postępy uzbrojeń, przez zacieśnienie związków przyjaźni z innemi państwami, albo też przez jedno i drugie. Żadna ze spraw, które przed dwoma, trzema laty mniéj lub więcéj groziły wybuchem wojny, nie została uregulowana. Książe Ferdynand Koburski, choć trzeci rok już rządzi Bulgaryą, nie uzyskał formalnego uznania mocarstw; anglicy nie wyprowadzili wojsk swych z Egiptu, Francya nie zbliżyła się do Niemiec, te zaś nie przestały prowadzić walki ekonomicznéj z Rossyą, a jednocześnie brać udziału, nie ostentacyjnie wprawdzie, ale niemniéj rzeczywiście, we wszystkiém, co ustaleniu się wpływu rossyjskiego na wschodzie przeszkadza. Choć jednak rachunki wzajemne nie zostały załatwione, nikt nie domaga się natarczywie zrealizowania swoich pretensyj. Wyrzeczenie się natarczywości stanowi właśnie główną, może jedyną różnicę obecnego położenia z dawniejszém. Pozostały te same co dawniéj interesa i to samo niebezpieczeństwo ich dochodzenia. W imię pierwszych wielkie mocarstwa warują sobie milcząco wszelkie słuszne i fantazyjne tytuły praw politycznych na przyszłość; w imię drugich zachowują się powściągliwie i strzegą pokoju, którego zachwianie się otwarłoby przed każdém z nich tyle przynajmniéj nadziei co obaw.

Wśród takich okoliczności nie mogły się też zmienić i stosunki przymierzowe. Stare sojusze i dawne powinowactwa polityczne stoją dziś tak silnie, jak wczoraj, a nawet może dziś silniéj niż wczoraj.

Przy końcu roku ubiegłego zawodzono już pienia żałobne nad Crispim i jego polityką, wróżąc blizki jéj koniec, za którym stałoby nowe ugruntowanie się mocarstw. Świadome rzeczy sfery polityczne nie przywiązywały wagi do tych przepowiedni; niemniéj fakt, że wypadki ujawniły jaskrawo i w sposób dla całéj Europy widoczny złudność nadziei na upadek polityki Crispiego, posiada niemałe znaczenie. Na schyłku roku ubiegłego odbyły się w królestwie włoskiém wybory do parlamentu, podczas których rząd rozwinął manifestacyjnie sztandar przymierza z Niemcami i Austryą oraz walki z irredentą. Pod takiém hasłem wyborcy szli do urn i oświadczyli się za rządem. Było to bardziéj jeszcze zwycięztwo idei przymierza, niż osobiste Crispiego, który gdyby teraz upadł z powodów, tkwiących w polityce wewnętrznéj gabinetu, nie naraziłoby to w niczém sojuszu. Następca Crispiego przy takiém usposobieniu kraju, odnowiłby tén związek tak dobrze, jak Crispi, gdy przyjdzie pora odnowienia, to jest za półtora roku.

Upewnione w ten sposób co do wierności włoskiego sprzymierzeńca, Niemcy, które są duszą przymierza, starają się jednocześnie wzmocnić węzły łączące je z Austryą przez zawarcie traktatu handlowego, nad którego przygotowaniem pracują obecnie w Wiedniu delegaci obu rządów. Czy traktat ten przyjdzie do skutku i w jakiéj formie, a więc czy istotnie będzie mógł, przez zapewnienie obustronnych ekonomicznych korzyści, odegrać rolę dodatkowego cementu w sensie politycznym, dziś jeszcze nic pewnego o tém powiedzieć się nie da. To wszakże nie ulega wątpliwości, że choćby się te układy skończyły na niczém, albo na małém, związek polityczny obu państw na tém nie ucierpi. Austrya, od czasu, kiedy rząd włoski zmuszony został przez bieg wypadków wytoczyć jawną wojnę irredentystom, ma jeden powód więcéj do przestrzeganin trwałości przymierza we troje, które znowu jest logiczną konsekwencyą przymierza we dwoje Wiednia z Berlinem.

A jak nic się właściwie nie zmieniło w zasadach stosunku trzech państw sprzymierzonych i między sobą, i do sprzyjającéj im Anglii, tak téż z drugiéj strony Rossya i Francya zostały na swych dawnych stanowiskach. I tutaj serdeczna zażyłość tych mocarstw nie osłabła, ale owszem, może została wzmocnioną; nie zmieniła się atoli, o ile dotychczas wiadomo, w formalny układ. Prawda, że niektóre dzienniki były w téj mierze innego zdania. *L'Événement*, opierając się na fakcie, że rząd francuzki posłał do Petersburga do rozporządzenia rządu swojego dyrektora fabryk prochu bezdymnego, wnioskuje, że jest to dowód zawarcia francuzko-rossyjskiego traktatu, gdyż tylko pod warunkiem traktatu wydawało mu się możliwém komunikowanie

jest to dowód zawarcia francuzko-ruskiego traktatu, gdyż tylko pod warunkiem traktatu wydawało mu się możliwém komunikowanie obcemu mocarstwu tajemnic technicznych tak wielkiéj wagi. Najprzód nie wiemy, czy i jakie tajemnice techniczne będzie dyrektor francuzki odkrywał w Petersburgu. Gdyby chodziło o proch bezdymny, pamiętać należy, że armia ruska nie posiada dotychczas broni magazynowéj, do któréj proch ten służy. Prócz tego zaś, nawet w razie zakomunikowania rządowi ruskiemu tajemnicy prochu bezdymnego, nie potrzeba się uciekać do idei przymierza; tłomaczyłoby się to dostatecznie przez poczucie militarnéj wspólności interesów obu mocarstw, poczucie, którém rząd rzeczypospolitéj zdaje się być głęboko przenikiony. Francya chce widzieć Rossyę jak można najpotężniejszą, nic tedy dziwnego, że gotowa byłaby w téj mierze okazywać jéj wszelkie możliwe usługi. Obecnie rząd ruski przystępuje do zmiany karabinów swéj armii na mniejszy kaliber; nowa ta broń będzie zapewne magazynową, na prochu bezdymnym i nie byłoby przeciwne duchowi, łączących dziś oba te państwa stosunków, gdyby Francya udzieliła Rossyi tajemnicę melinitu i inne podobne. Jestto możliwe bez formalnego przymierza, choć oczywiście nie śmielibyśmy stanowczo przeczyć, że jakieś układy, jeśli nie politycznéj, to choćby militarnéj natury między dwoma rządami istotnie nastąpiły. To jest w każdym razie pewne, że jeżeli nawet nie nastąpiły układy, ścisłość milczącego zbliżenia politycznego, oparta na poczuciu solidarności niektórych interesów politycznych i niektórych możliwych niebezpieczeństw, jest dziś, jak może być, największą. Zawarciu formalnego przymierza przeszkadzało dotychczas wiele powodów, między innemi ten, że nie leży bynajmniéj w interesie Rossyi otwarte zrywanie z Niemcami i krępowanie swojéj zupełnéj niezawisłości działań, które byłoby następstwem przymierza, oraz do pewnego stopnia ten drugi, że warunki polityczne życia republikańskiéj Francyi, dającéj przytułek anarchistom, są znacznie różne od podstaw politycznych, na których opiera się budowa państwa rossyjskiego. Żadna z tych okoliczności atoli nie stoi na zawadzie harmonijnéj równoległości działań w wypadkach, gdy tego zachodzi potrzeba. To też niezawodnie siła łączności, wiążącéj Francyę z Rossyą, nawet bez traktatu wzrosła ostatniemi czasy, przynajmniéj o tyle właśnie, ile zyskało mocy przymierze potrójne, którego solidarność francuzko - ruska jest nieuniknionem uzupełnieniem. Równoważy ona potęgę militarną ligi trzech państw sprzymierzonych, którym się przeciwstawia. I właśnie to przeciwstawienie się dwóch wielkich skupień siły utrzymuje pokój europejski w obecnéj jego formie, ze wszystkiemi dobremi i złemi następstwami.

Pokój ten w Europie odbił się na Afryce. Mocarstwa interesowane, przez szereg układów dokonały w roku ubiegłym ostatecznego prawie jéj podziału. Mówimy prawie, bowiem nie wszystkie jeszcze apetyty zostały należycie nasycone. Niemniéj w głównych zarysach wiadomo już dziś, kto i gdzie będzie władał w przyszłości. Pierwszym z kolei był układ angielsko-niemiecki, przyznający Anglii terytorya od jezior do wybrzeża wschodniego i protektorat nad Zanzybarem; Niemcom wielki szmat ziemi między oceanem Spokojnym, państwem Kongo, posiadłościami Portugalii na południu i Anglii na północy. Potém nastąpił układ agielsko-francuzki, przyznający Francyi wielkie obszary ziemi w Afryce północno-wschodniéj, tak, że kolonie jéj nad morzem Śródziemnem połączone zostały bezpośrednio z koloniami nad zatoką Gwinejską, oraz protektorat nad Madagaskarem; na końcu układ francuzko-niemiecki, potwierdzający obu państwom nabytki, zyskane przez układy poprzednie. Gdy się do tego doda, że włosi ofiarowali Massawę i objęli protektorat nad Abissynią, cały obszar lądu ma już wskazaną przyszłość. Do krajów spornych należy Egipt, gdzie Anglia trzyma swoje wojska, i Tripolis, którego pożądają Włochy. Zarówno do Egiptu jak do Tripolisu podnosi także pretensye Francya. To też tych dwóch ziem losy rozstrzygną się dopiero zczasem. Egipt i Tripolis, jako przedmiot współubiegania się państw europejskich, wchodzą dziś jeszcze do gry dyplomatycznéj między gabinetami i oddziaływają na ich wzajemne stosunki.

Stosunki wewnętrzne państw europejskich przedstawiają z końcem roku nie wszędzie jednakowo dodatni bilans. W Niemczech rok skończył się inauguracyą przez cesarza Wilhelma doniosłych reform szkolnych i zapowiedzią nowéj ery, w Austryi niepowodzeniem ugody czesko-niemieckiéj i rozbiciem stronnictwa staroczeskiego. Francuzi, jako niespodziankę gwiazdkową, wciągnąć mogą do aktywów politycznych jedno z najważniejszych zdarzeń w ich życiu politycznem z ostatnich czasów, mianowicie otwarte uznanie rzeczypospolitéj przez katolików za stałą formę rządu, zainaugurowane przez kardynała Lavigerie i pochwalone przez papieża. W Anglii uwagę publiczną zajmuje rozłam stronnictwa irlandzkiego na dwa obozy i walka, jaką rozpoczął Parnell ze swoimi przeciwnikami. Włochy kończą rok z oczyma zwróconemi ku reformom ekonomicznym; Belgia—w pośród potężnéj agitacyi za wprowadzeniem głosowania powszechnego, rozwiniętéj przez żywioły demokratyczne.

Ze wszystkich tych spraw najwięcéj zajęcia w każdym europejczyku budzą oczywiście reformy niemieckie i przesilenie w Irlandyi. Reformy szkolne niemieckie podjęte zostały przez cesarza Wilhelma jako część wielkiego programu odrodzenia wewnętrzego Niemiec, czy

tylko Prus. Poglądy cesarza na zadanie szkoły i na zmiany, jakie mają być zaprowadzone w programach edukacyi publicznéj, spotkały się w prasie niemieckiéj z zasłużoną krytyką. Nie były one dość pod względem fachowym przetrawione i zdradzały dyletanta. Atoli fakt, że cesarz Wilhelm stanął na czele ruchu postępowego, że zwiastował potrzebę zmian w różnych gałęziach życia publicznego, że uznał się za powołanego do otwarcia „nowéj ery" przed swym narodem, zasługuje na uwagę, jako rzecz doniosła. Mniéj szczęśliwe pomysły monarchy, gdy przejdą przez obrady specyalnych komisyj i ciał reprezentacyjnych, znajdą niezbędne sprostowanie. Tymczasem zaś, za sprawą cesarza, oczy społeczeństwa pruskiego podniosły się od ziemi ku górze, ku podnioślejszym celom i ideałom, od których już było ono potrosze odwykło w epoce rządów bismarkowskich, kiedy naczelne hasło polityczne streszczało się w ubóstwieniu siły, a więc w kulcie przemocy. Gdyby jedyną zasługą całéj téj kampanii cesarza Wilhelma być miało tylko sprowadzenie społeczeństwa z téj drogi, do jakiéj je żelazny kanclerz prowadził i osadzenie na ołtarzu czci publicznéj zamiast bóstwa siły, bóstwa sprawiedliwości, prawa, że już bóstwo miłości pominiemy, zasługa jego byłaby niespożytą.

Co się tycze sprawy irlandzkiéj, ta po porażce Parnella w Killkenny, gdzie wybrany został posłem kandydat antyparnelistów, wchodzi w okres układów. Pośrednikiem między obu stronami będzie przybyły do Pażyża z Ameryki O'Brien.

Kiedy patrząc na olimpijski spokój oblicza polityki, która, — niech kto mówi co chce — „robi historyę", weźmie się ludzkość za puls społeczny, niepodobna wstrzymać się od pytania zkąd te przyspieszone tętna zkąd ten niepokój, ta gorączka? Są w Europie państwa, które przy wielkiéj, jawnie stwiedzonéj wewnętrznéj biedzie, świetnie w końcu roku zamykają swoje bilanse finansowe. Coś podobnego na szerszą skalę dzieje się w życiu większéj części społeczeństw europejskich; w tak zwanych „sferach decydujących" wszystko bilansuje się znakomicie i wśród arkadyjskiej pogody na szczytach politycznych słychać tylko zapewnienia o wszechświatowéj pomyślności, o powszechnych objawach zbiorowego zdrowia, a niżej odzywają się same nawoływania „chorych" nie mogących zdać sobie sprawy ze swojéj niemocy i szukających na nią najrozmaitszych leków.

Nie było jeszcze stulecia, w któremby nie mówiono o „chorobie wieku"; ale choroby upłynionych wieków tém się różniły od nowożytnéj, że je stwierdzali historyozofowie, literaci, wtedy zwykle, gdy już tak przeminęły, iż o nich chorzy nie wiedzieli. Dziś inaczéj; dziś pacyenci sami mówią o swojéj chorobie, śledzą jéj postęp, symptomata;

jedni chełpią się własnym rozkładem za życia, strojąc skronie, w oczekiwaniu ostatecznéj katastrofy, kwiatami *dekadentyzmu*; inni z przerażeniem odtrącają myśl o śmierci i wyrzuciwszy za okno recepty doktorów-pesymistów, zapytują, czyby nie wrócić do staréj kuracyi ideałami?; jeszcze inni, nie mający czasu ani na rozmyślania nad swemi cierpieniami, ani na wybieranie między optymizmem i pessymizmem,— bo są głodni,—ostrzą zęby i czekają...

Nazywa się to „końcem stulecia". Nie jedno stulecie już się skończyło; żadne może przy schyłku nie wdrożyło tak głęboko w powszechność europejską przekonania, ze się zamyka jakiś okres historyi i że się nowy rozpocząć musi. Jakie będzie ostatnie słowo tego okresu i co życie na początek nowego peryodu wypisze—tego nikt nie odgadnie; ale wszyscy czują stan nieokreślonéj trwogi poprzedzający zwykle wielkie dziejowe przełomy.

Wśród społeczeństw zachodnich nasze należy do rzędu tych, które za wiele mają do roboty, aby mogły myśleć o „chorobie wieku"; na podobny zbytek stać tylko narody bogate i rozpieszczone powodzeniem—my nie liczymy się ani do jednych ani do drugich. Chorujemy wprawdzie na coś podobnego, bo na brak charakterów, który jest wszędzie zasadniczym objawem niemocy kończącego się stulecia; ale jeżeli brak charakterów wypływa gdzieindziéj z „choroby woli", to u nas niezupełnie takie jest jego źródło. Módz wiele a nieumieć chcieć, to zgoła co innego, aniżeli umieć chcieć a módz bardzo mało. Pacyentów cierpiących na impotencyę pierwszéj kategoryi dostarcza przerafinowana cywilizacya; chorych na niemoc drugiego gatunku wytwarzają pewne specyficzne kombinacye życiowe. Charakter psuje się zarówno w powodzeniu, jak w walce z życiem. Trzeba umieć rozróżnić te dwa rodzaje rozkładu, bo jeden sięga do samego rdzenia duszy, do „serca serca" jak mówi Szekspir, drugi rozpościera się po wierzchu; nie można więc jednakowo sądzić pacyenta, który cieszy się swoją gangreną i chorego, który nie zawsze wie, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Dziś mięsza obie zgnilizny pessymizm; ale kiedyś, gdy nam ten czad przestanie mroczyć umysły; gdy jasno spostrzeżemy różnicę pessymizmu filozoficznego, do którego w naszym temperamencie niema materyału i pesymizmu praktycznego, do którego życie nas usposabia, a ze świadomością téj różnicy porównamy i warunki, w jakich rozwija się „choroba woli" i zanik charakteru u nas i w innych narodach Zachodu,—może przyznamy, żeśmy się zagalopowali trochę w pessymizmie względem samych siebie, tak jak niegdyś zapędzaliśmy się w optymistycznych o sobie złudzeniach.

Tymczasem zaznaczmy, że „spazmy modne" upodobniające kulturę schyłku stulecia do zdenerwowanéj histeryczki, są u nas wy-

jątkiem, a jeżeli „choroba woli“ występuje jaskrawo, to tam gdzie rozwija się na tle zupełnej ciemnoty.

Taką gorączką jest emigracya naszego ludu do Brazylii, o któréj w przyszłym zeszycie obszerniéj pomówimy. Tymczasem wobec faktu społecznego, który, objawiając się na gruncie ekonomicznym posiada jednak wiele cech epidemicznéj psychozy, nie mamy czasu chorować na cywilizacyjne „suchoty duszy“ — chociażby nawet na tę chorobę znalazł się jakiś Koch medycyny społecznej.

Jak w całym cywilizowanym świecie, tak i u nas odkrycie niemieckiego bakteryologa wielkie wywołało wrażenie.

Po okresie przesadnych bo przedwczesnych nadziei nastąpiła chwila nieusprawiedliwionego—bo równie przedwczesnego zwątpienia. Snać zapomniano, iż czas jest czynnikiem koniecznym dla sprawiedliwéj oceny skuteczności środka, mającego leczyć tak chroniczne cierpienia.

Rudolf Koch, jeden z najpoważniejszych badaczy na polu bakteryologicznem, niespożyte już dawniéj położył zasługi pracami nad przecinkiem cholerycznym i nad lasecznikiem gruźliczym.

Najnowsze swoje odkrycie, rezultat długoletnich studyów obwieścił światu najprzód podczas kongresu berlińskiego w mowie nader ostrożnéj i powściągliwéj. Zdaje się jednakże niewątpliwém, że i do tego wystąpienia z rzeczą bynajmniej nie gotową namówił Kocha minister Gossler, chcąc na tym wszechświatowym zjeździe świetny blask rzucić na niemiecką naukę.

Gdy zaś dla przeprowadzenia całéj seryi doświadczeń na ludziach, Koch z ukrycia swego pilnie strzeżonego laboratoryum, wstąpił do szpitalów, to, jak i należało tego oczekiwać, poruszyły się męty reklamy lekarskiéj i nielekarskiéj, powierzchownego reporterstwa i wyzysku. Przesadne opowiadania budziły przesadniejsze jeszcze nadzieje. To wszystko zniewoliło Kocha do zabrania powtórnie głosu.—Uczynił to w sposób równie powściągliwy jak pierwszym razem. Podkreślił przedewszystkiém rozpoznawczą wartość swego środka i naszkicował lecznicze do niego przywiązane nadzieje.

Dla stwierdzenia jednego i drugiego, potrzeba czasu, dużo czasu i dużo doświadczeń.

Naukowe uzasadnienie takiéj metody, dokładne oznaczenie granic jej stosowania, dodatnie i ujemnie jéj strony, różnice stosowania i działania przy gruźlicy płuc, krtani, skóry, stawów i kości, ostateczna wreszcie lecznicza skuteczność téj metody—są to wszystko sprawy, które nawet w wieku pary i elektryczności powoli i stopniowo tylko poznanemi być mogą.

Najpowściągliwszym, najostrożniejszym stronnikiem nowéj metody Kocha jest podobno sam Rudolf Koch.

Niepowściągliwą, jak zwykle, była i w téj sprawie dziennikarska reporterya. Używając téj nazwy, nie wiemy czy wyrażamy się zupełnie dokładnie. Był czas kiedy reporterya miała sferę ściśle odgraniczoną od pola działania właściwéj publicystyki; dziś wsiąka tak dalece w dziennikarstwo, że często już niewiadomo gdzie się kończy pierwsza, gdzie rozpoczyna drugie. Jawność jest wielką cywilizacyjną zdobyczą, o ile się pod nią nie podszywa plotkarstwo, zacierające konieczną linię demarkacyjną między sprawami publicznemi i prywatnemi i zaglądające z równą skwapliwością do teki ministra, jak do wewnętrznéj gospodarki jakiéjś instytucyi lub do kieszeni, do garnka, ba! nawet do sypialni jednostek. Uprawniona kontrola i samozwańcze wścibstwo występują z tak jednakową pewnością siebie, że i w publiczności zatraciło się już poczucie różnicy między tem co podlega roztrząsaniu na forum a tem co powinno pozostać w czterech ścianach. Można nad tém ubolewać, że takie zagmatwanie pojęć z rubryki reporterskiéj przeciska się do łamów poważniejszego dziennikarstwa; można ilekroć to pociągnie za sobą niezupełnie uzasadnioną interwencyę prasy, machnąć ręką i powiedzieć: *guarda e passa*; ale nie idzie za tem żeby się w takich razach powodować jakąś rozdrażnioną przekorą, pomijając „na złość prasie" nawet głosy odzywające się w niéj z dobrą wiarą i ze zdrowym rozsądkiem.

Taktyki takiéj trzymał się między innemi przez jakiś czas tutejszy teatr; pustki w widowniach i w kasie przekonały go jednak, że trzeba umieć oddzielić krytykę od reporteryi i że nie zawadzi rozważyć co więcéj warte i gdzie znaleźć można dojrzalsze ocenienie interesów instytucyi.

W ostatnich czasach stan teatru, jakkolwiek zawsze na wątłych finansowych podstawach oparty, poprawił się nieco; do zupełnego uregulowania i polepszenia stosunków teatralnych przeszkadza obecnie przedsięwzięta minionéj wiosny przebudowa teatru wielkiego, pozbawiająca dyrekcyę jednego źródła dochodów w chwili właśnie kiedy te dochody są najpotrzebniejsze.

Możnaby z tego powodu zakwestyonować stosowność wybranéj chwili; ale snać już taka nastała doba, kiedy więcej chodzi o wygodny fotel i o wytworną lożę, aniżeli o to na co się będzie patrzeć z tego fotelu, z téj loży, — jednocześnie bowiem i Kraków przybiera się do budowy nowego teatru i Lwów myśli o własnym dla sceny przytułku po wyniesieniu się jéj ze skarbkowskiéj rudery.

Naturalnie, że gmachy teatralne w Krakowie i Lwowie wysłu-

żyły się bardzo, że i nasz nie odpowiadał wielu wymaganiom komfortu i estetyki; pytanie jednak co pilniejsze: czy odrodzenie artystyczne sceny, czy restauracya architektoniczna budynku i co więcéj pociągnie publiczność: czy wielka sztuka w ubogim teatrze, czy uboga sztuka w wielkim teatrze?

Występy Modrzejowskiéj były już w Galicyi wymowną na to pytanie odpowiedzią: tłoczono się do starych, niewygodnych teatrów, tak samo jak tłoczyć się będą widzowie u nas do letniego teatru w futrach i w kaloszach, jeżeli znakomita tragiczka zdecyduje się grać na téj scenie, lub do wyklejonego tymczasowo papierem teatru wielkiego, jeżeli tam śpiewać będą Reszkowie.

Słychać, że Modrzejowska zamyśla zakończyć swój zawód sceniczny w sposób godny takiéj artystki, obejmując kierunek teatru w Krakowie i we Lwowie. Nastąpi to podobno za rok;—tymczasem artystka święciła same tylko tryumfy, odwdzięczając za nie częstą ofiarą swego talentu na różne cele dobroczynne.

Z dziedziny filantropii notujemy zapis ś. p. d-ra Zenona Pileckiego z Krakowa, który złożył w Akademii krakowskiéj 40,000 złr. w 3 procentowych papierach wartościowych, z warunkiem, żeby odsetki w kwocie 1,200 złr. rocznie służyły na stypendya dla kandydatów, pragnących po ukończeniu nauk uniwersyteckich kształcić się daléj za granicą. Stypendyum na rok od 1 kwietnia 1891 r. do końca marca 1892 r. przeznacza się dla kandydata, oddającego się historyi prawa, literatury polskiéj, lub języka polskiego. Kandydatem być może tylko rodowity polak, katolik wszelkiego obrządku, posiadający stopień doktora bądź krajowych, bądź jakiegobądź niemieckiego lub francuskiego uniwersytetu, lub stopień naukowy kandydata jednego z uniwersytetów rossyjskich. Kandydat winien władać biegle językiem ojczystym i udowodnić świadectwami wszystko, co na jego korzyść przemawiaćby mogło. Pomiędzy kandydatami, przy równéj zresztą kwalifikacyi, pierwszeństwo mieć będzie Polak, poddany rossyjski. Kwota stypendyalna wypłacaną będzie z góry w ratach półrocznych. Kandydat przed otrzymaniem pierwszéj raty winien przedstawić dokładny plan studyów, które przedsiębrać zamierza, a w razie potrzeby stosować się do danéj sobie instrukcyi. Po upływie każdego półrocza, stypendysta obowiązany jest zdać sprawę ze swoich zajęć naukowych i udowodnić je świadectwem profesora lub specyalistów, pod których kierunkiem pracował. W razie uznanéj potrzeby komitet stypendyjny ma prawo przedłużyć stypendyum na rok drugi, jak równie wstrzymać jego wypłatę, gdyby kandydat nie uczynił zadosyć powyższemu warunkowi bez dostatecznego usprawiedliwienia.

Stypendysta złoży komitetowi na piśmie honorowe przyrzeczenie, że pracy w obranym przedmiocie nigdy nie zaniedba, a utrzymując stosunek naukowy z Akademią Umiejętności, owocami swéj pracy zasilać będzie przedewszystkiem piśmiennictwo naukowe polskie.

W Krakowie dzień 6 grudnia był dniem ważnym dla tamtejszéj Akademii Umiejętności. Dotychczasowy i wieloletni czczigodny jéj Prezes, dr. Majer, którego nazwisko zdawało się być nierozerwalnie związaném z życiem i rozwojem téj instytucyi, ustąpił ze swego stanowiska, czując, jak się sam wyraził „potrzebę zakosztowania spoczynku“ i usprawiedliwiając nadto swoje zrzeczenie się dotychczasowéj godności innym jeszcze powodom, że: „stosunki z biegiem czasu muszą się w rzeczach ludzkich zmieniać, a w późniejszym wieku trudno przywyknąć do nowych.“

Na miejsce ustępującego, wybrano profesora Stanisława hr. Tarnowskiego, który piastował dotąd urząd sekretarza Akademii, a teraz, obejmując nad nią ster, oddaje sekretarstwo w ręce obranego jednocześnie historyka prof. Stanisława Smolki.

Na uczczenie zasług d-ra Majera ustanowiono fundusz jego imienia z przeznaczeniem procentu od tego kapitału w kwocie złr. 1,000 na nagrody, które co dwa lata będą przyznawane za prace naprzemian z dziedziny nauk przyrodniczych i wyzwolonych.

Na posiedzeniu wydziału fizyologicznego Akademii Umiejętności przewodniczący dr. K. Morawski odczytał rzecz p. t.: „Kierunki duchowe za Batorego“ — ustęp z II części dzieła „O Andrzeju Patrycym Nideckim.“

Sekretarz wydziału historyczno-filozoficznego zdał sprawę z pracy d-ra St. Szachowskiego p. t.: „Rzecz o symonii.“

Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego, sekretarz tegoż wydziału przedstawił dwie rozprawy d-ra Gustawa Piotrowskiego wraz z ich oceną nadesłaną przez prof. Cybulskiego. Jedna traktuje *O prądzie osiowym w nerwach*, druga *O wahaniu wstecznem przy pobudzaniu różnych miejsc tego samego nerwu.*

Prof. Kreuz zdał sprawę z pracy p. M. Raciborskiego p. t.: *Flora retycka w Tatrach.*

Śmierć wymazała w ubiegłym miesiącu trzy głośne nazwiska z księgi żyjących a wpisała je na karty nauki i literatury.

W Neapolu zmarł nagle Henryk Schlieman, który zjednał sobie zasłużony rozgłos studyami i pracami, podjętemi w celu odszukania miejsca, gdzie wznosiła się Troja. Zgromadziwszy najprzód jako kupiec znaczny majątek, poświęcił go następnie ulubionym poszukiwaniom, nie zrażając się ani kwestyonowaniem powagi swych odkryć ani nawet śmiesznością, której mu nie szczędzono. Zwyciężył wszystko i i w 1867 r. odszukał Troję, w sześć lat później zdobył skarby archeologiczne w Mycenie, później w Itace, w Orchomenie, nareszcie udało mu się odkopać grobowiec Agamemnona a owocem tych badań są, oprócz wykopalisk, dzieła „Itaka, Pelopones i Troja", „Starożytności trojańskie, Mykena", „Ilios", „Orchomenos" i inne.

Dnia 10 stycznia Warszawa chowała jednego z niewielkiego u nas grona *„bene merentium"* — Wiktora Szokalskiego, b. profesora b. Akademii Lekarskiéj, a następnie b. szkoły Głównéj, lekarza naczelnego instytutu Oftalmicznego, sekretarza stałego Towarzystwa lekarskiego warszawskiego—uczonego, pisarza, praktyka, obywatela.

Sześćdziesiąt lat temu Szokalski począł leczyć, nie będąc jeszcze lekarzem, a od tego czasu niezmordowanie pracował — *usque ad finem*. „Pamiętnik" jego to ostatnia praca, którą ukończyć zdołał przed śmiercią. Swego czasu, i to przez czas długi, jedyny prawie okulista w kraju, autor znakomitego dzieła „O chorobach przyrządu wzrokowego" i wielu innych prac tak specyalnych jak i ogólniejszych, służył on sprawom społecznym na równi z naukowemi. Przez więcéj jak lat 30 uosabiał i koncentrował Towarzystwo lekarskie warszawskie, był głównym promotorem i opiekunem „kasy wdów i sierot po lekarzach pozostałych".

Próżnia po nim będzie wielka i zapewne przez czas długi niezapełniona.

Świat lekarski warszawski ciężkie ponosi straty. W sześć miesięcy po Tytusie Chałubińskim schodzi z pola Wiktor Szokalski.

Zmarły niedawno w 70 roku życia powieściopisarz Oktawiusz Feuillet coraz rzadziéj już w ostatnich czasach przemawiał z książki i ze sceny, prześcignięty przez naturalistów w romansie, a w teatrze przez Augiera, Dumasa, Sardou, którym nie dorównał ani odwagą w stawianiu założeń i w traktowaniu sytuacyj, ani błyskotliwością rzucanych w świat paradoksów, ani zręcznością w puszczaniu w bieg mechanizmu scenicznego. Był jednakże twórca „Pana de Camors" i „Monjoie", autorem niepośledniéj miary, subtelnym obserwatorem, prawdziwym artystą, i zostanie po nim niejedno świadectwo, że takt i powściągliwość bywają udziałem nietylko pisarzów, którzy się

boją, ale i takich, którzy są tego przekonania, że w literaturze i w sztuce trzeba mieć smak.

„Berliner Börsen-Courier" z dnia 6 stycznia podaje następującą wiadomość:

Zajmujące *literackie odkrycia* przypadły w udziale słynnemu badaczawi języków i literatur słowiańskich profesorowi Brückner'owi z Berlina.

Wsparty przez Akademię, przedsięwziął ten uczony w r. 1890 dłuższą wycieczkę naukową na Wschód w celu nowego opracowania dawnéj polskiéj literatury. Chodziło o przejrzenie mało lub zupełnie nieznanych źródeł rękopiśmiennych, które dotychczasowy materyał miały znacznie wzbogacić. Obecnie zdał p. Brückner sprawę Akademii z bogatych i pomyślnych rezultatów swych poszukiwań. Badacz wyzyskał materyał rękopiśmienny Cesarskiéj biblioteki w Petersburgu, jak również niektórych publicznych i prywatnych zbiorów w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Gdańsku i Królewcu. Z okresu średniowiecznego (1350—1500) znalazł p. Brückner między innemi najstarszy pomnik języka polskiego—*Sześć kazań na niedziele i święta.*

Daléj czyni wspomniana gazeta wzmianki o odkryciach nieznanych dzieł Jana Kochanowskiego, Sępa Szarzyńskiego, Wacława Potockiego i różnych drobnych ciekawych pisemek polskich z w. XVI.

Z obfitéj téj zdobyczy zamierza prof. Brückner utworzyć szereg studyów do historyi oświaty i literatury w Polsce, z których pierwsze p. t. „Kazania średniowieczne" pomieści „Biblioteka Warszawska" w następnym swoim zeszycie.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— *Dr. Zygmunt Celichowski.* Jana Seklucyana Oeconomia albo Gospodarstwo 1546 Kraków 1890 str. 78. Wydawnictwo Akademii Umiejętności.

Seklucyan należał do rzędu tych pisarzów polskich w XVI wieku, którzy mimo tolerancyi religijnéj uważali za rzecz bezpieczniejszą opuścić rodzinne strony, i przenieść się do Królewca pod opiekę zlutrzonego księcia pruskiego.—Do Królewca przesiedlił się Seklucyan w r. 1541 a umarł tamże w r. 1578. Przez cały ten czas czynny był jako kaznodzieja, jako pisarz, jako wydawca i księgarz.—Dzieło swe o Oeconomiey dedykował autor Dorocie księżnie pruskiéj „z rodzaju królewskiego na Danemarku". D-r. Celichowski przedrukował Oeconomią Seklucyana, dla tego że należy ona do prawdziwych rzadkości bibliograficznych. Znane są tylko dwa egzemplarze: jeden w Bibliotece Kórnickiej, z którego uskutecznił Dr. Celichowski wydanie, drugi zaś jest w posiadaniu hr. Czarneckiego w Rusku.

Oeconomia jest bardzo ciekawym zabytkiem literatury naszej, ze względu na język i terminologię. Tak n. p. pater i mater familias nazwani są ojciec i matka czeladna, gospodarstwo domowe zwane jest domostwem, mienie, imieniem i t. p. Treść oeconomii Seklucyana jest przeważnie moralna. Najwięcéj Seklucyan zastanawia się nad obowiązkami ojca, męża, rodziny chrześciańskiéj.

Kilka jednak rozdziałów zasługujących na bliższą uwagę, a mianowicie: „O dwojakiem królestwie" w którym czytamy że Bóg w „królestwie duchowem rządzi słowem tylko a sakramenty albo świętościami kościelnymi — ale w tem czesnem, zwierzchniém albo cielesném królestwie też przy słowie rządzi ludzka przyrodzona moc, jako rozum umysł, zmysły".—Następny rozdział „O cielesném, zwierzchniém, albo czesném rządzeniu", odróżnia dwojakie zwirzchnie królestwo, jedno które zowiemy oeconomią, to jest domowe sprawowanie drugie które zowiemy policyą, to jest ziemskie rządzenie. W oecono-

mii albo w domowém sprawowaniu przedniejszy klucz jest, aby każdy krześcianin wiedział jako dom swój sprawować i też dobrze rządzić ma, a czego się w nim każdy wedle wezwania a stanu swego pewnie a poczciwie trzymać ma“.— „A bowiem bez wielkiéj pochyby z ekonomiéj albo z domowéj sprawy pochodzi albo ziemskie rządzenie, nie inaczéj jedno jakoby z jednéj studnie źródła“. Z przytoczonych ustępów widzimy że Oeconomja dla historyi nauk politycznych w Polsce nie będzie bez wartości, i dla tego szczerze jesteśmy wdzięczni D-rowi Celichowskiemu za jego publikacyę. *a. r.*

— *Lohmeyer.* „Herzog Albrech von Preussen“. Eine biographische Skizze. Gdańsk 1890 Str. 62.

Szkic biograficzny Lohmeyera zasługuje na bliższą uwagę z powodu że potrąca często o historyę Polski a jednak napisany przedmiotowo i z gruntowną znajomością historycznych źródeł. Agonię zakonu krzyżackiego i sekularyzacyę Prus, przedstawił autor treściwie i jasno. Charakter przewrotny Albrechta odtworzył przytem z pewnym artystycznym smakiem. Zatargi z Zygmuntem I opisane są dokładnie i znajdujemy wzmiankę że był swego czasu projekt aby Król polski połączył w swojej osobie godność mistrza krzyżackiego i nie wstępował nigdy w śluby małżeńskie. Zatargi Albrechta ze stanami pruskiemi są także dokładnie przedstawione. Jedném słowém zwięzły szkić biograficzny Lohmeyera nie będzie dla naszego społeczeństwa bez interesu. *a. r.*

— „Materyały do historyi drukarstwa i księgarstwa w Polsce“ wydał *Dr. Artur Benis* w Krakowie 1890. Broszura o 71 stronnicach zawiera inwentarz księgarń krakowskich, Macieja Scharffenberga i Floryana Unglera, (1547, 1551), które to źródła, zdaniem autora, wskazując jakie dzieła swojskie i obce, w jakiej ilości, w jakim stosunku rozmaitych gałęzi wiedzy, w jakich wreszcie wydaniach i w jakiéj mniéj więcéj cenie najczęstszym były przedmiotem handlu księgarskiego, stać się mogą dla historyków literatury i badaczy naszego ruchu umysłowego w wieku XVI słabą przynajmniéj wskazówką: co i ile u nas czytano, oraz przez jakich zagranicznych autorów wnikały i krążyły w Polsce prądy obcych cywilizacyj, i co z nich zostało w pomnikach ojczystéj literatury.

— *Tadeusz Chrzanowski.* „Badania z historyzofii“, część III, z trzema tablicami. Warszawa, w drukarni Kozłowskiego, 1891 str. 40.

Autor rozwija myśl, że dziejami ludzkości rządzi idea swobody, przy pomocy idei indywidualności człowieka, idei duchowéj i idei

państwowéj i że te idee rządzą po kolei. Taki rząd moralny dziejów autor nazywa prawem i uważa je za niewzruszone dla wszystkich społeczeństw.

— *S. Dickstein.* „Kanony legarytmów Hoene-Wrońskiego z 6-ma tablicami". Warszawa. Wydawnictwo redakcyi prac matematyczno-fizycznych. 1890. st. 30.

Jestto pierwsze w polskim języku wydanie kanonów Hoena-Wrońskiego. Wyższość kanonów nad zwykłémi tablicami logarytmów, polega na oszczędności miejsca, każdy bowiem z kanonów mieści się na jednéj stronnicy i zastępuje całą książkę. Kanony więc są przez to bardzo dogodne w użyciu, a zajmując mało miejsca, są tanie i zalecają się do powszechnego użytku.

— *Wroński-Hoëne.* „Loi théologique du hasard. Réimpression de trois pièès rarissimes (1833) précédée d'une authobiographie et d'un inventaire de l'oeuvre". Paris 1890.

Połowę téj broszurki zajmuje autobiografia Wrońskiego, napisana w 1845 r., jako „Manifeste historique concernant la réforme du savoir humain", poczém następuje spis jego prac filozoficznych i matematycznych zarówno drukowanych jak rękopiśmiennych. Zakończenie stanowią trzy krótkie rozprawki o odkrytém w 1828 r. „prawie przypadku", które ma określać zboczenie od przeciętnego przebiegu przypadkowych zdarzeń.

— *Wisłocki Dr. H.* „Vom wandernden Zigeunervolke". Książka zawiera obraz dziesięcioletnich studyów nad życiem cyganów, uwzględnia etnologię, język i poezyę tego ludu.

— *Pawłowski Antoni.* „Anleitung zum Zeichnen geometrischer und räumlicher Gebilde nach Perspectivischen Grundsätzen. Lipsk, 1891.

— *O. A. G. T.* „Reise-Schilderungen aus dem Flussgebiete des Dniepr". Hanower, 1890.

Książeczka o 104 stronnicach, podaje wrażenia autora z podróży odbytéj na początku ósmego dziesiątka bieżącego stulecia po okolicach Dniepru.

— *Stanisław Małyszczycki.* „Młynarstwo zbożowe", opracował inżenier-mechanik... T. I, część pierwsza: Przemysł młynarski w ogólnym zarysie. Część druga: Maszyny rozdrabiające, 728 stronnic druku, w 16-ce, z 180-ma drzeworytami w tekscie i 9-ma tablicami w oddzielnym atlasie. Warszawa. Nakładem „Arkonii". Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1890.

Autor pragnął długoletnią swą pracą stworzyć całość, obejmującą wszystko co tylko wchodzi w zakres młynarstwa. W części ogólnéj oprócz historycznego rozwoju młynarstwa, znajdujemy ocenienie znaczenia przemysłu młynarskiego u nas.

Oprócz technicznych wskazówek nader cennych co do budowy młynów systemów rozmaitych, obszernego traktatu, poświęconego kamieniom młyńskim, sposobom ich ustawiania i nakuwania, p. Małyszczycki zwraca uwagę na zacofanie przemysłu młynarskiego u nas. Wywozimy wiele ziarna, a na opędzenie własnych potrzeb sprowadzamy mąkę bądź z zagranicy, bądź też z gubernij sąsiednich Cesarstwa. Autor widzi w tém nietylko brak technicznych wiadomości, ale i przedsiębiorczości.

— Firma S. Lewentala wydała w starannéj edycyi „Wybór poezyj" Ludwika Kondratowicza (Syrokomli) w pięciu tomach.

— „Na Przełęczy", wrażenia i obrazy z Tatr, przez Stanisława Witkiewicza — ozdobione 135 drzeworytami w tekscie. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Dzielny malarz i rysownik Witkiewicz wystąpił jako autor i illustrator w téj książce, która łączy w sobie zalety wydawnictwa w europejskim stylu i literackie piękności dzieła, zasługującego na pierwszorzędne miejsce w naszéj literaturze podróżniczéj. Po raz pierwszy może Tatry przedstawiły się czytelnikom z taką plastyką w słowie i w rysunku.

— *S. Witkiewicz.* „Sztuka i krytyka u nas". 1884—1890. Warszawa, T. Paprocki i S-ka, 1891, in 8-vo, str. XVI i 530.

Książka niniejsza zawiera przedruki głośnych artykułów Witkiewicza w pismach codziennych. Z jednéj strony prace polemiczne jak „Malarstwo i krytyka u nas", „Krakowskie sądy", „Pomnik Mickiewicza" i t. d., z drugiéj: studya nad naszymi i obcymi artystami: (Matejko, Siemiradzki, Kossak, Chlebowski, Gierymski, Brandt, Meissonier, Böcklin). W rozprawce „Mickiewicz jako kolorysta", wkracza nawet autor na pole krytyki literackiéj.

— „Jędza", powieść Elizy Orzeszkowéj — nakład Gebethnera i Wolffa, 1890. Córka podupadłéj majątkowo matki mieszka z nią w małém miasteczku i zostaje szwaczką. Przestrzegając pilnie godności na swém skromném stanowisku i zachowując się względem wszystkich odpornie, bohaterka zyskuje sobie nazwę „jędzy". Nawet gderliwa, przykra i zgryźliwa matka, na którą młoda dziewczyna ciężko pracuje, nie ocenia jéj według wartości, bo staruszka duszą i sercem

jest przy synach, znajdujących się od niéj daleko i nie wiele dbających o rodzicielkę. Drażniona niesprawiedliwością „jędza" miewa chwile rozpaczy i zniechęcenia do życia, aż w jednym właśnie z takich momentów zjawiają się dwaj kuzyni, którzy się z nią razem chowali, a jeden z nich serdecznie ją ukochał. Obecnością swoją chłopcy wprowadzają promyk szczęścia do egzystencyi bohaterki, przekonanéj wreszcie że i ona może być kochaną i żyjącéj po ich odjeździe nadzieją przyszłego szczęścia. Nastaje jednak później dla heroiny chwila zwątpienia, kiedy sądzi, że jest zapomnianą i musi słuchać gorzkich wyrzutów matki, że nikogo nie jest w stanie trwale dla siebie przywiązać; dopiero powtórny przyjazd ukochanego znowu ją do życia budzi i wskrzesza w niéj wiarę w przyszłość. Matka dowiedziawszy się o różnych sprawkach synów, pada rażona paraliżem, nie oddaje jednak córce sprawiedliwości, nie wierząc w prawdziwość wieści o niegodziwych postępkach ulubieńców.

— „Moi znajomi" pod tym tytułem Marya Konopnicka zebrała w jeden spory tom nowele rozproszone różnemi czasy po pismach peryodycznych. Trzynaście obrazków złożyło się na tę książkę, w któréj krąży tchnienie najczystszéj poezyi, wydobytéj z życia z głębokiém poczuciem zarówno prawdy jak artyzmu. „Morze", „Józik Srokacz" i „Banasiowa" są prawdziwemi klejnotami w tym zbiorku wydanym nakładem Gebethnera i Wolffa.

— *Albert Wilczyński.* „Z miasta i ze wsi", obrazki z życia zebral... Lwów. Nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1891, str. 252.

Zbiorek ten znanego naszego humorysty zawiera następujące nowelki: „Narzeczony Elżuni," „Żywy zastaw," „Pan Jan" obrazek z lwowskiego bruku, „Wójt szlachecki" obrazek z życia wiejskiéj szlachty. Wszystkie te obrazki skreślone są na tle stosunków świata urzędniczego, mieszczańskiego i szlacheckiego, który jest zwykłém źródłem obserwacyi autora „Kłopotów starego komendanta".

— *Ferdynand Nicolay.* „Dzieci źle wychowane" — opracował Edward Lubowski. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1891 — str. 490. Jestto dziełko pedagogiczne podające nietylko postulata wychowania, lecz nadto wypowiadające wnioski z krytyki obecnego stanu w jakim się wychowanie dzieci znajduje. Krytyka przeprowadzona jest przez pedagoga gruntownie obznajmionego z psychologią dziecka i dla tego książka Nicolaya zasługuje na bliższą uwagę.

— *Paweł Bert.* „Pierwszy rok kształcenia naukowego“. Książka dla młodzieży. Przełożyli I. I. Boguski i Adolf Dygasiński. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. Warszawa r. 1891. 426 drzeworytów w tekście. Str. 358.

Treść składa się z następujących działów: Człowiek, zwierzęta, rośliny, kamienie i lądy, fizyka, chemia. Autor w wykładzie popularnym wyłożył główne zasady nauk przyrodniczych. W celu ułatwienia uczenia się i nauczania, ułożył każdą lekcyę w szereg pytań, opartych na poprzednio wyłożonym wykładzie. Jest to podręcznik dla młodzieży i nauczycieli.

— *Angelo Mosso*, profesor fizyologii w Turynie: „Strach“. Studyum popularno-naukowe, przekład M. Flamma. Warszawa. Nakład Teodora Paprockiego i S-ki, 1891, str. 21—292.

Autor wychodzi z założenia praktycznego: dla czego powstaje w nas niepokój przy wystąpieniu przed publicznością? Dla czego towarzyszy temu zakłócenie czynności organizmu? Powiadają, że to mózg, obawa, natura fizyczna człowieka, nad którém nie umiemy zapanować. Lecz i pojęcia mącą się. Na czém więc polega owa sławiona siła woli, nieustraszoność umysłu, którą pysznimy się, będąc sami, a która opuszcza nas, gdy patrzymy w oczy wielu ludziom?

Pragnąc rozwiązać powyższe zadanie autor postanowił zanalizować wszystko co wiemy o pracy mózgowej i zobaczyć co właściwie osiągnęli fizyologowie przy badaniu zjawisk fizycznych myśli i wzruszeń, a wyniki swojej analizy przedstawił w dziełku, zatytułowaném „Strach“.

— *A. T. Strofield.* „Inny świat czyli czwarty wymiar przestrzeni“, z angielskiego przełożył I. Werminski Warszawa. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1891. Str. 2 + 43.

Większa część ludzkości — powiada autor — podziela wiarę, że jest świat inny po za światem materyalnym, zamieszkiwanym przez nas. Wszyscy zgodnie uznają ten świat za sferę wyższą a jego mieszkańców za istoty mniéj lub więcéj duchowe.

Naturaliści, jak wiadomo, nieuznają istnienia takiego świata, umysł, moralność, uczucie i namiętność według nich to tylko zmiany protoplazmy w komórkach zwoju nerwowego, wytwarzające kwas węglowy i wodę.

Autor postanowił z nowego zupełnie punktu rozpatrzeć kwestyę bytu tego nieznanego świata i zbadać jakie są warunki jego istnienia,— punktem owym ma być czwarty wymiar przestrzeni.

PUBLICYSTYKA BEZIMIENNA W NIEMCZECH.

I.

Dawno już społeczeństwo niemieckie nie cieszyło się widokiem takiéj pogody na całéj powierzchni życia publicznego, jak w roku ubiegłym. Orędzia od tronu, mowy ministeryalne i zwierzenia prywatne dyplomatów, brzmiały jednostajną nutą pokojową; wzajemne odwiedziny monarchów świadczyły o najlepszéj zgodzie dworów, a na dwóch zjazdach w Berlinie, gdzie ukazali się także Francuzi, dużo mówiono o braterstwie ludów oświeconych i pożądaném między niemi porozumieniu. Zwykłe walki stronnictw, aczkolwiek nie ucichły zupełnie, straciły jednak na rozpędzie; mniéj było gwałtownych starć w izbach, mniéj namiętnych hałasów w dziennikarstwie. Nawet dymisya Bismarcka, spadłszy niespodzianie, jak grom z jasnego nieba, nie wywołała wstrząśnienia. Ledwie wieść o niéj obiegła świat, już w ojczyznie żelaznego księcia oswojono się z wypadkiem, jak gdyby chodziło tu o pierwszego lepszego urzędnika, pozbawionego posady. Może jeszcze więcéj znaczącym objawem było zachowanie się socyalistów, po wyzwoleniu się z pod ustaw wyjątkowych. Nie bez słusznych powodów obawiano się burzliwych manifestacyi z ich strony. Tymczasem przewidywania te nie sprawdziły się wcale. Najmniéj umiarkowana klasa ludzi okazała się tym razem równie powściągliwą, jak poprzednio wobec dymisyi kanclerza okazali się powściągliwymi członkowie parlamentów, przedstawiciele prasy i wykształcona publiczność. Początek nowéj ery we wszystkich warstwach społeczeństwa niemieckiego wyraził się stanowczą skłonnością do niemarnowania sił na niepożyteczne wybuchy.

W państwie, wyglądającém dzisiaj jak sklep pełen broni, „śpiącéj“ wprawdzie do czasu, ale nie na to oczywiście nagromadzonéj,

aby miała przespać wieki; wśród narodu obciążonego podatkami na przygotowania wojenne, nim sam wreszcie tłumnie powołany zostanie na pole walki, — cisza zeszłoroczna szczególne sprawiała wrażenie. Istniała na wszystkich punktach, a jednak wydawała się niemal złudzeniem, które pod naciskiem różnych spraw bieżących ułożono się brać na krótki termin za rzeczywistość. Istniała,—ale bez widocznego związku z ogólném położeniem, bez wyraźnych rękojmi trwałości; w części wmówiona, w części spowodowana potrzebą utrzymywania równowagi, dopóki jakaś równowaga da się utrzymać. Nikt nie mógł powiedzieć sobie z głębi przekonania, że ów spokój jest naturalnym owocem politycznego i społecznego życia zjednoczonych Niemiec, że otwiera epokę powszechnego bezpieczeństwa i uporządkowania zawikłanych spraw terazniejszości. Do wniosków zresztą o naturze zasadniczych kierunków młodego cesarstwa rok miniony tak samo nie dostarczył skazówek, jak nie rzuciły światła na przyszłość lata poprzednie.

I daremném byłoby szukać wyjaśnień w oświadczeniach urzędowych, którym przeczyły fakta, lub w organach opinii, krępowanych różnemi względami w wypowiadaniu swych myśli. System zasiłków gadzinowych zdemoralizował znaczą część prasy niemieckiéj. Dzienniki, pozostające na żołdzie, wiedziały, że niewolno im mieć własnego zdania; obowiązkiem ich było sądzić tak, jak im kazano, mówić to, za co im zapłacono. Poddawszy się ślepo sterowi swego patrona, utraciły one możność zachowania nawet pozoru godności, ciężka bowiem służba wymagała nieraz chwalenia tego dzisiaj, co się wczoraj ganiło, i odwrotnie. Gdy nowy kanclerz postanowił korzystać jak najmniéj ze służalstwa prasy, pisma, czerpiące dotychczas swoje poglądy tam, zkąd równocześnie brały pieniądze, uczuły się całkiem wykolejonemi; inne znowuż, liczące się z interesami swoich stronnictw, nadają rzeczom barwę odpowiednią téj dążności; jeszcze inne, najbardziéj niezależne, mają na uwadze sympatye swoich czytelników, odpowiedzialność za ryzykowne wystąpienia w kwestyach drażliwych i tym podobne pobudki, tamujące mniéj lub więcéj swobodę słowa.

W daleko lepszém położeniu znajdują się szermierze bezimienni, niewiadomego pochodzenia i obozu, nie związani przeto żadną z powyższych przeszkód; ci pod osłoną anonimu lub pseudonimu mogą wypowiadać przekonania, które niebyłoby dogodnie opatrzéć własnem podpisem, lub wygłosić w parlamencie. Publicystyka tego rodzaju krzewi się zazwyczaj w ogniskach najżywszego ruchu politycznego; niegdyś bardzo uprawiana w Paryżu, przeniosła się dziś do Niemiec, dla tłómaczenia tajemnic już to chwili obecnéj, już najbliższéj przyszłości. Nie zbywa też jéj na słuchaczach, bo i tajemnic wszędzie ze-

brało się dużo Publiczność niemiecka, zrażona ogromną różnicą między tém, co słyszy od swoich dostojników, a tém, co widzi na każdym kroku, zapytuje mimowoli sama siebie: w jakiéj postaci zjawić się ma połączonemu narodowi dzień jutrzejszy? Ze swéj strony i zagranicą ludzie nie z miejszym niepokojem zadają sobie pytanie: czém ma być ten olbrzym państwowy, który wyrósł nagle w środku cywilizowanego świata? czy wzrost jego zapisze historya jako klęskę, czy jako zbawienny czynnik w życiu Europy, dla któréj siłą obojętną nie może być on w żadnym razie? W braku odpowiedzi ze strony powołanéj, rosną w znaczenie wyrocznie niepowołane i bezimienne, ale mające przynajmniéj zaletę prawdomowności. Przymiot ten stanowi główną wartość owych poufnych nauk o posłannictwie nowego państwa. Znajomość zamiarów gabinetowych może być tu niedokładną, rozumowania mogą być błędnemi,—ale za to chór anonimów odsłania przed nami usposobienia samego społeczeństwa i, wskazując nurtujące w niém prądy charakterystyczne, pozwala badać niezmiernie ciekawy proces oddziaływania na siebie różnych żywiołów, zlanych obecnie w jeden organizm państwowy. Pod tym względem otwartość zamaskowanych nauczycieli prusko-niemieckich jest nader cenną. Czy to w zapale polemiki przypierają oni do muru przeciwnika, każąc mu spowiadać się ze szczegółów, które wolałby pozostawić w cieniu, czy na wyścigi rozwijają myśl wspólną, wykład ich zyskuje zawsze na dobitności, rzadko napotykanéj gdzieindziéj. W roku zeszłym publicystyka ta w Niemczech była wyjątkowo ruchliwą i przyniosła rezultaty wcale nauczające.

II.

Zmiany, jakie nastąpiły po katastrofie sedańskiéj w zewnętrznych stosunkach państwowych na naszym lądzie, nie zdołały jeszcze przekonać wielbicieli przeszłości pruskiéj, że okres tradycyi politycznych, snujących się jednolitém pasmem od rządów Wielkiego Elektora, aż do czasów księcia Bismarcka, został już zamknięty. Trzymając się uparcie dawnego gruntu, tworzą oni zastęp, obejmujący dziś jeszcze całe prawie pokolenie działaczy, wychowanych w szkole, którą nazwiemy tu staropruską, jako odrębny produkt miejscowy. Niezwiązana z rozwojem ogólnéj cywilizacyi niemieckiéj i niedostępna dla jéj wpływów, szkoła ta uznawała stale jeden tylko cel dziejowy, dla którego wszystko i wszystkich poświęcać bez wahania należało, a cel ten najprzód mieścił się w szczupłém księztwie brandeburskiém, późniéj urosł do rozmiarów królestwa pruskiego, obecnie zaś stał się tak roz-

ległym, jak daleko sięgają obszary zjednoczonych Niemiec, nie zmieniwszy w niczém pierwotnéj swojéj natury. W ciągu lat i wieków przybywało mu coraz więcéj miejsca i tém wyłącznie ograniczał się jego postęp. Możnaby powiedzieć, że ideał staropruski posiadał jedynie zdolność rozwoju geograficznego, że dawał się obliczać tylko na mile kwadratowe i na cyfry ludności, nie przerabiając się wcale pod wpływem pochłanianych przez siebie innych żywiołów, ani starzejąc się w miarę, jak po za jego obrębami dawny porządek świata upadał, zanikał, przeradzał się i odnawiał. W oczach reszty ludzkości nić łącząca epokę pokoju westfalskiego z dniem dzisiejszym wytężyła się tak nieskończenie, że jéj dojrzéć niepodobna bez pomocy specyalnych badań historycznych; w szkole polityki staropruskiéj przeszłość oddalona o dwa i pół stulecia wciąż żyje, oddycha i karmi się tym samym trybem i temi samemi pierwiastkami, jakiemi żyła, oddychała i karmiła się niegdyś za elektorów. Najwyższym, niepożytym owym celem był zawsze interes Prus, wyrażający się w formach czysto materyalnych: ziemi i pieniędzy. Dla niego-to Fryderyk II przesuwał w nocy słupy graniczne, żeby powiększyć państwo chociażby o kęs cudzéj własności; dla niego fabrykował i puszczał w obieg fałszywą monetę; dla niego Fryderyk Wilhelm II zdradzał sprzymierzeńców i sprawę niemiecką; dla niego książę Bismarck, działając już w świetle dziennem i na wielką skalę, zabrał dwie prowincye Duńczykom, dwie prowincye Francuzom, a do skarbu, tak mozolnie zasilanego niegdyś przez króla-filozofa, wniósł całe pięć miliardów. Jaki stopień godziwości towarzyszył dawnym, a jaki świeżym zdobyczom, zastanawiać się nad tém nie będziemy, bo i szkoła, jednakowo zachwycająca się dobroczyńcami państwa, niezbyt zważa na takie różnice. Według niéj wszelkie sposoby zarówno były dobre, skoro pomnożyły dobytek pruski. Mniejsza z tém, o ile zresztą złego innym krajom i ludom wyrządzić mogły. Ona ceni cnotę, lecz ją przeznacza bezwarunkowo do użytku domowego, wewnętrznego, jako własność prywatną rodzin pruskich, niemającą nic wspólnego z traktatami pruskiemi. Uczciwość w sprawowaniu urzędów, rzetelność w handlu, honor w stosunkach osobistych, tak są potrzebne zwolennikom téj szkoły, jak ład w rachunkach i czystość w mieszkaniach; pojedyńczo, sami przez się, mogą nie być szkodliwymi dla innych,—groźną jest tylko wzięta razem ich rzesza państwowa, przyzwyczajona mierzyć łokciem własnych zysków każdą zasadę moralną, każdy interes europejski. W Paryżu, w Londynie, ba nawet w Wiedniu, starano się niekiedy kosztem dobrowolnych ustępstw godzić własne widoki z dobrem ludów cywilizowanych; myśleli o tém, choć rzadko, i chytry Kaunitz, i Thugut, i Metternich; nie liczono się tylko z takiemi względami w Berlinie, czy

rządził Herzberg, czy Finkenstein, czy ks. Bismarck. Mężów stanu wyższéj miary moralnéj nigdy tam nie było; zawsze natomiast znajdowali się zdolni łowcy państwowi, czatujący na łup z ogromną wprawą w swojém rzemiośle. I oto dzięki im drobna posiadłość lennego władcy przeistoczyła się prędko w potężne mocarstwo, a kanwę, przygotowaną w klasztorze oliwskim, zahaftował ostatecznie traktat frankfurcki.

Robota skończona,— zachodzi tylko pytanie: czy bardzo cieszyć się nią wypada? Szkoła storopruska rozumie się, uważa ją za tryumf odniesiony przez ludzkość, już dlatego, że jest pruskim tryumfem; ale wiemy zkądinąd, jak w bezbrzeżném samolubstwie swojém ulega ona dziwnym złudzeniom; jak wyobrażała sobie nieraz, że, wzbogacając się obdzieraniem słabszych ze skóry, sprawia obdzieranym wrażenie obfitości. Echa tych pojęć, rozlegających się i po ostatnich powodzeniach, napełniły w roku zeszłym publistykę bezimienną głośnemi tonami, może już swojéj pieśni łabędziéj.

Macie pokój zbrojny z naszéj łaski, — chwalą się zupełnie seryo uczniowie szkoły. Jeden z nich, nazywający się Starym Dyplomatą, nie zaniedbuje przytém oświecić czytelników, że piękny ten dar nietylko jest wynikiem przezorności, umiarkowania i sprawiedliwości polityki prusko-niemieskiéj, ale *vor Allem* i siły materyalnéj państwa, bez któréj napróżno byłoby oczekiwać uznania od niewdzięczników, a sprawiedliwość i umiarkowanie przyniosłyby jedynie upokorzenie. O wzrost téj siły trzeba zatém dbać i nadal jak najpilniéj. Biedak, mieszkający w lichéj budzie, może ją zdać na opiekę losu, nie troszcząc się, że lada wicher łatwo ją obali; może oszczędzać każdy grosz, potrzebny mu na to, aby przeżyć jakoś z dnia na dzień. Ale właściciel bogatego domu wykona to ściśle, co mu zalecą osoby, znające się na budownictwie, aby ów dom zabezpieczyć przed wszelką burzą. Ogromny, piętrzący się wysoko dom państwa niemieckiego, zawiera skarby, które niepowinny być nigdy narażone na szkodę, a jego budowniczowie nie mają równych sobie w historyi całego świata. Stojąc na wyżynach, dających możność sięgania daleko wzrokiem, mogą oni dokładnie obrachować odległość i gwałtowność nawałnicy, czego więc żądają dla ochrony domu, tego naród powinien im dostarczyć niezwłocznie. W polityce bowiem, naucza wytrawny adept szkoły, strach więcéj znaczy, niż miłość, a dostateczna siła zarówno broni przed nieprzyjaźnią, jak zapewnia sobie przyjaźń. (*Auf den Reiches Hochwacht.* S. 61).

Po wysłuchaniu lekcyi, nie mamy już wątpliwości, że, według licznych współwyznawców starego dyplomaty, wspaniały dom zjednoczonych krajów niemieckich przedstawiać się ma na zewnątrz jako

wiekuista twierdza, opasana nieprzebytym lasem bagnetów, nieskończonym łańcuchem dział, z wiecznie napełniającym się a rozszerzalnym bez granic arsenałem i z przepyszną perspektywą na dalekie, dalekie przestworza... Są to jednak dopiero przygotowania; na to zaś, co ma nastąpić później, trzeba jeszcze dużo czasu i dużo pieniędzy, dowiadujemy od innego publicysty (*Nequid nimis.* Berlin. 1890). Dom nasz powstał niedawno; jeszcze ściany w nim mokre, nagie, — oznajmia ktoś trzeci (*Er geht, was nun?*), niéma jeszcze nic gotowego, niéma żadnych urządzeń, żadnych wygód w naszym nowym pałacu. Tylko fundamenta niewzruszone, mury trwałe i pewne, jakby w starożytnéj budowie... (str. 6). Coby to były za urządzenia, gdyby nadal miano tak gospodarować w domu, jak go stawiano, nie trudno odgadnąć, znając niezłomność zasad jego architektów. Pałac wszakże zbyt dużo zabiera miejsca w Europie, aby nie musiał podlegać jéj kontroli, któréj mogły szczęśliwie dla siebie ustrzédz się Prusy, lecz nie może wyzwolić się z pod niéj wielkie państwo niemieckie, złożone zresztą ze społeczeństw, w przeważnéj części zgoła inaczéj wychowanych historycznie i niewątpliwie europejskich. Siedziba, dogodna dla raubritterów, nie odpowiada dostojeństwu narodu, szczycącego się słusznie zasłużonym swoim udziałem w kulturze powszechnéj, jak nie przystoi płaszcz wielkich mistrzów zakonnych majestatowi Cezara. Zjednoczone Niemcy muszą także pamiętać i o tém, że, chcąc się utrzymać na zajętém dziś stanowisku, potrzebują koniecznie zjednać szacunek ludów, którego przecież tradycyjne praktyki pruskie pozyskać nie były zdolne. Niepodobna też wątpić, że przed progiem wiekuistéj fortecy czeka już nowy obyczaj, i że prędzéj lub późniéj wkroczy tam dla zrobienia porządku innego, niżby życzyła sobie szkoła. Tymczasem filary téj ostatniéj mocno jeszcze obstają przy swojém, że państwo zjednoczonych Niemiec jest niczém innem, tylko rozszerzeniem Prus, wspólna zaś jego nazwa ma tę zwłaszcza dobrą stronę, że czyni zabór znośniejszym i uświęca go niejako w oczach świeżych niewolników. Na razie atoli w saméj rzeczy ubogo jakoś i bezcelowo wygląda w wielkim gmachu stary aparat polityczny, którym posługiwano się tak pomyślnie. Odkąd Prusy nigdzie już prawie na własny rachunek obłowić się nie mogą, niewiadomo jak go zastosować, do czego użyć, a ta niepewność ostudza znacznie animusz wojenny w czcicielach W. Elektora, Fryderyka II i ks. Bismarcka. Nadaremno bezimienny publicysta innego odcienia przypomina im, że, co się bronią zdobyło, to bronią musi być utrzymaném (*Caveant consules.* Kassel. s. 99), — nie spierają się oni, ale woleliby raczéj spocząć na laurach, skoro chwilowo przynajmniéj na niewiele przyda się kształcona przez wieki umiejętność szarpania po kowalku ziem ościennych, umiejętność

łamania przysiąg, zrywania traktatów, przechodzenia z szeregów przyjaciela do szeregów wroga w najkrytyczniejszém przejściu walki, jak to uczynił w literalném słów znaczeniu jenerał York; umiejętność pobierania podwójnéj i potrójnéj zapłaty za usługi niewyświadczone, jak to się zdarzyło podczas koalicyi mocarstw przeciw pierwszéj rzeczypospolitéj francuzkiéj; umiejętność wynagrodzenia sobie strat, wynikłych z porażki własnéj, kosztem sojuszników, wydanych na łup zwycięzcy, jak to się stało przy zawarciu pokoju bazylejskiego. Nałogów takich niełatwo jest pozbyć się, jeśli przechodziły one z ojców na synów, z dziadów na wnuki, jako owoc mądrości politycznéj i cnoty obywatelskiéj. Wszak znakomici historycy pruscy, jak Sybel, składają hołd tym wspomnieniom, a filozofowie, jak Hartmann, biorą z nich wzór dla dzisiejszych pokoleń. Śladem takich przewodników poszła i większość publicystów bezimiennych w zaprzeszłym i przeszłym roku. Stary dyplomata, usadowiwszy się w nowym pałacu, nie czuje się skłonnym do ruchu, i gdyby tylko p. Richter ze swojém stronnictwem nie mącił mu spokoju, a socyalni demokraci dali się trochę poskromić, nie żądałby może na dziś niczego więcéj. W tymże duchu brzmią wywody: *Wallende Nebel und Sonnenschein*, *Auch ein Programm*, *Ora et labora*, *Sonnenschein*, oraz inne. Należąc do téj tłumnej załogi „pałacu“, która nie zdołała jeszcze oswoić się z purpurą cesarską i wymyślić coś nadal w stylu brandeburskim, stary dyplomata nie przestaje być miłośnikiem słodkiego *farniente*, wtedy nawet, gdy nalega, aby pałac starannie fortyfikowano. Przydać się to może kiedyś, gdy już bałamuctwo wszechniemieckie wywietrzeje ludziom z głowy, a geniusz pruski znowu rozwinie skrzydła do górnych lotów; niezbędném to jest i obecnie ze względu na kłębiące się chmury od strony Francyi i Rossyi. Oba te państwa nie podzielają usposobień łagodnych publicysty bezimiennego. One nie są zadowolone. Ależ dlaczego? Stary dyplomata poprostu zrozumieć tego nie jest zdolen. Jasno tylko zeznając, że na zachodzie i na północy chmury się kłębią niezaprzeczenie, radby znaleźć sposób zażegnania ich, o ile być może najtańszy, a skuteczny.

I znalazł.

Czarodziejskie zażegnywanie odbywa się najprzód w kierunku Francyi. Oddawna przyzwyczajono się w Niemczech nazywać ją wrogiem dziedzicznym. Autor sądzi, że nazwy téj nadużyto, lubo wiele jest w niéj prawdy historycznéj i narodowéj. Świadczy już o tém sam charakter francuski, będący mieszaniną ambitnéj wyniosłości Franków, próżności romańskiéj i kłótliwości starogallijskiéj. Jakże innym jest charakter germański, wyrażający poważną i spokojną siłę! Z różnicy charakterów wynikła sprzeczność dążeń. Francya, skutkiem wra-

żliwości i sprężytości narodowéj, przodowała od wieków cywilizacyi, pragnąc zawsze grać pierwszą rolę i zdobyć nietylko umysłową, ale także militarną i polityczną przewagę w Europie. Idea monarchii powszechnéj wcześnie tam się przyjęła i objawiała się ciągle w polityce francuzkiéj, a taka dążność nie mogła być cierpianą przez cesarstwo rzymsko-niemieckie, które w ówczesnych stosunkach państwowych miało znaczenie najwyższego orędownika chrześciaństwa, — tudzież stawała w kolizyi ze wzrastającą stopniowo potęgą narodu niemieckiego. Zatarg dziejowy rozstrzygnął się ostatecznie, gdy lekceważone długo Niemcy, bez niczyjéj pomocy, w obliczu całéj Europy, postawiły stopę na Paryżu i, choć nie żądają teraz dla siebie zwierzchnictwa, ale silnie dzierżą w swych ręku prawo zabierania decydującego głosu we wszystkich sprawach Europy. I dopóki Niemcy stoją na téj wysokości, póty marzenie o przewadze francuskiéj, z którego drugie cesarstwo tak srodze zbudzoném zostało, nie może się urzeczywistnić, sam nawet pozór téj przewagi, sztucznie utrzymywany przez Napoleona III, nie będzie mógł być już przywróconym. W tém tkwi właśnie powód do walki między Niemcami a Francyą. Bezimienny publicysta nie chce wierzyć, aby Francuzom ciężko leżała na sercu utrata Alzacyi i Lotaryngii. Wszak to dwie tylko prowincye, bez których przecież potrafili niegdyś zająć naczelne miejsce w Europie! Nie, to cierpi tylko „romańska“ próżność, zapewnia nieodrodny obywatel państwa, które nigdy nie umiało uszanować patryotyzmu innych ludów, ilekroć liczyć się z nim było zmuszone.

Cóż jednak począć z tym niesfornym narodem, pełnym zastarzałych przywar, ale gotującym się energicznie do odwetu? Jak uniknąć z nim wojny, któréj skutków dla nowego pałacu, bądź co bądź, przewidzieć niepodobna? W roku ubiegłym dawała się nieraz słyszéć w bezimiennéj publicystyce niemieckiéj trafna uwaga, że kto nie chce wojować, ten musi układać się na podstawach słuszności, uznanéj przez obie strony. Układy jednak prowadzą do ustępstw wzajemnych, a stary dyplomata nie należy do rzędu czułostkowych polityków, którzy dla zgody gotowiby oddać w pewnych okolicznościach cząstkę tego, co wzięli. On zna wybornie swoją sztukę krajową i nic nie zwróci, nic nie ustąpi dobrowolnie. Na obrażoną „próżność romańską“ ma inny środek. Pomimo gorącéj żądzy odwetu, Francya, nauczona smutnemi doświadczeniami w r. 1870, nie porwie się zapewne do oręża przeciw Niemcom, nie pozyskawszy wprzód sobie sprzymierzeńców. Owóż, mądrość berlińskich mężów stanu powinna pozbawić ją możności zawarcia podobnych układów. Z Anglią, Włochami i Austryą związek taki jest nieprawdopodobnym; możliwym byłby jedynie z Rossyą, gdyby Francya przestała być rzecząpospolitą. Tu leży drugie za-

danie polityki berlińskiéj, wskazane jéj wyraźnie przez ks. Bismarcka w procesie Arnima. Ponieważ teraźniejsza forma rządu skazuje Francyę na bezwarunkowe odosobnienie w Europie, trzeba więc, aby ta forma nie zmieniła się ani w monarchię, ani w dyktaturę wojskową. Czy nie dobry pomysł? Dobry w istocie, ale zapożyczony od Herzbergów i Alvenslebenów.

Co prawda, mniema autor, i rzeczpospolita francuzka mogłaby znaleść sprzymierzeńców, gdyby mocno ugruntowała się w kraju. Dziś jeszcze nie zanosi się na to; z czasem jednak, przy warunkach sprzyjających, mogłaby dojść do trwałości i siły. Ale wzrósłby wtedy i jéj dobrobyt, a ten, zdaniem starego dyplomaty, pozwoliłby Francuzom zapomnieć o Alzacyi i Lotaryngii.

Tak więc, w stosunku do Francyi, powinnością jest polityki berlińskiéj, najprzód: wspierać tam rząd republikański, ponieważ rzeczpospolita nie może prowadzić wojny; powtóre: przeszkadzać Francyi w znalezieniu sojuszów, z których pomocą mogłaby prowadzić wojnę; potrzecie: bacznie zważać na ilościowy i jakościowy rozwój francuskich sił wojennych, które niezbyt są groźne, dopóki zostają w ręku rzeczypospolitéj mieszczańskiéj, ale staćby się mogły straszną bronią w ręku dyktatora wojskowego; poczwarte: możliwym przymierzom Francyi, teraz lub w przyszłości, przeciwstawiać inne, nie mniéj silne; popiąte: okazywać jéj życzliwość sąsiedzką, o ile to nie sprzeciwia się interesom własnym,—przyczém mieć ją nieustannie na oku i uzbrajać się jak najpilniéj!

W planie, sprowadzającym czynność międzynarodową nowego państwa do marnéj intrygi, obok może płytkości autora, występują bardzo wybitnie cechy tradycyi, których zasady nie jeden „stary dyplomata“ wyssał już z mlekiem macierzyńskiém. Uczy on tego tylko, czego sam się nauczył. Projekt jego miałby prawo żądać dla siebie miejsca w szeregu odpowiednich memoryałów ministeryalnych, będących wyrobem tejże saméj szkoły, tejże idei, téj saméj polityki i téj saméj moralności, gdyby w innych powstał okolicznościach, lub przynajmniéj zręcznie był ułożonym.

Ale zręcznie ułożonym nie jest. Zanadto odkrywa cele, do których dąży krętemi drogami, Wypowiedziawszy czarno na białém, że chce odosobnić Francyę, zwraca się zaraz potém do Rossyi.

„Jeśli, mówi autor, oderwawszy wzrok od Zachodu, gdzie z nagromadzonych chmur wypadają błyskawice, a tylko zrzadka przegląda skrawek czystego błękitu, spojrzysz następnie ku Wschodowi, to zobaczysz przed sobą gęstą mgłę, która nieprzebytą ścianą zasłania dalekie przestworza Rossyi i przyszłość Europy“.

Oczywiście, chodzi teraz o to, aby te niepokojące mgły rozproszyć jakimś znowu cudownym wynalazkiem. Szkoła posiada niewyczerpany zapas podobnych specyfików i podsuwa bezimiennemu publicyście wypróbowaną receptę rozbiorową, podług której wszelkie spory dałyby się rozstrzygnąć, gdyby Rossya wzięła sobie Wschód, a państwu niemieckiemu odstąpiła Zachód. Podział ten uniemożliwiłby powtórzenie się wojny krymskiéj, która, mimo walecznéj obrony, ugodziła jednak Rossyę w samo serce. Właściwym wrogiem dziedzicznym Rossyi jest Anglia, a ponieważ Francya jest dziedzicznym wrogiem Niemiec, więc zyski proponowanego podziału są wyraźne. O Turcyi stary dyplomata nie mówiłby pono wcale, gdyby można ją było pominąć. Kwestya to rzeczywiście kłopotliwa i, dotknąwszy jéj, autor staje się nagle chwiejnym, ogólnikowym. Zaledwie przyznał Rossyi posłannictwo na Wschodzie, już sądzi, że zabór (Eroberung) prowincyi tureckich, nie jest bynajmniéj niezbędnym warunkiem téj misyi; nadmienia, że Niemcy wspólnie z innemi mocarstwami nie przestaną dokładać starań, aby zapewnić Wysokiéj Porcie żywot najdłuższy; perswaduje Rossyi, że rozsądna jéj polityka nie powinna dążyć do zawładnięcia Turcyą, gdyż włożyłaby na siebie ogromny ciężar i przytłaczającą odpowiedzialność (eine ungeheure Last und eine erdrückende Verantwortlichkeit). Natomiast ma wytężyć wszystkie siły, aby nie pozwolić Turcyi stać się narzędziem Anglii w widokach handlu wschodnio-azyatyckiego, który tylko Rossyi i Niemcom ma przynosić korzyści. Ostatnie więc słowo podziału jest takie: Niemcy ze swemi aspiracyami, wolnemi od przeszkód ze strony Rossyi, rozpościerać się będą na Zachodzie, przez który trzeba rozumieć poprostu całą Europę, Rossya zaś ze swojemi przeniesie się do Azyi, o ile naturalnie Anglia nie będzie miała nic przeciw temu.

Jakiż może być przedmiot sporu, jaki cel walki między Prusami a Rossyą? zapytuje anonim. Czego mogłoby żądać jedno mocarstwo od drugiego w razie zwycięztwa? Niemcy nie żądają od Rossyi ani Polski, ani prowincyi nadbałtyckich, nieskończenie trudnych do utrzymania pod względem militarnym, ani czegobądź, co posiada Rossya. Niemniéj i Rossya nie może pragnąć żadnych posiadłości niemieckich. Już i teraz zbyt wielkie obszary stanowią jéj słabą stronę, wszelkie więc dalsze rozszerzenie granic osłabiłoby jeszcze bardziéj jéj potęgę narodową. Mogłaby miéć tylko na celu złamanie sił niemieckich, zerwanie ich związku — i wtrącenie narodu w dawną niemoc. Ale najprzód, nie tak łatwo dałoby się to wykonać, a następnie, pokonawszy Niemcy, Rossya natychmiast znalazłaby się wobec nowéj koalicyi mocarstw zachodnich, a wtedy musiałaby ceną wielkich ofiar zasłaniać przeciw odwetowi niemieckiemu Wisłę, któréj dotąd, podczas wszyst-

kich zawikłań wschodnich, strzegła właśnie przyjaźń Prus (str. 33). Żarliwy anonim trąca wreszcie strunę, ograną przez ks. Bismarcka i jego akompaniatorów gadzinowych. Prócz tego, powiada on, wzgląd na Polskę musi nakłonić Rossyę do trzymania się wiernie i niezachwianie przyjaźni niemieckiéj. Polska zawsze była narzędziem intrygi francuskiéj lub angielskiéj, Niemcy zaś łączyły się z Rossyą najściśléj w tym mianowicie punkcie, który dla obu państw jest niebezpiecznym, dla Rossyi jednak niebezpieczniejszym. Silne Niemcy stanowią najpewniejszą obronę słabego punktu Rossyi, osłonę, rzec można, okolic jéj serca (Herzgrube), gdyż takiém delikatném miejscem, prawie w dosłowném znaczeniu, są dla niéj ziemie polskie (s. 35).

Szczegół ten był konieczny; bez niego uczeń takich mistrzów nie dorósłby do wysokości wskazywanych sobie przykładów. Dopiero teraz jest w zupełnym porządku: wrogowi dziedzicznemu nic nie dał za zgodę, przyjaciela historycznego wysłał przez wdzięczność do Azyi dla spotkania się tam ze swoim znowuż wrogiem dziedzicznym, a w dodatku przedstawił mu weksel z dawnych, jakoby nieopłaconych, rachunków. Sam naczelny dyrektor znanéj mennicy Fryderyka II-go nie powstydziłby się tak dowcipnéj operacyi finansowéj. Tylko na nieszczęście skarbowość tego rodzaju wychodzi z mody, a i czuła struna wysłużyła się aż nadto wirtuozom berlińskim. Nie ręczymy, ale zdaje się nam, że stary dyplomata trochę poniewczasie wybrał się zagrać na niéj jeszcze jeden koncercik, dla rozpędzenia kłębiącéj się mgły na północy. Żeby dać sobie z temi mglami radę, warto byłoby przedewszystkiém zastanowić się nad tém, zkąd się wzięły. Zkąd? Z przypadku, z kaprysu, z maluczkiego nieporozumienia, zapewnia autor. Winien tu najwięcéj książę Gorczaków. Nie lubił on kanclerza niemieckiego, jak kokietka w późnym wieku nienawidzi młodości i piękności, jak niemoc (die Impotenz) nienawidzi siły i czynu. Ks. Gorczaków był słowianinem z pokostem francuzkim. Na jego mądrość stanu złożyły się: chytrość, obłuda, intryga, grubijaństwo, podczas gdy wytworny kanclerz niemiecki mówił zawsze prawdę, nigdy nie groził, ostrzegał tylko czasami, a w razie potrzeby bił (str. 38). Posprzeczali się więc z sobą, co miało pozór waśni między państwami. Daléj, zawinili i panslawiści, którzy dążą — niktby się z pewnością nie domyślił, do czego? Do zaprowadzenia w Rossyi formy rządu na wzór zachodnio-europejski (str. 44). Panslawizm z rewolucyą stykają się blisko (s. 46); wszak Bakunin i Herzen byli panslawistami. Nie mogąc dojść do celów swoich prostą drogą, przywódcy tego stronnictwa rozpuszczają najniegodziwsze baśnie o Prusach. Oni-to dostarczyli owych dokumentów bulgarskich, których sfałszowania, przyznaje autor, trudno było dowieść, a które zrządziły ks. Bismarckowi

tyle ambarasu, zwłaszcza, że w istocie na półwyspie Bałkańskim rozchodzą się interesa Rossyi i Niemiec. Wschód może podlegać wpływom Rossyi, ale kończyć się musi przy Dunaju, tam już albowiem rozpoczyna się sfera wspólnych interesów Niemiec i Austryi, sprzecznych z interesami Rossyi. Niepodobieństwo wygładzenia tych różnic zniewoliło rząd berliński do sformowania ligi niemiecko-austryjacko-włoskiéj, a hr. Moltkego i hr. Waldersee do przedsięwzięcia odpowiednich uzbrojeń. Jest wszakże nadzieja, że słońce rozproszy kiedyś mgłę i t. d.

Rozszerzyliśmy się nad temi osobliwościami, gdyż nie są one wcale improwizacyą nieuka, wyssaną z palca; przeciwnie, są to rzeczy klasyczne, sposoby przyjęte przez większość szkoły, dowodzenia, które nie schodziły przez lat kilka z kolumn prasy półurzędowéj. Inny anonim mówi: „Tylko obrażona próżność ks. Gorczakowa wywołała nieporozumienia między państwami, które powinny żyć z sobą w najszczerszéj przyjaźni“... (*Cedant arma togae* s. 21). Pseudonim Schultze jest zdania, że Niemcy mogą żyć zgodnie z Rossyą, byle tylko chciała ona rozpościerać się na dalekim Wchodzie, „choćby nawet w Afganistanie“, bez uszczerbku dla interesów austryackich. (*Ne quid nimis*, s 81). A były kanclerz niemiecki zwierzał się przed redaktorem *Petit journal* w roku zeszłym: „Książę Gorczaków w r. 1875 chciał wmówić w świat, że pośrednictwo Rossyi ocaliło Francyę. Powiedziałem mu wtenczas, że powinien sobie wystawić w Paryżu posąg skrzydlaty i oświetlić go ogniem bengalskim. Odtąd datuje moje zerwanie nie z Rossyą, ale z ks. Gorczakowem“. Uderzająca jest ta solidarność wodza polityki z podrzędnymi jéj szeregowcami. Wielcy i mali powtarzają niezmordowanie błahe wykręty, z których ten jeden może już dziś wynikać pożytek, że odrywają one nieco uwagę od kwestyi bardzo poważnych i przenoszą ją umyślnie na pole sprzeczek drobnostkowych i bezowocnych. Taktykę tę ocenił trafnie publicysta bezimienny, występujący otwarcie ze stanowiska opinii narodowéj w Rossyi: ks. Bismarck, powiada on, niewłaściwie utożsamia Rossyę z ks. Gorczakowem. Ciosy, zadane przez kanclerza niemieckiego na kongresie berlińskim osobistemu przeciwnikowi, sięgały daléj i dotknęły w Rossyi uczucia patryotyczne ogółu. Ale nawet i wtenczas, gdy książę Bismarck wysławiał wyniosłą jak wieża (thurmhohe) przyjaźń Niemiec z Rossyą, była już ona kłamstwem. Czy następca jego może jeszcze naprawić to, co zepsuł poprzednik? Nie. Książę Bismarck, z całą swoją przechwaloną genialnością, tak gruntownie zniszczył tę przyjaźń, że dawny stosunek między państwami stał się niemożebnym „Finis!“ (*Wie der Herzog von Lauenburg* i t. d. Lipsk 1890, s. 9—13).

Wobec tego „finis“, wypadałoby wnosić, że nietylko zmieniły się ściany w domu polityków berlińskich, ale że i całkiem inne nadeszły czasy. Uwzględnia to pewien odcień szkoły i w roku zeszłym objawił dobitnie swoje przekonanie.

III.

Na zupełną świadomość, jak w nowym pałacu zachowywać się należy, trochę jeszcze zepewne poczekać musi młode cesarstwo, zbudowane przez niezrównanych budowniczych pruskich. Nie zdobędzie się na nią, w każdym razie, polityczna gromada pół-krzyżaków a pół-filistrów, czująca się poniekąd nie na swojém miejscu w potężném państwie iście europejskiém, z tysiącoletnią historyą i cywilizacyą, jak obcym się czuje zbogacony lichwiarz w zamku średniowiecznym, do którego przeniósł się z kamienicy, pamiętającéj tylko własne jego sprawki. Rzecz prosta, że świeży kasztelan nie może odrazu pozbyć się natury procentowicza, i że w magnackiéj siedzibie śni mu się dawne rzemiosło, na którém tyle zarobił i mógłby zarobić jeszcze, gdyby to bez nieprzyjemnego rozgłosu wykonać się dało. Nadmiar powodzenia sparaliżował narazie właściwą mu rzutkość. Aby dać ujście wrodzonym popędom i zdolnościom, mógłby wprawdzie stanąć na czele przedsiębierstwa, któreby mu przynosiło ogromne zarobki bez obawy nieostrożnego zetknięcia się z kodeksem karnym. Ale to już nie to samo. Trzeba się stosować do cudzych obyczajów, używać nieznanych praktyk, słowem, przewrócić wszystko do góry nogami.

Ślady takiéj konserwatywnéj tęsknoty w szkole polityki staropruskiéj zaznaczyliśmy wyżéj; uczucie to jednak nie jest samowładnie panującém wśród uczniów. Część ich wyróżnia się odcieniem postępowości, jak dotychczas, polegającéj na dobrém przeczuciu, że, bądź co bądź, niepodobna w nowym domu prowadzić gospodarki podawnemu. Zachodzi tu może nie sprzeczność zasad głównych, ale jakby potrosze różnica bystrości umysłów, potrosze zaś niejednakowość temperamentów. Najgłośniejsi i najliczniejsi zarazem słyszéć nie chcą o potrzebach, przedtém nieznanych, o drogach, które się dotychczas starannie omijało, o etykiecie europejskiéj, z któréj się tak niegdyś wyśmiewało w staréj kamienicy. Pocóż nam nowy pałac, zdają się oni mówić, skoro, zamiast wygód, przysparzać ma nam kłopotów? Albo więc rozwińmy dawny proceder na szerszą skalę, albo zażyjmy wypoczynku pod osłoną zbrojnego pokoju, na który koszta, choć ciężkie, ponosić jeszcze możemy.

Wyrażony w formach spekulacyi handlowéj sens téj polityki przedstawi się nie inaczéj. Górniéj brzmią tylko rozprawy, wstydliwsze tylko w formach swoich puszczane są w obieg argumentacye.

Obok tych nieugiętych zachowawców, inni, uważniéj rozpatrujący się dokoła siebie, oświadczają kategorycznie, że wybór postępowania nie może być tak zacieśniony, jak tego życzy sobie zobojętniała starszyzna szkoły. Zjednoczenie Niemiec pogrzebało program czysto-pruski, bezczynne zaś oczekiwanie zdarzeń przyszłych zagraża wielkiém niebezpieczeństwem, na które nie wolno zamykać samochcąc oczu. Stoimy dziś przed ważnym punktem zwrotnym naszéj historyi, ostrzega anonim w pisemku zatytułowaném *Videant consules*... (Kassel. 1890). Ważą się oto losy państw i stanów społecznych, idzie o ich byt lub zgubę. Wszędzie pełno jest materyałów palnych, które lada chwila, skutkiem prostego przypadku, mogą być objęte ogniem i spowodować w atmosferze politycznéj, od lat już wielu przeładowanéj elektrycznością, wybuch straszliwy. Jużcić, według pocieszań urzędowych, wszystkie państwa są usposobione nadzwyczaj pokojowo. Francya troszczy się tylko o swoje sprawy wewnętrzne, Rossya nie myśli wcale o wojnie, na Wschodzie nawet zaczyna się uciszać. Pokój zdaje się być zapewnionym pozornie na długo. Ale w rzeczywistości dzieje się co innego. We Francyi nikt rozsądny nie podejrzewa Niemiec o chęć zaczepki, gdyż w razie zwycięztwa nie miałyby nic do zyskania, a w razie przegranéj mogłyby stracić swoje stanowisko; uzbrojenia francuzkie rosną jednak z dniem każdym, budują się ciągle nowe koleje strategiczne, wszystkie zaś stronnictwa, najbardziéj nawet z sobą zwaśnione, jednomyślnie uchwalają fundusze na cele wojenne. Dowodzi to, że Francya przygotowuje się do walki zaczepnéj z Niemcami.

Prądy, zagrażające pokojowi, upatruje autor także i w Rossyi. Jednym z nich ma być panslawizm, dążący do Salonik i do Konstantynopola, oraz do zlania strumieni słowiańskich w morze wspólne; drugim — nihilizm; oba zaś te prądy z różnych przyczyn zarówno jakoby mają popychać Rossyę do wojny zaczepnéj. Rozejrzawszy się szczegółowo w warunkach wojny, wiszącéj już tylko na włosku, i obliczywszy siły stron, mających w niéj wziąć udział, autor wykazuje, że cyfry ostatecznie wypadają na niekorzyść Niemiec. Za ten rezultat rachunku czyni on odpowiedzialnym wprost ks. Bismarcka, który przez jakieś dziwne zaślepienie nie wyzyskał pory, gdy Francya nie była przygotowana do wojny i gdy naturalny stosunek między Rossyą a Niemcami nie został jeszcze dokładnie wyjaśniony. Wtedy-to należało koniecznie uderzyć najprzód na Francuzów, pobić ich trochę dla odjęcia im chętki do nowych przyjaźni, i pojednać się z nimi serdecznie, po bratersku, jako naród cywilizowany z narodem cywilizo-

wanym,—poczém Niemcy wraz ze swymi sprzymierzeńcami mieliby już zupełnie wolne ręce, aby spełnić właściwe zadanie swego państwa, to jest: rzucić się całą siłą na słowiaństwo (gegen das Slaventum).

Sądzićby można, że cała przepaść dzieli poglądy zwiastuna burzy wojennéj od pokojowych nawoływań starego dyplomaty. W gruncie rzeczy jednak, niezależnie od różnicy temperamentów, podzielili się oni tylko rolami, które w swoim czasie apostoł ich szkoły, Fryderyk II, umiał grać jednocześnie z wysokim talentem. Po wojnie siedmioletniéj przyjaźń Rossyi stała się dla niego przedmiotem najgorętszych pragnień, najusilniejszych zabiegów; czuwał nad nią troskliwie, zazdrośnie, jak namiętny kochanek; lada widmo rywala budziło w nim trwogę, szczególnie, jeśli tym współzawodnikiem miała być Austrya. Miotał wtedy gromy na jéj ministrów, kazał szpiegować wszystkie ich kroki nad Newą, zasypywał instrukcyami swoich posłów w Petersburgu, co nie przeszkadzało mu zwierzyć się przed Nugentem, posłem austryackim w Berlinie, że „niech sobie *M. M.tes Russes* rozpościerają się, ile chcą, w swoich słynnych pustyniach (*dans les alentours de leurs fameux déserts*), byle nie w Europie.“ Słowo w słowo to samo, co mówi teraz stary dyplomata. W czasie zaś najserdeczniejszych stosunków z Rossyą, w chwili wzmacniania dawnych i układania nowych traktatów, przez które związek przyjaciół nabywał coraz większéj spoistości, król pruski w liście do swego brata, Henryka, z d. 8 marca 1769 r., nazywał ukochanego sprzymierzeńca *une puissance terrible, une nation barbare*, przepowiadał, że kiedyś będzie musiała utworzyć się liga pierwszorzędnych mocarstw Europy dla zatamowania tego wylewu (*ce torrent dangereux*). A czyż nie w myśl tego proroctwa występuje teraz autor *Videant Consules?* Rolę dzisiejszych ultrakonserwatystów szkoły brał na siebie Fryderyk II, gdy zawierał z Rosyą umowy, lub oddalał od niéj rywali; rolę wręcz przeciwną, gdy oskarżał Austryę, że utorowała jéj wstęp do Europy zachodniéj, lub gdy z szyderstwem mówił do Van Swietena: „Nie mogę wstrzymać się od śmiechu, widząc, ile to państwo sprawia wszędzie niepokoju. Wszak ja to wcześnie przewidziałem.“ Porównajmy daty, przypomnijmy sobie odrobinę hercegowińską, traktat berliński, Hekubę bulgarską i *thurmhohe Freundschaft*, a przekonamy się, że o brak odpowiednich zdolności i swoich czasów śpiewak nie obwini.

Nie wbrew zatém tradycyom, ale w największéj z niemi harmonii, autor *Videant Consules* szykuje wyprawę przeciw słowiaństwu, stawiając przytém w pierwszych szeregach Austryę. Była ona wprawdzie wrogiem dziedzicznym Prus dłużéj, niż przez lat sto, ale odkąd ją wyrzucono nieodwołalnie z Niemiec, stała się naturalnym ich soju-

sznikiem i zwróciła się ku zadaniu, jedynie sobie właściwemu, ku swojéj *alte Kultur-Aufgabe*. Ma ona odtąd nieść oświatę zachodnią na Wschód, a tém samém wywrzéć przeważny i uprawniony wpływ wielkopaństwowy na kształtowanie się małych państewek bałkańskich. Przyznaje anonim, że Austrya nie zupełnie swobodnie z ofiarowanéj sobie dzielnicy wschodniéj korzystać może, ale od czegóż sprzymierzeńcy? Już podczas kongresu berlińskiego, gdy położono granice wpływom Rossyi na półwyspie Bałkańskim, objawiła się szorstko sprzeczność jéj interesów z interesami austryackiemi,—sprzeczność, obchodząca zarówno i Niemcy, bezpośrednio i z blizka. Istnienie Austryi, jako pierwszorzędnego mocarstwa, jest dla nich bezwarunkowo niezbędném, tak ze względu na położenie między Francyą a Rossyą, jak i z powodów moralnych. Austrya dąży do wspólnych z Niemcami celów cywilizacyjnych; w pewnéj mierze, wywnętrza się autor, „tworzy z nami jednolite ciało, gdy my bowiem obejmujemy jedném ramieniem morze Niemieckie i Baltyk, Austrya sięga drugiém ramieniem morza Adryatyckiego i Archipelagu.“ Nie na tém wszakże kończy się powinowactwo dążeń i zgodność interesów obu państw. Jest węzeł jeszcze ściślejszy. Jak bowiem Austrya, wyrugowana z Niemiec i Włoch, z natury rzeczy skierowała się na Wschód, tak samo i Niemcy, skoro tylko załatwią się z Francyą, zwrócą się ku słowiaństwu, z którém, zgodnie z prastarą swoją missyą cywilizacyjną (unsere uralte Kultur-mission gegen das Slaventum), walczyć muszą o różne rzeczy: o przestrzenie, o granice, o przywileje handlowe, o rynki dla swego przemysłu, o ujścia rzek, o morza (s. 36). Rossya zawsze pożądała dla siebie ujść Wisły, ze strony zaś Niemiec już samo posiadanie prowincyi pruskich ma nieprzyjazne dla Niemiec znaczenie, jako pozycyi zaczepnéj przeciw słowiaństwu. Utrzymując stanowisko swoje nad rzekami polskiemi, Niemcy przez to samo dają poznać, że nie myślą stosunku swego do Rossyi uregulować na podstawie nieprawidłowych warunków dzisiejszych. Przedewszystkiém zaś potrzebują rozleglejszych wybrzeży z gęstszą na nich ludnością; potrzebują zawładnąć Baltykiem, jako morzem germańskiém, aby położyć tam silne fundamenta dla swego handlu; potrzebują wreszcie prowincyi nadbałtyckich, zdobytych niegdyś dla Niemiec najczystszą krwią niemiecką i będących w ciągu stuleci przedmurzem ich narodowości przeciw Wschodowi słowiańskiemu (s. 44). Słyszymy ciągle zdanie, powiada autor, że Niemcy nie mają żadnych interesów sprzecznych z Rossyą, ale to zdanie fałszywe. Sprzeczność tylko nie wyłoniła się jeszcze w całéj swojéj okazałości (s. 36).

Odcienia bractwa politycznego tak dalece nie różnią się z sobą nawet co do wyboru środków, że w zeszłorocznéj publicystyce bezi-

miennéj powtarza się użyty dwa razy jeden i ten sam figiel czarodziejski, z odmienném tylko zastosowaniem. Widzieliśmy, że przeznaczano najprzód Rossyi Wschód słowiański, który zmienił się wkrótce w azyatycki; następnie przekazano go staremu posłannictwu cywilizacyjnemu Austryi, ale wnet okazało się, że Niemcy mają starsze jeszcze, prastare (uralte) posłannictwo przeciw słowianom. Rossya jakoby dobrze to pojmuje i dlatego zapewne statysta niemiecki nie uważa za rzecz roztropną bawić się dłużéj w umizgi, którym nikt już nie wierzy. Czas uderzyć w strunę inną, wielki czas, bodaj nawet, obawia się autor, jest już trochę za późno.

Tu dopiero zaczyna się prawdziwe nieporozumienie w gronie koleżeńskiém. Jak można było tak długo zwlekać z wojną! utyskuje *Videant consules*. Przecież wiedziano dobrze w Berlinie, że walka nastąpić musi; wszak w sferach rządowych znajdowali się ludzie przezorni i świadomi, którzy ostrzegali, że już odkładać jéj niepodobna. Ale nie! Lichy, uciążliwy pokój zbrojny wydawał się tak ponętnym, że twórcy jego nie mogli dość się nim nacieszyć. Czekano ciągle niewiadomo czego, aż doczekano się, że zbliżenie między Rossyą i Francyą zmniejszyło szanse zwycięztwa ligi trzech mocarstw. Za misę soczewicy sprzedano prawo pierworodztwa! oburza się autor. Nie może on poznać w tych dziwnych wyrachowaniach dawnéj genialności byłego kanclerza. I jakież bo to błogie skutki sprowadził pokój zbrojny? Dał powód przeciwnikom do przyśpieszenia gotowości wojennéj i naraził Niemcy na straszne koszta, na coraz dotkliwsze ofiary, które w końcu staną się ciężarem do niezniesienia. Książę Bismarck twierdził, że cała sprawa bułgarska niewarta jest kości jednego grenadyera pomorskiego. Jaki to czczy frazes! Alboż tu chodziło o Bułgarów? Szło o niebezpieczny wzrost potęgi Rossyi na Wschodzie, a temu przeszkodzić Niemcy są obowiązane, nie przez wzgląd na Bułgarów, ale przez wzgląd na siebie. Frazes jednak zwyciężył i stał się jakby wyrazem urzędowym polityki berlińskiéj. Po nim rozległ się inny, brzmiący dumnie, ale użyty dla zamaskowania odwrotu: „My Niemcy nie boimy się nikogo, prócz Boga!" I powiedzianém to było, urąga autor, mianowicie w chwili, gdyśmy się cofnęli przed wojną, nie mając nawet téj odwagi, żeby otwarcie wyjawić przedstawicielom narodu, jakie jest położenie, i zażądać od nich funduszów, celem zapewnienia sobie istotnéj przewagi nad przeciwnikiem.

Dla frazesów anonim okazuje się bardzo niewdzięcznym. Murzyn spełnił swoją powinność, więc niech idzie sobie precz,—jak w tragedyi Schillera. Teraz należy być prawdomównym. „My Niemcy, wyznaje autor, mamy we krwi pewną obłudę: wierność niemiecka, waleczność niemiecka, męzkość niemiecka, cnota kobiet niemieckich,

są to utarte wyrażenia (Schlagworte), które wypowiadamy pełnym tonem, lubo wiemy, że nie posiadamy bynajmniéj tych zalet w wyższym stopniu, niż inne narody.“ W polityce zwłaszcza, niech murzyn idzie sobie precz. Anonim zrywa z deklamacyjném matactwem i woła: „Nie! Walka germanizmu ze słowiaństwem stanie się hasłem najbliższéj przyszłości dziejowéj. Naszym wrogiem dziedzicznym jest Rossya. Nasza nieprzyjaźń z Rossyą nie wypływa z okoliczności chwilowych; przeciwnie, te okoliczności właśnie wynikły logicznie z przyczyn, głęboko tkwiących w naturze rzeczy“ (str. 41).

Łatwo sobie wystawić, jakie te wyrzuty sprawiły zamieszanie wśród dotkniętych niemi polityków. „To nie Kato, to Katylina!“ – odpowiadano z jednego kąta obozu. (*Cedant arma togae.* S. 3—4). „Ależ, panie *Videant,* słuchają pana niepowołani,“ — ganili inni. (*Ne quid nimis*). Znaleźli się jednak i zwolennicy, którzy pospieszyli zaraz na odsiecz towarzyszowi.

Duch nauki ocalał, zjawił się tylko prąd nowy, zapowiadający po okresie pokoju, zakutego w zbroję, dobę krwawych zapasów. Jakiegoż ztąd plonu spodziewać się może nietylko twierdza wiekuista, ale i cywilizacyjny przybytek europejski? Bezimienny autor zanadto pragnie zachować charakter człowieka spółczesnego, aby nie miał wyjaśnić tych wątpliwości. On właśnie dla dobra ogólnego chce krew przelewać; nie odrzuca nawet ideałów wszechludzkich, owszem, w ich to sprawie obnaża miecz, sądząc, że Niemcy najlepiéj przysłużą się światu, gdy pozyskają dla siebie nieodzowne warunki bytu i postępu. To jest ich moralnym obowiązkiem (eine sittliche Pflicht), któregoby spełnić nie mogły, gdyby nie wydłużyły swoich wybrzeży i nie zagarnęły prowincyi. W rezultacie Europa, po przebyciu wstrząśnień wojennych, zostanie nagrodzoną widokiem Niemiec, potężniejszych jeszcze, niż dzisiaj.

Zakrawa to na płaski żart, a jednak trzeba chyba nie znać zupełnie teoryi filozoficznych szkoły, żeby się temu dziwić. Cofnijmy się znowu o lat stokilkadziesiąt, idąc za skazówkami samychże historyków i komentatorów pruskich. Oto jak usprawiedliwia jeden z nich dzieło Fryderyka II: „Geniusz jego, powiada on, już wcześniéj ocenił był stosunek Polski do Prus i przewidział, że da się tu zastosować tajemnicza wróżba: *Vita Conradini mors Caroli, mors Conradini vita Caroli,* co znaczy, że Prusy mogły urość w potęgę jedynie kosztem Polski i odwrotnie. (*Fr. Smitt. Polens Untergang. Vorbericht*). Uczniowie szkoły naśladują teraz wzór dany przez „geniusza.“ I oni także oceniają po swojemu stosunki, i oni chcą przewidywać, że z kolei zniszczenie „słowiaństwa,“ zawadzającego im w drodze do różnych mórz i lądów, stało się zadaniem geniuszów dzisiejszych. A z tém lepszą

otuchą wzywają do wykonania „moralnego obowiązku," że dla zrozumienia jego wymagań nie zawsze potrzebne są genialne zdolności. Hertzberg nie był przecież geniuszem, Fryderyk Wilhelm nie był nawet talentem; obaj przecież w swoim czasie potrafili zrozumieć, jak się wyraża inny historyk szkoły, że „istnienie silnéj Polski nie mogło się pogodzić z istnieniem Prus." Dożyliśmy nakoniec do epoki, gdy dla myśli wielko-elektorskiéj i królewsko-pruskiéj zbyt szczupłemi stają się nawet rozmiary cesarstwa niemieckiego; pędzi ona daléj, szerzy się na Wschód i na Zachód; już jéj zawadza nie jeden kraj, ale całe słowiaństwo. *Nil admirari!*

Tyle pociechy i pożytku obiecuje autor ludzkości; wewnątrz zaś państwa pierwszym szczęśliwym skutkiem zwycięztw będzie pozbawienie Welfów, Polaków, oraz innych krnąbrnych oponentów, możności życia (*die Lebensmöglichkeit*). Skóra europejczyka okazała się stanowczo za ciasną dla herolda przyszłéj chwały niemieckiéj.

Nie uchroniło go to jednak, jak wspomnieliśmy, od napaści ze strony własnych braci. Rzucił się zwłaszcza nań zaciekle autor *Cedant arma togae.*

IV.

Jeśli nie bez powodu przypisywano hrabiemu Waldersee autorstwo broszury *Videant Consules*, która w każdym razie wyjść musiała z wyższych sfer wojskowych, to *Cedant arma togae* nosi na sobie nieomylne cechy kancelaryi ks. Bismarcka. Obrażony do żywego surową krytyką działalności arcykapłana dyplomatów berlińskich, rzecznik jego odpiera zarzuty powołaniem się na zasadę, piękną bezwątpienia, lecz dziwnie brzmiącą w takiéj obronie: „Alboż to my jesteśmy rozbójnikami? — powiada. Alboż mamy prawo rozniecać pożar w Europie, dlatego tylko, że inne państwo mogłoby stać się kiedyś dla nas niebezpiecznem? Czyż taka polityka nie stworzyłaby wiecznéj wojny, gdyby każdy naród czuł się bezpiecznym tylko wśród obalonych dokoła innych narodów? Nie jestże wojna tak wielkiem nieszczęściem narodowem i międzynarodowem, że jedynie w ostateczności uciekać się do niéj należy? Każda wojna jest grą w kości; jeśli zaś przegrana naraża na utratę bytu, w takim razie największa nawet wygrana nie powinna zachęcać do szalonych hazardów." (S. 11).

Nic nadto sprawiedliwszego; wrażenie prawdy osłabia to jednak, że zbyt późno o niéj pomyślano. Przed wojną duńską i przed zaborem Alzacyi i Lotaryngii takie umiarkowanie w słowach mogłoby ujść za szczere, ale po tylu grach i szalonych hazardach, po tylu

aneksyach i wywłaszczeniach, śmiesznie jest powstawać na szulerów, a jeszcze mniéj przystoi szafować mianem rozbójników. Zasada jest szlachetną, lecz wobec niéj w cóż się obróci wynoszona pod niebiosa epopeja, rozpoczęta niegdyś napadem na sąsiada, i to na sąsiada także niemieckiego, bez wypowiedzenia wojny? I cóżby się stało ze złotemi kartami historyi Prus? cóżby powiedzieć trzeba było o maksymach, wygłaszanych przez najznakomitszych pisarzy tego kraju? Zasada jest dobrą i piękną, lecz autor jéj należy do szkoły, która rządziła się i rządzi innym poglądem. Jéj dekalogiem jest raczéj: *vita Conradini mors Caroli*, a ztąd do zasadzek z poza węgła ulicy daleko bliżéj, niż do ambony. To téż zjawiający się nagle duch chrześciański tam, gdzie go przedtém nie było, wygląda jak wykręt adwokacki w odpowiedzi na zarzuty fachowe, najboleśniejsze dla oskarżonego; wykręt, który nie wmówi w nikogo, że kierownicy polityki berlińskiéj szukają dla niéj natchnień w Ewangelii. Nie wytłómaczy on zwłaszcza, jakim cudem czysta miłość pokoju wytworzyła takie położenie, że lada ostrzejszy zatarg międzynarodowy może odrazu powołać pod broń kilka milionów wojska, gotowego już dziś do wyruszenia na pierwszy rozkaz w pole. Nie ks. Bismarck temu winien, mówi jego adwokat, zawiniła tu wyłącznie próżność ks. Gorczakowa. Brak pomysłowości w wywodach szkoły powinienby nareszcie zwrócić uwagę jéj członków. Chyba to już objaw wielce chorobliwy.

Bezimienny chrześcianin nie podziela marzeń kolegi o ideałach i wybrzeżach, o prowincyach i obowiązkach moralnych, popartych tysiącami dział. On pamięta, że nie tak łatwo bywa otrzymać to, czegoby się chciało. „Gdzież rękojmia, zapytuje, że pobijemy na pewno tak świetną armię francuzką, i że Francya zaraz potém przyjmie pokornie i z wdzięcznością wyznaczone jéj dobrotliwie przez Niemcy stanowisko lennika w celach cywilizacyjnych?“ Nie spodziewa się również, aby Rossya cierpliwie stała na swych granicach z bronią u nogi, czekając aż Niemcy załatwią się z Francyą (s. 16). Natomiast liczy, jak stary dyplomata, na zjednanie życzliwości Rossyi, lecz zamilcza o lidze pokojowéj, o stosunku do Austryi, o jéj interesach na Wschodzie i wogóle o kwestyach drażliwych. Stojąc mocno na gruncie przykazań Bożych, ledwie dotyka ziemi i nie wydaje się nawet z tém, czy poprzestałby na życzliwości platonicznéj, czy też wolałby dla odosobnienia Francyi dać Rossyi czwarte miejsce w lidze, co oczywiście uczyniłoby zadość temu celowi. O Hekubie bulgarskiéj i odrobinie hercegowińskiéj w jéj stanie teraźniejszym, o ciągłych kredytach na wojsko i o niezmordowanéj pracy w fabrykach Kruppa, gdzie przecież szable nie przekuwają się na lemiesze,—jakby nic nigdy nie słyszał. Sami czytelnicy niemieccy uznali ten występ poli-

tyczny za płód zbyt filisterski („*das Werk eines materiellen Philisters*"), aby go można było brać poważnie w rachubę.

Komedya lojalności, żywo przypominająca skruchę wilka, wybierającego się utyć na pokucie, przyjęta została obojętnie i w prasie zagranicznéj. Metoda „frazesu" widocznie przykrzyć się już wszędzie zaczyna. Trudno tylko zgadnąć, co ją zastąpi, bo drogi nowéj polityki pałacu niemieckiego jeszcze nie przetarte. W zeszłorocznéj literaturze bezimiennéj ledwie dopiero zarysowały się gdzieniegdzie ścieżki, mające może wskazywać przyszły kierunek szerokiego gościńca. Niektóre z nich plączą się jeszcze bez ładu, czasem bez wyjścia, niekiedy zaś wkraczają ostatecznie na stare manowce. Jesteśmy świadkami jakby początków ewolucyi, która odbywa się głucho w opiniach, przygniecionych jeszcze całym naciskiem tradycyi, wniesionych do życia niemieckiego przez zwycięzców z pod Sadowy i z pod Sedanu. Oddziaływanie atoli bezczynnych, niby tymczasowo zahypnotyzowanych sił narodowych, przeciw przewadze pierwiastków pruskich, już objawia się— niedołężnie, niejasno, nieśmiało, ale objawia się niewątpliwie. Już, choćby ze stopniowego przechodzenia z pozycyi na pozycyę w stosunku do Francyi, widać, że w nowym pałacu, mimo napełniającéj go dusznéj atmosfery, jakiś powiew świeży wniósł trochę zdrowszego powietrza. Przypatrzmy się temu stopniowaniu, zacząwszy od pozycyi skrajnéj. Pseudonim Schultze tak naprzykład rozprawia się po junkiersku z francuzami: „Z tymi ludźmi, powiada on, niepodobna dać sobie rady w dobry sposób; można tylko dopiąć tego przemocą. A gdy ich zwalczymy, znam na nich jedyny środek: podzielić kraj na cztery równe części, każda z ludnością po 9,5 milionów. Jedną część niech dostaną Orleani, drugą Napoleon, trzecią komuna, czwarta zaś powinna pozostać przy dzisiejszéj respublice. Wtedy rzeczywiście będą się smażyli we własnym tłuszczu, a sąsiedzi zapewnią sobie spokój bez uszczerbku dla cywilizacyi zachodnio-europejskiéj" (*Ne quid nimis*. S. 79). Nie jest to tylko ciężki dowcip. Humorystyczna forma obejmuje tu treść, wyrażoną nieraz w mniéj przesadnym stylu, nie zapominając nawet o cywilizacyi zachodnio-europejskiéj, którą polityczni krawcy berlińscy tak zawsze mierzyli i mierzą, krajali i krają, aby dał się z niéj uszyć mundur pruski. Pewien natomiast objaw ruchu ewolucyjnego napotykamy w uwagach bezimiennego autora *Die Zukunft der Völker von Mitteleuropa*. Ten już nie chwali się postawieniem stopy niemieckiéj na Paryżu i nie każe skwarzyć się Francuzom we własnym tłuszczu; jest dla nich wysoce grzecznym, niezmiernie słodkim, prawie pokornym. Nie wątpi, że Francya gotuje się do wojny odwetowéj, lecz nie ma za to do niéj żalu; nie żąda też, aby odnowiła lub wzmocniła traktat frankfurcki,

i nie dziwiłby się, gdyby podobne żądanie odrzuciła, jako nieprzyzwoite. Nie powinnaby się jednak obrazić, gdyby inne jakie mocarstwa Europy środkowéj zaproponowały jéj wzajemne zobowiązanie się do zachowania postawy bezwarunkowo neutralnéj przez lat pięć, czyli ściśle od d. 1-go stycznia 1891 r. do d. 31-go grudnia 1895 r. Mocarstwa środkowe przyrzekłyby, że nie przeszkodzą jéj wcale prowadzić wojny w tym terminie, z kim zechce, bądź na własną rękę, bądź wspólnie ze sprzymierzeńcami; ze swéj zaś strony Francya przyrzeklaby mocarstwom, że i ona także nie będzie im przeszkadzała w prowadzeniu wojny, czy które z nich będzie walczyło pojedyńczo, czy to utworzą w tym celu związek (s. 59—60). Po upływie zaś lat pięciu rzeczy mogą wrócić do dawnego stanu.

Co znaczy tak krótki termin? Projektodawca tłómaczy go trudnością oddalenia wojny na czas dłuższy. Wszystkie narody są przekonane, że nadejść ona musi, i cieszą się z każdego dnia zwłoki; dla ich więc szczęścia należałoby liczbę tych dni powiększyć. Że te dobre chęci zebrał nie wśród naiwnych pasterzy arkadyjskich, to pewna; sam też czuje, że może być posądzony, i z góry nawraca niedowiarków: „Czytelnik francuski, mówi on, może pomyśli sobie: co za wybieg! jaka zabawka w chowanego! oddajcie nam poprostu Alzacyę i Lotaryngię, a będziecie mieli pokój w Europie środkowej, nie przez lat pięć, ale przez wieczność całą“ (s. 60). W istocie, takie postawienie kwestyi jest już wcale oryginalném. Dotychczas w podobnych rokowaniach jak najpilniej omijano rdzeń sporu; tutaj zaś od najdrażliwszego punktu rozpoczyna się dyskusya. Autor oświadcza, że gotów jest roztrząsać z zimną krwią poruszoną sprawę, czego, przyznaje, nie bywało jeszcze ze strony niemieckiéj. Garstka Francuzów kładła już za warunek pojednania zwrot Alzacyi i Lotaryngii. Zdaniem autora odrzéc wyrazem: nigdy! byłoby błędem. Nigdy – to żadna odpowiedź. Jeśli jeden z dwóch silnych przeciwników proponuje zakończenie sporu, w takim razie drugi, któremu dużo na tém zależy, aby spór zakończyć, powinien zastanowić się uważnie nad podanemi sobie warunkami. Proste ich odrzucenie dowodziłoby uporu i wzmacniałoby nieprzyjaźń. Wprawdzie niewielu jest jeszcze francuzów, skłonnych do wyrzeczenia się odwetu, należy jednak mieć wiarę, że losami narodów kierują ostatecznie nie namiętności gminu, ale wybrane umysły. Do jednego więc z takich przedstawicieli społeczeństwa zwraca się autor z poufną rozmową. Cóż łatwiejszego dla Niemców, utrzymuje francuski *l'homme éclairé*, jak oddać to, czego nie powinni byli brać wcale? Tak, odpowiada na to światły umysł niemiecki, łatwo byłoby dać dwie prowincye, gdyby korzyść wyrównywała stracie. Gdzież ta jednak pewna dla nas korzyść? W Niemczech wszyscy prawie

sądzą, że jeśli zwrócimy Francuzom Alzacyę i Lotaryngię, powiedzą oni sobie, żeśmy to uczynili ze strachu, poczém, zająwszy kraj, dogodny dla napadu na Niemcy, jednogłośnie zawołają: „teraz wybiła godzina odwetu!“ A gdy to usposobienie weźmie górę we Francyi, naród niemiecki przeklnie tych, którzy ściągnęli nań takie niebezpieczeństwo“. (S. 62). Daléj autor przechodzi na wdzięczniejsze pole dla dyskusyi. Jest to wypadek bezprzykładny w dziejach, mówi on, żeby dwa narody mogły sobie w takim stopniu szkodzić, pomimo, że nic nie mają do zyskania w razie zwycięztwa. Niéma też drugiego przykładu, aby dwa narody mogły sobie nawzajem tyle wyświadczyć dobrego w zakresie zadań duchowych i politycznych. Czyż nienawiść między niemi nie jest szaleństwem? Trzeba, żeby niemcy odzwyczaili się widzieć we Francyi wroga dziedzicznego, bo najprzód jest to fałszywym wnioskiem historycznym, a powtóre dziś każdy Niemiec uznaje wartość przyjaźni francuskiéj. Z drugiéj strony, ileżby zyskali i Francuzi, posiadając przyjaźń niemiecką, ileż tracą przedłużając ten zatarg nienaturalny i złowrogi! A cóżby wygrali na zgnębieniu Niemiec? Odebranie dwóch prowincyi nie wynagrodziłoby im podjętych zachodów; nie mogłoby zwłaszcza zrównoważyć opłakanych i dla saméj Francji skutków upadku państwa niemieckiego, którego poważne szczątki musiałyby znowu wrócić na tory dawnéj polityki. Powtórzyłby się zgoła taki stan rzecy, jaki istniał od r. 1815 do r. 1865, czy 1875, gdy Niemcy szły ręka w rękę z Rossyą przeciw Europie zachodniej. W chwili bieżącéj Francuzi gotowi są uczynić wiele poświęceń dla celów odwetowych, niech jednak pamiętają, że pozbawienie samodzielności Niemiec postawiłoby ich samych w bardzo niepomyślném położeniu (S. 64—67).

Nawracając w ten sposób sąsiada, autor, o ile zdaje się, jeszcze więcéj stara się wpłynąć na własnych ziomków. Dowodzą Niemcy np., że powodzenie Francyi wytworzy z niéj groźnego współzawodnika dla ich przemysłu i handlu. To prawda, ale i cóż ztąd? Cywilizacya żąda, aby każdy to otrzymywał, na co zasłużył; skoro zatém wyroby francuskie są lepsze od innych, nic słuszniejszego, że mają i że mieć będą przewagę nad wyrobami mniéj dobremi. Interes cywilizacyi wymaga też najusilniéj, aby narody, tak nieporównanie dopełniające się nawzajem, nie odgradzały się nieprzebytym murem zawziętości. Wszak cywilizacya niemiecka tyle zaczerpnęła z cywilizacyi francuskiéj, a i ta ostatnia mimowoli wchłania w siebie żywioły myśli i pracy niemieckiéj! Zgoda, słowem, przedstawia się tu, jako wynik najściślejszego rachunku; zgoda, nad wszystko pożądana, ze wszech miar uzasadniona, nad wszelki wyraz potrzebna; zgoda, choćby tylko na lat pięć!

Przeczytawszy ten istny romans o dwóch jakby stworzonych dla siebie sercach, światły Francuz niezawodnie jednak odpowie: Wszystko to bardzo ładnie, ale cóż będzie z naszym warunkiem, o którym, koniec końcem, nic się nie dowiadujemy? I najsurowsza, zabijająca krytyka romansu streści się w tych krótkich słowach; nowa bowiem ścieżka polityczna zatrzymuje się w połowie swego przeznaczenia, gubi się w abstrakcyach i, równie jak stare drogi, nie wyprowadza z labiryntu. Autor okazał się śmiałym tylko w postawieniu, lękliwym zaś, czy nie szczerym, w rozwiązywaniu kwestyi. Ma wszakże i tę jeszcze wyższość nad publicystami, o których była tu mowa, że, zabierając głos w imię idei, nie posługuje się przynajmniéj logiką i filozofią kameruńską,—a i to już postęp niemały...

Najdobitniejszym wyrazem tego postępu w produkcyi anonimów zeszłorocznych było pisemko p. t. *Post tenebras lux*. Rzadką zaletą jego jest to, że bez żadnych krzywizn zdąża do założonego sobie celu. Położenie tak się przedstawia: Niemcy bardzo nie życzą sobie wojować z Francuzami, uniknąć zaś tego mogą tylko za cenę zwrotu Alzacyi i Lotaryngii. Ofiara ogromna, zachodzi więc pytanie: czy tak wielkim kosztem warto jest okupić pokój. Autor sądzi, że warto, a przekonanie to odrazu rozstrzyga sprawę. Niemcy dla własnego dobra powinni wyrzéc się zdobyczy, narażającéj ich na wielkie niebezpieczeństwo. Nie idzie za tém, aby oddać ją darmo Francuzom, którzyby urządzili tam silny posterunek przeciw Niemcom. Ustępstwa w dobrowolnych układach powinny być obustronne i odpowiednie swemu zadaniu. Zamiast stanowić ciągły przedmiot waśni, niech dwie sporne prowincye będą na przyszłość rękojmią pokoju między Niemcami a Francyą, jako kraj samoistny, oddzielający oba państwa wałem neutralnym wraz z Luksemburgiem, Belgią i Szwajcaryą. Gdy to nastąpi, spory graniczne i pokusy najazdu ze strony jednego lub drugiego mocarstwa skończą się raz na zawsze. I oto całe lekarstwo na ciężką niemoc polityki bieżącéj.

Jak przyjmą doradzany środek Francyi, czy podoba się on Niemcom, szczegół ten mniéj nas obchodzi. Mieliśmy tu głównie na uwadze znamienne objawy, które, choć w przybliżeniu, pozwalają ocenić charakter dążeń i opinii państwowych, po za sferami urzędowemi i półurzędowemi nowego mocarstwa. Zjednoczenie Niemiec sprawiło bowiem w dziedzinie stosunków międzynarodowych przewrót, głębiéj i daléj sięgający, niżby wnosić można z pobieżnego obliczenia jego następstw. Że wpływowe stanowisko, zajmowane dawniéj przez Francyę, zajęły teraz Niemcy, nie znaczy to, iż przewaga polityczna w Europie przeniosła się tylko z jednego miejsca na drugie, czyli, że *le roi est mort, vive le roi!* Uznanie moralnego przewodnictwa

Francyi wyrabiało się w ciągu wieków; pracowały na to nie same wyłącznie głowy zdolnych dyplomatów, lub znakomitych strategów. Pierwszorzędną rolę w historyi zawdzięcza ona w przeważnéj części wielkim zasługom, jakie położyła we wszystkich kierunkach rozwoju ducha ludzkiego, światłu, jakie od niej płynęło na inne kraje, szlachetnym ideom, które tam najprzód budziły się do życia, tam rosły, kształciły się, dojrzewały i ztamtąd, jakby z ojczyzny swojéj, szły daléj. Uznanie zaś przewodnictwa dzisiejszych Niemiec samo narzuciło się światu, nagle i w postaci kataklizmu politycznego; nie pracownik je pozyskał, gromadząc zarobki przez lata i stulecia, lecz opanował żołnierz w ciągu kilku miesięcy szczęśliwéj wyprawy wojennéj; wziął je mieczem i ogniem, jak prowincye i miliardy. Poza tém prawem do pierwszeństwa dzieło ks. Bismarcka nie posiada żadnych praw innych, o ile poszukiwać ich będziemy w historyi właściwych zwycięzców, to jest pod sztandarem pruskim. Gorzéj, bo w historyi téj możnaby raczéj znaleźć wiele pobudek etycznych do protestu przeciw czynom dokonanym.

Prócz tego, doniosłemi są i praktyczne skutki przewrotu. Przed zjednoczeniem Niemiec, istniało jeszcze zaciekłe współzawodnictwo Prus z Austryą, wpływające, jako czynnik kardynalny, na wszystkie ważniejsze wypadki, jakie zaszły w Europie w ciągu lat stu pięćdziesięciu. Teraz czynnik ten ubył niepowrotnie, a z nim i możność różnych kombinacyi politycznych, budowanych niegdyś na téj podstawie. Trudno sobie wyobrazić doprawdy, jakby się były ułożyły stosunki narodowe i jakąby dzisiaj miały postać, gdyby na szalę ważących się losów nie rzucały naprzemian Prusy, to Austrya, swojéj podejrzliwości, lub chęci zaszkodzenia współzawodnikowi. Szczere pojednanie było dla obu państw niemożliwém nawet w chwilach, gdy występowały razem, jako sprzymierzone; krótkotrwałe związki kończyły się zwykle większém jeszcze rozdrażnieniem, a zdrada poczytywana była niemal za chwalebny akt roztropności. Mimo uwielbienia, jakie w młodszych latach żywił cesarz Józef II dla Fryderyka Wielkiego, antagonizm między państwami nie przestawał zaostrzać się, owszem, sprawił to, że osobista sympatya monarchy przerodziła się wkrótce w nienawiść. Kiedy na schyłku zeszłego wieku zanosiło się, na wojnę Rossyi i Austryi z Turcyą, Thugut otwarcie wyznawał przed cesarzową Katarzyną, że daleko więcéj lęka się Prus, z któremi Austrya wspólnie wówczas walczyła przeciw Francyi, niż wroga tureckiego. O naród niemiecki nikt nie dbał naprawdę; przeciwnie, gdy nastręczyła się sposobność przywłaszczenia ziem niemieckich, Prusy nie zawahały się skrzywdzić braci, zapewniwszy sobie bezkarność odstępstwem i zjednaniem protekcyi zwycięzkiego ich nieprzyjaciela.

Słynny historyk pruski powiada na usprawiedliwienie tych niezaszczytnych faktów, że prawdziwego patryotyzmu nigdzie wówczas nie było. Może, — ale w takim razie i o dziejowém posłannictwie Prus względem Niemiec mowy być nie powinno. Powodowano się tylko egoizmem ciasnym, przynosząc mu na ofiarę pomyślność ogółu narodowego. Z chwilą atoli, gdy długi bój zakończył się wreszcie pognębieniem jednego z przeciwników, zmieniły się odrazu punkta ciężkości, około których grupowały się dawne przymierza. Komu zdaje się, że przeszłość ta powtórzyć się może, ten powierzchownie tylko zapatruje się na znaczenie dramatu, uwieńczonego krwawym epilogiem pod Sadową i apoteozą w Wersalu, oznajmującą *urbi et orbi* o wskrzeszeniu cesarskiéj korony niemieckiéj, przeznaczonéj zdobić odtąd czoło Hohenzollernów. W oczach naszych na grobie współzawodnictwa prusko-austryackiego powstaje całkiem inne zjawisko: olbrzymia liga militarna, jakiéj nigdy jeszcze nie bywało. Wśród zupełnego na pozór pokoju i w czasie, gdy *casus belli* wymyślićby mogła chyba tylko fantazya, lub szykana, słyszymy namiętne nawoływania do walki milionów z milionami i widzimy na czele zastępów, gotowych ją rozpocząć, dwóch zbratanych, a nie dawno jeszcze śmiertelnych wrogów, stojących dziś obok siebie ramię przy ramieniu i miecz przy mieczu. Głośno, coraz głośniéj mówi się już teraz o nieuniknionéj konieczności zapasów między światem germańskim a światem słowiańskim; przyczém, niezależnie od osób, kierujących polityką, pozostaje w całéj sile „dawny kurs“, który każe obecnie czuwać w Berlinie nad „wielkopaństwowém stanowiskiem Austryi“, z takąż gorliwością, z jaką starano się przedtém osłabiać ją i niszczyć. Tylko nałóg do kuglarstwa politycznego wymyśla jeszcze baśnie o sfałszowaniu dokumentów bulgarskich przez panslawistów, o ambicyach Gorczakowa i t. p., ale są to podobno zamierające już odruchy szkoły, któréj wyrosły po nad głowę zdarzenia.

Drugi skutek praktyczny zlania się społeczeństw niemieckich w jeden kształt państwowy był może najmniéj oczekiwany, zwłaszcza przez prusaków, którzy, stanąwszy u szczytu swoich powodzeń, znaleźli się w szczególném położeniu. Stworzyli bowiem przyszłość niemiecką, lecz zarazem podkopali samodzielną przyszłość pruską w sposób bardziéj stanowczy, niż zapewne odczuwa to dzisiejsze pokolenie zwycięzców, okryte wawrzynami i z tego powodu uważające się poniekąd za właściciela anektowanych krajów. W rzeczy saméj jednak w nowém cesarstwie, jak już wyżéj nadmieniliśmy, rządzić będzie można z czasem tylko po europejsku, nie zaś według samolubnych a drapieżnych instynktów. Na taki dziwny skutek ostatniego zaboru niéma zgoła rady. Nie pomoże tu żaden system germanizacyjny,

owszem, zwrócić się on musi właśnie przeciw swoim wynalazcom i daleko pewniéj, niż słowian, zniemczy nakoniec prusaków. Będzie to jedyna germanizacya prawowita, mądra i błogosławiona w swoich owocach; germanizacya, która uwolni Europę od jednej klęski, a powiększy natomiast rodzinę ludów cywilizowanych o jedną latorośl, zasilaną ciągle najżywotniejszemi sokami kultury, wykształconą i rozwiniętą społecznie w znacznym stopniu,—a jednak politycznie zdziczałą. W przeglądzie niniejszym aspiracyi indywidualnych i ruchów opinii niezawisłéj, wskazywaliśmy charakterystyczne objawy tego zdziczenia, bezstronnie téż zaznaczyliśmy niepewne, ledwie dostrzegalne, przebłyski myśli, płynącéj z czystszych źródeł. Widać tu jeszcze niezmierną przewagę bezwzględnego sobkostwa nad poczuciem sprawiedliwości i dobrém zrozumieniem prawdziwych „obowiązków moralnych“ państwa oświeconego. Tryumfator sedański, który z taką pychą mianuje siebie Godfredem cywilizacyi naszego lądu, śpieszącym na krucyatę *gegen das Slaventum*, zapomina, że solidarność „europejska“ w swém szlachetném znaczeniu wcześniéj zjawiła się na ziemi polskiéj, niż w Prusach.

Bo trzebaż nakoniec zdać sobie sprawę, co należy rozumieć przez cywilizacyę w stosunkach jednego kraju z drugim? Jeśli ideałem wspólnego pożycia ludów chrześciańskich ma być to, co być rzeczywiście powinno; jeśli wyraża się on w poszanowaniu praw cudzych i własnego honoru, w łączności wszystkich dążeń rozumnych i zacnych, gdziekolwiek one biorą swój początek, w braterskiém współczuciu i w rzetelném współdziałaniu ciał zbiorowych, — to rachunek historyczny, dokonany według takiéj zasady, nie wypadnie pomyślnie dla dziedziców spuścizny wielko-elektorskiéj. Dość jest postawić znane wiarolomstwo i gwałty lennika, wyzyskującego niedolę zwierzchniczego państwa, za rządów Jana Kazimierza, obok faktu, że w tymże samym czasie kraj polski, zewsząd napastowany, a z nikąd nie otrzymujący pomocy, podzielił się ostatnim groszem z biedniejszym, jak mniemał, od siebie cudzoziemcem. Suche opowiadanie kronikarza starczy w tém miejscu za historyozofię: „...Papież, mówi on, w odpowiedzi (na prośbę zasiłku pieniężnego) przysłał Janowi Kazimierzowi relikwie i podarki, wraz z błogosławieństwem apostolskiém i pełnym odpustem dla tych, co się na wojnę wyprawią, lecz oświadczył, że skarbnica św. Piotra równie wycieńczona. Źle przyjęli list papieski senatorowie, a odmowę Papieża poczytali za zniewagę... Cesarz Ferdynand III odpowiedział pokrótce, że teraz sam w największéj zostaje potrzebie i stara się napełnić próżny skarb austryacki... Tak tedy ni zachód, ni południe nie przyszły Polsce na pomoc, mówi kronikarz. Przy samém otwarciu sejmu przybył do Warszawy poseł Karola II króla angielskiego, Jan hrabia

Krafft (z prośbą o ratunek)... Panowie polscy okazali wielką żałość..., u wszystkich prawie łzy były w oczach, aż się rozstali, odłożywszy na następujący dzień posiedzenie. Następującego dnia z rana *pierwszy wniosek był o posiłkach królowi angielskiemu* i jednogłośnie przystano na następne zdanie: chociaż Polska znajduje się w ciężkich utrapieniach, należy jednak pomódz niewinnemu królowi angielskiemu". (*Rudawski* T. I. S. 121—123. Zobacz także: *Volumina legum* T. IV. S. 154, wydanie petersburskie. 1859 r.) Tak w wieku XVII pojmowano obywatelstwo europejskie w kraju, szarpanym i łupionym po barbarzyńsku przez protoplastę nowoczesnych Godfredów do wspólki z najezdzcą szwedkim.

Alboż to zresztą wypadek jedyny? Mamyż przypominać, jak Polacy, nie pozbywszy się wroga we własnym kraju, szli w dalekie strony ratować nietylko chrześciaństwo, ale cesarstwo niemieckie, podczas gdy w Prusach wzrastała coraz bujniej mądrość stanu, uznająca, jeśli nie w teoryi, to w praktyce, jako najwyższą zasadę: *Mors Conradini vita Caroli?* Czyż sięgniemy pamięcią w późniejsze czasy, aby uprzytomnić sobie, o ile prawdziwszym europejczykiem okazał się naród, skazany przez autora *Videant consules* na częściowe pozbawienie możności życia, naród, który na początku bieżącego wieku zrzekł się był nadziei swego ocalenia, byle nie popełnić zdrady, gdy, jednocześnie cywilizowani Prusacy, odstępując pokonanego sprzymierzeńca, przeszli bez skrupułu na stronę nieprzyjaciela?

Dopóki mowa o zdobyczach wojennych, o podstępach dyplomatycznych, o dobrodziejstwach militaryzmu, póty szkoła staropruska żądać może, aby jéj uważnie słuchano. Ale rozsądnie uczyni, jeśli z największą ostrożnością dotykać będzie wszelkich ludzkich ideałów, przewodniczących cywilizacyi powszechnéj. Kiedyś może *il y aura des juges à Berlin* i pod tym względem, wprzód jednak należy odbyć przed własném sumieniem spowiedź jeneralną, poddać ścisłéj rewizyi swoją historyę, oczyścić skarbiec tradycyi elektrorskich i królewsko-pruskich z kąkolu, którego zasiewy głuszą na glebach niemieckich plon dobrego ziarna,—a już potém rościć pretensyę do tytułu przedstawiciela interesów europejskich. Stanowisko to niedostępne dla zaborców i kulturtregerów; nie daje na nie przywileju spryt agentów, liczba wojsk i suma nabytków terytoryalnych. Trzeba na to zasłużyć się ludzkości...

* * *

ŹRÓDŁA

do dziejów literatury i oświaty polskiéj.

I.

Kazania średniowieczne.

Badając życie wewnętrzne, codzienne, domowe dawnéj Polski, odczuwamy na każdym kroku dotkliwy brak źródeł. Literatury pięknéj, któraby choć idealne obrazy kreśliła, nie posiadamy; ledwie z dwóch, ostatniemi laty odkrytych, wierszów piętnastego wieku (z dyalogu o śmierci i z wiersza o zachowaniu się przy stole) kilka szczegółów wyrozumieć można. Kroniki i Długosz zaczepiają o to życie tylko mimochodem, przypadkowo; to samo powiedzieć można o rozmaitych nadaniach i przywilejach, licznych wprawdzie, ale jednostronnych; należy się więc udawać po wyjaśnienia życia naszych przodków do wilkierzy miejskich, do rachunków dworskich.

Oprócz tego istnieje jeszcze jedno źródło, które u nas dotąd zupełnie pomijano, a które, acz nie zbyt obfite, zasługuje przecież na uwagę: źródłem tém są pomniki średniowiecznego kaznodziejstwa.

W innych krajach, np. we Francyi, mimo olbrzymiego zasobu źródeł wszelkiego rodzaju, nie zapomniano i o kaznodziejstwie. Tak np. mamy w dwóch wydaniach piękne dzieło p. A. Lecoy de la Marche („La chaire française au moyen âge spécialement au XIII-e siècle d' après les manuscrits contemporains"), które znakomicie cały przed-

miot oświeciło. Dzieła niemieckie tego rodzaju są nieco odmiennego zakroju, badają raczéj zewnętrzną stronę przedmiotu, kreślą rozwój kaznodziejstwa, nie charakteryzując na jego podstawie epoki saméj; z szeregu sumiennych prac wymienimy tylko najnowsze, R. Cruel „Geschichte der deutschen Predigt im Mittelalter" 1879 i A. Linsenmayer „Geschichte der Predigt in Deutschland von Karl den Grossen bis zum Ausgange des XIV Jahrhundertes" 1886.

U nas, oprócz dorywczych wzmianek u Wiszniewskiego i innych, podobnego studyum dotąd nie było. I rzeczywiście nie bardzo ono ponętne. Nie każdy się zdecyduje wertować kilkadziesiąt rękopisów, bo w drukach u nas prawie nic niéma, rękopisów, często raczéj gryzmolonych niż pisanych, przechowanych nieraz bardzo źle, cuchnących pleśnią i pyłem wieków; z kart, przeżartych złym inkaustem, zostają w ręku strzępy, gdy je przewracasz, albo tak są zbutwiałe, że je ostrożnie rozlepiać musisz. A cóż dopiero mówić o ich treści! Przebijając się przez nieudolną łacinę i przez gęste sploty ciągłych cytat z Pisma św. i Ojców Kościoła, spostrzegasz tylko brak własnéj myśli, ciągłe powtarzania poprzedników, subtelne mistyczne dociekania, które nikogo zbudować nie mogą, naciągane gwałtem porównania, szereg starych historyjek, których, jak cytat, dostarczały licznie osobne zbiory, niby małe encyklopedye teologiczne, nakoniec dziwaczne etymologie, objaśnianie nazw i słów, które z ówczesnych słowników czerpano. Ślepa wiara we wszelki autorytet, czyli poprostu w pismo, zupełny brak samoistności, mania kompilacyi, wycisnęły swoje piętno na téj gałęzi literatury średniowiecznéj u nas bardziéj, niż gdzieindziéj, ponieważ nie posiadamy starszych zabytków, z czasów, gdy te błędy nie były jeszcze tak upowszechnione. Pomniki naszego kaznodziejstwa należą głównie do piętnastego wieku, to znaczy do epoki, w któréj kaznodziejstwo średniowieczne zupełnie się wyradzało i upadało.

Ale od tego ciemnego tła odbijają tém jaśniéj szczegóły, wycieczki, wzmianki, w których kaznodzieja, opuszczając na krótko mistykę, etymologią i cytaty, zawadza o życie codzienne i przemawia w imię sumienia, prawdy, rozumu i wiary przeciw różnorodnym występkom, nadużyciom, przesądom i wadom. Takie-to ustępy, często niestety ginące w powodzi obojętnych i zbędnych, stają się cennemi przyczynkami do dziejów oświaty i obyczajów, guseł i zabobonów średniowiecznych. Zobaczymy niżéj, jakie między innemi ważne szczegóły dla pierwotnéj mitologii polskiéj z kazań tych wydobyć można.

Przy korzystaniu ze źródeł tego rodzaju należy jednak baczyć starannie na dwie okoliczności. Nieraz kaznodzieja w Polsce powtarza to, co mogło mieć tylko zastosowanie w krajach obcych, w in-

nych zupełnie stosunkach i czasach. On, idąc za źródłem obcém, na takie różnice nie zważa; podaje wszystko, co w niém znalazł, czy to miejscowym warunkom odpowiada, czy też nie; nam zaś podobnéj omyłki dopuszczać się nie wolno. Są ustępy w kazaniach, w których wyliczają się różne rodzaje czarowników, mówi się o „lekownikach, czasownikach, świętoguślnikach, zaklinaczach, nawęzaczach, czasoguślnikach, ptakoprawnikach, sennikach, badaczach, wróżnikach"; a jednak wszystkich tych kategoryi w Polsce wcale nie było. Ksiądz tłómaczył tylko, jak mógł, łacińskie wyrazy: arioli, haruspices i t. d. Podobnie ma się rzecz z wytykaniem pojedyńczych grzechów, np. przeciw szóstemu przykazaniu: w Polsce średniowiecznéj nie było owéj rozwiązłości obyczajów, jaka zdawałaby się wynikać z nieustannych przeciw niéj nawoływań; tylko kaznodzieja przejmował się duchem źródeł swoich, odnoszących się do zepsutszych wieków i ludów. Powtóre: nie zapominajmy, że kaznodzieja, zarówno, jak satyryk, nie pobłaża społeczeństwu, lecz wytyka ciągle same tylko ujemne jego strony, nie szczędząc ani barw jaskrawych, ani rysów przesadnych. Nie trzeba też dosłownie wierzyć, że podczas „dyngowania" (w poniedziałki i wtorki wielkanocne) wielu się topiło i t. p.

W liczbie powodów, które dotąd od badań na tém polu odstręczały, był może i obcy język tych źródeł; nie wiedziano o tém lub nie zważano, że wszystkie kazania w wieku piętnastym wprawdzie spisywano po łacinie, ale największą ich część tylko w języku narodowym, a więc u nas po polsku (lub miejscami, jak w Krakowie, Lwowie i indziéj, także i po niemiecku) wygłaszano. W historyi kaznodziejstwa francuskiego i niemieckiego jest to już fakt, stwierdzony badaniami p. Lecoy i Cruel od lat kilkunastu; tak było i u nas. W wiekach wcześniejszych, kiedy głębsza znajomość łaciny mniéj była między duchowieństwem rozpowszechniona, spisywano kazania w języku narodowym; my posiadamy np. dwa zbiorki kazań po polsku z czternastego wieku; w wieku piętnastym, gdy przy liczniejszych i lepszych szkołach, przy znacznie większym zasobie rękopisów, przez działanie akademii, duchowieństwo po łacinie i więcéj, i lepiéj umiało, ustaje spisywanie kazań po polsku. Nie odszukano też dotąd ani jednego zbiorku kazań polskich z wieku piętnastego; natomiast posiadamy kilkadziesiąt zbiorów swoich i obcych autorów w kilkuset odpisach po łacinie. Podobny fakt, z tychże samych powodów, można i w literaturze niemieckiéj stwierdzić. I nie dziw! Kazań w całéj rozciągłości ich brzmienia zazwyczaj nie spisywano, raczéj notowano tylko następstwo myśli i cytaty, podawano więc raczéj szemat, szkielet kazania, który na kazalnicy dopiero wypełniano i zaokrąglano. Otóż cytaty zawsze i wszędzie tylko po łacinie pisano, a i dla

spisania reszty szkicu nadawał się o wiele lepiéj lakoniczny niemal język łaciński, z wyrobioną terminologią, z wyrobionym subtelnie systematem skróconéj pisowni, niż którykolwiek język narodowy, zwłaszcza polski z nieudolną pisownią i niedołężną terminologią. Spisywał więc ksiądz kazania po łacinie, zalecając się równocześnie światu swoją znajomością języka, rozumianego i używanego na całym zachodzie; ale mówić kazanie mógł tylko w języku narodowym, bo inaczéj przez niewielu z nader licznych słuchaczów był zrozumianym. Po łacinie mówiono kazania tylko przed wyłącznem audytoryum, a więc w Krakowie przed żakami i mistrzami uniwersytetu, albo gdziekolwiek na synodzie przed zebranem duchowieństwem; zresztą nawet po klasztorach w wieku piętnastym po łacinie zwykle nie kazano.

Ogólne to rozumowanie możemy poprzeć niezbitemi dowodami, dla naszych celów wystarczającemi. Posiadamy w kilku odpisach zbiór kazań całorocznych pióra Łukasza z Wielkiego Koźmina z początków piętnastego wieku. Wydane są one w języku łacińskim, ale w przedmowie dedykacyjnéj do biskupa poznańskiego, Wojciecha, ksiądz Łukasz wyraźnie zaznacza, że kazania te miewał w języku ludowym (vulgaris). Jeszcze liczniejsze są odpisy postyli Mikołaja, syna Wiganda, dziekana przemyskiego, z tegoż czasu; w przedmowie do biskupa Macieja tak samo wyrażono, że to tylko redakcya kazań, mianych w języku ludowym. Ileż-to razy mówi inny kaznodzieja, z końca piętnastego wieku, Michał z Janowca: tę ewangielię powiem wam „prostym wykładem", ale tego prostego, t. j. polskiego wykładu, w odpisach nigdzie niéma. Inny ksiądz zaczyna kazanie od słów Magnificat i t. d., bo cytatę z Pisma św. należało zawsze najpierw po łacinie przytoczyć, potém zaś mówi: w tych słowach, które wam najprzód powiedziałem w języku łacińskim i t. d.; ztąd widać, że musiał mówić po polsku, chociaż wszystko po łacinie napisał (in his verbis quae idiomate praedixi latinico i t. d.). Przypomina to św. Bonawenturę, który, w Paryżu każąc (r. 1273), zaczyna od życzenia, aby jego niedokładna znajomość języka francuskiego nie zmniejszyła wrażenia słów jego; tymczasem słowa te doszły nas tylko w redakcyi łacińskiéj. Inny ksiądz, który wypisał wstęp do kazania po polsku, każe słuchać „wykładu świętéj ewangeliej z łacińskiego języka w polski", ale zaraz potém następuje tekst, tylko łaciński. Tego samego dowodzą daléj słowa lub całe zwroty polskie, które przerywają tok pisma łacińskiego. Nie makaronizował tu ksiądz, nie mieszał łaciny i polszczyzny na kazalnicy—bo i podobną niedorzeczność przypuszczano,— tylko zachował w łacińskiém powtórzeniu energiczny zwrot polski lub rzadsze wyrażenie. Dowodzą tego nakoniec owe liczne głosy polskie, wpisywane między linie lub po bokach kodeksów, szczególnie przy

lekcyach z Pisma św, by się w wyborze słów nie wahano, gdy lekcyę tłumaczono, bynajmniéj zaś nie dlatego, aby łaciński tekst lepiéj rozumiano, bo z kazań dopiero nikt się łaciny nie uczył. Wyjaśniwszy więc, jakiego języka kaznodzieja na kazalnicy a jakiego przy pisemnéj redakcyi używał, dodamy jeszcze kilka rysów dla określenia téj gałęzi literatury średniowiecznéj, obfitszéj niż wszelka inna. Przy nader powolnym rozwoju, jaki charakteryzuje całe średniowieczne społeczeństwo polskie, które o wiek jeden późniéj, niż np. pobratymcze czeskie, w życiu umysłowém zachodu udział brać poczęło, nie dziw, że i kaznodziejstwo późno a słabo się u nas rozwija. U Czechów druga połowa czternastego stulecia jest epoką znakomitych kaznodziei, Waldhausera, Milicza i innych; u nas w trzynastém i czternastém stuleciu kiełkują dopiero początki a rozwijają się w piętnastém; Marcina z Opawy z trzynastego wieku nie do naszych ziomków, ale, wedle jego własnego zeznania, do Czechów raczéj zaliczać musimy; Peregryn, z początku czternastego wieku, pochodzi z Lignicy, więc nie jest Polakiem. A i w piętnastym wieku kaznodziejstwo nasze takiego rozgłosu, jak np. czeskie, nie nabrało; nie przepisywano tak zbiorów naszych, jak np. postylę Waldhausera; jedynie niemal kazania Mikołaja z Błonia doczekały się uznania i wydań zagranicznych. Między autorami kazań polskich znajdujemy częściéj księży świeckich, niż zakonnych, gdy w Niemczech zachodzi stosunek przeciwny. Co świadczy, jak mało duchowieństwo zakonne wtedy u nas do nauk się przykładało, będąc w części zawsze jeszcze obcego pochodzenia. Obok świeckich, jak Łukasz z Koźmina, Mikołaj Wigandi i inni, obok kilku mistrzów krakowskich, napotykamy niewielu zakonników, a w ich liczbie dominikanina Pawła z Zatora, kamedułę Hieronima z Pragi, zakonnika trzemeszeńskiego z Janowca. Większość tych autorów, to zupełnie niesamoistni kompilatorowie; taki Mikołaj Wigandi np. zapewnia w przedmowie, że swego jak najmniéj dodawał. Jeden przepisuje drugiego: Łukasz z Koźmina, każąc na temat o godach w Kanie Galilejskiéj, zastanawia się nad wyrazem polskim swadźba (wesele) i podaje cztery rozmaite jego wywody, które następnie powtarzają się ciągle w zbiorach innych kaznodziei, np. Jana ze Słupca, bo pojęcie własności literackiéj obcém było owym ludziom, pracującym nie dla sławy, ani dla korzyści osobistéj. Jedni z nich, np. Łukasz, Mikołaj Wigandi i inni, nie chcą niemal nic wiedzieć o życiu codziennem i jego zjawiskach, nie dają téż nam żadnych w téj mierze skazówek; inni natomiast wskazują często na to, co przed ich oczami się dzieje. Niektórzy każą z całym zasobem uczoności średniowiecznéj tak abstrakcyjnie, że z samego toku ich kazań nie łatwo by się domyślić, w jakich wiekach lub wśród jakich

ludów żyli, jak np. niejeden mistrz krakowski, Stanisław ze Skalmierza i inni. Drudzy znowuż, szczególniéj po mniejszych miastach albo po wsiach, schodzą często z wyżyn mistyki i subtelności do prostaczków, mówią i myślą jak oni, strofują ich lub z nich szydzą. Te kazania są dla nas najciekawsze. Kaznodzieje ci lubią wiersze (szczególniéj Jan ze Słupca): obok łacińskich przytaczają nieraz i polskie, które może czasem sami ukuli; gdy wykładają dziesięcioro przykazań biorą niemal zawsze tekst rymowany. Pieśni kościelne wpisują w całości w owe zbiory, wzywając wiernych do wtórowania. W liczbie tych pieśni znajduje się „Chrystus zmartwychwstał jest" i inne na Wielkanoc, na Boże Narodzenie, o Duchu św. W kodeksie kazań, przepisanych w r. 1462, czytamy: „śpiewając pobożnym sercem na chwałę i cześć Jéj pieśń Bogarodzicę, którą pieśń dawno Ojcowie święci złożyli, mówiąc tak: „Bogarodzica dziewica" — aż do końca; w jednym z kodeksów mogilnickich również tylko ten początek tekstu wypisany. Przytaczanie powieści budujących a nieraz wcale nie budujących, tak zwanych exempla, przykładów, niemal do reguły należy; spotykamy tu najczęściéj dobrych znajomych, opowiadania z Barlaama i Jozafata, z „Gesta Romanorum" i podobnych zbiorów, nieraz nawet nowela Bocaccia się zabłąka; daléj bajki np. o mrówce i koniku polnym i inne; jeszcze częściéj porównania właściwości ludzi, mianowicie grzeszników, z właściwościami zwierząt lub roślin, potwornie wymyślonemi, a jeszcze potworniéj wykładanemi; materyał do tego czerpany bywa z tak zwanych fizyologów, z książki o ptakach i innych.

Cały szereg innych pytań, o wzorach tych kazań, o ich budowie i rozmiarach, o czasie, kiedy, i miejscu, gdzie je wygłaszano, o kaznodziejach samych, o przechowanych zbiorach, o autorach zbiorów, pominąć tutaj musimy. Również nie będziemy czytelnika nużyli dokładnemi cytatami. Wracamy do naszego założenia, do przyczynków, wynikających z tego nowego źródła, dla charakterystyki obyczajów i wierzeń narodowych.

Najgorliwiéj walczą kaznodzieje przeciw resztkom pogaństwa i rozmaitym zabobonom, przestrzegając wiernych przed temi sidłami szatańskiemi, strasząc ich karami wiecznemi za te bluźnierstwa przeciw Bogu, za te grzechy przeciw Duchowi świętemu. Wyliczają oni nieraz całe szeregi zabobonów; my, idąc za nimi, wymienimy jako najciekawsze te, które ślady pogaństwa polskiego wybitnie zachowały, osobno zaś wskażemy te, które, choć nieraz również czasów pogaństwa sięgają, przekształciły się pod wpływem chrześciaństwa, powtarzają się w całéj Europie w téj saméj lub mało odmiennéj formie.

Długosz, opisując polski Olimp, umieścił na nim Jeszę, jako Jowisza, rozdawcę szczęścia i losu, daléj Ładę, jako Marsa, udzielającego zwycięztwa, rozżarzającego męztwo. Mitologowie nasi z tradycyą tą uporać się nie mogli, Jesza pozostał dla nich zagadką, Ładzie zaś obmyślali wszelkie inne role, tylko nie boga wojny. Świadectwo Długosza potwierdza niezawisły od niego świadek z połowy piętnastego wieku, anonim kaznodzieja, którego dla krótkości literą A. oznaczamy. Skarży się on, że „polacy jeszcze zawsze około Zielonych Świąt, czcząc bożków (idola) *Alado gardzina Iesse*, większą im cześć oddają, niżeli Bogu, bo dziewczęta, które przez cały rok do kościoła nie przychodzą modlić się Bogu, wówczas idą służyć bożkom". Cześć tę okazywano, tańcząc w koło i odśpiewując dawne pieśni obrzędowe, w których nazwy bożków wymieniano; *A lado gardzina* są takim przyśpiewem, dlatego formy tych nazw przechowane w wołaczu; *gardzina, czeskie hrdina*, od *gardy (hardy, hrdy)*, oznacza bohatera i dowodzi wojowniczości Łady. Że właśnie podczas Zielonych Świąt powtarzały się te obrzędowe pląsy i pieśni, świadczy wyraźnie Długosz, mówiąc o stadzie, a także twierdzi to inny kaznodzieja anonim,—zowiemy go dla krótkości B.,—w tych słowach: „grzeszą ci, którzy w dni Zielonych Świątek urządzają zabawy pogańskie z wymienianiem demonów (cum denominationibus demonum) lub ci, którzy (wtedy) w domu spać nie chcą, albo z ludźmi nie rozmawiają, albo boso chodzą, jakby inaczéj zbawieni być nie mogli". O Jeszy i Ładzie pomówimy jeszcze kiedyś obszerniéj.

Że Polacy czcili bóstwo domowe, dające bogactwa (nazwane późniéj latawcem, skrzatkiem lub inaczéj), było wiadomo, ale najdawniejszą i najdokładniejszą relacyę podaje ów anonim B. Według niego, niektórzy nie zmywają mis po wieczerzy w Wielki Czwartek (w drugiém miejscu mówi tylko: we czwartek) aby karmić dusze lub „*uboże*"; inni zostawiają umyślnie okruchy na misach, jakby dla pokarmu dusz lub jakiegoś bóstwa (demonium), które w ludowym języku „*uboże*" zowią. Ależ to bardzo śmieszne, mówi anonim, bo myślą często ludzie głupi i próżni, że co oni zostawili, zjadło uboże, które oni pielęgnują dla szczęścia, podczas gdy to często jaki pies bez ich wiedzy pożre. Nazwisko „uboże" nie było nam obce, Malecki w liście do Sabina z r. 1553 podał je był jako nazwę białoruską dla tego samego domowego bóstwa.

O znanem wyprowadzaniu śmierci wspomina, niestety, tylko pobieżnie anonim B. Podług obrzędu pogańskiego wyprowadzają z granic wsi jakąś figurę, zowiąc ją śmiercią, przy czém śpiewają. W ustawach synodu poznańskiego (około 1420 r.) mamy dokładniejsze oznaczenie: działo się to w Białą Niedzielę, figurę wrzucano w błoto.

Michał z Janowca nakoniec użycza następnego ważnego przyczynku: w Wielką Środę, mówi on dosłownie, trzeba parafian upominać, by nie palili stosów, tak zwanych gromadek, wedle obrzędu pogańskiego, na pamiątkę dusz sobie miłych. Kłamią ci, którzy twierdzą, że dusze do tego ognia przystępują i tam się grzeją. Gdyż nikt nie wychodzi z tych, którzy tam raz weszli. Dodajemy, że jeźli duszom ogień dla ogrzania niecono, chłód był, gdzie przebywały,—nie obeszło się więc i bez ofiary pokarmów i napojów; podobny zwyczaj istniał na Rusi około tegoż czasu.

Przejdziemy teraz do napół chrześciańskich wierzeń i guseł, układając je wedle następstwa świąt, z któremi się wiążą. Zaczynamy od Bożego Narodzenia. Wedle anonima B., w nocy ognia nawzajem nie pożyczają (u anonima A. zły jest zwyczaj odmawiać ognia sąsiadom w Wielki Piątek lub Sobotę, u anonima B. na innem miejscu: w piątki), proszą, by tylko pewne osoby, które za szczęśliwe uchodzą, pierwsze w ich dom wchodziły, aby sami szczęśliwymi zostali; inni zapraszają wilki, jakby na śniadanie, by owce od wilczych kłów uchować; ale na innem miejscu twierdzi, że wtedy nazwy wilka wymówić się nie godzi; niektórzy wysiewają okruchy wilii, by pietruszkę mieli. Na Nowy rok pastuch rozdaje gałęzie, których się gołą ręką nie bierze, wypędza się niemi potém bydło (gołą ręką nie bierze się też uzdy, kupując konia, ani dobija się jakiejkolwiek umowy, tylko zawsze przez suknię).

Na Gromniczną obchodzą ze święconemi świecami dom i bydło, wycinają krowom sierść na kształt krzyża i palą, wróżą o szczęściu lub nieszczęściu z tego, czy świecę do domu gorejącą doniosą i jak okapuje wosk. Wedle anonima A. „nie dla tego nosimy dziś te świece święcone, jak niektórzy myślą, by grady rozpędzały, dla czego je gromnicami zowią, ani też święcą ich dla tego, byście włosy sobie palili dla usunięcia bólu głowy". Inny jeszcze kaznodzieja wspomina, że ciężko grzeszą kobiety, które temi świecami czary i zaklinania odprawiają.

Podczas zapust (i wcześniéj, na Nowy rok już) chodziła młodzież, przebrana za konie, jelenie, tury, narzuciwszy na siebie skóry zwierząt, nasadziwszy ich łby, tańcząc i śpiewając, zbierając grosze. Jest to zwyczaj ogólny, przeciw któremu od najdawniejszych czasów wszędzie powstają kaznodzieje i przepisy kościelne, wyłączające takowych kuglarzy „kobylników" od Sakramentu ołtarza; wzmianki znajdujemy np. u św. Augustyna, u Michała z Janowca czytamy też: „napominam was usilnie, byście nie chodzili z kobylicą, a jeźli z innych parafij do was przyjdą, nie dawajcie im kwartników, a nakazuję to pod groźbą klątwy". Synod poznański wspomina i o przebieraniu się mężczyzn za kobiety i odwrotnie.

Popiół popielcowy wsypują ogrodnicy, by robactwo kapsty nie psuło; podobnie nadpalają koły u ognia, święconego w Wielką Sobotę, przed wbijaniem, by się ich robak nie chwytał; ogniem tym leczą inni niemocy koni i bydła, wodą wtedy święconą i woskiem robią też różne gusła; inni gryzą wosk wielkanocny; inni połykają dla zabobonu bagniątka; u anonima A. guślą niektórzy palmami, by kania kurcząt nie chwytała; wedle niegoż smarują niektórzy nogi na początku postu (dla czego?). B. wspomina jeszcze, że młodzi i starzy na całą noc przed popielcem kładą sól miałką, by się dowiedzieć, kto z familii tego roku umrze; daléj, że w piątki (czy nie raczéj w Wielki Piątek?) na pamięć niewoli Chrystusowéj niektórzy się nie kąpią, głowy nie zmywają (po wieczerzy).

Niedziela wielkanocna i dwa następne dnie pełne są nierządnéj zabawy, obmierzłego dyngowania i rozmaitych guseł. Mężczyźni i kobiety łupią, dyngują się wzajemnie, o podarki, mianowicie jajka, ciągną się do wody, przyczém niejednego duszą albo utopią, smagają się rózgą i pięścią (śmigus). Najciekawsze to przytém, że obie nazwy tych zwyczajów są niemieckie i wskazują, jak tyle innych słów polskich z czternastego i piętnastego wieku, na wsiąkanie niemieczczyzny w grunt polski; pierwsze z nich niemieckie „dingen" łupić (brandschatzen), „dingnus" kontrybucya, drugie niemieckie „Schmeckostern"; u Woysznarowicza w „Oratorze politycznym" (1648) czytamy jeszcze o śmierci Cecylii Renaty w Wilnie 24 marca 1644 r: Wilno miasto smigurstu śmierć Krolowey za upominek oddało. Cóż mówią kaznodzieje? W zbiorze kazań z r. 1462 czytamy: „wczoraj spowiadali się, jutro biegną do domów po izbach, napastując dobrych ludzi, wołając: daj jaja, daj jaja". W innym z r. 1456: „jest zwyczaj w niektórych krajach, młodzież, która jutrznię zaśpi, w wodę wrzucać rano, widziałem to sam w Erfurcie; w te dnie mają małżonkowie żyć w czystości, dla tego biją gdzie niegdzie w poniedziałek żony mężów, a we wtorek mężowie żony rano w łóżku, rózgą, ręką, lub pięścią, mówiąc po niemiecku: smecke Ostern t. j. zważaj, że to czas wielkanocny i święty i nie żądaj powinności małżeńskiéj". Michał z Janowca zakazuje najsilniéj, by nikt nie śmiał chodzić za okupem „po dyngusom", ponieważ wielu w ten sposób się topi; anonim A. zaś napomyka tylko: „ja też radzę opuścić owe złe zwyczaje, które się teraz dzieją, jako to dyngowanie, bo są przyczyną grzechu". Anonim B. opowiada o rozmaitych gusłach: rolnicy, chcąc, aby zboże obficie zeszło, bez rdzy, bez kąkolu, nie zadowalają się gnojeniem i uprawieniem roli, lecz nadcinają zboże (aliquas frugum) w pewien sposób nożem, którym przedtém jakieś mięsa nadcinali; niektórzy obchodzą po jutrzni pola z krzyżem, nie z nabożeństwa, ale z błędnéj wiary; kończy zaś

kazanie groźbą: „którzy się nie poprawią, należy ich ekskomunikować i nie chować na cmentarzu, jako i tych, którzy w to święto są rozwiązli w zabawach wyszukanych, wedle zwyczaju pogańskiego, „w dyngusach".

O śladach pogaństwa w obchodzie Zielonych Świątek wspominaliśmy wyżej. Przeciw tańcom i śpiewom, które ku największemu zgorszeniu ascetyzmu średniowiecznego wykorzenić się nie dały, powstają kaznodzieje ciągle; jeden z nich przytacza „z Owidyusza" bajkę o mrówce i koniku: konik, który w lecie śpiewał, oznacza próżne dziewczęta i kobiety, które dziś t. j., w poniedziałek świąteczny, tańczą wedle dźwięków chóru i lutni, śpiewając: „Świątki lecie"... ale przyjdzie ciężka zima na tego konika, który dziś, zapomniawszy o Stwórcy i wzgardziwszy pomocą Ducha świętego, „kleszcze" rękami i rozkoszuje się w rzeczach przebrzydłych, w pieśniach rozwiązłości, nie śpiewając pieśni radości: Veni creator i t. d.

W nocy przed Janem Chrzcicielem czuwają chłopcy i dziewczęta, aby ich oczy nie bolały; opasują głowę bylicą, przeciw bólom głowy. Nazwę „sobótka", o której tyle nabajano, wyjaśniają przepisy poznańskie dostatecznie, zakazując tańców nocnych w *soboty* i w wigilie św. Jana i Piotra i Pawła. Zabobonni nie jedzą (przez cały rok) głów zwierząt, przez cześć dla głowy św. Jana, która na półmisku leżała.

Liczne są przesądy i gusła, nie łączące się z pewnemi świętami lub porami roku, codzienne, że je tak nazwiemy. Najobszerniejszy ich spis podaje anonim B. „Niektórzy nie wyjeżdżają w poniedziałki; uważają za oznakę nieszczęścia, gdy, wyruszając w drogę, w nogę lub inny członek się obrażą, albo, gdy idących razem kamień lub jaka inna zawada ich rozdzieli; przy wchodzie lub wychodzie baczą na zjawienie się lub krzyk ptactwa; wilk lub zając, spotkany z lewej strony, przynoszą szczęście, z prawej nieszczęście. Inni cenią pisane sny, fałszywie zatytułowane snami św. Daniela, lub noszą lekcyę z Jana św. „na początku było słowo i t. d", albo opis męki św. Jerzego w swych sukniach przeciw nieszczęściu; (inni piszą przeciw bólu ócz lekcyę „roztart Jezus i t. d"; przepisuje się tekst łaciński, ale bez wszelkich skróceń); inni nawiązują chorującym ludziom lub bydłu nieznane „karaktery" (amulety, nawęzy), albo poddają ich marnemu żegnaniu starych kobiet, albo leczą, jak sami twierdzą, podejrzanemi kształtami rozmaite choroby, lub rzeczami sakramentalnemi; albo, bacząc na czasy i godziny, czynią rozmaite wymysły, aby ich kochano lub czczono, lub by tryumf nad nieprzyjacielem odnieśli; od bólu zębów rysują pewne linie (lub wbijają ćwiek w drzewo); od bólu głowy liżą czoło językiem, dodając pewne słowa, tak „leczą od urzeku"; przed

innymi znowu nie wolno wyrzéc nazwy febry, którą leczą, pisząc coś na papierze lub opłatku i dając to spożyć; czarują bzem od urzeczenia; odmierzają człowieka, leczą go, gdy zasłabł, nastąpiwszy na pewne rzeczy, o których sami wiedzą; nogieć u bydła leczą, pisząc imię św. Łukasza (którego z wołem przedstawiano) i kładąc je w pysk bydlęcy; wody, w któréj ręce umyto, nie dają bydłu, by nogciu nie dostało. Inni, topiąc wosk, przepowiadają z kształtu jego śmierć lub życie, lub topią ołów przeciw bojaźni chłopców i stopiony im zawieszają". W zbiorze z r. 1462 przestrzega się: nie masz wierzyć „w leki, w żegnanie, w czary, w mierzenie, w kuglarstwa, w czarnoksięstwa". Mierzenie służyło do odczyniania uroku: nicią odmierza się człowieka całego lub jego głowę, jak u południowych Słowian po dziś dzień (porównaj opis tego dokładny w dziele Fr. Kraussa „Volksglaube und religiöser Brauch der Südslaven" (1890) str. 51). W innéj postyli czytamy: grzeszą ciężko, którzy, z domu w dom wchodząc, świętokradztwa czynią, albo węgle porzucają, albo ołów lub wosk w wodę leją, albo w imię Ojca i Syna zaklinają. Wedle zbioru przepisanego r. 1414, czary dla pozyskania miłości czynią grochem, woskiem, włosami, paznokciami, pieczoném jajem, zorzą. Nakoniec wylicza anonim B. następne przesądy: szynkarze czynią wiele zabobonów, aby ich napoje rychléj wypijano i aby do jednych więcéj niż do drugich dla picia uczęszczano. Rolnicy, zaczynając na wiosnę uprawę roli, zawieszają coś wołom na rogi i obsypują ich chmielem; nasieniu domieszują czegoś przeciw szarańczy i śnieci (rdzy). Myśliwcy i rybacy okurzają sieci, nieraz święconemi rzeczami. Niektórzy oblewają się nawzajem, pijąc siarę nowo ocielonéj krowy; inni nie piją, trzymając światło w ręce, by nieuleczalnéj choroby nie nabyć; inni na nowiu klękają i modlą się; nie siadają nigdy na progu; nie sprzedają mleczywa po zachodzie słońca, by nieszczęścia nie było; zbierają zioła na miejscach, gdzie procesye krzyżowe w polu przystawały.

Tyle o zabobonach, złączonych ze świętami lub powszechnych. Chrzciny, śluby i pogrzeby dostarczają kaznodziejom również obfitego materyału, tak do uwag ogólnego rodzaju, np. o wyborze żony, jak do szczegółów, często znowu zabobonnych. W kazaniach o małżeństwie (na rozdział św. Jana drugi) radzą przy wyborze patrzéć na obyczaje rodziców: jeżli matka pijaczka, córka lepszą nie będzie,

„Bo ta przywara
„Ku córkam przywira;

nie patrzéć na przemijającą krasę, lub na bogactwa, ale na obyczajność i domowość, „a to samo radzi nam polska pieśń słowami:

„Nie wybieraj, junochu! oczyma,
„Ale słuchaj cichyma uszyma...

Daléj:

„Przeradzi cię, junochu! kowanie
„A i ono liczka wychowanie.
„Każdać panna po liczku rumiana,
„Ale patrzy, być była domowa".

Wiersze te powtarzają się w odnośnych kazaniach często, z niektóremi odmianami. Dla nieznających starszego języka dodajmy, że „junoch" znaczy młodzieniec, „przeradzić" tyle co zdradzić, „kowanie" tyle co klejnot, droga obrączka i t. d. Odpisy mamy z r. 1459, 1466 i innych; w odpisie z r. 1476 zamiast dwóch ostatnich wierszy czytamy „Nie patrz liczka rumianego, Ale urzędu (albo statku) domowego". Ku przestrodze opowiadają o filozofie i jego pięknych żonach (Sokrates i Ksantypa). Daléj przeciwstawiają gody w Kanie, na których był Chrystus i Marya, naszym, na które zapraszają, ba gwałtem zaciągają lutnistów i kuglarzy, którzy umieją klaskać, tańczyć, nieprzystojne żarty stroić, brzydkie pieśni „napiewiać", bo gdzież brzydsze śpiewają, niż tam, a Chrystus, Marya i uczniowie stoją z daleka i patrzą na próżne półmiski; niéma rządzcy stołu („żyrce"), któryby młodych o ich obowiązkach nauczał; wprowadzają stare baby na noc i wróżki, by poznały, ile i jakiéj płci dzieci będą mieli; uważają, by tylko z prawéj ręki pić, by prawą nogą do łóżka wstąpić. Są to wyjątki najczęściéj z kazania doktora Jana ze Słupca, który téż owe wiersze przytacza, ale tak:

„Nie wybieraj junochu junochi z cudnyma oczyma
„Ale słuchaj, jestli dobra jest, cichyma uchoma...

Daléj:

„Poradzaj się junochu,
„Byś na lato nie został bez grochu.
„Nie patrz, iżeć po liczku rumiona,
„Ale patrzay, być była domowa".

Łukasz zaś z Koźmina, objaśniając wyraz swaćba (nuptice), poucza: oznacza ten wyraz „swą dobę", to jest podobę, trzeba więc wybierać sobie podobnego, równego, a więc szlachcic szlachciankę i t. d. Stosuje się to i do piękności, i wieku, bo małżeństwo jakby pierścień: za wązki ciśnie, za szeroki spada; inni dodają: zamiast swéj doby, będzie potém swa niezgoda. Albo znaczy ten wyraz „swać dba", dba żona o swoje, nie tak cudza; dla tego ksiądz, choć ma trzysta grzywien dochodu, nie żyje tak dobrze, ani może kogo tak dobrze przyjąć, jak szlachcic, który ma dobrą żonę, a choćby tylko trzydzieści lub czterdzieści grzywien. Albo znaczy to słowo „swa dwa", t. j. swoi dwaj, bo sobie wzajem należą. Albo znaczy ono „zwadź wa", zwodzić, łączyć was, bo jest to związek nierozerwalny, dla którego

krewni nawet małżonków wzajem się miłują, cóż dopiero oni sami; nawet wasza ojczyzna małżeństwem do zgody doszła, jak widać z Litwinów i nas Polaków, przez małżeństwo ś. p. Jadwigi, córki Ładysława (!) węgierskiego, i Władysława, teraz z Bożéj łaski króla polskiego, inaczéj Jagiełły, wielkiego księcia litewskiego. A jeszcze znaczy to słowo z przestawionemi zgłoskami „ba swać", swać (twojać jest), co niech się mężowi przypomni, gdy żonę w gniewie karze, a niech jéj nie kaleczy. Obrazek takiego męża kreśli Jan ze Słupca: on wywiera złość na żonie, albo opity mówi jéj: ustąp „Machno" a stój z daleka, bom sól zgubił; przychodzi do domu powalany, bo spadł z ławki albo z konia, a po nim dyabeł „tratował". Na wykroczenie przeciw szóstemu przykazaniu woła inny kaznodzieja:

„O ganiebna lubości,
„Iż niedbasz niebieskiéj słodkości".

Gdy chłopiec się rodzi, uczy anonim A., wedle ogólnéj średniowiecznéj tradycyi, woła on A A na Adama, ale dziewczyna E E na Ewę. Otóż wam rodzącym znak, wedle którego możecie odpowiedzieć babom, które, wróżąc, was pytają, co się urodziło, a czynią to, chcąc zachować dzieci od słabości, którą nocnice zowią (rodzaj zmory, duszącéj dzieci we śnie). Coby znaczyło, co stare baby mówią: krzywki temu dziecięciu są, nie wiemy. Inny kaznodzieja strofuje dzisiejsze matki, dające córkom i synom wyszukane nazwiska, które nie są zapisane w księdze żywota; niech się raczéj zowie Jan lub Piotr, co się tłómaczy łaska Boża.

Anonim A. gani tych, którzy w bractwa ziemskie, nie Chrystusowe, wierząc, mówią: wstąpię do bractwa szewców albo krawców, bo mnie dobrze opatrzą, chowając po śmierci, i tacy mają się za potępionych, jeźli za nimi licznych świec nie poniosą, co jest błędném. Wedle niegoż myśli wielu, że mocno grzeszą, gdy zaniedbują konającemu dziecku dać gromnicę do rąk, zamiast, by sami przed sobą świecę bogobojnego żywota wystawiali. On téż polemizuje z zakonnikami, którzy zamożniejszych nakłaniają, by się u nich, zamiast w kościele parafialnym, chować dawali. Anonim B. wylicza znowu kilka przesądów: powracający z pogrzebu stawia naczynie z popiołem pod próg; inni polecają się umierającym, by się dowiedzieć (o czasie własnéj śmierci?). Michał z Janowca opowiada, że schodzą się przyjaciele i krewni, nawet żebracy, by zmarłego opłakiwać, w dzień jego zgonu, a zowie się to „pusty wieczór".

Z równą niemal gorliwością, jak przeciw zabobonom, występują kaznodzieje przeciw zbytkom, mianowicie w ubiorach; wycieczki przeciw strojom i modzie powtarzają się często. Wysłuchajmyż najpierw

anonima A.: on opowiada o tych, którzy dla ozdoby i piękności suknie wycinają i psują, to często szlachta wycina i czyni i mniema, że w tém nie grzeszy. Trzy razy powtarza przykład o człowieku, który nie mógł skonać, póki nie rozdarł fałdowanego ubioru; na kobiety skarży się, że na jedną suknię dwadzieścia łokci sprawiają, a sześć na ubiór na głowie, a nie wiedzą o tém, że dyabła wożą w takich swych skrzynkach, i można te panie dobrze nazwać „wozatarki dyable", ale zapłaci wam dyabeł ten „furlon". Abyś ty „trzęsogłowie", mówi na inném miejscu, spojrzała na obraz Chrystusa, jaki jego wieniec był, korona cierniowa, a ty nie wzdrygasz się sprawić sobie wieniec (crinale) za dziesięć groszy albo za grzywnę, „ale jażci skapa na szyi"; dziwne to, że dziewczęta, które czystość straciły, śmią nosić wieńce (crinalia), jakby jeszcze dziewicami były, a takie czynią jak szynkarz, któryby wywieszał znak wina nad osadem. Nakoniec uskarża się: niestety, widzę, że dobrze ubranych chwalą, mówiąc o nich: o jaka dobra „drużyna", ale gdy widzą niepozornych, mówią: ot „szkapa".

Jan ze Słupca kreśli następujący obraz: patrzmyż w naszych czasach na panny, jak przed matkami do kościołów idą, na złoconych trzewikach, z perłami w manelach, z wieńcem „pod puszem (forgą, kitą), albo z złotymi strzępkami", pacierz z korali aż do ziemi zwieszając, w jedwabnéj koszulce, wyciętéj na plecach, na szyi wisi pas łańcuchowy, suknia wązka, płaszcz zwieszony na ziemię na dwa łokcie, za nią służący szlepę niesie, jak pies ogon za ...., szyję wyciąga w górę, jakby właśnie w niebo wejść chciała, podnosząc przeciw Bogu twarz, barwami pokoszczoną a maściami pomazaną; na każdym palcu złoty pierścień a na nogach obuwie, które ledwie palce pokrywa. Inny kaznodzieja, rozdając wszelkim stanom i ludziom kolędę noworoczną, życząc np. panom, aby nowych „szosów albo popłatków" (t. j. podatków) nie nakładali i t. d., życzy paniom, aby się „łojkami (łój), krupicami, słodzinami, mączycami, miodowniki nie mazały"; świadczy też o rodzicach, którzy dzieci tak „przyprawiają". Najostrzéj wyraża się mistrz Maciéj z Raciąża, powstając na „nowe kroje": cokolwiek widzą nasi Polacy u innych narodów, chcą się wszystkiemu przystosować, nietylko szlachta ale i mieszczanie, i chłopi. Cóż mam rzéc o tych, którzy dbają, by ich suknie dobrze pachły, by ich pośladki widziano, chodząc jak żórawie i pawie, by nogę wolna skóra ozdobiła, by włosy „żegadłem" zakręcano, by palce od pierścieni, ręce od manel się lśniły; rękawy białéj koszuli wystawiają, jakby ręce i twarz obcierać chcieli; jedzą wonności, by z ust dobrze pachli; ledwie zostaje po nich ślad na drodze; ściskają szyję i nogi... ale szaty ich wszystkich z krwi i potu ubogich.

Gorliwi kaznodzieje uskarżają się nieraz, co nas dziwi, na oziębłość w nawiedzaniu kościołów. Biedne starce i babki, woła Jan ze Słupca, w jednéj sukience słuchają cierpliwie słowa Bożego, ale bogacze w swych futrach wychodzą po godzinie z kościoła, bo znajdują, że tam zimno, w lecie znowu, że gorąco. Anonim A. często ten temat porusza; skargę jego na dziewczęta, które do kościoła nie chodzą ale bożkom służą, przytoczyliśmy wyżéj. Częściéj sarka na opojów, mówi np.: rzesze szły za Chrystusem trzy dnie i dłużéj, a nasi „bumbacy" (opoje) boją się, „aby im nieskłąsł brzuch" i opuszczają kazanie; opoje cały dzień trawią na piciu, ba i noc, noc w dzień odmieniając, a na kazaniu przykrzy się im siedzieć jedną godzinę; dzisiejsi ludzie, zamiast słuchania słowa Bożego, idą raczéj na „frywołty" do karczem na tańce.

Czasami potrącają o pojedyńcze stany. Jan ze Słupca np. mówi o obłudnych praktykach kupców i rzemieślników: sukiennik przysięga o płótnie, które u niego rok albo i trzy lata leży, że je dopiero przed dwoma tygodniami z Poznania albo Wrocławia przywiózł, przysięga, że sprzedawał łokieć po wierdunku, ale tobie, księże, żebyś za mnie do Boga się modlił, dam je po dziesięć groszy; odmierzając, rozmawia z kupującym, aby go mógł oszukać. Podobnie szewcy, gniotąc skórę w butach, pokazują najbliższym, że tłuszcz ze skóry cieknie, podczas gdy często sól lub jakaś maź się topi, i oszukują prostaczków, gdyż sprzedając, mówią: Bóg moim świadkiem, że miałem nieraz dziesięć groszy w rękach za te buty, ale tobie, jako przyjacielowi, dam za dziewięć. O podobne nadużycie imienia Boskiego upominają oni nieraz. Objaśniając drugie przykazanie, mówi jeden: a tu niech obaczą się ci, którzy zwykli mówić: „wierę k méj duszy nie uczyniłem tego", albo: „nie wziąłem, tako mi pomoży Bóg"; a drugi: przegrywający w grze klną Bogu i świętym, a zakochani przysięgają na Boga kochankom. O duchownych wspominają przed ludem wyjątkowo; karcenie zdrożności tego stanu należy do kazań synodalnych, odprawianych po łacinie, ale np. u anonima A. znachodzimy kilka wycieczek: O gdyby św. Paweł dziś pisał ku Polakom, znalazłby może wielu nierządem grzeszących, a mianowicie księży nierządników, którzy tym samym są krzywoprzysiężcą i ich mszy słusznie nie powinnoby się słuchać, przynajmniéj tego, który jawny nierządnik, ale panowie o to nie dbają, nie wiedząc, że przez to silnie grzeszą, robiąc się tak uczestnikami przewinienia. Panowie rajce, kiedyż karzecie tych, którzy wykraczają przeciw prawom waszych ksiąg miejskich, tym silniéj powinniście powściągać sprzeciwiających się prawom Chrystusa. Albo: Chrystus dał nam księżom przykład, abyśmy przepowiadali ludowi słowo Boże a nietylko dziesięciny chwytali... tak my duchowni, gdy

nie będziemy bliżsi Chrystusowi — macicy, będziemy obrzydliwsi od reszty ludzi; duchowny, który nie umie kazać, „którym urzędem pożywa jałmużny chrześciańskiéj?". Raz znaleźliśmy wycieczkę przeciw spowiednikowi, który za drobny dar tysiąc grzechów odpuszcza,— pochodzącą może ze źródła obcego.

O panach wzmianki nieczęste i pobieżne. Gorzka skarga wymyka się ustom Łukasza z Koźmina, zazwyczaj tak milczącego w obec wszystkiego, co go otacza: „Gdybyż tak nie byli uczynili nasi Polacy w wyprawie! że widzieli, że inni łupią dobra kościelne, też łupili, a że widzieli, że inni ubogich zdzierają, jak małpy nierozsądnie czyniąc, brzydko i okrutnie w ziemi kujawskiéj r. 1409 zdzierali, za panowania króla Władysława, rodem Litwina; nieprzyjaciół napaść nie śmiejąc, swoich napadli, ani chcieli króla słuchać. Ten źle swym państwem rządzi, którego kraj obcy w jego oczach niszczą. Niech baczą nasi Polacy, czy dobrze rządzi się ich państwo, gdy je obcokrajowcy niszczą. Ale może o to dbać nie mamy, tylko zwracając się ku sobie i t. d.". W jednym zbiorze kazań pasyjnych znajdujemy kilka ustępów, poświęconych sądom i ich praktykom, ale nie za wszystkie możemy ręczyć, że właśnie polskich dotyczą. Mówiąc o wołaniu żydów: Ukrzyżuj, ukrzyżuj! dodano „sądy Polaków, którzy krzykiem sprawę wygrać chcą"; Piłat obmywa ręce—„tego zwyczaju nawykło wiele świeckich i duchownych sędziów, którzy, choćby mogli, spraw kończyć nie chcą i je do wyższych sędziów odsyłają, udając, że im nie wydołają, gdzie sprawy te najczęściéj gorszy albo żadnego końca nie odnoszą, dlatego nie myjcie tak rąk waszych". Z Judaszem, który Pana zdradził, porównywa sędziego, który sprawiedliwość sprzedaje, i wspomina o owym spowiedniku, o którym wyżéj mowa była; jak żydowscy kapłani ze srebrnikami zrobili, niechaj panowie i duchowni okupu za zabójstwo poddanego lub brata nie chowają do własnéj kieszeni, ale niech go użyją na dzieła dobroczynne, jako na naprawę drogi publicznéj, lub na wsparcie ubogich, jeźli nie chcą być gorsi, niż owi synowie zatracenia. Żydzi wzdrygali się wejść w dom Piłata, ale nie krwi niewinnéj; tak czynią chrześcianie i duchowni, którzy, mając mszę odprawiać lub do komunii przystąpić, nie raczą mówić z ubożuchnymi, ale trucizny skąpstwa lub zemsty w sercu nie uważają za splugawienie. Niektóre zwyczaje, wspomniane w tym zbiorze, pewnie Polski nie tyczą, np. że nowy rycerz ma prawo zdjąć z szubienicy pierwszego wisielca, którego spotka; prawo rycerskie: za policzek rana mieczowa. Michał z Janowca wspomina o zbiegowiskach, jakie przy straceniach dziać się zwykły po miastach

Dodajmy kilka całkiem luźnych rysów. Wzmiankę czynią o pastuchach-rumunach, gdy opowiadają: za dawnych czasów szedł pa-

sterz przed owcami z fujarką a psy następowały, jak dziś jeszcze u Wołochów to bywa. Inni kaznodzieje przechowali nieznane i znane polskie nazwy kilku świąt i dni, np. mówiąc o wniebowzięciu Najśw. Panny, zaznaczają, że Polacy, nader ceniąc to święto, wbrew właściwemu porządkowi (Narodzenie Najśw. Panny i t. d.), nazywają je „pirzwa swięta Marza" (pirwsza święta Marya w późniejszych odpisach); mówią o niedzieli „białéj albo jasnéj", o „zielonéj środzie i czwartku".

Już z kilku wyżéj przytoczonych próbek można się było przekonać, jak naiwny a nieraz płaski ton tych kaznodziei, gdy są samymi sobą, gdy z ludem po ludowemu rozprawiają. Jeden z nich mówi o nader zawiłym przedmiocie, w którym wybór słów polskich w trudność go wprowadza, jak mianowicie fórtkami zmysłów wewnętrznych, albo jak on mówi, serca, myśli się wydostają: chcesz ty dyabłu zamknąć ową fórtkę myśli, ułóż sobie inną myśl od téj, którą dyabeł w tobie wznieca; pobudza cię np. dyabeł do złych myśli nad obrazem Anny albo Katarzyny (Hanki albo Kaśki, może na kazalnicy powiedział), ułóż ty sobie tę myśl: jak wieleż Prusaków zabili Polacy, może dwadzieścia tysięcy, albo: ach jak wielka odległość do nieba, albo: ach jak cierpiał Chrystus, jak go prowadzono; a tak on (dyabeł), widząc, że ty z nim nie w zgodzie, odstąpi od ciebie, mówiąc „daj ji zabiciu, ja chcę tam, a on sam"; podobnie jakbyś ty ode mnie chciał kupić suknię i mnie o cenę pytał, a jabym odpowiedział: zjedz zemną przy śniadaniu, toć powiesz: „day sie zabiciu". Anonim A., chcąc objaśnić swoim prostaczkom różne stopnie poznania i błogiéj kontemplacyi Boga w życiu przyszłém, wedle zasług na ziemi, nie znajduje lepszego przykładu, jak następujący: mąż i żona stawiają przed się na stole piwo, napój ten tak dobrze męża jak i żony, a przecież kto z nich więcéj pragnie, więcéj z niego pije!

Ale pospolitość, gminność a rubaszność wyrażenia łączy się z dosadą i siłą staréj polszczyzny, o ile ta przez grubą powłokę łaciny się wydostaje; kaznodzieja używa chętnie ludowego przysłowia, tłómacząc je nieraz nieudolnie na łacinę w swym zbiorze; używa chętnie porównań ze świata zwierzęcego, z których niejedno typowe od wieków, od ojców Kościoła jeszcze się powtarza. Przytoczmy kilka przykładów. Porównywając Chrystusa z Samsonem, rozdzierającym lwa, mówi kaznodzieja, że i przeciw Chrystusowi, jak przeciw Ojcom świętym, wybiegł lew, okrutny nieprzyjaciel zbawienia ludzkiego, chcąc go pożréć, ale „nie jegojski to kęs był, musiło mu go przenieść" (obok tego po łacinie: sed quia ori eius non congruebat gustus iste, ideo oportebat eum evomere); tenże nieco daléj: „ludowe opiewa przysłowie: Timenti deum bene erit in consumatione (bojącemu się

Boga będzie dobrze przy skończeniu) ale „Niebojana" canes mordent (psy gryzą)". Tenże porównywa z wilkami nowoczesnych kacerzy, którzy, będąc posłami czarta, w aniołów światłości się przemieniają, doradzając, co zbawieniu najwięcéj służyć się zdaje, ubierać się w jedną szarą sukienkę, na głowie zasłony nie nosić, pod obiema postaciami komunikować, nierządnych przełożonych nie słuchać. Inny, chcąc wypowiedzieć chwałę Matki Boskiéj, nie zdoła tego, bo rozum jego stosuje się do téj doskonałości, jak osieł do pisma, jak do słonecznéj światłości nierogacizna, „jaż (która) daléj pysku nie widzi", wedle przysłowia. Inny, wspominając daremne wołanie bogacza ku Łazarzowi, wyraża się o tym: ale poździe (późno) kukał. Inny porównywa z kamieniami wielkiemi, któremi grób Chrystusa przywalono, mocne postanowienie, którém Chrystusa w sumieniu zawieramy, ale są, co małym kamieniem lekko Chrystusa przytykają, ale raczéj „wiechciem". Zwroty, jak „duszko światku", „miły rozumku" i podobne, spotykamy nieraz.

Oto, cośmy tym razem zebrali. Przedmiotu bynajmniéj nie wyczerpaliśmy; są jeszcze zbiory kazań, np. po krakowskich bibliotekach, których wcaleśmy nie widzieli; innych zbiorów, z których korzystaliśmy, nie mogliśmy zupełnie wyzyskać. Ale dla scharakteryzowania materyału, o którym mowa, wydobyliśmy dostateczną ilość cech znamiennych, a dowodzących, że w owych zaśniedziałych, odstraszających nieraz księgach, znajdują się szczegóły, obyczajowe czy językowe, warte, by je od zagłady czasów, od niepamięci uchronić. Rehabilitują téż one potrosze nasze kaznodziejstwo średniowieczne, bo, pominąwszy kwestyę językową, którą dawniéj niesłusznie przesądzano, wykazaliśmy tutaj, że ci kaznodzieje nietylko rzeczy niedostępne maluczkim poruszali, ale że baczyli często uważnie na to, co w około się działo, że więc posilniejszy obrok duchowy podawali, choć z przymieszkami niedorzecznemi nieraz, które potém, w wieku szesnastym, protestanci wytykali, a których się rozsądni katolicy wstydzili.

Ale téj stronie owego kaznodziejstwa, jego wpływowi moralnemu na lud, należałoby właściwie osobne poświęcić studyum, którego tutaj już nie podajemy.

A. Brückner.

CHOCHLIK-PSOTNIK.

Niewiadomo jakim sposobem psotny Chochlik wleciéć tu zdołał, ale to pewna, że znalazł się w miejscu zupełnie dla siebie niestosownem i budzić zaczął w głowach sędziów, tak urzędowych, jak przysięgłych, zwłaszcza tych ostatnich, myśli, wcale dla ich powagi i czynności, którą spełniali, niestosowne. Był to ten sam Chochlik-Psotnik, za którego sprawką królowa wieszczek zapłonęła była miłością dla osła, a prababka, w samym środku najuroczystszego opowiadania, tak uciesznie ze stołka spadła, że słuchacze, zamiast drżéć od grozy, zaczęli parskać i kichać od śmiechu; ten sam, który odbiera moc najwyborniéj sporządzonemu piwu, najwyborniejszéj śmietanie przeszkadza zbijać się w masło, najprzezorniejszych wędrowców na błędne drogi wprowadza i co moment w najrozmaitszych młynach ludzkich wszystko do góry nogami przewraca. Zkąd przyleciał? Podobno z gwiazdy, którą przez okno sali widać było świecącą wysoko i daleko. Podobała mu się sprzeczność, zachodząca pomiędzy przeczystą, cichą gwiazdą, a tłumną, duszną, salą sądową; powiedział sobie: „zobaczmy jaki to młyn!“ i wleciał. Którędy? Trudno zgadnąć: Może przez malutką szparkę w oknie, bo sam był malutką istotką ze złotawéj mgły, z bardzo malutkiemi skrzydełkami, a z całéj jego osoby najwięcéj uwydatniał się nosek, który, w nieustannym zostając ruchu, zdawał się wszystko i wszystkich na świecie wyśmiewać. Ale i nosek, pomimo, że z całéj osoby najwydatniejszy, był także malutki. Gdyby ktokolwiek w sali miał mikroskop, jeszczeby wlatującego do niéj Chochlika nie zobaczył; lecz o przynoszeniu tego narzędzia w to miejsce nikt nie pomyślał, ani nawet konsyliarz w złotych okularach, który gdzieindziéj często z niém do czynienia miewał. Więc, jak zwykle bywa z ludźmi, którzy z mikroskopem i bez mikroskopu nie wiedzą, co ich otacza i w najbliższéj chwili spotkać może, siedzieli wszy-

scy w światłości gazowéj, poważni, uważni, w rozum i w sumienie swoje ufni; a Chochlik wleciał, pod sufitem zawisnął, jedno uszko nastawił, potém drugie, w jedną stronę popatrzał, potém w drugą, noskiem prędko zaruszał i aż zaniósł się od śmiechu: „chi, chi, chi, chi! Otóż im psotę spłatam!“

Jeżeli są na świecie miejsca dla psot niestosowne, to ze wszystkich było najniestosowniejszém; jeżeli są ludzie, których psotnicy omijać powinni, ci najbardziéj na wzgląd ten zasługiwali. Ściany wysokie, gładkie, z dwu stron dwoma rzędami okien przerznięte, od ozdobnego sufitu spuszczające się grona gorejących lamp, czerwone fale sukna, spływające po stopniach, nad któremi, za długim stołem i grubemi księgami, poblyskują na ubraniach złote hafty;—naprzeciw! czerwonych fal, długiego stołu i złotych haftów, nad rzędami ławek, mozaika rozgrzanych twarzy, migocąca rojem rozpalonych oczu. Surowość ze wspaniałością, niepokój wśród nieruchomości, pojedyncze głosy, rozlegające się w głębokiéj ciszy, cóś z uroczystości pogrzebowéj i grozy narady lekarskiéj, w któréj waży się ludzkie życie, oczekiwanie i upał czyśca, z którego drzwi jedne prowadzą do piekła, a drugie na ziemię, ztąd wydającą się rajem—takiém było to miejsce.

A ludzie? Jak tylko być może najpoważniejsi i najszanowniejsi. Rzadko się nawet zdarza, aby skład sądu przysięgłych tak pewnych rękojmi dostarczał interesowi obwinionego, zarówno jak społeczeństwa. Traf tém rządzi, a jednak wyglądali, jakby umyślnie dobrani. Czy przy wyciąganiu na traf kartek z nazwiskami obecnym był Chochlik, który umie spłatać i taką psotę, że w rozwijanéj sztuce najcudowniejszéj materyi nagle ukazuje się malutka, przez mola wygryziona, dziurka? To jego tajemnica. Tymczasem nie widać było żadnéj dziurki; ani w rozumie, ani w uczciwości, ani w sławie tych ludzi, stanowczo żadnéj dziurki widać nie było.

Pod gładką ścianą dwunastu ich zasiadło ciężką, ciemną, dwupiętrową ławę. Piętro niższe, jak zwykle bywa, napełniały wyższe stany społeczne. Pierwszy z brzegu, przed godziną do godności przewodniczącego przysięgłym wyniesiony, siedział jurysta, którego wszyscy w tém mieście mecenasem nazywali. Tytuł całkowicie mu należny i wybornie przystający do poważnéj i poważanéj jego osoby. Prawie zupełnie siwe włosy i siwa obfita broda otaczały twarz czerstwą, acz niemłodą, bystrém, błyszczącém okiem rozjaśnioną, przyozdobioną wyrazem rozumu i dobroci. Biegły znawca prawa, wybitny mówca, niedawno jeszcze stawał on w tém miejscu, przed tym długim stołem, jako obrońca pokrzywdzonych lub zagrożonych; od pewnego przecież czasu stawać przestał i, spokojnie używając skromnéj fortuny, znaczną jéj część i samego siebie oddawał na usługi bliźnim

i społeczeństwu. Pyszny przewodniczący naradom przysięgłych! Poważniejszego, czystszego, z pewniejszym sądem i sumieniem wymyślićby nawet niepodobna.

Obok jurysty siedział medyk, konsyliarzem powszechnie zwany. Twarz miał mniéj czerstwą od tamtego (bardzo męczącym jest zawód lekarski), lecz równie rozumną i smutniejszą. Może nieustanny widok cierpień ludzkich położył mu na ustach wyraz dwu nierozłącznych uczuć: dobroci i smutku; może też od niego, albo od książkowych trudów, osłabł mu wzrok, bo na oczach miał okulary w złotéj oprawie, których szkła, światło gazu odbijając, błyszczały dwiema złotemi iskrami.

Trzecim z rzędu był dymisyonowany urzędnik, dość wysokiego stopnia, radzca z długą dyplomatyczną twarzą i kilku błyskotkami u surduta, zapiętego aż po brodę, przyozdobioną wązkim szlaczkiem szpakowatego zarostu; czwartym, obywatel miasta, posiadacz dwu wielkich kamienic, mniéj od mecenasa i konsyliarza z cnót altruistycznych, więcéj za to ze skrzętnéj i zapobiegliwéj praktyczności słynny. O ile radca był ściśle zapiętym, o tyle surdut obywatela szeroko się rozwierał i ukazywał olśniewająco biały przód koszuli, co znacznéj jego tuszy nadawało wygląd jeszcze znaczniejszy.

Dwaj ostatni należeli do stanów, cieszących się u ogółu najżywszą może sympatyą.

Byli nimi: posiadacz większéj własności wiejskiéj, ziemianin o białém czole, ogorzałym karku, płowych włosach, miękkiém wejrzeniu, i czarnowłosy, ognistooki artysta-malarz, nie geniusz zapewne, ale talent znaczny i dość sławny, a przez to rodzinnego swojego miasta pieszczota i chluba. Wszyscy w wieku dla spraw ważnych najstosowniejszym; żadnego młodzika, ani też starca. Cywilizacya kompletna: nauka, sztuka, majątki ruchome i nieruchome, cnoty publiczne i prywatne. Takich było sześciu. Za nimi jeszcze dwóch, acz nie tyle, niemniéj do pewnego stopnia cywilizowanych. Drobni mieszczanie: ciemnoskóry, wąsaty, pełen fantazyi szewc, i barczysty, ciężki, czerwonemi policzkami i czerwoną kokardą krawata pod brodą jaśniejący piekarz. Daléj nic już osobliwego. Cztery baranie kożuchy, i tyleż kudłatych czupryn. Chłopi. Ku tym ostatnim Chochlik ani spojrzał. Z nimi także dokazuje on nierzadko, oj oj! ale gdzieindziéj; tu jednak nic wcale nie obiecuje sobie po nich. Znaczenie ich też w takich, jak dzisiejsze, okolicznościach, musi być prawie żadne. W naradach i ferowaniu wyroku cywilizacya kompletna przodem pójdzie, do niéj przyłączy się półcywilizacya; ciemnota zaś, gdyby nawet do nikogo przyłączyć się nie chciała, pozostanie w mniejszości znakomitéj i bezskutecznéj.

Jakże pomyślnym był traf, który tak wybornie dobrał sędziów tak ważnéj sprawy; nietylko ważnéj, ale, ze względu na młodociany wiek sprawcy i okropne następstwa jego czynu, wprost przerażającéj! Ośmnastoletnie dziecko, w jednéj z najuboższych dzielnic miasta, podpaliło dom chlebodawcy swego, a w pożodze, przez to powstałéj, spłonęło kilkanaście domów innych To téż, gdy dwaj uzbrojeni żołnierze do ławy obwinionych wprowadzili tego chudego smyka w więziennéj siermiędze, sędziowie cali przemienili się w badawczy wzrok. Znaczna przestrzeń, na któréj grono lamp, od sufitu spływające, świetlistą smugę krzesało w wywoskowanéj posadzce, dzieliła ich od ławy obwinionych, — niemniéj wybornie przyjrzéć się oni mogli smykowi w więziennéj siermiędze.

Wybujał on w wysokość, z wielką dla szerokości szkodą: żadnego uwydatnienia ramion i bioder, wprost wysoka i cienka tyka. Twarz długa, koścista, cerą owsiankę przypominająca, z dwu stron ostrego nosa małe oczy, prawie nieprzytomne, czasem ostro połyskujące, na podługowatéj czaszce—rzadkie, jasne włosy. Ust prawie nie widać, tak je zacisnął, i wtedy dopiero, gdy na zadawane mu pytania odpowiadać zaczyna, spostrzedz można, że tak, jak twarz, mają one barwę owsianki. Teraz sędziowie zmienili się cali w uważny słuch; przewodniczący (tamten w złotych haftach), zapytuje smyka o nazwisko. Odpowiedzi prawie nie słychać i mniejsza o to!

— Czy ze ślubnych rodziców urodzony? — I teraz odpowiedź jest tak cichą i niewyraźną, że przewodniczący, który ją usłyszał, dla użytku przysięgłych, którzy słyszeć jéj nie mogli, głośno powtarza:

— Z niewiadomego ojca.

— Gdzie uczył się?

— Nigdzie.

Pozwalają mu usiąść. Długiemi kościstemi rękoma otula się w bardzo luźną dla niego siermięgę, siada i na tle ciemnéj poręczy ławy, o którą opiera plecy, wygląda, jak gdyby był nierozłącznym jéj ornamentem, figurką z kości wyrzeźbioną, a przedstawiającą może ascetę, może idyotę. U bocznego stolika, w postawie stojącéj, sekretarz sądu głośno i płynnie czyta relacyę sprawy. Sędziowie cali przemienili się w słuch. Ani jeden wyraz ujść ich uwadze, ani jeden szczegół nieznanym zostać im nie powinien. Z twarzami ku czytającemu obróconemi, słuchają. Nad samém szerokiém czołem jurysty, jakby od natężonéj uwagi, podnosi się i nad innemi powstaje pasmo siwych włosów; w okularach konsyliarza złote iskry nieruchomieją; ziemianin, z łokciem o ławkę wspartym, białą rękę zanurzył w złote włosy; radzca w posąg dyplomatycznego chłodu, artysta w płomię namiętnéj ciekawości zamienieni. Szewc wąsy zjeżył; błękitne oczy piekarza śród czerwonéj twarzy słupem stoją.

Wtedy-to właśnie wleciał był do sali Chochlik. Teraz pod sufitem kołysze się na malutkich skrzydełkach, chichoce, noskiem kręci i, cały w oglądaniu przysięgłych zatopiony, samego siebie zapytuje: „Na którego tu najpierw spaść?!“

Sekretarz czyta ustęp relacyi, opisujący przyznanie się do winy młodego zbrodniarza. Zapytany: czy tyś to zrobił? z bezczelnością skończonego łotra odpowiedział: ja! — Dlaczegoś to zrobił?

— Bo mi psie życie obrzydło!.. — Chlebodawcę swego zgubiłeś! — Niech jego dyabli wezmą! Niech mu kości pokręci! Niech go paraliż tknie! — Wszystko to (opowiada relacya), mówił on z dziką złością i nienawiścią, z bezwstydem, pozwalającym przypuszczać absolutnie nierozróżnienie zła i dobra.

Tu mecenas pochylił się ku siedzącemu obok towarzyszowi i szepnął (sędziom przysięgłym rozmawiać z sobą wolno): — Czy nie pyromania, konsyliarzu?

Złote iskry w okularach drgnęły.

— Wątpię. Pyromani nie powodują się gniewem i nienawiścią.

— W takim razie,—szepnął jeszcze jurysta,—mamy przed sobą, jak się zdaje, jednego z najstraszniéj zepsutych wyrzutków społeczeństwa.

W téj właśnie chwili Chochlik z pod sufitu frunął i, jak ptak na gałęzi, zawiesił się na samym czubku, stojącego nad czołem jurysty, pasma siwych włosów. Mecenas kilka razy niecierpliwie się poruszył, głową wstrząsnął. Co mu się stało? Pomimo największych wysileń, nie może słuchać daléj czytanéj relacyi. Myśl, pamięć, wyobraźnia, posłuszeństwo mu wypowiedziały. Czuje, że źle czyni; przez chwilę jeszcze walczy, ale wola całkowicie go odstępuje, i bez oporu, formalnie, fatalnie, przenosi się on o wiele ztąd lat i mil, ślepnie i głuchnie na wszystko, co go otacza, widzi i słyszy rzeczy zupełnie, zupełnie innéj natury, niż zbrodnie i sądy. Znajduje się na wsi, widzi pod czystém błękitném niebem piękny błękitny staw, słyszy szept liści i świergot ptaków. Wiosna, wszystko na ziemi kwitnie, pachnie, śpiewa. On sam, nad stawem, w puszystych trawach spoczywa, czując w sobie wzbieranie rzeźwych, odmłodzonych sił. Młodym zresztą jest jeszcze, lat czterdziestu spełna nie ma, tylko praca, walka o byt, wzruszenia trybuny, bardzo go były zmęczyły. Teraz wieś i przyroda naprawiły szkody, zrządzone przez miasto i życie. Przyrodę zawsze kochał; mleczne kwiaty rosnących nad wodą kalin, wychylające się z kęp liściastych żółte kosaćce, liliowe grona skupionych dzwonków, śpiew szczygła w gałęziach brzozy, wszystko, słowem, na co patrzy, czego slucha, czém oddycha, do najwyższego stopnia idylicznie go usposabia. Zaczyna myśléć o miłości i wydaje mu

się ona niezrównanie piękniejszą, a nawet ważniejszą od wszystkich kodeksów prawnych tego świata. Spostrzega w niéj powszechne prawo wszech miejsc i czasów, pierwszą przyczynę rodu ludzkiego, który spisuje kodeksy. Wydaje mu się, że mógłby w téj chwili pokochać tak, jak nigdy jeszcze nie kochał; zaczyna pragnąć miłości i szeptać strofy poematów, bardzo dawno temu w pamięci osadzone; gdy nagle, o nieba! spostrzega wysuwającą się z gęstwiny sitowia rusałkę. Miała ona szerokie bary i twarz rumianą wiejskiéj dziewoi, kwiat kaliny za uchem zatknięty, szerokiemi stopami po szerokich kaczeńcach stąpała, a w rękach niosła zwój mokrych płócien i — pralnik. Jakkolkwiek nie wszystkie szczegóły jéj powierzchowności odpowiadały ściśle rysopisom bogiń i półbogiń, on ją wziął za rusałkę i wystarczyło mu kilka minut do zawiązania z nią znajomości. Znajomość stała się bliską, pozostała przecież tak daleką, że o nazwisku jéj nigdy nie wiedział. Imię znał podówczas, ale teraz, gdyby go poćwiertowano, nie przypomniałby go sobie za nic. Co do położenia społecznego, o tém pamiętał, że było ono najmniejszém, jakie tylko na świecie być może. Spotykał ją przez dni kilka, dopóki był na wsi, zawsze wśród kalin, dzwonków, szczyglów, pomiędzy dwoma błękitami — nieba i wody. „Nie jam był winien, lecz lilia winna!“

Wsłuchany w toczącą się sprawę, medyk, usłyszał nagle przy samém uchu wyszeptane zapytanie:

— Konsyliarzu, czy nie możesz przypomnieć sobie, przed ilu mniéj więcéj laty bawiliśmy razem u mego brata na wsi?

Bardzo zdziwiony, medyk, przez grzeczność i dobroć odpowiedział.

— Owszem, przed ośmnastu, dziewiętnastu, około dwudziestu pewno!

— Do dyabła! — szepnął jurysta i pogodne jego oczy napełniły się wyrazem przerażenia. Nie dziw, że przeraziło go oddawanie się myślom, tak dla miejsca, chwili i spełnianéj czynności niestosownym. Z zawstydzeniem także spostrzegł, że bezpowrotnie zgubił cały końcowy ustęp relacyi i że, zamiast czytającego ją głosu sekretarza, rozlegały się już po sali głosy składających zeznania świadków. Ponieważ jednak Chochlik głowę jego opuścił, wróciła mu możność skupienia całéj uwagi na tém, co działo się w sali.

Świadkowie, przez oskarżenie stawieni, wśród wielu innych szczegółów i okoliczności, szeroko rozpowiadali o szkodach i nieszczęściach, przez czyn oskarżonego sprawionych. Kilkanaście domów spalonych, kilkadziesiąt rodzin pozbawionych siedlisk, pogrążonych w nędzę. Płacz, jęki, zgrzytanie zębów, głód, nagość, przekleństwa: wszystko to, opowiadane w sposób dobitny i malowniczy, bo przez

ludzi srodze dotkniętych i głęboko przekonanych, rozniecało w mnóstwie oczu iskry gniewu i oburzenia, które rzęsistym deszczem padały na przyklejoną do ciemnéj poręczy kościaną figurkę w więziennéj siermiędze Sam Chochlik nawet, nad ławą przysięgłych zawieszony, znieruchomiał i na chwilę pogrążył się w zupełnie poważnych myślach. Wyrwał go z nich szept jednego z sędziów. Był to ziemianin, który do sąsiada swego, artysty, szeptał:

— Otóż to jest miasto i jego brudne, trujące szumowiny!

— Chi, chi, chi!—zaśmiał się Chochlik i w mgnieniu oka siedział już na białéj ręce ziemianina, którą on podpierał zamyślone czoło. Co się stało? Ziemianin, zamiast w sali sądowéj, znajduje się na pstréj, tłumnéj, krzykliwéj maskaradzie. Jest to czas życia jego arkadyjski. Nie ma jeszcze długów i zboże wysoko w cenach stoi. Dlatego uznał, że ma prawo po trudach gospodarstwa odpocząć nieco, zabawić się w mieście. Bawi się wyśmienicie. Krew szlachecka tak wre mu w żyłach, że ot, zaraz porwałby się do karabeli i trzem tatarom od razu głowę ściął, albo hiszpański kostium ściągnąłby z grzbietu, nawet koszulę i oddałby je—byle komu! W hiszpańskim kostiumie jest mu prześlicznie, bawi się więc tém lepiéj, a najlepiéj już wtedy bawić się zaczyna, gdy nierozłoczoną jego towarzyszką staje się maseczka, zgrabna, żwawa, dowcipna. Wprawdzie dowcipom jej, z punktu gramatycznego, to i owo zarzucić można; z kształtów téż rączki poznał, że nie jest wielką damą. Lecz bywają w życiu człowieka chwile, w których spostrzega on całą próżność społecznych dostojeństw, a maluczkość wydaje mu się pełną uroku już przez to, że z łatwością podjąć ją można. Przed końcem maskarady piękny hiszpan i niegramatyczna maseczka zniknęli z tłumnéj, krzykliwéj sali, poczém on jeszcze przez czas jakiś znikał z przed oczu miejskich swoich przyjaciół, jakkolwiek miasta nie opuszczał, a gdy raz je opuścił, o maskaradowéj i nieco jeszcze późniejszéj towarzyszce tak zapomniał, że, gdyby go poćwiertowano, ani imienia, ani nazwiska jéj nie przypomniałby sobie za nic. Teraz, w samo ucho sąsiada szepce:

— Mistrzu, nie pamiętasz wypadkiem, ile lat przeszło od téj zimy, w któréj bawiliśmy się tak szalenie, a ty sam mnie na maskaradę za hiszpana przebierałeś?

Mistrz dziwi się bardzo, ale, uczuciem przyjaźni powodowany, odpowiada:

— Ośmnaście, dziewiętnaście, około dwudziestu pewno.

— Pal dyabli!—szepce ziemianin i oczy jego, o miękkiém wejrzeniu, napełniają się wyrazem przerażenia. — Jakimże to myślom oddawał się on tu, w takiéj chwili! Bezpowrotnie téż zgubił zezna-

nie jednego ze świadków i wstydzi się tego bardzo. Chochlik opuszcza jego białą rękę i nad dwoma rzędami poważnych głów aż koziołki przewraca z wesołości. Ziemianinowi zaś powraca możność skupienia uwagi na tém, co dzieje się w sali.

Opowiadania o klęsce, przez pożar sprawionéj, trwają jeszcze, owszem, większe niż przedtém sprawiają wrażenie, bo opowiadającymi są najsroższéj poszkodowani i najjękliwszemi głosami mówiący; a w miarę, jak jękliwe głosy coraz cieńszy zawodzą lament, na ławie oskarżonych kościana figurka coraz więcéj od ciemnéj poręczy odstawać zaczyna, całkowicie od niéj plecy odrywa, głowę pochyla i z bezbarwnemi usty, szpetnie wykrzywionemi, z czołem w tysiąc zmarszczek nad rzadkiemi brwiami ściągniętém, zaczyna kościstą pięścią uderzać się w piersi. Uderzenia są tak silne, że wąska pierś wydaje pod niemi lekkie dźwięki, po których wydobywają się z niéj głośne westchnienia. Zrazu nikt zrozumieć nie może, czego ten chudy smyk, pod padającym na niego deszczem oburzonych spojrzeń, tak krzywi się, wzdycha i bije się w piersi. Dopiero za trzecim, czy czwartym razem, od ławy oskarżonych do uszu publiczności i sędziów dolatują szeptem wymawiane słowa: Boże, bądź miłościw! Boże, bądź miłościw! Boże, bądź miłościw!

— Ołówka! królestwo za ołówek!—zaszeptał artysta. — Cóż za model do skruszonego grzesznika!

— Udaje, aby w nas litość obudzić! — wzgardliwie szepnął obywatel miasta, aż nagle nos jego poczerwieniał i bardzo znacznie w dół się opuścił. Siedział na nim Chochlik, a posiadacz dwu kamienic, zamiast sali sądowéj, ze wszystkiém, co się w niéj znajdowało, widział przed sobą Antosię... no, najwyraźniéj tę... pokojową nieboszczki matki. Dawno to było, miał wówczas jedną tylko kamienicę i to bez oficyny. Milutka była bestyjka, ale od wieków nic o niéj nie wie. Niespokojnie poprawia się na siedzeniu i ręką dotyka nosa, który płonie, jak ogień, i na którym, jak utrapieniec, trzepoce się Chochlik.

— Utrapienie! Plaga egipska! — zaszeptał obywatel, i w téjże chwili bardzo uważnie słuchać zaczął dalszych zeznań świadków; w zamian zaś radca szyją w krochmalnym kołnierzu pokręcił i blademi palcami potarł szpakowaty zarost dokoła brody, pośrodku któréj na jednéj nóżce stał Chochlik. Ma jednéj nóżce pośrodku brody stojąc, główkę zadarł, noskiem kręcił, a oczkami jak śrubkami wpijał się w spłowiałe, zimne, milczące oczy radcy, w prawdziwe oczy statysty. Co wówczas radca zamiast sali sądowéj i wszystkiego, co się w niéj działo, widział i słyszał, nikt nie dowiedział się nigdy, bo był on i jest dotąd zanadto skrytym, aby tajemnicę, tak niestosownych dla miejsca i chwili,

myśli, mógł przed kimkolwiek odsłonić. To tylko pewna, że po kilku minutach wyraz niesmaku i zmartwienia okrył twarz jego, i że wnet potém, gdy wypadkiem spojrzał na zdobiące pierś jego błyskotki, pomyślał, że trzeba będzie dać je jubilerowi do oczyszczenia, bo cały swój połysk straciły. A Chochlik wygodnie, jakby dla odpoczynku, rozsiadł się już na brzeżku okularów medyka, w których dwie złote iskry zaczęły drgać i rozbijać się na mnóstwo drobnych, niespokojnie latających. Ale nikt na medyka i jego okulary patrzéć ani myślał, bo wszyscy ku ławie oskarżonych wzrok zwrócili. Pośrodku sali, jeden po drugim, składali zeznania świadkowie, przez obronę tu stawieni, a opowiadający rozliczne okoliczności, które winę oskarżonego spowodować i w oczach sędziów wagę jéj zmniejszyć mogły. Oskarżony słuchał z razu tak pilnie, że odstające jego uszy u podługowatéj głowy i rzadkich włosów wydłużać się zdawały, aż z kościanego ornamentu ławy przemienił się w stojącego u jéj końca smyka i, bynajmniéj o głos nie prosząc, sam mówić zaczął. Nie udzielano mu prawa głosu, ale też, gdy mówić zaczął, nie odbierano, Wszyscy zrozumieli, że opowiadania świadków o okolicznościach, życiu i postępkowi jego towarzyszących, niedostatecznemi wydać mu się mogły, i wszyscy uczuli potrzebę dowiedzenia się o nich od niego samego. Mówił tedy; stał prosty i cienki, jak tyka, profilem do publiczności i długiego stołu, a twarzą do ławy przysięgłych obrócony, (starczyło mu roztropności, aby wiedzieć i pamiętać, że los jego w ich ręku właściwie spoczywa) i mówił tak prędko, że chwilami oddech tracił i zrozumiéć go było niepodobna, a tak głośno, że cienki, ostry głos jego napełnił salę od sufitu do posadzki, od ściany do ściany i wydawał się jednym, monotonnym, w nieskończoność przedłużającym się, krzykiem. Zdawać się mogło, że on wcale nie umiał mowić, mógł tylko albo milczéć, albo krzyczéć; jeżeli zaś z dźwięku i giętkości głosu wnosić można o stopniu ucywilizowania człowieka, ten bezwątpienia był głosem dzikiego. Oczy téż jego, blade i niewyraźne przedtém, szybko na wszo strony rozrzucały błyski tak namiętne, że aż dzikie, a szczęki, przez wychudzenie policzków uwydatnione i szybko, wśród niezmiernie szybkiéj mowy, poruszane, chwilami przypominały pragnące kąsać zwierzę. Z innéj jednak strony słuchacze przyznać musieli, że to, co opowiadał, na złagodzenie charakteru i utemperowanie namiętności wpływać nie mogło, a z cywilizacyą w żadnym związku nie zostawało. Historya była zupełnie, zupełnie do historyi cywilizacyi nie należąca; można byłoby śmiało utworzyć z niéj rozdział dziejów królestwa zwierzęcego, i to o tyle tylko, o ile istnieją w tém ostatniém lwięta lub wilczęta, zrodzone z ojców niewiadomych i matek, które albo z głodu zmarły, albo niewiedzieć, gdzie się za-

podziały. Nie zupełnie zaś jest pewném, czy istnieją zwierzątka, w podobny los zaopatrzone, jako też, czy znajduje się w jakimkolwiek lesie, lub na jakiéjkolwiek pustyni, lew, czy wilk, któryby lwiątko, czy wilczątko, tak upokarzał, dręczył, głodził, pracą nad siły obciążał, jak to z tym smykiem czynił chlebodawca jego. To też wszystko, co nie wykipiało i nie nasyciło się w nim jeszcze, gdy na chlebodawcy zemstę wywierał, kipi i nasyca się teraz, gdy nietylko bez punktu, ale bez najmniejszego przecinka, o swoich rozkosznych z nim stosunkach, jednym wciąż głosem, a raczéj krzykiem, opowiada. Dziki jest, ale roztropny i pamięć ma wyborną. Faktami jak grochem sypie, świadków wymienia, miejsca wskazuje, nakoniec i osobiste uczucia swoje wyrażać zaczyna, ale to ostatnie czyni w tak nieucywilizowany sposób, takich prawie krwawych połysków nabierają mu oczy i takie słowa z kąsających powietrze szczęk mu wypadają, że przewodniczący donośnym głosem mowę mu przerywa, umilknąć i usiąść rozkazuje.

Cienki, monotonny, nieustanny krzyk, który sam jeden od sufitu do posadzki, od ściany do ściany przestrzeń napełniał, milknie, ciemna poręcz ławki przyklejony do niéj ornament odzyskuje, salę napełniają nieruchome postacie ludzkie, w których czuć osłupienie. Za długim stołem, ani wśród publiczności, ani na ławie przysięgłych, nikt nie czyni najlżejszego poruszenia. Oddechy, których tu tyle, nie sprawiają żadnego szmeru, lampy płoną cicho, salę napełnia taka cisza, że słychać u góry lekkie i rytmiczne poskrzypywanie wysoko umieszczonego wentylatora. Słychać jeszcze za grubym murem i obszernem podwórzem głuchy turkot kół po bruku i dźwięki katarynki, grającéj skoczną polkę. Widać także przez jedno z okien gwiazdę, na ciemném niebie świecącą, daleko i wysoko.

Wśród powszechnéj ciszy i nieruchomości, w okularach medyka drży, biega, tańczy mnóstwo drobnych iskier. To Chochlik, na brzeżku okularów wygodnie sobie siedząc, takie w nich sztuczki dokazuje. Medyk, ze wszystkich sił broni się od halucynacyi słuchu, która niewiedzieć zkąd go napadła i o któréj, jako medyk, wie dobrze, iż jest próżném złudzeniem cennego zmysłu; usiłuje myśléć o tem, co się dzieje przed nim, jednak, wbrew wszystkiemu, słucha i słyszy katarynkę nieustannie, najwyraźniéj na nutę skocznej polki grającą piosnkę, którą w pacholęctwie od nieboszczki babki swojéj był słyszał: „Ach, miłość bywa różna, i domowa, i podróżna!“ Ależ ta piosnka jest nieznośna! Niegdyś, gdy babka żartobliwie ją śpiewała, śmiał się z niéj do rozpuku; ale teraz, w takiém miejscu, w takich okolicznościach, on, ojciec rodziny... Zrospaczony wzrok skierowuje ku ławkom, które napełnia publiczność, i wśród téj ostatniéj

wynajduje wzrokiem oblicze szanownej małżonki, milutkich córek... Nic nie pomaga; katarynka wygrywa i wygrywa: „ach, miłość bywa różna, i domowa i podróżna!“ Biada! biada! czemuż-to prawo natury, tak powszechne i niezłomne, wydawać może takie owoce?... „Ach, miłość bywa różna!...“

— Jak ten facet płonął, mówiąc, a? co za model do zezwierzęconéj istoty ludzkiéj!

Jakkolwiek cichutko słowa te wymówionemi były, Chochlik je usłyszał i już siedział na gęstych, czarnych, jak krucze pióra, brwiach artysty. Ale nawet ten psotnik, dla którego nic na ziemi świętém nie było, z kochankiem Muz obszedł się delikatniéj i pieszczotliwiéj, niż z innymi. Delikatnie, pieszczotliwie skrzydełka na powieki mu opuścił, od czego powstała mgła tęczowa, śród któréj, niby w greckim wdzięcznym tańcu, rozwijała się i zwijała girlanda Fornaryn. O! Apolinie, co ich tu było! Ze szwalni, z pralni, ze sklepu, z ustronnéj chatki, z przechadzki publiczéj, z pól samotnych, z miejsc zdejmowania widoczków z natury. I ta, i ta ładna, nie próżne ich chęci... Lecz „Któraż była kochanką Kirkora?“ „Wszystkie!“ Mistrz w obie dłonie głowę ujął i modlić się zaczął. — Boże Wszechmogący, ulituj się duszy mojéj! Skoro ich było tyle, któż zaręczy... Ale, Panie, jam był jako harfa eolska, i jako Salomon, z mądrości słynący!...

Chochlik znajdował się już na wyższém piętrze ławy i, nóżki uplątawszy w bujnym wąsie szewca, skrzydełkami potrącał o czerwoną kokardę piekarza. Niewiele sekund upłynęło, a zjeżyły się wąsy, wydęły policzki pierwszego, zerknął na sąsiada raz, drugi, trzeci, i z wyrazu twarzy jego odgadując, że o tém samém, co i on, myśli, cichutko go zagadnął:

— Człowiek także młodym był kiedyś, panie dobrodzieju! prawda, sąsiedzie?

Piekarz, wytrzeszczając szeroko błękitne oczy, niemal płaczliwie odpowiedział:

— Prawda, sąsiedzie! I teraz nawet... ot, kiepska człecza natura!

A Chochlik, rzecz dziwna, zamiast śmiać się po swojemu, kichał. To zapach kożuchów chłopskich tak mu zakręcił w nosku. Spojrzał po kożucach i zaczmychał:

— Pfu! Pfu! Pfu! Ci nieucywilizowani na nic mi się tutaj nie zdadzą! Gdzie im tam do rusałek, maseczek, harf i Salomona!

Wtém wyprostował się i nosek mu nawet znieruchomiał. Oskarżyciel publiczny przemawiał. Chochlika cóś w mowie jego tak połechtało, że, natychmiast panów majstrów opuszczając, przez salę frunął i cieszył się.

— Oj, to, to, to! oj, to, to, to, to!

Oskarżyciel publiczny był mężem wielkiéj gorliwości i wymowy. Nie miodowym jednak, raczéj smolnym potokiem słowa z ust mu płynęły. Rzecznik ustanowionego prawa, obrońca publicznego interesu i bezpieczeństwa, wiedział dobrze, jak ważną spełnia czynność i znać to było z okazałéj jego postawy, jako też z poważnych, energicznych gestów, od których suto haftowane złotem rękawy rozniecały w powietrzu ogniska i deszcze iskier. Już płynna, metalicznym i znakomicie modulowanym głosem wypowiadana, mowa jego, połowy dobiegała, już tak na czarno winowajcę pomalował, że do ojcostwa jego sam Lucyfer mógłby się przyznać; gdy nagle ogarniać go zaczęło dziwne wahanie się i lenistwo myśli, czy słowa. Wyglądał tak, że można było przysiądz, iż wcale o czém innem myśléć zaczyna: po wyniosłém czole jego płynęły chmury, wzrok zagasł i zwrócił się wewnątrz, pogasły błyski rękawów. To Chochlik, Chochlik-Psotnik usiadł mu na wardze, na samym środku dumnie wydymającéj się wargi, i tak na niéj zaciężył, że oskarżyciel publiczny, ten wyborny mówca, drugą połowę mowy swojéj do kilkunastu zaledwie wyrazów zredukowawszy, wyjąkał i wybełkotał je raczéj, niż wypowiedział, poczém na fotel upadł i czoło dłonią przysłonił—bardzo zmieszany.

Nastąpiła teraz długa mowa obrońcy, w czasie któréj Chochlik prawdziwie niestworzonych rzeczy dokazywał. Ogarnął go szał wesołości. Przez chwilę igrał za długim stołem, czego skutkiem było, że czoło siedzącego pośrodku dostojnika znacznie pobladło; jeden z jego sąsiadów drgnął i rękę poniósł ku głowie, jakby natrętną muchę spędzić z niéj próbował; drugi ze zgiętemi plecami papiery przerzucać zaczął, jakby w nich cóś zupełnie niepotrzebnego zagrzebać pragnął. W téj saméj prawie chwili, siedzący przy bocznym stoliku sekretarz mnóstwo papierów najszpetniéj na ziemię rozsypał, a Chochlik, w wielkiéj konfuzyi go pozostawiając, dla rozmaitości i większéj uciechy, wpadł między publiczność. Tu w gęstym tłumie zwijał się, jak w ukropie. Kobiety omijał, czepiał się tylko mężczyzn; takim dnia tego był jego kaprys. Ale z wąsami, łysinami, krótko ostrzyżonemi czuprynami, wyrabiał rzeczy dziwne. Skakał po nich i tańczył, muskał je skrzydełkami, łaskotał nóżkami, dmuchał na nie i chuchał, przez co czaszki napełniał i piersi drażnił osobliwszemi a niespodzianemi przypomnieniami, myślami, przypuszczeniami. Wywołało to śród publiczności pewne niezwykłe ruchy. Co chwila, ta lub owa postać męzka, pomimo ścisku, powstawała z miejsca i, górując nad siedzącym tłumem, łysą lub gęsto obrosłą głowę przechylała w stronę ławy oskarżonych, bacznie lub niespokojnie przyglądając się rzeźbionemu z kości jéj ornamentowi. Co chwila także dawało się

tam słyszéć jakieś głośne i niecierpliwe sapnięcie, lub głuchy pomruk, świadczący, że ktoś tam w tłumie zajrzał w oczy zadziwiającemu, a dotąd niedostrzeganemu, fenomenowi życia. Kobiety, jakkolwiek przez Chochlika niezaczepiane, dostawały na twarzach rumieńców i kłującéj wilgoci w oczach. Że zaś wachlarzami w sali sądowéj posługiwać się nie wypada, wiele więc futrzanych zarękawków przysłaniało twarze — zmieszane lub smutne. Wszystko to trwało wtedy jeszcze, gdy Chochlik opuścił publiczność i nad ławę przysięgłych uleciał. O, tych na długo opuszczać on nie mógł! Byli dziś oni ulubieńcami jego, pieszczochami, najmilszym z młynów, w których kiedykolwiek psuł mechanizmy i przewracał graty. Nieraz tedy jeszcze zawieszał się na czubku włosów Mecenasa, ukazując mu, oprócz stawu, niejedno miejsce, na którém kwitły zwodnicze lilie. Nieraz jeszcze załaskotał sztywną szyję radcy, ugiął ku dołowi nos obywatela i w samo ucho zaśpiewał konsyliarzowi: „Miłość bywa różna!" Ziemianina i mistrza nie oszczędzał także; owszem, kto wie, czy pomimo wysokich odznaczeń, któremi są ród i talent, nie byli oni właśnie najfaworytalniejszą igraszką złośliwego malca. Panowie majstrowie także niemało jeszcze z przyczyny jego ucierpieli; jedni tylko chłopi siedzieli spokojnie, z przygarbionemi plecami, ze splecionemi przed sobą rękoma, z więcéj niż kiedy splątanemi kłakami wielkich czupryn.

Tak publiczne sądowe narady dobiegły końca swego; jedni i drudzy sędziowie z miejsc powstali i rozeszli się w dwie przeciwne strony. Z téj strony, w którą udali się przysięgli, u szczelnie zamkniętych drzwi stanął człowiek wyprostowany, świętéj samotności narad przysięgłych strzegący, a wysoko w powietrzu, w oczekującéj postawie, zawisł Chochlik. Zaledwie bowiem przysięgli zniknęli w ościennéj komnacie, uczuł tęsknotę i w oczekującéj postawie, to jest, z jedną nóżką na przód, a drugą w tył wysuniętą i z nieruchomemi skrzydełkami, zawisł jak najbliżéj drzwi, przez które wyszli i powracać mieli.

Dość dziwną było rzeczą, że w obec tak jasnego i własném zeznaniem winowajcy potwierdzonego faktu zbrodni, narada przysięgłych trwała bardzo długo, tak długo, że Chochlik znudził się i poziewać zaczął. Nie zmieniając tedy oczekującéj postawy, w jakiéj nad zamkniętemi drzwiami w powietrzu wisiał, rozglądał się dokoła i często gęsto ku oskarżonemu zerkał.

Oskarżony zaś płakał. Odkąd wszedł do téj ławy, już czwarty psychiczny moment przebywał. Ta niesłychana wrażliwość była jednym więcéj dowodem niezmiernie małego ucywilizowania, które na wyższych swych szczeblach wytwarza, jak wiadomo, przewagę refleksyi nad wrażeniami i wielką stałość uczuć.

Zrazu wspaniały i właśnie ku niemu skierowany aparat tak mu był zaimponował, że nawet nazwiska i tytułów swoich głośno i wyraźnie wymienić nie mógł; potém, przed rostaczanym w sali obrazem jego zbrodni i jéj następstw, uczuł skruchę i pięścią tłukł się w piersi; potém, opowiadając o poniesionych krzywdach i bólach, wściekł się i krzyczał; teraz—płakał. Wiedział, że jedne drzwi tego czyśca otwierają się do piekła, drugie na ziemię, i widać bardzo lękał się pierwszych, a pożądał drugich, bo głęboko szlochał, z oczami rękawem siermięgi zasłoniętemi.

Dzwonek. Narada przysięgłych ukończona.

— Sąd przybywa!—rozlega się po sali donośny głos woźnego. Publiczność milczącym murem staje.

Dwoje przeciwległych drzwi otwiera się na oścież; przez jedne wchodzą sędziowie w złotych haftach i za długim stołem stają; w drugich ukazują się przysięgli.

Mecenas pierwszy wszedł, z białym arkuszem papieru w dłoni; Chochlik zadrżał cały z radości i już mu na stojącym czubku siwych włosów siedział. Za przewodniczącym swoim kroczyli inni, po dwóch, po trzech; czworo przygarbionch pleców chłopskich w baranich kożuchach zamykało orszak. Zwolna uszli kilkanaście kroków, na fale czerwonego sukna wstąpili i stanęli przed stołem, profilem do tamtych, w złotych haftach, obróceni. Publiczność widzi ich także z profilu i czeka. Czekając spostrzega, że arkusz papieru w rękach Mecenasa trochę drży, w okularach konsyliarza tańczy chyba sto tysięcy iskier, ziemianin i artysta mają strasznie wzburzone włosy, nos obywatela skrzywionych ust jego prawie dotyka. Ogółem biorąc, żałośnie wyglądają. Mecenas jednak, wyosobniony nieco, z przyzwyczajenia najpewniejszy siebie pozór zachowuje; arkusz papieru ku oczom podnosi i dość głośno, aby go w całéj sali słychać było, czyta wypisane na nim pytanie:

— Czy oskarżony winien jest zbrodni takiéj a takiéj, w takim a takim dniu popełnionéj?

Tu nastąpić ma wyrok: jedno słowo, nic, tylko jedno słowo. Czemuż Mecenas go nie wymawia? Czy to złudzenie zmysłów? Wszakże on pobladł i ręka z papierem ciężko mu w dół opadła. Nic to. Znają go wszyscy z energii i biegłości w publicznych sprawach, choćby go więc słabość chwilowa opanowała, zwycięży ją i obowiązek spełni. Naturalnie; znowu arkusz papieru podniósł do oczu i—rzecz przedziwna! pobladł więcéj, papier coraz więcéj ku oczom przybliża,

jakby olsnął, i milczy—jakby oniemiał. Sędziowie w złotych haftach czekają, publiczność czeka; oddechy, których tu tyle, nie czynią żadnego szmeru, lampy płoną cicho. W sali panuje taka cisza, że słychać u góry lekkie poskrzypywanie wentylatora, a na ławie oskarżonych— przytłómione rękawem siermięgi szlochanie. Widać też przez jedno z okien gwiazdę, na ciemném niebie świecącą wysoko i daleko.

Nakoniec, przewodniczący przysięgłym podniósł głowę i z bardzo pobladłém czołem, głośno wymówił:

— Winien.

Wtedy Chochlik-Psotnik, w paroksyzmie uciechy, wzbił się z nad głowy jego pod sam sufit i, w rzęsistém świetle roskołysany, na całą salę rzucił pytanie.

— Kto?

El. Orzeszkowa.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

W końcu roku ubiegłego, jak zwykle, na uroczystém posiedzeniu akademii francuskiéj, sekretarz Kamil Doucet, zdawał sprawę z dzieł uwieńczonych. Liczba tych dzieł wzrasta z każdym rokiem, tak dalece, że fundacye, przenoszące 100,000 fr. dochodu, nie mogą wystarczyć na konkursowe nagrody. Akademia rozdziela każdy legat na drobne cząstki, które przynoszą nagrodzonym więcéj zaszczytu, niżli pomocy materyalnéj. Mimo to, nie brak nigdy współzawodników.

Jeśli weźmiemy na uwagę te wieńce, sypane hojną ręką przez poważny sąd akademicki, widzimy w tém dowód, że działalność literacka we Francyi, z kończącym się wiekiem, nie chyli się bynajmniéj do upadku. Co innego tymczasem pokazuje nam tak zwana literatura piękna. Teatr oto paryski, który niedawno jeszcze zasilał wszystkie sceny europejskie, nie przedstawił w przeciągu roku— pomiędzy „Walką o byt“ a „Przeszkodą“ Alfonsa Daudet, ani jednego dramatu, ani jednéj komedyi, odznaczających się rzeczywistą wartością. Odbierzmy „Kleopatrze“ przepych wschodni w wystawie i mistrzowską grę Sary Bernhard, i cóż zostanie z téj fantasmogoryi?

Takież samo wyjałowienie widzimy i w powieściopisarstwie. Psychologowie nowéj szkoły rozgrzebują do gruntu ludzkie serca i znajdują w nich to, co sami posieli: chorobliwy pessymizm, prowadzący do upadku, a częstokroć do zbrodni.

Sprzeczność ta między poważną literaturą, pełną żywotnéj siły, a ową literaturą piękną, rozsiewającą zatruty miazmat na wszystkie świata krańce, objawia się zarówno i w tutejszém życiu społecznem. Podczas, gdy jedna część, porwana szałem, tonie w zbytkach, godnych

epoki konającego Rzymu, druga w ciszy i głębokiém ducha skupieniu spełnia czyny, godne pierwszéj epoki chrześciaństwa. Dość tu przypomnieć ośmdziesiąt nagród, przyznanych w tym roku przez akademię za wielkie czyny miłosierdzia i ofiary. Słusznie téż wyrzekł Leon Sey, zdając sprawę z tych bohaterskich poświęceń, spełnianych bez chęci rozgłosu. „Paryż, mówi on, w oczach jednych to niezrównany olbrzym, pełen najszlachetniejszych popędów; w oczach drugich—to potwór, gotów do najstraszliwszych zbrodni, to głownia piekielna, roznosząca pożar po świecie. Jedni i drudzy mają słuszność, lecz względną tylko słuszność. Obok tego Paryża, rozpasanego w zbytkach, co bije w oczy blaskiem, co szydzi ze wszystkiego co święte, jest drugi Paryż, który pracuje uczciwie, cierpi w milczeniu, płacze sam a ociera łzy bliźnim".

Literatura, powtarzamy, jeden z najsilniejszych objawów życia, tęż samą przedstawia sprzeczność. Szerokiém płynie ona korytem, wyrzuca na wierzch męty i pustą pianę; dno jéj tymczasem zasilają coraz to nowe prądy, świadczące o jéj żywotności. Podczas gdy umysły, skore do zwątpienia, sarkają na to, co widzą na powierzchni, akademia wydobywa z głębi to, co ma rzeczywistą wartość, głosi imiona pracowników, zaszczyca ich wieńcami.

Dwa najdawniejsze konkursa na zadany temat, ustanowione razem z akademią, mają na celu poezyę i wymowę. Ostatni z nich obowiązywał do nakreślenia panegiryku na cześć jednego z koryfeuszów literatury; konieczność chwalenia, bądź co bądz, sprowadziła czczą deklamacyę i niesmaczny konwencyonalizm. W ostatnich dopiero czasach akademia zgodziła się na ustępstwo: dawny panegiryk przemieniono w rozprawę krytyczną, sama tylko nazwa: *prix d'éloquence*, świadczy o zapomnianéj dziś tradycyi. Temat, ogłoszony przed dwoma laty, wzywał do rozprawy nad powieściami Perrault'a. Nadesłano pięćdziesiąt sześć rękopisów. Z tych jeden szczególną zwracał uwagę akademii, przyznano mu nagrody 2,500 franków. Z podziwem sąd, po ogłoszeniu wyroku, odpieczętowawszy list, oznaczony tymże co rozprawa numerem, wyczytał imię pani Arredi Barine. Żadna dotąd kobieta nie wystąpiła do współzawodnictwa w tak poważnym konkursie. Nowa laurentka utorowała innym drogę.

W oryginalny sposób autorka ocenia powieści Perrault'a, tak popularne we Francyi. „Mieszczański Homer", mówi ona, przed dwustu laty wyprowadził na widownię bohaterów, równie dziś sławnych, jak Ulises, Agamemnon, ale których dzieje przeżyły tylko w pamięci prostaczków i dziatwy; opowiedział ich przygody w długiéj seryi maleńkich epopei popularnych. Nie wymyślał on wzorów, ale zbierał je żywcem do koła siebie, w małych rozmiarach odtwarzał wizerunki

przyjaciół, sąsiadów, kupców, lichwiarzy, wieśniaków i książątek, których spotykał w Wersalu. Wiele z tych postaci uderza dotąd podobieństwem. Za motyw autorka wzięła słowa Pascala: „Przekonani jesteśmy, że prosty lud najzdrowiéj sądzi o wszystkiém“.

Największa nagroda, fundacyi barona Gobert, wynosząca 10,000 franków, za wielką pracę historyczną, przypadła panu Doniol, autorowi obszernego dzieła w trzech tomach, pod tytułem: „Historya współudziału Francyi w ustanowieniu niepodległości stanów zjednoczonych“. Ostatni ten akt polityczny i militarny dawnéj monarchii francuskiéj znalazł w autorze wiernego i bezstronnego historyka. Dotąd panowało mniemanie powszechne, iż rząd Ludwika XVI-go, aby zdobyć popularność i oddalić rewolucyę, postanowił wesprzéć orężem kolonie amerykańskie, walczące o byt niepodległy. Doniol z dowodami w ręku zbija to mniemanie. Pokazuje on, że wyprawa francuska do Ameryki była dziełem głęboko obmyślaném. Szło tu głównie o podniesienie Francyi, upokorzonéj warunkami traktatu, naznaczonemi przez Anglię w r. 1763. Pod piórem autora urosła do wielkich rozmiarów postać hr. Vergennes, ostatniego ministra spraw zagranicznych, za dawnej monarchii. Sam nawet Ludwik XVI ukazany w świetle, jakiego mu długo odmawiano. Król ten, słaby i chwiejny w polityce wewnętrznéj, dowiódł niezwykłéj mocy duszy w obec tak wielkiego w dziejach wypadku. Dzieło p. Doniol, pełne życia, napisane jasno i poprawnie, wielką ma wartość, tak literacką, jak i historyczną.

Dział historyczny bogato przedstawiony na konkursie. Oto szereg prac uwieńczonych:

P. Doniol, jak widzieliśmy, rzucił światło na postać Ludwika XVI; inny znów laureat, p. La Rochellerie, z dodatniéj strony ukazuje spotwarzoną do zbytku „Maryę Antoninę“. Sąd autora bezstronny, surowy i względny zarazem, wolny od wszelkiego pochlebstwa. W dumnéj królowéj daje on poznać pełną serca kobietę. Ostatnie sceny krwawego dramatu odmalowane żywo, w dziwnie poruszający sposób.

Do tychże samych czasów odnosi się dzieło Jerzego Pollain p. t. „Missya Tailleranda do Londynu w r. 1792“. Autor zebrał urzędowe raporta i korespondencye ambasadora francuskiego, daje w nich poznać usilne zabiegi o pozyskanie neutralności państwa angielskiego, w chwili, gdy nieuchronną była wojna z Austryą i Prusami. W obszernym wstępie historyk przedstawia politykę słynnego męża stanu, w licznych dopiskach objaśnia dokumenta. Przed ośmiu laty, p. Pollain otrzymał już nagrodę akademicką za wydanie „Korespondencyi Tailleranda z Ludwikiem XVIII-tym, podczas kongresu wiedeńskiego“.

Inny erudyt, uwieńczony na tegorocznym konkursie, p. La Sicotière, żywém jest świadectwem przeciw zarzutom Niemców, szydzących z francuskiéj *leichte Literatur*. Uczony ten badacz, od lat czterdziestu zagrzebany w archiwach normandzkich, tak publicznych, jak i prywatnych, wydobył z nich dwa tysiące oryginalnych dokumentów, korespondencyi, notat rodzinnych i t. p. i pomieścił to wszystko w dziele p. t. „Ludwik Frotte i powstanie w Normadyi". Wzbogacił tę pracę mnóstwem wspomnień, przechowanych w tradycyi rodzin miejscowych. Temu wytrwałemu pracownikowi zawdzięcza Normandya wszystkie towarzystwa archeologiczne i literackie, bardzo liczne w téj części kraju.

Hr. de Meaux otrzymał nagrodę za ważne dzieło p. t. „Reforma i polityka francuska w Europie do czasu pokoju westfalskiego". W innéj, dawniejszéj pracy, autor przedstawił już obraz walk religijnych we Francyi w ciągu XVI-go wieku. W pracy obecnéj podnosi zasługi Henryka IV-go, który ogłoszeniem edyktu nantejskiego uspokoił umysły i położył koniec krwawym zapasom.

Do historycznych poniekąd zaliczyć można pracę p. Ramon Fernandez p. t. „Francya teraźniejsza", autor bowiem, malując stan obecny, sięga zarazem w przeszłość, daje poznać wszelkie dary, tak fizyczne, jak umysłowe, dzięki którym Francya utrzymywała zawsze przeważne stanowisko wśród ludów, stojąc na czele cywilizacyi europejskiéj.

Obok tego jasnego obrazu widzimy inny, w ciemnych skreślony barwach, zarówno jak tamten w połowie historyczny, w połowie dzisiejszy, pod tytułem: „Więzienia paryskie i więźniowie", Adolf Quillet, poważny prawnik, rozmyka zaryglowane drzwi starych więzień odwiecznego Paryża: ukazuje wielki i mały *Chatelet*, *Temple* i wiele innych poprawczych domów. Pełniąc od lat piętnastu obowiązki sędziego w wydziale kryminalnym, autor zna rany społeczne, odkrywa je, uczy, jak je wypada leczyć, a co ważniejsza, wskazuje sposoby, jak można im zapobiedz.

Uwieńczona praca, pod tytułem: „Chaplain i dwie pierwsze nasze akademie" ściśle też należy do historyi. Uczony autor, ksiądz Fabre, sięga do kolebki instytucyi narodowéj, która miała zabłysnąć w przyszłości pod nazwą akademii francuskiéj. Chaplain, zaszczycony ufnością kardynała Richelieu, był jednym z głównych jéj organizatorów, w r. 1635. Ów Chaplain, jako pisarz i poeta, stał się późniéj przedmiotem szyderczych pocisków satyryka Boileau, który rządził wszechwładnie opinią publiczną i nie jedno zasłużone imię odarł ze sławy, jaka mu słusznie należała. Kilka takich ofiar zrehabilitowali już dzisiejsi erudyci: ksiądz Fabre postanowił ukazać w prawdziwém świetle po-

stać zasłużonego Chaplain'a, i w godny sposób przedstawia tę znakomitą osobistość przed oczyma potomnych.

Z pomiędzy uwieńczonych dzieł literackich wymieńmy tu naprzód studya nad słynnym Montaigne, moralistą XVI wieku, którego zarysy „Essaies“, tak przypominają naszego a współczesnego mu Reja z Nagłowic. Dwaj erudyci, Jonavoust i Moteau, otrzymali nagrodę fundacyi Guirosa za piękne wydanie dzieł Montaigne'a, opatrzone glossaryuszem, poprzedzone wstępem krytycznym.

Inny moralista, zmarły przed stu laty, Vauvenargues, znalazł utalentowanego biografa w Maurycym Paleologu. Vauvenargues, długo zapomniany, zwrócił dziś powszechną uwagę; zawdzięcza to genialnym połyskom myśli, wyrażonych w stylu wytwornym. Z głębokiém uczuciem Paleolog opisał życie tego młodziana, zmarłego w trzydziestu latach, chorobą i troską starganego przedwcześnie. Życiorys to nadzwyczaj zajmujący.

Jerzy Pelissier, w dziele pełném erudycyi p. t. „Ruch literacki w XIX wieku“, wskazuje wielkie prądy, jakie w dziedzinie myśli wstrząsały ostatniem stuleciem. Krytyczny ten pogląd zwrócił uwagę akademii, zjednał autorowi nagrodę konkursową.

Otrzymał ją także szwajcarski erudyt, Filip Godet, za „Historyą literatury w Szwajcaryi francuskiéj“. Przebiega w niéj wszystkich autorów kraju swego, którzy pisali językiem francuskim, zacząwszy od Kalwina, kończąc na ojcu Girard. W téj bogatéj galeryi występują kolejno: Necker, Laharpes, Saussure i wielu innych. W ocenieniu ich prac, krytyk wyżéj nad literacką wartość podnosi myśl moralną, jaka ożywiała tych pisarzy i stała się drogą spuścizną dla następnych pokoleń.

Dwie obce literatury dziewiętnastego wieku były przedmiotem badań dwóch utalentowanych autorów: Gabriel Sarasin przebiega cały szereg „Pisarzy angielskich XIX stulecia“; kreśli ich życiorysy i na tym wątku osnuwa historyę literackiego ich rozwoju. To samo czyni Alfred Marchand co do poetów południowo niemieckich. W trzytomowém dziele p. t. „Lirycy austryaccy“ rozbiera utwory mało dotąd znane we Francyi. W pierwszéj seryi znajdujemy imiona utalentowanych poetów, jak Lenau, Belli, Paoli, Tentskterstleben; druga obejmuje do końca okres romantyczny. Występują tu: Hartmann, Józefin Knorr, Lorm i Robert Hamerling. Trzeci tom zawiera przekład dzieła Hartmanna pod tytułem „Opowieści Nomady“.

Na konkurs poezyi wiele w tym roku nadesłano zbiorów; pięć z nich uwieńczyła akademia. Między laureatami znajdujemy trzy imiona niewieście. Nie mieliśmy czasu rozpatrzyć się dostatecznie w tych utworach, dziś podajemy tylko ich tytuły. Pierwszą nagrodę

1,500 fr. otrzymał Gabryel Vicaire, autor oryginalnych obrazków z życia ludu „Emaux Bressans“, drugą Jan Bellecroy za zbiór poemacików p. t. „Niewiasty starożytne“. Panna Ludwika Loiseau otrzymała wieniec za poetyczne „Sny i wizye“. Młodziuchna Rozamunda Gérard za pełne wdzięku piosenki, pod ogólną nazwą „Les pipeaux“ (Fujarki).

Trzecia laureatka szczególne budzi współczucie. Jest nią pani Berta Galeron z domu de Calonne. Sam tytuł jéj ulotnych poemacików „Wśród nocy mojéj“ (*Dans ma unit*), oznajmuje, że biedna niewidoma żyje w wiecznym pomroku. Jedyném jéj światełkiem promyczek poezyi, w którym skrystalizowały się wspomnienia z lat dziecinnych. Miała lat jedenaście, kiedy, dotknięta tyfusem, ociemniała zupełnie, co więcéj, utraciła słuch w części. W takiém oderwaniu od świata, żaliła się rzewną piosenką:

Po omacku ja idę drożyną żywota,
Moi dwaj towarzysze: smutek i tęsknota;
Wyciągam naprzód dłonie... noc czarna przede mną,
Co krok trącam o szczęście.., niestety, daremno!

Szczęście to miało jednak zablysnąć ociemnialej: pomimo kalectwa swego, poetka zjednała sobie serce młodego budowniczego. Zaślubiona z nim, znalazła przy domowém ognisku urok życia niespodziewany. Krótko to trwało; w kilka lat potem, śmierć jedynego dziecka rozdarła serce jéj macierzyńskie!

Na czele zbiorku czytamy życiorys poetki, skreślony piórem innéj poetki, innéj matki zarówno osieroconéj, królowéj rumuńskiéj Carmen Sylvy.

Oprócz nagród za dzieła, nadesłane na konkurs, akademia rozporządza dowolnie sumą 6,000 franków fundacyi *Vitet*, bądź na rzecz wytrwałych pracowników, którzy bogate zebrali plony na niwie literackiéj, bądź na zachętę dla młodych szermierzy, świetnie rozpoczynających swój zawód. W tym roku otrzymał to premium zasłużony Paweł Mesnard. Pierwszém dziełem jego, przed laty z górą trzydziestu, była „Historya akademii francuskiéj“. Odtąd, jako współpracownik „Kolekcyi wielkich pisarzy francuskich“, wydał znakomite studya nad dziełami Rasyna, Fontenella, Moliera i pani de Sevigné. Ostatnią jego pracą przekład wierszem tragedyi Eschylesa.

Konkurs fundacyi Monthion'a nagradza, jak wiadomo, prace rozmaitéj treści: historycznéj, naukowej czy literackiéj, z jedyném zastrzeżeniem, że wątek ich ma być czysty, skierowany do ogólnego pożytku. Nigdy może pomysł fundatora nie wydał tak dobroczynnych, jak dziś, owoców. Sto kilkadziesiąt książek rokrocznie nadsyłają

autorowie na ten konkurs; wartość ich bywa rozmaita, wszystkie jednak, poddane pod sąd akademii, stanowią sprzeczność z tym dwoistym prądem, który dziś szamoce tak zwaną piękną literaturę: albo ją pogrąża w topieliskach realizmu, lub, co gorsza może, rozpaczliwym pessymizmem zatruwa społeczeństwo.

Oto dwadzieścia rozmaitych prac, uwieńczonych przez akademię w myśl fundatora.

Największą nagrodę, 2,000 fr., otrzymał p. Giraud, profesor fakultetu literatury, za dzieło p. t. „Edukacya w Atenach w V-tym i IV-tym wieku przed erą chrześciańską". Autor podejmuje małego Ateńczyka od kolebki, pokazuje pierwsze jego zabawy, prowadzi go do szkoły, którą opisuje, jako głęboki erudyt. Obok tego daje ciekawe szczegóły o wychowaniu domowém i o życiu społeczném w Atenach.

Inny znowu laureat, Lacour-Gayet, wykonał ważną historyczną pracę p. t. „Antonin pobożny i jego czasy". Imię tego rzymskiego Cezara przechowało się ze czcią w tradycyi, ale czyny jego były dla historyi zagadką. Francuski erudyt rozjaśnił ten „dwudziesto wiekowy pomrok", jak się wyraził sekretarz akademii.

Do historyi późniejszych czasów należą dwie uwieńczone prace: „Życie pani Lavalière", przez księdza Pauthé, i monografia F. H. de Leymond, p. t. „Pani de Sainte Beuve i Urszulinki w Paryżu".

Z działu krytyki literackiéj otrzymał nagrodę Dawid Sauvageot, autor dzieła p. t. „Budyzm i naturalizm w sztuce i literaturze"; praca ta, nacechowana wytrawnym sądem i smakiem artystycznym, bardzo pożyteczna w tych czasach, kiedy naturalizm rozpasał się tak szeroko, a pessymizm tak ubezwładnia umysły.

Inną nagrodę przyznał sąd Karolowi Pamerols za piękne „Studyum nad Lamartinem".

Na szczególną uwagę zasługuje wielkie dzieło Augusta Vitu, p. t. „Paryż". Jest to drgający życiem obraz olbrzymiego miasta, jakiém dziś je widzimy i jakiém było przed laty. Piękne drzeworyty zdobią tę pomnikową publikacyę.

Oto tytuły książek rozmaitéj treści, uwieńczonych nagrodą Monthion'a:

„Z Indyi do Peru"—opis podróży przez Marcellego Monnier.

„Ogień na Formoza", przez Jana Dargene.

„Spowiedź Ojca", przez Wiktora Fournel.

„Będziesz rolnikiem", p. Henryka Marchand, szefa wydziału w ministeryum rolnictwa.

„Kupiec zapałek", p. A Genevray.

„Mały Gosse", p. W. Busnach.

„Peri na morzu".

Powieści uwieńczone w liczbie sześciu, wszystkie są bez wyjątku dziełem kobiet: „Antoni Brasseur", przez panią Cranck. „Tajemnicza deszczułka", pani Nanteuil. „Dziecko Paryża", pani Mesureur.

Szczególną uwagę sędziów zwróciły dwie powieści, wydane pod męzkim pseudonimem. Przedmiotem jednéj p. t. „Pani Epone", miłość macierzyńska, posunięta do bohaterskiéj ofiary. W drugiéj „Stryj i ksiądz pleban", autorka, ukryta pod imieniem Jan La Brete, przedstawia młodą emancypantkę, z głową przewróconą, w zaciętéj walce przeciw swoim duchom opiekuńczym, pokonaną w końcu dobroczynnym ich wpływem.

Uwieńczona powieść „Panna Micia", więcéj nas jeszcze obchodzi, raz jako utwor pani Małgorzaty Poradowskiéj, wdowy po ziomku naszym, powtóre jako wysnuta z życia społeczeństwa galicyjskiego. Autorka lat kilka przepędziła w okolicach Kołomyi. Zna wybornie lud nasz i życie ziemian naszych, a co więcéj, umie badawczém okiem wniknąć w głąb rzeczy, i to, co widzi, oddać w żywy i zajmujący sposób. Zna także polski język. Tłómaczone przez nią powiastki Sienkiewicza drukowane były w „Przeglądzie dwóch Światów". Obecnie pani Poradowska przebywa w Galicyi, gdzie znajdzie zapewne wątek do nowych obrazów. Powitamy je chętnie, gdyż autorka w prawdziwém świetle przedstawia życie ziomków naszych, a tém samém oddziałać może pożytecznie przeciw skandalicznym powieściom Sacher Masocha i Francoza, z których cudzoziemcy smutne mają pojęcie o społeczeństwie galicyjskiém.

Do tych licznych konkursów akademickich przybędzie od roku przyszłego jeden jeszcze coroczny, i to niemałego znaczenia, premium bowiem wyniesie 7,500 franków. Fundatorem tego konkursu Józef Née, zmarły niedawno adwokat paryski. Wyraził on w testamencie życzenie, aby nagroda, o ile można, nie była dzieloną na części. Przeznacza ją za dzieła najrozmaitsze, tak pod względem formy, jak i przedmiotu: romans, życiorys, lub też krytykę literacką. Jedyny tylko zastrzega warunek, aby praca uwieńczona wyróżniała się od innych pomysłem i wykonaniem, zupełnie oryginalném. Snać dostrzegł fundator brak samodzielności w dzisiejszych utworach literackich i pragnie ją rozbudzić. Ale pytamy, czy nagroda pieniężna, która może dodać silnego bodźca zwyczajnym pracownikom, zdoła wykrzesać iskrę geniuszu? a geniuszom tylko dano wznieść się nad poziom: „wyrwać ze starych posad bryłę świata i nowemi popchnąć ją tory!"

Wyobraźmy sobie, na jakie dziwactwa sadzić się będą zapaśnicy

konkursowi, aby schwycić za skrzydła nową myśl, o jakiéj nie śniło się jeszcze filozofom. Nieudatne próby takich zachcianek widujemy już i w literaturze, w poezyi, tak zwanych *symbolistów*, *dekadentów* i t. d, a bardziéj jeszcze na dorocznych wystawach sztuk pięknych, w obrazach i rzeźbach *impressyonistów*.

W parę tygodni po uroczystości w akademii francuskiéj, nastąpiła inna w akademii nauk moralnych i społecznych. Według tradycyjnego zwyczaju, po rozdaniu nagród konkursowych, stały sekretarz akademii obowiązany jest odczytać rozprawę o życiu i pracach jednego ze zmarłych członków, którzy przynieśli najwyższy zaszczyt akademii. Te obowiązki sekretarza pełni znakomity mówca, Juliusz Simon, pełen młodzieńczéj werwy, pomimo lat siedmdziesięciu sześciu.— W dziełach i wykładach filozoficznych profesora Caro znalazł on szerokie pole, nietylko do zbadania długoletnich jego prac i podniesienia zasług, ale, co więcéj, do scharakteryzowania prądów, wstrząsających umysłami u schyłku stulecia bieżącego.

Mówca przebiegł w kilku rzutach pióra młode lata profesora Caro, a zatrzymał się głównie nad misyą filozoficzną, jaką ten profesor podjął od początku zawodu swego, a którą spełniał do kresu dni z niezmordowaną wytrwałością.

„Caro urodził się mówcą, rzekł Simon. Wymowa jego, łatwa i poważna zarazem, miała wdzięk niepojęty. Zachwycał nią dziatwę, gdy był profesorem w kollegium, późniéj porywał dorosłych uczniów w szkole normalnéj, nakoniec przyciągał tłumy, jako profesor fakultetu filozoficznego w Sorbonie“.

Określiwszy wielki dar krasomówcy w profesorze, Juliusz Simon pokazuje w nim filozofa. „Inni szukali chwały, jako naczelnicy szkoły nowéj, jako twórcy własnych systematów; Caro zaś odgadł odrazu przenikliwym umysłem, że w czasach naszych inne było zadanie filozofii; postawił on sobie za cel, za jedyną powinność, występować stale w obronie Boga i duszy nieśmiertelnéj przeciw zgubnym teoryom dziewiętnastego wieku“.

„Bo cóżmże jest życie bez Boga!—woła Juliusz Simon,—walką o interes osobisty z Benthamem i Stendhalem, tryumfem siły fizycznéj z Darwinem, ubóstwieniem namiętności z J. Jakóbem Rousseau, Herbertem Spencerem i Georges Sandem. Wyrafinowane a chorobliwe umysły kłonią się do poetyki Wertera, do Budyjskiéj nirwany, do zapragnienia śmierci; mieliśmy oto trzykroć siedmdziesiąt samobójstw

w ciągu lat pięćdziesięciu. Czas już powrócić światu słońce, czas powrócić nam Boga!“

Mimo tak smutnych objawów w społeczeństwie dzisiejszém, Juliusz Simon nie pessymistycznym wzrokiem spogląda na przyszłość Francyi. „Nie należę ja do tych, mówi on, którzy wątpią o młodzieży; przeciwnie, spostrzegam, że młodzi ludzie nasi poważniéj patrzą na rzeczy, niżli poprzednie pokolenie, pilniéj uczęszczają na wykłady, egzamina dobry wydają rezultat; nie owa-to młódź szkolna przepełnia dziś kawiarnie i bilardy; tłoczą się tam chmary próżniaków, mieniących się uczniami bez żadnego do tego prawa, tak samo jak i w innych warstwach ludności: koczownicze przybłędy, socyaliści zagraniczni, obłoczą bluzy i odegrywają rolę robotników, nie umiejąc żadnego rzemiosła. Obecnie utworzyły się wielkie zgromadzenia uczniów, aby ścieśnić węzły braterstwa i ułatwić sobie nabycie środków naukowych. Te towarzystwa utrzymują stałe stosunki z profesorami.

„Uczniowie różnych fakultetów korespondują z sobą, a nawet z uniwersytetami krajów zagranicznych. Takie braterstwo, związane węzłem nauki, pomyślną jest wróżbą na przyszłość. Widzieliśmy przy inauguracyi odnowionéj Sorbony młodzież, przybiegłą tu ze wszystkich krańców Europy; toż samo powtórzyło się na uroczystym obchodzie w Montpellier. Za przykładem innych, młodzi Francuzi nasi do nauk dodali i ćwiczenia fizyczne; niektórych to przeraża, ale ja się tém cieszę. Lubię patrzéć na ten różnostronny rozwój młodzieńczéj siły; nie tylko że umysł nie może stracić na tém, ale przeciwnie, krzepkość ciała popycha myśl do nowych polotów. Zobaczymy wkrótce hożych chłopców, wbiegających rączo na estradę po dyplom prawa lub medycyny, zamiast owych anemicznych młodzików, przeciążonych pracą, lub wyczerpanych bezczynnością, jakich ukazywały nam dawniéj pierwsze zakłady naukowe. Widziałem tę młodzież paryską, gdym ją przedstawiał Castellarowi, i wiem, jakiém tętnem uderzyło mi serce! Nie lękam się ani o szlachetne jéj uczucia, ani o zapał do nauk; ale—mamże wyznać?—niepokoją mnie trochę jéj doktryny“.

„Patrzę z trwogą,—ciągnie daléj Simon,—na tych mistrzów, których teorye filozoficzne wykładane dzisiaj po szkołach. Oto Buchner, oto Darwin, oto Schopenhauer! O staréj filozofii Kartezyusza, która utworzyła silną generacyą siedmnastego wieku i odrodziła Francyę w pierwszéj połowie dziewiętnastego stulecia, niéma dziś nawet mowy. W miejsce tych prostych doktryn, co zalecały wytrwałą czynność, posłuszeństwo względem przyjętych obowiązków, miłość ludzkości, wprowadzono sofistyczne doktryny, które jednych zrażają do życia, drugich odwodzą od ofiary, a wszystkich od walki wytrwałéj!“

Nie samych przecie profesorów oskarża Juliusz Simon: na każ-

dym kroku widzi on wpływ doktryn, złowrogo działających na umysły młodzieży. Zgorszenie z każdéj powiewa strony, przepełnia powietrze zatrutym miazmatem, przedziera się za obręb szkolnych murów.

„Jak uniknąć, pyta on, owych fatalnych doktryn? Młodzież spotyka się z niemi w teatrze, w powieściach, w dziennikach, w wyrokach przysięgłych, w mowach parlamentarnych, w rozmowach przy domowém ognisku! Słyszy, jak ludzie znaczenia i talentu usiłują gwałtem wyrugować z umysłów wszelkie pojęcie religijne, a to pod pozorem wolności!

„Takie-to niebezpieczeństwa, ciągnie Simon, z winy naszéj, grożą młodzieży i całemu społeczeństwu. Widział je Caro od początku zawodu swego. Obliczył je wszystkie, badał głęboko, zdzierał z nich maskę, ukazywał smutne ich następstwa. Walczył przeciwko nim całą siłą logiki, całą potęgą uczucia. To przebiegał książki filozofów, chłostał ich fałszywe doktryny, to ukazywał zgubny ich wpływ w sztukach teatralnych, w utworach poetów, a nawet w rozmowach światowych. Czy to z katedry profesorskiéj, czy w uniwersytecie przy udzielaniu stopni doktorskich, czy w akademii, czy to w przeglądach i dziennikach, wszędzie i zawsze, co dzień, co godzina, występował jako niezmordowany szermierz do zapasów, przeciw naszym i swoim własnym wrogom.

„Niechże więc, kończy Simon, niepoprawni zwolennicy spirytualizmu, czciciele opatrzności, obrońcy duszy nieśmiertelnéj i wolnéj, ci, którzy utrzymują, że sama tylko ofiara obfite wydaje owoce, niech ci wygłaszają z wdzięcznością chwałę wielkiego profesora!

„Tak jest, wszędzie i zawsze był on profesorem moralistą; był nim już dzieckiem, w domu zasłużonego i poważego ojca, był nim w objęciach śmierci. Miły, pełen prostoty, skonał z uśmiechem na ustach. Piękny ten żywot był, rzecby można, jedną nieustającą szermierką, która przetrwała lat trzydzieści!“

Między dwoma wielkimi ludami zapadłego Wschodu zawzięty panuje antagonizm. Chińczycy, przywiązani do odwiecznych swych tradycyi, szydzą z Japończyków, rzucających się zbyt rączo na drogi europejskiego postępu. Japończycy ze swéj strony z pogardą poglądają na zacofanych sąsiadów, żartują złośliwie z ich warkoczy i strojów narodowych, które sami całkiem porzucili. Gdybyśmy jednak w długim szarafanie błękitnym i równie długiéj kosie, spadającéj do ziemi, widzieli dowód zacofania, wyprowadziłby nas z błędu uczony i pełen ogłady jenerał Tcheng-ki-Tong, członek ambasady chińskiéj

w Paryżu. Zachował on strój narodowy i gorącą miłość tradycyi narodowych, a obok tego rozumem i dowcipem zjednał sobie wziętość pomiędzy Francuzami, tak w świecie naukowym, jak również i w salonach paryskich. Japończycy tymczasem, którzy dziwią Europę pogardą dla swych tradycyi, gwałtowną reformą w szkołach, wreszcie nadzwyczajnym rozwojem dziennikarstwa, nie przedstawili jednak w Paryżu tak wybitnéj osobistości.

Miłość własna, a raczéj poczucie godności jenerała chińskiego, wystawione było w tych czasach na twardą próbę; wyszedł z niéj przecież zwycięzko. Malarz Regamey, który niedawno odbył podróż do Chin i Japonii, nakreślił i wydał uwagi o dwóch sąsiednich krajach; porównanie wypadło na korzyść Japonii, z krzywdą i ośmieszeniem Chińczyków. Ubodło to do żywego chińskiego patryotę; nie dał za wygraną: w odpowiedzi, pełnéj dowcipu i taktu, daje nam ciekawe szczegóły o społeczeństwie chińskiém; przytaczamy z niéj kilka rysów.

Regamey opowiada, jak, rozłożywszy się ze stalugami na jednéj z ulic Kantonu, był przedmiotem ciekawości i żartów ulicznéj gawiedzi. Tak go to rozgniewało, że czém prędzéj wsiadł na statek i popłynął do Japonii.

Tcheng-ki-Tong, w odpowiedzi na to, przypomina własne przygody przy pierwszém spotkaniu z ucywilizowanymi europejczykami.

„Gdybym — mówi on — uczynił, jak p. Regamey, nie byłbym nigdy poznał Europy. Pamiętam jak, będąc poraz pierwszy w Berlinie r. 1877, przechadzałem się po Kajser-Galerie; w oka mgnieniu tak wielkie zaległy ją tłumy, że, w obawie, aby mnie nie uduszono, wszedłem do sklepu i wezwałem w pomoc policyę, która ułatwiła mi przejście.

„Nie koniec na tem: kiedy Chiny zainstalowały legacyę w Berlinie, młodzież i dziatwa szkolna tak ścigała moich współziomków, że rektor uniwersytetu do przepisów szkolnych dołożył osobny paragraf: „Nie wolno gonić i niepokoić Chińczyka".

„Paryż sam, pomimo ciągłych stosunków ze wszystkiemi ludami świata, w pierwszych czasach nie dawał mi pokoju. Dnia jednego w muzeum Luwru, gdym stał zapatrzony w obraz flamadzki, dwie panie szeptały sobie za mną, patrząc na moje warkocze, na długą suknię i złotą na ręku bransoletę, zakładały się: czym ja mężczyzna czy kobieta.

„Mnóstwo miałem podobnych przygód, lecz te bawiły mnie a nie gniewały. Wiém, że w każdym kraju jest nieokrzesana gawiedź, ale są też ludzie, pełni ogłady i uprzejmości dla cudzoziemców. Tę piękną stronę wypada nam poznać i ocenić".

Regamey zachwyca się artyzmem Japończyków, z uniesieniem wymienia ich malarzy, a szczególniéj humorystów, pełnych dowcipu, którzy umieją pochwycić we wszystkiém śmieszną stronę i oddać ją z życiem. Tego daru zaprzecza Chińczykom; szydzi z nich, że nie pozwalają malować rysów swoich, w mniemaniu, że portret przyniesie im nieszczęście.

Gorąco Tcheng-ki-Tong występuje w obronie sztuki chińskiéj; według niego, artyzm Chińczyków objawia się głównie w dwóch formach: znają tylko sztukę w czystém znaczeniu słowa, i sztukę zastosowaną do przemysłu. Karykatura, jako rodzaj podrzędny, nie istnieje u nich bynajmniéj. Zabobon, wzbraniający portretu, odrzuca, jako wymysł, przeciwny całkiem prawdzie.

Regamey ze wstrętem wspomina groby, z któremi co krok spotyka się podróżnik w Chinach; to wieczne *memento mori*, czy to na wsi, czy w mieście, razi go w przykry sposób.

„My inaczéj pojmujemy śmierć, — odpowiada Tcheng-ki-Tong;— przypomnienie jéj bynajmniéj nas nie trwoży. Najmilszym darem dla starca drzewo, przeznaczone na jego trumnę; w naszych oczach widok grobowca nie odbiera wiosną uroku krajobrazom, ani też przyćmiewa promieni słonecznych szmatem żałobnego całunu, jakim jesień obleka przyrodę".

Jenerał Tcheng-ki-Tong, jako człowiek nauki i talentu, pomimo długiéj kosy i sukni błękitnéj, wielce się przyczynił do ukazania Europie dodatniéj strony społeczeństwa chińskiego. Oprócz konferencyi i artykułów, drukowanych w przeglądach, wydał on trzy osobne dzieła. W jedném przedstawia życie w Chinach, w drugiém opisuje teatr, daje rozbiór chińskich dramatów, w ostatniém p. t. „L'homme Jaune" (Żółty człowiek), pod formą powieściową maluje zwyczaje i obyczaje kraju swego. Włada on wybornie językiem francuskim, w Paryżu bowiem przechodził szkołę prawa. Ufny w zdobytą popularność, pozwala sobie nieraz ukłóć ostrém żądełkiem miłość własną Francuzów, pokazując, że ośmieszona zastałość chińska lepsze częstokroć wydaje owoce od tak zwanego postępu, gdy ten rozwija się na drodze fałszywéj.

Z wyjątkiem błyszczącéj „Kleopatry", któréj obraz skreśliliśmy w ostatniéj kronice naszéj, dawno już nie mówiliśmy nic o teatrze. Nie brakło wprawdzie na scenach tutejszych nowych dramatów i komedyi, w niektórych może połyska iskra talentu, ale wszystkie nacechowane myślą tak chorobliwą, tak pełne skandalicznych sytuacyi, że wspominać o nich nie warto. Od roku teatr mało budził zajęcia;

tydzień temu dopiero, Alfons Daudet wystąpił z nowym utworem pod tytułem „Obstacle“ (Przeszkoda) i poruszył nim do gruntu publiczność paryską.

Przytaczamy treść sztuki w najogólniejszych zarysach.

Rzecz dzieje się w słonecznéj i kwiecistéj Nicei. Tam, pod niebem południowém, przepędza zimę młoda, bogata dziedziczka, sierota bez rodziców, panna Magdalena de Remondy. Towarzyszy jéj daleka krewna, panna Estella. Opiekunem Magdaleny jest p. Castillon, wdowiec około czterdziestoletni, zajmujący w Montpellier wysokie stanowisko,— rodzony to brat panny Estelli.

Przybyła téż na zimę do Nicei hrabina d'Alein, wdowa, a z nią młody syn, Didier, i dawny jego nauczyciel, Hornus, dziś przyjaciel domowy. Obie rodziny poznały się i zaprzyjaźniły. Didier upodobał sobie Magdalenę, panienka odpłaca mu uczucie wzajemnością. Zamienili już pierścionki. Matka uszczęśliwiona z tych związków. Opiekun tymczasem widocznie niezadowolony.

Wiedziony myślą samolubną, Castillon, radby nie dopuścić małżeństwa; on sam pragnie zaślubić sierotę. Pozór do zerwania układu nasuwa się niebawem. Posłyszał opiekun z ust gadatliwego sługi, że ojciec Didier cierpiał pomieszanie zmysłów. Troskliwy o wychowankę, oświadcza hrabinie, że nie pozwoli na związek; przypomina jéj siedmnastoletnie męczarnie, jakie zniosła z bohaterską odwagą i poświęceniem. Choroba umysłowa bywa zwykle dziedziczną; godziż się narażać przyszłość Magdaleny?

Napróżno hrabina zapewnia opiekuna, że Didier miał już dwa lata, kiedy ojciec jego, uderzony w Senegalu promieniem afrykańskiego słońca, dostał zapalenia mózgu, z czego wywiązało się obłąkanie. Słowa jéj nie złamały oporu. Nieszczęśliwa matka nie nalega dłużéj, przemyśla tylko, jak usprawiedliwić przed synem zerwanie związku, w którym on widzi całe szczęście. Drży o umysł Didier'a. On prawdy odgonąć nie powinien!

Młodzian, wychowany pod tkliwém okiem matki, pod czujną strażą przewodnika swego, nigdy nie znał rzeczywistego stanu ojca, widział tylko, że zdrowie jego nadwątlone; zresztą obłąkanie objawiało się w łagodny sposób, łatwo je było ukryć.

Stanęło na tém, że wypada pomału, z całą oględnością, uprzedzić Didier'a, iż serce Magdaleny nie dość silnie uderzyło, aby mogła oddać mu rękę.

Drugi akt przenosi nas do Colombier, majętności hrabiego. Didier niczego się nie domyśla. Urządza prześliczną willę, gdzie ma zamieszkać z młodziuchną żoną. Jeszcze biedna matka nie zdążyła uprzedzić syna, kiedy niecierpliwy opiekun wyprawia do Colombier

siostrę swoją, Estellę. Ta wręcza Didierowi listy jego, pisane do Magdaleny. Żąda zarówno zwrotu jéj listów i fotografii, na któréj panienka skreśliła własną ręką: „Twoja na całe życie". Młodzian nie pojmuje, co zaszło. Jak piorunem rażony, wybucha gwałtownym żalem. Wiadomość, że Magdalena nie kocha go, rani boleśnie jego serce. Nie może jednak uwierzyć w tak nagłą zmianę; przeczuwa w tém ukryty jakiś powód.

Usiłuje wybadać matkę. Czyżby na imieniu jego ciążyła jakaś tajemna plama, jakiś czyn haniebny? Czyżby ojciec...

— Ojciec twój, przerwie matka, najuczciwszym był człowiekiem, pamięć jego żadną nie tknięta skazą!

— A zatém jakiż powód?

I upada na krzesło, obie ręce przyciska do czoła.

Matka patrzy na syna z miłością i dumą macierzyńską.

— Mnie o nic nie zapytał... — rzecze — cień podejrzenia nie powstał w jego myśli. Dobre, szlachetne dziecko!

Próżne nalegania. Didier nie odda listów ani portretu, dopóki nie usłyszy z ust Magdaleny, że przestał jéj być drogim. Gdy mu to sama powie, wtedy wróci jéj wolność.

— Zaręcz mi to honorem,—przerwie obecny Hornus.

— Tak jest, ręczę honorem, odpowie Didier.

Stanął układ z panną Estellą: Młoda para spotka się w klasztorze sióstr, gdzie Magdalena odebrała wychowanie i dokąd obecnie się schroniła.

Nikczemny opiekun przedstawił jéj w zatrważający sposób stan umysłowy Didiera. Wszystkie, jak mówił, czyny jego świadczą o chorobliwym obłędzie. Zaciągnął się był do wojska, odbył ciężką wyprawę do Tunisu, wszystko to bez żadnéj potrzeby. Ledwie, że doszedł stopnia oficera, porzucił służbę, zabrał się do pracy rolniczéj. Nie dosyć na tém: oto jakiegoś włóczęgę, co kradł zwierzynę w lesie, wydobył z nędzy i moralnego upadku, dał mu miejsce leśniczego w majątku swoim,—alboż to nie dowód szaleństwa?

Trzeci akt przenosi nas poza wrota klasztoru w Nicei, do ogrodu pełnego róż i krzewów egzotycznych; znajdujemy tam Magdalenę i młodą jéj towarzyszkę Noelie, którą widzieliśmy już w akcie pierwszym, narzeczoną wtedy jednego z koryfeuszów złotéj młodzieży nicejskiéj. Inna to dziś Noelie: welon postulantki pokrywa jéj włosy, ocienia blade lica. Zdradzona, szuka spokoju w murach klasztornych; wkrótce wykona śluby. Obie przyjaciółki, pełne wówczas szczęścia i nadziei, płaczą teraz nad smutną dolą swoją.

Magdalena czeka Didiera, to dzień umówiony na spotkanie. Słońce tak jasno świeci, błękit nieba tak czysty, woń kwiatów napełnia

powietrze. Wchodzi nakoniec młodzian, drżący i pomieszany; wnet posłyszy stanowcze słowo; co ona mu też powie? W chwili, gdy ma nastąpić wyjaśnienie, zdala dobiega rzewny chór pensyonarek,—wspólnemi głosy śpiewają hymn do Najświętszéj Panny. Melodya to popularna w Nicei. Ileż-to razy Didier i Magdalena słyszeli ją, powtarzaną przez ulicznych śpiewaków! Oboje chwytają duszą znane dźwięki, pod ich czarem przepomnieli chwili obecnéj. Siadają na ławeczce, oczy ich spotkały się nawzajem

— Czy pamiętasz?— zagadnie z cicha Didier.

— Pamiętam!— poszepnie Magdalena.

Ale, jakby nagle ze snu zbudzona, z rozdartém sercem wyznaje Didierowi, że uwodzić go nie chce, że to, co brała za miłość, było tylko chwilową złudą; nie kocha go, a więc poślubić nie może!

Wszystko zerwane między nimi. Didier przyjmuje w milczeniu wyrok, oddaje Magdalenie listy i portret; ale on nie wątpi o jéj sercu, odczuwa złowrogi wpływ opiekuna, zgaduje tajemne jego zamiary.

W tejże chwili wchodzi Castillon; Didier przystępuje ku niemu.

— Magdalena wolną jest — rzecze — wolną jest dla wszystkich, lecz nie dla pana. Biada ci, gdybyś śmiał pomyśléć o niéj! ja na to nie pozwolę.

Szyderczy uśmiech przebiegł po ustach Castillona.

— Panie hrabio — odrzecze — chory jesteś, jak ojciec; nikt się nie pojedynkuje z waryatami. Takich, jak ty, zamykają, zimną wodą oblewają im głowę.

Prawda błysła przed oczyma Didiera, straszna, przerażająca prawda! Ustępuje z rozpaczą w duszy.

Upłynęło odtąd pięć miesięcy. W czwartym akcie widzimy Didiera, jak, zagrzebany w księgach medycznych, usiłuje zbadać stan mózgu swego. Lica mu zbladły, oko połyska żarem. Częstokroć przywołuje na usta sztuczny uśmiech... udaje wesołość... napróżno! nie zwiedzie serca matki. Hrabina patrzy nań z przerażeniem i najwyższą boleścią. Trwoga jéj tém większa, kiedy leśniczy, dźwignięty z upadku przez Didiera, porzuca służbę, włóczy się znów po lasach, kradnie zwierzynę, jak czynił niegdyś jego ojciec.

Biedna matka widzi w tém nieprzebłagane prawo dziedziczności. Aby uratować syna, nie cofnie się przed żadną ofiarą; gotowa poświęcić to, co ma najdroższego: własną cześć, zdobytą długiém życiem bez skazy.

Upokorzona, staje przed synem, przyznaje się do winy, któréj nie popełniła.

— Hrabia d'Alein—rzecze—nie był twym ojcem, Didierze.

— Mamo, nie uwierzę ci nigdy! ty występna! ależ to niepodobna!

— Dobrze mówisz, to niepodobna!—zawoła Hornus — i tłómaczy wychowankowi powód kłamstwa najzacniejszéj matki.

— Pragnęła tym sposobem wybić ci z głowy myśl o dziedzicznéj chorobie!

— Ależ ja, dzięki Bogu, nie myślę już o tém—przerwie Didier— głowę mam zdrową, patrzę jasno na rzeczy, a wreszcie nie wierzę na oślep w wywody naukowe dzisiejszych materyalistów; myślę, jak ty, mój stary mistrzu, że człowiek posiada w duszy dosyć siły moralnéj aby zwalczyć złowrogą skłonność, przypadłą mu dziedzictwem. Siła woli wyższa nad prawo fatalizmu!

— Tak jest — odpowie Hornus — ona właśnie odróżnia nas od zwierząt!

Uwierzyła w siłę woli i Magdalena. Doszedłszy właśnie do lat, uwolniona z ciężkiéj opieki, z sercem pełném ufności oddaje rękę Didierowi.

Wzniosła i pocieszająca myśl, uznanie potęgi ducha w walce z brutalną siłą materyi, stanowi główny węzeł sztuki. Wiadomo, jak prąd dzisiejszéj filozofii życiowéj burzy sumienia, jak unicestwia ludzką wolę, czyni człowieka nieodpowiedzialnym za własne winy. Przestępstwo przestaje być przestępstwem; morderca przelewa krew, bo prawo dziedzicznego fatalizmu popycha go do zbrodni. Na téj-to zasadzie Zola osnuł głośną powieść „La Bête humaine“, a ileż mu rąk przyklasnęło, ileż to umysłów w chorobliwy wprowadził obłęd!

Zapał, z jakim publiczność przyjęła sztukę Daudeta, wymownem jest świadectwem, że czas jeszcze odddziaływać przeciw złemu, że wiara w potęgę woli, wszczepiona w sumienie człowieka, ożywia dotąd serca i nie pozwoli im ugrzęznąć w topieliskach materyalizmu.

Zaledwie że akademia francuska zapełniła wakujące miejsce wyborem ministra Freycinet'a, śmierć wyrwała z jéj grona jednego z najsympatyczniejszych członków. Umarł Oktawiusz Feuillet, znakomity powieściopisarz, utalentowany autor dramatyczny, niezmordowany obrońca ideału w obec dążeń szkoły realistycznéj.

Wybrany na członka akademii w r. 1862, Feuillet należał do najdawniejszych, lecz nie do najstarszych wiekiem, akademików; miał lat sześćdziesiąt dziewięć. Wsparty zachętą ojca, wcześnie rozpoczął zawód literacki; od lat czterdziestu pięciu nie wypuszczał z rąk pióra. Głęboki psycholog, znał on do gruntu serca ludzkie; z upodobaniem wydobywał z nich rzewne dźwięki, nieraz jednak potrącił i w spiżową strunę, nieraz dał poznać i zmąconą harmonię życia;

czynił to jednak z taktem nieporównanym, z okiem wzniesionem ku wyższym ideałom. Pod względem języka był to mistrz w pełném słowa znaczeniu, jakich dziś nie wielu błyszczy w literaturze francuskiéj.

Na polu dramatyczném wystąpił naprzód Feuillet z jednoaktowemi, pełnemi życia obrazkami. „Wioska“ (przełożona niegdyś przez nas dla „Biblioteki Warszawskiéj“), zachwycała Paryż przed laty czterdziestu, zarówno jak „Pierwszy włos siwy“. W późniejszych utworach dramatycznych, jak „Dallila“, „Sfinks“, „Miłość ubogiego młodzieńca“, „Pokusa“, „Montjoie“, „Chamillac“, rozwinął siłę niepospolitą. Powieści jego „Julia de Trecoeur“, „Małżeństwo w wielkim świecie“, „Dziennik młodéj kobiety“, „Wdowa“, „Klucz zloty“, „Podróżnik“, „Umarła“, „Honor artysty“, że pominiemy tyle innych, przebiegały z rąk do rąk. Pojawienie się każdego z tych utworów było nową ucztą w świecie literackim. W „Umarłéj“ biegły anatom dotknął rany, toczącéj dzisiejsze społeczeństwo, doprowadził tu do ostatecznych wyników wpływ materyalizmu na umysły młodych, chciwych wrażenia, kobiet. Wychowanka ateisty, logiczniejsza od mentora swego, nie cofa się przed zbrodnią!

Cesarz Napoleon wysoko cenił Feuillet'a. W r. 1867, po śmierci Champolliona, mianował go naczelnym konserwatorem biblioteki w Fontainebleau z pensyą 15,000 franków. Życie z dala wrzawy paryskiéj, w gronie rodziny, złożonéj z żony, dwóch synów i starego ojca, z którym się nigdy nie rozstawał, słodko mu ubiegało, wśród pracy bezustannéj. Po wojnie i upadku Napoleona, nie powrócił już do obowiązków, mimo, że nowy rząd zachował mu tytuł konserwatora biblioteki. W lat kilka potém, ówczesny minister oświecenia, Juliusz Simon, upominał go, czemu nie zgłasza się o zaległą pensyę, wynoszącą już około stu tysięcy? Feuillet odmówił. „Służyłem cesarzowi, rzekł, od lat sześciu służba moja ustała, nic mi się zatém nie należy“.

Spokojnie ubiegało życie ulubionego autora, w ostatnich dopiero latach spotkał go cios, z którego nigdy się nie podźwignął. Wkrótce po starym ojcu umarł starszy syn, młodzian pełen przyszłości. Odtąd Feuillet dogasał zwolna, widywał tylko najbliższych przyjaciół; pracował jednak do końca, otoczony troskliwością żony. Po raz ostatni, na dziesięć dni przed śmiercią, ukazał się w Pałacu Mazaryniego, w dniu wyborów akademickich; chciał utrzymać kandydaturę przyjaciela swego, Brunnetiera. Umarł jako wierny chrześcianin. Zwłoki jego przeniesiono do miasta St. Lo, rodzinna kolebka, zwyczajem dzisiejszym, dopomniała się o ten zaszczyt.

W początkach tego wieku, kiedy Samuel Bogumił Linde wydał wielki słownik języka polskiego, znaleźli się pomiędzy uczonymi ludzie podejrzliwi, którzy, w obec olbrzymiego dzieła, nie mogli pojąć, aby człowiek jeden zdołał wykonać taką benedyktyńską pracę. Ztąd urosła bajeczka, że lingwista nasz odkrył gotowe materyały w bibliotece Ossolińskich we Lwowie, że je uporządkował i wydał pod własném imieniem. Przeciw tak lekkomyślnym sądom protestowali ludzie pełni wiary i serca. Kazimierz Brodziński nazwał Lindego nowym Eneaszem: „Jak tamten, mówi poeta, z płonącego Ilionu uniósł na barkach ojca i bogi domowe, tak nasz filolog uniósł ze zburzonego gniazda język, drogą puściznę po naddziadach“. Bajka upadła sama przez się, jak każdy fałsz upaść musi przed prawdą. Gdyby kto jednak mógł jeszcze sądzić, że tak olbrzymia praca przechodzi siły ludzkie, przekona się z przykładu Littrego, ile człowiek dokonać może, gdy ożywiony jedną myślą pracuje wytrwale nad jéj urzeczywistnieniem.

W tym właśnie czasie, Edward de Pompery, w dziele o uczonych współczesnych, poświęca wspomnienie Littremu. Opowiada, jak i kiedy powziął pierwszą myśl wielkiego słownika, jak zawzięcie pracował nad nim, jak go doprowadził do kresu. W roku 1841, filolog francuski zawiązał umowę z wydawcą Hachettem, w r. 1872 ostatnie stronice odesłał do drukarni. Mozolna praca odbywała się dzień po dniu w taki sposób: Littré wstawał o ósméj z rana, pracował do dwunastéj; po śniadaniu z żoną i córką zasiadał znów przed biurkiem; składał pióro o szóstéj, gdy go powołano na obiad. Od siódméj do północy pisał obok rodziny, kiedy niekiedy zamieniając z nią słów kilka. Od północy do trzeciéj z rana, wśród ciszy nocnéj, praca jego najobfitsze wydawała plony. Trwało to przez lat trzydzieści jeden. W taki to sposób dopełniają się olbrzymie dzieła, czego zrozumieć nie może ogół, z myślą rozproszoną na tysiące przedmiotów.

Towarzystwo jeograficzne zwykło zamykać wspólnym bankietem w końcu grudnia doroczne swoje prace. W tym roku zaproszono na tę uroczystość trzech podróżników, którzy tylko co powrócili z mozolnéj i niebezpiecznéj wyprawy. Kierował nią słynny eksplorator, Bouvalot; towarzyszyli mu: ojciec Dellen i książę Orleanu, Henryk, syn księcia de Chartres. Sam Bouvalot stawił się na wezwanie, zmęczeni towarzysze potrzebowali wypoczynku.

Prezydował uczony Quatrefages, profesor antropologii. Nasamprzód uczczono toastem wszystkich eksploratorów, którzy w obecnéj

chwili z niebezpieczeństwem życia przebiegają całą powierzchnię kuli ziemskiéj. Liczba Francuzów przeważa między nimi: Maryusz Caron bada obecnie rzekę Niger, w celu przygotowania jéj do żeglugi; Chaffanjou zwiedza dolinę Orinoco; Thouard—Amerykę Południową; Henryk Coudreau odbywa missyę naukową w Guyanie; Monteil ropoznaje bieg Senegalu. Podczas gdy Savornian Brazza zdobywa spokojnie brzegi Congo, Mison walczy nad Nigrem z dzikimi tubylcami. Imiona tych dzielnych obsypali obecni grzmotem oklasków.

Członek Towarzystwa, Milne Edwards, przypomniał trudy i zasługi p. Bouvalot. Przez kilka miesięcy przekopywał się on z towarzyszami przez zaspy śnieżne Azyi północnéj, mróz dochodził — 40° Celsyusza. Dwaj, wzięci do posług, azyaci, padli ofiarą, nie mogąc przenieść trudów. Z niesłychanym wysiłkiem wytrwały eksplorator przebiegł pieszo z towarzyszami 2500 kilometrów na przestrzeniach północy, nietkniętych dotąd ludzką stopą; do historyi kuli ziemskiéj nowe dołączył karty.

Na wezwanie prezesa, p. Bouvalot w krótkich słowach opowiedział przygody podróży, wspominając z uczuciem księdza Dellen, który, jako doświadczony missyonarz, wielką mu był pomocą, i księcia Henryka, który z niesłychaną odwagą ponosił ciężkie trudy.

W górach Tybetu karawana przebyła pięć miesięcy na wysokości czterech do sześciu tysięcy metrów, bez drzewa, bez wody, nawet bez śniegu, w pośród nagich lodowisk. Całym pokarmem były zmarzłe konserwy z mięsa. Trzeba było rąbać je siekierą i wrzucać do kotła z bryłą lodu i łojem baranim. W braku drzewa, podsycano ogień ekskrementami yacków. Książę Henryk przypominał z kalendarza dni świąteczne; wyprawiano wtedy ucztę, dodając kakao do zwykłéj strawy. Książę młodzieńczą wesołością ożywiał wszystkich, a przykładem dodawał odwagi towarzyszom.

Wkrótce p. Bouvalot na publicznem posiedzeniu zda szczegółową sprawę z odbytéj misyi naukowéj.

Kierunki duchowe za Batorego.

(USTĘP Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI).

O białoskrzydła, morska pławaczko,
Wychowanico Idy wysokiéj,
Łodzi bukowa, któraś gładkiéj
Twarzy pasterza Pryameżyka
Mokremi słonych wód ścieżkami
Do przezroczystych Eurotowych
Brodów nosiła.

Takie odgłosy, z obcego zapożyczone świata i helleńskim owiane duchem, rozbrzmiewały 12 stycznia, roku pańskiego 1578 na odległéj północy, na feście Jana Zamoyskiego, w Ujazdowie pod Warszawą. Czytając je, korzy się człowiek przed tym nieprzezwyciężonym czarem greckiego słowa i natchnienia, które w zwycięskich pochodach dociera do Indyi i do północnych Sarmatów, a z drugiéj strony nabiera się poszanowania dla towarzystwa, które już w szesnastym wieku takiém słowem żyć i cieszyć się mogło, dla autora, który do najszczytniejszych wyżyn Parnasu podnieść się umiał i drugich podnieść usiłował.

Jan Kochanowski wśród bezkrólewia przemawia za austryackim kandydatem. Ale niebawem udało się Batoremu, jak inne serca, tak i serce tego największego poety narodu „spraktykować“. Piękna

dusza Kochanowskiego poznała się wkrótce na wspaniałości tego króla, u którego

sama twarz i uroda, sam statek wydaje,
że zacny człowiek jakiś;

na jego „pięknych myślach“, którym Kochanowski w serdecznych słowach pomocy Boskiéj i snadnego życzył skutku.

Natchnienie poety wyraźnie pod wpływem przeważnéj osobistości nowego monarchy potężnieje, drga coraz częściéj i bujnym kwiatem zaścieła niwy polskiéj poezyi. Na czasy Batorego przypada właściwa działalność Kochanowskiego, każdy rok nieomal znaczy się tu nowym jakimś utworem. Zaczyna się ich szereg od najpiękniejszego kwiatu polskiego odrodzenia. Zaraz w trzecim roku panowania Batorego, po szczęśliwie ukończonéj Gdańskiéj wyprawie, postanowił Kochanowski ślub Zamoyskiego z drugą jego żoną, Krystyną Radziwiłłówną, tragedyą uświetnić, która myśli miała przenieść w wymarzone krainy ideału, lecz zarazem z krainy ideału zaczerpnąć podniety i wysiłku dla obecnego pokolenia. „Przedstawioną ona została przez najznakomitszych paniczów“, w obecności króla i królowéj. [1])

Tenże sam Kochanowski, który kiedyś, bawiąc na dworze Zygmunta Augusta, przemawiał w satyrze, w myśl propozycyi sejmowéj Piotra Myszkowskiego, daje tu wyraz gromki gromkim zamiarom Batorego, które właśnie od sejmu warszawskiego żądały i spodziewały się poparcia.

Znać znów u poety wplątanie w wir wypadków i zżycie się z życiem publicznem, od którego spokój i szczęście domowe na chwilę go oderwały. Dawny jego przyjaciel i opiekun, Piotr Myszkowski, został był właśnie wtedy, po śmierci Fr. Krasińskiego w r. 1577, biskupem krakowskim i powrócił na miejsce, w którém kiedyś, jako podkanclerzy, tak świetną rozwinął działalność i tylu ludzi w koło siebie kupił i gromadził. On-to znów Kochanowskiego do Krakowa wzywał, choćby na czas pewien,

„w te dalsze strony
Od małych dziatek i od tęskliwéj żony“.
(Pieśń II, 20).

Można było się spodziewać, że w koło nowego biskupa zakwitnie znowu życie bujne, do którego tyle ducha i śmiechu wnosił Kochanowski; można było marzyć o wznowieniu „gier rozmownych“ w prądnickim dworze, i to natchnęło poecie ładną łacińską odę (Lyri-

[1]) Heidenstein. Vita Zamoscii ed. Dział. str. 41.

ca, Ode X): *ad villam Prannicanam*, gdzie ją wysławia jako „matkę swobody i dziesięciu sióstr przybytek". Jeżeli te życzenia i wróżby nie zupełnie się ziściły, to przyczyna leżała w tém, że czasy bardziéj były do czynu, niż do gry dostrojone, że po miękkiéj atmosferze ostatniego z Jagiellonów zapanował teraz hartujący dusze powiew ducha batorowskiego, że wreszcie Myszkowski pod starość mniéj się na mecenasa nadawał, niż w dawniejszych czasach. Rozwinęły się w nim naonczas pewne ujemne instynkta, jakaś skłonność do intryg i chciwości, nawet jego prawowierność budziła w tych czasach pewne u nuncyuszów papieskich wątpliwości. Najokropniejsze, choć z pewnością przesadne, świadectwo wystawia mu w r. 1580 nuncyusz Caligari, nazywając go „*il piu vieco, il piu astuto e fallace uomo di Polonia*", a dodaje daléj, że biskup ten, o ateizm podejrzany, sprzedaje beneficya, bije w gniewie własną ręką księży, na bankietach ani miary, ani przyzwoitości należycie nie przestrzega. [1]) Jest w tém trochę niechęci nuncyusza, ale zupełnie bezpodstawnemi te słowa być nie mogą i dowodzą pewnego upadku u świetnego niegdyś prałata.

Nadzieje, w Batorym położone, nie zawiodły Kochanowskiego i niejeden gorętszy wyraz wyrywały mu z duszy. Kiedy król ósmego maja 1578 r. polował w zamechskich Zamoyskiego kniejach, przemawiała w nich dryjada przez usta Kochanowskiego, tusząc niemylnie w sercu,

> że cię z Bolesławy
> Równo Polska kłaść będzie.

Następny rok 1579 przynosi polskiéj poezyi niezrównany „Psałterz", równocześnie powstają „Treny", które w r. 1580 pojawiają się w pierwszém wydaniu, w najbliższych latach odgłosy zwycięzkich Batorego wypraw znaczą się u Kochanowskiego silnemi dźwiękami tryumfu.

Poezyi więc tym czasom nie brakło. Dziwna to była dusza tego monarchy, który łączył w sobie doskonałą i potężną indywidualność ludzką z największą karnością dla Boga, twardą i do czynu rwącą się rękę z najrzewniejszém, najdelikatniejszém sercem. Majestat królewski szedł u niego w parze z majestatem wyborowego człowieka.

Zapewne, że szkoła życia w Polsce, i to nieraz bardzo ciężka, wyrobiła go jeszcze i uszlachetniła; ale to pewna, że już w progu panowania robi na współczesnych potężne wrażenie, buduje ich i porywa swą szlachetnością, którą wniósł na tron Jagiellonów. Wysoka kultura umysłowa pogłębiła i podniosła wrodzone charakteru własno-

[1]) Nunziat. di Pologna 17, list z 6. V. 1580.

ści. Kiedy w początku roku 1583 bawił król w Niepołomicach, znajdował on po znojach łowów i rządów dosyć czasu i swobody, aby z Possewinem wieczory na długich spędzać rozmowach, które aż nocy zarywały. Przyniósł mu raz był Possewin traktat o filozofii moralnéj, napisany przez Gianella. Oglądał go król z wielkim interesem, mianowicie rozdziały, odnoszące się do chrześciańskiego księcia, a objawiwszy zamiar, że dokładnie z tém się obezna, dodał, że będąc kiedyś więzionym przez cesarza Maksymiliana, uważałby był to więzienie za łaskę, gdyby ktoś mu był mógł czytać Moralia Arystotelasa. [1])

Przemawiał kiedyś Andrzéj Trzycieski, jeszcze kiedy Batory był księciem siedmiogrodzkim, wróżąc mu, że jeżeli kiedyś wyżéj się wzniesie, sztuki zakwitną pod jego panowaniem. [2])

Nec minus ingennius honor esset artibus olim
Matthiae regis tempore qualis erat.

Wróżba ta jest za ogólnikowa i zbyt górnolotna. Na sztuki, w całém tego słowa znaczeniu, miejsca wtedy w Polsce, a może jeszcze i czasu nie było. Zapiszemy dla zupełności obrazu muzyka Krzysztofora Clabonusa, który już za Zygmunta Augusta, jako fletnista, występował, a teraz przy fetach dworskich, jako służebnik królewski, popisywał się ze swą sztuką. [3]) Wspomnijmy, aby uwidocznić wielostronność Batorego, innego Włocha, Piotra Francusa, który był królewskim geometrą, a któremu król podczas wyprawy moskiewskiéj z r. 1579 nadaje przywiléj wyrabiania miedziorytów, przedstawiających zdarzenia wojenne, zakazując równocześnie naśladownictwa konkurencyi. [4]) Nie pomińmy wreszcie milczeniem przywileju, nadanego roku 1582 wenecyaninowi Antoniemu Destesi, mocą którego ten miał założyć fabrykę majolik w Polsce i wyrabiać naczynia, „jakie z Włoch i Konstantynopola sprowadzać przywyknięto“, przywiléj, którym Batory chciał stwierdzić, że „wszelkie ulepszenia i ozdoby dla królestwa i swych poddanych“ znajdą w nim opiekuna. [5])

Na innych polach trzeba nam jednak szukać przeważnego wpływu Batorego. Jeżeli Kochanowski wydobywał teraz częściéj potężne

---

[1]) Lettere e Memorie del Padre Possevino, Ms. złat. II f. 112. List z 2. II. 1583.

[2]) Tricesius. Silvarum. lib. III. Crac. 1574.

[3]) Por. Kochanowski, wyd. warsz. Tom III, 286.

[4]) Źródła Dziejowe XI, 66.

[5]) Źródła Dziejowe XI, 253. Sprawa ta chromała i doprowadziła do procesów w r. 1584 i 1585, między Destesim a mistrzami w téj sztuce biegłymi, sprowadzonymi z Fawencyi. Por. o tém Piekosiński; „Dawne śiady wyrobu majolik w Krakowie“, 1884.

ze swojéj lutni dźwięki, to było mniéj bezpośrednią, niż pośrednią króla zasługą; nie jego rady i słowa, lecz osoba i czyny dostarczały poecie natchnienia. Natomiast są inne dziedziny piśmiennictwa, w które Batory sam wkracza, które osobistém przyczynieniem się kształtować i rozwijać zamierza, a mamy tu przedewszystkiém na myśli historyografię.

Er ehrt die Wissenschaft, sofern sie erntet,
Den Staat regieren, Völker kennen lehrt,

moglibyśmy o nim powiedzieć z Goethem.

Mówiliśmy już o wielkim interesie Batorego dla historyi. Gorący ten wielbiciel „Komentarzy Cezara“, nietylko rwał się do czynów, ale dbał téż o ich pamięć i opisy. W początku widzimy cudzoziemców, którzy w tym kierunku znajdują jego opiekę i poparcie. Wiadomo, że król, przybywszy do Polski, mało lub nic po polsku nie umiał, otaczał się chętnie cudzoziemcami, a mianowicie Węgrami, z czego mu nawet ciężkie a niesłuszne robiono zarzuty. Obcy ludzie téż zjawiają się przedewszystkiém na polu historyografii. Włoski humanista, Jan Michał Bruti, który niegdyś spisał historyę Florencyi, przebiegł całą zachodnią Europę, aby wreszcie na dworze Batorego w Siedmiogrodzie, a potém w Polsce, znaleźć schronienie. Zamieszkuje on w zamku Krakowskim, a w roku 1582 ogłasza przyczynki do dziejów Batorego. Innym historykiem, popieranym przez Batorego, jest Węgier, Gyulay, który opisał drugą jego wschodnią wyprawę. [1]) W Padwie pracował nad historyą węgierską Franciszek Forcas, którego Batory materyałami i materyalną zapewne pomocą przy tém zajęciu zasilał. Umarł on wśród prac przygotowawczych i dlatego pisał Batory w roku 1577 do Doży Mocenigo w Wenecyi, aby ten wszelkie jego rękopisy i materyały pełnomocnikowi królewskiemu wydać i do Polski odesłać rozkazał. [2]) Jak wysoko i głęboko pojmował Batory zadanie historyi, najlepszy w tém dowód, że starał się usilnie, aby archiwa watykańskie dla pożytku historyi węgierskiéj i polskiéj stały się dostępnemi popieranym przez niego pracownikom. Myśl więc naszego pokolenia, któréj urzeczywistnienie tyle światła na czasy Batorego rzuciło, wyszła z saméj Batorego głowy. [3])

---

[1]) Por. Hausmann, „Studien zur Geschichte der Königs Stephan“. str. 17.

[2]) Z kopii hr. Augusta Cieszkowskiego, według rękopismów weneckich. Coll. III. Secrete lettere di Pologna 1569—1639. List z 23 czerwca 1577, ex castris ad Gedanum. O śmierci Fr. Forgacza por. Brutus, Epist. libri V, ks. 1 list I do Batorego.

[3]) Por. Arch. Wat. Armar. Cardin. M. 146, 69. List do kardynała Morone Gdańska, 24 czerwca 1577; Hozyusza list z 24 Octob. 1577 MS. Bibl. Jag. 164.

W liście do kardynała Morone z r. 1577 pisze on: „Poleciliśmy kilku ludziom uczonym zadanie uzupełnienia historyi węgierskiéj i polskiéj“. Opieka więc jego niebawem obydwa kraje, dawną i przybraną ojczyznę, obejmuje, niebawem na obu dziedzinach pięknemi się znaczy owocami. Na polskiéj niwie błyszczy przedewszystkiém nazwisko Heidensteina. W nim znalazł król prawdziwego sługę i herolda swych czynów, ku niemu szczególną zwrócił pieczołowitość, popierając wszelkiemi sposobami zadania jego i prace. Hozyusz traktował wtedy z *prefektami* biblioteki watykańskiéj, aby wolno było rzeczy, odnoszące się do Polski, tu wypisywać.

Heidenstein jest oficyalnym Batorego historykiem, a jeżeli ta oficyalność nie spaczyła tu w zasadzie, ani skaziła prawdy, to stało się to dlatego, że prawda była w tym przypadku zbyt piękną, aby ją w sztuczne i farbowane potrzeba było przybierać szaty. Kanclerz Zamoyski, który także Heidensteinowi walne przy pisaniu oddawał usługi, wykazał na sejmie z roku 1587 dowodnie, jak daleko sięgał wpływ osobisty króla przy powstawaniu pamiętników o wojnie moskiewskiéj. „Dzieło to, mówił, dla chwały narodu jest spisaném i na życzenie i rozkaz samego króla wydaném. On je sam nietylko rewidował, ale i poprawił; jest egzemplarz u tego, co je pisał, z poprawianiem i z pismem na wiele miejscy ręki własnéj samego Jego Król. Mci.“ [1])

Kult historyi był wtedy niejako w powietrzu; z rozkazu króla napisał na jéj chwałę Michał Brutt swój panegiryk *de historiae laudibus* [2]), jéj znaczenie sławił Heidenstein we wstępie do swoich pamiętników o wojnie moskiewskiéj, a Maciéj Stryjkowski, w przedmowie do swéj kroniki, nie waha się wypowiedzieć zdania, że „jeden przykład z historyi ważniejszy i pożyteczniejszy jest, niż tysiąc kwestyi filozofów i metafizyków, swarzących się *de principiis rerum, de forma, vacuo*, etc., które kwestye ludzi dwornych zawsze daléj w większe a różne mniemania i wątpliwości przywodzą“. To też z czasami Batorego wiąże się odrodzenie polskiego dziejopisarstwa. „Pewno to przykład Heidensteina, żeby się posłużyć słowami kompetentnego znawcy, prawdopodobnie popęd dany przez króla pobudził także, bezpośrednio albo pośrednio, innych, takich jak Orzelski, Solikowski, Bielski, Gwagnin, Stryjkowski, niektórzy Inflanteczycy, jak Miller. Za pióro chwytają nawet żołnierze, przywykli lepiéj władać szablą, niż piórem. Powstają dyaryusze wypraw wojennych, gromadzą się w zbiorach akta i listy, które w części ocalały do naszych czasów“. [3])

---

[1]) Pauli. Pamiętniki do życia i sprawy S. i K. Zborowskich, p. 204.
[2]) Crac. u Piotrkowczyka 1578.
[3]) Por. Zakrzewski, Stefan Batory 10—11.

Warto tu w końcu przypomnieć, że Stanisław Sarnicki, jak sam wyraźnie poświadcza, do spisania swych dziejów narodu przez króla samego nakłonionym został, [1]) że król mapy krajów polskich dla swego użytku sporządzać kazał. [2])

Jakiś wielki powiew historyczny przeleciał nad społeczeństwem. Klio szła krok w krok za tym królem, który jéj składał ofiary w czynach i słowie.

Ale *magistra vitae* sama nie wystarczy, aby naród wychowywać, uczyć i do postępu prowadzić. Zrozumiał to dobrze Batory i pojął, jako jeden z pierwszych obowiązków monarchy, opiekę nad szkołami kraju.

Akademia krakowska traciła w połowie wieku zachowanie i wpływ wśród narodu, i rzeczywiście z win własnych i win społeczeństwa chyliła się do upadku. Przyczyniały się do tego przestarzałe metody scholastyczne, które jeszcze w szesnastym wieku wszechwładnie tu panują, przyczyniało się w równéj mierze zaniedbanie i lekceważenie téj głównéj szkoły narodu przez rząd i społeczeństwo szlacheckie. [3]) To téż nie dziwna, że z biegiem czasu równocześnie z niezadowoleniem odzywają się głosy, żądające ratunku, poprawy i naprawy zepsutych tych stosunków. W zobowiązaniach przy elekcyi Henryka, które Montluc poprzysiągł, znajdował się ustęp, nakładający na nowego elekta kondycyę, „że Akademię krakowską, przez przywołanie uczonych ludzi, po świecie wybranych, odnowi“. Młody Jan Zamoyski, wysłany naonczas z poselstwem do Francyi po Walezego, nie spuszczał z oka ważnéj téj sprawy. Z Francyi pisał on do Pawła Manucyusza w październiku 1573 roku: [4]) „Ponieważ za naszego bezkrólewia postawiono warunek, aby król gimnazyum krakowskie obcemi siłami zasilił i odnowił, chciałbym u ciebie zasięgnąć wiadomości co do znakomitych ludzi we Włoszech, o których przypuszczasz, że do Krakowa-by się wybrali. Kraków — dodaje Zamoyski — jest miastem, które nietylko we wszystko opływa, ale pod względem cywilizacyi i ogłady mieszkańców mało któremu z miast włoskich ustępuje“.

Myśl więc, raz rzucona, snuła się odtąd po głowach: od jéj spełnienia wyczekiwano ratunku. W r. 1572 bawił przelotnie w Polsce, w politycznéj przysłany misyi, sławny filolog francuski, Józef Scaliger, teraz inne nie mniéj głośne nazwiska stawały w myśli lub

---

[1]) Por. Sarnicki, „Synopsis annalium edendorum“. Crac. 1582.

[2]) Wiszniewski. Hist. lit. VII, 536

[3]) Por. piękną dracę d-ra Wisłockiego: „O wydawnictwie Liber deligentiarum“, Pamiętnik filol. Akad. 1887, str. 87.

[4]) Z papierów prywatnéj biblioteki.

marzeniu. Ale na razie, wśród przelotnych rządów Walezyusza i zamieszań bezkrólewiów, nie było możliwości do podjęcia stanowczych starań i kroków. Dopiero też, kiedy Batory zjawił się w Polsce, zamiary te zaczęły przybierać wyraźniejsze kształty i zdawały się blizkiemi urzeczywistnienia. Jednym z głównych zarzutów, czynionych szkole Jagiellońskiéj, był brak dyscypliny wśród uczącéj się młodzieży i płynące ztąd wybryki. W tę stronę uderzył naprzód Batory; 27 kwietnia 1577 roku wystosował on, z powodu skarg protestantów o napaść na ich zbór w Brogu i inne tumulty, ostre pismo do rektora i profesorów, gromiące za to, „że są w akademii osobistości, które nic nie robią, tylko spokój w mieście zamącają". Potępia król przytém pobłażliwość władz uniwersyteckich i do surowości nakłania. [1])

Wkrótce potém myśl, żywiona przez Zamoyskiego, odżyła pod natchnieniem obecnego podkanclerzego w głowie Batorego. Heidenstein w życiu Zamoyskiego [2]) przypisuje inicyatywę swemu bohaterowi; to pewna, że myśl ta padła na grunt wdzięczny i w duszy Batorego serdeczny oddźwięk znalazła.

Kiedy na synodzie piotrkowskim, odbytym w maju roku 1577, upraszali biskupi, aby król „tę matkę i mistrzynią wszystkich szkół królestwa" hojnością swoją wspierał i przy dzieleniu jakiego beneficyum kościelnego, mianowicie probostwa św. Floryana, zasilił, odpowiedział król na to przychylnie, nadmieniał, że już poprzednio zarządził co potrzeba, aby tę szkołę przez uczonych, z zagranicy przywołanych, uświetnić. Pismo to datowane jest z 12 czerwca r. 1577 z obozu pod Gdańskiem. [3])

W obozie więc pod Gdańskiem znajdował Batory dosyć czasu i swobody, aby myśléć nad tą ważną sprawą, która wtedy tak często jako nagła zjawiała się potrzeba. Z Prus też rzeczywiście już w końcu maja udzieloném zostało sekretarzowi królewskiemu, Janowi Zamoyskiemu Grzymale, pełnomocnictwo na podróż za granicę, podczas któréj miał się w obcych krajach za siłami oglądać, któreby do Polski ściągnąć można dla podniesienia upadającéj wszechnicy. [4])

Ale w piśmie tém występuje prócz tego myśl nowa i odmienna. „Mniemaliśmy, są słowa dokumentu, że w Krakowie należy nam utworzyć nowe królewskie gimnazyum na modłę gimnazyum królewskiego

[1]) Ms. Bibl. Jag. 41.

[2]) cd. Dział. str. 33.

[3]) Por. Pawiński. Źródła dz., str. 194 i 198.

[4]) Pismo królewskie datowane z Marienburga, 29 maja 1577, w Źr. Dziejowych IV, 177.

Kameraceńskiego, założonego w Paryżu przez Franciszka I-go króla Francyi", w którémby wszelkie gałęzie nauk znalazły uprawę. Z początku przemyśliwał więc król nad stworzeniem nowéj zupełnie instytucyi i dla jéj uświetnienia obce siły zamierzał powołać.

Czémże tedy była owa szkoła Kameraceńska? Jest to sławna Collége de France, założona edyktem z Cambrai w r. 1529 przez Franciszka pierwszego. Przedsiębiorczy ten monarcha, zrażony pewném zaśniedzeniem w nauce i sposobie nauczania starego uniwersytetu Paryskiego, utworzył tu nową szkołę po za uniwersytetem, a w kraju i za granicą znalazł dla niéj wyborowe siły. Stary uniwersytet gniewał się i miotał na nowopowstałego rywala. Z jego poduszczenia już w r. 1533 parlament francuski pociągnął do śledztwa religijnego tych królewskich profesorów, „liseurs du roi", jak ich powszechnie nazywano. Ale nowa instytucya przetrwała tę burzę szczęśliwie i rozwijała się pomyślnie.

Podobne więc myśli świtały w głowie króla polskiego. Wahając się między dwiema drogami, z których jedna zmierzała do ratowania staréj instytucyi, druga do stworzenia czegoś nowego, coby staréj wszechnicy przeciwstawioném być miało, wybrał król w pierwszym zapale ten środek drugi. Jeszcze 24 czerwca 1577 r., pisał do kardynała Morone [1]): Zakładamy w Krakowie gimnazyum nowe, w którém wszystkie sztuki i nauki będą wykładane. Ale myśl ta błysła przelotnie, aby potém zniknąć zupełnie z widowni. Dziwił się jéj przedewszystkiém Kardynał Hozyusz, wyrażał swe obawy, a nawet ją potępiał. Ostrzegał przed niebezpieczeństwém biskupa krakowskiego Myszkowskiego, który był przecież kanclerzem uniwersytetu. 13-go grudnia 1577 r. pisze do niego, że, zbadawszy istotę owego Collegium Cameracense, przekonał się, że „uczyli w niém profesorowie królewscy, nad którymi żadnéj władzy ci nie mieli, którzy piastowali władzę w uniwersytecie paryskim". Ostrzegał w tym samym czasie króla samego, aby ołtarza przeciw ołtarzowi nie wystawiał na modłę Brogu innowierców, grożącego kościołom Pańskim w Krakowie. Pisząc 13 grudnia do nuncyusza Wincentego Laureo, przypominał, że z kollegium Franciszka I-go nie jeden wyszedł heretyk. Nie pojmuje on, kto królowi takie myśli mógł poddać, i wietrzy w tém sprawkę kacerzy; nie rozumie „w jaki sposób jedno miasto aż dwie akademie posiadaćby miało" [2]). W podobnym sensie odzywał się biskup Myszkowski. I on pisze do Hozyusza, że autor tego planu za-

[1]) Arch. Vat. Armar. Cardin. 146. 69.

[2]) Por. listy Hozyusza z 13 i 14 grudnia 1577 r. w Ms. Jag. 164.

myślał zapewne nową akademię heretykami w szacie profesorów zapełnić [1]).

Są w tém oczywiste czarne urojenia i przesady, ale myśl ta miała spełznąć na niczém, a misya sekretarza Zamoyskiego żadnych nie wydała owoców.

Zabiegi jego w części dla tego były daremne, że sięgały za wysoko, starały się pozyskać dla Polski najświetniejsze owych czasów umysły, jak Mureta, Sigoniusza i innych [2]). Kardynał Morone pisał 2 grudnia do króla [3]), że nie leżałoby w interesie uniwersytetu Rzymskiego i Bolońskiego wypuszczać Mureta i Sigoniusza, którzy najwięcéj do sławy tych szkół się przyczyniają. Hozyusz pisze do podkanclerzego Zamoyskiego [4]), że sprawy źle idą, bo Włosi boją się naszego zimna; robi przytém nadzieję, że może cieplejszy powiew wiosny takie obawy rozwieje. A kiedy w kilka lat potém o. Possevino robił Batoremu pewne wyrzuty, że niektórych heretyków cierpi w swém otoczeniu, opowiadał mu król o swych dawnych usiłowaniach, aby znakomitych uczonych katolickich, jak Muret i Sigoniusz, ściągnąć do Polski. Ma come essi vogliono piu tosto uno scudo in Italia che dieci in Pologna, nessuno si era potuto havere [5]).

Taki więc koniec miały te myśli królewskie, zmierzające do podniesienia sposobu i poziomu wychowania w kraju. Trzeba się było zwrócić do tego, co było na miejscu, i podupadłą akademię Jagiellońską własnemi środkami i ludźmi ratować. W r. 1578 wydaje król statut co do zachowania porządku publicznego w Krakowie [6]). Dużo tu mowy o studentach krakowskich, których rozpuszczeniu król koniec położyć usiłował. Nowe tumulty i znieważenie obrzędów protestanckich wywołały te ostre rozporządzenia. Ponowna napaść na Bróg w r. 1578 rozjątrzyła umysły przeciw uniwersytetowi, a dość powszechne było mniemanie, że profesorowie sami młodzież w tym kierunku podburzyli i rzucili żarzewie niepokoju. Jakób Górski podjął się obrony kollegiatów i odparł gwałtowny szturm, przypuszczony na Jagiellońską wszechnicę. „Kontrawersya ze strony Brogu, pisze 5-go listopada Płaza do Kromera, bardzo się dobrze udała pro parte

[1]) Arch. Czart. 3074 p. 98.

[2]) Reszka w liście do Stan. Sokołowskiego z 30 paźdz. 1577 (Stan. Resci Epistol. liber unus Neapoli 1594 str. 121), wymienia tych dwóch, potém Ursinusa, Bellarmina, Grzegorza z Walencyi.

[3]) Armar. Cardinal. 146.

[4]) List z 17 grudnia 1577 w Ms. Jag. 164.

[5]) Nunz. di Germ. 94 f. 128, list Possewina z 17 kwietnia 1583.

[6]) Legum, privilegiorum, etc Civitatis Crac. Tomus I. Ed. Piekosiński N. 268 z 27 października 1578.

catholicorum et Universitatis, a heretykom jakoby psi obiad zjedli“ [1]). Ale król chciał ukrócić swywolę scholarów. Metryka wpisów ma być odtąd dokładnie i szczegółowo prowadzoną: „aby żaden człowiek pośledniejszéj kondycyi pod nazwisko studenta podszywać się nie mógł“. Scholarze mają mieszkać po bursach, kollegiach i domach przylegających do szkół parafialnych, chyba że rektor któremu pozwoli stanąć w jakiém hospicyum; obywatele miasta nie mają braci scholarów przechowywać—bombardas studiosorum atque hastilia et alia eius generis arma magis militiae quam scholaribus accommodata.

Ale to się odnosiło do uczniów, a niemniejszéj pieczy i poparcia potrzebowali nauczyciele. Przez cały wiek szesnasty powtarzają się skargi na złe ich wyposażenie, walczą oni sami ze swoją biedą aż do znużenia i tą biedą pokrywają często umysłowe ubóstwo. Batory, który w początkach panowania nie mógł miéć wiele życzliwości dla profesorów wszechnicy, ze względu na ich Habsburskie usposobienie, nie pozostaje głuchym na te skargi. Stosunki się odmieniły, serca i tutaj zwróciły się wcześnie ku nowemu elektowi. O Górskim wyraża się Paprocki z przekąsem: „że się odmienił w starości swéj z Polaka na Węgrzyna“ [2]), a nie sam Górski z pewnością podobnemu uległ przeobrażeniu. W roku 1578, w grudniu, zrzeka się Batory prawa patronatu i prezentacyi na probostwo św. Floryana w Krakowie, na korzyść uniwersytetu, który odtąd obsadza beneficyum swemi profesorami, z tym warunkiem, aby każdorazowy proboszcz płacił rektorowi rocznie 400 złotych polskich [3]).

Była to więc rzeczywista pomoc, za którą uniwersytet do wdzięczności był zobowiązany. A wraz z zasiłkiem materyalnym przyszło i moralne poparcie, kiedy król do Akademii zawitał, aby się naocznie z panującemi tu stosunkami zapoznać. Przyszedł tu Batory w końcu roku 1578 i był obecnym przy dyspucie publicznéj, jakie każdéj Soboty się odbywały. „Była disputatio in Collegio, pisze 13 grudnia Płaza do Kromera, na któréj król był cum multis seactoribus..... Król był kontent“ [4]). Była to rozprawa teologiczna, trwająca cztery godziny, w któréj różne kontrawersye względem Kościoła i wiary w kole teologów krakowskich roztrząsano [5]).

---

[1]) Dziennik Wileński V.

[2]) Upominek albo przestroga.

[3]) Por. ks. Teliga: O stosunkach między proboszczem św. Floryana a .... Uniwersytetem Krakowskim. Krak. 1868 str. 8; prócz tego Sołtykowicz, O stanie Akad. Krak. str. 304.

[4]) Ms. Czart. 1617.

[5]) Sołtykowicz l. c. str. 308.

Czyż jednak te dowody łaski i opieki królewskiéj znacznie naprawiły stosunki, albo w ogóle czy się one naprawić mogły? Zapewne że na innych wydziałach nie najgorzéj się działo, że świecili tu rozumem i cnotą tacy ludzie, jak Jakób Górski, Marcin z Pilzna. Ale my posiadamy dziś tylko księgę wykładów fakultetu artystów, a ta naprawdę nienajpochlebniéj o stanie ówczesnéj nauki świadczy. Wiadomém jest, że wydział artystów był naówczas Kopciuszkiém Jagiellońskiéj szkoły, że uczyli tu przeważnie młodzi, początkujący ludzie, którzy następnie do innych przechodzili zajęć, lub na innym wydziale lepszego szukali powodzenia i wyposażenia. Z tém wszystkiém spodziewać się było można, że, pod ożywczém tchnieniem Batorego, wykłady i na tym wydziale nieco więcéj wykażą ruchu, niż jak się to działo w rzeczywistości [1]). Znajdujemy tu jednak te same wykłady, które zapełniały karty téj księgi w początku wieku, nazwisk poważniejszych natrafiamy mniéj niż kiedykolwiek. Uderza tylko systematycznie powtarzająca się lekcya o przeszłości polskiéj, według „Vitae Regum Polonorum“ Janickiego. Zapowiedź tego wykładu zjawia się już w roku 1570 i 1571, za Batorego czasów powraca się dorocznie. Czyżby wpływ króla samego miał to sprawić? Zresztą zaznaczymy, że dosyć dużo wtedy czytano Cycerona, że w roku 1583 mianowicie wykładał Sebastyan Petrycy z Pilzna, sławny późniéj Arystotelesa tłómacz, mowy przeciw Katylinie, że w r. 1585, niejakiś Andreas Eumorphus objaśnia Theognisa i Iliadę, ten sam Eumorphus, który i na polu poezyi łacińskiéj sił swoich probował [2]). W ogóle jednak pewna jałowość i zastój bije z tych kart wyraźnie. Jedyne to okno, które nam pozwala zajrzéć wtedy głębiéj we wnętrze uniwersytetu, a niestety nie pokazuje nam ono rzeczy zbyt pocieszających. To téż dziwić się nie można, że skargi na najwyższą szkołę narodu nie ustawały. Jedynie nuncyusze chwalą w tych czasach uniwersytet, chwalą go za jego prawowierność i uczciwość, wyszczególniają mianowicie Jakóba Górskiego. Ale do téj roli przykładu dobrego i zbudowania, choć ona jest niezawodnie warunkiem koniecznym dla magistra, nie ogranicza się jednak zadanie nauczycieli. Potrzeba tu i wiedzy, i ruchu, a tego brakło z pewnością. Nie dziwimy się Jakóbowi Górskiemu, że sam, świadom swéj zasługi, z dobrą wiarą i miłością instytu-

[1]) Por. Liber deligentiorum z lat 1564—1639 Ms. Jag. N. 232.

[2]) Andreae Eumorphi Glogoviensis carmen, sławiący kobiety mądre, znajduje się w dziełku kobiety p. t. „Lettere di philosophia naturale di Camilla Herculiana“, wydanóm w Krakowie 1584 r. Dziełko poświęcone Annie królowéj polskiéj. Autorka mówi w przedmowie, datowanéj 25 Febr. z Padwy, że dziś kobiety nie dosyć mają uznania. „Ho voluto con gli studii far conoscere al mondo che noi siamo atte a tutte le scientie come gli huomini“.

cyi, postanowił w r. 1581 odeprzéć napaści, miotane na Krakowskie gimnazyum; ale nie przyznamy zarazem, aby ta obrona w zupełności się powiodła i w szczegółach była zwycięzką.

Zjawiła się ta Apologia akademii Krakowskiéj, a raczéj mowa, wypowiedziana 2-go marca 1581 r. w samym uniwersytecie ze wstępem Jana Januszowskiego. I przedmowa, i tekst sam, budują wielkie nadzieje na Batorym. Górski mianowicie przypomina świeże króla dobrodziejstwa, jego wizytę w uniwersytecie, gdzie o wszystko się wypytywał, bibliotekę odwiedził, tytuły ksiąg przepatrzył. Broni uniwersytet przed zarzutem swywoli, twierdząc, że rodzice przysyłają tu zły materyał, że zepsucie z zewnątrz przychodzi. „Non nostra illa munera sunt, aliunde veniunt“. Argument ten w podobnéj zupełnie formie, powraca na początku siedmnastego wieku, w tłómaczeniu polityki Arystotelesowéj Petrycego: „Skarżą się na akademię Krakowską, mówi tenże Petrycy, że nie mogą w powinnościach swoich utrzymać studentów, a nie wiedzą, co się w tém dzieje: posyłają do akademii ojcowie zuchwałe dzieci, które czasem ojców nie słuchają, a cóż mają preceptorów słuchać“ [1]).

Następuje obrona co do erudycyi. Ta część jest słaba, walczy biedą uniwersytetu, powtarza szczegół, że we Włoszech jeden profesor ma tyle, co w Krakowie wszyscy, żąda wreszcie Mecenasów, a nie zbrakłoby wtedy Maronów. Praktyczniejszą daleko jest apostrofa do profesorów, aby nie zaniedbywali zbytecznie swych obowiązków, aby bieda była im bodźcem do postępu, który nie ujdzie bacznemu oku króla Stefana, miłującego nauki. Takim tonem, niezawodnie zacnym i szlachetnym, ale nieco płaczliwym i do słabości się przyznającym, kończą się więc wszystkie zabiegi około podniesienia starodawnéj szkoły. Winnymi byli nauczyciele, że nie dosyć dbali o własny swój postęp i postęp nauki, ale winném było także społeczeństwo, które, w krytykach wymowne, słowami chciało leczyć braki, gdzie pieniędzy i chleba było potrzeba. Smutne to, że Batory w tak ważnéj sprawie pomyślniejszych rezultatów osiągnąć nie zdołał. Czuł on z pewnością jałowość stanu obecnego i bolał nad jałowością swoich usiłowań. Niejaką pociechę przynosiło mu może to, że na innem miejscu powstawała wtedy szkoła, mogąca w części zrównoważyć niedostatki krakowskiéj.

Stefan Batory był od początku swego panowania gorącym i szczerym opiekunem Jezuitów. Popierał ich, bo widział w nich narzędzia karności w wierze i życiu społecznem, widział w nich naukę i dobre obyczaje, upatrywał obrońców idei monarchicznéj. Towarzystwo Je-

[1]) Sebastyan Petrycy—Polityki Arystotelesowéj etc. Kraków, 1605. Przydatek do V księgi str. 119.

zusowe, wśród luźnych i rozluźnionych stosunków polskich, imponowało mu swą wyborną organizacyą, jako szkoła stałości i posłuszeństwa. Powołani do walki z odszczepieństwém, zrozumieli oni wcześnie, że środkiem tu najpewniejszym będzie wychowanie młodzieży. W Polsce myśl ta praktyczna przybrała kształty naprzód w Brunsberdze w r. 1565, gdzie Hozyusz nowozałożoną szkołę powierzył kierownictwu Jezuitów. Poszedł za tym przykładem biskup Płocki, Andrzéj Noskowski, już w r. 1565, a daléj, co ważniejsza, w r. 1569 sprowadził ich biskup Protasewicz do Wilna, na Litwę, która podczas reformacyi na wschodzie najprzedniejszych innowierczemu obozowi dostarczyła adeptów. W r. 1570 założoném zostało w Wilnie pierwsze gimnazyum i oddaném zarządowi Jezuitów. Wysoko wykształcony członek zakonu, znawca świata klasycznego, Stanisław Warszewicki, objął jego kierownictwo. Prócz materyalnego wyposażenia, przypadł niebawem nowemu zakładowi w udziale wspaniały dar innego rodzaju, prawdziwie królewski. Testamentem zapisał Wileńskiemu gimnazyum Zygmunt August wspaniałą swą bibliotekę, obfitującą mianowicie w wyborowe wydania autorów klasycznych. W rok po śmierci króla-testatora, przybywa do Wilna Piotr Skarga i zostaje wicerektorem pięknie rozwijającéj się szkoły. Wpływ jego promienieje poza mury gimnazyum, liczne nawrócenia stwierdzają wkrótce ruchliwą i gorliwą jego działalność. W kilka lat później, kiedy rektor Warszewicki, ciągle ze stanowiska odrywany, powtórnie wyjechał do Szwecyi, obejmuje opróżnioną rektora posadę Jakób Wujek z Wągrowca, jako godny następca i zastępca.

Wszystko to nazwiska, dające rękojmię rozwoju i rozkwitu, ludzie, na których naród z dumą i nadzieją mógł spoglądać. Te też nie dziwna, że Batory życzliwie śledził wszelkie postępy nowéj Wileńskiéj osady, nakłaniał łaskawie ucha ku wszelkim prośbom i potrzebom, które ztąd mu przedstawiano. Wschodnie Batorego zamiary znajdowały w tém ognisku poparcie i pomoc; to też daty wyszczególnień i dobrodziejstw, które niebawem Batory wileńskim Jezuitom wyświadczył, schodzą się z czasem przygotowań, a nawet pierwszych tryumfów wojennych. Dnia 7 lipca 1578 roku podpisanym został przywiléj królewski, przyzwalający na wywyższenie Wileńskiego gimnazyum do godności i znaczenia Akademii; w następnym roku rzecz ostatecznie potwierdzoną została [1]). Nowy i drugi uniwersytet przybył więc krajowi, który wprawdzie tylko dwa posiadał fakultety, filologiczny i filozoficzny, z wyłączeniem prawa i medycyny, zresztą je-

[1]) Por. o tém wszystkiém Balińskiego. Dawna Akademia Wileńska, mian. str. 57 i nast., prócz tego „Scriptores rerum polonicarum VII (1881) str. 7 i nast.“

dnak, co do praw swoich i godności, zrównanym został z dawną akademią Krakowską. Pierwszym rektorem obrano O. Piotra Skargę. Obok niego uczyli tu cudzoziemcy i Polacy, jak słynny w teologii Portugalczyk, de Vega i znakomity kaznodzieja, Stanisław Grodzicki z Poznania. Na wykładach i studyach teologicznych główny tu nacisk spoczywał: nowa akademia była przeważnie szkołą teologiczną, sposobiącą szermierzy do walki z innowiercami. Jako taka, walne ona krajowi oddawała usługi; wśród luźnych religijnych pojęć i stosunków w Polsce, hartowała i dyscyplinowała umysły i życie, odpowiedziała potrzebie wieku, który do rozpraw religijnych szczególną i naturalną miał skłonność. Wywiązywano się tu z zadania tego lepiéj, niżby ówczesny Krakowski uniwersytet uczynić to potrafił. Na polu jednak nauk humanistycznych nigdy tu świetniejsze nie zajaśniało słońce. Pod tym względem życzeniom króla i Zamoyskiego nie stało się zadość. „Latinatem quaesivi, salutem inveni“, słowa, których miał użyć wielki kanclerz Zamoyski, można było do wszystkich tych usiłowań i ostatecznego ich wyniku trafnie zastosować. Późniéj dopiero i na innem miejscu zamierzył Zamoyski myśli swe i marzenia w całéj pełni urzeczywistnić, zakładając trzecią z rzędu akademią w Zamościu. Nie udała się próba instytucyi profesorów królewskich, „liseurs du roi“; Zamoyski postanowił ją wskrzesić własnemi zachodami i kosztem, tworząc szkołę i nauczycieli, których „liseurs du chancelier“ nazwaćbyśmy mogli. Losy jéj, niestety, mniéj świetne od nadziei założyciela, nie wchodzą już jednak w zakres naszego obrazu.

Kardynał Hozyusz, pisząc 27 lipca 1573 do Nideckiego o jego dziele apologetycznem pod tytułem „Parallella“, mówi między innemi, że jest to zapewne książka bardzo pokupna—*liber valde vendibilis* [1]). Wyraża się więc o niéj tak, jakby się dziś kto o pamflecie lub poczytnéj powieści mógł wyrazić. W owych czasach jest to zrozumiałém. Interes dla rozpraw i dyskusyi teologicznych był rzeczywiście wtedy w Polsce bardzo ożywiony i wybitny; ferment, poruszony w umysłach przez reformacyę, zbudził szczególnie w katolickim obozie cały szereg szermierzy, walczących słowem i piórem za katolicką naukę i prawdę. Czasy téż Batorego nazwać możemy słusznie wiekiem złotym polskiéj teologii i teologów. W r. 1577 ukazuje się

---

[1]) Ms. Jag. 160

prawowierna konfessya (Orthodoxa Confessio) Marcina Białobrzeskiego i dzieło Skargi o jedności Kościoła; każde z następnych lat przynosi nam nowe nabytki z rąk Wujka, Stan. Warszewickiego, Skargi, Jakóba Górskiego, a równocześnie Stanisław Sokołowski w pełnych wymowy kazaniach uciera się z herezyą. Szczególnym trafem i zbiegiem wypadków, tenże sam rok 1579, w którym powstawały Treny, świeci i błyszczy w naszém piśmiennictwie klejnotem niewiązanéj mowy, żywotami Świętych, których głowy wieńczył wtedy Skarga najcudniejszemi kwiatami, uszczekniętemi na niwie języka polskiego.

Głos katolicyzmu przemówił już silniéj w r. 1551, w instrukcyi, danéj przez kapitułę krakowską swym posłom na ówczesny synod piotrkowski; objawił się stanowczo w „Confessio fidei“ Hozyusza w r. 1557 i w całém jego działaniu; dopiero jednak za Batorego zaczął wydawać wielostronniejsze i potężniejsze dźwięki. Wpłynęły na to gorliwość, napominania i nawoływania Hozyusza, wpłynęły zabiegi i apostolstwo Jezuitów; kiedy Batory chciał nawracać przyjaciela swego, Bekiesza, ten mu odpowiedział: Powinniście być wdzięczni wy papiści Bogu i Jezuitom, bo gdyby ci nie byli się zjawili, już byłoby dawno po rzymskim pontyfikacie [1]). Przesunęli się wreszcie przez Polskę znakomici nuncyusze papiescy, którzy pokierowali umysły społeczeństwa na inne tory. Commendoni, Laureo, Caligari Bolognetto, znani są nam dziś lepiéj z listów i relacyi, zadziwiających bystrością i trafną oceną nieznanego dotąd społeczeństwa; rozum szedł tu najczęściéj w parze z wielką szlachetnością i podniosłością charakteru i usposobienia, i to ich prowadziło do zwycięztwa. W ostatnich latach Batorego O. Possevino przejmuje na siebie przeważnie rolę, którą oni dotychczas spełniali.

Zadanie było trudne. Jeszcze w r. 1574 większość senatorów i posłów należy do obozu protestanckiego [2]), a gorszą od liczby heretyków była luźność pojęć religijnych, brak wszelkiéj karności kościelnéj, nawet w katolickim obozie. Za Batorego powoli się to zmienia na lepsze. Niewątpliwie sam król w znacznéj części do tego przyczynił się przewrotu.

Przyszedł Batory do Polski jako katolik, tutaj, na większéj arenie, zamienił się w prawdziwego rycerza chrześciaństwa. Wszyscy cudzoziemcy, którzy z nim zawierają znajomość, uderzeni są głębią i ciepłem jego poglądów; nuncyusze z największą czcią o nim piszą, która tém żywsze wywoływała wyrazy, im to wrażenie bardziéj było

[1]) List Caligarego z 14. Jun. 1579. Nunz di Pol. 16.
[2]) Laureo, list z 3-go marca 1574.

niespodziewane. U Batorego uczucie religijne towarzyszy wszelkim czynom, jest ich przeważnym bodźcem i pobudką. To, co kazał wyryć kiedyś na krzyżu pod Gdańskiem: „Non nobis Domine, non nobis, sed nomini tuo da gloriam“, drgało mu ciągle w duszy, odezwało się jeszcze w r. 1583, gdy w rozmowie z O. Possevinem wyraził—a miał na myśli nawrócenie Inflant—życzenie, aby to, co mu Bóg ramieniem posiąść pozwolił, ku chwale Bożéj służyło [1]).

Konfederacyą religijną, zapewniającą protestantom spokój, zaprzysiągł Batory przy koronacyi i zobowiązania tego trzymał się wiernie i stanowczo. Wolny od wszelkiéj ciasnoty, toleruje on w otoczeniu swojém innowierców, gromi surowo wybryki krakowskie i wileńskie, przeciw nim skierowane, ale zarazem buduje wszystkich swą troskliwością o sprawy Kościoła, swą gotowością w wypełnianiu obowiązków religijnych.

W téj duszy, hartownéj w obec ludzi, są całe zapasy dziecięcéj czułości w obec Pana Boga. Nuncyusze opisują nam rozmaite ceremonie, przy których król pobożnością swą budował, [2]) on, który jak nikt pojmował doniosłość apostolstwa przykładu. Już w r. 1578, Karnkowski, pisząc do Kromera [3]), nie znajdował dość słów na pochwałę i wyliczenie cnót króla. Wysławiał siłę jego ducha—robur animi— i serca świeżość — cor apertum et candidum. — „Miłosierdzie w nim takie, że często nad biednymi i nieszczęśliwymi – łzy wylewa. Kazań i mszy świętéj codziennie z największém nabożeństwem słucha. Na mojém kazaniu w obec wielu świadków się rozrzewnił, tak, że gdy to królowéj doniesiono, miała się ona wyrazić: „Dawno król Polski na kazaniu płakał“. Te ostatnie słowa przytoczone są w liście w polskim języku.

Nie wkraczając na razie w dziedzinę czynów historycznych, powołamy się na list Skargi, aby sobie drobnostkową około losów Kościoła w Polsce pieczołowitość króla uprzytomnić. Opisywał mianowicie Skarga nuncyuszowi Caligaremu podróż królewską po pierwszéj wojennéj wyprawie do Wilna [4]). Czytamy tam co następuje: Jadąc Jego K. Mość z Grodna do Kowna, a ztamtąd do Wilna, w téj

---

[1]) Lettere e Memorie del P. Possevino. II. 82. List Possevina z 24, I. 1583.

[2]) Por. n. p. list Caligarego z 20 marca 1581 w Nunz. di Pologna XVIII, a także list Karnkowskiego, pisany do Commendoniego o pobycie króla we Włocławku w r. 1577 w Karnkowskiego Epistolae illustr. virorum Cr. 1578, ks. III, list 163.

[3]) Ms. Czart. 308 list z 27 maja.

[4]) List z 20 czerwca 1580 oddrukowany u Turowskiego w kazaniach sejmowych, Kraków 1857, str. 158.

drodze wstępował do każdego kościoła, który we wsi zobaczył, jak gdyby był Archidyakonem, wypytywał się najdokładniéj wszystkiego o parochu, o jego wikarym, o postępach ludu w religii, o ozdobach kościoła, o kazaniach i życiu kapłana.

Nabrał wtedy król przekonania, jak zgubnym był obyczaj nadawania beneficyów kościelnych ludziom, którzy tych godności sprawować, ani w miejscach im przeznaczonych rezydować nie mogli. Gorliwość Batorego, który spełnia zadania biskupiéj wizytacyi nieledwie wśród wojny, jaśnieje tu blaskiem wybitnym. Rozgrzewał duszę króla znakomity jego kaznodzieja, Stanisław Sokołowski, który zaraz w roku 1576 to stanowisko zajął na dworze; późniéj było gorącém życzeniem Batorego, aby słynnego teologa owych czasów, Ojca Bellarmina, dla tego zadania pozyskać. [1]) Znać ciągle u niego skłonność do zasilania życia miejscowego żywiołami obcemi: po części, jego katolicyzm, po części pochodzenie dawało mu tę szerokość poglądów i aspiracyi.

Wśród polskiego episkopatu nie znalazł król na razie pewnych i gorliwych pracowników. Wszyscy biskupi polscy, prócz jednego, znaleźli się podczas elekcyi w przeciwnym, habsburskim obozie. Batoremu więc przypadło w udziale zadanie ujmowania sobie mniéj życzliwych, i drugie zadanie, ważniejsze, dźwignięcie episkopatu z upadku, w którym niewątpliwie w czasach ostatnich się znajdował.

Na stolicy prymasowskiéj siedział oddawna Jakób Uchański, podejrzany o stosunki z innowiercami i chylenie się do Kościoła narodowego. Za Batorego jest on już stary, osłabiony na umyśle i ciele zawojowany przez swych nepotów i otoczenie. W ogóle sądzono, przez pewien czas, że nowatorskie mrzonki w starości uleciały mu z głowy. [2]) Ale teraz znów on nieszczególnéj używa opinii; 16 stycznia 1579 r. pisze Caligari [3]), że jest wprawdzie stary, lecz twardéj natury, że oddał się zupełnie w ręce sług i krewnych, którzy grabią majątki arcybiskupie. Opowiada daléj nuncyusz, że król jego prawowierność miał w podejrzeniu i że takie wątpliwości co do jego cnoty były powszechne. Twardy i dosadny nekrolog pisze mu Caligari, kiedy w r. 1581 śmierć go wreszcie usunęła ze stanowiska. „L'arcivescovo e morto, (pisze on 18 kwietnia 1581 [4]) come una bestia, senza niun sacramento, e con li armarii pieni di libri heretici di Lu-

[1]) Nunz. pi Pologna XV f. 237, 264, 291.

[2]) Gratiani: de scriptis invita Minerva II, 211 datuje tę zmianę od r. 1573 od wystąpienia Uchańskiego w sprawie dyssydentów.

[3]) Nunz. di Pologna XVI.

[4]) Nunz. di Pologna XVIII.

tero, del Calvino, del Melanchtone e di tutti gli altri ribaldi". Stolicę Krakowską zajmował Franciszek Krasiński, któremu miano za złe jego wyniesienie i to, że jedyny ze wszystkich biskupów podpisał w r. 1573 akt konfederacyi, zmierzający do zapewnienia dyssydentom wolności i zupełnego spokoju [1]). Tłómaczył się on z tego czynu przed Hozyuszem, zastawiał tém, że chciał heretyków uspokoić, że, ponieważ elekcya była wątpliwa, chciał, na przypadek gdyby innowierca został wybranym, zapewnić katolikom swobodę wyznania. [2]) Ale kroku tego nie zapomniano mu nigdy. Uczeń ten dawny Melanchtona, niecierpiany przez królową Annę, nie mógł na dworze Batorego szczególnemi się cieszyć względami; umiera on już w r. 1577, a następcą jego zostaje dotychczasowy biskup Płocki, Piotr Myszkowski.

Mówiliśmy już o nim poprzednio. Osobistość to spopularyzowana i rozsławiona naszą poezyą i całém piśmiennictwem. Zdawaćby się jednak mogło, iż lepszym był mecenasem, niż biskupem. Podczas obydwu pierwszych elekcyi, należał on stanowczo do stronnictwa habsburskiego; a niepowodzenia polityczne zepchnęły go nieco z drogi otwartéj na stanowisko niezadowolego nieraz intryganta. W téj roli występował on w niektórych wypadkach za Batorego, [3]) on, który kiedyś za Zygmunta Augusta należał do najpewniejszych i najświetniejszych sług tronu. Nuncyusz Caligari przypisuje mu nawet pewne zamiary, zdążające wprost do obalenia nowego władcy. [4]) A prócz tego uskarża się na praktykowaną przez niego symonią, nadużycia i brak religijności. „Nie ma on w sobie nic katolickiego nad pozory, o które dba ze strachu, żeby nie być wyzutym z biskupstwa". Chciwość pieniężna mroziła dawną jego w życiu publicznćm gorliwość, spychała go na drugi plan i pośledniejszy. Co mu nuncyusz zarzucał, wytykali w nim i inni; a Gratiani wyraźnie mówi że, opuściwszy sprawy publiczne, o własne się troszczył pieniądze,— „deserta republica, pecuniae suae incubabat" [5]) Wzbogacił się on wcześnie, bo będąc sam domu możnego, od młodych lat najróżniejsze zdobył benefibya, że aż go żartobliwie całéj Polski plebanem nazywano. Teraz „między biskupy był najmożniejszym w skarby" [6]) i skupował dla bratanków swych majątki, jak Chroberz, Książ i innych wiele,

[1]) Solikowski: Commentarius brevis str. 10 i 91.
[2]) Ms. Jag. 1140. List z 9 marca 1573.
[3]) List Caligarego 18 września 1579 r. w Nunz. di Pologna XVI.
[4]) List z 6 maja 1580 w Nunz. di Pologna XVII.
[5]) Gratiani 1. C. II, 183.
[6]) Paprocki, Herby, Jastrzębiec

kładąc podwaliny do wielkiéj Myszkowskich ordynacyi. Nie był to w każdym razie człowiek, od którego mógłby był wyjść jakiś ruch nowy, zdążający do naprawy panujących stosunków, do odrodzenia Kościoła polskiego.

Ale był jeden biskup innego zakroju i nastroju, po którym można się było przykładu i przewodnictwa na drodze ku lepszemu spodziewać, ten sam biskup, który przy elekcyi Batorego tak wielką i stanowczą odegrał rolę i koroną polską nwieńczył skronie nowego monarchy. O charakterystykę jego tu kusić się nie potrzebujemy [1]). Biskup Kujawski, Stanisław Karnkowski, uderza swoją gorliwością w służbie kościelnéj, a równą ruchliwością i zabiegliwością w sprawach krajowych. „Ecclesia Dei resque publica atque Patria mea", wyrazy te, jak hasła, powracają w jego listach. Owiany on duchem Hozyusza, oddany Kościołowi duszą całą; ma téż pewną stanowczość i energię w występach swoich, którą jedynie ślepe przekonania dać mogą. Hozyusz od razu się na nim poznał i listami częstemi w zapale go zagrzewał, listami, które sam Karnkowski ogłosił, aby służyły za drogoskaz i upominek dla innych, tak jak on sam na zbiorach Górskiego do polityki i życia się zaprawiał. [2]) Jest on do pewnego stopnia ideałem humanisty. Głębokie wykształcenie nie wniosło rozstroju do jego duszy, lecz zlało się z katolickiemi pojęciami w strojną całość. Walkę dotychczasową między Cyceronianus a Christianus przewalczył i on, a może gwałtowniéj niż inni, zwłaszcza, że za młodu do reformacyi się skłaniał, ale pogodził przeciwników i przekonał, że obok siebie i ze sobą żyć mogą.

Nie szczędzą mu uznania i pochwały nuncyusze; Laureo, który późniéj, wskutek swego habsburskiego stanowiska, był mu nieżyczliwym, poznał się na razie na jego wartości zupełnie: „Biskup Kujawski — pisze on 21 kwietnia 1574 r. [3]) — który życiem, gorliwością i nauką góruje nad innymi biskupami..." Caligari pisał o nim w r. 1570, że „należy do najgorliwszych prałatów tego królestwa, a w sprawach korzystnych dla Kościoła wielki objawia zapał, mianowicie w sprawach, dotyczących reformy kleru" [4]).

Słowa te pisanemi były już po najdonioślejszym fakcie ówczesnego życia kościelnego, po synodzie prowincyonalnym Piotrkowskim w r. 1577. Wiadomo zaś, że dojście tego synodu do skutku było przeważnie Karnkowskiego dziełem. Tu przyjęto uchwały Soboru Trydenckiego i wydano szereg konstytucyi, zmierzających do napra-

[1]) Do tego por. Zakrzewski—Stefan Batory str. 62.
[2]) Por. Epist. Illustr. virorum Praefatio.
[3]) Wierzbowski str. 38.
[4]) Nunz. di Pologna XVI, List z 6 maja.

wy dotychczasowego stanu [1]). Synod ten był niewątpliwie punktem zwrotnym w dziejach upadającéj już reformacyi i odrodzenia katolicyzmu w Polsce.

Że Batory Karnkowskiego popierał i popierać musiał, jest to jasném. Nie posadził go wprawdzie w r. 1577 na osieroconéj Krakowskiéj stolicy, ale po śmierci Uchańskiego w r. 1581 wywyższył go do prymasowskiéj godności [2]). Akt koronacyi, który się bez przymusu odbył nieprawidłowo, tém wyszczególnieniem niejako po czasie uświęconym został i utwierdzonym.

Przy małżeństwach, zawieranych pomiędzy innowiercami a katolikami, kapłani katoliccy, a nawet biskupi, nie odmawiali udziału lub błogosławieństwa. Zgorszenie już wywołał ślub Jana Zamoyskiego z Radziwiłłówną, heretyczką, córką Mikołaja, wojewody wileńskiego. Biskup mianowicie przemyski zachował się na tym obchodzie nieprzyzwoicie; twierdzono, że tańczył i pił niepomiernie; Caligari mówi o „bevere alla polacca e rompersi d'allegrezza, ballare publicamente“ [3]). W r. 1580 wydawał tenże sam kanclerz siostrę swoją przyrodnią, nie katoliczkę, za Działyńskiego, młodzieńca innowierczych przekonań. Tutaj zgorszenie było jeszcze większe. Biskup Myszkowski dał się bowiem namówić, aby młodą parę w kościele kollegiaty warszawskiéj błogosławić, choć przecie w dodatku kościół ten należał do dyecezyi Karnkowskiego; dwaj biskupi, Przemyski i Chełmski, asystowali mu przy ceremonii [4]). Gromy na winowajców rzucone zaczęły w pewnéj części skutkować. Kiedy w r. 1582, katolik, Franciszek Wesseleny, pojmował za żonę protestantkę, wdowę po Bekieszu, pisał Myszkowski do Bolognetta, że nie był sam przy ślubie, że księżom swoim zakazał do tego się dać użyć, że winnego do odpowiedzialności pociągnie. Był jednak osobiście na bankiecie poślubnym, bo nowożeniec był ulubieńcem króla i persona catholichissima. Oporność była tu tém śmielszą, że ślub kosztem królewskim i na dworze się odbywał [5]).

Przyszła jeszcze raz koléj na starcie z samym kanclerzem. Gryzelda Batorówna, którą Zamoyski w r. 1583 przed ołtarz prowa-

---

[1]) Por. mianowicie Pawiński, źródła dziejowe IV.

[2]) W ostatnich latach Batorego, mianowicie w sprawie Zborowskich—niezbyt poprawnie i politycznie działał, niestety, Karnkowski; por. Zakrzewski l. c. str. 68.

[3]) Nunz. di Pologna XVII, list z 6 maja 1580.

[4]) Nunz. di Pologna XVII. List Caligarego z 19 stycznia, 1580, a mianowicie Theiner, Annales eccles. III, 171 i nast.

[5]) List włoski Myszkowskiego do Bolognetta z 17 maja, 1582 r. w Nunz. di Pologna XVII.

dził, była protestantką. Kiedy biskupi nie chcieli tego związku poświęcać, a nuncyusz popierał ich opozycyę, sprowadzono w końcu Kamienieckiego biskupa, Marcina Białobrzeskiego, który uległ parciu Kanclerza [1]). Biskup, strofowany o to przez papieża, tłómaczył się, jak mógł, zastawiał prośbami króla, twierdzeniem, że mu zaręczono nawrócenie się Gryzeldy.

Widzimy więc, że surowsze pojęcia i większa ostrożność z biegiem czasu przyjmowały się w Polsce. Położyły one tamę zupełnemu rozluźnieniu dyscypliny i życia kościelnego, do którego Kościół Polski się chylił. Później i inne nadużycia, po przyjęciu uchwał soboru, zaczęto wykorzeniać, mianowicie mnożenie się licznych beneficyów w jednych rękach, nierezydowanie księży w miejscu im przeznaczoném. Natrafiło to na rozliczne trudności i starcia, ale hasło formy było daném i zagłuszało zwolna skargi i narzekania prywatne.

Mimo też wszelkich zarzutów, które ówczesnemu wyższemu duchowieństwu zrobić można, przyznać musimy, że w końcu panowania Batorego przedstawiają nam stolice biskupie szereg prałatów, których nazwiska albo w annałach Kościoła i cnoty, albo w annałach piśmiennictwa i cywilizacyi polskiéj pięknie się zapisały. Karnkowski jest od r. 1581 arcybiskupem Gnieźnieńskim, Jan Dymitr Solikowski od r. 1582 arcybiskupem Lwowskim, Kromer od r. 1579 biskupem Warmińskim, w Krakowie siedzi Myszkowski, w Płocku wykwintny dyplomata i humanista, uczeń uniwersytetu bolońskiego, Piotr Dunin Wolski, w odległym Kamieńcu spotykamy Białobrzeskiego, który później Wawrzyńcowi Goślickiemu miejsca miał ustąpić. Przyszło w końcu do tego nowe, przez króla kreowane, biskupstwo w Wendzie, na którém zobaczymy Andrzeja Nideckiego.

Zaprawdę szereg ludzi, który dosyć dobrze świadczy o tych czasach, a jeszcze lepiéj o królu, co takich sług sobie i Bogu dobierać umiał. Nie bez przyczyny sławił Sebastyan Petrycy Stefana króla, który „ludzie i poddane swoje znał, gdy o którym się wywiedział znacznym w postępkach człowieku, choć go nie widział, pamiętał go, do regestrzyku swego wpisał". Mimo też wszelkich smutków i niedostatków, zawsze będziemy podziwiali ten zachód słońca odrodzenia polskiego.

K. Morawski.

---

[1]) Por. list Bolognetta w Nunz. di Pologna, z 30 maja, 83.

BOLESŁAW PRUS.

II.

Wyobraźmy sobie bohatera „Grzechów dzieciństwa“, który nauczywszy się wyspiewywać „co wiatr wygrywa na drzewach“, nasłuchawszy się „jakiegoś wiekuistego chodzenia po lesie“, odegrawszy swoją rolę w tragedyi „Pomyłki“ i w studenckim romansie z hrabianką, skończył szkoły na prowincyi i na początku siódmego dziesiątka bieżącego stulecia znalazł się w Warszawie.

Zastał tam ludzi, rzeczy, stosunki, zgoła niepodobne do tego, co na partykularzu zostawił. Słyszał na około. że się społeczeństwo przebudowuje od podstaw, i gdzie się tylko zwrócił, tam między młodzieżą spotykał samych budowniczych. Wzrośli oni na ruinach po wielkiéj nawałnicy i szukali drogi między gruzami, które zdawały się tamować drogę do dalszego historycznego pochodu społeczeństwa i odgradzać raz na zawsze przeszłość od pszyszłości. W tém szukaniu trzeba było deptać po szczątkach, bez względu na to, co się ma pod stopą; wypadło nieraz potrącić nogą niejeden zrąb z fundamentów dziejowych, odepchnąć resztki niejednego obalonego szczytu, traktując wszystko jak zawadę.

— Nie chcemy historyi! — odzywał się z wielu młodych piersi okrzyk, — bo oto leżą zbutwiałe jéj podwaliny.

— Dość mamy poezyi, — brzmiała inna skarga, — bo poeci-to dźwigali gmachy tak podniebne, że w nie najprzód wszystkie gromy uderzać musiały.

— Będziemy chodzili po ziemi twardéj, niewzruszonéj, któréj żadne wstrząśnienie z pod nas nie usunie,—powtarzali prawie wszyscy, torując sobie przebojem ścieżki wśród rumowisk.

I szli, a w wędrówce obrali sobie za potężną przewodniczkę — wiedzę.

Pod jéj opiekę uciekła się, na jéj łonie wzrosła w całéj Europie generacya rozbitków, którym na oceanie życia pogasły wszędzie kierownicze światła innych ideałów. Do téj rozczarowanéj rzeszy my przyłączyliśmy się najpóźniéj, przyłączyliśmy się zaś z tém większą żarliwością, że narzędziem owéj wiedzy było to, czego nam zawsze brakowało — doświadczenie; materyałem to, z czém nigdy liczyć się nie umieliśmy — fakt.

Powstał tedy kult doświadczenia, religia faktu w nauce, w sztuce, w literaturze, w filozofii praktycznéj, a ten prąd pozytywny, porwawszy ze sobą najśmielsze umysły, zakipiał i w naszém życiu duchowém pamiętną burzą publicystyczną, która myśl młodą w jednym, wyłącznym popchnąwszy kierunku, odosobniła ją na chwilę od myśli reszty społeczeństwa.

Bojując wśród téj burzy w imię wiedzy, organizując w imię ekonomii pod obosieczném hasłem pracy organicznéj, dojrzewało to pokolenie, karmione mlekiem nauki, owocami doświadczenia, miazgą faktów życiowych, chowane w wierze w postęp i doskonalenie się ludzkości, w potęgę olbrzymiejącéj z każdym dniem wiedzy, ani się domyślając, że owo głoszone zbawienie społeczeństwa przez dobrobyt materyalny uprawni tylko pogoń jednostek za karyerą; że to wszystko, co miało służyć postępowi, pójdzie w całym świecie w służbę reakcyi i wstecznictwu; że najgenialniejsze wynalazki uzbroją moc przeciwko słabości; że fakt spełniony będzie u góry prawem, a u dołu zbrodnią; że rozpętana i usamowolniona w imię nauki siła materyalna na gwałcie zbuduje sobie panowanie i z wysokości swéj apoteozy urągać będzie wszelkim duchowym pierwiastkom cywilizacyi, zatruwając na około siebie wszystko, nawet sumienie nauki, najpierwszéj swojéj orędowniczki.

Tego wszystkiego żaden młody nie przypuszczał wtedy; większość natomiast w najlepszéj wierze rozdzieliła między siebie role: jedni, ogarnąwszy całą przeszłość pogardliwą definicyą „romantyzmu“, rozpoczęli słynne krytyczne śledztwo przeciwko „idealistom“ i z kodeksem „pozytywizmu“ w ręku odnajdywali, sądzili i skazywali winnych, powtarzając przytém w tysiącznych parafrazach rozmowę Pankracego z hrabią z „Nieboskiéj komedyi“; inni, przekonani, że egzekucye publicystyczno-dziennikarskie, tępiąc niedobitków pogromu, utorują drogę nowym żywiołom i przygotują pod nowy gmach społeczny

wielką *tabula rasa*, raźno zabrali się przy pomocy Comte'a, Darwina i Spencera do budowy. Nauki przyrodnicze miały im teoryą „walki o byt“ usunąć spruchniały i nieprzydatny materyał, a dostarcyć świeżych, zdrowych, żywotnych pierwiastków; nauki społeczne obiecywały dźwignąć wszystko od fundamentów, nie oglądając się na dzieje.

Nie mamy bynajmniéj zamiaru kreślenia tak niedawnéj historyi tych młodzieńczych złudzeń; idzie nam tylko o to, jakie mógł wobec nich zająć stanowisko wspomniany na początku dwudziestokilkoletni młodzieniec, pod którego postacią wyobrażamy sobie talent Prusa.

A najprzód co z sobą przyniósł?

Wielką miłość natury i jędrny chłopski rozum: dwie właściwości bardzo cenne, ale nie na wiele, jakby się zdawało, przydatne w chwili, kiedy mu życie odrazu się przedstawiło w wyjątkowém zawikłaniu, a społeczeństwo, wśród którego miał się rozwijać, odbywało właśnie jakąś skomplikowaną ewolucyę.

Sprzeczność jednak była tylko pozorną; w gruncie rzeczy talent Prusa nie mógł dla siebie znaleźć przyjaźniejszych okoliczności. Namiętny wielbiciel przyrody musiał odrazu przyłączyć się do tych, którzy dzieje ludzkości i filozofię życia budowali według praw, rządzących naturą, i uśmiechała się zapewne temu bezwiednemu romantykowi myśl, że radości i cierpienia jednostki, szczęście i niedola narodów, że wszystkie brzaski i zmierzchy, promienne pogody i pełne grozy nawalnice w historyi rodu ludzkiego, są kombinacyą tych samych obojętnych, nieświadomych siebie sił, które różowy uśmiech jutrzenki wywołują co rano na oblicze przyrody, a co wieczór powlekają je melancholią zachodu; które dreszczem miłosnym wiosnę zwiastują, a zimowemi letargami krążenie życia wstrzymują; które, głucho i po omacku w niezbadanych głębiach nurtując, zdają się miéć swoje skłonności i nienawiści, swoje drobne codzienne dzieje i wielkie wiekowe katastrofy, które w podtrzymywanéj nieustannie walce pierwiastków, stworzeń, istot, organizmów, tylko energii i żywotności dają prawo istnienia.

Chłopski rozum znalazł znów dla siebie gotową strawę w socyologicznych teoryach.

Prawa socyologii mają to do siebie, że są proste. Ogarniając zjawiska w rozległych granicach przestrzeni i czasu, uogólniając spostrzeżenia przez podciąganie fenomenów życiowych pod pewne zasadnicze, zbiorowe kategorye, nęciły umysły łatwością stosowania do życia kilku czy kilkunastu formuł, które je całkowicie zawrzeć miały, bez uciążliwego balastu dziejów, bez zagłębiania się w ideę ludzkości, w ducha narodów, w duszę jednostek. Zamknąć historyę człowieka w rozdziale historyi naturalnéj, co za pokusa dla przyrodnika

ze skłonności, co za gratka dla myśliciela, którego rozsądek tak chętnie upraszczał wszelkie powikłania, tak je łatwo tém lub owém prawem społecznego rozwoju z drogi usuwał!

Nie unikał też Prus téj pokusy, korzystał z téj gratki narówni ze wszystkimi, choć inaczéj niż wszyscy. Na około niego pisano artykuły, „poruszano kwestye społeczne“, przebudowywano wszystko od podstaw z niezachwianą wiarą w możność rozpoczęcia nowego życia od punktu, który nie będzie ogniwem, ale początkiem innéj egzystencyi, — on tymczasem milczał podczas gorących rozpraw, pióro rzadko maczał w publicystycznym atramencie i patrzył.

Czy obserwował? Po swojemu—tak, ale po swojemu. Znacznie późniéj, objąwszy redakcyę „Nowin“, uważał swoją gazetę za „obserwatoryum społeczne“, — otóż fundamenta pod to obserwatoryum zakładał Prus o wiele dawniéj, od samego początku: gromadził dane stąd i zowąd, ze wszystkich stron zbierał fakta, cyfry i kombinował. Cały dar spostrzegawczy Prusa polegał zawsze i polega do dziś dnia na kombinowaniu, w którém uniwersyteckie studya na wydziale matematycznym były mu o tyle pomocne, że mu ułatwiały manipulacyę wartościami społecznemi, za pomocą logiki, mającéj algebraiczną prostotę, ale też i algebraiczną bezwzględność. Co tylko szło wbrew téj logice, przedstawiało mu się jako kontrast, który w oświetleniu chłopskiego rozumu przybierał kształty i zabarwienia komiczne. Zdolność chwytania tych kontrastów stanowi podstawę oryginalności Prusa, w umiejętności takiego oświetlenia należy szukać źródła jego humoru. Jeżeli głównym czynnikiem humoru ma być według samego Prusa *niespodzianka*, to nikt tyle i tak często, jak Prus, nie sprawia czytelnikowi niespodzianek, pokazując mu odskok między istniejącemi w życiu stosunkami, a pewnemi postulatami socyologicznemi, które dla humorysty stanowią rodzaj ewangelii społecznéj. Obserwacya wytężona w tym kierunku ma wszelkie pozory wszechstronności: powierzchnię życia szeroko ogarnia spostrzeżeniami feljetonisty, w głębiach jego śledzi okiem przyrodnika wewnętrzne sił naturalnych procesy; z wysoka zdaje się dostrzegać działanie praw, według których przetwarzają się społeczeństwa — tylko z bliska nie widzi. Do obserwacyi Prusa możnaby zastosować przysłowie o lesie, który mu zasłania drzewa. Drobny fakt dnia powszedniego, zmierzył siłą kataklizmu, przystosował do zwyczajnego wypadku szeroką teoryę socyologiczną, na chwilę bieżącą spojrzał z odległości tysiąca lat,—ale po za cyframi i datami nie rozpoznał życia, warstwy społeczne przesłoniły mu człowieka — i ten sam obserwator, który byłby w możności wykazać wszystkie zmiany, przez jakie przeszła protoplazma, zanim się stała panem Wokulskim, który z rachunkową ścisłością potrafi określić je-

go wartość społeczną,—nie wie, jak się w zawikłanéj nieco okoliczności ma znaleźć jego bohater, i staje zakłopotany wobec kombinacyi życiowéj, potrzebującéj rzutu oka na krótką metę, bez przyrodniczego aparatu, bez socyologicznéj perspektywy. Ta naiwność Prusa w zetknięciu z rzeczywistością, niedającą się ująć w teoretyczną formułę, bywa niekiedy, mimo jego woli, niespodzianką, nierównie więcéj zajmującą od najoryginalniéj wydobytego kontrastu między tém, co według niego być powinno, a tém, co mu się zdaje, że jest – i wtedy humor owego realisty z teoryi, którego praktyka przydybuje na takiéj naiwności, ma osobliwy wyraz, ni to ironii, ni samokrytyki, — jakiś zagadkowy uśmiech, obejmujący obserwacyę, obserwatora i potrochu czytelnika.

Czytelnik nigdy nie ma o to pretensyi, przywykłszy spotykać w Prusie dwu ludzi: dowcipnego spostrzegacza od dnia powszedniego i uroczystego obserwatora od święta; żałuje tylko niekiedy, że jeden drugiemu przeszkadza, że często niewiadomo, z którym lepiéj mieć do czynienia: czy z kronikarzem, upatrującym w najprostszych rzeczach wielkie społeczne komplikacye, czy z socyologiem rozwiązującym najzawikłańsze sprawy życiowe, za pomocą jakiéjś prostéj formuły. Chwile równowagi między obydwoma są rzadkie, bo Prus, wzrosłszy i rozwinąwszy się w opoce, która się miała za organizacyjną, za mało był artystą, żeby dostarczony przez nią materyał przerobić w sobie na użytek sztuki: więc myśli nie obrazami, lecz kombinacyami, zestawia raczéj, niż tworzy. W świetle takich kombinacyi życie przedstawia mu się jak jedno zagadnienie społeczne, w którém człowiek jest wielką ilością niewiadomą.

Do takiego *X* Prus przystępuje z ciekawością, ale nie z zapałem. Rzecz szczególna! uśmiech jego jest dobry, a nie ma w sobie sympatyi; humor udziela się, a nie rozgrzewa; malowidła mają Dickensowskie efekta bez wyobraźni Dickensa; satyra uparta jest, ale więcéj gderliwa, aniżeli po Tackerayowsku namiętna. Zdaje się jak gdyby między życiem a jego obserwatorem stosunek był bardzo obojętny, jak gdyby spostrzegacz czuł się wśród jego objawów obcym.

Kto czytywał kroniki Prusa, ten niewątpliwie zauważył, że pod względem formy te gawędy kronikarza z publicznością powracały często do kilku powtarzających się typów, między któremi jeden, widocznie najbardziéj ulubiony, przedstawiał mniéj więcéj egzotycznego cudzoziemca, oceniającego tutejsze stosunki ze stanowiska obyczajów, urządzeń i instytucyi swego kraju i wydobywającego z tych zestawień humorystyczne kontrasty. Mniejsza, że to sposób łatwy i zarówno dobry do krytykowania Warszawy za pomocą Honolulu, jak Londynu za pomocą Warszawy; idzie tu tylko o zaznaczenie, że

w stosunku do życia w ogóle, Prus wygląda często, jak ów cudzoziemiec, przybyły z jakiegoś *Sociopolis*, i mało, lub nic zgoła z tém, na co patrzy, nie chcący miéć wspólnego. Takie wrażenie odporności ogarnia czytelnika tém silniéj, im wyżéj sięga obserwacya Prusa, słabnie dopiero w miarę zstępowania ku poziomom, a niknie na tym szczeblu, gdzie cywilizacya zaczyna po macoszemu obchodzić się ze swémi dziećmi. Tu sympatya Prusa budzi się odrazu dla upośledzonych z tém samém serdeczném ciepłem, jakiém obdzielał istoty drzemiące jeszcze snem półświadomości na łonie natury. Cywilizacya ma dla niego, równie jak przyroda, swoich Antków, Michałków, Owczarzów, z tą różnicą, że natura maluczkich przygarnia, a kultura odtrąca. Na tę różnicę Prus silny kładzie nacisk, i on, wielbiciel cywilizacyi, jako potęgi w oderwaném znaczeniu, ma dla niéj sceptyczny, szyderski niekiedy uśmiech, gdy się streszcza konkretnie w pewnych stosunkach społecznych. Podobnie jak Dickens, przeciwstawia duszom, które tworzy natura, dusze, które paczy społeczeństwo. Utajony romantyk walczy wtedy z fantastycznym socyologiem, a ilekroć zwycięży, tyle razy wygrywa na tém poezya. Prus jest poetą wydziedziczonych cywilizacyi, tak, jak widzieliśmy go poetą istot, powinowaconych z naturą,—i co téj poezyi dodaje szczerości, to, że nie idzie w służbę tendencyi. Rys to zaiste w twórczości Prusa charakterystyczny: pisarz, któremu teorye w życiu i pewne ideały społeczne, tak niekiedy przyćmiewają zdolność obserwacyjną, bywa bardzo rzadko pisarzem tendencyjnym i zdarza mu się to wtedy właśnie, kiedy porusza się w sferach, na które patrzy obojętnie i do których na zimno przykładać może swoje socyologiczne formułki. Obserwacya Prusa jest demokratyczną, ale nie z programu, tylko z serca; świat, który kocha, maluje z miłością, dodającą mu skrzydeł do wysokich wzlotów. Jak się naprzykład wzniósł nad poziomy w drobnostce kilkustronicowéj p. t. „Cienie“, wysnutéj z bardzo codziennego motywu!

„Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch, wielka armia nocy o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armia, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczoru, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

„Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załamkach murów. Rozproszona i na pozór nieobecna, wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdéj szczelinie kory

drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszém ziarnem piasku, czepia się najmniejszéj nici pajęczéj; a gdy słońce zgaśnie, armia zmroków gęstemi szeregami wysuwa się ze swych kryjówek, cicha i ostrożna; zapełnia kurytarze domów, z pod szaf i stołów pełznie na środek pokojów i obsiada firanki; przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na miasto, dopóki na zachodzie nie zbledną różowe obłoki i nie zerwie się olbrzymi wybuch ciemności, sięgającéj od ziemi do nieba.

„W takiéj chwili na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ścigały ciemności; przy każdéj latarni zatrzymuje się na mgnienie i, rozniecíwszy wesołe światło, znika, jak cień.

„I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów; czy sroży się lipcowa burza; czy rozhukane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu; czy w powietrzu kłębią się zimowe śniegi; on zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki, roznieca światło a potém znika, jak cień.

„Skąd ty się bierzesz, człowieku?— zapytuje poeta—i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu, albo dzieci, które, postawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy masz ty przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach? Czy ty w ogóle posiadasz jaki dom, w którymby cię znaleźć można; imię, którémby można ciebie zawołać; potrzeby i uczucia, któreby cię zrobiły takim, jak my, człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujętą, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika, jak cień?“

Chciał Prus poznać tego człowieka, ale pod wskazanym adresem zobaczył tylko zamkniętą i próżną jego komórkę — a kiedy po upływie pół roku zapytał powtórnie o latarnika, powiedziano mu, że umarł i że pochowano go w oddziale najuboższych. Został po śmierci tém, czem był za życia: istotą niemą i niepochwytną, jak cień.

„W pomroce życia,—kończy Prus w świetnym poetycznym zwrocie,—gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawody, inni spadają w otchłań, a pewnéj drogi nikt nie zna; gdzie na skrępowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść, po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każ-

dy na swojéj ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trudzi się nieoceniony, a potem znika, jak cień".

Cały poemat zmieścił Prus na tych dwóch kartach — i nie tylko poemat, ale obraz, w którym mrok zdaje się mieć barwę, cień — rysunek, a tło i rzucona na nie figura żyją życiem na pół realném, na pół fantastyczném; w tym zaś poemacie, w tym obrazie, streszcza się cała filozofia życia i cywilizacyi. Prawdziwa kultura jest dla Prusa dziełem „bezimiennych", którzy żyją niepoznani, trudzą się nieocenieni, a potém znikają, jak cienie; dla téj demokratycznéj cywilizacyi, któréj nikt nie zna ani z nazwiska, ani z oblicza, a która uwija się wśród zmierzchów z małym nad głową płomykiem, pracując w ciszy, bez rozgłosu i cierpiąc bez skargi — ma Prus gorące współczucie w sercu, najdelikatniejsze w rysunku kontury, najżywszy na palecie koloryt.

Wczytajmy się w „Echa muzyczne". Poznaliśmy już w nich Orfeusza z ludu, budzącego domorosłą muzyką poezyę młodości nawet w zasuszonym dyscypliną wojskową żołnierzu. Ten bezimienny artysta uosabia sztukę w stanie natury; a oto obok niego widzimy w ulubioném Prusa zestawieniu „Orfeusza handlującego" i „Orfeusza w niewoli". Pierwszy—to produkt cywilizacyi błyskotliwéj, hałaśliwéj, urzędowo-arystokratycznéj, jeżeli się tak wyrazić można, to wcielenie sztuki oficyalnéj, mającéj zamkniętą, hierarchicznie stopniowaną kastę kapłanów, utrzymujących w owczym rozpędzie niekrytycznej adoracyi całą rozmodloną na ślepo publiczność i wykładających słuchaczom mądrość muzyki, w którą sami nie wierzą. Świątynią ich—sala koncertowa, ołtarzem estrada, kadzidła pochwał i reklamy wdychają z rozkoszą; w przybytku sztuki oklask zdaje się być jedyną ich strawą; — w domu za to wynagradzają sobie ten idealizm muzyką szeleszczących rozkosznie biletów bankowych. Ten drugi miał także talent—ale nikt z bliższych nie nazywał go geniuszem. Matka, biorąca dwa złote za godzinę lekcyi, nie miała powodu życzyć synowi muzykalnéj karyery, a ojciec, pracujący w biurze, gniewał się nawet, że chłopak dla nut zaniedbuje książki; traf tylko sprowadził do ubogiego mieszkania rodziców malca amatora-znawcę muzyki, który usłyszawszy fortepian, wszedł, kazał sobie zagrać różne rzeczy, szepnął do siebie „wielki artysta... wielki artysta" i zajął się przyszłym muzykiem. Dzięki pomocy protektora, chłopiec skończył szkoły,—nieszczególnie—bo „świat przedstawiał mu się tylko z jednéj strony, jako niewysychające źródło tonów czystych, albo nie czystych, rytmów i czasem melodyi; bo w śpiewie ptaków, w szelestach deszczu, w turkocie wozów, w nieustannym szmerze, jaki sprawiają na ulicach przechodnie, szukał tylko muzyki". Potém

wstąpił do konserwatoryum—ale wtedy właśnie protektor jego nagle umarł. Od téj chwili zaczęło się powoli zstępowanie z wyżyn sztuki po szczeblach niedoli, na którą skazany jest artysta, nie mający dwóch najpotrzebniejszych rzeczy: majątku i sprytu. Na życie zarabiać musi lekcyami, wśród pracy rzemieślniczéj marzy o wyjeździe za granicę, a tymczasem wpadają mu w ucho tu i owdzie dwa wyrazy: „marnuje się“, które go dreszczem trwogi wstrząsają. Probuje dać koncert, na który nikt nie przyszedł; więc nie wyjeżdża zagranicę—ale za to żeni się. Do domu przybyła ukochana dusza, później droga duszyczka, a ubyło lekcyi. Przyszła choroba żony—w mieszkaniu rozgościli się lekarz, mamka i bieda. Im mu było trudniéj, tém więcéj tracił lekcyi, bo ludzie nie lubią twarzy smutnych i figur źle ubranych. Potém pochował żonę, a został ze słabowitą córeczką i z nędzą, dotrzymującą mu najwierniéj towarzystwa. Trzeba było żyć—więc on, któremu się jeść chciało, grał za pieniądze tym, którym się chciało pić. Z bawaryi, gdzie mu zarzucają, „że dawał koncerta w resursie, a tu partoli“, zgodzić się musiał, przy pomocy usłużnego faktora, „w takie miejsce, gdzie grać potrzeba dopiero od jedenastéj w nocy“, żeby zaś zapomnieć o tém, co to za miejsce, wypija zwykle na wychodném z domu ćwierć butelki wódki. Cywilizacya, która jest arystokratka, załatwiła się bez trudu z biedakiem.

Podobnie, jak w nauce i sztuce, snują się w przemyśle demokratyczni bezimienni. Jednego z nich prezentuje nam Prus na wystawie, opisanéj najprzód z uśmiechem filozofa humorysty. Jest to dzień jubileuszowy martwych przedmiotów, które, wysłużywszy się ludziom, świętują i z dumą hołdy ich przyjmują. Obok nich, obok publiczności, nie wiedzącéj właściwie, czego szuka na wystawie, występuje trzecia potęga—kurz. Jak w „Cieniach“ żyją i poruszają się zmierzchy i mroki, tak w „Pominiętym“, pył usobiony, zindywidualizowany, drga własném, samoistném życiem.

„Kurz — filozofuje autor — zbiorowisko niewidzialnych i niepochwytnych jednostek, równie ciekawy i natrętny, jak ludzie, lecz od nich nieskończenie potężniejszy; kurz, który nietylko chodził po ulicach i ścieżkach, ale wzbijał się nad pawilony, odpoczywał na chorągwiach i drzewach. Nie płacąc za bilet wejścia, widział on więcéj, niż ci, co sądzili, a nawet urządzali wystawę. Zaglądał do niewykończonych pawilonów, przeskakiwał sznury, których nie wolno przekraczać, wciskał się do szaf ze srebrem, do kranów machin, do papierów obradującego komitetu i obejmował w posiadanie nawet to, na czém leżały napisy: „nie tykać!“ On wszystkiego dotykał, nie wyłączając kwiatów, włosów, a nawet trzewików damskich. Strudzony odpoczywał na cukrach i piernikach, zgrzany kąpał się w piwie, albo

chłodził w lodach, a potém wciskał się między ręce i rękawiczkę, rozgrzewał na szyjach i dla odmiany ssał najpiękniejsze usta. Gdzie on nie był i czego on nie widział, ten najpotężniejszy z maluczkich i pogardzonych!"

Przedstawiwszy w ten sposób odwet martwego atomu, Prus dostraja do tego tła bohatera, jednego z wystawców, „pominiętego", dla tego, że poświęcił pracę swoją maluczkim wśród wystawowych okazów... po prostu guzikom.

— Guzik! mówi „pominięty", — są tacy co się śmieją i nawet mówią: „wielka mi rzecz guzikarz! guzik to prawie to samo, co pętelka". — Tymczasem, panie, guzik to wielka rzecz; dwadzieścia lat zastanawiałem się nad guzikami i jeszczem nie objął ich wszelakich właściwości.

Tu następują natchnione definicye, apoteoza guzika, zakończona taką, prawdziwie humorystyczną, konkluzyą:

— A w polityce myśli pan, że guziki nic nie znaczą? Kiedy prusacy w 1870 r. we stu konwojowali cały pułk francuski do fortecy, to co im dla bezpieczeństwa zrobili? Nie wiązali chłopów, tylko oberznęli im wszystkie, wszyściutenkie guziki. Rozumieli gałgany, że taki, co musi nieść w rękach całe odzienie, nie będzie robił polityki.

Zapoznany wynalazca, pojąwszy doniosłe znaczenie tego skromnego szczegółu ubrania, wymyślił nowy sposób przytwierdzania go do sukni, polegający na tém, że w miejscach odzienia, gdzie wypadają guziki, robił dziurki i wbijał kółka mosiężne, w każdą dziurkę kładł uszko guzika i z tyłu przesadzał zatyczkę.

I tak genialnéj w swojéj prostocie inwencyi sędziowie nie ocenili i nikt nawet patrzéć nie chciał na guzik, ani na jego reformatora!

To humorystyka, to feljeton, nie prawdaż? A jednak posłuchajcie jeszcze kilku słów, zamienionych między autorem a jego przyjacielem, zawołanym wielbicielem wystawy.

— Muszę cię téż kiedy, — rzekł do niego autor — zapoznać z pewnym guzikarzem.

— Guzikarzem?.. Dajże mi spokój z guzikarzami! Ja prezentuję się tylko tym, co wyrabiają maszyny parowe, nie guziki.

Czy w tém zestawieniu potężnéj maszyny parowéj z pokornym guzikiem nie tkwi czasem demokratyczna ironia, przeniesiona ze stosunków żyjącego świata do bezdusznych przedmiotów; czy nie odzywa się w téj odpowiedzi utajona sympatya do „pominiętych?"

III.

Tego, co Prus myśli, i co, jakby przypuszczać można, daje do myślenia, szukać trzeba w jego drobiazgach; zdawałoby się, że i w formie literackiéj umiłował maluczkich i im najchętniéj się zwierza. Niekiedy nie dopowiada; niechże nie ma pretensyi do czytelnika, jeżeli dopowie z bezpośredniego wrażenia. Jest w czterotomowym zbiorze Szkiców drobniutki obrazek: „Na wakacyach“. Dwóch kolegów szkolnych rozmawia z sobą wieczorem na wsi, a jeden z nich, imponujący drugiemu „niewzruszonym spokojem i trzeźwością umysłu“, opowiada mu z zakłopotaniem „głupi wypadek“, który mu się dziś wydarzył.

Zapaliły się konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Chałupa była zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole. Nazbiegało się ludzi lamentujących i nieradnych; nikt nie umiał ratować, a on, oderwawszy się leniwie od interesującego rozdziału Saya, przyszedł po to, żeby stwierdzić, że chata była nie do uratowania. Ale w chacie zostało dziecko, o czém zwiastowały straszne krzyki matki, a tu słoma na dachu już spłonęła i krokwie żarzyły się, jak rozpalone druty.

Należałoby wyratować dzieciaka, a tu takie piekielne gorąco! Już rzucił się naprzód: owionął go żar, dym; dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto, z komina posypały się cegły. Poczuł, że mu się tlą włosy, i cofnął się rozgniewany.

— Co za głupi sentymentalizm, dla garstki ludzkich popiołów, robić z siebie straszydło.

W tém potrąciła go jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszał brzęk wybitych szyb, a gdy wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczył ją w oknie, tak silnie pochyloną do wnętrza, że widać było jéj nieumyte nogi.

Mimo krzyków powstrzymujących „waryatkę“, dziewczyna znikła w dymie, a po chwili, opaliwszy sobie chustkę i trochę włosów, przydźwigała z wysiłkiem na rękach chłopca, który obudził się i wrzeszczał w niebogłosy.

Widzieliśmy już podobne bohaterstwo, uosobione w Michałku, ratującym mularza z pod gruzów zawalonego domu, ale autor nie wydobył tam oświetlenia z kontrastu. Takie oświetlenie bije tu wyraźnie ze słów opowiadającego;

— Chciałem dziewczynie wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl jéj dziki zapał i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia i — taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do

niéj przemówić ani wyrazu. My już tacy!.. dodał, i począł szpicrózgą ścinać rosnące przy drodze badyle

Któż to byli ci, co tak o sobie mówili i o których nawet, jak się zdawało autorowi, krzaki szeptały do koła: „wy już tacy?“ Kto był ów młodzieniec, wstydzący się swego „rozsądnego taktu“ i dla czego, po tém jego opowiadaniu, obaj koledzy, którzy zwykle o téj porze układali plany na przyszłość, zamilkli i już żaden ust nie otworzył?

Prus użył tu, jak to robi często, artystycznego niedomówienia, więc godzić się musi na różne domysły, a między innemi na przypuszczenie, że „na wakacyach“ rozmawiali z sobą przedstawiciele pokolenia, które tak było zajęte czytaniem „interesującego rozdziału Saya“, że się dało wyprzedzić w „dzikim zapale“ bezimiennemu bohaterstwu, nie lękającemu się posądzenia o sentymentalizm. Ten młody człowiek o „trzeźwym umyśle“, to może materyał na Wokulskiego: wstyd jego będzie resztką romantyzmu, niewzruszony spokój—nowym fundamentem pozytywizmu, a życie—szamotaniem się na krawędzi dwóch epok; ale przed tém bohater panowania nad sobą „zorganizuje“ swoje społeczeństwo, całe w niém warstwy zapisze na etat wymarcia, inne wydobędzie odrazu na jaśnię życia, postawi na piedestale, jeszcze innym przeznaczy rolę obserwujących spokojnie i statecznie dziejopisów, filozofów lub narratorów téj ewolucyi. Powstanie ztąd cała literatura z podkładem publicystycznym, a raczéj dziennikarskim, w któréj życie rozważane będzie nie w całości i wszechstronności swoich objawów, nie w swobodnym, szerokim przepływie wielkiém dziejowém łożyskiem, ale, że się tak wyrażę, skanalizowane przez socyologów, kierujących przebieg jego po pewnych wzniesieniach, spadkach i pochyłościach, wytworzonych przez pewne kwestye i zagadnienia bieżące. Człowiek, jako zamknięty w sobie świat psychologiczny, zginie w symbolu warstwy społecznéj; dramat, czy téż komedya życia, stanie się alegoryczną nieledwie akcyą między warstwą ustępującą a wchodzącą na widownię, a wszystko ukształtuje się w samych kontrastach. Kontrasty zaś będą gwałtowne, jaskrawe, krzyczące, i trudno żeby były inne, jeżeli złożą się na nie z jednéj strony cienie, nagromadzone przez gazeciarskich historyozofów przeszłości, z drugiéj migotliwe błyski humorystów teraźniejszości, pomieszane z mieniącém się światłem ogniów bengalskich, które domorosła socyologia rozpali około apoteozy przyszłości.

Wyżyć taką literaturą przez lat dwadzieścia byłoby niepodobieństwem, gdyby się w niéj nie trafiały indywidualności téj siły, co Prus. I u niego oblicza bohaterów, w ten sposób oświetlone, drgają niekiedy grymasem karykatury, a psychologia streszcza się w zapytaniu: jaki jest ich stosunek do tego, co było, co jest i co będzie?

i w jego obrazach życie chwieje się między feljetonem i melodramatem; ale jest w tém talent, zrywający od czasu do czasu pęta komunału, wyzwalający się jednym swobodnym, oryginalnym ruchem z uwięzi szablonu.

Widzieliśmy już, jak dzielnie Prus pochwycił charakterystykę przeciętnego chłopa; niemniéj plastycznie przedstawia się u niego szlachcic. Naturalnie, że ten szlachcic będzie także przeciętnym, bo go inaczéj nie zobaczymy, tylko w zestawieniu z chłopem, a zatém wobec kwestyi społecznéj, w któréj ma odgrywać rolę typu, niknącego z widowni działania; ale bylebyśmy go nie szukali w kronice, gdzie, jako przedmiot jednostajnéj satyry, bywa nieznośnie nudnym, bylebyśmy nie dobadywali się w nim rysów indywidualnych, charakterowych, znajdziemy w opowiadaniach, szkicach, obrazkach i nowellach Prusa parę odmian szlacheckiego typu, pozostawiających na czytelniku wrażenie prawdy i natury.

Klasycznym okazem jest bohater „Staréj bajki“, Furdasiński, dziedzic Furdasówki, szlachcic letkiewicz, utracyusz *bon enfant*, który nie wie nawet, kiedy stopniała mu wioska i jakim sposobem znalazł się na bryczce, wiozącéj go do Warszawy w towarzystwie szpaka, powtarzającego:

— Dyabli wzięli Furdasówkę!

Scena, w któréj chłopi, kupiwszy wioskę, ofiarują dawnemu dziedzicowi pół dworu do śmierci, byle z nimi został, wygląda jak sentymentalny efekt; ale natomiast żywym i prawdziwym wydaje się szlachcic, siedzący ostro na wozie, w sławuckiéj burce, w granatowéj czapce z daszkiem na bakier, czerstwy, wyprostowany i mruczący między jedném a drugiém zaciągnięciem cygara:

— Wszystko na świecie trzeba poznać.

O tych wyjazdach z ojcowizny można powiedzieć, że następują u Prusa po sobie, ale nie są do siebie podobne. Jakże inaczéj w „Sierocéj doli“ przenosi się pan Anzelm z pałacu dziedziców pod strzechę dzierżawcy! Poczciwy był z kościami: ale za wiele czytywał artykułów wstępnych, w których wyrzucano rolnikom ich niedbalstwo, brak nauki i niemyślenie o jutrze. Długie te kazania skruszyły miękkie już z natury serce pana Anzelma. Bijąc się w piersi, głośno wyznawał błędy, które mu wytykano, i odtąd począł się tak uczyć, tak dbać o gospodarstwo i myśléć o jutrze, że nie miał czasu ani zajrzéć do stodoły, ani wyjechać w pole. Ten system gospodarski pana Anzelma opłakane wydał owoce. Długi rosły, dochody zmniejszały się, aż w końcu zacny facecyonista, dla zaspokojenia wierzycieli i pozostawienia dzieciom uczciwego nazwiska, sprzedał swój duży majątek, a wziął się do kilkowłókowéj dzierżawy.

Przenosiny opisane są z przejmującą melancholią.

„Na folwarku pojawili się ludzie obcy, a pod ganek zajechała wielka landara. Przeżegnawszy się kilkakrotnie, wygnańcy poczęli wsiadać. Gdy furman strzelił z bata i konie ruszyły, pan Anzelm nagle zawołał:

— Zaczekaj no!

„Wyskoczył z landary i wbiegł znowu do pustego dworu. Po chwili zobaczono go w kancelaryi, w pokoju dziecinnym, w salonie... Zdawało się jakby czegoś szukał; może szczęścia, które go opuściło?.. Ktoś bliżej stojący słyszał, że pan Anzelm coś mówił: może być, że zapraszał cienie przodków, aby opuściły dotychczasową swoją siedzibę i przeniosły się z nim pod inny dach.

„Panu Anzelmowi tymczasem zdawało się, że z gładkich obnażonych ścian wyrastają niewidzialne ramiona, aby go pobłogosławić i uścisnąć na drogę. Wówczas uczuł, że się ztąd nie wyrwie, chciał bodaj umrzeć w tych uściskach; ale przyszły mu na myśl dzieci — więc wrócił do landary i kazał jechać".

Prawdziwą ucieczką jest wyjazd z domu pana Jana, ojca „Anielki". Człowiek lekkiego serca, gotów najważniejszy interes opuścić dla rozrywki w towarzystwie ludzi dobrego tonu i wyrzec się Bóg wie czego, dla uniknięcia przykrości, miał od dzieciństwa to przekonanie, że wszystko zrobi się bez jego udziału, że ludzie jego stanowiska nie mogą nurzać się w pracy i poziomych kłopotach i był „słabym pływakiem, umiejącym tylko kłaść się z wdziękiem na fali wypadków". W tej wygodnej postawie strwonił własny i żony majątek i łudził się, że go jakiś traf niespodziany wywikła z dławiącej do ostatka sprawy serwitutów; kiedy zaś zawiodły go wszystkie marzenia o wydobyciu się z sytuacyi, przy pomocy błogosławionego „jakoś to będzie"—ucieka, nie dla tego, aby opuścić dzieci, żonę wepchać w rozpacz, ale— aby uniknąć przykrego dla siebie położenia".

Żal jego za tem, co zostawia, jest uczuciem nie ojca, męża, ale estetyka, żegnającego się ze ślicznem miejscem, gdzie *jemu* było dobrze i wygodnie.

Turkot powozika otrzeźwił pana Jana z artystycznéj zadumy. Dziedzic schwycił walizkę z papierami i wyszedł machinalnie, nie patrząc za siebie.

Na ganku spotkał Anielkę.

— Tatko wyjeżdża?

— Na kil... na kilkanaście godzin — rzekł, całując ją.

Siadł do powozu. Zdawało mu się, że za chwilę runie dom pozostałych w nim zagrzebie.

— Jedź!

— Do widzenia, tatku!

— Andrzej jedź!

Konie ruszyły, aż dziedzic uderzył głową o tył powozu. Dwór znikł. Już mijają budynki, już są w alejach, już wszystko minęli. Pan Jan odetchnął.

— Mój kochany—rzekł do furmana—ściągnij lepiéj cugle, ażeby konie tak łbów nie zwieszały. Wyglądają jak fornalskie!

Co za rys wyśmienity!

Te trzy sceny wystarczą do scharakteryzowania trzech ludzi. Może to nie są ludzie całkowici; może każdy z nich po za sytuacyą zasadniczą, w któréj świetle Prus ich przedstawia, miałby jeszcze czytelnikowi to i owo do powiedzenia; ale w charakterze zbankrutowanych szlachciców, Furdasiński jest przepysznym okazem niefrasobliwego, pełnego fantazyi lekkoducha, pan Anzelm uosabia typ uczuciowego niedołęgi, a pan Jan przedstawia wzorowy egzemplarz wykwintnego samoluba. Za wspólny komentarz do wszystkich obrazów mógłby posłużyć epilog ucieczki pana Jana.

Przed chatą, obok drogi stojącą, jakaś matka bawiła drobnego syna. Ujrzawszy powóz, posadziła dziecko na kolanie, jak na koniku, i przytupując mówiła:

— Tak pan jedzie, po obiedzie, sługa za nim ze śniadaniem... Tak chłop! tak chłop!

Nie jestże to *pendant* do owego kontrastu pana w „Placówce“, sprzedającego folwark podczas mazura, i chłopa, który woli cierpieć nędzę, aniżeli oddać Niemcom piaszczysty pagórek z sosenką na wierzchu?

Ton, w którym Prus trzyma te antagonizmy społeczne, jest łagodny, pogodny, prawie uśmiechnięty; zdawałoby się, że natura, znając swój wpływ na obserwatora, działa kojąco i zaciera wszystkie ostre kontury. Przeniesione na scenę miejskiego życia, te przeciwieństwa jaskrawieją, występują w barwach bardziéj od siebie odskakujących, które zaraz i z największą łatwością układają się w melodramatyczne efekta.

Takim melodramatem jest „Powracająca fala“, oparta na stosunku fabrykanta do robotnika, odgrywającego w mieście tę samą rolę, co na wsi stosunek szlachcica do chłopa. Uosobienie potęgi kapitału, niemiec Adler, ze swoją herkulesową postawą, z żelazną energią, nieubłaganą jak siła maszyn, nad któremi przewodzi, byłby bardzo imponującą figurą, gdyby nie komplikacya psychologiczna, sztucznie a niezręcznie wikłająca tę naturę z jednéj sztuki. Że milioner dzisiejszy, dorobiwszy się olbrzymiéj fortuny krwawą pracą, opancerzył się w taką samą obojętność na zabójcze téj pracy wysiłki, jakiéj

sam niegdyś od innych doznawał; że wyzyskuje robotników drapieżną logiką odwetu za wyzysk, którego sam bywał ofiarą — to go stawia odrazu na gruncie prawdy życiowéj. Niemniéj jest realnym w wyłączności swego przywiązania do syna niciponia, eskontującego zagranicą ojcowskie miliony; tak się dzieje — i Prus scharakteryzował tu wybornie stosunek starszego pokolenia przemysłowców, które mozoliło się przez całe życie, do młodszéj generacyi, która w próżniactwie myśli tylko o roztrwonieniu owoców tego mozołu. Co jest w téj psychologii Adlera kombinacyą raczéj, niż obserwacyą, to skapitalizowana razem z fortuną żądza użycia w starości bogactw na śnione w młodych latach rozkosze. Wprawdzie Adler ostrożnie zastrzega sobie w swoich marzeniach rolę widza, ale niemniéj osobliwie wygląda ten ojciec, który gromi syna za to, że długów narobił, a czyta z rozkoszą jego opisy o „kankanie tańczonym w tysiąc par w przebogatych salonach paryzkich, o kobietach kąpanych w szampanie“ i jednego tylko pragnie: zebrać milion rubli gotówką, sprzedać fabrykę i z całą masą pieniędzy wyjechać w świat—razem z jedynakiem.

— On będzie używał, a ja będę patrzył po całych dniach.

Mimo ten fałszywy apetyt *jeune père'a*, Adler rysuje się w pierwszéj połowie nowelli świetnie wraz z całém otoczeniem fabrycznego świata, na którego tle pierwsze sceny dramatu poprowadzone są artystycznie. Współcześnie z pryncypałem najzdolniejszy w fabryce robotnik, Gosławski, dążył również do urzeczywistnienia swego ideału—do własnego warsztatu. Ale żeby jeden mógł jaknajprędzéj użyć nagromadzonych kapitałów, drugi musiał jaknajdłużéj pracować za najtańsze pieniądze, dopóki zgorączkowanemu bezsennością robotnikowi maszyna nie urwała ręki. Od tego punktu zwrotnego wszystko przybiera koloryt jaskrawego melodramatu; śmierć Gosławskiego, spowodowana brakiem lekarza, którego pryncypał oddalił, zaprowadzając oszczędności na spłatę długów syna; śmiertelny pojedynek młodego Adlera, wywołany protestem opinii przeciwko bezwzględnoci fabrykanta; rozpacz ojca nad trupem jedynaka i jego szaleństwo — wszystko to ma w efektach pewną teatralność.

— Gdybym mógł objąć wszystko, mówi stary fabrykant, zdusić, rzucić na ziemię i skopać nogami, o tak, o!... Zdaje mi się, że czekam na pogrzeb całego świata i tylko słucham, rychło uderzą w jaki wielki dzwon, od którego głowa mi pęknie. Zginie cały świat i ja w nim.

Jest tu tyle właśnie fałszywego patosu w słowach, ile dekoracyjności w końcowym opisie wznieconego przez Adlera pożaru, na którego tle „olbrzymi cień“ fabrykanta ukazywał się coraz gdzieindziéj, znikał i, wśród piekielnego łoskotu, deszczu iskier, obłoków

dymu, nad powodzią płomieni, poruszał się spokojnie, bez pośpiechu, dopóki nieugięty wyznawca walki o byt nie przywalił się dobrowolnie gruzami zebranych w ciągu kilkudziesięciu lat milionów.

Do całości obrazu naszego życia społecznego, malowanego w samych przeciwieństwach socyalnych i kontrastach artystycznych, do historyi upadku jednych warstw, a dźwigania się drugich, przedstawionéj w stosunku szlachcica i chłopa, fabrykanta i robotnika, brakowało jeszcze antagonizmu arystokracyi rodowéj i inteligencyi mieszczańskiéj; temu poświęcił Prus największą swoją, bo trzytomową, powieść. Takie zestawienie dwóch arystokracyi, odbywające się pod demokratycznem hasłem, byłoby dość zwykłym motywem, gdyby mu pewnéj oryginalności nie dodawał rys odporności społeczeństwa w obec wybijającéj się nad strychulec inteligencyi. Inteligencya szamoce się, według Prusa, od najmłodszych lat w więzach przesądów towarzyskich, konwencyonalnéj obłudy i form bezmyślnych. Jest to rodzaj walki głuchéj, niewyraźnéj i szpilkowéj, kiedy ją bezwiednie, jak w „Sierocéj doli“, prowadzi dziecko, zmuszone z całém swojému zdolnieniem ustąpić dwom pańskim hebesom, z którymi „dobroczynni ludzie“ kształcą go z litości; lub ciężkiego borykania się z modą, rutyną, obojętnością i blagą, gdy wśród nich „Orfeusz w niewoli“, może wielki talent, traci skrzydła do lotu; albo tragicznych zapasów z zawiścią i głupotą, kiedy ofiarą pada przerastająca tłumy, dojrzała wartość umysłowa. We wszystkich tych dramatach ze świadomością, czy też bez wiedzy głównych w nich aktorów, odzywa się nuta żalu do społeczeństwa, marnującego siły, których się nawet nie domyśla; poczucie wyższości rośnie od instynktu do zupełnego, całkowitego przeświadczenia i wydaje takiego téj prentensyi rzecznika, jak bohater „Lalki“ Wokulski.

IV.

Jest to człowiek przejściowy—wielka pokusa dla każdego pisarza, opierającego twórczość swoją na gruncie społecznym. Uległ więc téj pokusie i Prus, a uległ po swojemu, upraszczając sobie naturę swego bohatera według formuł, sporządzonych przez publicystykę, która lat temu kilkanaście nadawała ton całéj literaturze. „Romantyk z przed roku sześćdziesiątego i pozytywista z siedmdziesiątego“ ot i definicya gotowa. Jest tylko w téj nadzwyczajnéj prostocie określenia wielkie niebezpieczeństwo: człowiek może zniknąć pod definicyą, a psychologia jego będzie przypominała scenerye z szekspirowskiego teatru z napisami na deskach „las—miasto“. Wokulski tak

samo wygląda. „Teraz mówi romantyk,—zdaje się objaśniać autor,— a teraz działa pozytywista“. Do czynów poprzyczepiane są wyraźnie etykiety, a kolejne ich po sobie następstwo stanowi charaktek bohatera. Niechby tak zresztą było; niechby dusza tego bohatera miała podobieństwo do pierwotnego teatru, byleśmy rozumieli, co się w niéj dzieje, byleby owe napisy wyobrażały istotnie krainy myśli i uczuć, na których tle rozwijać się ma akcya dramatu. Otóż nic bardziéj mglistego, niewyraźnego, nieokreślonego nad ten romantyzm i ten pozytywizm Wokulskiego; nic chwiejniejszego i bardziéj zawodnego nad granicę, oddzielającą niby dwie epoki w życiu społeczeństwa, nad linię, według któréj przełom w tém życiu następuje.

Człowiek przejściowy istnieje dla każdego prawie nowego pokolenia, każdéj niemal generacyi zdaje się, że patrzy na jakiś przełom. Do końca dziewiętnastego wieku brakuje jeszcze dziesięciu lat, a od dwunastu wyrażenie „koniec stulecia“ nie schodzi z ust całéj Europy, inne co rok przybierając znaczenie. Sienkiewicz także napisał historyę „człowieka przejściowego“, a jakaż przepaść dzieli Wokulskiego od Płoszowskiego, którego historyczna i literacka metryka wykaże zaledwie jakiś dziesiątek lat starszeństwa!

Trzeba więc wielkiéj bystrości w badaniu kierunku osobnych prądów, wpadających w daném chwili do oceanu życia, które płynie, bądź co bądź, jedną olbrzymią, nieprzerwaną falą; trzeba niezmiernie wrażliwego poczucia komplikacyi w naturze nowożytnego człowieka, ażeby oznaczyć, gdzie się owo przejście zaczyna, gdzie kończy, jaką przestrzeń ogarnia i na jakiéj miedzy stanąć ma człowiek, przeznaczony na wyobraziciela tego, co się kończy, i tego, co się zaczyna.

Prus ze swojém uzdolnieniem do obserwowania dusz i stosunków prostych, ze swojém matematyczno-socyologiczném upodobaniem do upraszczania wszelkich zawikłań psychologicznych i społecznych, oznaczył w charakterze swego bohatera dwa punkta wytyczne: romantyzm i pozytywizm, i według nich kazał oryentować się czytelnikowi. Mniejsza o to, powiemy znowu; niechby sobie tak było; zapóźniony romantyk w dobie pozytywnéj jest typem bardzo realnym i może być nader interesującym; tylko trzeba naprzód wiedzieć, jak autor pojmuje działające w duszy bohatera, na przemian, czy też współcześnie, romantyzm i pozytywizm, jak mu się te pojęcia wcielone w życiu praktyczném przedstawiają?

Tu dopiero rozpoczynają się między autorem i czytelnikiem nieporozumienia, o które zresztą winić Prusa niéma powodu, początek ich bowiem sięga do owéj chwili, kiedy w około niego przebudowywano społeczeństwo od podstaw, a on zakładał fundamenta pod swoje obserwatorynm.

Nic najprzód fałszywszego nad punkt wyjścia téj organizującéj publicystyki, która, chełpiąc się ze swego, na faktach opartego, krytycyzmu, zawarła psychologię całego pokolenia w dwóch wierszach Mickiewicza i z nich urobiła duszę poprzedzającéj generacyi, zamknąwszy oczy na dzieje, choć te zwolennikom faktów faktów również dostarczyć mogły. Jeżeli „mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił“ miało być hasłem romantyzmu, to romantykami byliśmy od wieków, i rys ten charakteru narodowego, zasadniczy nie przygodny, nie potrzebował na objawienie się w życiu czekać literackiej szkoły, a stwierdzenie go przez Mickiewicza było tylko jednym dowodem więcéj geniuszu poety. Przypuśćmy, że nam ten rys wielokrotnie i bardzo zaszkodził, to obarczać klątwą szkód poniesionych poezyę pewnéj danéj doby jest nietylko jednym z tych tanich, powierzchownych frazesów, któremi wojowały przed dwudziestu laty gazeciarskie krytyczne trybunały, ale niesprawiedliwością, tém widoczniejszą dziś, kiedy najzagorzalsi krytycy, o ile są w dobréj wierze, zaczynają się przekonywać, że jeżeli romantyzmem w życiu miała być skłonność do powodowania się w społecznych stosunkach bezinteresownością i szlachetnemi popędami, a w publicznych czcią dla wielkich cywilizacyjnych ideałów, to w czasach, kiedy naokoło nas, w całéj Europie, wszyscy przed pięścią czoło chylili, my jedni, dzięki naszemu romantyzmowi, byliśmy coś warci.

Zanim jednak pojęcie romantyzmu odbyło taką ewolucyę, wyrazu samego nadużyto do tego stopnia, że niéma niedorzeczności, któréjby pod tę definicyę nie podsunięto. Podobnie jak wszystkie nędzne wiersze rzemieślniczych rymarzy musiał na swój rachunek przyjąć literacki romantyzm, tak wszystkie głupstwa, absurda, niedołęstwa, popełniane przez wszelkiego gatunku ślamazarnych mazgajów, szły na karb romantyzmu życiowego; nie przesadzimy, streszczając się w słowach: że była chwila, kiedy romantyk i idyota znaczyło jedno i to samo.

Czy dokładniejszą zdawano sobie sprawę co do znaczenia praktycznego pozytywizmu? Rzecz dziwna, że nie; choć ci, co go stworzyli, powinni byli przecież najlepiéj wiedzieć, czego chcieli. Ostrożniejsi ostrzegali, że nie jest to żadna filozofia życiowa, lecz po prostu krytyczna metoda badania; odważniejsi, posunąwszy się daléj na grunt etyczny, lawirowali między egoizmem a altruizmem; fanatycy, idąc za przykładem literatury, rozdawali dyplomy doskonałości inżynierom, przyrodnikom, choćby lekarzom, ale krzyczeli w niebogłosy, kiedy Narzymski napisał „Pozytywnych“, to jest, odmówiwszy romantyzmowi w praktycznem zastosowaniu wszelkich stron dobrych, podniosłych, piorunowali przeciwko tym, którym się zdawało, że moralność, oparta

na katechizmie interesu osobistego, na walce o byt, na zasadzie „biada słabym, zwycięstwo silnym“, na doborze płciowym, może mieć swoje złe strony, i z postępem czasu doprowadzić każde społeczeństwo do stanu zdziczenia.

Wystawmy sobie teraz kombinacyę, a raczéj bezładną mieszaninę tych dwóch pojęć, w których sferze nietylko niéma nic pewnego, jasnego, dokładnie określonego, ale panuje najzupełniejszy chaos, odmęt,—a będziemy mieli Wokulskiego.

Kiedy Wokulski działa, jako romantyk? kiedy, jako pozytywista?— o tém nawet owe szekspirowskie napisy dokładnie czytelnika nie objaśniają; to tylko pewna, że ani razu nie działa, jak człowiek żywy, niezaopatrzony żadnym nagłówkiem legitymacyjnym.

Jeżeli z rozproszonych rysów fantastycznej, zygzakowatéj psychologii Wokulskiego sprobujemy złożyć fizyognomię, odpowiadającą choćby w czémkolwiek typowi ówczesnego przejściowego pokolenia, przedstawi nam się skwaśniały malkontent, kończący tragiczną śmiercią zrozpaczonego. Niezadowolonym zrobił go pozytywny krytycyzm, odsłaniający same tylko ciemne strony społeczeństwa, którego Wokulski jest synem; do rozpaczy doprowadziła go romantyczna pogoń za szczęściem osobistém w miłości—wszystkiemu zaś winien ów nienasycony ogół, dla którego ciągłych od niego żądają poświęceń.

— A dajcież mi raz spokój z tym waszym ogółem! — woła gniewnie Wokulski, uderzając pięścią w stół. — Co ja robiłem dla niego, o tém wiem, ale cóż on zrobił dla mnie? Więc nigdy nie skończą się wymagania ofiar, które mi nie dały żadnych praw?... Uszami wylewają mi się frazesy, których nikt nie wypełnia. Tysiące próżnują, a jeden względem nich ma obowiązki. Czy słyszano coś potworniejszego?

Zapewne — warto więc zobaczyć, co dla tego natrętnego ogółu zrobił Wokulski, i jakie są zobopólne między jednym a drugim rachunki.

Najprzód tedy zwiedził Irkuck, co mogło być chwilami mniéj przyjemném, ale miało widocznie i swoje praktyczne strony, skoro podróżnik mimo chęci zawiązał tam stosunki, które następnie opłaciły mu się w sposób bardzo pozytywny. Później znów dla dobra ogółu, a niemniéj w chęci pozbycia się skóry romantyka, ożenił się z wdową swego pryncypała i zdobył tą drogą pożądaną podstawę pieniężną do „pracy organicznéj“. Wreszcie, rozkochawszy się po śmierci żony, jak żak, w szlachciance, dla zrównania majątkiem różnic społecznych jedzie do Bulgaryi i tam miliony na dostawach dla wojska zarabia, godząc *utile dulci*, pozytywizm z romantyzmem, przeplatając westchnienia Romea szacherkami *artelszczyka*. Naturalnie, że

ogół skorzysta także z tych milionów — przybędzie mu spółka do hadlu z cesarstwem, na któréj się nie pozna, i za to wszystko jakże się wywdzięczy swemu bohaterowi? oto nie da mu ukochanéj kobiety, pod pozorem, że ona arystokratka, a on kupiec, odepchnie go od szczęścia w imię swoich przesądów, konwenansów i obłudnych form towarzyskich.

To też nie odmawia sobie Wokulski satysfakcyi spoglądania z góry na ten ogół i wymawiania mu w krótkich, lapidarnych formułach, jego niedołęztwa, niezaradności, a chwilami okazania pogardy dla czczych pozorów, którym hołduje.

Oto idzie po marmurowych schodach domu hrabiowskiego, w którym ma spotkać swój ideał. Na pierwszéj kondygnacyi miał kapelusz na głowie, na drugiéj zdjął go, nie wiedząc, czy robi stosownie, czy niestosownie.

„W rezultacie mógłbym między nich wszystkich wejść w kapeszu na głowie—rzekł do siebie, a widząc, że lokaj zostawił go samego, dodał z gniewem:

„Jakiemi-to oni formami obwarowali się, co? A... gdybym mógł to wszystko zwalić!...

I przywidziało mu się w ciągu kilkunastu sekund, że między nim, a tym czcigodnym światem form wykwintnych, musi się stoczyć walka, w któréj albo ten świat runie, albo on zginie.

„Więc dobrze, zginę.. Ale zostawię po sobie pamiątkę!..

„Zostawisz przebaczenie i litość“—szepnął mu jakiś głos.

— Czyżem ja aż tak nikczemny?

„Nie, jesteś aż tak szlachetny“.

I to wszystko dlatego, że zdjął na schodach kapelusz i że lokaj poszedł go zameldować!

Człowiek, tak dobrze o sobie trzymający, nie zawaha się naturalnie odpowiedzieć ojcu kobiety, którą kocha, na jego niedorzeczną zresztą uwagę: „że arystokracya nie jest bynajmniéj tak straszną“,

— Panie Łęcki, w moim namiocie pod Plewną bywali więksi panowie.

— A... a!... szepnął pan Tomasz i ukłonił mu się. Wokulski zdumiał się.

„O to fagas!—przemknęło mu się przez głowę.

Wobec prawdy życiowéj, ten ukłon wart tego wykrzyknika; ale skoro już spotkali się zsobą, taki arystokrata z takim demokratą, dlaczegóż Wokulski nie miał jeszcze na obiedzie u swego domniemanego teścia, z fanatyzmem reformatora, zaatakować sandacza nożem i widelcem, jeżeli to mu dało sposobność napomknięcia, że „widywał bardzo dystyngowanych lordów, którzy baraninę z ryżem jedli

palcami, a rosół pili prosto z garnka". Ten kapelusz na głowie i ten nóż na talerzu, — to przecie epizody z walki, w której „albo ów świat runie, albo on zginie!"

Nagrodą walki ma być Chimena; — ale Chimena, która rycerzowi romantyzmu pozwoliła nosić swoje barwy, oszukuje go z pierwszym lepszym.

Nie będziemy kruszyli kopii za pannę Izabellę. Gdyby istotnie istnieć mogła, nawet w swoim świecie, byłaby niewiele wartą; jako literacka kombinacya, jeszcze mniéj ma wartości. Z początku, rodzaj feuilletowskiéj *belle au bois dormant*, żyjącéj w świecie pięknym, nadludzkim, nadnaturalnym, sypiającéj w puchach, odziewającéj się w cenne tkaniny i hafty, siadającéj na wyścielanych hebanach lub palisandrach, pijącéj z kryształów, jadającéj ze srebra i porcelany, kosztownéj jak złoto, słowém w świecie wiosny, gdzie szeleściały jedwabie, rosły tylko rzeźbione drzewa, glina pokrywała się artystycznemi malowidłami, a mieszkali specyalnie księżniczki i książęta, hrabianki i hrabiowie, tudzież bardzo stara i majętna szlachta obojéj płci, — późniéj przekształca się w pospolitą „samicę", jak ją sam bohater nazywa, zapominającą w zapędach ordynarnéj kokieteryi nawet o przepisach dobrego wychowania, które wzbraniają w *jéj* sferze rozmawiać w obcym języku przy kimś, kto go nie rozumie, lub o zasadach prostéj uczciwości, które nie pozwalają jadącéj z narzeczonym całować się w tym samym wagonie z innym mężczyzną. Nie bronimy więc panny Izabelli, ale wolno nam postawić pytanie: z czego właściwie podobać się jéj mógł Wokulski?

Wie o jego niezbyt idealnym ożenku. Wprawdzie sama gotowa sprzedać się za pieniądze, ale ona jest tylko słabą kobietą, a on silnym mężczyzną. Natomiast nie wie, że dla niéj pojechał do Bulgaryi — bo gdyby wiedziała, zaimponowałoby jéj nie tyle poświęcenie, dość problematyczne, ile stanowisko, które w namiocie jego pod Plewną zgromadzało samych wielkich panów. Wie, że, świadomy ich krytycznego położenia, kupił fortelem, mozolnie raczéj niż zręcznie obmyślanym, serwis jéj i srebra, i że następnie przepłacił na licytacyi dom ojca, byle tylko sumę posagową uratować, słowém, że stara się o nią środkami, jakichby użył pierwszy lepszy bankier dla zdobycia pierwszéj lepszéj kokoty; za to o spółce do handlu z cesarstwem nie wie nic więcéj nad to, co autor czytelnikowi powiedział, — to jest bardzo mało. Wobec tego bilansu rzeczy wiadomych i niewiadomych, który pannie przedstawia Wokulskiego, jako nieprzyjemnego aroganta, kokietującego niezgrabnie swoją demokracyą, można, nie będąc nawet pannną Izabellą Łęcką, nie domyślać się innego Wokulskiego, jeżeli się nie słyszy, czy nie czyta jego monologów.

Wartość Wokulskiego tkwi w monologach, które są piękne i w których nietylko Wokulski oddaje sprawiedliwość Wokulskiemu, nietylko pozytywista krytykuje romantyka a romantyk nazywa pozytywistę „świnią“, ale i czytelnik znajduje materyał do rozmyślań na temat: „jednakże ten Wokulski byłby niepospolitym człowiekiem, gdyby to wszystko robił, o czém tak ładnie mówi“.

Jeżeli tego nie robi, to dlatego, że, jak sam powiada, jest w nim dwu ludzi: jeden zupełnie rozsądny, drugi waryat. „Który zwycięży?.. ach, o to się już nie troszczę. Ale co zrobię, jeżeli wygra ten mądry? Cóż to za okropna rzecz, posiadając wielki kapitał uczuć, złożyć go samicy innego gatunku: krowie, gęsi, albo czemuś jeszcze gorszemu... Cóż to za upokorzenie, śmiać się z tryumfów jakiegoś byka albo gąsiora, a jednocześnie płakać nad własném sercem, tak boleśnie rozdartém, tak haniebnie podeptaném?“

Krowa, gęś, albo coś jeszcze gorszego—to panna Izabella; Wokulski nie ma pod tym względem żadnych złudzeń, jeżeli zaś musi płakać nad własném sercem, zawdzięcza to tylko poezyi, a szczególniéj Mickiewiczowi.

Jest w Paryżu po swojéj katastrofie miłosnéj i boleśnie nad nią w hotelu medytuje. — Wtém wzrok jego machinalnie padł na stół, gdzie leżał niedawno kupiony Mickiewicz. Bierze książkę do ręki, czyta i czuje łzę pod powieką.

— Zmarnowaliście mi życie moje. Zatruliście dwa pokolenia...— szepnął.—Oto skutki waszych sentymentalnych poglądów na miłość...

Złożył książkę i cisnął nią w kąt pokoju, aż rozleciały się kartki. Książka odbiła się od ściany, spadła na umywalnię i ze smutnym szelestem stoczyła się na podłogę.

— Dobrze ci tak! tam twoje miejsce..—myślał Wokulski.— Bo któż to miłość przedstawiał mi, jako świętą tajemnicę? Kto nauczył mię gardzić codziennemi kobietami, a szukać niepochwytnego ideału?.. Miłość jest radością świata, słońcem życia, wesołą melodyą w pustyni, a ty co z niéj zrobiłeś?... Żałobny ołtarz, przed którym śpiewają się egzekwie nad zdeptaném sercem ludzkiém!“

I to mówi człowiek, który w młodości, kiedy prawdopodobnie najwięcéj czytał Mickiewicza, ożenił się ze starą babą dla pieniędzy; mówi w Paryżu, gdzie literatura erotyczna zakaża myśl, gangrenuje serce i obezwładnia wolę najtęższych jednostek, a mówi o największym poecie, który, przebywszy tragedyę indywidualnych uczuć, umiał pogrzebać osobiste szczęście i na grobie jego własną ręką napisać: „umarł Gustaw, narodził się Konrad!“

— Jeżeli poezya zatruła twoje życie,—nasuwa się daléj Wokulskiemu pytanie,—to któż zatruł ją samą, i dlaczegóż Mickiewicz za-

miast śmiać się i swawolić, jak francuscy pieśniarze, umiał tylko tęsknić i rozpaczać? Bo on tak, jak ja, kochał pannę wysokiego urodzenia, która mogła stać się nagrodą nie rozumu, nie pracy, nie poświęceń, nawet nie geniuszu, ale ... pieniędzy i tytułu. Biedny męczeniku! tyś oddał narodowi, coś miał najlepszego, lecz cóżeś winien, że, przelewając w niego własną duszę, razem z nią przelałeś cierpienia, jakiemi nasycali ciebie? Nie dość, że byleś umęczony przez nich, ale jeszcze miałbyś odpowiadać za ich występki? To oni winni, oni, że twoje serce, zamiast śpiewać, jęczało, jak dzwon rozbity".

Oni... to szlachta, szlachta, która umęczyła Mickiewicza... i Wokulskiego. Szczególne zaiste zbliżenie, charakteryzujące ludzi i czasy. W tym samym Paryżu, gdzie ów umęczony przez szlachtę Mickiewicz pisał „Pana Tadeusza", rozpoczynając go od słów... „ty jesteś jak zdrowie", w jakieś czterdzieści lat później, „zatruty" jego poezyą, Wokulski, tak sobie, leżąc na kanapie, rozmyślał:

„Szczególny kraj, w którym od tak dawna mieszkają obok siebie dwa całkiem różne narody: arystokracya i pospólstwo. Jeden mówi, że jest szlachetną rośliną, która ma prawo ssać glinę i mierzwę, a ten drugi albo przytakuje dzikim pretensyom, albo nie ma siły zaprotestować przeciw krzywdzie.

„A jak się to wszystko składało na uwiecznienie monopolu jednéj klasy i zdławienie w zarodku każdéj innéj! Tak silnie wierzono w powagę rodu, że nawet synowie rzemieślników i handlarzy, albo kupowali herby, albo podszywali się pod jakieś rody szlachetne. Nikt nie miał odwagi nazwać się dzieckiem swoich zasług, a nawet ja, głupiec, wydałem kilkaset rubli na kupienie szlacheckiego patentu. I ja miałbym tam wracać?... Po co?... Tu przynajmniéj mam naród, żyjący wszystkiemi zdolnościami, jakiemi obdarowano człowieka. Tu naczelnych miejsc nie obsiada pleśń podejrzanéj starożytności, ale wysuwają się na przód istotne siły: praca, rozum, wola, twórczość, wiedza, nawet piękność i zręczność, a nawet choćby szczere uczucie. Tam zaś praca staje pod pręgierzem, a tryumfuje rozpusta! Ten, kto darabia się majątku, nosi tytuł sknery, kutwy, dorobkiewicza; ten, kto go trwoni, nazywa się hojnym, bezinteresownym, wspaniałomyślnym... Tam prostota jest dziwactwem, oszczędność wstydem, uczciwość równoznaczy z obłędem, artyzm symbolizuje się dziurawemi łokciami. Tam, chcąc zdobyć miano człowieka, trzeba posiadać albo tytuł z pieniędzmi, albo talent wciskania się do przedpokojów. I jabym tam miał wracać?"

Ten-to kraj „dziwny" ma na sumieniu taką, jak Wokulski, indywidualność.

„Czém ja jestem?—pytał się nieraz bohater i stopniowo formułował sobie odpowiedź: Jestem człowiek zmarnowany. Miałem ogromne zdolności i energię, lecz — nie zrobiłem nic dla cywilizacyi. Ci znakomici ludzie, jakich tu spotykam, nie mają nawet połowy moich sił i, mimo to, zostawiają po sobie machiny, gmachy, utwory sztuki, nowe poglądy. Lecz co ja zostawię?“...

Wczytując się w te refleksye, nie podobna uniknąć nastręczających się uporczywie zestawień. Dwa typy człowieka przejściowego ukazały się w ostatnich czasach w naszéj literaturze powieściwéj: Płoszowski i Wokulski. Obaj wiele mówią o sobie i rozbierają swoją wartość. Przy powierzchownem porównaniu, zdawałoby się nawet, że Prus popełnił pewien anachronizm, wyposażając swego bohatera analityczną świadomością wewnętrznych procesów duszy, która stanowi charakterystyczną cechę natur nowożytnych z ostatniéj doby, u schyłku stulecia. Między dwoma ludźmi przejściowymi kapitalna jednak istnieje różnica: Płoszowskiemu dyktuje zwierzenia samokrytyka, Wokulskiemu—samowochwalstwo; przedstawiciel arystokracyi kultury jest skromny, od reprezentanta demokratycznéj cywilizacyi bije próżność; obaj są bez jutra, ale jeden wie, że sam temu winien, i to jego przeświadczenie może być tragicznem, drugi oskarża o to wszystkich i wszystko, prócz siebie, i ta jego pretensya, w najlepszym razie, nic nikogo nie interesuje. Płoszowski przyznaje się po prostu do nieudolności życiowéj, Wokulski mówi wyniośle o swoim kraju: „w téj strefie nie dojrzewają ani pewnego gatunku rośliny, ani pewnego gatunku ludzie“, - wyobrażając sobie jednocześnie, jakby to było, gdyby, zamiast w Warszawie, przyszedł był na świat w Paryżu.

I myli się—co do gatunku i co do strefy.

Ludzie jemu podobni dojrzewają wszędzie i nigdzie nic po sobie nie zostawiają, bo, mierząc własną wartość swoją pychą, według jéj wymagań regulują stosunek do społeczeństwa, wśród którego żyją. Życie im schodzi nie na istotnéj pracy, tylko na obliczaniu tego, coby im ogół za tę pracę płacić powinien; w buhalteryi są mocni, brak im tylko miłości dla tych, którym służą. Do takiego właśnie obfitego zawsze gatunku ludzi „zapoznanych“, „niedocenionych“, „zmarnowanych“, należy Wokulski. Jest w jego wyrzekaniach i obrachunkach coś sklepikarskiego. Ten romantyk, który na swoim romantyzmie niezgorzéj wyszedł, nie chce rozumieć, że służyć bogatemu za sute wynagrodzenie potrafi każdy,—a tylko człowiek z sercem oddaje pracę swoją tam, gdzie jest tak biednie, tak ubogo, że się zapłaty spodziewać nie można. Ten demokrata, oburzający się na swój kraj, że w nim nikt nie ma odwagi nazwać się dzieckiem swoich zasług, nie spostrzega się, że sam znajduje się na drodze do arystokracyi, bo jest

dumny nie z własnych dzieł, któremi nie ma się co chwalić, tylko z tego, że jest synem intelligencyi, mającéj także rodowe tradycye i zapas nagromadzonych zasług. Ten plebejusz, chełpiący się swojém pochodzeniem, zapomina, że tylko wśród społeczeństwa, które się prawdziwie, gorąco, bez zastrzeżeń kocha, można, godzi się i trzeba być owym latarnikiem, co to zawsze, „czy wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży się lipcowa burza, czy szaleją rozhukane jesienne wichry, czy kłębią się zimowe śniegi—uwija się o z mroku z drobnym płomykiem nad głową, roznieca światło, a potém znika, jak cień".

Nie umiał nim być Wokulski i obwinia o to — strefę. A przecież spotkanie z Geistem w Paryżu powinno było nauczyć go, jak względném pojęciem jest ta strefa.

Geist należy do galeryi marzycieli-wynalazców, do których Prus szczególne ma upodobanie. Spotykamy tych maniaków kilkakrotnie: to w postaci „pominiętego" wystawcy, twórcy uproszczonych guzików; to w skórze Hoffa, pracującego nad maszyną „która ma zastąpić lokotywy, młyny i wszystko", („Pałac i ruderа"); to w osobie Ochockiego, rozmyślającego nad kierowaniem balonów; to wreszcie jako odkrywcę metalu lżejszego od wody.

Ten Geist, hoffmanowskie widziadło, opowiada Wokulskiemu, że niegdyś nazywano go wielkim chemikiem, dopóki nie wyszedł po-za granicę dziś obowiązujących poglądów chemicznych. Ale od czasu, gdy odkrył zjawiska, nie mieszczące się w rocznikach akademii, ogłoszono go nietylko za waryata, ale za zdrajcę.

— Tu, w Paryżu?—szepnął Wokulski.

— Tu, w Paryżu,—roześmiał się Geist,—gdzie wolno drwić ze wszystkiego, ale pod grozą odszczepieństwa trzeba wierzyć w tabliczkę mnożenia, w teoryę ruchu falistego, w stałość ciężarów gatunkowych i t. d. Pokaż mi pan jedno miasto, w którém nie ściskanoby sobie mózgów jakiemiś dogmatami, a zrobię je stolicą świata i kolebką przyszłéj ludzkości...

I oto odpowiedź na „strefę" Wokulskiego. W téj strefie błogosławionéj, gdzie, dzięki 2000 stopni ciepła więcéj niż w Warszawie, jest wszystko, czego niéma w „dziwnym kraju", a człowiek znajduje wszelkie instytucye, pomoc, środki do najdoskonalszego rozwinięcia swéj indywidualności; w téj strefie, niepozorny, cudaczny, fantastyczny staruszek drwi z tego, co uchodzi za niewzruszone prawo przyrody, szydzi z wiedzy, mieniącéj się zasadniczą, śmieje się z korporacyi uczonych, żartuje z powagi akademii i konkluduje, że „tak zwana ludzkość, mniéj więcéj na 10,000 wołów, baranów, tygrysów i gadów, mających człowiecze formy, posiada ledwie jednego prawdziwego człowieka; że spadające na taką ludzkość w biegu wieków roz-

maite wynalazki: bronz, żelazo, proch, igła magnesowa, druk, machiny parowe i telegrafy elektryczne, dostawały się bez żadnego wyboru w ręce geniuszów i idyotów, ludzi szlachetnych i zbrodniarzy, co sprawiło, że głupota i występek, dostając coraz potężniejsze narzędzia, mnożyły się i umacniały, zamiast stopniowo ginąć".

Kto ma słuszność, wyrzekając na swoją strefę, czy Wokulski, czy Geist, skoro to, co dla jednego jest ideałem, służy drugiemu za przedmiot pośmiewiska, i jaka jest wartość takiéj krytyki, która ma w każdém społeczeństwie swego Wokulskiego, zazdroszczącego Geistowi, i swego Geista, wzruszającego ramionami na zazdrość Wokulskiego?

Nie zadał sobie tego pytania bohater Prusa, bo przedewszystkiém Wokulski, zrobiwszy po rozmowie z Geistem uwagę: „on ma jednakże tęgiego bzika", zadumał się głęboko, a refleksye jego obracały się około wątpliwości: geniusz, czy waryat?

Wątpliwość pozostaje nie rozstrzygniętą; Wokulski zdaje się wierzyć po trochu w „chemię związków wodoru", a Prus... znów niedopowiada. Lubi guzikarza, ma współczucie dla Hoffa, zamyśla się, słuchając Ochockiego, a Geist poprostu mu imponuje; ale nikt nie wie, co o nich wszystkich myśli naprawdę. Jest tylko jakaś tajona w tych niedomówieniach sympatya—rys charakterystyczny współczesnéj umysłowości, która, rozproszywszy się w negującéj ducha analizie materyi, szuka syntezy w mistycyzmie. Geist ze swoim transcendentalnym metalem odgrywa tę samą w stosunku do cywilizacyi role, jaką odegrał wobec natury ów guwerner francuz ze swojemi księżycowemi fantasmogoryami; obaj są w fizyognomii talentu Prusa wyrazem pewnego mistycznego nastroju, który go ogarnia w obec wyższych komplikacyi w zjawiskach przyrody, w duszy ludzkiéj, w życiu społecznem, w rozwoju cywilizacyi. Mistyka tego rodzaju zastępuje mu psychologię zawikłanych charakterów, posługując się dla wytłómaczenia zawiłych w naturze ludzkiéj procesów snami, widzeniami, dyalogami, w których głos zabierają jacyś niewidzialni interlokutorowie. Z dziećmi natury, na-pół świadomemi, gawędziła zwykle matka przyroda; do dzieci cywilizacyi odzywają się w krytycznych chwilach uosobione namiętności, uczucia, lub socyologiczne, czy filozoficzne ideały. Główni bohaterowie „Lalki" monologują ciągle, śnią ustawicznie, a od czasu do czasu miewają hallucynacye; Wokulski szczególniéj nie poprzestaje na tém, że jest naprzemian romantykiem i pozytywistą, — w chwilach wolnych od romantyzmu i pozytywizmu bywa wizyonerem, tylko nie potrafi być człowiekiem. Nie przedstawia on ani indywidualnéj jednostki, ani charakteru, ani typu, ani nawet stanu duszy, jak Płoszowski, — jest raczéj sztucznem upostaciowanie *stanu*

umysłu pewnéj danéj chwili w życiu naszego społeczeństwa, mozolnie skombinowaném z paru zasadniczych rysów, rodzajem abstrakcyi literackiéj, któréj pozorne życie daje nie wewnętrzna natury ludzkiéj psychologia, ale tło żywe i pełne charakterystyki, na którém autor każe się ruszać swojéj oderwanéj kreacyi. To też jeżeli „Lalka“ może być nazwaną typowém dziełem Prusa, to bynajmniéj nie dla tego, żeby Wokulski miał przedstawiać typowego bohatera, wcielającego w sobie ducha całéj generacyi; ale że książka streszcza wszystkie zalety i wszystkie wady twórczości pełnego oryginalności pisarza. Jest to trzytomowy odcinek, w którym kronikarz tygodniowy zgromadził w kalejdoskopowych kombinacyach, w fantastycznéj mozaice, najcenniejsze swoje spostrzeżenia, przedziwnie kolorytem humoru zabarwione. O ile przedmiotem tych obserwacyi są motywa proste, rzeczy zwyczajne, ludzie nie skomplikowani, sytuacye niepowikłane, o tyle literatura wzbogaca się takiemi flamandzkiemi obrazkami, jak sklep Minclów, takiemi świetnie nakreślonemi postaciami, jak subjekt Rzecki. Na wyższych szczeblach, czy to psychologicznych, czy społecznych, trzyma się Prus w równowadze dopóty, dopóki stąpa po nich lekką stopą feljetonisty, i wtedy daje arystokratę w rodzaju Łęckiego, obrazy w rodzaju narady nad współką do handlu z cesarstwem, z całą galeryą wybornych, sylwetkowo traktowanych figur: gospodarzy, przemysłowców i publicystujących magnatów. Od chwili, w któréj obciążył się balastem socyologii, traci pewność i bystrość rzutu oka, wpada w szablonowy rysunek (kwesta wielkanocna, salon hrabiny)—a jeszcze wyżéj, tworzy albo karykatury, albo dziwolągi, jak panna Izabella i Wokulski. W „Lalce“ można znaleźć wszystko, począwszy od rzeczywistéj lalki aż do emancypacyi kobiet, od subjektów handlowych aż do kwestyi żydowskiéj, od refleksyi nad śmietniskiem nadwiślańskiém do rozmyślań o chemii przyszłości; ale talentu w „Lalce“, jak w ogóle w całéj twórczości Prusa, szukać trzeba nie tam, gdzie chciał być filozofem, socyologiem, lecz tam, gdzie umiał być poetą. Więc przeczytawszy taki klejnot, jak „Kamizelka“—prawdziwy dramat na kilkunastu stronnicach, w którym mąż suchotnik ściąga co dzień sprzączkę od kamizelki, żeby chudnięcie swoje ukryć przed żoną, która to samo robi, sądząc, że mąż nie zna swego stanu,—można darować Prusowi „Przeklęte szczęście“ z całym sentymentalnym melodramatem wiarołomstwa; więc poznawszy takich artystów, jak trzéj Orfeusze w „Echach muzycznych“, wolno jest obojętnie przejść około „Dusz w niewoli“ i całego w nich konwencyonalnego malowidła stosunków artystycznych; a za dostrzeżonego przez mgnienie oka w „Cieniach“ latarnika można mu oddać całego Wokulskiego. Wszystkie te drobnostki, począwszy

od „Przygody Stasia“, „Grzechów dzieciństwa“ — aż do „Anielki“, są drobiazgami tylko z rozmiarów; do godności utworów poetyckich, kreacyi artystycznych, podnosi je talent samorzutny, oryginalny, kryniczny, który też Prusa stawia na czele humorystów i w rzędzie celniejszych nowellistów polskich.

W. Bogusławski.

KWESTYA CEL ZBOŻOWYCH.

Dla tego rodzaju publiczności, co w wielkich centrach politycznych przywykła oblegać wrota gmachu parlamentarnego, tak jak w dniu sensacyjnych przedstawień ciśnie się do kasy teatru, szukając głównie i wszędzie wstrząśnień nerwowych, — nastała w Niemczech, z ustąpieniem księcia Bismarcka, mniéj interesująca faza polityczna. Kanclerz nie miota już piorunami, nie rzuca już rękawicy reprezentacyi narodu, nie łży opozycyi i nie odsądza jéj wśród sykania i tupania oskarżonych od czci i wiary—tak samo nie wypowiada on już tych wielkostylowych mów o polityce zewnętrznéj, które drut roznosił natychmiast po świecie, gdy on spokojnie i ze znaną swoją „szczerością“ z wysokości swego krzesła gawędził z Europą.

Tego rodzaju jaskrawych efektów, obcych właściwie istocie polityki i nie licujących z zakulisowym jéj charakterem, zabrakło teraz w saméj rzeczy. Pominąć można częste i rzeczywiście silnie indywidualnie zabarwione występy młodego cesarza Niemiec; interesują one zwłaszcza psychologicznie i ze względu na osobę i wiek mówcy, po-za tém, o tém, co się dzieje rzeczywiście w gabinetach, mało słychać; polityka zapięła się do góry i stała się dla tego rodzaju widzów nudniejszą: zatargów konstytucyjnych brak teraz w Niemczech, bo niéma skłonności do nich, a przedewszystkiém tego, co je wywoływał. Natomiast reformy wewnętrzne zajęły i zaabsorbowały uwagę sfer rządzących i rządzonych; zbiegiem okoliczności, który bynajmniéj nie

jest dziełem trafu, zjawisko powyższe powtarza się we wszystkich społeczeństwach konstytucyjnych. Na porządku dziennym są teraz wszędzie kwestye ekonomiczno-socyalne. O Niemczech możnaby już nawet wprost powiedzieć, że wszystko, co się tam robi, dzieje się pod znakiem kwestyi socyalnéj. Atoli i po-za granicami Niemiec objawia się dążność zamienienia obecnego, silnie nadwątlonego porządku rzeczy, na nowy grunt, po którego wynalezieniu, a raczéj po wytworzeniu, państwa europejskie mogłyby z mniejszą, niż obecnie, obawą patrzéć w przyszłość.

Z tego powodu, jakkolwiek chwila bieżąca posiada stanowczo wszelkie cechy okresu przejściowego, kładącego dopiero podwalinę dla przyszłych wypadków, kto wie, czy nie zostanie jéj przyznaną kiedyś większa doniosłość, aniżeli choćby ostatnim 10 latom rządów kanclerskich wewnątrz państwa, bogatym w jaskrawo-sensacyjne wypadki, ale niezmiernie opornym przeciw wszelkim nowym powiewom.

Ścisły związek, zachodzący między kwestyą socyalną, kładącą wszędzie swój stempel, a wszelkiemi innemi sprawami politycznemi, zaznacza się i uwydatnia obecnie głównie w Niemczech, skąd od czasu wstąpienia na tron młodego, ożywionego najlepszemi chęciami i ognistą ambicyą, Hohenzollerna, przywykła Europa otrzymywać impulsa i hasła. Prawie wszystkie państwa zajmują się obecnie kwestyą ceł i rewizyą traktatów handlowych; wymienićby tu należało przedewszystkiém Rossyę i Francyę, ale w tych państwach rzecz przedstawia się na razie jeszcze odrębnie. W Rossyi kwestye celne pozostają czysto na gruncie ekonomicznym i prawie wyłącznie podług ekonomicznych względów się rozstrzygają. We Francyi kwestya rewizyi czyli odnowienia traktatów handlowych, mimo wszystkiego, łączysię bardzo ściśle z kwestyami polityki zewnętrznéj; nienawiść do wschodniego sąsiada, a przynajmniéj chęć dokuczenia Niemcom i ich przyjaciołom, wybija się na wierzch i nadaje kwestyi celnéj we Francyi specyalny charakter. W Niemczech, gdzie kwestya socyalna jest bezwarunkowo najściśléj sformułowaną i najwięcéj praktycznie i teoretycznie studyowaną, rzecz ma się już zupełnie inaczéj: tuż za kwestyą ceł stoi zaraz ponura kwestya socyalna, z groźném „memento mori“. Znana inicyatywa i przykład Wilhelma II postawiły odrazu rzecz na właściwym gruncie. Tém przedewszystkiém daje się wytłómaczyć zupełnie odrębny charakter, jaki posiadały świeżo zakończone obrady nad cłami zbożowemi w parlamencie niemieckim. Rozprawy celne, zwykle z natury rzeczy nudne i monotonne, wywołały tym razem bardzo doniosłe i interesujące manifestacye, w trakcie których dyskusya sięgnęła aż do najgłębszych zagadnień życia politycznego.

Położenie wielce jest tu podobne do stosunków angielskich z piątego dziesięciolecia, gdy w Anglii kwestya ceł zbożowych nie schodziła z porządku dziennego, zaostrzając kontrasty socyalne i podniecając umysły. I tu, i tam, ścierają się sprzeczne interesa szerokich klas robotniczych, dla których drobne nawet podrożenie cen chleba jest ciężkim ciosem, i interesa właścicieli ziemskich, czyli producentów ziarna, pragnących osiągnąć dla swego zboża możliwie wysokie ceny, choćby kosztem biednych warstw społeczeństwa; i tu, i tam, naturalnie rząd pragnąłby szczerze wyrównać te kontrasty bez narażenia krajowego rolnictwa na szwank, jak i bez ściągnięcia na siebie zarzutu obojętności na los maluczkich tego świata. Cła zbożowe posiadają w sobie z natury rzeczy zatruty i namiętny pierwiastek, podniecający szerokie masy; ztąd, póki będzie istniał parlamentaryzm, każda rozprawa nad cłami tego rodzaju będzie się odbijała głośném echem wśród całego narodu i porywała masy, zkądinąd nawet w najbardziéj politycznie rozwiniętych społeczeństwach bierne i obojętne. Na tym-to gruncie namiętności i zaciekłéj nienawiści klasowéj powstała wówczas w Anglii sławna „Anticornleague“, która, rozlawszy się szerokim strumieniem po całéj Anglii, porwała i zelektryzowała całe społeczeństwo i doprowadziła do tego, że nareszcie cła zbożowe zostały zupełnie zniesione. Tą samą drogą kroczy sprawa obecnie w Niemczech, gdzie systematyczna agitacya stronnictw opozycyjnych już od lat kilku podżega masy wyborców przeciw clom zbożowym, i gdzie coraz bardziéj, dzięki temu, rozpowszechnia się przekonanie o konieczności usunięcia i tego bismarkowskiego zabytku.

Historya ostatnich tygodni zaznaczyła właśnie wielki krok w tym kierunku, na razie nie uwieńczony skutkiem, niemniéj atoli posiadający pierwszorzędne znaczenie. Mówimy tu oczywiście o znanych wnioskach wodza postępowców, Richtera, i socyalisty Auera, z których pierwszy żądał, jak wiadomo, zniżenia, drugi zupełnego zniesienia ceł zbożowych.

Wnioski te zostały odrzucone. Chociaż właśnie polityka jest tą krainą, w któréj tylko powodzenie popłaca, niemniéj w danym razie upadek obu wniosków, wywołany zresztą zbiegiem najrozmaitszych czynników, sprawy nie przesądza, a tém bardziéj nie umarza. Przedewszystkiém jest to już znaczącym faktem i w swoim rodzaju skazówką przyszłych wypadków, że targnięto się śmiało na cła zbożowe, które tworzyły od dziesięciu lat alfę i omegę polityki kanclerskiéj. Kanclerz oparł na tych cłach w ostatnich latach swój system polityczny, zrobił z nich coś w rodzaju „noli me tangere“ i w obronie tych ceł nieraz występował z całym, właściwym sobie, impetem. Ztąd, chociaż i za kanclerza cła te były atakowane, jest jednak pra-

wie pewném, że za jego rządów nie myślanoby na seryo, jak dziś, o ich usunięciu; prasa, nawet nie kanclerska, przyzwyczaiła się w ostatnich latach już zupełnie przedstawiać ewentualność usunięcia ceł zbożowych, jako coś zupełnie potwornego i niebezpiecznego, coby podrywało fundamenta państwowe; a ponieważ kto długo jednéj tezy broni, nabiera do niéj ostatecznie sam wiary, przeto i prasa niemiecka poczynała bardzo żywo i prawie w dobréj wierze stawać w obronie tychże ceł, nie wahając się nawet brać na siebie pewnego odium. Teraz nagle to się zmieniło i ta nagła zmiana frontu daje nienajgorszy przyczynek psychologiczno-polityczny do dziejów rządów kanclerskich. Trudno uwierzyć, a jednak teraz, taka ongi arcy-kanclerska „Post“, klasyczny organ mameluków bismarkowskich, trąbi gwałtownie na odwrót i oświadcza się przeciw cłom, podczas gdy stronnictwo chorągiewki na dachu, czyli narodowo-liberalne, oświadcza się przez usta dep. Oechelhäusera w zasadzie za zniesieniem ceł zbożowych.

Powyższe słowa stoją w pozornéj sprzeczności z rzeczywistością wobec faktycznego upadku obu wniosków, i dlatego, ze względu na pierwszorzędną doniosłość materyi, wymagają wytłómaczenia. Uchwała parlamentu, który 210 głosami przeciw 106 odrzucił wniosek Richtera, skierowaną była w istocie nie przeciw treści wniosku cła, tylko przeciw jego formie. Chociaż więc fakt, że znalazła się teraz ta sama większość *przeciw zniżeniu ceł*, która w swoim czasie *uchwaliła podwyższenie* ceł zbożowych, upoważnia na pozór do wniosku, że ostatnie wybory, które tak radykalnie zmieniły stosunki cyfrowe ciała, nie zmieniły jednak stanowiska parlamentu względem ceł zbożowych—to jednak wszelkie konkluzye, na tym gruncie powstałe, byłyby fałszywe. Rzecz leży w tém, że wniosek Richtera—jak słusznie zauważył berliński „Boersen-Courier“ — sięgał za daleko, w każdym razie bardzo daleko. Wódz opozycyi domagał się nietylko zredukowanie ceł z marek 5 na 3, nietylko chciał uważać tę redukcyę za przejściową, a sprawę zupełnego zniesienia za kwestyę najbliższych lat; ale żądał jeszcze jednocześnie bezwzględnego potępienia wszystkich ceł spożywczych i reformy ceł przemysłowych, nie określając téj reformy bliżéj. W tém trochę doktrynerskiém sformułowaniu i w tych rozmiarach projekt Richtera znalazł wrogów tam, gdzie cła zbożowe same w sobie jednak przyjaciół już nie posiadają.

W tym jednym punkcie streszcza się kwestya. We wniosku Richtera było za dużo radykalizmu i pierwiastku niszczącego, za dużo zmian naraz; dlatego Richter nie znalazł poparcia przedewszystkiém w stronnictwie narodowo-liberalném, które i tak nie ma nabożeństwa i wiary do owego „nowego kursu“, zapowiedzianego przez monar-

chę, zaś jest zdania, że za prędko się teraz niszczy w Niemczech rozmaite instytucye, na których wybudowanie złożyły się liczne lata pracy kanclerskiéj. Pogląd ten został zaznaczonym urzędownie przez usta dwóch wodzów narodowo-liberałów i wolno-konserwatystów; — obaj deputowani oświadczyli, że ich stronnictwa byłyby skłonne głosować za zniżką ceł z 5 na 3 marki i że tylko daleko posunięty i mglisty program przyszłościowy, zawarty we wniosku Richtera, je od tego odstrasza. Obaj mówcy przyznali wreszcie, że gdyby szło tylko o natychmiastowe zniżenie cła na 3 marki, to ich obozy z małemi wyjątkami na to-by przystały. Są to poważne deklaracye polityczne, które, ze względu na urzędowy sposób, w jaki zostały wygłoszone, pozbawiają wszelkiego znaczenia fakt, że na razie cła zniżone nie zostały.

Nie należy również być naiwnym i upatrywać w upadku wniosku Richtera czegoś w rodzaju klęski opozycyi. Parlamentaryzm rzadko jest wolnym od obłudy: Richter nie bez powodu i nie bez głębszéj myśli sformułował swój wniosek tak radykalnie, że mógł z góry wiedzieć, iż projekt jego w téj formie odstraszy nawet stronnictwa, w zasadzie dla zniżki ceł przychylnie usposobione. Gdyby zniżka ceł została teraz w pierwszym ataku przeprowadzoną, wytrąciłoby to Richterowi z rąk najlepszą jego broń agitacyjną, którą posiada w haśle tak popularném, jak „walka przeciw cłom zbożowym“. Hasłu temu, umiejętnie rzuconemu w wir walk stronniczych, zawdzięcza opozycya Richtera ostatnie swoje wielkie tryumfy przy wyborach do sejmu rzeszy; rzecz prosta tedy, że bez bardzo poważnych kompensat nie chciałaby wypuścić z rąk takiego atuta, zwłaszcza, że nie można zgoła przewidzieć, czy i jak długo potrwają jeszcze miodowe miesiące między koroną a reprezentacyą narodu. Taktycznie upadek wniosku Richtera jest dla tego stronnictwa wypadkiem pożądanym, dającym się znakomicie w setkach mów agitacyjnych wyzyskać.

Po tym małym odskoku, koniecznym jednak dla wszechstronnego wyjaśnienia obecnego położenia w Niemczech, dochodzimy do przekonania, że wniosek Richtera był zupełnie epizodycznym wypadkiem i że upadek tego wniosku nie przesądza ani trochę kwestyi, czy zniżka ceł, zaproponowana ciału w innéj formie, zostałaby również odrzuconą; wchodzi tu w rachubę tyle rzeczywiście różnorodnych czynników, że tylko powtórzenie próby mogłoby dać pewność; niemniéj jednak można już uważać coś podobnego za kwestyę najbliższéj przyszłości.

W każdym razie, zwarta za czasów Bismarcka falanga przyjaciół tych ceł, silnie już się przerzedziła. Obecnie tylko w jedném

jedyném stronnictwie cła zbożowe mają bezwarunkowych przyjaciół; jest to krańcowe prawe skrzydło parlamentu, czyli partya niemiecko-konserwatywna, rekrutująca się z Prus wschodnich, Pomeranii i wogóle wschodniéj połowy Niemiec, gdzie junkiersko-feudalni kandydaci dość często wychodzą z urny. Są to naturalnie przeważnie właściciele dóbr, a zatém producenci zboża, i jako tacy, w utrzymaniu ceł bezpośrednio zainteresowani. Stronnikiem ceł zbożowych, ale mniéj już pewnym i tylko dla taktycznych przyczyn, jest katolickie centrum, które swą powolnością na polu ceł zbożowych zjednało sobie już dwukrotnie poważne ustępstwa ze strony rządu, a którego mistrzowski wódz, Windthorst, zamierza trzymać się i nadal tego systemu handlu zamiennego w polityce. Centrum pod tym względem atoli jest już znacznie mniéj jednolite; dość wielki odłam tego obozu, z dr. Lieberem na czele, rekrutujący się przeważnie z fabrycznych okolic nadreńskich i westfalskich, jest po-za obrębem kwestyi czysto wyznaniowych zupełnie po stronie postępowców i da się łatwo dla idei zniżki ceł uzyskać. Większa co prawda część tego stronnictwa składa się z producentów rolnych i z tego powodu woli iść ręka w rękę z protekcyonistami, pragnąc koniecznie utrzymać obecne stosunki. Przoduje w téj kwestyi specyalnie nas interesujące koło polskie, dla którego *interesów* zniżka ceł byłaby arcy-niemiłą, i które się z tego powodu wprost identyfikuje z masą rolników niemieckich. Poseł Komierowski zaznaczył to, jak wiadomo, silnie, przy ostatnich obradach w środku stycznia, tak, że aż cesarz niemiecki czuł się zniewolonym wyrazić innemu mówcy polskiemu zadowolenie z postawy Poznańczyków.

Liczebnie téj lidze obrońców dorównywają mniéj więcéj nieprzejednani przeciwnicy ceł, za których uważać należy postępowców i socyalistów; takim sposobem decyzya w danym razie zależałaby zupełnie od stronnictw umiarkowanych, a raczéj niezdecydowanych: narodowo-liberalnego i wolno-konserwatywnego, które, nie chcąc się żadnéj stronie narazić, zajmują niejasne stanowisko, znajdujące wyraz w kunsztownych i misternych deklaracyach; przyciśnięte do ściany, prawdopodobnie głosowałyby za małą jednorazową zniżką ceł, przechylając tém samém szalę zwycięztwa na stronę opozycyi.

Ostatni czynnik, wchodzący tu w rachubę, rząd niemiecki, bezwarunkowo nie jest względem zniżki ceł w zasadzie wrogo usposobiony; z ustąpieniem kanclerza i na tym punkcie nastąpiła wśród rady związkowéj wielka zmiana. Ostatnie deklaracye Capriviego nie pozostawiają co do tego żadnéj wątpliwości, zwłaszcza, że podobna reforma licowałaby zupełnie z ogólnym duchem polityki socyalnéj młodego monarchy. Naturalnie rząd niemiecki musi mieć na uwadze rozmaite względy, nie krępujące stronnictw parlamentarnych. Nie

mówiąc już o koniecznych względach na politykę zagraniczną, musi rząd pamiętać o tém, że cła zbożowe w Niemczech, choć rzekomo w założeniu niefiskalnéj natury, jednak znakomicie skarb państwa zasilały, i że nie można się w finansowości zrzekać dochodów, póki nie wynaleziono kompensaty.

Tak przedstawia się kwestya niemieckich ceł zbożowych w stosunku do polityki wewnętrznéj; z natury rzeczy jednak jest ona przedewszystkiém kwestyą ekonomiczną, i dlatego i z téj strony musi zostać również oświetloną, zwłaszcza, że tu właśnie znajduje się ten punkt, gdzie kwestya ceł zbożowych niemieckich potrąca aż o dziedzinę t. zw. wielkiéj polityki i wielkich przymierzy. Najlepiéj poznaje się każdą rzecz organiczną, gdy się studyuje jéj rozwój i zestawia to, co jest, z tém, co było. Z tego powodu i tu koniecznem jest cofnąć się w tył i poświęcić parę chwil genezie ceł zbożowych w Niemczech wogóle. Pod tym względem w Niemczech rzecz poszła odrębnym, że tak powiemy, nielogicznym torem. Jeżeli, jak to twierdził ciągle ks. Bismarck, cła zbożowe są tylko protekcyjne i mają za zadanie obronę narodowego rolnictwa, to w takim razie miałyby prędzéj jeszcze racyę bytu dawniéj, gdy Niemcy nie były krajem wyraźnie przemysłowym, są zaś bezwarunkowo szkodliwe przy obecnych stosunkach, gdy Niemcy rozwinęły u siebie olbrzymi przemysł i otrzymały zupełnie wyraźny charakter kraju przemysłowego, konsumującego zboże w takim stosunku, że nowsza szkoła statystyków niemieckich zalicza swą ojczyznę już wprost do kategoryi tak zwanych społeczeństw przemysłowych na równi z Anglią, zajmującą w tym kierunku, jak wiadomo, pierwsze miejsce. Tymczasem porządek rzeczy w Niemczech jest wprost przeciwny. Cła są nabytkiem ostatniego dziesięciolecia, przedtém zaś były nieznane, lub téż tak nieznaczne, że nie zasługują na wzmiankę.

W Prusach i innych państwach późniejszego związku celnego pobierano od 1818—1865 cła tak minimalne, że prawie nie tworzyły źródła dochodów państwowych; oprócz tego cła te nawet nie wszędzie i nie zawsze były ściągane; chaotyczne stosunki, panujące w Związku Niemieckim, sprawiały, że nawet i ta minimalna opłata celna w rzeczywistości uiszczaną nie bywała. Na taki stan rzeczy nie wywarło prawie wcale wpływu utworzenie się po kolei Związku Celnego, Związku północno-niemieckiego, a nawet doniosły fakt powstania cesarstwa niemieckiego pod hegemonią Prus. Były to jeszcze czasy, gdy kanclerz żył w zgodzie ze stronnictwami liberalnemi, przeciwnie nawet, wybierał z tego obozu ministrów, jak: Delbrück, Camphausen i innych swoich współpracowników. Niemcy w owéj epoce, określającéj się datami 1871 — 79, przyznawały się urzędownie do systemu wolnego

handlu, a i sam ks. Bismarck kilkakrotnie wyraził się publicznie przeciw wszelkim cłom zbożowym. Sojusz liberalizmu z rządem wydawał się mocnym i znalazł wyraz w niefortunnych prawach majowych; wszechpotężne stronnictwo narodowo-liberalne szło ręka w rękę, a raczéj ściśléj mówiąc, za ręką kanclerza; opozycyą zaciekłą à la Richter było wtedy centrum katolickie, a postępowców w obecnym sensie tego słowa było mało. Po wszystkich wypadkach, które od tego czasu miały miejsce, epoka ta zdaje się ogromnie odległą, przedpotopową prawie, a jednak zaledwie lat 12 oddziela nas od tych czasów, gdy pojęcia rządów kanclerskich i liberalizmu były ściśle zbliżone. Epoka ta dała Niemcom, oprócz walki kulturalnéj, wątpliwéj etycznéj i praktycznéj wartości, jednak cały szereg liberalnych instytucyi, które przetrwały nawet i rządy kanclerskie.

Taką była era, która poprzedziła bezpośrednio rok 1879, należący bezwarunkowo do najważniejszych dat historyi nowożytnéj. Cyfra ta oznacza, jak wiadomo, datę zerwania w zasadzie państwa niemieckiego z systemem wolnego handlu i przerzucenia się na stronę protekcyonizmu coraz gwałtowniejszego.

Politycznie i psychologicznie wypadek ten ma pierwszorzędne znaczenie, nietylko dla Niemiec, ale i dla Europy; politycznie — bo wprowadzenie ceł zbożowych w Niemczech stworzyło zupełnie nowy grunt, na którym dopiero ukształtowały się obecnie stosunki polityczne Europy; psychologicznie — ze względu na rolę, jaką odegrał przytém kanclerz i stronnictwo parlamentarne. Ta nagła zmiana frontu, któréj notorycznie dopuścił się kanclerz w ciągu niespełna jednego roku, należy do ciekawszych wypadków historyi, tak jak znowuż prędkość, z jaką wszechwładne wówczas stronnictwo narodowo-liberalne przerobiło swe poglądy, by zdążyć jeszcze na odjeżdżający pociąg kanclerski, będzie po wsze czasy stanowiła nienajgorszy przyczynek do poznania tego, tak Poznańczykom wrogiego, stronnictwa, którego wewnętrzny rozstrój i zanik idei etycznych właśnie od owéj daty się rozpoczyna. Wśród takich-to warunków nastąpiło decydujące głosowanie co do wniosku rządowego, w którym Bismarck inaugurował erę ceł protekcyjnych w Niemczech pod hasłem „opieki dla pracy narodowéj“. Przebieg wypadków jest wiadomy; cała prawica naturalnie, jak jeden mąż, stanęła po stronie kanclerza, który stał się rzecznikiem jéj interesów. Stronnictwo narodowo-liberalne, odurzone, ogłuszone prędkiem tempem wypadków, nie zdobyło się na jednolitą decyzyę i popełniło gruby taktyczny błąd, którego nie przebaczyła mu już potém historya, a przedewszystkiém zawziętość kanclerska. Na poufném mianowicie zebraniu, stronnictwo to, liczące wtedy trzecią część głosów całego ciała, nie doszedłszy do zgody, po-

stanowiło uważać kwestyę ceł zbożowych za kwestyę nie stronniczą, to znaczy nie obowiązującą z góry każdego członka, i pozostawiło ją do uznania indywidualnego. Gdy przyszło do decydującego głosowania, stronnictwo rozpadło się na dwie połowy, z których jedna głosowała za wnioskiem rządowym, druga zaś przeciw, skutkiem czego nastąpiła rychło tak zwana „secessya“, dla parlamentaryzmu niemieckiego arcyważna, na której gruncie w parę lat później powstała dzisiejsza opozycya wolnomyślna. Uratowanie ceł było wtedy dziełem Windthorsta, który, w myśl zasady „*do ut des*“, przechylił zwycięztwo na stronę rządu, zawiązując z kanclerzem sojusz oportunistyczny.

W tych oto warunkach i pod takim-to znakiem przyszły na świat w Niemczech cła zbożowe. Były one względnie nizkie, podług normy bowiem, przyjętéj ostatecznie przez parlament, wynosiły za 100 kilo:

Pszenica	mk.	1.—
Żyto	„	1.—
Mąka	„	2.—
Owies	„	1.—
Jęczmień	„	0.50
Kukurydza	„	0.50.

Jakoż wywarły one też małe skutki; dowozu obcego zboża nie zmniejszyły, zaszkodziły natomiast z gruntu niemieckiemu handlowi zbożowemu. Ważném i interesującém jest zdanie, wypowiedziane w téj kwestyi przez sławnego statystyka, Neumann-Spalarta, w znaném dziele „Übersichten der Weltwirtschaft“. Otóż uczony ten, stanowiący, jak wiadomo, w dziedzinie ekonomii politycznéj prawdziwą powagę europejską, podaje następujące dane przywozu i wywozu zboża w Niemczech w milionach centnarów metrycznych:

	przywóz+wywóz	przewyżka przywozu nad wywozem	
w r. 1876	36,484	19,164	czyli ilości zboża, faktycznie przez Niemcy na własną konsumpcyę dokupione.
„ „ 1877	49,532	18,176	
„ „ 1878	47,591	14,232	
„ „ 1879	47,864	20.814	
po wprowadzeniu ceł			
„ „ 1880	21,839	12,500	
„ „ 1881	22,122	16,560	
„ „ 1882	24,291	19,099	

Słusznie też znakomity uczony wyprowadza z tych cyfr wniosek, że pierwsze cła zmniejszyły tylko bardzo znacznie ogólną sumę obrotów handlu zbożowego niemieckiego, nie zdołały zaś już po dwóch latach wpłynąć na zmniejszenie się przywozu, przyczém cały, lub prawie cały — stosownie do konjunktur handlowych i urodzajowych — ciężar opłacanego cła spadł na konsumenta niemieckiego.

Sfery rolnicze w Niemczech prędko zasmakowały w korzyściach, zapewnionych im przez cła zbożowe, skutkiem czego prąd agrarny w tych sferach otrzymał nowy zasiłek i gwałtowny impuls. Książę Bismarck, którego rozbrat z liberalizmem stawał się w tonie i w czynach coraz widoczniejszym, począł gwałtownie występować w obronie producentów zboża, zrywając tém samém zupełnie z opozycyą liberalną. Dalsze wypadki są u każdego jeszcze w świeżéj pamięci: w całych Niemczech zawrzała szalona agitacya za i przeciw cłom; była to epoka parlamentów służalczych, w których dla umysłów niezależnych nie dużo było miejsca. Ponieważ zaś jedyne stronnictwo, któreby było mogło postawić tu swoje veto, mianowicie stronnictwo katolickie, dla przyczyn taktycznéj natury nie chciało z rządem zadzierać, przeto cła zbożowe, mimo gorączkowych wysiłków opozycyi, zostały dwa razy z rzędu znacznie podwyższone.

Nastąpiło to w roku 1885 i w roku 1887, a mianowicie:

	w roku 1885	następnie	w roku 1887.
Pszenica	na mk. 3.—		na mk. 5 —
Żyto	„ „ 3.—		„ „ 5.—
Mąka	„ „ 7.50		„ „ 10.50
Owies	„ „ 1.50		„ „ 4.—
Jęczmień	„ „ 1.50		„ „ 2.25
Kukurydza	„ „ 1.—		„ „ 2.—

Cyfry te są wymowne i komentarza nie wymagają; świadczą one o wielkiéj pożądliwości sfer ziemiańskich; skutki téż tego pod względem socyalnym prędko, i to zaraz, w podwójnym kierunku się zaznaczyły, mianowicie: przez ogólne podskoczenie cen chleba, powtóre przez postawienie konsumenta niemieckiego w warunkach gorszych od tych, w których żyje konsument innych państw.

Z dwóch tych punktów, pierwszy, dotyczący podrożenia chleba przez cła zbożowe, stanowił do niedawna przedmiot gorących dysput; przyjaciele ceł nie chcieli tego przyznać, chociaż z natury rzeczy przecież cło to musi podwyższać cenę chleba, zważywszy, że w każdym pojedyńczym wypadku przybywa ono do już utworzonéj naturalnéj ceny, która takim sposobem o wysokość cła się powiększa. Na temat ten napisano w Niemczech mnóstwo broszur i wypowiedziano setki mów. Obecnie jednak przeważa już zdanie, że cła w saméj rzeczy przyczyniają się — niezależnie od urodzaju — do podrożenia cen chleba; przyznaje to w bardzo interesującéj broszurze „Gemeinschädlichkeit der Erhöhung der Kornzölle“ teraz i sędziwy kolega i przyjaciel Windthorsta, znany członek centrum, poseł Reicheinsperger, którego treściwe i cyfrowo poparte argumenta są w danym razie tém ważniejsze, że, jak wiadomo, centrum bynajmniéj dla ceł wrogo usposobioném nie było.

Co do drugiego punktu, to nawet i najwięksi przyjaciele ceł zbożowych już teraz nie śmieją zaprzeczać, że skutkiem tych ceł konsument, czyli robotnik niemiecki, znajduje się w daleko smutniejszych warunkach bytu, aniżeli, dajmy na to, robotnik angielski lub ruski, kupujący chleb po znacznie tańszych cenach. Charakterystyczny to fakt, że od dłuższego już czasu robotnicy górnoszląscy przeprawiają się systematycznie przez granicę, aby w Sosnowcu zakupywać chleb na potrzeby swych rodzin, ponieważ ceny tego chleba na terytoryum niemieckiém byłyby już dla nich za wysokie.

Interesujący to rzeczywiście fakt, że cła niemieckie przynoszą bezpośrednią korzyść tylko krajom wolno handlowym, w których ceny zboża, dzięki wielkiéj podaży, spadają. Zdaniem znanego profesora Conrada z Halli cła niemieckie na zboże ten sprowadzają skutek, że robotnik angielski taniéj ma chleb pszenny, niż robotnik niemiecki ma chleb żytni. Rzecz prosta, że daje to samo już Anglii olbrzymie ułatwienie w konkurencyi przemysłowéj z Niemcami; wyższość ta, socyalnie rzecz biorąc, jest tak poważna, że sama już usuwa wątpliwość co do szkodliwości ceł zbożowych dla ogółu ludności niemieckiéj. Nie dziw tedy, że raptowność tych podwyżek cła wywołała rychło powiększenie się cyfry wyborców socyalistycznych.

Aby nawiązać teraz przeszłość z teraźniejszością, wypada nam tylko jeszcze zaznaczyć, że wyżéj omówiony wniosek Richtera żądał właśnie zniżenia ceł teraźniejszych do ich poziomu z roku 1886, a zatém liczył się daleko bardziéj z potrzebami państwa, aniżeli nawskroś utopijny wniosek socyalisty Auera, który naraz chciał Niemcy pozbawić wszystkich wogóle ceł.

Po tém luźném naszkicowaniu rodowodu sprawy, zbliżamy się już coraz bardziéj do punktu, gdzie kwestya ceł zbożowych niemieckich przestaje być kwestyą wewnętrzną niemieckiéj polityki socyalnéj, a wkracza wprost w dziedzinę wielkiéj polityki europejskiéj. Związek tych dwóch kwestyi uwydatnił się żywo podczas styczniowych obrad parlamentu niemieckiego nad wnioskiem Richtera, i znalazł, jak wiadomo, wyraz w wielce powściągliwéj mowie kanclerza Capriviego, który oświadczył, że nie może dać żadnego wyjaśnienia co do zamiarów rządu, ponieważ toczą się właśnie układy z Austryą o zawarcie formalnego traktatu handlowego; kanclerz nadmienił przytém, że zawarcie takiego traktatu mogłoby pociągnąć za sobą samo przez się zniżenie ceł zbożowych. W tém arcy-dyplomatyczném przemówieniu Capriviego, który oczywiście nie mógł na razie więcéj powiedzieć, leży jednak dla każdego, choć trochę ze stosunkami politycznemi obeznanego, zapowiedź, że przygotowują się obecnie po za kulisami gabinetów wypadki, mogące wytworzyć zupełnie nowe położenie polityczne.

Aby zdać sobie dokładnie z tego sprawę, należy przedewszystkiém wziąć na uwagę, że jeżeli kanclerz w urzędowym charakterze stwierdził, że toczą się między Wiedniem a Berlinem obrady o formalne zawarcie traktatu handlowego, to widocznie oba gabinety są już zupełnie pewne, że obrady doprowadzą do konkretnego rezultatu w formie projektu rządowego, który tylko jeszcze obustronnym parlamentom będzie musiał zostać przedstawionym. Po takiém wystąpieniu kierownika polityki niemieckiéj, ewentualne fiasco traktatu byłoby samo przez się znaczącym wypadkiem. Ale właśnie dlatego téż nie można czegoś podobnego oczekiwać, wypada natomiast raczéj spodziewać się, że traktat ten zostanie rychło zawarty.

Pierwszém następstwém, podług własnych słów Capriviego, będzie tedy zniżenie ceł niemieckich dla zboża austryjackiego, z tą chwilą atoli kwestya nabiera wszecheuropejskiego znaczenia, a w szczególności dla producentów zboża w Królestwie i Cesarstwie, którym rokuje lepsze widoki na przyszłość. Stoimy bowiem w obliczu następujących trzech alternatyw:

Niemcy, po zawarciu traktatu z Austryą,

albo zniżą cła tylko dla zboża austryackiego,

albo uczynią to również i dla zboża wszystkich krajów, z któremi łączy je stosunek t. z. państw najbardziéj uprzywilejowanych, a więc całéj Europy (z wyjątkiem Rosyi) i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj,

albo nakoniec uczynią to nawet i dla zboża, pochodzącego z Rosyi.

Z góry zaznaczyć wypada, że pierwsza ewentualność, o ile byłaby doniosłą ze względów polityki zewnętrznéj, o tyle kwestyę socyalną w Niemczech małoby posuwała. Dla lepszego wyjaśnienia tego, konieczném jest przytoczyć następujące dane statystyczne, objaśniające bliżéj położenie Niemiec, jako konsumenta zboża. Wszystkie te cyfry czerpane są z „Wiestnika Finansów“ Nr 52 roku 1890 i z tego tytułu winny być uważane za ścisłe.

Otóż konsumcya obcego zboża w Niemczech wynosiła za pierwsze 10 miesięcy roku 1889 i 1890 w tysiącach pudów:

	pszenica	mąka pszen.	żyto	jęczmień	owies	kukurydza
1889	26451	652	54212	29375	13746	14861
1890	36413	676	44573	34581	11338	30630
z tego pokryła sama Rosya w procentach:						
1890	53,9	1,3	84,1	47,6	93,3	11,8
1889	59,1	0,9	88,7	47,5	92,1	19,2

Cyfry te rzucają na sprawę już sporo światła; wynika z nich jasno, że co do żyta i owsa Rosya prawie wyłącznie wchodzi w ra-

chubę, a jeszcze bardzo ważną rolę odgrywa co do pszenicy i jęczmienia, których dostarcza Niemcom połowę całego ich importu; podrzędną rolę ma Rosya co do kukurydzy; a zupełnie żadnéj nie posiada co do mąki, któréj wyłącznym dostawcą dla Niemiec jest Austrya. Na zasadzie powyższego łatwo jest określić znaczenie, jakie należałoby przyznać pierwszéj z owych trzech alternatyw. Niemcy właściwie nie mają prawa przyznać zbożu austryackiemu jednostronnych ulg, jeżeli te ostatnie nie mają być stosowane i do zboża wszelkich tych innych państw, które utrzymują z Niemcami stosunek państw najbardziéj uprzywilejowanych. Jeżeliby więc Niemcy jednak na coś podobnego się zdobyły, to musiałaby to umotywować tém, że wyrzekają się formalnie samoistności ekonomicznéj, wchodząc w bliźniaczy związek celny z Austryą. Z tego tytułu też podobna ewentualność byłaby pierwszorzędną manifestacyą polityczną, równającą się zupełnemu zacieśnieniu i pod względem ekonomicznym węzła, łączącego już teraz Niemcy z Austryą.

Po za tém znaczenie zniżki ceł niemieckich dla zboża austryackiego, w zestawieniu z kwestyą socyalną w Niemczech, nie byłoby zbyt doniosłém. Odbiłoby się tylko na mące pszenicznéj, ale Niemcy są krajem zbyt przemysłowym, aby wielkie ilości mąki wogóle od obcych sprowadzać i z tego powodu punkt ten prawie można pominąć. Właściwie pozostaje tylko jęczmień, którego w istocie sprowadzają dużo z Austryi browary niemieckie; przy tym gatunku zboża rzeczona zniżka cła dałaby się bez kwestyi odczuć.

Aby jeszcze dokładniéj zilustrować powyższe kwestye, podajemy poniżéj stosunek, w jakim rozmaite państwa, mające ziarno do oddania, przyczyniły się do pokrycia powyżéj podanéj konsumcyi obcego zboża przez Niemcy.

Otóż

Niemcy przez pierwsze 10 miesięcy roku 1890 skonsumowały ogółem obcego zboża, jak poniżéj podano,

tysięcy pudów:

1) pszenicy	Austrya	5902
36413, z tego dostarczyły:	Rosya	19628
	Rumunia ok.	5300
	Ameryka ok.	3200
	drobne udziały rozmait. innych państw, ok.	3800
2) mąki pszenicznéj	Austrya	639
676, z tego dostarczyły:	Rosya	8,55
	Ameryka	11,28

	drobne udziały rozmait. innych państw, ok.	15,—
3) żyta 44573, z tego dostarczyły:	Austrya	454
	Rosya	37507
	Rumunia ok.	1100
	Ameryka ok.	1225
	drobne udziały rozmait. innych państw, ok.	4061
4) jęczmienia 34581, z tego dostarczyły:	Austrya	13450
	Hollandya	855
	Rosya	16463
	Rumunia	2657
	drobne udziały rozmait. innych państw, ok.	1500
5) owsa 11338, z tego dostarczyły:	Rosya	10575
	Austrya	91
	drobne udziały etc.	600
6) kukurydzy 30630, z tego dostarczyły:	Ameryka	20853
	Rosya	3622
	Rumunia	2568
	drobne udziały etc.	3000

Z cyfr tych jeszcze jaśniéj uwydatnia się wpływ, jaki mogłoby miéć na dalszy przebieg kwestyi socyalnéj w Niemczech ewentualne zawarcie traktatu austro-niemieckiego z przyznaniem jednostronnych i wyłącznych ulg dla zboża austryackiego. Wyżéj zostało już powiedzianem, że wpływ ten bezpośrednio byłby bardzo mały — pośrednio zyskałby co prawda o tyle na znaczeniu, że w razie zniżenia ceł niemieckich dla Austryi, całkowity wywóz zbożowy austryacki, a może i rumuński, zwróciłby się do Niemiec, wypierając ztamtąd odpowiednią ilość przywozu zboża z Rosyi, przez co samo już w umiarkowanym stopniu nastąpiłaby ulga dla konsumenta niemieckiego. Rzecz prosta, że ulga ta stałaby się wtedy naprawdę poważną, gdyby Niemcy zgodziły się na traktowanie zboża ruskiego, przechodzącego transito przez Austryę, jako zboża austryackiego, lub téż gdyby przynajmniéj specyalnie dla takiego zboża ruskiego, kupowanego z drugiéj (austryackiéj) ręki, ustanowiły ad hoc mniejsze cła wchodowe. W ten sposób dałyby się rzeczywiście pogodzić interesa socyalne z postulatami polityki zewnętrznéj; rzecz ta atoli zarysowuje się jeszcze bardzo niejasno i dyskutowaną na tém miejscu być nie może.

Innego rodzaju doniosłość cechowałaby drugą z powyższych trzech alternatyw. Jeżeli Niemcy, w myśl faktycznie przyjętych zobowiązań, zniżą cła nietylko dla Austryi, lecz i dla wszelkich innych państw, z któremi łączy je stosunek najbardziéj uprzywilejowanych kontrahentów, to z ulgi téj korzystać będzie zaraz i przedewszystkiém Rumunia, a również, ponieważ związek kontynentalny europejski przeciw Ameryce jeszcze nie powstał — i Stany Zjednoczone, następnie zaś i inni drobniejsi dostawcy. Tą drogą dokonałby się formalny odwrót na całéj linii, równający się wyraźnemu wyparciu się systemu bismarkowskiego i pozwalający przypuszczać, że w oględném tempie i daléj w tym kierunku się pójdzie. Rok bieżący tedy zapisałby się w historyi, jako data zerwania Niemiec z sytemem, inaugurowanym przez Bismarcka lat temu jedenaście.

Moralnie i teoretycznie podobne rozwiązanie kwestyi stanowiłoby bezwątpienia pierwszorzędny wypadek; ponieważ jednak dla tego rodzaju względów mało jest w ekonomii państwowéj miejsca, a wszystko sprowadza się natomiast do cyfr, przeto koniecznem jest zaznaczyć zaraz, że, mimo tego wszystkiego, kwestya socyalna w Niemczech, o którą głównie przecież chodzi, wtedy dopiero zostanie naprawdę posuniętą, gdy zajdzie trzecia alternatywa, to znaczy, gdy zniżka cła zostanie rozciągniętą i na zboże, pochodzące z Rosyi, i że bez tego każdy krok w kierunku zniżki ceł zbożowych pozostanie połowicznym, dającym sferom robotniczym w najlepszym razie moralną satysfakcyę, ale nie dającym im tańszego chleba.

Dla kwestyi socyalnéj ważne są naturalnie przedewszystkiém te gatunki zboża, z których wyrabia się chleb, a zatém pszenica, żyto i kukurydza; pozostałe zaś gatunki, jęczmień i owies, z kwestyą socyalną mało mają już wspólnego. Jeżeli tedy na ogólną ilość konsumowanéj w Niemczech obcéj pszenicy, wynoszącą okrągło 36 milionów pudów, sama Rosya dostarcza przeszło 19, a Austrya niecałe 6 milionów, jeżeli następnie na ogólną ilość 45 milionów żyta Rosya sama dostarcza $37^1/_2$ miliona, a Austrya nie dosięga nawet pół miliona; to jasném będzie chyba teraz, że jeżeli mówi się o praktycznéj stronie kwestyi socyalnéj, to cała rzecz streszcza się w tém jedném pytaniu: czy zniżka ceł nastąpi bezpośrednio, lub przynajmniéj pośrednio, i dla płodów rolnych Rosyi, czy téż te ostatnie pozostaną po za obrębem wszelkich przygotowujących się kombinacyi.

Ze względu na wielką doniosłość, jaką posiada to pytanie dla rolnictwa krajowego, nie od rzeczy będzie nadmienić, że rząd niemiecki, chociaż nie jest zgoła żadném zobowiązaniem zmuszony stosować wszystkie ulgi i do zboża Rosyi, niemniéj jednak myśli téj w zasadzie i zupełnie nie odrzucił; kanclerz Caprivi, zagadnięty wła-

śnie w téj kwestyi przez socyalistę Auera, ograniczył się do zaznaczenia, że rząd niemiecki nie omieszka téj kwestyi należycie zbadać. Słowa te, wypowiedziane przez urzędowego kierownika polityki niemieckiéj, pozwalają, a raczéj każą wnioskować, że podobny zwrot nie byłby teraz, tak jak za rządów bismarkowskich, niemożliwym, i że kwestya z zasadniczéj stała się tylko może techniczną, co praktycznie zmienia już rzecz cokolwiek.

Swoją drogą należy na tém miejscu, dla ścisłości i dla uzupełnienia poniekąd obrazu, zaznaczyć, że właściwie przyszłe rozwiązanie téj sprawy więcéj musi obchodzić Niemcy, aniżeli Rosyę, która, chociaż jest *głównym* dostawcą Niemiec, jednak nie posiada w nich swego *głównego* odbiorcy. Dla Niemiec kwestya zniżenia ceł i dla płodów ziemnych Rosyi ma palące i pierwszorzędne znaczenie, ponieważ dopiero w tym wypadku zniżka ceł ma sens i praktyczne skutki, mogące przyczynić się do uśmierzenia kwestyi socyalnéj, o co na razie przeważnie przecież chodzi. Dla Rosyi rzecz jest oczywiście bardzo ważną, ale nie jest jeszcze kwestyą życia i śmierci, jak to często przypuszczaném bywa. Niemcy bowiem są z kolei dopiero drugim odbiorcą jéj zboża, jak to wynika z następujących cyfr, podanych również przez „Wiestnika Finansów“ i odzwierciedlających bardzo dokładnie stopień ważności, jaki posiada każdy kraj, jako konsument zboża dla Rosyi.

Otóż

w pierwszych 10 miesiącach roku 1890 exportowała Rosya

	tysięcy pud ó w:					
	do Anglii	Francyi	Włoch	Niemiec	Belgii	Holandyi
pszenicy	49376	15298	23784	19628	5052	14677
żyta	—	—	5022	37507	1904	16280
jęczmienia	19790	—	—	16463	3162	6838
owsa	22633	2518	—	10575	—	7110

Niemcy są tedy co do żyta w istocie bardzo ważnym odbiorcą Rosyi; co do pszenicy zajmują aż trzecie miejsce, prawie na równi z małą Holandyą; nakoniec co do jęczmienia i owsa mają drugie miejsce. Wynika z tego zestawienia, że, ekonomicznie rzecz biorąc, obrady między Wiedniem a Berlinem, póki nie dotkną się specyalnie kwestyi żyta ruskiego, nie trafiają jeszcze w rdzeń interesów Rosyi, chociaż rozumie się samo przez się, że nic dla Rosyi nie może być obojętném, co zbliża jeszcze bardziéj do siebie mocarstwa trójprzymierza.

Z tego téż jedynie tytułu należy może dać tu wzmiankę o pojawiających się teraz dość często na szpaltach prasy liberalnéj niemieckiéj artykułach, przedstawiających zniżenie cła dla żyta, pocho-

dzącego z Rosyi, jako rzecz wielce dla konsumenta niemieckiego pożądaną. Dzienniki te powołują się nie bez racyi może na anomalię, zachodzącą ciągle jeszcze w Niemczech przy ocleniu pszenicy i żyta, które to dwa gatunki, aczkolwiek nierównéj ceny, równe ponoszą cło, skutkiem czego naturalnie żyto, jako gatunek tańszy, względnie silniéj jest obciążoném. Jakoż przytoczone dzienniki domagają się wyrównania téj tendencyjnéj niesprawiedliwości, zarządzonéj przez ks. Bismarcka w swoim czasie, jakoby w celu dokuczenia Rosyi. Rzeczy naturalnie na seryo dyskutować jeszcze nie można, szerszéj bowiem dyskusyi nawet dotąd nie wywołała; służyć ona może i ma tylko za przyczynek do aktualnego stanu kwestyi ceł zbożowych w Niemczech. Zresztą cała rzecz przedstawia się jeszcze w bardzo niewyraźnych konturach, skutkiem czego niczego przesądzać nie można; zadanie sprawozdawcy staje się czysto relacyjném.

Niepodobna przy téj sposobności nie zaznaczyć, że powyżéj zrobiona uwaga co do znaczenia Niemiec, jako konsumenta, stosuje się znacznie mniéj do Królestwa; dla zboża polskiego naturalnym odbiorcą jest najbliższy sąsiad niemiecki, i dlatego nas kwestya ceł zbożowych niemieckich powinna nader żywo obchodzić. Brak wszelkich statystycznych danych (w ściślejszém znaczeniu tego słowa) co do udziału Królestwa w ogólnym wywozie zbożowym Rosyi, utrudnia stawianie wszelkich samodzielnych wniosków, i dopiero wtedy możnaby stąpać pewniéj, gdyby ktoś kompetentny podjął się mrówczéj pracy obliczenia i rozklasyfikowania podług gatunków i kierunku wysyłki ogólnéj ilości zboża, wywożonéj z Królestwa; zadanie to, jak wiadomo, czeka jeszcze wykonawcy.

Rzecz prosta, że najprawdopodobniéj całkowite zboże, zbywające w Królestwie, idzie do Niemiec na konsumcyę, z wyjątkiem chyba pszenicy, idącéj całkiem do Anglii, a zupełnie kwestyi nie ulega, że jakiekolwiek zmiany, korzystne dla naszego zboża, zajdą w przyszłości, to w każdym razie tempo ich będzie bardzo powolném, tak, że rolnictwo nasze nie ma powodu do żywienia z tego tytułu zbyt optymistycznych poglądów na przyszłość.

K. Rose.

Najnowsza powieść Henryka Sienkiewicza.

Nie dla jednego tylko powodu jest „Bez dogmatu“ wypadkiem w literaturze naszéj, nietylko jako większy utwór Henryka Sienkiewicza, ale jako utwór odmienny, oznaczający może punkt zwrotny w jego działalności. Byli między najgorętszymi wielbicielami jego talentu i tacy, którzy żałowali, że autor „Szkiców węglem“ i „Latarnika“ opuścił maluczkich i powszednich swoich bohaterów dla wspanialszych a dalekich historycznych postaci. Zdawało się niejednemu czytelnikowi, że stała się tém krzywda codziennym i obecnym biedom, że boleści dnia dzisiejszego nikt już tak serdecznie na światło nie dobędzie. Mawiali przytém mniéj chętni – a nie potrzebujemy się z ust Śniatyńskiego dowiadywać, że niechęć idzie w ślad za każdym wybitniejszym talentem — mawiali, że nikt nie pójdzie sprawdzać, o ile są rzeczywistymi Kmicic i Zagłoba, że żadna nas siła w wiek XVII nie przeniesie i że usuwać w dal swoje postacie jest to poniekąd usuwać się od trudności samemu. I doprawdy nietylko nieżyczliwym przychodziło na myśl, że jest i w dzisiejszém życiu dość pytań, dość postaci, dość dramatów, ażeby ku nim zwrócić i oczy, i duszę. Życzono sobie przytém nowego dowodu wszechstronności Sienkiewicza. Wróżyła mu niegdyś krytyka, że wyjść nie zdoła po za drobne rozmiary pierwszych swych opowieści: odpowiedział jéj, pisząc „Ogniem i mieczem“. Czekano, aby wobec zarzutów, że fantastyczne tylko kreśli postacie, dał jakie dzieło, pełne obserwacyi.

Okazywał się rzeczywiście dotychczas nowellistą i historycznym powieściopisarzem, t. j. ostatecznie poetą. „Bo czemże jest nowella — mówił do Eckermanna Goethe — jeżeli nie opowieścią nadzwyczajnego zdarzenia?“ W szczupłych jéj ramach nie można objąć wielkiego zakresu rzeczywistości, a trzeba równocześnie dać całość poruszającą i skończoną. Życie, rzeczywiste życie, jest raczéj pretekstem, niż przedmiotem nowellisty; nie chodzi mu tyle o odtworzenie świata, jak o indywidualne jego pojęcie. Powieść zaś historyczna, zwłaszcza takiego jak u Sienkiewicza zakroju, mająca tyle tła i pejzażu, jest już niemal epopeją. Na wieść o współczesnéj powieści, którą autor „Potopu“ pisać zamierzał, pytano się zatém, czy posiada ten poeta dość objektywizmu i dość wytrwałéj obserwacyi, aby roztoczyć duży a żywy obraz istniejących stosunków, obraz, któryby w każdéj chwili z rzeczywistością zestawić było można. Czy język poety nagnie się do wymagań subtelnéj analizy; czy mowa polska, tak wyrobiona w podniosłym i bohaterskim kierunku, nabierze pod piórem jednego z wielkich swoich mistrzów dostatecznéj giętkości i precyzyi, aby zawikłane i różnorodne sprawy nowoczesnego naszego świata oddawać? A że po za ciekawością towarzyszy wogóle zamiarom Sienkiewicza ogromna w zdolność jego wiara, czekało wielu pośród nas — a wyznaję, że i ja do nich należałem — powieści współczesnéj, może obracającéj się w wykwintniejszych naszych sferach, powieści w każdym razie raczéj prawdziwéj i subtelnéj, niż „pięknéj“, raczéj wystudyowanéj, niż natchnionéj. I chociaż nie jest nikt bezkarnie poetą, doczekaliśmy się niepospolitego w tym kierunku dzieła.

Sam ten fakt ma już ogromną doniosłość. Jeżeli „Bez dogmatu“ nie odpowiedziało może wszystkim wymaganiom, które ideałowi naszéj współczesnéj powieści stawiamy, to najzagorzalszy wróg katalogowania dzieł sztuki, według subjektywnéj bądź co bądź skali, nie odmówi temu utworowi wyjątkowego w literaturze naszéj stanowiska. Ale jest i druga przyczyna, że powieść tę nową z osobliwszém witamy uczuciem. Oto zmieniło się koło czytelników, do których Sienkiewicz się zwraca. Umiejąc zawsze pozostać artystą niezwykłéj subtelności, przemawiał on dotąd do wyobraźni i poczucia wszystkich niemal sfer społecznych. W ostatniém swém dziele zdaje się mieć na oku szczuplejsze koło i bardziéj wytworne. Książka jego jest jednym z rzadkich u nas objawów owego piśmiennictwa, które Francuzi zową *littérature artiste*. Subtelniejsza i specyalniejsza od poprzednich, może ona wywrzéć zupełne wrażenie tylko wśród warstw bardziéj rafinowanych, zdolnych odczuć delikatną analizę i analizujących się nawet do głębi. Od czasu do czasu tylko odzywa się autor, przywykły do powszechnego wśród publiczności oddźwięku, i dodaje

kilka wyraźniejszych odcieni, robiąc pewne drobne szerokim kołom ustępstwa. Pomimo téj wyłączności, może jednak liczyć na ogromny szereg czytelników. Nie jest to pocieszającym, lecz jest podobno niewątpliwym faktem, że liczba natur, przypominających Płoszowskiego w ten lub ów sposób, zwiększa się u nas codziennie. Bez tego aniby ta książka nie była potrzebną, ani-by nawet pod piórem czułego na społeczne objawy pisarza nie była powstała. „I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokracyę rodu lub pieniędzy — pisze bohater Sienkiewicza w swym dzienniku — zjawisko nie byłoby zbyt ważném. Ale do tego oderwanego świata należą mniéj lub więcéj wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka". Trzeba i dla tych ludzi coś zrobić. Zapalną ich wyobraźnię i tak zapalne na krótki czas serce zajmuje ów Podbipięta, rycerz silny a czysty, ale dowodzi im dopiero czegoś — o ile książka dowieść może — los współczesnego, bliższego im Leona, chorego, jak wielka ich część, i nauczającego ich swoim przykładem. Oni nie mają, niestety, ani tego ramienia, zdolnego uciąć głowy trzem pohańcom, ani téj duszy prostéj, niezmąconéj i stałéj. Więc skłonni są do czytania dziejów Podbipięty, jako pięknéj, od życia oderwanéj legendy. Chory Płoszowski przyjdzie natomiast do swoich i swoi go poznają. Prawda, że zdrowi podniosą może okrzyk na widok tego człowieka, dotkniętego zakaźną chorobą. Przypatruję się wobec takich okrzyków temu, co u nas czytają, i widzę, że młodzież i kobiety, t. j. właśnie ci czytelnicy, którzy najłatwiéj wpływom uledz mogą, znają dokładnie stan duszy i dzieje osób innéj, zupełnie innéj moralnéj wartości, postaci, stwarzanych umiejętnie przez obcych pisarzy. Gdzie nie dochodzą tomiki oryginalne, w żółty papier oprawne, tam spotykam drukowane na bibule przekłady. Wobec tego czuję w krzykach oburzenia dużo świadoméj lub nieświadoméj hipokryzyi. Jest jednak i tyle nieporozumienia, że zbiera ochota wdać się w tę sprawę i starać się ją wyjaśnić. Artyści zarzucają krytyce zbyt często, że stawia tylko mury między publicznością a nimi; a jednak minęły czasy, kiedy ogłaszała ze swéj stolicy bezwzględne wyroki, i dziś nie wierzy ona sama w doniosłość swego powołania. Niechaj wolno będzie się pokusić o skierowanie jéj raz jeszcze ku najszlachetniejszemu z jéj zadań; niech się odważy zająć stanowisko pośrednika między wielkim pisarzem a szeroką publicznością.

I.

Jest to charakterystyczną dzieł Henryka Sienkiewicza zaletą, że stają się one odrazu zupełną własnością społeczeństwa i, jako takie, podlegają, nietylko w pismach i dziennikach, ale i w życiu prywatném, nieustannym roztrząsaniom i dyskusyom. Każdy ma u nas niejako prawo do Sienkiewicza. Pisarz, który nas do tego przyzwyczaił, że się nim ogół rozkoszuje i zachwyca, musi każde indywiduum z osobna zadowolnić. Tak-to się podziw i sławę opłaca. Wszystkie wyższe talenta wprawiają czytelnika w złudzenie, że on-to dopiero myśl autora prawdziwie zgłębił i rozumie. Ponieważ mamy tu prawo spodziewać się jeszcze dzieł niepospolitych, pragnąłby niejeden czytelnik, aby Sienkiewicz po jego myśli talent swój zużytkował. Pisywał on dotychczas „dla pokrzepienia serca“, a daje teraz postacie chore i fabułę niemoralną. Dziennika, w którym wychodziła ostatnia jego powieść, nie mogli czasami ojcowie rodzin pozostawiać na stole.

I rzeczywiście, nie jest „Bez dogmatu“ dla wszystkich warstw i osób wszelkiego wieku właściwą lekturą. Dziś leży jednak utwór w trzech tomach przed nami i zarzut utracił chwilową swą doniosłość. Bo nie będąc dla wszystkich odpowiednią, może być książka tém skuteczniejszą dla wielu. I nie pokrzepiając serc, może jednak sumienia oświecać. Wiem dobrze, iż ten i ów zgorszył się powieścią, sądząc, że jeżeli Sienkiewicz poświęca tyle pracy charakterowi Płoszowskiego, to chce zapewne idealizować chorą jego naturę. Miałby on może śliczny temat do nowéj powiastki we wszystkich tych dowodach niezrozumienia, gdyby go talent nie wiódł ku wyższym zagadnieniom i objawom Wyzyskałby to jaki pisarz w rodzaju Gustawa Flaubert, owego malarza prowincyonalnych zakątków i zbieracza ludzkich śmieszności, którego Jerzy Brandes raczéj imbecylistą, niż realistą, nazywa. Bo znaczenie i pojęcie literatury powieściowéj zmieniło się z gruntu w ostatnich lat dziesiątkach, i kto wie, jak tenże Brandes powiada, czy nie wypadnie nawet wyrazu „powieść“ jakim innym zastąpić. W belletrystyce szukają czytelnicy po wsze czasy rozszerzenia swego widnokręgu, wrażeń, których im szczupły zakres własnego życia nie daje. Ale kiedy Emma Bovary, wyhodowana jeszcze na romantyzmie, chciała przedewszystkiém czuć więcéj, niż na to jéj egzystencya pozwalała, żyć więcéj sercem, wyobraźnią może i zmysłami; to my, dzieci chłodniejszéj i bardziéj umysłowéj epoki, pragniemy raczéj *wiedzieć*, co się w innych duszach dzieje, szukamy nie tyle przejmujących uczuć, co poczuć subtelnych. Wyrażenie „bohater

powieści", dla oznaczenia głównéj działającéj osoby, jest dawnych, daleko sięgających czasów, spuścizną, dzisiejszy wyraz brzmiałby zupełnie inaczéj i byłby najpewniéj zapożyczony z naukowego języka. Codzienna mowa określiła zresztą najlepiéj stanowisko nasze wobec uczuciowéj powieści, nazywając wszelkie, napotykane nietylko w książkach, ale i w życiu, sentymentalne brednie romansami. Panuje dziś na ich miejscu studyum psychologiczne. Wobec naukowych pretensyi całéj téj literatury wystąpiły stany chorobliwe na pierwszy plan, nietylko jako ciekawsze, ale i jako ważniejsze. Znam tyle medycznych książek o chorobach, ale nie wiem, czy istnieje monografia, określająca zdrowie. A dzisiejsza literatura — nie mówię o rezultatach, ale o zamiarach — chce naśladować metodę naukową i ufa czasem, że do jéj wyników się zbliży.

Dziwno mi, że objaśniam takie stare dzieje. Jak to jednak i Płoszowski uważa, jest u nas tyle odrębnych kierunków i pojęć, tyle nowoczesnego pojmowania życia i tyle z drugiéj strony umysłowych nawyknień, że, chcąc mówić o dziele tego rodzaju i znaczenia, co „Bez dogmatu", potrzeba zaznaczyć stanowisko, z którego się wychodzi i które się poniekąd za stanowisko samego autora uważa.

Mamy tu oczywiście objaw choroby, nie nieuleczalnéj może, ale tak zaniedbanéj, że musiała się katastrofą zakończyć. Nie wdając się chwilowo w przyczyny groźnego stanu, zwrócę tylko uwagę na niektóre strony natury Płoszowskiego i na niektóre szczegóły w przebiegu jego dziejów. Jest to człowiek chory na „nieudolność życiową", natura w gruncie szlachetna i tém smutniejsza w upadku. Psychofizyologowie tłómaczą wolę, jako rozwiniętą i skomplikowaną formę odruchu, niby odpowiedź jednostki na wrażenia świata zewnętrznego. Otóż Płoszowski ma percepcyą tych wrażeń, ma ich zupełną świadomość. Odczuwa mnóstwo odcieni, z których sobie mniéj wytworna natura nietylko sprawy zdać nie może, ale ich wprost nie doznaje. Nie ma natomiast prawie wcale owego odruchu, owego czynnego wystąpienia wobec otaczającego go koła zjawisk, ma co najwyżéj porywy w tym kierunku, przelotne zapały i chęci, nie posiada zaś wcale owéj stałéj, przewodniéj i rozumnéj w skutkach swoich siły, którą w codziennem życiu nazywamy wolą. Gubi się on w różnorodności swych wrażeń, bo skala ich jest tém większą, że niepospolita inteligencya, zmysł estetyczny, wielkie oczytanie rozszerzyły jego horyzont, a z praw dziedziczności, z wychowania i z kolei życia musiał być wrażliwym. Porównywa się on sam do zamykającéj swe liście za lada dotknięciem mimozy. I przez ciekawą łączność zjawisk miewa on tejże mimozy nieubłaganą krwiożerczość, kiedy znudzony, doprowadzony do rozpaczy chaotycznością swych wrażeń, chce indywi-

dualność swoją wyraźnym faktem zaznaczyć. Niéma nic brutalniejszego nad niezgodne z sobą i wahadłowe natury: „słaby tylko rzeź wybiera“. W gonitwie za ustaleniem wrażenia, nie pyta on o zwykłą delikatność swych uczuć i poświęci wszystko dla chwili, nie z uczuciem Horacego, który każe z dnia korzystać i gotów może potém skutki swoich uniesień opłacić, ale z gorączką natury, szukającéj niezbędnych jéj poczuć nowych. Może on wziąć wtedy szał zmysłów za uczucie, a wyobraźni ma dosyć, aby jak Laura siebie samą, tak on swą miłość ubierać w słońce, poezyę i sztukę. Ale zna życie zbyt dobrze, aby już wśród zapału gorycz rozczarowania przeczuwać, a posiada naturę zbyt rafinowaną i szlachetną zarazem, aby uciec od boleści, następstw swego postępowania. Owszem skacze on, przymrużywszy oczy, jak nurek, w samą otchłań udręczeń. Czasami wobec rzeczywistego i głębokiego cierpienia doznaje on jakby potrzeby, moralnego przymusu, oddania się zupełnie goryczy, ma jakby punkt honoru w wyczuwaniu wszystkich swych boleści. Przytém szlachetniejsza to doprawdy istota, a zarazem syn narodu, o którym mówił kaznodzieja, że kobiety są w nim mądre a mężowie czuli, stary zaś książę Metternich powtarzał, że więcéj od innych społeczeństw wydaje rokujących świetne nadzieje młodzieńców. Jeżeli wyrobienie i wydelikacenie uczucia dostarcza mu coraz nowych przedmiotów boleści, to zdwaja ją jeszcze świadomość choroby moralnéj. Auskultuje się on nieustannie i rzuca raz wraz, jak z lekarskiéj lampy, promyczek światła do wnętrza ran własnych, zajęty wiecznie dyagnozą, a z góry wierzący w możliwość ozdrowienia. Bo wyniki swoich analiz uważa on znowu za przedmiot analizy i zachowuje się tak sceptycznie wobec własnéj niewiary, że już nie pyta nawet, gdzie jest prawda? Dla człowieka, oplątanego w taką sieć zwątpień, wplecionego w koło takich męczarni, niéma już rady, ni ratunku. Życia już nie może rozpocząć na nowo, ani go zwrócić na normalniejszą drogę, chociażby nawet ku większéj swojéj rozpaczy czuł ciągłą za prostém istnieniem tęsknotę.

Złudną jest nadzieja powrotu do zdrowia, budząca się w nim, kiedy napotkał kobietę, może równie, jak on, w naturze swéj wytworną, ale pod względem prostego pojmowania życia zupełnie odmienną. Zaczyna ją kochać, działa ona na niego uspakajająco i błogo. A że i Anielka go kocha, wyciągnąć więc mu tylko rękę po szczęście i spokój. Tu się odzywa jednak zaraz pierwszy grzech pierworodny Ploszowskich: nie znają wartości czasu, bo go nigdy nie rozmierzali na prace. Oddany wiośnie swego serca, Leon nie oświadcza się Anielce. Studyuje siebie samego, cieszy się naiwnym rozkwitem jéj duszy, daje jéj do zrozumienia, że ją kocha i że o jéj rękę poprosi;

ale nie ma owéj potrzeby ludzi normalnych zamienienia odrazu pragnień w rzeczywistość i, znając się dobrze, nie radby pustki zatrzasnąć odrazu za sobą. Objawia się przytém całe skomplikowanie, cała podwójność jego natury. Rzekłbyś, że raz sprawia mu pewną rozkosz pokorne wyczekiwanie Anielki, raz znowu powstrzymuje go to i zawstydza, że potrzebuje wyrzéc jedno tylko słowo, aby mu otwarła ramiona. Więc trwa w wahaniu daléj. Mała to na pozór wina, jak na pozór niejedna wina Płoszowskiego, ale dowodząca istotnéj nieudolności życiowéj. Życie idzie naprzód, a kto, jak on, ciągle czeka, musi dożyć chwili, w któréj go zaskoczą przeszkody. Czyż będzie je ów Leon zwyciężał, który z pomyślnych warunków korzystać nie umiał? Zanim się zdołał Anielce oświadczyć, powołała go daleko ciężka choroba ojca. U jego łoża zaczął się znowu nad Anielką zastanawiać, bo z innéj perspektywy mógł się jéj inaczéj przyglądać. Nie odmówił sobie rozkoszy marzenia o niéj z daleka. „Zarzucałem kobietom, że nad samo uczucie przekładają formy uczucia, a podobno i mnie chodzi o to, by się wypełniły wszystkie“.—Czy jéj nie kochał? Owszem, po swojemu, całém swojém jestestwem, całą swą rozległą a nie głębszą zdolnością kochania. Przyszła śmierć ojca, znowu inne wrażenia, potrzeba samotności, zagłębienia się w bólu. Takie natury kochają się w rozpaczy; nieszczęście jest dla nich mniéj dotkliwe od codziennych przykrości, od nerwowych udręczeń, bo z pierwszego mogą układać sobie dramat, a drugie pozostają głuchą, martwą prozą. Przyszło wreszcie ukojenie po bólu, przyszło w postaci innéj kobiety, i zaraz, jeszcze wśród uciech, zaczęła powracać gorycz do ust i jął w głowie kołatać wyrzut zdradnego opuszczenia Anielki wraz z myślą o saméj Anielce. Wśród podobnych wahań, wśród błogiéj ciszy, po zerwaniu z tamtą kobietą, dochodzi go wieść o zamierzoném małżeństwie Anielki ze wstrętném Płoszowskiemu indywiduum, z Kromickim, i wtedy — jest to jedném z arcydzieł subtelnéj psychologii Sienkiewicza — cała niechęć do Kromickiego przenosi się odrazu na Anielkę. Bo dla Płoszowskiego ona nie jest ludzką istotą, ale arcydziełem, nie kobietą, ale postacią, i psuje ją w jego oczach myśl, że ktoś tak niski i wstrętny może wzrok na nią podnosić. Bo Leon nie kocha jeszcze wtedy uczuciem szczerém i głębokiém: zrodzi się ono dopiero z bólu i rozpaczy. Z czasem się on dopiero przekona, że kto nie zdołał wziąć sobie za dewizę słów Wiktora Hugo: „miłość—to czyn“, ten musi poznać, że „miłość—to cierpienie“. W téj chwili swego rozwoju pragnie tylko Płoszowski Anielki, jak źródła wody orzeźwiającéj i świeżéj, trochę jak wód źwierciadła, w którém swą postać odwzorzy. Postanawia wprawdzie jechać po nią, ale po namyśle wysyła tylko list — przez delikatność i lękliwość sumienia—

i list ten, dla różnych drobnych poczuć i odcieni, wypada zupełnie odmiennie, niż początkowo sam piszący pragnął. Myślę, że wstyd mu trochę iść z objęć Laury w ramiona Anielki. „Niewyczerpaném źródłem wahania się i słabości—mówi on raz słusznie—jest miłość własna, próżność i kokieterya względem innych“. U niego bywa ona często wyższego rodzaju: chce się podobać tak wybrednemu sędziemu, jakim jest sam, a chęci téj nie można potępiać. Nie istniałoby właściwie bez niéj poczucie honoru. „Przy całym swym sceptycyzmie— pisze on inną razą — posiadam zdolność odczuwania skrupułów, doprawdy godną płoszowskiego wikarego“. Dodajmy, że w umyśle jego zatarła się różnica między wielkiemi a drobnemi sprawami, i wszystko, co jego osobiście obchodzi, wydaje mu się równie ważném; bo człowiek ten, który nie jest bynajmniéj chłodnym z natury egoistą, nie zna właściwie nic na świecie, prócz siebie. Odwykł od patrzenia na świat, tak zajął się bolesną analizą swéj duszy, z niczém się nie zżył, niczego nie ukochał. Wszystkie sercowe potrzeby skupiły się dopiero dość późno, na pograniczu między młodością a podeszłym wiekiem, w jednéj kobiecie. A tymczasem „krytyka wszystkiego i samych siebie wyżarła w nas siły dodatnie, brak nam podstaw, brak punktu wyjścia, brak wiary w życie. Oto, dlaczego ja naprzykład nie tyle chcę posiadać Anielkę, ile boję się ją utracić“.

Stało się, czego się lękał. Anielka obiecała rękę Kromickiemu i żadne prośby i namowy nie zdołały skłonić jéj do cofnięcia przyrzeczeń. Płoszowski przeszedł wtedy przez dziesięć miesięcy tak elementarnego bólu, że przestał się nawet analizować i dziennika nie pisał. Odnalazł Anielkę jako kobietę zamężną. Łudził się czas jakiś, że go tym razem stan jego nerwowy od cierpień obroni, że pani Kromicka zabije miłość do Anielki. Niestety, taka jest prostoty siła, że się jéj wdziękowi najbardziéj skomplikowany z ludzi oprzéć nie może. Zapomina on o złotém widmie swém dawniejszém, ale zaczyna kochać kobietę. I doznaje całéj goryczy téj prawdy, że „miłość do cudzéj żony, jeżeli jest pozorną, jest podłością; jeżeli jest rzeczywistą, jest jedném z największych nieszczęść, jakie człowieka spotkać może“. Dziwne zdania — nie prawdaż? — jak na niemoralną książkę.

Z początku żyje w nim jeszcze dawny zdobywca serc kobiecych, ale nie trwa to długo. Sceptyk wobec cnoty niewieściéj błaga, jak żebrak, o odrobinę współczucia i czystéj miłości. Pod wpływem Anielki zrywa się nawet przez chwilę do innego życia, któreby było użyteczniejszém i lepszém. „Większa część moich dawnych poglądów podarła mi się nakształt starego ubrania“. — „Czasem przypominam sobie, że Anielka mnie kochała, że mogłem się z nią ożenić i mieć życie ogromnie jasne, ogromnie szczęśliwe; że wszystko zależało ode-

mnie". Wracają mu wtedy szalone pomysły do głowy, i on, człowiek delikatny i rozumny, stacza się, przynajmniéj w myśli, na krawędź hańbiących czynów i zbrodni. Nie ma świadomości waryacyi, ale rozumuje z jednostronną, natężoną jasnością szaleńców. I wszystkie prośby, wszystkie zdrady, wszystkie porywy zamierają wobec téj kobiety, dość silnéj, aby się wydawać obojętną. „Z całą moją przebiegłością, z całą znajomością życia, uczuć, ich dyplomacyi, zostałem poprostu pobity przez tę istotę, prostszą ode mnie, mniéj świadomą taktyki życiowéj, mniéj przezorną i mniéj obliczającą każdy krok. Zostałem pobity — niéma gadania!" I nie przyszły Anielce na pomoc żadne szczególne okoliczności. „Zbieram oto całą przytomność i pojmuję, że tych, co mają być zdruzgotani, druzgoce siła nadzwyczajnych zdarzeń; ale ze mną jest co innego. Mnie rozdziera zwyczajny tryb rzeczy. I im to jest bardziéj naturalne, tém straszniejsze". Tu dramatów nie można sobie układać. Bo oto dobił Płoszowskiego fakt, tak w najściślejszém tego słowa znaczeniu naturalny, że kobieta zamężna spodziewa się zostać matką.

Całą sztuczność życia rozbija życiowa prostota, całą sceptyczną i rafinowaną dyskusyę z obowiązkami życia rozsypuje w puch proste, naiwne ich pojęcie. Więc kiedy Płoszowskiemu zabrała śmierć Anielkę, jedyny cel widomy jego życia, zostało mu tylko bolesne poczucie nicości, i w nim, i dookoła niego, i pozbawiony w gruncie wiary, poszedł tam, gdzie absolutną nicość spodziewał się zastać.

Zupełne to bankructwo rzuca najlepsze światło na cały stan i całe postępowanie Płoszowskiego. Powiedziałem już, że winy jego wydają się czasem niewielkiemi, ale na dnie ich leży wielka próżnia, z win wszystkich największa. I mały stosunkowo grzech musi wtedy ściągać — nieubłaganie i tragicznie — w otchłań nieprzejrzanego nieszczęścia. W tém spoczywa wielka moralność utworu.

Czytelnik, który w ten sposób całość powieści pojmuje, musi i pojedyńcze jéj sceny uwzględnić. Bo cóż musiało na pierwszém miejscu rozwijać nieudolność i miękkość Płoszowskiego, jeżeli nie obcowanie z takiemi kobietami, jak Laura, i tego rodzaju Capua, jak w Peli? A przytém trudno chyba podobne sytuacye piękniéj na poezyę transponować i szybciéj zapuszczać na nie zasłonę. Odpowiadało to zresztą nietylko usposobieniu autora, ale i naturze bohatera. A musi być przecież w utworze tego rodzaju, co „Bez dogmatu", nietylko etyczna, ale psychologiczna i estetyczna prawda. Na te ostatnie chciałbym zwrócić po kolei uwagę.

II.

Ażeby sobie zdać sprawę z natury Płoszowskiego, musimy się przyjrzeć nietylko dziejom, ale uwzględnić rodzinę, wychowanie, słowem to wszystko, co od jakiegoś czasu nazywamy polskim wyrazem „środowisko“. Jest on synem starego, zamożnego, a podobno i nieco przeżytego rodu. Nie pod względem muskularnéj siły albo odwagi, albo nareszcie przelotnéj ochoty do czynu,—wyłącznie pod względem uzdolnienia do pracy. Matka umarła przy jego urodzeniu i kobiecą tę nawskroś naturę hodowali zrazu dwaj mężczyźni: włoski ksiądz, który zwracał, zdaje się, jego uwagę raczéj na estetyczną, niż na moralną stronę religii, i ojciec, nader ciekawy, a pysznie, choć w krótkich słowach, nakreślony typ zanikającéj epoki. Należy on do téj generacyi, która szuka prawdy w Berlinie, w metafizyce niemieckiéj, i chce na drodze czystego rozumowania dojść do odpowiedzi na wszystkie swe zagadki. Stary Płoszowski jedzie jednak potém do Paryża. Tam poznaje on potęgę, któréj my właściwie już nie znamy, salon, czyli, jak pisze mądra i wykwintna kobieta, zgromadzenie pięknych kobiet i mężczyzn świetnych, świetnych i zazwyczaj wpływowych zarazem. Ma on tam wielkie powodzenie, zową go „Léon l'invincible“. Nie przestaje jednak czuć wyższych w życiu interesów i pragnień. Zaznajamia się z Montalembert'em. Nie zrzekając się różnych poglądów swego wieku, zbliża się pewno do tak zwanego „liberalnego katolicyzmu“. Śmierć żony odwodzi go ostatecznie od metafizyki do wiary. O rodzinnych stronach nie przestaje myśléć za granicą, ale myśli zawsze w swój sposób. Należy do pokolenia, którego świetny i szlachetny przedstawiciel kazał sobie, jako dowód zasługi, wypisać na grobie te słowa: „żył w kraju“. Wierzy w Europę, jako w abstrakcyjne i piękne pojęcie. Osiada w Rzymie i doznaje tych specyalnych, pogodnych, umysłowych roskoszy, których każdy podróżny zakosztował choć trochę w pałacach pod Kapitolem i w willach na Gianicolo leżących. Zebrawszy całe muzeum starożytności, chce je przez miłość dla ziemi rodzinnéj gościnnemu Rzymowi zapisać. „Widzisz—mówi do syna—tam niktby ich nie widział, niktby z nich nie korzystał, a tu cały świat przyjeżdża i każdy przeniesie zasługę jednego z członków społeczeństwa na całe społeczeństwo“. Coby dał, za ileby sprzedał tę admiracyę obcych człowiek z innéj, z trzeciéj generacyi, naprzykład taki dr. Chwastowski, który na téj ziemi, gdzie wyrósł, budzi życie duchowe, nie dba może wiele o muzea, a z pewnością nic o sąd Europy, i łatając biedę, gdzie może, wydaje drobne hygieniczne pisemka dla ludu?

Takiego-to niepraktycznego ojca ma Płoszowski. Pyszna postać! Widzę go, pięknego, siwego patrycyusza, jak, na kilka dni przed śmiercią, z fotografią Anielki w ręku, prawi podniośle o piękności i dodaje, że najpiękniejszą na świecie rzeczą jest kobieta. Najpoważniejsze jego myśli, najgłębsze wierzenia mają w sobie jakąś estetyczną przymieszkę. W najszlachetniejszych uczuciach jest coś z duchowego sybarytyzmu szczęśliwszéj epoki. Był czas, kiedy wolno było myśléć, że się stosunkami z zagranicą, uniesieniami, podnoszeniem poziomu pewnego moralnego ciepła na świecie, sprawom bliższym służy. W wychowaniu młodego Płoszowskiego znać wyraźnie chęć wyrobienia w nim tych szlachetnych poczuć z jednéj, a nadania wytwornéj ogłady z drugiéj strony. Kiedy się tego okaże potrzeba, będzie wtedy mógł młody Leon zająć odpowiednie swemu rodowi i zdolnościom stanowisko, może jako ambasador, albo minister, chociażby bez teki. On został tymczasem „geniuszem bez teki“, jak się sam wybornie nazywa. Bo o to, czy w każdym razie będzie użytecznym człowiekiem, nie zdawali się pytać jego przewodnicy. Kiedy, oddany do do kolegium do Metz, uciekł chłopiec do Don Carlosa, sprowadzono go wprawdzie do szkoły, ale widział on dobrze, że krok ten, dowodzący ostatecznie dzieciństwa, ale i szlachetności — jeden z rzadkich energicznych czynów jego życia — wzbudził w ojcu i w nauczycielach kolegium tajone zadowolenie. Dumni byli z takiego legitymizmu i z pochopności rycerskiéj, a nie trudzili się myślą, w jakim kierunku się zapał ten rozwinie. Cieszyli się przytém ogromną łatwością chłopca do nauki; pozostał on téż zawsze bardzo zdolnym, chociaż do niczego niezdatnym człowiekiem. Mniéj świetni od niego koledzy w Metz i na uniwersytecie warszawskim powychodzili na daleko użyteczniejszych ludzi. Szczęście, że go przynajmniéj przysłano na czas jakiś do Warszawy i że mógł poznać wtedy społeczeństwo i zawiązać długotrwałe stosunki. Jest to jedyny zdrowy i prosty pomysł w całéj jego edukacyi.

Po szkołach, gdzie z książek uczą, nastąpiła ówczesnym obyczajem druga szkoła. Była to epoka, kiedy kobiety kończyły jeszcze edukacyę młodzieńców. Płoszowski spędził te lata swego życia w wielkim świecie paryskim, schodząc od niego do półświatka, w Dumasowskiém i po części w naszém pojęciu wyrazu. Wyszedł ztamtąd zachwiany w swoich egzaltowanych zapatrywaniach na życie, które na to tylko, jak się zdaje, hodowano, aby się mogło stać łupem wszelkich poprzedniczek Laury Davis. Wyszedł więc pełen sceptycyzmu życiowego i niewiary w natury proste a czyste. Zachwiały się i te religijne przekonania, w których atmosferze wyrastał. Nie wiemy pod tym względem nic pewnego, ale nie sądzę, aby Płoszowski prze-

chodził przez wielkie wewnętrzne walki, zanim doszedł do swego religijnego sceptycyzmu, jeżeli można tak nazwać próżniacką jego obojętność. Słyszałem nieraz z ust mądrego człowieka, że o pracę myśli najtrudniéj jest w Polsce, i zdaje mi się, że Leon nie miał nigdy dość skupienia, aby rozważyć, czy i w co on téż wierzy? Dlatego zachował pewne pozory i zewnętrzne strony wierzącego człowieka, nie pozbył się nawet poszanowania dla religii, byle mu tylko nie zawadzała w życiu, a raz, w chwili, kiedy się los jego i Anielki rozstrzygał, dał przez jakieś odrodzenie się wspomnień na mszę u P. Maryi w Krakowie, „na intencyę Leona i Anielki.“ Nie zerwał otwarcie z religią, przez delikatność serca, ażeby ojca i bliskich nie zasmucać, a i po-za tém idzie krok w krok za nim poczucie lepszego życia i spraw podnioślejszych świadomość. Nie jest w tym stopniu „bez dogmatu,“ co „bez pracy.“ I chociaż twierdzi, że przyrodnicze dzieła stworzyły jego niewiarę, sądzę, że jest i w tém ów optymizm względem siebie samego, który się u najzapamiętalszych autokrytyków spotyka. Przyszła poprostu chwila, w któréj niewygodną religię na bok usunął, a stać się to mogło łacno pod wpływem atmosfery Paryża. „Nie znam żadnego miasta w świecie — pisze on — gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólnoludzkie, krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w głowy ludzkie, jak tam.“— „Wiadomości różnorodne a zawsze względne ulatują tam, jak rój niewidzialnych atomów—pisze podobnie Bourget w studyum swém o Renanie – oddychać w Paryżu, to połykać te atomy, to stawać się krytykiem, wychowywać się na *dyletanta*. Zapewne, wielu jest takich, co opierają się tym wpływom, ale ci muszą się przez reakcyę podnieść aż do fanatyzmu“ [1]). Rzecz prosta, że może to być tylko głębszych i bardzo samoistnych natur udziałem. Podobny podróżnikom, którzy, patrząc na coraz inne obyczaje różnych stref i lądów, dochodzą do obojętności dla wszystkich, począł sobie Płoszowski ważyć zarówno wszystkie zapatrywania i pojęcia. Działały na niego tak różnorodne, sprzeczne z sobą wpływy, że schronił się do indyferentyzmu, jak do cichego portu. „Być może—pisze on—iż takie uwzględnienie wszelkiego rodzaju zasad prowadzi do pewnej obojętności na wszystkie i odbiera energię w działaniu, ale już nie potrafiłbym być innym. Prąd umysłowy niósł mię—płynąłem.“

A daléj powiada: „Idę mniéj więcéj razem z ruchem umysłowym mego wieku.“ Zapewne, ale o ile światowiec iść może. Widuje dużo ludzi, pracujących umysłowo, uczonych i artystów, i czasem, kie-

[1]) Essais de psychologie contemporaine. Paris, 1886, str. 74.

dy mu życie bezczynne obmierźnie, zamknie się na dni kilka i zapomina godzin nad jaką nową książką. Są to przelotne szały. Cytuje on w dzienniku swoim kilka dzieł naukowych, ale to właśnie, że je cytuje, pozwala mi przypuszczać, że stoją one po-za nim, zwłaszcza, że cały dziennik dowodzi, iż jest on w jedném tylko – i to w mniéj korzystném znaczeniu wyrazu—„nowoczesnym człowiekiem.“ Słowa te mają dzisiaj podwójne znaczenie. Nazywamy niemi raz zdenerwowane, nie mające praw do jutra, tonące zupełnie w sceptycyźmie indywiduum, raz znowu istotę, ufną w przyszłość, istotę, któréj krytycyzm ma naukowe podstawy i któréj zostało jeszcze bardzo wiele wiary w naukę. Do ostatniéj kategoryi należy pewno d-r Chwastowski, zaledwo nakreślona sylwetka, do pierwszéj—oczywiście Płoszowski. Charakterystyczną cechą jest i jego admiracya dla „Hamleta“, i brak dowodów, aby rozczytywał się w „Fauście.“ Bo pierwszy mógł wprawdzie zaczerpnąć trochę niewiary w Wittenberdze, ale z własnych dramatów życiowych doszedł za młodu do swego wielkiego pytania; drugi posiwiał nad retortami, zanim się przekonał, że my niczego wiedzieć nie możemy. Płoszowski ginie téż tragicznie, jak Hamlet, nie dostępując zbawienia, obiecanego w „Fauście“ tym, którzy się „w czynach trudzili.“

Otóż tego trudzenia się nie widzę nigdzie w Płoszowskim. Im więcej się zastanawiam nad nim, tém bardziéj wydaje mi się, że kluczem do zagadki tego duchowego stanu i tych losów są słowa, które on nie o sobie samym, ale o całéj sferze społecznéj i intelektualnéj wypowiada: „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mrówczéj pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów namiętności, codziennych wysileń—życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się, jak morze; a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze,-miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, *wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich.*“ W tych słowach zawartą jest, mojém zdaniem, główna przewodnia myśl powieści.

Bo tylko brakiem zajęcia mogę sobie analizę Płoszowskiego wytłómaczyć. Nie dziwię się, że człowiek ten, jak ja go pojmuję, zapomniał choć chwilowo i nawpół tylko dla Laury o Anielce, owszem gotów jestem najwięcéj podobnych zapór przyjąć; ale nie zdaje mi się równie prawdopodobném, aby Anielkę „przefilozofował.“ Człowiek, który na trzydzieści pięć lat życia strawił przynajmniéj piętnaście na miłostkach, mniéj lub więcéj poetycznych, i na estetycznych wrażeniach, miewa zazwyczaj bardziéj syntetyczną, mniéj świadomą siebie naturę. Lęka się nawet pogłębienia uczuć swych i życia, bo lęka

się gorzkiéj prawdy. Żadna ze zwykłych przyczyn autokrytycyzmu nie da się do Płoszowskiego zastosować. Nie nauczył go analizy ani skrupuł religijny, ani rachunek sumienia, ani konfesyonał. Nie zaczął on też filozofować o świecie i sobie dlatego, aby wszystko przenicować i wydrwić, jak to czynią natury nawskroś zepsute, szukające wytłómaczenia dla swego egoizmu; w duszy jego pozostało jeszcze ogromnie wiele szlachetnych uczuć i popędów. Nie wprowadziła go też na te tory metoda naukowa i nauka, wątpiąca dziś o wszystkiém, ażeby jutro posiąść prawdę wszystkiego. Nie dziw, że analizują się ciągle bohaterowie Bourget'a, taki Greslou albo Claude Larcher—stało się to już u nich umysłowém nawyknieniem: pierwszy z nich zajmuje się najzawilszemi psychicznemi zagadnieniami, jako uczony, drugi jako obserwacyjny powieściopisarz. Spotykany nieraz zarzut, iż najnowsze dzieło Sienkiewicza powstało jakby pod wpływem Bourget'a, tłómaczy się właśnie owym nadmiarem analizy i może się na pierwszy rzut oka wydawać prawdziwym. Ale, badając autokrytycyzm Płoszowskiego, znaleźlibyśmy niewątpliwie odmienne w nim cechy, bo przyczyna jego jest inna. Tylko ciągła bezczynność, tylko to *ja* niezmienne, niby oś stała wśród wirującego koła wrażeń, sytuacyi i krajów, to *ja*, którego się pozbyć nie może i po-za którem właściwie zajęcia żadnego nie ma, ta jego stałość w wiecznéj niestałości, tylko takie czynniki mogły wywołać u Płoszowskiego zwyczaj rozkładania każdego uczucia. Pomimo zwątpień swoich i wewnętrznych niesnasek, pracują i Greslou, i Claude Larcher, jeden u naukowego, drugi u artystycznego warsztatu, kiedy nasz bohater, uznawszy swoją „nieudolność życiową“, pociesza się tém, czemu wygodne miano „słowiańskiéj nieproduktywności“ chce nadawać. Szczęściem jest to zupełny niemal frazes i Sienkiewicz wie, co czyni, stawiając na trzecim planie postacie Śniatyńskiego, Łukomskiego i braci Chwastowskich. Zwłaszcza ci ostatni wydają mi się mężami przyszłości. Generacya, oddana wyłącznie estetycznym roskoszom i przez samą swoją kulturę własnéj ziemi obca, należy już, ogółem wziąwszy, do przeszłości, i jeżeli nam jutro niebezpieczeństwo jakie grozi, to w małej chyba części z takiéj strony. Po ludziach „bez pracy“ nastąpią może ludzie „bez dogmatu“, i w tém, społecznie czysto rzecz biorąc, musi być w naszych warunkach niepokojący objaw. Pokolenia przejmują jednak wiele od siebie, i nie wiem, czy wahadłowość nerwowéj natury Płoszowskiego i w następcach jego się nie odbija.

Wracajmy jednak do saméj jego postaci, bo chociaż nie jest ona jutrzejszą, ma wszelkie prawo interesować nas dzisiaj. Bohater Sienkiewicza czuje, mówiąc trywialnie, przez skórę, że nowi ludzie zalewają swiat, a on w wieczném wahaniu rozprawia „na jakichś tara-

sach", wysoko ponad nimi. Imponują mu ogromnie Śniatyńscy i Łukomscy, bliżsi mu estetycznemi zajęciami z pośród ludzi pracujących; a jeżeli, zestawiając się z nimi, nie dochodzi nigdy do zbawiennej dla siebie pogardy, to dlatego, że w sądach o sobie samych zaliczamy stale do aktywów i dobre nasze zamiary, podczas kiedy osoby po-za nami stojące mogą w nich zapisywać tylko dobre uczynki. Stąd wielka różnica bilansów. Nie może on zresztą nie czuć istotnéj szlachetności swéj natury, a o skażeniu i wysuszeniu serca mówi słusznie, jako o nieszczęściu, które go spotkać byłoby mogło, ale nie spotkało. „Jest we mnie człowiek — pisze on po odebraniu szlachetnego listu od Klary Hilst—który umie odczuć i ocenić każde słowo tego listu." Bo chociaż kochać już wtedy nie umie, żyje w nim jeszcze najgłębiéj najmniéj samolubne z ludzkich uczuć, współczucie. W parę dni po tém wyznaniu opisuje powrót swój do Płoszowa, do choréj Anielki. Złamany zupełnie, w każdym serca zakątku dotknięty, nie czekający już niczego, prócz bólu, powraca do niéj i dla niéj jedynie. „Piękność jéj prawie zniknęła. Zostały tylko oczy dawnéj Anielki. Ale dla mnie to dosyć. Ta zmieniona twarz zwiększa tylko moją litość i tkliwość — i staje się témbardziéj ukochaną." Lepiéjby mu jednak było sto razy iść „światami", niż patrzéć na nią i wiedzieć, czemu się jéj twarz odmienia. Ale nie, on udaje przed nią ukojenie, nawet wesołość, ażeby nie być ciągłym dla niéj wyrzutem i przypomnieniem boleści. Poświęca to, na co kochającemu zdobyć się najtrudniéj: oto niemą skargę, wyraz choćby najskromniejszy miłości i cierpienia. I tu pyszny szczegół, zdradzający światowego człowieka, posuwającego aż do form zewnętrznych najdelikatniejszą przezorność. „Włosy moje posiwiały tak przy skroniach, że waham się, czy ich sztucznie nie przyciemniać. Nie chcę teraz być starym, ani wyglądać na starego." A niéma już jednak w nim złudzeń lub ufania. Robi się taki cichy, pokorny, uśmiechnięty. Na kartach jego dziennika jest atmosfera tego niezmąconego a trwożnego spokoju, którym otacza się osoby chore a ogromnie drogie. Kiedy odejdzie od Anielki, to na to, aby się naradzać, jakby Kromickiemu byt materyalny zapewnić, sprowadzić go do kraju i z Anielką razem na gospodarstwie osiedlić. „Bóg widzi, że cała dusza wzdrygała się we mnie na samą myśl jego obecności przy Anielce, ale, żeby ofiara była zupełną, postanowiłem wypić i tę truciznę". Gdybyśmy nawet bardzo wielką część téj szlachetności na karb czyśca złożyć mieli, przez który Płoszowski przechodził, pozostałaby jeszcze niepospolita zdolność do uczuć piękniejszych. Ale u natur bardzo chorych, jak u chylących się do upadku narodów, wszystko, nawet lepsze popędy, zdają się popychać do zguby. Rzekłbyś, iż w organizmach, do gruntu

strawionych, jedynym objawem istnienia może być choroba. Względna szlachetność Płoszowskiego utrzymuje go na powierzchni życia, ale nie daje mu znów zajrzéć do głębi. Najbardziéj dręcząca analiza nie odbiera mu ostatecznych złudzeń co do własnéj przyszłości. Bo jeżeli wie, że jest w gruncie dobry, to wie także, że jest bardzo zdolny. Powtarzają mu to do znudzenia przyjaciele i krewni. Jeżeli zaś jest nerwowy i czuły, jak mimoza, to znowu tém lepiéj i nic w tém nie masz dziwnego. Ci, co jak Płoszowski, muszą się w rozstroju swoim uciekać aż do chloralu, pogardzają jednak niemal ludźmi, w których nie wszystko drga i dźwięczy. „Chory wiek — pisze Śniatyński, człowiek, który nie jest ani bez pracy, ani bez dogmatu — chory wiek, w którym tylko osły mają jeszcze jakąś wolę, bo gdy ktoś posiada choć trochę rozumu, to go zaraz użyje do zwątpienia o wszystkiém i przekonania siebie samego, że naprawdę nie warto chcieć czegokolwiek.“ A oto, co mówi wprost Płoszowski: „Lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć najłatwiéj“. Dlatego przesiaduje za granicą. Rzecz to ciekawa, iż koła, w których jest mu swobodnie i dobrze, mają cechy zupełnie od dawnych wykwintnych towarzystw odmienne. Powstała po arystokracyi rodu, talentu i majątku, najnowsza arystokracya nerwów. Różni się ona tém od poprzednich, że wyraz „celowość“ zupełnie już w zakres jéj pojęć nie wchodzi. W Europie całéj, którą przebywa wszerz i wzdłuż, Płoszowski spotyka ludzi, których jedyném zadaniem życia jest uosabiać rafinowanie cywilizacyi i porozumiewać się między sobą językiem wtajemniczonych. Że Leon Płoszowski z Płoszowa ma inne obowiązki, o tém nie zawsze pamięta nasz bohater, a przytém czuje on może znowu tę fatalną wyższość swoją nad innymi. Fortuna, która mu z jednéj strony daje pewność, że nie okryje się on nigdy wstydem i niesławą, służy mu do zaspokojenia wyższych, estetycznych i intelektualnych potrzeb. Jest on napoły tylko, ale szczerze artystą. Jeżeli posiada zbyt wiele krytycyzmu, aby módz tworzyć, to ma znów nadto wyobraźni, aby na bierném stanowisku widza czy słuchacza pozostać. Wyobraźnia jego spełnia w życiu to, co u rzeczywistych artystów czyni w świecie sztuki: obmyśla akcesorya, dobiera tło, wynajduje efekta, tworzy jedném słowem wokoło niego dramat. Oto np. co pisze Płoszowski z powodu choroby ojca: „Bóg widzi, że, znalazłszy go prawie zdrowym, ucieszyłem się szczerze i serdecznie; a jednak, ponieważ przez drogę nabiłem sobie głowę prawdopodobną jego śmiercią, ponieważ widziałem go już wśród świec *i siebie klęczącego przy jego trumnie*, więc doznałem uczucia pewnego zawodu, jakby mi żal było tego napróżnego żalu.“ Wolałbym, co prawda, aby takich ustępów,

a nie wszystkie musiałyby być tak okrutne, było w powieści więcéj, a zwłaszcza, aby nam dano więcéj dowodów estetycznych upodobań Płoszowskiego. Dziwny jego gust dla Carlo Dolce — wprawdzie przez dziecinne lata usprawiedliwiony — i łatwowierność, z którą złotnicze wyroby u Laury Davis uważa za dzieła Benvenuta, rażą mię nawet trochę. Przykro mi, kiedy słowa poety przypominają frazesy literatów i kiedy się na kartach Sienkiewiczowskiéj powieści stary Dumas odzywa. Sądzę, że brak czysto estetycznych wrażeń tłómaczy się owemi ustępstwami dla szerokiéj publiczności, o których wyżéj wspomniałem, i na karb tychże koncesyi położę pewien nacisk na światowość Płoszowskiego. Zaręcza on o tém trochę częściéj, niżby to czynił w dzienniku istotny reprezentant sfer najwykwintniejszych. Czytelnicy, którzy do nich się liczą, zarzucają nawet pewną niedbałość w oddawaniu tonu wielkiego świata i wytykają szereg mikroskopijnych wykroczeń. Nie mogąc wdawać się w kwestye tak subtelne, zaznaczę tylko, że chodziło tu przedewszystkiém o indywiduum, nie o sferę, że taki wiecznie myślący Płoszowski, któryby w każdéj warstwie był niezwykłém zjawiskiem, może się zupełną obojętnością dla języka i form swego świata odznaczać. Zapytam nawet, gdzie większą jest arystokratyczna swoboda: czy w dzienniku takiego szlachcica, jak Płoszowski, czy téż w powieściach Bourget'a, zwłaszcza pierwszych, gdzie w niektórych rozdziałach, arcyeleganckich, czuję jakoś nowicyusza w salonie, żeby nie powiedzieć — dekoratora? Wszakże dziś sam Bourget śmieje się w najnowszéj książce ze swoich opisów salonu.

Rafinowanie, szlachetność i wysoka kultura charakteryzują w każdym razie, i to w niezwykły sposób, bohatera téj powieści, na któréj poszczególne stronice, w braku głębszéj krytyki, położyłem obecnie akcenta. I sądzę, że wszystkie te zalety, z których przy olbrzymiéj swéj świadomości nie może Płoszowski nie zdać sobie sprawy, pozwalają mu ufać, że kiedyś jeszcze odpowie wymaganiom i nadziejom, które taki Śniatyński w nim pokłada. Trudno mu tylko zacząć coś robić wśród wiru wrażeń, którym, wprawdzie na chwilę, ale całą jednak swą duszę oddaje. Tak schodzą mu dni w oczekiwaniu jutra. I tak minęło lat trzydzieści pięć. Płoszowski doszedł do téj „połowy drogi ludzkiego życia," o któréj mówi Dante. Nastała ostatnia chwila, w któréj jeszcze może coś uczynić, a potém trzeba mu schodzić drogą, wiodącą już do zmroku, schodzić z podwójném brzemieniem: umęczenia i żalu.

Wtedy zachodzi mu drogę Anielka.

Płoszowski nie lubi Polek i rys to bardzo trafny, uzupełniający wybornie charakter. Nie lubi ich, jako człowiek, szukający po świecie

miłostek, bo kobiety u nas mają usposobienie chłodne, co najwyżéj do kokieteryi skłonne. Nadto wynika to niejako z definicyi takiego Płoszowskiego, że nie bardzo je ceni. Dla rafinowanéj jego natury kontrast jest może zbyt mały; Polki mają, zupełnie jak on sam, więcéj nerwów, wyobraźni, więcéj zalet intelektualnych, niż wielkiego elementarnego uczucia. Społeczna ich rola nie wchodzi tu w grę, Płoszowski uważa je tylko odnośnie do mężczyzny. I pod tym względem ma on może racyą, a Anielka, którą mimo jéj narodowości tak gorąco i zupełnie pokochał, nie zupełnie zadaje kłam jego zarzutom. Kiedy kochająca go Anielka oddaje rękę Kromickiemu, ma Leon prawo powiedzieć z goryczą: „Ten gatunek Polek woli złamać serce, niż słowo.“

Anielka jest to córka szlacheckiego domu, wyborny typ istoty, którą w potocznéj rozmowie określamy wyrazami „wiejska panna.“ Szkołą jéj był dom, otoczenie, pełne tradycyi obywatelskich, uczciwych i szlachetnych. Wytworność swéj natury zawdzięcza raczéj atmosferze, niż indywidualnemu wyrobieniu. Sądzę, że jeżeli bierze książkę do ręki, to częściéj, aby z niéj uczyć dzieci czytać, niż dla własnéj umysłowéj potrzeby. Istota bardzo czysta, naiwna i niewinna, wychowana na to, aby nic nie znać życia, w którém się swoją drogą, dzięki wielkiemu sprytowi, zoryentuje bardzo łatwo. Miłość nie jest ani marzeniem, ani celem jéj życia. Kiedy ją za dorosłą uznają i pozwalają kochać Leona, kocha go serdecznie i pięknie, prawie tyle z podziwu, co z serca. Ale bardzo śpiesznie oddaje rękę wstrętnemu człowiekowi, skoro się tylko zdawać może, że ją Leon porzucił, a przynajmniéj zaniedbał, i skoro sobie pozwolił na nieszczęsny okrzyk: „życzę panu Kromickiemu szczęścia z panną Anielą, a pannie Anieli z panem Kromickim.“ Gra pewną rolę w przedwczesném tém postanowieniu uległość choréj i staréj matce, któraby los córki i rodzinnego majątku chciała widzieć zabezpieczonym, ale odzywa się tu i dotknięta godność osobista, miłość własna kobiety. Dlaczego nie ma odwagi choć potém zerwać z Kromickim? Polska ta panna nie zdaje sobie snadź z tego sprawy, że kiedy się jednego kocha, iść za mąż za drugiego, dla ochronienia swojéj niewieściéj dumy, nie jest ani szlachetnie, ani nawet zupełnie uczciwie. A jednak pytam, czy większość panien z téj saméj sfery społecznéj postąpiłaby inaczéj? Wiem natomiast, że nie uczyniłaby tego Klara Hilst, córka jakiegoś fabrykanta z Frankfurtu. Pojmuje ona tak dobrze, co jest miłość, że nie chce słuchać oświadczeń człowieka, którego jednak całém sercem kocha, kocha i czynnie, i cicho zarazem. Lęka się, że słowa jego pochodzą tylko z chwilowego rozczulenia i wdzięczności. Tak mądrą jest jéj uczciwość, że nie chce z chwili uniesienia korzystać. Bo by-

łaby może kiedyś kulą u nóg człowieka, którego szczęście ponad własne ceni, i to wystarcza, aby się zrzekła pragnień i marzenia. „Czy pan rozumie—pisze ona pod koniec ślicznego swego listu — że można kochać nietylko z całéj duszy, ale i z pokorą? Ja wiem, że można, bo tak kocham“.

Odkąd została panią Kromicką, zmieniła się i sytuacya, i obowiązki Anielki. Wywiązuje się ona z nich z ogromnym taktem. Nie wysuwa tego jednak na pierwszy plan, że nie jest już dawną, wolną Anielką, nie zaczyna od rozmowy o mężu, wogóle nie mówi o nim prawie wcale przy Leonie. Czuje się ona naprzód trochę winną wobec niego, a zwłaszcza lituje się nad nim głęboko. Staje się więc względną, łagodną i słodką, przebacza mu winy. Czego dla szczęścia dwojga ludzi zrobić nie umiała, czyni to teraz — z litości. Istna córka kraju, gdzie się chwilowém miłosierdziem długi wobec życia opłaca. Bez wielkiéj subtelności umysłu i bez delikatności serca nie podołałaby jednak swéj roli. Musi ona oszczędzać Leona, a na żadną nadzieję mu nigdy nie przyzwolić; musi kryć się z miłością przed nim, a przed matką i otoczeniem z walką i oporem. Uwikłał ją Leon tak mądrze w swe sieci, że niepodobna jéj głośno i wyraźnie oddalić go od siebie i przeciąć węzłów żelazem. Dokonywa ona trudnego zadania, dzięki temu zwłaszcza, że, jak sobie z tego i Płoszowski zdaje sprawę, kocha go ona nie tak silnie, jak on ją. Broni ją zaś ciągle owa natura gronostaja, lękającego się zbrudzić białe futerko.

Bo jeżeli z wyżyn swych nie zstępuje, to nie dla religijnych uczuć, w najabsolutniejszéj ich formie. O ile mi ją dziennik Płoszowskiego odwzorowuje, nie widzę u niéj dowodów ciągłéj pobożności, ani nieustannego religijnego życia. Nie kocha męża, nie ma dzieci, w którychby miłość swoją całą mieścić mogła. Wszystko zaś, co jest w niéj wytworniejsze i podnioślejsze, ciągnie ją ku mężczyźnie, którego właściwie nie przestała kochać i któremu wierzy. Nie opiera mu się téż w starém doświadczeniu, że krótkie chwile jednostronnego szału opłaca się bólem z tysiąca stron, odnawiającym się ciągle. Zdawałoby się, że w takich warunkach upadek jéj nastąpić szybko musi.

Tymczasem tak nie jest. Walki świadoméj niéma wcale w Anielce. Myśl oddania się Płoszowskiemu nie powstała w niéj, nie przeszła przez jéj głowę nawet w formie przelotnego widzenia. Broni jéj siła inna: czysto obyczajowa i ogólna. Tradycya, otoczenie, wiejska ta atmosfera, nie bardzo może w myśli, ale w proste poczucie obfita, wyrobiła w niéj poczucie, że istnieją dwie niepojednane ze sobą siły: złe i dobre, dwa pierwiastki, któreby Płoszowski tylko za

dwa różnorodne objawy uznawał, a między któremi dla niéj istnieje niezapełniona niczém przepaść. Ginęły w niéj po kolei, jak w bezdennéj urnie Danaid, wszystkie Płoszowskiego rozumowania, podstępy i zapały. Pytać, gdzie dobre a gdzie złe, nie potrzebuje Anielka. Pojęcie świata i pojęcie moralności są u niéj równie nieskomplikowane, proste. Natura jej i postępowanie dowodzą najlepiéj, jaką potęgą może się stać dla społeczeństw „dogmat“ i ile im na wyrobieniu odpowiedniéj atmosfery niewzruszonych przekonań zależy. Indywidua, któreby jéj same stworzyć nie zdołały, żyć bez niéj nie mogą i, kochając się w jéj czystości, chcą ją wiecznie mieć wokoło siebie. Silniéj, niż negatywny dowód w naturze Płoszowskiego, przemawia do mnie nauka, płynąca z poznania mniéj inteligentnéj i mniéj świadoméj Anielki. Zarzutu bierności pojąć wprost nie mogę. W bezwiedności swojéj, w swojéj „czystości piór“ i łabędziéj białości, w cnocie swojéj, bez wielkich walk i bez wielkich może zasług, jest Anielka wybornym typem tego rodzaju kobiety, którego Płoszowski z góry znosić nie może i który go, właśnie dlatego, w szlachetném i pięknem wcieleniu tak nęci.

Nie jest nieprawdopodobném, że, jak w przyszłości coraz mniéj będzie Płoszowskich, tak téż i typ Anielki ginąć u nas pocznie. Być może, iż bezświadomość ustąpi przed świadomością, a pomimo chwilowego ścieśnienia kadr arystokratycznych, będzie się społeczeństwo stale demokratyzowało. Czcze już dziś formy salonu znikną wobec rozwoju drobniejszych kół towarzyskich i rodzinnego życia, z czém lepiéj będzie Śniatyńskim, Chwastowskim i innym pracującym ludziom. Wtedy postacie, jak Anielka, staną się rzadkim objawem. Nastąpi po niéj kobieta mądra, wyżéj ceniąca miłość indywidualną, bo na niéj oprze się jéj życie,—bardziéj dla trybu codziennego stworzona. Kobieta w rodzaju pani Śniatyńskiéj, a może raczéj zbliżona do Klary Hilst, równie czystéj i równie godnéj, jak Anielka. I poezya straci na tém tylko chwilowo, bo taki to kwiat cudny i żywotny, że może chyba wszędzie wyrość, a tylko—stosownie do otoczenia—różnorodnie zakwita.

III.

Prostému charakterowi Anielki mogła każda powieściowa forma odpowiedzieć; Płoszowskiego trzeba było natomiast w specyalny sposób oświetlić. Nasuwała się wobec tego forma dziennika; Sienkiewicz wybrał ją.

Dwa razy w ciągu ostatnich stu lat rozwielmożniał się dziennik w literaturze, bo dwa razy zapanował w życiu. Powstaje on, ile razy poczynają się ludzie tém interesować, co się w skrytości duszy ich odbywa. Pod koniec przeszłego i na początku bieżącego wieku zajmowano się więcéj uczuciami; obecnie oddajemy się raczéj badaniu intelektualnych objawów i newrozy. W obydwóch razach wzmaga się stan chorobliwy, dzięki natężeniu świadomości, i sam materyalny akt pisania odrywa ludzi od zajęć i odwraca myśl od spraw, w których znaleźliby łacno zapomnienie, a może i lekarstwo. Ktokolwiek trawił wieczory nad kartkami swego pamiętnika, przyzna mi, że zwyczaj spisywania wrażeń zawdzięcza istnienie bezczynności, ale że naodwrót i próżniactwo z tego rodzaju piśmiennictwa rośnie. U Płoszowskiego jest więc dziennik bardzo prawdopodobnym objawem.

Artystycznie przedstawiał on pewne, nieuniknione niebezpieczeństwa. Przedewszystkiém ogranicza on pole widzenia; ścieśniają się ramy, w których obrębie roztacza nam autor obraz społeczeństwa. Nie zapoznajemy się bezpośrednio z osobami i faktami, widzimy je dopiero odbite w duszy Płoszowskiego, przeniesione na jéj tło, pojęte w jego sposób. Z wyjątkiem Anielki, któréj Leon całą swą uwagę poświęcił, nie powypadały téż wszystkie postacie drugorzędne tak wypukło i żywo, jak to dotychczas u Sienkiewicza bywało. Epizodycznie bowiem występują kolejno Śniatyńscy i Chwastowscy, aby całą obywatelską nicość Leona silniéj uwydatnić. Czasami jednak posiadają te drugo i trzeciorzędne postacie swą niezwykłą, kilku rysami nadaną, żywotność i prawdę, któremi zwykł wielki nowellista ludzi swoich obdarzać: wspomnę tylko rzeźbiarza Łukomskiego, lub handlarza broni. Jeżeli w typowość Kromickiego nie wszyscy możemy uwierzyć, to widzimy wszyscy twarz jego szpetną, gest i monokl w oku. I nie pytamy, dlaczego dba tak ciotka Leona o wyścigowe konie, bo oto widzimy ją, kiedy głośno z sobą rozmawia, i poznajemy opryskliwość osób poczciwych i w gruncie kochanych.

I nie spuszczajmy tego z oka, że jedynie dzięki formie dziennika możemy wniknąć tak głęboko w duszę Płoszowskiego i mieć ciągłe dowody wiekuistéj jego analizy. Cały mechanizm duchowy bohatera odsłania się w ten sposób przed nami, a nadto objawia się nieustanna u niego świadomość. Ostatni ten rys, uzupełniający tak dobrze naturę, byłby się był wobec innego sposobu przedstawienia chwilami tylko przypominał. Należała się przytém nowożytnéj powieści forma, tak nawskroś uowoczesna. Wszakże w pogoni za najindywidualniejszemi poczuciami i najspecyalniejszymi stanami duszy, wydobywamy dziś na światło dzienne czysto osobiste pamiętniki i za-

piski. Powieść zamienia się coraz bardziéj na szereg zanotowanych spiesznie psychologicznych momentów. Niepospolity człowiek, który ani na katedrze, ani w naukowych dziełach, ani w poezyach nie wywierał silniejszego wrażenia i nie zdołał sobie za życia pozyskać nazwiska, został odrazu w całéj Europie sławnym, skoro wydano ustępy z jego dziennika, spisywanego sumiennie, pełnego zaciekłéj i bolesnéj analizy. W parę lat po śmierci zajął Amiel wybitne stanowisko wśród przedstawicieli współczesnéj psychologii, czyli, mówiąc praktycznie, pośród przewódców przyszłych generacyi. I podobnych przykładów możnaby wyliczyć dziesiątki. Nie ma więc dziś nikt prawa robić z formy dziennika zarzutu, bo jeżeli bezładny rzeczywisty pamiętnik budzi tyle zajęcia, to powinna i artystycznie zbudowana powieść, w kształt jego obleczona, zaciekawiać ogół. Przeczuwam tu zarzut: oto istotny dziennik jest niewątpliwym „życiowym dokumentem“. Zdaje mi się, iż mogę się, miast odpowiedzi, do publiczności odwołać i zapytać: czy mniejszą praktyczną wartość mają niektóre, tak trafne, tak na gorącym uczynku schwytane, rysy w „Bez dogmatu“? Twierdzę to w przekonaniu, że trzeba tylko dobrze wsłuchać się w dzieło, a rozpozna się w niém szczere i prawdziwe tony. Bo któżby się z nas dzisiaj zajmował jeszcze krytyką, gdyby nie wiara, że powstaje zawsze jakieś duchowe pokrewieństwo, tajemne jakieś porozumienie się i niemal wspólnictwo, między pisarzem a czytelnikiem, bardzo pilnym i zupełnie nieuprzedzonym? Podniosłem już poprzednio kilka ustępów, dowodzących niezwykłéj subtelności obserwacyi, a mógłbym jeszcze przytoczyć ich bardzo wiele, że wspomnę tylko owo rozdrażnienie, w które wprawia Leona raz monokl Kromickiego, raz szelest gumowego płaszcza. Niepodobna mi tu natomiast przytaczać długich stronic na dowód, jak całe głębokie stany duszy są pochwycone i odmalowane. Zadowolnię się więc tą krótką uwagą, że ci, którzy czytali „Bez dogmatu“ w odcinkach, nie mogą sobie zdać sprawy z artystycznéj wartości utworu. Gdzie mi najmisterniejszemi rysami kreślą wyjątkowe stany duchowe i chcą drobnemi środkami silny nastrój wywołać, tam nie mogę na całą dobę przerywać sobie wrażeń. Przybywam wtedy znieczulony dniem całym, wyrwany z atmosfery wczorajszego odcinka i, zupełnie nie przygotowany, poddaję się wpływowi autora. „Jakiego ja pragnę czytelnika?—pytał Goethe.—Takiego, co siebie, mnie i świat cały puszcza w niepamięć i w książce mojéj żyje“. Do ideału tego zbliżyć się mogą tylko ci, co zagłębili się w owych trzech tomach, tak pięknie drukowanych; gdyby nie staranność wydawców, byłby się tekst w dwóch tomikach pomieścił.—I wtedy dopiero okazuje się, że mistrzowstwo języka nie zawiodło Sienkiewicza. Spotykałem się wprawdzie ze zdaniem, że

konwersacyjnego tonu najwyższych sfer towarzyskich nie oddał, ale gdyby to nawet miało być prawdą, to trudno winić autora, który czystą pisze polszczyzną, kiedy Płoszowscy mówią zazwyczaj po francusku, albo makaronicznym językiem. Pozostała w każdym razie Sienkiewiczowi niemała zasługa. Oto wyraził on szereg myśli najsubtelniejszych w klasycznéj mowie i formie, w polszczyźnie tak czystéj, że się aż kryształową stała. Wprowadził do literatury mnóstwo wyrażeń, nie mających przedtém obywatelstwa w języku książkowym, i stworzył szereg zwrotów i wyrazów, które weszły do ogólnego skarbca i z których ja już pewno nie pierwszy na tém miejscu korzystam. Publiczności potrzeba myśli jasnych w jasnéj formie; dla tego przechodzi tyle zdań z „Bez dogmatu“ na własność powszechną. Sądy Płoszowskiego wprawiają mię nieraz w zachwyt głębokością, dziwią mnie nawet często jakąś jędrnością i wesołém zacięciem. Naprzykład, kiedy, porównywając Laurę do konstelacyi, nazywa ją *Wielką niedźwiedzicą* dla otoczenia, a *Krzyżem* dla męża. I czuję pewien szlachecki, zdrowy humor w ustępie o polskiéj zimie, w któréj jest jakaś siła i powaga, a przedewszystkiém szczerość. „Równie jak szczery przyjaciel tnie prawdę w oczy bez ogródek, tak i ona bierze za uszy, ani pyta“. Wydaje mi się to bardzo jędrne i proste na Leona, zwłaszcza kiedy porównam styl rzeczywistych pamiętników i napotkam u Amiela takie np. zdanie: „Będąc tylko marzycielską medytacyą, goni dziennik wszystkiemi przydróżkami, a do celu nie zmierza. Rozmowa mego *ja* z sobą samym może być tylko stopniowém rozświecaniem się myśli. Stąd ciągłe powtórzenia, zawracanie się w drodze, poprawki i wahania. Kto twierdzi, bywa zwięzłym, kto szuka — rozwlekłym; kto marzy, chadza linią krzywą“. A przedtém tak mówi Amiel do siebie: „Widzisz zbyt dużo sposobów wypowiedzenia myśli; umysł bardzo zgodny z sobą natrafia odrazu na ton właściwy... Aby do niego dojść, potrzeba nie wątpić, a ty wątpisz nieustannie“. Kiedy nadto napotkam ustępy takiéj poetycznéj siły, jak dysertacya, a raczéj hymn o miłości, lub opis wrażeń, doznanych podczas gry sonaty Bethowenowéj, rodzą mi się czasem w duszy pewne wątpliwości. Gdyby Płoszowski umiał wyrażać swe myśli tak jasno i dobitnie, a uczucia tak żywo, dystylowałby może aż do końca życie swoje na literaturę i znalazłby w tém ukojenie. Wszak przyznaje on sam, że sztuka „zdolna jest wypełnić życie człowieka zupełnie i zostać jego religią, może wszelako pod warunkiem, by on został jéj kapłanem“ A są stronice całe „Bez dogmatu“, które pisał wielki artysta, nie Płoszowski, ale Henryk Sienkiewicz.

Niektórzy czytelnicy powieści nauczyli się do tego stopnia szukać w pierwszych odcinkach owych wspomnianych ogólnych rysów i obserwacyi, że spotykał ich potém pewien zawód, kiedy z rozwojem akcyi nastąpiły uwagi indywidualniejsze i bardziéj specyalne. Początek pierwszego tomu, poświęcony biografii i charakterystyce Płoszowskiego, pisanéj przez niego samego, obfituje szczególniéj w tego rodzaju spostrzeżenia; w drugiéj części następuje już akcya i odegrywa się w Leonie cała tragedya, zakończona utratą Anielki. Drugi tom zawiera zaś dziennik miesięcy, spędzonych razem z panią Kromicką w Płoszowie i Warszawie. Wszystko się tam dzieje podczas nieobecności Kromickiego i pod okiem dwóch kobiet, o wyobraźni tak czystéj, że na myśl im nie przyjdzie możliwość jakiegoś romansu. Staje tu więc sama Anielka wobec Leona i rozpoczyna się ich walka cicha, prowadzona niemal półsłówkami, ukrywana przed otoczeczeniem. Wobec nieuniknionych analogii w sytuacyach, charakteryzują ten tom ciągłe epizody, jak cała nowella o Łatyszach, opis burzy, wyścigów, obraz niedzielnego poranku, tak powietrzny i pogodny, a tak na wzrok obliczony, jak jakie malowanie Chełmońskiego.— Pomiędzy temi dodatkowemi scenami rozwija się nieustannie analiza i boleść Płoszowskiego, które trzeba było, nie tylko wśród niezwykle ciężkich warunków, ale i wśród dni stosunkowo szczęśliwych, pokazać. Tu się nareszcie poznajemy na dobre z Anielką. Postać jéj odporna i bierna nadaje ton całemu tomowi. Wszak dramatyczność polega na ciągłéj niepewności, na którą się stronę szala ostatecznie przechyli. A tutaj w walce dwóch dusz, na którą zewnętrzne wypadki nie wywierają niemal wpływu, zwycięstwo Anielki przeczuwamy z góry. Bije morze o niewzruszoną skałę, ale wiemy, że oczy nasze tego nie zobaczą, iżby się kamień stoczyć miał do fali.

Dopiero trzeci tom sprowadza więcéj postaci i nawał wypadków. Sprowadza Kromickiego, a z nim cały szereg zawikłań i szalonych u Leona pomysłów, zamiarów niegodnéj frymarki i zbrodni. Sprowadza rozpaczliwsze walki z Anielką i coraz większe bole. Komplikuje się to wszystko całą majątkową sprawą Kromickiego, jego śmiercią, stanem Anielki, ucieczką Leona, jego chorobą i złamaniem. Po największéj boleści następuje względne uciszenie i ukojenie. Dni ciche i niesamolubne; roztopienie się w kochaniu, które jest już prawie braterską miłością. Tak przeprowadziwszy swego bohatera przez wszystkie nerwowe udręczenia, tuż obok szaleństwa i zbrodni, ukazuje go nam Sienkiewicz w końcu niemal skruszonym i godnym przedewszystkiém litości. Po boleściach, których widok rozstraja i trwoży, następują cierpienia serdeczne, które wzruszać muszą. Ćmi się chwilami w oczach przy czytaniu ostatniéj

części, tomu i nic mi nie daje wyższego pojęcia o wielkiéj sztuce Sienkiewicza, jak owo wprowadzenie uczucia litości po mękach i po grozie. Występuje tu owa tragiczność, o któréj od Arystotelesa rozprawiają estetycy. I pod wpływem rozrzewnienia, nie spostrzegamy, ani jak nagły jest koniec powieści, ani jak drobną zostawia Anielka Płoszowskiemu spuściznę: jedno słowo „kochałam“.

Takie nagłe wydobywanie na wierzch szlachetniejszych uczuć, wśród okropności i mąk, charakteryzuje może wogóle twórczość Sienkiewicza. W „Ogniem i mieczem“ bodaj czy nie najpiękniejszą jest ta drobna scena, gdzie pazik, wbrew zakazom, strzela do człowieka, wijącego się na palu. I wódz mu w milczeniu takie litośne nieposłuszeństwo przebacza. Trzeba było—dla czysto artystycznych powodów—uwolnić tego człowieka od męki. I w „Bez dogmatu“ trzeba było, kiedy boleść do szaleństwa doszła, rozpostrzéć jakąś wielką łagodność i litość. Wśród uczuć tych ginie okropność samobójstwa Płoszowskiego. Tak giną wszyscy, przez wielkich dramaturgów stworzeni, samobójcy tragedyi.

Płoszowski mówi na wstępie o pisarzach, którym myśl zstępuje prosto przez ramię na papier. Otóż nigdy nie zdaje się ona spływać u Sienkiewicza tak łatwo, jak kiedy ma przedstawiać owe czyste i piękne pragnienia, które w codziennym języku *poetycznemi* zowiemy. Rzekłbyś, że najłatwiéj było mu te ustępy z powieści napisać, w których Leon, opuściwszy Laurę, wyraża swoją tęsknotę za życiem spokojném i lepszém, gdzie czuje potrzebę prawości uczuć, gdzie mu jest cicho, i smutno, i dobrze. Albo te stronice, pełne zwyciężenia samego siebie, po powrocie do Płoszowa, do biednéj Anielki. Jest w tym fakcie coś bardzo charakterystycznego dla naszéj literatury i sztuki, coś nauczającego zarazem. Potrzeba żywotności, obserwacyi, nieubłaganéj prawdy, budzi się u nas coraz więcéj wśród ludzi, i tworzących, i odczuwających. A jednak u wszystkich artystów, którzy nad wyobraźnią obecnego pokolenia panują, okazuje się nieustanna tęsknota do jakiegoś bezwzględnego dobra i niezmąconéj piękności, do jakiegoś zacisza, pełnego idealnych potrzeb i uczuć. Kiedy są podnioślі, bywają najszczersi; po tém poznaję dążność ich i kierunek. Nie chcę doprawdy kuć jakiéjś doktryny, ale fakt stwierdzić mam obowiązek i prawo. Widzę, że uszlachetniają wszyscy ludzką nędzę, ludzką miłość i nienawiść. Czynią to na polu poezyi, jak Słowacki, który się teraz dopiero czytelników doczekał; na polu malarstwa, jak Grottger, Chełmoński lub Malczewski; na scenie, jak Modrzejewska. Są to duchy różnéj siły lotu, ale skoro ujrzą kawał błękitu, widoczny naraz wśród mgławic, wszystkie otwierają łabędzie skrzydła do lotu.

Całe to, zbyt długie, studyum, miało czytelnikowi przypomnieć, ile głębokiéj obserwacyi zawiera najnowsza powieść Sienkiewicza, a stwierdzić zarazem, jaka poezya opanowywała od czasu do czasu autora i przedostawała się przez nawał drobiazgów na światło. Dał on nam więc z jednéj strony całą tę życiową prawdę, za którą tęsknić musimy i mamy prawo, a z drugiéj to, za czém się zachodnie narody oglądają ze smutkiem, jako za dobrem niepowrotném, którego już tam nikt, gdzie zamarło, światu nie powróci.

Dr K. M. Górski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

X. dr. Stefan Pawlicki, C. R. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, *Historya filozofii greckiéj od Talesa do śmierci Arystotelesa.* Tom I-szy. Dzieło wydane z pomocą Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków. Księgarnia G. Gebethnera i Sp. 1890. in 8°, str. XI i 431.

„Ani praca naukowa, ani życie praktyczne nie mogą odbywać się trybem porządnym, cieszyć się ciągłym, normalnym rozwojem, bez asno sformułowanéj filozofii"... „Kto nie myśli, właściwie nie jest bo życia nie masz bez czynów, a czyny są myśli potomstwem". Temi, równie pięknemi jak i prawdziwemi, słowy, motywuje autor zaraz na wstępie wydanie swego dzieła, mającego być pobudką i zachętą do poważnych studyów filozoficznych, tak bardzo u nas w ostatnich czasach zaniedbywanych. Sto lat temu, mówi autor, pokolenie *Szaniawskich, Śniadeckich, Jarocińskich* i tylu innych, pragnęło dźwignąć z upadku krajową oświatę i pogrążone w apatyi umysły obudzić do nowego polotu zachętą do studyów filozoficznych. Przypuszczali oni słusznie, że filozofia rozproszy u nas bezmyślną obojętność na wszystko, czém żyją i oddychają ludy zachodniéj Europy, że utrzyma naród, duchowo zleniwiały, w pragnieniu ogólno ludzkich ideałów. I w saméj rzeczy, raz poruszona ambicya nie ustała więcéj, a choć głuszona niejednym letargu umysłowego powrotem, przetrwała złe chwile i śmiało zdążała naprzód. Zjawiła się liczna plejada myślicieli, z *Cieszkowskim, Gołuchowskim, Kremerem, Libeltem* na czele, którzy siłę talentu i głębokość nauki wśród niekorzystnych warunków z podziwienia godną ofiarnością składali na ołtarzu szlachetnéj sprawy. Wszędzie za granicą byliby przyjęci skwapliwie, u nas zaś, niestety, łamać się mu-

sieli z przeciwnościami bez miary, a długi szereg ich prac znakomitych nie przyniósł dosyć owoców wśród generacyi obecnéj. Za mało napotykamy dziś u nas zapału do szerokich, ludzkość całą obchodzących, zagadnień. Prawda, brak u nas było owéj nieprzerwanéj tradycyi naukowéj, niezbędnéj dla samodzielnego rozwoju filozofii, a któréj nigdy nie straciły narody romańskie i germańskie. Więc nie wiedziano u nas, co począć z filozofią. Autor jednak nie wątpi, że dzieła owych wielkich pisarzy wydadzą w przyszłości pożądane owoce, gdy atmosfera narodowa stanie się znowu więcéj filozoficzną przez przywrócenie dawnéj naukowéj tradycyi. Za środek zaś do tego autor uważa studya nad *historyą filozofii*, a pracą swoją pragnie przyczynić się do wskrzeszenia dawnych badań filozoficznych, nawiązując w sposób odpowiedni naukową tradycyę na tém polu (zob. pismo dedykacyjne do St. hr. Tarnowskiego, str. VII do XI).

Dzieło prof. Pawlickiego ze wszech miar ma prawo do takich oczekiwań i wraz z autorem każdy miłośnik poważnéj nauki może się spodziewać, że gruntowne prace nad dziejami filozofii usuną raz przecie ze świadomości naszego wykształconego ogółu owe płytkie sądy, jakie w tym przedmiocie co chwila u nas słyszéć się dają, szczególniéj ze strony literatów, mających siebie za przedstawicieli „naukowości“. Rozpatrzmy się tedy nieco bliżéj w tém dziele.

Wykład historyi filozofii greckiéj autor poprzedza szeregiem rozpraw, mających za przedmiot: *znaczenie dziejowe filozofii, dziejopisarzów filozofii, bibliografię filozofii greckiéj, pochodzenie filozofii greckiéj* i wreszcie *definicyę i epoki filozofii* (str. 1 do 68). Dla charakterystyki zasadniczych poglądów autora, zastanowimy się nieco bliżéj nad pierwszym i dwoma ostatniemi rozdziałami, co do środkowych zaś powiemy tylko, że obejmują nader pouczający i zarazem krytyczny pogląd na literaturę historyi filozofii, szczególniéj greckiéj.

Znaczenie dziejowe filozofii przedstawia prof. Pawlicki w kilku wydatnych rysach, wykazujących jasno, czém była, czém jest i czém zawsze będzie filozofia w rozwoju umysłowym ludzkości. Niéma działu literatury greckiéj lub rzymskiéj, mówi autor, niéma nauki lub sztuki, któréj filozofia nie stworzyła lub nie odrodziła swojém tchnieniem ożywczém. Pierwsze nieśmiałe próby greckiéj prozy piszą się o rzeczach filozofii; złota wymowa attycka jest jéj dziełem wiekopomném; bez jéj myśli i badań tragedya, komedya, nawet liryka grecka nie miałyby ogólno ludzkiego znaczenia, któremu zawdzięczają prymat swój w krainie piękna. Podobnież i Rzym został ucywilizowanym przez—filozofię. Najznakomitsi jego poeci: Lukrecy, Horacy, Wirgili, na greckiéj wychowali się filozofii, a największy jego mówca jest także największym jego filozofem. To wszechwładne zna-

czenie filozofii w świecie starożytnym nie zmniejszyło się w czasach nowszych. Jak niegdyś, tak i dziś jeszcze, nadaje ona ton piśmiennictwu: tworom pięknym. W Niemczech poezya, malarstwo, muzyka są nieustającym komentarzem, splecionym z uczuć lub marzeń, tonów lub kolorów, do systemów kosmologicznych, które panowały lub panują jeszcze od Kanta do Hartmanna. W Nathanie czy w Fauście, w tragedyach Grillparzera czy epopejach Hammerlinga, w symfoniach Beethovena czy w operach Wagnera, we freskach Kaulbacha czy płótnach Böcklina,—wszędzie żyje filozofia, lśniąca się nieuchwytnemi barwami panteizmu, monizmu, naturalizmu. Dziejów duchowych Niemiec zrozumieć nie można, nie poznawszy ich rozwoju filozoficznego. To samo dałoby się wykazać na literaturze angielskiéj, francuskiéj, włoskiéj. Im naród który bardziéj ucywilizowany, im szerszy ma widnokrąg duchowy, tém więcéj filozofia z każdym jego tworem zespolona i zrośnięta, bo filozofia, to uprawa ducha, *animi cultura*, jak mówi mędrzec starożytny (str. 1 i nast.).

Ale nietylko literatura i sztuki piękne, nauki i wiedza wszelaka, nawet życie polityczne i społeczne narodów urabiane są i kształtowane potężną dłonią filozofii. Każdy lud oświecony żyje i działa pod wpływem jakiejś idei, którą pragnie wprowadzić w czyn i rzeczywistość, naprzód u siebie, potém za granicą. Na nic się nie zdadzą cenne zasoby bogactwa narodowego bez przyświecającéj idei dziejowéj, ożywiającéj organizm narodowy, a ta, jeżeli nie ma zmarnieć w marzenie senne lub w jakieś chorobliwe uczucie, potrzebuje filozoficznego pojęcia. Tak tedy naród wykształcony nie może miéć jasnéj polityki bez jasnéj filozofii. I to autor wyjaśnia bliżéj na współczesnéj historyi Niemiec, Francyi i Włoch od r. 1870 (str. 3 i nast.).

Podnieśliśmy z żywém zajęciem te piękne ustępy z dzieła prof. Pawlickiego, ponieważ w osobnéj pracy, rozbierającéj szczegółowo stosunek filozofii do innych nauk, do twórczości i do życia praktycznego, wygłosiliśmy współcześnie z autorem te same w zasadzie poglądy na znaczenie dziejowe filozofii. Ale wyznać zarazem musimy, że, pomimo takiego wspólnego punktu wyjścia, nie doszliśmy do zupełnie jednakowego wyniku. X. Pawlicki jest bowiem przekonania, że filozofię dźwignąć należy z niemocy przez szczery powrót do wielkich wzorów przeszłości, i ma tu głównie na oku filozofię scholastyczną, a w szczególności system św. Tomasza. Powrót do filozofii greckiéj, a mianowicie do Arystotelesa, posiada dla niego w téj sprawie tylko znaczenie pośrednie, jako pomoc do gruntownego zrozumienia perypatetyzmu średniowiecznego. My zaś sądzimy, że badania te oprzéć należy nietylko na historyi filozofii, lecz i na krytycznym rozbiorze wyników współczesnéj nauki; daléj, nietylko na filozofii grec-

kiéj i scholastycznéj, lecz i na całkowitym jéj rozwoju aż do chwili obecnéj. Wskutek tego nie możemy téż w przeszłości dopatrzyć się wzorów bezwzględnych dla postępu filozofii na przyszłość. W przeszłości nie widzimy nic więcéj nad prace przygotowawcze, które tylko na podstawie krytycznego rozbioru dostarczyć nam mogą materyałów do wzniesienia świątyni prawdy, odpowiadającéj zdolnościom i naturze umysłu ludzkiego.

Dalsza kwestya wstępna, poprzedzająca wykład filozofii greckiéj, dotyczy jéj *pochodzenia*. Wiadomo, że po chwilę obecną w tym przedmiocie ścierają się dwa przeciwne zdania uczonych. Jedni, jak się wyraża prof. Pawlicki, ogłosili filozofię grecką za towar importowany z tajemniczego Wschodu, przywożony przez kupców semickich, jak owe klejnoty, znalezione w grobach miceńskich, lub posążki egipskie i naczynia cypryjskie, któremi Fenicyanie zalewali Grecyę. Drudzy, natomiast, mają filozofię grecką za produkt najbardziéj rodzimy dawnych Hellenów i widzą w poglądach przeciwnych tylko naciągane i mgliste teorye, wnioski urojone, oparte na źle zrozumianéj analogii zjawisk historycznych. Autor skłania się stanowczo, i sądzimy, że bardzo słusznie, do ostatniego z tych zdań, poddaje gruntownéj krytyce poglądy przeciwników, szczególniéj Gladisza i Röth'a, i broni samodzielności filozofii greckiéj szeregiem nowych argumentów, zaczerpanych ze źródeł dziejowych.

Nie możemy w tém krótkiém sprawozdaniu zaznaczyć szczegółowo tych argumentów, powiemy tylko, że prof. Pawlicki wykazuje przekonywająco: 1° że Egipt, Fenicya, Assyrya, Babilonia nie mogły dać żadnéj filozofii Grekom, bo jéj same nie miały; 2° że nie mamy przykładu przed Celsusem (2-gi wiek po Chr.), aby wykształcony Grek lub Rzymianin znał pisma Starego Zakonu, że zatém nie Grecy od Żydów, lecz ci od nich nauczyli się filozofować; 3° że filozofowie greccy nie mogli swych zdań zapożyczyć od najbardziéj dla nich przystępnéj religii perskiéj, a szczególniéj z Zendawesty, ponieważ nowe badania wykazały, że Zoroaster nie żył tysiąc lat przed Chrystusem, lecz jest współczesnym lub nawet młodszym od Cyrusa.

Kwestyi wpływu starożytnych mędrców indyjskich na filozofów greckich autor nie rozpatruje szczegółowo, i przez to może się narazić na zarzut ze strony przeciwników. Żałować tego należy tém bardziéj, że i w tym względzie, przy dzisiejszym stanie badań historycznych, można przekonywająco wykazać samorodność filozofii greckiéj. Poglądy takich legendowych mędrców indyjskich, jak Kapila, Patandżali, Kanada, Wiasa, Gotama, wreszcie reformator bramanizmu Sakia-Muni, znany pod imieniem Buddy (znaczy mędrzec), zawierają w sobie niewątpliwie wiele ciekawych i pouczających szczegółów, ale

filozofii, jako nauki w ścisłém znaczeniu tego słowa, w nich dopatrzyć się nie można. Nadto mędrcy ci, pomimo podań o ich głębokiéj starożytności, występują w istocie na widownię dziejową nie wcześniéj od filozofów greckich pierwszego okresu. Zresztą, podobieństwo, jakie napotykamy pomiędzy ich naukami i mądrością staro-indyjską, tłómaczy się, jak słusznie zauważył prof. Pawlicki (str. 41), wspólném aryjskiém pochodzeniem Greków i Indów. Odłączywszy się od wspólnego pnia prarodziców, przodkowie Greków zabrali ze sobą z dawnych siedzib przedhistorycznych bogaty zasób pojęć mitologicznych, religijnych i naukowych, który przy dalszym rozwoju doprowadził do pewnych analogicznych objawów, nie uwłaczających jednak bynajmniéj zupełnéj samodzielności umysłowéj Greków.

Taka obrona samorodności filozofii greckiéj nie zaprzecza bynajmniéj wszelkim wogóle wpływom starszych narodów wschodnich na rozwój umysłowy Greków. Przeciwnie, wpływy takie istniały i autor nie zamyka przed niemi oczu, ale bardzo słusznie dodaje (str. 45), że tradycye Wschodu, naukowe i mitologiczne, jeżeli przygotowały przyjście filozofii greckiéj lub nawet dorzuciły trochę materyi do rodzącego się organizmu, to w każdym razie przekształciły się w nim do niepoznania. Jak w niemowlęciu, chleb, którym matka karmiła się, zmienił się w zupełnie nowe formy, tak słabe początki nauk ścisłych i pierwsze zawiązki ogólniejszych na świat poglądów, przeniesione ze Wschodu do Grecyi, zniknęły w nowém jestestwie, które nie ma nic wspólnego z kosmogoniami Fenicyi lub Indyi, z mitologią Egiptu lub Babilonu. Przecież i świątynia grecka jest samodzielną kreacyą, mało podobną do olbrzymich, fantastycznie przystrojonych gmachów bożych nad Nilem lub Eufratem, choć nie jeden szczegół doryckiéj albo jońskiéj ornamentyki tam już od wieków był używawanym. Kapitel korynckí jest naśladowaniem kwiatu lotosowego, zdobiącego szczyt kolumny egipskiéj, ale dość postawić wysmukłe łodygi, z bukietami liści i kwiatów, na pomniku Lizykratesa, obok ciężkich, pękatych, z trudem dźwigających się w górę, filarów w Karnaku lub Elefantynie, aby dostrzedz, że jeżeli była imitacya, to chyba dla pokazania, jak formę barbarzyńską można przerobić w nową, idealną i cywilizowaną. Ale wtedy niéma już mowy o naśladowaniu. Toż samo się odnosi i do filozofii greckiéj (str. 45 i nast.).

Rozwój filozofii, według prof. Pawlickiego (str. 46), oprócz dobrobytu materyalnego, potrzebuje koniecznie trzech warunków duchowych: *wolności obywatelskiéj*, *znajomości przyrody* i *ciepła religijnego*. Z tych trzech warunków, Wschód pierwszego wcale nie znał; swoboda obywatelska jest zdobyczą greckiéj rzeczypospolitéj. Drugi warunek Wschód posiadał bardzo niedokładnie, ale dał Grekom, co

miał: pewną grubą rutynę nauk ścisłych. Trzeci wreszcie warunek był zawsze przywilejem Wschodu, ale ten wpływ na myśl grecką był pośredni, działał najczęściéj przez kult misteryów i za pomocą stowarzyszeń religijnych, w których krzewią się początki życia naukowego u Greków. W ten sposób rozstrzyga autor, na podstawie równie pouczających, jak gruntownych badań, kwestyą o pochodzeniu filozofii greckiéj.

Dopiero po tych badaniach, rozpatruje autor pytania: co jest filozofia? czy mieć może historyą? i podaje jéj definicyą. Według naszego zdania, od tego należało rozpocząć, bo bez ścisłego określenia filozofii i jéj dziejów, trudno rozstrzygnąć kwestyę, czy Wschód miał filozofię lub nie, i gdzie należy szukać zawiązków filozofii greckiéj? To też naturalnie autor poprzednie swe badania oparł na pewném pojęciu filozofii i teraz tylko podaje jego określenie.

Po krótkiéj historyi wyrazu *filozofia* u Greków, od najdawniejszych czasów aż do Sokratesa, Platona i Arystotelesa (str. 46 do 55), autor dochodzi do wniosku, że filozofia nie była dla Greków tylko spekulacyą nad tajemnicami bytu, nie była tylko teoryą świata, lecz była dla nich czémś więcéj, a mianowicie: *umiejętnością praktyczną życia moralnego.* A do tego autor dodaje od siebie, że w istocie *tém różni się filozofia od innych nauk, że jest także sztuką życia.* Jeżeli już starożytni domagali się od filozofów, aby swoje nauki stwierdzali życiem cnotliwém, to, według zdania prof. Pawlickiego, w daleko wyższym stopniu od chrześciańskich filozofów żądać należy, aby wartość ich życia dostrojoną była do wyników ich nauki. To też historyę filozofii określa autor jako usiłowania, dźwigane wspólnym zapałem, zmierzające do jednego celu, ażeby *urzeczywistnić wiedzę pierwszych przyczyn bytu, w myśli naprzód, potém w życiu* (str. 56).

Nie będziemy obecnie rozpatrywali szczegółowo tego poglądu na treść i zadania filozofii. Jest to przedmiot osobnéj nauki filozoficznéj, będącéj niezbędną podstawą wszelkiéj historyi filozofii. Z powodu jednak wysokiéj doniosłości téj kwestyi i jéj wpływu na traktowanie dziejów filozofii, dorzucimy tutaj kilka uwag z naszego punktu widzenia.

Zaznaczamy naprzód, że powyższe określenie nie uwydatnia należycie czynnika *krytycznego,* którym filozofia zasadniczo się wyróżnia od dogmatyzmu zarówno nauk specyalnych, jak i religii. Filozofia nie jest poprostu wiedzą pierwszych przyczyn bytu, lecz wiedzą *krytyczną,* opierającą swe pojęcia na rozbiorze ostatecznych podstaw poznania rzeczy. Ani nauki specyalne, ani wiara religijna tych podstaw poznania nie rozpatrują, lecz dochodzą do swych poglądów przy pomocy pewnych zasad, które uznają bezpośrednio za prawdę, bez po-

przedniego udowodnienia ich treści. Filozofia zaś rozpatruje wiarogodność i tych zasad, określa cele, środki i granice wiedzy ludzkiéj, i rozstrzyga wogóle kwestyę o możności poznania pierwszych przyczyn bytu. Temu czynnikowi krytycznemu zawdzięczamy właśnie pierwsze zawiązki filozofii greckiéj, w różnicy od dogmatycznych kosmogonii mitologii. Ztąd też historya filozofii jest dotąd bardziéj obrazem rozwoju *krytyczności* wiedzy ludzkiéj, aniżeli obrazem rzeczywistego postępu w sprawie poznania *pierwszych przyczyn bytu*. Niewątpliwie, że filozofia, jak każda nauka, ma swój odrębny przedmiot, którym są ogólne zasady bytu; a wskutek tego jéj historya wykazuje zarazem i usiłowania umysłu ludzkiego, zmierzające do wytworzenia ogólnego na świat poglądu. Ale usiłowania te filozofii różnią się od podobnych usiłowań na innych polach życia umysłowego swym charakterem krytycznym. Wszelkie poglądy na świat zasługują na miano *filozoficznych* tylko o tyle, o ile są wytworami myśli *krytycznéj*. To też pominięcie tego zasadniczego czynnika filozofii jest główną przyczyną lekceważenia jéj nowoczesnego rozwoju, opartego na krytyce umysłu ludzkiego; a z takiego lekceważenia wypływa daléj przekonanie o wyższości filozofii scholastycznéj i o potrzebie powrotu do jéj zasad.

Powyższe uwagi, których tutaj ani rozwinąć, ani udowodnić nie zamierzamy, wykazują, że pomimo głębokiego szacunku dla życia, stwierdzającego nasze przekonania naukowe, nie możemy się zgodzić na zdanie, że filozofia tém różni się od innych nauk, że jest także *sztuką życia*. Sztuką życia można nazwać nie samą filozofię, lecz tylko urzeczywistnienie jéj nauk w praktyce życiowéj. Filozofia, jako filozofia, jest nauką, teoryą, nawet i wtedy, gdy ma za swój przedmiot cele, zadania, obowiązki, stosunki życia ludzkiego. Rzecz naturalna, że filozof, zadający własném życiem kłam swym naukom, podkopuje wiarogodność tych nauk, narusza prawa rozumnéj konsekwencyi, wymagającéj zgodności praktyki z teoryą, i nadto rozchodzi się z zasadami moralności, żądającemi, aby działanie człowieka odpowiadało jego własnym poglądom na dobre i złe, t. j. jego sumieniu. Ale chociaż domagamy się, aby każdy filozof był moralnym, nie wynika z tego, aby każdy człowiek moralny był koniecznie filozofem, a do tego wniosku doszlibyśmy, gdyby sztuka życia była rysem charakterystycznym filozofów, w różnicy od innych uczonych. Można być człowiekiem moralnym, wielkim nawet artystą na polu życia praktycznego, nie będąc filozofem, w naukowém znaczeniu tego słowa, t. j. nie badając krytycznie ostatecznych podstaw wiedzy i ogólnego na świat poglądu. Teorya i tutaj jest niewątpliwie fundamentem rozumnéj praktyki, ale praktyka i na tém polu posiada swoje samodzielne znacze-

nie. Jeżeli tedy mamy prawo żądać, aby każdy uczony, wogóle każdy człowiek rozumny, był cnotliwym i doskonalił się w sztuce życia, to z jakiéj racyi sztukę tę uznamy za specyalność filozofów?

Podział historyi filozofii greckiéj na okresy jest dotąd także jedną z kwestyi spornych między uczonymi. Prof. Pawlicki bada tę kwestyę z właściwą sobie gruntownością, i rozpatrzywszy krytycznie podziały Hegla, Branissa, Zellera i innych (str. 56 do 66), rozkłada sam dzieje myśli greckiéj na cztery następujące okresy (str. 67): *Okres I-szy, od Talesa do wystąpienia Sokratesa* (r. 600 do 430). Epoka wielkich szkół kosmologicznych. Jończycy, Pitagorejczycy, Eleaci i Materyaliści. Pod koniec rządów Peryklesa, szkoły te przechodzą w powszechną Sofistykę. *Okres II-gi, od Sokratesa do śmierci Arystotelesa* (r. 430 do 322). Wiek złoty greckiéj filozofii. Sokrates i liczne szkoły, przez niego utworzone; Platon i Arystoteles. *Okres III-ci, od śmierci Arystotelesa do Chrystusa Pana* (r. 322 przed Chr. do 30 po Chr.). Szkoły wielkich mistrzów, Akademia i Liceum, a obok nich Stoicyzm, Epikureizm i wreszcie Skeptycyzm, w którym toną wszystkie te prądy duchowe. *Okres IV-ty, od Chrystusa Pana do zamknięcia szkół filozoficznych w Atenach przez Justyniana* (30 po Chr. do 529). Szkoła alexandryjska Filona; wznowienie systemów Pitagorasa, Platona, Stoicyzm i Epikureizm, wreszcie Nowoplatonizm, jednoczący pod swoją chorągwią wszystkie siły pogaństwa umierającego, oraz grecka filozofia chrześciańska.

Podział ten wydaje się nam jak najlepiéj uzasadnionym i wyznajemy, że, z małemi różnicami w szczegółach i poddziałach, posiłkowaliśmy się podobnym podziałem w długoletnich naszych wykładach historyi filozofii greckiéj. Niektóre z tych różnic zaznaczymy poniżéj.

Dzieło niniejsze prof. Pawlickiego, jak już pokazuje nagłówek, ma za przedmiot tylko dwa pierwsze okresy historyi filozofii greckiéj, które, według zdania autora, stanowią całość odrębną. Tom pierwszy tego dzieła, obecnie ogłoszony, obejmuje wykład okresu pierwszego w całości (str. 69 do 358), oraz początek okresu drugiego, traktujący o Sokratesie i jego uczniach (str. 359 do 437). Tom zaś drugi, który spodziewamy się, że wyjdzie niebawem, obejmie rzecz o Platonie i Arystotelesie. Nadmienić tu jeszcze musimy, że w ciągu wykładu swego autor odsyła czytelnika niejednokrotnie do przyszłego opracowania trzeciego i czwartego okresu filozofii greckiéj. To daje nam nadzieję, że, po ukończeniu niniejszego dzieła, prof. Pawlicki uzupełni je przedstawieniem dalszego rozwoju myśli greckiéj, aż do zaznaczonego powyżéj kresu.

Przechodząc do charakterystyki samego wykładu greckiéj filozofii przez autora, nie zamierzamy czytelnika nie specyalisty męczyć

rozbiorem różnych kwestyi spornych, których nie brak na tém polu badania naukowego. Zresztą, prof. Pawlicki rozpatruje wszystkie kwestye sporne z tak wielką oględnością i, przy ich rozstrzyganiu, tak ściśle uwzględnia świadectwo najbardziéj wiarogodnych źródeł, że i specyaliście nie daje zbyt wiele powodów do polemicznych rozpraw. Podniesiemy obecnie tylko niektóre szczegóły, zdolne zająć każdego wykształconego czytelnika i dające pojęcie zarówno o metodzie wykładu autora, jak i o jego poglądach na niektóre wybitne momenta umysłowego rozwoju Greków.

Okres pierwszy autor rozpoczyna rozprawą pouczającą o siedmiu mędrcach (str. 69 do 80). Ich nauki mądrości życiowéj odpowiadają w zupełności zaznaczonéj powyżéj tendencyi moralnéj autora, i dlatego zapewne, za przykładem Diogenesa z Laërty, stawia ich na czele filozofii greckiéj, chociaż już Cyceron widział w nich słusznie tylko mądrych polityków, a nie filozofów w ścisłém znaczeniu tego słowa. Bo téż w saméj rzeczy, rozum praktyczny, streszczający się w ich mądrych radach życiowych, góruje u nich jeszcze zupełnie ponad dążnościami teoretycznemi, poznawczemi umysłu, bez których niéma filozofii. Tylko jeden z tych mędrców, a mianowicie Tales, ulegał tym dążnościom poznawczym umysłu, rozpatrywał z pewną krytyką panujące na świat poglądy i miał na oku możliwie ścisłe poznanie ogólnéj istoty świata; dlatego téż on dopiero inauguruje filozofię grecką i zasługuje na miano jéj ojca. Wszystkie poprzednie objawy życia umysłowego Greków były co najwięcéj tylko przygotowaniem do wytworzenia się właściwéj filozofii.

Do szkoły jońskiéj prof. Pawlicki, prócz Talesa, zalicza Anaximandra, Anaximenesa, Heraklita i Diogenesa z Apollonii (str. 80 do 171). Natomiast osobno traktuje Empedoklesa, Anaxagorasa i Demokryta po Pitagorejczykach i Eleatach (str. 277 do 336). Taki podział okresu pierwszego nie wydaje się nam dość racyonalnym, ani dość uzasadnionym. Poglądy trzech ostatnich filozofów łączą się jak najściśléj z kosmologiami szkoły jońskiéj od Talesa do Heraklita; stanowią naturalny postęp w rozwoju wspólnéj zasady fizycznego wyjaśnienia świata, od któréj i Anaxagoras nie odstępuje, pomimo, że wprowadza do filozofii pojęcie rozumu wszechświatowego. Nadto Anaxagoras i z pochodzenia swego jest jończykiem, a Empedokles i Demokryt rozwijają swe poglądy w duchu dawniejszych jończyków, z wyraźnym zamiarem uzupełnienia ich nauk. Dla tych powodów podzielamy zdanie tych historyków, którzy wzmiankowanych filozofów zaliczają do tak zwanéj młodszéj szkoły jońskiéj i wspólnie ze starszą szkołą jońską odróżniają od szkoły pitagorejskiéj i eleackiéj. Wtedy trzy te szkoły reprezentują trzy pierwotne zasady filozoficzne-

go pojęcia świata, jako to: zasadę materyalnych pierwiastków i rozwoju świata, daléj zasadę matematycznéj prawidłowości i harmonijnego ustroju świata, wreszcie zasadę jednéj w sobie, odwiecznéj istoty świata w różnicy od wielkości zmiennych i ułudnych jego objawów. Przy odosobnioném zaś traktowaniu Empedoklesa, Anaxagorasa i Demokryta, doniosłość dziejowa tych zasad nie zostaje uwydatnioną w sposób odpowiedni i nie występuje należycie na jaw w dalszym postępie greckiéj filozofii, przedstawiającym wszechstronny rozwoj, oraz wzajemne uzupełnienie i systematyczne zespolenie tych zasad w poglądach na świat Sokratesa, Platona i Arystotelesa.

Zamknięcie okresu pierwszego stanowią u prof. Pawlickiego *Sofiści* (str. 337 do 358), od których niektórzy inni historycy filozofii, idąc w ślady Hegla, rozpoczynają okres drugi. Szczególne zajęcie budzi tutaj krytyka poglądów, jakie w tym przedmiocie wygłosił znany angielski uczony, Grote, oraz obrona Platona przeciwko jego zarzutom, jakoby myśliciel ten, będąc teoretykiem, znienawidził Sofistów dla ich tendencyi praktycznych. Prof. Pawlicki nie zaprzecza temu, że Sofiści byli stanem społecznym, t. j. nauczycielami, jak dowodzi Grote, ale wykazuje zarazem przekonywająco, że byli także *szkołą*, a mianowicie szkołą, broniącą skrajnego subjektywizmu, uczącą, że każda rzecz może być dobrą i złą, prawdziwą i fałszywą, według osobistego widzimisię. Nie można się też dziwić, że przeciwko takiemu powierzchownemu subjektywizmowi, podkopującemu wszelką wogóle naukę, występowali z całą energią nie tylko Platon, lecz przed nim już Sokrates, a po nim i Arystoteles. Mając na oku poważne zadania nauki, badając prawdę dla prawdy, bez względów osobistych, oni nie mogli ze spokojem patrzéć na działalność Sofistów, lecz musieli potępiać ich pozorną mądrość, wydawaną za prawdziwą. Autor śledzi krok za krokiem argumenta, szczególniéj Platona i Arystotelesa, i wykazuje, że ich krytyka Sofistów wypływa z czystego źródła miłości prawdy, sromotnie poniewieranéj przez Protagorasów, Gorgiaszów i ich zwolenników.

Z drugiéj jednak strony, prof. Pawlicki nie zaprzecza, iż pomimo subjektywizmu, przechodzącego w skeptycyzm i nihilizm, Sofiści położyli nie jedną zasługę na polu logiki i dialektyki (str. 351). Zasług tych jednak nie przedstawia bliżéj, lecz odsyła czytelnika w tym względzie do specyalnéj historyi logiki Prantla (T. I, str. 11—25). Nie sądzimy jednak, aby taki sposób zaznaczenia czyichkolwiek zasług był odpowiednim w historyi filozofii. Sprawiedliwość wymagała, aby wykazano przynajmniéj w kilku słowach, na czém polega owo znaczenie Sofistów dla logiki i dyalektyki, powtarzając choćby w skróceniu odnośne zdania Prantla. Wobec surowéj krytyki prze-

wrotności Sofistów, należało się im takie zadosyćuczynienie. Jeżeli zaś autor im go nie dał, pochodzi to znowu z pewnego zaniedbania krytycznego i teoretycznego czynnika filozofii na korzyść wyłączności stanowiska moralnego, a może nawet moralizującego. Nie dopatrzywszy się z tego stanowiska żadnych zasług w naukach Sofistów, autor nie uznał za właściwe podnosić szczegółowo ich zasług na polu krytyki i teoryi poznania. A jednak zasług tych historya filozofii pominąć nie może, gdyż przyczyniły się nie mało do dalszego postępu filozofii i wywarły wpływ stanowczy nawet na przeciwników sofistyki.

Powyższe stanowisko zajmuje autor także w sposób znaczący przy opracowaniu Sokratesa (str. 358 do 395). Jego charakter moralny, oraz etyka jego, budzą prawie wyłącznie zajęcie prof. Pawlickiego; kwestye zaś teoretyczne, nie mniéj ważne, łączące się z działalnością i nauką wielkiego filozofa, ustępują na plan dalszy, a po części wcale nawet nie zostały dotknięte. Tak np. nic nie słyszymy o znaczeniu, jakie Sokrates nadawał pojęciom ogólnym i definicyi, nic o metodzie indukcyjnéj, którą się posiłkował w swych rozumowaniach, nic o jego poglądach metafizycznych, np. o celowości świata, którą, według świadectwa Xenofonta, spożytkował pierwszy, jako argument dla udowodnienia istnienia Boga. Mało zaś słyszymy o głównéj zasadzie całéj filozofii Sokratesa, t. j. o poznaniu samego siebie, uzupełniającém jednak z jednéj strony poglądy kosmologiczne poprzednich myślicieli i wskazującém z drugiéj strony jedynie możliwą drogę do krytycznego przezwyciężenia subjektywizmu Sofistów. Zdaje się nawet, że autor w tym przedmiocie wpadał w pewne sprzeczności sam z sobą. Na str. bowiem 376 i nast., rozpatrując pytanie: czy Sokrates miał swoją filozofią? dochodzi bardzo słusznie do wniosku, że jest psychologicznem niepodobieństwem, aby umysł żywy, oryginalny, który poznał wszystkie systemy dawniejsze, a z żadnego nie był zadowolonym, nie miał pokusić się o ułożenie nowego; że zatem Sokrates miał swój pogląd na świat, stawiał swój system przeciw innym systemom; że zresztą metoda bez systemu na wiele się przydać nie może. Tymczasem pod koniec dzieła czytamy (str 459): „Sokrates jest przedewszystkiém wielką osobistością; systemu nie napisał, ale każdą myśl swoją przelał w życie. Znaczenie jego dziejowe w tém, że filozofię z wyżyn powietrznych teoryi sprowadził do rzeczywistości czynu“. Zdania te tłómaczą nam właśnie, dlaczego autor nie zajął się przedstawieniem systemu Sokratesa, jego filozofii teoretycznéj.

Wobec tych zdań nie dziwimy się już wcale, że autor zatrzymuje się przeważnie na *osobistości* Sokratesa, ale wyznać też musimy,

że ją odtwarza z prawdziwém mistrzowstwem, budząc dla niéj serdeczne uwielbienie. Ciało i dusza filozofa stają przed czytelnikiem w żywym obrazie ze wszystkiemi wydatnemi rysami, zarówno potwornéj nieomal powierzchowności jego, jak i głębokiego umysłu i wielkiego serca. Nie możemy się wstrzymać od podzielenia się z czytelnikiem tą jedyną w swoim rodzaju charakterystyką mędrca ateńskiego, i powtarzamy w tym celu choć wstęp do téj przepysznéj charakterystyki.

„Gdy się stawa, mówi prof. Pawlicki, przed jednym z licznych biustów Sokratesa, przed owym np. w *Villa Albani*, ma się poniekąd żal do Bóstwa, że w tak okropnie brzydkiém ciele zamknęło duszę wzniosłą i piękną. Kark twardy; szyja krótka, apoplektyczna; wargi grube, na zewnątrz wywalone; nos kończący się bulwą a wklęsły u szczytu, tam gdzie z czołem się zrasta; uszy nieprzyjemne, a na około twarzy zarost nierówny, poczochrany, widocznie rzadko spotykający się z grzebieniem; nareszcie oczy wydobywające się z jam,— wszystko to przeraża. Nie można brzydszéj wymyślić twarzy. A jednak czujesz, że musiałbyś pokochać tego człowieka, gdybyś się z nim spotkał. Z oczu bije taka poczciwość, z wypukłych fałdów nad brwiami taki rozum przenikliwy, z czoła taki spokój i taka myśli powaga, a z całéj twarzy tyle szczeréj dobroci, że czujesz się podbitym energią duszy bogatéj, która ciągłą pracą nad sobą, wytrwałą walką z namiętnościami, mozolném dobijaniem się cnoty i prawdy, potrafiła wstrętną powłokę cielesną zamienić w zwierciadło duchowéj zacności. A nie chcesz wierzyć słowom moim, idź, czytelniku, dwie komnaty daléj, gdzie w niezrównanéj piękności greckiego półboga jaśnieje Antynous, najpiękniejszy ze śmiertelników, i popatrzywszy się na idealną bezmyślność młodzieńca, marzącego o wieńcu, który trzyma w ręku, a może o niczém, wracaj napowrót do brzydkiéj głowy o rysach Sylena, a wtedy uczujesz całą wielkość filozofa, którego kochał Alcybiades, a wielbił Platon“.

Dodajmy, że z tą samą obrazowością charakteryzuje autor główne momenta z życia Sokratesa, jego rozwój duchowy, jego działalność publiczną i stosunek do uczniów, jego ironią jako środek oczyszczania umysłu, wogóle jego metodę nauczania innych, jego głęboką pobożność i cnotę, uznaną przez niego za mądrość, daléj jego zachowanie się w procesie, który mu najniesłuszniéj wytoczono, i wreszcie pogodną śmierć wśród płaczu i rozpaczy uczniów,—a zrozumiemy, z jakiém żywém zajęciem przebiega czytelnik ten rozdział w książce prof. Pawlickiego. Z kwestyi spornych napotykamy tutaj wyjaśnienie znaczenia Xenofonta i Platona, jako źródeł przy badaniu nauki Sokratesa. Autor broni wiarogodności świadectwa Platona,

jako portrecisty, od którego nie można żądać dokładności fotograficznéj, który jednak odtwarza z całą prawdą rysy charakterystyczne oryginału. Zresztą słusznie podnosi autor w téj sprawie znaczenie Arystotelesa, którego świadectwo daje nam możność kontrolowania twierdzeń Xenofonta i Platona o nauce Sokratesa. Podobnież i zamąconą bardzo kwestyę o demonie Sokratesa, t. j. o jego głosie wewnętrznym, prof. Pawlicki wyjaśnia w sposób prosty, choć zbyt może dorywczy, uznając w tym głosie rodzaj natchnienia religijnego, połączonego z wiarą filozofa w Boga, jako swego opiekuna.

Ostatni rozdział, pod napisem *Uczniowie Sokratesa*, traktuje o tak zwanych niezupełnych sokratykach, którzy jednostronnie rozwinęli różne zasady mistrza. Euklides i szkoła megarska, oraz Filon i szkoła elidzka oparli się na jego nauce o pojęciach ogólnych i rozwinęli głównie dyalektykę. Cynicy, z Antystenesem i Diogenesem w Synopy na czele, trzymali się zasady mistrza, że najszczęśliwszy jest ten, kto ma najmniéj potrzeb, i doszli do zupełnego zaniedbania nie tylko ciała, lecz i ducha. Wreszcie Arystyp i szkoła cyrenejska parodyuje naukę Sokratesa o dobru najwyższém, uznaje za takie dobro rozkosz i daje wskutek tego początek późniejszym teoryom epikureizmu. Charakterystyka zarówno tych osobistości, jako też ich szkół, przeważnie znowu ze stanowiska moralnego, filozofii praktycznéj, zamyka ten pierwszy tom. My zaś kończymy niniejszy przegląd kilkoma uwagami ogólnemi.

Dzieło prof. Pawlickiego jest nader cennym i wyjątkowym nabytkiem dla naszéj ubogiej literatury filozoficznéj. Jest to praca nawskroś naukowa, oparta w zupełności na samodzielnych studyach źródłowych, uzupełniających pod niejednym względem badania najznakomitszych specyalistów na tém polu, z Edwardem Zellerem na czele. Praca taka przyniosłaby zaszczyt pierwszorzędnym literaturom świata. Przełożona na język niemiecki, francuski, angielski, zwróciłaby na siebie powszechną uwagę i zjednałaby autorowi głośne imię. U nas natomiast znajdzie szczere uznanie zapewne tylko u kilku specyalistów, pójdzie następnie na młyn małodusznych koteryi literackich, wynoszących tylko to, co wpada w ciasny zakres ich osobistych tendencyi, a na półkach księgarskich ustąpi miejsca pierwszéj lepszéj powiastce. Taki przynajmniéj bywa u nas zwykły los prac tego rodzaju. Tymczasem i pod względem czysto literackim dzieło prof. Pawlickiego należy do objawów wyjątkowych. Obok szerokiéj erudycyi odznacza się ono świetnym stylem i szlachetną przystępnością wykładu. Każdy z piętnastu rozdziałów tego tomu pierwszego stanowi pod względem literackim skończoną w sobie całość, którą niejedna panienka wykształcona z większém zajęciem przeczyta, niż jaki

lichy, choć głośny romans. Nie brak tam pięknych opisów starożytnych miast Grecyi, Italii południowéj i Sycylii, będących areną działalności greckich filozofów; nie brak doraźnego przedstawienia stosunków społecznych na tle ogólném dziejów; nie brak wreszcie ponętnéj charakterystyki samych osobistości działających, ich przygód i rozwoju umysłowego, ich wartości moralnéj i wpływu na współczesnych. To wszystko odtwarza przed nami w żywych barwach zamierzchłą przeszłość, niby dramat historyczny, i pozwala nam przyjąć bezpośredni udział w pracy myśli i dążnościach życiowych wielkich mędrców starożytności. Przywiedzione powyżéj przykłady dają w przybliżeniu pojęcie o wykończeniu stylistyczném dzieła. Spodziewajmy się, że ta świetna forma zjedna poważnéj pracy prof. Pawlickiego szerokie koło czytelników, i przyczyni się do obudzenia u nas coraz żywszego zajęcia dla ogólno ludzkich zadań filozofii, urzeczywistniając w ten sposób słuszne nadzieje autora i każdego zwolennika postępu umysłowego naszéj społeczności.

H. Struve.

Marya Rodziewicz.—*Szary Proch.*—Powieść. Warszawa, 1890 r.

Czytałem chciwie, aż spostrzegłém że to już... „koniec“ i usiłowałem przypomnieć sobie, czym gdzie to widział, lub słyszał o czémś podobném? Autorka opowiedziała historyę ludową, z własnego kraju... Ależ dla wielu z nas, to tak jakby nam opowiadano historyę z Ameryki, lub Indyi Wschodnich. Każdy, nie przesadzając, zna tam trochę tego ludu, powierzchownie; lecz mało kto zna go tak, ażeby mógł prawić o nim, jako dziejopis moralny: upoważnionych możemy wyliczyć na palcach. A wreszcie, to nie lud, ale ludy. Mają one między sobą kilka cech wspólnych, kilka wspólnych aspiracyi; ale na przestrzeni, jaka nas głównie obchodzi, zachodzą powiatami i parafiami różnice, tak charakterystyczne, że co szlak, to nowe źródło spostrzeżeń, tak, jak nowa piosnka, nowa nuta, nowy strój. Aby poznać całą tę rozmaitość, życieby chyba temu poświęcić trzeba. Co innego, jeśli postrzeganie zamknie się w obrębie ścieśnionym: toć już i grzechem byłoby nie poznać i nie zrozumieć. Cóż ztąd, żem ja daremnie przykładał ucho do tego „Szarego Prochu“, i z bijącém sercem ocze-

kiwałem, azali nie usłyszę bezpośrednio echa tych dźwięków, jakie brzmiały mi z książki? Autorka jéj, z tego „prochu“ powstała, i w tym prochu się obraca: jéj odpowiedzialność za to, co tam widzi i słyszy, a ja umywam ręce. Ależ to dziwy, bo dziwy. Powtórzyć wam ich szczegółowo nie mogę, to część okkultyzmu: czytajcie sami. A jak żałuję, że na ten raz we mnie człowiek społeczny zaprzéć się musi, ustąpić marnemu estetykowi, który, co prawda, niewiele ma tam do roboty.

Jak powiedziałem, jest to powieść ludowa, a nawet czysto ludowa, bo świat pozaludowy występuje tam zdaleka i zaledwie w trzeciéj osobie: sielanka podszyta tragiedyą, któréj sceną zapadła wioska Karewiszki, gdzieś nad Dubissą, rzeczką, znaną nam z historyi Żmujdzi, mitycznéj i realnéj. Gdyby ktoś szukał w téj opowieści owych dziś tak upragnionych, — nie powiem modnych, — obrazów i studyów psychicznych, ściągających się do pojedyńczych charakterów, spotka go zawód. Bohater tutejszy, Wawrzyniec Karewis, to nie ów posągowy „Cham“ Orzeszkowéj, którego postać autorka rzeźbiła chrześciańskiém dłutem Michała-Anioła, i narzuciła mu draperyę, zamiast sukmany. Karewis i wszyscy co go otaczają, to gruppa, na którą światło wydobywa się nie z wnętrza istot, odmiennie do natury każdéj z nich, lecz pada z góry, promieniem pewnéj idei, przez autorkę postawionéj; nie tyle więc tu interesują osoby, ile wypadki, po których czytelnik idei téj dochodzi. Ponieważ zaś ona, w ten sposób realizowana, przedstawia się dosyć wyraźnie, to bez zaprzeczenia forma jéj czynić może zadość warunkom powieści, lubo dzisiejszym upodobaniom mniéj odpowiadającéj, a do umysłów mniéj wyrafinowanych, niż nasze, lepiéj zastosowanéj.

Ów Wawrzyniec Karewis, w początkowym rozdziale, stanowiącym rodzaj prologu, młody i dzielny chłopiec 27 letni, przedstawia się nam jako „kapitan Lorenz“. Istotnie, jest to wychodziec żmujdzki, chłopski syn z Karewiszek, który, dla ulżenia licznéj rodzinie, w piętnastym roku życia wypuszczony został w świat i własnemu pozostawiony przemysłowi. Dzięki sprytowi i wielkiéj energii wrodzonéj, od palacza okrętowego stopniami wydostał się na dowódcę handlowego statku, w ciągłéj służbie u szczecińskiego przemysłowca, Matschke; a dzisiaj, po latach dwunastu, objechawszy kilkanaście razy Ocean od Szczecina do obu Ameryk, stoi na granicy wielkiéj fortuny. Nietylko sam posiada spory fundusz własny, ale milionowy pryncypał, poznawszy jego zdolności i charakter, a zawdzięczając wierną służbę, ofiaruje mu wspólnictwo interesów i rękę pięknéj jedynaczki, która się młodzieńcem, przy pewnéj wzajemności, zajęła.

Pomimo, że kwestya psychologii stoi na drugim planie (*date veniam, sodales!*) nie zawadziłoby, gdyby młodzieniec ów wyraźniéj się nieco w tym prologu przedstawiał. Jest to zrazu istny „kapitan Lorenz“, wesoło, *sans arrière-pensée*, oddający się swéj służbie, karyerze, domowi, strojący koperczaki do nadobnéj Graetchen: widzimy w nim kompletnego niemca. Przez dwanaście lat ani razu za domem nie zatęsknił, nigdy słowem jedném do rodziny się nie odezwał (czy to przypuszczalne, autorko?), spotkanego przypadkiem na obczyznie ziomka zbył obojętnie i ladajako, języka zapomniał, w religii ostygł, a w życiu aktualném tak zamiłował, że niczego więcéj dusza jego nie pragnie. Dopiero, kiedy Matschke uczynił mu tak świetną propozycyę, zrobił się w nim ruch wsteczny, jakimś tajemnym szeptem odezwała się przeszłość, nad którą wszakże miał czas przez dwanaście lat medytować. Dlaczegóż-to mianowicie w téj chwili? Ze sposobu, jakim się przedstawia, wnosićby należało, że właśnie w téj chwili, gdy z Ameryki przywozi w podarunku pannie Graetchen dwie papugi, wyuczone dla niéj komplimentów, i ma zostać jéj posiadaczem razem z przyległościami, będzie najmniéj usposobionym słuchać podszeptów swéj rodzinnéj wioski; a jednak inaczéj się stało. Jest jakiś ukryty bodziec, na który autorka nie zwróciła uwagi, nie dopowiedziała czegoś, i pozostawiła lukę, zawadzającą w zrozumieniu téj reakcyi.

Pomimo prawości i szczeréj bezinteresowności, jaką okazał, wzdragając się z przyjęciem wspaniałéj ofiary, źle nas do siebie usposabia ten młodzieniec, bogobojnie wzrosły pod strzechą domową, który przez dwanaście lat nie zapytał o ojca i matkę, ani o ten „szary proch“, otrząśnięty z bosych nóg na obcym progu: jak pomyślimy zwłaszcza, że kiedy on gromadził talary, rodzina mogła umierać z głodu. Dopiero, kiedy wyleniał z dawnéj skóry, kiedy miał się w nową zaszyć jeszcze głębiéj, nagle pociągnęły go niewyraźne już wizye przeszłości. Kapitan Lorenz, z pierścionkiem narzeczonego na palcu, postanawia przed ślubem raz jeszcze wrócić do domowego ogniska, i wybiera się za urlopem na tydzień między swoich. Przybywa tu kosmopolitą zupełnym, i zaledwie łamanym językiem ze swoimi rozmówić się może. Uczucia osobiste względem rodziny i bliźnich, chwilowo siłą nowych nawyknień zepchnięte, na widok ojca i braci odzyskały moc swoję, odżyły; ale uczucia wspólne zamarły tak dalece, że z pogardą spogląda na to życie wioskowe, streszczające się w trudzie poniżającym i nędzy nieuleczalnéj. Wyszydza te zachody marne około „szarego prochu“, dla wydobycia z niego lichéj strawy, lichéj odzieży, lichego mieszkania, i radby wszystkich wyprawić w szeroki świat, siebie za przykład powodzenia dając. On i wioska stają wobec siebie na przeciwnych biegunach, co do uczuć i poglądów na świat.

Nie będziemy długo utrzymywali w tajemnicy, dlaczego autorka przemocą prawie ściąga tu owego kapitana Lorenza. Chce na nim ona doświadczyć wpływów rodzinnych przeciw ponętom natury odmiennéj, ukazać wskrzeszającą wirtualność tego szarego prochu, który on na pierwszym kroku lekceważy: wprowadzonego kapitana Lorenza wypuścić napowrót Wawrem Karewisem. Szlachetnego tego eksperymentu dokonać ma cała wieś w swojéj istocie; ludzie i natura, na wspólkę, na wyścigi. Jeden wszakże spostrzegamy warunek takiego przeobrażenia, raczéj odrodzenia, to charakter zkądinąd czysty i ku dobremu otwarty; tak jakby autorka powiedzieć chciała, że na ciele plugawem, lub zimném, szczep się ten nie przyjmuje. A jakkolwiek pewnych sprzeczności w charakterze swego bohatera nie pogodziła, przypuszczamy, że takim jest, jakiego mieć sobie do doświadczenia życzy: prawy, prosty, junacki, tylko kosmopolityzmem haniebnie dotknięty.

Tymczasem, co u niego jest przesądem, u wioski świętością. Następuje zatém głucha o zasady walka, w któréj obie strony wzajemnie zaczynają się poznawać i cenić, walka, podtrzymywana przez wszystkie żywioły integralne miejscowe, odsłaniająca zatém całą psychologię wioski. Stary Karewis wyobraża owo niewyrozumowane, a niezłomne do ziemi, wiary, mowy i obyczajów przywiązanie, na którém socyologowie nasi budują trwałość plemienia. Cierpi okrutnie nad wynarodowieniem się syna, odrzuca ofiarowane sobie grube pieniądze dla poprawy losu, skoro ten syn, zaledwie się pokazał, z lekkiém sercem napowrót wydziera się do obcych: ta zgryzota starego nie wzrusza jednak kapitana, który tutaj czuje się tylko przybyszem, urlopnikiem niemieckiego pana i niemki narzeczonéj, i ramionami zżyma na ględzenie ciemnego chłopa. Jest tu i chłop-filozof, Rufin, niedoszły dla nagłego kalectwa rzeźbiarz europejski, któremu, po pewnym pobycie na nauce w mieście, umysł się rozprzestrzenił, a dusza płonie blaskiem ideałów domowych, błogie ich światło rozrzucając wpośród gromady dokoła. Jego to umysł, wyćwiczony w kontemplacyi i samotnych rozmyślaniach, staje się myślą kierowniczą wioski, wiodącą bracię siermiężną do uszlachetnienia duchowego. Inny chłop, Szwedas, stanowi gorliwą, rozumną i niezmordowaną rękę téj myśli, któréj Rufin głową. Dla sprawy ogółu poświęca dobro własne, duszę własną nawet; zaniedbuje córkę Magdalenkę, dziewczynę wielce zalotną, w któréj kocha się na zabój urlopnik, Krysztof Szluguris. Zły to człowiek, stanowiący dysharmonię w tym chórze dusz wielkich, naprzemian twardych i wylanych. Zgorzkniały nie bez powodu: pod nieobecność w domu, sąsiedzi poworywali mu się w grunt, który, uszczuplony, nie starczy na wyżywienie, zmusza do ciągłéj i ciężkiéj

pracy zarobkowéj: Krysztof najemnik wzbiera żółcią i zawiścią przeciw zamożnym gospodarzom, truje go widok ich dostatku, zamyśla zemstę za krzywdy; źle patrzy z oczu tego ponurego człowieka, czuć go w téj sielance tragedyą. Smutną jest też i jego siostra, piękna Rozalka, ale usposobień jego dla ogółu nie podziela. Miała to być para z Rufinem, czemu przeszkodziło kalectwo; dziś pozostała przyjaźń serdeczna, związek dusz, wspólność myśli i działań dla dobra ogółu. I ona otarła się w mieście. A lubo młode dusze wiejskie tracą w niém zazwyczaj puszek niewinności, jeśli nie zgoła występnieją, Rozalka przeciwnie, powróciła czystą, tylko mężniejszą i więcéj wyrobioną. Do téj trójki, pracującéj dla dobra ogółu, złożonéj z Rufina, Szwedasa i Rozalki, a wyobrażającéj pewien rodzaj samorodnéj samopomocy, przystępuje młode chłopię, Marcinek, najmłodszy brat naszego Wawra-Lorenza, dzielny a serdeczny wyrostek, materyał na bohatera.

W takiém towarzystwie, wśród rozmaitych uczuć, zachodów, ruchów, których charakterem, prądem najwydatniejszym, jest miłość wszystkiego, co się składa na istotę wioski, Wawer zaczyna się z nią oswajać, odzyskuje co chwila przywiązanie do tego, co w latach chłopięcych kochał narówni z innymi, co wywiało z niego w obcém powietrzu dalekich mórz i lądów. Mimo pańskiéj odzieży i miejskiéj fantazyi, sam nie wie, kiedy i jak przemyka się do prac, zabaw i obyczajów wiejskich; dobrego serca człowiek, temu dopomoże, tamtemu rękę uściśnie, do téj się uśmiechnie, z ową pofiguje, i czas mu jakoś przyjemnie nad zakres schodzi. W ciągłém obcowaniu z przeszłością, dusza ją bezwiednie odbudowywa; łatwość mowy rodzinnéj powraca, a z nią wsłuchywanie się w stare pieśni przedwieczne, które osiadają w sercu,—mistrzynie, uczące kochać to, co było i jest. Pod codziennemi wpływami, przedewszystkiém domowéj zagrody, gdzie ręce wszego rodzeństwa wyciągają się do niego z miłością i błagalną prośbą: pozostań z nami! w ustawicznem zetknięciu z przyjaciołmi, którzy mu uczuciem i czynem tęż samą powtarzają zwrotkę, Wawer traci rachubę dni: co pewien czas pisze niemieckie listy do Szczecina z odwłoką, i co pewien czas nowy termin wyjazdu naznacza, — bądź co bądź, danemu słowu wierny i w postanowieniu powrotu do obowiązku i narzeczonéj wytrwały.

Nie przeszkadza mu to folgować naturze męzkiéj i zaświadczać wrażliwość na prostacze wdzięki karewiskich dziewoi, czy to przy tańcu w gospodzie, czy w wycieczkach po wsi; ale przygodne zaloty kawalera, cudzym przykutego pierścieniem, nie znajdują miru i wszędzie napotykają ironiczną odprawę. Szczególniéj zadraźniła go poważna i stateczna Rozalka, siostrzyczka czarnego Krysztofa, perła

wsi. Ale nie zbliżaj się do niéj z myślą pustaczą i swawolną: ta cicha i łagodna prządka, w obronie godności osobistéj, przemienia się w tygrysicę i wprost z pazurami skacze do oczu. Policzek, wybity na twarzy Wawra, w odpowiedzi na zaczepkę, jeszcze go bardziéj przynęca; postać smagła, oczy palące, towarzyszą nieodczepnie jego wyobraźni. Wstydby mu było odjechać ze złém po sobie wrażeniem, — z lichą pamięcią w téj duszy, dla któréj poczuł szacunek, do któréj coś go mimowoli pociąga. Pożar jednego z budynków, grożący zniszczeniem całéj wsi, daje mu sposobność do rozwinięcia swych rycerskich przymiotów i zręczności, w rzemiośle marynarskiém nabytéj. Wszystkie oczy zdumione patrzą nań, jak na zbawcę, podziwiają energię i rozum; wszyscy z rozmaitych okazyi wnoszą, co to za znakomity byłby dla wsi nabytek. Zna wszystko, umie wszystko, gotów wszędzie do rady i pomocy. A jakież to serce nieocenione! Ojciec wzgardził jego pieniędzmi; — on mu kupił grunt spory, wybudował chatę, urządził gospodarstwo—wzniósł zgoła nową zagrodę, dobry syn i dobry kierownik. Wszystko to oddziaływa sympatycznie i na serce Rozalki, bo któréjże kobiety, w chacie, czy w salonie, nie zjedna w mężczyźnie męzkość i wspaniałomyślność? Przestają się boczyć wzajem na siebie, stosunek przybiera charakter, godności pełen, i ludzie nawet z boku coś o tém poszeptują; o! gdyby nie ta obca narzeczona!

Ale trudna rada! Wawer aż się za głowę schwycił, porachowawszy, że jego tydzień urlopu trwa już cztery miesiące, i zima za pasem, a listy ze Szczecina przychodzą coraz bardziéj naglące. Jedyna na nie odpowiedź Wawra: nie puszcza mnie matka. O tak, ta matka wielooka i wieloręka, o sercu nieśmiertelném, zatrzymuje tu jego stopy, ujęte w „szary proch“, z którym się przodków zmieszały popioły. Ale teraz już pora. Załatwił wszystko, co go zatrzymywało. Interesa ojca i rodziny urządził, nowa jego zagroda skończona i poświęcona, zdobna kapliczką, dziełem wiejskiego mistrza, Rufina; pan Matschke i narzeczona się niecierpliwią, czeka nań nowa rodzina: trzeba rozstać się ze swoimi, mimo, że rodzony ojciec na myśl o tém umiera.

Przychodzi na niego ostateczna próba. Ferment złości, nurtujący w piersi Krysztofa, wybucha zbrodnią straszną, która oburzeniem i zgrozą zalała wieś całą i uniosła szlachetną ofiarę w osobie poświęconego Szwedasa, podmyła fundament samoobrony i dobrobytu. Kto stanie na miejscu upadłego? Kto ma tyle rozumu, serca, sprawności, jakich wymaga posterunek delikatny i odpowiedzialny? Wszystkich oczy zwracają się na Wawra. Czyż i teraz jeszcze opierać się będzie? Ogarnęła go, w objęcia serdeczne pochwyciła dusza osiero-

conéj wioski, chór duchów najszlachetniejszych zabrzmiał całą harmonią uczuć rodzinnych, i czego nie dokazały ponęty, dokazała klęska, wyciągająca rękę o ratunek i zadośćuczynienie. Wieś zażądała ojca, katastrofa naprawcy: znalazła go w Wawrze. Znalazła opiekuna siostra odtrąconego i przeklętego, Rozalka, z którą przeistoczony Wawer stanął niebawem u stóp ołtarza. A gdy wkrótce potém, w stroju chłopa żmujdzkiego, ukazał się w Memlu, przy wyładowywaniu okrętu, a majtek poznawał w nim rysy kapitana Lorenza, zaczepiając go poniemiecku, po dwakroć Wawer odpowiedział mu szorstko: Ne suprantu!

I ja także powiadam: Ne suprantu, — nie rozumiem. Z téj całéj opowieści pojmuję tylko rzecz jedną: przypuszczalne istoty wynarodowionéj odnarodowienie, za pośrednictwem wpływów miejscowych. Wygląda to zatém na tezę, a wypadki na szereg doświadczeń, mających ją rozwiązać w kierunku z góry powziętym i obmyślanym. Ależ jest to robota chemika, odgadującego pewne kombinacye, z któremi niekoniecznie godzić się może natura, i w których raczéj widzieć możemy obrót umysłu mistrza, niż stopnie rozwoju prawa przyrodzonego. Teza ta wreszcie, odrzuciwszy jéj sympatyczność, która jest rzeczą względną, może mieć rozwiązań kilka: zależy to od tego, jak ją kto postawi. Kto zaś ją stawia tak, jak to uczyniła autorka, ma już tém samém rozwiązanie gotowe, a co za tém idzie, i środki przygotowane; czyli, nie spogląda na przedmiot objektywnie, lecz w kierunku sympatyi własnéj. Przyjmując jednak i takie rozwiązanie, jakie dała autorka, a które nie jest niemożliwe, pozostaje nam rozpoznać środki. Człowiek daje się pociągnąć do jakiegoś czynu, o którym przedtém nie myślał, albo wprawić się w stan, jakiego przedtém nie doświadczał, nie inaczéj, tylko mocą pewnych bodźców, równoważnych oporowi, objawiającemu się przy przechodzeniu jednych stanów psychicznych w drugie. Wawer, przybywszy do Karewisk, o pozostaniu w nich nie myślał. Wszystkie wpływy, mogące obudzić w nim współczucie dla wsi rodzinnéj, dla któréj przedtém zobojętniał i którą zrazu wydrwiwał lub z politowaniem obchodził, widzieliśmy tu skreślone z poczuciem prawdy i sympatycznie. To, co oddziaływało na niego od ogółu, wzmocniło się nadto pojedyńczym, a wielkiego w tym razie znaczenia, wpływem osobistym Rozalki, która widocznie wchodzi do jego serca na miejsce słabo obsadzone przez Graetchen. Mimo to wszystko jednak, Wawer wybiera się w drogę: to znaczy, że te wstrząsające nim dotąd wpływy, nawet widok umierającego z boleści ojca, nie zrównoważyły poprzednich bodźców, czy to egoizmu, czy poczucia zaciągniętego obowiązku; gdyż, co do tego, autorka jasno się nie wytłómaczyła. Koniec końców, wszystkie te wdzięczne środki, jakie

autorka wyciągnęła ze zwyczajnego otoczenia wiejskiego, okazały się bezskutecznemi: Wawer byłby nadal pozostał Lorenzem. Potrzeba było nadzwyczajności, i autorka wyciąga swego atuta. Przybywa katastrofa, wychyla się idea, sprawiająca przełom i odnosząca stanowcze nad stanem duszy Wawra zwycięztwo. Jest ona niezaprzeczenie takiego tryumfu godną; lecz ażeby była wpływową, musi być przez jednostkę uznaną i ukochaną, i wtedy tylko stanowić może bodziec reakcyjny; inaczéj, będzie ona tylko dla jednostki przedmiotem widowiska, nie zaś siłą wewnętrznie pociągającą. Tego-to właśnie warunku w przejściu Wawra ze stanu oporu w stan poddania się nie widać: nad tém przestoiczeniem stanowczém i nieodwołalném autorka zbyt pośpiesznie przeszła do porządku czysto faktycznego; cokolwiek zaś przytoczyła, ma raczéj charakter dekoracyjny i działający na wyobraźnię, niż na wolę, walczącą z czynnikami przeciwnemi, a mocno osadzonemi. Zamiast miłości powołania, którą wśród innych autorka uwydatniła silnie, u Wawra działa raczéj ambicya powołania, wywdzięczenia się za ufność, a osoba jego, względnie do przedmiotu, tonie wśród grozy i malowniczości samych faktów, w gronie ludzi nierównie więcéj zwracających uwagę. I wogóle, muszę tu wyjawić całą prawdę, jak o tém wszystkiém myślę: postać Wawra jest niedbałe, czy nieumiejętnie wystudyowaną. Nie jest to charakter wyraźny i konsekwentny, zły czy dobry, miękki czy twardy, ale taki, jakiego dzieło sztuki wymaga. Ażeby go do swych celów naciągnąć, postawić w warunkach walki i zwycięztwa, raz mu autorka czegoś z wartości moralnéj ujmuje, drugi raz dodaje, tak, że ztąd tworzy się pewna kompozycya sztuczna, niepewna, *ad hoc* wywołana. Czyni go złym synem, który lata całe o rodziców nie dba; za powrotem, nad mogiłą matki i łzy nie uroni; jest to zatém natura sucha, po któréj wybuchów serca zgoła oczekiwać nie można. Dobrodziejstwo jego dla ojca wygląda na jałmużnę, bo daje mu on dostatek materyalny, nic go dziś nie kosztujący, skoro ma zostać współwłaścicielem milionów,— a wciąż mu odbiera syna, jedyne dobro, do którego ojciec ręce wyciąga. Z pierścionkiem zaręczynowym na palcu, usiłuje pierwotnie zbałamucić Rozalkę, i nie od niego zależało powstrzymanie się na téj drodze do pięknego po sobie wspomnienia,—słowem, wierutnie on trąci egoizmem, a znowu kiedy potrzeba, ni ztąd ni zowąd, otwiera mu się serce, tak, jakby to był urodzony bohater zaparcia i poświęcenia.

Kosztem téj postaci, poprawniéj występują figury inne, szczególniéj Rozalka, ale już tylko szkicowo: te przynajmniéj wiemy czém są i czego chcą. Możemy sobie z nich zdać sprawę, ale, oprócz młodego Marcinka, trudno nam, ze względu na koloryt, uznać w nich to, za co je autorka podaje. Takich chłopów, jakimi oni się tu przedsta-

wiają, nie widziałem u nas nigdy i nigdzie; taka wieś istnieje chyba gdzieś albo w wyobraźni, albo wyjątkowo: — i dlatego-to z góry powiedziałem: nie rozumiem; a wreszcie w wątpliwości mojéj utrzymują mnie fakta. Wszystko tam, w tych Karewiszkach, tchnie miłością do tego „szarego prochu“, i tą miłością oddziaływa na zbłąkanego syna. Kiedy Wawer, mówiąc o zagranicy, powiada do ojca: — „Tam warto pracować“; ojciec odpowiada mu: „A tu warto umierać!“ Pomijając tę retoryczną replikę w ustach ciemnego chłopa, dość dziwną, ale o takie tutaj nietrudno,—nie sprawdza się ona w téj właśnie chwili, gdy się nad doniosłością jéj zastanawiamy: gromady spieszą umierać gdzieindziéj. Tak, że cała ta miłość, która fundament powieści stanowi, wypadła w taką porę, że zakrawa na ironię. Wyciągnęła autorka tę wieś do jakiegoś ideału, którego sprawdzenia szukać daremnie gdzieindziéj; może to jaka oaza: bo tam chłopi inaczéj mówią, inaczéj myślą, niż wszyscy ci, o których prawi nam Dygasiński, Junosza; inaksze mają ideały.

Zaznaczamy ten fakt, nie naciskając zbytecznie: bo choćby to było tylko fantazyą autorki, fantazya ta mieści postulat tak wzniosły, że dla niego gotowiśmy cofnąć wszystkie zarzuty i uchylić czoło. Wszystko też, co tam dzieje się w imię tego postulatu, odczuwa jego wartość i zapał. Od chwili katastrofy, sprowadzonéj nikczemnością Krysztofa, ciche pola wioski zamieniają się na arenę dramatyczną, wszystkie serca czują prawdziwie, robi się ruch uczuć, wir czynów, godny figurować na scenie najwytworniejszéj. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że autorka zbyt pobłażliwie i jakby aprobująco przeszła nad wyznaniem starego Szwedasa w więzieniu. Jakkolwiek rozumiemy naturę fanatyka i warunki towarzyszące przedsięwzięciu, nie możemy w sądzie czynów gwałtownych rozmijać się z etyką, zdobytą usiłowaniami wieków, my zwłaszcza, Chrystusowi uczniowie. Lekkie przejście nad tém uważamy za jeden z najgrubszych błędów powieści.

K. Kaszewski.

„*Pan Jędrzéj Piszczalski*“, opowieść z niedawnéj przeszłości **Adolfa Dygasińskiego.** (Tomów II. Warszawa, nakład Teodora Paprockiego 1890 r. str. 315, 178).

Wśród nowelistów i powieściopisarzy naszych Dygasiński zajął odrębne stanowisko, ma własną fizyognomię, ktora w niczém nikogo nie przypomina. Nie wchłonął w siebie tradycyi estetycznéj, nie przejął się pojęciami żadnego kierunku, żadnej doktryny, ani szkoły poetycznéj. Gdy parę razy próbował być krytykiem, brakło mu estetycznego przygotowania; gdy pisał dramat ludowy, posunął lekceważenie techniki scenicznéj do niemożliwych granic. Jako artysta, nie jest mistrzem, ale braki te zastępuje często innemi przymiotami talentu: poczuciem prawdy, oryginalnym wyborem przedmiotu, wreszcie zaletami społecznego i naukowego myśliciela. W pierwszych jego nowellach, które odrazu zaleciły się oryginalnością tematu i opracowania, znać jeszcze było pedagoga, myśliciela z nowszéj szkoły i dydaktyka, który potrafił po swojemu malować życie, ale do obrazów dodawał ciągle teoretyczne komentarze. Obecnie Dygasiński porzucił tę metodę i do przędziwa powieściowego nie używa nici dydaktycznych.

Ostatnia jego powieść urodziła się widocznie w umyśle, zapłodnionym przez ideę rozwoju. Stanęło mu żywo przed oczyma znane prawo socyologiczne, mocą którego przemiany radykalne ustroju społecznego wywołują zanikanie pewnych odmian i gatunków człowieka, które się wykształciły i nabrały typowych rysów wśród warunków dawniejszych. Uwłaszczenie włościan w naszém życiu wewnętrznem należy do najważniejszych przełomów, albowiem zmieniło do gruntu dawne stosunki, powołało do nowego rozwoju ogromne warstwy społeczne, waląc w gruzy patryarchalny ustrój życia wiejskiego, utrwalony w kolei wieków.

Dygasiński cofnął się myślą po-za ten przełom i poczerpnął najnowszą powieść z życia i obyczajów szlacheczczyzny naszéj z przed 1860 r., gromadząc niektóre jéj typowe rysy, coraz bardziéj niknące.

Kto zna naszą literaturę szlachecką, tego odrazu uderzą ogromne zmiany obyczajowe, jakie wywołał ruch społeczny i umysłowy z ostatnich lat dwudziestu pięciu, sprowadzając wielką przemianę pojęć, nietylko w miastach, ale i w okolicach kraju, zbliżonych do głównych arteryi komunikacyjnych.

Tu i owdzie w kraju naszym znajdują się jeszcze okazy szlachty dawnego autoramentu, ludzie zagrzęźli w dawnych uprzedzeniach

kastowych, w starych nałogach, których ciężkie doświadczenia niewiele nauczyły. Jednakże w wielu okolicach, będąc na wsi, na zebraniu towarzyskiém lub zjeździe, nietrudno spotkać grono inteligencyi wiejskiéj, dla któréj gawęda o koniach, urodzajach, wielkiéj polityce i buteleczce, łącznie z partyjką winta, nie jest alfą i omegą potrzeb umysłowych i towarzyskich. Są to ludzie inteligentni, rozprawiają śmiało, często bardzo liberalnie, o ważnych sprawach społecznych, ekonomicznych, a nawet literackich, stojąc często na wysokości potrzeb naszego czasu, pojmują swoje obecne stanowisko i obowiązki społeczne. Nie poznałbyś w nich potomków lub spadkobierców owéj dawnéj szlachty hałaśliwéj, buńczucznéj, swywolnéj, co na sejmikach piła, hulała, krzyczała i marnowała ojcowiznę świętą.

W powieści Dygasińskiego widzimy szlachtę z doby wczorajszéj, ludzi, w których skupiły się właściwości i nałogi dawnych sejmikowiczów i wojaków, niemające, jak dawniéj, szerokiego ujścia, ale zwarte w ciasnym obrębie ziemiańskiego życia na wsi.

Z téj niepowrotnéj przeszłości, na któréj zmierzch patrzyliśmy jeszcze dziecięcemi oczyma, autor wskrzesił postacie, pełne prawdy, bardzo typowe, i pokazał je czytelnikom wypukło i żywo. Utwór Dygasińskiego jest monografią literacką, poświęconą charakterystyce rysów i postaci szlacheckich, które niezadługo zginą do szczętu z widowni społecznéj.

Dygasiński w powieści robi mniéj więcéj to samo, co przed półwiekiem robiła gawęda szlachecka w poezyi. Chwyta on echa gasnącéj tradycyi, ożywia wspomnienia, które rozpływają się w mgle przeszłości, uwiecznia ustne podanie w artystycznych kształtach. Rozumie się, że pisarz, obdarzony duchem krytycznym naszéj doby, nie powleka téż tradycyi pokostem fałszywego idealizmu, nie lepi z niéj fałszywych fetyszów społecznych, jak to czynili ongi poeci nawet niepospolitéj miary. Dygasiński nie apoteozuje swych bohaterów, ani się na nich nie oburza, nie bawi się w tendencyjne idealizowanie tradycyi, ani téż w tromtadrackie szlachtożerstwo. Opisuje on szlachtę ze spokojem epickim, przejęty tą świadomością obserwatora i naturalisty, że jego ludzie takimi są, jakimi być musieli, jakimi urobiły ich tradycye obyczajowe, czynniki wychowawcze i warunki życia danéj sfery.

Główną osobą powieści jest, wymieniony w jéj tytule, pan Jędrzéj, którego koleje autor opowiada od kolebki do grobu. Ojciec jego, wojak napoleoński, kazał malca wychowywać pod okiem starego wiarusa, Macieja Wierzby, który wsączył w duszę młodocianą legendę bohatera z pod Waterloo. Wspomnienia marsowe przylgnęły do

umysłu chłopca na zawsze, wyobraźnia tak się niemi przepoiła, że pan Jędrzej fikcyjnie złączył swą osobę z osobą napoleońską i z największą pewnością przez całe życie wmawiał w siebie i w innych, że brał czynny udział w epopei pierwszego cesarstwa. Podobnie jak członkowie niektórych rodów szlacheckich (np. Soplicowie w Panu Tadeuszu), okazywał niewielkie zdolności do nauki, ale za to pełen był rycerskiego animuszu, krzepki, rozrosły i barczysty. Godny to potomek szlachty z wieku XVII, która umysłowo stępiała wśród ogólnego upadku oświaty, zapomniała o wielkich zdobyczach złotego wieku, zahartowała się, ale i zdziczała trochę w wojnach szwedzkich i kozackich...

Gdyby pan Jędrzéj miał sposobność, możeby w rycerskiém rzemiośle okazał się godnym przodków swoich, ale całą swą energię mógł zużytkować tylko na konne harce, na poskramianie narowistych biegunów, na huczne łowy i hulanki. Za pańszczyźnianych czasów prowadził życie królewskie w swéj dziedzicznéj Kuczmirówce, która dawała bez trudu śliczne intraty. Chociaż pan Jędrzéj dożył do schyłku epoki poddaństwa włościan, gospodarował po staremu za pomocą rządcy i batoga. Jestem pewny, że, pomimo postępów wiedzy agronomicznéj, trzymał się do śmierci trzypolówki, chociaż autor tego wyraźnie nie zaznaczył. Żył wesoło z pieskami i konikami swojemi, jeździł do sąsiadów na polawanka i szlacheckim zwyczajem chętnie w swym dworku dawał przytułek rezydentom.

Przyplątał się do Kuczmirówki jakiś daleki jego krewny, czy powinowaty dziesiątego stopnia, pan Eugeni Horda Drakiewicz, zrujnowany szlachcic litewski, frant, gaduła, wyjadacz, łgarz, tchórz, facecyonista. Miał on niegdyś majątoczek i kilka tysięcy dusz, ale, strwoniwszy wszystko, jeździł po znajomych i krewnych rzemiennym dyszlem, objadał wszystkich, opijał, obierał z pieniędzy, żył znośnie i wesoło, czasami tylko oberwał guza w jakiéj awanturze. Pan Horda Drakiewicz jest doskonałym typem rezydenta i totumfackiego, który tuczy się, jak pasorzyt, korzystając z obyczajów staropolskiéj gościnności. Trafił na poczciwą i prostacką naturę pana Jędrzeja, zaimponował mu wymową i brawurą, rozgościł się w Kuczmirówce na dobre. Jako rezydent z powołania, nie uważał się za pasorzyta i wyzyskiwacza. Wszakże miał swoją fortunkę, puścił ją z bracią szlachtą, więc teraz ma prawo żądać gościnnego dachu, dobréj strawy, buteleczki węgrzyna no i... zasiłku w brzęczącéj monecie. Gdyby się brał do handlu lub przemysłu, splamiłby klejnot szlachecki, ale on podzielił z bracią, co miał—to nie żadna hańba! Pan Eugeni był w Kuczmirówce pożądanym gościem, bo lubiał pić dobrze, ucieszny był, sypał niby z rękawa różne koncepta, opowiadał przygody wła-

snego życia, znał na palcach koligacye szlachty, komponował całe genealogie, miał na zawołanie wielką moc sentencyi, wspomnień i anegdot. Autor obdarzył tę postać dużą dozą fantazyi i humoru... Jak ten Eugeni Horda-Drakiewicz gada! Słowa mu z ust lecą, niby plewy z wialni, i to słowa nie byle jakie, ale pełne prawdy i życia, drgające nie szlachecką brawurą... Autor odnalazł w sobie niewyczerpane zasoby werwy, nadał gawędom pana Hordy - Drakiewicza wysoce charakterystyczne „zacięcie“, nagromadził mnóstwo wspomnień i szczegółów, jakby lata całe przebywał z tym paradnym rezydentem, chwytając w lot każde jego słowo.

Pan Eugeni jest doskonałym reprezentantem poglądów przeciętnego szlachcica owéj epoki. Paradne są jego rozmaite opinie w kwestyach obyczajowych i praktycznych. Bywał on w niejednéj przygodzie, pod wozem i na wozie, więc urobił sobie własną filozofię praktyczną, miał swoje uwagi i przypowiastki na każdy wypadek. Zabawna jest np. jego charakterystyka koroniarzy (Tom I. Str. 54), w któréj, ze zwykłą litwinom filuteryą i złośliwością, opisuje warszawskie zamiłowanie do blichtru i blagi, a zwłaszcza panującą wówczas politykomanię. Wprawdzie koroniarze nie dogadzali zamiłowaniom żołądkowym Pana Eugeniego, częstowali go mdłą herbatą, jednakże ślicznie cięli politykę. Zacznie mówić koroniarz — roskosz! Francuz dla niego jest swój, anglik—takoż, niemiec-li, turek, poganin każdy, czy dusza chrześciańska—wszystko polityka gładka!... Tak ci, duszko, rozjaśni Europę, że głodny wracasz do domu, a myślisz sobie: At mądrości dość się nasłuchał! Pomyślisz o tém przed snem i powiesz sobie: Nałgaliż koroniarze! a pójdziesz między nich znowu jutro w wieczór — masz to samo. Jaż ciągle myślał o tych mowach i nie mógł połapać się: łgarstwo, czy prawda?... Roskosz, jak oni mówią! Marszałek szlachty u nas i to nie każdy przegadać może koroniarza...“ Do sztuk pięknych nie ma pan Eugeni pociągu, teatru nie lubi, bo tam „żarty z człowieka tylko robią taj koniec... Ja raz zapłakał, a poznał że to żart, sztuka, to więcéj na teatr nie poszedł... Ja Eugeni Horda Drakiewicz! Mnież na muchy komedyanty brać mają? Nie poszedł więcéj, coby durnia z siebie nie robić — oo!... Wstydził się sam za siebie, jak Boga kocham. Nacóż mnie teatr?... Kolacyę ja i bez teatru zjem; drugi apetytu tego nie ma, niech chodzi: poczeka kilka godzin na teatrze i apetyt mu przyjdzie“. W kwestyach napitku i jedzenia pan Eugeni ma także swoje teorye i przekonania, tém bardziéj, że należą one dla niego do kapitalnych zagadnień żywota. Lubi przeplókać żołądek butelką dobrego węgrzyna, mdłych pańskich potraw nienawidzi! na kawę i herbatkę się zżyma, bo te paskudztwa handlarze fałszują szpetnie... „Od tegoż oni

kupcy... sposoby oni mają!... Niech oni, durnie, spirytus mi podrobią... Z czego zrobisz, to zrobisz, a spirytus spirytusem — ha?“ (Tom I. Str. 183).

Jako dobry szlachcic, pan Drakiewicz ceni różne delicye żywota, wrażliwym jest na wdzięki niewieście. Z gustem-by się ożenił, gdyby jaka ciepła wdówka dała mu porządny wikt, dobry napitek i trochę grosza, bo zresztą wielkich rzeczy nie wymagał. Ale ponieważ nie było takiéj niewiasty, coby chciała podobnego suszykufla i obieżyświata za męża, pan Horda Drakiewicz umizga się gdzie może, stroi koperczaki do dworskiego fraucymeru, naraża się na bardzo bolesne przejścia, raz nawet na doraźną egzekucyę, wymierzoną przez gromadę tęgich dworskich dziewek.

W różnych sytuacyach i potrzebach pan Eugeni nie zapomina języka w gębie, umie zmyślać bardzo gładko... Kłamał trochę z potrzeby, trochę z artyzmu, ale kłamstwa jego nie są jednak junackie, ani samochwalcze, mają cechę prawdopodobieństwa, mieszają się z prawdą, tak, że na pierwszy rzut oka niełatwo odgadnąć, czy pan Eugeni harcuje po gościńcu prawdy, czy puszcza się na manowce zmyślenia. Jedném słowem: pan Eugeni jest jedną z najżywszych i najwyrazistszych postaci, jakie się zjawiły ostatniemi czasy w belletrystyce naszéj. Dygasiński nagromadził mnóstwo rysów szczegółowych, trafnych obserwacyi, wytrzymał ton zasadniczy z konsekwencyą, pokazał tego człowieka z każdéj strony, określił jego poziom umysłowy, pojęcia kastowe, jego zwroty mowy, sentencye, jego mądrość praktyczną, swadę, jego nałogi, wady i przymioty, obrzucił wreszcie tę postać blaskami swojskiego humoru. Jest to w duchu zdrowéj metody realnéj bardzo dobrze wykonana charakterystyka człowieka, prawdziwa i typowa zarazem, któréj mogą pozazdrościć Dygasińskiemu najdzielniejsi powieściopisarze nasi.

W pierwszéj części opowiadania pan Eugeni przysłania nawet główną postać pana Jędrzeja, bardzo ciekawą, chociaż niewyposażoną w takie bogactwo rysów i szczegółów. Pan Jędrzéj jest człekiem prostym, krewkim, porywczym, trochę despotą, ale w gruncie rzeczy dobrym i sprawiedliwym. Żyje po kawalersku w swym dworcu, służbę trzyma w ryzie, w pasyi gotów parobka zbić okrutnie, ale za to później hojnie go wynagradza... pieniędzmi. Ma się rozumieć, że o poszanowaniu godności człowieczéj w chłopie, albo słudze własnym, nie ma nawet najlżejszego wyobrażenia. Starego Macieja, swego wychowawcę, kocha bardzo, ale nie może go do kieliszka przy stole obok siebie posadzić, bo z chamem przecie bratać mu się nie wypada. W tym celu stara się nawet dla niego o dyplom szlachecki, który przychodzi po śmierci biednego sługi.

Przypomina potrosze pan Jędrzéj usposobieniem owe znane z dziejów naszych „Królewięta“, które we własnych dworach lub pałacach uważały się za panów samowładnych i wyższych nad wszelkie prawo. Nałogi buty i samowoli wzmagają się u Pana Jędrzeja wraz z tuszą i wiekiem, występują jaskrawo w drugiéj połowie życia, spędzonéj w Płockiém, we wsi Jackach, którą otrzymał w spadku po jakiéjś bogatéj ciotce. Polował np. jednego razu na szaraka i zapędził się na folwark, który niedawno odprzedał Stinkfasowi, niemieckiemu koloniście. Widząc psy wpadające na swoje podwórze, Niemiec, przyuczony do poszanowania cudzéj własności, wypalił w łeb z dubeltówki faworytalnemu chartowi pana Jędrzeja, który natomiast kazał parobkom schwycić Stinkfasa i sprawić mu łaźnię. Innym razem rozsierdzony wytoczył beczkę wódki, spoił parobków i w nocy z całą kalwakatą ruszył na Macinowice, będące siedliskiem nienawistnego „szwaba“. Jako szlachcic staréj daty, chciał urządzić formalny „zajazd“, puścić z dymem siedzibę i gumna wroga; ale stary Maciéj padł przed nim na kolana i odwrócił od szalonéj imprezy.

Nie lubiał pan Jędrzéj, gdy mu nieproszony kto nos wtyka w jego sekreta, mające związek z płcią nadobną. Zaprosił raz z polowania na bibkę pewnego sąsiada, z którym przyjechali dwaj paniczykowie... Ciekawi, zaczęli myszkować po ogrodzie, zaczepili błądzącą po nocy rusałkę pana Jędrzeja, który spostrzegł te maniery i kazał po cichu parobkom obu frantów porządnie oćwiczyć. Z płcią piękną nie umiał sobie poczynać, a bardzo był czuły na jéj wdzięki. Człek natury żołnierskiéj, nie umiał serca niewiast jednać „gładkiém świegotaniem“, które podobało się nawet białogłowom staréj daty, ale brał się do rzeczy obcesowo Poznał w Żytomierzu pannę Julię Zdolską, któréj naprawdę wpadł w oko, jako dzielny mężczyzna. Chciał się starać o jéj rękę, ale miał przeciwko sobie możną rodzinę bohdanki, protegującą innego konkurenta. Nie umiejąc z przeszkodami walczyć sprytnie, ani dojść do celu za pomocą zwykłych zabiegów, chce gwałtem zdobyć szczęście i układa plan wykradzenia panny. Chociaż pan Eugeni dosyć zręcznie wziął się do przeprowadzenia tego planu swego chlebodawcy, jednakże popsuł wszystko, wzywając pośrednictwa garderobianéj, która... pozwoliła się wykraść zamiast swéj pani, niemającéj ku temu wielkiéj ochoty. Po hajdamacku brał się do rzeczy p. Jędrzéj, i zamiast żony dystyngowanéj, zdobył sobie powabną... przyjaciółkę, którą osadził w ładném gniazdeczku w Warszawie. Ale sprytna Lusia sprzykrzyła sobie niewolę i zazdrość szlachcica, więc frunęła z gniazdka, uprowadzona przez kompanijkę malarzy, którym pozowała za model. Pan Jędrzéj z tego powodu

zrobił grubą awanturę szczęśliwemu rywalowi, oberwał potężne cięcie pałaszem w głowę, z którego się sporo czasu musiał leczyć. Zapłonął potém silnym afektem do panny Turnianki, świeżo osiadłéj w sąsiedztwie, lecz doznał niemiłéj konfuzyi, albowiem jego ideał przyznał mu się otwarcie, że był właściwie... chłopcem, odegrywającym z woli despotycznego ojca rolę wykolejonéj siostry...

Największą rolę odegrała w jego życiu tajemnicza nieznajoma, Ewa Czekedy, którą spotkał w lesie, jadąc do Galicyi po nowy spadek. Łącznie z towarzyszką, Jolą, przedstawiła mu się jako ofiara prześladowań politycznych rządu austryackiego, więc pan Jędrzéj dał im przytułek najprzód w Kuczmirówce, potém w Jackach, gdzie owe panie zajmowały ustronne pokoje we dworze, nieprzystępne i niewidzialne dla nikogo. I pan Jędrzéj, i autor otoczył wielką tajemniczością ów romantyczny epizod. Obie damy nie pokazywały się nikomu, biegały o nich po okolicy różne domysły, panna Jola wychodziła tylko śpiewać na ogród i unikała starannie zetknięcia się z ludźmi. Pan Jędrzéj, z energią i uporem despoty, trzymał je w odosobnieniu i nie pozwalał nikomu przenikać osłon alkowy... Autor z wszelką dyskrecyą unika także wyraźnych rysów, jakby umyślnie omijał wyjaśnienia tajemnicy. Pewnego razu obie damy ulotniły się z Jacków pod nieobecność gospodarza i został po nich tylko .. chłopiec paroletni, Marcel, którego pan Jędrzéj otoczył prawdziwie ojcowską opieką. Potém dopiero, w parę lat, dowiedział się, że w domu jego gościły nie ofiary polityki, ale awanturnice, ścigane przez policyę. Gdy powiedziano mu, że we francuskiéj gazecie opisano jakąś „comtesse de Piszczalski“, jako złodziejkę, pan Jędrzéj, purpurowy z gniewu, fuknął i użył epitetu, który w zoologii służy na określenie zwierząt czwororękich. Potém zakrył twarz rękoma i powtarzał z cichém łkaniem: „Hańba!.. dziecko zhańbione“, i po długiéj ciszy wygłosił pierwszą i jedyną skargę w swém życiu: „Jestem nieszczęśliwy“.

W tym smętnym wykrzyku streścił pan Piszczalski marność swego żywota, który snuł się buńczucznie, kapryśnie, dziwacznie, ale był bezpłodnym. Żył pan Jędrzéj na swéj ojcowiznie, używał względnéj swobody, jaką mu dawała dobra fortuna, dogadzał swoim fantazyom i zachciankom, powoli postarzał się i utył, nie mógł zużyć sił swoich dla szerszych celów i obowiązków, nie umiał sobie stworzyć domowego ogniska, dopiero pod koniec życia myślał o szczęściu syna, który wcześnie zaczął okazywać charakter energiczny i nieposkromiony. Nie spodziewał się, że jego Marcel żyć będzie wśród nowych zupełnie warunków i nie potrafiłby zapewne przygotować syna do nowego życia. Może sobie da radę pan Marceli wśród dzisiejszych warunków, bo

odziedziczył energię ojca, jeżeli zwłaszcza nauczył się inaczéj cokolwiek patrzéć na swe stanowisko i powołanie społeczne.

Zajmującym byłby obraz przerodzenia się jego instynktów rasowych i stanowych wśród nowszych przemian społecznego ustroju. Ale proces ten trwa jeszcze, nie dopełnił się całkowicie, nie dałby może materyału do typów skończonych i skrystalizowanych. Autor jednak nie miał widocznie zamiaru pokazać nam nowego ogniwa ewolucyi szlacheckiéj, trzeba go więc sądzić za to, co nam daje, nie narzucając z góry innych zachcianek.

W panu Jędrzeju Dygasiński chciał najwidoczniéj przedstawić okaz szczątkowy dawnéj rycerskości, wcielenie tego przebujałego indywidualizmu, który w przeszłości naszéj działał rozprzężnie, jak siła międzycząsteczkowa gazów, rozrywająca naczynie, co je skupiało. Animusz i fantazya pana Piszczalskiego zużywały się licho w pospolitych przygodach. Był to człek dużego rozmachu, a nie miał gdzie wywrzéć mocy swojéj. Gdyby żył przed stu laty, wystawiłby może kompanię rycerską na jaką potrzebę wojenną, tymczasem sztyftuje setkę jezdnych na polowanie, aby się przypodobać pięknéj damie. Nic dziwnego, że porywy bujne pana Jędrzeja, nie mając właściwego ujścia, wyradzają się, prowadzą do dziwacznych wybryków i szalonych pomysłów, jak np. urządzenie farsy podczas polowania z przyswojonemi niedźwiedziami, oraz gromadą trzody chlewnéj, pomalowanéj na czarno, która udawała stado dzików. Był to koncept dotkniętego w swéj dumie myśliwca, który chciał sąsiadowi hrabiemu odpłacić za żarciki, czynione z jego kniei.

Wogóle pan Jędrzéj miał szczęście do niezwykłych przygód i awantur, których jednak autor nie wymyślał, ale brał z faktów, przekazanych przez świeżą tradycyę. Wykradzenie garderobianéj zamiast panny, polowanie ze swojskim niedźwiedziem, przygoda ze złodziejkami brylantów, wreszcie udawanie śmierci dla wypróbowania wierności służby dworskiéj, są to, jak się zdaje, wydarzenia rzeczywiste, które autor skupił trochę sztucznie w dziejach jednéj osoby.

Na portret pana Jędrzeja złożyły się widocznie rysy, czerpane z kilku żywych postaci. Opowiadanie np. z najlepszą wiarą cudownych przygód i udziału w wojnach napoleońskich jest rysem, przypominającym księcia Panie Kochanku, a jednak autor wziął je z żywéj figury, znanéj jeszcze niedawno w pewnych kołach towarzyskich. W tych kłamliwych improwizacyach migają ostatnie przebłyski napoleońskiéj legendy, która łączy się tak ściśle z tradycyami szlacheckiemi naszego stulecia. Szkoda tylko, że nadto bije w oczy karykaturalność i przesada tych kłamstw; trudno przypuszczać, aby pan Ję-

drzéj był do tyla naiwnym i naprawdę sądził, że jego bajdy mogą budzić wiarę.

W ogóle postać główna, pomimo nawet rysów pojedyńczych, nie jest tak pełną i tak doskonale wytrzymaną we wszystkich szczegółach, jak wizerunek pana Hordy - Drakiewicza, może dlatego, że pan rezydent robiony jest podług jednego modelu i posiada rysy jakby bezpośrednio portretowane. Pan Eugeni odrazu występuje gotowy, urobiony przez dawniejsze życie, pozostaje takim samym od pierwszéj do ostatniéj karty. Trudniejsze zadanie psychologiczne przedstawiał pan Andrzéj, albowiem autor ukazał jego charakter w stopniowym rozwoju i dobrze zaznaczył główne zmiany, zachodzące pomiędzy młodością, a wiekiem dojrzałym bohatera. Czynna i ruchliwa natura szlachcica w początku życia objawiała się fizycznie, a potém, gdy ciało zamieniało się powoli na bryłę ciężką, ruchliwym został tylko umysł, o ile na to pozwalały dawniéj zdobyte siły i zasoby.

Szkoda tylko, że śmierć pana Jędrzeja, będąca końcem powieści, jest zupełnie przypadkową. Jadąc z Drakiewiczem do Radomia, aby sprowadzić ze szkół chłopca na święta, wybrał się w czwórkę rączych i nieujeżdżonych koni. Spotkali po drodze nienawistnego Stinkfasa, który zbankrutował i wyjeżdżał z Maciowic na wozie, wyładowanym betami i rupieciami. Niemiec, jego żona i dzieci, spotkawszy powóz p. Jędrzeja, wybuchnęli krzykami nienawiści, konie spłoszyły się, pomknęły jak szalone i połamały powóz o kupę kamieni. P. Jędrzéj, wyrzucony z impetem, miał strzaszkaną czaszkę i, wyjąknąwszy zaledwie imię syna, skonał na miejscu.

Katastrofa ta nagle przecina wątek opowiadania, jakby autor znużył się swym bohaterem i wybrał pierwszy lepszy środek, aby się z nim na dobre załatwić. Tutaj koniec żywota nie jest jego logicznym wynikiem. Pan Jędrzéj nie pada ofiarą swych upodobań rycerskich, albowiem pod koniec życia lubiał spokój i godzinami odpoczywał w fotelu. Wątpię, aby autor chciał zrobić przyczyną jego zguby nienawiść Niemca, bo gdyby przypadkiem stangret nie wziął znarowionych koni, wymysły Stinkfasa rozpłynęłyby się w powietrzu bez echa. Nie miał zamiaru, jak się zdaje, Dygasiński ukazać w téj katastrofie działania losowego, które ze stanowiska subjektywnego i ludzkiego przedstawia się, jako nieprawidłowe wkroczenie sił wyższych, nadprzyrodzonych, w zakres doli człowieczéj. Wziął autor ten fakt surowo, może tak, jak mu go dała rzeczywistość, nie dorabiając do niego żadnéj filozofii życiowéj.

Ponieważ w sztuce szukamy odbicia głębszéj prawidłowości lub wybitnych cech życia, więc to zakończenie powieści, nagłe, brutalne, razi nas, niby zgrzyt po szkle. Dygasiński nie okazał się dzielnym

artystą w zaokrągleniu całości utworu, ani w jego architektonice. Co prawda jednak, sama natura pomysłu uwalniała go od trudności i obowiązków, które towarzyszą tworzeniu powieści na szerszą skalę. Nie potrzebował wikłać wątku powieściowego, prowadzić bajki, wysilać się na zręczne powiązanie epizodów z całością. Snuł powoli a spokojnie wątek opowiadania, idąc za biegiem życia jednego człowieka.

Bez sztucznych zawikłań, bez mozolnie przygotowywanych efektów, potrafił jednak zająć czytelnika żywością i prostotą opowiadania, a nadewszystko pyszną charakterystyką figur. Wśród panującego dziś w literaturze przerafinowania, wśród skłonności do hyperanalizy ludzkiego wnętrza, Dygasiński zdobył się na prostotę czystego epicznego stylu, nadał swéj powieści charakter szczerości i męzkiego zdrowia. Stanął na punkcie widzenia opowiadacza, który wyraźnie widzi ludzi, chwyta mnóstwo szczegółowych rysów, czuje ruch wypadków, maluje barwnie to, co jest, nie puszcza się na sondowanie dusz, nie zastanawia się dlaczego kto tak a nie inaczéj działa. Powieść Dygasińskiego ma w sobie coś z prostoty dawnych rapsodów rycerskich. Wskazuje ona wyraźnie na prawo przemiany rodzajów w literaturze, jest objawem przystosowania się dawnego eposu do dzisiejszéj metody tworzenia.

Ogólny efekt całości podnosi szerokie prowadzenie dwu głównych postaci na tle szkicowanéj czeredy ludzi i wypadków. Udały się autorowi zwłaszcza opisy zwierząt, harce i tresowanie psów i koni, studyowane z natury i malowane bardzo żywo. Sceny z życia cyganeryi warszawskiéj mają humor knajpowy w lepszym stylu. Najmniéj szczęśliwą była mała wycieczka w sferę arystokratyczną, w któréj autor użył zwykłych szablonowych środków i francuskiego żargonu.

W drugim tomie talent opowiadania słabnie, choć całkiem nie upada; znać pewien pośpiech i mniéj dokładną charakterystykę szczegółów.

W każdym razie powieść Dygasińskiego należy do dzieł, które żyją, które nie są pozowaniem lub kompilacyą znanych pomysłów literackich.

W skupieniu typowém odmalował autor niektóre zanikające właściwości szlacheczczyzny, te zwłaszcza jéj rysy, które silniéj występowały w osobnikach, mało podległych niwelacyjnemu działaniu najnowszéj cywilizacyi. Trafnie a subtelnie ukazał Dygasiński, że, nawet w swoim czasie, takie typy szlachcica były potrosze anochronizmem, skamieniałością dawnego porządku. Zostały w nich bowiem stare przesądy, nałogi i przymioty, a nie było w głębi duszy świtającego poczucia nowych obowiązków społecznych i obywatelskich. Znając ujemne strony bohaterów, autor czuje jednak do nich sympatyę, którą czytel-

nik chętnie podziela. Pan Jędrzéj, nawet w grzechach i błędach, jest mu bratem z krwi i kości, posiada właściwości rasowe, które trafiają do serca i wyobraźni. Za takich panów Jędrzejów miotano dużo tendencyjnych oskarżeń na społeczeństwo nasze, jakbyśmy w przeszłości mieli monopol na szlacheckie grzechy. A przecież gdzieindziéj podobne postacie miały daleko mniéj rycerskości, ale za to daleko więcéj barbarzyństwa.

J. Kotarbiński.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Miesiąc ubiegły przyniósł światu kilka niespodzianek, z których najważniejsza i najniespodziewańsza przypadła na Austryę. W Prusach hr. Waldersee, szef sztabu generalnego, do niedawna uchodzący za „człowieka przyszłości“, za następcę Moltkego co najmniéj — a nawet za współzawodnika i następcę Bismarcka — raptem podał się do dymisyi. Szczegół to ciekawy, ale nie pierwszorzędnéj wagi. Jedni chcą w nim widzieć nowy dowód, że cesarz Wilhelm dąży do pozbycia się wszystkich gwiazd, które świeciły około tronu pruskiego i około jego osoby w pierwszych dniach panowania; inni utrzymują, że to podanie o dymisyę zostaje w związku z reformami wojskowemi, których konieczność wykazały ostatnie wielkie manewra armii niemieckiéj. I jedna, i druga z tych hypotez mogą być częściowém odbiciem prawdy. Reformy się dziś w Prusach piętrzą, ludzie się prędko zużywają przy boku monarchy, który zdaje się mniéj przywiązywać do osób, niż do idei. Wszelako z hrabią Waldersee nie ustępuje z widowni system, nic kończy się nic, aby się potém coś nowego zaczęło. Przeniesiony na posadę dowódcy 9go korpusu armii, „człowiek przyszłości“ zeszedł, może chwilowo tylko, z drogi, prowadzącéj ku wyżynom. Zamiast stać przy cesarzu i na losy państwa wpływ wywierać, zagrzebuje się on w małéj Altonie. Gdyby nie to, że przed niespełna rokiem sroższy los dotknął większego człowieka, hr. Waldersee obudziłby pewno ogólne zainteresowanie; atoli po dymisyi ks. Bismarcka, wszelkie zmiany osobiste w szeregach dygnitaryatu pruskiego muszą wyglądać blado.

Druga niespodzianka dotycze stosunków irlandzkich i zaskoczyła jedynie tych, którzy zbytnio zaufali pogłoskom o bliskości pojednania obu powaśnionych odłamów kola poselskiego. Pośrednictwo O'Briena ogłaszano za skuteczne, bo z wielu stron chciano je mieć skutecznem. Cios, jaki otrzymała sprawa samorządu w Irlandyi przez rozdwojenie, wzniecił w Europie dla społeczności tamtejszéj współczucie, i to był powód, że gazety chwytały skwapliwie każdą wieść o bliskim końcu skandalicznego zatargu. Liczyły one jednak bez Parnella i bez Mac Carth'ego. Pokazało się, że pierwszy gotów był chwilowo ustąpić, z zachowaniem jednak takich osobistych gwarancyi, które pozwoliłyby mu w każdéj chwili znowu się wysunąć na widownię. Na to nie przystał wódz secesyonistów, Mac Carthy. Kto nie pamiętał, jak często stronnictwa i ludzie stawiają zawziętość partyjną ponad interes ogółu, jak namiętności zaślepiają i jak duma przywódców wzbija się ponad prawdziwy patryotyzm, kto o tém wszystkiém zapomniał, lub wierzył, że przecie nie zawsze i nie wszędzie tak bywa, przekonał się, że przynajmniéj Irlandya nie stanowi wyjątku od reguły. Nadzieje pojednania rozwiały się prędzéj jeszcze, niż wzeszły, i dziś znowu stoją naprzeciw siebie dwa wrogie obozy: Parnell, broniący siebie i odpychający sojusz z gladstonistami, jak gdyby bez nich podobna było coś dla Irlandyi uzyskać, i secesyoniści, trzymający się dawnych, ubitych i pewnych politycznych szlaków, a potępiający zboczenia byłego naczelnika swego i byłego wodza narodu. W ostatniéj chwili nadchodzi wprawdzie depesza z Londynu, donosząca na podstawie mowy Parnella w Ennis, że pojednał się on z Gladstonem, i że wypracowane zostały nowe podstawy ugody, tak Irlandczyków między sobą, jak ze stronnictwem liberalném angielskiém. Atoli postawa, jaką zajął Gladstone w stosunku do Parnella, i sposób, w jaki Parnell traktował Gladstone'a w znanym swoim manifeście, gdzie zarzucał mu fałsz i zdradę, nakazują przyjmować wieść tę z niedowierzaniem. Jest to zapewne nowy fortel w grze zręcznego taktyka i nic więcéj.

A oto trzecia niespodzianka — dymisya Crispiego. O tym można powiedzieć, że morze przepłynął, a na Dunajcu się zachłypnął. Nie powtarzamy za przysłowiem „zginął“, gdyż w chwili, gdy to piszemy, dymisya jeszcze przez króla Humberta przyjęta nie została i niewiadomo, czy w istocie nastąpi. W każdym razie i to już jest sensacyjna wiadomość, że mąż stanu, który niedawno szczęśliwie przetrwał wielką burzę wyborczą, który wyszedł jako zwycięzca z turnieju elekcyjnego, i którego system polityki zagranicznéj zyskał świadectwo uznania znacznéj większości społeczeństwa, raptem zostaje zmuszony prosić króla o przeniesienie go w stan spoczynku. Stało

się to z powodu projektów finansowych. Wiadomo, że najsłabszą stroną w systemie zarządu włoskiego są finanse. Uregulowanie ich to praca Syzyfa. Ciągle się ciężar podnosi do góry i ciężar ciągle opada. Od paru lat każdy nowy minister finansów — a ci zmieniają się w Rzymie niemal co kilka miesięcy, — zapowiada zaprowadzenie równowagi w budżecie. Żaden oczywiście obietnicy nie spełnił. Sprawa nie należy zresztą do łatwych. Gdyby stosunki ekonomiczne Włoch były w stadyum zakwitania i rozwoju, możeby dochody podatkowe, zwiększające się stopniowo, wystarczyły na zapełnienie wielkich luk w budżecie. Tak atoli nie jest i bez nowych podatków, oraz bez pewnych oszczędności, równowaga budżetowa zaprowadzić się nie da. Tymczasem ile razy rząd wystąpi z jakimś donioślejszym projektem opodatkowania, albo z jakimś planem reform oszczędnościowych, powstaje przeciwko niemu tyle pokątnych rachub stronniczych, tyle interesów i pretensyi lokalnych po miastach i miasteczkach, że zmódz ich prawie niepodobna. Tak właśnie stało się i w tym wypadku, który się skończył podaniem się Crispiego do dymisyi. Rząd wystąpił z kilku projektami, będącemi w związku ze stanem finansowym kraju, między innemi z projektem zmniejszenia liczby prefektów. Aczkolwiek ograniczyłoby ono znacznie wydatki administracyjne, oburzyły się przeciwko niemu zagrożone degradacyą municypia, oburzyli się zagrożeni dygnitarze. Posłowie z okolic, które projekt miał na oku, dbając o łaski wyborców, słyszéć o nim nie chcą, a przynajmniéj w żadnym razie dla swoich okręgów. Słowem, pożyteczny i racyonalny pomysł źle usposobił, zarówno kraj, jak izbę, dla gabinetu, który go powziął. Bezpośrednim powodem przesilenia gabinetowego był projekt wyższego opodatkowania spirytualiów. Wszystkie kraje w Europie ciągną z akcyzy wódczanéj znaczną część swoich dochodów. Zdawałoby się tedy, że gdy chodzi o ratowanie budżetu, parlament włoski pójdzie tu ręka w rękę z rządem. Stało się inaczéj. Deputowanym włoskim ciągle się jeszcze marzy równowaga finansowa bez podwyższania starych i bez nakładania nowych podatków. Ale oczywiście, nawet dymisya Crispiego nie doda takim marzeniom skuteczności. W końcu trzeba będzie wejść na tę drogę, i tylko im późniéj się na to parlament zdecyduje, tém większe będzie musiał ponosić ofiary dla osiągnięcia celu. Będzie musiał uchwalić podatki, i to takie, które ktoś płaci; pozaprowadzać oszczędności, i to takie, które kogoś pozbawią dochodów. Jeśli się to nie stanie za rządów Crispiego, przyjdzie inny, któremu nie można będzie odmówić.

Z punktu widzenia politycznego, dymisya prezesa gabinetu w Rzymie, gdyby została utrzymana, nie oznacza zwrotu w dotychczasowych kierunkach. Nie można jéj w każdym razie tak tłómaczyć, że

parlament, odrzucając drogę podatków i oszczędności, chciał, zgodnie z dążeniami opozycyi, wystąpienia Włoch z przymierzy i redukcyi wojska. Przed paru zaledwie miesiącami Włochy oświadczyły się dobitnie za przymierzami i za armią, i nie mogły od owéj chwili zmienić zdania, zwłaszcza, że co tydzień prawie bywamy świadkami jakiegoś nowego alarmu prasy włoskiéj, z powodu jakoby francuskich zachcianek zaborczych na północném wybrzeżu Afryki. Przesilenie, jak dotąd, ma charakter wyłącznie finansowy. Ktokolwiek po Crispim objąłby urząd, będzie się niezawodnie trzymał téj saméj, co on, polityki zagranicznéj.

Ludzie przesądni, wierzący po kilku dymisyach pruskich dygnitarzy w to, że Bismarckowie jak upiory przynoszą nieszczęście wszystkim, którzy im otwierają drzwi swoich domów, będą zapewne wyciągali szczególne wnioski ztąd, że, na parę dni przed podaniem się o dymisyę, Crispi gościnnie fetował w Rzymie hr. Herberta Bismarcka, bawiącego tam jako turysta. Co do Bismarcków, w istocie przypomina się rzymskie *morituri te salutant*. Kto ich wita, umiéra, ale to w Prusiech. Względem zagranicy lepiéj się nie powodować przesądem, gdyż choć Crispi rzeczywiście hr. Herberta solennie podejmował, niewiadomo jeszcze, jak się rzekło, czy podanie się to o dymisyę nie skończy się powrotem do władzy, ze zmienionym tylko trochę gabinetem.

Największą atoli niespodzianką tego miesiąca, któréj nikt nie przeczuwał, nikt się nie domyślał, i która zawiera w łonie swém doniosłe następstwa polityczne, było rozwiązanie wiedeńskiéj Rady państwa. Nastąpiło ono na cztery zaledwie miesiące przed upływem okresu prawodawczego i nasuwało pytanie, dlaczego ten pośpiech i dlaczego nie można było zaczekać aż rada państwa umrze naturalną śmiercią? Widoczne było, że rozwiązanie jest w ścisłym związku z niepowodzeniem ugody czesko-niemieckiéj w sejmie pruskim. Rozwiązanie atoli nie ratuje ugody, która bynajmniéj nie należy do kompetencyi parlamentu w Wiedniu. Jeśli tedy z okazyi sprawy ugodowéj rząd rozwiązał Radę państwa, nasuwa się mimowoli wniosek, że to, co się działo w sejmie czeskim, było tylko powodem powzięcia przez rząd jakichś nowych planów politycznych, i że dla tém silniejszego zaakcentowania zwrotu, rząd postanowił przerwać bieg dotychczasowéj machiny parlamentarnéj, jako zużytéj i na któréj dalszém funkcyonowaniu bynajmniéj mu nie zależy.

Domysły te w całości się sprawdziły. Gabinet zamierza zbliżyć się do lewicy i utworzyć większość, z któréj wyłączeni są Czesi. Tak więc, po dziesięcioletnich przeszło rządach większości autonomicznéj, Niemcy wracają do władzy. Będą ją sprawowali nie tylko jako uczest-

nicy nowéj większości w parlamencie, ale i jako ministrowie, bowiem gabinet hr. Taaffego niezawodnie dozna pewnych zmian w swym składzie. Jest to zdarzenie pierwszorzędnéj wagi dla Austryi, a nie obojętne i dla innych państw, słusznie interesujących się tém, które z narodów, berłu habsburgskiemu podległych, wywierają wpływ przeważny na politykę monarchii wewnętrzną i zewnętrzną.

Że wynikną ztąd doniosłe następstwa, rozumie się samo przez się. Jakie będą? Do pewnego stopnia wyrozumieć to można z powodów, które się do wywołania zwrotu przyczyniły. Uderza przedewszystkiém, że postanowienie wyciągnięcia przyjaznéj dłoni do lewicy niemieckiéj, która stawiała rządowi nieprzejednaną opozycyę, zapadło w gabinecie autonomicznym. W swoim czasie, jeden z kolegów hr. Taaffego powiedział do lewicy: dowiedziemy wam, że można w Austryi i bez was rządzić. To co się stało obecnie, wygląda w takich warunkach na małą pielgrzymkę do Kanossy, na dowód, że bez lewicy rządzić w Austryi niepodobna. Nie myślimy rozbierać, czy tak jest rzeczywiście. W każdym razie wiele to już znaczy, że do takich wniosków przyszedł rząd, reprezentujący koalicyę stronnictw autonomicznych prawicy, rząd, który przez lat dziesięć praktykował na wszystkie strony politykę pojednania, szanował zastrzeżone konstytucyjnie prawa ludów i prowincyi i miał na czele swém zdecydowanego autonomistę. Można ztąd wnosić, że próba rządów bez lewicy nie wypadła świetnie. Subtelna strona położenia polega na tém, że pesymizm hr. Taaffego urósł i zmężniał — w Pradze.

Że posłowie autonomiczni w Radzie państwa często za mało pamiętali o swoim charakterze deputowanych parlamentu austryackiego, a mieli na myśli przedewszystkiém to, zkąd pochodzą i jakich prowincyonalnych interesów mają bronić, — to stanowiło trudność rządów hr. Taaffego, ale nie stanowczą dla nich zawadę. Sprawa ugody czeskiéj przyniosła ten nieoczekiwany na dobie skutek, że zamiast pojednać rząd z Niemcami czeskimi i wprowadzić ich do większości, poróżniła go ze staroczechami. Niepowodzenie ugody rząd miał racyę przypisywać niedotrzymaniu słowa przez staroczechów; ci jednak ulegli naciskowi opinii publicznéj. Co miał tedy do czynienia hr. Taaffe? Gdyby się wyrzekł idei ugody, miałby przeciwko sobie w parlamencie wiedeńskim Niemców czeskich, a obok siebie staroczechów, zdepolaryzowanych we własnym kraju i winnych w oczach rządu. Rządzenie z nimi wydało się hr. Taaffemu niepodobném. I to był powód główny zwrotu, który, zapewniwszy rządowi poważną w parlamencie większość, da mu zarazem potężne w królestwie czeskiém sympatye ludności niemieckiéj, a przytém, o ileby się takie rządy okazały mniéj

korzystnémi od poprzednich dla interesów czeskich, będzie to karą dla staroczechów za niedotrzymanie wierności ugodzie.

Gdy z takich pobudek przychodzi do zmiany aliansów parlamentarnych, rzecz widoczna, że koszta zwrotu poniosą Czesi, a korzyści podzielą się między tymi, co ich zastąpią, i resztą uczestników nowego związku parlamentarnéj większości. O warunkach, na jakich nowa większość ułoży się, przedwcześnie dziś byłoby sądzić, choć nie może być tajemnicą, jakie żywioły przyjmą w niéj udział. Jedno jest w każdym razie pewne, a mianowicie, że nowe rządy nie będą bynajmniéj centralistycznemi. Manifesta wyborcze lewicy zapowiadają wprawdzie potrzebę przewagi żywiołu niemieckiego; ale już okoliczności, przy jakich lewica staje się z opozycyjnéj ministeryalną, przeczą możliwości ziszczenia się takich aspiracyi. Lewica poprostu wejdzie do układu stronnictw autonomicznych i przez to samo stać się musi autonomiczną. Rząd, pojmowany jak dotychczas, będzie się uważał za stojący po nad stronnictwami, a cele państwowe i prawodawcze będzie osiągał na podstawach kompromisowych. Że uczestnicy koalicyi będą przy tém w korzystniejszych warunkach od innych frakcyi, że zatém Niemcy zajmą lepszą pozycyę od dotychczasowéj i lepszą zarazem od téj, jaka przypaść może Czechom w udziale, to jest wielce możliwe. Nowe rządy z lewicą nie będą atoli rządami lewicy, jeśli się zwłaszcza nie przypuści możliwości, żeby lewica osiągnęła bezwzględną większość głosów w parlamencie. Będą to rządy koalicyjne, jak poprzednie. Jest to ostatnia dla ogółu autonomistów austryackich pociecha; tego bowiem, że sami bez lewicy niemieckiéj nie byli zdolni kierować spokojnie i bez wstrząśnień nawą państwa dłużéj nad lat dziesięć, nic już z historyi nie wykréśli.

Śniegi i mrozy w całéj Europie. Zajmują one dziś w uwadze ludzkiéj pierwszorzędne miejsce, bo z tym kaprysem natury związana jest sprawa bytu mas ubogich. Jeśli u nas ciężka zima robi znaczną szczerbę w życiu ekonomicznem, pomimo pewnego przygotowania na przyjęcie téj dręczycielki, to jakież pozostawia ona ślady tam, gdzie swą postać surową ukazuje raz na lat kilkadziesiąt, gdzie niéma ani pieców, ani mieszkań ciepłych, ani odzieży odpowiedniéj? To téż śmiertelność w Hiszpanii i Francyi wśród ludności ubogiéj wzrosła ogromnie. Ale gdy my w podobnych wypadkach załamujemy ręce, wzdychamy, albo w najlepszym razie tańczymy dla otarcia łez i rozgrzania skostniałych członków „maluczkim“, gdzie indziéj pomoc płynie szerokim i wartkim strumieniem. W Paryżu izba uchwaliła dwa miliony kredytu na walkę z głodem i chłodem, a w kilka godzin po tém przystąpiono już do czynu; otwarto trzy zimowe przytułki: w pa-

łacu Sztuk wyzwolonych i w dwóch gimnazyach. Do pospiesznych robót użyto pomocy wojska. Minister wojny oddał do rozporządzenia zarządu dobroczynności Paryża (*Assistance publique*) koszary 14-go bastyonu i dwoje koszar, przeznaczonych dla żołnierzy celnych. Tym sposobem odrazu urządzono około dwóch tysięcy łóżek. Oto, jak wyglądają te schronika: w gimnazyach zużytkowano hale gimnastyczne, refektarze, sale zebrań ogólnych. Wszystkie lokale oświetlone gazem, ogrzane wybornie kaloryferami. W wielkich kominkach marmurowych przyrządza się posilna zupa z mięsem, której porcyę dostaje na powitanie każdy nowo przybyły. Gimnazya są tylko dla mężczyzn, w pałacu Sztuk znajdują przytułek także kobiety. Na tém się nie kończy; zapomogi rozdawane są ubogim w ich własnych mieszkaniach. Chciano wykupić z lombardów wszystkie kołdry i poduszki, zastawione przez biedaków, ale okazało się to niemożebném, gdyż większość dowodów znajduje się w ponownych zastawach i w obcych rękach. W „Mont de Piété“ zastawiono 23,256 materaców na sumę 280,000 fr., 42,000 kołder (około 250,000 fr.) i niespełna 20,000 poduszek, wartości stu tysięcy fr. Można ztąd wnosić, iż tylu jest biedaków, potrzebujących przytułku, ile zastawiono pościeli, a więc około 40,000, nie licząc lombardów prywatnych. To też oprócz uchwalonego przez izby kredytu, który byłby niedostatecznym, płyną obficie ofiary do syndykatu prasy, nieraz po 10 i 20 tysięcy fr. od osób pojedyńczych. Dopiéro po takiém nadaniu ruchu olbrzymiemu kołu miłosierdzia społecznego, pomyślano o *wyżymaczkach*, które są u nas zwykle na pierwszym planie: bale, tombole i wszelkie inne zabawy publiczne.

Nie idzie za tém, żebyśmy mieli obwiniać nasze społeczeństwo o brak uczuć altruistycznych. Wobec warunków moralno-materyalnych, w jakich się ono, nie powiem—*rozwija*, ale *porusza*, działalność jego bardzo się zbliża do wysiłków nieboraka z tobołkiem na plecach, któremu nogi w piasku grzęzną.

Wielkiéj za to energii dowiedli agenci zagraniczni, wywołując niebywały dotąd ruch emigracyjny. Gorączka ta rozpoczęła się na wiosnę r. z. i, wzrastając z dniem każdym, ogarnęła olbrzymi pas prowincyi pogranicznych, posuwając się stopniowo w głąb kraju. Najpiérw ofiarą jéj padły ościenne powiaty gub. płockiéj, następnie kaliskiéj, piotrkowskiéj, kowieńskiéj, grodzieńskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj. Nasz organizm społeczny stał się siedliskiem mikrobów chorobotwórczych w postaci agentów i naganiaczy, wciskających się wszędzie, gdzie tylko można się wcisnąć bez wielkiego szwanku. Laseczniki te, nie wymagające wcale badań mikroskopowych, sprowadziły

gorączkowe majaczenia w ciemnych umysłach prostaczych, roztoczyły przed niemi bajeczne obrazy życia bez troski, używania wszelkich roskoszy ziemskich, których podstawą jest *nervus rerum* — złoto; dla zdobycia jego nie potrzeba wyczerpywać sił w krwawéj pracy, dość tylko się zgiąć, aby je podnieść. Trzeba oddać sprawiedliwość sprytnym agentom, że doskonale zbadali naturę naszego ludu, jego umysł naiwny, graniczący z umysłem dziecięcym pod względem braku zmysłu krytycznego i wrażliwości na obrazy fantastyczne. Użyli też odpowiednich środków, stosując je w takich dawkach i takich gatunkach, jakich wymagały pewne rysy znamienne moralno-materyalne, przeważające w danéj wsi lub okolicy. Więc najpierw zaczęto od podstaw moralnych. Opowiadano bajki o Papieżu, który pragnie, aby lud polski wyruszał za Ocean i osiadał w Brazylii, gdyż w kraju po Nowym roku zapanuje nędza niebywała i drożyzna: za chrzest trzeba będzie płacić rubli 15, a za każdy ślub 25. Wreszcie, co za wspaniałe zadowolenie potrzeb religijnych w drodze i za oceanem! Jedzie się przez Betleem, w Brazylii słychać dzwony kościelne św. Piotra z Rzymu podczas odprawiania nabożeństwa przez Papieża; z drugiéj strony zaledwie parę mil ztamtąd do Jerozolimy. Po drodze na wyśpie świętéj Heleny każdy może się spowiadać i komunikować. Na brzegach Brazylii uroczyste procesye spotykają przyjezdnych. Młody Bismarck zakłada nowy kraj polski w bezludnéj Brazylii i, pobudowawszy mnóstwo kościołów, wzywa lud tutejszy. A oto obrazy na kanwie społeczno-ekonomicznéj: Zajęcie lekkie i zyskowne każdy łatwo znajdzie za morzem, a jeżeli na razie go nie dostanie, otrzyma wygodne pomieszczenie w olbrzymim wspaniałym hotelu, na dwie mile długim. Każdy chłop będzie miał oddzielny numer z pierzynami i kołdrą jedwabną, jedzenie smaczne i obfite. Wolno tam siedzieć póki się podoba. Miejsca namby zabrakło, gdybyśmy chcieli wymienić wszystkie charakterystyczne środki zachęty, używane przez naganiaczy cudzoziemskich. Rozrzucili oni po kraju mnóstwo kart okrętowych na przejazd „bezpłatny“. Jest to właściwie tylko zaliczka, udzielana emigrantom przez rząd brazylijski, którą będą musieli odrobić po przyjeździe z procentem lichwiarskim. Lud, oszołomiony obiecankami, zapomniał o wartości swego mienia, sprzedawał je za bezcen, prawie za darmo, i wyruszał z małemi tobołkami za ocean. Nie posiadał on także przewodników dla podróżnych, a więc nie mógł przekonać się, że podróż do Bremy tylko kosztowała nieraz drożéj, niż wygodna jazda, z opłaceniem paszportu zagranicznego, z Królestwa do Ameryki. Dziesiątki rubli pochłaniali naganiacze w kraju na rozmaite zmyślone formalności, dziesiątki kosztowało przedostanie się przez granicę i w końcu jazda w najobrzydliwszych wagonach

emigranckich, do Bremy, dwa razy tyle kosztowała, co podróż pierwszą klasą. Nie koniec na tém; — w Bremie obdzierano niemiłosiernie wychodźców, kazano im płacić bajeczne sumy za noclegi na słomie i lichą strawę. Wygłodzeni, obdarci z ostatniego grosza nędzarze, siadali na okręt i odtąd stawali się już niewolnikami swych „przewodników“ i „opiekunów“. Jakie ich jest położenie w „nowéj ojczyźnie“, dowodzą rozpaczliwe, chociaż nieliczne, listy wychodźców; powiadam nieliczne, gdyż rząd brazylijski albo fałszuje listy emigranckie, albo też niszczy, skoro tylko znajdzie w nich wieści, zniechęcające innych kandydatów do wychodztwa. Byli tacy, którzy się już zniechęcili w drodze i, obdarci z ostatka mienia, wracali z Bremy do kraju, po to, ażeby żyć o chlebie żebraczym. Żaden z nich nie może już wykupić ani zagrody, ani inwentarza żywego, ani ruchomości, sprzedawanych za bezcen handlarzom na targach. W takiém samém położeniu znalazły się setki ludzi, cofniętych od granicy.

Gwałtowne bicie przez prasę we wszystkie dzwony na trwogę, liczne korespondencye ze wszystkich stron kraju, bardzo często z przesadzonemi szczegółami, bądź co bądź, wywarły dodatni wpływ w kierunku powstrzymania ruchu emigracyjnego. Użyto dwojakich środkow: moralnych i represyjnych, i przyznać ze smutkiem trzeba, że drugie podziałały skuteczniéj, niż pierwsze. Ani przemawianie duchowieństwa z kazalnic, ani perswazye właścicieli ziemskich, nie dały pożądanych rezultatów, gdyż sprytni agenci postarali się znakomicie zagwoździć ciemne umysły. Opowiadali oni włościanom: „że duchowieństwo odradza, bo jest przekupione“, to samo i gazety; „panowie również odradzają dla własnego tylko dobra, bo się zlękli o brak robotnika“. Bajki, puszczane przez naganiaczy, rosły i potężniały w prostaczych umysłach, przechodząc z ust do ust. Tym sposobem sami włościanie apostołowali w sprawie własnéj ruiny. Ziarno, zasiane przez wyzyskiwaczy zagranicznych, kiełkuje, ażeby na wiosnę wybujać znowu tak samo. W kierunku administracyjnym zrobiono wszystko, co tylko mogło na razie wstrzymać wychodztwo. Aresztowano mnóstwo agentów, zapowiedziano kary za samowolne przekroczenie granicy, zwiększono kordon straży pogranicznéj. Ponieważ wymagane są podobno w Brazylii metryki, wydano więc rozporządzenie, ażeby księża udzielali tych dokumentów tylko po wyraźném wyszczególnieniu celu i miejsca, gdzie metryki mają być złożone lub przedstawione. Obostrzono również przepisy, dotyczące sprzedaży i nabycia mienia włościańskiego. Te wszystkie doraźne środki, z pomocą zimy, stłumiły ruch emigracyjny w kraju. Zobaczymy jednak, co wiosna pokaże.

Chcąc przedstawić właściwe przyczyny wychodztwa, musielibyśmy do naszego mikroskopu publicystycznego użyć takich objektyw,

na jakie nam warunki nie pozwalają. A więc rzućmy okiem na to, co się da pobieżnie przynajmniéj rozpatrzyć: Pozorne ułatwianie podróży i namowy agentów są to tylko słabe środki zachęty, które silnie urosły na przyjaznym gruncie ekonomiczno-społecznym. Postaramy się naszkicować je chociaż słabemi kreskami. Jak wiadomo, sporego zastępu emigrantów dostarczyła służba folwarczna. Jakież jéj jest położenie materyalne? Tam, gdzie najwięcéj się rozwinęło wychodztwo (gub. płocka), otrzymuje ona zwykle dwadzieścia kilka rubli rocznéj pensyi, od 7 do 10 korcy ordynaryi, utrzymanie dla krowy i pół morga ziemi pod kartofle. Są to zasoby, które muszą wystarczyć nie dla samego tylko parobka i jego rodziny; na barkach jego ciężą tak zwane „posyłki“, t. j chłopak lub dziewczyna dla posyłania na „podzienną“ robotę do dworu. Kto ma własne dzieci, powierza im powyższą czynność; bezdzietni muszą brać obcych ludzi, karmić, płacić dwadzieścia kilka rubli pensyi rocznie, za co „posyłka“ zarobi mu podzienną pracą około trzydziestu lub czterdziestu rubli, czyli kilka rubli rocznie zarobku za wyżywienie, opranie i przyodziewek. Bieda więc istnieje rzeczywista w téj warstwie ludności, a na złe nie atwo poradzić wobec ogólnie niepomyślnych warunków ekonomicznych.

Do charakterystyki życia wiejskiego wielce się nadaje następujący obrazek, naszkicowany przez właściciela ziemskiego z pow. częstochowskiego: „Zgłaszało się do mnie kilkunastu z wiosek sąsiednich z zapytaniem, czybym majątku swego nie sprzedał na parcelacyą? Chcąc się przekonać, czy rzeczywiście włościanie pragną nabyć więcéj ziemi, odpowiedziałem im twierdząco. Wtedy zjawili się moi włościanie pojedyńczo, mówiąc, że na parcelacyą nie pozwolą, bo mają serwitut na gruncie dworskim, następnie że im idzie o to, żeby dwór został dworem: „bo kiéj szukać teraz po świecie zarobku, a tu trza opłacić podatki, kupić buty, odzież i drzewa na zimę, a w Sosnowcu, Dąbrowie i Częstochowie, nikéj zarobku po fabrykach niéma“. Tam, gdzie włościanie mają gruntu mało i chcą go nabyć w sąsiedztwie, stoją na przeszkodzie serwituty. Cóż w takim razie pozostaje? Uregulować serwituty drogą przymusową, wówczas dopiero Bank włościański rozwinie swą działalność. Wszędzie włościanie narzekają na coraz większy brak zarobku i pieniędzy, nic więc dziwnego, że chętnie marzą o szczęśliwych krajach zamorskich. Marzą o nich i idą tam szukać szczęścia także oficyaliści nawpół inteligentni, bo ich położenie również nie jest godném zazdrości, teraźniejszość niepewna przyszłość groźna.

Do ogólniejszego podkładu ruchu emigracyjnego należą: słaby rozwój przemysłu drobnego, brak przedsiębierczości śród włościan,

pierwotna kultura w wielu miejscach, ogólny upadek ekonomiczny, kilkoletni nieurodzaj, rugi pruskie; i t. d. O zasadniczéj zmianie obecnego porządku rzeczy marzyć nie możemy, a więc pozostają tylko środki doraźne, które należałoby racyonalnie stosować. Fakta mówią, iż największego procentu wychodźców dostarczyli włościanie małorolni lub bezrolni, oficyaliści i robotnicy licho płatni, właściciele małych warsztatów rzemieślniczych, nieopłacających się przedsiębierstw. Reszta to ludzie, poszukujący lekkich zarobków, marzący o zbogaceniu się bez wysiłku, i wszelkie odpadki społeczne. Ubytek tych ostatnich nie przynosi straty; dla zatrzymania pierwszych, oprócz już zastosowanych środków, należałoby obmyślić inne: utworzyć instytucyą, pośredniczącą w poszukiwaniu zarobków; poprawić byt służby folwarcznéj i przedstawić Amerykę w broszurkach popularnych w świetle rzeczywistém. Książeczki takie mogłyby współzawodniczyć skutecznie z rozsiewanemi baśniami przez agentów. Do wszystkiego tego potrzebna jest rozumna inicyatywa i wytrwała praca ludzi inteligentnych.

Z chwilą, gdy ustał ruch emigracyjny w kraju, prasa nasza zwróciła baczniejszą uwagę na to wychodztwo za oceanem. Najciekawszych wieści dostarcza Dygasiński. Oto skreślony przezeń znamienny obrazek z osad polskich, położonych przy ujściu rzeki Itajahy: „Nie macie wyobrażenia, ile tu łez popłynęło w przeciągu pół godziny — pisze delegat „Kuryera Warszawskiego“.—Powiedziałem im, że przyjeżdżam z wizytą do nich z Warszawy, aby zobaczyć, jak się mają. Dopiero jęki rozpaczy, krzyki i płacze! Na wspomnienie kraju, ludzie rzucają się do mnie, jak szaleni, przeklinają chwilę, w któréj opuścili ojczyznę, złorzeczą agentom, doradcom. Jak pan wróci, niech pan da znać od Józefa Szczepańskiego Adamowi Szczepańskiemu w Drogiszkach przez Mławę, żeby się tu nie ważył przybywać; niech go Matka Boska broni! — wołał jeden. — Panie, panie! zlituj się nade mną, napisz do proboszcza, ks. Orzechowskiego, w Orlu, stacya Izbica, niech powié innym, żeśmy strasznie nieszczęśliwi! Żyjemy jak zwierzęta w lasach, ani ludzi, ani kościoła!—Całe życie będę służył darmo! — woła jakiś chłop, — a niech kości złożę na swoim cmentarzu. „Czemu nie jestem bogaty, — woła naoczny świadek — abym mógł ziomków swoich wyprowadzić z niewoli brazylijskiéj! Stracili kraj i w cierpieniu nauczyli się go kochać. Co robią tutaj ci ludzie? Oto dano im możność wybrania sobie prowincyi, czyli stanu, ale gdy przybywają na miejsce, spotyka ich zawód: ziemia albo jest jeszcze niewymierzona, albo wcale niezdatna na kolonie, więc ich trzymają miesiąc, dwa i dłużéj, a potém posyłają gdzie indziéj, gdzie się powtarza to samo“. Jest to pojedyńczy obrazek obecnego położenia emigrantów. Jak się ich przyszłość przedstawia, mówi o tém tenden-

cya dekretu, opasującego nicią przepisów obcego przybysza. Dążą one ku temu, ażeby kolonistę związać długoletnią zależnością, graniczącą z niewolą pańszczyznianą: „Działki, na których czasowo potudowany jest dom, wartości najmniéj 700 franków, będą sprzedawane po 70 fr. za hektar gruntu nieuprawionego i 146 fr. uprawionego, nie licząc wartości domku. Spłata powinna się odbywać corocznie w ciągu lat 10 ciu. Najwyższy procent 9%; rolnikom miejscowym proponowane jest zaopatrywanie emigrantów w narzędzia rolnicze, nasiona i wogóle we wszelkie niezbędne środki, w ciągu 9-ciu miesięcy, kiedy można będzie już ciągnąć zyski z ziemi nabytéj. Pomoc taka w naturze lub pieniądzach będzie także spłacana ratami. Prawo własności kolonista nabywa dopiéro po spłaceniu wszystkich długów. Jeśli w ciągu dwóch lat będzie nieakuratnym w płaceniu, właściciel ziemski ma prawo usunąć go, po zwrocie połowy zapłaconéj przezeń sumy, ale przed tém kolonista musi wnieść całkowitą należność za narzędzia i nasiona. W razie jeśli emigrant porzuca osadę przed spłaceniem całkowitéj należności, nie ma prawa żądać zwrotu choćby nieznacznéj części spłaconéj już sumy. Porzucić osadę kolonista może tylko na mocy pozwolenia właściciela ziemskiego". Uwolnić się z tak ciężkiéj zależności może tylko ten, kto przywozi z sobą pieniądze; że zaś, jak wiadomo, prawie każdy emigrant przyjeżdża do Brazylii nie tylko bez grosza, ale nawet jako dłużnik, z powodu nieopłacenia kosztów podróży, jasny ztąd wniosek, że wobec związania się zobowiązaniami materyalnemi i wobec nowych warunków, do których przez lata całe trzeba się przystosowywać, ażeby módz swobodnie oddychać,—emigrant nasz staje się wiecznym niewolnikiem farmerów brazylijskich. A jakież jest położenie proletaryuszów, zarobkujących, traktowanych na równi z niewolnikami, kupionymi od handlarzów żywym towarem?! Tylko jednostki energiczne, posiadające języki, uzdolnienie fachowe i jakie takie zasoby pieniężne, mogą sobie dać radę za oceanem i wywalczyć nawet wygodne stanowisko. Całkowity obraz wychodztwa, któryśmy przedstawili w ogólnych rysach, jak widzimy, jest samobójstwem ludności, ogarniętéj tym szałem. Oprócz strat osobistych, ponoszonych przez jednostki emigrujące, otrzymuje także kraj cały znaczną szczerbę ekonomiczną. Najbardziéj czuje się pokrzywdzoną szlachta, co się odbija w pojedyńczych i zbiorowych jéj skargach, w projektach przeróżnych na temat powstrzymania wychodztwa.

Wogóle większa własność ziemska coraz bardziéj się szczerbi rozpada; ztąd powstają różne projekta, dążące do złagodzenia finanowych następstw obecnego kryzysu rolnego.

Jedną z więcéj zajmujących kwestyi chwili obecnéj jest kwestya konwersyi 5% listów zastawnych Tow. kred. ziemskiego na niżéj oprocentowane, a mianowicie 4-o procentowe.

Podniesioną ona została na posiedzeniu sierpniowém ogólnego zebrania komitetu, celem zmniejszenia stowarzyszonym właścicielom majątków ziemskich wysokości obowiązkowo przez nich opłacanych rat, którym oni podołać nie mogą, wskutek ciągle trwającego przesilenia rolniczego i nieurodzaju lub nieplonu ostatnich dwóch lat.

Zaznaczając fakt znacznie osłabionéj wypłatności stowarzyszonych i potrzebę przyjścia im z pomocą, radca komitetu, Stanisław Skarzyński, przedstawił równocześnie opracowany przez siebie projekt konwersyi.

Treścią onego było, że konwersya listów naszych 5%, w obiegu będących, na 4o-procentowe, może wprawdzie natychmiast nastąpić, ale stowarzyszeni muszą przyjąć obowiązek jeszcze przez lat 10 opłacać raty w dotychczasowéj wysokości, czyli 5% na kupon i 1% na fundusz amortyzacyjny. Celem téj o 1% wyższéj czasowéj opłaty za kupon jest wytworzenie funduszu, mającego pokryć koszta konwersyi, obliczone przez projektodawcę na 10% od sumy listów zastawnych w obiegu będących, a wynoszącéj 113,000,000 rubli. Dopiero téż po uiszczeniu tych kosztów, t. j, po upływie lat dziesięciu, stowarzyszeni zaczną opłacać 4% na kupon, co zmniejszy ich obowiązek płatniczy o 1,850,000 rubli rocznie.

Nie wchodząc w bliższe szczegóły samego projektu, komitet wyznaczył z grona swego osobną delegacyę, mającą rzeczony projekt bliżéj rozpatrzéć i przyjść z relacyą na lutowe ogólne zebranie komitetu.

Zaraz po ukończeniu posiedzeń sierpniowego ogólnego zebrania, p. Stanisław Ostrowski przedstawił delegacyi swój osobny projekt, inaczéj pomyślany, na którego podstawie obowiązek płatniczy stowarzyszonych mógłby być zmniejszony natychmiast najwięcéj o $^5/_{10}$, lub tylko $^3/_{10}$% rocznie, na wypadek, gdyby towarzystwo uznało za właściwe liberować 4% listy od podatku skarbowego, opłacanego w wysokości 5% rocznie od kuponów przez posiadaczy listów.

Oba te projekty, rozbierane przez delegacyę, nastręczają cały szereg wątpliwości, pytań i trudności, które nie mogą być przedmiotem kroniki bieżącéj.

O ile nam wiadomo, delegacya dotąd do żadnych konkretnych wniosków i decyzyi nie doszła, a te, do jakich doszła, lub jeszcze dojdzie, przedstawi do dyskusyi i decyzyi lutowemu ogólnemu zebraniu komitetu, które 16-go b. m. ma się rozpocząć.

Gdy to nastąpi, nie omieszkamy raz jeszcze szczegółowo zająć się tą kwestyą.

W téj już jednak chwili sądzimy, że odłożenie do lat 10-ciu przyjścia stowarzyszonym z ulgą w opłacie rat, chybia zupełnie celu, a udzielenie im natychmiastowéj pomocy przez zmniejszenie rat o $^3/_{10}\%$, a nawet o $^5/_{10}\%$, byłoby ulgą, zdaniem naszém, zbyt drobną i niedostateczną, aby ona mogła uratować od upadku tych właśnie stowarzyszonych, którzy ratunku i to natychmiastowego najwięcej potrzebują. Możnaby wprawdzie ulgę tę jeszcze o $^5/_{10}\%$ zwiększyć przez zmniejszenie o $^5/_{10}$ opłaty na fundusz amortyzacyjny, ale środek ten przedstawia z innéj strony wielkie niedogodności, których komitet zapewne nie przeoczy.

Literatura specyalna również zajmuje się pchnięciem gospodarki rolnéj na tory racyonalne. („Przemysł rolny“ przez inżyniera Józefa Łubieńskiego i „Młynarstwo zbożowe“ przez Stanisława Małyszczyckiego). Zdaniem specyalistów, praca p. Małyszczyckiego jest nader cennym nabytkiem dla naszéj literatury technicznéj, tak dalece, że nawet obca nie może w obecnéj chwili poszczycić się tak wyczerpującém i źródłowém dziełem. Oba te dzieła między innemi są świadectwem objawiającéj się u nas w ostatnich czasach dążności w kierunku udoskonalenia technicznego. P. Łubieński zachęca przedewszystkiém do kształcenia zdolnych pracowników. „W tym celu posyłajmy młodych ludzi — powiada on — nie do instytutu technologicznego, albo do szkoły dróg i mostów, ale, po ukończeniu 4-ch klas, do warsztatów na praktykę, oddawajmy ich do młynów, garbarni, olejarni, mydlarni, fabryk świec, do wzorowych gospodarstw mleczarskich, do zakładów koszykarskich, do farbierni, przędzalni i t. d.; tam niech rozpoczną praktykę, jak prości terminatorzy, niech sami dotkną się pracy, nie żałując zawalać rąk obywatelskich, a wówczas zyskamy pierwszy tak ważny punkt w rozwoju przemysłu; inżynierów i technologów; umiejących biegle rachować i pięknie projektować na papierze, mamy na chwilową potrzebę dosyć, ale nie mamy majstrów i podmajstrzych młynarzy, garbarzy, powroźników, gorzelanych, nie mamy ludzi, obznajomionych z racyonalną eksploatacyą lasów, z wyrobem gontów, zapałek, oleju, szuwaksu, papieru, nie mamy wyrobionych specyalistów w zakresie mleczarstwa, sadownictwa, jedwabnictwa, koszykarstwa, ceramiki i t. d.“ Zdobycie jednak sporéj liczby fachowców w powyższych kierunkach nie jest ostatecznym celem; potrzebna jeszcze dokładna znajomość kraju, jego bogactw i potrzeb; niezbędna jest znajomość rynków, tudzież kredyt, mocno dziś podkopany. W taki tylko sposób rolnictwo w przyszłości mogłoby zająć poważne sta

nowisko, na trwałych podstawach oparte. Ale obok wyrobienia zmysłu praktycznego, potrzebna byłaby jeszcze energiczna walka z przesądami i nawyknieniami, które stanowią potężny szkopuł. P. Ł. wierzy w możliwość amputacyi, ma nadzieję, że w walce ekonomicznéj zginą tylko słabi i gnuśni, a po odcięciu tych chorych członków naszego organizmu społecznego, napełnią go odżywcze siły pozostałych obywateli.

Czuł brak takich sił bar. Hirsch śród żydów galicyjskich i wiedział o istnieniu tam wielu pierwiastków rozkładowych, które należy jak najprędzéj usunąć, oczyścić z pleśni społeczeństwo, a przynajmniéj powstrzymać jéj rozwój. W tym celu przeznaczył, jak wiadomo, *dwanaście milionów* franków na oświatę ludową i polepszenie dobrobytu ludności ubogiéj. Zrazu cesarz austryacki, ministeryum i namiestnictwo galicyjskie przyjęli z wielkiém uznaniem tak niesłychanie hojny dar. Ale po ochłonięciu z piérwszego wrażenia, przyszła rozwaga, a gdy miano zatwierdzać statuty, posypały się protesty. W radzie ministrów Schönborn i Prażak kładli energiczny nacisk na niebezpieczeństwo, że „wobec wielkości kapitałów, procenta od nich mogą być łatwo użyte na cele agitacyjne i wyborcze“. Nadto część prasy galicyjskiéj wystąpiła bardzo nieprzyjaźnie przeciw instytucyom, które, dawszy żydom potężne środki do rozwoju rzemiosł, mogą zupełnie pobić chrześcian w tym kierunku. Przeszkody te zniechęciły ofiarodawcę. Udał się on wprost do prezesa ministrów, chcąc jak najprędzéj załatwić sprawę; wtedy hr. Taaffe oświadczył mu, iż życzy zapewnić sobie wpływ na kierownictwo fundacyi i tytułem tego żąda prawa mianowania połowy członków kuratoryum wiedeńskiego. Ostatecznym rezultatem targów o liczbę członków było ustępstwo ze strony prezesa z dziewięciu na czterech. Obok tego, rozpoczął się szereg intryg o wpływ w przyszłéj instytucyi. Żydzi wiedeńscy i galicyjscy, krakowscy i lwowscy, walczyli z sobą o to. Wreszcie namiestnik galicyjski, Badeni, rozpoczął energiczne kroki w kierunku przyspieszenia decyzyi i uwieńczył starania pomyślnym rezultatem. Usankcyonowana ustawa nosi tytuł: „Fundacya barona Hirscha dla pielęgnowania oświaty ludowéj, rękodzielnictwa i rolnictwa, w Galicyi i na Bukowinie“. Do wszystkich szkół – głosi statut — przyjmowani będą uczniowie chrześciańscy tylko do 25% ogólnéj liczby. Fundacyą zarządzać będzie kuratoryum w Wiedniu, złożone z 18-tu członków (4 ustanowieni przez rząd, 14 przez fundatora). Zarząd w trzech czwartych będzie się składał z żydów. Do wykonania uchwał wiedeńskiego komitetu centralnego dla nadzorowania szkół i zakładów fundacyjnych będą ustanowione trzy komitety wykonawcze: we Lwowie,

Krakowie i Czerniowcach, nadto powstaną komitety miejscowe. W szkołach fundacyjnych w Galicyi wykładowym będzie język polski, na Bukowinie—niemiecki, ale nauka języka niemieckiego będzie przedmiotem obowiązującym we wszystkich szkołach fundacyjnych. W miejscowościach, gdzie niéma szkół chrześciańskich, mają być szkoły fundacyjne przystępne także dla dzieci chrześciańskich. Obok kształcenia dzieci żydowskich w rękodziełach i rolnictwie, fundacya ma także na celu dawać rękodzielnikom izraelskim zapomogi i pożyczki bezprocentowe, w razie otwarcia przez nich przedsiębierstw na własną rękę. Do kuratoryum mają być powołani posłowie: Gniewosz i dr. Rappaport. Wkrótce nastąpi nominacya członków kuratoryum, poczém utworzone będą komitety lokalne.

Mieliśmy w tych czasach i w Warszawie piękny przykład hojności na rzecz pożytku ogólnego. Podczas, gdy nie wiem już po raz który myślano nad tém, jakim sposobem Muzeum rzemieślnicze wydobyć z dziedziny projektów, p. Wawelberg ofiarował na ten cel 25,000 rs. Jest więc nadzieja, że wkrótce nowa instytucya powstanie, na którą, obok ofiary powyższéj, na ostatniém posiedzeniu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu zadeklarowano składek rocznych rub. 439 i jednorazowych rub. 4,100, w téj liczbie rub. 3,000 od p. S. Rotwanda. W zakres wzorów muzealnych wchodzić będą wzorowe okazy wyrobów rzemieślniczych, wzory, modele, narzędzia, warsztaty rzemieślnicze i wreszcie księgozbiór odpowiedni. Zwiedzający Muzeum będą mogli przerysowywać wzory dla własnego użytku. Nie na tém tylko Tow. popierania przemysłu i handlu skończyło swą działalność w ubiegłym miesiącu. Sekcya rolnicza uchwaliła założenie szkoły dla gorzelanych; w tym celu rozesłano do właścicieli gorzelni odezwę, z prośbą, aby zechcieli się zobowiązać na lat trzy płacić rocznie $^1/_5$ kop. od stu-stopniowego wiadra ogółu produkcyi rocznéj. Ofiara to jest tak nieznaczna, że gorzelnię, wytwarzającą milion stopni, obciąży zaledwie sumą 20 rub. rocznie. Jeśli właściciele gorzelni pojmują w tym razie dobrze swój interes, powinni pójść w ślady kapitalistów zachodnich, t. j. ułatwić produkowanie inteligentnéj siły roboczéj, która z czasem w nowym przybytku wiedzy fachowéj wytworzy się w nadmiarze i dojdzie do téj normy taniości, jaką są dziś mierni gorzelani, nie posiadający wykształcenia, czyli, właściciele gorzelni po pewnym czasie zdobędą bardzo pożytecznych pracowników za tę samą płacę. Taki porządek rzeczy musi nastąpić bez złudzeń dla kandydatów na gorzelanych.

Za to powinien na lepsze się zmienić porządek względem stróżów warszawskich. Niedawno z polecenia p. oberpolicmajstra dokonano rewizyi w 102 domach i sprawdzono, że wiele mieszkań stróżów nie odpowiada najmniejszym wymaganiom hygieny; są to przeważnie nory wilgotne, ciemne, nieogrzewane, zrobione z desek, mieszczące się pod schodami, albo obok ustępów i w piwnicach. Nadal właściciele domów mają być pociągani do odpowiedzialności za takie umieszczanie stróżów. A ileż podobnych mieszkań zajmują inni nędzarze! Nie starczyłoby limfy Kocha dla niszczenia gruźlicy, nabytej w takich warunkach.

Tajemnica tego środka została wreszcie ogłoszoną zgorączkowanemu niecierpliwością światu. Jest to wyciąg glicerynowy z czystéj hodowli laseczników gruźlicznych. Na dwa tygodnie przed obwieszczeniem téj ważnéj wiadomości, nasz bakteryolog, p. Oto Bujwid, wynalazł środek leczniczy, podobny do Kochiny, i nazwał go *tuberkuliną*. Reporterya nasza powinna zacierać ręce, będzie bowiem miała znowu materyał do obszernych rostrząsań i wydawania wyroków, zanim uczeni swoje ogłoszą.

W tych dniach Warszawa doczekała się wyroków konkursowych z dziedziny artystycznéj. Na pierwszy malarski imienia Gersona nadesłało prace ośmiu artystów. Pierwszą nagrodę w dość pokaźnéj sumie 600 rs., jak na nasze ubóstwo, otrzymał p. Kazimierz Alchimowicz za obraz p. t. „Milda“, który w r. z. był na wystawie monachijskiéj i przez tamtejszą powagę krytyczną, p. Ostiniego, został w ten sposób oceniony: „Ładna, gładko malowana, pełna słodyczy i zmysłowości“. Oprócz nagrody komitet sędziów udzielił dwa „wyróżnienia“ p. Cięglińskiemu za obraz p. t. „Fontanna łez w Bakczyseraju“ i p. Piątkowskiemu za „Zwiastowanie N. P. Maryi“. Na konkurs architektoniczny aż ośmnastu artystów architektów nadesłało swoje prace. W r. b. przybywa jeszcze jeden konkurs dramatyczny, ogłoszony przez wydział krajowy we Lwowie. Termin prekluzyjny oznaczono do końca września r. b. Utwory mają być oryginalne z zakresu dramatu i poważnéj komedyi, obejmujące najmniéj trzy akty. Nagrody 500 i 250 zlr.

Znowu kronika żałobna się wzbogaca. W ubiegłym miesiącu zakończył życie Michał hr. Lewalt Jezierski (w Januszpolu gub. wołyńskiéj). Urodzony w roku 1810, najczynniejszym był w piątym dziesiątku niniejszego wieku, w tym okresie, gdy „Tygodnik peterburski“ zgromadził wybitniejszych pisarzy ówczesnych:

Kraszewskiego, Henryka Rzewuskiego, Hołowińskiego, Michała Grabowskiego. Do kółka tego należał także Jezierski; pisywał powieści, komedye, studya historyczne i poezye. W swoim czasie cieszył się dość szeroką popularnością, ale stopniowo zapomniano o nim prawie zupełnie. Oto cykl jego powieści obyczajowych i historycznych: „Pan kasztelan“ (r. 1841), „Julia i Marya“ (1843), „Intryga włóczęgów (1854), „Konkurenci“, „Letarg“ (1855), „Złota tabakierka“ i „Ekonomowa“ (1857). Komedye przedstawiają mniejszą wartość niż powieści. Ostatni raz w r. 1888 nieboszczyk wystąpił z pracą historyczną, p. t. „Z dziejów dawnéj polski“, w któréj polemizował z Michałem Bobrzyńskim.

Zeszedł także do grobu Maurycy Krupowicz, znawca dziejów, dawnego prawodawstwa, dyplomatyki i archeologii. Ur. w r. 1823, a w 1855 otrzymał wybitne stanowisko naukowe, jako sekretarz wileńskiéj komisyi archeologicznéj i muzeum starożytności; jednocześnie pracował jako archiwista w zasobném archiwum akt dawnych wileńskich. Wydał w tym czasie: „Zbiór dyplomatów rządowych i aktów prywatnych do rozjaśnienia dziejów od r. 1387 do 1710“ i „Skarbiec dyplomatów papieskich, cesarskich, królewskich, książęcych, uchwał, postanowień różnych władz i urzędów, posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów“. W r. 1862 za jego staraniem wyszło w Winie pismo zbiorowe „Po ziarnie“, w którém wzięli udział pisarze wybitniejsi.

Świat prawniczy tutejszy w ubiegłym miesiącu poniósł ciężką stratę przez śmierć jednego z najwybitniejszych swoich przedstawicieli. Dnia 25 stycznia zmarł w Warszawie w wieku lat 67, ś. p. Andrzej Brzeziński, w ciągu długich lat pierwszorzędna zdolność w naszéj palestrze, znakomity prawnik, którego nazwisko po r. 1876, to jest po reformie sądowéj, było związane prawie ze wszystkiemi najważniejszemi naszemi instytucyami finansowemi. Zmarły Andrzej Brzeziński był dzieckiem naszego miasta; w Warszawie się urodził, w Warszawie ukończył szkoły i wstąpił na aplikacyę sądową, po czém wszedł na linię obrończą, zdobywając sobie żelazną pracą wszystkie kolejno po sobie idące stanowiska: patrona przy trybunale cywilnym w Warszawie, adwokata przy sądzie apelacyjnym Królestwa Polskiego i obrońcy przy trwającej lat kilka radzie stanu, oraz obrońcy przy departamentach senatu. Brzeziński był przedewszystkiém cywilistą i głos jego w sprawach cywilnych, dzięki gruntownéj znajomości kodeksu francuzkiego, oraz wrodzonemu darowi wnioskowania, popartego talentem wymowy, stanowił w naszych sądach powagę. Nie był to

wprawdzie ów porywający błyskotliwością frazesów obrońca, o co się zresztą nie ubiegał, ale natomiast służył za wzór dla młodszych kolegów, jak należy bronić, aby sędziów o słuszności bronionéj tezy przekonać. Po reformie z r. 1876 chociaż był adwokatem przysięgłym, w sądach nie stawał; całą swą wiedzę, znajomość stosunków ekonomicznych kraju, oraz jego potrzeb, skierował ku pracy około najpoważniejszych instytucyi finansowych, gdzie zdanie jego przeważało w trudnych i zawiłych kwestyach. Jako członek komitetu towarzystwa kredytowego ziemskiego m. Warszawy, jako członek rady zarządzającéj dr. żel. Dąbrowskiéj, jako członek zarządu towarzystwa wzajemnego kredytu, wszędzie pracował sumiennie, skarbiąc sobie uznanie kolegów i szacunek ogólny. Popełnilibyśmy niesprawiedliwość, gdybyśmy pominęli ten szczegół, iż redaktorem najważniejszych ustaw naszych instytucyj społecznych i finansowych był prawie zawsze zmarły Brzeziński. Wieść o nagłéj śmierci ś. p. Andrzeja Brzezińskiego, który w ostatnich czasach czuł się zupełnie dobrze, odbiła się smutnem echem pośród szerokich warstw naszego społeczeństwa, którego liczny udział w pogrzebie był wymownym dowodem uznania i głębokiego żalu, jaki pozostawił pośród nas zmarły Brzeziński.

Niestrudzony, żelaznéj wytrwałości pracownik ubył ze śmiercią Wincentego Korotyńskiego z szeregów literackich. Nie używamy wyrażenia *dziennikarskich*, bo jakkolwiek Korotyński oddawna już mozolił się w tym młynie, który prasą nazywamy, robota jego nosiła zawsze cechę literacką i świadczyła coby był mógł ten dziennikarz, gdyby go twarda dola do deptaku gazeciarskiego nie przykuła.

Dowodem tego, do czego był zdolny, była cała przeszłość Korotyńskiego. Zmarły należał do rzędu samouków, przynoszących zaszczyt samouctwu. Szkółka miejska w Nowogródku stanowiła jedyną dla Korotyńskiego podstawę pedagogiczną; resztę zdobył krwawym trudem, nie mało zaś musiał zdobyć, skoro jako dwudziestokilkoletni młodzieniec bierze już udział w „Tece wileńskiej“ pod redakcyą Kirkora i w prowadzeniu „Słownika polskiego“ wydawanego przez Orgelbranda. W kilka lat później wydaje zbiorek poezyj p. t. „Tomiło“; zostaje członkiem komisyi archeologicznéj, pracuje w „Kuryerze Wileńskim“, co mu nie przeszkadza uczyć się francuzkiego języka i tłómaczyć Berangera, tak, jak nikt przed nim i po nim nie tłómaczył, i doprowadzać znajomość historyi i literatury ojczystéj do rzadkiéj w podobnych warunkach gruntowności. Korotyński był pisarzem, który pod względem piękności języka, przejęcia się jego męskim duchem i władania najszlachetniejszemi formami nie miał sobie równego.

W stylu jego odzywały się odgłosy ze złotego okresu naszéj literatury; dźwięczały one niby archaizmy, ale je Korotyński tak umiał przystosować do zasadniczego tonu języka nowożytnego, że wytwarzały w całości swéj najoryginalniejszą harmonię. Obcowanie z Syrokomlą, z którym łączyły go stosunki przyjaźni, wysnuwało na podstawie téj harmonii poetyczne motywy, nie milknące nigdy, nawet wtedy, kiedy proza chlebowéj roboty wplatała między nie swoje ostre, często pełne bólu, nuty.

W Warszawie, dokąd przeniósł się Korotyński w 1866 roku, wszedł od razu do redakcyi „Gazety Warszawskiéj“ i został jéj wiernym aż do śmierci. Pracował prócz tego tu i owdzie, robił wszystko, oddając całego siebie przyjętemu zobowiązaniu; ale nigdy pracy swojej nie ofiarował tam, gdzieby musiał sam z sobą stanąć w rozterce. Korotyński był człowiekiem przekonań silnych i niewzruszonych, wypowiadał zaś je słowem i piórem, nie cofając się, jako osobistość z jednéj sztuki, przed skrajnemi swoich poglądów ostatecznościami. Z tém i owém można się było nie zgadzać, ale trzeba było szanować indywidualność silną, niezdolną do jakichkolwiek pod żadnym względem tranzakcyi. Niepospolita musiała być siła téj indywidualności, jeżeli pogrzeb pracownika cichego, skromnego, który nigdy nie gonił za rozgłosem, ani sobie sympatyj kaptować nie umiał, zgromadził ludzi różnych przekonań i kierunków, pragnących wspólnie oddać ostatnią usługę zdolnemu pisarzowi i zacnemu charakterowi.

W dniu 8 z. m. we Lwowie zakończył życie dr. Tomasz Stanecki, profesor fizyki w uniwersytecie miejscowym i rektor magnificus tejże wszechnicy, tudzież z tytułu godności sekretarskiéj poseł na sejm galicyjski. Dla szkolnéj młodzieży polskiéj napisał kilkanaście podręczników z zakresu fizyki, geometryi, algebry i arytmetyki. Opracował także „Krótki rys meteorologii“, tudzież „Arytmetykę i geometryę dla leśniczych“. Całe życie był nadzwyczaj czynnym i niezmordowanym. Został najpierw profesorem szkół średnich, poczém od r. 1872 objął katedrę uniwersytecką. Był jednocześnie docentem w szkołach leśnéj i weterynaryjnéj, pełnił urząd członka komisyi egzaminacyjnéj dla nauczycieli gimnazyalnych i realnych, często przyjmował udział w obradach w krakowskiéj Akademii Umiejętności, był kierownikiem stacyi meteorologicznéj, z któréj przez lat kilkanaście pomieszczał sprawozdania w miesięczniku wiedeńskim i waszyngtońskim „Bulletin of international meteorogical observations“. Był członkiem czynnym wielu towarzystw; w r. 1880 i 81 pełnił obowiązki dziekana wydziału filozoficznego, w r. b. krótko piastował godność rektora.

Świat muzykalny francuski także poniósł stratę. W tych dniach zmarł Leo Delibes (ur. w r. 1836), twórca kilku oper lżejszego zakroju i muzyki do wielu baletów; z tych ostatnich największą popularność zyskała i obiegła całą Europę, nie pomijając Warszawy, „Coppelia“. Graną u nas była także jego opera komiczna (w teatrze Małym) „Le roi l'a dit“. W ostatnich czasach pracował nad operą p. t. „Kasia“. Pragnąc ją utrzymać w duchu polskiéj muzyki, odbył wycieczkę w okolice Krakowa i Lwowa. Nadto, pozostając w szczerych stosunkach z Münchheimerem, udał się do niego z prośbą o nadesłanie mu dzieł wokalnych kompozytorów naszych. Delibes był szczęśliwym w pomysłach melodyjnych, odznaczających się świeżością, niekiedy nawet rzetelném poetyczném tchnieniem; koloryt instrumentacyjny miał zawsze barwny, iskrzący, a jednak wolny od wszelkiéj jaskrawości. W r. 1880 Delibes objął posadę nauczyciela kompozycyi w konserwatoryum paryskiém i pozostawał na tém stanowisku aż do śmierci.

Naturalnym biegiem obok śmierci powstaje życie. U nas zaznaczyło się ono w zeszłym miesiącu zmartwychwstaniem „Tygodnika Powszechnego“, który niezliczone razy konał lub w letarg zapadał, zawsze się ukazując następnie w innéj postaci. Obecnie przeszłość jego można uważać za zupełnie pogrzebaną, pozostał tylko tytuł. Jest to organ, poświęcony sprawom społecznym, zajmujący się szaremi faktami i drobnemi potrzebami życia codziennego.

Pisemko „Echo aus Africa“ wydrukowało dany Sienkiewiczowi przez kardynała Lavigerie list polecający do misyonarzy afrykańskich. Oto tekst jego:

„Ukochane dzieci moje!

„Polecam gorąco całéj życzliwości i dobremu przyjęciu misyonarzy algierskich, wszędzie, gdzie mu daném będzie spotkać ich we wnętrzu Afryki, p. Henryka Sienkiewicza, jednego z najznakomitszych pisarzy współczesnych szlachetnéj i drogiéj Polski. P. Sienkiewicz udaje się w wasze okolice, aby głębsze robić studya nad krajami, otaczającemi Wielkie jeziora. Byłbym wam bardzo wdzięcznym, gdybyście zechcieli pomagać jego misyi i uszanować ją i jego kraj ojczysty“.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— *Oswald Balzer.* „Regestr złoczyńców Grodu Sanockiego, 1554 — 1638 (Materyałów historycznych, wydawanych przez Towarzystwo historyczne we Lwowie, Tom I). Lwów. 1891.

Wiadomo, iż zabytki praktyki sądowéj w sprawach kryminalnych należą u nas do rzadkości; jak dotąd, ogłoszony został jeden tylko pomnik tego rodzaju, w wydanym niedawno przez d-ra Franciszka Piekosińskiego, dziewiątym tomie starodawnych prawa polskiego pomników, p. t. „Akta sądu kryminalnego Kresu muszyńskiego z lat 1647 — 1765“ (Kraków, 1889); zresztą zaś znajdują się zapiski treści karnéj tylko w ogólnych zbiorach akt sądowych, zwłaszcza zaś akt grodzkich, rozrzucone sporadycznie pośród zapisek, odnoszących się do innych stosunków prawnych. Wynika ztąd, że ogłoszone przez prof. Balzera akta kryminalne sanockie nabierają niepospolitéj wagi; rozpoczynają się bowiem o cały wiek wcześniéj od muszyńskich, a dochodząc do roku 1638, łączą się z niemi chronologicznie niemal bezpośrednio; uwzględnione zaś łącznie, rzucają światło na praktykę sądową w sprawach kryminalnych przez cały ciąg wieków nowszych, aż do końca istnienia Rzeczypospolitéj polskiéj. Ogłoszenie wspomnionych akt nastąpiło z zezwolenia profesora d-ra Ksawerego Liskego, dyrektora archiwum krajowego we Lwowie.

— *Dr. Władysław Ostrożyński.* „Ostatni projekt ferormy i procesu karnego w Polsce“. Kraków, 1890.

Po nieudanych próbach kodyfikacyjnych Andrzeja Zamoyskiego (1778), wyznaczył sejm ówczesny deputacyę do napisania kodeksu cywilnego i kryminalnego dla prowincyi koronnych, który to zbiór, w razie gdyby w prawo zamienionym został, miał się nazywać „Kodeksem Stanisława Augusta“. Rzeczona komisya kodyfikacyjna wydała odezwę, w której, wychodząc z zasady, że zbiór praw narodu powinien być wyrazem jego własnego poczucia prawnego i zgodny z duchem czasu, wzywała wszystkich obywateli do przesyłania swych myśli, projektów i materyałów, z których przy układaniu kodeksu Stanisława Augusta korzystać by można. Pośród mnogich materyałów, nadesłanych deputacyi, wyróżnił Dr. Ostrożyński: „Prospekt do prawa i procesu kryminalnego“ Józefa Szymanowskiego, szambelana Stanisława Augusta i późniejszego prezesa wydziału sprawiedliwości, jako „pracę gorliwą i sumienną“, a ogłaszając ten projekt ze znalezionego rękopisu, porównywa go ze „Zbiorem spraw sądowych“ Zamoyskiego i z obowiązującemi podówczas w Europie ustawodawstwami. O broszurze dra Ostrożyńskiego podamy później obszerniejszą wzmiankę.

— *Kazimierz Puławski.* „Z życia księżnéj Kurońskiéj“. Szkic historyczny przez... Str. 226. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1890.

Autor w opowiadaniu swojém objął dobę zatargów konfederacyi barskiéj ze stronnictwem Stanisława Augusta, czyli, jak go biskup Krasiński nazywał, „pana Stanisława“. Opowiedziawszy w krótkich słowach historyę ożenienia się z hr. Franciszką Krasińską „królewicza“ Karola, księcia kurlandzkiego, czyli, jak wówczas mówiono — kurońskiego, autor skreśla sylwetkę hr. Franciszki Krasińskiéj w świetle nader sympatycznem. Do bliższéj charakterystyki księżnéj Kurońskiéj posłużyły autorowi korespondencye jéj z biskupem Kamienieckim, Adamem Krasińskim, w latach 1769—1772. Tak więc charakterystyka postaci niewieściéj zaszła się poniekąd z koniecznością odmalowania tła historycznego nader ciekawéj chwili dziejowéj. Czytelnik znajdzie tu nie jeden szczegół, dotyczący całéj sprawy, popieranej przez Generalność, nie jeden epizod walk i zatargów wewnętrznych.

Dr. Zygmunt Celichowski wydał Jana Mrowińskiego Płoczywłosa „Stadło małżeńskie z Gron a ziarnek Słowa Bożego i Autorów zacnych krótko zebrane, a na polską mowę wyłożone“.

Mroziński, jak dowiadujemy się z pomnika w krużganku kościoła Ś-éj Katarzyny na Kazimierzu w Krakowie, którego podobiznę wy-

dawca do swego wydawnictwa dołączył, urodził się w 1514 r., umarł 1580, był żonatym i nietylko obywatelem, ale burmistrzem Kazimierskim. Przedruk książeczki o Stadle małżeńskiem, należącéj do rodzaju literatury ludowéj, dokonany został z egzemplarza biblioteki Kórnickiéj, który, o ile dotychczas wiadomo, jest unikatem. Na końcu „Stadła“ umieścił autor wiersz p. t. „Pieśń o małżeństwie”, ułożoną na wesele wojewodzica chełmińskiego Jana Kostki. Na końcu przedruku znajdujemy dodany przez d-ra Celichowskiego słowniczek wyrazów i form przestarzałych.

— *Świętopełk Czech.* „Wycieczki pana Brouczka“, przełożył I. Nitowski. Warszawa. Nakład T. Paprockiego i S-ki, str. 352.

Autor opowiedział w sposób humorystyczny dwie wycieczki p. Brouczka, mieszczanina praskiego, jedną na księżyc, drugą do Pragi XV w. Pod pokrywką wesołego opowiadania kryje się tu satyryczna myśl. W pierwszéj wycieczce autor wyśmiewa idealistyczny kierunek w Czechach, panujący w życiu, literaturze, sztuce, a nawet w polityce. Spotkawszy Czechów na księżycu, Brouczek powiada, że można teraz założyć ręce na piersi i spokojnie się przyglądać, jak ukryci i jawni germanizatorzy usiłują nas wytępić; ba, nawet sami, skutkiem rozsądnego umiarkowania, możemy niemczyznie na oścież otworzyć wrota naszego życia narodowego, no, bo przecież, gdyby pewnego pięknego poranku ostatni Czech zniknął z powierzchni ziemi, naród czeski przez to nie zaginie—będzie żył daléj na księżycu.

Druga wycieczka do Pragi XV w. obejmuje chwilę obrony miasta przez Taborytów, z Żyżką na czele, od oblężenia krzyżowców. Autor przez porównanie wyśmiewa zniewieściałość teraźniejszego pokolenia, rozmiłowanie się w sybarytyzmie i zatracenie ducha wojowniczego.

— *M. Guyau.* „Wychowanie i dziedziczność“, studyum socyologiczne, przełożył J. K. Potocki. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1891, str. 410.

Wychowanie, według pojęcia autora, powinno miéć cel trojaki: rozwijać w osobniku ludzkim wszystkie zdolności właściwe ludzkiemu gatunkowi i pożyteczne dla niego, a to stosownie do względnéj jego chęci; rozwijać w osobniku zdolności jemu właściwe o tyle, o ile nie mogą one szkodzić równowadze ogólnéj, organicznéj; powstrzymywać i hamować instynkta, oraz skłonności, mogące równowagę ową zakłócić. W ten sposób zadanie wychowania ściąga się niejako do dopomagania dziedziczności. Z tego założenia wychodząc, autor mówi o rozmaitych wpływach, za pomocą których najłatwiéj można kierować wychowaniem.

Książce brak spisu treści, i z tego powodu oryentowanie się śród zebranego materyału nader utrudnione.

A. Nowacki dr. „Krótkie wskazówki do praktycznego badania gruntu“ przez... Przełożył z niemieckiego Adam Smoleński. Str. 138. Warszawa 1891.

Autor, znany jako rolnik i teoretycznie wykształcony gospodarz w Szwajcaryi, napisał to dziełko, wychodząc z zasady, że znajomość gruntu jest podstawą gospodarstwa. W niniejszém dziełku autor pokusił się o rozwiązanie jednego z najtrudniejszych teoretycznych zadań w dziedzinie rolnictwa, t. j. o naukową klasyfikacyę gruntu. Zapoznał więc najprzód czytelników ze składem mechanicznym i chemicznym gruntu, a potém dopiero, na podstawie różnych składników, przystąpił do klasyfikacyi. W ten sposób po raz pierwszy wprowadził do nauki o gruntach nomenklaturę naukową.

— *Maciejowski W. A.* „Historya miast i mieszczan w krajach dawnego państwa polskiego, od czasów najdawniejszych aż do połowy XIX w.“, z materyałów, pozostałych po ś. p., do druku przygotował Michał Rawicz-Witanowski. Poznań. 1890.

— *Józef Łubieński.* „Przemysł rolny“. Technologia mechaniczna przemysłu wiejskiego napisał... T. I-szy. Str. 612. Warszawa 1891.

Redakcya tygodnika „Rolnik i Hodowca“, powziąwszy od dwóch lat zamiar wydawania biblioteki rolniczéj, dzieło powyższe nakładem swoim wydała. Rozwój przemysłu krajowego — powiada autor — jest koniecznością. Rozwojowi temu stoją na przeszkodzie różne przyczyny, z których ważniejsze są: brak znajomości rzeczy, brak kapitału, brak chęci do pracy, niezrozumienie własnego interesu.

Pierwszy tom poświęcony został opracowaniu przerobów płodów roślinnych. Więc najprzód mowa o maszynach i przyrządach do obróbki drzewa i o rozmaitych sposobach zużytkowania drzewa w przemyśle drzewnym, (roboty kołodziejskie, stelmaskie, bednarskie, robienie klepek, obręczy, koszykarstwo i t. p.). Potém mowa o zużytkowaniu słomy w przemyśle i wreszcie o wyrobach z roślin przędzalnych. Obszerna ta praca zakończoną jest uwagami o olejarniach, zastosować się mogących w drobnym przemyśle wiejskim.

— *J. dr. Antoni.* „Opowiadania historyczne“. Serya VII. Treść: Zdrada Kamieniecka. — Beatrice. — Zakładnicy lwowscy. — Fatyma. — Babka poety. — Spuścizna po ks. Nassauskim. — Spuścizna po Humieckich. Lwów, 1891.

— *Paweł Lafargue.* „Praca umysłowa wobec maszyny“. Warszawa. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera, 1891, str. 73.

Autor analizuje obecne położenie pracy umysłowéj, hiperprodukcyę we wszystkich działach przemysłu i możliwe następstwo tego na przyszłość. Zajmuje się przedewszystkiém określeniem dzisiejszego stanu rzemieślników i majstrów, ludzi prostych, jakotéż w fachu swoim możebnie wykształconych, a następnie zastanawia się nad robotnikiem w przyszłości, jakotéż nad organizacyą produkcyi i pracy.

— *Dau J. D.* „Podręcznik geologii“, spolszczył dr I. Siemiradzki, z 261 drzeworytami w tekście. 1891.

— „Pogadanki o kwiatach“ przez *M. W.* 1891.

— *Penzoldt Fr. dr.* „Podręcznik farmakologii klinicznéj dla użytku lekarzy i studentów. Spolszczył Aleksander Fabian. 1891.

— *Rospendowski Z.* „Ścieśnione powietrze w zastosowaniu do mechanicznego wydymania szkła“, z trzema tablicami. 1890.

— „Sprawozdanie komisyi fizyograficznéj“, obejmujące pogląd na czynności, dokonane w ciągu r. 1889, oraz materyały do fizyografii krajowéj. T. XXV-ty, z jedną tablicą. Kraków. 1890.

— *Flugge C. dr.* „Zasady hygieny na użytek studentów, lekarzy praktycznych, urzędników lekarskich i administracyjnych“, na język polski przełożone i wydane staraniem redakcyi „Zdrowia“. 1891.

— *Iwaniukow I.* „Ekonomia polityczna, jako nauka o procesie rozwoju zjawisk społecznych“ przekład z upoważnienia autora.

— *Zygm. Jaroszewski.* „Rozwój gospodarczy i przemysłowy wiejski“. Wydawnictwo ilustrowane, mające się ukazać w 40 poszytach. Obejmuje wszelkie gałęzie parcelacyi wiejskiéj. Ukazał się. I-szy zeszyt.

— *A. P. dr.* „Co to jest ospa i co trzeba robić, aby się ospy ochronić“, napisał... Str. 20. Warszawa 1891.

— *K. B.* „O wściekliźnie“. Czy można zabezpieczyć od wścieklizny ludzi pokąsanych przez psy wściekłe?—str. 19. Warszawa.

— *Wincenty hr. Łoś.* „Linoskoczka“ powieść. Lwów. Nakład G. Cetnerszwera w Warszawie, 1891. T. I str 258, t. II str. 173.

Temat do powieści zaczerpnięty został w sferach arystokratycznych. Autor opowiedział jenen epizod tylko z dziejów rodziny hr.

Kostorajskich. Hr. Leon, milionowy pan, został opiekunem młodego synowca Jerzego, którym jednak faktycznie opiekowały się kobiety— krewne. Ożeniono go też gwałtem z arystokratką, chociaż kochał zwykłą cyrkówkę, pannę Thébé, a właściwie jakąś hrabiankę, przebraną za cyrkówkę. Pożycie młodego małżeństwa było nader nieszczęśliwe. Jerzy począł hulać i marnotrawić majątek. Stracił nawet kapitał żony. Kiedy ciągłe nieporozumienia domowe i kłótnie zbrzydziły Jerzemu ostatecznie pobyt w domu, opuścił żonę i w świat wyruszył. W jakiémś niemieckiém miasteczku spotkał znowu pannę Thébé; kochał ją wprawdzie po dawnemu, ale przeszkodą do połączenia się z nią był związek z kobietą wstrętną dla niego. Tu przyszedł mu z pomocą hr. Leon. Dowiódł nieważności ślubu, z powodu fałszywéj metryki, rozwód uzyskał i w ten sposób ułatwił pobranie się kochającéj się parze. Autor w bardzo czarném świetle przedstawił świat arystokratyczny i ludzi do niego należących, wykazał egoistyczne rachuby, prowadzące ich do ołtarza i nader opłakane następstwa tego, bo nieraz okupione nieszczęściem całego życia.

— *Gabryela Zapolska.* „Fantazye i drobnostki“. Wspomnienie. Znak zapytania. Szczęście. Męzka łza. Serce. Jéj uśmiech. Gdybyś ty ożył! Portyerka. Pierwszy śnieg. Z minionych chwil. Ono. Sam jeden. W sam czas. W gabinecie restauracyjnym. Cnota. I tacy bywają. Klejnot rodzinny. Warszawa. Str. 443. Nakładem księg. T. Paprockiego i S-ki. 1891.

— *Stanisław Grudziński.* „Żona artysty“. Powieść obyczajowa. Kraków. Gebethner i S-ka. 1891.

Młoda, uroczych wdzięków dziewczyna, wychodzi za utalentowanego artystę malarza. Kocha go całą duszą i z czystością dziewiczego serca, wierzy, że on, mimo, iż zepsuło go powodzenie u kobiet, kochać ją będzie zawsze. Jakiś czas używają oboje niczém nie zamąconego szczęścia w uroczym wiejskim zakątku, u babki młodéj pani. Po pewnym jednak czasie, w artyście odzywa się tęsknota za ludźmi, za miastem, za ruchem. Zostawiwszy więc żonę na wsi, sam powraca do miasta poszukiwać mieszkania, w którém mógłby usłać gniazdko dla swojéj ukochanéj. W domu ciotki żony poznaje młodą pannę z demoniczną naturą, więcéj powabną, niż piękną, śmiałą kokietkę, która „zagina parol“ na wrażliwego artystę, i po pewnym czasie przykuwa go do siebie niczém nieokiełznaną namiętnością. Pomimo szalu, w jaki wpada, artysta ma świadomość swego błędu; ale, czując nawet wyrzuty sumienia i istotną miłość dla żony, nie ma siły potargać tych więzów. Żona z boleścią śledzi odstępstwo czło-

wieka, którego nad wszystko ukochała, zamyka się w swéj boleści i goryczy, ironią, zupełném milczeniem zaostrza stosunek. Mąż wkrótce przekonywa się, dla jakiéj kobiety opuścił żonę, i powraca do niéj z podwójną miłością. Owocem tego wskrzeszonego przywiązania jest dziecię, które jednak wkrótce, mając zaledwie lat parę, wpada w przystępie swawoli do wody i umiera. Rozpacz rodziców nie ma granic; ojciec szczególniéj buntuje się w swéj rozpaczy. Tu matka i żona występuje jako anioł - pocieszyciel; siły jéj jednak, wyczerpane latami walk moralnych, nie wytrzymują, i wywieziona przez męża pod gorące niebo Włoch, umiera na suchoty. Artysta, mimo wszelkiéj pokusy, nie powraca już do świata, zostaje pod obcém niebem, przy grobie kochanéj żony; bierze na wychowanie chłopca sierotę, odkrywszy w nim talent malarski.

— „Przygody Robinsona“, streściła *F. M.* Warszawa 1891, st. 60.

Z pomiędzy wielu książek dla młodzieży, wydanych na gwazdkę, „Przygody Robinsona“ zasługują na polecenie z tego względu, że treścią i ceną przystępne są najszerszemu kołu młodzieży. Wprawdzie istnieje inne wydanie Robinsona, przeznaczone również dla młodzieży, ale wysoka cena uniemożebnia nabycie téj pożytecznéj książki uboższym czytelnikom. Robinson, streszczony przez p. F. M., kosztuje tylko dwadzieścia pięć groszy, a więc może być dostępny dla kieszeni nawet wiejskiéj młodzieży.

— *Tomasz A.* „Obrazki sceniczne dla młodocianego wieku. Trójlistek“. Warszawa. Nakład Edwarda Kolińskiego. 1891, st. 63.

Zawiera następujące komedyjki: Nie czyń tego drugiemu co tobie nie miło. Kajet Adamka. Pierwszy Kwiecień. Niespodzianka. Piękna lala. Kto najbardziéj kocha mamę.

— *Kosiakiewicz Wincenty.* „Przy budowie kolei“, powieść. 1891.

— *Antoszka.* „Prawdziwa historya o Szymku parobku i o Zofce Pawelcównéj napisała... Str. 35. Warszawa 1891.

— „Antek Sierota“. Z powieści Teresy Jadwigi, p. t. *Stacho*, przerobiła R. M. Warszawa 1891, st. 37.

Jest to historya wiejskiego chłopaka, Antka, syna wdowy. Pracowita i uczciwa kobiecina oddała najprzód syna do dworu na naukę, chociaż przed tém jeszcze był już poduczył się czytać u miejscowego proboszcza. Pragnęła szczęścia dla dziecka i myślała, że Antek szczęście to znajdzie we dworze dziedzica. Po stracie matki, Antek wyruszył na naukę do Warszawy, dostał się do majstra szewckiego, któ-

ry go wypędził po pewnym czasie, jako niezdatnego do roboty. Przypadkowe spotkanie się z dwoma studentami i pomoc, jaką od nich otrzymał, pozwoliły mu wstąpić do szkół niższych, potém ukończył szkołę rolniczą i stał się dobrodziejem prawdziwym własnéj wsi. Opowiadanie prawdziwe, proste, naturalne, a niekiedy wzruszające. Książka mogłaby służyć na podarunek dla ubogich wiejskich dzieci.

— *Wysocki Włodzimierz.* „Los“, poemat. Wydanie drugie. Kijów, 1891. „Oksana“, szkic sielankowy. Kijów, 1891.

— „Komedye i monologi“, oryginalne i tłómaczone. Serya I. Wydawnictwo „Echa muzycznego, teatralnego i artystycznnego“. (VI). Str. 426.

Oprócz kilku wybitniejszych autorów francuskich, weszły tu komedye M. Bałuckiego, I. A. Fredry, W..Gomulickiego, I. Kościelskiego, Z. Mellerowéj i monologi F. Rajnsteina, Z. Przybylskiego, W. Rapackiego (syna), W. Szymanowskiego. Książka niniejsza może być bardzo dobrym podręcznikiem dla osób, urządzających teatrzyki amatorskie, lub szukających chwilowéj literackiéj rozrywki.

— *Stefan Nestorowicz.* „W Brazylii i Argentynie“. Warszawa, 1891. Książeczka jest odbitką feljetonów „Kurjera Codziennego“, wydaną nakładem tegoż pisma.

— *Alfred de Musset.* Poezye, z ostatnich wydań wybrał i przełożył B. L., Warszawa. Nakład Teodora Paprockiego i S-ki. 1891, str. 5+154.

Z większych utworów przełożono: *Wierzbę i Namunę.* Reszta liryczne utwory drobne.

— *Michał Lermontow.* Wybór pism, przełożony przez Czesława Mąkowskiego, poprzedzony wstępem krytycznym Włodzimierza Spasowicza. Warszawa. Nakład, własność i druk S. Lewentala. 1890, str. 50+293.

Jest to wydawnictwo „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“. Tom niniejszy zawiera: Bohater naszych czasów, Demon (powieść wschodnia, wierszem), Pieśń o Carze Iwanie Groźnym, o jego młodym opryczniku i dzielnym kupcu Kałacznikowie, Mcyri, wreszcie poezye liryczne.

— Grudniowy zeszyt (1890) lwowskiego „Przewodnika naukowego i literackiego“ zawiera dokończenie studyum D-ra Wiktora Czermaka „Potrójne śluby Jana Sobieskiego i Marysieńki“, Wojciecha hr. Dzieduszyckiego „Dzieje sztuki malarskiéj we Włoszech“,

„Listy Andrzeja Edwarda Kośmiana", D-ra Franciszka Papéego „Skale i Tucholszczyzna" i D-ra Władysława Ostrożyńskiego „Sprawa zamachu na Stanisława Augusta z 3 Listopada 1771, przed sądem sejmowym".

— *Zradlowski Dr. Ferd. Prof.* „Entwurf einer Ciwilprosess u. Executionsordung nebst einer Einleitung. Zugleich ein Beitrag zur Besitzlehre u. zur Sprachenfrage. Zürich", 1890.

Broszura zawiera krótki szkic procesu cywilnego i procedury, specyalnie dla Austryi, poprzedzony dłuższym wstępem.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

Zaproszenie do przedpłaty

na rok

1891.

Biblioteka Warszawska, pismo miesięczne, poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym, rozpoczyna z rokiem 1891-ym pięćdziesiąty pierwszy rok swojéj działalności naukowo-literackiéj i wychodzić będzie na początku każdego miesiąca w *zeszytach najmniéj 12-arkuszowych.*

Pomimo zwiększenia liczby arkuszy i ulepszenia formy zewnętrznéj pod względem typograficznym, cena „Biblioteki Warszawskiéj“ nie została podwyższoną.

Zastęp dotychczasowych współpracowników, pomnożony nowym wybitnych sił naukowych i literackich udziałem, daje otuchę **nowéj Redakcyi**, która od Stycznia r. b. objęła kierunek „Biblioteki Warszawskiéj“, że pismo to, pozostając wierne swemu założeniu i 50-letniéj tradycyi, odpowie nadal potrzebom doby obecnéj i wymaganiom zdrowego postępu.

Program „Biblioteki Warszawskiéj“ zawiera następujące działy:

I. **Filozofia**. Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
II. **Historya**. Dzieje powszechne i własne.
III. Kwestye **społeczne, prawne** i **ekonomiczne**.
IV. Studya z **nauk przyrodniczych.**
V. Studya **pedagogiczne** i **lingwistyczne.**
VI. **Literatura**. Utwory oryginalne wierszem i prozą.
VII. Studya literackie.
VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego. — Przegląd literatury belletrystycznéj i rozbiory dzieł naukowych.

IX. Studya **artystyczne** i oceny dzieł sztuki.

X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym (artystycznym, społecznym i ekonomicznym).

XI. **Kronika miesięczna.**

XII. Wiadomości **bibliograficzne.**

Warunki prenumeraty:

„Biblioteka Warszawska“ kosztuje: W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie	rs.	10	kop. —
Półrocznie	„	5	„ —

w Warszawie zaś:

Rocznie	„	9	„ —
Półrocznie	„	4	„ 50
Kwartalnie	„	2	„ 25

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, ul. Foksal Nr. 6** gdyż to zapewnia najlepiéj akuratną ekspedycyę pisma.

Przyjmują prenumeratę także wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

REDAKCYA.

W kwestyi własności literackiéj.

Ile razy z biegiem wypadków utrwala się w ogóle społeczeństwa przekonanie, że pewien stan rzeczy nie odpowiada naszym uzasadnionym pragnieniom, naszemu uczuciu sprawiedliwości, lub też przeciwnie, ile razy nad społeczeństwem zawiśnie obawa, że pewnemu naturalnemu rzeczy porządkowi jakieś niebezpieczeństwo zagraża, — to stosunek ten przywykliśmy wszyscy oznaczać wyrazem, najlepiéj naszą bezsilność wobec biegu wypadków charakteryzującym, wyrazem „kwestya“. Mówimy więc o kwestyi socyalnéj, o kwestyi pracy i zarobku; mnóstwo takich kwestyi przynosi codzienna polityka. Drobniejsze schodzą prędko z porządku dziennego; inne wieki całe ciężą nad społeczeństwem, a jeśli nawet chwilowo w dal się zasuną, to po to tylko, aby z większą, nieprzepartą siłą wystąpić, zaostrzyć się i skomplikować. Wiek XIX niejedną już taką kwestyę ogólnego znaczenia rozwiązał lub chwilowo załatał, inne długo jeszcze zaprzątać będą nasze umysły.

Przedmiotem niniejszych uwag będzie jedno z najmniéj ważnych, dla ogółu bodaj czy nie najobojętniejszych, takich zagadnień, które dla tego głównie na bliższe zbadanie zasługuje, że jest ogólno-ludzkiém, nietylko w tém znaczeniu, iż we wszystkich cywilizowanych krajach bywa podnoszone i dyskutowane, ale że było niém także w bardzo odmiennych epokach, nieomal można powiedzieć, iż od dwóch tysięcy

lat stoi niezałatwione na porządku dziennym.... Nazywają je dziś powszechnie kwestyą własności literackiéj i artystycznéj.

Wyrażenie to śmiałe, i jak każde, nie na indukcyi opierające się, twierdzenie człowieka, zawiera w sobie więcéj fałszu, niż prawdy. Bez wątpienia istnieje między dziełem sztuki, a tym, co dał swéj myśli pewien wyraz lub formę, jakiś bezpośredni duchowy związek; ale jakże rzadko mniemany twórca pewną myśl pierwszy właśnie pojął lub wyraził! Niéma myśli, uczynku, któreby się na tysiącu innych myśli i działań nie opierały; a jeśli tak wieki całe składały się na każde spostrzeżenie człowieka, to pierwszém źródłem ludzkiéj myśli i rozeznania jest tylko to, co przedwieczne.

Jeden z najgłębszych myślicieli nowoczesnych, Pascal, wyśmiewa tych autorów, którzy ciągle powtarzają: „moja książka, moja historya“, jak te „filistry“ co ciągle o swojém „u siebie“ rozpowiadają. Czyżby raczéj nie powinni mówić: „nasza książka“, „nasza historya“, skoro najczęściéj więcéj jest w niéj cudzego, niż ich własnych pomysłów. Z właściwym sobie ironicznym wdziękiem wypowiedział to Musset:

Rien n'appartient à rien; tout appartient à tous;
Il faut être ignorant comme un maître d'école,
Pour se flatter de dire une seule parole
Que personne ici-bas n'ait pu dire avant nous.
C'est imiter quelqu' un que de planter des choux.

To samo uczucie i żal, że wszystkie myśli człowieka zostały pierwéj wypowiedziane, wszystkie charaktery skreślone, uczucia wyrażone, miał już świat starożytny; skarży się na to na dwa tysiące lat przed naszém sceptyczném stuleciem Terencyusz, a jednak niéma dziś we Francyi popularniejszego w kołach ludzi wykształconych hasła od własności literackiéj. Sztandar ten wywiesiła rewolucya francuska, a najwymowniéj stanął w jego obronie Lacanal, jako sprawozdawca komisyi, redagującéj projekt ustawy, w pełnych przesady słowach: „Ze wszystkich rodzajów własności najmniéj bez zaprzeczenia może ulegać powątpiewaniu własność utworów talentu (production du génie)... Komitet proponuje przyjęcie postanowień, zawierających deklaracyą praw talentu“.

Bezstronnie zapatrując się na rzeczy, nie możemy całego tego hasła brać za co innego, jak za gwałtowną i namiętną reakcyę przeciw niedostateczności ochrony prawnéj, która aż do najnowszych czasów dawała się czuć twórcom dzieł sztuki. Niedostateczności téj zaprzeczać ani jéj uniewinniać nikt nie zamyśla; owszém, dążyć powin-

niśmy i dążymy do utrwalenia praw autorskich, ale miejmy odwagę wobec rzucanych pustych haseł i frazesów zachować się odpornie.

Własność literacka jest właśnie takim pozbawionym treści frazesem, bo utwory ducha ludzkiego, jako rzeczy pod zmysły niepodpadające, pojęcia własności nie znoszą; jest ona frazesem, bo przez wpływ czasu żadna własność nie ginie, podczas gdy prawo autorskie ustaje. Wreszcie już małoznaczące wtargnięcie w sferę należącéj do kogoś rzeczy jest naruszeniem własności czy posiadania, podczas gdy nawet w krajach o najbardziéj rygorystycznem ustawodawstwie można całe stronice z cudzego dzieła, za pomocą przytoczeń krytyki lub wielu innych sposobów, przedrukowywać, można bezkarnie od autora przejąć najsubtelniejsze jego pomysły lub motywa. Podobnie jak nieraz najdrobniejszy szczegół rozstrzyga i stanowi o delikatném i artystyczném wykończeniu utworu, tak z drugiéj strony mała zmiana cudzego dzieła będzie często dowodem, iż mniemany naśladowca był bardziéj oryginalnym i utalentowanym od swego poprzednika; prawo zaś w takie subtelności wdawać się żadną miarą nie może.

Każdy artysta czy psycholog ma przed sobą świat cały, miliony typów do studyowania; muszą więc temu losowi uledz także cudze utwory sztuki: są one i będą zawsze przedmiotem godziwego naśladownictwa, przekształcania i doskonalenia, jeśli tylko autor tego studyum iskierkę swojego czucia w swój utwór wleje.

Dobrze to powiedział Voltaire [1]): „Il en est des livres comme du feu de nos foyers: on va prendre le feu chez son voisin, on l'allume chez soi, on le communique à d'autres et il appartient à tous". Najwięksi geniusze świata nie wysilają się na wymyślenie nowych wydarzeń lub intryg; pierwsza lepsza legenda, lub przejęta od kogo innego bajka, daje Szekspirowi wątek do badania najgłębszych zagadnień myśli ludzkiéj; blade lub urojone postacie fantazyi ludowéj potężnieją pod jego piórem i demonicznego nabierają charakteru.

Nie może więc być mowy o własności duchowéj, skoro oryginalność duchowa jest więcéj niż wątpliwą, a wszystkie ludzkie myśli i pomysły stają się z chwilą ogłoszenia dostępnemi dla ogółu, są intellektualnym dorobkiem całego świata. Prędzéjby już można mówić o duchowém ojcostwie, zwłaszcza jeśli się o niém mówi z taką prostotą, jak Marcyalis lub Słowacki w swych listach do matki. A nie jest to spór o słowa, ale o istotę rzeczy i jéj pojęcie, skoro np. Francuzi, z właściwą sobie powierzchownością, przenoszą na prawo autorskie

[1]) Z książkami jak z płomieniem: bierze się go u sąsiada, zapala u siebie udziela innym i należy on do wszystkich.

wszystkie cechy prawa własności, chcą je zrobić nieograniczoném co do czasu, lub rozprawiają o możności wywłaszczenia autora z jego praw na rzecz użytku publicznego! [1]).

Odrzuciwszy zarówno pojęcie własności literackiéj, jak i to wyrażenie, nazwiemy oznaczony powyższém słowem stosunek prawem autorskiém (po niemiecku Urheberrecht).

Określenie tego prawa jest nadzwyczaj trudném, a istotą sporną; dość będzie wszakże zaznaczyć, że jego treścią jest możność zabronienia, aby osoby, do tego nieupoważnione, pewien utwór ducha w całości lub znacznéj części poddawały uwielokrotnieniu za pomocą druku, publicznych odczytów, koncertów i t. d. Prawo pozytywne uważa więc za naruszenie praw autorskich tylko przejęcie całości lub znacznéj części cudzego utworu w celach uwielokrotnienia, które nazywamy ogólnie *przedrukiem* (contrefaçon [2]). Nie jest zaś uznany za naruszenie praw autorskich, choć uchodzi za rzecz niehonorową, *plagiat*, t. j. przejęcie z cudzego dzieła drobniejszych jego części, pomysłów lub motywów. Gdzie leży granica pomiędzy bezkarnie dającym się popełnić plagiatem, a przestępstwem przedruku, tego teoretycznie bliżéj oznaczyć nie można, to da się tylko w każdym poszczególnym wypadku na podstawie zachodzących okoliczności ocenić. Myśl ludzka nie znosi więzów monopolu, świat cały jest dostępną dla każdego z nas niewyczerpaną skarbnicą uczuć i wrażeń; jak właściciela gruntu nie zubożą cudze pszczoły, unoszące miód zarówno z polnych kwiatów, jak i z cieplarnianych roślin, tak też nie odejmie to wartości prawdziwemu dziełu sztuki, że kto inny przejął myśl, w niém wyrażoną. A bodaj czy w tém właśnie nie leży siła i tajemnica geniuszu, żeby jakiéjś prawdzie tak podatną i właściwą nadać formę, aby we wszelki inny sposób wyrażona czuła się skrępowaną, nieswoją. Zauważono to słusznie, że „oryginalność duchowa mistrzów słowa nie polega na tém, co od nich każdy wziąć może, ale leży w tém, czego

[1]) Zob. o pierwszym z tych punktów projekt francuskiéj komisyi redakcyjnéj z r. 1825 (Royer-Collard, Pardessus, Villemain), wyśmiany przez Renouard'a („Project pour la fondation d'une nouvelle noblesse"), w tegoż autora „Traité des droits d'auteurs", Paris 1839, tom 2 str. 450. Prawo wywłaszczenia dzieł literatury i sztuki na rzecz ogółu chciał ustanowić znakomity prawnik szwajcarski, p. Clunet, (adwokat i redaktor czasopisma, prawu międzynarodowemu poświęconego), i przedstawił odpowiedni wniosek na odbytym w r. 1883 w Amsterdamie kongresie międzynarodowego towarzystwa literackiego i artystycznego. Zob. protokóły tego towarzystwa (Association litr. et art. internationale, Paris 1889), str. 2 3.

[2]) Obojętną jest okoliczność, czy przedruk podaje nazwisko prawdziwego autora lub je przemilcza, tudzież czy przejęte z cudzego dzieła części nieznacznie od pierwowzoru się różnią.

im nikt zabrać nie zdoła“ [1]). Nie można też piękniéj i klasyczniéj określić przedmiotu i sposobu, w jaki każdy od innego autora zapożyczyć się może lub nie może, a tém samém trafniéj oznaczyć granicy, poza którą rozpoczyna się plagiat lub przedruk, jak subtelnemi słowami nauczyciela Ludwika XIV, p. Lamothe Le Vayer: „On peut dérober à la façon des abeilles, sans faire tort à personne; mais le vol de la fourmi qui enlève le grain entier ne doit jamais être imité“ [2]).

Przedstawić w krótkości najważniejsze lub najbardziéj nas interesujące momenta z historyi plagiatu i przedruku, tudzież środki, zapomocą których autorowie i społeczeństwo zmierzało i zmierza do powściągnięcia tego literackiego rozboju, jest właśnie zadaniem niniejszego artykułu.

I.

W szeregu bajek, legend i opowieści, w które starożytność zwykła była bardzo głębokie ogólnoludzkie przyoblekać spostrzeżenia, jest bodaj czy nie jedną z najstarszych i najciekawszych bajka o kawce, która dopóty zdobiła się pawiemi pióry, aż ją nareszcie nietylko z cudzych, ale i własnych piór odarto. Trudno zliczyć ilość opracowań i redakcyi, jakich się ta bajka Ezopa z biegiem wieków doczekała [3]), a niemniéj dziwném jest, jak różnorodne wyciągano z niéj nauki. Raz ma ona oznaczać, że sztucznie osiągnięta piękność nie trwa długo; to znowu że niewiele się dłużnikowi przyda pożyczka, skoro wierzyciel prędzéj czy późniéj zwrotu swych pieniędzy zażąda; inni widzą taki w téj opowieści moral, że każdy z swego własnego stanu powinien być zadowolniony; Le Noble zwraca jéj ostrze przeciw dzierżawcom dochodów publicznych, którzy z cudzego mienia chcą się wzbogacić, a w oczach mnicha angielskiego z XII wieku, barwnemi piórami są dobra ziemskie, które człowiek w dniu sądu porzucić będzie musiał. Dla dwóch pisarzy o najsubtelniejszém poczuciu charakteru bajki i jéj zadania w literaturze, dla La Fontaine'a [4]) i Lessinga, ma

---

[1]) Morawski Kazimierz, „Słowo i natchnienie w rzymskiéj poezyi“.

[2]) Nie krzywdzi się nikogo korzystając z cudzéj rzeczy na wzór pszczoły, ale nie trzeba iść za przykładem mrówki, która całe ziarno zabiera.

[3]) M. Fuchs, „Die Fabel von der Krähe“.

[4]) Il est asser de gens à deux pieds comme lui,
Qui se parent souvent des dépouilles d'autrui,
Et que l'on nomme plagiaires,
Je m'en tais, et ne veux leur causer nul ennui;
Ce ne sont pas là mes affaires.

wszakże ta bajka oznaczać plagiat; uwagi godną zaś rzeczą jest, że pierwszym, który jéj to znaczenie nadał, był Horacy. Już ten sam fakt świadczy, że kradzież literacka dobrze była znana w starym Rzymie.

Aby wszakże znaleźć odpowiedź na pytanie, czy plagiat i to, co dziś nazywamy przedrukiem, wybitną w starożytności odgrywały rolę, musimy rzucić okiem na warunki, towarzyszące ówczesnemu rozwojowi literatury piśmiennéj. Przedewszystkiém więc zdajmy sobie sprawę z technicznych trudności czy ułatwień, ten rozwój znamionujących, a daléj z udziału, jaki ogół społeczeństwa w pracach literackich bierze. Nie mam zamiaru zapuszczać się w mniéj dokładnie znane i dostępne zabytki z greckich czasów [1]), zatrzymam się tylko cokolwiek nad stosunkami literackiemi Rzymu, których obraz dosyć wiernie uprzytomnić sobie możemy.

Podobnie jak w dziedzinie tylu innych objawów społecznych, tak i pod względem piśmiennictwa, nie różniły się rzymskie stosunki na początku cesarstwa zasadniczo od naszych dzisiejszych. Świat starożytny znał cały szereg wystarczających zupełnie na owe wieki sposobów i urządzeń, zmierzających do pokonania tych samych technicznych trudności w krzewieniu literatury, nad któremi nasze nowożytne odkrycia i wynalazki tryumfują [2]).

Materyał, na którym ówczesne płody literackie spisywano, można śmiało obok dzisiejszego postawić; istniała nawet pewna wykwintność w dobieraniu onego. Dzieła, do trwałego użytku służyć mające, pisano na zwijanym około okrągłego kawałka drzewa papirusie; do brulionów i podręcznych notatek służył pierwotnie mało ceniony pergamin i tabliczki woskowe, do wykwintnéj korrespondencyi tabliczki z kości słoniowéj. Wszystkie te surogaty papieru przedstawiały tę dogodność, że można było pierwotny tekst zeskrobać i poprawić, że każdy z nich zatém mógł kilkakrotnie być zapisany; wiadomo zaś powszechnie, że właśnie najcenniejsze zabytki prawa rzymskiego dochowały się do naszych czasów głównie przez odkrycie śladów pierwotnego tekstu na pergaminie powtórnie użytym. Papirus dawał się z łatwością sklejać w olbrzymie arkusze; mamy na to pewne świadectwa, że w Egipcie były w używaniu zwoje papirusowe długości dwudziestu, a nawet czterdziestu metrów [3]), tak, że np. cała

---

[1]) Wiele ciekawych szczegółów z téj epoki zestawił Caillemer w książce: „La propriété littéraire à Athènes“, Paris 1867.

[2]) Zob. ciekawe szczegóły o tém w książce De la Marché'go „Les manuscrits et la miniature“, Paris, Quantin.

[3]) Birt, „Das antike Buchwesen“, Berlin, 1882, str. 439.

Odysea na jednym kawałku papirusu była spisaną. Z drugiéj strony technika pisma doszła już w starożytności do podobnéj biegłości, jaką podziwiamy w średniowiecznych wizerunkach Świętych, ułożonych z miniaturowego tekstu Ewangelii lub Genezy. I tak wspominają Cycero i Pliniusz o pergaminowym egzemplarzu (liczącéj piętnaście tysięcy wierszy) Iliady, tak małéj objętości, że mieścił się w łupinie orzecha. Wogóle jednak wybór formatu rękopisu nie był rzeczą dowolną, ale — podobnie jak i dziś — dzieła prozą pisane, a zwłaszcza naukowe, wychodziły w większym, utwory poetyckie i ściśle literackie w mniejszym formacie. Zwyczaj ten zachował się nawet po tém przeobrażeniu, jakiego techniczna strona utworów piśmiennictwa w czwartym wieku po Chrystusie, wskutek powolnego zarzucania zwojów papirusowych i rozpowszechnienia oprawnéj pergaminowéj książki, t. zw. codex, doznała.

Użyłem umyślnie wyrażenia „książka“. W rzeczy saméj bowiem byłoby to niedokładném zrozumieniem ówczesnych stosunków, gdybyśmy w rzymskich dziełach widzieli tylko rękopisy. Nieznajomość druku nie pociągała mianowicie bynajmniéj za sobą identyfikowania tych dwóch na pozór nowożytnych pojęć: manuskrypt i książka. Przeciwnie, wydawnictwo książek, t. j. czynność, za pomocą któréj właściwy rękopis, a mianowicie dzieło do prywatnego użytku przeznaczone, oddaje się na użytek publiczny, sięga nadzwyczaj odległéj przeszłości. Czynność tę wykonywali niewolnicy; niekiedy autor posługiwał się w tym celu własnymi sługami, częściéj podejmowali się tego przedsiębiorstwa zawodowi wydawcy—księgarze. Wprawa i biegłość tych przepisywaczy są zdumiewające: na dyktando czytającego rękopis, poruszały się dziesiątki i setki rąk, płatnych od wiersza, a z tachygrafią, t. j. z całym systemem zbliżonych do dzisiejszéj stenografii skróceń i znaków obeznanych [1]).

Nie od rzeczy będzie téż zauważyć, że już Cycero miał dość uchwytne wyobrażenie o ulanych z metalu formach liter i użytku, jakiby z nich, celem ułożenia książki, zrobić można. Twierdząc bowiem w traktacie filozoficznym [2]), iż samo zestawienie sił przyrody jeszczeby nie wystarczyło na stworzenie świata, uprzytomnia to zda-

[1]) Trudno nawet uwierzyć dochowanym co do téj szybkości niewolników w pisaniu świadectwom; musimy to uważać za przesadę, jeśli nas Marcyalis zapewnia, że jego księgę epigramatów, składającą się z 540 wierszy, przepisał niewolnik w jednéj godzinie. W porównaniu do naszych stosunków, najzmudniejszy z całéj téj pracy była czynność korrekty, gdyż każdy egzemplarz trzeba było czytać i poprawiać z osobna.

[2]) „De natura deorum“, II, 93. Cytata przejęta z książki Sozańskiego, Ciekawe szczegóły z literatury i bibliografii, Kraków, 1884, str. 46.

nie na przykładzie, że przez samo rzucenie na ziemię „niezliczonéj ilości złotych lub jakichkolwiekbądź form dwudziestu i jednéj litery“, nie ułożyłby się ani jeden wiersz roczników Enniusza.

W jakiéj ilości egzemplarzy wydawano ówczesne dzieła? I w tym punkcie nie różniła się znacznie starożytność od dzisiejszych urządzeń, jako przeciętną liczbę, musimy bowiem przyjąć około pięćset egzemplarzy [1]).

Stanowczą jest zaś wyższość ówczesnych stosunków nad naszemi pod względem ilości wydań, która zupełnie obliczyć się nie da. Potrzeba nowych wydań była mianowicie wypływem nietrwałości użytego pod pismo materyału; papirus bowiem, długo uchodzący za najbardziéj przydatny do okazałych wydawnictw, z biegiem czasu tracił włókna, kruszył się i rozpadał, tak, że mógł służyć co najwyżéj sto lat, a dwóchsetletnie zwoje do największych rzadkości należały [2]). Napróżno smarowano papirusy olejem cedrowym, żeby je od wpływów powietrza, wilgoci, od moli i robaków zabezpieczyć; tylko złożone w mumiach, z powodu braku przystępu powietrza, dochowały się one do naszych dni. Pergamin wprawdzie bez porównania lepiéj znosił ząb czasu, ale był uważany za zbyt pospolity materyał i jego użycie dopiero późno się rozpowszechniło. Można więc łatwo nabrać wyobrażenia, ile-to razy w różnych epokach trzeba było np. Stary Testament albo Homera przepisać, żeby się te zabytki do naszych czasów dochowały! Rzymianie zdawali sobie doskonale sprawę, że cenne pomniki ich literatury mogą zaginąć i uledz zniszczeniu, to téż nietylko zakładali i wielką troskliwością otaczali prywatne i publiczne biblioteki, ale nie zaniedbywali i innych środków dla zapewnienia książkom bezpiecznéj przyszłości. Zdanie Horacyusza, że jego pieśni są pomnikiem trwalszym od śpiżu, byłoby pustą przechwałką, gdyby przez całe setki lat potomni własnoręczną pracą nie przekazywali sobie téj spuścizny. To téż dbały o sławę swojego praszczura, cesarz Tacytus, nie poprzestaje na zebraniu i wydaniu dzieł najznakomitszego w świecie historyka, ale, chcąc je zabezpieczyć przed niedbałością czytelników, rozkazuje na wieczne czasy, żeby je corocznie w dziesięciu, (według innéj interpretacyi w dwustu) egzemplarzach przepisywano i składano we wszystkich archiwach i bibliotekach. Przezorność słuszna, jeśli się zważy, że znacznie niebezpieczniejszą od najazdu barbarzyńców była dla dzieł starożytnego piśmiennictwa ta, przez cesarza przewidywana, „lectorum incuria“ w średnich wiekach. Jeszcze w pierwszéj połowie siódmego stulecia, przywozi Beda

[1]) Birt. str. 351.
[2]) Pliniusz, XIII, 83.

do Anglii z swéj podróży do Włoch „niezliczoną ilość książek wszelkiego rodzaju“, które był po części pokupował, po części otrzymał w darze. Tymczasem ze wszystkich tych oryginalnych rękopisów przechowała się do wynalazku druku tylko maleńka cząstka, tak, że niemal wszystkie pomniki literatury starożytnéj wyłącznie zmudnéj pracy klasztornych przepisywaczy zawdzięczamy.

Liczba egzemplarzy i powtarzanie wydań nie daje nam jednak dostatecznéj miary do ocenienia, o ile książki były rzeczywiście czytane i pokupne, a jest to przecież rzecz pierwszorzędnego znaczenia dla kwestyi plagiatu. Przedewszystkiém przypomnieć więc wypada, że podobnie, jak wydawnictwo dzieł było przedsiębiorstwem ściśle zorganizowaném, tak samo wynalezienie odbytu na nie było wysoko rozwiniętym przez księgarzy przemysłem. Umieli oni doskonale chodzić około swoich interesów i osięgali zyski znaczne [1]), bo publiczność rozchwytywała każdą poczytną książkę.

Zwyczaj nakazywał na Święto Saturnaliów robić swym bliskim i znajomym podarunki; Lukian [2]) zaleca w tym celu ubogim, żeby bogatszym ofiarowali książki; możny powinien chętnie je przyjąć i natychmiast przeczytać.

Jedynym sposobem odbywania nauk było w starożytności czytanie i interpretowanie znakomitych filozofów lub poetów, tych więc pisma służyły za podręczniki szkolne i miały odbyt zapewniony. Plato nazywał każdego, co nie znał pism Anaxagorosa, nieukiem; na pieśniach Homera lub Enniusza uczono się historyi; później czytano chętnie żywoty znakomitych mężów, które np. Varro ozdobił siedmiuset portretami. W epoce kultu formy i fonetyki, każdy rozczytywał się w misternie ulanych wierszach, a entuzyazm dla niektórych poetów nie miał granic. Wergiliusza witano w teatrze przez powstanie z miejsc, który-to zaszczyt należał się tylko cesarzowi; na ulicy postępował za nim raz tłum taki, że się przed nim poeta do cudzego domu schronić musiał. Wiemy o jakimś Hiszpanie, że po to tylko przyjechał do Rzymu, żeby zobaczyć Liwiusza, poczém zaraz do Gades powrócił.

Poeci mieli też zupełną świadomość tego czaru, który ich wobec publiczności otaczał, i schlebiała im myśl, że ich cały świat czyta. Owidyusz zapewnia, że jego skargi rozlegać się będą po krajach i mo-

---

[1]) W źródłach napotykamy często takie wyrażenia, jak „Hic (liber) dabit aera Sosiis“, „praeclare vendidisti“ i t. d.

[2]) Por. także epigram Marcyalisa XIII, 3:

Haec licet hospitibus pro munere disticha mittas,
Si tibi tam rarus quam mihi numus erit.

rzach, od wschodu do zochodu słońca; Propercyusz mówi, że jego sława aż na północ sięga. Ten sam Horacyusz, który powiedział, że nienawidzi głupiego gminu, że nie chce, aby jego pieśni dostały się do księgarń i witryn, aby się na nich pociła ręka gminu, przepowiada, że gdy jego listy zostaną poszarpane i zbrukane, to będą pakami wędrowały do Hiszpanii.

Nie są to wcale przechwałki; rzeczywiście Rzym bezustannie zasilał księgarnie po prowincyach, a już Xenofont wspomina, że kupcy, na morze Czarne się udający, obok różnych towarów wiozą z sobą i książki. Pliniusz młodszy cieszy się z pokupu, jaki jego dzieła znajdują nietylko w Rzymie, ale i w Lugdunie, i widzi w tym fakcie dowód, że jego mniemania muszą być prawdziwe, skoro ludzie „w tak rozmaitych okolicach żyjący“, jednakowo na jego książki się zapatrują.

W miarę jak cesarstwo usuwa w Rzymie ludność od udziału w rządzeniu, rozwija ono w niéj zamiłowanie do piśmiennictwa; za przykładem Augusta, bierze nie jeden możny poetów i literatów w opiekę, zakłada biblioteki prywatne i publiczne; tych ostatnich powstało w Rzymie od Augusta do czasów Hadryana dwadzieścia dziewięć, a bibliotek prywatnych istnieje, według świadectwa Seneki, nieprzebrana ilość, i to nietylko w Rzymie, ale i w miejscach kąpielowych i po wsiach. Mniéj zamożni, jak Marcyalis, posiadają zaledwie po 120 ksiąg, bogacze po kilkadziesiąt tysięcy [1]); nawet w podróży czytają ludzie chętnie książki dla skrócenia czasu [3]). Trudno też zliczyć te starożytne pomniki sztuki plastycznéj, które nam przedstawiają człowieka z księgą w ręku [3]). Z drugiéj strony niéma może w satyrach popularniejszéj postaci, jak człowiek, co tylko dla mody kupuje i rozprawia o książkach, których nawet tytułu nigdy nie przeczytał [4], a prawdziwe, czy też na wielką skalę fałszowane autografy, dochodzą do cen bajecznych. Za cesarstwa rozkwita na dobre dyletantyzm literacki i grasuje mania odczytów poetyckich, które nietylko że nie były zabawniejszemi od dzisiejszych, ale trwały też znacznie dłużéj, pół dnia i więcéj. Grzeczność nakazywała słuchaczom wyrażać uśmiechem swoje pochwały i sympatyą dla znajomego prelegenta, posyłano mu za każdém udatniejszém zdaniem pocałunki gestem ręki, zresztą powodzenie zapewniała zamawiana zawsze z góry oficyalna klaka.

---

[1]) Cytaty u Birta, str. 361

[2]) Si comes ista tibi fuerit membrana, putato
Carpere te longas cum Cicerone vias.

[3]) Zestawienie tychże zob. u Birta, str. 122.

[4]) Seneka, Juvenal, Lukian.

Ciekawe nam o tym zwyczaju szczegóły podaje Pliniusz młodszy, którego dosłownie cytuję (lib II, ep. 14): „Wczoraj wzięto mi dwóch nomenklatorów do bicia oklasków za trzy denary; tyle kosztuje reputacya największéj wymowy. Za tę cenę można zapełnić wszystkie krzesła, choćby ich było jak najwięcéj, za nią tłum się zbiera, za nią podnoszą się oklaski bez końca, skoro przywódca da znak. Potrzeba bowiem takiego znaku dla tych, co nie rozumieją i nawet wcale nie słuchają; rzeczywiście większa część obecnych nie słucha, ale niemniéj bije brawa".

Powodzenie to oczywiście pozorne, a odczyt prawdziwą dla słuchaczy nienajemnych bywał pańszczyzną, jak nas o tém zapewnia twierdzenie Marcyalisa, że poeta, straszniejszy od tygrysicy, któréj porwano młode, zatrzymuje swoją ofiarę na ulicy, towarzyszy jéj w kąpieli, przy stole, nawet w sypialni nie daje spokoju. Juwenal wspomina zaś, że jego przyjaciel, Umbrycyusz, uciekł z Rzymu, wystraszony zarówno codziennemi pożarami i zawaleniami się domów, jak i zapowiedzianemi na miesiąc sierpień odczytami. Jeżeli może być mowa o jakiéj kompensacie dla znużonego tego rodzaju prelekcyami słuchacza, to stanowił ją tylko suty obiad, przez prelegenta zazwyczaj dawany. I w tym względzie podobno nie brak nam pewnego podobieństwa ze światem rzymskim, że zacytuję tylko słowa Drummonta o głośnéj spółczesnéj autorce, „qui en est réduite à essayer l'effet de ses manuscrits sur un petit cerele d'invités que les satisfactions de l'estomac ont préparé aux indulgeances de l'esprit" [1]).

II.

W powyższym szkicu starałem się kilkakrotnie przypomnieć punkta styczne między naszém piśmiennictwém a rzymskiém; obecnie wypadnie nam na tle tego ogólnego obrazu przystąpić wprost do kwestyi plagiatu. Przyjrzyjmy się, czy naśladownictwo i czerpanie poszczególnych, przez innego autora użytych, zwrotów, scen, motywów lub postaci, poniżało sławę pisarza u czytającéj publiczności, czy zdarzały się wypadki podawania dzieł cudzych w całości lub w obszerniejszych częściach za swoje, wreszcie czy przedruk, a raczéj przepisywanie książek, uszczuplało majątkowe prawa autorów.

---

[1]) Która przy czytaniu swoich utworów ogranicza się z konieczności małem kółkiem znajomych, których pobłażliwość krytyczną z góry już sobie zaskarbiła, schlebiając ich podniebieniu.

Na pierwszy z tych punktów trudno trafniéj i treściwiéj odpowiedzieć, jak słowami prof. Kazimierza Morawskiego: „Kult formy sprawił, że w starożytności wyobrażenia o własności duchowéj były zupełnie odmiennemi od naszych“. Rzeczywiście, wrażliwi, a w wysokim stopniu wyposażeni w zdolność odczuwania delikatnéj harmonii tonów, szukali mieszkańcy Italii w wiązanéj mowie przedewszystkiém fonetycznéj świetności szaty. Ztąd najznakomitsi nawet poeci rzymscy do téj tylko harmonii formy przedewszystkiém dążą. Jedni, do rzeźbiarzy podobni, z trudem wykuwają poszczególne wyrażenia i zwroty, jak np. Wergiliusz, który w testamencie swym nakazuje spalić Eneidę, jako dzieło dostatecznie niewykończone [1]), lub Horacyusz, znany ze swego aforyzmu o dziewięcioletniém odleżeniu się rękopisu. Za to np. Owidyusz tworzy z największą łatwością i lubuje się w powtarzaniu téj saméj myśli poprzednio już użytemi słowy, ale téż na każdéj karcie spotykamy u niego zwroty, motywa i wyrażenia, z innych poetów zapożyczone [2]), rzecz, od któréj zresztą żaden poeta rzymski nie jest wolny. Powierzchownie tylko z ich utworami obznajomionemu nie wypada śmiałych wysnuwać twierdzeń, ale trudno mi obronić się uczuciu, że w lirycznéj poezyi rzymskiéj bywa treść utworu niekiedy tylko pozorem dla jego formy [3]), w czém znowu tak wybitnie od niéj się różni poezya romantyczna.

Z natury rzeczy, musi się zawsze i wszędzie inaczéj ten stosunek przedstawiać, w poezyi epicznéj i dramatycznéj. Pierwsza jednak nie może się w Rzymie wyzwolić z pod wpływu pieśni Homera, poezya dramatyczna zaś wyłącznie opracowuje późne wzory greckie. Powstaje ona z chwilą zaprowadzenia przez edylów kurulnych widowisk dramatycznych dla ożywienia narodowych igrzysk po pierwszéj wojnie punickiéj, i przez półtora wieku oddaje się jéj cały zastęp wysoce utalentowanych poetów, jak Nevius, Plaut, Statius, Terencyusz. Ich utwory są wszakże niemal wyłącznie przeróbkami komedyi greckich, zwłaszcza Menandra, i zastosowaniem ich nie tyle do rzymskich obyczajów, ile raczéj do mniéj wykwintnego rzymskiego smaku [4]). Za-

[1]) Podobnie rozkazał Meyerbeer w swoim testamencie, żeby jego niedokończone utwory zebrano w pakę, zamknięto i spalono, gdyby żaden z jego wnuków nie okazywał talentu do kompozycyi. Kohler, Autorrecht str. 151, uznaje takie postanowie za nieważne.

[2]) Por. Zingerle, „Ovidius und sein Verhältniss zu den Vorgängern“, Innsbruck, 1869.

[3]) „La pensée est une patère pour y accrocher des mots“, powiedział Teofil Gautier.

[4]) Zaznacza to już Gellius w „Noctes Atticae“ II, 23.

den z nich nie szuka, ani nawet nie chce pozować na oryginalność; fabuła i intryga stara, oklepana, ma za główny cel dostarczyć wątku do sarkastycznych uwag i iskrzącego werwą dyalogu. Co więcéj, żaden z tych, najbardziéj nawet utalentowanych, pisarzy, nie cofa się przed tak karkołomnemi sztuczkami, jak sklecenie dwóch greckich komedyi w jedną całość, lub przejęcie żywcem całych scen i sytuacyi z innego pierwowzoru. Najłatwiéj było to uskutecznić w tych wypadkach, gdzie ta sama bajka była już przez greckich autorów kilkakrotnie opracowaną. Zdarzało się to i najpotężniejszym greckim geniuszom; podanie o Filoktecie dostarczyło np. wątku do utworów trzem najznakomitszym tragikom starożytności: Sofoklesowi, Eschylesowi i Eurypidesowi. Ale dla nich postać samotnego mieszkańca wyspy Lemnos była symbolem gniewu bogów, była zagadnieniem filozoficznem, na którego rozwiązanie geniusz we własnéj duszy szukał odpowiedzi, a opis cierpień téj ofiary złowrogich potęg miał być tylko próbą wydostania z mowy ludzkiéj najrzewniejszych i najwznieślejszych akordów. Takie motywa nie wyczerpują się nigdy, jeśli tylko poeta cząstkę własnéj duszy słuchaczom udziela. Punktów styczności więc między natchnionym tragikiem, a parafrazą upadającéj sztuki greckiéj w Rzymie niéma. Akcya obraca się w téj ostatniéj zawsze około tych samych motywów: stary pieczeniarz, kupiec, kucharz, rozrzutny młodzieniec, troskliwa matka, a nadewszystko intrygi, przez niewolników uknute, oto co w każdéj z tych sztuk napotykamy. Morał wynika zaś prawie zawsze z przeciwstawienia dobrych i złych postaci, to téż dwóch ojców, dwie bohaterki, dwóch przyjaciół o różnych charakterach w każdéj prawie takiéj komedyi występować musi. Rzekłbyś, że ta komedya nie wynika ze studyum życia i obserwacyi charakterów, ale że cała sztuka poety polega na abstrakcyjném wyszukaniu tych czynności, komplikacyi i intryg, które z góry już dane typy i sytuacye za sobą z pewném prawdopodobieństwem pociągnąć by mogły, i na opisaniu ich barwnym wierszem [1]). To téż repertoar ten w końcu wyczerpać się musiał i wyczerpał rzeczywiście: ze śmiercią Terencyusza upada ostatecznie komedya rzymska, bo brak jéj zupełnie soków żywotnych, brak zdolności do odrodzenia się i odmłodzenia. Czuł to zapewne sam Terencyusz, kiedy z całą naiwnością usprawiedliwia się ze wprowadzania na scenę zawsze tych samych typów i przedstawiania tych samych uczuć; kiedy się żali, że już nie można nic powiedzieć, coby pierwéj powiedzianém nie

[1]) Por. słowa Owidyusza. An. I, 15. „Quamvis ingenio non valet, arte valet“ i przydomek od nazwy poety w Rzymie nieodłączny: doctus poëta.

było [1]), i kiedy – jak się zdaje – właśnie dla zebrania nowych motywów udaje się w podróż do Grecyi, w podróż, która tego sympatycznego 26 letniego poetę, z nowemi powracającego utworami, o śmierć przyprawiła. Wieki całe mijały, zmieniali się ludzie i stosunki, a zawsze jeszcze trwało przekonanie, że Menander wyczerpnął cały zasób komicznych postaci i motywów w swoich stu ośmiu komedyach. W 300 lat po jego śmierci wypowiada to zdanie otwarcie surowy Kwintylian [2]). Takie, jakie są, miały więc te komedye grecko-rzymskie powodzenie niesłychane i nie pozostały bez wpływu na charakter nowszéj komedyi. Nietylko rozkoszowano się niemi przez cały przeciąg istnienia rzymskiego społeczeństwa, ale rozczytywano się w nich z zamiłowaniem również w wiekach średnich i nowożytnych. Jest to np. faktem charakterystycznym, że zmarła w r. 980 zakonnica, Hroswita von Gandersheim, chcąc chrześcian od czytania pogańskich utworów odwieść, starała się sobie styl Terencyusza przyswoić i naśladowała go, pisząc komedye, na bardziéj chrześciańskich motywach osnute [3]). Bardzo zaś czytanie Terencyusza zaleca młodzieży Melanchton.

Przyjmowanie całych scen, motywów i zwrotów z innego utworu nazywało się technicznie we współczesnym łacińskim języku kontaminacyą; wyraz ten oznacza dosłownie dotknięcie się czegoś powalanemi błotem rękami. Znaczenie dość charakterystyczne, żeby na jego podstawie wysnuć wniosek, iż kontaminacya była uważana za rzecz dla autora w wysokim stopniu ubliżającą. A jednak wniosek taki byłby po części mylnym; dość przypomnić, że w Rzymie innych komedyi, oprócz tych nieoryginalnych, nie było; dość wskazać, że Plaut albo Terencyusz, to nie są bynajmniéj postacie w jakiéjkolwiek literaturze powszednie, aby być ostrożniejszym w wyprowadzaniu podobnych konkluzyi. Z drugiéj strony nie można, zdaniem mojém, powiedzieć, że obyczaj rzymski chronił tylko prywatny manuskrypt przed zachcianką osób, do jego ogłoszenia nieuprawnionych [4]), że zaś z chwilą, kiedy ten rękopis za pomocą wydania stawał się dostępnym.

---

[1]) Prol. Eun. 35: bonas matronas facere, meretrices malas,
parasitum edacem, gloriosum militem,
puerum supponi, falli per servum senem,
amare, odisse, suspicari, denique
nullumst iam dictum, quod non sit dictum prius.

[2]) Inst. or. X. 1, 69: vel unus diligenter lectus ad cuncta effingenda sufficiat, ita omnem vitae imaginem expressit, tanta in eo inveniendi copia et eloquendi facultas, ita est omnibus rebus, personis, adfectibus accomodatus.

[3]) Wagner „Terenti Hauton timorumenos". Berlin 1872 wstęp str. 24.

[4]) Por. ustęp z Cycerona Filip. II. c. 4. o ogłaszaniu prywatnych korespondencyi.

dla wszystkich, zawarte w nim sentecye, typy lub sytuacye przestawały być własnością autora i przechodziły w dorobek umysłowy ogółu, dla każdego dostępny i przez każdego zużytkowywany. W zakresie nauki oczywiście każda późniejsza książka opierała się na wynikach poprzedniéj; w rymotwórstwie poszczególne wyrażenia i zwroty powracają niezmiennie u autorów różnych talentów i epok, ale poezya dramatyczna, już z natury rzeczy, w pewnym przynajmniéj stopniu stawiała postulat nowości. Teatr miał bowiem tak silne współzawodnictwo do wytrzymania z przedstawieniami mimicznemi, choreograficznemi, z walkami dzikich zwierząt, że na sztuki o oklepanéj, lub nudnéj fabule nikt nie chodził, często autora i dyrektora wygwizdywano, lub edylowie żądali zwrotu złożonéj zapłaty. Mógł więc autor dramatyczny być nieoryginalnym, mógł tłómaczyć lub kompilować ile chciał, byle przedstawiona sztuka była szerszéj publiczności nieznaną, a zatém, co na jedno wyjdzie, mógł przerabiać wzory dawniejsze, ale nie śmiał okradać autorów żyjących, lub stojących jeszcze żywo w pamięci ogółu [1]).

Nie postanawiał tego oczywiście żaden przepis prawny, ale przynosił to z sobą obyczaj. Nawet w powyższych granicach kontaminacya, acz dozwolona, zaszczytną dla autora nie była. Mamy na to wskazówki w powtarzających się ciągle w rzymskiéj literaturze zarzutach kompilacyi i w sposobie, jakim zaczepieni one odpierają. Najbardziéj na tego rodzaju zarzuty był wystawiony Terencyusz, to téż w każdym niemal prologu do swych sztuk z tą kwestyą on się rozprawia. Im większe znajdowały jego dzieła powodzenie, tém dotkliwsze czekały go napaści ze strony zazdrosnego współzawodnika, Lusciusa Laviniusa, który publicznie oskarżał go o kontaminacyę [2]) i umyślnie przerywał gwizdaniem próby i przedstawienia. W dniu największego swego tryumfu, kiedy mu edylowie za jedną sztukę niebywałą dotąd sumę 8,000 sesterców zapłacili, gdy na żądanie publiczności musiano ją grać dwa razy jednego dnia, zmuszony był Terencyusz bronić się przeciw zarzutowi kontaminacyi, dowodząc, że czerpał temat nie z Neviusa i Plauta, jak mu zarzucają, ale z pierwszéj ręki, bo z użytkowanéj przez tych poetów komedyi Menandra „Kolaks“. W innym prologu zaś broni się argumentem, że i tacy autorowie, jak Nevius, Plaut i Enniusz, kontaminowali, nie cytuje zaś, jakby ze względów delikatności, swego głównego mistrza, Statiusa Ceciliusa, który również oryginalnym nie był.

---

[1]) Por. Dziatzko, Ausgewählte Komödien des Terentius Asser, Heft I, Leipzig 1874 str. 12.

[2]) Exclamat furem, non poëtam fabulam dedisse; —
Furtumne factum existimetis an locum
Reprehensum, qui praeteritus negligentiast.

Z biegiem czasu staje się zarzut kontaminacyi, tak w zastosowaniu do rzymskich komedyopisarzy uzasadniony, czczym frazesem, bronią, którą się każdy zawistny, każda miernota posługuje, aby ubliżyć mistrzom myśli i słowa. Nie jest on zatém objawem delikatniejszego pojmowania własności literackiéj, ale po prostu protestem przeciw cudzéj wyższości.

Żeby tylko najjaskrawsze przykłady z historyi rzymskiéj literatury przytoczyć, spotyka zarzut kontaminacyi najznakomitszych z pośród rzymskich autorów: Wergiliusza, zwanego łabędziem z Mantuy, (za to, że kilka wierszy przejął z Homera). Cycerona, św. Hieronima. Charakterystyczne są słowa, któremi ten wielki doktor Kościoła i jeden z najznakomitszych pisarzy świata, ów zarzut odpiera [1]). „Oskarżano Terencyusza", mówi on, „że w swéj poetyckiéj działalności niejako publiczny skarb okrada [2]). Łabędź z Mantuy, traktowany téż jako łupieżca (spoliator) starożytnych, odpowiadał na te napaści, że łatwiéj Herkulesowi maczugę, niż wiersz jeden wyrwać Homerowi. Nawet Cycero, który dosięgnął szczytu rzymskiéj wymowy, król mówców i mistrz łacińskiego stylu, był oskarżony o łupiestwo (repetundae) popełnione na Grekach. Cóż więc dziwnego, że i przeciw mnie maluczkiemu niechlujne świnie kwiczą, perły nogami depcąc". W innem miejscu porównywa on swych napastników do psów wściekłych i prosi dwie pustelnice, z wielkich rodów pochodzące, które mu w tłómaczeniu pisma Św. i w innych pracach dopomagały, o niesienie mu pomocy modlitwą [3]).

Stosunkowo najwięcéj świadectw, co do popełnianych plagiatów, przechowali nam poeci liryczni; z natury téj poezyi wypływa wszakże, iż nie tyle może tu być mowa o obrabianiu raz użytych motymów, co raczéj o rabowaniu autorowi poszczególnych utworów i podawaniu ich za swoje. Horacy przestrzega w swych listach rymo-

---

[1]) W przedmowie do „Quaestiones hebraicae".

[2]) Quasi publici aerarii poëtam furem criminabatur.

[3]) Wspaniała jest właśnie jego replika na zarzut, że do układania pism swych pomocą kobiet się posługuje i im dzieła swe poświęca. „Jak nie mam tego czynić", woła Św. Hieronim, „skoro one są zdolne daleko lepiéj dzieła te ocenić, niż większa część mężczyzn. Wy, co mi to wyrzucacie, nie wiecie zapewne, że Olda prorokowała, kiedy mężowie milczeli; Debora, będąc zarazem sędzią i wieszczką, zwyciężyła wrogów Izraela, podczas, gdy Barak drżał tylko; Plato przedstawia nam Aspazyę dysputującą, Sapho nie ustępuje Pindarowi i Alceuszowi, Temista oddaje się badaniom filozoficznym wpośród największych mędrców Grecyi, Kornelię, Grachchów matkę, cała ludność Rzymu podziwia. A cóż powiedzieć o córce Katona, małżonce Brutusa, wobec któréj dzielności mniéj podziwu w nas wzbudza wytrwałość ojca i męża. Cała historya grecka i rzymska pełna jest dowodów dzielności niewieściéj, któreby w całych księgach spisywać można".

twórców, żeby sami sobie wyszukiwali wątku do poezyi, unikając rabowania pism, złożonych w bibliotece Apollina palatyńskiego, bo śmiech wzbudzi kawka, z cudzych piór ogołocona [1]). Marcyalis nieustannie rozprawia się ze swymi plagiataryuszami; nie chodzi mu o kradzież oddzielnych wierszy, ale cały zbiór jego poezyi podają ludzie za swoje; jedyna stronica własnych wierszy plagiataryusza tak wybitnie od reszty się różni, że dla każdego kradzież jest widoczną [2]). „Ta twoja stronica jest żywém świadectwem, mówiącém ci, że jesteś złodziejem“.—Marcyalis z tego też względu szczególnie nas interesuje, że on pierwszy porównał kradzież cudzych wierszy z rabowaniem i braniem w niewolę dzieci, które starożytność właśnie plagiatem nazywała [3]). Odtąd też oznaczają wyrazem plagiat kradzież literacką.

Ale najgłębiéj odczuł a najpiękniéj wyraził, uogólniając zjawisko plagiatu, Wergiliusz, w słowach tak czułych i prostych, że i romantyczna poezya na więcéj prostoty zdobyćby się nie mogła, choć były one, jak nam Donatus [4]) opowiada, prostą sztuczką poetycką. Napisał mianowicie raz Wergiliusz bardzo udatny, a dla Augusta pochlebny, wierszyk bezimienny, i przybił go na drzwiach cesarskiego pałacu. Skoro cesarz napróżno się dopytywał, kto był autorem wiersza, przyznał się do autorstwa bardzo podrzędny poeta, Batyllus, i został też przez Augusta hojnie obdarzony i zaszczytami obsypany. Wergiliusz postanowił zdemaskować nazbyt przemyślnego poetę, i na tychże drzwiach umieścił, jako początek czterech niedokończonych wierszy, wyrazy: sic vos non vobis. August wymagał, aby kto te wiersze dokończył, ale nikt się tego nie podjął. Uczynił to więc

---

[1]) Hor. Ep. I, III, 18–20.

[2]) Mart. Epigr. I. 53: Una est in nostris tua, Fidentine, libellis
Pagina, sed certa domini signata figura,
Quae tua traducit manifesto carmina furto...
Indice non opus est nostris nec vindice libris,
Stat contra dicitque tibi tua pagina: Fur es.
I, 66: Erras meorum fur avare librorum
Fieri poëtam posse qui putas tanto...
I, 30: Fama refert nostros te, Fidentine, libellos
Non aliter populo, quam recitare tuos.
Si mea vis dici, gratis tibi carmina mittam,
Si dici tua vis, haec eme, ne mea sint.
Podobnie II, 20: Carmina Paulus emit, recitat sua carmina Paulus,
Nam quod emas, possis iure vocare tuum.

[3]) I, 52: Hoc si terque quaterque clamitaris,
Impones plagiario pudorem.

[4]) „Suetoni reliquiae“, wyd. Reifferscheid, Lipsk 1860 str. 67.

Wergiliusz, a ten jego pięciowiersz pozostanie prawdziwą perełką wykwintności uczucia i stylu:

Hos ego versiculos feci, tulit alter honores.
Sic vos non vobis nidificatis aves.
Sic vos non vobis vellera fertis oves.
Sic vos non vobis mellificatis apes.
Sic vos non vobis fertis aratra boves.

(Jam te wierszyki ułożył, dostał kto inny nagrodę.
Same tak ale nie sobie gniazdka wijecie ptaszęta,
Same tak ale nie sobie runa dajecie owieczki,
Same tak ale nie sobie słodki robicie miód pszczoły,
Same nareszcie nie dla was w jarzmie wy woły chodzicie).

Pozostaje nam jeszcze zastanowić się nad pytaniem, czy literatura przynosiła tym, co się jéj oddawali, jaką materyalną korzyść, i czy prywatne kopiowanie lub sporządzanie pisemnych przedruków na większą skalę mogło w Rzymie przynieść uszczerbek pieniężnym prawom autora. Utwory dramatyczne odgrywają w tym względzie rolę, od reszty dzieł piśmiennictwa wybitnie różną. Przedewszystkiém dlatego, iż dramaturg pobierał od państwa, za pośrednictwem edylów, lub też od magnatów, publiczne teatra zakładających, stosunkowo bardzo wysokie honoraryum autorskie w postaci kupna manuskryptu: jeśli wszakże sztuka nie znalazła u publiczności wzięcia, musiał to honoraryum zwrócić, na co liczne mamy dowody. Jest to ten sam system jednorazowego wynagrodzenia autora, bez względu na ilość przedstawień, który się ciągnie przez całe średnie wieki, a w Niemczech nawet za czasów Goethego na scenie weimarskiéj jest praktykowany. Kopiowanie utworów dramatycznych, lub przedstawianie ich na innéj scenie, musiało wszakże rzadko się zdarzać, bo dyrektor teatru (dominus gregis) posiadał w ręku jedyny manuskrypt i strzegł go jak oka w głowie, dopóki utwór ten się zupełnie nie zestarzał. Rzecz dziwna doprawdy, że w obec takich stosunków dochowała się do naszych czasów dość znaczna ilość dzieł scenicznych.

Ale tych szczęśliwych, co znaczniejsze ze swych utworów osiągali zyski, było bardzo niewielu; ogół poetów musiał się trzymać dworskiéj klamki, musiał schlebiać Augustowi i możnym, uciekać się do łaski takich Mecenasów lub Pollionów, żeby żywot módz pędzić bez troski. W czasach żywego zajęcia się literaturą wystarczał nieraz jakiś koncept, udatny epigram lub pochlebstwo, w szatę ody przyobleczone, dla zapewnienia utrzymania poecie, który, jeżeli w balladzie Schillera za późno do Zeusa się zgłasza, to za to w czasach klasycyzmu do wrót magnata zawsze trafić umiał. Poeta uważał

swą zależność od łaski możniejszych za rzecz zupełnie naturalną, i dobrowolnie przyjmował na siebie rolę ozdoby cudzego stołu i towarzysza w filozoficznych sympozyach [1]). Że jednak rozwielmożnił się dyletantyzm literacki, że każdy wykształcony próbował szczęścia na polu poezyi, przeto mało kto mógł znaleźć u możnych opiekę, a stąd typ głodnego autora-natręta staje się bardzo rozpowszechnionym.

Juwenal się skarży, że historyk mniéj zarobi od sługi, który panu czyta gazetę [2]); kto chce odczyt urządzić, z łatwością wynajmie salę i znajdzie gotowych do dawania oklasków, ale nikt z obecnych nawet tyle nie zapłaci, ile kosztuje najęcie krzeseł [3]); cały Rzym się cieszy, kiedy Statius zapowie, że odczyta swoją Tebaidę,—takie mu publiczność daje brawa, że o mało krzeseł nie złamie; ale z tém wszystkiem nie będzie miał co jeść, jeżeli przedsiębiorcy Parysowi nie sprzeda swego manuskryptu. To, czego możni nie dają, daje aktor; od niego zależy rozdawanie zaszczytów wojskowych; on wkłada na palec poety pierścień rycerski: jak tu się dziwić poecie, co żyje z teatru? [4]). Najwięcéj nam wszakże o swojéj biedzie opowiada [5]) Marcyalis, którego epigramata z tego także względu mają dla nas doniosłe znaczenie, że zdają się stwierdzać, iż nietylko dyrektor teatru płacił autorom za sztuki sceniczne, ale, że wogóle księgarze płacili poetom honorarya autorskie. Na końcu XI-téj księgi epigramatów, zwraca się on mianowicie do czytelnika, który z pewnością jeszcze od niego kilku dwuwierszy żąda: „Ale cóż? lichwiarz domaga się procentów, a dzieci strawnego. Ty na to nic, czytelniku?, a więc bywaj zdrów“ [6]). W innem miejscu zawiadamia czytelnika, że u księgarza Tryfona może za cztery grosze kupić całą masę wierszy; zarobiłby księgarz jeszcze, choćby tylko po dwa grosze sprzedawał. Tych, co chcą od niego książki pożyczyć, odstrasza, że mieszka daleko i na

---

[1]) Juwenal Sat. 7: Quis tibi Maecenas? quis nunc erit aut Proculeius,
Aut Fabius? quis Cotta iterum, quis Lentulus alter?
Tunc par ingenio pretium, tunc utile multis
Pallere, et vinum toto nescire decembri.

[2]) Sat. VII. w. 104: „Quis dabit historico quantum daret acta legenti“. Niektórzy autorowie sądzą wszakże, że ten ostatni wyraz oznacza reportera.

[3]) Sat. V, w. 45: „Nemo dabit regum quanti subsellia constent“.

[4]) Sat. V. w. 82—94.

[5]) Ep. XIV, 219, XI, 3 i wiele innych.

[6]) XI, 108: Quamvis tam longo possis satur esse libello,
Lector, adhuc a me disticha panca petis.
Sed Lupus usuram puerique diaria poscunt.
Lector, salve. Taces dissimulasque? Vale.

trzeciém piętrze, odsyła ich do wydawców: Tryfona lub Attrectusa, ale przyznaje im racyę, jeśli, będąc przy zdrowych zmysłach, nie chcą dać kilku groszy za takie głupstwa [1]).

Z rozmaitych ustępów w pismach Cycerona i Kwintyliana, wspominających o wielkim pokupie ich dzieł, możnaby nawet, jak to bardzo poważni uczeni czynią [2]), wnosić, że autor był interesowany pieniężnie w kwestyi rozprzedaży, nawet, że pobierał pewne tantyemy od zysku, przez księgarza osiągniętego. Przypuszczenie to jednak, jak na owe czasy, za śmiałe.

Bądź co bądź, przykłady powyższe uzasadniają przypuszczenie, że honorarya autorskie już w Rzymie istniały. Nasuwa się więc pytanie, czy prywatne kopie nie robiły wydawnictwom księgarskim konkurencyi, czy nie istniały przedsiębiorstwa, zupełnie do naszego przedruku podobne, krzywdzące jeśli nie autora, to przynajmniéj nakładcę, czy np. nie rzucał się ktoś na taką spekulacyę, aby księgi epigramatów Marcyalisa, na których nakładca Tryfon przeszło 50% zarabiał, po niższéj cenie sprzedawać, podobnie jak za naszych dni robią to na wielką skalę wydawcy amerykańscy, a do niedawna belgijscy.

Przedewszystkiém zaznaczyć wypada, że nieznajomość druku nie wpływała bynajmniéj na utrudnienie takiéj niegodnéj konkurencyi, czy, jak ją Spasowicz nazywa, kontrefakcyi. Jak dziś drukarnia walczy z drukarnią o lepsze, tak samo mógł się i w Rzymie przedsiębiorca każdy posługiwać temi samemi środkami reprodukcyi oryginału, co jego uprawniony wydawca, skoro nawet ludzie prywatni posiadali po kilku lub kilkunastu kopistów z zawodu. Co więcéj, mamy w czasach bynajmniéj nieodległych przykłady, że ręczne odpisy rozchodziły się po świecie nie mniéj od książek drukowanych. Taine wspomina, że Woltera „La Pucelle“ w przeciągu jednego miesiąca doczekała się dwóch tysięcy odpisów; memoryał, wystosowany do króla hiszpańskiego w r. 1827, krążył w pięciu tysiącach kopii, a Kossut w r. 1848 redagował gazetę, która, ze względu na cenzurę, tylko w ręcznych odpisach się rozchodziła. O ileż łatwiéj było sporządzać takie kopie w Rzymie z pomocą niewolników! A jednak o takiém kopiowaniu na większą skalę w celach spekulacyjnych nie słyszymy [3]). Spotykamy w źródłach dość częste wzmianki o sporzą-

---

[1]) I, 118: Tanti non es, ais, sapis, Luperce.
IV, 72: Aes dabo pro nugis? et emam tua carmina sanus?
Non, inquis, faciam tam fatue. Nec ego.

[2]) Birt, cit. ssr. 354.

[3]) Dwa tylko znane mi są wypadki, że w starożytności wbrew woli autora jego dzieła wydano. Mianowicie Hermodorus sprzedał spisane przez siebie wykła-

dzaniu odpisów prywatnych, o udzielaniu przez kopistów powierzanych im manuskryptów przed ich poprawieniem i wydaniem[1]); ale nikt w takich manipulacyach nie szukał stałego źródła zarobku, przedruk we właściwém tego słowa znaczeniu nie istniał, choć nie był zakazany przez prawo. Fakt ten tłómaczą niektórzy autorowie wielką ilością egzemplarzy, w jakiéj poczytne książki wychodziły, wskutek czego cena ich nie była wygórowaną, a sporządzanie odpisów się nie opłacało; inni uciekają się do mało prawdopodobnego przypuszczenia, że państwo udzielało niektórym autorom i nakładcom zupełnie podobnych przywilejów, jak w średnich wiekach; najbardziéj wszakże zasługuje na wiarę domysł, że istniało w Rzymie stowarzyszenie księgarzy, utrzymujące żywe stosunki z takiemiż zakładami na prowincyi, którego-to cechu statuta, w poczuciu dobrze zrozumianego wspólnego interesu i wzajemności, wykluczały tego rodzaju konkurencyę. Spotykamy więc w Rzymie bardzo ożywiony ruch literacki; spotykamy pewne poczucie, że poeta oryginalnym być powinien; widzimy, że pojęcie plagiatu oznaczają jak najsilniéj dobrane wyrazy, (kradzież i chwytanie dzieci w niewolę): ale ostatecznie, pomimo tych, tak korzystnych warunków, uszanowanie cudzéj twórczości nie wyrobiło się. A nie rozwinęło się ono dlatego, że prawo nie tak daleko sięgało, jak obyczaj; że pomimo gustu do poezyi i sztuki, mimo poetów, filozofów i bibliografów, na cesarskim zasiadających tronie, tkwił na dnie tego rzymskiego społeczeństwa bezwzględny pozytywizm, obojętność dla wszystkiego, co do materyalnych dóbr nie należy, a niemal z ubóstwianiem graniczące poszanowanie tych ostatnich. Bezwzględny i zimny zmysł prawny Rzymianina z czasów Rzeczypospolitéj nie chciał uznać, że spisanie na kartce papieru natchnionéj ludzkiéj myśli, że przeniesienie na kawałek drzewa lub w marmur pewnego ideału, jaki artyście w chwili tworzenia przyświecał, przeobrażają zupełnie ten papier lub drzewo, że materya sama jest tu rzeczą niesłychanie drobną w porównaniu do tego duchowego pierwiastku, który z niéj inny zupełnie zrobił przedmiot. To téż poeta, który, uważając go za swój, na cudzym papierze wiersz napisał, malarz, który przypadkiem na cudzym kawałku drzewa obraz

---

dy Platona w celach spekulacyjnych, a tak samo postąpili uczniowie Kwintyliana, tylko ze szlachetniejszych pobudek.—Nie należy tu oczywiście pośmiertne wydanie Eneidy, ani ukaranie śmiercią duumwira Atyliusza za odpis, który on pozwolił sporządzić z ksiąg sybillińskich Petroniuszowi Sabinowi; nie można zaś dać wiary twierdzeniu Owidyusza, że wiersze, które wygnaniem opłacił, wbrew jego woli zostały wydane.

[1]) Birt str. 282.

wymalował, nie miał żadnego prawa do swojego dzieła; świstek papieru silniejszéj w prawie doznawał ochrony, niż najwznioślejsza kreacya duszy ludzkiéj. Z zasklepieniem sobie właściwém, nie chciało nigdy rzymskie ustawodawstwo téj zasady przełamać, pomimo, iż najbystrzejsi myśliciele tego się domagali [1]). Wobec takich więc stosunków, nie mógł się wytworzyć silniejszy związek pomiędzy dziełem sztuki a jego twórcą, a temsamém tego związku poszanowanie i ochrona.

Fakt ten zaś nietylko miał dla rzymskiéj cywilizacyi znaczenie, ale oddziałał, i po części oddziaływa jeszcze po dziś dzień, na stosunki cywilizacyjne i ruch umysłowy całéj Europy; pomimo bowiem upływu tysiąca lat rozkrzewiającéj się na nowych zasadach cywilizacyi, nie zdołaliśmy się w zupełności z owych rzymskich mniemań otrząsnąć. Jak na tylu innych polach wszakże, tak i w téj dziedzinie wiek XIX-ty stanowi nową epokę, która jednak w drugą ostateczność się przerzuca, epokę, którą dostatecznie określa to — jakeśmy na początku tego artykułu widzieli — płytkie, zwodnicze, a wyzywające, przez Francyą w obieg puszczone hasło własności literackiéj!

III.

Z czasów po upadku cesarstwa zachodnio-rzymskiego aż do wynalazku druku, nie mamy o kwestyi plagiatu i przedruku w zachodniéj Europie bliższych wiadomości. Na ruinach starożytnéj cywilizacyi zaczyna bardzo powoli kiełkować i rozwijać się ożywczy ruch umysłowy; klasztory ratują dochowane szczątki, Karol Wielki i jego następcy otaczają swą opieką nauczycieli, publicznych notaryuszów i przepisywaczy, a nawet Maurowie w Hiszpanii krzewią rodzimą swoją cywilizacyą, zakładają biblioteki i szkoły. Dochowany dokument podatkowy z końca XIII-go wieku daje nam wiadomość o poważnym szeregu zamieszkałych w Paryżu świeckich pisarzy, księgarzy i introligatorów, a od założenia uniwersytetu liczba ta stale wzrasta. Jeden dekret królewski po drugim organizuje przemysł księgarski, a już począwszy od Ludwika Świętego, królowie i możni chętnie sprzedają część swych włości, lub zastawiają srebra stołowe, byle nabyć Liwiusza czy stary jaki rękopis arabki. Panujący w połowie czternastego wieku król francuski, Jan Dobry, pozostawił umie-

[1]) Piętnastu uczonych prawników z czasów po przyjęciu prawa rzymskiego w Niemczech, (znani są oni pod nazwą plagiarzystów) starało się tę stronę ustawodawstwa rzymskiego wyświecić, ale nie zdołali oni w tém ustawodawstwie znaleźć bliższéj analogii z dzisiejszemi pojęciami o plagiacie.

rając tylko dziesięć zebranych przez siebie tomów; jego syn, Karol V Walezy, już ich ma 900 i zakłada bibliotekę Luwru. Anglicy korzystają z zajęcia Francyi, żeby część tych książek zakupić i w ten sposób dać początek bibliotece oksfordzkiéj. Wynalazek druku nie zjawia się też—podobnie jak żadne epokowe w historyi cywilizacyi zdarzenie — niespodziewanie, ale wskutek nadzwyczajnego zajęcia umysłów sprawami literatury. Może to cyfra wygórowana, ale Villaret utrzymuje, że w przeddzień tego wynalazku same te dwa miasta, Paryż i Orlean, liczyły przeszło dziesięć tysięcy kopistów. Panujący (zwłaszcza we Francyi i Włoszech) nie szczędzą pomocy i zachęty dla przedsiębiorców drukarń; prawo autora jest jeszcze zupełnie zapoznane, ale drukarzy faworyzuje władza rządowa na każdym kroku, zwalnia ich od podatku, zwraca przejęty po cudzoziemcach na podstawie prawa albinagii spadek i najobficiéj szafuje przywilejami i monopolem wydawnictwa dla wszystkich książek, które z danéj drukarni wyjdą. Autor o tyle tylko może pośrednio z opieki drukarzowi udzielonéj skorzystać, że ten ostatni ma z czego płacić, jeśli przeciw konkurencyi jest zabezpieczony. W pierwszych dziesiątkach lat po wynalazku Guttenberga nie było jednak drukarzom pilno wydawać dzieła spółczesnych autorów, kiedy wszystkie pomniki starożytności liczyć mogły na ogromny odbyt.

W Polsce księgarstwo i drukarstwo rozwinęło się bardzo wcześnie. Miło mi w tym względzie powołać się na bardzo skrzętnie przez p. Benita zbierane i opracowywane materyały [1]), z których się okazuje, że pierwszy przywilej polski, Janowi Hallerowi, drukarzowi krakowskiemu, udzielony, datuje się z r. 1494, t. j. został wydany we trzy lata [2]) po udzieleniu pierwszego znanego nam przywileju drukarskiego przez senat wenecki, na siedm lat przed pierwszym przywilejem niemieckim, na dwanaście lat przed pierwszym papieskim, a na trzynaście przed francuskim. W początkach XVII-go wieku istnieje w samym Krakowie sześć wielkich drukarń, nie licząc zakonnych. Wydawnictwa krakowskie słynęły też na całą Europę z piękności druku, a mamy nawet spółczesne świadectwa, że drukarze wrocławscy i frankfurscy sprowadzali czcionki z Krakowa [3]). O pokupie na

[1]) „Pamiętnik słuchaczy Uniwersytetu Jagiellońskiego", Kraków 1887 i „Materyały do historyi księgarstwa i drukarstwa w Polsce", Kraków 1890.

[2]) Do niedawna poczytywano za pierwszy drukarski przywilej akt wenecki, pochodzący z r. 1494, a więc spółczesny wspomnianemu w tekście dokumentowi. Por. Renouard „Traité des droits d'auteurs", Paris 1838, I str. 107; Ponillet, „Traité de la propriété littéraire", Paris 1879, str. 5.

[3]) Zob. cytaty z korespondencyi Szymonowicza w Pamiętniku str. 434.

książki daje nam wreszcie wyobrażenie wielka ilość przedruków każdego znaczniejszego dzieła, tudzież fakt, że już w r 1526 nakład kalendarza Mikołaja z Szadka wynosił trzy tysiące egzemplarzy.

Od końca XV-go do końca XVIII-go wieku uzyskują wydawcy w Polsce cały szereg przywilejów, to szczegółowych, to jeneralnych, chroniących ich przed przedrukiem; ale, podobnie jak zagranicą, przywileje te, pomimo groźby kar pieniężnych i konfiskaty przedrukowanych książek, pozostawały często literą martwą, zwłaszcza, że nie było w nadawaniu ich jednolitości i konsekwencyi; w szczególności dekret Zygmunta Starego z 10 kwietnia 1539 r. [1]) stwierdzał zasadę zupełnéj wolności druku i przedruku. Wkradły się też inne nadużycia: w początku XVIII-go wieku np. ciągnęli wielkie zyski z przedruku introligatorzy, bo nakłaniali oni podstępnie czeladź drukarską do wybijania znaczniejszéj liczby egzemplarzy, niż wydawca zamierzał, i sprzedawali bezkarnie te nadliczbowe odbitki na własny rachunek, co się technicznie „przykładaniem“ nazywało, a co księgarze „przykradaniem“ zwali. Jeden z najbardziéj tym stanem rzeczy poszkodowanych, księgarz Krysztof Różycki, opisuje nam obszernie, w jaki sposób zemścił się za te niecne praktyki, kiedy nawet interwencya króla nie pomogła, a postępowanie sądowe wskutek różnych intryg udaremnione zostało. Musiało mianowicie często przychodzić do walki na pięści, skoro, według słów Różyckiego, introligatorzy, wysławszy raz „starą babę na przeszpiegi, napad gwałtowny na dom (Różyckiego) uczynili“, ale on „cum filia et parobco oppressyje dzielnie wytrzymał, czarownicę kańczugiem przetrzebił, a pałkę opaloną dębową schwyciwszy, wodza ich, starego Machiawela, znacznie po plecach pogromił, aż reyteradę uczynić musiał“ [2]).

Nie było więc wprawdzie ani dostatecznéj konsekwencyi w nadawaniu przywilejów drukarskich, ani stałego przeprowadzenia ich w praktyce; ale tego w całéj ówczesnéj Europie napróżnobyśmy szukali Owszem stwierdzić z zadowoleniem można, że w tym względzie nie pozostaliśmy za kierunkiem spółczesnym w tyle: przywileje chroniły bowiem u nas nie tylko płody piśmiennictwa, ale także ryciny, nietylko daléj zabraniały całkowitego lub częściowego przedruku, ale po części także tłómaczeń, naśladownictwa i plagiatu, a wreszcie tu i owdzie spotykamy nawet ochronę prawa autorskiego, co wogóle, jak na wiek szesnasty, jest faktem doniosłego znaczenia.

Że w literaturze polskiéj znajdujemy często ślady zupełnie niewolniczego naśladownictwa, jest rzeczą powszechnie znaną; dość po-

[1]) Ibid, str. 475.
[2]) Pamiętnik str. 459.

równać Treny Wiszniowskiego z Kochanowskim, a sielanki Gawińskiego z Szymonowiczem [1]).

Na wielką skalę popełnili plagiat, a raczéj wydali cudze dzieła pod własném nazwiskiem pod koniec XVI wieku, Gwagnin i Warszewicki. Aleksander Gwagnin, Włoch, posiadający polski indygenat, korzystając z nieobecności Macieja Stryjkowskiego w Polsce, tudzież z wieści, o jego śmierci rozpuszczonych, pięć razy wydał pod własném nazwiskiem jego dzieło „Kronika Sarmacyi europejskiéj". Stryjkowski za powrotem do kraju dowiódł przedruku, a nawet zarzucił Gwagninowi brak znajomości czytania. Ze swéj strony czerpał jednak Stryjkowski więcéj, niżby uchodziło, z dzieł Marcina Paszkowskiego, którego właśnie dziwnym zbiegiem okoliczności Gwagnin użył do przetłómaczenia kroniki Stryjkowskiego na język polski, tak, że Paszkowski w tłómaczonym przez siebie plagiacie Gwagnina spotykał wyraźne dowody plagiatu, na własnych swych utworach popełnionego. A nie na jednego tylko Stryjkowskiego miał się Paszkowski uskarżać! Wybierając się w r. 1572 na wyprawę przeciw Turkom, miał on już gotowy rękopis obszernego poematu p. t. „Wenecya" [3]), w którym wzywa wszystkie cywilizowane ludy do krucyaty przeciw półksiężycowi. Powierzył go więc w cudze ręce z poleceniem wydrukowania w roku następnym, skoro z wyprawy powróci,—ale nie powrócił. Trzydzieści lat przebył Paszkowski u Turków w niewoli, a przedostawszy się wreszcie szczęśliwie do kraju, zastał nietylko swój poemat wydrukowany bezimiennie w r. 1572, ale zarazem i drugie, przerobione jego wydanie, uskutecznione w r. 1586. Nietrudno było dociec,. czyje to pióro dokonało przeróbek i cudzéj zapragnęło sławy. Pod właściwym tytułem poematu stały słowa: „Krysztof Warszewicki mówiącą wwodzi Wenecyą", a w dedykacyi przyznaje Warszewicki, że i pierwsze wydanie sam sporządził. „Jeszcze za króla Zygmunta Augusta sławnéj pamięci *wydałem* jedne książki, którym tytuł Wenecya, te kiedym niedawno w ręce wziął a znowu przeczytał, zdały mi się tym czasom i rzeczom zgadzające, a do

---

[1]) Zestawienie to, tudzież wiele innych przykładów zobacz w Sozańskiego ciekawych szczegółach z literatury, Kraków, 1884 str. 135 Jeżowski z drobnemi tylko przeróbkami i pod zmienionym tytułem wydał satyrę Marcina Bielskiego, podając ją za swoją. Zob. o tém słowo wstępne dra Wisłockiego do jego wydania Satyr Marcina Bielskiego, Kraków 1880, str. 13.

[2]) „Aczkolwiek i czytać nie umie", „aczkolwiek ne primis quidem Heliconis fontibus labra admoverit". Zob. szczegóły o tém w warszawskiem wydaniu Kroniki z r. 1846, tom I. str. 22.

[3]) W ten sposób ciekawą tę kwestyę tłómaczy p. Wierzbowski w swojém wydaniu „Wenecyi". Warszawa, 1886, str. 40.

ludzkiéj wiadomości potrzebne. Poprawiwszy tedy i tak ująwszy, jak przydawszy w nich nieco, dałem je znowu przedrukować".

Rzecz zadziwiająca, jak ostrożnie i sprytnie ułożył Warszewicki tytuł dzieła i dedykacyę. Czytelnik ani przypuszcza, żeby autorem mógł być kto inny, jak Warszewicki, a jednak on autorem poematu nazwać się nie chce; człowiek takiéj pisarskiéj sławy i o takiém stanowisku nie mógł się narażać na skandal, jakiby za sobą pociągnęła rewindykacya autorstwa na rzecz Paszkowskiego, choćby nawet kości tego ostatniego rzeczywiście w jakimś ukraińskim spoczywały kurhanie.

Nie żył natomiast sam Warszewicki, kiedy Paszkowski powrócił z niewoli. Upomniał się on o swoje prawa i sławę z prostotą i godnością: nie szukał skandalu, ani wytaczał procesu, tylko w wydanym w r. 1615 poemacie: „Dzieje tureckie" do autorstwa Wenecyi się przyznał w słowach:

„ . . . . niech sobie czyta Wywód Stryjkowskiego
„Cesarzów Bisurmańskich i Warszewickiego
„Wenecia. Ci o tém prawdziwie pisali,
„Co potem łowiczowie za swoje udali.
„Znać wronę w cudzym pierzu, choć je podskubuje,
„Panie Boże im odpuść, ja ich nie cytuję,
„Choć mi też niepomału serce zakrwawili,
„Bo nieraz sławę sobie weną mą kupili,
„Czas to wszystko pokaże, choć ja pofolguję".

Jest to tylko jeden z jaskrawych przykładów przedruku i plagiatu, które były u nas praktykowane przez cały wiek XVII i XVIII. Temu stanowi rzeczy miał dopiero położyć koniec przedłożony przez warszawskiego księgarza, Dufoura, Sejmowi Czteroletniemu projekt ustawy [1]), który jednak pod obrady Sejmu nie przyszedł.

Za granicą zupełnie analogiczne panowały stosunki. W Niemczech zajmowała kwestya przedruku przez trzy wieki wiele najpotężniejszych umysłów; ze szczególną predylekcyą badali ją filozofowie [2]). Pierwszym, który z właściwą sobie zapalczywością przeciw przedrukowi wystąpił, był Luter (1525). „Cóż to ma znaczyć — wołał on — mili drukarze, że się tak publicznie rabujecie i okradacie i interesa sobie wzajemnie psujecie? Czyście to zeszli na rozbójników i złodziei? Buty sobie smaruj każdy takim zarobkiem; jesteś złodziejem i przed Bogiem do zwrotu obowiązany".

---

[1]) Główne zasady tego projektu nie były oryginalne, tylko na niemieckich wzorach oparte.

[2]) Bliższe szczegóły o tém zobacz w rozprawie Iollego „Die Lehre vom Nachdruck, w Archiv für civilische Praxis", Tom 35, 1852.

Obyczaj i opinia publiczna stanowczo dzieliły przekonania Lutra, ale prawo pozytywne, nie uznając kradzieży literackiéj, stało po stronie drukarzy i usprawiedliwiało najoczywistsze nadużycia. Najsubtelniejsze prawnicze badania nie zaradziły temu stanowi rzeczy. Cały szereg niemieckich jurystów zajmuje się sprawą przedruku i plagiatu, ale wszyscy oni są zbyt jednostronnie na romanistycznych wzorach wykształceni, niezdolni do dania odpowiedzi na takie zagadnienia, dla których badania źródła rzymskie nie dają dostatecznego oparcia. Zamiast rozeznania, że mają do czynienia z nowożytném pojęciem, które przekonanie ogółu, i co za tém idzie, wytwarzające się prawo zwyczajowe potępia, piszą Carpzow, Lagus, Beier, Gundling, Werner, Böhmer, Thurneisen, Pütter dyssertacye bez końca, uniwersytety niemieckie wydają opinie, to za, to przeciw swobodzie przedruku, aż wreszcie, za przykładem Leibnitza, podejmują tę tezę Kant, Fichte i Hegel.

Kant wyprowadza zakaz przedruku za pomocą nadzwyczaj ścisłéj argumentacyi. Swoją mową może tylko jéj twórca rozrządzać; książka jest spisaną mową autora; przedruk jest bezprawném rozrządzaniem cudzą mową, a więc jego inicyator autorowi do zwrotu spowodowanéj tém szkody obowiązany. Każde zdanie jest w tém rozumowaniu ścisłém i trafném wyprowadzeniem wniosku ze zdania poprzedzającego; cóż kiedy podstawowe twierdzenie, na którém się ta cała budowa opiera, samo nie ma żadnego oparcia, jest t. zw. petitio principii, bo uważa z góry za niewątpliwe to, co właśnie dopiero udowodnioném być miało.

Fichte operuje pojęciami i technicznemi wyrażeniami prawniczemi. Rozróżnia on własność poszczególnego egzemplarza książki od własności duchonéj autora i rozdziela tę ostatnią na własność myśli i własność formy, w którą te myśli są przyobleczone. Nakładca ma nabywać tylko ograniczoną używalność obu tych ostatnich rodzajów własności. Podobnie wyraża się téż Hegel.

Prawnicze te konstrukcye i filozoficzne rozumowania nie posuwały wszakże całéj kwestyi ani na krok naprzód, a przedruk tak powszechnie w Niemczech uprawiano, że położenie materyalne najznakomitszych nawet autorów było rzeczywiście pożałowania godném: księgarze nie chcieli płacić choćby umiarkowanéj ceny za manuskrypta, skoro ich współzawodnicy bezkarnie mogli uskuteczniać wydania, o całą wysokość honoraryum tańsze. Przywileje drukarskie, a nawet ustawy [1]), pozostawały literą martwą, gdyż wobec rozdzielenia Nie-

[1]) Pierwszą ustawą, zabraniającą przedruku dzieł, nawet przywilejem niechronionych, była ustawa saska z r. 1686.

miec na wielką liczbę niezależnych państewek, nie dosięgały przedruku, za granicą popełnionego, od którego niepodobna się było uchronić. Ekonomiczny system merkantylizmu zadawał cios ostateczny wszelkim dążeniom do reformy, gdyż władza państwowa popierała zarobek, który przedruk zapewniał drukarniom krajowym. Ażeby zapobiedz upływowi pieniędzy za granicę, pozwalał np. cesarz Józef na przedrukowywanie w Austryi nawet tych dzieł, którym, jako cesarz niemiecki, sam zapewniał przywilejami ochronę; przywileje te miały tylko w nieaustryackich krajach cesarstwa mieć skuteczność [1]). To też wszyscy niemal pisarze niemieccy z końca przeszłego i początku bieżącego stulecia toczą zaciętą walkę z księgarzami, narzekają na przedruk i zamyślają o zorganizowaniu wielkiego przedsiębiorstwa wydawniczego, któreby ich od zależności od nakładców uwolniło. Możnaby ułożyć całą książkę z pism Lessinga, Goethego, Klopstocka, Richtera, Bürgera, Wielanda, Heinego, w których ci pierwszorzędni pisarze uskarżają się na brak ochrony prawnéj dla swych dzieł. Wprawdzie już w kapitulacyi wyborczéj z r. 1790 przyrzekł cesarz Leopold II dążyć do wytępienia przedruku, energiczne ustawodawcze kroki w tym kierunku zostały wszakże w Niemczech przedsięwzięte dopiero w pierwszych dziesiątkach lat bieżącego stulecia.

We Francyi odgrywał przedruk stosunkowo mniéj ważną rolę, ale ścisłości w ustawodawstwie i nadzorze nad księgarzami nie było. Jeden dekret królewski zapewniał nakładcy przywiléj na wyłączne wydawnictwo jakiegoś dzieła; inny dekret nieraz nadawał to samo prawo komu innemu, lub też uchwała parlamentu znosiła przywiléj i ogłaszała zasadę wolnéj konkurencyi [2]). Charakterystyczną jest rzeczą, że Molier pierwszy raz dał swoje komedye dopiero wtedy wydrukować, kiedy bez jego wiedzy i woli jego rękopis został ogłoszony [3]); widzieliśmy również, jak zgrabnie La Fontaine dotknął kwestyi plagiatu w bajce o szczyceniu się z cudzych piórek. Faworyzował przedruki zarówno kierunek encyklopedyczny, jak i teorye

---

[1]) „Danzel und Guhrauer", Gotthold Ephraim Lessing, drugie wyd., drugi tom, Berlin 1881, str. 206.

[2]) Przykłady zobacz w cytowaném już dziele Renouard'a, tom I, str. 111 i następne

[3]) W przedmowie do swéj komedyi „Les précieuses ridicules" mówi Molier: „C'est une chose étrange qu'on imprime les gens malgré eux. Je ne vois rien de si injuste et je pardonnerais toute autre violence plutôt que celle-ci... Je suis tombé dans la disgrâce de voir une copie dérobée de ma pièce entre les mains des libraires, accompagnée d'un privilège obtenu par surprise. J'ai eu beau crier, ô temps! ô moeurs!, on m'a fait voir la necessité pour moi d'être imprimé ou d'avoir un procès; et le dernier mal est encore pire que le premier".

merkantylistyczne; zdaniem Diderota nie należy zabraniać wydawnictwa nawet złych książek, bo tak, czy owak, rozchodzić się one będą, a przynajmniéj nie zagraniczne, tylko francuskie drukarnie na tém zyskają. Opinia publiczna we Francyi była przedewszystkiém zajęta kwestyą ograniczeń, jakim tamtejsze państwowe urządzenia poddawały wydawnictwo książek; te zapory usunąć i wywalczyć zwycięstwo zasadzie, że przywiléj nie jest aktem laski, nie nadaje autorowi lub nakładcy żadnych praw, tylko stwierdza to, co im się z własnego prawa należy, było głównym przedmiotem usiłowań pisarzy i księgarzy francuskich.

Osiągnęli oni ten cel z wybuchem rewolucyi. Dekret z r. 1793 i cały szereg ustaw późniejszych przyznał autorom dzieł piśmiennictwa i sztuki dożywotne, wyłączne prawo reprodukcyi swych utworów, i zapewnił toż samo prawo także dziedzicom autora przez dziesięć lat po jego śmierci. Wszelkie reprodukcye, bez zezwolenia autora dokonane, miały być konfiskowane, a winni na wysokie kary pieniężne skazywani.

Ten krok ustawodawczy bezwątpienia posunął sprawę ochrony praw autora znacznie naprzód; nieokreślone mniemania i dążenia znalazły stały punkt oparcia. Ale nawet pomimo faktu, że ustawodawstwa niemieckie, austryackie i ruskie [1]) wkrótce podobne zasady przyjęły, nikt nie mógł oddawać się złudzeniu, że kwestya własności literackiéj została załatwioną. Przedruk kwitnął daléj, tylko przeniósł się za granicę, gdzie go rygor prawa dosięgnąć nie zdołał.

Najbezpieczniejsze schronienie dla podstępnych zabiegów osób, trudniących się kradzieżą literacką, zapewniała Belgia i Ameryka. Wskutek nowych ulepszeń i wynalazków, przedsiębiorstwa amerykańskie są zdolne całą książkę w przeciągu dwudziestu czterech godzin wydrukować. Łatwo więc pojąć, na jak wielką skalę bywa tam kradzież artystyczna uprawiana. Kiedy Lord Beaconsfield wydawał w Anglii swego „Endymiona“ (za którą-to powieść dostał od nakładcy dziesięć tysięcy funtów szterlingów), czekał już w jednym z portów angielskich okręt z przygotowaną maszyną drukarską; skradziono egzemplarze korrektowe i na pełném morzu składano czcionki i zszywano arkusze, tak, że książka była już wydrukowana, zanim okręt do Nowego-Yorku przybył. Nie gorzéj umieją sobie radzić sztycharze amerykańscy, którzy nietylko niską ceną towaru zamykają zupełnie odbyt reprodukcyom europejskim w Ameryce, ale brakiem staranności w wykonaniu wyrządzają rzeczywistą krzywdę autorowi.

---

[1]) Zasady prawa ruskiego w téj materyi przedstawił p. Spasowicz w książeczce p. t. „Prawa autorskie i kontrefakcya“, Warszawa, 1874.

To samo zjawisko spotykamy w dziedzinie przekładów utworów piśmiennictwa na obce języki. Artystyczna strona utworu ginie zupełnie pod niedołężném piórem tłómacza, styl traci swą barwność, a nawet myśli bywają błędnie oddane. To też niéma prawdziwszego przysłowia od włoskiego „traduttore traditore“ [1]). Autorowi musi być dana sposobność uchronienia się od takiego oszpecenia jego dzieła [2]), powinno mu więc być zapewnione prawo zabronienia wszelkich tłómaczeń, dokonanych przez osoby, do tego nieupoważnione. Musiała daléj zostać unormowaną kwestya przedstawień teatralnych bez zezwolenia autora, kwestya koncertów, odczytów publicznych, przedruk poszczególnych ustępów z jakiegoś dzieła w czasopismach i antologiach i wiele pokrewnych przedmiotów.

Dwoistą mają te wszystkie, po części bardzo skomplikowane kwestye, naturę: nie chodzi tu tylko o zabezpieczenie dzieła sztuki przed zeszpeceniem i o ochronę sławy autora, ale zarazem o wywalczenie temu ostatniemu niezależności materyalnéj. Było rzeczą łatwą do przewidzenia, że w dalszém następstwie idei rewolucyi francuskiéj wiek XIX wyswobodzi literaturę z téj zależności od łaski możnych dyletantów, w jaką ona w wieku XVII i XVIII popadła, że byt materyalny artystów oprze na własnym ich talencie i pracy. Tak się też rzeczywiście stało, ale przeobrażenie to nie odbyło się—podobnie, jak każda gwałtowna reakcya—bez poważnych niebezpieczeństw dla samejże sprawy. Jeśli pochlebstwo i serwilizm skaziły w swoim czasie całą literaturę panegiryczną, jeśli zatamowały chwilowo źródło prawdziwego natchnienia, a nawet oddziałały rozkładowo na charakter warstw, w społeczeństwie przewodzących, to pewne nowsze kierunki w literaturze XIX wieku świadczą o bynajmniéj nie mniejszém schlebianiu płacącym za książkę; zależność pozostała, tylko jest to zale-

[1]) P. Sozański w cytowanéj już powyżéj książce (wyd. z r. 1858, str. 11) przytacza w tym względzie dwa jaskrawe przykłady. Zdanie: „omnis bonus liber“ oddano w tłómaczeniu jako: „w każdéj książce jest coś dobrego“, podczas, gdy ono według myśli autora miało oznaczać, że każdy dobry człowiek jest wolnym. Jeszcze gorzéj udało się autorowi romansu „Manon Lescault“, panu Prevost, który w swém tłómaczeniu podróży Towstona, opowiadanie, że ten w braku wielkich żagli użył kilku małych (po francusku bonnette), tak przełożył: „Towston zawiesił starą szlafmycę (vieux bonnet) na maszcie i dopłynął na wyspę Wight!“

[2]) Niektórzy tłómacze nie poprzestają na przełożeniu tekstu, ale czynią w nim rozmaite zmiany i dodatki. Tak np. niejaki Tomasz Shadwell w przedmowie do swego tłómaczenia molierowskiego „Skąpca“ na język angielski utrzymuje, że poprawił Moliera, i że, według jego zdania, najgorszy nawet z angielskich poetów, opracowując jakąkolwiek francuską komedyę, zawsze ją ulepszył“. Co prawda, ten sam autor utrzymuje daléj: „że równie trudno znaleźć we francuskiéj komedyi dowcip, jak kopalnie srebra w Anglii“.

żność od innego pana: nie od możnowładcy, ale od czytających mas. Że schlebianie gustowi i instynktom tych mas znamionuje upadek literatury, temu chyba nikt nie zaprzeczy, a stwierdzić łatwo i ten drugi, w literaturze panegirycznéj już zaznaczony objaw, t. j. rozkładowe działanie na społeczeństwo, którego łaskę belletrystyka dziś sobie zaskarbić pragnie.

Aczkolwiek smutne, nie są przecież te objawy zatrważającemi, bo wierzyć wolno, że prawdziwe talenta zawsze nas przed daleko posuniętém hołdowaniem tego rodzaju prądom ochronią [1]; z powodu ostateczności, jakie za sobą pociągnęło wygłoszenie praw talentu, nie powinniśmy zapominać, że zasada sama jest słuszną [2]). Jéj wprowadzenie w życie napotyka tylko trudności, dające się jedynie wspólném działaniem wszystkich cywilizowanych państw i społeczeństw przełamać.

I to jest właśnie wielka zasługa Francyi, że ona bezustannie brała w bieżącym wieku inicyatywę w uregulowaniu kwestyi kradzieży literackiéj za pomocą międzynarodowych konwencyi. W roku 1878 rzucił Wiktor Hugo myśl utworzenia międzynarodowego towarzystwa literacko-artystycznego, którego głównem zadaniem być miało dążenie do ujednostajnienia zasad ustawodawczych poszczególnych państw w kwestyi plagiatu i przedruku. Towarzystwo to rozwija się bardzo pomyślnie, odbywa corocznie swe walne zgromadzenia w rozmaitych stolicach państw europejskich i liczy, jako członków protektorów, wiele głów koronowanych. Największym tryumfem tego sto-

---

[1]) Już Boileau chłostał tych autorów, którzy sztukę uważają za intratne rzemiosło („font d'un art divin un métier mercenaire"), a doskonale mówi Schiller o umiejętności:

„Einem ist sie die hohe, die himmlische Göttin; dem andern
„Eine tüchtige Kuh, di ihn mit Butter versorgt".

[2]) Jak niskie było honoraryum najznakomitszych kompozytorów w Niemczech jeszcze przed dwudziestu laty, można się przekonać z aktów procesu, jaki prawonabywcy Ryszarda Wagnera kilkakrotnie dyrekcyom różnych niemieckich teatrów wytaczali. Okazuje się mianowicie, że Wagner sprzedawał prawo przedstawiania swoich oper teatrowi w Lipsku i Pradze za jednorazowe honoraryum 25 luidorów. Zob. szczegóły w nieznajdującéj się w handlu książce p. t. Batz, „Beiträge zur Beurtheilung des gegenwärtigen Zustande der Autorrechtspflege", Leipzig, 1885. Przyczyną tak niskiego wynagrodzenia był oczywiście brak ochrony prawnéj dla utworów muzycznych, którą dopiero niemiecka ustawa z 11 czerwca 1870 r. bliżéj unormowała. Goethe płacił, jako dyrektor teatru w Weimarze, zazwyczaj jednego luidora (ein Carolin) za oryginalną sztukę. Za „Götza z Berlichingen" wziął sam sto talarów, a Schillerowi za „Wilhelma Tella" zapłacił sto pięćdziesiąt talarów. Bliższe szczegóły o tém zobacz w „Vierteljahresschrift für Litteraturgeschichte", 1890, str. 482.

warzyszenia było dojście do skutku konferencyi międzynarodowéj w Bernie w roku 1886, na którą rządy: francuski, niemiecki, belgijski, angielski, hiszpański, włoski i szwajcarski, wysłały swych reprezentantów. Każde z tych państw oświadczyło gotowość poczynienia pewnych zmian w swém ustawodawstwie, celem osiągnięcia ujednostajnienia prawa w kwestyi plagiatu i przedruku. Jakoż doszło do zupełnego w tym przedmiocie porozumienia; nawet niektóre, pierwotnie na téj konferencyi nie reprezentowane państwa, oświadczyły chęć przystąpienia do uchwał, tam powziętych [1]), a zapewne i reszta rządów pójdzie za tym przykładem, zwłaszcza, że nikt już w tym względzie zasadniczéj opozycyi nie stawia. W najbliższéj przyszłości wejdzie więc już może w życie projekt, na konferencyi berneńskiéj wypracowany, w drodze ustawodawstwa poszczególnych państw, podobnie, jak i wiele innych ustawodawczych reform, za pomocą takiego międzynarodowego porozumienia w najnowszych czasach poruszonych zostało. Kwestya t. zw. własności literackiéj zostałaby tém samém rozwiązaną.

Obok niewątpliwéj zasługi około przyśpieszenia tego wyniku, ma międzynarodowe towarzystwo literackie i artystyczne inne także tytuły do naszych sympatyi i naszéj wdzięczności. Nie wpadając ani w uprzedzenia, ani w pochlebstwa, ma ono w myśl swych statutów za zadanie popierać interesa pisarzy i artystów wszystkich krajów, dąży do zawiązania pomiędzy nimi braterskiéj łączności i składa hołd prawdziwym talentom. Miło nam było przeczytać na liście członków nazwiska p. Władysława Chodźkiewicza, jako jednego z sześciu wieczystych przewodniczących, p. Władysława Mickiewicza, jako wice-prezydenta, a Lenartowicza i Sienkiewicza, jako członków honorowych.

Piśmiennictwo nasze zdobyło więc sobie zaszczytne uznanie i poczesne stanowisko w rzędzie najbardziéj rozwiniętych literatur. Z najwybitniejszemi rysami tego piśmiennictwa zaznajomił uczestników kongresu w Lizbonie z r. 1881 p. Władysław Mickiewicz.

Antoni Górski.

---

[1]) Przedstawieniu głównych zasad projektu berneńskiego poświęci autor niniejszego artykułu osobne studyum.

HENRYK SCHLIEMANN

i

JEGO ODKRYCIA NAUKOWE.

Nadzieją ludzie karmią swe dusze. Ale może przyjemniéj, aniżeli w rajskiéj dziedzinie uludy— gdyż nadzieje są zwodnicze — może przyjemniéj i pożyteczniéj żyć w dziedzinie wspomnień, zwłaszcza dziejowych, które są trwałe, bo ani ręka ludzka, ani losu przypadkowość wzruszyć ich nie zdołają. Jeżeli są radosne, lub wzniosłe, raduje się i serce nasze, jeżeli smętne, pociechę znajdujemy w myśli, że to już przeszłość -- przeszłość niepowrotna. Nadzieja zwraca się do chwili i ogarnia zawsze, nawet w najpomyślniejszym razie, zakres nierozległy; wspomnieniami objąć możemy szeroki horyzont: wieki, narody, ludzkość całą.

Myśląc o ludzkości, zwracamy się ku Wschodowi, gdzie była kolebka życia dziejowego, skąd wychodziły olbrzymie ruchy, wstrząsające światem, wyciskające niezatarte piętno na cywilizacyi i umysłowości. I tu na Wschodzie od wieków zegar czasu niemal przystanął. Bryły marmurów, utwory i pomysły artystyczne, zwyczaje, pojęcia i pewne urządzenia społeczne uniknęły zagłady wieków i przemawiają do nas, jak gdyby pochodzenie ich i panowanie było z tego wieku. Tu więc najsnadniéj zapomnieć o zabiegach codziennego żywota, otrząsnąć się z pyłu teraźniejszości, a przenieść się duchem i niemal ciałem w przeszłość dawno minioną, aby w niéj żyć i snuć myśli, jakby w rzeczywistości.

Otóż jeden z głównych powodów, dla których artyści i poeci, myśliciele i badacze podążają tak chętnie i w takiéj liczbie we wschodnie krainy. I biorą do rąk pisma, które na tym gruncie wyrosły; przed innemi zaś te, które ludzkość jednozgodnie w pierwszym stawia rzędzie — jak Biblia, jak chijoskiego piewcy utwory epiczne, tak niezwykle proste, a mimo to tak trudne do zrozumienia. Kluczem tym otwierają sobie podwoje do różnych przybytków przeszłości; i nawzajem kamienie i rośliny, powietrze i widoki rozjaśniają im w utworach ustępy, które im się wydawały zagadkami, nad których wytłómaczeniem napróżno się trudzili w stronach ojczystych.

Za jednym z badaczów i my podążymy na Wschód, na wybrzeża północne olbrzymiéj Azyi i wschodniéj Hellady, w okolice i miejscowości, owiane urokiem poezyi Homerowéj, a zatém zrosłe nierozerwalnie z wykształceniem humanistycznem — podążymy z uczuciem niekłamanéj wdzięczności za to, że nietylko sam dla siebie w ducha skupieniu snuł nić dziejów dawnych, lecz, że pracował, i pracował z poświęceniem, podziw wzbudzającém, aby rozjaśnić kulturę świata Homerowego i przed-homerowego, aby o wieki całe wstecz cofnąć granice historycznéj przeszłości narodu greckiego, aby ujawnić jego styczność z bliższymi i dalszymi sąsiadami, o któréj pamięć całkiem wygasła, a dla rozważań powszechno-dziejowych stworzyć tło, którego nikt się spodziewać nie mógł.

Są ludzie opatrznościowi, którzy, powiedziećby można, rodzą się z pewną ideą i z zapałem do jéj urzeczywistnienia, a rzuceni przez los w sferę i warunki, obce i nieprzychylne ich myśli, nie dadzą się zepchnąć z drogi, którą im wskazuje gwiazda, co przyświecała przyjściu ich na świat. Przez długie lata toczą bój zacięty z przeciwnościami; pełni otuchy co do przyszłości, z wiarą w swe posłannictwo, żywią w sercu ogień święty, który wzmacnia ich wolę, krzepi siły i doprowadza nareszcie do pożądanego celu. Zdawać się może, jakoby Opatrzność z rozmysłu narzucała im — według ich wiary i talentu — dłuższy lub krótszy okres przygotowawczy, większe lub mniejsze ciężary, aby tém lepiéj sprostali zadaniom, których spełnienie właściwym jest celem ich żywota.

Henryk Schliemann, to wzór takiego męża. Przez lat czterdzieści dźwigał ciężkie brzemię pracy praktycznéj, ale się nie złamał, ani nawet ugiął, młodzieńczy zapał nie ostygł, a hart i wytrwałość wzmogły się, kiedy nareszcie kupiec stanął w rzędzie archeologów.

Schliemann sam sobie wszystko zawdzięcza. Życiorys jego jest więc już z tego względu wielce zajmujący; zarazem wyjaśnia nam niezwykłe skojarzenie różnych zalet i sposobów jego działalności, i próbę poglądów w dziedzinie archeologii. Nie bez słuszności mówi dziel-

ny odkrywca sławnych rezydencyi Homerowych w swéj autobiografii, że łopata i motyka, któremi odkopano Troję i królewskie groby w Mikenach, zostały wykute w małéj niemieckiéj wiosce, w któréj on przepędził ośm lat dziecięcych.

I.

Schliemann urodził się w mieścinie meklemburskiéj *Neu-Buckow*, w dniu 6 stycznia 1822 r. W rok późniéj ojciec jego, pastor protestancki, przeniósł się do wioski *Ankerskagen*, położonéj również w W. Księstwie meklembursko-skwierzyńskiém. Wioska ta posiadała różne osobliwości, które lud uwieńczył legendami. Ze stawu, tuż za ogrodem pastora, miała codziennie o północy występować dziewica, z czarą srebrną w ręku. W kopcu, usypanym widocznie w czasach pogańskich, miał rycerz jakiś pogrzebać ukochaną swą dziecinę w złotéj kolebce. Rycerz to był niegodziwy; kradł, gdzie mógł, i pustoszył całą okolicę. Nawet księcia meklemburskiego chciał zdradzieckim sposobem zgładzić z tego świata. Zdrada się wykryła przed czasem Książę obległ zamki rycerza Henninga. Ten, nie widząc sposobu ucieczki, zakopał swe skarby w ogrodzie, przy okrągłéj wieży zamku, i sam sobie śmierć zadał. O zamku niezamieszkałym, o jego tajemniczych krużgankach i podziemnym, milę długim kurytarzu, o grobowych kamieniach cmentarza, okalającego kościół, opowiadano różne dziwne historye, które wrażliwy z natury umysł chłopca czyniły jeszcze wrażliwszym, a fantazyę jego rozbudzały.

Pastorowie niemieccy wynosili ze szkół gruntowne wykształcenie filologiczne i zamiłowanie świata klasycznego. Ojciec Henryka Schliemanna był także zapalonym wielbicielem historyi starożytnéj. Opowiadał więc synowi o Herculanum i Pompei i o bohaterach trojańskich. Już w roku 1829 na gwiazdkę obdarzył siedmioletniego syna jakimś ilustrowanym podręcznikiem historyi powszechnéj. Między innemi znajdował się tam obraz palącéj się Troi z kolosalnemi murami i bramą skajską; było też w nim widać uciekającego Eneasza, jak dźwigał na barkach starego ojca, Anchizesa, a syna, Askaniusza za rękę prowadził. Obraz ten zapalił do tego stopnia wyobraźnię siedmioletniego chłopczyka, że tylko marzył o Troi i wespół z towarzyszką swych zabaw, córeczką dzierżawcy ze wsi sąsiedniéj, postanowił odkopać Troję kiedyś w przyszłości.

Rodzina pastora była liczna. Matka, umierając, kiedy Henryk liczył lat dziewięć, pozostawiła siedmioro dzieci. Dochody parafii nie wystarczały na wychowanie tak licznego potomstwa. Henryka

oddano w opiekę wujowi, pastorowi w Kalkhorst, gdzie się przygotował do tercyi gimnazyalnéj. Lecz tylko przez 3 miesiące dozwolném mu było uczęszczać do téj klasy w Neustrelitz. Musiał niebawem przejść do niższéj szkoły realnéj, a po ukończeniu jéj pracował w sklepiku w miasteczku Fürstenberg. Tutaj przez przeszło pięć lat spełniał przykre a zabijające umysł posługi kupczyka: sprzedawał cukier, masło, śledzie, świece łojowe, mełł ziemniaki dla gorzelni, zamiatał nawet izbę sklepową.

Pewnego wieczoru zjawił się w sklepie jakiś czeladnik młynarski, także syn pastora, były uczeń gimnazyalny; z powodu niewłaściwego zachowania się musiał był, jako uczeń najwyższéj klasy, zakład opuścić przed złożeniem egzaminu dojrzałości. Pomimo nałogu pijaństwa i ciężkiéj pracy zawodowéj, zatrzymał on w pamięci ustępy z Wergiliusza i Homera utworów i lubił je deklamować z patosem. Schliemann nie nauczył się w szkole realnéj języka greckiego; nie mógł zatém rozumiéć tekstu Homerowego, ale melodyjne brzmienie stu wierszy, które mu młynarczyk zadeklamował, tak silnie na niego oddziałało, że za grosze zaoszczędzone kupił mu trzy kieliszki gorzałki, aby go nakłonić do trzykrotnego powtórzenia deklamacyi. Recytacya wycisnęła Schliemannowi gorące łzy żalu, że obcym mu pozostał język Homera i tragików ateńskich.

Niespodziewany a smutny wypadek oswobodził nareszcie młodego Henryka z przykrego położenia, lecz zmiana losu nie była zrazu pomyślną. W 19 roku życia mocno Schliemann zaniemógł, krwią pluć zaczął. Musiał tedy porzucić swe miejsce w sklepiku. W końcu roku 1841 udał się do Hamburga i przyjął obowiązki chłopaka na małym okręcie kupieckim, „Dorothea“, który miał płynąć do Venezueli. Okręt się rozbił na wybrzeżu holenderskiém. W biedzie wielkiéj dostał się Schliemann do Amsterdamu; tutaj postanowił pozostać i próbować nadal szczęścia. Aby z głodu nie umrzéć, udawał chorego i przeniósł się do szpitala, z którego dawny znajomy matki oswobodził go, a zarazem i w zasiłek pieniężny opatrzył, i konsulowi pruskiemu polecił; za tegoż staraniem Schliemann uzyskał miejsce sługi kantoru firmy F. C. Quien. Bieganina na pocztę po listy i do banków, aby odebrać pieniądze za weksle, pozostawiała młodzieńcowi sporo czasu. A potrafił go wyzyskać rzetelnie. Nawet czekając w sieni pocztowéj na otwarcie okienka, nie próżnował. Czytał i uczył się bezprzestannie, zwłaszcza języków; uczył się ich zupełnie mechanicznie, według własnéj metody, ale z pomyślnym skutkiem. W pół roku przyswoił sobie znajomość języka angielskiego, w dalszém półroczu język francuski; później potrzebował już tylko po sześć tygodni, aby się wyuczyć języków holenderskiego, hiszpańskiego, włoskiego i portugalskie-

go. Schliemann stał się zarazem istotnym poliglottą. Nawet trudności, które stawiał mu język ruski, przełamał zwycięsko, nauczył się także po szwedzku i po polsku.

Kupiec Quien nie bardzo był zadowolony ze swego sługi, nie ufał też jego zdolnościom do pracy szlachetniejszéj, umysłowéj. Schliemann opuścił tedy upokarzające stanowisko, a za pośrednictwém wpływowych przyjaciół został d. 1 marca 1844 r. zaangażowny, jako korespondent i buchalter, przez jeden z najpotężniejszych i najbogatszych domów świata całego, przez panów B. H. Schroeder i Sp. Tutaj rozwinął gorliwość swoją i talenta tak skutecznie, że chlebodawcy z wielkiém byli dla niego uznaniem i nie szczędzili mu pochwał i poparcia. Wyuczywszy się języka ruskiego, wyruszył Schliemann na początku r. 1846 do Rosyi, jako agent Schroedera. W Petersburgu i Moskwie spełnił swoje zadanie tak znakomicie, że wyniki jego usiłowań przewyższyły oczekiwania chlebodawców. Schliemann pozostał przez lat jedenaście pełnomocnikiem Schroedera w Petersburgu, przy tém jednak już w r. 1847 otworzył tamże własny dom kupiecki, a w r. 1852 filię w Moskwie. Trudnił się przedewszystkiém handlem indygo, przez pewien czas także herbaty. W czasie wojny Krymskiéj, kupcy narażeni byli na różne straty. Schliemannowi fortuna sprzyjała. Kiedy Memel się spalił i wszystkie towary w tém mieście nagromadzone, Schliemanna towar, w który był włożył całe swoje mienie, około 150,000 talarów, ocalał jakby cudem. Na dostawie materyałów wojennych: ołowiu, siarki i saletry, tudzież przez inne interesa, Schliemann w ciągu jednego roku, w tych czasach krytycznych, majątek swój więcéj niż podwoił. Szczęście sprzyjało Schliemannowi—powtarzam; ale potrafił on też zrozumiéć jego wskazówki, a energii i wytrwałości nie zdołał osłabić żaden zawód. Zresztą marzeniem Schliemanna nie przestały być nigdy studya starożytnicze; majątek zbierał w tym celu, aby sobie do nich wrota otworzyć. Kiedy wreszcie zgromadził już takie zapasy, że nie potrzebował lękać się o przyszłość, w r. 1856 zaczął się uczyć po grecku, według swojéj metody—po nowo—i po starogrecku—i wreszcie pozyskał zupełną wprawę w ustném i piśmiennėm używaniu obydwóch tych języków.

Już w r. 1858 zamierzał Schliemann zwinąć swój interes kupiecki i udać się w przydłuższą podróż do Szwecyi, Danii, Niemiec, Włoch, Egiptu i Grecyi. Bawiąc w Atenach, przygotowywał już wycieczkę do Itaki, kiedy nagle proces jakiś zmusił go do powrotu do Petersburga. Podjął więc na nowo swoje kupieckie agendy, czekając końca sprawy procesowéj, i jeszcze znacznie majątek swój powiększył. Wreszcie w końcu r. 1863 proces się skończył, Schliemann zlikwidował interes, a na wiosnę r. 1864 wyruszył w drogę do Kar-

taginy i do Indyi, do Chin, Japonii i Ameryki. Po powrocie z podróży osiedlił się w roku 1866 w Paryżu i ogłosił tam pierwsze swe dzieło: „la Chine et le Japon“, napisane w ciągu pięćdziesięciu dni na okręcie, wśród przeprawy z Japonii do Ameryki.

II.

Z pierwszą podróżą do ziem klasycznych, do ojczyzny i siedzib bohaterów Homerowych, rozpoczyna się drugi okres w życiu Schliemanna. Na wiosnę r. 1868 popłynął on na Neapol do Korfu, Cefalonii i Itaki, ztamtąd udał się do Pelopenezu. Zwiedził Mikeny, a wreszcie drogą na Ateny podążył do Troi; wyniki swych spostrzeżeń złożył w książce, wydanéj równocześnie (w r. 1869) w języku niemieckim i francuskim, p. t. „Itaka, Poloponez i Troja“. Z prawdziwą lubością bierzemy i dzisiaj jeszcze tę książkę do ręki, tyle w niéj bezpośrednich wrażeń i prawdy. W dziełku tém wypowiedział Schliemann dwie myśli zasadnicze, o których już tu wzmiankę czynimy, bo one kierowały późniejszemi jego pracami i sprowadziły niezwykle świetne rezultaty. Jest to najpierw zdanie, że grobów Atrydów, o których wspomina Pauzaniasz w opisie Grecyi, szukać należy wobrębie murów cytadeli mikeńskiéj, a nie po za pierścieniem murów akropolii, w mieście dolném; powtóre twierdzenie, że Troja piewców Homerowych istniała rzeczywiście, ale nie była położona na wyżynie Balidagh blisko Bunarbanki, lecz znacznie bliżéj morza, na wzgórzu Hissarlik.

Naiwne wyobrażenia, wierzenia i przesądy zburzyły wiele, ale i stworzyły nie jedno—nawet w nauce. Szczęściem było dla Schliemanna i dla nauki, że szczera wiara w tradycyą i w prawdziwość opisów Homerowych ożywiała jego ducha; bez wiary, bez silnego przeświadczenia, że głęboko pod dzisiejszą powierzchnią mieszczą się szczątki tych samych pałaców i murów, i skarby, które opiewa ślepy piewca z Chios, o których sobie rozpowiadano w Grecyi w wiekach historycznych, nie byłby w Schliemannie obudził się tak gorący zapał do poszukiwań archeologicznych, i nie byłby się może zdołał utrzymać wobec sceptytycznych poglądów krytyków zawodowych, zwłaszcza niemieckich.

Nie jeden badacz nie szczędzi grosza, aby zadość uczynić ulubionéj pasyi. Schliemann nie był Nabobem; renta jego roczna wynosiła około 200,000 franków. Na wykopaliska łożył jednak krocie, bo poszukiwania archeologiczne nie były dla niego sportem, lecz świę-

tością; téj świętości poświęcał nie tylko majątek, poświęcał wszystkie siły swego ducha, swoją istotę.

Schliemann był dyletantem naukowym, ale dyletantem w najlepszém tego słowa znaczeniu. Był samouczkiem, przeto nie był też wolnym od tych wad, które są zwykle właściwe autodydaktom. Nie posiadał metody naukowéj, nie znał dostatecznie zasad krytyki filologiczno-historycznéj, bo w młodości nie zaostrzył swego rozumu opracowaniem krytycznem zagadnień naukowych. Ztąd wynikły błędy, które popełnił w poszukiwaniach; ztąd śmiałość, z którą hipotezy więcéj niż wątpliwe ogłaszał światu, jako prawdy niezbite; ztąd owa pochopność do rekonstrukcyi świata Homerowego i jego kultury, jako rzeczywistéj prawdy dziejowéj; ztąd wreszcie liczne braki w kompozycyi dzieł literackich i w argumentacyi. Nie był też Schliemann wolnym od pewnéj zarozumiałości. „Bardzo mało kupców—pisał w r. 1876 do jednego z uczonych niemieckich — zdołałoby napisać takie dzieło (jak dzieło o Mikenach). Nikt nigdy nie pracował na polu nauki z większą energią i z lepszym skutkiem, jak ja w latach dziesięciu. Wyniki moich trudów są tak znaczne, że nikt podobnych nie zdobył, i nigdy żaden śmiertelnik ich nie przewyższy“. Schliemann dzielił z wielu znakomitymi ludźmi tę właściwość — jak trafnie zauważył ów uczony we wspomnieniu pośmiertném o Schliemannie — że nie zalety właściwe cenią w sobie wysoko, lecz rzeczy podrzędne, nieraz nawet i braki. I tak Schliemann — przynajmniéj przez pierwszych lat dziesięć swego zawodu archeologicznego—przekładał swoje opisy nad same wykopaliska. A właśnie te opisy nie były tak dokładne, jak tego wymaga naukowa ścisłość, a wymaga słusznie, bo co w danéj chwili wydaje się szczegółem podrzędnéj wartości, może z czasem, w łączności z innemi szczegółami, wzróść do wielkiego znaczenia.

Ale ten samouk nie tylko przyniósł z sobą z życia praktycznego zmysł praktyczny, rzutkość kupiecką, oraz energię i konsekwencyę w wykonaniu raz powziętych postanowień, i żywił w sercu nie tylko zapał święty; żywił także rzetelną miłość prawdy i zachował aż do ostatniéj chwili życia niezwykłą giętkość umysłu, i dar, i chęć czynienia postępów. Pokonawszy obojętność i niechęć archeologów z zawodu—a najwięcéj niechętnych liczył najpierw między własnymi ziomkami — gdy nareszcie z nimi doszedł do porozumienia i do nich się zbliżył, odtąd, (a było to w ostatniém, siódmém dziesięcioleciu jego żywota), stał się, powiedzieć można, poniekąd ich uczniem, posługiwał się ich wiedzą, talentem, metodą.

Ze wszystkich prastarych miejscowości, najwięcéj Schliemann umiłował Troję. Tam, na równinie Skamandru, gdzie zebrane wojska greckie przez lat dziesięć rzekomo bój toczyły z wojskami Pryama

i jego sprzymierzeńców, tam on rozpoczął swoje roboty w wielkim stylu, i zawsze znowu, po niejakiéj pauzie, wracał do téj krainy. Długi szereg wypraw dokonał do Troi na czele licznych hufców robotników i zdobył ją z ich pomocą, jak drugi Agamemnon. I do ostatniéj chwili nie przestał myśléć o niéj, pragnąc zapewnić jéj przynależne stanowisko wobec zaczepek nieusprawiedliwionych.

Na wiosnę r. 1870 rozpoczął Schliemann swoje badania na kresie trojańskim, na wyżynie Hissarlik. Przekonawszy się, że nasyp na wzgórzu jest bardzo znaczny, zrozumiał, że zadanie wymagać będzie wielkiego nakładu czasu i trudu. Po długich pertraktacyach z rządem tureckim, uzyskał wreszcie pozwolenie na kopanie, i w jesieni r. 1871 zabrał się do pracy. Ale, choć ośmdziesięciu ludzi kopało rów wielki na północnym brzegu wzgórza, jesienna ta kampania nie przyniosła pożądanéj zdobyczy. Brakło narzędzi niezbędnie potrzebnych do poszukiwań; Schliemann kazał je bezzwłocznie sporządzić w Anglii, i w Marcu 1872 r. powrócił do Troi. Zbudowawszy skromny domek z drzewa na wyżynie dla siebie i żony, Greczynki, z którą kilka lat wpierw zawarł związek małżeński, zorganizował hufiec robotników w liczbie 100—150 ludzi, pod dowództwem jednego inżyniera i trzech dozorców i kopać kazał na wzgórzu otwór 233 stopy szeroki, a w tym otworze jeszcze znowu rów szeroki i głęboki. Schliemannowi chodziło wyłącznie o odsłonienie Homerowéj Troi; bez litości zatém usuwał wszystko, co się mieściło w wyższych pokładach. Ci, co mu z tego postępowania czynili zarzut, mieli w zasadzie słuszność; powinni jednakże byli o tém pamiętać, że zawartości nasypu nikt nie znał i że trudno było warstwy nawet wśród kopania odróżnić, bo nie następowały po sobie, jak warstwy w przekładańcu; tylko miasto hellenistyczne zbudowane było na terenie odpowiednio splanowanym. Gdyby zresztą Schliemann był stopniowo odsłaniał osady i najpierw odkrył całkowicie miasto hellestyczne, czyby świat naukowy nie wołał głośno, że to miasto należy zostawić nietkniętém? Śmiałość Schliemanna, choć nie mająca podstawy naukowéj, okazała się prawdziwie zbawienną w swych skutkach.

Skutki te w r. 1872 jeszcze nie odpowiadały nadziejom, choć Schliemann nie szczędził trudu i pracował w najcięższych upałach i dopiero w Sierpniu zaniechał robót. Ufności jednakże nie tracił. Na wiosnę r. 1873 stawił się bardzo wcześnie w Hissarliku, już w d. 1-go Lutego. Wiatry straszliwie dokuczały przez całe sześć tygodni i sprowadzały zimno takie, że woda w pokoju zamarzała. Lecz wytrwałość fortuna tym razem sowicie wynagrodziła. Mury miasta wyraźniéj się zarysowały, i bramę wielką odkryto, i znaleziono skarb sławny; a Schliemann nazwał skarb—skarbem Pryama, a bramę—„bramą

skajską". Według umowy zawartéj, powinien był Schliemann połowę znalezionych przedmiotów odstąpić rządowi tureckiemu. Lecz trudno mu było rozstać się z drogą sercu zdobyczą i rozumiał, że względy naukowe wymagają tego, aby się skarb nie rozdrobnił, lecz pozostał całością. Potajemnie więc przed robotnikami zbierał z żoną złote ozdoby, srebrne i złote naczynia i zanosił je do domu. Drobną tylko cząstkę zabrali skrycie dwaj robotnicy.

Ta zdobycz rozniosła nazwisko Schliemanna po całym świecie cywilizowanym. Telegramy i artykuły dziennikarskie goniły jeden za drugim; Anglicy z niecierpliwością wyczekiwali nowych wiadomości. Wreszcie w r. 1874 pojawiły się „Trojańskie starożytności" — jeden tom tekstu, obok tego atlas z licznemi tablicami i oryginał niemiecki, pisany przez Schliemanna, oraz przekład francuzki, dokonany przez głośnego pisarza greckiego, Rhangabé.

Rzecz to arcy trudna przełamać uprzedzenia uczonych. Krytyka pieśni Homerowych odebrała filologom i archeologom niemieckim wiarę w istnienie takiego Ilionu, jakie Homer opisuje; zresztą przypuszczali najpoważniejsi badacze, a na ich czele Moltke, Curtius i Kiepert, że zamczysko, dominujące nad całą krainą trojańską, musiało chyba być położone na wyżynie Balidagh. Publikacya Schliemanna nie zdołała obalić tej teoryi. Illustracye pozostawiały wiele do życzenia i w gorszém jeszcze świetle przedstawiały nędzne i tak mury i domowstwa. Nie chciano więc pogodzić się z myślą, żeby osada tak licha, w któréj, prócz skarbu wspomnianego, znaleziono naczynia i wyroby gliniane całkiem pierwotnéj cechy, aby taka osada mogła się była stać głośną w podaniach i pieśniach rezydencyą królów, sławioną z bogactw i przepychu. Wielu więc obojętnie odczytywało opisy Schliemanna, niektórzy sobie z nich żartowali, zwłaszcza z szumnych nazw, które Schliemann nadawał znalezionym przedmiotom. Ale znaleźli się też obrońcy i nawet entuzyaści, przedewszystkiém w Anglii, a także i w Niemczech. Pojawiło się mnóztwo artykułów i broszur za i przeciw: Hissarlik i Balidag stały się hasłem dwóch stron wojujących.

Schliemann nie spoczął ani chwili. W Lutym 1884 rozpoczął badania na terenie mikeńskim, gdy go doszła wiadomość, że rząd turecki wytoczył mu przed sądem ateńskim proces z powodu zabrania wszystkich wykopanych zabytków. Powrócił tedy czemprędzéj do Aten. Układy toczyły się przez rok cały. Ostatecznie Schliemann skazany został na zapłacenie 10,000 franków wynagrodzenia. Zamiast dziesięciu, posłał do Konstantynopola, na rzecz muzeum cesarskiego, pięćdziesiąt tysięcy franków. Sam niebawem, jeszcze w r. 1875, podążył do stolicy tureckiej i za staraniem przyjaciół wpływowych

uzyskał nawet ferman do dalszych badań w ojczyźnie Hektora. Zaraz tedy w Kwietniu 1876 wyruszył znowu do Troady. Ale gubernator krainy, Ibrahim-pascha, stawiał mu na każdym kroku nieprzezwyciężone trudności. Musiał więc Schliemann zaniechać pracy. Wróciwszy do Aten, wysłał do „Times“ piorunujący artykuł przeciwko Ibrahimowi. Artykuł poskutkował. Ibrahima wysłano do innej prowincyi, ale Schliemann nie mógł już skorzystać ze zmiany położenia. Już bowiem kopał w Mikenach, w stolicy Agamemnona, którą uwieczniły podania, przybrane w cudną szatę poezyi Homerowej, a późniéj uświetnione nieśmiertelnemi kreacyami Eschyla, Sofoklesa i innych tragików na niwie attyckiej. Co tu Schliemann odkrył, tego i fantazya w chwilach największego rozbujania nie mogła mu przepowiedzieć. Na nieznacznéj przestrzeni niższego zamczyska, wśród dwóch równoległych kół płytowych, odsłonionych z kolosalnego nasypu, odkrył pięć grobów prastarych, a z wnętrza tych grobów wydobył niezliczoną ilość przedmiotów ze złota i z innych kruszczów szlachetnych; krociowa jednak wartość złota niczém jest zaiste w porównaniu z wartością archeologiczną wyrobów, które, w połączeniu z innemi zabytkami, szczególnie ze zdobyczą ceramiczną, otworzyły światu naukowemu pogląd na osobną, dotychczas mało znaną, a raczej nieznaną wcale, kulturę dziejową.

Ledwo się Schliemann oderwał od robót ziemnych, zaraz zasiadł do stolika do pracy literackiéj i z podziwu godnym pośpiechem napisał swe dzieło o Mikenach, które znów pojawiło się niemal równocześnie w trzech językach: w niemieckim i angielskim w r. 1877, we francuzkim w r. 1878.

Publikacya ta oznacza już pewien postęp wobec prac dawniejszych. Za postęp wszakże uważać nie można, że Schliemann byłego premiera angielskiego, Gladstone'a, prosił o napisanie obszernej przedmowy. Jak we wszystkich pracach z zakresu Homerologii, tak samo i w téj przedmowie, ujawnił sędziwy polityk swój gorący kult wieszcza prastaréj Hellady i jego utworów; ale jak w innych pracach, tak i w téj, poszedł raczéj za wskazówkami fantazyi i uczucia, aniżeli rozumu; łatwowierność swą i pochopność do dziwnych kombinacyi posunął aż do ostatnich granic. Schliemann i Gladstone mieli wiele punktów stycznych. Iliadę uważali obaj za wielkie dzieło historyczne o wyprawie trojańskiej, a postacie, które tam występują, za postacie dziejowe. Krytykę osób i sławnych ich czynów obaj niemal na pierwszy plan wysuwali i dążyli przedewszystkiém do tego, aby wykazać zgodność zabytków t. zw. heroicznej epoki z obrazem kultury, jaki nam dają prastare epopeje helleńskie.

Rzecz więc zrozumiała, że Schliemann, po tak świetnych odkryciach w stolicach Pryama i Agamemnona, zapragnął uprzytomnić światu dwór Odysseja. Pośpieszył tedy już w r. 1878 na wiosnę do Itaki i odsłonił niektóre fundamenta, ale nie doszedł do rezultatów, któreby mogły jego samego zadowolić, a ogół olśnić i w zdumienie wprawić. Wrócił zatém jesienią do Troady, a po krótkiej przerwie zimowéj, daléj tamże pracował gorliwie od końca lutego 1874 r., tym razem w towarzystwie Rudolfa Virchowa, oraz Emila Burnoufa, którego Juliusz Ferry, ówczesny minister oświaty, wysłał dla studyów. Pomoc tych uczonych była pożyteczna. Virchow poczynił liczne spostrzeżenia geologiczne, meteorologiczne i botaniczne, oraz studya w zakresie etnologii. Burnoufowi zawdzięczamy dokładne zdjęcie planu ówczesnego stanu zamczyska. Plan tych kampanii, pod względem zabytków wydobytych, nie był obfity, ale t. zw. pałac Pryama całkowicie odsłoniono, odsłoniono znaczną część murów cytadeli, rozkopano czternaście tumuli, uważanych powszechnie za groby bohaterów, co pod Troją polegli: Ajasa, Patroklesa, Achillesa i t. d. W równinie trojańskiej grobowców tych jest dużo, najwięcej na samych wybrzeżach Hellespontu i morza Egejskiego. Schliemann nie znalazł w tych, które odkopał, ani kości, ani popiołów. Wątpliwą jest mimo to rzeczą, czy wszystkie tumule uznać mamy ze Schliemannem za groby puste, t. zw. „kenotaphoi," t. j. za pomniki, usypane na cześć zmarłych.

Wobec postępu poszukiwań i badań, dzieło o Troi z r. 1874 już było przestarzałe. Zebrawszy więc cały materyał, ogłosił Schliemann w r. 1880—w językach angielskim i niemieckim—nową publikacyę p. t. „Ilios". Obfitość materyału, dobre ryciny, wywody Virchowa, zwłaszcza entuzyastyczna jego przedmowa, wywarły wrażenie. Schliemann zyskiwał coraz więcéj zwolenników i uznania, zwłaszcza też w Niemczech.

Na zjeździe antropologów niemieckich w Berlinie, w Sierpniu 1880 r., byłem świadkiem niezwykłych owacyi, które świat naukowy i urzędowy składał niestrudzonemu badaczowi. Wkrótce potém Schliemann ofiarował berlińskiemu muzeum narodowemu („Völker-Museum") niemal cały zbiór trojański; tylko naczynia z terrakoty w dość znacznej liczbie zatrzymał i ustawił w swym pałacyku ateńskim. Mikeńskie skarby są własnością Królestwa greckiego; złożone w kilku salach ateńskiéj politechniki, stanowią bezsprzecznie jedno z najwspanialszych i najoryginalszych muzeów świata.

Po krótkich wyprawach do Orchomenos w latach 1880 i 1881, których zadaniem było odkopanie t. zw. skarbca Miniasa, powrócił Schliemann w marcu 1882 na wyżynę Hissarlik i oddał naczelne,

powiedzieć można, kierownictwo dr. Dörpfeldowi, a współudział Dörpfelda zapewnił wyprawie cechę naukową i wpłynął zbawiennie na dalsze poszukiwania trojańskie.

Ogłosiwszy sprawozdanie o ostatnich poszukiwaniach w dziele, „Troja“ zatytułowanem, Schliemann podążył w Lutym 1884 do Maratonu, aby odkopać rzekomy grobowiec bohaterów ateńskich z r. 490, a niebawem w Marcu przeniósł się znowu do Argolidy, na wyżynę tiryńską, gdzie pracował z Dörpfeldem do Czerwca; Dörpfeld sam kontynuował prace z polecenia Schliemanna i jego kosztem na wiosnę r. 1885. W końcu r. 1885 pojawiło się dzieło o Tirynsie („Tiryns, der prachistor. Palast d. Könige v Tiryns“), najlepsza ze wszystkich prac Schliemanna, która niemal w zupełności czyni zadość wymaganiom metodyki i krytyki. Jest to jednak tylko w części praca Schliemanna; na książkę złożyli się bowiem, prócz Schliemanna, kr. pruski tajny wyższy radca budowniczy, prof. Adler, dr. Fabricius i dr. Dörpfeld. Ten ostatni napisał główną część dzieła. Jego też trzeba uważać za głównego kierownika wykopalisk, w Tirynsie znalezionych. Doświadczenie, które zyskał przez pięcioletni czynny współudział w odkopaniu Olimpii, obok gruntownéj wiedzy w dziedzinie architektury i archeologii, czyniło go szczególnie sposobnym i uzdolnionym do spełnienia tak trudnego zadania, jakiém było odsłonienie pałacu tiryńskiego. Poszukiwania odbyły się ściśle według uznanych prawideł i potrzeb nauki, a świetne wyniki są chlubném świadectwem talentu, oględności i wiedzy obecnego pierwszego sekretarza niemieckiego instytutu archeologicznego w Atenach.

I w ostatnich latach swego życia Schliemann nie próżnował. Ruchliwość umysłu zwracała go w coraz to inne strony. Dwie zimy 1886 7 i 1887/8 spędził w Egipcie. Na wiosnę r. 1888 kopał na wyspie Cyterze; w tym samym roku w piaszczystém Pylos, siedzibie sędziwego Nestora, i na wyspie Stakteryi, gdzie odsłonił mury prastaréj cytadeli; a wreszcie w r. 1889 na wyspie Krecie, w mieście Knossos, gdzie odkrył szczątki dawnych budynków, a zamierzał czynić w przyszłości dalsze poszukiwania. W późnéj jesieni tego roku zabrał się znowu do pracy na wyżynie Hissarlik, prowadził tę robotę daléj na wiosnę roku przeszłego, a zamierzał jéj dokończyć w roku bieżącym. Dörpfeld dopomagał mu w pracy, a te badania stały się znowu bardzo głośnemi w skutek sporu, który wszczął ze Schliemannem i Dörpfeldem pruski pozasłużbowy kapitan, Böttticher. Powód do nieporozumienia nastręczyło, w części przynajmniéj, nie całkiem metodyczne kopanie w ciągu pierwszych ekspedycyi, nie dość dokładne notowanie wszystkich szczegółów, nieprzejrzystość plonów dawnych, a wreszcie nie ścisłe wyrażenia Schliemanna w pierwszych

zwłaszcza publikacyach. I tak pisał on dawniéj o licznych popielnicach (*Aschenurnen*), a rozumiał (jak zapewnia w liście do jednego z berlińskich uczonych) zwykłe naczynia. Schliemann musiał więc w ostatnich latach swego życia odpokutować dawne swoje winy. Bötticher usiłował obalić całą jego teoryę o zamczysku na wyżynie Hissarlik, o murach cytadeli i domowstwach, w jéj obrębie położonych. Zdaniem Böttichera: Hissarlik nie był pierwotnie żadną ludzką osadą, lecz nekropolią, w któréj palono ciała nieboszczyków i chowano popioły. Zawrzał tedy spór namiętny między przeciwnikami: Bötticher zarzucał Dörpfeldowi rozmyślne przeinaczenie planów, stwarzanie sztucznych obrazów przez usunięcie ścian i murów z powierzchni, bez zanotowania na planie, sztuczne zwłaszcza wytworzenie budynku, zwanego pałacem księcia. Schliemanna staraniem zwołano sąd rozjemczy w późnéj jesieni roku 1889. W obecności Böttichera mieli sprawę rozstrzygnąć: sławny architekt i archeolog wiedeński, G. Niemann, (autor głównéj części dzieła hr. Lanckorońskiego o *Pamfilii* i rycin, tamże zamieszczonych), i major pruski, Steffen, znany z wydania znakomitéj publikacyi „Karty Miken". Po dokładném zbadaniu stanu rzeczy, spisano protokół. Bötticher cofnął zarzut *malae fidei*, uczyniony Dörpfeldowi, ale nie uznał się za pokonanego. Tymczasem Niemann i Steffen uznali teoryą Böttichera za wręcz niemożliwą, a plan Dörpfelda za słuszny i prawdziwy, przekonywający jasno i dobitnie, że na wyżynie Hissarlik mieścił się w epoce t. zw. heroicznéj zamek średnich rozmiarów, opasany murem, obejmujący domowstwa obszerniejsze i mniejsze. Twierdzenia te w zupełności poparli uczeni, którzy w Marcu r. 1890 zjechali się razem w Troi na konferencyę, a byli między nimi nietylko Niemcy: Karol Humann, Rudolf Virchow, von Duhn, lecz także i obcy, jako to: Francuz Babin, Calvert, Waldstein z Aten i Hamidy, jeneralny dyrektor ces. muzeum w Konstantynopolu.

Spór tedy ukończył się tryumfem Schliemanna. Należało mu się słusznie zadosyćuczynienie. Bötticher był przeciwnikiem, którego można było lekceważyć; Schlieman i Dörpfeld zanadto uwzględniali jego zaczepki i insynuacye. Ale było rzeczą pożądaną, aby uczciwość i rzetelność obydwóch badaczów została zabezpieczona na przyszłość bliższą i dalszą, aby badania uzyskały grunt pewny.

Schliemann zwyciężył, bo prawdę wyżéj cenił, aniżeli własną dumę; nie wahał się przyznać do błędów, dawniéj popełnionych. Świat naukowy, który go ongi zdala trzymał od siebie, wyzwolił go następnie, obronił i zaliczył do swoich ozdób. Szczery też żal wzbudziła powszechnie wiadomość o zgonie Schliemanna. Zmarł on nagle w Neapolu w d. 26 Grudnia 1890 r. Przypadkowym świadkiem jego śmierci był Henryk Sienkiewicz.

Jakiż jest ostatecznie wynik Schliemannowskich trudów i odkryć? O ile wzbogaciły one topografię, historyę, archeologię grecką? Przenieśmy się najpierw do Troi.

III.

Według podania greckiego, Ilion zostało przez Achajów zburzone. Eneasz udał się pono na tułaczkę, aż wreszcie do Lacyum zawitał. Ale tradycya dawniejsza mówiła, że Eneasz i jego potomkowie daléj rządzili w Troadzie. Ziemia była żyzną, położenie kraju korzystne, ludności więc nigdy zapewne nie zabrakło. Schliemann wykazał, że i wyżyna Hissarlik zaledwie tylko w krótkich przerwach była całkiem opuszczona.

Z pisarzów najpierwsi Hellanik i Herodot wspominają greckie Ilion. Herodot opowiada, że Xerxes, przeprawiając się ze swojemi hufcami do Grecyi, na zamku Pryama złożył ilijskiéj Atenie wołów tysiąc w ofierze. Podobnie postąpił spartański admirał Mindaros, w czasie wojny peloponeskiéj; tak sobie też począł Aleksander W., gdy przeciw Persyi wyruszył, a co on zamierzał uczynić dobrego dla głośnéj, ale podupadłéj siedziby, którą wyniósł do znaczenia miasta, to Lizymach w kilkadziesiąt lat późniéj rzeczywiście wykonał: zgromadził ludność z okolicznych osad, rozszerzył granice miasta i murem je opasał. Wszyscy ci mężowie uważali więc miasto, które istniało za ich czasów na wyżynie Hissarlik, za spadkobiercę sławy miasta Homerowego—za to samo miasto.

Świetniejsze czasy rozpoczęły się dla Ilionu z nastaniem panowania rzymskiego. Kiedy w r. 191 przed nar. Chr. po raz pierwszy Rzymianie wstąpili na ziemię trojańską, z entuzyazmem witali domniemaną kolebkę swego rodu i jéj mieszkańców, a poeta Enniusz z uniesieniem opiewał te chwile braterskiego uścisku. Niebawem cała okolica sąsiednia została wcieloną do terytoryum ilijskiego. Wzmogło to dumę i pretensye Ilijczyków, ale wznieciło zazdrość u sąsiadów. Wystąpił pewien uczony komentator Homera, Demetryos ze Skepsis, z twierdzeniem, że Nowe Ilion niesłusznie rości prawa do tytułu stolicy Pryama. Przytaczał cały szereg argumentów; najważniejsze były te: że równina, rozciągająca się przed miastem, jest za mała, aby mogła być uważana za pole bitew wojsk trojańskiego i achajskiego; że równina ta powstała dopiero w późniejszych czasach przez ustąpienie morza i namuł, zniesiony przez rzekę Skamander; że znany z Iliady bieg Achillesa i Hektora nie mógł się odbyć wokoło Nowego Ilionu, gdyż nie jest ono położone na odosobnionym

pagórku, lecz na końcu wzgórza, połączonego z jednéj strony, t. j. południowej, z pasmem gór dalszych. Przenosił tedy Demetryos Homerową Troję do *wsi Ilijczyków* (Ilieon kome), odległéj 30 stadyów od Nowego Ilionu a dziesięć od pagórka Kallikolone. Demetryos znalazł zwolenników w nowszych czasach—wprawdzie nie wielu, co się tycze pozytywnego twierdzenia, gdyż topograficzne warunki wsi Ilijczyków zgoła nie odpowiadają opisowi Iliady,—wielu, co się tycze negatywnéj strony, że Nowe Ilion, czyli Hissarlik, to nie dawne Ilion Pryama. Argumenta Demetryosa są atoli kruche. Virchow badał równinę, a w jéj głębi nie znalazł ani śladu formacyi morskich; odległość Nowego Ilionu od morza określa pewien geograf z przed 2,000 lat, Skylex nazwiskiem, taką cyfrą, jaka i dzisiaj najzupełniéj się zgadza z rzeczywistością. Bieg zaś Hektora i Achillesa to jeden ze szczegółów takich, za które poety nie można czynić odpowiedzialnym. Zresztą Schliemann w ostatnich kampanich kopał w tém miejscu, gdzie się łączy wzgórze zamczyska z górami sąsiedniemi, i przekonał siebie i innych, że pomost ten był pierwotnie o 12 metrów niżéj położony, że nasyp tylowiekowy nie tylko podwyższył, ale i rozszerzył płaskowzgórze zamku Hissarlik.

W starożytności nikt się téż nie troszczył o zdanie Demetryosa. Rzymianie świadczyli nadal dobrodziejstwa sławnéj osadzie, mianowicie Sulla, kiedy Fimbryę pokonał. Juliusz Cezar nosił się pono z myślą przeniesienia stolicy państwa do Troi; ten sam zamiar przypisują i jego spadkobiercy, Augustowi, (i do tego pomysłu odnoszą się prawdopodobnie znane słowa Horacyusza w jednéj z najsławniejszych od politycznych: III, 3). Zwiedził téż Troję Owidyusz, a Nero w młodocianym wieku wygłosił, według Tacyta, na forum trojańskiém mowę grecką na cześć Ilijczyków. I późniejsi cesarze nie zaniedbywali Nowego Ilionu. Odwiedził je Hadryan. Caracalla urządził tu igrzyska przy grobie Achillesa i stos zapalił na cześć zmarłego właśnie (może otrutego?) przyjaciela, Festusa. Także Konstantyn Wielki tutaj, w krainie trojańskiéj, zamierzał podobno pierwotnie założyć nową stolicę państwa. Wszystkie te wiadomości (a możnaby jeszcze powiększyć ich liczbę, zwłaszcza z inskrypcyi i monet, wyszukanych na terytoryum Ilionu grecko-rzymskiego) świadczą dobitnie, że starożytność, z wyjątkiem Demetryosa i Strabona, powszechnie uznawała wyżynę Hissarlik za miejsce Homerowéj Troi. Ta zgodność poglądów nie jest sama przez się argumentem przekonywającym, ale mogła służyć za wskazówkę dla nowszych badaczów.

Studya w tym kierunku rozpoczęły się dość późno. W wiekach średnich nic nie słyszymy o trojańskiéj sprawie. Począwszy od wieku XVI zaglądali tu niekiedy turyści i miłośnicy starożytności,

ale żaden dłużéj nie zabawił, ani studyów nie poczynił. Dopiero przy końcu ubiegłego wieku, w latach 1785 i 1786, Francuz Lechevalier badał topograficznie krainę trojańską i złożył owoce swych poszukiwań w trzytomowém dziele, które aż trzech doczekało się wydań. Lechevalier stał się twórcą teoryi o Homerowém Ilion na Balidagh, powyżéj Burnabaszy.

W bliskości téj osady odszukał on rzekomo ciepłe i zimne źródło, zatém dwa źródła takie, jakie Homer wspomina u stóp Pryamowego miasta. Nie zawahał się tedy ani na chwilę nazwać Skamandrem Homerowym strumyka, który z téj okolicy wypływa (pod nazwą Bunarbaszy-Su) i kanałem jest odprowadzony do zatoki Beszyka; nędzne ruiny na wyżynie ochrzcił mianem Pergamos, czyli zamku miasta Ilionu; miasto zdaniem jego rozciągało się na terenie dzisiejszego Bunarbaszy.

Z wielkim entuzyazmem przyjęto wielostronnie doniesienia Lechevalier'a. Balidagh stało się głośném nazwiskiem. Entuzyazm jednak powinien był zniknąć, gdy się przekonano, że dwóch źródeł, których odkryciem Lechevalier się chwalił, niéma nigdzie w pobliżu Bunarbaszy. Jest tam źródeł 40, i wszystkie czterdzieści mają równą temperaturę. Mimo tego ciosu, teorya Lechevalier'a nie upadła. Poparł ją zwłaszcza Moltke, gdy napisał, że gdyby szukał obronnego miejsca, militarny instynkt poprowadziłby go na wzgórze Balidagh. Coby *dzisiaj* było stosownem i właściwém, niekoniecznie było odpowiedniem *przed lat tysiącami*. Także i Tiryns, i Orchomenos założono przed tysiącami lat na wzgórzach niskich i nie tuż przy morzu, lecz w nieznacznem oddaleniu, aby się zabezpieczyć przed piratami.

Z opisem Homera nie zgadza się Bunarbarszy pod żadnym względem. Zanadto jest oddalone od morza, a zatém i od obozu Greków i zanadto wysoko się wznosi po - nad płaszczyznę, a Homer mówi o Troi, że leżała w równinie! Nie łączy się téż ta wyżyna wprost z równiną, lecz stopniowo pagórkami zniża się ku równinie; nie mógłby więc Homer nigdy był powiedzieć, że walka aż do bram miasta dotarła. I źródła rzeki oddalone są całe pół mili; i bieg Hektora z Achillesem byłby zgoła niemożliwy, ponieważ strome brzegi wyżyny bądź łączą się z innemi, bądź znów przystępują bezpośrednio do Skamandru. Inne jeszcze momenta stanowczo uchylają teoryę Lechevalier'a. Najważniejszą zaś okolicznością jest wynik poszukiwań Halma i Schliemanna na wyżynie Balidagh: nasyp był tam bardzo nieznaczny, i nie znaleziono śladów przedhistorycznéj osady; mury cytadeli pochodzą dopiero z V lub IV wieku przed Chr. I na terenie dzisiejszego Bunarbaszy miasta nigdy być nie mogło; tam grunt nawet nie jest zrównany.

Zapewne Balidagh-Bunarbaszy to pozycya w całéj okolicy najsilniejsza; wyżyna położona jest, podobnie jak Miceny, w południowowschodnim kącie równiny, tam gdzie Skamander w równinę przechodzi; jak tu po lewym, tak też wprost na przeciwko po prawym brzegu rzeki, w Eski-Hissarlik, zbudowano niegdyś zameczek, aby obydwa dominowały nad drogą Skamandru.

Czy atoli Troja Homerowa była miejscem tak niedostępném? Troja była silna pierścieniem swych murów, ale nie stromemi skałami. Pryamos Iliady to nie despota, który poddanych swych uciska z wysoko położonego zamku. Mieszka patryarchalnie, otoczony synami i zięciami wśród ludu. Kiedy władza dynastów wzrosła i upewniła się w górskich zamkach, schodzili oni na dół do ludu.

Nawet w Iliadzie czytamy: „Najpierw Zeus spłodził Dardanosa, ten założył Dardanią, ponieważ święte Ilion nie było jeszcze w równinie zamieszkałe, lecz jeszcze mieszkali ludzie w przedgórzach Idy, w źródła obfitéj.

Trzeba więc Homerowego Ilionu szukać na innym punkcie—zatém niezawodnie tam, gdzie się znajdowało Novum Ilium, na wyżynie Hissarlik. Albo może nie mamy nawet prawa szukać Homerowego Ilionu, bo *takiego Ilionu nie było, bo jest ono fikcyą poety czy poetów?* Nasuwa się tedy pytanie, czy i jaka prawda tkwi w topograficznych opisach i wzmiankach Iliady, czy i o ile podania lub poeci zastosowali opowiedziane wydarzenia do pewnéj lokalności, czy też zmieniali sceneryą i szczegóły według upodobania, tak jak na scenie teatralnéj zmieniają kulisy.

Pytanie to zaprzątało bardzo żywo umysły. Przeważna liczba uczonych odpowiadała na nie mniéj więcéj tak, jak i ja odpowiedziałem przed laty blisko jedenastu w rozprawie, o *Homerze, Schliemannie i Mikenach* (w *Przegl. Polsk.*), że idealne jakieś Ilion jest przedmiotem Iliady.

Jest wielką zasługą Schliemanna, oraz tych, co mu pomagali, szczególnie Virchowa, że hypokrytycznym powątpiewaniom koniec położyli. Im więcéj rozpatrywano się w okolicy, tém wyraźniéj uwydatniała się wierność opisu terenu. Homer nazywa Idę obfitą w źródła, Ilion wietrznem, Skamander rwącym—zupełnie to zgodne z prawdą. W Iliadzie objawia się wcale dobra znajomość meteorologii, flory, fauny i innych właściwości kraju; 3,000 lat nie starczyło, aby zmianę sprowadzić. Chmury ciągną tą samą drogą, burze gromadzą się około tych samych wyżyn. Liczba zwierząt się zmieniła; wielbłąd i bażant przystąpiły do szeregu zwierząt domowych; ale miejscowe kategorye nie zmieniły się. Te same drzewa, krzewy i kwiaty rosną na wyżynach i nad Skamadru brzegami.

I mimo tylu zmian ludności, stosunki społeczne mniéj więcéj te same: rolnictwa mało, trzód wiele. „Można palić petroleum—temi słowy kończy Virchow szereg uwag, powyżéj streszczonych — a być Homerowym Trojańczykiem“.

Ale nie tylko w tych względach — w szczegółach także widać zgodność opisów Homera z rzeczywistością. Hissarlik odpowiada *najwięcéj i jedynie* tym topograficznym przypuszczeniom, do których nas uprawnia Iliada. Oddalenie wyżyny od Hellespontu wynosi tylko 6 kilometrów, a i według Homera nie wielką musiała być odległość, skoro posłańcy, wysłani z obozu, nad morzem położonego, wcześnie rano do miasta wracają, jeszcze przed wschodem słońca, a walka częstokroć się toczy na *całéj* przestrzeni *przez dzień cały*.

Homerowa Troja położona jest w równinie; także Hissarlik — zamczysko wznosi się w samym środku płaszczyzny, tylko nieznacznie, mniéj więcéj 40 metrów, po-nad powierzchnią morza; miasto właściwe rozciągało się na płaszczyźnie saméj. Z wyżyny téj sięga widok tak daleko, jak o tém mówi Iliada: w jednym kierunku ku zachodowi aż do wyspy Samothrake, i nawet daléj, aż do wzgórza Athos, w stronie południowo-wschodniéj—aż do Idy.

Obóz Greków umieszcza poeta nad morzem, obok ujścia Skamandru, między jedném a drugiém wzgórzem, t. j. między Cap Sigeion i Cap Rhoiteion. Skamander, wypływający z Idy, to główna rzeka równiny. Stanowi ona niejako granicę między trojańskiém a greckiém terytoryum w czasie walk dziesięcioletnich; jeżeli Grecy przez nią się przeprawią, Trojańczycy cofają się do miasta, i przeciwnie, za wielką korzyść i zwycięztwo poczytywali sobie Trojanie, że mogli z Hektorem na czele przenocować po nieprzyjacielskiéj stronie rzeki, na wyskoku równiny (throsmos pedioio). Skamander, to dzisiejszy Mendereh, który wpływa do morza tuż przy wzgórzu Sigeion. Tém samém nie odpowiada on warunkom, danym u Homera; przestrzeń między Cap Sigeion a Cap Rhoiteion mieści się po téj saméj stronie rzeki, po któréj się znajduje wyżyna Hissarlik.

Ale Virchow udowodnił, że Mendereh zmienił swoje koryto. Dawny bieg Skamandru przedstawia szerokie łożysko rzeki, zwane obecnie Kalifalli - Asmak, dzielące się niedaleko ujścia na dwa ramiona; ten dawny Skamander i bliżéj jest położony wyżyny Hissarlik, aniżeli dzisiejszy Mendereh, i przystaje, zwłaszcza w swém wschodniém ramieniu, jak najzupełniéj do obrazów bitew w Iliadzie. Jak w wielu okolicach, i w starożytności, i w wiekach średnich, tak też tu w Troadzie założono miasto na widłach, utworzonych przez dwie rzeki. Poniżej Hissarliku łączy się ze starym Skamandrem Dumbek-Su, czyli zapewne Homerowy Simoeis.

Barker Webb już dawno odkrył oba źródła rzeki Mendereh u stóp szczytu Gargaros, a Schliemann i Virchow stwierdzili, że różnią się one temperaturą; jedno miało 9° C.; drugie 15° C., przy temperaturze 14° C. powietrza. I poeta mówi na jedném miejscu, że Skamander z Idy pochodzi, ale owe dwa źródła, ciepłe i zimne, przenosi w XXII ks. Iliady w pobliże bramy skajskiéj i także źródłami Skamandru nazywa. Otóż w oddaleniu stóp trzystu od południowego podnóża zamku Schliemann i Dörpfeld znaleźli rzeczywiście kanał, sprowadzający wodę z trzech źródeł, a obok kanału doły do prania, które i poeta w wymienionym ustępie wspomina. Źródła te nie mają jednak żadnego związku ze Skamandrem.

Jest to więc szczegół jeszcze nie wyjaśniony; jest więcéj jeszcze wątpliwości, zwłaszcza co się tycze rzek, o których sprzeczne mieszczą się doniesienia w Iliadzie. Szczegóły niektóre Homerowych obrazów noszą nawet *wyraźne* piętno *fikcyjnego pochodzenia* Kiedy walka się toczy między obu wojskami, płaszczyzna jest równa i gładka, jak jaka arena: wozy posuwają się bez przeszkody, jak na drodze sztucznéj, ubitéj, i nigdzie o kamień nie zawadzą, ani w piasek nie zagrzęzną.

Innym razem płaszczyzna cała zapełnia się kamieniami; leżą tam takie bryły, że dwóch ludzi podnieśćby ich nie zdołało; Achajowie i Trojanie obrzucają się kamieniami. W innym zaś dniu Mydon, woźnica Pylaimenesa, spada z wozu i głową utyka w piasku. Adrastosa miał Menelaj wziąć żywego do niewoli; zaraz pojawił się na równinie jałowiec, o gałąź zawadziły konie spłoszone, dyszel złamały i pobiegły ku miastu, a Adrastos upadł na ziemię i dostał się w ręce przeciwnika. W innéj pieśni czytamy, że Trojanie w jednéj chwili zebrali na równinie drzewa podostatkiem, aby zapalić ogni tysiące.

Zmienia więc poeta kulisy według upodobania i potrzeby, dorabia szczegóły, przydatne w téj lub owéj chwili. Ale to jest jego prawo; bez téj swobody nie zdołałby stworzyć obrazu indywidualnego pełnego. Iliada nie miała być i nie jest dziełem jeneralnego sztabu króla Agamemnona — jest utworem poetycznym, i to utworem, który nie powstał ani w jednéj chwili, ani w głowie jednego człowieka. Jakkolwiek różnią się zdania uczonych o powstaniu i kompozycyi téj Iliady, którą posiadamy, to uważać można za pewnik, że się tworzyła przez wieki, a przedmiotem sporu być jeno może: czy i o ile pierwotne składniki rozpoznać można w dzisiejszym składzie. Mieszczą się w każdym razie w Iliadzie pieśni dawniejsze i późniejsze, ułożone i przerobione w różnych warunkach i czasach. Nic więc dziwnego, że jedne mają więcéj lokalnéj barwy, inne zaś mniéj jéj

posiadają, i że się znajdują pewne niedokładności i sprzeczności topograficzne. Są one nieco liczniejsze i znaczniejsze, aniżeli Virchow przyznaje. Nie jedną wszakże wątpliwość i niejasność usunęły odkrycia lat ostatnich; niektóre inne szczegóły wyjaśni nam może przyszłość—dalsze badania topograficzne i postęp umiejętnéj interpretacyi tekstu. W każdym razie już dzisiaj uznać musimy wierność opisów lokalnych Iliady, uznać musimy *więcéj, aniżeli tylko zarysy* obrazu krainy trojańskiej.

Iliada powstała z podań. Podania utworzyły się — w znacznéj części—w eolskiéj krainie, w bliższéj lub dalszéj okolicy Troi. Ale podania i zapewne nawet pieśni, na ich tle oparte, powędrowały daléj na południe, do Jonii, tam się rozwijały i tam ostatecznie zostały skrystalizowane. W podaniach tkwiło wiele prawdy lokalnéj; czy i poeci, przynajmniéj niektórzy, znali równinę trojańską? Nie jeden śpiewak jéj nie znał, który nucił na dworze książąt pieśń o tym, lub owym epizodzie wojennym, a mimo to trzymał się obrazu, który mu tradycya i dawniejsze pieśni przechowały. W Odyssei tkwi nierównie mniéj prawdy historycznéj i topograficznéj; fantazya przeinaczyła tu rzeczywistość nie do poznania. „Iliada — wyraził się pięknie pewien uczony—jest jakby kwiecistą murawą; wiernie i skromnie przyozdabia ziemię, na któréj wyrosła, naginając się do każdéj fałdy, do każdego wzniesienia i wklęśnięcia gruntu. Odyssea wydała rozkoszne gałązki i umiłowała zaciszne krzewy; liryka i dramatyka wypielęgnowała drzewa potężne.“

(Dokończenie nastąpi).

Ludwik Ćwikliński.

KRONIKA LONDYŃSKA.

Wypadkiem najdonioślejszym, nietylko w tutejszym, lecz w całym świecie umysłowym, jest bezwątpienia odnalezienie ogromnéj części pism Arystotelesa. Przed kilku tygodniami zarząd Brytańskiego Muzeum w Londynie ogłosił, iż jest w posiadaniu zwojów papirusowych, zawierających *prawdopodobnie* niemal całkowity tekst rozpraw wielkiego Macedończyka o konstytucyi Aten. Zwoje te otrzymał zarząd wraz z innemi z Egiptu, ale w jaki sposób, niewiadomo, i publiczność nie rychło pozna tajemnicę, z powodu coraz większych trudności nabywania podobnych skarbów. W czytelni muzealnéj krążą poszepty, że zwoje sprowadził znakomity egiptolog, p. Flinders Petrie, nieświadomy ich zawartości — i że dopiero jeden z uczonych kustoszów biblioteki rękopisów, p. Kenyon, odkrył treść papirusów przy ostrożném ich rozwijaniu. Oczywista rzecz, że mało kto uwierzył w autentyczność skarbu; domyślano się w zwojach pracy jakiegoś nowego Shapiry lub Simonidesa. Zarząd wystawił je na widok publiczny, zaprosił niezależnych ekspertów do zbadania papirusów, zlecił treść ich do osądzenia doświadczonym szkolarzom — wreszcie poruczył Kenyonowi ogłoszenie drukiem tekstu rozpraw. I otóż leży ta książka przed nami [1]). Zanim się w niej rozpatrzymy, słówko je-

[1]) „Aristotle on the Constitution of Athens“.—Edited by F. G. Kenyon, M. A., Fellow of Magdalen College, Oxford, Assistant in the Department of Manuscripts, British Museum“. (Sprzedaje się w Muzeum i u Longmansa.—1891).

szcze o zwojach. Jest ich dwa: jeden większy, mierzy 5 stóp i 4 cale długości, drugi—4 stopy i 4 cale; szerokość obydwóch blizko 11 cali, a mieszczą razem 19 wielkich łamów, czyli stronic. Czytelnik, obznajomiony z wyglądem papirusów, wie, że ich strona prawa jest o wiele równiejszą, jeżeli nie gładszą, od lewéj; pochodzi to ztąd, że przy sporządzaniu tego materyału piśmiennego układano włókna papirusowego drzewa *podłużnie* i jak najciaśniéj dla strony prawéj, a *pionowo* i mniéj starannie dla lewéj strony odwrotnéj. Starożytni pisali na pierwszéj, druga zostawała wolną. Otóż zwoje, o których mowa, zapisane są po obu stronach: prawa—tekstem Arystotelesowego dzieła, a lewa — rachunkami gospodarczemi jakiegoś egipskiego rolnika, czy zawiadowcy. Pewna część mniejszego zwoju jest uszkodzona na początku i na końcu, zresztą obydwa są barwy ciemno-brunatnéj, splamione... plamami starożytnemi.

Kenyon wywiązał się z zaszczytnego zadania bardzo szczęśliwie. W uczonéj przedmowie dał nam szczegółowy opis rękopisu, wyliczył powody, dla których możemy wierzyć w autentyczność cennego nabytku, i dodał analizę treści, wskazując główne punkta, gdzie treść ta albo prostuje, lub rozszerza poprzednią naszą znajomość dziejów konstytucyjnych Aten. W osobnych dopiskach znajdujemy nader pożyteczne wyjaśnienia i porównania nowych informacyi z już posiadanemi. Nakoniec, skromny i ostrożny redaktor zamyka przedmowę temi słowy:

„Wstępne te uwagi — to tylko pierwsze słowo w przedmiocie, w którym zdanie ostatnie nie może być wypowiedziane przed upływem długiego czasu. Całe to dzieło daje hasło do dyskusyi we wszystkich kierunkach, stawia kwestye, które rozstrzygnąć może jedynie zgoda opinii między szkolarzami całego świata. W wydaniu niniejszém, obok przekładu, największe znaczenie ma sam tekst — a użyto starań wszelkich, aby odtworzenie jego było pod każdym względem jak najwierniejszém“.

Kwestya autentyczności jest téż na razie najważniejszą. Rękopis, jak wiemy, jest niekompletny w początku, a uszkodzony w innem miejscu. Jednakże zawiera on 55 rozpraw z 58, których wyraźne tytuły wzmiankowali greccy pisarze pierwszych wieków ery chrześciańskiéj; zawiera także 23 fragmenty z 33, znanych tymże pisarzom, choć nie wymienionych po nazwisku w ich dziełach. Rozprawy te są naturalnie częścią wielkiego dzieła, zaginionego bez śladu; ważném więc jest i to, że dwa ustępy, znalezione przed kilku laty na kawałkach papirysowych w muzeum berlińskiém, są i tu powtórzone w tekście. Okoliczności te uzasadniają słuszność podejrzeń... i dlatego Kenyon zastrzega trafnie, iż „jedynie *zgodna* opinia

szkolarzy wszystkich krajów“ może rozstrzygnąć o autentyczności tekstu.

Daty rachunków na stronie odwrotnéj papirusów wskazują rok jedenasty, t. j. ostatni panowania Wespazyana (69 — 79 po Chr.); tekst rozpraw pisały przypuszczalnie *cztery* osoby... a jednakże pewne charakterystyczne skrócenia, jak niektóre litery, są zupełnie takie same, jak w owych raptularzach gospodarskich! Stawiając sobie przeto hypotezę nieautentyczności, spotykamy się z dwojaką alternatywą: albo cały rękopis, *recto* i *verso*, jest fałszerstwem współczesném, lub też raptularz jest autentycznym, a tekst rozpraw podrobionym. Decyzya jest tu niepodobną — dla profana. Cyceroński probierz *cui bono* nie da się tu zastosować, bo przypuszczalny fałszerz mógł się spodziewać bardzo lichéj tylko nagrody za pracę kolosalną... mógł żądać zapłaty za sam papirus jedynie, według jego wartości targowéj, kiedy ani kupiec zwojów, ani sprzedawca, nie mieli pojęcia o ich zawartości w chwili sprzedaży. Tak-by nie postąpił fałszerz literacki — inaczéj działali Simonides i Shapira. Sprzedawali oni za cenę najwyższą to, czego zawartość i znaczenie sami byli ogłosili przed tranzakcyą kupiecką. Chybaby więc przypuszczalny fałszerz rozpraw ateńskich miał na celu... olbrzymi żart literacki, wyśmianie Brytańskiego Muzeum, lub zakładu, któryby był nabył zwoje i niemi zajmował najpierwsze głowy uczone! Jeżeli jednak tak uczeni i umiejętni fałszerze, jak Simonides i Shapira, nie zdołali oszukać tutejszego Muzeum, to trudno przypuścić, iżby zarząd nie zdołał rozróżnić między rękopisem, sfałszowanym za dni naszych, a pismem, datującém się prawdopodobnie z końca I wieku! między papirusem istotnie starożytnym i świeżo odgrzebanym, noszącym wszelkie ślady długiego i nieprzerwanego spoczynku, a papirusem, któryby musiał być zwijany i rozwijany, zapisany wreszcie w ciągu lat ostatnich!

Dając wiarę autentyczności rękopisu, obecność w nim tylu fragmentów, omawianych przez starożytnych pisarzy, dowodzi, iż zawiera on istotnie tekst niezupełny i nieco uszkodzony rozpraw, które Arystoteles napisał niewątpliwie o konstytucyi ateńskiéj. Nie wynika ztąd, że tekst jest dziełem samego Arystotelesa. Następujący ustęp z przedmowy Kenyona musi nam pod tym względem wystarczyć:

„Możemy przeto uwierzyć, iż mamy tu owe dzieło, znane w starożytnych czasach i cytowane, jako ἡ τῶν Ἀθηναίων Πολιτεία. Czy ono jest w saméj rzeczy utworem Arystotelesa — to inna kwestya; lecz następne fakta są jasne, o ile dotyczą niniejszych rozpraw: Πολιτεῖαι, z których ta sekcya była najważniejszą, znajdują się w spisie dzieł Arystotelesa, danym przez Dyogenesa z Laërty, Hezychiusza i (według przekładu arabskiego) Ptolemeusza. Prawdą jest, że Walentyn Rose,

wielki znawca pism Arystotelesa, nie jemu przypisuje autorstwo dzieł onych, lecz mniéj znakomitym członkom szkoły perypatetycznéj; jednakże skrajną tę opinię i nieprawdopodobną odrzucają Heitz *(Die verlorenen Schriften des Aristoteles, 1865)*, Grote i wszyscy niemal krytycy. Być może, iż wkradły się do spisów *niektóre* rozprawy podrobione, lecz niéma powodu do odrzucenia *wszystkich* — a właśnie Πολιτεῖαι zajmują pozycyę najsilniejszą. Sama ich treść dowodzi, że musiały być napisane przed r. 307 przed Chr., gdyż autor, pisząc o Atenach sobie współczesnych, mówi zawsze o 10 kastach — kiedy liczbę tę powiększono, właśnie w owym roku, do 12. Z drugiéj strony autor wspomina przypadkowo rok 329 przed Chr., w rozdziale 53, a opowiadając o dwóch świętych łodziach *(triremes)* w rozdz. 60, używa imienia *Ammonias*, zamiast *Salaminia*. Zmianę tę uczyniono z pewnością za panowania Aleksandra, który się głosił synem Ammona i któremu schlebiano ofiarami w egipskiéj świątyni Ammona. Dzieło to napisano więc, lub co najmniéj poprawiono, najwcześniéj w ciągu ostatnich siedmiu lat życia Arystotelesa, najpóźniéj w pierwszych 15 latach po jego zgonie (322 przed Chr.). Wiadomo nam, że Tymeusz (cytowany przez Polibiusza), który żył w połowie III wieku przed Chr., napomykał o tém dziele, jako Arystotelesowém. Styl téż znajdujemy tu taki sam, z jakim oswoiły nas inne pisma wielkiego mędrca".

Wywody te — powie czytelnik — nie usuwają wcale podejrzenia, iż dzieło sfabrykowali szkolarze dawnego Egiptu, znani z podobnych zajęć. Ale i w tym razie mielibyśmy dziś pracę, którą wszyscy pisarze cytujący ją—Plutarch, Polluks, Harpokracyon, Focyusz i inni— uważali za pracę Arystotelesa. Styl znowu, pomimo twierdzenia Kenyona, uderza nas, jako daleko swobodniejszy i jaśniejszy, aniżeli styl innych dzieł perypatetyka. Jeżeli Cycero przypisywał mu złocisty potok wymowy — *flumen orationis aureum* — i niepojętą słodycz .. (*dicendi incredibili quadam quam copia tam etiam suavitate*), to w rozprawach niniejszych, wyznać trzeba, spotykamy się po raz pierwszy z temi wdziękami. Nie znajdujemy tu już, jak np. w „Analitykach", tak skonkretowanych wyrażeń technicznych, jak ἐντελέχεια—ani nic w guście owego τό τί ἦν εἶναι... które tak zaciekawiło pewnego szkolarza w erze Odrodzenia (Hermolausza Barbara), że aż dyabła przywołał, by się dowiedzieć znaczenia!...

Starałem się podać w głównych zarysach, jakie trudności mają do rozwiązania szkolarze, chcący uspokoić swoje i nasze sumienia w kwestyi autentyczności zwojów, rękopisu i jego treści. Spieszę zapoznać czytelnika z samemi rozprawami.

Dzielą się one na dwie części: W pierwszéj Arystoteles, czy ktoś inny, daje nam pobieżny rys dziejów konstytucyjnych Aten od czasów najdawniejszych aż do przywrócenia ateńskiéj demokracyi za archontatu Eukleida, po owym peryodzie rewolucyjnym, jaki nastąpił z rozbiciem morskiéj hegemonii Aten pod Syrakuzą. W miejscu, gdzie czytanie staje się możliwém, tekst kończy opowiadanie o spisku Cylona. Druga część zawiera szczegółowy opis różnych urzędowych korporacyi i osobistości, jakie istniały za życia samegoż pisarza. Dużo tu jeszcze brakuje, co jednakże znamy choć ułamkowo z innych pism Arystotelesa; lecz to, co jest, jest bardzo ciekawe. Dowiadujemy się np. że— kiedy pod demokracyą ateńską rozdawano prawie wszystkie urzędy publiczne skutkiem *losowania*, wolne *wybory* ustanawiały: wszystkich dowódców armii i niższych oficerów, zawiadowców komisaryatu wojennego, zawiadowców publicznego funduszu, opłacającego wstęp biednych do teatru i zarządcy publicznéj dostawy wody. Trzéj ostatni urzędnicy byli obierani z roku na rok, w ciągu uroczystości panateńskiéj. Podobną przezorność wzorową widzimy w systemie publicznéj dobroczynności, według którego wspierano ubogich i niezdatnych do pracy, w ochronach gminnych i nawet we własnych mieszkaniach nędzarzy... Również doskonałe są przepisy, regulujące targi i jarmarki, inspekcyę miar i wag — prawa przeciwko fałszowaniu towarów i żywności, przeciwko nieczystościom na ulicach i niezdrowotności domów.. obok mnóstwa innych, wskazujących, jak piecza ogólna szła *pari passu* ze swobodą prywatną.

Po-za temi opisami, rozprawy rzucają dużo światła na właściwe dzieje konstytucyjne Aten. Pisane są sucho, zwięźle — bez wszelkiéj malowniczości, bez jednéj anegdoty; o Alcybiadesie wzmianki niéma. Perykles ukazuje się tu tylko jako mąż stanu, który osobistym wpływem i politycznym talentem rozwinął system demokratyczny i naprawił jego błędy. Mniéj wybitnym tu jest Temistokles od Arystydesa, który, choć należący do przeciwnego stronnictwa, przygotował byt drogę Efialtesowi. Sylweta istotnego założyciela ateńskiéj racyi stanu, Solona, jest wspaniała, wzbogacona licznemi wyjątkami z jego politycznych poematów, znanych nam wprawdzie z dotychczasowych urywków, lecz tutaj ułatwiających poznanie jego charakteru i zamiarów. O poprzedniku Solona, Drakonie, również nowe sobie tworzymy pojęcie; uważaliśmy go dotychczas więcéj za reformatora jurystyki, aniżeli za odnowiciela całoskładu stanowego — widzieliśmy w nim regestratora praw i regulaminów obyczajowych, który zjednał sobie niezasłużoną sławę surowego dyktatora... w czasach większéj twardości kruąbrnych karków. Jako prawodawca, Drakon spisał prawa i uporządkował; jako polityk, miał na celu złagodzenie antagonizmu

między bogatymi i ubogimi — antagonizmu, grożącego rozprzężeniem społecznem — i w téj myśli przypuścił do *nominalnego* udziału w rządzie wszystkich obywateli, zdolnych władać bronią, bez względu na ich ród i stanowisko. Ztąd początek wzięła *Ecclesia*. Jednakże przekonał się Drakon z czasem, że na nieszczęsne warunki *ekonomiczne* niéma reformy; to téż autor rozprawy dodaje od siebie z cyniczną niemal otwartością: Ἐπὶ δὲ τοῖς σώμασιν ἦσαν δεδεμένοι καὶ ἡ χώρα ὀλίγων ἦν. Przesilenie ekonomiczne, któremu Drakon zaradzić nie potrafił, sprowadziło słynną Seisachteię Solona, a po niéj inne reformy. Autor pisze: „Głównie trzy znamiona są w konstytucyi Solona: pierwszém i największém jest zakaz udzielania pożyczki za rękojmią osobistą; drugiém, danie przystępu do trybunałów wszystkim pokrzywdzonym; trzeciém (doniosłém w swych skutkach), prawo odwołania się od wyroku sędziów do najwyższego dykasteryum.

Ciekawém jest także, co Arystoteles opowiada o spisku Harmodyusza i Arystogitona, który-to spisek przywiódł rządy Pizystratydów do zasłużonego końca. Dość szczegółowe relacye Tucydydesa znajdują tu swe sprostowania. Harmodyusz zginął w zamieszce; o towarzyszu jego wiedzieliśmy z Tucydydesa, że „załatwiono się z nim dość surowo“. Dowiadujemy się teraz, że Arystogitona poddano mękom, w ciągu których zeznał dużo i rzucił fałszywe oskarżenia na wielu przyjaciół Hippiasza, by tym sposobem zelżyć ich i zbezcześcić wobec ludu. „Lecz — pisze Arystoteles — kiedy to wszystko nie wystarczyło tym, którzy go męczyli i nic sprowadziło jeszcze jego śmierci (natychmiastowéj), obiecał wyjawić nazwiska wielu innych i dlatego skłonił Hippiasza do podania sobie ręki na znak dobréj wiary; wtedy, gdy rękę uchwycił, począł łżyć tyrana, iż dał rękę zabójcy swego brata; czém tak go rozgniewał, że Hippiasz nie mógł wstrzymać swéj wściekłości i, dobywszy miecza, własnoręcznie przebił Arystogitona“.

Trudno nam zajść daléj w przegląd niniejszych rozpraw, w Kronice, przeznaczonéj nie dla samych tylko badaczy starożytności. „Nauki o konstytucyjnych dziejach Aten—pisze Kenyon—kończą się ze schyłkiem V stulecia. Arystoteles streszcza je w spisie 11 epok; jeżeli więc pomyślimy, że dziesięć z owych zmian wymienionych zaszło w przeciągu tylko 200 lat, utwierdzimy się w przekonaniu, że, jak żaden naród nie posiadał nigdy tak świetnych pisarzy filozoficznych, z takiemi zdolnościami do politycznych teoryi, tak téż żaden naród nie był mniéj bezsilny, kiedy należało zamienić teorye w trwałą politykę praktyczną“. Bezwątpienia, jest to jedną stroną obrazu. Gdyby nie było nic więcéj, to odkrycie rozprawy, nieznanéj światu od lat 1200, nie wiele-by wywołało entuzyazmu, i nie miałoby istotnego

pożytku. Lecz w ciągu owych lat 200 dzielność mniéj okrzesanéj Sparty pobiła na głowę barbarzyńców, idąc ręka w rękę z wykwintnemi Atenami; Eschylos i Sofokles, Eurypides i Arystofanes obdarzyli świat wiekopomnemi arcydziełami attyckiéj sceny; Fidyasz i Praksyteles nadali marmurom greckim wdzięki bezskaźne i dotychczas niedorównane; Sokrates wyłożył owe trudności sporne, dotyczące wiedzy i ciemnoty, stanowiące o tém co *fas* i co *nefas*, które dla wielu ludzi i społeczeństw są po dziś dzień początkami wiedzy filozoficznéj, jeśli już nie etycznéj. To są korzenie wiecznotrwałego wpływu kultury ateńskiéj na umysłowość i na twórczość ludzkości. Ponieważ one zamrzéć i zaginąć nie mogą bez fatalnych skutków w umysłowém życiu świata współczesnego, przeto znalezienie opowieści o nich słusznie uważać należy za wypadek najdonioślejszéj wagi w umysłowych dziejach Europy.

W ciągu ostatniéj wystawy paryskiéj nawet Francuzi raczyli otworzyć oczy na wielki rozwój istotnéj sztuki malarstwa w Anglii. Nie o nim tu jednakże chciałem pisać, bo czas będzie po temu, gdy się rozpocznie majowa wędrówka po londyńskich wystawach obrazów. Dzisiaj postaram się zaznaczyć postęp, jaki tu uczyniono—w muzyce. Wystawiono mu nawet, jakby dla zachęty, przepyszny pomnik... w niedawno otwartym, nowym i pierwszym w Anglii, gmachu „Królewskiéj opery angielskiéj“. O samym pałacu donosiły już dzienniki, dlatego nie podejmę się opisać szczegółowo jego architektury; dość powiedzieć, że zbudowany jest z uwzględnieniem bezpieczeństwa publicznego, bo, cały z cegieł i marmurów, wznosi się w zupełném odosobnieniu od sąsiednich budynków; że, mimo wielkiéj zbytkowności ozdób zewnętrznych i urządzeń wewnętrznych, nie grzeszy pospolitą pretensyonalnością; że same jego marmury kosztowały blizko 30,000 f. st., a gmach cały—250.000. Zbudował go kosztem własnym p. D'Oyly Carte, szeroko znany dyrektor trupy, która do niedawna posiadała monopol śpiewania i przedstawiania operetkowych utworów Gilberta i Sullivana. Lat blisko dwadzieścia trwała spółka finansowa Carte'a z najdowcipniejszym librecistą i... z najpopularniejszym kompozytorem angielskim; w czasie tym odegrano, głównie w teatrze Savoy, wielką liczbę fars muzyczno-dramatycznych, a z nich niektóre, jak „Korsarze z Penzance“, „Gondolierzy“, „Gwardziści“, a zwłaszcza „Mikado“, rozniosły sławę autorów po całym świecie. Dyrektor zrobił w Savoy kolosalny majątek, Sullivan otrzymał tytuł „baroneta“ i razem z Gilbertem ściągał olbrzymie sumy funtów, bo, jak się okazało niedawno

w sądach, każdy z nich pobierał rocznie z kasy teatru około 15,000 f. st. Widocznie jednak prawdą jest, że „jedzącemu przybywa apetytu“,— bo w połowie zeszłego roku Gilbert wydał proces Carte'owi o niedość skrupulatne dotrzymywanie finansowéj części kontraktu; wygrawszy, poróżnił się z nim oczywiście, w końcu zerwał długoletnią spółkę. Kompozytor nie poszedł śladem kolegi, owszem — w nowym gmachu opery dyryguje własnym utworem.

Nie omylę się może, twierdząc, że „Królewska opera angielska“ jest pierwszym owocem zabiegów, systematycznéj pracy i dotychczasowych rezultatów „Królewskiego Kolegium muzycznego“, powstałego przed 9 laty z inicyatywy rodziny monarszéj. Chciała Anglia wytworzyć sobie własną, narodową akademię śpiewu i muzyki—dziś mamy zawyrokować, czy jéj się to udało? Opera napisaną jest przez Anglika, znanego dotychczas z kompozycyi lekkich, niezmiernie lubianych i całkiem bezpretensyonalnych; część orkiestralną wykonywają Anglicy; Angielki i Anglicy tylko spiewają na scenie, a wszyscy, z nieznacznemi wyjątkami, kształcili głosy swe pod egidą Królewskiego Kolegium. Nakoniec, teatr daje pomieszczenie blisko 3,000 gości i między tymi jedynie znaleźć można cudzoziemców. Mniéj więc tu chodzi o sąd angielski, a daleko więcéj o bezstronną opinię reszty świata. Będąc cząsteczką téj reszty, powiem i ja swoje zdanie... o ile zdołam.

Dramatycznym tematem opery jest przepiękny romans Waltera Scotta „Ivanhoe“. Wybór przeto jest szczęśliwy. Utwór ten nęcił zawsze kompozytorów muzycznych, bo, obok malowniczości kostiumów, obok atmosfery rycerskości i swobodnego życia leśnego, posiada dużo sytuacyi dramatycznych. Prócz kilku poprzednich kantat angielskich, na tym opartych temacie, znaną jest opera Marschnera, poniekąd klasyczna na niemieckiéj scenie. Walter Scott wspomina w swym „Dyaryuszu“ o Ivanhoem, kompozycyi Paciniego, przedstawionym w Paryżu w r. 1826: „Poprzekręcali—pisze—moją opowieść, zrobili z niéj cudackie *absurdum*, wprowadzili dyalogi niedorzeczne“. Takich błędów nie popełnił librecista najnowszego dzieła, Julian Sturgis, owszem pozostał skrupulatnie wiernym, nietylko w przeniesieniu na scenę biegu wypadków oryginalnéj powieści, lecz nawet w zachowaniu staréj gwary anglo-normandzkiéj. Całość utworu składa się z trzech aktów, a każdy z nich—z trzech odsłon. Chwalić tu należy, iż uniknięto wszelkiéj zbytkowności scenicznéj, którąby nie harmonizowała z prostotą średniowiecznego życia i obyczajów.

Bez uwertury, po krótkim wstępie orkiestralnym, podnosi się zasłona i ukazuje nam scenę bardzo malowniczą—wieczerzy w Rotherwood, w ciągu któréj zapoznajemy się z głównemi osobistościami dra-

matu. Te są znane czytelnikowi. W marszu, towarzyszącym pochodowi saksońskich i normandzkich rycerzy, kompozycya przypomniała nam odrazu styl Wagnerowski, lecz na chwilę tylko: śpiew Templaryusza jest już z początku nieco patetyczny, jak gdyby Sullivanowi chodziło o najrychlejsze wyróżnienie bohatera. Pieśń toastowa Cedryka z chórem rycerstwa imponuje świeżością i umiejętną prostotą; to samo da się powiedzieć o śpiewie „na dobranoc“, kończącym tę scenę. Templaryusz odchodzi, wezwany przez jedną z dziewic Roweny.

Drugą scenę otwiera śpiew Roweny „do księżyca“, pełen miękkiego wdzięku i znowu... prostoty w kompozycyi, której towarzyszy orkiestracya zawiła a przepyszna, posługująca się nadto pięciu harfami. Duet Roweny z Templaryuszem, bardzo melodyjny i łatwo dla ucha pochwytny, nie zaciera jednakże silnego wrażenia, jakie na słuchaczy wywarła poezya pieśni księżycowéj. Akt kończy się hałaśliwym i zbyt tłumnym turniejem: wśród dźwięków i śpiewów marsowych, zraniony Templaryusz pada u stóp Roweny—Rebeka wybiegła z rzeszy widzów, chcąc nieść pomoc rycerzowi. Więcéj efektownym dla oka, lecz mniéj wstrząsającym estetykę słuchu, jest akt drugi, ze wspaniałym krajobrazem dziewiczych lasów północnéj strefy. Lecz akcya dramatyczna, sama w sobie bardzo ożywiona, komiczna w scenie między Ryszardem Lwie-Serce i mnichem, mało daje sposobności do popisu kompozytorskiego. Wyjątek stanowi spotkanie się Templaryusza z Rebeką i wielki ich duet. Ten ostatni sprawił głębokie wrażenie i zapewnił Sullivanowi sławę poważnego kompozytora. A jednakże, zdaniem najwybredniejszych krytyków, perłą utworu jest *solo* Rebeki, poprzedzające ten duet, będące modlitwą pięknéj żydówki... Śpiew to namiętny, gorąco zakoloryzowany odrębnym tonem, hebrajskim, spotęgowanym przez słownictwo synagogi. Jeżeli o pieśni księżycowéj pierwszego aktu można powiedzieć, że bez mała wszystką swą poezyę zawdzięcza smyczkom i harfom, to modlitwę wypada zaliczyć do oryginalnych arcydzieł szczególniejszego natchnienia. Począwszy od cichego *tremolo*, przechodząc całą gamę niezmiernie dramatycznych *appasionato* i znów schodząc do skupionego tempa modlitewnéj rezygnacyi, drżącego pysznie wschodnim fatalizmem, w całéj téj kreacyi podziwiać należy harmonię, jaka uplastycznia tekst libreciśty i zarazem charakter rozkochanéj, rozpaczającéj, religijnéj dziewicy hebrajskiéj. Kiedy w trzecim akcie Rebeka wyznaje swe uczucia Templaryuszowi, *solo* jéj razi słabością po téj modlitwie. Zdaje się téż, iż Sullivan ześrodkował swą pracę nad sceną drugiego aktu, bo w ostatnim nie słyszymy już ustępów znakomitszych. Hymn templaryuszów *Tremuere principes*, przy akompaniamencie organowym, jest bezwątpienia efektowny, poważny, nawet majestatyczny,

ale w kompozycyi jego wyraźną jest jakaś nierówność pomysłu, jeżeli nie przesada. Zresztą i w tym akcie tragiczna katastrofa spada zbyt pospiesznie, by mogła dać miejsce dłuższym chwilom.

Jakkolwiekbądź, powinszować należy sztuce narodowéj dzieła, które ma niewątpliwie bardzo wybitne, jeśli nie klasyczne, znaczenie i wartość. Miss Macintyre w roli Rebeki odniosła prawdziwy tryumf nad niepośledniemi trudnościami; Eugeniusz Oudin, znakomity baryton, był świetnym templaryuszem w roli Briana. Davier, jako Ivanhoe, zawiódł nadzieje Królewskiego Kolegium... I otóż właśnie pierwsza ta próba w nowym teatrze D'Oyly Carte'a dowiodła — kto wie, czy nie stanowczo—że, choćby Anglia mogła chlubić się pierwszorzędnemi siłami kompozytorskiemi, to jeszcze wykonanie oper na scenie swéj będzie musiała powierzać zagranicznym śpiewakom tak długo, dopóki w klimacie swym będzie miała najzaciętszego wroga. Carte zamierza utrzymywać operę otwartą przez cały rok; w takim razie, jeżeli chce osiągnąć dla sztuki narodowéj jaką taką sławę, artystki jego i artyści nie powinni bawić w kraju dłużéj nad trzy miesiące—letnie; innemi słowy: zamożny dyrektor powinienby zwiększyć ogromnie liczbę swych gwiazd i bohaterów.

Nakoniec słówko jeszcze o tutejszych słuchaczach muzyki. Krytyków nie brak—i to krytyków, uprawnionych wszechstronnie do spełniania téj roli; ale są to krytycy z zawodu, nietrudniący się niczém po-za muzycznemi studyami, objeżdżający stolice Europy, kształcący się bezustannie i zapatrzeni w sztandarowe wzory. Są więc oni prawie zawsze sędziami, którzy wyrok swój dają odnośnie do jakiegoś przeciętnego idealnego wzoru. Krytycy angielscy przerastają miarę angielskiéj potrzeby. W wysokiéj sferze towarzyskiéj jest tu bardzo wielu *znawców* muzyki, którzy również czynią porównania między rezultatami pracy domowéj i zagranicznéj. Nie przeczę téż, że w téj saméj sferze dużo jest lubowników muzyki ze smakiem wyrobionym i wykwintnym. Ale nie na nich liczy Carte, ani Sullivan, bo nie wypełniłyby te osoby dziesiątéj części miejsc w wielkim gmachu. Więc cóż o reszcie słuchaczy? Reszta Anglików i Angielek lubi muzykę namiętnie. W żadnym kraju europejskim nie śpiewa się tyle po domach, nigdzie śpiew nie jest w tym, co tu, stopniu towarzyską potrzebą i zabawą, a fortepian jest tu meblem, którego nieobecność w najskromniejszym saloniku jest *wielką* rzadkością. Śpiewają panienki i dawne mężatki; śpiewają chłopcy i poważni tatusiowie; naukę gry na fortepianie zaprowadzono nawet—w bezpłatnych szkołach ludowych. (Listopad 1890).

Wo man singt, da lass dich nieder:
Böse Menschen haben keine Lieder.

Czy wiersz Goethego znajduje tu potwierdzenie swego aksyomatu, to inna kwestya. Spostrzegam atoli od lat wielu, że Anglicy dbają daleko mniéj o muzykę, jako o *sztukę*, a bezporównania więcéj, jako o przyjemną *rozrywkę*. W szczegółowy rozbiór powodów tego rysu nie wdam się na tém miejscu, lecz wystarczy zaznaczyć, że grubo materyalistyczna strona charakteru i ciągła a praktyczna pracowitość każą Anglikowi szukać wrażeń łatwo pochwytnych, niewymagających natężenia umysłu. Jeden z nich powiedział mi, że na koncerta chodzi rzadko, bo— *the music there is too clever for me*... „muzyka dla niego zbyt tam jest uczona“. Drugi parsknął śmiechem tuż obok mnie przed zgonem ofiary Fausta, mówiąc: „no, proszę! jak jéj się chce śpiewać o takiéj porze... nie rozumiem! opera, to wielkie głupstwo!“ Obydwaj ci moi znajomi są wykształceni i, z pewnością, *gentlemen*. A jednakże, powie czytelnik, teatr Covent Garden jest przepełniony, ilekroć śpiewają tam włosi i francuzi; sale koncertowe nie mają wolnego miejsca na miesiąc przed występem najsłynniejszego artysty europejskiego... Oczywiście! bo nasamprzód, jedna jest Patti, jeden Jan Reszke i jeden Paderewski – jeden Covent Garden i jedna halla St. James's na pięć milionów mieszkańców Londynu; powtóre, choć Anglik nie rozumie ani muzyki, ani libretta—lubi muzykę, rozkoszuje się w widowiskach; a zresztą... śpieszą obaczyć panie i panów, którzy potrafią zarobić sporą moc funtów sterlingów gardłem lub palcami, o których piszą gazety, których sobie wydzierają dwa światy, którzy więc robią świetne interesa — *do a splendid business!*

Zadowolniwszy potrzebę, próżność i ciekawość, słuchacze pana Soria i... pani Klamżyńskiéj śpieszą tłumnie do teatru Savoy, gdzie „Mikado“ odegrano 1,267 razy z rzędu, lub do Princess's, gdzie „Dorota“ śpiewała blizko tysiąc wieczorów bez jednéj zmiany programu. Repertuar tych i tuzina innych teatrów, dających codzień muzyczne farsy i melodramata angielskie, stanowi ogromną ponętę dla ludzi, którzy po całodziennéj pracy chcą, by ich zabawiono. Anglicy lubią muzykę łatwą, melodye pochwytne, chcą rozumieć, „o co tam chodzi“, uśmiać się, lub wreszcie i popłakać nad wypadkami swojskiemi. Tém się tłómaczy kolosalna pomyślność teatrów z angielską operetą; w tém usposobieniu leży wyjaśnienie, dlaczego t. z. *music-halls* płacą swym akcyonaryuszom od 15 — 30% półrocznéj dywidendy. Tak zwane „halle muzyczne“ nie mają równych sobie instytucyi w Europie; w Paryżu istnieją najwięcéj do nich podobne Eden i Folies Bergère, ale między niemi a tutejszą Alhambrą Empire, Pawilonem i wielu innemi, różnica jest mniéj więcéj taka sama, jaka zachodzi między wiedeńskim „tingel-tanglem“ a medyolańską La Scala...

Podobnie, jak angielscy kompozytorowie, licząc się ze smakiem i upodobaniem najszerszych kół, tworzą muzykę łatwo pochwytną w rodzaju opery „Ivanhoe“, tak samo powieściopisarze tutejsi klecą swe dzieła dla... najrozleglejszego targu.

Powieść analityczna, górująca dziś w belletrystyce stałego lądu, nie istnieje prawie wcale w Anglii. Czytelników jest tu omal nie tyle, ile głów ludności; a dla nich należy pisać w ten sposób, by *he who runs may read:* idący i biegnący mógł czytać. Anglik szuka w powieści zupełnie tego samego, czego szuka dziecko w opowiadaniu dziadunia, lub niańki — zaciekawienia się wypadkami, opisami, przygodami. Nie lubi *studyować* płodów wyobraźni, kocha się namiętnie w ściganiu plastycznych obrazów. Dlatego też tak głęboko myślący powieściopisarz, jak Jerzy Meredith, wyższy o całe niebo od całéj dzisiejszéj plejady autorów angielskich, czytelników znajduje drobną garstkę, w ograniczonéj sferze. Za to miss Braddon, któréj dzieła można czytać, śpiąc lub układając budżet państwowy, nie jest zdolna zaspokoić głodu bezustannéj ciekawości milionów! Krytyka narodowa wskazała wprawdzie i wskazuje codzień, że mistrzami są: Meredith, Crawford, Lang, panie Oliphant, Vernon Lee, Lyall i „Lucas Malet“, ale wydawcy dowodzą jasno i namacalnie, że *business prospers*, że najlepszym interesem jest pani Braddon, a po niéj: Walter Besant i Rider Haggard, Payne i Trollope, lub panie Broughton, „Rita“, Worboise i wreszcie „Ouida“, jeżeli nie pisze zbyt śmiało lub kwaśno.

Potężny wpływ na rodzaj belletrystyki wywierają w Anglii, od wysp Orkadzkich do Kalkutty, dwie firmy handlowe prywatne: wypożyczalnia książek pp. Mudie i komisowa spółka pp. W. H. Smith. Ta ostatnia rozpościera się wszędzie, gdzie zachodzą siecie brytańskich kolei żelaznych; w samym Londynie, gdzie jest blisko 400 dworców, pp. Smith zasilają całą ludność podróżującą, mając na każdéj stacyi kompletną bibliotekę najświeższych dzienników i najnowszych książek. Po-za Londynem niéma takiéj stacyi, choćby najskromniejszéj, w Anglii, Szkocyii, Irlandyi i na wyspach przyległych, któraby nie miała biblioteki Smithów. Spółka posiada nadto monopol sprzedaży gazet i książek na wszystkich kolejach indyjskich, w południowéj Afryce, w Nowéj Zelandyi, a częściowo w Kanadzie i w Egipcie.

Londyńska największa i najstarsza wypożyczalnia książek „Mudie's Circulating Library“ ma swe gałęzie absolutnie wszędzie, gdzie znajduje dostateczną liczbę Anglików. W kraju rzadko kto *kupuje* pisma peryodyczne, powieści i dzieła lżejszéj treści, bo niéma takiego zakątka, gdzieby nie korzystano z natychmiastowéj uczynności panów Mudie. W Paryżu, Kairze, w Konstantynopolu i Pekinie,

w Monte Carlo i Wisbadenie, jeżeli niéma Smitha, to Mudie jest z pewnością.

Więc (jak wiem, *niestety*, z własnego doświadczenia), najpierwszém pytaniem, jakie sobie stawia wydawca, gdy się namyśla nad rękopisem powieści, jest: *Czy* Smith i Mudie kupią rzecz taką i *ile* wezmą egzemplarzy? Od decyzyi tych spółek zależy los dzieła i jego autora... Znają one smak publiczności, wiedzą czém jéj dogodzić; z drugiéj strony, niezmiernie dbałe o swą reputacyę, licząc się z sumieniem brytańskiéj matrony, tak jak się liczą z narodową monomanią ciągłego czytania, spólki te wiedzą, jakie dzieła albo nie znalazłyby pokupu, albo zraziłyby abonentów. Daremnie szukać na dworcach Mereditha i Crawforda obok stosów pism panny Braddon i Besanta; Mudie w Donegalu i w Bombayu dostarczy natychmiast Ebersa, większość dzieł Dumas'a, Feuillet'a i Cherbuliez'a, lecz Mudie w Londynie obraża się, gdy kto zażąda, nie mówię już Zoli i Maupassant'a, ale nawet „Coeur d'une femme" Burget'a.

Krzywdę-by mi wyrządził, ktoby ze zdań powyższych „zrozumiał i zakonkludował", że nie należę do lubowników przeciętnéj powieści angielskiéj. Owszem, cenię jéj zalety, te mianowicie, że po jéj przeczytaniu nie czuję niesmaku do świata i ludzi, nie wątpię o przydatności pracy nad sobą i dokoła siebie i nie potrzebuję filozofować nad problematem, który w życiu codziennem nie istnieje ani dla policyi, ani dla religii. Chodzi mi jednakże o nowość, jeśli nie pomysłu, to sposobu obrobienia go i przedstawienia, a téj nie znajduję w 62 trzytomowych powieściach pani Braddon, któréj pierwsze dzieło („Tajemnica lady Audley") ukazało się w r. 1852, a ostatnie, tegoroczne, ma tytuł „Jedno życie i miłość jedna". Wszystkie te utwory razem wzięte posiadają bardzo ograniczoną liczbę charakterów i sytuacyi. Przeczytałem je wszystkie i dziś cała ta literatura jest dla mnie 10-groszowym kalejdoskopem: potrzebuję tylko potrząsnąć... pamięcią, a widzę natychmiast zawsze te same barwy, figury i wzory, łamiące się systematycznie w „nowe" koncepty. Zasób pani Braddon jest następujący: ma przedewszystkiém zawsze pod ręką zastawę serwską do herbaty i wonne aromaty prawdziwéj Pekoe; daléj, najwyżéj dwa krajobrazy angielskie, słodziutką bohaterkę, brzydkiego i najszlachetniejszego bohatera, przepięknego łotra, niezaradną matkę, pobłażliwego ojczulka i.. tuzin sensacyjnych zbrodni: fałszerstw, samobójstw i mordów. Od sposobu, jakim autorka zmiesza te wszystkie ingredyencye i jak niemi... potrzęsie, zależy układ i wygląd powieści. A do takiéj już wprawy doszła miss Braddon, że ostatniemi czasy nie było roku, w którymby nie wydała na świat przynajmniéj dwóch trzytomowych, prócz drobniejszych powieści. Słuszność każe dodać,

że utwory te są zawsze „bardzo moralne“, że pp. Smith i Mudie nabywają je pełnemi wagonami i że „miss Braddon“ jest małżonką wydawcy, księgarza i drukarza, Johna Maxwella...

Autorowie, którzy wyczerpali już do dna braddońskie natchnienia, poszli od niedawna szukać nowych tematów w indo-buddyjskich teoryach istnienia. Rider Haggard do spółki z Andrzejem Langiem dał przykład („Pragnienie świata“, 1890)—i znalazł naśladowców. Z tych najmłodszym i może najszczęśliwszym jest 25-letni Edwin Lester Arnold, zamieszkały w Japonii. Powieść jego ukazała się temi dniami p. t. „Fenicyanin Phra i jego dziwne przygody“ [1]), a wstęp do niéj napisał ojciec autora, sir Edwin Arnold, autor „Świateł Azyi“, poematu o życiu i naukach Buddy, wreszcie redaktor tutejszego „Daily Telegraph“. Sir Edwin zapewnia, że powieść jego syna wyda się całkiem „naturalną“ ludziom, żyjącym i obcującym z buddystami. Mniemam, że, ściśle mówiąc, cudowne przygody Phry nie wiele mają wspólnego z nauką Karmy, lecz są raczéj wysnuciem możliwych wniosków z opowiadań indyjskich fakirów i czarodziejów o nadzwyczajnych uśpieniach i letargach. Od pierwszego ukazania się w charakterze żeglującego Fenicyanina, aż do ostatniego występu w roli dworaka angielskiéj Elżbiety, Phra nie umiera nigdy. Jego zgony są jedynie tajemniczemi zaśnięciami, trwającemi po lat trzysta, w ciągu których ciało jego nie podlega rozkładowi. Z końcem każdego snu Phra budzi się, przeciera oczy, jak gdyby po jednéj nocy, i rozgląda się dokoła, zdumiony nowém otoczeniem, nieznanymi ludźmi i nowym porządkiem rzeczy, kiedy on zachował w pełni młodzieńczą piękność i siłę. Życie, w ten sposób przedłużane, służy autorowi do pokazania seryi obrazów ze wzrostu i rozwoju narodu angielskiego.

Zapoznajemy się z bohaterem, kiedy, jako wędrowny kupiec, staje się niewolnikiem, ukochanym przez jakąś uroczą królowę druidów. Dziewica ta pozostaje do końca opiekuńczym geniuszem młodzieńca, ułatwiającym mu... miłosne spotkania z innemi dziewicami, jakie odziedziczyły jéj życie lub choć piękność. Phra, zostawszy małżonkiem Bloedweny, walczy przeciwko rzymskim w Brytanii legionom; pewnego dnia poniósł wielką porażkę, z któréj skorzystał współzawodnik jego przy królowéj i ofiarował go bogom na druidowym głazie obiaty. Ale Phra życia nie utracił — zasnął tylko na lat 300. Po tym wypoczynku został ulubieńcem pewnéj Rzymianki, o tyle nadobnéj, o ile okrutnéj, jednéj z ostatnich, jakie wyczerpywały cierpliwość Brytańczyków rozpasanym uciskiem. Phra walczy teraz, jako czystéj krwi

[1]) „The Wonderful Adventures of Phra, the Phoenician“, by E. L. Arnold. 3 tomy. (London, Chatto and Windus).

Rzymianin, przeciwko rozbójniczym Wikingom i strwożonym krajowcom, a potém zasypia, by się obudzić w zaciszu pustelnika, w przededniu walnéj bitwy pod Hastings. Broniąc tym razem sprawy tuziemców, różne przechodzi koleje, ucieka z niewoli w towarzystwie pięknéj Edyty (znów przetworzonéj Bloedweny), używa kilku lat spokojnych, jako *thane*, naczelnik saksoński, aż zmuszony jest szukać ukrycia przed pogonią stronników zdobywcy. Phra uchodzi do świątyni, gdzie jest bezpieczny — i zasypia.

Zasypianie poczyna nudzić nas. Autor więc wywołuje śmiech serdeczny, opisując, jak, po upływie trzech stuleci, opat jakiś ucztuje zbyt nierozsądnie z zakonną bracią i jak biesiadników przeraża... wstający z grobu *święty*, za którego wzięto Phrę i otaczano czcią odpowiednią nieuszkodzone jego ciało! I znów Fenicyanin walczy, tym razem we Francyi, w towarzystwie kochanki, służącéj mu za giermka; doświadcza przygód szarpiących nerwy, kruszy kopię pod Crécy i wraca do Anglii... ale na to tylko, by zasnąć pod jakimś głazem druidowym. Budzi się za dni królowéj Elżbiety i w tym peryodzie opuszcza nakoniec ziemię, na któréj jadł, pił, bił, kochał i spał całych lat 1,600.

Gdybyż choć... *myślał* w życiu swojém! Niepodobna przecież, by człowiek tak nadzwyczajny, patrząc na upadek tylu ludów i tylu religijnych systemów, nie zastanawiał się czasem nad cudownemi zmianami w świecie, nie porównywał, nie sławił, nie krytykował. Z tym wszakże brakiem, Phra może zająć żywo ciekawość starych i młodych, bo zdumiewające jego przygody zachodzą w czasach i krajach, opisanych z rzadką wiernością, znajomością rzeczy i z niemałym talentem.

Pisząca pod pseudonimem „Łukasza Maleta“, jest autorką „Zapłaty grzechu“ [1]), a powieść tę wydała zapewne nakładem własnym, bo utworu nie widać na dworcach i niéma go *at Mudie's*. A jednakże Ł. Malet zajmuje bardzo zaszczytne miejsce między angielskimi pisarzami, wśród których zajaśniał przed dwoma laty, napisawszy „Dzieje innego życia“. Lecz tym razem umaczał pióro w zakazanym atramencie i stał się niemożliwym dla brytańskiéj matrony. Opowiedział bolesne życie artysty-malarza, który zbałamucił był niegdyś istotę niekoniecznie wzorowego charakteru, późniéj doszedł do szczytu sławy i ambicyi i... zakochał się w idealnie pięknéj i dobréj dziewczynie. Ale odszukała go uwiedziona przed laty Jenny i stała się upiorem jego życia. Fabuła jest nie nowa, ale na jéj temacie przedstawiła autorka sporo obrazów dramatycznych, nie wychodząc ani na krok

[1]) „The Wages of Sin“. By Lucas Malet. 3 tomy. (Swan Sonnenschein).

po-za obręb realizmu i konsekwencyi. Charakter malarza Colthursta, lojalny, prawy dziś i poważny, zabiera całą sympatyę czytelnika, śledzącego analizę męczarni rozkochanego poety, patrzącego na zgliszcza swych marzeń i upojeń. Widocznie jednak chciała autorka pogodzić sztukę z brytańską matroną, bo koniec powieści jest o tyle sprzecznym z zakreślonym planem, o ile konwencyonalnym. Kiedy Jenny sama odkryła swe dzieje Maryi Crookenden... cóż miało nastąpić? Moralność staje na przeszkodzie małżeńskiemu związkowi uwodziciela Joanny z Maryą, tak samo, jak uniemożebnia samobójstwo Colthursta, na któreby skazał go pisarz francuski. Angielka ratuje się, wydając na śmierć *przypadkową* biedną, lecz strasznie niewygodną, Jenny. Wybieg tak pospolity szpeci i psuje całość utworu, wypracowanego z wysokim artyzmem.

„Miss Gerard", żona dobrze znanego i wysokiego oficera armii austryckiéj, napisała do spółki z siostrą długie i smutne dzieje panienki, która, przecierpiawszy złe obchodzenie się z nią krewnych i opiekunów, pomimo, lub może gwoli nieśmiałości charakteru, tamowanego bezustannie w popędach szlachetniejszych, staje się w życiu późniejszém bohaterką zaparcia i poświęceń. Kto czyta powieść téj saméj autorki, „Rechę", drukowaną obecnie w jedném z pism naszych w doskonałym przekładzie pani K., ten nie znajdzie w „Czułku" [1]) ani konstrukcyjnego talentu, ani tych głębokich spostrzeżeń, w jakie obfituje rzecz, niemal fotografowana w Galicyi, powiedzmy otwarcie: w Przemyślu...

William Black, pisarz zdumiewająco płodny, czerpiący wytrwale natchnienia swe ze szkockich obyczajów, wydał trzytomową powieść, noszącą tytuł: „Trzymaj się dzielnie, Craig-Royston!" [2]) Obok żywiołu sensacyjnego dzieło zawiera mnóstwo wiernych i ciekawych obrazów z życia sfer ludowych i magnackich północnéj Szkocyi. Prześliczne są opisy przyrody.

Zresztą bardzo znane i lubiane tu pióra spisały stosy powieści, zawsze 3-tomowych. Czytamy je przy kominku, bo nic nas nie kosztują, chyba trochę cierpliwości. Nomenklatura tych dzieł przeróżnéj wyobraźni niepotrzebnie zajęłaby tu miejsce.

---

[1]) „A Sensitive Plant". By E. and D. Gerard. 3 tomy. (Kegan Paul).
[2]) „Stand Fast, Craig-Royston!" By W. Black. (Sampson Low).

EDMUND S. NAGANOWSKI.

Próba naprawy Rzeczypospolitéj

za Jana Kazimierza.

I.

Owocem ruchu polityczno-religijnego w Polsce XVI wieku było ustalenie parlamentarnéj monarchii, opartéj na wolnym i po staremu uprzywilejowanym kościele. Zbudowano zewnętrzne ściany do pomieszczenia wielkiéj machiny państwowéj i obrano siłę, która miała nią poruszać, ale nie dokonano odpowiedniego przekształcenia konstrukcyi wewnętrznéj: nie uregulowano wzajemnego stosunku motorów i nie ustawiono ich na właściwych miejscach, nie zapewniono im stałego i miarowego dopływu siły ożywczéj i części składowych nie przystosowano do siebie należycie. Z trzech głównych fundamentów prawidłowéj budowy państwa: skarbowości, wojskowości i sądownictwa, tylko ostatni doczekał się w XVI wieku istotnéj i gruntownéj naprawy, a to za Stefana Batorego, przez ustanowienie niezawisłych od króla i peryodycznie czynnych trybunałów, koronnego i litewskiego. Projekty reform wojskowych i skarbowych, podnoszone wielokrotnie na sejmach w pierwszém dwudziestoleciu rządów Zygmunta Starego, upadły ostatecznie już w r. 1531. Reformiści sejmowi z czasów Zygmunta Augusta, z Mikołajem Siennickim na czele, byli wprawdzie gotowi przyczynić się do wzmocnienia władzy królewskiéj, ale ustępstwo to czynili zawisłém od przyjęcia całego swego programatu, na

którego czele stawiali żądanie reformy religijnéj przez samoistny kościół narodowy. Z usunięciem tego zasadniczego projektu, w niższych sferach szlacheckich niezbyt popularnego i pozbawionego poparcia korony, runął i cały program reformistów, nie obfity zresztą bynajmniéj w myśli nowe, nie wskazujący prawie żadnych środków ulepszenia rządu, a więc do politycznego przeobrażenia państwa nie prowadzący.

Pozostawiona saméj sobie latorośl młodego parlamentaryzmu szlacheckiego wybujała szybko na podatnéj glebie pierwszych sejmów elekcyjnych, i wkrótce, bo już u wstępu do XVII wieku, wydała niepoczesny plon cierpkich owoców — w rokoszu Zebrzydowskiego. Nieoświecony tłum szlachty zrywa się za przewodem kilku demagogów do zbrojnego przeprowadzenia swoich pretensyi. Ruchowi temu brak jednak idei przewodniéj i jednolitego programu: w artykułach rokoszowych nie masz żadnéj głębszéj politycznéj myśli, co więcéj, niéma już i świadomości, w czém złe publiczne leży i jak mu najlepiéj zapobiédz. Dążenie do rozszerzenia wolności i przywilejów szlacheckich kosztem prerogatyw korony wzmaga się z każdym następującym sejmem elekcyjnym. Zasada bezwzględnéj wszechwładzy sejmu, pozbawiająca monarchę wszelkiéj inicyatywy politycznéj, przechodzi za ostatnich Wazów w nietykalną doktrynę, strzeżoną przez szlachtę z zazdrosném zaślepieniem. Władysław IV powiada w r. 1642 z goryczą, że trzy są maksymy szlacheckiéj Rzeczypospolitéj: 1) ograniczać powagę króla, ile możności, jak najwięcéj, 2) umniejszać w tenże sam sposób jego dochody dla własnéj korzyści, 3) nie dopuszczać do żadnéj sposobności, któraby mu podawała broń w rękę [1]).

Czasy Jana Kazimierza, to okres, w którym powyższe maksymy odnoszą stanowcze zwycięstwo. U przełomu dwóch połów wieku przeważa anarchia na sejmie z r. 1652 pod hasłem: „Liberum veto“, podniesioném przez Sicińskiego, nie pierwszy raz podówczas, jakto dowodnie wykazano, bo już i przedtém nieraz mniejszość posłów tamo-

[1]) Archiwum watykańskie: Nunziat. di Polonia, vol. 51. Depesza cyfr. nunc. Maryusza Filonardiego, arcyb. Awinionu: „Di Varsavia, li 2 di Maggio 1642“. Warto poznać odnośny charakterystyczny ustęp relacyi z komentarzami nuncyusza: . . . . . „hora devo solo aggiungere, che se fosse quì ò venisse mai alcuno ministro di sì poca conscienza, che volesse eccitare scisma tra il Rè e gli ordini del Regno, vi perderia affatto l' opera e le parole, essèndo tanto diversi i fini dell' uno dall'altri, che non può esser maggiore. Il primo, da chi io l' intesi, fù S. Maestà istessa, che mi disse tre massime principali del Regno . . . .“ (tu następuje ich wyliczenie w tych słowach, jakie podajemy w tekście pracy, a potém uwaga nuncyusza): „Qual cocetto di S. Maestà *viene continuamente comprovato dell' esperienza quotidiana*, quale ancora mostra non curarsi gl' ordini sudetti, che il loro Rè sia poco stimato fuor del Regno“.

wała i przecinała obrady sejmowe, ale po raz pierwszy z taką łatwością i z takiém powodzeniem. Jeszcze krok jeden — i samowola jednostki nadużyje tegoż samego hasła dla osłonienia swojéj prywaty i wypisze je na sztandarze wojny domowéj. Rokosz Lubomirskiego można nazwać krwawym tryumfem fałszywych praw fundamentalnych Rzeczypospolitéj.

Z postępem anarchii zanika stopniowo świadomość chorobliwego stanu Rzeczypospolitéj i ustępuje coraz więcéj miejsca ślepemu uwielbieniu stosunków polskich, chełpliwéj wierze w ich doskonałość i nieodzowność. Duch reformatorski schodzi za Stefanem Batorym na długie lata do grobu. Niéma śladu w znanych źródłach, aby na którym sejmie pierwszéj połowy XVII wieku wniesiono jakikolwiek projekt naprawy Rzeczypospolitéj. Nawoływanie do opamiętania się, do pracy przebudowczéj, ratunkowéj, słabieje równomiernie w literaturze politycznéj: zrazu świadoma nowych dróg, na jakie naród sprowadzićby należało, zaczyna ona z czasem zbaczać na manowce, po których rozbiegło się społeczeństwo, traci stopniowo własność dobrego drogowskazu, zachowując tylko poczucie, że się zbłąkało i że wybłąkać się niezbędnie potrzeba, ale już bez jasnego i zupełnego pojęcia, jak się do tego zabierać,—a wreszcie daje się porwać powszechnemu prądowi, zaczyna hołdować ulubionym mrzonkom szlacheckim i nawet posuwa się do ich apoteozy.

Pisarze polityczni XVI wieku, zwłaszcza Modrzewski i Górnicki, okazują w swych dziełach jasne widzenie ułomności Rzeczypospolitéj, głębokie zrozumienie jéj potrzeb, i domagają się wielostronnych reform, zwłaszcza w zakresie skarbowości i wojskowości. Pierwszy pragnie zaprowadzenia powszechnego opodatkowania, ustalenia wojska, zabezpieczenia granic ukraińnych, zebrania praw i t. d.; drugi stawia między innemi żądaniami i to najbardziéj doniosłe, ażeby sejm był nieustający i aby poparcie większości zapewniało prawomocność jego uchwałom.

Literatura polityczna pierwszéj połowy XVII wieku zachowuje jeszcze charakter reformacyjny; ale w jéj chórze góruje żałosny ton zawodzeń i wyrzekań na upadek społeczeństwa moralny i polityczny nad spokojnym i rozważnym głosem doradczym i nauczającym. Starowolski wykłada w swojém „Votum“ i w „Reformacyi obyczajów“ wcale rozumny program naprawy Rzeczypospolitéj, ale niezupełny i chromający przez to, że nie masz w nim już wyraźnego potępienia zasady jednomyślności w uchwałach sejmowych, od któréj usunięcia wypadało koniecznie rozpocząć dzieło reformy. Inne ważniejsze pisemka owego okresu, jak „Votum szlachcica polskiego“ z r. 1606, lub „Sposób rządu koronnego“ Chabielskiego, zajmują się, pierwsze prze-

ważnie sprawą ulepszenia skarbowości, drugie — wojskowości. W jedynéj „Rozmowie plebana z ziemianinem“, niewielkiéj książeczce, wydanéj bezimiennie w r. 1641, znajdujemy postawione dwa zasadnicze postulaty reformistyczne, mianowicie: 1) żądanie wzmocnienia władzy królewskiéj, 2) zaprowadzenia regulaminu obrad sejmowych i ograniczenia zasady jednomyślności. Cenny ten traktacik polityczny jest jednak zjawiskiem, prawie całkiem odosobnionem, bo echa we współczesnéj, ani późniejszéj literaturze swego stulecia, nie znalazł.

Ciche słowo skromnego myśliciela zagłuszyć musiał w trzeciéj ćwierci XVII wieku donośny głos Andrzeja Maksymiliana Fredry, fanatycznego wielbiciela konstytucyi i wogóle stosunków polskich, przekonanego wyznawcy i chwalcy teoryi „Liberum veto“ i filozoficznego obrońcy złotych wolności szlacheckich. Najważniejsze dzieło Fredry: „Scriptorum seu togae et belli notationum fragmenta“ przypada czasem powstania i wydania na środek piętnastolecia, które otwiera rok 1652, z sejmem, zerwanym przez Sicińskiego, a zamyka rokosz Lubomirskiego. Duch wypadków politycznych schodzi się z duchem politycznéj literatury tak dokładnie, jak nigdy przedtém: wyrazem obydwu — apoteoza anarchii [1]).

A jednak właśnie w tym okresie największego wybujania bezrządu zachodzi wypadek jeden niezwyczajnéj doniosłości, który zdaje się przeczyć sam sobą i duchowi czasu, i duchowi literatury. Mamy na myśli fakt, dotychczas historyografii naszéj nieznany, ale któremu świadczą wiarogodne źródła: że w samym prawie pośrodku rządów Jana Kazimierza wyłania się raz jeszcze projekt naprawy Rzeczypospolitéj, żądający wzmocnienia władzy królewskiéj i uznania zasady głosowania przez większość, że, co więcéj, projekt ten staje się przedmiotem propozycyi i obrad sejmowych, że nawet znajduje poparcie w całém stronnictwie senatorów za przewodem królowéj, i schodzi z porządku dziennego nie potępiony, ani wykluczony, lecz tylko odroczony skutkiem zręcznéj intrygi posła austryackiego, Lisoli.

Jaki jest związek tego faktu z wieloma innemi we współczesności, jaki jego stosunek do tego zasadniczego kierunku myśli i czynów, któryśmy określili powyżéj w najogólniejszych zarysach i objęli nazwą „ducha czasu“, jakie wreszcie znaczenie téj jedynéj na cały wiek XVII próby reformy Rzeczypospolitéj, wniesionéj na sejmie, — nad tém wszystkiém zastanowimy się później. Mając do czynienia z faktem nowym, musimy rozpocząć od opowiedzenia jego przebiegu.

---

[1]) Co do liter. polit. XVII wieku por. krótki, ale wyborny referat prof. Stanisława Tarnowskiego p. t. „Stan i charakter liter polit. XVII w.“, w „Pamiętniku drug. Zjazdu histor. polskich“.

II.

Gwałtowny najazd Szwedów z r. 1655 spadł na Rzeczpospolitą gromem, i podobnie, jak grom, podziałał: nie zabił wprawdzie, ale sprowadził na szlachtę oślepienie i głuchotę. Działanie było jednak tylko doczesne: nie minęło pół roku, a nastąpiło ocucenie. Zaczęło się ono konfederacyą tyszowiecką. Świeży prąd rozbudzonego patryotyzmu rozpływał się szybko po ziemiach polskich i ogarniał coraz większe masy narodu. Entuzyazm dosięgnął szczytu, gdy Jan Kazimierz, dając posłuch wezwaniu Lubomirskiego, opuścił w Styczniu r. 1656 Opole, i na Żywiec, Duklę i Łańcut zjechał do Lwowa. Po powrocie króla do ojczystéj ziemi udzieliło się i jemu powszechne uniesienie: wyrazem tego była znana, podniosła scena ślubowania we lwowskim katedralnym kościele (z 1 Kwietnia r. 1656). Oddając siebie i Rzeczpospolitą pod opiekę Matki Bożéj, zakończył Jan Kazimierz następującemi słowy:

„Widząc jasno, z wielkim serca mego bólem, że z przyczyny znękania i uciemiężenia ludzi wieśniaczego stanu, Syn Twój, jako sędzia sprawiedliwy, zsyłał na nas w tém siedmioleciu ciosy zarazy, wojen i innych nieszczęść, przyrzekam nadto i ślubuję, że po zawarciu pokoju wraz ze wszystkiemi stanami wszelkich środków użyję, aby lud królestwa mego od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków uwolniony został. Ty, najmiłościwsza Królowo, któraś mnie myślą tego ślubu natchnęła, racz wyprosić u swego Syna łaskę, do jego wypełnienia potrzebną!“ [1])

Przedsiębiorąc wytłómaczyć sobie ten akt niezwykły i wyjaśnić go na tle równoczesnych wydarzeń, zrozumiemy bez trudności, że rozpamiętanie wszystkich ciosów, jakie spadły na Rzeczpospolitą w latach 1648 — 1655 i dotknęły przedewszystkiém najniższą klasę społeczeństwa, z jednéj strony, a z drugiéj wzgląd na budzący się w téjże klasie patryotyzm, który się objawił właśnie pod koniec r. 1655 w ruchu górali za przewodem Lubomirskiego, mogły ożywić w królu i w jego otoczeniu gorące współczucie dla uciemiężonego ludu i poczucie, że trzeba dolę jego polepszyć. Ale zarazem narzuca się cały szereg wątpliwości i zapytań. Czy podobna, aby Jan Kazimierz i je-

[1]) Ustęp pow. przytocz. wedle najbardziéj autentycznego tekstu, ogłosz. przez Rykaczewskiego w „Relac. nunc. Apost.“, t. II, str. 296 — 297 („Ex litteris Nissa, de d. 18 Aprilis a 1656, Romam“). Por. także w „Kochow. Ann. Polon. Clim.“ II, str. 103—108.

go doradcy w tym okresie krwią zbroczonego rozbratu między panami a ludem, który występował nieraz na jaw w sposób jaskrawy podczas wojen kozackich, mogli się łudzić nadzieją, że szlachta zechce być wyrozumiałą na niedolę i potrzeby innéj klasy, niższéj i niewolniczo sobie poddanéj, ta szlachta, która nie miała już dosyć rozumu, dosyć dobréj woli i dosyć siły nad sobą, aby kosztem wyrzeczenia się zakorzenionych przesądów i problematycznych „wolności“ podnieść dobrobyt własny przez związany z nim dobrobyt Rzeczypospolitéj? I czy król mógł przypuszczać choć na chwilę, żeby w tych stosunkach anarchicznych, w jakich Rzeczpospolitą widział od młodości, za rządów ojca i brata, i przedewszystkiém za panowania własnego, tak głęboko sięgająca reforma (bo zmierzająca do przekształcenia społecznego ustroju) miała jakie widoki poparcia i urzeczywistnienia? Czy nie widział jasno tego, co spostrzegło przed nim tylu, że całą usilność poprawczéj pracy trzeba było zwrócić na szlachtę samą: podeprzéć przedewszystkiém i wzmocnić ściany starego budynku Rzeczypospolitéj, aby nie runęły przed czasem i nie pozbawiły kąta domowego budowniczych - reformatorów, zanim zdołają wyprowadzić pod dach nowy gmach ojczyzny, na innych oparty fundamentach?

Jest rzeczą dla nas oczywistą, że jedyna droga do wszelkiéj reformy musiała prowadzić przez sejm, jako ciało prawodawcze. Ciało to toczyła choroba anarchii; trzeba było tę chorobę usunąć. A więc trzeba było ograniczyć samowolę jednostek, potępić zasadę zawisłości decyzyi sejmowych od jednomyślności posłów, czyli „Liberum veto“, a uznać natomiast i wprowadzić w praktykę zasadę prawomocności uchwał, popartych przez większość. Nad wykonaniem postanowień sejmowych ma czuwać rząd; rząd ten był we wszystkich prawie członkach skrępowany i przez pół ubezwładniony. Trzeba było więc, po drugie, wzmocnić władzę rządu, a przedewszystkiém samego króla. Na te dwie zasadnicze konieczności, stanowiące „conditiones, sine quibus non“ wszelkich innych reform, wskazywał, jak wiemy, już bystry autor „Rozmowy plebana z ziemianinem“ z roku 1641.

Otóż, dzięki szczupłym, ale ważnym świadectwom historycznym, możemy stwierdzić z całą pewnością, że i w chwili, kiedy Jan Kazimierz dawał wyraz powszechnemu podniosłemu nastrojowi umysłów przez wiadomy akt ślubu, w najbliższém otoczeniu królowéj, w sferach dworskich była zupełna świadomość, od czego musi być rozpoczęte dzieło naprawy. Des Noyers, przyboczny sekretarz Maryi Ludwiki, zaznacza w swoich listach z roku 1656 z naciskiem, że od początku tegoż roku kwestya reformy zajmowała żywo senatorów (a nawet rzekomo i całą szlachtę), a tendencya projektowanéj na-

prawy odpowiadała w głównych zarysach programowi anonyma z roku 1641.

Pod datą 26 Stycznia (r. 1656) pisze des Noyers z Głogowa: „Wszyscy nasi senatorowie i cała szlachta zgadzają się na zmianę rządu. Ma być tylko jeden sejm, aby prawa nabrały większéj mocy. Stan, który nazywa się szlacheckim, będzie mógł tylko reprezentować [1]); król zaś będzie rządził z senatem; będzie mógł mianować, kogo zechce, senatorem, a jego głos posiędzie ważność dwunastu. Zachowa tę samowładzę, jaką miał dotychczas, w rozdzielaniu wszystkich łask; jedynie tylko w rzeczach wojny i w interesach państwa ma robić, w razie potrzeby, użytek z liczby głosów. Oto, co zamierzają sobie tu przeprowadzić; a wówczas (gdy się to stanie) zapewniam, że Polska będzie jedném z najpotężniejszych królestw w Europie“ [2]).

W liście tegoż samego autora z 30 Marca (a więc pisanym na dwa dni przed lwowskim ślubem Jana Kazimierza) znajdujemy nadto następujące uzupełnienie: „Sądzę, żem już dostatecznie wyjaśnił, w jaki sposób chcą tutaj przemienić ustrój rządu. Pozostanie on zawsze arystokratycznym; lecz, ażeby jednostka sprzeciwiająca się nie tamowała woli całego królestwa, dążą do tego, *aby rozstrzygała większość i aby głos króla miał ważność dwunastu;* sejmy zaś będą zwoływane tylko celem przedstawiania potrzeb prowincyi, a nie dla narady. Król i senat będą rządzić“ [3]).

Mimo całego przesadnego optymizmu, którym tchną te zapiski, mimo wielu niejasnych i niedokładnych wyrażeń i mimo kilku rażących sprzeczności [4]), nie wahamy się uwierzyć, że, chociaż nie tak samo dosłownie, to w każdym razie częściowo podobny program reformy był przedmiotem rozwagi i dyskusyi na dworze królewskim. Mówimy: „na dworze królewskim“, — bo, jakkolwiek des Noyers wspo-

---

[1]) Zostawiamy wyraz, użyty w oryg. franc. „représenter“, przez który chce des Noyers powiedzéć, że posłowie będą mogli tylko przedstawiać potrzeby województw, a obmyślanie i ustanawianie środków dla ich zaspokojenia ma być rzeczą rządu.

[2]) „Lettres de P. des Noyers“, str. 64.

[3]) Tamże, str. 126.

[4]) Grubéj przesady i niewłaściwego przekroczenia projektu reformy dopuścił się niezawodnie des Noyers w tém, co pisze o przyszłém przeznaczeniu zreformowanego sejmu, który miałby rzekomo zostać wyzutym z całéj władzy prawodawczéj, a ograniczać się jedynie do „reprezentowania“ potrzeb prowincyi. Domagać się takiego ustępstwa co do prerogatyw sejmowych od samychże posłów byłoby szaleństwem, i nikt z pewnością (jak widać z próby reformy z r. 1660) na dworze nie łudził się nadzieją, żeby do tak daleko idącéj reformy przyjść mogło! Des Noyers musiał mieć wówczas bardzo słabe pojęcie o charakterze konstytucyi polskiéj i o zaciętym konserwatyźmie szlachty.

mina o zgodzie *wszystkich* senatorów i *całéj* szlachty, trzeba to nazbyt śmiałe i wolne uogólnienie złożyć na karb ciasnego widnokręgu obserwacyi, usprawiedliwionego poniekąd u cudzoziemca i dworaka, który, bawiąc przy boku królowéj i obracając się głównie w kołach stronnictwa francuskiego, usłużność i uległość członków tegoż stronnictwa względem Maryi Ludwiki i ich zapatrywania rozciągnął z lekkomyślnością Francuza na całą szlachtę, mimo, że nie poznał widocznie bliżéj jéj skłonności i aspiracyi politycznych.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o większéj lub mniejszéj wiarogodności innych relacyi des Noyers'a, w tym wypadku nie wolno podawać wszystkich przechowanych przezeń w listach z roku 1656 szczegółów w wątpliwość, z téj prostéj przyczyny, że część ich przeważna znajduje potwierdzenie w całym szeregu faktów, spełnionych w parę lat późniéj.

III.

Fakta te są nieliczne, ale wiele znaczące.

Oto, natychmiast prawie po ukończeniu wojny szwedzkiéj, bo jeszcze w ciągu miesiąca, pamiętnego zawarciem pokoju w Oliwie (w Maju r. 1660), wynurza się na dworze i wpośród stronnictwa francuskiego ten sam projekt reformy sejmowania, o którym wspomina des Noyers, że zajmował tak żywo najwyższe sfery już w r. 1656. Projekt ten zostaje następnie *za sprawą królowéj* przedstawiony Izbie poselskiéj w formie propozycyi od korony, na sejmie dwuniedzielnym, zebranym w Warszawie w drugiéj połowie Czerwca tegoż roku 1660 [1]).

Za sprawą królowéj,— bo nie ulega wątpliwości, że zasługa inicyatywy w tém przedsięwzięciu należy się przed innymi saméj Maryi Ludwice.

Już z listów des Noyers'a łatwo wyrozumieć, że ów dawniejszy projekt reformy z r. 1656 zrodził się na dworze Maryi Ludwiki pod nieobecność króla. Listy pisane są bowiem z Głogowa, gdzie bawiła królowa, pierwszy pod koniec Stycznia, drugi w Marcu, a więc wtedy,

---

[1]) Podczas gdy szczegóły, dotyczące projektu reformy z r. 1656, były znane ze źródeł drukowanych (wskazywał na nie zresztą już i Szujski w swoim większym podręczn. „Dziej. polsk."), to o próbie reformy z r. 1660 nie znajdujemy żadnéj wzmianki ani w opracowaniach, ani w źródłach, drukiem ogłoszonych. Nowéj wiadomości o tym fakcie zaczerpnęliśmy z niewydanych materyałów austryackiego tajnego archiwum dworu i państwa w Wiedniu. Parę wskazówek dostarczyły archiwa min. spraw zagran. franc. (P. Lukasa) i watykańskie. Bliższe wyjaśnienia podajemy w dalszych dopiskach.

kiedy Jan Kazimierz był już z powrotem na ziemi polskiéj, a mianowicie w podróży ku Lwowu [1]). Niemniéj i wznowienie rzeczonego projektu przed sejmem z r. 1660 przypisuje inny świadek współczesny, Lisola, jedynie Maryi Ludwice. Poławszy w relacyi z 13 Czerwca wiadomość o zamierzonéj reformie, dodaje poseł austryacki następujące objaśnienie: „Takieto tajne zamysły są tu na porządku dziennym, które pragnąc w czyn wprowadzić, *królowa żadnego środka nie omija...*“ [2]). W całéj obszernéj relacyi Lisoli i innych z tego czasu niéma ani jednéj wzmianki, którąby wskazywała, jeśli nie na inicyatywę, to przynajmniéj na żywszy współudział króla w téj ważnéj sprawie. Przeciwnie, Hoverbeck, poseł brandeburski, rzetelny zazwyczaj sprawozdawca, podaje wiadomość o rozmowie, jaką miał z Janem Kazimierzem właśnie podczas sejmu z r. 1660, a z któréj wynika, że królowi osobiście na reformie sposobu sejmowania wcale nie zależało, że nawet uważał dotychczasowy stan anarchii dla siebie za dogodniejszy i usuwać go wcale nie miał ochoty. „W rozmowie napomknął J. Kr. Mość“, — donosi Hoverbeck elektorowi pod d. 23 Czerwca [3]), „że materya *de modo concludendorum comitiorum* zostanie zapewne odłożona do przyszłego sejmu. On sam nie będzie się temu bardzo sprzeciwiał, ponieważ wielu jest mniemania, jakoby w téj materyi było coś niebezpiecznego i szkodliwego dla ich wolności, gdy tymczasem właśnie dotychczasowy warunek jednomyślności bardzo łatwo mógłby pomódz królowi do absolutnych rządów. Król potrzebowałby tylko mieć powolną armię i pozwalać na zrywanie kilku sejmów po sobie, a cała władza z konieczności dostałaby się w jego ręce...“ Ale zaraz potém dodał, „że nie zbywało mu na sposobności do zdobycia absolutnéj władzy: *chce atoli pozostawić Rzeczpospolitą w tym samym stanie, w jakim ją zastał przy objęciu rządów*“.

Obojętność ta króla dla zbawiennego przedsięwzięcia reformy — to jedna z wcześniejszych oznak tego osłabienia woli, zniechęcenia, znużenia i tego upadku na duchu, który niedługo potém, bo już w r. 1662, objawił się wyraźnie w zamiarze porzucenia korony i cofnięcia się w zaciszo klasztorne [4]).

---

[1]) Król wyjechał z Opola do kraju już 9 Stycznia. Por. Kochow. Ann. Polon. Clim. II, str. 104.

[2]) Austr. taj. archiw. pań. (Polon. 1660, Juni, k. 32—34): Franc. Lisola do ces. Leopolda. Varsaviae, D. 13 Junii 1660 (Oryg. wlr.).

[3]) Urk. und Actenst. z. Gesch. Fr. Wilh. v. Brand., t. IX, str. 32.

[4]) Agent francuzki, Avangour, utrzymuje nawet, że zamiar złożenia korony powstał już w r. 1656. Por. T. Luk. I, k. 63 (w bibl. Ossol.): Corresp. de Suède. Avangour à Brienne, 25. X, 1656: „Les soupçons toujours augmentants ..... que le Castellan Voyniski et le Palatin de Posen ont offert au fils de l'empereur la couronne

Do długotrwałéj, systematycznéj pracy, do jednostajnego działania w pewnym niezmiennym kierunku, nie był Jan Kazimierz zresztą nigdy zdolny, ani usposobiony, i dlatego polityki nie lubiał. Tém łatwiéj powiodło się energicznéj i zręcznéj kobiecie, całéj sprawom publicznym oddanéj, a na męża wszechwładny nieledwie wyływ wywierającéj, rządy Rzeczypospolitéj, a przedewszystkiém kierownictwo spraw politycznych, ująć we własne ręce. Im więcéj rozglądamy się w dziejach Polski z lat 1656—1667, tém głębszego nabieramy przekonania, że w tym czasokresie właściwą panującą była Marya Ludwika, że od niéj prawie wyłącznie wychodziła inicyatywa wszystkich ważniejszych przedsięwzięć, nietylko dyplomatycznych, ale i wewnętrznych spraw Rzeczypospolitéj dotyczących [1]).

---

de Pologne avec le consentement de Jean Casimir, *qui était prêt à la résigner*, contribuèrent sans doute beaucoup etc.“ Jest to jednak zapiska, całkiem odosobiona. Natomiast, począwszy od r. 1662, spotykamy zarówno w relacyach francuskich, jak i innych, wiadomości, stale i coraz częściéj się powtarzające, o tém postanowieniu abdykacyi. Jedną z najwcześniejszych wzmianek znajdujemy w depeszy de Lumbres'a do Ludwika XIV: „Varsovie, le 11 Juin 1662“. „..La reine m'a depuis fait entendre que le roi de Pologne est tellement dégouté de la continuation des desordres, qui sont dans ce royaume, *qu'il est résolu de passer à l'abdication*“... (T. Luk. X, k. 161).

[1]) Na poparcie powyższych uwag moglibyśmy przytoczyć cały szereg ważnych dowodów źródłowych. Zachowujemy je jednak na późniéj, gdy przystąpimy do ogłoszenia dalszych części „Studyów nad życiem i charakterem Jana Kazimierza,“ których część pierwsza została ogłoszona w „Przewod. nauk. i liter.“ w roku 1889. Odsyłamy do tamtéj pracy czytelników po szczegóły, dotyczące stosunku zawisłości J. Kazim. od żony. Wskazujemy tu jednak mimochodem na parę ważniejszych opinii współczesnych. Dyplomaci obcy, bawiący w Polsce w latach 1658—1668, odmawiają królowi prawie jednozgodnie wszelkiéj inicyatywy w sprawach publicznych. Caillet, agent francuzki, utrzymuje, że nawet w r. 1655, po ucieczce na Szląsk, król opuścił zupełnie ręce i nie miał ochoty wracać do Polski. Rel. Caill. ogłosz. w dziele Colsona: „De la Pologne et des Cab. du Nord“. Por. ustęp: „Pendant la guerre de Suède et la retraite de Leurs Majestés en Silésie il parut aux yeux de tout le monde que c'était la reine seule, qui espérait l'expulsion des Suédois et qui s'y apliquait“... Por. u Walisz. (Stos. franc. pol. Źródła, str. 254) streszczenie innych ustępów tejże relacyi Caillet'a: („La reine)... a été l'agent principal de la résistance aux Suédois. A forcé le Roi *contre son inclination* et contre les sentiments des principaux ministres á rentrer en Pologne et à se mettre à la tête de l'armée“. Des Noyers pisze w liście z 1 Paźdz. r. 1658 „Camp devant Thorn“. Lettres, str. 446): „Elle (la reine) fait aussi tout, et sans elle je ne crois pas que l'autre (le roi) demeurât longtemps roi“.—Dosyć przypomnieć wreszcie, co powiada Lisola zaraz w następnym roku (1659): „*Aulae dominatur absolute Regina*, quae.... Regem ita sui arbitrii fecit, ut eum pro libitu dirigat...“ (Pribr. Ber. Lisol., str. 474). Zwracamy uwagę na okoliczność, że dwa ostatnie ustępy pisane były na rok i dwa lata przed r. 1660, którym się obecnie zajmujemy. Takich i tym podobnych świadectw współczesnych mamy pod ręką mnóstwo. O charakterze królowéj, zwła-

Sprawdza się to i w dziejach zamierzonéj reformy sejmowania. Że królowa, jako czynna regentka, gorąco musiała pragnąć, bądź co bądź, przemiany anarchicznych stosunków, a nadewszystko wprowadzenia ładu i systemu w obrady sejmowe, łatwo zrozumieć. Inna rzecz, czy miała w tym wypadku na oku jedynie korzyści i dobro Rzeczypospolitéj, czyli i inne cele, więcéj—że się tak wyrazimy—osobiste i prywatne.

Co było treścią wszystkich starań i zabiegów, całéj polityki wewnętrznéj i zagranicznéj Maryi Ludwiki w ostatniém dziesięcioleciu jéj życia, to zostało już przez naukę historyczną dostatecznie wyjaśnione. Królowa postanowiła sobie jedną ze swoich siostrzenic, Annę Henrykę, osadzić na tronie polskim, dając jéj za męża księcia d'Enghien, syna wielkiego Kondeusza, któremu spodziewała się wyrobić następstwo w królestwie po własnym mężu, myślącym o abdykacyi. Tento cel ostatni: pozyskania dla księcia d'Enghien umysłów panów i szlachty i przeprowadzenia jego wyboru na króla za życia i panowania Jana Kazimierza, znaleźć można — że tak powiemy—na dnie wszystkich usiłowań Maryi Ludwiki w latach 1658—1667; cokolwiek przedsiębierze i do czegokolwiek przykłada rękę, czyni to zawsze z tą rozwagą i w téj tylko mierze, o ile posłużyć może jako środek do urzeczywistnienia jéj ulubionego zamysłu.

To poszukiwanie najlepszych środków, mogących umożebnić i zapewnić wybór księcia francuskiego na króla, nasunęło niezawodnie Maryi Ludwice także i myśl podjęcia reformy sejmowania. Jeżeli miało przyjść do zwołania sejmu elekcyjnego za życia Jana Kazimierza, to na to trzeba było formalnéj uchwały sejmu zwyczajnego. Na uchwałę *jednomyślną*, jakiéj wymagała konstytucya, niepodobna było nigdy liczyć na pewne, wobec ciągłego czuwania wrogich polityce francuskiéj przedstawicieli cesarstwa i elektoratu brandenburskiego, którzy zawsze mieli za sobą pewną grupę przyjaciół politycznych w izbie poselskiéj, przekonanych lub przekupionych, i mogli za ich pomocą w każdéj chwili sejm zerwać. Niechże jednak wola większości zacznie przewodzić na sejmie, a zasadnicza trudność upadnie. Jest rzeczą prawie pewną, że królowa miała podówczas za sobą większość ministrów i senatorów. Była to korzyść, rozstrzygająca o wszystkich innych, bo szlachta szła najczęściéj za senatorami swoich województw.

---

szcza o jéj namiętności do rządów i polityki i t. d. poucza dostatecznie gruntowne studyum p. Plebańskiego p. t. „Marya Ludwika Gonzaga". Nowe i bardzo obfite materyały, zebrane przez nas w archiwach zagranicznych, potwierdzają główne zarysy trafnéj charakterystyki królowéj, nakreślonéj już kilkadziesiąt lat temu przez rzeczonego autora.

Mieć za sobą większość senatorów, znaczyło to więc prawie tyle, co mieć za sobą większość izby poselskiéj. A zatém reforma sejmowania w tym duchu, iżby zasada uchwalania przez większość uznana została za stałą normę konstytucyjną, prowadziła prostą i najwygodniejszą drogą do skrytego celu królowéj.

Tém się tłómaczy, dlaczego chwyciła się jéj tak usilnie Marya Ludwika właśnie w roku 1660, to jest wtedy, gdy sprawa elekcyi, po ten czas tajona, miała być wyjawioną szlachcie i umieszczoną na dalszym planie obrad sejmowych. Dowiemy się bowiem zaraz poniżej, że równocześnie z projektem reformy sejmowania zamierzała królowa wystąpić na tymże samym sejmie także i ze swoim projektem elekcyjnym.

IV.

Trudne dzieło reformy, wymagające swobodnego skupienia ducha i wytężenia sił, niczém inném nie skrępowanych, nie mogło być podjęte ani w roku 1656, ani w trzech następnych, zaburzonych wojną szwedzką.

Pokój oliwski, podpisany d. 3 Maja r. 1660, położył koniec téj długiéj wojnie. Pozostał jeszcze drugi nieprzyjaciel na wschodzie, który nie tylko o zgodzie nie myślał, lecz owszem, sposobił się właśnie do wielkiéj na Rzeczpospolitą wyprawy i od początku roku szarpał już wnętrzności W. Ks. Litewskiego. Podczas gdy Litwa szamotała się jeszcze ciągle pod obuchem najazdu, przynajmniéj jéj siostrzyca, Korona, mogła odłożyć na jakiś czas rynsztunek wojenny i — odetchnąć.

Pokój oliwski wymagał ratyfikacyi sejmu. Potrzeba obmyślenia środków na wojnę moskiewską narzucała także konieczność odniesienia się do szlachty. W tych naglących okolicznościach postanowiono zwołać sejm nadzwyczajny na połowę Czerwca.

Miało to być po kilku latach pierwsze zebranie przedstawicieli narodu pod egidą pokoju. Szlachta widziała za sobą nieprzerwane prawie pasmo dwunastoletnich krwawych zatargów, naprzód z Kozaczyzną, potém ze Szwedami, wreszcie z Siedmiogrodzianami i z Moskwą; widziała téż niezawodnie smutne następstwa tych nieszczęść. Wszystko, co było brzydkie i złe w téj Rzeczypospolitéj, co było w niéj fałszywe lub niegodziwe, co się na jéj ciele czerwieniło trądem lub zgnilizną trąciło, musiało w tym czasie powszechnego zamieszania i zaburzenia wystąpić na jaw o wiele wydatniéj i zarysować się w sposób bardziéj wyrazisty. Ta łuna pożogi wojennéj,

która ogarnęła ziemie polskie od końca do końca, rzuciła nie tylko właściwe światło na współczesność, dając poznać społeczeństwo, jakiém było w istocie, wraz ze wszystkiemi brakami i ułomnościami,— ale cisnęła także snop jaskrawych promieni na przeszłość, tak, że narodowi, pognębionemu klęskami „zarazy, ognia i wojny“, stanąć musiały jasno przed oczyma te całe szeregi splecionych z sobą usterek i błędów, które popełnili ojcowie, a od których oni, potomni, nie chcieli czy nie umieli odstąpić, i cały zbiór tych rozlicznych nadużyć i przewinień, które—nieuznane, nienaprawione, i owszem, pomnożone—z nieubłaganą logiką mściły się na gnuśniejącém dla sprawy publicznéj pokoleniu.

Stanął wreszcie pokój; zdawało się, że nadeszła chwila, sposobna do obrachunku z samym sobą i odwrócenia myśli od teraźniejszości ku przyszłości. Królowa postanowiła z téj chwili skorzystać. Projekt reformy powrócił za jej sprawą na porządek dzienny obrad nadwornych i senatorskich. W dwa tygodnie po podpisaniu paktów oliwskich, kiedy dwór wrócił do Warszawy, a Jan Kazimierz zarządził rozpisanie uniwersałów zwoławczych na sejm Czerwcowy, nie omieszkano zamieścić w szeregu spraw, zaleconych szczególnéj uwadze przyszłéj izby poselskiéj, także i punktu „o sposobie decydowania w obradach publicznych“. Oto, co czytamy w rzeczonym uniwersale, oznaczonym datą 18 Maja r. 1660: „A że tego prawa powagą *modus concludendorum publicorum consiliorum wynalezienia jest*, także Uprzejmościom i Wiernościom Waszym zlecamy i tę tak potrzebną et salutarem całéj Ojczyźnie sprawę, (co) w pilnéj mając uwadze, *do tegoż się samego Uprz. i Wiern. WW. stosować będziecie chcieli w przedsięwziętéj radzie*, dobro same pospolite, nie żadne prywatne mając w oczach swoich i intencyach, aby z całéj Uprz. i Wiern. WW. około dobra Ojczyzny pieczy zdrowe rady, na dobrym i mocnym gruncie praw i swobód onéjże zasadzone, zaszczyt w potomne czasy wzięły, do czego i my z miejsca i powinności naszéj królewskiéj starania przyłożyć zechcemy, jako to one królestwo, którego z woli Bożéj za wolnemi Uprz. i Wiern. WW. głosami berłem władamy, nie tylko od postronnych wolne za dni naszych widzieć niebezpieczeństw, *ale téż i w wewnętrznym rządzie, jako najlepiéj postanowione* na czasu panowania naszego oglądać“ [1]).

Ten tylko jedyny punkt z tajemnego programu królowéj został podany do wiadomości całéj szlachty. Zaznaczono w uniwersale jeno *potrzebę* reformy sejmowania, ale nie wykazano *sposobu*, w jaki na-

[1]) Archiwum akt. grodz. i ziem. lwowskie. Acta castr. Sandec, t. 128, str. 1218—1220: Oblata letter. S. R. M-tis etc.

leżało ją przeprowadzić. Nie stało się to niezawodnie bez rozwagi. Królowa musiała rozumieć, że przedwczesne rozgłoszenie całego projektu mogłoby narazić na niepowodzenie; że trzeba było wprzódy— więcéj prywatną drogą—zapewnić dlań uznanie i poparcie u senatorów i posłów sejmowych. Do tego dzieła przygotowawczego zabrała się téż Marya Ludwika z całym zapałem po powrocie do Warszawy.

Zakulisowa ta (rzec można) i gorączkowa działalność królowéj nie uszła uwagi reprezentanta cesarza niemieckiego, przed którym właśnie usiłowano ją ukryć jak najdłużéj. Franciszek Lisola posłował w Rzeczypospolitéj już od lat czterech; a w tém czteroleciu miano się czas przekonać, że był to człowiek bystry, przezorny i przenikliwy. Od chwili, kiedy w polityce dworu nastąpił zwrot stanowczy ku Francyi, upatrywała w nim królowa najzacieklejszego swego przeciwnika i skrytego burzyciela wszystkich jéj starań i zabiegów. Nie myliła się w tym sądzie: gdyż pracował rzeczywiście od r. 1658 z całą usilnością nad stworzeniem stronnictwa austryackiego w Polsce, co mu się w pierwszéj połowie r. 1660 przeprowadzić udało, i odtąd był duszą nieprzeblaganéj opozycyi przeciw dążeniom Maryi Ludwiki i stronnictwa francuskiego. Cesarz nie mógł przysłać lepszego zastępcy i obrońcy swoich interesów politycznych do Warszawy. Lisola okazał się mistrzem w dyplomacyi, w sztuce przezierania ludzi i niweczenia ich podstępów i intryg — tą samą bronią [1]).

Warto poznać opinię, jaką wypowiada o nim Krzysztof Masini, sekretarz Jana Kazimierza, wprawdzie zwolennik Lisoli, ale nie należący bynajmniéj do jego bezwzględnych wielbicieli. „Szanowałem go i czciłem“,—powiada Masini w liście do księcia Porcii [2]),—„jako osobistość, z którą mało kto, albo nikt nie może się porównać co do wiadomości, jakie posiada, o państwach Europy, o ich rządach, o panujących najwyższych i zawisłych, o interesach, parentelach, związkach i stronnictwach każdego z nich z osobna, w połączeniu z prawie drobiazgową znajomością skłonności monarchów i ich ministrów. Jest to człowiek niezwyczajnéj pracy i rozległéj erudycyi, pilności niestrudzonéj; nigdy nie bezczynny, a uposażony największą łatwością i jasnością wymowy, bogatéj w trafne argumenta, a wreszcie, co stanowi główną zaletę w ministrze, najbieglejszy w stosowaniu środ-

[1]) Por. studyum dra Franc. Pribrama we wstępie do wydawnictwa p. t. „Die Berichte des kais. Gesandt. Fr. v. Lisola etc. Wien, 1887“.

[2]) Austr. taj. archiw. pań. Polon. 1661, k. 7 — 10 (Oryg. wlr. w jęz. włoskim). Że Masini nie był bezwzględnym wielbicielem Lisoli, to wynika z dalszych części listu, w których gani dosyć surowo stanowisko i zachowanie się tego posła wobec dworu polskiego w ostatnich czasach jego pobytu w Warszawie.

ków do przezwyciężania tych trudności, które tamują bieg interesów". Temuto dyplomacie zawdzięczamy najbardziéj szczegółową relacyę o próbie reformy, przedsięwziętéj w roku 1660. W samém przededniu sejmu donosi on swemu panu, „że umysły dworu i senatorów zdają się być zwrócone wyłącznie ku zbliżającemu się sejmowi, na którym, oprócz ratyfikacyi pokoju polsko-szwedzkiego, mają być traktowane, już to publicznie, już téż prywatnie, różne inne i bardzo ważne sprawy..." [1]). I jako pierwszy punkt propozycyi od korony, przytacza właśnie ów projekt reformy sejmowania, wskazany tylko ogólnikowo w uniwersale z 18 Maja, podając zarazem bliższe jego określenie.

Rzeczony projekt zmierza, wedle Lisoli, do tego: „aby stanęła konstytucya, iż odtąd uchwały sejmowe królestwa nie będą zawisłe od jednozgodności głosów, *lecz stanowione wedle ich większości*, aby nie było w mocy jednostki sprzeciwiającéj się zbawiennych rad Rzeczypospolitéj opóźniać lub niweczyć..."

Oprócz powyższego puktu, znajdujemy w relacyi trzy inne, które mają stanowić treść dalszych wniosków na sejmie, albo przynajmniéj służyć za przedmiot prywatnych narad w łonie stronnictwa francuskiego, a to, po pierwsze: wniosek w formie zapytania, do posłów zwróconego, czy nie byłoby z korzyścią dla Rzeczypospolitéj wybrać następcę tronu za życia króla; po drugie: aby zostało zawarte przymierze ze Szwedami przeciw Moskwie; po trzecie: aby postanowiono, iż, ktokolwiek zostanie mianowany następcą, ma pojąć za żonę siostrzenicę królowéj.

Lisola kładzie jednak największy nacisk na ów na czele wymieniony punkt propozycyi i uważa go za podstawowy dla wszystkich innych. „Od tego jednego wszystko zawisło",—powiada w tym samym liście,—„skoro bowiem dwór to osiągnie, resztę wedle upodobania przeprowadzi *i w sejmach zawsze będzie miał przewagę*. Jest bowiem rzeczą pewną, że Najjaśn. królowa przez swoich klientów, stronników i ubiegających się o łaski, *zawsze potrafi pozyskać dla siebie większość głosów*, przy pomocy któréj wszystkie propozycye, tak względem przyszłego następcy, jak i względem przymierza ze Szwedami, zostaną zatwierdzone po myśli królowéj, wbrew oporowi zdrowszéj części (szlachty)..."

Jest to rzecz znacząca i szczególnéj uwagi godna, że taki znawca stosunków polskich, jak Lisola, przyznaje, iż Marya Ludwika

---

[1]) Austr. taj. arch. pań. (Polon. 160, Jun., k. 32—34). Lis. do ces. Leop. Varsaviae, d. 13 Junii 1660 (Oryg. włr.).

mogła wyrobić sobie w owym czasie poparcie *większości*, nie tylko wśród senatorów, *ale i w izbie poselskiéj*.

Życzeniem królowéj było, ażeby projekt reformy po wniesieniu na sejmie został naprzód oddany do zbadania komisyi, złożonéj z senatorów i z najbardziéj wpływowych przedstawicieli izby poselskiéj, w nadziei, że za ich zgodą nietrudno będzie następnie i zgodę całego sejmu uzyskać.

„Takieto tajemne zamysły są tu na porządku dziennym“, — dodaje Lisola w relacyi z 13 Czerwca,—„dla których urzeczywistnienia królowa żadnych środków nie omija, panów obietnicami, darami, łaskami do siebie wiąże, szlachtę nawet przez rozpuszczonych po wszystkich województwach emisaryuszów zjednywa, którzy z licznych podstępów użyciem wpajają w nią zamiary królowéj“.

Wypada zaznaczyć dla zupełności, że i poseł francuski, de Lumbres, nie zapomniał uprzedzić ministra, hr. de Brienne, w depeszy współczesnéj, o zamierzoném przedstawieniu sprawy reformy na najbliższym sejmie [1]).

V.

Sejm został otwarty 14 Czerwca; senatorowie i szlachta zgromadzili się jednak tego dnia w tak małéj liczbie, że propozycyę odłożono do 17-go [2]). Chodziło przedewszystkiém, jak wiemy, o ratyfikacyę pokoju oliwskiego: wniosek w téj sprawie stanowił téż pierwszy punkt propozycyi. Sprawozdanie kanclerza z czynności komisyi pokojowéj zajęło kilka posiedzeń. W wotach, które były wygłoszone w dniach następnych, ograniczali się mówcy do pochwał króla i komisarzów. Z opozycyą w izbie poselskiéj wystąpili najpierw Litwini. Wojsko domagało się (zapewne przez swoich delegatów) 200,000 złp., jako zaliczki na żołd zaległy, grożąc, że w przeciwnym razie nie weźmie udziału w wyprawie przeciw Moskwie. Posłowie W. Księstwa odmawiali przyzwolenia na ratyfikacyę ugody ze Szwedami, żądając, aby król przyrzekł wprzódy ruszyć z wojskiem osobiście na

---

[1]) Arch. min. spr. zagr. franc. (T. Luk. VIII, k. 151 (Varsovie) le 13 Juin 1660. Czytamy w téj relacyi: „...L'assemblée qui doit s'ouvrir après-demain, ne donnera pas peu d'éxercice aux Ministres Polonais, puisqu'il ne s'y agira pas seulement de la ratification du traité, mais aussi de la réformation des abus qui se sont glissés dans les conseils et dans les diètes, *principalement sur la forme de donner les suffrages*...“

[2]) Urk. und Actenst. T. IX, str. 29.

Litwę, a nie na Ukrainę [1]). Co do téj ostatniéj pretensyi, uzyskał Jan Kazimiérz niejakie ustępstwo, szlachta zadowolila się obietnicą, że król uda się do armii litewskiéj „w razie, gdy zajdzie tego potrzeba“ [2]). Zgoda na ratyfikacyę przeszla; pakta zostały podpisane przez delegatów izby dopiero późniéj, 6 Lipca.

Po załatwieniu pierwszego punktu propozycyi, przystąpił Kanclerz, jak się zdaje, niezwłocznie do następnego, to jest przedstawił projekt reformy głosowania. Projekt ten został, po myśli królowéj, oddany do rozpatrzenia komisyi, złożonéj z senatorów i przedstawicieli izby poselskiéj [3]).

„Co się tycze ustanowienia zasady większości w głosowaniu na sejmach“,—zapewnia Lisola w relacyi, pisanéj już po zamknięciu sej-

---

[1]) Tamże, str. 30.

[2]) T. Luk VIII, k. 166 (Arch. m. s. zagr. fr.): De Lumbres au c. de Brienne (Varsovie), le 2 Juillet 1660.

[3]) Brak jakiegokolwiek obszerniejszego i zupełnego dyaryusza sejmu lub choćby jakiéjś jednolitéj relacyi z obrad sejmowych, nie pozwala nam stwierdzić dokładnie, kiedy właściwie został wniesiony na sejmie projekt reformy. Że jednak propozycya tego punktu została podana na publiczném posiedzeniu Izby, a nie na prywatnéj tylko naradzie, to rzecz pewna. Wystarczy na dowód ustęp z relacyi Lisoli (Varsaviae, d. 1 Julii 1660. Oryg. w austr. archiw. pań.), gdzie czytamy: „Initium sessionibus (modernae Deputatorum Regni convocationis) datum fuit (brak daty dnia) Junii, ubi Regni Cancellarius: 1) omnium quae in Olivensi congressu acta fuerunt, specificam dedit rationem cum honorifica de sincero M-tis V-rae ad pacem conciliandam studio mentionem, quae relatio aliquot sessiones occupavit; 2) *post haec de modo deinceps in comitiis concludendi actum...* (podana treść wniosku). A o parę wierszy niżéj dodaje: „De futura *vero* successione *non publice quidem in sessionibus, sed in privatis conventiculis*, tam Senatorum, quam in colloquiis cum Sermo Rege et Regina varii sermones mixti fuere“... Z tego ostatniego przeciwstawienia: że o wyborze *zaś* następcy *nie na publicznych posiedzeniach*, lecz prywatnie tylko radzono, wynika oczywiście, że tamte dwa punkty były przedmiotem obrad na publicznych posiedzeniach. Wszelkie wątpliwości usuwa relacya posła francuskiego, de Lumbres'a, z 2 Lipca 1660 r. (por. poprzed. dopisek), w któréj powiedziano: „*L'assemblée*, qui se tenait ici, est finie après avoir signé la ratification du traité d'Oliva. Pour ce qui est de la réformation des abus qui se commettent dans les conseils et les Diètes on ce qui regarde la forme, en laquelle les suffrages se donnent, *elle* (a więc: „l'assemblée“) a remis cette affaire au conseil du Roi etc:“...

Zwracamy wreszcie uwagę na nieznany ustęp z dyaryusza późniejszego sejmu z r. 1665, który także odnosi się do sprawy reformy na sejmie r. 1660 („Acta comitialia przy dep. Hoverb.: Pruskie taj. archiw. pań. w Berlinie. Rep. 6, nr. 52, k. 453—454: „Den 17 Martii 1665 hat zu Warschau in der Landbothen-Stube der Herr Pieniążek, Deputirter des Krakauschen Wojewodschaft folgender Gestalt votirt:..... „Es faellt mir bei, dass vor 5 Jahren (więc r. 1660) ich den terminum adinvenire modum concludendorum comitiorum *der damals zum ersten aus Licht kame*, nicht verstehen koennen“...

mu [1]); — *„to wielu z komisarzy, i to nawet ci, którzy nam najbardziéj są przychylni, okazywali zgodę na to, aby ją wprowadzić*, przeświadczeni, że będzie to dla Rzeczypospolitéj zbawienne i do powiększenia powagi senatorów, a zniweczenia uporu posłów ziemskich najprzydatniejsze. Przyczyniła się i powaga dworu, który się tego najbardziéj natarczywie domagał, jako podstawy wszystkich innych usiłowań".

Jeszcze 20 Czerwca, a więc w tydzień po otwarciu sejmu, uważa Vidoni, nuncyusz papieski w Warszawie, że „materya rozstrzygania spraw na sejmach przez większość głosów nabiera coraz więcéj wagi"; ale zarazem spostrzega, że wpośród kleru zaczyna się zjawiać zdanie, nieprzychylne reformie, i wyraża przypuszczenie, że na współczesnym sejmie nie zostanie powzięta żadna uchwała w tym przedmiocie [2]).

Takie samo zdanie wyrobić sobie musiał w dalszym toku obrad także i Jan Kazimiérz, skoro w cztery dni późniéj, 23 Czerwca, w rozmowie z Hoverbeckiem, napomykał o tém, że „materya de modo concludendorum comitiorum zapewne odłożona zostanie do przyszłego sejmu" [3]).

Przewidywania te spełniły się co do joty. Izba poselska postanowiła w istocie odroczenie rozprawy nad projektem reformy — na późniéj. Uchwalono jednak: odesłać rzeczony projekt do rady królewskiéj, *powierzając jéj wypracowanie regulaminu sejmowego*, któryby mógł następnie być przedstawionym najbliższym sejmikom prowincyonalym, a wreszcie wniesiony ponownie na następnym sejmie [4]). Było to więc najwyraźniéj *tylko odroczenie* wniosku reformistycznego, a nie jego potępienie, ani wykluczenie.

„Przyczyna odroczenia jest ta", — dodaje de Lumbres, któremu zawdzięczamy powyższe streszczenie uchwały sejmowéj [5]): „że sprawa dla swojéj ważności i *z powodu trudności, jakie zaczynały stawiać*

---

[1]) Por. wzmian. o t. relac, w poprz. dop.

[2]) Archiw. watyk. Nunz. di Polon., t 71. Avviso di Varsavia.

[3]) Urk. und Actenst. T. IX, st. 32. Relacya Hoverbecka, w któréj podana jest wiadomość o téj rozmowie nosi datę: „23 Juni (13 Juli) 1660", t. j. 3 Lipca wedle naszego stylu. Musi to być omyłka, może z winy wydawcy. Relacya Hov. została zapewne napisana *23 Czerwca* now. stylu (13-go starego); bo gdyby Hov. pisał już *po sejmie*, to nie znalazłoby się w jego relacyi wyrażenie: „das die Materie de modo concludentorum comidiorum *duerfte wohl* zum kuenftigen Reichstage verschoben werden" (t. j. w formie niepewnéj) lecz już stanowcze twierdzenie, *że została odłożoną*. Sejm został zamknięty 28 Czerwca.

[4]) Rel. de Lutnbres'a: (Varsovie), le 2 Juillet, 1660 (T. Luk. VIII, k. 166)

[5]) L. s. cit.

jéj w drodze, mogła się przewlec, co było nie na rękę królowi wobec powziętego przezeń zamiaru ruszenia za dziesięć lub dwanaście dni z armią, którą ma sprowadzić Marszałek W. Kor., na *Litwę albo w stronę Ukrainy*".

Że ten ostatni wzgląd musiał dużo zaważyć, to niezawodna. Chwila nie była stosowna do długich narad i do szermierki na słowa. Moskwa docierała już do granic Korony, i właśnie zanosiło się na stanowczą rozprawę Chowańskiego z Czarnieckim i Sapiehą. Z drugiéj strony także i stan rzeczy na Ukrainie pogarszał się z dnia na dzień. Dochodziły króla w Czerwcu wieści, że wielka armia pod Szeremetiewem i Kozłowskim wyrusza w pochód ku ziemiom Wołynia i Rusi Czerwonéj. Kozaczyzna pod Chmielnickim miała jéj wtórować swoją pomocą. Niebezpieczeństwo było groźne i czas wielki do porzucenia stanowiska wyczekującego na południo-wschodniéj rubieży Rzeczypospolitéj. Przygotowania do wyprawy na Ukrainę zajmowały króla i hetmanów od początku miesiąca. W czasie sejmu postanowiono, że dywizye Potockiego i Lubomiskiego pójdą w drugiéj połowie Lipca przeciw Szeremetiewowi. Jan Kazimierz zamierzał sam objąć naczelne dowództwo. W obliczu zbliżającego się nieprzyjaciela nie podobna było zabawiać się długą rozprawą nad pokojową kwestyą reformy.

Ale czemuż miano się nią zabawiać? Czemu sprawy nie załatwiono doraźnie? Czemu zanosiło się na przewłokę?

De Lumbres zaznacza, że zachodziły *pewne trudności*, które zaczynały stawać w drodze projektowi królowéj; nie wyjaśnia jednak wcale, jakiéj natury. Skąpy promień światła na źródło opozycyi rzuca dorywcza wzmianka w znanéj nam już relacyi nuncyatury, mianowicie, iż *w pośród duchowieństwa* zjawiło się tu i owdzie zdanie, przeciwne reformie, „skąd wnoszono",— jak czytamy daléj, — „że na tym sejmie nie zostanie powzięta żadna uchwała w tym przedmiocie".

Jest w téj wzmiance nieco prawdy, ale niéma całéj. Tajemnicę zbyt pośpiesznego i nader łatwego usunięcia z porządku dziennego sprawy, którą zajmowano się od tak dawna i tak gorliwie na dworze królewskim i w kołach senatorskich, i za którą w komisyi sejmowéj oświadczało się, jak nam wiadomo, wielu jéj członków, i to nawet najbardziéj Austryi przychylnych, a więc do stronnictwa francuskiego nie należących,—odsłaniają dopiero cyfrowane depesze posła austryackiego, Lisoli.

Tento sam bowiem dyplomata był głównym sprawcą nie zupełnego wprawdzie, ale w każdym razie połowicznego upadku dzieła reformy na sejmie z r. 1660.

Wiemy już z tych ustępów relacyi, które były przytaczane powyżéj, że Lisola poznał się dosyć wcześnie na zamiarach królewéj i że od razu zrozumiał nadzwyczajną doniosłość polityczną projektowanéj reformy sejmowania. Miał najgłębsze przeświadczenie, że zwycięztwo zasady większości w sejmie pociągnęłoby za sobą stanowcze zwycięztwo polityki francuskiéj, a więc stanowczą klęskę austryackiéj na gruncie Rzeczypospolitéj. Przeświadczeniu temu dał wyraz w téj saméj depeszy z 13 Czerwca, w któréj przesyłał swemu panu pierwszą wiadomość o głównych punktach propozycyi sejmowéj.

„... Zmierza to wszystko, jak się zdaje, ku temu“,—doniósł— „że królowa chce nam zamknąć drogę do przeszkadzania jéj usiłowaniom; wie bowiem, że dopóki sprawy będą rozstrzygane tylko jednozgodnością głosów, dopóty i nam bardzo łatwo będzie zjednywać sobie stronnictwa dosyć potężne na to, aby mogły stawać w drodze jéj zamysłom i wykluczać następcę tronu, którego ona chciałaby narzucić, i dlatego wszelkich starań dokłada, aby nas tego środka pozbawić, a sobie przyswoić moc stanowienia o sprawach. Jeżeli to osiągnie, obawiam się, *iż najgorsze ztąd następstwa wynikną dla W. Ces. Mości*“ ...

Lisola nie tai więc przed cesarzem trudności sytuacyi; owszém, podnosi z naciskiem, że niebezpieczeństwo jest groźne i wyznaje nawet, iż znajduje się w położeniu prawdziwie kłopotliwém, nie czując za sobą zbyt silnego oparcia w sferach, dworowi niechętnych. Był to w rzeczy saméj czas najwyższéj przewagi i powagi stronnictwa francuskiego: bo zaliczał się do niego wtedy, oprócz kanclerzów, koronnego i litewskiego, oprócz Czarnieckiego i wszystkich prawie świeckich senatorów Korony (z nielicznemi wyjątkami, jeszcze także, najpotężniejszy swoją popularnością i wpływami, Jerzy Lubomirski, Marszałek W. i hetman polny koronny. Inaczéj rzecz się miała—wedle Lisoli—ze szczupłém gronem przyjaciół Austryi. „Podupada widocznie nasze stronnictwo“, — użala się on, — „jako zaniedbane i na prześladowania wystawione; nikt nie doświadcza od nas korzyści, a wielu, przeciwnie, doznaje szkody, z tego samego tytułu, że nam sprzyja; pozostaję więc w niepewności, jak się mam zachować w tych okolicznościach, pozbawiony środków i mandatu, bez którego w téj tak trudnéj i delikatnéj sprawie ledwie śmiem się poruszyć: bo jeżeli rzecz to ślizka mieszać się w ich interesa, z naszemi sprzeczne, i stawać w drodze zamiarom królowéj, to jeszcze bardziéj niebezpieczna na wolny bieg ich pozwalać“. Zapowiada jednak w końcu, że rąk nie opuści i że nie omieszka użyć wszelkich możliwych środków, byle do téj drugiéj ostateczności nie dopuścić.

Zdaje się, że przebiegły polityk wymalował położenie stronnictwa i swoje stanowisko w nazbyt czarnych kolorach; może z umysłu, ażeby późniejsze, spodziewane pewnie w duchu, zwycięztwo, w téj przytrudnéj rzekomo kampanii dyplomatycznéj przeciw próbie reformy, na ciemném tle w tém jaśniejszym przedstawiło się blasku.

Jeżeli grono przyjaciół cesarskich nie było liczne, to było zato wyborowe. Już w początkach roku 1659, kiedy dwór, odwrócony od Austryi, poddawał się coraz bardziéj wpływowi Ludwika XIV, a Lisoli wypadło szukać żywiołów, przydatnych do utworzenia własnego stronnictwa, okazało się, że w całém prawie wyższém duchowieństwie panowało przychylne usposobienie dla cesarza. Zwłaszcza „filary kleru, biskupi: Andrzéj Trzebicki, krakowski, Kazimierz Floryan Czartoryski, kujawski, Albert Tholibowski, poznański, i Jan Zawisza, wileński, — nie taili się z sympatyami austryackiemi [1]). Co więcéj, zaczęła się równocześnie formować samoistna opozycya przeciw dworowi w rodzinie Leszczyńskich, zrażonych do królewéj. Lisola nie omieszkał z tego dogodnego dlań obrotu rzeczy skorzystać i rozpoczął wcześnie starania, aby się do téj partyi familijnéj przybliżyć i uzyskać w niéj dla siebie i polityli cesarskiéj nowe oparcie. Pilną uwagę zwracał mianowicie na Jana Leszczyńskiego, kasztelana poznańskiego, którego uważał za głowę domu i wysoko cenił dla wyjątkowych zdolności. „Jest to“—pisał o nim w Marcu r. 1659,—„człowiek najrzetelniejszych zamiarów, z krwi i kości Polak, wielkiego doświadczenia, trafnego sądu, lecz nieco zmienny i porywczy. Sprzyja elektorowi; był przychylny i domowi austryackiemu, lecz, mniemając, że go lekceważą, oziębł cokolwiek“, dotknięty tém, że dwór austryacki w kilku sprawach mniejszéj wagi i więcéj prywatnéj natury, żalował mu swego poparcia lub łaski, i że zresztą „żadném dobrodziejstwém ani dowodem względów“ przez cesarza wyszczególniony nie został. „Ten wielkiéj jest na dworze, w senacie i w królestwie powagi“,—dodawał Lisola,—„i jako głowa poselstwa pokojowego, wielce nam potrzebny“ [2]).

Odtąd też wskazuje poseł austryacki w depeszach z roku 1659 wielokrotnie na potrzebę pozyskania tego senatora, zwłaszcza, że po śmierci Bogusława Leszczyńskiego, która nastąpiła w Październiku, Janowi dostaje się po nim godność podkanclerzego koronnego [3]).

---

[1]) Pribram: Ber. Lisol. CXXVII, str. 480: „1659, Anfangs Maerz“ i wcześniejsza relacya tamże. nr. XCV, str. 393: „Warschau, 1658, Maerz, 18“.

[2]) Tamże, str. 481 i 489.

[3]) Tamże, str. 499—500, 520 i 583 (relacye z 10 Lipca, 9 Czerwca i 11 Października r. 1659).

Do stanowczego zbliżenia się i przymierza Austryi z domem Leszczyńskich przyszło dopiero pod koniec pierwszéj połowy r. 1660, właśnie w owéj krytycznéj chwili, kiedy w Warszawie miał się zebrać sejm i obradować nad projektem reformy.

Lisola bowiem, widzący konieczność zniweczenia tego przedsięwzięcia reformatorskiego, nie tracił czasu i zabrał się energicznie do dzieła. Miał w senacie dwóch przyjaciół politycznych, na których mógł liczyć z pewnością: między duchownymi Andrzeja Trzebickiego, biskupa krakowskiego, między świeckimi Łukasza Opalińskiego, marszałka nadwornego, „męża wielkiéj erudycyi, królowi drogiego, znamienitego nieskazitelnością (charakteru), doświadczeniem i rozległym majątkiem". Za tymi ostatnimi stali: Krzysztof Gembicki, gnieźnieński, Jan Wielopolski, wojnicki, kasztelanowie, także cesarzowi oddani. To było jądro stronnictwa.

Naiprzód więc wszedł Lisola w najściślejsze porozumienie z Trzebickim i Opalińskim. Tylko z nimi dwoma stykał się osobiście, a za ich pośrednictwem z innymi [1]). W ostatniéj chwili przyłączył się do tego poufnego kółka jako trzeci uczestnik nareszcie i ten, na którym najwięcéj zależało, to jest, podkanclerzy Leszczyński. „Od tych dwóch (Opalińskiego i Trzebickiego), dowiedziałem się na pewne", — opowiada sam Lisola [2]), — „że wojewoda poznański, który przedtém zdawał się nieco potakiwać sprawie elekcyi, już całkiem przeciągnięty został na stronę Austryi, a to szczególnie za staraniem Opalińskiego, do którego najwięcéj ma zaufania" . . . Do stanowczego zerwania Leszczyńskiego z dworem miało dać powód osobiste zajście z królową, która dostała do rąk jakiś list podkanclerzego, świadczący o niezbyt przychylném jego usposobieniu dla dworu. Marya Ludwika, dotknięta mocno tym zawodem, miała się zalać łzami. Musiało przyjść zapewne i do jakiejś sceny wyrzutów, która sprowadziła ostateczne poróżnienie.

Była to wielka wygrana dla Lisoli; bo Jan Leszczyński miał nie tylko mir wielki wśród świeckich senatorów, jako jeden z pierwszych dygnitarzy koronnych, ale mógł także wywierać wpływ przeważny na kler, a to przez rodzonego swego brata, Wacława, ówczesnego prymasa Rzeczypospolitéj. Ten ostatni, starzec słabéj woli i miękkiego serca, był zupełnie od podkanclerzego Jana zawisły [3]).

Tak więc stronnictwo austryackie stanęło na silnym tryumwiracie, złożonym z dwóch znamienitych senatorów świeckich i jednego

---

[1]) Depesz. Lisol. do cesarza z 1 Lipca 1660 (Arch. t. austr. l. s. cit.).

[2]) L. s. cit.

[3]) Pribr. Ber. Lisol., str. 480—481.

duchownego, drugiego z rzędu dygnitarza kościoła polskiego. „Między tymi trzema“, — świadczy Lisola, — „utworzył się najściślejszy związek, tak przy mnie, tajemnie obecnym, nawzajem przyrzekli sobie wytrwałą wierność i jedność i porozumienie się we wszystkiém najściślejsze; a mnie się zdaje, że ten związek może być wstępem do wszystkiego innego, podstawą do utworzenia wielkiéj partyi, która się z czasem, za przystąpieniem innych, rozrośnie; wielu jest bowiem ludzi wielkiéj powagi i imienia, którzy z tamtymi dzielą przekonania i dążności i w poufnych pozostają stosunkach“.

Mając za sobą tak pewne oparcie, mógł Lisola pomyśleć o ataku na projekt reformy. Pojmował on, że nie wypada mu wprost i bez ogródki występować przeciw temu przedsięwzięciu, którego ważność i dobroczynność dla Rzeczypospolitéj była niezaprzeczona i nawet w przeświadczeniu niektórych stronników Austryi pożądana. Dlatego umyślił postarać się jedynie o to, aby sprawa usunięta została tylko na razie z porządku dziennego i odłożona na późniéj. Chciał po prostu zyskać na czasie.

A że Leszczyński świeżo poróżnił się z królową i przeto wrogo był usposobiony względem jéj planów politycznych, a Trzebicki także krzywo na nie patrzył, przeto użył Lisola wobec tych swoich sprzymierzeńców bardzo zręcznego argumentu, wmawiając w nich, że trzeba koniecznie odłożyć sprawę na późniéj, bo w razie, gdyby teraz przeszła, posłuży się nią królowa, jako najwygodniejszym środkiem do urzeczywistnienia swoich osobistych projektów. Przedstawiał nadto, że tak ważne dzieło reformy wymaga spokojniejszego czasu; w téj chwili, w r. 1660, kiedy Rzeczpospolita rozbita na tyle partyi, zachodzi obawa, że jedno stronnictwo, silne większością, wszystkie inne sobą przygniecie. Dawał w téj ostatniéj przestrodze do zrozumienia Leszczyńskiemu, że królowa, pozyskawszy większość szlachty dla siebie, potrafi się bez niego obchodzić i pozbawi go całego znaczenia i wpływu.

„Przy pomocy tych i innych namacalnych argumentów“, — kończy Lisola[1]),—„zdołałem ich nakłonić do tego, aby téj propozycyi, jako szkopułowi, o który odtąd wszystkie nasze zamiary i usiłowania, dla dobra Rzeczypospolitéj podjęte, mogą się rozbijać, dzielnie się oparli i oną zręcznie na czas późniejszy odroczyli, na co nareszcie zgodził się i wojewoda poznański, spowodowany obawami, ja-

[1]) Ostatni ustęp i wszystkie poprzednie, dotyczące intrygi przeciw reformie, przytoczone z relacyi Lisoli dla ces. Leopolda p. d. „Varsaviae, d. 1 Julii 1660“ (Austr. taj. archiw. pań. Oryg. wtr.) Relacya ta pisana jest przeważnie cyframi.

kie mu się samemu nasunęły; a że ten ostatni nieomylnie wodzi za sobą arcybiskupa gnieźnieńskiego, *przeto łatwo udało się sprawić, że propozycya ta, odłożona na stosowniejsze czasy, na teraz została usunięta,* ku największéj zgryzocie królowéj, która liczyła z pewnością na łatwe powodzenie, ufna w pierwotne (przychylne) usposobienie umysłów".

Po tém wszystkiem zrozumiemy bez truduości ową wzmiankę w relacyi nuncyatury, która wskazuje jako powód odroczenia reformy okoliczność, że „w pośród *duchowieństwa* zjawiało się tu i owdzie zdanie przeciwne". Wacław Leszczyński, jako prymas, Andrzéj Trzebicki, jako pierwszy po nim dygnitarz kościoła polskiego, mogli za sobą pociągnąć resztę duchowieństwa. Wobec takiéj opozycyi, królowa była bezsilna. Za sprawą któregoś z wymienionych przez Lisolę senatorów, przez któregoś z ich adherentów został projekt odroczenia wniesiony w Izbie poselskiéj i uchwalony. Od Lisoli zaś otrzymujemy wiadomość, że on-to sam był właściwym sprawcą takiego obrotu rzeczy. Polityka austryacka odniosła jeszcze raz skryte zwycięstwo – przez jawne, choć połowiczne, zwycięstwo konserwatyzmu szlacheckiego, powiadającego sobie: niech zostanie, jak było.

Bo, chociaż sejm z r. 1660 projektu reformy nie potępił, lecz tylko odroczył sprawę na późniéj, do ponownego jéj wniesienia na sejmie z r. 1661, ani na żadnym innym następującym w wieku XVII, o ile wiadomo, nie przyszło Nie masz śladu w znanych i nam dostępnych źródłach, aby stało się po myśli uchwały sejmowéj z r. 1660, która przyzwalała na wypracowanie projektu regulaminu sejmowego przez radę królewską, przestawienie onego na zebraniach sejmików prowincyonalnych, a wreszcie ponowienie wniosku reformistycznego na następnym walnym sejmie.

Dowiadujemy się z małéj późniejszej zapiski, że podczas sejmu z r. 1661 była sprawa reformy jakiś czas jeszcze przedmiotem uwagi dworu i narad w senacie [1]), ale widocznie po za koła senatorskie nie wyszła, bo nie słychać, aby w Izbie poselskiéj przedstawiono jakąkolwiek propozycyę, odpowiednią wnioskowi sejmowemu z poprzedniego roku. Na sejmie z r. 1661 wniósł natomiast król osobiście projekt wyboru następcy tronu. Była w tym wniosku, co prawda, także myśl reformy, ale tylko o doraźném znaczeniu: wybór następcy za życia miał Rzeczpospolitą uchronić od niebezpieczeństw najbliższego bezkrólewia.

---

[1]) Wzmianka rzeczona mieści się w przytaczanym już wyżéj dyaryuszu Hoverb. z sejmu r. 1665 (Prusk. taj. archiw. pań. w Berl. Rep. 6, nr. 52, k. 453 – 454: Acta comitialia), mianowicie w przekładzie mowy posła Pieniążka, który wraca wspomnieniami także do sejmu z r. 1661.

Czemu poprzestano na tym jednym wniosku, a sprawy reformy sejmowania już drugi raz nie podniesiono, to wyjaśnić będzie można bliżéj dopiero po szczegółowém zbadaniu dziejów r. 1661 i następnych. Być może, że królowa straciła wiarę w powodzenie nowéj próby, tém więcéj, że w stronnictwie francuskiém zanosiło się na schyzmę. Jerzy Lubomirski zaczynał się sprzeniewierzać i działać skrycie przeciw jego dążeniom. Stronnictwo austryackie rosło także za staraniem Lisoli w siły. Z początkiem r. 1661 zostało ułożone z Ludwikiem XIV małżeństwo ks. d'Enghien z księżniczką Anną Henryką. Sprawa wyboru ks. d'Enghien na króla skupiła na sobie całą uwagę Maryi Ludwiki. Chodziło o pośpiech, o wytężenie wszystkich sił w jednym kierunku. Ze względu na ten najbliższy cel osobisty, wydało się snać królowéj niebezpiecznem domagać się reform, zbyt głęboko sięgających, któreby mogły urazić szlachtę w jéj najdrażliwszéj słabości, w zaślepionym kulcie „złotéj wolności".

Rok 1662 zburzył najpiękniejsze nadzieje Maryi Ludwiki: na sejmie wiosennym zapadła uchwała, nakładająca na króla obowiązek reasumpcyi prawa o wolnéj elekcyi, niemniéj skasowania wszystkich dokumentów, dotyczących sprawy elekcyi za jego życia". Upadek projektu elekcyi, zadekretowany publicznie, musiał rozproszyć na długie lata wszelkie inne usiłowania reformatorskie. Królowa, dotknięta klęską osobistą i pobudzona nią do tembardziéj wyłącznego i zaciętego działania w jednym kierunku, pracuje odtąd tylko dla sprawy elekcyi; o innych reformach nie myśli. Na następnych sejmach za Jana Kazimierza nie spotykamy się z żadną nową próbą naprawy Rzeczypospolitéj. Sejm z r. 1664 zaburza sprawa Lubomirskiego; sejmy z lat 1665 i 1666 zrywają jego stronnicy. Anarchia tryumfuje w rokoszu Lubomirskiego. Sejmy z lat 1667 i 1668 są na pół inkwizycyjnemi na króla.

Nie mamy też,—jak powtarzamy,—wiadomości, aby na którym z późniejszych sejmów za Wiśniowieckiego, Sobieskiego, ani wreszcie za obu Augustów, po rok 1749, była wniesiona jaka propozycya, zmierzająca do naprawy sejmowania. Na sejmie koronacyjnym z r. 1676 występuje Jan III przez swoich stronników z projektem pewnych reform, ale tylko w zakresie wojskowości, i przeprowadza ważną konstytucyę o piechocie. O żadnych innych późniejszych próbach naprawy Rzeczypospolitéj nie słychać [1]).

---

[1]) Mniemanie, że w czasie między r. 1669 a 1749 nie przedsięwzięto żadnéj nowéj próby reformy sejmowania, nie jest, naturalnie, oparte na niewzruszonych podstawach. Nie znamy jeszcze dosyć dokładnie dziejów obrad sejmowych w tym okresie, aby wolno było twierdzenie takie wypowiedzieć z całą stanowczością: brak

Nie popełnimy więc, jak się zdaje, wykroczenia przeciw prawdzie historycznéj, jeżeli powiemy, że wedle naszéj dotychczasowéj, niezupełnéj, co prawda, i dorywczéj wiedzy o treści obrad sejmowych w okresie czasu od r. 1600 do 1750 (i daléj), ta próba reformy sejmowania, która została przedsięwzięta w r. 1660, *była jedyną na cały wiek XVII i pierwszą połowę XVIII.*

VI.

Zastanawiającą jest rzeczą, że podjęcie téj próby reformy przypada właśnie na rok 1660, na chwilę w tym okresie czasu, w którym bieg wypadków politycznych i tendencya politycznéj literatury składa się na apoteozę anarchii. Projekt reformy sejmowania zdaje się przeczyć duchowi czasu.

I przeczy mu rzeczywiście. Stwierdziliśmy już powyżéj, że zasługa inicyatywy zamierzonego dzieła reformy należy się królowéj. Wiemy daléj, że jej polityczni stronnicy okazywali gotowość poparcia projektu. Słyszymy wreszcie od Lisoli, że „wielu z komisarzy i to nawet z tych, którzy najbardziéj byli przychylni Austryi, oświadczało się za wprowadzeniem reformy.

Tyle z jednéj strony. Z drugiéj mamy szereg faktów.

Po pierwsze: sejm z r. 1660 uchwala odroczenie projektu reformy.

---

nam bowiem dostatecznéj ilości źródeł, zwłaszcza dyaryuszów sejmowych, któreby mogły dostarczyć pewnych danych. O ile jednak nam wiadomo, o ile można stwierdzić na podstawie opracowań i źródeł drukowanych, najbliższa po roku 1660-tym próba reformy sejmowania została przedsięwzięta *dopiero na sejmie w r. 1750* za inicyatywą dworu, sprzymierzonego ze stronnictwem Czartoryskich. Projektowano wówczas obrady sejmowe pod węzłem konfederacyi, która miała przybrać nazwę: „unio salvandae Reipublicae“, zadaniem téj „unii“ miało być między innemi zniesienie „Liberum veto“, a wprowadzenie „pluralitatis“ wotów w sprawach skarbowych. Sejm został jednak zerwany: próba reformy ponownie upadła.

Nie zapoznajemy bynajmniéj ożywiającego się stopniowo w tymże okresie (już od czasów Sobieskiego) i schodzącego powoli na coraz właściwsze tory ruchu na polu literatury politycznéj. „Speculum“ Zawadzkiego z r. 1676 i bezimienna „Recepta na to, abyśmy się w ojczystéj ziemi osiedzieli“, są pierwszemi objawami tego—że tak powiemy—prostowania się i odradzania. W pierwszéj połowie XVIII wieku Karwicki, Leszczyński, Radzewski torują drogę najgłębszemu pisarzowi politycznemu, Konarskiemu. Wiadomo jednak, że Leszczyński w „Głosie wolnym“ z r. 1733 obstaje jeszcze za „Liberum veto“ i doradza ograniczenie władzy królewskiéj. Ze stanowczą i surową krytyką zasady jednomyślności występuje dopiero sam Konarski w latach 1761—1763 w swoim słynnym traktacie: „O skutecznym rad sposobie“.

Po drugie: na sejmie z r. 1661 nie masz nikogo w Izbie poselskiéj, ktoby się dopominał ponowienia wniosku reformy.

Po trzecie: sejm z r. 1662 oświadcza się przeciw innemu, podrzędnemu i o wiele mniéj ważnemu projektowi reformy, żądającemu wyboru następcy tronu za życia króla.

Po czwarte: w r. 1665 zrywa się szlachta do rokoszu pod hasłem: „Liberum veto“, bo bez względu na to, że *większość* posłów na sejmie z r. 1664 była za uznaniem prawomocności uchwał sejmowych, a więc i ważności wyroku, wydanego na Lubomirskiego. A więc po myśli *mniejszości* Izby poselskiéj, na wezwanie *jednego*, rzekomo pokrzywdzonego obywatela, przychodzi do wojny domowéj, którą *ogół szlachty* wspiera następnie, jakoby protest przeciwko postępowaniu królowéj, rzekomej gwałcicielki wolności, naruszonych w prerogatywie jednomyślności.

Widoczna z tego zestawienia faktów, że próba reformy sejmowania nie odpowiadała pojęciom *ogółu* szlachty, zapatrywaniom *jéj większości*. Gdyby nie była z niemi sprzeczną, nie przyszłoby do rokoszu Lubomirskiego.

Projekt reformy sejmowania mógł być zatém popularny tylko w znacznéj mniejszości narodu, w jego sferach wyższych, bardziéj oświeconych. I w istocie, wśród arystokracyi się urodził i tam miał szczerych zwolenników. Stronnictwo francuskie składało się przeważnie z ministrów i senatorów Rzeczypospolitéj. Była to grupa ludzi inteligentnych, przepojonych wpływem cywilizacyi zachodniéj, a więc przystępnych dla idei postępowych. Fakt, że królowa i jéj stronnicy przedsięwzięli próbę reformy, że za cel téj próby obrali od razu i przedewszystkiém sposob sejmowania, domagając się usunięcia „Liberum veto“, dostarcza jednego dowodu więcéj, iż stronnictwo francuskie za Jana Kazimierza posiadało najwięcéj rozumu politycznego i wybijało się jasną świadomością głównych potrzeb Rzeczypospolitéj ponad ciemnotę i zamęt tych pojęć, które zapanowały w reszcie społeczeństwa.

A teraz przypomnijmy jeszcze okoliczność; iż właśnie w roku 1660 występuje Andrzéj Maksymilian Fredro z książką p. t „Scriptores seu togae et belli notationum fragmenta“, w któréj spotykamy następujące zdanie: „Żądajże tu ktokolwiek głosowania większością, chciéj być sądzonym przez większość czyli fakcyą lub zuchwalstwo; czyliż wśrod większości złych nie przeważy ta większość zdania dobrych? Czyliż nie zniszczy ci się robota kilku dobrych dla pospolitego dobra, a nie stanie to, czego z ambicyi chce większość? Czyliż nie stanie się, że ani dobrego postanowić, ani złego zakazać nie będzie mogła mniejsza liczba dobrych przeciw złym?“ A w innym roz-

dziale p. t. „Rękojmia Rzeczypospolitéj“ wylicza 25 punktów, od których byt Polski ma być zawisły, a między niemi i te, że tak długo Polska istnieć będzie: 1) dopóki będzie jednomyślność i „Liberum veto“, 2) dopóki następca tronu za życia króla obieranym nie będzie.

Rzecz to charakterystyczna i uwagi godna, że te myśli wypowiedziane zostały w téj saméj chwili, w któréj opinie, wręcz z niemi sprzeczne, zostały podjęte przez całe grono oświeconych obywateli Rzeczypospolitéj i uczynione przedmiotem publicznéj dyskusyi. Tkwi w tym zbiegu okoliczności zarazem wskazówka, jak ostrożnym i przezornym należy być przy ocenie zjawisk literackich i opieraniu na ich treści sądów o poziomie inteligencyi w danem społeczeństwie. Tendencye, które się objawiły w stronnictwie francuskiém, a zwłaszcza na dworze królowéj, są wyższe o całe niebo od tendencyi współczesnéj literatury politycznéj.

Tutaj nasuwa nam się wreszcie raz jeszcze zapytanie: czy nie istniał jakiś związek wewnętrzny między faktem ślubu Jana Kazimierza z r. 1656, a próbą reformy z r. 1660. Wywiedliśmy już powyżéj, że w r. 1656 rozumiano na dworze królewskim jasno, iż powodzenie jakichkolwiek przedsięwzięć reformatorskich zawisło od sejmów, że zatém poprawa sposobu sejmowania musi być pierwszym krokiem do każdéj innéj reformy. A jeżeli tak, to czyż próba z r. 1660 nie była pierwszym krokiem do spełnienia tych nazbyt górnych, więc w całości niewykonalnych przyrzeczeń, jakie w wyjątkowém podniesieniu ducha wypowiedział Jan Kazimierz? Znaczyłoby to, że akt ślubu z r. 1656 nie był faktem, tak odosobnionym i—że tak powiemy—na wiatr rzuconym, i nie poszedł też w zupełne zapomnienie, jak to dotychczas sądzono; lecz owszem, przypomniał się natychmiast po ukończeniu wojny, przynajmniéj niektórym świadkom téj uroczystéj chwili, i był powodem, że myśli naprawy Rzeczypospolitéj nie zostały bezwzględnie odrzucone, ani potępione, lecz tylko na późniéj odroczone?

Jeżeli związek tych myśli ze ślubem z r. 1656 jest wątpliwy i może uledz zaprzeczeniu, to natomiast analogia ich z jedyném późniejszém i na wielką skalę przedsięwziętém i przeprowadzoném dziełem reformy na sejmie czteroletnim i w ustawie 1791 roku, jest uderzająca. Projekt reformy sejmowania przez usunięcie „Liberum veto“, a uznanie zasady głosowania przez większość został przemieniony w prawo dopiero przez ustawę z r. 1791. Sejm więc z r. 1660 jest poniekąd przedsłannikiem sejmu czteroletniego. Ustawa rządowa z r. 1791 upadła z przyczyn zewnętrznych. Z podobnych przyczyn upadł także projekt reformy na sejmie w r. 1660.

Ta ostatnia okoliczność zasługuje na szczególną uwagę. Lisola występuje w r. 1660 przeciw reformie sejmowania i nie dopuszcza do niéj dlatego, ponieważ utrzymanie stanu bezrządu w Rzeczypospolitéj uważa za dogodniejsze dla interesów austryackich. Proceder ten nie jest wyjątkowym, lecz powtarza się odtąd stokrotnie. Posłowie zagraniczni nadużywają zasady „Liberum veto“, jako narzędzia politycznego: za pomocą niego usuwają i niweczą wszystko, co im się wydaje niedogodném lub niebezpiecznem dla mocarstwa, które przedstawiają. Ażeby to narzędzie zachować w ręku jak najdłużéj, stają rzekomo w obronie wolności szlacheckich i podsycają anarchię.

Historyk rozwoju anarchii w Polsce, który zechce zastanowić się głębiéj, o ile przyczyna upadku Rzeczypospolitéj leżała w nas samych, a o ile po za nami, będzie mógł zrobić ważny użytek z kilku nowych faktów, wykrytych i opisanych przez nas w niniejszym szkicu.

Dr Wiktor Czermak.

MĄŻ I PAN.

OPOWIADANIE.

Wszystko spało już we dworze w Turbowie, nawet stróż nocny chrapał w najlepsze na słomie w stajni; tylko stary Truś czuwał.

Przechadzał się po dziedzińcu, tarzał się w śniegu, od czasu do czasu przysiadł, zadarł kudłaty łeb, szczeknął lub zawył, tak sobie bez powodu, aby tylko pokazać, że nie zaniedbuje obowiązków swoich.

Nagle, gdzieś daleko na końcu wioski, pies zaszczekał głośniéj.

Truś słuchał, skrobał śnieg przedniemi łapami, wyciągając się, jak gdyby gotował się do energiczniejszego wystąpienia. Posłuchał trochę i odezwał się wreszcie.

Za nim odezwał się drugi, trzeci i dziesiąty, tu i owdzie, bliżéj i daléj.

Truś ruszył ku bramie zwolna, nie śpiesząc się, jak przystało na psa starego i doświadczonego, który szanuje siebie i wie, że tam na wsi nieraz robi się wielki hałas bez potrzeby, o byle co.

Przysiadł sobie w bramie, poszczekiwał grubym poważnym basem, pauzując, z godnością, i wietrzył.

Wiatr przyniósł mu widocznie coś, co zmieniło jego pogląd na rzeczy, bo przestał szczekać, słuchał jeszcze przez chwilę, potém zerwał się i w podskokach popędził ku wiosce.

Niebawem stare poczciwe psisko powracało już.

Przed nim szła wyciągniętym kłusem para rosłych koni w dużych saniach, t. zw. balagulskich.

Truś zabiegał to z jednéj strony, to z drugiéj, wyprzedzał i skakał koniom do pysków, wracał i skakał w biegu na sanie, wywiesił język, wywijał ogonem, dyszał głośno z wielkiéj radości i tak doprowadził konie przed ganek dworski.

Dwóch mężczyzn wysiadło z tych sani.

Jeden z nich gramolił się długo, postękując i mrucząc coś półgłosem.

Wydobył się wreszcie, odwinął kołnierz dużéj szuby baraniéj, który zakrywał mu uszy i twarz całą nawet, i obejrzał się w koło.

Cisza była głęboka. Żadnego ruchu ani we dworze, ani w oficynie, w któréj sypiała służba.

— To szelmy!— odezwał się, zwracając się do furmana.— Żywego ducha niéma!

Truś tymczasem cieszył się jeszcze wciąż, spinał się na niego, skakał mu do rąk i lizał rękawice.

— Pójdziesz!— krzyknął i kopnął psa nogą.

Truś stulił uszy, wziął ogon pod siebie i poszedł precz, skowycząc. Truś nie darowałby tego z pewnością obcemu człowiekowi, rzuciłby się, szarpnąłby zębem za poły; ale to był przecie pan. Pan mógł być zdrożony, rozespany, rozdrażniony. Truś to rozumiał, bo zestarzał się na służbie dworskiéj, więc wybaczył panu.

Pan tymczasem poszedł do drzwi, szarpnął klamkę raz po raz mocno, potém, nie czekając na skutek, zaczął tłuc drzwi pięścią i nogą.

— Wymarli tu wszyscy, czy co, u stu par dyabłów!— mówił.

We dworze, co żyło, porwało się na równe nogi. Światło błysnęło z kilku okien naraz.

Wszyscy domyślili się, że to pan przyjechał, bo tylko on mógł się tak dobijać. Ani goście, ani zbóje nie narobiliby takiego hałasu.

Jednak dziewka dworska, która najpierw zdążyła odziać się i poszła otworzyć, zapytała: kto tam?, zanim odsunęła rygiel.

— Dyabeł, czort! Otwieraj, klępo przeklęta!

Taka była odpowiedź.

Pan Roman Kroczewicz zwykle przemawiał do służby energicznie i ostro, a kiedy był zły, to klął i łajał, jak ostatni gbur.

Nie tylko służba, ale i żona nawet przywykła do tego.

Ta odpowiedź była najlepszym dowodem tożsamości osoby, więc też dziewka otworzyła drzwi bez wahania.

Tymczasem pani przybiegła także, narzuciwszy w pośpiechu tylko biały szlafroczek negliżowy. Stała ze świecą w ręku w drugich drzwiach, wiodących z sieni do pokojów.

Kroczewicz wszedł pierwszy i zaraz spostrzegł żonę.

— Ruszaj-że sobie—krzyknął.—Także wybrała się w takim stroju do gości! Jak potrzeba, to ciebie nigdy niéma, jak nie trzeba, to zawsze wleziesz, jak Piłat w Credo...

To „Ruszaj-że sobie“ było zbyt wymowne. Pani Romanowa uciekła, nie czekając na dalszy ciąg przemowy.

— A ubierz się i daj nam herbaty— huknął pan Roman za nią.

Podczas kiedy dziewka ściągała szubę i buty filcowe z pana Romana, a towarzysz jego rozbierał się sam, nadciągnęła reszta służby dworskiéj; stary przeszło siedmdziesięcioletni Marcin, lokaj nieboszczyka ojca pani, a obecnie gracyalista, co wedle systemu, jaki pan Roman u siebie zaprowadził, oznaczało człowieka, który nie bierze ani pensyi, ani ordynaryi, ale służy jak może, jeszcze jedna dziewka i chłopak, zwany przybocznym kozakiem pana.

— Samowar stawić duchem!—wrzasnął pan Roman.— Kucharza szelmę zaraz mi obudzić, niech idzie do pani po dyspozycye i robi jeść, a żywo!

Pani musiała ubrać się, pójść do szpiżarni, przyrządzać herbatę. Na dobitkę pan Roman gderał ciągle i gniewał się, że to wszystko nie robi się dość prędko.

Przy stole dopiero przypomniał sobie, że nie przedstawił żonie gościa.

— Aha, uważasz Fela — rzekł, szorstko jakoś spieszczając imię żony—to jest pan Traczewski, którego zaangażowałem *en qualité* nauczyciela do Władzia. Mówił przez zęby; w tonie było więcéj jeszcze lekceważenia, niż w słowach.

Traczewski był dotknięty do żywego, ale zniósł to z zimną krwią, spojrzał tylko z boku na pana Romana.

Siedział już przy stole, kiedy Kroczewicz przedstawiał go, powstał, ukłonił się i usiadł. Złość i głupotę ludzką znał już oddawna, od dziecka prawie.

Był to jeden z tych maluczkich, co to własnemi siłami pną się w górę, *unguibus et rostro*, zaczynając od najniższego szczebla.

Przyjechał z Kijowa z kolegą uniwersyteckim, synem zamożnego obywatela, na święta Bożego Narodzenia. Biedaczysko nie mógł wyżyć w mieście do końca roku i szukał kondycyi, żeby mieć dach nad głową i pozbyć się troski o chleb powszedni.

Był przystojny, podobał się paniom i znalazł w okolicy protektorki, które poleciły go bardzo gorąco Kroczewiczowi. Wymagał niewiele, więc prędko przyszło do zgody.

Pan Roman szukał właśnie nauczyciela do syna.

Co prawda, można było jeszcze poczekać, pofolgować chłopcu i nie zaprzęgać go do systematycznéj nauki, ale panu Romanowi cho-

dziło więcéj o pozory, chodziło o to, żeby ludzie nie mówili, że zaniedbuje wychowania dziecka.

Nadarzył się Traczewski, więc wziął go.

Pani Felicya patrzyła zrazu na tego guwernera z pewną niechęcią i obawą, jak patrzymy czasem na chmurę, która nagle zakrywa nam słońce i Bóg wie, co przynosi.

Dzieciak był dla niéj słońcem, jedyną pociechą, jedyną rozkoszą w życiu bardzo smutném, bardzo chmurném.

Kochała téż tego swego Władzia do szaleństwa.

Teraz, ni ztąd, ni zowąd, człowiek obcy, nieznany, stawał pomiędzy nią a synem, zakrywał jéj słońce... mógł oderwać dziecko od niéj...

Bała się tego...

Pani Felicya była sierotą, wychowała się w domu wuja, dobrego człowieka, ale hulaki, letkiewicza i niedołęgi. Nie miała jeszcze skończonych siedmnastu lat, kiedy wyszła za pana Romana. Poznała go na jednéj z tych zabaw bez końca, które trwały, dopóki starczyło wina i ochoty, które dziś już należą do tradycyi, ale dawniéj były miarą gościnności i zamożności domu, a pochłonęły niejedną fortunę szlachecką.

Wtedy pan Roman tylko co był powrócił z Paryża. Jeździł tam po to tylko, żeby oszlifować się, nabrać akcentu i zobaczyć wielki świat. Przywiózł kolekcyę garniturów, imponujących krojem i wykończeniem, zagraniczny rynsztunek do podboju serc niewieścich.

Starczyło to wówczas.

Panicz dojrzały puszczał się w świat, mając kilkadziesiąt dukatów, bryczkę i cztery konie, jechał na chybił trafił, rzemiennym dyszlem, i powracał z żoną, jak miał do czego wracać, albo osiadał na gruncie, gdzie znalazł żonę.

Taki paryski lakier dużo znaczył. Jeżeli Bóg dał jeszcze urodę, to szło jak z płatka.

Pan Roman należał do hojnie uposażonych. Miał postawę okazałą, ładny równy zarost, rysy twarzy dosyć regularne.

Twarzy téj brakowało tylko wyrazu, zimna była, jak malowana. Tylko zadowolenie z siebie, zarozumiałość, lekceważenie wszystkiego, co go otaczało, można było wyczytać z niéj.

Pan Roman polował na upatrzonego. Po to tylko przyjechał na ową zabawę, żeby pannę Felicyę poznać. Wpierw już wszystko przewąchał i z wujem nawet porozumiał się.

Był wprawdzie za stary, jak dla takiego dziecka, i zużyty już nieco, ale umiał podobać się kobietom, szczególnie na balu, w otoczeniu, które podnosi wszystkie zalety towarzyskie, a na dalszy plan

usuwa to, co stanowi rzeczywistą wartość człowieka. Podobał się pannie. Panna nie poznała się na nim, wuj nie dbał o nic na świecie, więc i na to patrzył przez szpary; udało mu się odrazu. Dostał żonę bardzo milutką i trzysta dusz na dwóch folwarkach.

Dla takiego chudopachołka, jakim był Kroczewicz, to nielada majątek. Ojciec jego chadzał całe życie dzierżawami i nie mógł się jakoś dorobić własnego kawałka ziemi, on wykierował się na pana.

Siedzieć tylko spokojnie, pracować powoli, Boga chwalić, a żonę, któréj się to zawdzięczało, kochać i szanować.

Pan Roman nie kochał żony i nie mógł zresztą kochać nikogo, bo siebie samego umiłował przedewszystkiém i nadewszystko na świecie.

Udawał miłość, oczy wywracał, szeptał na uszko czułe słówka, ale do czasu tylko.

Ożeniwszy się, wziął żonę krótko i nie robił z nią ceremonii.

Gdy przystąpiła do niego z pieszczotą, ziewał, albo wręcz oświadczał, że go to nudzi; gdy zapłakała, gniewał się, mówił, że nie znosi spazmów, lamentów, awantur, sam robił scenę gwałtowną i uciekał z domu do sąsiadów.

Trafił na stworzenie potulne i słabe, pozbawione wszelkiéj siły odpornéj, i złamał to biedactwo odrazu.

Poddała się bez oporu prawie, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, czy w małżeństwie tak być musi, czy też może być inaczéj.

W pierwszym roku urodził się im syn.

Ten pierwszy rok przeszedł jeszcze jako tako; w drugim już pan Roman sprzykrzył sobie wszystko, zostawił żonę, dziecko i gospodarstwo na Bożéj łasce i wyjechał za granicę.

Bawił kilka miesięcy, powrócił po świeży zasób gotówki i pojechał znowu. Jeździł tak i wracał przez cztery lata z rzędu, aż zaszargał majątek i stracił resztę zdrowia.

Zaprzestał, kiedy już trudno było o grosz i nie było czém szastać, a rozkosze *Mabil'u* i *Folies bergères* spowszedniały mu i nie nęciły.

Te cztery lata zrobiły z niego dziada.

Żona wyszła na tém najgorzéj. Zrobił się kapryśny, dokuczliwy, zamęczał ją poprostu.

Nie dość, że zmarnował jéj życie, jeszcze na niéj złość spędzał. Bóg wie, jak doszedł do przekonania, że małżeństwo wszystkiemu winno.

„Zabiłem się ożenieniem“—powiedział sobie i powtarzał to żonie przy lada sposobności. — „Żeby nie to głupstwo, które palnąłem, sam już nie wiem z jakiego dobrego dziwa“ — mówił z oburzającą bezczelnością skończonego samoluba — „byłbym zdrów i żyłbym sto lat! Co się to ze mnie zrobiło! Boję się spojrzéć w zwierciadło!“

A jak wzdychał przytém, jak potrząsał głową, jakim tonem mówił to!

Zapóźno, coprawda, ale zaczął reparować siebie i swoje interesa.

W interesach chwycił się najłatwiejszego sposobu. Nie potrafił nic stworzyć, nie miał najmniejszéj inicyatywy, nie miał tego szóstego zmysłu, który trzeba mieć koniecznie, żeby robić pieniądze; więc zaczął oszczędzać, nawet skąpić, żeby połatać dziury. Wyrzekł się wszystkiego, co chociaż trochę zakrawa na zbytek i komfort, wszystkiego jedném słowem, co życie uprzyjemnia, skąpił sobie, żonie, dziecku i służbie.

W taki sposób zdołał odzyskać równowagę, ale trwało to parę lat i stało się przyzwyczajeniem.

Często wyjeżdżał z domu, bo takie wycieczki godziły się jaknajzupełniéj z systemem.

W gościnie karmili przecież jego i furmana, i konie.

Włóczył się tedy od sąsiada do sąsiada, od bliższych do dalszych.

Opowiadał wrażenia ze swoich podróży po wielkim świecie, anegdotki zebrane na brukach stołecznych, kłamał na potęgę, nie krępując się bynajmniéj, powtarzał się często, ale, bądź co bądź, bawił ludzi i sobie czas zabijał.

Tu i owdzie zebrała się pulka, przypadły jakieś imieniny, lub zjazd obywatelstwa, tak sobie bez żadnego powodu, i dzień po dniu schodził.

W domu pan Roman nie zagrzał miejsca. Wracał zwykle jak po ogień.

Tym razem wypadło dłużéj posiedzieć, żeby Traczewskiego zainstalować i zobaczyć, jak téż on się weźmie do roboty.

Instalacya Traczewskiego odbyła się nazajutrz zaraz po śniadaniu, a odbyła się z pewną pompą, bo pan Roman zwykł robić wielkie rzeczy z lada drobiazgu.

Stary Marcin został wezwany najpierw.

— Uważasz stary — odezwał się pan Roman z wielką powagą, a Marcin odpowiedział: uważam!

— Słuchaj najpierw, potém będziesz mówił.

— Uważam!

— Wyniesiesz mi wszystkie meble z *fiumoaru*—tak nazywał pan Roman pokoik o jedném oknie, położony w końcu długiego kurytarza, który przecinał cały dom na dwie połowy—postawisz tam łóżko, które teraz stoi w gościnnym pokoju, stół duży orzechowy z mego gabinetu, przyniesiesz mój kałamarz... nalejesz atramentu, nasypiesz piasku do piaseczniczki... rozumiesz.

— Z fiumaru—powtórzył Marcin. Miał słuch przytępiony, jedno to słowo usłyszał, zresztą nic.

— Co ja mówiłem... powtórz!

Staruszek ramionami wzruszył.

— Uh gapiu stary, ciemięgo!... Nie słyszysz nic a ciągle mówisz, że uważasz... Z ciebie pożytku niéma na obwinięcie palca... szkoda kawałka chleba dla takiego niedorajdy...

Kazał zawołać z garderoby obie dziewki i znowu powtórzył swoje rozkazy.

— Przeniesiecie tam łóżeczko panicza! — dorzucił jeszcze.

Pani Felicya struchlała. Ten guwerner przyniósł jéj nieszczęście. Zabierali jéj dziecko.

Spojrzała na męża wzrokiem, w którym malowała się rozpacz.

— Poco to? — zapytała prawie szeptem.

— Poto — odparł — żeby chłopak chował się jak należy, jak mężczyzna, żebyś nie zrobiła z niego baby, dziamdzi takiéj, jak sama jesteś.

Traczewski nie odrywał oczu od pani Felicyi. Budziło się w nim współczucie i przychylność dla niéj, a wstręt do niego.

— Rozumiesz teraz — rzekł pan Roman w dalszym ciągu. — Dobre to było, póki Władek był dzieckiem, zrobiłaś z niego małpę, rozpieściłaś go... Pozwalałem na to do czasu, ale to nie może trwać wiecznie... Bardzo proszę pana Traczewskiego, niech weźmie chłopca w kluby... bardzo proszę!

Mówił do Traczewskiego w trzeciéj osobie, widać chciał jego także odrazu wziąć w kluby.

Traczewski czuł, że krew zalewa mu twarz gorącą falą, zagryzł wargi, żeby nie wybuchnąć.

— Niech wybaczy, że ja nie zgodzę się na to — odezwał się dobitnie, tak, że każdy wyraz był jak wykuty.

— Uhm! — mruknął pan Roman, podnosząc nagle głowę do góry i patrząc mu w oczy z wyraźném zdziwieniem. Nie spodziewał się czegoś podobnego, przywykł deptać ludzi, których los postawił w zależności od niego, i nie mógł się teraz wydziwić, że spotkał człowieka opornego w tych warunkach. „Śmiałek, widać niespokojny duch“ — pomyślał sobie — „to mi dogodzili, niech ich pioruny biją“.

— Dlaczegoż to? — zapytał.

— Najpierw dlatego, że przywykłem sypiać sam i chcę przynajmniej jakieś parę godzin wieczornych mieć dla siebie... powtóre dlatego, że przyjąłem obowiązki nauczyciela, nie bony lub niańki... po trzecie...

— A! Jest i trzecie! — przerwał pan Roman.

— Po trzecie dlatego, żeby malec nie spoufalał się i żebym ja nie tracił przez to mojéj powagi...

— Rozumiem to trzecie — podchwycił Kroczewicz z naciskiem, dając do poznania, że reszta mało go obchodzi.

Jak pani Felicya patrzyła na Traczewskiego, trudno powiedzieć. Była mu wdzięczną za to, że kwestyę przeciął stanowczo, a strach ją brał zarazem na myśl, że ta energia, ta powaga, o której zachowanie tak dbał, może wyjść na złe Władziowi, że taki poważny człowiek nie zechce i nie potrafi nawet zastosować się do usposobień dziecka, będzie ostry, wymagający, może nawet despota taki, jak jéj mąż.

Pan Roman nie rad z obrotu, jaki sprawa wzięła, poszedł do tego pokoju, który dla Traczewskiego przeznaczył, komenderować i łajać.

Jedne graty kazał wynosić, drugie kazał wnosić i znów zabierać, a przytém gniewał się na wszystkich i narzekał, że musi sam wszędzie zajrzéć, dotknąć się wszystkiego, bo bez niego nic nie może się zrobić.

— Nosem się podpieram, a wszystko muszę prawie w rękę wziąć. W tym domu, zacząwszy od pani, a kończąc na tym starym kościotrupie, wszystko dyabła warte — mówił, szarpiąc Marcina za kołnierz, żeby lepiéj słyszał jego rozkazy.

Mówił to wobec dziewek garderobianych i chłopaka, mówił tak głośno, że Traczewski słyszał każde słowo najwyraźniéj w jadalnéj sali, gdzie go pan Roman zostawił.

— Rusz-że się wreszcie! — krzyknął na żonę i tkał jéj w ręce coś, co trzeba było przenieść, wynieść, przestawić. Nieboraczka kręciła się jak mucha w ukropie, nie robiąc nic, bo za chwilę pan Roman krzyczał znowu:

— Połóż to! Gdzie niesiesz? Co u licha chcesz z tém zrobić? I tak bez końca

Kiedy to porządkowanie skończyło się nareszcie, pan Roman zawołał Władzia.

Malec, jak tylko wstał, dowiedział się, że z wieczora tata wrócił i przywiózł guwernera.

Wiadomość przyniosły dziewczęta. Mówiły mu, że guwerner ma na sobie mundur z *sinym* kołnierzem i złotemi guzikami.

Samo słowo „guwerner“ miało w sobie coś przerażającego dla dziecka, które chowało się dotąd pod ciepłém skrzydłem matki i to matki, rozkochanéj w niém do ostateczności, matki, która tylko pieściła, a nie umiała wymówić rozkazu; cóż dopiero, jak ten guwerner spada nagle, niespodziewanie, po nocy, jak ma mundur ze złotemi guzikami!

Władzio wcisnął się w sypialni w kącik, płakał i myślał, gdzieby też jeszcze lepiéj się schować, tak, żeby go nie znaleźli. Serce biło mu tak mocno, jak nigdy jeszcze, lub zamierało całkiem, łzy dusiły go, lub sypały się z oczął, jak grad; spodziewał się co chwila, że go zawołają tam do tego guwernera i myślał sobie, że lepiéj byłoby dać się zabić, niż ruszyć się z miejsca, niż spojrzéć w oczy temu strasznemu człowiekowi, co spadł, jak piorun z nieba.

— Władek, chodź tu! — rozległo się nareszcie wołanie pana Romana.

Malec znał głos ojca; zimny pot uderzył nań, dreszcz przeszedł po skórze od stóp do głów.

Głos ten zawsze przerażał go, nie budził w nim nigdy ufności, nie pociągał, lecz odpychał, zimny był i groźny jakiś, nie rozgrzewał mu serca, tylko wstrząsał nerwy.

Władzio stał w téj chwili obok łóżka matczynego, wetknął głowę między poduszki, jak struś w piasek.

— Władziu, tata woła! — mówiła mu tuż nad uchem, podnosząc poduszki, dziewczyna, którą posłano po niego.

Władzio zakrył uszy rączkami, jak gdyby to mogło go uratować. Drżał cały ze strachu.

Bał się tém bardziéj, że prawie nie widywał obcych ludzi, nie znał nikogo, bo nikt nie zaglądał tam od czasu jak zapamiętał.

Znał starego Marcina, znał Mykitkę, kozaka, Teklusię, Domkę Turskiego ekonoma, kucharza, parobków... Tych nie bał się, z tymi bawił się, gawędził i żył w wielkiéj przyjaźni, ale zresztą nie znał nikogo.

Jakże miał nie obawiać się obcego człowieka, a na dobitkę guwernera?

— Władek! pójdź tu zaraz! — zagrzmiał jeszcze raz pan Roman ze świeżo urządzonego przybytku nauki.

— Niech Władzio idzie zaraz — zawołała od drzwi druga dziewczyna — zaraz, bo tata sam tu przyjdzie!

Była to straszna groźba; wobec téj groźby wszelkie strachy pierzchły.

Malec ryknął z głębi piersi i dał się zaprowadzić przed oblicze ojca.

— Widzisz, widzisz! Nie mówiłem ci, że zrobiłaś z niego małpę — syczał pan Roman przez zęby zaciśnięte, kręcąc malca za ucho, tak, że twarzyczka jego, kurcząca się co chwila w spazmach gwałtownych, obróciła się do światła a główka pochyliła się w tył. — Widzisz, widzisz!

Rad był, że ma co jéj pokazać. Zwrócił się nagle do Traczewskiego.

— Niech-że się stara, jako guwerner, naprawić to, co bona i niańka popsuła.

Pani Felicya zalała się łzami.

— Ona płacze! patrzcież państwo, ona płacze! — zawołał pan Roman. — Puścił malca i wyciągnął ręce ku żonie, jakby wskazując ją wszystkim obecnym.

Było to dzikie jakieś, brutalne, oburzające.

Ten dziwny, potworny stosunek męża do żony i ojca do dziecka występował tak wyraźnie, że Traczewski, patrząc na to, zaciskał pięści mimowoli; gotów-by był pochwycić pana Romana za jego rzadziutką, starannie przygładzoną czuprynę, za te paryzkie *accroche-coeur*'y, zawinięte nad uszami, i rzucić go do nóg téj kobiety, tak bardzo pokrzywdzonéj, a zasługującéj zewszechmiar na lepszy los.

* * *

„Czy ona taka dziwnie, nadzwyczajnie dobra, czy téż tylko słaba a zahukana i nie ma za grosz charakteru?“ — te pytania zadawał sobie Traczewski nieraz, będąc świadkiem scen podobnych, które powtarzały się dosyć często i tém częściéj, im więcéj pan Roman oswajał się z nim.

Pani Felicya była dla niego chodzącą zagadką. Rozumiał poświęcenie, rozumiał zupełne zaparcie się siebie, ale tam, gdzie cel dorównywał wielkości ofiar.

Takiego poddania się nie mógł pojąć i gniewało go to potrosze.

Dla czego ona to znosi? Czemu nie probuje nawet zrzucić jarzma?

Trudno było przypuścić, że kochała jeszcze tego człowieka, który mógł wzbudzić tylko nienawiść. Jeżeli nawet kiedyś dawniéj była tam miłość, to czyż mogła przetrwać to wszystko?

Często brała go ochota zapytać ją wręcz: dlaczego z taką rezygnacyą nosi kajdany? chciał zajrzéć jéj w serce i przekonać się, czy tam w głębi nie kiełkuje bunt. Nie mógł jednak odważyć się na to, bo czuł, że może urazić bez potrzeby i pożytku.

Żal mu było bardzo pani Felicyi, tém bardziéj, że ona miała w sobie tyle kobiecego wdzięku, że była ładną, a nie wiedziała, czy téż zapomniała o tém.

Twarz jéj przypominała Kameę delikatnością wszystkich rysów i pociągała, od pierwszego wejrzenia, dziwnie łagodnym i rozumnym wyrazem. Była nieco za drobna, ale rozwinięta w miarę, miała urok tych skromnych kwiatów polnych, co nie uderzają w oczy blaskiem barw i przepychem kształtów, a jednak są tak wdzięczne.

Że pan Roman wolał przygody bulwarowe paryskie, to rzecz gustu; że nie umiał uszanować w niéj żony i matki, to rzecz sumienia.

Smak miał zepsuty, jak pijak, który wyskok ladajaki, byle mocny, przekłada nad wino najprzedniejsze; sumienia widać nie miał wcale.

Ona nie była temu winną; chyba to tylko można było jéj zarzucić, że nie umiała się bronić.

Traczewski miał jéj to za złe zrazu, nie mógł darować téj dziwnéj bierności.

„Nie ma temperamentu, cała bieda“ — myślał sobie.

Myśl jego powracała wciąż do niéj.

Nieraz siadł z książką i chciał się uczyć, czytał i nie rozumiał, co czyta.

Sam wmawiał w siebie, że to do niego nie należy, że nie ma prawa wtrącać się w te sprawy, ani powodów, żeby głowę sobie tém zaprzątać; a jednak zajmowało go to wciąż i coraz bardziéj.

Dopóki pan Roman był w domu, życie wlokło się jak po grudzie, jakiś przymus ciążył na wszystkich.

Traczewski zajął się wyłącznie swoim uczniem. Chociaż nie był jeszcze nigdy takim nauczycielem domowym, a dawał tylko lekcye przedmiotów na godziny, jako korepetytor, wziął się do rzeczy bardzo zręcznie. Przychodziło mu to tém łatwiéj, że lubił dzieci wogóle, a Władzia pokochał serdecznie.

Malec był bardzo sympatyczny; wdał się w matkę, choć z twarzy był więcéj podobny do ojca. Przylgnął wkrótce sercem do tego guwernera, który wydawał się tak bardzo strasznym, bo dzieci instynktem czują, kto je lubi, komu mogą zaufać.

Na drugi dzień po téj tragicznéj scenie, w któréj pan Roman dowiódł aż nadto wyraźnie, że jest nietylko złym mężem, ale i głupim ojcem zarazem, byli już w największéj przyjaźni.

Pierwsza lekcya odbyła się spokojnie, bez żadnych gwałtów; potém Traczewski poszedł z Władziem na przechadzkę i nauczył go robić olbrzyma ze śniegu.

Razem robili najpierw małe kule ze śniegu, tarzali je potém, aż z nich urosły wielkie bryły, dźwigali te bryły wspólnemi siłami, stawiali jedną na drugiéj... Malec zarumieniony, promieniejący, pomagał Traczewskiemu, dopytywał się, jak zrobi nos, oczy, ręce, podawał swoje projekta...

— Już się mnie nie boisz? — zapytał Traczewski, korzystając z dobrego humoru.

Malec spuścił oczęta, wstydząc się teraz tego, że wczoraj widział w nim stracha, poczerwieniał jeszcze bardziéj, uśmiechnął się,

jak umieją się śmiać tylko dzieci dobre i sprytne, uśmiechem, który jak promień słońca pieści i grzeje.

— Nie — odpowiedział półgłosem.

Uradowany przybiegł do matki.

— Mamusiu, żebyś widziała, jakiego zrobiliśmy olbrzyma! Żebyś widziała, jak Truś szczekał! Myślał, że to coś... tak koło niego latał...

Chciał wszystko wypowiedzieć odrazu i słów mu brakło.

To wystarczyło, żeby raz na zawsze rozproszyć wszelkie obawy, jakie pani Felicya miéć mogła.

Przekonała się, że dyabeł nie taki straszny, jak go malują. W przeddzień Traczewski oszczędził jéj wielkiéj przykrości, nie pozwolił odebrać jéj dziecka; teraz przeczuła w nim serce. Przekonała się, że ten człowiek nie zakryje jéj słońca.

Pan Roman siedział jeszcze kilka dni. Kilka razy pytał Traczewskiego, jak tam idzie nauka, raz przyszedł nawet na lekcyę. Zadawał Władziowi pytania i robił różne swoje uwagi, aż doprowadził do tego, że malec rozbeczał się i linia była w robocie.

Przy téj sposobności Traczewski postawił się znowu sztorcem.

— Niepotrzebnie pan drażnisz chłopaka!

Pan Roman rzucił mu spojrzenie przeszywające na wylot i wyszedł, nie odpowiedziawszy nic.

„Ci, ci... *gens de rien*... proletaryat uczony, to najgorszy gatunek hołoty“ — myślał sobie, wychodząc.

Jednak ten najgorszy gatunek hołoty zaimponował mu całkiem niespodziewanie i prawie wypędził z domu przed czasem.

Pan Roman wyjechał wieczorem, nie mówiąc naturalnie nikomu, dokąd jedzie, ani téż, kiedy zamierza powrócić.

Wiadomo było tylko, że jedzie najpierw na preferansa w bliskie sąsiedztwo i dlatego wyjeżdża z wieczora.

W domu wszyscy odetchnęli swobodniéj, począwszy od Traczewskiego, który z całego serca życzył mu, żeby gdzie kark skręcił i nie wrócił nigdy, a kończąc na parobkach dworskich.

Jak to czasem, gdy z rana dzień zapowiada się ponury i dżysty, a nagle wiatr rozerwie chmury i słońce błyśnie, wszystko się cieszy i uśmiecha do słońca, tak we dworze wszystko powesclało, skoro tylko nie stało pana Romana.

Przy wieczerzy siedzieli dłużéj, a czas zeszedł im niepostrzeżenie. Traczewski opowiadał figle studenckie, świeże i odgrzewane; Władzio pokładał się ze śmiechu, a w końcu wlazł Traczewskiemu na kolana, objął go za szyję, całował i prosił ciągle, żeby jeszcze i jeszcze coś takiego opowiedział.

Pani Felicya poglądała na to z boku z uśmiechem. Tak niedawno wobec pana Romana ten sam Traczewski udawał surowego pedagoga, a teraz nietylko pozwalał Władziowi na taką poufałość, ale sam go do tego zachęcał pieszczotami, łagodnością i czułością, na jaką może żadna bona i żadna niańka nie umiałaby się zdobyć. Widziała jakby zrządzenie Opatrzności w tém, że pan Roman, niechcący, może nawet poszukując czego innego, tak dobrze trafił, i dziękowała Bogu za to.

Bo też Bóg tylko wiedział, ile przykrości, niepokojów, trosk i zmartwienia ominęło ją, dzięki temu człowiekowi, którego bała się tak zrazu, a w którym znalazła przyjaciela.

Za życzliwość i przyjaźń odpłacała mu równie serdeczną przyjaźnią. W ciągu kilku dni, które spędzili pod jednym dachem, zbliżyli się tak, jak gdyby już lata przeżyli obok siebie.

Tego wieczoru rozeszli się później, bo Władzia nie sposób było napędzić do snu. Chłopak rozbawił się, wykręcał się, jak mógł, i wykupywał się całusami.

Traczewski zastał w swoim pokoju Marcina, który w téj porze zwykle przychodził zajrzéć do pieca, przynosił świeżą wodę i zabierał buty do czyszczenia. Staruszek miał teraz także minę lepszą i aż nadto widoczną ochotę do gawędy. Szukał wyraźnie zaczepki, bo nie wychodził, chociaż już tam nie było nic do roboty. Trzymał pod pachą buty, które Traczewski zrzucił, i niby to oglądał podeszwy.

— Ściął się obcasik i podeszewka coś niby zmiękła — odezwał się, naciskając palcem podeszew.

— Cóż robić, panie Marcinie — odpowiedział Traczewski.

— Kiepski teraz towar, proszę panicza! Dawniéj bywało, jakem wdział buty na Nowy Rok, na ten przykład, to nie zdejmowałem do Wielkiéj nocy, bez podszycia!

Traczewski pokiwał głową, jak gdyby ta trwałość dawniejszych butów wprawiała go w zdumienie.

— Trzeba będzie dać do podzelowania... Teraz, jak naszego pana niéma, to łatwiéj się znajdzie okazya do miasteczka.

— A jak pan jest, to trudno o okazyę? — zapytał Traczewski.

— Ho, ho! Pan koni nie lubi dawać i nie lubi, jak ta bardzo jeżdżą do miasteczka, bo to zara się co przypomni, trzeba i tego i owego... zaraz i wydatek...

— Jak potrzeba — wtrącił Traczewski.

— Choć i trzeba czego, a okazyi niéma, to się obejdzie... Teraz pewno nie prędko nasz pan wróci?

— A co, tęskno już panu Marcinowi?— zagadnął Traczewski.

Staruszek spojrzał na niego raz i drugi z podełba, uśmiechnął się nieznacznie pod wąsem, ale nie odpowiedział odrazu na to pytanie.

— Niechajby — odezwał się wreszcie po namyśle.

To „niechajby“ można było rozumieć tak i owak.

Stary widać nie wiedział, czy może mówić otwarcie, nie był jeszcze pewny Traczewskiego i macał.

Było to arcydyplomatyczne i podobało się bardzo Traczewskiemu.

— Musi przecież wrócić do gospodarstwa — rzekł.

Stary machnął ręką.

— Albo to, proszę pana, nasz pan potrzebuje czego pilnować tu! Nakaże ekonomowi, ekonom zrobi wedle dyspozycyi, pani dopilnuje i basta...

— Wszystko pani.

— A juści! — odparł Marcin.

Przystąpił bliżéj i zniżył głos.

— Jeszcze, jak tam co nie tak, to nasz pan potrafi dokuczyć, że i życie obrzydnie...

— Kawał psubrata ten nasz pan — odezwał się Traczewski.

Złości go brały na tego pana, nie mógł go strawić, chociaż, jak dotąd, niewiele miał z nim do czynienia; rad był, że może pogadać o nim otwarcie, chociaż z Marcinem.

Marcin zerknął znowu z boku, z większém już zaufaniem.

— Jaki on tam pan dla panicza. Panicz dzisiaj tu, a jutro z Bogiem w świat... Jak Bóg da, to pan możesz być większym panem...

Pochylił się do ucha Traczewskiemu i zaczął mówić szeptem.

— Myśli pan, że to co było?... Pożal się Boże! Wszystko, jak pan tu widzi, to naszéj pani!

Wyprostował się i spojrzał na Traczewskiego z pewną dumą.

— Gdyby nieboszczyk ojciec naszéj pani żył, byłoby inaczéj, ho, ho!... Najsampierw nieboszczyk nie wydałby naszéj pani za niego... Co to gadać! Nasza pani teraz sam kwiat, a pan, nie przymierzając, jak z krzyża zdjęty...

Stary ramionami wzruszył i zniżył głos znowu do szeptu.

— Czy to, proszę ja pana, uszanowawszy uszy pańskie, nie powinniby miéć więcéj dzieci... Takie życie, to Boże odpuść!

Westchnął z głębi piersi, odkaszlnął, postawił na krzesełku buty, które podczas téj rozmowy trzymał wciąż pod pachą, i sięgnął do kieszeni po tabakierkę.

— Pojedzie i niéma jego tydzień i dwa; przyjedzie, to gryzie i gryzie...

— Chwała Bogu i za to, że go licho nosi po świecie...

— Pewno, że chwała Bogu! Żeby tak, uchowaj Boże, siedział cięgiem w domu, to-by już na smierć zajadł — potwierdził Marcin, pociągając tabaki.

Rozgadawszy się, mówił długo jeszcze, a miał dużo do powiedzenia. Na wołowéj skórze nie spisać tego wszystkiego, co się zebrało w pamięci starego Marcina, przez dziesięć lat życia pod harapem pana Romana.

Potém Traczewski przewracał się z boku na bok i nie mógł zasnąć, bo ten wstrętny obraz bezecnego ucisku nie schodził mu z oczu; oburzenie, pogarda i jakaś nienawiść bez granic miotały nim.

„Dziwne bo są te kobiety“ — myślał sobie — „sam dyabeł ich nie zrozumie! To drapieżne jak hyeny, to potulne jak owce... to skaczą do oczu, to znów wyrzekają się wszelkich praw ludzkich, dają się deptać kopytami, zupełnie jak owce...“

Zdawało mu się wciąż, że pani Felicya musi jeszcze kochać męża, bo tylko miłość szalona, uparta, nie dająca się zrazić niczém, mogła ją tak opętać. „Za co ona go kocha?“ — zapytywał się w duchu. Myśl ta napastowała go; nie mógł się jéj pozbyć. Gniewało go to i jakby bolało, Bóg wie dlaczego.

Gniewał się też na panią Felicyę za jéj cierpliwość i za jéj pokorę.

Sam zwykł borykać się i walczyć, więc nie rozumiał, jak to można zdać się tak na łaskę i niełaskę...

Minął tydzień i drugi.

We troje było im tu dobrze. Pani Felicya czuła się szczęśliwą; zapomniała już, że może więcéj wymagać. We troje stworzyli sobie swój odrębny mały światek, w którym miłość macierzyńska i przyjaźń rządziły nawspół.

Tymczasem pan Roman objechał sąsiadów, zgrał pulek bez liku, wymienił parę swoich gniadych na trójkę kasztanów i powrócił do domu. Powrócił na kilka dni tylko, umyślnie, żeby zabrać żonę i Władzia. Był proszony na tłusty czwartek w sąsiedztwo, o sześć mil od Turbowa.

Pani Felicya rzadko wyjeżdżała. Ludzie oswoili się już z tém, że pan Roman wszędzie bywa sam, nie pytali go nawet o żonę. Jak tam kto przypomniał sobie panią Felicyę, zapytał, czemu nie łaskawa, lub zapraszał do siebie, to pan Roman miał zawsze wykręt na pogotowiu.

Teraz proszono go z żoną, wyraźnie i koniecznie z żoną i z Władziem. Pan Roman obiecał i chciał dotrzymać obietnicy. Zapowiedział żonie zaraz, żeby na środę przygotowała sobie tualetę i Władzia oporządziła, posłał nawet do miasteczka po niezbędne sprawunki i po krawca.

Pani Felicya wolałaby siedzieć w domu, najpierw dlatego, że takie wyjazdy były zwykle połączone z tysiącem rozmaitych przykrości, a bardziéj jeszcze dlatego, że zima była tęga i Władzio mógł zaziębić się w drodze.

Nie śmiała z tém się odezwać, wiedząc naprzód, że mąż ją zakrzyczy i będzie jéj potém wyrzucał bez końca, że zrobiła babę z Władzia.

Posłuszna, jak zwykle, przygotowała się na dzień oznaczony.

Traczewski został, bo na jednych saniach nie mógł się pomieścić, a pan Roman nie chciał dawać drugiéj pary koni i odrywać parobka od roboty, chociaż radby był pochwalić się przed ludźmi guwernerem.

Państwo wyjechali we środę po południu z tém, że w niedzielę najpóźniéj będą z powrotem. Traczewskiemu tęskno było za malcem i za jego mamą. Wyglądał powrotu ich z upragnieniem i teraz spostrzegł, jak się do nich przywiązał. Brakowało mu gawędki z panią Felicyą przy obiedzie i po wieczerzy przy kominku, brakowało Władzia. Miał wprawdzie dużo roboty, bo gotował się do egzaminów, ale jakoś mu nie szło. Przy nich miał mało, bardzo mało czasu dla siebie, a robił więcéj. Teraz w téj pustce, sam na sam, nie umiał myśli zebrać, nie mógł się uczyć, nudził się, łaził z kąta w kąt i liczył godziny. Chodził niby na polowanie, ot byle się przejść, bo tak pojedyńczo, bez psa, ze strzelbą tylko, to nie polowanie przecie; uczył się trochę, rysował mappy dla Władzia i słuchał opowieści Marcina o nieboszczyku ojcu pani, o wuju i o panu Romanie, na którym stary zawsze kończył.

Tak doczekał się wreszcie niedzieli.

„Lada chwila przyjadą“ — powtarzał sobie, chodząc od okna do okna, ale noc zapadła, a państwo nie wracali.

Traczewski poszedł spać po dwunastéj; był zmęczony, zasnął prędko i snem twardym. Potém przez sen słyszał jakieś pukanie i stąpanie w kurytarzu, ale nie obudził się. Wszystko to wplotło się w senne majaczenia. Słyszał potém wołanie. Ktoś wołał nań z bliska, po imieniu, raz po raz. Ocknął się nareszcie.

— Panie Czesławie! — powtórzyło się jeszcze raz.

Poznał głos pani Felicyi.

— Słucham! Co pani rozkaże?

— Przepraszam pana bardzo — odpowiedziała — ale nie wiem, co począć! Niech się pan ubierze i wyjdzie do mnie!

— Zaraz pani — odpowiedział i zerwał się na równe nogi. Zapalił świecę i ubierał się spiesznie. Ubierając się, spojrzał na zegarek: mało co brakowało do trzeciéj.

— Sama pani wróciła? A pan Roman?—pytał, całując panią Felicyę w rękę.

— Roman pojechał z kuligiem. Ja wróciłam, bo Władzio chory...

— Chory—powtórzył żywo, z wielkim niepokojem.—Co mu jest?

— Czy ja wiem? Musiał się zaziębić; głowę ma jak ogień, usta. spalone... usypia i budzi się, chce pić ciągle, widać ma gorączkę.. Tak mi się nie chciało jechać, jakbym przeczuwała coś złego!

— Trzeba było spróbować, może-by pan Roman ustąpił...

Westchnęła tylko.

Poszli do Władzia.

Chłopak nie spał, leżał w znak i patrzył przed siebie, oczami rozwartemi szeroko, jak zwykle w gorączce. Wyciągnął ręce do Traczewskiego i uśmiechnął się.

— Jaka tam była pyszna maskarada! — zaczął zaraz. — Jeden chłopak, starszy ode mnie i wyższy, był ubrany za bociana... miał maskę z takim długim dziobem... ja byłem przebrany za mameluka, z szablą...

Traczewski pochylił się nad nim, pocałował go w czoło.

Malec uśmiechnął się do niego znowu, nadstawił usta do pocałunku i szczebiotał, ożywiając się na wspomnienie tego, co tam widział.

Traczewski stał tak zwieszony nad nim, wsparłszy się na rękach i przyglądał mu się uważnie.

— Dobrze się bawiłeś?—zapytał.

— Doskonale, bardzo doskonale... Zosia tych państwa była niby hrabina jakaś... miała włosy siwe, siwe takie, aż białe zupełnie...

— Pokaż no ozor!

Traczewski był już na ostatnim kursie medycyny; ale cóż z tego. W takich razach nawet bardzo doświadczony lekarz nie zgadnie, co grozi.

Żanych wyraźniejszych i zatrważających symptomatów nie było tu jeszcze, ale strach, jak wiadomo, ma wielkie oczy i widzi zawsze więcéj, niż jest do widzenia.

Bali się oboje bardzo, a Traczewski nie ufał sobie.

— Posłać po doktora—zaproponował, odchodząc od łóżeczka.

— Tak, ale kogo posłać, jakiemi końmi— zastanawiała się pani Felicya.—Stajenne konie zrobiły tylko co sześć mil, zmęczone... mąż będzie się gniewał...

— Niech się gniewa!—mruknął Traczewski.

„Odesłał żonę z chorém dzieckiem do domu, sam powlókł się z kuligiem... ładna lala, niéma co mówić“—dodał sobie w myśli.

— Niech się gniewa... niech się gniewa, niech się gniewa...— powtarzała pani Felicya szeptem. — Niech się gniewa... tu chodzi o dziecko!— wymówiła po chwili głośno, dobitnie, stanowczo.

— Tak to lubię!—pochwycił Traczewski i posłał dziewczynę po furmana.

W aptece domowéj znalazły się różne rzeczy, więc na razie zrobili, co się dało. Władzio usnął, ale rzucał się we śnie i bredził trochę. Traczewski przysiadł na łóżeczku, wpatrywał się w twarzyczkę jego, od czasu do czasu przykładał ucho do piersi i słuchał. Zdawało mu się, że słyszy coś niedobrego w płucach i to niepokoiło go najwięcéj.

Niebawem nadszedł furman. Wiedział już, o co tu chodzi, więc sam zaczął:

— Proszę pani, konie takie zmachane, że nawet jeść nie chcą. Kto to widział tak ganiać... Jak pan się dowie, dopiero będzie krzyku! Żeby chociaż zjedli ta wypoczęli.

Nie chciało mu się jechać do świtu, kiedy mróz najgorzéj tnie, więc wykręcał się i odkładał na późniéj.

— Może-by wziąć jakie lepsze folwarczne?— zagadnęła pani.

— Najlepiéj, proszę pani, żeby który parobek folwarcznemi pojechał — odpowiedział, udając głupiego i podsuwając innego na swoje miejsce.

— Za kasztany to pan-by się gniewał okrutnie, jakby Boże broń czego... — dorzucił jeszcze, żeby poprzéć swój wniosek.

Wiedział przecież, że pani boi się pana i nie ma własnéj woli.

„Niech się gniewa“—przemknęło pani Felicyi przez myśl. Słowa te obudziły znowu uśpioną energię. Czuła, że ma prawo rozkazywać tutaj, tylko z przyzwyczajenia wahała się jeszcze chwilkę.

Traczewski uprzedził ją.

Siedząc w sypialni przy Władziu, słyszał rozmowę z furmanem i przyszedł na pomoc pani Felicyi.

— Zaprzęgaj natychmiast i ruszaj, kiedy pani każe—przemówił właściwym tonem.

Nie poprzestał na tém, poszedł do stajni i dopilnował furmana.

Do białego dnia siedzieli przy Władziu.

Nad ranem malec uspokoił się, miał oddech równiejszy i twarzyczkę nie tak rozżarzoną, jak wpierw.

Zrobiło się im jakoś lżéj na sercu; zaczęli nawet rozmawiać.

Mówili półgłosem, żeby Władzia nie obudzić.

— Nie wiem doprawdy, co-bym ja tu robiła bez pana — powiedziała pani Felicya w téj rozmowie.

Traczewski uśmiechnął się.

— Tak się pani zdaje, że ja tu wiele pomogłem. Tyle lat obchodzi się pani bez opieki i jakoś pani sobie radzi. Czy to Władzio pierwszy raz choruje?... Nieraz zapewne zdarzało się to...

Zdarzało się to rzeczywiście nieraz i niejedną noc spędziła pani Felicya u kolebki Władzia w śmiertelnéj trwodze. Wówczas nie miała do kogo słowa przemówić, nie miała kogo się poradzić, była sama jedna, jak na puszczy, sama jedna, nawet kiedy pan Roman był w domu. Obchodziła się bez opieki i jakoś sobie radziła! Teraz przekonała się, jak to dobrze miéć taką rozumną, poczciwą opiekę.

Zadumała się.

Cała przeszłość smutna, pełna gorzkich, bolesnych zawodów, stanęła jéj przed oczami, jakby na zaklęcie. Rozpacz ją wzięła; łzy zakręciły się w oczach. Zakryła oczy ręką, żeby Traczewski nie widział tych łez, i oparła głowę na poręczy łóżeczka.

Traczewski myślał, że pani Felicya zaśnie, jak ją tu samą zostawi; pocichu na palcach wyszedł z pokoju.

Podniosła głowę, słysząc, że wychodzi, i pogoniła za nim spojrzeniem.

— Czemuż ja nie trafiłam na takiego!—szepnęła do siebie.

Władzio obudził się późno. Był żwawszy; widać, że te proste domowe środki pomogły mu, a długi sen pokrzepił. Chciał koniecznie ubierać się i iść na lekcyę do pana Czesława, ale matka nie pozwoliła na to.

Koło południa furman powrócił z miasteczka, ale powrócił bez doktora, przywiózł tylko z apteki lekarstwa, które Traczewski wynotował naprędce, przewidując, co może się przydać.

Zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło, że obejdzie się bez lekarza.

Cały dzień przeszedł spokojnie.

Traczewski prawie nie odstąpił Władzia. Coraz coś nowego wymyślał, żeby go rozerwać.

Wieczorem, malec, rozmarzony już nieco, przywołał do siebie Traczewskiego, kazał mu siąść na łóżku i przytulił się do niego, objąwszy w pół.

— Jaki pan dobry!—mówił z pieszczotą.

— Widzisz—wtrąciła matka—a pamiętasz, jak beczałeś, jak bałeś się pana Czesława?

— Pani bałaś się mnie także — podchwycił Traczewski, śmiejąc się.

— Zachciałeś pan! Jak się powierza dziecko w obce ręce, to strach bierze... Teraz dałabym panu Władzia bez wahania...

— Dziękuję—rzekł i wyciągnął do niéj rękę.

Położyła swoją rączkę na jego dłoni. Traczewski podniósł ją do ust.

Oczy ich spotkały się w téj chwili.

Pani Felicya cofnęła rękę, Traczewski nie śmiał jéj zatrzymać w swojéj dłoni.

Coś dziwnego wyczytali nawzajem w swoich oczach.

Pani Felicya odeszła i usiadła opodal na kanapce. Była jakaś zmieszana. Teraz, ni ztąd, ni zowąd, przyszło jéj na myśl, że to nie wypada, żeby Traczewski od rana do nocy przesiadywał tu w jéj sypialni. Nie wypada, zapewne... ale Władzio tego chce. Jakże tu pogodzić jedno z drugiém, konwenanse z zachciankami dziecka, i to chorego dziecka? Opatrzyła się, że cały dzień chodziła w szlafroczku i postanowiła sobie nie zaniedbywać się w przyszłości. Tak nagle jéj to przyszło, że nie mogła się połapać.

„Co się to stało?“ — pytała w duchu. — „Co się tu zmieniło, że takie myśli przychodzą mi do głowy?

— Władziu—ozwała się po chwili—możebyś ty już spał?

Władzio skrzywił się na to i zaczął się wypraszać!

— Mamusiu, ja zagram jeszcze w wilczka z panem Czesławem! Jeszcze raz tylko, jeden jedyny raz jeszcze!

Rada-by była dogodzić swemu pieszczochowi, ale chciała téż koniecznie pozbyć się Traczewskiego czémprędzéj, więc nalegała.

Traczewski domyślił się, czy téż przeczuł, o co jéj chodzi.

— Dosyć już, moje dziecko, na dzisiaj — powiedział tym tonem, którym zwykł mówić do Władzia, kiedy wymagał posłuszeństwa. — Jutro zagramy znowu.

Ucałował malca serdecznie, jak zwykle, podał rękę pani Felicyi i wyszedł.

Pani Felicya nie wołała służącéj, sama przesłała łóżeczko, ułożyła Władzia, pocałowała go na dobranoc, potém uklękła przy swojém łóżku i modliła się.

(Dokończenie nastąpi).

S. M. Roguski.

TEODORA ZAWACKIEGO

pamięć robót i dozoru gospodarskiego

z r. 1616.

Nasza literatura ziemiańska nie wiele ma dzieł, odnoszących się ściśle do rolnictwa. W ciągu XVI i XVII w. spotykamy się na tym polu z trzema tylko nazwiskami: z Gostomskim, Zawackim i Haurem. Pierwszy z nich, Anzelm, wojewoda rawski, napisał, ściśle biorąc, naukę administracyi rolniczéj, która wyszła poraz pierwszy z druku po jego śmierci w roku 1588, pod tytułem: „Gospodarstwo“. Jest to dzieło, pisane jędrnie, nieraz tak treściwie, jak potoczna mowa, a rzuca światło w jaki sposób rosły u nas te niesłychane z czasem pańskie fortuny. Doczekało się ono kilku wydań, z których ostatnie, krytyczne, opuściło prasę już w połowie b. wieku [1]). Drugim z kolei jest Teodor Zawacki, z zawodu prawnik, głośny na polu wydawniczém w XVII w. Trzecim Jan Kazimierz Haur, którego „Oekonomika ziemiańska“ ukazała się poraz pierwszy w druku 1675 r., a miała jeszcze w XVIII w. wiele wydań i przeróbek. Ponieważ z pomiędzy tych prac rzecz Zawackiego znana była tylko z przedruków, dokonanych po śmierci autora, a dwa pierwsze wydania, które odszukałem, należą do prawdziwych rzadkości bibliograficznych, przeto postanowiłem przedewszystkiém ją wydać w „Bibliotece pisarzów polskich“ [2]). Wła-

[1]) W r. 1856 w Krakowie przez Jana Radwańskiego.

[2]) Wydawanéj przez Akademię Umiejętności.

śnie przedruk jest już na ukończeniu i wkrótce będzie się mógł rozejść; chcę więc w niniejszym artykule o téj książeczce, jako téż i o rodzinie autora, dać krótką wiadomość.

W naszym ustroju społecznym zachodzą z końcem XVI w. wybitne zmiany, na co już w innéj pracy [1]) zwróciłem uwagę. Powiedziałem tam, że: „wówczas występuje u nas taki ustrój, który, z wszelkiém zastrzeżeniem, przecież można nazwać feudalizmem. Nie jest to feudalizm, jaki znamy, w jego naturalném i logiczném rozwinięciu na Zachodzie, ale taki, na jaki nas stać było, ze względu na naszą cywilizacyjną młodość. Zawsze to jednak, żeby go tak nazwać, feudalizm“ [2]). Pan nakłada cięższe warunki zależności swoim kmieciom, a sam coraz bardziéj ogląda się na potężniejszego sąsiada, który ze swéj strony jest zależnym od magnata, żywiącego na swym dworze cały rój szlacheckich synów, a otaczającego ich ojców opieką wobec prawa i bezprawia. A na szczycie król z całym pozornym majestatem, a przecież z cieniem tylko władzy, bo już całkiem od możnowładców, niby pierwszych wasalów, zależny.

Pozostaje to w ścisłym związku ze skupianiem się własności ziemskiéj w większe posiadłości. Bo pod koniec XVI w., nietylko władycze rycerstwo znika zupełnie z posiadłości ziemskich [3]), zaczyna się ten proces i z klejnotnikami. Jedni, wskutek życia nad stan, inni wskutek rozrodzenia się, nie mają już na czém gospodarować, i albo emigrują, kolonizując daleką Ukrainę, albo idą na służbę do panów, albo wreszcie wynoszą się do miast i miasteczek, osiadając na bruku. Zdaje mi się, że kolonizacya, otwierająca tak szerokie wówczas pole żywiołom, które się stają bezrolnemi, jest prawdziwą dla nas klęską, bo gdyby to wszystko, co szło wówczas na dalekie kresy, osiadało z musu wyłącznie po miastach, to wzmocniłoby tak dalece żywioł mieszczański, że możeby się nawet cała historya potoczyła inną koleją.

Z takiéj szlachty, która szukała oparcia na miejskim bruku, pochodził Teodor Zawacki. Jego dziad, pan Mikołaj z Zawad (w Płockiém), ożeniony z Katarzyną Drabówną ze Szczyrzyc, był — jak to opowiada Bartosz Paprocki [4]), mężem w sprawach rycerskich biegłym i szukał wojennego rzemiosła nawet po za granicami kraju. W roku

---

[1]) „Polska z czasów przedhistorycznych pod względem fizyograficznym i gospodarskim“ w Roczniku Zarządu Ak. Umiejęt. z r. 1886, p. 113.

[2]) l. c. p. 152.

[3]) K. Potkański „Zagrodowa szlachta i władycze rycerstwo“ w Rozprawach wydz. histor.-filog. Ak. Um. t. XXIII. Kraków, 1888, p. 173—267.

[4]) „Herby rycerstwa“ wyd. Turowskiego z r. 1858, p. 656.

1527 służy jako porucznik wojsk pieszych w zastępach Ferdynanda czeskiego, przeciw Janowi wojewodzie siedmiogrodzkiemu, obranemu na króla węgierskiego. W r. 1533 wyjechał do Niemiec, aby wziąć udział w gotującéj się potrzebie na Turka, a powróciwszy do kraju, rychło potém umarł. Paprocki podaje [1]), że zostawił przy życiu jednego tylko syna, Stanisława, ale wiadomość ta nie jest prawdziwa, bo szwagrem tego Stanisława był potém pan Marcin Miączyński, przysiężnik prawa wyższego na zamku Krakowskim [2]). Wobec tego i innych znanych powszechnie bałamuctw Paprockiego, jeszcze jedna wiadomość, którą ten autor o panu Mikołaju podaje, może nie ze wszystkiém jest wiarogodna. Mówi on mianowicie: że Zawacki po r. 1527 sprzedał dziedziczne Zawady i kupił wieś pod Krakowem. Ten dodatek wydaje mi się mniéj prawdopodobnym i przypuszczam, że dziad naszego autora, zmuszony sprzedać wieś rodzinną, odrazu z resztkami fortuny osiadł na miejskim bruku w Krakowie. Tak mi się zdaje dlatego, że jego syn, wybitna potém postać na naszym uniwersytecie, nazywany jest zawsze od młodości: „*cracoviensis*“ [3]). Bądź co bądź, musiała w każdym razie przynajmniéj pani Katarzyna, po śmierci męża, osiąść w Krakowie, gdzie wydała córkę za mąż, a syna, skoro mu już były lata po temu, posłała na uniwersytet.

Żebym w dalszym ciągu nie potrzebował coraz odbiegać od toku opowiadania, muszę teraz, w kilku zdaniach, powiedzieć coś o ustroju i kolei studyów naszéj głównéj szkoły w XVI w.

Uniwersytet nasz składał się właściwie z trzech wydziałów: teologicznego, prawnego i lekarskiego. Wydział nauk wyzwolonych, *facultas artistarum*, był tylko wydziałem przygotowawczym dla wstąpienia na trzy inne, po prostu wyższém gimnazyum w naszém dzisiejszém pojęciu. Statuta trzech innych wydziałów nie dopuszczały do słuchania wykładów tych, którzy nie otrzymali jeszcze stopnia magistra nauk wyzwolonych, *mag. artium liberalium*, mymagały owszém pięcioletniéj nauki na wydziale przygotowawczym, z których normalnie dwa były przeznaczone na zdanie egzaminu bakałarza, a trzy dalsze na wyższy stopień magistra. Zazwyczaj zapisywali się więc do uniwersytetu chłopcy, mający od 13—16 lat, i jeżeli byli średniéj zdolności i pilności, to już po czterech latach kończyli ówczesne gim-

[1]) l. c. 656.

[2]) Akt. miej. Krak. Ks. testamentów Nr. 296, f. 652.

[3]) W. Wisłocki. „Liber diligentiarum fac. art. Pars. I.“ Cracoviae 1886 (jako tom IV „Archiwum do dziejów lit. i oświaty w Polsce“, wyd. Ak. Um.), p. 470.

nazyum, wyjątkowo nawet we dwa lata, jakem to w innem miejscu na podstawie statystycznéj wykazał [1]).

Skoro uczeń ukończył, ze stopniem magistra, wydział filozoficzny, otwierały się przed nim dwie drogi, albo prywatna guwernerka, albo trzymanie się klamki uniwersyteckiéj.

Odzywają się nieraz poważne głosy, że nasz uniwersytet podupadł był dlatego, że się nim kraj nie opiekował należycie, i to jest zupełna prawda. Ale utyskiwania na temat, że w XVI w. nie zapisują się do naszéj szkoły synowie ziemian, mojém zdaniem nie zupełnie są trafne. Czytamy w XVI wieku w wielu źródłach: że młodzież współczesna na uniwersytecie jest niesforna, krnąbrna i rubaszna. Wobec tego, któż zamożniejszy miał ochotę posyłać synów do dalekiego nieraz Krakowa, gdzie trzeba było nająć stancyę prywatną i utrzymywać perceptora, a zresztą być i w trwodze, czy mór — tak często grasujący po miastach—nie wybuchnie. Z mniejszym kosztem a większą wygodą brało się ukończonego magistra lub bakałarza na wieś, który mógł dać synom szlacheckim to elementarne wychowanie, jakie dawał wydział filozoficzny. To jest, według mnie, dość zrozumiała przyczyna, dlaczego do naszéj szkoły głównéj w XVI w. zapisują się prawie tylko synowie kmieci i mieszczan.

Kto z magistrów pozostawał przy uniwersytecie, albo bywał wysyłany na nauczyciela do jednéj z wielu szkół, które w całym kraju téj głównéj podlegały, albo nie wyjeżdżał z Krakowa i zaraz z ucznia stawał się nauczycielem na wydziale nauk wyzwolonych. Naprzód, jako tak zwany *extraneus*, jakbyśmy dziś powiedzieli docent, który z czasem zostawał przyjętym do wydziału jako członek, naprzód mniejszego, a po latach wiernéj i pilnéj służby, i większego kolegium. Przez ten czas, już nieraz profesor wydziału filozoficznego, zapisywał się jako uczeń na jeden z trzech wyższych wydziałów, a po ich ukończeniu, jeśli tylko mógł, wyjeżdżał za granicę. I w tém nie widzę—jak chce wielu —zła. Przy najlepszém obsadzeniu katedr, dzieje się tak i dziś jeszcze dość powszechnie w całéj nieledwo Europie, że młodzieniec, ukończywszy w jednym uniwersytecie nauki, wyjeżdża do zagranicznych, żeby tym sposobem wzbogacić swoją wiedzę. W XVI wieku ma to jeszcze większą racyę bytu. Humanizm, który zapanował całemu wówczas światu, nietylko wyszedł z Italii, ale tam się przedewszystkiém krzewił, rozwijał i jak jasne słońce promieniował ztamtąd na całą Europę. Bolonia nie dała sobie wyrwać palmy pierw-

[1]) „Nasza literatura botaniczna XVI w" w Pamięt. wydz. mat.-przyr. Ak. Um., t. XIV, p. 152.

szeństwa w nauce prawa żadnemu innemu uniwersytetowi, podobnie było z Padwą [1]) pod względem filozofii i medycyny. Dlatego zbiega wówczas do Włoch rój młodzieży z całéj Europy, a więc z Niemiec i Francyi, które przecież nie zaniedbują swoich własnych szkół głównych. Owa tak pospolita emigracya naszych uniwersyteckich magistrów w téj epoce do Włoch nie jest wcale dowodem upadku naszego uniwersytetu w XVI w., tylko świadectwem, że łaknięto u nas pełną piersią nauki i rozumiano, że dobrze jéj i po za domem w dopełnieniu nabyć. Z ruchem tym łączy się jeszcze jedna okoliczność. Nasz uniwersytet był założony na wzór paryskiego, rektorował w nim profesor, a młodzież trzymana była w szkolnych karbach. Ustrój włoskich uniwersytetów był odmienny, uczniowie sami z pośród siebie wybierali rektora. Dla bujnych natur naszych XVI w. musiało to miéć niepospolity urok. Wreszcie należy podnieść, że kiedy u nas żądano przed wstąpieniem na medycynę i prawo egzaminów magistra, to zasada ta nie obowiązywała we Włoszech, gdzie uczeń współcześnie otrzymywał stopień doktora medycyny i filozofii. Cały więc ruch naszéj młodzieży, zwracający się wówczas do Włoch, nietylko jest naturalny, ale nawet zasługuje na pochwałę. Jest on dowodem, że z dziwną łatwością umieliśmy iść za prądami czasów i starać się o przyswojenie sobie współczesnego stanu umiejętności.

Stanisław Zawacki zapisuje się na uniwersytet Krakowski w r. 1546 [2]). Według tego więc, co powyżéj powiedziałem o wieku, w którym uczniowie zwykle do téj szkoły wstępowali, mógł się rodzić między r. 1530 — 1533. Kiedy otrzymał stopnie bakałarza i magistra, nie wiemy, bo w odpowiedniéj księdze uniwersyteckiéj [3]) jest właśnie przerwa, odnosząca się do lat 1542—1561 [4]). Dość, że chyba niezbyt pilnie się uczy, skoro dopiero w r. 1552 występuje poraz pierwszy jako *extraneus*, a w cztery lata potém zostaje zaliczonym do grona magistrów z kolegium mniejszego. W tym charakterze pozostaje jeszcze w letniém półroczu r. 1560, ale w ostatnich latach wykłada tylko przez swego zastępcę [5]). Tak jest oczywiście, bo w r. 1557, dnia 26 Marca, zwołał rektor na jego prośbę nadzwyczajną sesyę, na któréj

---

[1]) Porównaj doskonałą pracę Dr. S. Windakiewicza: „Padwa, Studyum z dziejów cywilizacyi polskiéj“ w Przeglądzie Pol. Nr. 269 i 297 z r. 1891, któréj autor zapatruje się jednak trochę pessymistycznie na wyjeżdzanie naszéj młodzieży do Włoch.

[2]) Album studiosorum w letniem półroczu: „Stanislaus Nicolai Cracov.“.

[3]) J. Muczkowski. „Statuta nec non liber promotionum“, Cracoviae, 1849.

[4]) l. c. p. 199—200.

[5]) Wszystko za Wisłockim l. c., p. 470.

pozwolono mu wyjechać dla dalszego kształcenia się w medycynie za granicę z warunkiem, aby na czas dwuletniéj swéj nieobecności pozostawił (płatnego przez siebie) zastępcę i żeby nie jechał na żaden uniwersytet heretycki, bo w takim razie zostałby wykreślony z liczby profesorów [1]).

Widocznie więc studyuje on przedtem jako magister medycyny, którą w tym czasie wykładało w Krakowie dwu profesorów zwyczajnych, prócz licznych może docentów. Jednym z nich jest, jak to wiem na podstawie szczegółowych studyów [2]), Wojciech z Poznania, zajmujący katedrę królewską, to jest fundowaną przy założeniu uniwersytetu; drugim Marcin z Krosna, siedzący na katedrze, opatrzonéj przez sławnego i tyle zasłużonego Macieja z Miechowa, z obowiązkiem, żeby jéj lektor oddawał się umyślnie astrologii. Dodam odrazu, że kolegą Stanisława na medecynie jest Feliks z Sierpca, człowiek znacznie od niego starszy, który z nim, może nawet współcześnie, wyjeżdza także za granicę, w tym samym celu. Przynajmniéj już w r. 1558 są oba w Padwie [3]), gdzie wówczas właśnie naucza największa medyczna sława współczesna, Gabryel Fallopia [4]), a obok niego wykładają: A. Francasano, Trincavello, S. Bellocato, H. Cautuane [5]), L. Bassiano [6]), a może i inni jeszcze profesorowie. Była to chwila, w któréj Polacy, znajdujący się w Padwie, mogli być dumni ze swego ziomka, Józefa Strusia, niegdyś profesora w Padwie, a podówczas lekarza królewskiego, osiadłego w Poznaniu. Właśnie bowiem w r. 1558 nadeszło tam dzieło jego o pulsie, tłómaczone z Gallena, ale uzupełnione własnemi spostrzeżeniami, które wszyscy padewscy lekarze przyjmowali z największą przyjemnością (libentissime [7]).

Jak długo Zawacki pozostawał w Padwie i kiedy ztamtąd do kraju powrócił, nie wiemy, to pewna jednak, że nie był na żadnym

---

[1]) „Comentaria univer.“ f. 205.

[2]) Kto zajrzy do „Słownika lekarzów polskich“ S. Koźmińskiego, znajdzie w nim więcéj profesorów naszego uniwersytetu, niż może miał on uczniów, Nie ujmuje to nic wartości téj bardzo zasłużonéj pracy, a pochodzi ztąd, że autor zanadto polegał pod tym względem na pewnéj powierzchownéj kompilacyi.

[3]) „Examen thematum D. S. Zawacki i per D. F. Syerpcium.“ Crac. 1563, p. 830.

[4]) Ib. p. 26 v.

[5]) Ib. 82 r. 83 v.

[6]) Ib. 55 r.

[7]) Podawano zwykle datę tego dzieła Strusia na r. 1555, bo taką ma przedmowa, a zresztą rok wydania nie jest wyrażony; ale oczywiście wyszło najwcześniéj 1557, skoro dopiero w następnym przyszło do Padwy. I to, że miało się rozejść pierwszego dnia w Padwie w 800 egzemplarzach, jest legendą, po pierwsze o tém wzmianka datuje z r. 1686. Gdyby tak było nieomieszkałby współcześnie bawiący tam Feliks coś o tém wspomnieć.

włoskim uniwersytecie [1]). Przeciwnie jego kolega, Feliks z Sierpca, był w Bononii, gdzie słuchał B. Farentina [2]), oraz w Rzymie, gdzie wykładali: S. Panuntio, S. Caesario, P. A. Contugio. Obcował też w tém mieście ze sławnym Realdem Columbus, odwiedzając go z Józefem Konarzewskim, doktorem praw, Jerzym Kalinowskim, oraz plebanem Marcinem z Soboty [3]). Tu się też i doktoryzował [4]). Pierwszy ślad jego w kraju znajdujemy w aktach uniwersyteckich [5]) z daty 24 Września 1561 r., z powodu okoliczności, nad którą nie chcę się rozwodzić, podniosę tylko, że już wówczas obiecuje mu uniwersytet za jego zachowanie się i pracę „in gymnasio“, dopomódz mu do otrzymania katedry medycznéj. Sposobność rychło się nadarzyła, skoro w roku następnym umarł profesor Marcin z Krosna, a Rada miasta, która miała prawo prezenty na tę katedrę Miechowską, jego proponowała. Obrano go 12 Lutego 1562 r. [6]), a 30 Kwietnia bronił rozprawy „pro loco“ [7]).

Ale w rok potém umiera i profesor katedry królewskiej, Wojciech z Pozuania, a o miejsce po nim ubiega się trzech kandydatów: Wawrzyniec z Biskupic [8]), Jakób Krajna, syn b. radcy miejskiego, oraz Stanisław Zawacki, wszyscy trzéj we Włoszech promowani [9]). Na wielkiéj sesyi uniwersyteckiéj 20 Października wybrano z pomiędzy nich naszego Stanisława [10]). Dano mu czas do 13 Grudnia, żeby wygotował tezy, których miał publicznie bronić, aby zostać wcielonym do wydziału medycznego. Zawacki ogłosił ich 55 [11]) i dedykował swą pracę wielkiéj wówczas lekarskiéj powadze, bardzo już staremu Wojciechowi z Poznania, lekarzowi nadwornemu Zygmunta Augusta i kanonikowi katedralnemu krakowskiemu [12]). Kto pracę tę

---

[1]) „Examen“ l. c. 51 r.

[2]) Ib.

[3]) 52 v.

[4]) „Acta rectorialia“ 1562, p. 385.

[5]) „Conclus. univ.“ p. 231.

[6]) Ib. p. 232, 233.

[7]) Ib. p. 234.

[8]) „Laurentius pontificius“, patrz Wisłocki l. c. 474.

[9]) „Conclus. univ.“ f. 241.

[10]) Ib.

[11]) Zawacki S. „Conclusiones seu theoreces suis illustratae adjectionibus“, Cracoviae A. Lazarus excus. 1563.

[12]) Ten Wojciech z Poznania ma przydomek Saxo, doktoryzował się w Padwie 1543 r. i był konsulem Rady miasta Krakowa od r. 1556 aż do śmierci w r. 1570. Jest to całkiem różna osobistość od Wojciecha z Poznania, mającego przydomki Misellus i Basa, po którym Zawacki objął profesurę. Z powodu pomieszania tych dwóch osób pisano różne bałamuctwa.

dziś przeczyta, ten, jeżeli nie jest lekarzem, który zajmował się historyą medycyny owéj epoki, w wielu kwestyach, tyczących się sposobu leczenia, nie może nic sądzić; ale mimo to uderzony jest trafnością wielu tez, które wybiegają na bardzo szeroki horyzont przyrodniczy i dla każdego są przystępne. Jeżeli bowiem czytamy [1]), że fundamentem medycyny jest zdrowy sąd i doświadczenie razem złączone, to widzimy w tém zdaniu wpływ takiego mistrza, jak Fallopia, który tą drogą doszedł do nowych i znakomitych odkryć anatomicznych. Potępienie zupełne astrologii [2]) i alchemii [3]) pokazuje wpływ zdrowy końcowego renesansu, który się już z tych średniowieczności szczęśliwie otrząsł. Ale w uniwersytecie, który miał biegłych astronomów i głośną niegdyś sławę w astrologii, kiedy tę wszędzie za poważną jeszcze umiejętność miano, w którym celował w tém nie jeden jeszcze żyjący członek, jak np. Mikołaj z Szadku [4]), w którym dziekan wydziału lekarskiego ów znany nam F. z Sierpca, specyalną katedrę medycyny astrologicznéj piastował, po ogłoszeniu tych tez zapewne zawrzało. Dysputa, na którą zebrało się grono znakomitości z poza uniwersytetu, między niemi Wojciech z Poznania i przyjaciel Kopernika, Joachim Rheticus [5]), musiała być gorąca. Szanowni i dostojni profesorowie, Marcin z Pilzna, dziekan wydziału filozoficznego, i Wojciech z Wędrogowa, poeta, mówca i najciętszy filozof, wytykali Zawackiemu błędy gramatyczne i retoryczne [6]) a Jan Sierpski, dotąd przyjaciel Zawackiego, bronił starych bogów i wpływu gwiazd i alchemii i zawieszania na ciele różnych przedmiotów w celu leczniczym. Ale Zawacki, który słynął z wymowy, musiał wyjść z téj rozprawy nie tylko zwycięsko, ale jako tryumfator.

Próżno obrażony dziekan, Feliks z Sierpca, sili się zbić teorye Zawackiego w osobném pisemku, któreśmy już powyżéj wielokrotnie cytowali. Uniwersytet staje po stronie Zawackiego i poleca zapisać w „Konkluzyach“, że pismo dziekana wyszło bez aprobaty uniwersytetu [7]). W tych dwu wierszach zapisany jest wyrok, pełen chluby, który sobie nasza stara szkoła wydała. Stanęła po stronie nowatorstwa i postępu nauki. Znać, że ludzie, którzy ją składają w owéj epoce, wcale nie są zacofani, owszem, stoją, jak przystało, na wysokiem naukowém stanowisku.

---

[1]) l. c. Concl I.
[2]) l. c. Concl XVI.
[3]) l. c. Concl XLVI.
[4]) Syerpcius l. c. 61r.
[5]) ib. 40. v.
[6]) ib. 92. r.
[7]) Conclusiones univ. f. 224.

Że doktor Stanisław wkrótce zdołał zająć wybitne stanowisko w uniwersytecie, świadczy zapiska [1]), z której wypływa, że, kiedy rektor, Marcin Krokier, wyjeżdża 31 Stycznia 1567 roku do Wrocławia, naznacza na prorektora właśnie nie kogo innego, tylko Zawackiego.

W roku 1572 imię tego młodego doktora staje się głośném w całéj Polsce, bo król Zygmunt August uświetnia mu herb rodzinny Rogala, dodając do niego Herkulesa [2]). Pan Piekosiński zwrócił moją uwagę, że w tym długim wywodzie przywileju, jaki czytamy w Paprockim, jest mowa o przyćmieniu rodzinnego klejnotu; musi się to właśnie odnosić do tego, że doktor wyrósł już na miejskim bruku i parał się fachem, który nic ze szlachetczyzną nie miał wspólnego. Z tego téż pewno powodu udawał się już i Zawacki z prośbą do króla o udostojnienie swego herbu.

W rok potém Rada miasta, która chętnie widziała w swém gronie ludzi z naukowym stopniem, a zwłaszcza lekarzy, wybiera go [3]) na swego członka [4]), i od téj chwili aż do śmierci pozostaje on na tém stanowisku. Tu odgrywa niemałą rolę [5]), będąc między innemi hetmanem wojsk miejskich nad wiertelem garncarskim [6]), ale w te szczegóły wchodzić nie będziemy.

Muszę teraz wspomnieć, że Zawacki nazywany jest powszechnie „Picus“, ztąd niektórzy nazywają go wprost „Dzięcioł“. Paprocki robi w wierszach, na cześć jego podanych [7]), widoczną alluzyę do tego; że przydomek ten poszedł ze świetnéj wymowy, z jakiéj był niegdyś głośny Pico de la Mirandola, to mówi już wprost Niesiecki [8]). Ale czy tak rzeczywiście? To jest uderzające, że w r. 1552, kiedy Zawacki mógł miéć co najwyżéj 22 lata, już jest tak nazwany [9]). Wprawdzie w tym wieku bywają już wymowni młodzieńcy, ale i to możebne, że to było przezwisko żakowskie. W każdym razie szczycił się nim doktor Stanisław, nigdzie źródła dzięciołem go nie nazywają, i ztąd bez błędu nie można go tak nazywać. Że był niezwykłéj wy-

---

[1]) Ręką Szadka na książce „C. Leovitio Ephemerides“ ab 1556—1606 Aug. Vin. 1557. pod 31 Stycznia 1567 r.

[2]) Paprocki „Herby“ p. 656—663 i F. Piekosiński „O dynastycznem szlachty polskiéj pochodzeniu“. Kraków 1888. Wyd. Ak. Um. p. 201.

[3]) 11 Stycznia.

[4]) Akta konsul. krakow. XXIII. f 449.

[5]) F. Piekosiński. „Prawa, przywileje i statuta Krakowa“. T. VIII Aktów histor. wyd. Ak. Umiej. 1885 p. 300, 309, 314, 316, 378, 383, 794, 1119, 1142.

[6]) l. c. p. 314.

[7]) l. c. p. 657 w „Decastichon“.

[8]) Niesiecki K. „Herbarz polski“ wyd. Bobr. Lipsk. 1842 t. IX p. 102.

[9]) Wisłocki „Liber diligentiarum“ p. 299.

mowy, to pewna, z czego czasem po cichu żartowali koledzy. Na jednéj z książek uniwersyteckich [1]) jest zapiska—jak mnie zapewnił pan Wisłocki—ręką Brożka zrobiona. Brożek opowiada w niéj, że doktor Schneeberger [2]), który był cudzoziemcem i *źle po polsku* mówił, zwykł był, po konsultacyach z Zawackim, mówić w gronie bardzo poufném swoją złą polszczyzną: „Pikus pleciu (plecie), chory bolu“ (a chorego boli).

Zawacki był dwa razy rektorem uniwersytetu: raz w półroczu letniém 1581, drugi raz w siedm lat potém. Za drugiego rektorstwa doprowadził do tak ważnego dla uniwersytetu założenia przygotowawczéj szkoły, z któréj z kolei wieków powstało dzisiejsze gimnazyum Św. Anny[3]). Sądzę, że wybór Zawackiego w tym właśnie 1588 r. na rektora nie był przypadkowy, że wybrano go umyślnie dla doprowadzenia do skutku dzieła, w którém uniwersytet wielką pokładał nadzieję.

Zawacki ustąpił dobrowolnie z uniwersytetu w r. 1591, a powód téj rezygnacyi nie jest nigdzie zapisany, ale można się gołatwo domyśléć. Był on zdeklarowanym nieprzyjacielem Jezuitów i (zwykł był mawiać: „Pessime cum patria nostra actum esse, quae istos non jam dudum eiecerit“ [5]). Otóż przez lat blisko dwadzieścia [6]), tak za biskupstwa Franciszka Krasińskiego, jak i Piotra Myszkowskiego, był on zastępcą tych kanclerzy uniwersytetu i piastował godność bardzo wpływową podkanclerzego. W r. 1591 zostaje tymczasem biskupem krakowskim wychowaniec Jezuitów, zupełnie im oddany, Jerzy Radziwiłł, i mianuje na podkanclerzego Mikołaja Dobrocieskiego [7]), doktora obojga prawa. Wobec takiego stanu rzeczy, człowiek niezależny, jakim był Zawacki, wolał całkiem ustąpić z uniwersytetu, któremu i tak wysługiwał się już lat 39.

---

[1]) Na jednym z egzemplarzów jego tez.

[2]) Patrz o tym wybitnym lekarzu i botaniku moją wyżéj cyt. rozprawę o lit. bot. XVI. w. p. 175—178.

[3]) Porównaj: J. Muczkowski „Wiadomość o założeniu uniwersytetu“. Kraków 1851 p. 122—126 oraz dr J. Leniek „Książka pamiątkowa 300 rocznicy założenia gim. Św. Anny“. Kraków 1888 p. XL et seq.

[4]) Wieborski „Dziennik spraw domu zakonu OO. Jezuitów u Św. Barbary w Krakowie“ w „Scriptores rer. pol. wyd. Ak. Umiej. t. VII. p. 30.

[5]) S. Klonowicz w bezimiennem pisemku: „Equitis Polonic. Jezuitas actio. prima“ 1590 p. 7. to ostatnie za J. Muczkowskim l. c. p. 126.

[6]) Bo już tak jest nazwany w przywileju nobilitacyjnym r. 1572.

[7]) Jako taki występuje Dobrocieski przy egzaminach w r. 1593. Patrz „Liber. prom.“ l. c. p. 241.

Zawacki był dobroczyńcą Dominikanów krakowskich, u których wybudował grób dla swéj rodziny i biednych studentów wydziału filozoficznego, jak świadczy marmurowa tablica, znajdująca się dziś w krużgankach tego klasztoru.

W r. 1599, już 70 letni starzec, wobec morowéj zarazy, panującéj w Krakowie, wyjechał do wsi Nawarzyce, gdzie 4 Grudnia sporządził testament, a umarł 12 Kwietnia 1600 r. [1]).

Z testamentu [2]) dowiadujemy się: że był dwa razy żonaty, że z pierwszéj żony miał syna Stanisława, już wówczas doktora medycyny bolońskiego uniwersytetu [3]), i nieżyjącą wtedy Zofię Allansową. Z drugiéj żony, Doroty, córki Andrzeja Marstella, miał pięcioro dzieci, dwoje drobnych, Dorotę i Mikołaja, oraz trzech synów, widocznie dorastających, jeżeli nie dorosłych wówczas, t. j. Jana Baptystę, Teodora i Ludwika.

Stanisław syn, jak już wspominałem, był doktorem medycyny, Ludwik wstąpił do Dominikanów [4]), o Janie wiemy tylko tyle, że się zdobył na pochwalny wiersz dla ojca [5]), a Teodor jest właśnie autorem książeczki, z któréj chcę zdać sprawę.

Teodor Zawacki jest autorem wielu dzieł i rozpraw i występuje jako taki w naszéj literaturze po raz pierwszy w r. 1602. Większość tych prac jest z dziedziny prawa, a z pomiędzy nich „Processus judiciarius Regni Poloniae“, którego pierwsze wydanie opuściło prasę w r. 1612, jest dziełem—jak twierdzą znawcy—wielkiéj wartości.

Że podróżował po Włoszech, Francyi, Szląsku, to można twierdzić na podstawie jego własnych wzmianek o tych krajach. Czy prawo studyował we Włoszech, tego nie wiemy, ale zdaje się, że nie uczęszczał na nasz uniwersytet, skoro niéma o nim żadnych wzmianek w „Liber promotionum“. W r. 1616 pisze o sobie, że dziesięć lat następuje od czasu, kiedy obrał sobie „spokojny żywot“, a więc w r. 1606 musiał się ustalić i wziąć się do jakiegoś zawodu, z pewnością nie tylko pisarskiego, skoro pierwsze dzieło wydał już cztery lata przedtém. Pan Sobieszczański podaje [6]), że był adwokatem w sądach krakowskich. Ze względu, że był prawnikiem, jest to prawdopodobne,

---

[1]) „Acta consul. crac.“ v. 31 f 490, którego data musi być dokładna, skoro oznaczono nawet godzinę 1 w nocy, tj. 9 wieczór.

[2]) Księga testam. akt. miej. Krak. v. 296 f. 651—656.

[3]) Windakiewicz S. „Informacya o aktach uniwersytetu bolońskiego“ w Arch. do dziej. lit. Ak. Um. t. VII p. 17—doktoryzował się 25 Maja 1591 r.

[4]) Niesiecki K. „Herbarz polski“ wyd. Bobrowicza, Lipsk 1842 t. IX. p. 103.

[5]) „Prophoneme“ Cracoviae 1610.

[6]) Pod Zawadzki Teodor p. 361.

ale z tych też powodów zostawiono zebranie dat do jego życia przyszłemu wydawcy jego pomników naszego prawa.

W przedmowie do drugiego wydania książeczki ziemiańskiéj, narzeka na swój mały chudoszlachecki dochód, z którego musi pokrywać swoje wydawnictwa, mówi o pomocy, którą mu w tym celu ludzie dają, i obietnicach możnych i królewskich, że go jakaś nagroda spotka. Skoro w r. 1637 pokazuje się przedruk „Pamięci robót“ bez przedmowy, ze skróceniami, oraz bez podania firmy drukarni, przeto można ztąd wnosić, że w tym roku już nie żył.

Dziełko rolnicze Teodora Zawackiego wyszło po raz pierwszy 1616 r. pod tytułem: „Memoriale Oeconomicum abr.—Pamięć robót i wszelakiego dozoru gospodarskiego, każdego miesiąca, oraz jako się gospodarz rządzić ma dla zdrowia“. Bliższy opis tego wydania znajdzie czytelnik w przedruku, który obecnie w „Bibliotece pisarzów polskich“ wydałem. Wydanie drugie z opuszczeniem „rządu zdrowia“ wyszło w cztery lata potém. Późniejszych edycyi ma być trzy, z których pierwsza, jak wspominałem, po śmierci dokonana z wielu opuszczeniami, opuściła prasę w r. 1637 i została przedrukowana przez K. W. Wójcickiego w jego „Bibliotece starożytnych pisarzy polskich“.

Z przedmów do wydań, wyszłych za życia autora, dowiadujemy się, że Zawacki pracował nad wielkiém dziełem rolniczém pod tytułem „Księga ziemiańska“, o czém rozpisałem się szerzéj w przedmowie do przedruku. Nieoszacowana to strata dla naszéj literatury, że dzieło to, które miało być ozdobione kilkuset rycinami, nie wyszło nigdy z druku.

Pierwsza część książeczki Zawackiego jest, jakbyśmy dziś powiedzieli, kalendarzem gospodarskim, w którym autor, miesiąc po miesiącu, przypomina, czém się gospodarz zajmować powinien, o czém myśleć, czego pilnować, co sprzedawać, lub kupować.

Naturalnie, że przy takim układzie, zgodnym z celem książeczki, ale chaotycznym, jeżeli chodzi o rozejrzenie się w różnych kwestyach ziemiaństwa XVI w., nie podobna zdać sobie z nich sprawy bez osobnego studyum. Żeby je ułatwić, dołączyłem do przedruku dwa indeksy, które każdemu pozwolą w każdéj chwili dowiedzieć się o każdym obchodzącym go szczególe.

Teraz zaś przystąpimy do zdania sprawy z treści téj pierwszéj części, to jest Kalendarza gospodarskiego, zaznaczając z góry, że może większa część znajdujących się tu przepisów wzięta jest z cytowanego już na czele tego artykułu „Gospodarstwa“ Anzelma Gostomskiego, wojewody rawskiego. Zawacki był oczytany—jak sam opowiada—we współczesnéj literaturze rolniczéj, równie jak w staroży-

tnych autorach; naturalnie ślady tego oczytania z trudnością dają się tu odszukać, bo i sposobności do tego niéma. Tylko rzecz o winnicach i winie takie ma pewno pochodzenie. Zresztą są podane praktyki, wzięte z codziennego życia, których któż w Polsce, a zwłaszcza szlachcic, nie znał.

„*Kto chce rządnie żyć a nic nie utracić, w jesieni obrachuj wszystek dochód, tak panie, jako i chudy, bo, czegoć niedostanie, z nowego łacniéj opatrzysz, niż na wiosnę*“ — taka jest najmądrzejsza zasada dobrego rządu, którą nasz autor wypowiada. Ten obrachunek mógł polegać przedewszystkiém na dokładnych inwentarzach, i jeżeli dziś w dobrych gospodarstwach starannie są prowadzone, to jednakże nie odnoszą się do takich drobiazgów, jak w XVII w. Wtenczas spożywano nie tylko plon i większą żywiznę, ale nasiona ogrodu, owoce, ptactwo domowe, jedném słowem wszystko, co uprawiano lub hodowano. Kontrola była nad tém wszystkiém ścisła; dostawał pasterz karb powierzonych sobie zwierząt, a z dwu inwentarzy jeden znajdował się u pana lub urzędnika, drugi u gospodyni lub jéj *staréj pani*. Dozór nad bydłem miał urzędnik i jedna z dworek; musieli oni jesienią zdać sprawę, ile wychowali przypłodku, ile zebrali pieniędzy z jego sprzedaży.

Dochód właściciela stanowiły w pierwszym rzędzie dani od kmieci i sep [1]) od nich, oraz od młynarzy. Potém szła sprzedaż przedewszystkiém żyta i to *skoro* przed św. Marcinem (12 List.), bo oczywiście, im kto wcześniéj miał namłócone, tém rychléj mógł się go pozbyć. Za tém pszenica i owies, który najdroższy bywał w Styczniu, i wtedy radzi go Zawacki rozprzedawać „*dla siebie go i dla przyjaciela z potrzebę zostawiwszy*“. Wtedy była też pora pozbywać się owoców suszonych, kwaśnéj kapusty lub warzyw; bo tylko ten, komu te zapasy jesienne wyszły, wogóle te rzeczy w Polsce kupował. Przed postem bito oléj z rzepnicy, lnu, konopi — a na pański stół z maku — i baniami sprzedawano. Bydło z paszy szło na targ w końcu Lipca, a potém we Wrześniu po siewach, oraz w Czerwcu; w Grudniu bito wieprze na połcie i sadło.

Wydatki nie były znaczne: zapłata czeladzi, urzędnika, staréj pani oraz ich przyodzianie; potém przedewszystkiem sól, kupowana w Kwietniu na lato i we Wrześniu na zimę. Wyjątkowo większe budowanie pociągało za sobą wydatek na rzemieślnika, którego go-

---

[1]) Najdawniejszy podatek zboża, które jest sypkie, zkąd nazwa.

dzono z wiosną, żeby robił na długim dniu. Zresztą jakieś drobniejsze wydatki, jak np. na żelazo, pokrywały się z drobnych sprzedaży i nie wchodziły w rachubę. Chyba przyszedł pomór: na bydło, ptactwo, pszczoły, to trzeba było rozsunąć kaletę i gotowy grosz na stół wyłożyć.

Stosunek dworu do kmieci wielokrotnie jest w książeczce wspomniany. Mamy więc zestawione wszystkie dani kmiece, a mianowicie: czynsz, najem, miodowe, gajowe, karczemne, rybne, kapłony, kokosze, kury, chmiel, jaja, łój, pieprz, gęsi, owies, żyto, pszenica, manna, żołądź, orzechy, bukiew, konopie, ser, raki, siemię. Oczywista rzecz, że autor zestawił tu wszystko, co w różnych okolicach kraju pobierano. Że tak jest, dowód w tém, że nie wszędzie rodziła się pszenica, nie wszędzie szumiały dąbrowy i buki. Zresztą w jednéj i téj saméj wiosce nie każdy kmieć składał wszystkie, zależało to od rozległości ziemi, którą względnie posiadał, i starodawnéj umowy, na podstawie któréj posiadł ziemię. Ale opuszczono tu dwie jeszcze, t. j. robociznę w naturze i sporządzanie przędzy, które do kmiotówien należały.

Czynsze odbierano przed św. Marcinem, a kto nie oddał zaraz, nakładano winę; dani wybierano powoli, w miarę potrzeby, naprzód od najuboższych, a potém od dostatniejszych, którzy łacniéj zachowali ptactwo i zimą. Ułatwiano kmieciom powinności i dbano o ich dobrobyt, bo, im kmieć zamożniejszy, tém téż i pan lepiéj się miewał; widoczne to z wielu wzmianek. Autor zaznacza, że kmieć nie powinien zatrzymywać pańskiego bydła, zajętego w szkodzie, ale ma je odprowadzić do dworu, gdzie mu wypłacano szkodę. Wspomina téż, że przy oddawaniu czynszu na św. Marcin ma być dane *„prawo i krzywd posłuchanie“*; to należy rozumieć w ten sposób, że się odnosi do wsi, w których pan nie mieszkał i raz tylko do roku sam o téj porze zjeżdżał, albo przysyłał urzędnika. Bo, gdzie pan siedział na jednéj wsi, tam zawsze kmieć miał do niego dostęp i szedł śmiało ze skargą na włodarza, dwornika, czy dziesiętników, i prawo dawano mu doraźnie.

Składne gospodarstwo stoi robieniem wszystkiego we właściwéj porze roku i ciągłym dozorem roboty. Pod temi względami znajdujemy wiele trafnych uwag. Przedewszystkiém tę, że lato samo ukazuje robotę, i tylko, dając z dnia na dzień dyspozycye, trzeba dawać dwie na przypadek pogody lub słoty. Wiosną trzeba rozważnie myśléć o polu, bo o téj porze, prócz żyta i pszenicy, wszystko się sieje, nie tylko na roli, ale i w ogrodzie. Z zimą najtrudniéj trafić do ładu, ta wymaga największéj rozwagi, i, co się zimą omieszka zrobić, to już w tym roku stracone. Dlatego trzeba jesienią dać pa-

miętne urzędnikowi—na podstawie inwentarzy — czego powinien naprzyczyniać przez zimę, czy z materyi do budowania, czy z różnorodnych statków. Bo tego wszystkiego tak cynów, jak szkut, i tego, co do nich potrzeba, winien być zawsze zapas, żeby czego nie brakło, a zwłaszcza skoro pora w drogę. Wogóle wiosną i podczas złéj drogi, a także w niepogody, należy robić pieszym człowiekiem, czy w gumnie, czy w stodole, czy w ogrodzie, czy w porządkowni, sprzężajem jesienią i zimą, kiedy konie kmiece są odpaszone, a droga najsposobniejsza, zwłaszcza saniami.

Dobry gospodarz ma nie tylko dawać trafne zarządzenia, ale i sam dozorować wszystkiego; zwłaszcza zimą, powinien trzy razy dnia zajrzeć do obór, stajen, chlewów, czy żywizna ma ciepło i dość karmu, ba nawet nocą powinien budzić pasterza i owczarzy. Rola powinna być pomierzona, bo tylko tym sposobem może pan miéć wyobrażenie, ile nieobciążliwie może jeden człowiek na daném polu zorać, uradlić lub zżąć. I przy wożeniu drew trzeba miéć wymiar, co kmieć w dobrą drogę może przywieźć z lasu lub boru.

Kilkadziesiąt ustępów odnosi się do robót przygodnych; w różnych miesiącach przypomina autor, kiedy co robić należy, i wszędzie przebija ta zasada, żeby wszystkiego było wbród i na zapas. Tak np. radzi w Styczniu „cynów wszelakich—gdzie jest dębina, tam kołów, słupów—gdzie sośnina, tam żerdzi, dylów i drew do palenia, łuczywa na kominy,—nawozić, narąbać; także wszelkich statków naprzyczyniać, tak tych, ktore doma urobić może, jako i kupnych, kędy las—leśne, gdzie garncarz—z gliny, gdzie kowal—z żelaza“. Podobnie radzi, skoro wozy wracają z pola, zwozić kamienie, pleść chrusty, robić maty, powrosla i snopki do poszywania.

Nie byłoby końca, gdybym chciał wszystko wyliczyć, skoro nieprzepomniano: „że doły po wybraniu rzepy trzeba zasypywać, żeby wiatr piasku nie rozniósł“. Ale chcę podnieść, że o zbieranie popiołów trzy razy upomina: w Styczniu, w Październiku i w Grudniu. Radzi nie tylko z kuchni i pieców popiół zbierać, ale także spalać umyślnie w tym celu makowiny i chmieliny, a także starą drzewinę z sadów, bo ta daje najlepszy popiół. Z popiołów robiono bowiem powszechnie po domach mydło, a kto zebrał ich moc, to sprzedawał do Gdańska, gdzie je dobrze płacono, wywożąc do Anglii. Nie każdy bowiem wychodził „jak Zabłocki na mydle“, który, mogąc las inaczéj dobrze spieniężyć, spalił cały na popiół, który mu na Wiśle utonął.

Ciekawy też jest szczegół, co dworki zimą robiły. Nietylko przędły kądziel, ale darły też pierze, obierały groch, krajały suszone grzyby, wędzoną rzepę, przebierały zagniłą rzepę, warzywa i owoce dla wieprzów, robiły wreszcie powrosła i powrozy. Robota koło ko-

nopi i lnu była jednak ważném ich zajęciem, musiały przynajmniéj cały zapas ich zmiędlić, zczesać i przygotować na przędziwo, które pod wagą dawano, z próbną miarą, kmiotównom do roboty.

Uprawa roli, hodowla oraz sprzęt roślin polnych, są odpowiednio obszernie traktowane. Podniosę szczegół, że autor radzi brać w ogóle najlepsze ziarno do siewu, prócz tatarki, którą radzi: „co podlejszego ziarna i co namniejszą na nasienie schować, bo taka, jaką posiadają gospodarze, najlepiéj się rodzi“. Należy przypuścić, że w owych czasach nie miano jeszcze szlachetnych odmian tego zboża, tylko pospolitą, o owocach z wielkiemi skrzydełkami, które rzeczywiście są największe w płonnych ziarnach, jakie pozornie możnaby uważać za najdorodniejsze.

Na polach siano: bób, groch, jęczmień, orkisz, owies, proso, pszenicę (jarą i ozimą), soczewicę, tatarkę i żyto (jare i ozime) na zboże; siano: rzodkiew i rzepę (która dochodziła niekiedy wielkości bani)—bo te rośliny zastępowały wówczas ziemniaki—daléj len i konopie. W czasach, kiedy o hodowli koniczyny—zjawiającéj się u nas dopiero pod sam koniec zeszłego wieku—nie miano wyobrażenia, wyka była ważną paszą; siano ją bądź samą, bądź w mieszankach, które autor nazywa „sześciorakiém zbożem“, lub w inném miejscu „troistém nasieniem“, wspominając wyraźnie, że, prócz wyki, należy tu jęczmień, owies i gorczyca. Naturalnie, że nazywa tak łopuchę. W XVII wieku zboże czyszczono przez szuflowanie, a chwastów bywało w niém wiele, to téż niemało zbierano nasion łopuchy, z któréj, za świadectwem Syreńskiego, kmiecie wybijali oléj, i którą, jak się pokazuje, dodawano do mieszanek. Spotykamy się w tém dziele z ciekawém wyrażeniem „zachowałe gumno“; oznaczało ono ten stosunek do należnéj roboty kmiecéj, że właściciel nie wymagał latem czy jesienią całéj robocizny, lecz odkładał ją na zimę, aż do młócenia zboża, do któréj to czynności ówczesna robocizna byłaby nie wystarczyła.

O łąkach bardzo mało jest wzmianek, ale nie dowodzi to wcale, żeby w ówczesném gospodarstwie nie miano o nich starania, tylko wynika z kalendarzowego układu książeczki.

Uprawa ogrodów zajmuje bardzo dużo ustępów. Naturalnie ogród w początkach XVII wieku jest tylko ogrodem warzywnym i sadem; pojawiają się wprawdzie za wpływem włoskim ogrody w dzisiejszém znaczeniu, ale te spotykają się koło pańskich rezydencyi i nazywają się „ucieszne“, „rozkoszne“ lub „pańskie“. W ogrodzie warzywnym hodowano pospolicie: czarną kapustę (odmianę jarmużu, jaką sadzą dziś w Normandyi dla bydła), ćwikłę, kapustę głowiastą, marchew (taką, jaką dziś pastewną nazywamy, bo karoty nie lubiano), paster-

nak, czasem rzodkiew i kucmerkę [1]). Prócz tych warzyw, melony (dziś banie) i ogórki, sałatę i liczne rośliny do przyprawy potraw, jak: cebulę, chrzan, czosnek, koper włoski, majeran, pietruszkę, rutę i szałwię. Hodowano też na oléj: mak i rzepnicę, chmiel do chmielenia piwa, ziółka pachnące do apteczki, wreszcie banie, (dziś tykwami zwane), z których robiono naczynia, przydatne do przechowywania suchych rzeczy, i flaszki, z któremi puszczano się w podróż, tak jak to pospolicie dzieje się dziś jeszcze we Włoszech.

Zawacki wspomina i o sadzie, o szczepieniu, sadzeniu i pielęgnowaniu drzewek, nawet o „drzewkach cudzoziemskich“, jak figi lub pomarańcze, które zimą trzymano w izbach lub piwnicach. Daje też liczne rady co do winnic, widocznie z obcych źródeł.

O inwentarzu żywym co krok nieledwo jest wzmianka, ale najmniéj o koniach, najwięcéj o bydle, owcach i świniach. O jakiémś poprawianiu ras tylko przy tych ostatnich zwierzętach jest mowa; autor radzi krzyżować polskie z niemieckiemi. Godne zanotowania, wśród powodzi powszechnie znanych rzeczy, że owce pospolicie u nas wówczas dojono. Ciekawym jest też następujący ustęp: „Przypłodek wszelki stada, bydła, owiec, gęsi, kur, kaczek, indyków, pawiów etc. i wszelaki inszy piętnować, znakować, tak w małych folwarkach, jako i w wielkich, kędy jedno sam pan abo pani nie liczy ani zna swego dobytku, przy wielkości majętności, albo trudności jakiéj inszéj. Pasterskie, urzędnicze i czeladne piętnować na lewym uchu, a pańskie na prawym i liczbę w regestr pański, wiele tego kędy ma być, tamże gdzie i pańskie spisać. Stadu piętno, bydłu znak dlatego czynią, żeby się mogło poznać między cudzém i dla odmienienia skóry, gdy zdechnie“.

Ale najważniejszą wzmianką nietylko w tym dziale, ale w ogóle w całéj książce jest ta: „W dworze mieć klacze, woły, co niemi niech robią. A może tém bydłem chłopkowi zasiać, który sprzężaju nie ma, a jeśli się nie wspomoże, już trudno o nim radzić. A tego bydła dwornik, pasterz, włodarz ma dojźrzéć“. Wzmianka ta, chociaż nie zwraca tak dalece uwagi na pierwszy rzut oka, przecież dlatego jest niezmiernéj wagi, bo dowodzi, że w początkach XVII w. jeszcze gospodarstwo folwarczne jest u nas zaledwie w zawiązku. Ten ustęp jest wzięty z Gostomskiego, ale że go Zawacki na trzydzieści lat potém powtarza bez zmiany, pokazuje się z tego, że za jego czasów wiele było takich majątków, w których, podobnie jak w pierwszéj połowie XVI w. w całéj Polsce, pan nie miał ani jednéj sztuki wła-

[1]) J. Rostafiński. „Kucmerka pod względem geograficzno-botanicznym i historyi kultury“. Rozpr. wydz. przyr. Ak. Um, Kraków 1884 t. XII.

snego inwentarza roboczego, jak nie miał: ani pługa, ani radła, ani wozu, bo mu to nie było potrzebne. Kmieć uprawiał całą ziemię, którą w ogóle w majątku uprawiano, a właściciel trzymał krowy dla mleka, woły na opas, owce dla wełny, a wszystkie te zwierzęta i świnie także dla mięsa. Dopiero odkrycie Ameryki, przez które pieniądz w ogóle bardzo staniał, a przez które w Anglii i Flandryi rozwinął się przemysł, odrywający ręce od roli, spowodowało większe zapotrzebowanie naszego zboża na eksport [1]). Tymczasem ustawy sejmowe XVI wieku, odbierające kmieciom ich dawne prawa, spowodowały emigracyę téj ludności roboczéj na Ukrainę i zaczęły powoli zmuszać właścicieli do przechodzenia na folwarczne gospodarstwa.

Już wspominałem, że w gospodarstwie ówczesném, gdzie robotnik prawie nic nie kosztował, praca ludzka nie tak się ceniła, jak najlżejsza korzyść, jaką można było z jéj pomocą osiągnąć. To téż jak Polska długa i szeroka, wszędzie starano się wyzyskiwać wszystko, co tylko w gospodarstwie dało się wyzyskiwać. Wspominałem téż, że nie znano jeszcze koniczyny, a o paszę musiano dbać bardzo, bo opasowe woły i wieprze karmne niemało dawały dochodów. To téż starano się wszelkiemi sposobami zwiększać zimową paszę. W tym celu podczas lata zbierano opiołki na polu i w ogrodzie, potém na jesieni nać z marchwi i rzepy, oraz innych warzyw, rozścielano, suszono, a w zimie warzono dla opasów.

Ptactwo domowe cieszyło się w dawniejszém gospodarstwie wielką opieką; nietylko pierze było w cenie i znajdowało pokup wśród bogatego mieszczaństwa, ale czeladź żyła przeważnie kurami, które latem były tańsze, niż mięso. To téż o ptactwie dość jest wzmianek w książeczce. Autor radzi, żeby co najmniéj trzymać na każdym folwarku po kopie niosących się kur i gęsi. Radzi téż tym, którzy kaczek nie mają, żeby ich jaja kupowali w kwietniu i podsadzali pod kokosze. Rzecz ciekawa, że jeszcze w początkach XVII wieku ten ptak nie był pospolicie przyswojony. Poprzedni Zawackiemu, Gostomski, mówi to samo z wyraźną wzmianką, że wychowywano domowe kaczki z dzikich.

O rybach niewiele jest uwag; w każdym razie z tych, jakie są, znać, że odgrywały ważną rolę, że nie było chyba wsi bez sztucznych stawów. Przecież pod tym względem przodowaliśmy nieledwo Europie i nasza literatura ma oryginalne prace XVI wieku. Ryby nietylko jadały się żywo złowione, nietylko rozwożono mrożone po całym kraju, zwłaszcza z okolic Lwowa, ale je także suszono latem i w tym stanie przechowywano na adwent i post wielkanocny.

---

[1]) Patrz Rostafiński „Polska z czasów przedhistoryoznych l. c."

Jeszcze mniéj ustępów o pszczołach, ale przecież tyle, że znać, ile ważyły w ówczesnéj spiżarni, zastępując powszechnie tak drogie jeszcze „Kanary“, czyli cukier z trzciny cukrowéj, którego wówczas dostarczała Europie Madera i wyspy Kanaryjskie.

Parę wzmianek o zwierzętach szkodliwych, szeroko o łowieniu much w garnce z dziurą, do którego przywiązany worek, która to praktyka dotąd u nas zachowała się w Opoczyńskiém.

Z tego, co Zawacki mówi o myśliwstwie, aniby można nabrać wyobrażenia, jakie ono zajmowało miejsce w ówczesném życiu ziemiańskiém. I to téż dorywczo tylko zaznaczono, co było współcześnie bardzo powszechne, to jest łowienie ptaków w siatki. Autor wspomina, że tak łapano: jarząbki, kuropatwy, kaczki dzikie, skowronki i słowiki. Zające powszechnie brano w sidła; brała je tak nietylko pańska czeladź, ale i kmiecie.

O zapasach spiżarnianych dużo się można doczytać. Można się doczytać, jak zaopatrywano spiżarnię w masło, mleczno, sery, mięso solone i wędzone, ryby suszone, jaja, w zapasy chleba, rozmaite kasze, pączki i „prażmo“. Tak nazywano niedojrzałe ziarna żytnie ususzone. Wówczas jednorodnych łanów zboża trudno się było dochować, skoro nie było jeszcze młynków do czyszczenia ziarna. To téż, zwłaszcza z pośród pszenicy, wycinano kłosy żytnie o ziarnach jeszcze miękkich, słodkawych, i bądź warzono je odrazu, jako tak zwaną „nową kaszę“, bądź téż suszono i chowano jako prażmo.

Z warzyw rzepa, kapusta i pasternak stanowiły główne zimowe zapasy, naturalnie, że nie zapominano o kwaszonych ogórkach, o cebulach i innym—jak mówiono—„szczebrzuchu ogrodowym“. Szły daléj grzyby, manna, dająca wyborną kaszę, zbierana z łąk wilgotnych, jak i dziś jeszcze, choć wyjątkowo, kmin z pól, oraz inne nasiona i zioła ogrodowe. Z tego, co dziś konfiturami nazwano, spotykamy tu wiśnie i orzechy włoskie w miodzie smażone. Z płynów oleje, gorzałka, jabłecznik i wino są notowane.

Wszystkie te zajęcia i roboty rozmieszczone są w kalendarzu, a przy wielu oznacza autor dokładnie, kiedy mają być wykonane. W tym razie albo jest mowa o pewnym dniu w związku z lunacyami, albo téż dzień ten wyraźnie jest oznaczony, ale zupełnie wyjątkowo datą, zazwyczaj nazwą świętego, który w pewnym dniu przypada. I tu rzecz bardzo ciekawa. Reforma kalendarza gregoryańskiego została u nas wprowadzona w r. 1582, przez co już w następnym roku wszystkie Fabiany, Macieje, Gertrudy, Marki, Filipy i t. d., do których stosowały się praktyki rolnicze, przesunęły się o 10 dni wcześniéj, a mimo to rutyna trzymała się nie dawnych praktyk, tylko dawnych nazw, i polecała robić w polu wszystko o 10 dni wcześniéj.

Że w XVII wieku trzymano się przy rozpoczynaniu jakiéjś czynności w gospodarstwie zmian księżycowych, cóż dziwnego, skoro nie obcinano nawet włosów inaczéj. To też czytamy u Zawackiego, że wino należy przetaczać z beczki do beczki w ostatniéj kwadrze i w tym czasie podorywać ściernie, że gnój trzeba zmiatać w takich też warunkach, bo lepiéj ugnije, a rozrzucić go, gdy „miesiąca“ ubywa, nawet chróst na palenie i drzewo na budowanie najlepiéj rąbać w ostatniéj kwadrze. Te same praktyki odnoszą się do zwierząt. Wieprze bić w ostatniéj kwadrze, w takim czasie pokładać cielęta, stawy zarybiać i cielęta odsadzać. A co do roślin, to wzmianek jeszcze więcéj. W ostatniéj kwadrze należy obłamywać gałązki do szczepienia, siać groch i wykę, rolę orać na len i kapustę, siać tatarkę, pszenicę. Tylko ogórki i banie sadzą się w pięć dni po nowiu.

Wszystko to już są przesądy, których jest i więcéj odmiennéj natury. Zawacki mówi, że drzewa szczepionego w Lutym robaki nie toczą; że płótno najbielsze bywa, jeżeli się bieli, kiedy drzewa kwitną; radzi łowić węgorze, gdy grzmi; w ulach otwory mazać na Filipa mlekiem owczém, żeby się pszczoły dobrze roiły; mówi, że w pszenicy, sianéj trzy dni przed, albo pod pełnią, niéma wiele chwastów; poleca kłaść olszowe liście w sąsieki, żeby myszy szkód nie robiły; kwitnienie żyta jest jakoś szkodliwe nietylko dla kurcząt, które wtedy rade zdychają, ale i dla zboża leżącego na spichlerzu, które trzeba wówczas szuflować, żeby nie zatęchło; wierzy, że majowa rosa pomaga krostawym, ale najlepsze jest to wyobrażenie gospodarza, że „kwietniowy śnieg starczy za gnój“.

Druga część książeczki ma tytuł: „Pamięć jako się gospodarz rządzić ma dla zdrowia w każdéj ćwierci roku i w każdym miesięcu, gdyż nie smaczno gospodarować temu, kto zdrowia nie ma, jak Palingenius pisze: robustus fossor, rege est felicior aegro“.

Jestto kompilacya z dziełka wierszowanego, pochodzącego z XII wieku, ale głośnego jeszcze i w XVI, które nazywano: Regimen scolae Salernitanae, albo Flos medicinae, z dzieł Hippokrata, Galena, oraz z „Lekarstw doświadczonnych“, wydanych w r. 1563 przez Marcina Siennika, które to ostatnie źródło autor zamilcza.

Rzecz rozpoczyna się wstępem racyonalnym na swój czas. Świat złożony jest z czterech pierwiastków: powietrza, ognia, wody i ziemi, które to żywioły składają i ciało ludzkie, tworzące z nich odpowiednie humory: krew, żółć abo kolerę, flegmę i melancholię. Te znów panują czterem częściom roku. Krew mnoży się od 14 Lutego do 14

Maja, potém żółć do 14 Sierpnia, melancholia trwa aż cztery miesiące do 14 Grudnia, a flegma ostatnie dwa. Zdrowie zależy od równowagi tych żywiołów, należy więc dbać w każdym z tych peryodów, żeby dominujący pierwiastek nie wziął zbyt góry nad innemi. Rady na to nie trudno. Wiosną trzeba mniéj jeść i to wybierać rzeczy pieczone, a więcéj pić, ale trunków nie mocnych, kochać się ile kto chce. Letnia kolera może być opanowana przez spokój, potrawy wilgotne i chłodne, napoje słabe i skromność. Melancholia pozwala używać potraw korzennych i kwaśnych, ale musi być wyrzucana emetykiem. Podczas zimowéj flegmy należy więcéj jeść warzonego mięsa, mniéj pić, ale głównie purgować głowę, bo w niéj przecież siedzi flegma! jak to widzimy z kaszlów, katarów, sapek.

Po takim wstępie, uzasadnionym licznemi wyjątkami łacińskich wierszy salernitańskiego rządzenia zdrowia, przechodzi autor „do zawziątku“ swego zadania i rozbiera: jako gospodarz miesiąc po miesiącu ma się zachować.

W Styczniu należy się wystrzegać tylko solonego mięsa. Dobrze jest wziąć na czczo haust mocnego wina, różanego miodku albo imbieru, pieprzu czy gwoździków.

Picia, jedzenia wielkiego
Waruj się we dni Lutego,
Puszczaj krew z palca pierwszego
Miód jedz, a chroń się zimnego,

Tak radził Siennik, tak za nim powtarza kompilator.

W Marcu łaźnia jest dobra ale puszczanie krwi szkodliwe, rano na czczo polecona zakąska, nie zbyt powabna, bo: czosnek, szaléj lub ruta, kto ma wzrok słaby może jeść sałatę z betoniką.

Na Kwiecień regimen nie trudny, ale ciekawy motyw, żeby nie jeść śledzi i słonych rzeczy, bo od nich ludzie „krostawieją!“

W Maju nie należy jeść głowy i nóg żadnego zwierzęcia, a często myć twarz.

Nie pij w Czerwcu piwa młodego,
Wina się chroń, miodu mocnego.
Jedz sałatę z podróżnikiem,
Wodę zdroju pij nachyłkiem,

Lipiec radzi umiarkowanie we wszystkiém w dzień i w nocy a na czczo jedzenie chleba z szałwią i rutą.

Sierpień jeszcze radzi być skromniejszym, poleca kurczęta i karczochy.

Za to Wrzesień pozwala na używanie, ale zaleca już i lekarstwa, podobnie i następny miesiąc, w którym dla wzmocnienia żołądka dobrze jest jeść tort z jabłek z cukrem.

Listopadowe rady nie są zbyt zachęcające, bo odradzają wiele rzeczy, które wcale złe nie są. I Grudzień jest posępny.

Grudnia głowę zakrywaj
A z jéj żyły krwie upuszczaj,
Jedz z chrzanem nogi wieprzowe,
Mycie częste nie jest zdrowe.

W ogóle więc nie tylko pod względem pożywienia, ale i pod innym, należy zachowywać mierność w używaniu, od tego zależy zdrowie. A zależy, jak to autor daléj rozbiera, od sześciu rzeczy: 1) od powietrza, 2) od pokarmów i napojów, 3) od tuczenia i purgowania ciała, 4) od poruszania i odpoczywania, 5) od spania i czucia, 6) od poruszania zmysłów dusznych. Cała reszta książeczki jest też poświęcona kolejnemu rozbiorowi tych rzeczy, które nazywano *non naturales*.

To wszystko, co Zawacki mówi o powietrzu, to podpisałby i dziś każdy higienista, nie żachałby się i na to, co powiedział szczegółowo o różnych pokarmach, jak: chleb, mięso, owoce, jarzyny, jaja, mleko, ser, masło, ryby.

Ta część jednak o pokarmach jest kompilacyą z obcych źródeł i bardzo rzadko zdarza się spotkać z jakimś sądem, na swojskości opartym. Tak, mówiąc o mięsie, wspomina, że zdrowe jest z dzikiego ptactwa, „jako kuropatwa, jarząbek, cietrzew, kwiczoł, pardwa drop, ba zięby i czyżyk z jabłki nie zła potrawa“. Pokazuje się, że łowiono u nas ptaki nie tylko z amatorstwa łowów, ale, że jadano i takie, których dziś nie używamy. Przy wyborze potraw cytuje przysłowie „nie każdemu dobre zdrowo“ i mówi, że chłopu lub robotnikowi, zamiast śliży lub kuropatw, odpowiedniejszym pokarmem są: kapusta, groch, szołdra (szynka), słonina, skąd widoczne, że warstwy robotnicze bez porównania lepiéj się żywiły u nas w XVI w., niż obecnie.

Za tém stoi rzecz o napełnieniu a daléj o purgowaniu. Tu dowiadujemy się szczegółowo, jaki jest związek humorów z żywiołami, czytamy bowiem: „A humory te są: krew gorąca a wilgotna, podobna powietrzu, która ma swe miejsce w sercu; a oddech jéj nozdrze. Jasna żółć, którą zowią cholerą, podobna ogniowi, która ma swe miejsce przy wątrobie; a oddech jéj uszy. Czarna żółć, którą zowią melancholią, podobna ziemi, sucha a zimna, która ma swe miejsce w śledzionie; a oddech jéj oczy. Pituita po łacinie a po grecku flegma wilgotna a zimna podobna wodzie, która ma swe miejsce w pęcherzu; a oddech jéj usta. Te wilgotności żywot człowieczy trzymają dziwną miarą; kiedy im gwałtu nie czyni. Albowiem jeśli je-

dna drugą czym przezwycięży, mnożą się z tego rozmaite niemocy". Uczymy się daléj, że krew mnoży się w ciele człowieczém do czternastu lat, cholera dłużéj bo do dwudziestu dwu, melancholia jeszcze dwadzieścia lat dłużéj, a flegma najwytrwalsza pomnaża się do ośmdziesięciu. „A potym" — mówi autor — „jako Dawid mówi, labor et dolor".

Potém następuje charakterystyka temperamentów, które, przez nowszą fizyologię wyśmiane i wrzucone do kosza rupieci, znowu zaczynają dziś wypływać na wierzch. Charakteryzuje je autor w ten sposób: „W kim krew panuje z przyrodzenia, taki człowiek jest ciała zupełnego (jędrnego), rumiany, wesoły, cudny (grzeczny), żartowny, łaskawy, śmiały, i do wszystkich rzeczy sposobny... A wszakże i w tym się nie nazbyt kochać trzeba, bo jeśli nad miarę krew obfituje, takiego człowieka będzie głowa bolała nawięcéj w czele: bo czoło w głowie właśnie jest miejsce krwi: taki też człowiek jest podległy gorączkom i wrzodom gorącym rozmaitym. Znamiona zbytniéj krwie te są: ciało czerwone, pełne, żyły wypięte, a takiemu najlepiéj krew puścić z żyły głównéj, abo z nosa, którymkolwiek sposobem.

„W którym człowieku panuje cholera, taki człowiek pyszny bywa, chełpliwy, gniewliwy, popędliwy, zdradliwy, szczodry, śmiały, kosmaty, piegowaty, lisowaty, która jeśli miarę przejdzie, a ta bywa, gdy kto rzeczy gorących i przyrodzeniu swemu równych używa; ztąd przychodzi bolenie głowy w prawéj stronie, zwłaszcza zapalenie oczu, zapalenie wątroby, żółta niemoc, tercyana i inne niemocy gorące. A przetoż trzeba tę gorącość chłodzić, a w miarę wprawować rzeczami wilgotnemi i chłodnemi, jako jest laktuka (sałata), kurza noga (portulaka), szczaw, mleko makowe i inne rozmaite chłodzące rzeczy.

„W którym człowieku flegma panuje, tacy ludzie bywają tłuści, leniwi, niedowcipni, często plują, nieradzi pracują, ospali, ciężcy, białéj płci, nie mężni a wysocy. A gdy się ta wilgotność rozmnoży, ztąd pochodzą rymy (katary), oczu płynienie, niechęć do jedzenia krosty, płynące wrzody, ograżki zimne (gorączki z dreszczami), puchlina; przetoż trzeba takiemu pomagać rzeczami gorącemi a suchemi jako pieprzem, imbirem, gałganem (inaczéj gałgant, rodzaj pieprzyka), miętką, Bożém drzewkiem, piołynem i inszemi rzeczami.

„W kim panuje melankolia, tacy ludzie bywają mali i szczurzy (szczupli), nie weseli, osobni (szczególni), wysokiéj myśli, bojaźliwi zdradliwi, uporni, pilni, długo gniewliwi... mało śpiący, dowcipni. Zbytek téj wilgotności czyni boleść głowy w lewéj skroni, bo to jéj tam miejsce jest, jako flegmie w tyle. A gdy w kim przewyższa, jest

przyczyną szaleństwa, głowy zawracania, kwartany, czarnych wrzodów i inszych chorób rozmaitych. Takiemu trzeba używać rzeczy gorących a wilgotnych, któreby jego przyrodzenie do miary przywodziły: miéć z ludźmi towarzystwo, zabawę, krotofile, a swaru się chronić. Drugim téż ludziom melancholia z zwyczaju panuje, jako to widzimy w ludziach uczonych, którzy zamykając się na swych lukubracyach, o ludzie mało dbają i samą się tą uciechą kontentują, poznawać rzeczy głębokie z czytania i spekulacyi. Obyczaje tedy od tych wilgotności, które w człowiecze są, pochodzą".

Za tém idą szczegółowe sposoby, jakiemi środkami należy wyprowadzać te zbyt bujne humory, np. przez puszczanie krwi, bańki, łaźnię, womity i t. d. Godne zanotowania, że Zawacki pisze: „ale ze wszystkiego purgowania nic szkodliwszego, jako krwie puszczanie, bo, jako mówią, qui minuit sanguinem, minuit vitam", ale zaraz podaje przecież wiele wyjątków, w których to puszczanie za dobre uważa.

Czwarta rzecz o poruszaniu ciała i odpoczywaniu nie zawiera nic szczególnie ciekawego, podobnie i właściwa treść o śnie, ale potém mówi co robić, wstawszy, i tu daje bardzo charakterystyczny obrazek, który dosłownie przytaczam:

„Wstawszy po spaniu, człowiek chrześciański ma się najpierwéj przeżegnać i Panu Bogu się poruczyć, jeśli nie usty, przynajmniéj sercem, a potym troche z pokojem pobywszy (zachowując się spokojnie), przechadzając się i członki rozciągając, ma głowę po lekku (lekko) paznogciami zdrapać, a potym grzebieniem słoniowym zczesać, od przodku grzebień zawodząc aż do tyłu głowy, przez czterdzieści namniéj razów; oczy i usta wodą zimną świeżą wymyć, także twarz i ręce; szyję ostrą chustką wytrzéć, w chędogą koszulę i szaty się oblec, i cokolwiek woniającego zgryść nad czczo, gdy ma z domu wyniść...

„Umywszy się i ubrawszy, jeśli kościół blisko, przystoi to dobremu chrześcianinowi, aby mszy św. wysłuchał i jałmużny według możności swéj ubogim udzielił; jeśli téż daleko kościół, więc na osobnym miejscu modlitwy swe odprawić. Niedziele jednak, nic inszego w nię nie robiąc, na służbie Bożéj strawić trzeba, chceszli abyć Pan Bóg na gospodarstwie i na zdrowiu, o których tu piszę, błogosławił. A rządny gospodarz, każdy człowiek, dwadzieścia i cztery godziny takby miał sobie rozdzielić: ośm godzin spać, dwie godzinie na modlitwie strawić, rano jednę, drugą wieczór, dwie godzinie u stołu, cztery godziny (kto się tym bawi) do czytania albo do pisania obrócić, rano dwie, od wieczora dwie, ostatek na pracę i zabawy (zajęcia) różne, jakie na każdego w którym stanie należą.

W szóstéj i ostatniéj rzeczy o poruszaniu zmysłów dusznych jest mowa o błaznach, polowaniu i rzeczach, których tu przytaczać nie mogę; także jest mowa o lekarstwach na frasunek, wśród których czytamy:

„Tym też podobne lekarstwo na frasunek daje nasz szlachetny Kochanowski:

Z wina dobra myśl rośćie;
A frasunek podlany
Taje, by śnieg zagrzany.

A na drugim miejscu:

Lutnia wódz tańców i pieśni uczonych,
Lutnia ochłoda myśli utrapionych.
Ta serca miękczy swym głosem przyjemnym
Bogom podziemnym".

Cały traktat kończy się opisaniem, bardzo niedołężném, kompasu słonecznego, który sobie każdy może zrobić, trzymając słomkę w ręku.

Taka jest w grubych zarysach treść książeczki; kto ciekaw, doczytać się więcéj, niech bierze w rękę oryginał.

Józef Rostafiński.

W GÓRACH GRECYI.

Jeśli ty jeszcze chodzisz gdzie po świecie,
Duchu przeszłości o płomiennych piórach,
Musisz tu stawać na skał nagich grzbiecie,
I trzymać głowę w lecących tych chmurach,
I miéć tu stopy trącane wód pianą,
W bryzgi rozbitą i w tęczę wiązaną.

Musisz ty jeszcze potężnym swym krokiem
Grzmiéć po tych głazach, co w przepaść się walą,
Błyskawicowém musisz patrzéć okiem
Za wag żywota chwiejącą się szalą,
I wywoływać z zachodu i wschodu
Ogromnych łuny zórz, widzianych z młodu.

Musisz ty jeszcze narady miéć swoje
Z duchami, co tu we mgłach smętne płyną,
Ziemi oddawszy kość, sławę i zbroję;
Musisz ty jeszcze północną godziną
Do tych popiołów gadać, do tych prochów,
Co piorunowy skon miały i pochów.

Musisz ty jeszcze nocami cichemi
Dumać o czołach i piersiach z granitu,
O wielkich trumnach świecących wskroś ziemi,
O twierdzach ducha, tarczami błękitu
Nakrytych, których bronią z chrustu płoty
I uronione w ziemię łzy — i poty.

Musisz ty jeszcze pod blaskiem miesiąca
Stać, jak obelisk strzelisty i biały,
I ronić w ciszy pieśń, co pójdzie wrząca
W lasy i w pola na ranne hejnały,
Ażby od spiżu odbite gdzieś echo
W lemiesz brzęknęło, pod złotych zbóż strzechą.

Zawsze ty bowiem stałeś podniesiony
Ku orlim drogom i ku słońca grotom;
A kiedyś błysnął, to na świata strony
Ludy się twoim dziwowały lotom,
A kiedyś padał ze swego zenitu,
To nie w kałużę—lecz w trumnę z granitu!

Marya Konopnicka.

BEATRYCE I FRANCESCA.

Nie, ja nie wielbię ciebie, Beatryce!
Nie jesteś ty mój ideał niewieści,
Boś ty wielkiemu mężowi boleści
Wtedy zjawiła swe słodkie oblicze,
Gdy już się z piekieł na dzień dźwignął boży,
Na tło różane i wiecznéj brzask zorzy.

Nie poszłaś ty z nim za dni połowicy
W on las posępny, gdzie duch szuka drogi,
Nie byłaś światłem dla jego źrenicy,
Gdy ją zwątpienia zaćmiły i trwogi;
Sam się obłąkał w gąszcz dziką i czarną
Wielki ów tułacz i pątnik z nad Arno.

Ciebie przelękły okręgów tych ciemnie,
Co kaźnią ducha i miejscem są męki.
Może cię wołał i wzywał daremnie,
Może naprożno chciał dotknąć twéj ręki,
Może cię szukał oczyma przy sobie,
W téj wielkiéj pustce i żywych ciał grobie.

Ciebie ta brama spłoszyła swym zgrzytem,
Co jak trumienne zapada się wieko
I dzieli oczy skazańca z błękitem,
Z łanem pól żytnich i z chatą daleką,
Nie, ty nie przeszłaś przez ciemne wierzeje,
Gdzie ten, co wchodzi, zostawia nadzieję.

I łódź ta mglista na martwych wód fali,
Co z łez ulane zdrętwiały w swym biegu,
Gdzie każda kropla westchnieniem się żali,
Bez ciebie, pani, odbiła od brzegu.
Słyszysz ten cichy plusk? To płyną duchy,
Lecz ty im swojéj nie dałaś otuchy.

Posępny żeglarz sam przybił do lądu,
Co ciszą krzyczy swą, a pustką woła,
Do smętnych brzegów przerażeń i sądu,
Zkąd Bóg odwołał jasności anioła,
Lecz gdzie się sercu zostało świtanie,
Bo jest, od śmierci mocniejsze, kochanie.

Ciebie przeraził ten wicher, co goni
Na wspólną mękę złączone dwa duchy.
Widzisz tych dwoje? pierś z piersią, dłoń w dłoni,
Jak ich porywa pęd ślepy i głuchy?
O Beatryce, o liljo niebieska,
Silniejsza nad cię miłością Francesca!

Ta, gdy jak gołąb użala się biały,
Alighier twarzą zmierzchł i zaszedł w cienie.
A choć przycichły wichry i omdlały,
I otchłań miała swoje odpocznienie,
On padł, jak człowiek rażony złym grotem,
Bo sam, bez ciebie był, i wspomniał o tém.

Ogniste mary z palącym się włosem
Przelękły ciebie; nie miałaś ty siły
Iść, aby cierpieć maluczko ich losem;
A te tragiczne otwarte mogiły,
Zkąd czarne płomię i dym siny bucha,
Zawściągły stopę twą, zdrętwiły ducha.

Tyś krok cofnęła od bagien tych jadu,
Gdzie okowane pracują zmierzchniki,
Gdzie ten, co omdlał, przepada bez śladu,—
Zamknie się nad nim grób, a krzyk ów dziki,
W którym z przekleństwem swój żywot wyzionie,
Pochłoną czarne bezdennych wód tonie.

I tam cię także nie widziano, pani,
Gdzie duchy krzyczą językiem płomieni;
Zdala ty byłaś od owéj otchłani,
Co się jak czasza rubinów czerwieni
Wnętrzem swéj mętni, a z wierzchu jest czarna
I cicha, wielka kostnica cmentarna.

Tyś się przelękła żałosnych tych borów,
Gdzie słychać lament drzew, gdzie gałąź woła;
Tych pomieszanych duchowych kolorów
Pół potępieńca, a pół archanioła,
Którego w kaźni Bóg musi zostawić,
Bo ani przekląć może, ani zbawić.

Twych bławatkowych oczu jasność cicha
Nie wzeszła gwiazdą w prastaréj téj nocy,
Gdzie ciemność bierze kształt i smętnie wzdycha,
Po drogach błądząc, kędy bez pomocy
Konającego słychać dech i głosy,
Od których cierpnie mózg i wstają włosy.

Przeszedł te piekła i wyszedł bez ciebie
Wielki ów piewca jęku i wieszcz zgrzytów;
A tyś się lilją kwieciła na niebie
I stałaś w modréj jasności błękitów,
Niedosiężona tchem czarnéj otchłani...
Nie, ja cię wielbić nie mogę, o pani!

Marya Konopnicka.

KONWERSYE.

Długi szereg lat pokoju międzynarodowego i możność pracy spokojnéj, w dziedzinie finansowéj pociąga zwykle za sobą większe nagromadzenie się kapitałów i natarczywe zaofiarowanie ich na rynku pieniężnym, co oczywiście znów ma w skutku zniżenie opłacanéj za pożyczenie kapitału ceny, czyli ogólnéj stopy procentowéj. Prawda, że z drugiéj strony tani pieniądz i łatwość pozyskania go zwykle zachęca ludzi do przedsiębiorstw rozmaitych, wymagających znaczniejszych zasobów pieniężnych; one-to pochłaniają zbyteczne kapitały, zwiększają popyt na gotówkę i znów albo podnoszą stopę procentową, lub przynajmniéj stoją na przeszkodzie niezwykłemu jéj zniżaniu się.

Niezależnie od drobniejszych tego rodzaju fluktuacyi na rynku pieniężnym, spowodowanych wypadkami czy to ekonomicznemi, czy téż politycznemi, a sprowadzających chwilowe, lub dłużéj trwające, okresy zniżania się i podwyższania stopy procentowéj, ogólny ruch w tym względzie, na szeroką skalę wzięty, w bieżącém stuleciu przedstawia się, jak następuje: Wojny napoleońskie wyczerpały nietylko zasoby Francyi, lecz, paraliżując wszelki ruch ekonomiczny, fatalnie oddziałały na stosunki finansowe wszystkich krajów europejskich. To téż, gdy w r. 1817 minister francuski pragnie zaciągnąć pożyczkę, musi udać się do angielskiego domu braci Baringów, którzy przejmują obligi 5% pożyczki po 51½ za sto, tak, iż stopa pro-

centowa wypada na $9^{52}/_{100}$. Kilkunastoletni pokój rychło zmienia stosunki finansowe, a przy końcu restauracyi rząd francuski znajduje odbyt na 4% pożyczkę po kursie 102 za sto. Wypadki lipcowe chwilową sprowadzają zmianę, podrażając kapitał, ale już w kilka lat później stosunki zmieniają się znów w kierunku przeciwnym, tak, iż n. p. 4% listy zastawne landszafty zachodnio - pruskiéj w r. 1835 na giełdzie osiągają kurs $102^1/_2$, a w r. 1837 nawet $104^1/_2$, co instytucyę tą w r. 1838 powoduje do skonwertowania listów zastawnych na $3^1/_2$% i do wydawania odtąd tylko $3^1/_2$ procentowych listów.

Tymczasem już w piątém dziesięcioleciu naszego wieku, stosunki kredytowe nowéj ulegają zmianie. Wtedy-to bowiem rozpoczyna się w zachodnich krajach Europy na wielką skalę budowa kolei żelaznych, absorbująca kolosalne środki pieniężne. Koleje żelazne popychają ruch ekonomiczny na zupełnie nowe tory. Obok kolei żelaznych powstaje cały szereg zakładów przemysłowych, którym łatwość komunikacyi zapewnia rozwój. Świeżo w życie wprowadzona zasada towarzystw akcyjnych toruje drobnemu kapitałowi drogę do udziału w przedsiębiorstwach budowy kolei i zakładów przemysłowych, które zapewniają wyższe zyski i podnoszą wymagania co do oprocentowania kapitału. Równocześnie zaś i rolnictwo potrzebuje większego kapitału, ludność bowiem zaczyna szybciéj wzrastać, zwiększa się konsumcya płodów rolniczych, a więc zarówno dla pożyczek państwowych, jako i dla listów zastawnych instytucyi hypotecznych, $4^1/_2$ — 5 od sta jest normalną stopą oprocentowania, która czasowo jeszcze podnosi się skutkiem wypadków r. 1848, daléj podczas wojen: krymskiéj, włoskiéj, prusko - austryackiéj i niemiecko - francuskiéj.

Przez parę lat, po wojnie francusko-niemieckiéj, stopa procentowa dla walorów stale oprocentowanych, jako to; pożyczek państwowych i listów zastawnych, trzyma się na dosyć wysokim poziomie, głównie skutkiem tego, że ruch w dziedzinie przemysłu i handlu obiecuje wyższe oprocentowanie kapitałom, w tym kierunku lokacyi szukającym. Gdy obietnice te okazują się złudnemi, a krach giełdowy przyprawia o niesłychane straty wielu, którzy powierzyli oszczędności swoje przedsiębiorstwom przemysłowym i handlowym, na akcye utworzonym, zwróciły się kapitały znów ku walorom, nie zapewniającym jakichś nadzwyczajnych zysków, lecz przynoszącym stały, z góry zapewniony procent, a od tego czasu normalna stopa procentowa zniża się powoli ale stale, tembardziéj, gdy od kilkunastu lat trwający pokój sprzyja gromadzeniu się kapitałów.

Do jakiéj normy dziś doszła stopa procentowa na zachodzie Europy, widać najlepiéj z najnowszych pożyczek: francuskiéj i nie-

mieckiéj. W Styczniu r. b. francuski minister skarbu zapotrzebował 869 miljonów franków, a konsorcyum bankierskie, które zobowiązało się dostarczyć mu téj sumy, rozpisało subskrypcyę na 3%-we obligi téj pożyczki po $92^1/_2$ za sto; publiczność ofiarowała $14^1/_2$ miliarda franków. W Lutym r. b. skarb niemiecki i pruski odwołały się bezpośrednio do publiczności, pierwszy z zapotrzebowaniem 200 mil. drugi 250 milionów marek. Ofiarowano publiczności w zamian 3%-we obligi po $84^1/_2$ za sto. Otóż pod warunkami temi podpisano na pożyczkę niemiecką 9 miliardów marek, na pruską zaś 7 miliardów, tak, iż zaledwie drobna część żądań publiczności mogła być uwzględnioną. Umieszczony w pożyczce francuskiéj pieniądz przynosi $3^1/_4$%, w pruskiéj i niemieckiéj cokolwiek ponad $3^1/_2$%.

To, co powiedzieliśmy dotychczas, odnosi się głównie do warunków rynków pieniężnych Europy zachodniéj. Wobec licznych stosunków, łączących Cesarstwo i Królestwo z zagranicą, to, co się dzieje w sferach finansowych Europy zachodniéj, nie może pozostać zupełnie bez wpływu na rynki pieniężne Cesarstwa i Królestwa. Odmienna waluta atoli ogranicza siłę wpływu, a daleko mniejsza zasobność w kapitały przyczynia się do tego, że stopa procentowa u nas bywa znacznie wyższą, niżeli za granicą. W znacznéj mierze taniość lub drogość kapitału na rynkach wewnętrznych zależy od tego, jakiém zaufaniem walory ruskie cieszą się za granicą. Gdy pokup na nie wzrasta, wychodzi więcéj tych walorów za granicę, rynki wewnętrzne mniéj są niemi zalane, wtedy podnosi się ich kurs, a stopa procentowa zniża się. Przeciwnie ma się rzecz, gdy zagranica pozbywa się walorów ruskich.

Otóż od paru lat wzmógł się znacznie popyt na walory ruskie za granicę. Do pewnego stopnia przyczyniły się do tego stosunki polityczne. Wejście Włoch do ścisłego przymierza, które łączyło Austro-Węgry z Niemcami, i zaostrzenie się stosunku pomiędzy Włochami a Francyą, przyczyniło się do tego, że kapitaliści francuscy, którzy przez długi czas wyłącznymi byli odbiorcami na rentę włoską, straciwszy zaufanie do polityki włoskiéj, zaczęli pozbywać się wszelkich walorów włoskich, skupując w zamian za to walory ruskie. Wprawdzie równocześnie kapitaliści niemieccy, pod wpływem różnych zarządzeń władz niemieckich i agitacyi prasy urzędowéj, zaczęli sprzedawać walory ruskie, których podobno za blisko 2 miliardy marek było w ręku Niemców; ale skutek był już tylko ten, że walory ruskie z faworytalnego papieru kapitalistów niemieckich stały się ulubioną lokacyą kapitału francuskiego. Gdy zaś Francuzi, jak wiadomo, są o bardzo dużo zasobniejszymi w kapitały od Niemcow, kredyt ruski na zamianie téj świetnie wyszedł. Kurs walorów ruskich,

niski w porównaniu z walorami francuskiemi, zaczął podnosić się dosyć raptownie, tak, iż powołany wówczas świeżo do zarządu finansami ruskiemi p. minister Wyszniegradskij mógł pomyśleć o konwersyi wysoko oprocentowanych walorów ruskich na niżéj oprocentowane. Początek oczywiście zrobiono z walorami metalicznemi, które, jako nie nastręczające ryzyka kursu, za granicą lepszy mają pokup. Próba udała się dobrze, a w przeciągu niespełna dwóch lat p. Wyszniegradskij, korzystając umiejętnie i zręcznie z położenia targu pieniężnego i usposobienia kapitalistów francuskich, przeprowadził konwersyę prawie wszystkich metalicznych 5% pożyczek państwowych na 4%-we, zmniejszając przez to znacznie ciężary skarbu; 4% metaliczne pożyczki ruskie mają dziś na giełdach zagranicznych kurs *pari*.

Przez długi stosunkowo czas pieniężne rynki Cesarstwa i Królestwa nie pospieszyły za tém zniżeniem stopy procentowéj, a nawet kurs walorów 5%-wych, brzmiących na walutę papierową, na giełdach notowany był niżéj *pari*. Nie daléj, jak pół roku temu, atoli i tu zaczęło się zmieniać położenie. Zdaje się, że zagranica, widząc od dosyć dawnego czasu zatrzymanie się kursu waluty, nie podlegającéj tak znacznym jak dawniéj fluktuacyom, i nabrawszy do niéj zaufania, zaczęła nabywać także w większych ilościach walory ruskie na walutę papierową. Skutkiem tego podniósł się ich kurs, papiery 5%-we przekroczyły kurs *pari*, $4^1/_2$%-we dosiągnęły dziś już kursu *pari*, a 4%-we zbliżają się doń bardzo. Listy likwidacyjne Królestwa Polskiego notowane są $97^1/_2$ za sto, a 4%-wa pożyczka wewnętrzna 96 za sto. Kupony jednéj i drugiéj pożyczki są opodatkowane, tak, iż dziś pożyczka wewnętrzna właścicielowi swemu przynosi na czysto 4%, gdy listy likwidacyjne już nawet tego procentu nie zapewniają. Zwiększyło się tedy widocznie także zaofiarowanie kapitałów na rynkach wewnętrznych, bo równocześnie banki zaczęły zniżać opłatę od złożonych na lokacyę procentową pieniędzy, a dyskonto od weksli jest tańsze.

Otóż pan minister skarbu słusznie uznał chwilę podobną za odpowiednią do zniżenia także stopy procentowéj od pożyczek wewnętrznych i rozpoczął akcyę swoją od wycofania, (obiegających jeszcze w sumie kilkudziesięciu milionów) $5^1/_2$%-wych t. z. świadectw renty, czyli po prostu obligów skarbowych. Wywołując te obligi z kursu, skarb równocześnie proponuje właścicielom $5^1/_2$%-wych świadectw zamianę na 4%-wą pożyczkę państwową, ofiarując im 7 rubli dopłaty na 100 rublowéj sztuce. Z téj propozycyi konwersyi, naszém zdaniem, wyciągnąć można wniosek, iż minister skarbu ma zamiar wytworzenia także dla wewnętrznego rynku pieniężnego waloru

4%-wego, jako typowego, tak, iż na przyszłość (oczywiście dopóki stosunki targu pieniężnego nie doznają znów jakiéj zmiany) cztery od sta byłoby niejako normalną stopą procentową. I giełda przeczuwa to widocznie, a ztąd mniema, że pan minister przystąpi niezadługo także do konwersyi 5%-wych pożyczek wewnętrznych, bo kurs ich zniżyła po ogłoszeniu wyż wspomnianéj konwersyi.

Istotnie bardzo to jest naturalném, skoro wierzyciel każdy zwykle korzysta z utrudnionych warunków kredytowych, aby podwyższyć procent od pożyczek, dłużnik czyni to samo, zniżając stopę procentową wtedy, gdy podaż kapitału zwiększa się.

Po skarbie państwa największym w państwie dłużnikiem kapitału jest własność ziemska. Z końcem Października r. z., wedle źródeł ruskich, emisye różnych instytucyi kredytowych w Cesarstwie i Królestwie przedstawiały się w następujących cyfrach: Bank szlachecki wypuścił 136,384,500 rs. 5% list. zast. i 80,000,000 rs. list. zast. premiowych; Bank włościański 50,292,000 rs. 5½% listów zastawnych, Towarzystwo wzajemnego kredytu w Petersburgu emitowało 4½%-wych listów metalicznych na sumę 92,952,900 rs.; dawniejszych 5%-wych pozostało w obiegu za 6,462,800 rs. a listów 5%-wych w walucie papierowéj 35,871,700 rs. Bank ziemski w Chersonie ma w obiegu 5½% list. zast. za 48,783,600 rs., a 5% l. z. za 21,659,800 rs. Listy zastawne dziesięciu innych banków akcyjnych, razem wzięte, reprezentują wartość 390,024,900 rs., z których 270,060,600 rs. jest 6%-wych, zaś 119,964,300 rs. 5%-wych. Szlacheckie kasy kredytowe w Estlandyi, Liflandyi i Kurlandyi emitowały listów 4%-wych metalicznych na sumę 754,500 rs. i 7,340,700 marek, w listach 4½%-wych kredytowych 3,500,000 rs. i metalicznych 2,000,000 rs., wreszcie 5%-wych kredytowych 53,000,000 rs. Instytucye kredytowe na Kaukazie puściły w obieg 12,000,000 rs. w 6%-wych listach zastawnych. Opuszczając 400 mil. rs. w listach zastawnych miejskich, a dodając natomiast 112,344,500 rs. listów zastawnych warszawskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego, nawet po odliczeniu listów zastawnych z powyższych emisyi, ciążących na gruntach miejskich, otrzymamy blisko 1 miliarda rs. obdłużenia własności ziemskiéj w Cesarstwie i Królestwie. Warunki kredytu rolnego zarówno tam, jak tu, dotychczas były stosunkowo uciążliwe. Banki prywatne w Cesarstwie, wyzyskujące do najwyższego stopnia dłużników swoich, właścicieli ziemskich, pobierają przecięciowo 7¼ — 7½% włącznie z ½%-wą ratą amortyzacyjną. Mniéj uciążliwemi są warunki pożyczek petersburskiego banku szlacheckiego. Kasy szlacheckie w prowincyach nadbałtyckich w części udzieliły pożyczek w niżéj oprocentowanych listach metalicznych. Stosunkowo najdostępniejszemi były warunki war-

szawskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego. I tutaj atoli na oprocentowanie długu, ratę amortyzacyjną i koszta administracyi, dłużnik opłaca więcéj niż 6% w stosunku rocznym, co wobec dzisiejszych dochodów z ziemi jest za dużo.

Powszechne zniżenie się stopy procentowéj wzbudziło oczywiście także w rolnikach chęć obniżenia opłaty od długów hypotecznych, a dążenie to tém łatwiéj będzie zrozumiałém, gdy uwzględnimy, że skutkiem licznych klęsk, jakie w ostatnim dziesiątku lat spadły na rolnictwo, dochód z gospodarstwa zmniejszył się bardzo znacznie. Tam, gdzie kredytu hypotecznego udzielają banki akcyjne, spekulujące na zyski z tego przedsiębiorstwa, nie tak łatwo przeprowadzić ulgę w ciężarach, bo tam sprzeczne z sobą są interesa akcyonaryuszów banku i dłużników, właścicieli ziemskich. Wprawdzie w ostatnich tygodniach odbyło się w Petersburgu zebranie przedstawicieli banków ziemskich, a na porządku dziennym ich obrad znajdowała się kwestya konwersyi 6%-wych listów zastawnych tychże banków na niżéj oprocentowane i konwersyę tę w zasadzie przyjęto; atoli, według doniesienia dzienników petersburskich minister tymczasem odmówił swego pozwolenia na konwersyę *listów zastawnych*, domagając się aby banki skonwertowały przedewszystkiém *pożyczki* dłużnikom swoim. Wymaganie to bardzo słuszne; sądząc bowiem z dotychczasowego postępowania banków ziemskich, które niesłychanie wysokie dywidendy wypłacają akcyonaryuszom swoim, a od dłużników nadmierne wyciągają procenta, należało obawiać się, iż banki skonwertują listy zastawne, pozostawiając dłużnikom dawne ciężary, że po prostu na konwersyi chcą dobry interes zrobić dla akcyonaryuszów. Trudno było na to pozwolić.

Inaczéj ma się rzecz w Towarzystwie kredytowém ziemskiém, które jest stowarzyszeniem samych-że dłużników i ich interes przedewszystkiém powinno mieć na oku. Kwestya zniżenia ciężarów dla dłużników jest tu od dawna na porządku dziennym. Dotychczas atoli można było chyba tylko zredukować opłatę na grosz administracyjny, lub zmniejszyć ratę amortyzacyjną, przedłużając okres umorzenia. Na zniżenie procentu od kuponu nie pozwalało położenie rynku pieniężnego. Prawda, że nie zawsze procent ten wynosił 5 od sta. Od założenia Towarzystwa w r. 1825 do r. 1869 Towarzystwo wydawało tylko 4%-we listy zastawne, a kurs ich dochodził do *pari*, często listy te stały nawet wyżej *pari*. Listy te amortyzowały się 2% rocznie w przeciągu 28 lat.

Reforma agrarna, przeprowadzona w r. 1864, pogorszyła atoli do tego stopnia stosunki większych właścicieli ziemskich, że zaległości z tytułu nieopłaconych rat wyczerpały wszystkie zasoby To-

warzystwa, zmuszając je nawet do zaciągnięcia pożyczki w wysokości $1^1/_2$ mil. rs.

Stosunki te, w połączeniu z ogólném położeniem targu pieniężnego, o którém mówiliśmy powyżéj, wpłynęły najgorzéj na kurs $4^0/_0$-wych listów zastawnych, tak, iż władze Towarzystwa, chcąc aby dłużnik przy zaciąganiu pożyczki otrzymał za listy zastawne mniéj więcéj nominalną ich wartość, zdecydowały się na wydawanie wyżéj oprocentowanych listów zastawnych. Obok $4^0/_0$-wych zaczęto wydawać $5^0/_0$-we listy, aby zaś nie nakładać na dłużnika nadmiernych ciężarów, zniżono amortyzacyę z $2^0/_0$ na $1^0/_0$ rocznie, przedłużając okres amortyzacyjny listów z 28 na $36^1/_2$ lat. Zdaje się, iż od tego czasu tylko jeden dłużnik zaciągnął dług w listach $4^0/_0$-wych, cała reszta korzystała wyłącznie z $5^0/_0$-wych listów zastawnych, których kurs wahał się pomiędzy $85^0/_0$ a kursem *pari*, w każdym razie nie bywał wyższym, niżeli dawniéj kurs listów $4^0/_0$-wych.

Zaznaczyliśmy powyżéj, iż w zachodnich państwach Europy, w drugiéj połowie siódmego dziesiątka lat, nastąpiło powszechne a dosyć znaczne zniżenie się stopy procentowéj. Nie mówiąc o Anglii i Francyi, zauważyć to było można także w Niemczech. Przebieg ruchu w tym kierunku najlepiéj obserwować możemy na pewnych zjawiskach w sąsiadujących z Królestwem prowincyach pruskich. Zarówno Prusy Wschodnie, jako i Zachodnie, daléj Szląsk i W. Ks. Poznańskie, mają u siebie dla większéj własności w t. z. Landszaftach takie same instytucye, jaką w Królestwie jest Towarzystwo kredytowe ziemskie. Wspomnieliśmy już o tém, że, licząc się z położeniem targu pieniężnego, landszafta zachodnio-pruska w r. 1838 przystąpiła do wydawania $3^1/_2{}^0/_0$-wych listów zastawnych, zamiast dawniejszych $4^0/_0$-wych. W r. 1857 atoli, ze względu na rynek pieniężny, landszafta znów musiała wrócić do $4^0/_0$-wych listów; w r. 1868 zaczęto nawet wydawać $4^1/_2{}^0/_0$-we, a na pewną kategoryę pożyczek $5^0/_0$-we listy.

Jeżeli pod naciskiem warunków kredytowych, na rynku pieniężnym stopniowo podwyższano procent od pożyczek na własność ziemską, to z okoliczności sprzyjających niebawem korzystano, aby procent zniżyć. Ze względu na wysoki kurs $3^1/_2$ i $4^0/_0$-wych listów zastawnych, zachodnio-pruska landszafta w roku 1878 skonwertowała wszystkie $5^0/_0$ listy zastawne na $4^1/_2{}^0/_0$-we, w r. 1880 zaś wszystkie $4^1/_2{}^0/_0$ na $4^0/_0$-we, a nareszcie w r. 1883 wszystkie $4^0/_0$ na $3^1/_2{}^0/_0$-we. Licząc się z trudném położeniem rolników, zniżano także stopniowo wszystkie inne ciężary na korzyść landszafty, a po zaprowadzeniu $3^1/_2{}^0/_0$-wych listów zastawnych zniesiono nawet amortyzacyę, tak, iż

dziś dłużnik, właściciel ziemski, od długu landszaftowego opłaca tylko na czysto $3^1/_2{}^0/_0$.

Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiém nie mogło w tych samych terminach, co landszafta zachodnio-pruska, a za nią i inne, myśléć o zniżeniu procentu od listów zastawnych; stały temu na przeszkodzie stosunki wewnętrznego rynku pieniężnego. Wojna wschodnia z r. 1877 pochłonęła znaczne kapitały, a powiększając ciężary skarbu ruskiego, wpłynęła niekorzystnie na kurs pożyczek państwowych. Wewnętrzne pożyczki $5^0/_0$-we miały kurs niżéj *pari*, gdy zaś tym sposobem kapitał zawsze bardzo łatwo w walorach pewnych, bo państwowych, mógł znaléźć lokacyę na $5^0/_0$, o zniżeniu stopy procentowéj od listów zastawnych Towarzystwa kred. ziemskiego mowy być nie mogło.

Mniéj więcéj 8 lat temu, niektórzy ziemianie, pragnąc aby rolnicy krajowi mogli korzystać z łatwych warunków kredytowych zagranicznych, podnieśli myśl wypuszczania listów zastawnych metalicznych, od których dłużnik opłacałby procent w walucie metalicznéj. Nie ulega kwestyi, że, według ówczesnego położenia targu pieniężnego w zachodnich krajach Europy, byłoby się niezawodnie udało umieścić $4^0/_0$-we listy zastawne metaliczne po kursie *pari*. Stopa procentowa byłaby się tedy zniżyła o cały procent. Z jednéj strony atoli ulękniono się bardzo znacznego ryzyka, jakie, ze względu na fluktuacyę kursu waluty, byłoby pociągnęło za sobą opłacanie kuponu w metalu, z drugiéj strony nawet zahypotekowanie długu w walucie metalicznéj, bez określenia jéj w walucie w kraju obowiązującéj, byłoby nastręczało pewne trudności; projekt listów metalicznych tedy nie doszedł do skutku.

Otóż gdy obecnie kurs walorów $4^1/_2{}^0/_0$-wych notowany jest *al pari*, zdaje się, że konwersyę $5^0/_0$-wych listów zastawnych na $4^1/_2{}^0/_0$-we, biorąc rzecz tymczasem tylko ze stanowiska finansowego, możnaby przeprowadzić bez wielkich trudności i kosztów. Niewątpliwie, gdyby Towarzystwo ofiarowało dzisiejszym właścicielom listów $5^0/_0$-wych zamianę na $4^1/_2{}^0/_0$-we, dopłacając im $1^0/_0$, czyli rubla premii na sturublowéj sztuce, $^9/_{10}$ listów $5^0/_0$-wych przedstawionoby do konwersyi. Walory $5^0/_0$-we bowiem będą stopniowo znikały skutkiem konwersyi, o ile zaś pozostaną w obiegu, wyżéj *pari* będą notowane, a płacenie po nad nominalną wartość za walor, który każdéj chwili według nominalnéj wartości może być wylosowany, zawiera ryzyko, tak, iż $4^1/_2{}^0/_0$-wy papier przedstawiałby najkorzystniejszą lokacyę. Gdy obecnie jest jeszcze w obiegu około 112,500,000 rs. listów zast. Tow. kred. ziem. (z ogólnego długu już 12,500,000 rs. umorzono), więc za jednorazową opłatą 1,125,000 rs. (powyższy $1^0/_0$ premii), do których na-

leżałoby dodać $^1/_4\%$, czyli 281,250 rs. na różne koszta, a więc za jednorazową opłatą 1,406,250 rs. osiągniętoby roczną oszczędność na procencie, wynoszącą 625,000 rs., a ściśléj biorąc 562,500 rs., bo tylko nieumorzoną część pożyczki należy tu wziąć w rachubę. Poważne to cyfry, ale, przy dzisiejszym stanie rynku pieniężnego, oszczędności mogłyby może być poważniejszemi, gdyby skonwertowano listy zastawne na 4%-we.

Walory 4%-we w walucie papierowéj mają obecnie na giełdzie kurs 96 za sto. Jeżeli warunki rynku pieniężnego nie zmienią się, to można prawie na pewno liczyć, iż nowe 4%-we listy zastawne Towarzystwa kredytowego ziemskiego udałoby się umieścić po 92 — 93 za sto. Przyjmujemy kurs niższy od giełdowego, tranzakcyi konwersyjnéj bowiem niepodobna byłoby przeprowadzić bez pomocy syndykatu bankierskiego, a bankierzy za dostarczenie kapitałów, potrzebnych na ewentualny wykup wylosowanych listów zastawnych, jako i za ryzyko, jakieby ponosić musieli, żądaliby zarobku. Przyjęliśmy zaś różnicę 3 — 4% w stosunku do kursu obecnego, mieliśmy bowiem świeży przykład, iż rząd francuski 869 miljonową 3% pożyczkę ofiarował publiczności po $92^1/_2$ za sto, gdy równocześnie 3% pożyczka na giełdzie była notowaną $94^1/_2$ za sto, a tak samo rząd niemiecki i pruski oznaczył kurs emisyjny 3% pożyczki na $84^1/_2$ za sto, gdy dawniejsza takaż pożyczka po $86^1/_2$ była handlowaną.

Otóż przypuszczając, że udałoby się przeprowadzić konwersyę całych 112,500,000 rs. w listach zastawnych, pozostających jeszcze w obiegu, w ten sposób, iżby po wykupieniu 5%-wych listów zastawnych *al pari*, 4%-we umieszczono po 92 za sto, natenczas rezultat byłby następujący: koszt wynosiłby $\frac{112{,}500{,}000 \times 8}{100}$ czyli okrągło rs. 9,000,000, oszczędność zaś na procencie wynosiłaby rocznie rubli 1,125,000, chcąc być ścisłymi, możemy tu bowiem brać tylko w rachubę sumę skonwertowaną.

Uzyskanie rocznéj oszczędności 1,125,000 rs. za jednorazową opłatą 9,000,000 rs. jest niewątpliwie interesem dobrym, ale często i najlepszego interesu, dla braku odpowiednich ku temu środków, zrobić nie można. Zachodzi tedy pytanie: czy wogóle konwersyę przeprowadzić można, i jak się do tego zabrać należy, aby rezultat był jak najlepszy.

Kwestyi: czy ustawa Towarzystwa pozwala na podobną operacyę, badać nie będziemy, bo jeden z głównych czynników, Komitet Towarzystwa, odpowiedział już na to pytanie twierdząco, a szczegóły chyba szerszéj publiczności interesować nie mogą. Daléj wskazuje nam położenie targu pieniężnego i liczne przykłady, że finansową

operacyą podobną można przeprowadzić. Skąd atoli wziąć fundusz na dopłatę, którą powyżéj obliczyliśmy na 9,000,000 rs., a którą tylko stowarzyszeni ponieść muszą? Że na dopłacenie gotówką ze strony stowarzyszonych liczyć nie można, o tém chyba wcale wspominać nie potrzeba.

Wspominaliśmy powyżéj o konwersyach landszaft pruskich; czy tam nie możnaby znaleźć wskazówki? Otóż landszafta zachodnio-pruska, przeprowadzając w r. 1838 konwersyę listow 4% na $3^1/_2$%-we, koszta, wynoszące na 10 mil. talarów 325,000 tal, pokryła z funduszu rezerwowego. Przeprowadzając późniejsze konwersye, koszta, wynoszące kilka procent od kapitału, wzięła z umorzonéj części pożyczki. Niestety, jedno i drugie nam za przykład posłużyć nie może. Towarzystwo kred. ziem. posiada bowiem wprawdzie około 8,000,000 rs. w funduszu rezerwowym, ale najpierw sumy téj chwilowo nie ma w gotowiźnie, kilka milionów bowiem jest zaangażowanych w ulgach i w przeprowadzaniu innego rodzaju konwersyi, wynikającéj z zasady seryjności listów; daléj fundusz ten ma osobne, ustawą ściśle określone, zadania, nie można go też wszystkiego wydawać, a nareszcie nie wystarczyłby. Tak samo nie można użyć na pokrycie kosztów konwersyi umorzonéj części pożyczki, wiadomo bowiem, że w miarę umorzenia pożyczki Towarzystwa, według obowiązującego w Królestwie Polskiém prawa hypotecznego, późniejsi wierzyciele hypoteczni posuwają się naprzód, tak; iż właściciel majątku bez ich zezwolenia umorzoną częścią pożyczki rozrządzać nie może. Jako jedyna droga wyjścia pozostaje tedy zaciągnięcie na ten cel długu w obligacyach, które dłużnicy Towarzystwa, właściciele ziemscy, musieliby stopniowo umarzać w miarę udziału, jakiby na każdego przypadał, w stosunku do nieumorzonéj jeszcze części pożyczki Tow. kred. ziemskiego. Landszafta zachodnio-pruska przy ostatnich konwersyach przyjęła za normę, że, pomimo konwersyi listów zastawnych, zobowiązania płatnicze dłużników dopóty nie zostaną zniżone, dopóki udział ich w kosztach konwersyi nie zostanie pokryty. Te same zasady pragnie zastosować radca komitetu Tow. kr. ziem, p. Stanisław Skarzyński, który przedstawił komitetowi szczegółowo opracowany projekt przeprowadzenia konwersyi. Innego natomiast jest zdania p. Stanisław Ostrowski, który również osobny projekt konwersyi przedstawił, atoli wyraził w nim zdanie, iż umorzenie kosztów konwersyi powinno być rozłożone na cały okres umorzenia, tak, iżby dłużnicy Towarzystwa natychmiast zaczęli korzystać ze zniżenia, skutkiem konwersyi listów zastawnych, ciężarów hypotecznych.

Oszczędność roczną w procentach, w razie konwersyi 5%-wych listów zastawnych na 4%-we, obliczyliśmy na 1,125,000 rs. Otóż

z sumy téj należałoby strącić fundusz, potrzebny na oprocentowanie i umorzenie kosztów konwersyi które wynosiłyby jednorazowo 9,000,000 rs. Gdyby utrzymał się wspomniany projekt p. Ostrowskiego, natenczas, licząc na oprocentowanie dziewięciu milionów po $4^1/_2\%$= 405,000 rs, a na umorzenie 1%=90,000 rs. czyli razem 495,000 rs. [1]), otrzymalibyśmy czystéj oszczędności (z konwersyi) na procentach natychmiast: 1,125,000 — 49,500=*630,000 rubli*. Otóż ze względu na trudne dzisiejsze położenie rolników, wobec którego każda ulga w ciężarach jest cenną i pożądaną, projektowi p. Ostrowskiego, naszém zdaniem, należy się pierwszeństwo.

Właśnie ze względu na tę sytuacyę obecną, w łonie władz Towarzystwa powstał jeszcze dalszy projekt w kwestyi zmniejszenia ciężarów. Podniesiono myśl zniżenia opłaty na umorzenie z 1% rocznie na $^1/_2\%$ rocznie. Prawda, że przedłużyłoby to okres umorzenia pożyczki do 56 lat; gdy atoli z jednéj strony przyjętą już została zasada, że po umorzeniu 10%, wolno dobrać pożyczkę, a z drugiéj strony bardzo wielu rolników dziś pożycza pieniędzy na 10 lub i 15%, aby umorzyć 5%-wą pożyczkę, zdaje się, iż przedłużenia okresu umorzenia za anomolię uważać nie można. Zniżenie zaś takie raty amortyzacyjnéj zmniejszyłoby roczny ciężar dłużników Towarzystwa (licząc od nieumorzonéj pożyczki 112,000,000 rs.) o 562,500 rs. rocznie, tak, iż po przeprowadzeniu konwersyi i zniżeniu raty na umorzenie, większa własność w Królestwie Polskiém opłacałaby na czysto: 1,192,000 rsr. rocznie mniéj od pożyczek Tow. kred. ziemskiego.

Naszém zdaniem, ze stanowiska finansowego, powstałaby jeszcze jedna ważna kwestya do uwzględnienia. Obecnie jest mniéj więcéj 2 miliony rubli zalegających procentów tylko z tytułu ulg, jakich Towarzystwo udzieliło stowarzyszonym z powodu nieurodzaju w ostatnich latach. Otóż bardzo byłoby pożądaném, aby przy konwersyi sumę tę można skapitalizować, czyli, innemi słowy, rozłożyć spłatę rat z tytułu ulg na cały okres amortyzacyjny, t. j. na 56 lat. Przeszkód hypotecznych być nie może tam, gdzie już pewna część pożyczki została umorzona. Jeżeli bowiem Towarzystwo ma prawo rozłożyć spłatę zalegającéj raty na pewien szereg lat, to na mocy tegoż prawa może

---

[1]) Nie zastanawialiśmy się osobno nad pytaniem, na czém należałoby oprzeć pożyczkę obligacyjną w sumie 9,000.000 rs.; aczkolwiek bowiem niewątpliwie trudno byłoby pozyskać hypotekę dla samego kapitału, to jednakże na sumę 495,000 rs, potrzebną rocznie na oprocentowanie i umorzenie téj pożyczki, łatwo znaleźć miejsce w obrębie 1,125,000 rs., o które zniżyłby się procent od pożyczek Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

rozłożyć ją także na 56 lat. Tym sposobem zaś otrzymaliby pomoc ci, którzy jéj najwięcéj potrzebują.

Z techniczną, że tak powiemy, stroną konwersyi łączy się cały szereg kwestyi, których tu oczywiście poruszać nie możemy; należą one do delegacyi Towarzystwa, która zajmie się przeprowadzeniem konwersyi, gdy w zasadzie operacya ta uznaną zostanie za możliwą i pożyteczną. W chwili, gdy to piszemy, znane już są rezolucye jednéj władzy Towarzystwa, mianowicie Komitetu, powzięte na ogólném zebraniu lutowém. Osobna delegacya konwersyjna Komitetu przygotowała wnioski na to zebranie. Delegacya oczywiście zbadała wszystkie szczegóły podobnéj operacyi, a miała, jak o tém już uczyniliśmy wzmiankę, przed sobą dwa projekty: jeden opracowany przez radcę Komitetu p. Stanisława Skarzyńskiego, drugi opracowany przez p. Stanisława Ostrowskiego.

Otóż i Komitet jeszcze nie doszedł do żadnych ostatecznych konkluzyi, orzekł on tylko:

1) że konwersya 5%-wych listów na 4%-we jest pożądaną o tyle, o ile przyniesie stowarzyszonym natychmiastową, możliwie znaczną, ulgę w opłacie rat, bez względu, czy na ulgę tę złoży się większy lub mniejszy, z konwersyi osiągnięty i rachunkiem sprawdzony, zysk, lub téż, czy w niéj przeważać będzie inny czynnik, sprowadzający odroczenie zobowiązań stowarzyszonych na czas przyszły;

2) że konwersya 5%-wych listów zastawnych, w obiegu będących, na 4%-we, może być przeprowadzoną niezależnie od woli stowarzyszonego i od konwersyi długu jego, hypotecznie na rzecz Towarzystwa zabezpieczonego;

3) że od woli stowarzyszonego zależéć będzie skonwertowanie hypoteczne długu jego i przyjęcie zobowiązania wnoszenia, łącznie z ratami, pewnej opłaty, na pokrycie kosztów konwersyi przeznaczonéj, lub pozostanie nadal w dotychczasowych zobowiązaniach płatniczych;

4) że stowarzyszonemu, dług swój konwertującemu, służyć będzie prawo przyjąć zobowiązanie opłacania półrocznie, począwszy od $^1/_4$ minimum do $^1/_2$%, a nawet do 1% na fundusz umorzenia, i dług swój spłacić w 56, 41 lub 28 latach, a wreszcie:

5) że właścicielowi 5% listu zastawnego będzie służyło prawo, albo przyjąć w zamian list 4%-wy z dopłatą, na teraz jeszcze oznaczyć się nie dającą, a uskutecznioną w téj lub innéj formie, albo téż żądać za swój list wypłaty gotowizną w nominalnéj jego wysokości.

Tak w téj chwili stoi kwestya, a nie mamy powodu do jakichkolwiek zarzutów przeciwko przyjętym przez Komitet Towarzystwa zasadom. Dodajemy tylko jeszcze kilka słów na zakończenie. Sły-

szeliśmy uwagi, że konwersya, połączona ze zniżeniem raty amortyzacyjnéj, a zatém przedłużeniem okresu umorzenia, krzywdzi wierzycieli hypotecznych, znajdujących się na drugiém miejscu, którzy liczyli na szybsze umorzenie wierzytelności Towarzystwa. Nie wdajemy się w wywody hypoteczno-prawne, bo, jeżeli konwersya w połączeniu z umorzeniem zostanie przeprowadzoną, o czém nie wątpimy, natenczas widocznie formalnemu prawu krzywda się nie stanie, inaczéj bowiem konwersya nie mogłaby przyjść do skutku. Co zaś do pogorszenia położenia wierzyciela wogóle, to, naszém zdaniem, wierzytelność na drugim numerze hypoteki dziś tylko wtedy jest pewną, jeżeli sytucya dłużnika jest dobrą; sam objekt, hypoteka, na tę pewność dziś nie wystarcza.

Że położenie dłużników, właścicieli ziemi, poprawi się przez konwersyę, to wykazaliśmy powyżéj cyframi; wierzyciel tedy tylko na tém zyskać może.

Odzywają się téż głosy, ubolewające nad tém, że ci, co oszczędności swoje złożyli w listach zastawnych, będą mieli zmniejszony dochód, a listy zastawne w przeważnéj części jakoby znajdują się w kraju, ucierpią więc kapitaści krajowi. Naszém zdaniem atoli, ekonomiczne stosunki kraju tylko na tém zyskać mogą, jeżeli zmniejszą się ciężary producentów, choćby się to stało kosztem kapitalistów krajowych. Ci ostatni, mając zmniejszony dochód, dla zwiększenia go będą musieli zabrać się do pracy, która zawsze głównem źródłem zarobku być powinna, ożywiony ruch pracy zaś téż tylko na korzyść stosunkom krajowym wyjść może.

A. Donimirski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Historya miast i mieszczan w krajach dawnego państwa polskiego, od czasów najdawniejszych aż do połowy XIX wieku, z materyałów pozostałych po ś. p. W. A. Maciejowskim, do druku przygotował **Michał Rawicz Witanowski.** (Poznań, 1890.—str. 279).

We wstępném słowie do czytelnika powiadamia nas p. Witanowski: że powyższa praca, blizko wiekowego, a w r. 1883 zmarłego starca, W. A. Maciejowskiego, pozostała w oddzielnych kartkach, istnéj powodzi notatek, która odstraszała ogromem swoim i nieczytelnością pisma najpracowitszych literatów, proszonych o uporządkowanie niniejszego dzieła. P. Witanowski więc, chcąc ocalić od zniszczenia owoc tyloletnich trudów tak zasłużonego dziejopisa, podjął sam tę pracę, aby zachować potomności dzieło, mogące z czasem posłużyć jako cenny materyał dla przyszłego historyka mieszczan.

Ze wstępu W. A. Maciejowskiego dowiadujemy się, że Historya miast jest tylko uzupełnieniem jego historyi włościan, wydanéj i nagrodzonéj przez Towarzystwo naukowe poznańskie w r. 1874, do którego-to uzupełnienia zobowiązał się autor, mówiąc o swém zadaniu, „że nikt od wieku XVI, w którym myśl powzięto o historyi gospodarstwa narodowego, tego zadania nie wykonał, choć powinien był i mógł wykonać“. Ponieważ Historya włościan pozyskała nagrodę konkursową swego czasu, przeto p. Witanowski mógł słusznie przypuszczać, że i Historya miast zawiera cenny materyał dla przyszłego

historyka, a powody wydawnictwa stały się tém bardziéj przekonywającemi, że do nich dołączyły się uczucia rodzinne i inicyatywa hr. Augusta Cieszkowskiego. Tymczasem fakt, że sędziwemu i pracowitemu badaczowi, jakim był w r. 1874 W. A. Maciejowski, Towarzystwo poznańskie przyznało nagrodę konkursową, nie przesądzał bynajmniéj o wartości naukowéj nagrodzonéj Historyi włościan. Nagrodę należało uważać prawdopodobnie za hołd, złożony tyloletniéj mozolnéj pracy, i za uznanie niezwykłéj erudycyi, któréj wszelako myśl jasna i potężna nie zdołała spoić w jednolite naukowe dzieło, posiadające niespożytą wartość. Na działalność naukową W. A. Maciejowskiego zapatrywano się bowiem tak a nie inaczéj, w najświetniejszéj epoce jego, wolnéj od wszelkich cech i nawyknień zgrzybiałości. Dosyć będzie przytoczyć krytykę obszerną dziekana Dutkiewicza, poświęconą poglądom na prawo polskie, zawartym w historyi prawodawstw słowiańskich, lub oceny prac Maciejowskiego w „Przeglądzie Poznańskim“. Tak np. w r. 1862 autor cennéj rozprawy p. t. „Włościanin polski“ (Łęczyca 1418—1419) nazywa Maciejowskiego mężem pracowitym, ale wytwarzającym sobie o zasadach własności ziemskiéj najdziwaczniejsze wyobrażenie. W roku zaś 1848 w temże samém wydawnictwie (str. 105) wypowiedziano mu gorzkie prawdy, a między innemi i te, „że uczony profesor sam sobie pisze pochwały: że przed nim u nas praw rzymskich nie znano, że nie pojmowano polskiéj historyi, że on wynalazł klucz, którym wytłómaczył utajonego ducha naszéj historyi“.

„Historya włościan“ była téż swego czasu wymownym dowodem, że Maciejowski z wiekiem nie zmienił bynajmniéj sposobu traktowania naukowego przedmiotu. Zawiłość, a nawet ciemność pojęć, walczyła w téj rozprawie o lepsze z chaotycznością przedstawienia, a przytém autor z niezamąconym spokojem był zawsze tego przekonania, że napisał jedyną i bezwarunkowo wyczerpującą monografię o historyi włościan w Polsce. Dość jednak porównać pracę Maciejowskiego ze studyum dawniejszém księcia Tadeusza Lubomirskiego p. t. „Rolnicza ludność w Polsce“, aby się przekonać, że Maciejowski ani zbadaniem źródeł archiwalnych, ani zrozumieniem rozwoju ekonomicznego oraz socyalnego bytu włościan w Polsce, nie był w stanie sprostać swemu poprzednikowi, a chaotycznością w myśli i formie nie przypominał w niczém, powabnego w formie, bogatego w treści, a gruntownego i rozumnego w wywodach, studyum księcia Lubomirskiego.

„Historya miast i miasteczek w dawnéj rzeczypospolitéj“ przedstawiała dla dziejopisa polskiego niewątpliwe wdzięczne pole. Pomimo bowiem, że i w téj dziedzinie niejeden uczony zdobył sobie uznanie i zasługę, jednakże téj miary badacza, co książę Lubomirski, miasta

dawne królewskie, ani miasteczka szlacheckie nie miały. W chwili też, kiedy Maciejowski pisał swą książkę, wydał już wprawdzie Szujski „Najstarsze księgi i rachunki miasta Krakowa“, również pokazał się pierwszy tom przywilejów miasta Krakowa, Piekosińskiego, ale jeszcze nie było wielu cennych studyów nad prawem niemieckiém i pierwszym ustrojem społecznym Polski, które historykowi miast mogły znakomicie ułatwić zadanie.

Maciejowski w przedmowie zapowiada, że z powodu zbyt wielkiéj obfitości źródeł dziejowych do historyi miast, posiłkował się jedynie najważniejszemi rękopisami, gdyż nawet wszystkich druków nie mógłby ogarnąć myślą. W przedmowie jednak już miał autor sposobność wymówić Fryderykowi hr. Skarbkowi i Józefowi Supińskiemu to, że nie napisali nic o miastach polskich, jakby podobne wypomnienie należało do rzeczy, lub jakby np. wyliczenie prezesów towarzystwa naukowego poznańskiego miało rozjaśnić historyę miast polskich.

Jeden z pierwszych rozdziałów pracy Maciejowskiego zatytułowany został: „Źródła wiedzy“. Zdawałoby się, że autor w powyższym rozdziale chce wskazać i rozebrać krytycznie ów olbrzymi materyał drukowany, którego myślą ogarnąć nie zdołał, a z którego dziejopis może czerpać wiedzę do historyi miast. Jakież jednak zdziwienie ogarnie chciwego wiedzy czytelnika, gdy spotka się z niemającemi żadnego związku z przedmiotem wzmianki o Tacycie, lub Ptolomeuszu, a jedyne źródła wiedzy ujrzy wskazane w kronice Galla, Mateusza herbu Cholewa, żydzie hiszpańskim Jakóbie, w kronice Boguchwała i w wydawnictwach Szujskiego oraz Piekosińskiego. Wzmiankuje wprawdzie autor o „Księdze ziemi czerskiéj“, wydanéj przez ks. T. Lubomirskiego, ale tylko po to, aby wspomnieć, że komentarze wydawcy nie zawarły żadnych nowych spostrzeżeń i powtórzyły tylko to, co niegdyś Maciejowski w historyi prawodawstw słowiańskich napisał.

Śmiało zatém twierdzić można, że Maciejowski zaledwie część źródeł wiedzy przytoczył, a i téj drobnostki nie starał się bynajmniéj oświetlić krytycznie. Piekosińskiego i Szujskiego wydawnictwa zbywa np. takiém wyrażeniem: „że ma o nich do zauważenia to i owo“, i przytém, przebaczając obóm niestaranną korektę, ma do nich pretensyę, że „nie troszczą się o to, co obszernie o Magdeburgu opowiedział“.

„Historyę miast polskich“ poprzedza Maciejowski wzmianką o historyi miast w południowéj i północno-zachodniéj Europie. Zdawałoby się, że autor pragnie dzieje miast naszych oświecić badaniem, opartém na porównawczém traktowaniu przedmiotu. Niestety jednak, w jego luźnéj i chaotycznéj opowieści niéma ani jednéj uwagi, któ-

raby mogła posłużyć ku temu celowi. Właściwa historya miast dawnéj Rzeczypospolitéj nie przedstawia się lepiéj. Maciejowski, nie wyczerpawszy żadnéj kwestyi, przeskakuje nieustanie od miast polskich do litewskich, ruskich, a w opowieści nietyko że się powtarza i przeplata tok wzmiankami, nienależącemi do historyi miast, lecz nieustannie cofa się z wieku XVI do XIII i wprowadza czytelnika w koło tak błędne, że ten żadnego obrazu historyi miast dojrzéć nie może, będąc przygnębionym ciężarem różnolitych szczegółów, pozbieranych, a raczéj poodrywanych od innych gałęzi wiedzy.

Przeglądającego pilnie rozdziały pracy Maciejowskiego spotkają téż różne niespodzianki. Istnieją często rozdziały, które nie zawierają ani jednego szczegółu, ani odrobiny treści zapowiedzianéj tytułem. Tak np. na stronnicy 49 widnieje tytuł „Stosunki polityczne“. Zdawałoby się, że autor przedstawi nam prawa polityczne miast w organizmie Rzeczypospolitéj, tymczasem spotykamy zupełnie co innego. Maciejowski bowiem rozstrzyga despotyczném słowem spór o genezę szlachty polskiéj, jaki się swego czasu toczył między Szajnochą, Lelewelem i Małeckim, a zapomina zupełnie o miastach, jakby nie ich historyi poświęcił pracę.

W rozdziale zatytułowanym: „Stosunek gminy miejskiéj przedkarpackiéj do takiéjże zakarpackiéj, tudzież gminy polskiéj znaczenie i położenie“, daremnie-byśmy szukali onych charakterystycznych różnic i krytycznego wyjaśnienia.

Wprawdzie autor zapewnia, że wpływ rzymskich municypiów na tworzenie się miast zakarpackich sprawił, że te prędzéj się rozwinęły, niż z téj strony Karpat; dowodu jednak, popierającego podobne twierdzenie, niéma wcale i Maciejowski poprzestaje znowu na swém absolutném słowie.

Nie będę przytaczał wszystkich rozdziałów, przeświecających pustkami, poprzestanę tylko na uwadze, że nawet te rozdziały, które wydają się być bogatemi w treści, zawierają zwykle mnóstwo drobnych szczegółów, nie należących do rozbieranéj kwestyi i prócz tego nie przedstawiających rękojmi niewzruszalności.

Ponieważ Maciejowski podzielił historyę miast na cztery okresy, przeto tytuły rozdziałów jego książki powtarzają się cztery razy, ale to nie przeszkadza bynajmniéj, że nie znajdujemy w niéj najważniejszych wiadomości, które już poprzednicy zebrali. Sposobem przykładu przytaczam przedewszystkiém stosunek miast królewskich do państwa, czyli do dawnéj Rzeczypospolitéj. Otóż w pierwszym rozdziale, omawiającym rzeczony stosunek, nie znajdowało się nic, coby do powyższéj kwestyi należało. W drugim rozdziale, podobny tytuł noszącym (str. 105 i dalsze), dowiadujemy się, że miasta sejmikowały

i sejmowały wraz ze szlachtą. Następnie miasta same się od życia publicznego uchylały i słowami Maciejowskiego: „Krótko mówiąc, nic nie może usprawiedliwić mieszczan, że prawo publiczne, z mocy zwyczajów krajowych przynależne sobie, zmarnowali, że na sejmy i t. p. nie chcieli uczęszczać“. Wszakże mimo to Maciejowski przychodzi do tego szczególnego przekonania, że miasta polskie utrzymały się przy prawie i na wyższym niż niemieckie stopniu w znaczeniu politycznem stanęły. Niemieckie bowiem radziły, ale w osobnéj zdala od szlachty izbie, i obrady ich wcale inny, niż tamtych, nosiły na sobie charakter (str. 110).

Daremnie-byśmy szukali w pracy Maciejowskiego takich elementarnych wiadomości, jak niektóre miasta królewskie — kiedy i w jaki sposób posyłały posłów na sejmy? Tymczasem wiadomości powyższe nie były dla polskich historyków zaklętą tajemnicą. W Skrzetuskiego „Prawie politycznem narodu polskiego“ było już dość elementarnych faktów, więcéj znacznie w Lengnicha „Jus publicum regni poloni“ oraz w „Jus publicum Prussiae polonae“, najwięcéj zaś w dotąd najlepszéj pracy Hofmana, prawu państwowemu dawnéj Rzeczypospolitéj poświęconéj, a wydrukowanéj w „Przeglądzie Poznańskim“. Maciejowski jednak nie uważa za stosowne uwzględnić tego, co poprzednicy jego napisali, lecz w dodatku obarczył dawne miasta królewskie niczém nie uzasadnionym zarzutem, iż samowolnie od sejmowania się usunęły... Twierdzenie zaś Maciejowskiego, że miasta polskie dosięgły większego znaczenia politycznego, niż niemieckie, i to dlatego, że w osobnéj izbie radziły, zaliczyć należy do rzędu owych curiosów naukowych, nad któremi wszelka dyskusya jest zbyteczną.

Nietylko stosunek miast do państwa świeci w książce Maciejowskiego zupełną pustką i rozumowaniami błędnemi, lecz to samo spotykamy i w innych kwestyach. Autor uważał także pracę Budanowa („Niemieckoje prawo w Polszie i Litwie“) za niedokładną i wytknął to temu, który za rozbiór rzeczonego dzieła publiczną nagrodą zaszczycony został (pr. Pawiński), lecz mimo to nie zaznaczył ani jedném słowem faktu, który nie uszedł uwagi Budanowa, a mianowicie, że w miastach, rządzących się magdeburgiami, obok magistratu wytwarzała się komuna czyli pospólstwo, które pragnęło stać się reprezentacyą miasta i staczało z magistratem zawzięte spory, skutkiem czego władza królewska interweniować musiała i to przeważnie na korzyść magistratu. Prawdą jest, że Budanow nie wyczerpał całego materyału, jaki się znajduje w naszych archiwach, odnośnie do dawnego prawa miejskiego, w każdym razie nie przeoczył jednego z najważniejszych objawów w rozwoju organizacyi miast królewskich, co się właśnie przytrafiło surowemu jego krytykowi.

O staraniach Stanisława Augusta, dążących do dźwignięcia miast królewskich z upadku, zarówno jak i o czynności energicznéj i wytrwałéj „Komissyów boni ordinis“ nie ma Maciejowski nic do powiedzenia. Ustawie zaś miejskiéj z 1791 r. poświęca uwagę w tak pobieżny i powierzchowny sposób, że wiadomości o niéj, jakie znajdujemy w jego książce, nie posiadają żadnéj naukowéj wartości.

Jak to już powyżéj nadmieniłem, Maciejowski był niezadowolonym z całego szeregu uczonych polskich, którym udzielał nagany bez motywów. Istnieli jednak tacy, o których uważał za stosowne nic nie wiedzieć, pomimo to, że niebezpieczném było pisać historyę miast polskich, nie posiłkując się ich studyami. Do tych nazwisk przeoczonych, skutkiem dziwnego zbiegu okoliczności, należeli: Romuald Hube, Roepell i Caro oraz Hofmann. Pomijam już opuszczenia, jakich się dopuścił Maciejowski, traktując literaturę wieków poprzednich, a jednak do wyświetlenia historyi miast polskich byłaby ona wiele autorowi dopomogła.

Sądzę więc, że „Historya miast“ A. W. Maciejowskiego nie usunie żadnéj z wątpliwości, jakie po dziś dzień mają historycy polscy w téj dziedzinie, ani nikogo przedmiotu wykładanego nie nauczy. Książka powyższa jednak pozostanie niewątpliwie dowodem wielkiéj pracowitości autora i cenić ją można zawsze, jako pamiątkę po zgrzybiałym starcu, który, w poczuciu naukowych obowiązków, prawie że zmarł z piórem w ręku. Ten wzgląd pozwoli każdemu zapomnieć, że sama praca nosi wybitne znamiona zgrzybiałości.

A. Rembowski.

Drugie pokolenie, powieść w dwóch tomach **Maryana Gawalewicza**. Warszawa, 1891.

Drugie pokolenie — to troje dzieci osiadłego w naszym kraju przemysłowca Niemca, Wilhelma Fatta, synowie Karol i Krzysztof, oraz córka Liza. Karol, najstarszy, elegancki i wykształcony, z szerokiemi aspiracyami aferzysty w wielkim stylu, marzy o milionach, które chciałby zebrać odrazu, nie zabiegami lat długich, ale przez parę szczęśliwych operacyi. Młodszy, Krzysztof, natura prosta, poczciwa, nie przeszedł wyższych nauk; zamiłowany jest w pracy fabrycznéj i poprzestaje na małém. Siostra Liza -- dość pospolity

w tych sferach okaz panienki „zapoznanéj“, niezłéj w gruncie, dobrze ułożonéj, przytém zamkniętéj w sobie i jakby obcéj wśród otoczenia. Więcéj dziatek nie było.

Wilhelm Fatt, zestarzawszy się i sterawszy siły, za radą lekarzy usuwa się na spoczynek, zdając prowadzenie interesów fabryki na Karola, który jest ojca ulubieńcem. Kilka równie śmiałych, jak lekkomyślnych, spekulacyi, doprowadza młodego szefa firmy w bardzo krótkim czasie do bankructwa, po którém sromotnie ucieka za granicę. Wówczas stary Fatt, acz schorzały i wiekiem złamany, zrywa się, przeprowadza likwidacyę interesów, spłaca wierzycieli i z uratowaną odrobiną resztek mienia zaczyna pracować na nowo przy pomocy dzielnego Krzysztofa. Naturalnie, Pan Bóg im pobłogosławił i dorobili się powtórnie majątku. Karol, odepchnięty przez ojca, zupełnie zmarniał. Natomiast Krzysztof ożenił się z ubogą, ale zacną panienką, i jest szczęśliwy, równie jak Liza, mająca niezadługo wyjść zamąż, nie za łowcę posagów, barona Tarnau, z którym swatał ją pnący się do arystokracyi Karol, ale za dziarskiego technika, o zdrowém ciele i szlachetnéj duszy.

Taka jest w najogólniejszym zarysie treść powieści p. Maryana Gawalewicza p. t. „Drugie pokolenie“. Autor daje nam tutaj dwutomowy przyczynek do historyi naszych stosunków obyczajowych, podobnych zresztą w tym względzie do stosunków we wszystkich innych krajach. Jest to bowiem wszędzie dość pospolite zjawisko, że pracowitym i oszczędnym ojcom wychowują się marnotrawni synowie. Wilhelm Fatt jest z pochodzenia Niemcem. Nie ma to jednak oznaczać, że Niemcy są w drugiém pokoleniu skłonniejsi do marnotrawstwa od rodowitych Polaków. Przeciwnie, my, jak wiadomo, chorujemy na żyłkę wielkopańską we wszelkich stanach i we wszystkich pokoleniach. Autor dlatego oczywiście wziął bohaterów swojego opowiadania z rodziny niemieckiéj, że Niemcy stworzyli nasz przemysł, i że znaczna większość naszych rodzin przemysłowych nosi niemieckie nazwiska.

Zwykle już dzieci tych pracowitych przybyszów asymilują się z miejscowém społeczeństwem. Zdarza się przytém, że ten i ów zatraci dawne, rodowe przymioty, a przejmie od nowego otoczenia wady jego. Zdarza się też i przeciwnie, że inny połączy w sobie zalety obu typów plemiennych. Kwestya wpływu tutejszéj kultury obyczajowéj i towarzyskiéj nie może być w tym razie rozstrzygana pod żadnym pozorem jednostronnie. Nie stawia jéj też jednostronnie i p. Gawalewicz; owszem, dwaj synowie Fatta stanowią właśnie trafnie dostrzeżony przykład różnic w asymilacyi, i jeśli Karol zbliża się do pierwszego typu, Krzysztof przypomina drugi. Ka-

rol nie zachował żadnego z przymiotów ojca, natomiast stał się próżnym, lekkomyślnym; Krzysztof ma pracowitość i odwagę starego Fatta, a oprócz tego, jest poczciwy, serdeczny, bezinteresowny. Nie jest to już Niemiec i nie jest to jeszcze Polak: odmiana pośrednia, mająca w sobie coś z obu i w wielu wypadkach lepsza od każdego z pierwowzorów.

Z powyższego łatwo już dojrzeć, na jakim gruncie rozwija się wątek powieściowy i jakie autor zajął stanowisko względem przedmiotu, który opisuje. Nie chce on być moralistą, lecz malarzem. Czytelnikowi, lubiącemu sytuacye stanowczo zdecydowane i twierdzenia kategoryczne, może się to nie spodobać, że mu tutaj opowiadanie nie pozwala na urwane ostro, twierdzące lub przeczące wnioski. Tytuł powieści: „Drugie pokolenie," wzbudził w nim nadzieję, że zbogaci swój skarbiec zdawkowych sentencyi o ludziach i stosunkach. Karol Fatt, główny bohater, wypełniający sobą większą część powieści, jest zły, więc zapewne autor potępia całe drugie pokolenie. Ale Krzysztof Fatt, acz mniejszą w losach rodziny odgrywający rolę, jest dobry, a Liza — taka sobie, pośrednia, ani zła, ani dobra. Co tedy o tém drugiém pokoleniu sądzić, i co o niém sądzi autor? Czy do tytułu dorobił niestosowną powieść, czy powieści dał niewłaściwy tytuł? Czy wreszcie wie, lub nie wie, jaka jest moralna i społeczna wartość drugiego pokolenia, o którém opowiada, i jeśli wie, dlaczego tego nie mówi jasno, lecz rozprasza wrażenia nasze, nie pozwalając im się skrystalizować w jakiś kształt wyraźny?

W pytaniach tych mieszczą się dość poważne zarzuty. Niemniéj autor, jeśli się zgodzi na to, że tytuł nie ma tu być świadectwem jakichś szerokich intencyi, może się bronić. Bo w życiu bywa i tak, i owak, a kategoryczne sądy o całych warstwach ludności wyjątkowo tylko są możliwe, rzadko usprawiedliwione. O drugiém pokoleniu rodzin przemysłowych nie można powiedzieć, że jest złe lub dobre. Są w niém ludzie źli, bywają także dzielni. Jeśli się zdarzy zły, to na scenie społecznéj odgrywa zwykle głośniejszą rolę od pracowitych, oszczędnych, dzielących czas swój między fabrykę i kółko rodzinne Ztąd też, zupełnie bez ujmy dla drugiego pokolenia w ogóle i bez zamiaru dyskredytowania go ryczałtem, wolno również było w powieści zrobić z Karola Fatta głównego bohatera i poświęcić mu najwięcéj uwagi. Potém zaś, w życiu tak samo, jak w powieści, co zburzył zły Karol, to musi odbudowywać stary ojciec lub dobry Krzysztof. Sytuacya powieściowa odpowiada tutaj trafnie rzeczywistym stosunkom, albowiem, jeśli rodzina przemysłowa, zachwiana w dobrobycie przez błędy zwyrodniałych swych członków, nie ma zupełnie zmarnieć, ratunek wyjść może tylko z tych zalet pierwotych, których

uosobieniem jest założyciel rodu i pierwszy twórca jego wybitnego stanowiska, czy też od tych zasymilowanych już w drugiém pokoleniu synów, którzy, przyjmując nową kulturę obyczajową, nie zatracili ojcowskich przymiotów.

Pierwszy tom zawiera opowieść zdarzeń, które poprzedziły katastrofę bankructwa, drugi – historyę bankructwa i tego, co nastąpiło po niém. Karol upadł właściwie nie wskutek życia nad stan, lecz przez złe pokierowanie interesami. Atoli między tém potknięciem się, a całym zbiorem warunków moralnych i towarzyskich jego egzystencyi, zachodzi dość widoczny związek. Fortuna, jaką otrzymał z rąk ojca, pozwalała mu na życie pańskie i wystawne, a mogła się przytém stopniowo powiększać. Karol też żył wystawnie i po pańsku. Wszelako ta atmosfera użycia i zbytku, jaką oddychał, przyczyniała się obok innych powodów do obudzenia w nim gorączki złota. Mienie jego rodziny było nieznacznem w porównaniu z majątkami książąt giełdy. Wystarczało ono doskonale na to, żeby mógł prowadzić dom otwarty, romansować z aktorkami i grać o duże pieniądze w karty. Ale, stawszy się połową duszy nędznym sybarytą, Karol nie mógł już drugą połową być pracowitym i oględnym przemysłowcem. Wychowaniec stulecia pary i elektryczności, chciał zrobić miliony szybko. Sam ożeniony ze szlachcianką, siostrę miał wydać za barona. Gdyby mu wszystko poszło, jak sobie projektował, przekształciłby się niemal czarodziejsko z syna skromnego dorobkiewicza w milionera, skoligaconego z arystokracyą. Mieszkałby wówczas w pałacu, posiadałby najdystyńgowańsze stosunki, utrzymywałby najpiękniejsze kochanki. W przedsionkach jego przyjmowałaby gości najsprawniejsza służba, za stołem jego pitoby najlepsze wina. Gdyby chciał, mógłby rzucać złoto garściami, a za złoto świat cały chyliłby mu się do kolan. Nikomu niczegoby nie zazdrościł i o to chyba tylko miałby słuszną do losu pretensyę, że się odrazu nie urodził w domu magnackim, jako książę, hrabia, wreszcie baron.

Nieszczęściem, umysł, pochłonięty przez miłostki, hulanki i takie chorobliwe marzenia, nie miał ani dość czasu, ani dość siły na to, żeby roztropnie kierować wyborem środków, prowadzących do celu. Opanowany żądzą szybkiego zbogacenia się, Karol skwapliwie chwyta świetny z pozoru interes, wróżący kolosalne zyski, nie zbadawszy go należycie. On tak pragnie zbogacić się, że sama myśl o możności zrobienia milionów przez jakąś tranzakcyę, już go do niéj przyjaźnie usposabia. W dodatku zaś wierzy on ślepo nietylko w swoje szczęście, ale i w swój geniusz; a ta wiara czyni go leniwym do myślenia i do pilnego badania warunków przedsięwzięcia. Podobało mu się, więc jest dobre. A gdyby było złe, już przez to, że on sta-

nie na czele i poprowadzi je, przedsięwzięcie zmieni się w dobre. Stało się inaczéj. Karol lokuje cały prawie swój i rodziny majątek w akcyach jakiéjś cukrowni, obiecując sobie niebywale korzyści; tymczasem, zamiast zrobić miliony, najniespodziewaniéj traci i bankrutuje. Na wiadomość o tém, chce się pozbawić życia. Gdy jednak pokazało się w końcu, że je zanadto ceni, aby go się pozbyć był zdolen, ucieka z kraju. Na bruku warszawskim zostają rozbitki: żona, dzieci, rodzice, rodzeństwo. Za całą pociechę dezerter zostawia im listy z obietnicą, że się za granicą wkrótce zbogaci i że wówczas powróci, aby im nagrodzić chwilową przykrość.

Przez cały prawie ten pierwszy tom jesteśmy w dusznéj atmosferze pańskomieszczańskiego salonu z jego przyległościami. Przyległości takiego salonu, to gabinet pana, w którym się snują projekta krociowych dywidend, to buduary grzesznic z półświatka, to kawalerskie mieszkania, służące za domy gry. Przelotnie tylko zaglądamy do fabryki, do mieszkania starego Fatta, lub do skromnego gniazda inkasenta Pęczyńskiego, który ma młodziutką córkę, miłą oku i sercu Krzysztofa. Ale i tu ściga nas powietrze karolowego salonu, wnoszące pod dach ojcowski nieznane tam dotąd pojęcia i aspiracye, a w dom Pęczyńskiego, z którego córką Karol nie pozwala się bratu żenić, — zmartwienie. Tę atmosferę znamy dobrze i nie lubimy jéj. Niechętnie zostajemy w niéj przez czas dłuższy, i dlatego zapewne pierwszy tom opowiadania nuży nas. Takie w niéj wszystko grubo egoistyczne, a takie przytém czcze i banalne. Nie szukać tu serca, nie szukać poezyi. Wygody stanowią istotę życia, a bogata wystawność—jego najpiękniejszą ozdobę. Filantrop znajdzie tu zawsze pieniądze, nigdy współczucia dla niedoli; poeta musi mieć zawsze w kieszeni „karmelki dla dam“. Przez dłuższe zresztą oddychanie takiém powietrzem, zarówno filantrop, jak poeta, sami także gubią ślady swych ideałów i banalnieją. Dodajmy zaś do tego, że p. Gawalewicz jest prawdziwym mistrzem w malowaniu banalności, którą odtwarza tak, że przenika ona w nas wszystkiemi porami.

W drugim tomie jednak wydostajemy się na świeże powietrze i pierś uczuwa ulgę. Karol uciekł. Stary Fatt, srodze zraniony, zabiera się z Krzysztofem do ratowania tonącego okrętu. Narzeczeństwo Lizy z baronem Turnau zerwane; długi, jakie poczynił Karol, popłacone. Zaczyna się spokojna a wytrwała praca nad podźwignięciem rodziny z upadku. Po paru latach, gdy trudy te wydały już pożądany owoc, Karol, znowu zawiedziony w swych nadziejach zbogacenia się za granicą, wraca do Warszawy, jako nędzarz. Zgłasza się do domu ojca, ale ten, wyparłszy się go raz, znać go więcéj nie chce. I rozwija się przed nami widowisko równoległego wznoszenia

się coraz wyżéj ocalonéj przez starego Fatta fabryki, a z drugiéj strony schodzenia Karola na coraz niższe szczeble, jako pieczeniarz, szuler, profesor bilardu i t. d. Historya Karola Fatta po powrocie i dzieje restauracyi fortuny rodzinnéj przez starego Fatta należą niezawodnie do najładniejszych rzeczy, jakie wyszły z pod pióra p. Gawalewicza. To też ten drugi tom wynagradza nas za wszystko, co w pierwszym mogło nas mniéj interesować. Mamy tu przed oczyma ludzi, którzy coś przecie robią, z czémś walczą, do czegoś lepszego dążą, albo takich, z którymi się coś robi, których los za włosy targa i którzy przechodzą ciekawy proces psychologiczny. Nie jest to już obraz wegetacyi salonowo-buduarowéj, w któréj tylko zmysły żyją pełném życiem, a serce zna tylko półuczucia, głowa tylko okruszyny myśli. Patrzymy owszem na rączy bieg fali społecznéj, na któréj odbywa się wcale zajmująca walka o byt w trudnych warunkach. Zmiana motywu oddziałała dodatnio i na pióro autorskie. Mistrz banalności rozgrzał się i przestał nas karmić banalnością. Sięgnąwszy trochę głębiéj w dusze ludzkie i w stosunki, złożył dowód, że głębie te nie są dla niego strefą nieznaną i zakazaną. Osiąga też w niemałym stopniu ten cel najwyższy, jaki założyć sobie może powieściopisarz, a którym jest serdeczne współczucie czytelnika dla bohaterów opowiadania, zdobyte prostém a jędrném malowidłem ich społecznéj historyi.

Nie będziemy się tutaj wdawali w szczegóły i cytowali wszystkich lepszych rozdziałów powieści, interesujących sytuacyi i trafnych rysów charakterystyki. Niech dla czytelnika, który jeszcze powieści téj nie czytał, a który ją poznać zapragnie, zostanie trochę niespodzianek. Zwrócimy natomiast uwagę na pewien szczegół czysto literacki. Wspomnieliśmy wyżéj o jędrném malowidle. Gdyby wyrażenie to można było zastosować bez zastrzeżeń do „Drugiego pokolenia“, tkwiłaby w tém niezawodnie największa pochwała, jaką mu oddać można, zważywszy, że jędrność stanowi właśnie ten pierwiastek, którego piôru p. Gawalewicza najczęściéj brakuje. Zastrzeżenia jednak nie byłyby wcale zbyteczne. Nie myślimy przytaczać długiego szeregu ustępów, które pod nie podpadają. Chodzi nam o zaznaczenie pewnéj właściwości stylowéj p. Gawalewicza, i dlatego ograniczmy się do wyjaśnienia, co mianowicie rozumiemy przez ową jędrność i w jakich razach dopatrujemy się braku.

Otwieramy książkę i zaraz na pierwszéj karcie znajdujemy opis okoliczności, które skłoniły starego Fatta do oddania zarządu fabryki synowi. Wpłynęło na to sterane w pracy zdrowie, reumatyzmy, newralgia i inne „uporczywe cierpienia, przykuwające go coraz częściéj do łóżka, paraliżujące jego działalność, jako głównego szefa, na

którego głowie wszystko spoczywało, niby ogromne sklepienie łukowe, oparte na jednym filarze". Kiedy już doskonale o tém wiemy, i nie mając żadnych wątpliwości co do powodów ustąpienia schorzałego starca, chcemy pójść daléj, — autor powiada: nie, ja wam to samo powtórzę jeszcze raz w inny sposób. I powtarza, w formie dyalogu między chorym i „lekarzami", dyalogu, oczywiście dawniejszego od ustąpienia, z którém już zapoznaliśmy się i oswoili. „Lekarze" tedy mówili do niego: „niéma rady, powinieneś pan odpocząć, zmienić tryb życia, i t. d." A on im na to: „ależ bójcie się Boga, ja mam żelazny organizm... i t. d."—Naturalnie że mówili, choć może nie wszyscy razem, albo nie wszyscy jednakowo. Czytając jednak ten dyalog, doznajemy wrażenia, że jest to niepotrzebne rozwałkowywanie tego, co już było czytelnikowi podane do wiadomości, forma zaś „lekarze mówili" do reszty demaskuje ilustracyjną sztuczność téj rozmowy, gdzie z jednéj strony występuje stary Fatt, a z drugiéj całe pojęcie zbiorowe, cały stan lekarski, szkoda, że nie sama Medycyna.

O parę stron daléj robi autor użytek dla charakterystyki Krzysztofa z wytartego opowiadania o młodym synu niemieckiéj rodziny, który się obraża już o nazwę Niemca, *vulgo* szwaba. Jeśli już nie można się było bez tego pociągnięcia obyć, można go było chociaż nie rozmazywać. Ale autor nie chce nam i tego darować, i opisuje szczegółowo, jak to było po wypędzeniu Krzysia ze szkół za wybicie zęba koledze, który go szwabem nazwał. I zaczyna opowiadanie: „kiedy wrócił do domu, czerwony jak rak..." i t. d., a potém: co do niego powiedział ojciec, i jak on odrzekł ojcu, że szwabem nie jest, i t. d. Oczywiście znowu najniepotrzebniéj rozwałkowano, jako sztuczną illustracyę, to, o czém dość było wzmiankować, albo co byłoby jeszcze lepiéj całkiem opuścić.

Posuwamy się o kilka kartek. Autor opisuje stosunek ojca do najstarszego syna. „Siwe, stalowego koloru oczy, pod krzaczastemi brwiami, świeciły mu dumą i szczęściem, gdy patrzał na tego dorodnego mężczyznę, o kształtnych regularnych rysach... i t. d." I znowu o parę wierszy daléj: „stary Fatt z lubością przypatrywał się swemu synowi..."

Brak nam miejsca na mnożenie przykładów, sądzimy jednak, że i te wystarczą do uwydatnienia, o co nam chodzi. P. Gawalewicz często bardzo rzeczy już powiedziane powtarza trochę daléj innemi słowy, albo sytuacye i zdarzenia już opisane powtórnie przedstawia w formie uscenizowanéj, w dorabianych i jawnie dla ilustracyi klejonych dyalogach. Jest to na pozór drobna rzecz, a jednak pociąga za sobą poważne następstwa. Pierwszém z nich jest to, że czytelnik co chwila jak gdyby się o coś potykał, zatrzymywany wte-

dy właśnie, kiedy chciał iść naprzód, co go nuży i drażni. Drugie jest jeszcze gorsze, bo zamiast być subjektywném, spada na samą powieść. Zabija nas nuda, gdy nam ktoś w rozmowie salonowéj powtarza rzeczy oddawna wiadome. Otóż, kiedy autor w powieści rozwałkowywa to, co już wyżéj dostatecznie w ten lub inny sposób opowiedział, ogarnia nas toż samo zupełnie znudzenie, bo co chwila z tych powtarzań uderza w nas coś zwietrzałego i oklepanego. I może się niejednemu zdawać, że cały utwór jest zwietrzałą oklepanką, i z takiém wrażeniem odłoży książkę, skarżąc się, że jest mdła i banalna. Tymczasem książka wyglądałaby wcale dobrze, gdyby z niéj jakąś liczbę stronic, odgrywających rolę papugi, zupełnie wykreślić, a pozostawić tylko niezbędną resztę.

W drugim tomie „Drugiego pokolenia“, pisanym widocznie z pewnym rozmachem, jest tych rozwałkowań stosunkowo niewiele, i dla tego tak się dodatnio wyróżnia. W pierwszym obfitsze. Zwracamy na nie uwagę, bo tłómaczą one pod pewnym względem stosunek czytającéj publiczności do autora, bądź co bądź utalentowanego, a przytém chcielibyśmy, aby i on na nie swoją autorską uwagę zwrócił. Chodzi w gruncie o rzecz drobną. Pan Gawalewicz ma dobre pomysły i umie pisać. Niech nie rozwałkowywa treści, niech opowiedzianych sytuacyi nie scenizuje, a uscenizowanych nie opowiada. Zyska wówczas jeden tytuł więcéj do tego, żeby był z zajęciem czytany i ceniony, jako dobry i pożyteczny pisarz.

J. Gadomski.

Włodzimierza Wysockiego: „*Wszyscy za jednego*“, „*Laszka*“, „*Zaklęta łza*“, „*Nowe dziady*“, „*Oksana*“, „*Las*“, wydane nakładem Bolesława Koreywy w Kijowie.

Pan Włodzimierz Wysocki, którego nowy utwór poetyczny pod tytułem „Oksana, szkic sielankowy“, wydała swym nakładem księgarnia p. Bolesława Koreywy w Kijowie, dał się nam poznać po raz pierwszy w r. 1882, wystąpiwszy z ostrą satyrą przeciw szlachcie pod napisem „Wszyscy za jednego. Fraszka“. Rzecz to była pełna zjadliwego dowcipu, napisana wierszem potoczystym i łatwym, choć tu ówdzie grzeszącym usterkami językowemi; ale z niéj jeszcze trudno było osądzić, azali autor istotnie talent poetycki posiada, bo sa-

tyra, to jeszcze nie poezya, a powiedzmy otwarcie, że satyra p. Wysockiego sprawiła na nas bardzo przykre wrażenie: był to zbiór utartych i wytartych, choć dotąd jeszcze modnych zarzutów przeciw korporacyi ziemiańskiéj, przedstawionéj przez autora, jako zbiorowisko samych głupców, slamazarników, pasibrzuchów, opojów, utracyuszów, niezdolnych do niczego, nie umiejących w niczém sobie poradzić i bez żyda faktora ani się ruszyć, a wszystkie swoje troski, kłopoty, całą swą biedę zwalających na ciężkie czasy i na Niemców. Wszyscy też, naturalnie, kończą na ruinie ostatniéj, tak, iż jeden z nich, p. Marszałek, sprzedawszy wioskę, traktyernię zakłada, drugi się tera na służbie ekonomskiéj u Niemca, który dobra jego zakupił, trzeci wychodzi na szwajcara, a czwarty na „dzwoniarza“ przy dworcu kolei żelaznéj. Satyrze wolno wiele, p. Wysocki wszelakoż nieoględnie téj wolności nadużył.

To też z prawdziwą przyjemnością powitaliśmy nowy jego utwór, w rok po Fraszce wydany, a wcale do niéj niepodobny, który nader pochlebne co do jego twórczości poetyckiéj obudził w nas nadzieje. Był to poemat, na tle historycznem osnuty, p. t. „Laszka“. bardzo piękny w pomyśle, a w obrobieniu w wielu miejscach odznaczający się niepospolitym wdziękiem słowa i malowniczością opisów. Rzecz w nim dzieje się podczas najść tatarskich na Ukrainę. Rotmistrz pancerny, Zdzisław, opuszcza swoją narzeczoną, Terenię, aby wespół z oddziałem kozackim, dowodzącym przez atamana Tymka Czałego, stawić czoło najeźdźcom. Przez cały miesiąc *Lasza* i *Kozacza* w zgodzie przykładnéj dzielnie się spisywali na kresach, dzień po dniu brocząc we krwi pohańców i, mimo sił nierównych, biorąc wszędy górę nad nimi; aż nareszcie, po jednym ze znaczniejszych pogromów nad Ingułem, Zdzisław, zostawiwszy Czałemu cały tabor zdobyty, wraz z odbitym jassyrem, puścił się z swoją rotą pancerną w pogoń za niedobitkami, a zapowiedział, że za trzy dni złączy się znowu z kozakami w Wilczym dole.

Ataman po odjeździe rotmistrza, obchodząc pobojowisko, znalazł na brzegu rzeki leżącą obumarłą dziewicę, jedną z branek tatarskich, któréj piękność niezwykla od razu go w zachwyt wprawiła. Przywołany na pomoc towarzyszący oddziałowi Czałego, lirnik, a zarazem znachor, Łahoda, (postać udatnie odmalowana), uspokoił jego obawę o jéj życie i dopomógł złożyć ją pod namiotem. Tam przez dwie doby, prawie niedostępnie, czuwał przy niéj młody ataman, coraz bardziéj w niéj się rozmiłowując, ale, przez poszanowanie jéj boleści, niczém nie zdradzając swego uczucia; aż dopiero, kiedy z ust jéj posłyszał, że jest sierotą, że tatarzy zamordowali jéj ojca i matkę, serce swoje przed nią otworzył, ofiarując jéj swą opiekę, schronienie

i dostatki; lecz w zamian otrzymał tylko obietnicę, że za wyzwolenie z jassyru i za uratowanie czci jéj i życia, będzie miał w niéj na zawsze wdzięczną siostrę.

Dnia trzeciego nad ranem nadciągnął zwycięski Zdzisław, wiodąc z sobą jeńców tatarskich. Powitany radosnemi okrzykami przez Czałego i przez jego drużynę, gwarząc wesoło, szedł razem ze starszyzną ku namiotowi atamana, gdy w tém z poza uchylonéj jego opony ukazała się odbita przez Czałego branka tatarska. „Terenia!“— zawołał Zdzisław, i w tejże chwili narzeczona znalazła się w jego objęciach. Ale Czały zakłóca radosne uniesienia kochanków, porywając za rękę Terenię i oświadczając Zdzisławowi oraz wszem wobec, że ją za swą własność uważa. Zdzisław odpycha napastnika, zasłania dziewczę swą postawą, dobywa szabli, Czały toż samo. Napróżno lirnik stara się pohamować rywali, napróżno nawołuje do zgody; żaden nie chce ustąpić, a zaciekłość dowódców przenosi się i na ich podkomendnych: z jednéj strony kozacy, z drugiéj pancerni gotowi już uderzyć wzajem na siebie. Wtedy lirnik, chcąc zapobiedz rozlewowi krwi bratniéj, proponuje, żeby każdy z rywali ściął jednego z brańców tatarskich, a kto dzielniéj przy tém się sprawi, temu on nieodwołalnie Laszkę przysądzi.

Projekt podobał się ogólnie. Terenię odprowadzono do szałasu lirnika, na plac przywleczono dwóch jeńców.

Czały, bez wielkiego zachodu, jednym zamachem ściął łeb Tatarzynowi i wywołał radośne, tryumfalne „hurra“ w pośród kozactwa. Po nim Zdzisław przystąpił do ofiary swojéj z dwoma mieczami, a rozciąwszy na jeńcu więzy, jeden z nich dał mu w ręce i rzekł w te słowa:

„Bić bezbronnego Lach nie ma zwyczaju;
Masz wolne ręce, więc broń się Nogaju!“
Poczém zdjął pancerz i przyłbicę z głowy
I z kordem stanął do walki gotowy.

. . . . . .

Popodnosili miecze. W koło cisza taka,
Że słychać było szelest skrzydeł ptaka,
Który przeleciał nad nimi w téj chwili;
Ruchy szermierzy tysiąc oczu goni,
Widzowie oddech w swych piersiach stłumili,
Czekając chwili stanowczéj ze drżeniem...
W tém pierwszy, drugi rozległ się szczęk broni,
Zgrzytnęły kordy, mrugnęły promieniem,
Kręcą się, świszczą, sypiąc iskier smugi.
Aż prysnął w górę nakształt srebrnéj strugi
Miecz Tatarzyna, nad tłumy wysoko
Przeleciał, kąpiąc w słońcu grzbiet stalowy,—

Nim na dół upadł—już Tatar bez głowy
Leżał na ziemi i broczył posoką. —
Jak burza, taki okrzyk przerwał ciszę,
„Hurra!“ — z zapałem krzyknęli kozaki,
„Hurra!“ i lecą do góry kołpaki,
„Wiwat nasz rotmistrz!“ — krzyczą towarzysze.

Ma się rozumieć, że Łahoda przysądza brankę Zdzisławowi, ale Czały nie może pogodzić się z myślą o jéj utracie; podnieca jego upór setnik Syłucha i podburza przeciw lachom całe kozactwo. Prośby i zaklęcia lirnika nie odnoszą żadnego skutku; dosiadają koni oba zastępy i groźnie występują przeciwko sobie. Wtedy Zdzisław proponuje Czałemu, żeby osobistą swą sprawę rozstrzygnęli bojem pojedynkowym. Czały na to się zgadza; dobywają więc mieczy. Aż w tém na wzgórzach, Wilczy dół otaczających, ukuzują się niespodzianie — Tatarzy. To wszakże nie powstrzymuje zapaśników zaciekłych. Uderzają wzajem na siebie.

Aż w tém Terenia

Nagle pomiędzy zapaśników wpada,
„Stójcie!— zawoła,— wstrzymajcie prawice!
Jeśli brat bratu cios śmiertelny zada,
Przekleństwo jemu! Wolę Tatarzyna,
Niżeli żoną pozostać Kaina.
Ja spór rozstrzygnę: ten z was moim mężem,
Kto mię tam pierwszy dobędzie orężem.

I jak wiatr chyża, leci i znika wpośród czerni tatarskiéj.

Nie trudno się domyślić, że jak Zdzisław, tak też i Czały, jak pancerni, tak i kozacy, z równym zapałem, z równą furyą rzucili się do boju, i nie trudno odgadnąć, jak bój taki skończyć się musiał. Żałuję, że się muszę powstrzymać od przytoczenia tu jego opisu, tchnącego pełnią życia i werwy, a ujmującego szlachetnemi, prawdziwie rycerskiemi rysami charakteru wspierających się i ratujących wzajem dwóch zawziętych rywali. Tatarzy rozproszeni, ale niestety, któryś z nich, uchodząc z pobojowiska, ciosem śmiertelnym w piersi Laszki ugodził. Miała zaledwie tyle siły, że, złączywszy dłonie Zdzisława i Czałego, rzekła:

„Za chwilę zabierze
Bóg mię do siebie... lecz niech przy mym zgonie
Przymierze wasze będzie mi gromnicą...
Przebaczcie sobie wzajemnie i szczerze,
I jako bracia połączcie swe dłonie“.

Rozszerzyliśmy się może zanadto nad tym poematem, ale słusznie to mu się od nas należało, jako najprzedniejszemu z dotychczasowych

utworów p. Wysockiego, który, na nieszczęście, w parę lat potém znowu do satyry powrócił i wydał „Zaklętą łzę“, balladę, oraz „Nowe dziady“, żarcik poetycki, wlawszy w nie jeszcze więcéj, niżli we fraszce „Wszyscy za jednego“, żółci i jadu przeciw szlachcie, już nie jednéj jakiéjś tam okolicy, ale przeciw jéj ogółowi, i nie przeciw żyjącéj, ale wywleczonéj z grobu na chłostę.

„Zaklęta łza“ była naprzód kropelką rosy, którą wiatr z nad Wisły zaniósł do Węgier i rzucił ją na winne grono, aby, przez nie wessana, znalazła się późniéj w beczce tokaju i z nim powróciła znowu nad Wisłę. Tam ją wypił jakiś pan wielki, u którego

I we dnie i w nocy brzękały kielichy,
Drżał pałac od salwy grzmotów,
A z wiosek chat niskich dolatał jęk cichy
Uciemiężanych helotów.

Powstawszy od stołu, pan ów poprowadził swych gości do ogrodu, gdzie setki owych helotów spędzono z jego rozkazu do kopania stawów. Jeden z nich, nędzny, obszarpany, ociekający znojem z błotem zmieszanym, olśniony widokiem złota, pasów, karabeli, postaci, min i *brzuchów* pańskich, pochylił się i kornie pocałował pana w kolano, a pocałunek ten na jasnéj sajecie pańskiego kontusza zostawił błotnistą plamę.

„Precz bydlę!“ wrzasnął pan oburzony i plunął na chłopa, a inni panowie ze śmiechem powtórzyli za nim ten wyraz. W owych plwocinach pańskich znalazła się właśnie ta kropla rosy, co ukryta była w węgrzynie, a na skwarze słonecznym zamieniwszy się w parę, wesoło uleciała w lazury. Lecz nagle wśród ciszy zagrzmiało:

„Przeklęta! bo śliną szlachcica plugawą
Spadłaś na głowę nędzarza!
Przeklęty, kto, w siłę zamożny i prawo,
Słabych, maluczkich znieważa.

Nie spadniesz ty w rzeki, ni srebrne ruczaje,
Co poją trawy i kwiaty,
Łzą będziesz przeklętą, co ulgi nie daje,
Łzą na łańcuchy i kraty.

I póki łzą będziesz, tyś zawsze grzesznica,
Nie masz do łaski powrotu,
Aż z trudów i pracy na czole szlachcica
Wystąpisz kropelką potu“.

Zdawałoby się, że ekspiacya to łatwa, bo przecież niepodobna zaprzeczyć, że na czole niejednego szlachcica w pośród trudu i pracy krwawy nawet pot występuje, jakiego pono nie zna bardzo wiele

czół nieszlacheckich; ale p. Wysocki inne ma zdanie. Jego kropelka rosy, w łzę zaklęta, przeklęta, tak mu się skarży:

Minęły dnie, lata... wiek mija, a kary
Straszliwéj nie widzę końca;
Los miotał mię wszędzie: na piaski Sahary,
Palone żarami słońca;

W Egipcie skrapiałam piramid podnoża,
I prochy ulic w Kairze,
Na szczyt Samo-Sierra, na Kaukaz, na morza,
Wiatr niósł mię w szalonym wirze...

Ach, gdzie mię nie było! nieszczęsna włóczęga,
Zakuta w wyroków pęta,
Po świecie się tułam, a wszędzie mię sięga
Straszliwe echo: przeklęta!

A ileż to świetnych doznałam nadziei
I bolesnego zawodu!
W tułactwie los rządził, że pił mię z kolei
Każdy, co z twego był rodu.

Do serc ich wchodziłam, jak grzesznik do celi,
Gdy szuka ulgi w zgryzocie;
Lecz ztamtąd mię we krwi lub we łzach wyleli,
A nigdy w pracy swéj pocie!"

Jakiejże to właściwie pracy autor żąda od potomków tych panów, co to, według niego, plwali na chłopów, całujących z pokorą ich kolana? My ich widzimy na wszelkich posterunkach, dla nich dostępnych, a niestety spotykamy i takich, którzy pracy, jakiejbądź pracy, pragną i poszukują, jak zbawienia, goniąc za nią po wszystkich onych drogach, po których przeklęta łza się błąkała... Owóż nam się wydaje, że jeżeli dotychczas z téj łzy klątwa nie zdjęta, to już chyba tylko dlatego, że tak wielu jest między nami, którzy nią plują w twarz swych ojców i braci.

Po części i sam autor do tego się przyznaje w dewizie do „Nowych dziadów", mówiąc:

Gdy odchylam trumny wieko
I oglądam nasze dzieje,
Chcę nie płakać, więc się śmieję,
Ja się śmieję, a łzy cieką...

W tych „Nowych dziadach", tak samo, jak w „Dziadach" Mickiewicza, guślarz wywołuje dusze umarłych; zjawiają się

I kontusze, i żupany,
Fraki, delije, habity,

Pludry, pudry i żupany,
Złotogłowie, aksamity,
Hełmy, infuły biskupie,
Twarze lisie, pijane, głupie,
Zawadyackie wszystkich miny,
Każdy, puhar mając w ręce,
Tańczy, skacze, jak na męce,
Arlekiny, arlekiny!

A guślarz ich zapytuje:

Wy, których zasługą życia
Była jeno zdolność tycia,
Buta, ludu ciemiężenie,
Burda, szał, zawadyactwo,
Pasibrzustwo i pieniactwo;
Wy, co mieliście sumienie
Z przedajności żyć, z frymarku
Narodowéj czci i sławy,
I dorobek ojców krwawy
Roztrwoniliście, przepili,
A nam, wnukom swym, na karku
Łzy, dług, nędzę zostawili:
Gdy was Bóg za wsze grzechy
Oddał dyabłom na uciechy,
Na męczarnie i katusze;
Powiedzcie nam, co potrzeba;
Żeby zbawić wasze dusze
I otworzyć fórtę nieba!

Nie lepiéj wyglądają i wnukowie tych dziadów; ukazują się oni każdy z żydem na karku,

„Nadzy, bosi,
Ledwie który ma nad biodrem
Jakiejś szmaty strzępek płowy...
Pełno troski i pokory
W czerstwych licach mają duchy,
A opadłe wielkie brzuchy
Wiszą im jak próżne wory.
Dziwna postać owych ludzi
Śmiech i litość naszą budzi.

Następnie ukazuje się poeta pessymista, sceptyk, w którego dosyć długiéj tyradzie jest kilka wcale pięknych ustępów, a któremu guślarz obiecuje, że śród panującego dziś zamętu kiedyś prawda zaświta; w końcu zaś, na uwieńczone dzieła, występuje Twardowski, który tak o sobie powiada:

Byłem synem tego kraju,
Panem na Twardowie,
Z rodu, herbu, obyczaju,
Szlachcic co się zowie.

Piłem węgrzyn, jadł bigosy,
Warcholił w sejmiku,
Gracz do szabli — uszy, nosy
Płatałem bez liku.

Bójki, kłótnie, szał, ekscesy
Z braci szlachty kołem,
I najazdy, i procesy,
Były mym żywiołem.

Pięścią, gardłem i butelką
Służyłem mój ziemi,
Skąd estymę miałem wielką
I rum między swemi.

Czyż nie prawda, że piękny wizerunek prototypu szlachcica powstał z téj trumny, nad którą autor zapłakał, uchyliwszy jéj wieka? Ale nie tu jeszcze ostatnie słowo. Twardowski, opowiadając dzieje swego żywota, wyjaśnia, iż dlatego

Zawieszono go nad światem,
W sferze gwiazd, księżyców,
Żeby służył emblematem
Ziomków swych—szlachciców,

Którzy nieba nie dorośli,
Piekłu nieprzydatni.
Ród ich na pół lwi, pół ośli,
W rzymskiéj zginie matni.
. . . . . .

Co dziś Rzym? rumowisk kupa,
Stęchlizna i gnicie!
Tylko robak lgnie do trupa
I zeń czerpie życie.

Nad tym epizodem w komentarze się nie wdajemy, bo zdaje się, że byłyby zbyteczne; wszystko zaś, cośmy o satyrach p. Wysockiego powiedzieli, powiedzieliśmy *sine ira et studio*, nie zarzucając mu złéj woli i nie wątpiąc o najlepszych jego intencyach i szczerości przekonań. Pisał tak, bo zapewne mu się zdawało, że to najlepszy środek na niemoce nasze społeczne. Zdaniem naszém omylił się w jego wyborze, a przynajmniéj przebrał w nim miarę; wiemy wszakże, iż nie brak takich, co mu przyklaskują za to serdecznie.

Do najświeższych utworów p. Wysockiego należy poemacik p. t. „Oksana“, oraz „Las“, wiązanka XXVI niby sonetów — (mówimy *niby*, bo jakkolwiek każdy z nich składa się z dwóch strof po cztery, dwóch po trzy wiersze, jak wymaga forma sonetów, tém przecież przeciw niéj wykraczają, że dwie pierwsze strofy mają każda po dwie pary odrębnych rymów, zamiast jednakowych w obudwóch).— Oksana była córką rybaka, osiadłego w lichéj lepiance nad rzeką. Poeta poznał ją przypadkiem w jednéj z ulubionych swoich przejażdżek łódką, zatrzymawszy się raz pod oną lepianką, żeby spytać rybaka, naprawiającego czółno na dworze, czy nie mógłby u niego dostać mleka. Rybak huknął: Oksano!

Drzwi skrzypnęły, a w ich ramie,
Na tle ciemnem małych sionek,
Jak obrazek najpiękniejszy,
Jak wcielenie młodych mrzonek,
Nimfa leśna, czy Undina *(t. j. Ondyna)*
Ukazała się dziewczyna.

Była w stroju prostéj chłopki, bosa, nogi miała obłocone, koszulę grubą i nie świeżą, twarz i ręce ogorzałe, a jednak olśniła poetę, który odtąd, coraz częściéj oddając się sportowi wioślarskiemu, coraz częściéj do lepianki zaglądał, a wybierał zwykle takie godziny, w których ojciec dziewuchy na połów ryb wypływał. Naturalnie, że Sania nie mogła być nieczułą na zaloty panicza, który czarował ją i swoją urodą, i słodkiemi słówkami, i chociaż długo mu się opierała, bo uczciwą była dziewczyną, skończyło się jednakże na tém, na czém się zwykle kończą takie sielanki.

Nie będziemy opisywali téj czuléj sceny, którą autor namiętnie i plastycznie odtworzył, ani téż nie powtórzymy za nim, jak po niéj wyglądała dziewczyna, i wolelibyśmy, żeby poeta oszczędził nam tego naturalistycznego obrazu; powiemy tylko, że, po upadku, Sania wnet uczuła całą swą hańbę i krzywdę, sobie wyrządzoną; a gdy drżącą od cichego spazmatycznego płaczu młodzieniec chciał pocieszać, wściekle rzuciła się na niego, wołając: „Uchodź podły nikczemniku, jeśli żywot tobie miły!“ i wypchnęła go za drzwi.

W drugiéj części poemaciku autor kreśli, jako świadek naoczny i uczestnik, sceny, w których chłopi biorą pomstę nad szlachtą, a na które, patrząc z ukrycia, omdlewa z przerażenia i zgrozy:

A gdy potém się ocucam,
Już źrenicą chłodną, pewną
Patrzę na to, co się dzieje,
Znieczulony niby drewno.
Dziwna, że mię widowisko

Wyuzdanéj téj swawoli,
Tych instynktów rozbestwionych,
Ani gorszy, ani boli,
Jak gdyby uczucia wszelkie
Nagle zgasły w piersi mojéj;
Lecz natomiast w mym umyśle
Mnóstwo się zagadnień roi,
Mnóstwo myśli całkiem nowych
Wątpliwości me rozprasza.
Więc poznaję, że ta zbrodnia,
Że ta krew — to wina nasza!
Że tych win, o! bardzo wiele!
A ów tłum — to krzywd mściciele!...
Między nimi jest nieznany
Mściciel hańby méj Oksany...

Późniéj poetę, tułającego się śród lasu, łapie rybak, ojciec Oksany, polujący na takich ptaszków wraz z innymi chłopami, i skrępowanego prowadzi do swéj chaty, gdzie każe go pilnować swéj córce, a sam na nową udaje się obławę. Po odejściu ojca, Oksana, nie wyrzekłszy ani słowa do panicza, porwała nóż i przypadła ku niemu. Panicz zmrużył oczy i pomyślał: „Ha! ma słuszność! niech zabije!“ ale ona rozcięła tylko na nim powrozy i kazała mu się ukryć w komórce, aby ztamtąd mógł umknąć z nastaniem nocy. Inaczéj wszakże się stało, bo gdy rybak, wróciwszy z lasu i nie zastawszy swego jeńca, spytał córkę o niego, a dowiedziawszy się od niéj, że go wypuściła, zaczął ją bić i deptać, młodzian wybiegł ze swéj kryjowki jéj na ratunek, a ujęty w powrozy przez ryba i powleczony do miasta, długo jeszcze słyszał za sobą rzewny płacz Sani.

Ostatni raz młodzieniec spotyka się z Oksaną na smutnéj swojéj drodze w dalekie strony. Wyszła nieboga, ażeby go pożegnać i obdarzyć.

Ogarnąłem ją ramieniem,
Nie kochanka, ale brata,
I całuję. Twarz biedaczki
Taka zimna, lodowata!
Sania daje mi jałmużnę,
On węzełek, i łzy roni.
„Weź, paniczu, to na drogę“.
— Więc przebaczasz? — mówię do niéj.
„Tak — szepnęła — niech przebaczy
Nam obojgu Bóg na niebie!
Bądźcie zdrowi!“ i wciąż szlocha.

Rozstali się; ona długo jeszcze stała na słocie pośród drogi, patrząc za nim i płacząc. Gdy zajrzał do węzełka, znalazł w nim świe-

ży podpłomyk, korale i kilka miedziaków, całe mienie dziewczyny, zawinięte w perkalową chustkę zieloną w pąsowe i żółte kwiaty, którą jéj niegdyś podarował, chcąc zaskarbić jéj względy.

W prologu, oraz w pierwszéj części tego utworu jest kilka ustępów wcale udatnych, szczególniéj opisowych; dobrze nakreślona postać rybaka i Oksany, gorąco wyrażone uczucie, choć niesłusznie z popędu brutalnego przekształcone w miłość, wrzekomo idealną, którą, jak p. Wysocki śpiewa, znać i czuć może tylko

Młodość wolna, jasna, dzielna,
Nieskalana, jak blask słońca,
Nie obłudna, ślepa, ufna,
Wszechmiłością płomieniąca.

W drugiéj części, o ile wzruszającą jest druga jéj połowa, od pojmania panicza przez rybaka aż do końca, o tyle słabym nam się wydaje cały opis jego wyprawy i owéj pomsty chłopskiéj; po autorze „Laszki“ mieliśmy słuszne prawo spodziewać się większéj siły i dramatyczności, zwłaszcza, że i sam przedmiot nierównie więcéj jéj na stręczał, i z natury swojéj, i przez to, że nierównie bliższym był jego serca. Co do strony tendencyjnéj utworu, zgadzając się na znaczenie ekspiacyjne, musimy zrobić tu uwagę, że ekspiacya ta, wobec najsurowiéj nawet sądzonéj winy panicza i wielu mu podobnych, jest zanadto wygórowana. Autor wprawdzie powiada, że tych win bardzo wiele miała szlachta do opłacenia, lecz w poemacie jednę tylko widzimy, która, na nieszczęście, wspólna jest wszystkim stanom, któréj się dopuszczają nie sami jedynie szlachcice i nie względem samych jedynie chłopek. Wreszcie, co do bohaterstwa Oksany, rozcinającéj więzy swego uwodziciela i obdarzającéj go na drogę całém swém mieniem, nie sądzimy, ażeby autor chciał w tém widzieć dowód podniosłości jéj duszy; gdyby jéj panicz był nie przypadł do serca, pewno-by mu krzywdy swojéj nie przebaczyła, a nawet-by i skrzywdzić się nie dała.

Już to p. Wysocki ma pewną predylekcyę do idealizowania wiéjskich dziewuch, bo i w „Lesie“, w którym lato przepędza w chacie gajowego, rozmiłowuje się w jego wnuczce, Ołence, która ma „białą szyjkę“, „usteczka wonne“, „głos słowiczy“, i do któréj dość jest się zbliżyć, aby się uczuć jakby „rajską wonią owianym“. Téj wszakże nie spotkało takie nieszczęście, jak Oksanę, choć go także kochała i sam na sam błądziła z nim codziennie po lesie. Raz miała już go pocałować, już się nawet nachyliła ku niemu, kiedy, jak na toż, z drzewa, pod którém siedzieli, wiewiórka upuściła orzechową łupinę, i pocałunek przepadł, bo Ołenka wstydziła się wiewiórki. Drugi znów raz w podobnéj chwili błysło, zagrzmiało, dziewczyna uciekła, mówiąc, że się Bóg gniewa. Nie taiła się z tém jednak, że go ko-

chała, bo raz, kiedy ją spytał, czego płacze, odpowiedziała „z naiwną prostotą“: „Płaczę, bo twoją chciałabym być żoną“.

Odpowiedź ta wywołuje z duszy poety taką apostrofę:

Ach, jeśli z ustek lubéj wyjdzie „kocham“ boskie,
Czyjeż serce nie zadrży przeczuciami nieba?
Ja zaś uczułem wielki żal, niepokój, troskę,
I gorycz, że się szczęścia tego wyrzéc trzeba.

Ty nie dla mnie, Ołenko! jam ciebie niegodzien!
Ciebie, proste natury niespaczone dziecię,
Mam prawo uwieść, siłą posiąść, jako zbrodzień,
Coby mi przyklaśnięto nawet w moim świecie;

Lecz wara zwać cię żoną! boś nie naszéj sfery,
Bo nie masz cnót i wdzięków salonów hetery,
Nie masz przymiotów sroki, papugi rozumu,

Nie masz zębów fałszych, nie tynkujesz skóry,
Masz własne piersi, włosy, nie nosisz turniury,
Słowem: jesteś prostaczką, jesteś dzieckiem tłumu...

Czyliż na prawdę p. Wysocki wszystkie kobiety sfery nie chłopskiéj za hetery, za sroki i papugi uważa, i u wszystkich znajduje same tylko fałszywe zęby, włosy, rumieńce i t. d., i czy na prawdę mniema, że pierwsza lepsza, byle tylko *harna*, Ołenka lub Oksana, może być godną towarzyszką żywota człowieka inteligentnego, może mu dać coś więcéj nad zadowolenie żądzy zmysłowéj?...

Po za tém jednak „Las“ p. Wysockiego ma uroku niemało. Poeta, szczerze rozmiłowany w naturze, odczuwający całą duszą piękności drogiéj ziemi rodzinnéj, umie je wdzięcznie odtwarzać, z lubością więc i uroki lasu maluje i gorąco swą miłość ku niemu wypowiada, już to wprost sam od siebie, już przez usta dziada Ołenki, który na widok walących się pod ciosami siekiery drzew prastarych, chatę jego ocieniających, przejęty dzikim szałem, chwyta rusznicę, wybiega na podwórko i strzela do żyda, asystującego ścinaniu olbrzymiego dęba, a w tejże chwili dąb się wali i miażdży go swoim ciężarem

Poeta kończy utwór swój złorzeczeniem tym „łupieżącom bez serca i głowy“, którzy takie skarby marnują, grożąc im, że może kiedyś niejeden z nich, ze zgryzoty niewczesnéj po téj stracie, zapragnie się powiesić, ale nie będzie miał na czém. (!)

Na zakończenie powinniśmy wspomnieć z uznaniém o zewnętrznéj stronie tych wydawnictw, któreśmy tu przejrzeli, wszystkie bowiem, tak pod względem druku, jak i papieru, nic zgoła do życzenia nie zostawiają, a dwie ostatnie mają nawet okładki ozdobione pięknemi rysunkami.

Adam Plug.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wydaje się to dziwném, a jednak jest najzupełniejszą prawdą, że przed kilku dniami w spokojnéj i pokój na długie czasy obliczającéj Europie czuć było proch w powietrzu. Dzienniki niemieckie biły na alarm, domagając się zadośćuczynienia za zniewagę rodziny cesarskiéj przez Francuzów. Giełdy zatrwożyły się, a Francya pospołu z resztą Europy oczekiwała w poważném skupieniu, co będzie. Pokazało się oczywiście, że nie będzie wojny. Kto wie jednak, czy Europa nie ma tego do zawdzięczenia tylko przypadkowéj powściągliwości gamenów paryzkich, którzy raczyli nie zrobić bawiącéj w Paryżu cesarzowéj Fryderykowéj żadnéj grubszéj awantury. Gdyby ją byli zrobili, niewiadomo, coby ztąd wynikło. Rzym zawdzięczał ocalenie gęsiom. Europa tedy nie ma się czego wstydzić, że jéj „najcenniejsze dobro“ — pokój — uratowali nadsekwańscy łobuzi.

Swoją drogą, sławiona pewność pokoju europejskiego, przedstawiła się w dość oryginalném świetle. Fundamenta jego nie były ani tak głębokie, ani tak mocne, jak się to nie jednemu zdawać mogło. W dodatku, wydarzenia przeszłotygodniowe w Paryżu czynią położenie ogólne pod tym względem jeszcze mniéj korzystném, niż dotychczas. Niechęć wzajemna dwu narodów odżyła. Że zaś istotnie zaczynała się już powoli wyczerpywać, tém większa odpowiedzialność spadłaby na tych, co ją na nowo podniecili, gdyby w tych rzeczach zawiłych i do obliczenia trudnych wolno było być surowym sędzią.

Dowodów chęci niemieckich zbliżenia się do Francyi długo szukać nie trzeba, bo stoją całym szeregiem. Ciekawsze jest, że Francuzi przyjmowali je w pierwszéj chwili bez rozdrażnienia. Ambasador rzeczypospolitéj w Berlinie, p. Herbette, był jednym z gorliwszych agitatorów w sprawie udziału malarzy francuzkich w wystawie; przypuszczać wolno, że nie czynił tego bez wiadomości swojego rządu. Sami malarze zgodzili się na posłanie obrazów do Berlina, a prasa paryska nie oburzała się na to, ani się tém nie gorszyła. Było to już coś. Wolno było mniemać w takich okolicznościach, że lody przełamane, że pierwsze promienie wschodzącéj jutrzenki pojednania ukazują się na widnokręgu.

Tymczasem cesarzowa Fryderykowa jedzie do Paryża i wszystko się odrazu zmienia, jakby na dowód, że często robi źle, kto robi za dużo. Gdyby kanclerz Caprivi był dobrym psychologiem, wstrzymałby się od tak mocnego nacisku, rozumiejąc, że subtelne strony duszy ludzkiéj zachowują pamięć dawnych melodyi i że, przy nieostrożném przed czasem potrąceniu, mogą, zamiast nowéj pieśni, odezwać się echem dawniejszéj. Gdyby tenże kanclerz był dobrym politykiem, nie stawiałby na kartę tak ładnie wschodzącego siewu, nie doradzałby cesarzowéj podróży, a skoroby już jechać miała, zapewniłby się, że nie będzie zwiedzała ani Wersalu, ani St. Cloud, ani żadnych wogóle miejsc, budzących wspomnienie klęsk, doznanych przez Francyę przed dwudziestu laty. Czyżby p. Caprivi był i złym psychologiem, i złym politykiem? Nie może to być, a przynajmniéj nie w takim stopniu, jakby z powyższego zdarzenia wynikało. Wobec tego klucz zagadki postępowania rządu niemieckiego kryje się albo w złych informacyach, albo w jakichś dziwnych złudzeniach, a najprawdopodobniéj i w jednych, i w drugich.

Jeśli wierzyć doniesieniom dzienników, hr. Münster, ambasador Rzeszy w Paryżu, od pewnego czasu w tak jasném świetle przedstawiał pokojowe i pojednawcze usposobienie Francuzów, że pod ich wrażeniem wyrobiono sobie w Berlinie przesadzone pojęcie o postępach, uczynionych przez Francyę w tym kierunku. Na usprawiedliwienie dyplomatów berlińskich, to chyba można przytoczyć, że pozory istotnie przemawiały za trafnością takich pocieszających informacyi. Czy jednak nie należało nie dowierzać zbytnio ani pozorom, ani informacyom, a przynajmniéj nie ufać im tak ślepo, jak to uczyniono? Po fakcie łatwo się ta rzecz rozstrzyga; przed faktem mogła nie być i w istocie nie była tak prostą. W końcu jednak, niezależnie od stopnia winy i odpowiedzialności, rząd niemiecki i ci co w jego imieniu działali, popełnili szereg drobnych omyłek, które razem złożyły się na wielce doniosły skutek. Dla charakterystyki

nowo wytworzonego położenia dość będzie przytoczyć, że gdy ludność Paryża jest pełna dumy, niby po odniesionym moralnym tryumfie, rząd niemiecki polecił przywrócić rygory paszportowe na granicy Francyi w całéj ich surowości, według dekretów z roku 1888. Są to zapewne najdonioślejsze wypadki polityczne z ostatnich czasów. Zawracają one stosunki międzynarodowe w Europie do tego stanu, w jakim były przed paru laty, za życia jeszcze cesarza Wilhema. Niemcom znowu błysnęło przed oczami niebezpieczeństwo wojny na dwóch frontach, któréj niezawodnie chcieliby uniknąć i dla któréj odwrócenia próbowali wyciągać ku Francyi dłoń z przyjaznym uściskiem. Że sytuacya taka przyczynić się musi do wlania nowéj siły w omdlały już trochę system istniejących przymierzy, obliczonych właśnie na wypadek takiéj wojny, rozumie się samo przez się.

Interesa robotnicze w ostatnich czasach stanęły na porządku dziennym wszystkich państw cywilizowanych i zajęły pierwszorzędne miejsce w sprawach społecznych. Rządowe maszynerye sternicze nie tylko o nich rozprawiają, ale i w czyn wcielalają mniéj lub więcéj szerokie projekty, mające na celu polepszenie bytu warstw pracujących. Francya, przewodniczka Europy pod wielu względami, dala się wyprzedzić Niemcom w usankcyonowaniu „kwestyi palącéj“, któréj nadano formę i charakter pośredni pod nazwą: „socyalizm państwowy“. Nie idzie za tém, ażeby Rzeczpospolita nie odczuwała tak ważnéj sprawy; składa się ona z żywiołów bardzo wrażliwych pod tym względem; obecnie zaś i tam sympatya dla klasy zarobkującéj w czyn się zamienia u steru. Minister handlu, Juliusz Roche, utworzył radę naczelną dla pracy, izba zaś znaczną większością przyjęła prawo o pracy kobiet i dzieci w fabrykach i warstatach. Celem rady naczelnéj jest przeglądanie wszystkich projektów, wnoszonych do izby, udzielanie wskazówek i wypowiadanie zdań we wszelkich sprawach robotniczych. Oprócz wybitnych urzędników ministeryum handlu, obeznanych z techniczną stroną kwestyi, senatorów, deputowanych, w skład rady wchodzi w charakterze stałych członków 16-tu robotników, oraz tyluż fabrykantów i przedsiębiorców. Przedewszystkiém rada zajęła się ubezpieczeniem robotników i emeryturą. Kwestya liczne fazy przejdzie jeszcze, zanim wejdzie w skończone formy ustawy. Owocem obrad izby poselskiéj są przepisy o polepszeniu warunków pracy kobiet i dzieci w fabrykach, rękodzielniach, warstatach, a nawet pracowniach prywatnych, kierowanych przez ojca rodziny lub majstra. Według nowego prawa, nie wolno używać dzieci do pracy przed 13-tym rokiem życia, w 12-tym zaś wtedy tylko, gdy przedstawią świadectwo z ukończenia szkoły elementarnéj. Chłopcy do lat

18-tu, dziewczęta do 21 nie powinni pracować więcéj nad 10 godzin dziennie, i to z przerwami dla wypoczynku. Robota nocna stanowczo wzbroniona. Kobiety szczególną opieką są otoczone: nie wolno im pracować więcéj nad godzin dziesięć; w nocy — w razach wyjątkowych. Taka jest zasadnicza treść prawa, nad którego ścisłém wykonaniem mozolić się będą liczne szeregi inspektorów i łamać niezadowolenie tych, którym się trudno rozstać z zarobkiem dodatkowym, pochodzącym z dłuższéj pracy. Wiele będzie twardych orzechów do zgryzienia, a p. Emil Brausse zalicza do nich zanadto szeroką produkcyę, którą, zdaniem jego, należy wszelkiemi środkami zmniejszyć. „Gdy robotnicy będą mniéj wytwarzali, przedsiębiorcy znajdą konieczne zatrudnienie i zarobek dla wielkiéj masy, uskarżającéj się na brak pracy".

Zobaczmy, jak się załatwia sprawy robotnicze we wschodnich prowincyach państwa Niemieckiego. Tam się również uskarżają, ale przemysłowcy na brak sił roboczych. Gdy te narzekania zanadto dokuczyły, rząd postanowił je zbadać i przyszedł do przekonania, że *czasem* one bywają *poniekąd* słuszne, ale w tym razie poprawienie sprawy nie w jego jest mocy, gdyż stoi tu na przeszkodzie nieprzeparte wychodztwo za Ocean; ci zaś, którzy nie chcą kraju opuszczać, wolą latem i w jesieni szukać zarobków w prowincyach zachodnich, gdzie lepszą płacę pobierają. Otóż dla wyrównania téj krzywdy rolników i przemysłowców prowincyi wschodnich, rząd pozwala im przez trzy lata sprowadzać robotników pojedyńczych z Rosyi i Galicyi, z zastrzeżeniem jednak, iż „rodzinom robotniczym wolny jest wstęp do Niemiec tylko wyjątkowo". Nadto landraci otrzymali prawo komentowania przepisów. Korzystając z nadania tak rozległéj władzy, landrat powiatu strzelińskiego zakazał stanowczo przyjmować do robót kobiety i dzieci, mężczyzn zaś toleruje tylko w czasie najpilniejszych robót, t. j. na wiosnę, latem i w początkach jesieni; poczém pracodawca obowiązkowo musi ich odesłać za granicę. Niezgłoszenie się robotnika we właściwym czasie lub uchybienie przepisom landrackim, pociąga za sobą znaczne kary. Widzimy więc, że rozporządzenie wcale nie łagodzi dekretów banicyjnych. Miejscowa prasa polska twierdzi, iż obowiązkiem wszystkich sumiennych i uczciwych ludzi jest odradzać ludowi z Rosyi przenoszenia się na czas krótki do Prus, gdyż w przeciwnym razie byłaby to ta sama nieuczciwa robota, któréj się dopuszczają agenci, namawiający do Brazylii, „ta sama robota, którą się hańbią rolnicy brazylijscy, przywabiający ciemny lud do siebie na jego zmarnowanie".

O ile się uskarżają więksi przedsiębiorcy na niepowodzenie, skutkiem niedogodności powyższych, o tyle znowu drobni wytwórcy, rze-

mieślnicy i posiadacze drobnéj własności ziemskiéj w W. Ks. Poznańskiém znacznie poprawili w ostatnich latach swoje interesa materyalne. Miejscowi badacze stosunków ekonomiczno-społecznych przypisują ten stan pomyślny głównie spółkom zarobkowym, które dały możność włościanom i rzemieślnikom uwolnić się od wyzysku lichwiarzy. Ogółem tych instytucyi związkowych jest 84 (w W. Ks. Poznańskiém i Prusiech Zachodnich), wszystkie są oparte na systemie Schultzego z Delitsch. Większość ich jest z nieograniczoną poręką. W Prusiech Zachodnich 12 spółek jest w miastach, 10 we wsiach. W W. Ks. Poznańskiém dwie tylko wsie mają swoje spółki, reszta—w miastach. 72 instytucye należą do związku spółek zarobkowych. Według ostatniego sprawozdania rocznego, liczyły one ogółem 24,891 członków: 7,090 w Prusiech Zachodnich i 17,801 w W. Ks. Poznańskiém. Liczba członków, posiadających majątek nieruchomy, wynosi 16,992, z tych 388 jest właścicieli wsi i folwarków, 11,826 gospodarzy i chałupników, 3,111 przemysłowców i rzemieślników i 1,467 uprawiających inne zawody. Liczba członków, nie posiadających majątku nieruchomego, wynosi 4,206, w tém 490 urzędników gospodarczych, 2,094 przemysłowców i rzemieślników, 1,622 poświęcających się innym zawodom; członków nie klasyfikowanych – 3,693. Bilans 70 spółek związkowych (2 nie nadesłały sprawozdania), jest następujący: W końcu roku sprawozdawczego 70 spółek miało weksli na 13,783,108 marek. Udziały wynosiły 2,438,688 marek; 9 spółek nie dało żadnéj dywidendy. Depozytów złożono 11,121,626 marek, fundusz rozerwowy 1,053,624 marek, aktywa i passywa 15,265,862 marek. W r. 1887 parlament niemiecki uchwalił prawo, obostrzające kontrolę nad członkami zarządu i radami nadzorczemi. Jednocześnie nastąpił podział spółek na wzajemności opartych: 1) z nieograniczoną odpowiedzialnością, 2) z nieograniczoną dopłatą i 3) z ograniczoną odpowiedzialnością. Dla wzmocnienia nadzoru nad działalnością tych instytucyi, utworzono obowiązkowych rewizorów fachowych, wybieranych z poza grona członków spółki. Instytucye powyższe, tworzące tak zwany związek rewizyjny, według nowych przepisów, mogą same wybierać swego rewizora. Na zasadzie tych przepisów spółki zarobkowe w W. Ks. Poznańskiém i Prusiech Zachodnich na trzech sejmikach postanowiły podzielić się na trzy związki rewizyjne: Poznański z siedzibą w Poznaniu, Bydgowski w Gnieźnie i Pruski z siedzibą w Toruniu.

Dzięki tym instytucyom, jak już nadmieniliśmy, działalność lichwiarska została tam znacznie skrępowaną. Ale za to w Warszawie kwitnie ona i rozrasta się, pomimo istnienia kas pożyczkowych dla rzemieślników; a przecież, dzięki ofiarności publicznéj, wywołanéj przed kilku laty zasadą: „kuć żelazo póki gorące“, fundusz wzrósł do 49,000

rubli. Zdawało się zrazu, że z powstaniem kas zniknie to położenie bez wyjścia ubogich rzemieślników, dla których chwilowa pomoc, chociażby niewielka, równa się wyratowaniu tonącego. Tym czasem — zawód! Wielu żądających pożyczki, nawet po załatwieniu wszelkich formalności, nie może jéj dostać odrazu i musi nieraz po kilka tygodni czekać. Pochodzi to z braku funduszu operacyjnego, pomimo, iż kasa, pobierając 8% w stosunku rocznym, przy spłatach ratami tygodniowemi, dwutygodniowemi i miesięcznemi, w rzeczywistości pobiera co najmniéj 14%, licząc procent od procentu i od kapitału, ratami spłaconego. Jakaż jest przyczyna braku rozwoju tak pożytecznéj instytucyi? Jak wyjaśnia jeden z uczestników — źródło złego jest w tém, że zebranego funduszu nie zużytkowano na kapitał zakładowy, lecz przeznaczono do obrotów. Czyż więc założyciele zapomnieli o prostym sposobie zwiększania kapitału obrotowego drogą zwyczajnéj operacyi bankierskiéj? Biorąc summy po 5%, a pożyczając po 14%, kasa, nie mając ani dywidend, ani akcyonaryuszów, zwiększyłaby kapitał zakładowy o tysiące rocznie i, przy stopniowém zmniejszaniu stopy procentowéj, byłaby prawdziwą pomocą dla rzemieślników, dając im istotnie tani kredyt. Uzyskać to można łatwo, tworząc kasy wkładowe przy istniejących zaliczkowych. Zdaniem „Gazety rzemieślniczéj“, w braku szerszéj działalności kas zaliczkowo-wkładowych, dostępnych dla rzemieślników, istniejąca dla nich instytucya zaliczkowa powinna się połączyć z odpowiednią wkładową (kasą oszczędności). Jeżeli to będzie niemożliwém, starać się powinna o uzyskanie otwartego kredytu w Banku Państwa, a na razie — o połączenie z wydziałem kasy pożyczkowéj Towarzystwa dobroczynności, przez co znikłaby tylko u nas mogąca się praktykować anomalia istnienia dwóch sekcyi z jednakowym zakresem działalności pod opieką jednéj instytucyi.

Druga instytucya, działająca w innym zakresie, ale pokrewna poprzedniéj, ujawniła publicznie swą działalność za pośrednictwem sprawozdania rocznego. Powstała ona dopiero w r. 1839 pod nazwą „Dom sierot po robotnikach“, dzięki ofiarności publicznéj. Procenta od kapitałów: żelaznego, zapasowego i rozporządzalnego, wynosiły w r. 1890 rs. 3,157 kop. 7. Ofiary roczne: rs. 1,042; ofiary jednorazowe bezimienne: rs. 814 k. 50; z kwesty wielkotygodniowéj rs. 660 kop. 80; zysk na wylosowanych listach likwidacyjnych: rs. 71 k. 19, razem rs. 5,694 kop. 56. Nadto otrzymano w naturze 4 wagony węgla, 30 korcy kartofli i skóry na 44 pary butów. W dniu otwarcia zakładu (r. 1889), po obliczeniu kosztów budowy i urządzenia „Domu“, procenta od kapitału pozostałego z ofiar br. Lenvalów zaledwie

wystarczyły na przyjęcie 12-tu sierot. W tym samym jednak roku, dzięki powiększeniu kapitału żelaznego przez ofiary, oraz z powodu przyrzeczenia przez pewną liczbę osób składek rocznych, liczba wychowańców zwiększona do 20, a w roku sprawozdawczym do 22; w roku bieżącym postanowiono przyjąć jeszcze dwie sieroty. Tak więc, dzięki ofiarności kilkunastu osób, Warszawski dom sierot po robotnikach w ciągu dwóch lat podwoił liczbę wychowańców. Zakład ten jednak może pomieścić do 60-ciu sierot, a i to będzie zaledwie malutką cząsteczką dziatwy sierocéj naszego miasta. Filantropia dała istnienie pożytecznéj instytucyi, to samo źródło powinno zapewnić jéj dalszy rozwój, ale jakże trudno źródło owo doprowadzić do takiego stanu, aby się mogło sączyć ciągle choćby najcieńszym strumieniem przez całą szerokość naszego ogółu! Trzeba oddać tę sprawiedliwość, że na ludziach, pobudzających do miłosierdzia publicznego, nam nie zbywa, pomimo iż jest to praca nie tak łatwa, jak się zdaje. Najtrudniejszą jest prosta droga: kwesta lub zachęta publiczna, bo téż w miarę powszednienia celów zmieniła się skłonność do ofiarności; potrzebaby ciągłych fajerwerków, błyskawic, oświecających doniosłość sprawy, a na to nie wystarczy energii najwytrwalszym inicyatorom. Pozostaje jedna forma, najskuteczniejsza choć mało procentująca: połączenie przyjemnego z pożytecznem. W ostatnich latach pod tém hasłem wiele się u nas robi. Odpowiednio do pory roku, odbywają się różne zabawy: bale, rauty, majówki, widowiska amatorskie i t. d. Wiele w tém zachodu i straty czasu, ale się otrzymuje chociaż zdawkową monetę (w rzadkich wypadkach deficyt). Dla tego téż, trzymając się zasady: cel uświęca środki, nie jesteśmy wrogami powyższéj formy kwestarskiéj. Trzeba się w tym razie zgodzić na to, iż natura ludzka taką być musi, jaką jest. Niech kto z nas, wziąwszy blankiet na listę ofiar, spróbuje obejść swoich znajomych, nie skąpiąc wymowy przekonywającéj. Zbierze nie wiele więcéj nad to, co wyda na dorożki w tym celu, a ile się nasłucha wykrętów, wymówek! Niechże potém weźmie paczkę biletów na bal lub raut z wszelkiemi niespodziankami — rezultat będzie zupełnie inny.

We Lwowie od lat kilku istnieje „Stowarzyszenie oszczędności kobiet“, którego zadaniem jest krzewienie w rodzinach rozsądnéj oszczędności dla zgromadzenia kapitału w celu ratowania upadającéj drobnéj własności ziemskiéj, zakładania szkół i popierania oświaty. W ciągu kilkoletniego istnienia, stowarzyszenie zdołało zebrać około 150 tysięcy złr. i liczy dziś blizko 100 członków. Za przykładem Lwowa poszedł Kraków, zakładając u siebie taką samą instytucyę.

W Poznaniu zawiązuje się stowarzyszenie pod nazwą „Spółki melioracyjnéj.“ Inicyatorami są najpoważniejsi przedstawiciele własności ziemskiej, duchowieństwa, przemysłu i handlu, finansiści i adwokaci. Myśl, oddawna powzięta, wchodzi obecnie w czyn; oto zadanie spółki już zorganizowanéj: 1) drenowanie większych majątków ziemskich i gruntów proboszczowskich, 2) tworzenie odrębnych spółek włościańskich, w celu drenowania drobnej własności ziemskiéj; 3) odwodnianie i nawodnianie łąk; 4) zaprowadzanie na gruntach murszatych kultur nasypowych; 5) eksploatacya torfu i 6) wydawanie specyalnego organu spółki. Stowarzyszenie ma widoki powodzenia i w sam czas przychodzi, jako czynnik wzmacniający zachwianą i zadłużoną własność ziemską. Ciekawe w tym przedmiocie dane ogłosił świeżo rząd pruski. W okresie czteroletnim (1886—1890) suma długów hypotecznych nowowpisanych wynosiła w okręgach wiejskich w W. Ks. Poznańskiém 173,450,000 marek, w okręgach miejskich 83,770,000 marek, suma zaś umorzeń w okręgach wiejskich 182,170,000, w miejskich 49,130,000 marek. Na pozór cyfry te przedstawiają się korzystnie dla własności ziemskiéj, suma bowiem umorzeń przewyższa sumę na nowo zaciągniętych długów hypotecznych o 8,720,000. W stosunku do wszystkich innych prowincyi pruskich, jest to rezultat najświetniejszy, ale w rzeczywistości jest on wynikiem bardzo smutnego stanu ekonomicznego. Przedewszystkiém godném uwagi jest to, że komisya kolonizacyjna, która w ciągu ostatnich czterech lat nabyła znaczne obszary ziemi w Poznańskiém, płaciła całą wartość gotówką, co spowodowało umorzenie znacznéj sumy długów hypotecznych, przytém, wobec licznych sprzedaży przymusowych, spadła znaczna liczba hypotek, obciążających majątki. W końcu przewyżka umorzeń zmniejsza się z każdym rokiem: w r. 1886/7 wynosiła 8,110,000 m. w 1887/3 r. 4,950,000, w 1888/9 r. 2,620,000, w 1889/90 r. nowozapisane hypoteki przewyższały umorzenie o 6,970,000 m. Działalność komisyi kolonizacyjnéj ogromnie się zaznaczyła na ruchu hypotecznym: w roku zeszłym wykreślono hypotek, zakupionych przez nią: w sądzie okręgowym gnieźnieńskim na sumę 91,350 m., w węgrowieckim 99,800, wrzesińskim 121,101, leszczyńskim 567,087, jarocińskim 434,530. Zakupy komisyi w roku przeszłym były jednak mniejsze, niż w latach poprzednich.

Obok niemieckiéj komisyi kolonizacyjnéj, nie zasypia w robocie machina przeciwdziałająca—Bank ziemski, posługujący się w czynności spółkami ziemskiemi. Jedna z nich w Poznańskiém, przy zakupach ziemi i odprzedaży jéj w małych działkach, okazała swą zabiegliwość. Druga wkrótce powstanie w Toruniu i rozpostrze swą działalność na Prusy. Przyznać trzeba, iż bank ziemski pracuje wytrwale,

niezrażony stumilionową potęgą komisyi niemieckiéj. Pomimo dość szczupłych środków, zdołał już 12,000 morgów pruskich rozparcelować na małe działki pomiędzy włościan, co niewątpliwie jest znacznym hamulcem w zapędach komisyi kolonizacyjnéj.

Według korespondentów prowincyonalnych, „gorączka kolonizacyjna“ znacznie się rozpostarła w Królestwie: włościanie kupują ziemię chętnie i płacą od 60 do 1000 rs. za mórg 300-prętowy, stosownie do jakości ziemi. Dla większości jednak włościan nabywanie gruntu jest marzeniem niedoścignionem, z powodu niemiłosiernie ich gniotących długów prywatnych. Właściciel majątku Wysokie, w pow. Kolskim gub. Kaliskiéj, p. Leonard Zaleski, zająwszy się żywo tą sprawą, opracował projekt pomocy dla włościan i przedstawił go wydziałowi gubernialnemu do spraw włościańskich, proponując dopuszczenie włościan do udziału w Towarzystwie kredytowém ziemskiém na równi ze szlachtą. Ponieważ chłopi na swoje grunta mogliby zaciągnąć tylko drobne pożyczki, od 300 do 2,000 rs., więc, zdaniem projektodawcy, udzielanie pożyczek i spłata rat półrocznych powinny być znacznie ułatwione, co może nastąpić w takich wypadkach: 1) jeżeli włościanie urządzą dla swoich osad hypotekę powiatową. 2) Książki hypoteczne już rozkolonizowanych majątków, jak również oddzielne księgi hypoteczne cząstkowych właścicieli rozkolonizowanego majątku, gdyby nawet na tych działkach ciążyła pożyczka Tow. kred. ziem., otrzymana już poprzednio przez włościanina, będą oddane do przechowania w powiatowych wydziałach hypotecznych. 3) Ogłoszenia o urządzeniu nowéj hypoteki i korespondencye o spadkach osad po śmierci właścicieli będą drukowane tylko w miejscowych „Wiadomościach gubernialnych“ i ogłaszane przez wójta gminy w zebraniach gminnych. 4) Przy urządzaniu hypotek dla właścicieli nie będą zaprowadzane przez sekretarzy wydziałów hypotecznych dla osad książki drogie, lecz zwyczajne w taniéj oprawie. 5) Opłata rejentalna przy zaciąganiu pożyczki będzie zmniejszona o połowę w stosunku do zwykłéj taksy. 6) Wszystkie czynności, tyczące się urządzenia hypoteki włościańskiéj, jak i udzielania pożyczek, będą załatwiane darmo. 7) Oceny gruntów włościan, żądających pożyczki, dokonywane będą przez delegata Tow. kr. ziem., mieszkającego razem z pożyczkobiercą w jednéj gminie, lub przynajmniéj w jednym obrębie sądu gminnego. 8) Na delegatów Tow. kr. ziem. będą wybierane lub mianowane osoby pochodzenia włościańskiego, które ukończyły kurs nauk średnich lub niższych w rządowych zakładach naukowych, w razie zaś ich braku—przynajmniéj właściciele

ziemscy z elementarném wykształceniem. 9) Raty amortyzacyjne płacone będą przez włościan w kasach powiatowych na rachunek Towarzystwa. 10) Osady dłużników nieakuratnych sprzedawane będą w hypotece powiatowéj, w obecności delegata powiatowego Tow. kr. ziem. P. Zaleski zapewnia, iż swój memoryał oparł na długoletniém doświadczeniu i rzetelnych danych. Jako typowy przykład, projektodawca daje stosunki swego powiatu. Wedlug danych rejentalnych powiatu Kolskiego, włościanie, posiadający ziemię, obciążeni są długami prywatnemi w sumie 258,000 rs. za rok 1888; ale zważywszy, że prawie połowa włościan umie podpisywać swoje nazwiska i ci nie dają zobowiązań rejentalnych, lecz tylko rewersy lub weksle, i że długi ich, wynikające z podziału osad rodzicielskich i z aktów kupna i sprzedaży, pochodzą z aktów, sporządzonych przed kilku laty, i według warunków pożyczkowych są składane przez lat kilka, p. Z. przychodzi do wniosku, że długi włościan powiatu Kolskiego wynoszą do 2,000,000 rs. Od sumy téj płacą oni 10% rocznie. Dawniéj (od roku 1864 do 1884) kredyt długoterminowy, zdaniem p. Z., był im niepotrzebny. Mając z ziemi dobry dochód, nietylko nie potrzebowali pieniędzy, lecz robili oszczędności, które w jednym tylko powiecie Kolskim, w powyższym okresie czasu, dały im możność wykupienia od Niemców-kolonistów i obywateli ogółem gruntu na 5,000,000 rs. Od r. 1884 dobrobyt ten znika stopniowo. Obecnie w każdym powiecie gub Kaliskiéj można śród włościan naliczyć kilkuset bezrolnych, którzy jeszcze przed kilku laty mieli osady 3—10-morgowe Liczba ta z każdym rokiem się zwiększa, co potwierdzają dane z innych także gubernij Królestwa. Taki właśnie stan rzeczy skłonił p. Zaleskiego do opracowania powyższego memoryału. Czy będzie on przyjęty przychylnie, jeszcze niewiadomo. W razie pomyślnego obrotu rzeczy, t. j. wprowadzenia w czyn projektu, zajęliby silne stanowisko tylko włościanie zasobniejsi, niezbyt obarczeni długami, albo wcale ich niemający, i poszliby jeszcze wyżéj, stając się większymi posiadaczami ziemskimi. O takim wyniku można ztąd wnosić, że już dziś zamożniejsi włościanie dążą ku coraz większemu rozszerzaniu swoich gruntów za pomocą skupu i posiadają nieraz obszary, którychby niejeden skromny szlachcic pozazdrościł.

Zły stan interesów szlachty i włościan wywołał w ostatnich czasach wiele projektów.

W sprawie środków zaradczych przeciw dewastacyi, Towarzystwo kredytowe ziemskie zaleciło dyrekcyom szczegółowym do wykonania: 1) Powierzenie szczegółowego dozoru w dobrach jedynie stowarzyszonym lub delegatom taksowym, znanym dyrekcyom szczegółowym z gorliwości i dokładności w wykonaniu przyjętych obowiązków.

W braku takich osób, mają być delegowani radcowie do pełnienia powyższych czynności. 2) Należyte informowanie delegowanych, że o zaprowadzonym dozorze potrzeba jednocześnie zawiadomić sołtysa i wójta gminy; że protokół czynności obejmować powinien opis budowli i całego stanu dóbr, tudzież wyszczególnienie inwentarzy żywych i martwych, oraz innych przedmiotów, pod dozór oddanych; że dozór powierzać należy osobie na zaufanie zasługującéj, od któréj nadto ściągnięta być powinna deklaracya na piśmie, że obowiązki poruczone przyjmuje. 3) Zawiadomienie niezwłoczne naczelnika powiatu o zaprowadzonym dozorze. 4) Wydanie polecenia delegatom taksowym, aby przekonywali się osobiście o wykonanym nadzorze i składali o tém co miesiąc raporty dyrekcyom szczegółowym. 5) Kontrolowanie wykonywanego nadzoru przez samych radców, w razie uznanéj przez dyrekcye szczegółowe potrzeby. 6) Wzywanie pomocy władz sądowych i administracyjnych we właściwym czasie i w razach koniecznych. 7) Składanie raportów dyrekcyi głównéj o zaprowadzonym dozorze szczegółowym przy załączaniu protokółu delegowanego do téj czynności. Środki te, zapobiegające niszczeniu majątków, mają także na względzie zapobieganie przysądzaniu dóbr na własność Towarzystwa, gdyż dewastacya zabija wszelkie współzawodnictwo przy kupnie. Dawniéj, jak wiadomo, władze Towarzystwa wydały przepisy o wiele surowsze, które nazwano „drakońskiemi“, stowarzyszeni zaś przyjęli je z ogromném oburzeniem; z tego powodu w praktyce nie zastosowano ich wcale. Że i dziś znajdą się nie zalowoleni z nowych środków, wątpić nie można. Skoro jednak fakta stwierdziły, że nacisk administracyjny pod tym względem jest nieuniknioną koniecznością, należy zatkać uszy na wszelkie szemrania. Szkoda tylko, że ostatnie zlecenie władz Towarzystwa tak późno nadeszło...

Do szeregu wielu środków, mających podnieść rolnictwo, przybywa jeszcze jeden. Trzéj obywatele gub. Lubelskiéj, utworzywszy spółkę wydawniczą, wzywają autorów, poszukujących nakładcy na dzieła rolnicze, aby się zwracali do nich z ofertami. Z tego powodu p. Karol Filipowicz, fachowiec w sprawach rolniczych, zwraca uwagę na brak rzutkości u nas pod względem przyswajania obcych podręczników, zawierających najnowsze badania. Wyborem zajmują się zwykle niespecyaliści i najczęściéj za oznakę wartości biorą drugie lub trzecie wydanie pewnego dzieła. Tymczasem wobec szybkiego postępu techniki, rzecz w trzeciém lub czwartém wydaniu jest już najczęściéj przestarzałą. Otóż zdaniem p. Filipowicza, należałoby ster opinii o wydawnictwach rolniczych powierzyć jakiemu komitetowi wytrawnych specyalistów. Na Zachodzie sąd taki wydają akademie, wydziały ministeryalne lub stowarzyszenia rolnicze. Zadaniem

ich jest wyszukiwanie specyalistów, oraz polecanie opracowania im najpotrzebniejszych w danéj chwili książek i rozpisywanie konkursów, albo wreszcie udzielanie sankcyi dziełom, uznanym za pożyteczne. Wobec tego rolnicy mogą z zupełném zaufaniem nabywać tam książki, przez powagi ocenione. U nas obowiązek ten zaleca p. Filipowicz sekcyi rolnéj Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

W zakresie wiedzy technicznéj, pokrewnéj z przemysłem rolnym, przybywa jeszcze jedno ważne źródło doskonalenia się, nowa katedra przy lwowskiéj szkole politechnicznéj. Sprawa ta od lat kilku kołatała się w sejmie krajowym, obecnie zaś jest na drodze pomyślnéj. Rektorat rzeczonéj szkoły przedstawił ministeryum oświaty potrzebę zaprowadzenia wykładów przemysłu naftowego i jednocześnie podał wniosek, ażeby docentura dla dwóch przedmiotów w tym zakresie (górnictwo naftowe i głębokie wiercenie) była poruczoną inżynierowi górniczemu wydziału krajowego, p. Leonowi Syroczyńskiemu, a dla trzeciego (technologia chemiczna produktów naftowych) p. Romanowi Załozieckiemu. Ministeryum oświaty dało przychylną odpowiedź z zastrzeżeniem, iż w roku bieżącym nie może już przeznaczyć na ten cel potrzebnego funduszu, gdyż wniosek rektoratu nadszedł po zamknięciu prac budżetowych. A więc otwarcie kursów górnictwa naftowego może nastąpić z początkiem roku szkolnego 1891/2. Jednocześnie rozstrzyga się sprawa nowych katedr przy uniwersytecie lwowskim. Najpierw starano się o wydział lekarski, ale zaszły przeszkody, które powstrzymują na pewien czas urzeczywistnienie téj myśli. Natomiast ministeryum oświaty daje uniwersytetowi pewną zamianę, bardzo korzystną dla nauki polskiéj; mianowicie mają powstać: katedra fizyologii i druga katedra filozofii. Obie są koniecznem dopełnieniem wydziału filozoficznego. Słuszne czy niesłuszne są uwagi, że mamy sporo zdolnych lekarzy, a mało teoretyków z wykształceniem filozoficznem, nowe katedry niewątpliwie przyniosą pożytek w zakresie wyższéj wiedzy. Zachodzi tylko teraz kwestya, kto będzie powołany na krzewiciela powyższych gałęzi nauki. Wymieniają aż trzech kandydatów: Adama Mahrburga, Bronisława Kruczkiewicza i Aleksandra Raciborskiego. Najwięcéj ma szans p. Mahrburg. Do cenniejszych prac jego należą: „Teorya celowości ze stanowiska naukowego“ i „Monizm współczesny i echa jego u nas“.

Niezależnie od tego, pomimo zwłoki w utworzeniu wydziału medycznego, odbyły się w tych dniach w namiestnictwie narady, na których uchwalono kilka punktów, jako podstawę do dalszych rokowań: 1) Wydział krajowy oświadczył, z zastrzeżeniem zezwolenia sejmu, gotowość objęcia klinik w zarząd kraju. 2) W tym celu dom dla po-

łożnic, który miał być budowany na mocy stosownéj uchwały sejmowéj, rozszerzy wydział krajowy także na pomieszczenie zakładu dla chorób kobiecych. 3) Nadto, po udzieleniu odpowiedniéj zapomogi rządowéj, wydział krajowy wzniesie dwa budynki na pomieszczenie kliniki lekarskiéj i chirurgicznéj; każda ma mieścić po 50 łóżek. 4) Budynki dla ośmiu nieklinicznych zakładów wydziału rząd sam będzie musiał wybudować, na co koszta wynoszą najmniéj pół miliona złr. Pozostaje jeszcze jedno żądanie: ponieważ grunta, ofiarowane przez gminę pod budowę wydziału (przy ul. Piekarskiéj), są nieodpowiednie, postanowiono więc starać się, ażeby miasto dostarczyło innego placu w pobliżu szpitala. Jak widzimy, żądania są szerokie, kosztorys znaczny; wszystko to nie wróży prędkiego otworzenia nowego wydziału.

W Warszawie toczyły się szerokie obrady w sprawie przemysłu rolnego, położenia rzemieślników, zdrowotności publicznéj i kolei Willanowskiéj. Na pierwszych (rolniczych) p. Dobrzański proponował urządzenie drugiego jarmarku wełnianego w Łodzi; zbudowanie tamże składów akcyjnych, połączonych ze stałym targiem wełny; wreszcie założenie na wielką skalę pralni chemicznéj i sortowni wełny. Wnioskodawca zwraca uwagę na nieodpowiednie stanowisko warszawskiego rynku wełnianego, pomimo protekcyi celnéj. W kraju jest ogromne zapotrzebowanie surowego produktu wełny, a jednak handel w tym zakresie nie normalnie się rozwija. Przyczynę tego p. D. upatruje w umieszczeniu rynku w punkcie niedogodnym. Otóż dla skierowania handlu na drogi właściwe, potrzeba ustanowić drugi jarmark na wełnę w ognisku przemysłowém — Łodzi. Cały ten okrąg jest głównym odbiorcą, potrzebującym o wiele więcéj produktu surowego, niż go wytwórcy w całém Królestwie dają. Jarmark w Łodzi nie zabiłby warszawskiego, gdyż ten ma grunt trwały, zresztą specyalnością jego zostałaby i nadal wełna cienka, gdy jarmark łódzki skupiałby głównie wełnę grubą, przeważnie potrzebną do fabryk miejscowych.

Na posiedzeniu komitetu sanitarnego roztrząsano dwie kwestye, nigdy nie załatwione, a zawsze naglące: stróżów i opieki nad nieszczęśliwemi niemowlętami. W pierwszéj uchwalono nie wiele i zamknięto obrady stwierdzeniem faktu, oddawna znanego, że sprawa stróżów należy do najbardziéj zaniedbanych spraw w Warszawie. Jest tych ludzi cztery do pięciu tysięcy w mieście, przeważnie żonatych i dzietnych; licząc według danych statystycznych przeciętnie cztery osoby na rodzinę, otrzymamy szesnaście do dwudziestu tysięcy tych ludzi, zaniedbanych moralnie i materyalnie. Ponieważ ta sprawa wy-

maga „dłuższego zastanowienia“, więc zwykłą koleją rzeczy odłożono ją na przyszłość. Kwestyę niemowląt roztrząsano z inicyatywy Towarzystwa opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi. Według obliczeń statystycznych, przybywa w Warszawie corocznie około 5,000 niemowląt, pochodzących z nieprawego urodzenia i w większości wypadków pozbawionych opieki. Zaledwie około 2,000 znajduje przytułek w domu podrzutków przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Cóż się robi z pozostałemi 3,000? A przecież nie tylko dzieci nieprawe wymagają opieki; setki legalnych giną lub rosną w nędzy i zaniedbaniu. Członkowie towarzystwa opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi postanowili zająć się tą sprawą i w tym celu złożyli ober-policmajstrowi stosowny memoryał, opracowany na podstawie wzorów zagranicznych. Ten projekt właśnie był przedmiotem obrad na posiedzeniu komitetu sanitarnego. Robiono mu wiele zarzutów, przedewszystkiém zganiono zbyt formalistyczną stronę, zastrzegającą wydawanie i posiadanie pozwoleń policyjnych na przyjęcie dziecka. W wielu razach nie dawałoby to wcale możności przyjęcia, albo—jak słusznie zauważono na posiedzeniu - zanim przyszłoby pozwolenie, karmicielka pokarm mogłaby stracić. Z tych i wielu innych powodów, projekt zakwalifikowano do przeróbki.

Od pojedyńczych spraw, rozważanych na posiedzeniu komitetu sanitarnego, przejdziemy do ogólnego przeglądu zdrowotności naszego miasta, na podstawie ciekawego sprawozdania urzędu lekarskiego. Przedewszystkiém miasto zabudowało się bardzo gęsto, co, przy braku ogrodów, parków i placów wolnych, oddziaływa niekorzystnie na stan sanitarny mieszkańców. Ludność skupia się w pojedyńczych domach gęściéj, niż w innych miastach. Z powodu gorączkowego ruchu budowlanego, w znacznéj części mieszkań panuje wilgoć. Około 50,000 ludzi mieszka w suterenach, niemożliwych do mieszkania. Ogólny brak wody do picia; studzienna najczęściéj jest zanieczyszczona, z wodociągów korzysta zaledwie trzecia część domów, chociaż mogłoby korzystać dwa razy tyle. Z kanalizacyą połączyły się tylko 173 domy, a mogłoby—930. Stan placów targowych i rzeźni również wiele pozostawia do życzenia. Daje się zauważyć prawie zupełny brak dozoru lekarsko-weterynaryjnego nad dowożoném mięsem, bydłem i nierogacizną. Warunki zdrowotne robotników fabrycznych są bardzo smutne, do czego się przyczynia także brak kąpieli dla ubogiéj ludności. Skutkiem takich warunków śmiertelność w Warszawie wynosi 30 na 1000; pomiędzy ludnością roboczą przeszło 40, pomiędzy zamożniejszą — 18. W najuboższéj warstwie (9% ogólnéj ludności Warszawy) śmiertelność dochodzi do 57 na 1000. Jeszcze bardziéj

jest rażącą w stosunku do innych miast śmiertelność skutkiem chorób zakaźnych (15—18% ogólnéj śmiertelności), szczególnie ospy; rozsadnikiem jéj są składy szmat, kości i starego ubrania. Pomimo tych wszystkich ujemnych stron, sprawozdanie zaznacza postęp ku lepszemu w ostatniém pięcioleciu, wskazując kanalizacyę miasta, założenie hygienicznéj pracowni miejskiéj, wznowione szczepienie ospy, ściślejszy nadzór policyjno-lekarski nad domami, artykułami spożywczemi i t. d., wreszcie uporządkowanie placu za Żelazną bramą. W ciągu roku sprawozdawczego dokonano przeszło 10,000 rewizyi i ściągnięto kar za wykroczenia sanitarne 20,000 rs.

Wielkie usługi pod względem zdrowotnym oddałyby projektowane przez Devarsa bulwary nad Wisłą, ale projekt został pogrzebany, jeśli nie na zawsze, to przynajmniéj na bardzo długo. Projektodawca żądał kosztem miasta: wybrukowania ulic nowych, zaprowadzenia gazu, wody, odprowadzenia ścieków. Wydatek na ten cel przechodził środki miejskie o 1,400,000 rs. Skoro więc zostaliśmy pozbawieni nadziei oddychania powietrzem, choć w części oczyszczoném w mieście za pomocą bulwarów, może będziemy mogli korzystać z niego za miastem, przy taniéj i łatwéj komunikacyi za pośrednictwem projektowanéj kolei konnéj do Willanowa. Nowo powstała spółka w sprawie téj kolei znalazła się w wielkim kłopocie, gdy przyszło do ściągania przyrzeczonych sum, przynajmniéj na wstępne roboty. W razie zawodu, naszych przedsiębiorców wyręczy Towarzystwo belgijskie.

I koléj żelazna z Kalisza do Łodzi nie może przyjść do skutku, pomimo, iż najważniejsze przeszkody usunięto, t. j. nieprzychylne poglądy sztabu generalnego na strategiczne znaczenie téj linii. Prawdopodobnie najbardziéj tu onieśmiela naszych kapitalistów okoliczność, że dla nowéj linii rząd odmówiłby swojéj gwarancyi. Mimo to, wielce na korzyść téj kolei przemawia bezpośrednie połączenie tak ważnych ognisk przemysłowych, jak Łódź z Wrocławiem, Lipskiem i wysoko stojącemi pod względem ekonomicznym prowincyami nadreńskiemi. Nadto linia Łódź, Ostrów przez Brześć-Iwangród, skraca drogę do Moskwy, a tém samém ułatwia komunikacyę zachodniéj Europy z Kaukazem i Turkiestanem. Koléj Żytomirsko-Berdyczowską, mniejsze mającą znaczenie, będą eksploatowali kapitaliści francuscy. Prawdopodobnie więc i tutaj przyjdzie nam Zachód z pomocą. Koszt budowy całéj linii (mniéj więcéj 100 wiorst), wynosiłby w przybliżeniu 3 miliony rubli. Nie wielka to suma dla kapitalistów zagranicznych. Początkowanie powinno wyjść z Kalisza, najbardziéj zainteresowanego w téj sprawie; miasto upada, pomimo iż ma świetne warunki dla rozwoju przemysłu tkackiego, garbarskiego i hafciarskiego. Pod

względem komunikacyjnym cała gub. Kaliska jest w opłakanym stanie; na 837,317 mieszkańców i 204 mil kwadratowych nie ma ani jednego kilometru szyn żelaznych, wówczas gdy w sąsiednich Prusach na każde 1000 kilometrów kwadr. przypada 69 kilometrów drogi żelaznéj.

Słusznie utrzymują, że budowa téj kolei, dając zarobek ludności miejscowéj, przyczyniłaby się do powstrzymania emigracyi włościan, która podobno wkrótce powtórzy się w większych rozmiarach, niż nawet w roku przeszłym. Ze wszystkich stron kraju dochodzą wieści o przygotowywaniu się do téj wędrówki na oślep, a nawet niecierpliwsi już wyruszyli. Jak się okazało, najwymowniejsze dowodzenia nie mogły przekonać zaślepionych, że tam nie znajdą tego szczęścia, którego szukają. P. Dygasiński wrócił i sprawdził na miejscu to, o czém już donosili oszukani i zawiedzeni: nędza, rozpacz, choroby, wielka śmiertelność, wyzysk, bezprawie,—oto jest streszczenie opieki brazylijskiéj i położenia naszego ludu w „nowéj ojczyźnie“. Utartą drogą rozwoju moralno-materyalnego idzie Brazylia, więc najpierw miała system niewolnictwa, ale, jak zwykle, w miarę wzrastania stosunków handlowych, ta forma pracy staje się niedogodną dla kapitalistów: przy ciężkich warunkach pracy, ludność niewolnicza, dziesiątkowana przez wzrastającą śmiertelność, nie daje potrzebnego przyrostu, trzeba więc kupować świeży towar. W chwilach zastoju nie można z nim tak postąpić jak, z najmitą — wyrzucić go; przeciwnie, trzeba żywić, co jest bardzo nie na rękę. Naturalnie, żywi się licho, stosownie do chwil krytycznych, a potém się obarcza nadmierną pracą wycieńczonych niewolników. Rzecz prosta, niezadowolenie wzrasta, niewolnicy stają się groźnym żywiołem dla pracodawcy, trzeba zatém podwajać i potrajać liczbę dozorców, a więc znowu wzrost kosztów i jednocześnie stopniowe zmniejszanie się zysków, gdyż wydajność gospodarstwa niewolniczego jest bardzo nędzną, tamującą ogólny wzrost ekonomiczny kraju. Doprowadzeni do ostateczności takim nieuniknionym porządkiem rzeczy, Brazylijczycy musieli się zdobyć na czyn humanitarny: znieść niewolnictwo. Oswobodzeni poszli w puszcze, przenosząc głód nad pracę najemniczą u dawnych chlebodawców. Państwo Brazylijskie ujrzało się naraz w fatalném położeniu: brak robotnika, brak komunikacyi i niezmierzone pustkowia. Trzeba było temu koniecznie jaknajprędzéj zaradzić, dla uniknięcia katastrofy ekonomicznéj. Rozpoczęto więc na gwałt werbunek w Europie, najpierw południowéj. Ale i tu nowy zawód; okazało się, że Włosi nie znoszą klimatu, giną tysiącami; poszukano więc ludu wytrwalszego — u nas, i uwieńczono starania świetnym rezultatem nietylko pod względem liczebnym: pozyskano siłę pracowitą, pokorną,

niemą na bezprawia, bo nieznającą języka miejscowego i nieumiejącą w inny sposób wyrażać protestu. Jest więc pod każdym względem materyał doskonały do zastąpienia niewolnictwa formą pośrednią— pańszczyźnianą. Ogłoszono specyalne przepisy wykupu ziemi od brazylijskiego obywatela przez emigranta-kolonistę, na podstawach wiecznéj zależności i niewyczerpanych zobowiązań. Chłop nasz, złudzony świetnemi obiecankami, znalazł się w położeniu rozpaczliwém, w warunkach tak ciężkich, że pomimo podpisania cyrografów, porzuca masowo otrzymaną ziemię i dąży ku miastom portowym, mając nadzieję dostać się do kraju, ale ztamtąd nie puszczają, więc miasta nadbrzeżne przepełnione są gromadami obdartych, wycieńczonych, głodnych żebraków polskich. Nie mają oni tego sprytu, jakim się odznaczają cudzoziemcy, czyszczący buty przechodniom w ostatecznym razie, albo sprzedający banany i gazety na ulicy. Przybici cierpieniem, niezaradni, muszą zginąć śmiercią głodową, jeśli ich nie wybawi jakaś potężna, niespodziana siła. W Warszawie projektowane są składki dla zebrania funduszu na powrót przynajmniéj garstki wychodźców, którzyby w swoich wioskach rodzinnych opowiadali o nędzy przebytéj dla zniechęcenia innych do dalekiéj wyprawy. Jednocześnie krążą wieści, iż rząd czyni starania w celu ułatwienia powrotu emigrantom, do czego ma być użyta ochotnicza flota czarnomorska. Z powodu tego dają się słyszeć pytania: co będą robili w kraju wykolejeni wychodźcy? Zapewne nie znajdą oni takiego raju, o jakim marzyli, dążąc za ocean, większość nie będzie mogła wrócić do poprzedniego znośnego bytu, gdyż sprzedanéj za bezcen ojcowizny i dobytku nikt im nie wróci. Będą więc musieli oddać się pracy zarobkowéj, ciężkiéj, niepewnéj, często licho opłacanéj, ale taka dola będzie o wiele znośniejszą, niż w poniewierce brazylijskiéj.

Chłop nasz, już to skutkiem szczupłości gruntów, już pierwotnéj gospodarki, braku rzutkości, która dałaby możność rozwinąć drobne przedsiębiorstwa w związku z rolnictwem, w wielu razach cierpi niedostatek i bez żalu porzuca swą zagrodę. Chcąc go zatrzymać, trzeba mu dać możność wyrobienia zabiegliwości, pozbycia się pośredników, lichwiarzy i tandeciarzy. Jednym z takich środków jest zakładanie sklepów wiejskich, których losem w ostatnich dniach zajęło się Muzeum przemysłu i rolnictwa. Dotąd w wielu miejscowościach kraju sklepy takie nie mogły się utrzymać z powodu rujnującego pośrednictwa i konkurencyi z takimi współzawodnikami, którzy dziedzicznie mają rozwinięty zmysł kupiecki. Otóż zaprojektowano utworzenie w Warszawie stałéj reprezentacyi dla sklepów wiejskich („Chrześcijańskich"), istniejących już lub dopiero zakładanych na prowincyi.

Zadaniem takiego przedstawicielstwa jest pełnienie obowiązków agentury dla handlu prowincyonalnego, jako to: dostarczanie towarów z pierwszéj ręki, sprzedaż produktów gospodarstwa wiejskiego, nadsyłanych agenturze wprost przez wytworców, lub za pośrednictwem sklepów prowincyonalnych; pośredniczenie w sprzedaży wyrobów przemysłu włościańskiego i wreszcie zakładanie sklepów tam, gdzieby się okazała potrzeba. Podczas obrad w Muzeum zaszła kwestya, czy utworzyć oddzielną agenturę dla sklepów wiejskich i oddzielną dla miejskich? Rozstrzygnięto w ten sposób, iż o wiele korzystniejszą będzie agentura wspólna, za któréj pośrednictwem sklepy miejskie, odstępując wiejskim towary z bardzo drobnym zyskiem, pozwolą im korzystnie się rozwijać. Przyszłość takich sklepów może być bardzo pomyślną; w gub. lubelskiéj rozpoczęły one handel na bardzo małą skalę i dziś już mają 600,000 rs. rocznego obrotu. Utworzona w powyższéj sprawie delegacya przyszła do wniosku, iż należy przedewszystkiém przy sekcyi rolnéj Tow. przemysłu i handlu utworzyć specyalny oddział informacyjny, w celu udzielania dokładnych wiadomości osobom interesowanym o urządzaniu sklepów wiejskich i miejskich na prowincyi. Stowarzyszenie spożywcze „Merkury“ podejmuje się dostarczania do tych sklepów towarów przeważnie spożywczych lub innych przedmiotów, potrzebnych do gospodarstwa domowego, drogą zaliczeń. Ponieważ dostarczanie takich produktów nie wchodzi w zakres działalności Tow. przemysłu i handlu, więc czynności téj dla 10 sklepów wiejskich podjęła się jedna z warszawskich firm kupieckich. Tak więc sprawa rozwoju sklepów wiejskich jest na pomyślnéj drodze.

Powyższe Muzeum po raz już piąty z rzędu urządziło w sezonie bieżącym doroczną wystawę nasion, zbóż i traw. Obecna różni się od swych poprzedniczek tém, iż ma znacznie rozszerzony zakres; oprócz powyższych przedmiotów w program jéj wchodzą: wyroby fabryk cukru, gorzelni, browarów, młynów parowych i wodnych, tudzież wyroby gospodarstwa domowego wiejskiego. Komitet oprócz miejsc bezpłatnych poczynił wszelkie możliwe ułatwienia dla wystawców.

W ciągu ubiegłego miesiąca śmierć usunęła z widowni działania u nas i za granicą kilku pracowników zasłużonych i rozgłośnych.

W Warszawie zmarł Józef Szlezygier (ojciec artystki, która niedawno naszą scenę opuściła), skromny długoletni pracownik na polu pedagogicznem. Ur. w r. 1817; po skończeniu wydziału filologicznego w Petersburgu, od r. 1840 wykładał historyę, geografię i łacinę w Łęczycy, potém w Warszawie i Łowiczu, w Lublinie i znowu w Warszawie. Napisał: „Uwagi nad dziełami, używanemi

do wykładu historyi powszechnéj“ (1862), tudzież opracował „Słownik polsko ruski, zastosowany do potrzeb urzędników“ (1867). Uprawiając z zamiłowaniem sport myśliwski, napisał dwie książki w tym przedmiocie: „O polowaniu z wyżłem“ i „Myśliwy ze strzelbą“. Nadto pisywał drobne artykuły do pism miejscowych („Kuryera Codz.“ i „Przyjaciela Zwierząt“).

Prawie jednocześnie zakończył życie pracownik na innem polu, Henryk Sumiński, inżynier m. Warszawy. Brał on czynny udział przy budowie szos w Królestwie, a następnie kilka lat pracował przy regulacyi Wisły. W r. 1856 wstąpiwszy do wydziału technicznego zarządu m. Warszawy, pozostawał na tém stanowisku przez lat 35 aż do śmierci. Zmarły cieszył się sympatyą wszystkich, którzy go bliżéj znali.

We Lwowie zmarł w pełni sił, bo w 42 roku życia, dr. Aleksander Ogonowski, profesor prawa cywilnego przy uniwersytecie miejscowym, prezes rusińskiego towarzystwa „Narodna rada“. Wiele Towarzystw zawdzięcza mu swoje istnienie.

Świat malarski przywdział żałobę po J. E. Meissonierze. Stanowisko, jakie zajmował Meissonier w sztuce współczesnéj, jest tak wielkie, że chcąc znaleźć równego mu znaczeniem artystę, należy się cofnąć w epokę najwyższego rozkwitu malarstwa.

Meissonier działalnością swoją, opartą na podstawach wielkiéj władzy artystycznéj i wyjątkowego oryginalnego geniuszu, pchnął sztukę na drogi, z których przez długie lat szeregi zbaczała. Dążność do naśladowania natury w większym lub mniejszym stopniu cechuje prawie wszystkich malarzy; lecz nigdzie, w żadnéj epoce, nawet w epoce najświetniejszych geniuszów, umiłowanie natury, wyzyskanie wszystkich najmożliwszych czynników, korzystanie ze środków, jakie malarstwo nam daje do jéj odwzorowania—nie były z taką logiką i umiejętnością przeprowadzone, jak w dziełach zgasłego niedawno mistrza.

Meissonier naturę uważał za tak doskonałą, że nigdy nie pozwalał sobie wyszlachetniać jéj, idealizować, do pewnych własnych upodobań zastosowywać; ślepo starał się ją naśladować, posługując się ku temu środkami czysto malarskiemi, techniką na pozór bardzo skromną, ale wolną od wszelkiéj domieszki roboty pamięciowéj. Każda praca jego jest niewyczerpaną skarbnicą studyów szerszych na tle nadzwyczajnéj obserwacyi życiowéj. Tak całość, jak i najdrobniejszy szczegół, są wprost brane z rzeczywistości, widziane okiem

objektywnego spostrzegacza i myśliciela. W układzie kompozycyjnym również natura była mu mistrzynią — przedmioty wybierał te tylko, które środkami danemi malarzom mogą być plastycznie odtworzone. Oprócz znakomitego, dotąd prawie u żadnego z artystów nieujawniającego się w téj sile rysunku, Meissonier posiadał pierwszorzędny talent twórczy. Pozostanie on na zawsze pierwszym, który w obrazach, czerpanych z przeszłości, wprowadził czynnik realizmu; on pierwszy drogą logicznych studyów wskrzeszał minioną dobę, w sposób, w jakiby naoczny współczesny świadek, z natury malując, fakt dany był przedstawił. Dar spostrzegawczy, głęboka nauka i wiedza, pozwoliły Meissonierowi pozostawić w spuściznie po sobie cały cykl z napoleońskiéj epopei, w którym każdy pojedyńczy obraz jest skończoném arcydziełem. Stworzenie racyonalnego malarstwa historycznego i użycie w ciągu pracy twórczéj wszystkich możebnych materyałów w celu odwzorowania najbardziéj do natury zbliżonego jéj obrazu — są zasługą Meissoniera. Pozostanie on na długi czas jako mistrz, niemożebny do prześcignięcia. Słabą stroną jego talentu była pewna suchość kolorytu, lubo i w barwie starał się o prawdę.

Jan, Ludwik, Ernest Meissonier urodził się 1811 r. w Lyonie, z niezamożnéj rodziny. W początkach swéj karyery walczyć musiał z wielką biedą. W 1830 r. przybył do Paryża, gdzie, wsparty przez znanego naówczas Tomy Johanot'a, wstąpił do szkoły Leona Coquiet. Zaczął wystawiać w Salonie od 1836 r. — i przez kilkadziesiąt lat corocznie wypuszczał ze swéj pracowni po kilka obrazów. Oprócz zwykłych medalów z Salonu, posiadał z wystaw powszechnych paryskich: 1855, 1867 i 1878 r., wielkie medale honorowe. Od 1861 r. był członkiem Instytutu. W 1889 r. zaś otrzymał „Wielki Krzyż legii honorowéj“, oznakę, jakéj do téj pory żaden malarz nie miał. Nie wyliczamy tytułów jego obrazów, gdyż jest ich wiele i każdy do arcydzieł zaliczonym być może.

Kilka już tygodni upłynęło od pierwszego gościnnego u nas występu Heleny Modrzejewskiéj, a zapał publiczności dla wielkiéj artystki nie ochłódł dotąd — i choć uniesienia znajdują już sobie prawidlowsze ujście w sądach i zdaniach ściśléj umotywowanych, choć wrażenia układają się zwolna do krytycznego poziomu, trzeba przyznać że poziom ten sięga wysoko i zniżyć się nie może, nie powinien.

Jest w tém wszystkiém może wiele ciekawych spostrzeżeń dla obserwatora, zajmującego się psychologią tłumów; ale sądzimy, że spostrzegacz myliłby się, przypisując jedynie zmienności tych tłumów gorączkę dzisiejszego entuzyazmu.

Rozmyślania pessymistów, zwracających do Warszawy specyalnie oskarżenie o niewdzięczność i chwiejność, grzeszą najprzód jednostronnością — bo wiadomo, że massy są wszędzie do siebie podobne; powtóre opierają się na wątłéj podstawie, bo na dowodzeniu, że Modrzejewska, przed wyjazdem swoim do Ameryki, niedość była w Warszawie cenioną.

Wyznajemy, że napróżno w pamięci szukaliśmy faktu, któryby mógł poprzéć to twierdzenie; znajdujemy wprawdzie przedstawienia niezapełnione, ale, co do tego objawu, należałoby się bliżéj porozumieć i raz głębiéj wejrzéć w jego przyczynę.

Nie była nią nigdy obojętność dla artystki, lecz zobojętnienie dla repertuaru, powtarzanego do przesytu. Nie zapominajmy, że w teatrze dla aktora nastają czasy coraz trudniejsze; minął bowiem okres wyłącznego panowania na scenie sztuki aktorskiéj, a nastąpiło po niém wszechwładztwo literatury dramatycznéj. Publiczność chce mieć grę doskonałą, ale gra nie jest dla niéj wszystkiém, i interesując się tém, *jak* aktor gra, zajmuje się nierównie więcéj tém, *co* gra. Jeśli od téj zasady wytwarzają się w usposobieniu tłumów wyjątki na korzyść tak wielkich artystek, jak Modrzejewska, to wyjątki te muszą mieć swoje granice. Jedną z takich granic jest przedewszystkiém rodzaj talentu i wynikający z niego rodzaj repertuaru. Tu znów postawić można pewnik, łatwy do sprawdzenia dla każdego, kto tylko dłużéj i ściśléj badał sprawy teatru.

Repertuar tragiczno-dramatyczny wstrząsa w pierwszéj chwili gwałtowniéj, działa silniéj, ale krócéj, aniżeli repertuar komiczny. Dzieje się to najprzód właściwością komizmu, który, jako oparty na najróżnorodniejszych sprzecznościach ideałów życiowych z rzeczywistością, jest rozmaitszym i więcéj ma środków działania od tragiczności, nie wychodzącéj z pewnych sfer uczucia; powtóre: naturą człowieka, powracającego chętniéj do śmiechu, niż do płaczu; wreszcie warunkami społeczeństwa, które zbyt wiele ma dramatu w życiu, aby miało tęsknić za nim w teatrze. Trzeba więc wielkich talentów, ażeby skłoniły widza, który raz płakał z bohaterem czy bohaterką, do uronienia nad nimi łzy po raz piąty i dziesiąty. Wynika ztąd konieczność odświeżania repertuaru tragicznego i dramatycznego częściéj, aniżeli komicznego. Tym tylko sposobem artyści wszechświatowi: Salvini, Rossi, Sara Bernhard, lub nawet artystki stale do pewnych scen przywiązane, jak Karolina Wolter, przez zajęcie publiczności nowym repertuarem utrzymują w niéj zarazem jednakowe zawsze dla swojéj gry zainteresowanie. Że inaczéj było z Modrzejewską o tém pamiętamy wszyscy; ale wiemy również, że zamknięcie się wtedy w zaklętém kole kilkunastu sztuk nie było winą arty-

stki, któréj wszystkie pragnienia, wszystkie aspiracye, wybiegały po za ciasnotę rutyny i ślimaczego zasklepienia się naszego teatru. Nie tu miejsce dochodzić, kto był winien? idzie nam bowiem przedewszystkiém nie o sądzenie procesu, lecz o określenie stosunku wielkiéj artystki do publiczności, która tę wielkość rozumiała i ceniła. Bądźmy więc sprawiedliwymi, oddajmy każdemu, co mu się należy, a naturalniejszemi wydadzą nam się objawy, których pozorna sprzeczność ma być podstawą wyroku na tę publiczność.

Wprawdzie ogół wita dziś z uniesieniem, a krytyka ocenia z wyższém jeszcze uznaniem Modrzejewską w tym samym repertuarze, który ją może nużyć zaczął przed laty; ale nie zapominajmy, że to przywitanie, to ocenienie, spotyka nową do pewnego stopnia, doskonalszą artystkę, w któréj grze przybyły jedne czynniki, ubyły inne, że zatém na chwilę znów ustąpił wzgląd na to, *co* jest grane, a powróciło zaciekawienie, *jak* jest grane. Spodziewano się w tych samych sztukach znaléźć inną artystkę i nie mylono się w nadziejach—nigdy bowiem Modrzejewska nie wracała taką samą, jaką odjeżdżała.

Na pierwszych występach artystki w Warszawie Kraków pozostawił jeszcze swoje ślady. Czuć było, że realistkę z usposobień, z temperamentu, krępują więzy jakiejś artystycznéj pruderyi. Późniéj, Warszawa ze swemi prowincyonalnemi małostkami, ze swojém konwencyonalném życiem salonów, ze swemi modnemi ubóstwieniami pięknéj kobiety, dystyngowanéj damy i gustownéj tualety, popchnęła artyzm Modrzejewskiéj ku pozie, ku sentymentalnemu liryzmowi, ku estetycznym egzaltacyom. I trzeba było Ameryki, żeby z pod tych naleciałości wydobyć czyste złoto talentu.

Ale i przyjazdy z za morza nie jednakowe dawały rezultaty. Pierwszy pobyt Modrzejewskiéj na drugiéj półkuli nacechował jéj grę wszystkiemi znamionami walki. Głos stracił miękką tkliwość w pracy nad zdobyciem brakującéj dramatycznéj potęgi; dykcya nabrała pewnéj niecierpliwéj ostrości, ruchy z omdlewających stały się stanowczemi, szybkiemi, jak czyn w krainie inicyatywy.

Stanowczemu ukształtowaniu się talentu Modrzejewskiéj przeszkodziły na chwilę tryumfy w Anglii. Londyn wywołał w téj indywidualności, nadzwyczajnie ruchliwéj i wrażliwéj, jeszcze jedną reakcyę osobistego wdzięku kobiety. Ten wdzięk przypomniał sobie w klasycznéj stolicy arystokracyi arystokratyczne pochodzenie sztuki, i ostatni raz wplótł się do gry artystki pod postacią jakiejś pańskiéj *Vornehmheit*, jakiegoś wielkobrytańskiego *cantu*, który w Warszawie miał ciężkie chwile do przebycia z demokratycznym talentem Sary Bernhardt. Dopiero druga podróż amerykańska skrystalizowała talent

Modrzejewskiéj w te formy, w jakich go dziś widzimy. Zwracano onego czasu uwagę na zbytek sentymentalnego liryzmu w grze Modrzejewskiéj — i Modrzejewska pozbyła się go, nie obawiając się nawet w pewnych razach osłabić działania wdzięku osobistego, na którym grę swoją opierała. Ubolewano nad brakiem siły tragicznéj, z dodaniem zawsze łagodzącego zastrzeżenia, że winna temu kompleksya fizyczna artystki; Modrzejewska póty ze swoją kompleksyą walczyła, aż zdobyła siłę może jéj kosztem — i powróciła do nas artystka, uboższa o jedną słabość, bogatsza o jedną moc.

Wyjazd Modrzejewskiéj do Ameryki miał zatém pośrednio bardzo doniosłe następstwa, choć nie te, na które opinia największy kładzie nacisk. Szerzenie sławy polskiego imienia między yankesami wydaje nam się faktem względnéj tylko ważności; mniejsza lub większa świetność polskiéj sztuki jest prawdopodobnie zarówno dla yankesów obojętną, jak dla nas powinna być obojętną opinia o naszych artystach społeczeństwa, za mało artystycznie ukształconego, aby uniesienia jego i entuzyazmy mogły miéć w tym razie decydujące znaczenie. Ale Ameryka była dla Modrzejewskiéj polem nowinném, nie wyjałowioném żadną artystyczną tradycyą, zdatném pod wszelki posiew. Mogła na niém artystka pracować, jak tylko chciała, nie krępowana tém, co było, próbująca tego, co będzie, olśniewająca dziewiczą widzów wrażliwość tém, co jest. Talent Modrzejewskiéj mógł tam przekształcić się wobec zdumionéj publiczności, która nie domyślała się nawet, co i jakim sposobem się zmieniło, któréj dziwacznemi może wydałyby się zastrzeżenia staréj wybrednéj Europy.

Potrzeba było energii wyjątkowéj, siły woli, którą nie każdy mężczyzna mógłby się poszczycić, żeby zdobyć najważniejszy środek do téj pracy przekształcenia: język.

Modrzejewska miała tę energię, tę silną wolę pokonania trudności, prawie niepokonanych, a sama walka lingwistyczna już mogła być korzyścią artystyczną, bo się w niéj artystka hartowała, bo wtedy już może traciła cząstkę téj tkliwości, o któréj nie było czasu myśléć, łamiąc się z oporem obcéj mowy. Pieścić się każdym wyrazem, rozrzewniać się sentymentalnie nad brzmieniem własnego głosu, można tylko w języku, którym się myśli; w zetknięciu z formami i z duchem nowonabytego języka, w starciu, które z istoty swojéj ustać nie mogło i przenosiło się nawet na scenę, natura nerwowa artystki czuć musiała nowy tylko bodziec, który już w grze był prawdopodobnie początkiem siły. Dalsze téj siły rozwinięcie, rozpoczęte w dykcyi, odbywać się musiało przy pomocy rozszerzenia i wzmocnienia skali głosowéj. Stało się to, jak już wspomnieliśmy, kosztem dawniejszéj głosu dźwięczności. Praca uciążliwa, mozolna w tym kie-

runku, a później częste wystąpienia, przysporzyły Modrzejewskiéj nizkich tonów, z których artystka chętnie wstrząsające wydobywa efekta. Według tych zasadniczych tonów modelują się dziś wszystkie podwyższenia i spadki, układa się harmonia dykcyi, w któréj nastrój cały zyskał jakąś powagę, uroczystość, łatwiéj przechodzącą w namiętność dramatyczną, lub nawet w patos tragiczny, aniżeli dawniejsza czułość i pieszczotliwość.

Stanąwszy na pewnym gruncie przetworzonéj techniki, ze zdobytym siły zadatkiem, Modrzejewska tém łatwiéj mogła go do gry saméj wprowadzić, że znajdowała się na klasycznéj ziemi siły i energii. Jeżeli Ameryka niczém twórczości jéj nie podnieciła, to niewątpliwie oddziałać musiała na sam sposób akcentowania sytuacyi dramatycznych. Atmosfera szybkich postanowień, stanowczych czynów, życia obliczonego na oszczędność czasu, a więc opartego na uczuciach treściwych, objawianych bez chwiejności, bez lirycznéj rozwlekłości, nie mogła pozostać bez wpływu na wrażliwą organizacyę artystki. I jest téż dziś w grze Modrzejewskiéj ta treściwość i zwięzłość, która do pewnych chwil kulminacyjnych akcyi dramatycznéj zdaje się najprostszemi dążyć drogami: jest ta energia, zdobyta widocznie zdala od obezwładniającéj konwencyonalności salonów Warszawy, od ckliwych jéj na życie i na sztukę poglądów i od naszych zaściankowo-artystycznych stosunków. Jest siła któréj nie było i która tém żywsze czyni wrażenie, im częściéj spotyka się ją tam, gdzie jéj dawniéj najwięcéj brakowało.

W jednym jeszcze stosunku objawić się musiał nowo-nabyty przez Modrzejewską czynnik gry: w stosunku jéj do prawdy i do sztuki—w traktowaniu pomysłów ze stanowiska realnego i idealnego. Zastrzegłszy przedewszystkiém, że te pomysły, że sam materyał poetycki był niezaprzeczoną spuścizną Europy, sądzimy, że spożytkowanie go realniejsze, więcéj do życia zbliżone, jest następstwem zetknięcia się artystki ze społeczeństwém, w którém to życie rozrasta się bujniéj, swobodniéj, szczerzéj, nieosłonione płaszczykiem form towarzyskich, kryjącym tak często w estetycznych fałdach najpospolitszą obłudę. Pod tym względem Ameryka zastała grunt dostatecznie przygotowany w saméj artystce, talent jéj bowiem, nerwowy, niecierpliwy, tysiącem nici z życiem dzisiejszém złączony—był i jest w treści swojéj realistycznym. To życie, przedstawiające się w naiwnéj prawdzie, która nie miała czasu sprawić sobie cywilizacyjnéj sukienki; ta szorstka nieco poezya rzeczywistości, rzadko jakiemuś Bret Hartowi dostępna, uderzyć musiała artystkę, obdarzoną subtelnym zmysłem poetycznym, wykształconym na arcydziełach starego świata. Wraże-

nie nie mogło pozostać bez skutku: szczery realizm Ameryki podał kęrę kunsztownemu idealizmowi Europy.

Modrzejewska nie jest też nigdy realistką w pierwotnym pomyśle: postać każda przedstawiać jéj się musi w zarysach poetycznych, wyidealizowanych; ale, żeby w nią tchnąć życie, ucieka się Modrzejewska do natury po środki, które zdobywszy, staje natychmiast wobec téj natury na stanowisku artystki i prawdę życiową oddziela od prawdy powszedniéj z całą bystrością spostrzegawczą organizacyi na wskróś estetycznéj. Słowém realizm jest dla niéj środkiem — nigdy celem. Ztąd pochodzi to dziwne złudzenie, z którego nie jeden widz dokładnie sprawy zdać sobie nie może: bohaterka, odtworzona w grze Modrzejewskiéj rysami częstokroć silnie realistycznemi, zostawia w całości wrażenie idealne—czyli, że Modrzejewska skarbów swéj sztuki używa na to, żeby za pomocą symbolów, dostępnych dla widza, bo wziętych z życia nam wszystkim wspólnego, przywołać mu przed oczy pomysł taki, jaki się wyobraźni artystki w obsłonie poetycznéj przedstawił. Ta obsłona jest o tyle przezroczystą, że nie zakrywa prawdy a wystarcza do usunięcia z przed oczu widza osobistéj interwencyi artystki.

Modrzejewska stała się w grze nieosobistą i to dziś stanowi nową jéj talentu fizyognomię; a kto pamięta, jak bardzo ten talent był przesiąkniętym pozateatralną indywidualnością kobiety, ten tylko oceni postęp dzisiejszéj chwili w stosunku do przebytych już przez artystkę stopni w sztuce. Talent Modrzejewskiéj stał się w kraju objektywności przedmiotowym i tą przedmiotowością swoją tak rozległe obejmującym widokręgi, że od szczytów idealnéj poezyi, aż do nizin rzeczywistości, wszędzie jest u siebie; a to poczucie zbratania się zarówno z wyżynami, jak z otchłaniami życia, daje mu trzy kardynalne przymioty: siłę, spokój i prostotę, które się w nim nigdy dotychczas w tym stopniu i w takiéj harmonii nie znajdowały.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— *Dr Władysław Ostrożyński* „Sprawa zamachu na Stanisława Augusta z 3 Listopada 1771 r. przed sądem sejmowym“. Lwów 1891. Str. 154.

Kilkakrotnie już opowiadano w literaturze naszéj sprawę powyższego zamachu, ale nigdy jeszcze z taką dokładnością i z takiém bogactwem szczegółów, jak to uczynił dr Ostrożyński. Nie tylko téż sprawa powyższa została pod względem proceduralnym zupełnie wyczerpaną, lecz nadto autor skreślił z całą skrupulatnością charakter główniejszych postaci, zamieszanych do téj smutnéj pamięci sprawy. Dowiadujemy się téż, że Strawiński nie został późniéj straconym, jak powszechne mniemanie głosiło, lecz długi czas ukrywał się za granicą pod obcém nazwiskiem. Spotykamy go późniéj w Rzymie, gdzie przybrawszy habit zakonny, w murach klasztoru szukał spospokoju po trudach burzliwéj żołnierki. Tęsknota za krajem powoduje jego powrót za czasów Księstwa Warszawskiego, ale już nie w charakterze żołnierza, lecz dusz pasterza. Osiadłszy w parafii w jednéj wsi dawnego województwa krakowskiego, dokonał swego żywota za czasów Królestwa kongresowego. Strawiński miał pozostawić bogate pamiętniki, w których opisał dokładnie swój udział w konfederacyi barskiéj. Rękopis ich pozostaje dotychczas w ukryciu w ręku nieznanéj rodziny w Ks. Poznańskiém.

Wygnany z kraju Kuźma mieszkał długi czas w Rimini, niedaleko Wenecyi, a potém w Sinigalii, wspierany przez Króla, który mu

wyznaczył dożywotnią pensyę w kwocie 400 czerwonych złotych rocznie, wypłacanych przez ks. Stanisława Poniatowskiego, synowca króla. Po roku 1794 odważył się Kuźma powrócić do kraju i zamieszkać w Warszawie, gdzie umarł d. 12-go Czerwca 1822 r. Pochowano go na cmentarzu Powąskowskim. W kościołku przy tym cmentarzu, w głównym ołtarzu, ma się znajdować obraz Ś-go Karola Boromeusza, u którego boku odmalowana jest scena, gdy Kuźma leży u nóg króla. Obraz ten dał w ofierze kościołowi Książę Prymas Poniatowski, rodzony brat Stanisław Augusta.

Przytoczyliśmy tylko kilka szczegółów, odsyłając zresztą czytelnika do ciekawéj a starannie napisanéj pracy d-ra Ostrożyńskiego. *a. r.*

— Do „Biblioteki Pisarzów Polskich“, wydawanéj przez Akademię Umiejętności w Krakowie, przybyła staraniem D-ra Zygmunta Celichowskiego „Historya prawdziwa, która się stała w Landzie, mieście niemieckiém 1568“. Oryginalny tytuł téj historyi, któréj dwa tylko dziś istnieją egzemplarze: w bibliotece Ossolińskich i w bibliotece Kórnickiéj, brzmi jak następuje: „Historya prawdziwa, która się stała w Landzye Miejscye Niemieckim z osobnemi naukami, polskim językiem wyprawiona roku pańskiego 1568“.

Jest to wierszowana opowieść o niewdzięcznych córkach, którym ojciec za życia całe mienie przekazał, a następnie, złego od nich doznawszy przyjęcia, skłonił je podstępem—udając, że więcéj jeszcze posiada majątku—do tego, iż czułą otoczyły go opieką. Zaznaczywszy we wstępie, że ta stara historya we wszystkich niemal spotyka się piśmiennictwach, przypuszcza Dr. Celichowski, że „Historya prawdziwa“ nie jest oryginalnym pomysłem polskiego poety, lecz albo tłómaczeniem, albo dowolną przeróbką obcego studyum. Doktor Celichowski sądzi, że autor czerpał z łacińskiego źródła i stawia hypotezę, iż twórcą historyi jest Mikołaj Rej Za autorstwem Reja przemawiają, według D-ra Celichowskiego, oprócz takich szczegółów, jak: nazwisko drukarza (Wierzbięta), u którego wyszły prawie wszystkie inne utwory Reja, jak właściwe Rejowi charakterystyczne podpisy pod przedmową i w zakończeniu, oraz zwroty do czytelnika i krytyków,—język Historyi, styl i cały tok powieści. W poszukiwaniu źródeł Historyi, dopomagali D-rowi Celichowskiemu: prof. Brückner i p. Bruchnalski.

— *Kraushar Aleksander*. „Drobiazgi historyczne“. T. I. Petersburg i Kraków 1891.

Do tomu niniejszego weszły następujące rozprawy: Starościna Rawska. Sprawa Bolestraszyckiego. Pamflety astronomiczne. Podróż

obywatela warszawskiego do Persyi. Z weneckiego archiwum. Romans szlachcica szkockiego w Polsce. Echa z wiedeńskiego pogromu: Vincenzio de Felicaia. Jakób Bécal. Francya i Polska. Sprawa Dogrumowej. Kazimierz Jarochowski. Tadeusz Korzon. Historyjki i plotki historyczne. Improwizator XVI wieku.

— *Mathias Bersohn.* „Studenci Polacy na uniwersytecie bolońskim w XVI i XVII wieku", napisał .. Kraków. 1890.

Wiadomo, że do uniwersytetu w Bolonii uczęszczało wielu bardzo Polaków, którzy zdobywali nietylko stopnie naukowe, lecz i rektorami bywali. Panował tam zwyczaj, że na ścianach krużganków, cel i kurytarzy zapisywano nazwiska pilniejszych uczniów, bez względu na narodowość, jako też ich tytuły i herby. W liczbie tych odznaczonych było bardzo wiele nazwisk Polaków. Wskutek przeistoczenia sal wszechnicy na czytelnie, zbiory rysunkowe i starożytności, niektóre ściany uległy zasadniczéj przeróbce, przez co oczywiście napisy na nich zginęły dla przyszłości bezpowrotnie. Mathias Bersohn, pragnąc uratować to przynajmniéj, co pozostało, spisał wszystkie polskie nazwiska uczniów wszechnicy Bolońskiéj.

— Księgarnia Gebethnera i Spółki w Krakowie wydała w przekładzie z rosyjskiego „Upadek Polski w literaturze historycznéj" N. Kariejewa.

— *Dembiński Bronisław.* „Rzym i Europa przed rozpoczęciem trzeciego soboru Trydeckiego". Część I. Kraków. 1890.

— *Mignet M.* „Historya rewolucyi francuskiéj od r. 1789—1814", przekład J. F. 2 t. Warszawa 1891.

— „Ekonomista polski" N. I. 1891. (Lwów). Drugi rok swego istnienia rozpoczął Ekonomista lwowski następującemi pracami: 1) *Dziesięć ekonomicznych postulatów programu klubu lewicy sejmowéj* przez Teofila Merunowicza. 2) *Siły ekonomiczne Królestwa Polskiego* przez d-ra Witolda Załęskiego. 3) *Organizacya miejskich gmin w Galicyi* przez dra Witolda Lewickiego. 4) *Ustawa przemysłowa austryacka i jéj wpływ na rozwój rękodzieł* przez d-ra Kornela Paygerta. 5) *Koleje lokalne w Galicyi i na Bukowinie* przez dra Maryana Ciesielskiego. 6) *Przegląd literacki*, dr Władysław Pilat: *O rencie gruntowéj* przez dra Kornela Paygerta.

Zaznaczamy pokrótce, iż wszystkie studya, polityce ekonomiczno-administracyjnéj poświęcone, są wymownym dowodem staranności i wytrwałéj pracy redakcyi. Pozwalamy sobie zwrócić uwagę spe-

cyalnie na pracę dra Lewickiego, nie dlatego, aby inne były mniéj sumienne lub gruntowne, lecz z powodu, że przedmiot, rozbierany przez autora, jest wielkiéj dla Galicyi doniosłości.

Dr Lewicki poucza nas o tém, jakie przyczyny wywołały statut miejski 30 miast większych w Galicyi, co do których obowiązywała dotychczas ustawa gminna z d. 12 Sierpnia 1866 r. Następnie zaś zmiany zaprowadzone streszcza w następujących punktach: 1) Utworzenie nowego organu wykonawczego w formie magistratu; 2) podniesienie i wzmocnienie stanowiska burmistrza; 3) rozgraniczenie ściśle władzy wykonawczéj i zarządzającéj od władzy uchwalającéj, i nadzorującéj Rady miejskiéj, któréj zakres działania został ściśle określony, od władzy magistratu i burmistrza; 4) ustanowienie etatu urzędników miejskich; 5) zapowiedzenie rygoru dla radnych, wchodzących w stosunki prawne z gminą (jako przedsiębiorcy, dostawcy lub dzierżawcy), dla radnych opieszałych, zaniedbujących swoje obowiązki; 6) określenie toku instancyi.

Kończy dr Lewicki swą interesującą a gruntowną pracę następującą uwagą: zamiast ustawy, równającéj stosunki małych wiosek z 20 kilka tysięcy mieszkańców liczącemi miastami i naginającéj się na wszystkie możliwe ogólniki, otrzymują miasta ustawę jasną, porządną, ad hoc dla nich napisaną. Każde społeczeństwo, jeśli się rozwija w normalnych warunkach, musi się starać o wytworzenie takich form prawnych, któreby odpowiedziały stanowi, w którym się znajduje. Dlatego, że Odillon-Barrot w swéj centralizacyi, lub S-te Hermine w swym Traité de l'organisation et des elections municipales, kopię kruszy za jedném i równém prawem gminném dla wsi i miasteczek, dlatego, że Francya, oprócz Paryża i Lugdunu, nie zna innych wyjątków organizacyi gminnéj, dlatego obstawać za zachowaniem staréj ustawy gminnéj, tak bardzo podupadłéj staruszki, dla wszystkich gmin w kraju, byłoby szczytem doktryneryi. Nasze życie zbiorowe tak odrębnie ukształtowało się po wsiach, że nie może iść pod miarę jedną z życiem miejskiém, bądź co bądź, wzorowaném na przykładach obcych i do nich więcéj zbliżoném. Dobrze więc, że w ustawodawstwie gminném ta różnica znajdzie swój wyraz.

a. r.

— *Szczepanowski Stanisław.* „O wpływie tanich komunikacyi na rozwój ekonomiczny kraju". Lwów 1890.

Broszura zawiera trzy rozprawy: Koléj Karola Ludwika i nasza polityka komunikacyjna; Przemówienie w sejmie d. 18 Listopada 1889 r. i Przemówienia w radzie państwa d. 6 Grudnia 1888 r.

— *Dr. Albert Fr. Schäffle.* „Die Bekämpfung der Socialdemokratie ohne Ausnahmgesetz". Tuebingen. 1870.

Jest to mała broszurka, w któréj autor twierdzi, że wyjątkowe prawa względem socyalistów nie powstrzymają ruchu, a tembardziéj nie rozwiążą kwestyi. Doradza tedy—to samo już radził przed 20 laty w książce „Kapitalizm i socyalizm“—zmianę polityki socyalnéj, która ma polegać na pewnych moralnych czynnikach, za pomocą których trzeba oddziaływać na zmniejszenie ludności przez unikanie lekkomyślnych związków małżeńskich i t. p. Rada, przechodząca granice wszelkich praw moralnych i fizycznych ludzkich, wątpić należy, czy przyniosłaby pożądany skutek.

— *Dydyński Theodor.* „Beiträge zur handschriftlichen Ueberlieferung der Justinianischen Rechtsquellen“. Berlin, Puttkammer, und Mühlbrecht. 1891.

— *Czesław Jankowski* „Sylwetki poetów“. Warszawa u T. Paprockiego i Sp. 1891.

Autor zamierza widocznie nakreślić cały szereg wizerunków, przy dwóch bowiem pierwszych: Rudolfa Baumbacha i Józefa Wiktora Scheffla, znajdujemy cyfrę początkową I, zapowiadającą oczywiście dalszy ciąg sylwetek.

— Spółka Nakładowa wydała drugi tom „Wyboru pieśni Heinego“, w przekładzie Maryi Konopnickiéj, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushaara i innych. Książka o 327 stronicach, ozdobiona portretem poety, zawiera „Przedmowę“ Cezara Jelenty, „Podróż po Harcu“ tłómaczoną przez Maryana Gawalewicza i „Włochy“ (przekład Cezarego Jelenty).

— *A. Herzen*, professeur à l'Université de Lausanne: Velléités pédagogiques d'un Empereur. Lausanne. 1890.

Autor występuje w obronie potrzeby reformy średnich zakładów naukowych w tym kierunku, ażeby z nich, według możności, usunąć wykłady języków klasycznych.

— *Dr. Ludwik Natanson* wydaje zeszytami, nakładem S. Lewentala, „Hygienę praktyczną“, któréj szósty zeszyt wyszedł już z druku. O tém wydawnictwie, ze wszech miar pożądaném i pożytecznem, pomówimy we właściwym czasie obszerniéj.

— W zeszycie Styczniowym lwowskiego „Przewodnika naukowego i literackiego“, znajdujemy: *Szkice geograficzne z Karpat* Antoniego Rehmana, *Ks. Stanisława Grochowskiego żywot i pisma* przez Adama Bełcikowskiego, *Jan z Wiślicy, jego życie i pisma* przez Stanisława Witkowskiego, *Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana 1830—1364, Z do-*

mowego archiwum (korrespondencya Pana Chorążego), przez Aleksandra Wybranowskiego, *Z najnowszych kierunków psychologii*, przez D-ra Teofila Ziembę, i Kronikę literacką.

— Mamy przed sobą ostatni zeszyt (z 15 lutego) dwutygodnika „Świat“, wydawanego w Krakowie pod Redakcyą i kierunkiem artystycznym Zygmunta Sarneckiego. Wydawnictwo to zyskało sobie odrazu, wytworną formą, poczytną treścią literacką i wielkim w ilustracyach smakiem, usprawiedliwiony rozgłos, który téż, w myśl zasady „powodzenie obowiązuje“, „Świat“ stara się w każdym numerze utrzymać. Zeszyt, o którym mówimy, interesuje czytelnika nowellą Bałuckiego, przekładem komedyi Wrchlickiego „Uszy Midasa“, „Kartkami z życia Mickiewicza“ Tretiaka, charakterystyką Maeterlincka przez Zenona Przesmyckiego i dwoma dodatkami z powieścią Maryi Marrenowéj i z przekładem „Jocelyna“ Lamartine'a. Pod ilustracyami podpisani są: Tondos, Piotrowski, Wojciech i Juliusz Kossakowie, Tadeusz Rybkowski, Włodzimierz Tetmajer, Dietrich. Ale nie dość zgromadzić dobre artykuły i ładne ryciny, trzeba to wszystko ułożyć w całość żywą, urozmaiconą i artystycznie obmyślaną, a pod tym względem „Świat“ zaleca się takim gustem, że śmiało nazwać go można najlepszém u nas pismem illustrowaném Upoważnia do tego między innemi i typograficzna estetyka, którą wyróżniają się drukarnie krakowskie, i piękny papier, słowem, cały zewnętrzny, niezależny od treści, wygląd. Fakt, że w Krakowie, gdzie pismom tak ciężko, „Świat“ trzyma się dzielnie, przemawia za nim bardzo i rokuje mu dalsze powodzenie, którego godzi mu się życzyć, bo na nie zasługuje.

— *Edmund S. Nagnowski.* „Anglia wszechmożna“, powieść obyczajowa w 2 tomach, Lwów. Nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1891.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:
Józef Weyssenhoff.